507

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 291.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1913. — Tom III.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1913.

4620. 1913. 3
II.
Biblioteka Śląska 30.000,-
X-14392
4620/II 3.
/1913

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

# POD ZNAKIEM HERODOTA

(Kilka słów o Międzynarodowym Kongresie Historycznym w Londynie, odbytym d. 3—9 kwietnia r. b.).

## I.

Wszechświatowe zjazdy historyczne mają już swoją historyę i nawet swoje kontrowersye. W przededniu otwarcia ostatniego z nich, o którym niżej będzie mowa, wyjaśniał ktoś w „Times'ie", że komitet organizacyjny londyński mylnie tytułuje w swych komunikatach zjazd tegoroczny „Trzecim", skoro jeszcze przed drugim, berlińskim (1908) i przed pierwszym, rzymskim (1903) zjeżdżali się badacze dziejów dyplomatycznych w Hadze roku 1898. Zważywszy znów—o czem skądinąd wiadomo—że w r. 1900 podczas wystawy wszechświatowej zasiadał w Paryżu kongres historyi porównawczej, należałoby przyznać Londynowi dopiero piąte miejsce. Mamy więc otwartą kwestyę sporną nie do rozstrzygnięcia: czy kongresy o węższym zakresie, poprzedzające uniwersalny zjazd rzymski roku 1903 wchodzą w ogólną rachubę, czy też nie wchodzą. Jest to kwestya nieobojętna dla sfer dbałych o honor swego kraju. Komitet londyński wolałby pewnie widzieć zdyskwalifikowane tamte pierwsze próby, jako niepowszechne, wolałby widzieć siebie ze swojem dziełem na trzeciem miejscu u mety, niż „bez miejsca". *Magis amica veritas* każe przyznać, że zjazd ostatni był piątym, a nie trzecim, i że próby w Hadze i w Paryżu pod pewnym względem miały wyższość nad późniejszem, wspanialszem urzeczywistnieniem tej samej myśli.

Z punktu widzenia zewnętrznej okazałości ram było to szczęściem dla Londynu, że go od Rzymu przedzielał Berlin. Po Wiekuistem Mieście Cezarów i papieży, po tej wspólnej wszech ludów

stolicy i ojczyźnie, Londinium wyglądałoby, rzecz prosta, jak siedlisko znacznie płytszych nastrojów retrospektywnych; po dorobkiewiczowskim Berlinie musiały się brzegi Tamizy wydać czemś bądź co bądź czcigodniejszem i bogatszem w tradycye, niż brzegi Sprewy. Tutaj była kolebka nowej, dzielnej i już tak dla ludzkości zasłużonej rasy, tu ognisko olbrzymich prac cywilizacyjnych, tu wielokrotnie, i jeszcze dziś, i pewno nie po raz ostatni widome centrum polityki, decydującej o losach narodów. Tu zbiór pamiątek wprawdzie nie najstarożytniejszych, ale zawszeć celtyckich, rzymskich, anglosaskich, normandzkich, angielskich. Tu dla oczu umiejących patrzeć wszędzie dostrzegalny wzrost niemal „organiczny“ przez ciągłe układanie się warstw jednych na drugie, wszędzie wyczuwalna przeszłość narodu, co wciąż budował się, budował, dobudowywał, nadbudowywał, jak najmniej burząc rzeczy dawne, więc cenne, w imię dowolnie obranej, przelotnie ukochanej przyszłości. Wśród niezliczonych zabytków starodawnych, pomiędzy Westminster Hall, gdzie sądzono Karola Stuarta, a Whitehall, gdzie go stracono, między ponurą bramą Traitors Gate, którędy Tudorowie posyłali do turmy swych wrogów na wiekuiste męki, a ślicznym pałacem i parkiem królów-lowelasów, Hampton Court, między niebotycznym Świętym Pawłem Wrena, a sędziwym, nastrojowym Temple'm, mając pod ręką najdawniejszy księgozbiór cara Assurbanipala i największą pracownię Muzeum Brytańskiego, miał kongres skąd zaczerpnąć natchnień do pogrążania się w minione wieki i mógł doprawdy pozostawić czcigodnym wnętrzom Urzędu Spraw Zagranicznych troskę o teraźniejszość i przyszłość. Mógł się uwolnić od zgiełku ulicznego, zasłuchać w przeszłość tem swobodniej, że obradował—jak to podniósł w jednem ze wstępnych przemówień amerykanin dr. Adams — w kraju odwiecznie wolnym, którego wolność jest pierwszym warunkiem i tworzenia i odtwarzania wielkich dziejów. Mógł Londyn dziejopisarski zaćmić z kretesem Berlin, a czy go zaćmił?

Nie byliśmy swego czasu i nie mogliśmy być w Berlinie, ale sądząc z odgłosów i opisów, nie śmiemy stanowczo powiedzieć: „Tak“.

Możemy pisać szczerze, tem szczerzej, im mniej znaczy teraz głos polski w Europie, a szczególnie w Anglii.

Gościnności nikt nie odmówi gospodarzom. Anglicy z niej słyną i mają ją sobie za punkt honoru. Kto się wykaże godnem zaufania poleceniem, jest u nich jak w domu lub przynajmniej doznaje pańskiego przyjęcia. Jakoż instytucye publiczne i prywatne apartamenta, galerye, biblioteki, kluby, poniekąd nawet śpi-

żarnie i... piwnice udostępniły nam swoje skarby. Zaopatrzono nas w spis dogodnych hoteli, w plany miasta, przewodniki, zniżkowe lub darmowe bilety na niektóre wycieczki; udekorowano nas znaczkami, wyobrażającymi Herodota, dostarczono przeróżnych informacyi drukowanych niezbędnych do owocnej pracy i miłej zabawy. Rząd brytański w osobie ministra oświaty, czy też raczej prezesa Komisyi Edukacyjnej (Board of Education) pana Józefa Pease i lorda Beauchamp, przyjął nas na świetnym bankiecie i recepcyi w Hotelu Cecil. Król objął patronat, witał nas i życzył powodzenia przez zastępców, nie mogąc dla żałoby po zamordowanym Jerzym greckim uczynić tego osobiście. Najwyższy sędzia Wielkiej Brytanii (lord Alverstone) błogosławił ręką Sir Fredericka Pollocka pracom sekcyi historyi prawa. Kilku ministrów i byłych ministrów figurowało w spisie komitetu recepcyjnego. Lord mayor, choć także członek komitetu, spisał się nieco gorzej, bo nie zaprosił nas na bankiet w ratuszu (Mansion House), i musiał za to przeczytać w „Times'ie“ poważną admonicyę w imię dobrej sławy całego kraju w świecie naukowo-literackim, z dodatkiem głębszych refleksyi nad życiowem znaczeniem wiedzy historycznej w naszej dość antyhistorycznej dobie, która wydała Nietzschego, wroga historyi. Admonicya została bez skutku. Ale mniejsza o lorda majora. „Dostojni cudzoziemcy“ zaznali przyjęć, gościnności, komfortu co niemiara. Zabrakło czego innego, mianowicie niektórych przedewszystkiem ulepszeń technicznych, jakie pomogłyby się skupić około naukowych zadań kongresu.

Zwłaszcza z początku trudno było się dopytać w biurze zjazdowem (Burlington House, British Academy) o komplet i adresy współuczestników; zupełnej listy członków nie doczekano się aż do ostatniego dnia. Zapisywaliśmy się na listę tych lub owych rozrywek między sekcyami po parę razy a nie mieliśmy jednak pewności, czy skutecznie. Prawie nikt na tem nie ucierpiał, ale zawsze trochę cierpiano skutkiem niepewności. Co zaś najdotkliwsza, i co najbardziej dało się we znaki sprawozdawcom, to zaniechanie dawnego dobrego zwyczaju ogłaszania dyaryusza posiedzeń. Skutkiem tego nie można było ogarnąć całości kongresu, ani też sprawdzić, o ile program został wykonany. Gdyby się dało przewidzieć ten brak, czytałoby się uważniej gazety, ściągałoby się informacye o przebiegu prac sekcyi od ich bywalców. O osobistem doglądaniu kilku sekcyi naraz nie mogło być mowy. Wszystkie sekcye obradowały jednocześnie w różnych punktach Londynu, jedna o 2, 3, lub nawet 5 kilometrów od drugiej. Jak-

gdyby chodziło o pokazanie, ile to sal posiada miasto, porozmieszczano nas w Lincolns Inn i w London University (obok muzeów kensingtońskich), w Kings College (na Strandzie) i w University College na Gower Street, i w różnych skrzydłach Akademii na Piccadilly, i w militarnym Whitehallu. Najbłyskawiczniejszym pociągiem „Tub'y" nie można było zdążyć z sekcyi na sekcyę, nie tracąc przynajmniej jednego referatu codzień, albo też pięciu z ogólnej liczby piętnastu referatów sekcyjnych. A ponieważ i gazety nie bardzo czuwały nad faktycznym biegiem kongresu, ponieważ na dobitkę skwitowano z myśli ogłoszenia aktów tegoż, dla tych wszystkich powodów nie możemy służyć czytelnikowi wyczerpującem sprawozdaniem, i za przykładem T. Korzona,[1]) a nawet bardziej niż on, musimy poprzestać na wypisaniu tutaj wrażeń z kongresu, i to wrażeń nieobytego z kongresami debiutanta, zbieranych w jednym zakątku wielkiej sceny.

## II.

Pierwsze i najogólniejsze wrażenie zaraz po przyjeździe do Londynu, że nas, kongresowiczów, niema. Jest sieć huczących kolei nadziemnych i podziemnych, moc tramwajów „busów", „taxi", jest dobrze znane wielkie mrowisko businessu, są krzykliwi kolporterzy gazet, posągowe policemany; jest (w poniedziałek, dnia 1 kwietnia) niebywała o tej porze, gęsta, ruda mgła londyńska, co włazi do restauracyi i do British Museum, nieprzymierzając, „jak ta świnia utrapiona" (powiedziałby Reymont); jest wśród tej mgły pogrzeb wojownika, uśmierzyciela Indyi, lorda Wolseleya, są gdzieś podobno militantki sufrażystki, jakieś śledztwo parlamentarne przeciw kilku jakoby interesownym ministrom, jest nawet bombardowanie Skodaru, — tylko kongresowiczów, co to, według opinii Korzona, taką wielką kupą chadzali po Rzymie, co stanowili tam widowisko dla dwudziestu siedmiu wieków — niema nigdzie, a nigdzie. Ledwo gdzieś w biurze kongresu można się spotkać z kimś ze znajomych, aby podzielić się z nim tem wrażeniem, że kongresu niema.

Istotnie, zjazd był trzy razy mniej liczny, niż ów rzymski, a że zasiadał w mieście dziesięćkroć większem i zasiadał w roz-

[1]) Ob. Bibliotekę Warszawską r. 1903, t. II.

sypce, więc zatracił się zupełnie. Ilu stawiło się uczestników, nie wiemy. Prezydyum o tem milczało. Pierwsza ogłoszona lista tymczasowa, razem z drugą uzupełniającą, też tymczasową, zawierają razem około 900 nazwisk członków i członkiń czynnych lub biernych (*associate*). Na żadnem jednak zebraniu, nawet plenarnem inauguracyjnem nie widzieliśmy więcej, jak 500 osób. Wnosząc też z % zapowiedzianych i faktycznie przybyłych znanych nam członków, nie brało w zjeździe udziału więcej, jak 700 osób.

O uczestnictwie biernem różnych narodowości i krajów można wnosić jedynie według tymczasowej listy, pozostawiając czytelnikowi strącenie odpowiedniego % absenteistów według ogólnej przypuszczalnej normy (15 — 20%), i z uwzględnieniem odległości ich kraju od Anglii.

Anglicy, naturalnie, zapisali się licznie i okazale. Łatwiej wymienić na tym firmamencie gwiazdy brakujące, niż te, co nam przyświecały swą obecnością. Brakło kilku luminarzy wymienionych na liście wiceprezesów organizacyi, w tej liczbie kandydata na naczelnego prezesa, Jamesa Bryce'a, lorda Rosebery'ego, lorda Curzona, Sir Edwarda Grey'a, Artura Balfoura; ci wszyscy na stanowiskach politycznych mieli snać gdzieindziej pilniejszą robotę. Zato byli obecni: majestatyczny starzec, dr. A. W. Ward, czynny prezes Zjazdu, prezes Akademii Brytańskiej i główny redaktor Cambridge Modern History, jego towarzysze z tejże redakcyi, pp. G. W. Prothers i Stanley Leathes; archidyakon Cunningham, prezes Królewskiego Towarzystwa Historycznego, Reginald Lane Poole, redaktor „English Historicall Review", Sir Jerzy Trevelyan, podróżnik i badacz włoskiego *Risorgimento*, Sir Fryderyk Pollock, znakomity prawnik i profesor z Oksfordu, Sir Sidney Lee, fundator i współpracownik doskonałego „Dictionary of national Biography", pp. Maxwell Lyte i Sir Fryderyk Kenyon dyrektorowie archiwum państwowego i Muzeum Brytańskiego, Sidney Webb, dziejopis związków robotniczych, dwaj historycy parlamentaryzmu angielskiego, Luke Owen Pike i Courtenay Ilbert, sekretarz izby gmin, profesorowie Tout, Oman, Haverfield, Holland Rose (najwybitniejszy pono w Anglii znawca epoki napoleońskiej), autorytet konstytucyjny Sir William Anson i wielu innych. Obok tych i innych 600 zapisanych przedstawicieli miejscowej nauki słabe wrażenie robi grupka coś dwudziestu amerykanów północnych ze Stanów Zjednoczonych. Są w ich liczbie p. Jameson, dyrektor Instytutu Carnegiego i K. Haskins.

Na czoło różnojęzycznych gości wysunęli się, może niezupełnie według intencyi *entente cordiale*, Germanie z Rzeszy i z Austryi. Przybyli imponującym zastępem (według listy—osiemdziesięciu kilku), dostarczyli tęgich prelegentów i porządnych referatów, napełnili znaczną część posiedzeń dźwiękiem swej mowy, kazali siebie słuchać, szanować—i chwalić. Różne typy i osobistości zarysowały się w tym zastępie: wymowny, dystyngowany salonowiec klasyk Wilamowitz Moellendorf, co już dwunastoletnim chłopcem, jak sam zapewnia, grywał „Hamleta"; *Geheimrat* profesor Otto v. Gierke, kolos erudycyi prawno-historycznej, postać takiej miary, co to je widać w dębowych wiankach, wsparte na maczugach, po obu stronach herbu Rzeszy Niemieckiej; *Geheimer Hofrat* prof. Karol Lamprecht, z czemś sokratycznem w twarzy, retor nad retorami, co potrafi oczarować wykładem swej coraz nowszej metody kulturalno-historycznej absolutnie wszystkich z wyjątkiem chyba tych, co pójdą za jego antagonistą, też obecnym na zjeździe i prawie nieodstępnym Edwardem Mayerem, albo za nieobecnym niestety Maxem Lehmannem, albo może jeszcze za kim innym. Jest wyrocznia rygoryzantów w kwestyach metody historycznej, prof. Bernheim z Gryfii, pedagog z krwi i kości, co nawet w damskiem towarzystwie musi wspominać „die dümmsten seiner Studenten". Jest pan Feliks Liebermann, badacz praw anglo-saskich, o którego licencyach przy kieliszku mowa będzie poniżej, i p. Wolfgang Michael, znawca XVIII wieku i bezstronny sędzia pierwszego rozbioru, i prof. Dopsch z Wiednia, i Dietrich Schäfer z Berlina, i nasz najserdeczniejszy Teodor Schiemann, którego występ na kongresie nasuwa polskiemu słuchaczowi niespodzianą refleksyę: jak można go było wówczas w Berlinie wygwizdywać? jak można było wogóle słuchać od początku tak nudnego prelegenta?

Francuzów i Rosyan po dwa tuziny: dość dużo, jak na tych ostatnich, dziwnie mało, jak na pierwszych. Sprawia to wprost wrażenie, iż jakaś inna przyczyna, a nie nadąsane flukty La Manche'u odstręczyły najwybitniejsze siły francuskie od udziału w tak blizkim kongresie. Podobno zapóźno nadeszły zaproszenia do ministeryum oświaty francuskiego i do wydziału literackiego w Sorbonie. Ależ osobiste, indywidualne zaproszenia rozesłano na pół roku przed kongresem! Jest wprawdzie obecny Bémont, redaktor „Revue Historique", Paul Mayer, Henri Cordier, Lemonnier, Hauser, Huvelin, ale niema Lavisse'a, Seignobosa, Chuqueta, Madelina, Massona, Violleta, Denisa, Emila Bourgeois, Gabryela Hanotaux, Sagnaca, Driaulta, przedstawicieli archiwów, ani Biblioteki

Narodowej, — niema prawie nikogo. Czyżby naprawdę, jak przypuszcza pan Bémont, wstrzymała historyków francuskich... oszczędność? Gdyby nie pan Henri Pirenne, główny reprezentant grupy belgijskiej, wybitny uczony i doskonały mówca, nie miałyby nasze uszy ani chwili ulgi po trudnej do zrozumienia mowie angielskiej i po szorstkiej, żołnierskiej niemczyźnie.

Wśród przybyłych Rosyan, dobrze reprezentowanych pod względem znajomości języków, przodujące miejsca zajmowali prof. Rostowcew (historyk starożytnej Grecyi i archeolog), akademik Łappo-Danilewskij, którego nie należy plątać z panem Łappą, badaczem Litwy, hr. Aleksy Bobrinskoj, archeolog-dyletant, prof. Zigel z Warszawy, i nieco opodal od nich wszystkich jedna z głównych atrakcyi kongresu, prof. Paweł Winogradow z Oksfordu, o którym z księgi „Who's Who“ każdy się łacno dowie, że napisał ważne prace z dziejów prawa angielskiego i że jest członkiem tylu a tylu akademii, ale z powodu konfliktu z biurokracyą musiał opuścić uniwersytet moskiewski. Innych liberalnie nastrojonych historyków rosyjskich, jak Milukowa, Kowalewskiego, Kiesewettera, Pietruszewskiego, nie widać wśród tej grupy.

Cudną włoską mowę słyszało się ledwo raz gdzieś na okrasę zamknięcia sesyi, pomimo obecności na liście 16 Włochów: zważywszy, że było ich w Rzymie więcej niż tysiąc, można wymiarkować, jaki wyczerpujący upust daje społecznym uczuciom miejscowych historyków kongres urządzony w ich stolicy, skoro tem mniejsza ich liczba składa potem rewizyty gościom.

Polaków zapowiadał spis czternaścioro; stawiło się osób osiem, i to wyłącznie młodzi historycy pod wodzą swego seniora, Aleksandra Jabłonowskiego; byli to: Władysław Jabłonowski, dr. Marceli Handelsman (z Warszawy), J.St. Lewiński (z Londynu), p. Melania Hertz (z Paryża), dr. Adolf Berger (ze Lwowa), dr. Tadeusz Wałek (z Krakowa) i niżej podpisany.

Poza tem dwunastu (ale tylko według spisu) Skandynawów, siedmiu Holendrów (m. in. prof. P. J. Blok z Lejdy), 6 Węgrów (w tej liczbie H. Marczali i Szadeczky), coś 5 Hiszpanów (m. in. profesorowie Altamira i Hinojosa), 4 Szwajcarów; trzech Czechów: hr. Lützow, prof. Vlastimil Kybal, dr. J. F. Novak; trzech Chorwatów: pp. prof. Sisicowie i ksiądz prof. Horvat, paru Japończyków, jeden Bask, jeden Ormianin... Żydowskich nazwisk znalazło się około dziesięciu. W grupie wreszcie angielskiej nie brakowało typów azyatyckich lub mieszanych. Naogół jednak zabarwienie kongresu było bardzo jednostronne, dalekie od iście międzynarodowego charakteru.

Z pośród instytucyi reprezentowanych wymienimy 24 uniwersytety lub kolegia uniwersyteckie angielskie: Aberdeen, Aberystwyth, Bangor, Belfast, Bristol, Cambridge, Cardiff, Dublin, Durham, Exeter, Glasgow, Leeds, Liverpool, Londyn (dwa), Manchester, Nottingham, Oksford, Reading, Sheffield, Southampton, St. Andrews, uniwersytety Walii i Południowej Walii, z dodatkiem 5 azyatyckich (Allahabad, Bombay, Hong-Kong, Kalkutta, Lahore), 1 afrykańskiego (Przylądka Dobrej Nadziei), jednego kanadyjskiego (Toronto) i dwóch australskich (Sydney, Nowa Zelandya). Niemieckich uniwersytetów 14: Berlin, Bonn, Gryfia, Halla, Heidelberg, Jena, Kilonia, Królewiec, Lipsk, Monachium, Monaster, Rostock, Wrocław, Würzburg. Północno-amerykańskich 13: Betleem (w Pensylwanii), Chicago, Harvard University, Ithaca, Kalifornia, Michigan, Nebraska, Ohio, osobny weslejański tamże, Princeton, Saskatchewan, Washington (katolicki). 5 francuskich: Collège de France, Dijon, Grenoble, Lowanium, Lugdun; 4 austro-węgierskie: Wiedeń, Czerniowce, Budapeszt, Koloswar; 5 skandynawskich: Kopenhaga, Lund, Upsala, Göteborg, Christiania; 4 rosyjskie: Petersburg, Kijów, Odesa, Warszawa; 3 szwajcarskie, 2 południowo-amerykańskie: La Plata i Chili, 1 japoński: Kioto, jeden rumuński—Bukareszt, jeden tylko włoski (w Innsbrucku!) a n i j e d n e g o p o l s k i e g o.

Mają przedstawicieli akademie: paryskie des Beaux Arts, des Inscriptions et Belles Lettres, Institut de France; berlińska, monachijska, wiedeńska, budapeszteńska, praska, brytańska, (tudzież brytańska akad. sztuki), irlandzka, madrycka Historyczna, rzymska, petersburska, turyńska, Dei Lincei, amsterdamska. Brak naszej Akademii Umiejętności. Z uczestniczących towarzystw naukowych wymienimy: Warszawskie naukowe (prezes Jabłonowski), Miłośników Historyi (Dr. Handelsman), lwowskie Historyczne (Dr. Wł. Konopczyński), norweskie naukowe, żydowskie historyczne.

O delegatach rządów nie piszemy nie tylko dlatego, że spis członków niedbale ich wymienia, ale i dlatego, że wolelibyśmy widzieć ich na kongresie jak najmniej. W tem pobożnem życzeniu utwierdził nas przebieg obrad.

## III.

Zaczęło się od zebrania zapoznawczego w odświętnie przystrojonych drugorzędnymi obrazami Grafton Galleries. Jakiś mistrz ceremonii (Public Orator) przedstawiał nas po kolei gromkim głosem głównemu gospodarzowi zjazdu, prezesowi Wardowi. Tutaj porachowaliśmy się, wyszukaliśmy wśród obecnych przedstawicieli Zachodniej Słowiańszczyzny.

Nazajutrz, w wielkiej hali Lincolns Inn pod surowym wzrokiem wielkich sędziów brytańskich, patrzących na nas z portretów naokoło, nastąpiło solenne zagajenie kongresu. Administracyjny język miejscowy niekoniecznie ułatwiał zrozumienie wszystkich szczegółów, ale ostatecznie zrozumieliśmy, że chociaż oczy tych nieboszczyków mówiły ze ścian: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht“, żywe dygnitarstwo przemawiało inaczej. Czynny prezes Ward, powitawszy obecnych, zawiadomił ich o niektórych zmianach osobistych, zaszłych w organizacyi zjazdu i przeczytał „adres“, t. j. odezwę nieczynnego prezesa Bryce'a, który niewiadomo dokładnie kiedy otrzymał swe przodujące wśród nas stanowisko: przez nominacyę z ramienia komitetu organizacyjnego, czy też przez potwierdzenie naszym zbiorowym oklaskiem. Ekscelencya James Bryce, jak teraz, jest i powinien się czuć przedewszystkiem ambasadorem angielskim w Washingtonie, następnie jest znakomitym konstytucyonalistą, autorem American Commonwealth, potem dopiero, z tytułu dawniejszych swych studyów, jest utalentowanym historykiem Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Nadesłał on kongresowi ze swego wysokiego posterunku jedno odkrycie ambasadorskie — odkrył mianowicie w Berlinie wielki lud „inspired by noble ideals“—tudzież kilka szerokich spostrzeżeń historycznych nad rozwojem ludzkości od *Homo Troglodytus* do *Homo Sapiens*, gdzie słusznie akcentował doniosłość badań nad dziejami gospodarczemi, nad cywilizacyą pierwotną, archeologią i geografią historyczną. Potem, nakierowując swój faeton ku sferze publicystycznej, spostrzegł i uznał na całej kuli ziemskiej zjawisko jednoczenia się ludzkości, zwłaszcza na tle ekonomicznem, przy ciągłem potęgowaniu się narodów silnych i zanikaniu słabych, wyrażał przypuszczenie, że w roku 2000 więcej niż $^9/_{10}$ rasy ludzkiej będzie mówiło niespełna dwudziestu językami. „Prawda i tylko prawda jest naszym celem!“—wołał zdaleka pan Bryce. Żadne zawiści narodowe nie powinny jej przysłaniać. Ale zawiści te istnieją. Więc my, historycy, patrząc głębiej wstecz i szerzej

naokoło siebie, niż inni śmiertelnicy, „czyż nie powinniśmy zrobić wszystkiego, co w naszej mocy, aby zmniejszyć wszelkie źródła złych uczuć pomiędzy narodami?“ Było na świecie tyle wojen, a tak mało między niemi koniecznych. Każdy wielki naród ma swe zalety i wady, każdy ma swe zasługi. I tak dalej, na temat wspólnej wszystkich ludów przyjaźni. (Miejmy nadzieję, że nikt inny, tylko my, historycy, tak szeroko i daleko patrzący, powstrzymamy rozlew krwi na Bałkanach).

Powstał dystyngowany Wilamowitz Moellendorf, przedstawiciel narodu, mającego najlepiej pono zorganizowaną i naukę historyczną i administracyę archiwalną, — zabrał głos imieniem nietylko akademii berlińskiej, ale i wszystkich innych akademii, których jest członkiem (m. in. krakowskiej), i tych niewielu, których członkiem nie jest (wesołość). Życzył naprzemian Anglikom zorganizowania swych badań sposobem lądowym, w formie wielkiego gmachu akademickiego, to znowu życzył, by zachowali swoją specyalną zdolność wyspiarską dokonywania wielkich dzieł siłami jednostek-dyletantów, ponieważ ostatecznie jednostki a nie zgromadzenia dają nauce największe pchnięcia naprzód.

Co przeczytał następnie ledwo dosłyszalnym głosem przedstawiciel Institut de France, Henri Cordier, nie wiadomo, i bodaj nigdy nie będzie wiadomo w braku ogłoszonego dziennika posiedzeń. Mowy delegata Towarzystwa Historycznego z Massachusets, C. F. Adamsa, tudzież posłów greckiego i chileańskiego razem z pięknem, gustownem przemówieniem sir George Trevelyana stanowiły jakby kwartet pochwalny na cześć Bryce'a z modulacyami na nutę zgody, prawdy i braterstwa uczonych.

Jednomyślnym oklaskiem aprobowała sala te miłe prawdy o dobrodziejstwach pokoju i o zbliżeniu narodów na historycznym gruncie. Nikt nie oponował, chociaż różni różnie rozumieli dobrodziejstwa pokoju i zbliżanie narodów. Gospodarze i większość gości rozumieli przez narody niepodległe państwa, i zgodnie z tą zasadą obsadzili prezydyum zjazdu osobami, mającymi za sobą chociażby trochę bagnetów i torpedowców. W ich liczbie znaleźli się tacy miłośnicy zbliżenia narodów, jak Aleksy Bobrinskoj i Teodor Schiemann. Taki sam dobór zastosowano w wyznaczeniu stukilkudziesięciu wiceprezesów sekcyi.

Nasza garstka, pamiętając odmienne postępowanie Rzymu w r. 1903, rozumiała te sprawy nieco inaczej. Ale nie dziwmy się niczemu. Taktowni, politycznie nastrojeni gospodarze nie zawahali się podać wiadomości do „Times'a“, że referaty prof. Redlicha o „Metodach administracyjnych Austryi“ i d-ra Filipa Noggi o „Niektórych problematach historycznych Albanii“ zostały

usunięte z porządku dziennego dla względów politycznych. Oczywiście postąpiono tak z obawy przed Mykitą... czarnogórskim.

Nie dziw, że polityczna i towarzyska strona kongresu trochę przyćmiła w naszej pamięci stronę naukową. Tej stronie towarzyskiej wypada złożyć świadectwo najpochlebniejsze. Pyszny był bankiet urządzony na cześć kongresowiczów przez rząd Jego Królewskiej Mości pod przewodnictwem pana Józefa Pease, i wytworna po bankiecie recepcya (wieczorem 3 kwietnia). Wspaniała sala Hotelu Cecil, jak tyle innych gmachów londyńskich, nie była pozbawiona reminiscencyi czysto historycznych. Pamiętamy jarzące światła w jej oknach przed półtora rokiem, kiedy wewnątrz rozbrzmiewało wolne „niepozwalam“ nieprzejednanych lordów przeciw reformie parlamentarnej Asquitha — protest przeszłości przeciw odwracaniu się nowej karty dziejowej... Aktualność postarała się zagłuszyć i te wspomnienia. Nasz *chairman* znów deklamował o pojednaniu narodowości; odpowiadał mu w imieniu kongresu nikt inny tylko *count* Bobrinskoj, nie wiemy przez kogo upoważniony. Wtrącał się między przyjaciół prof. Feliks Liebermann z deklamacyą o swobodzie i blizkości nie rasowej tylko, zoologicznej—broń Boże! — ale właśnie blizkości kulturalnej Anglików i Niemców... Z pewnego miejsca sali rozległo się przypomnienie, że przecież Anglicy nie są tępicielami narodów. Prezes Ward pośpieszył uderzyć w akord powszechnej harmonii. Rozlała się serdeczność. Szampan robił swoje... Spojrzałem w menu, i zdało mi się, że widzę coś symbolicznego: Niersteiner wysuwał się naprzód, przed Château Pichon Longueville i „Monopole 1904“!

Po bankiecie, pomiędzy krótkiemi, dwu i półgodzinnemi posiedzeniami rozwinęło się długie pasmo przyjęć i rozrywek. Wizyty południowe w apartamentach książąt Westminsteru i Wellingtona, zwiedzanie galeryi margrabiego Lansdowne'a i hrabiego Ellesmere, podwieczorkowe przyjęcia u sekretarza izby gmin, u dyrektora Victoria & Albert Museum, u prezesa Cunninghama, u dyrektora British Museum, Sir Kenyona, u dyrektorów Archiwum Państwowego, u pp. Trevelyan, kilka przyjęć wieczornych, kilka wycieczek po muzeach, gmachach starodawnych pod przewodnictwem ich gospodarzy, obiad składkowy—i ktoby tam jeszcze zliczył te rozmaitości! Pokazano nam w Drury Lane „Hamleta“, w przepysznem wykonaniu „Króla Hamletów“ Forbes-Robertsona, żywe obrazy historyczne prof. Geddes'a („Masque of Learning“); kto chciał, mógł darmo zwiedzić Zoologiczny Ogród, kto chciał, oglądał... popis straży ogniowej.

W sobotę, 5 kwietnia, odbyto arcyprzyjemne wycieczki do Windsoru na zaproszenie J. Kr. Mości i do Eton. A we środę, 9-go, nastał najmilszy dzień kongresu, już bez referatów, tylko przeznaczony na zwiedzanie Cambridge i Oksfordu. W Cambridge znikły ostatnie resztki politycznych naleciałości. Przy podwieczorku w St. John's College, przy zwiedzaniu kolegiów i gmachów uniwersyteckich — wspaniała nawa kaplicy Kings' College! — przy obiedzie w różnych kolegiach w gronie miejscowych profesorów i korporantów, wreszcie na ogólnej recepcyi w Kings College zapanował ton rzeczywiście szczerej, niekrępowanej pogawędki. Żałowało się chwilami, że cały kongres nie odbył się raczej w Cambridge lub w Oksfordzie.

## IV.

Czas przejść do wspomnień poważniejszych — naukowych. Organizacya kongresu była dziełem komitetu wykonawczego, głównie zaś d-ra Warda, d-ra Prothers, prof. Winogradowa, tudzież sekretarzy ks. prof. Whitney'a i prof. Gollancza. Wogóle naśladowano wzory berlińskie. To znaczy, zamiast ośmiu sekcyi rzymskich utworzono ich dziewięć. Osiem referatów najwybitniejszych figur umieszczono na zgromadzeniach ogólnych, gdzie nie otwierano żadnej dyskusyi. Zaniechano, podobnie jak przedtem w Berlinie, dawnego podziału odczytów na komunikaty i na tematy dyskusyjne. Licząc się z wszechświatową rolą Anglii wyodrębniono i umieszczono w osobnych podsekcyach dzieje kolonii, tudzież dzieje wojen, wojska i marynarki. Celem ułatwienia rozumienia odczytów, wygłaszanych zasadniczo w czterech językach kongresowych (po francusku, po angielsku, po niemiecku lub po włosku) i rozdawano na początku posiedzeń drukowane ich streszczenia. Na każdy referat przypadało pół godziny, na dyskusyę kwadrans, na konkluzyę referenta pięć minut. Pomimo to, ledwo $^1/_3$ część referatów wywołała wymianę zdań; inne, ku wielkiemu zadowoleniu prelegentów, przeciągały się poza pół godziny w trafnem przewidywaniu, że rozpraw nie będzie. Skutek byłby może inny i odpowiadałby lepiej celom kongresu, gdyby komitet organizacyjny domyślił się nieco wcześniej rozesłać zaproszenia, wcześniej odebrać zgłoszenia i wcześniej zakomunikować zgłaszającym się tymczasową listę referatów.

Na pierwszem zebraniu odczytowem plenarnem mówił najpierw prof. E. Bernheim o „Interpretacyi historycznej według zapatrywań epoki“. Rzecz wcale interesująca, osnuta na gruntownem znawstwie drugiej połowy średniowiecza, straciła dużo na stylowem podobieństwie do znanego „Podręcznika Metody Historycznej“. Monsieur Pirenne (nie nazywajmy go tu profesorem choćby dla odróżnienia od poprzedniego mówcy), lekko, ładnie, wcale nie „po profesorsku“ zreasumował ex promptu wyniki swoich badań nad historyą ekonomiczną Belgii, wykazując, jak rody kupieckie, posuwając się w górę po drabinie gospodarczej, stopniowo tracą swój demokratyczny i nowatorski charakter, i jak u szczytu krzepną w nowego pokroju osad arystokratyczno-konserwatywny. Prelegent załatwiał się mimochodem ze swym antagonistą, Sombartem, negującym istnienie typu kapitalistycznego w Wiekach Średnich, — a załatwiał się, naszem zdaniem, i gruntownie, i elegancko, i bezapelacyjnie. Więcej ścisłej historyi, mniej obcych konstrukcyi zalecał badaczom dziejów ekonomicznych; a nam przychodziło na myśl, że to samo możnaby *mutatis mutandis* zaproponować i historykom prawa, nie wyłączając nawet tego, co po panu Pirenne wystąpił, Ottona Gierke, którego „Przyczynek do historyi zasady większości“, choć bardzo nauczający, bez zarzutu, wydał się nam raczej przyczynkiem do dziejów teoryi onej zasady, nie jej praktyki, i zamało trafiał w genetyczny tok myśli.

Panowie Bernheim i Gierke tak przekroczyli swój regulaminowy termin mówienia, że czwarty prelegent, p. Whitwell, zaledwo zdążył w krótkich wyrazach przedstawić swój plan pomnikowego wydawnictwa—nowego słownika łaciny średniowiecznej.

Podobny przebieg miało drugie zebranie ogólne, przeniesione dla rozmaitości o kilka kilometrów do Jehangir Hall, w uniwersytecie londyńskim (Kensington). Stawał tu do popisu przed innymi prof. Edward Meyer, najkompetentniejszy referent ogólnego stanu badań nad starożytnością grecką w ostatniem pokoleniu. Mówił na pamięć po angielsku, improwizując. Nie obeszło się pod koniec tego przemówienia bez pointe'y w stronę przytomnego na sesyi Lamprechta, t. j. nie bez stwierdzenia indywidualistycznego charakteru historyi, nie poddającej się metodzie doświadczalnej, więc też niepodatnej do wysnuwania praw ogólnych. Zanim doszła do głosu *altera pars*, czytał Łappo-Danilewskij sumienną, dobrą pracę o Rozwoju idei państwa w Rosyi od czasów zawieruchy do epoki reform. Zostały tu uwydatnione pośredniczące wpływy Modrzewskiego i Petrycego na pojęcia wschodu

moskiewskiego, później proste wpływy zachodnie Grocyusza, Puffendorfa, Locke'a, Hobbesa, sprytnie wyzyskiwane przez zdolnego eklektyka Teofana Prokopowicza, apologetę „prawa woli monarszej". Idea państwa w Rosyi przedstawiona najpierw w zabarwieniu sakralnem, potem świeckiem — utylitarystycznem lub prawniczem.

Ze spokojnym, równym stylem tego wykładu, żywo kontrastowała produkcya estradowo-sceniczna Lamprechta, mająca za przedmiot „Najnowsze prądy duchowe w Niemczech". Była tam mowa i o Bachu, i o Gottschedzie, o Glücku i Lessingu, o Beethovenie i Goethem, były modulacye głosu, dowcipy, uśmiechy, zwłaszcza gesty—ach, te gesty lamprechtowskie! Człowiek się tak w nich rozmiłowuje, że przestaje rozumieć tok myśli prelegenta, i nie umie już dojrzeć w estradowej produkcyi tego, co nam głównie imponawało w „Deutsche Geschichte", t. j. mocnego i nowego powiązania zjawisk gospodarczych z psychicznemi. Sceptycy gotowi to tem tłómaczyć, że profesor-Geheimer Hofrat, wypłynąwszy z zatoki niemieckiej na bezkresne fale oceanu powszechnego, nie zdążył poprostu zbadać ekonomicznych podstaw dzisiejszego życia, więc pływa po przestworach literatury i sztuki... Upłynęło minut 25, 30, a miodopłynny prelegent wciąż mówił i zbierał oklaski części sali. Prezydyum zaniepokoiło się, dotknęło dzwonka: on drgnął z premedytacyą, udał zafrasowanie, potem rozanielił twarz uśmiechem, spojrzał na klaszczących wielbicieli i mówił dalej...

Późno doczekał się swej kolei prof. Jorga z Bukaresztu, co miał nam przedstawić swoją nową koncepcyę Wieków Średnich. Postać rzucająca się w oczy, pełna rozmachu i świeżych sił. Pisarz, co gardzi drobnymi przyczynkami, jeżeli daje coś konstrukcyjnego, to będzie całokształt dziejów rumuńskich, dziejów bizantyńskich albo dziejów tureckich; poza tem ogłasza źródła. Życzliwy nasz sąsiad, chwilowo w austryackiej niełasce pozbawiony prawa odwiedzania krajów habsburskich, a to z powodu mowy, wygłoszonej w parlamencie rumuńskim w obronie uciśnionych współbraci na Węgrzech. Jeżeli który odczyt na kongresie, to właśnie ten referat o „Koniecznych podstawach nowej historyi średniowiecznej" zmierzał do śmiałej przebudowy nauki; cóż, kiedy umieszczony zaszczytnie na niemej sesyi ogólnej nie mógł się spotkać z krytyką. Zdaniem prof. Jorgi w konstrukcyi dziejów średniowiecznych nie powinno się obierać za punkt wyjścia dzisiejszych narodów i ich granic. Dominuje tu zjawisko ciągłego konfliktu między nowymi czynnikami, przyniesionymi przez bar-

barzyńców, między trwałemi uczuciami tych nowych przybyszów i pojęciami rzymskiego starożytnego imperyum. Chrystyanizm jest najpierw zanadto rzymski, potem zbyt germański, aby mógł sobie rościć pretensyę do roli osobnego równorzędnego z tamtymi czynnika. System tedy prowadzący do należytego zbudowania pierwszej historyi średniowiecznej polega na tem, aby śledzić ich przenikanie do nowych społeczeństw, ich interpretacyę w duchu germańskim i urzeczywistnienie za pomocą nowych sił. Taki system zapewni historyi średniowiecznej brakujące jej dotąd cechy realizmu i jedności.

Czy propozycya ta zdobędzie uznanie medyewalistów, nie naszą jest rzeczą zgadywać.

## V.

Nie mamy odwagi nużyć czytelnika wyszczególnianiem wszystkich komunikatów sekcyjnych; zresztą nie możemy nawet ręczyć, czy wszystko odbyło się według programu, czy prelegenci sami wygłaszali swe komunikaty i z jakiem powodzeniem. Z drugiej strony, niepodobna przemilczeć tego działu prac kongresowych, stanowiącego przecież główną racyę bytu, że tak powiem, usprawiedliwienie wszystkich wizyt, wycieczek i przyjęć. Może wystarczy wspomnieć o tem, co choćby zdaleka wydało się godnem uwagi, odkładając na później osobną wzmiankę o referatach polskich. Przedewszystkiem na dobrą notę zasłużyły sobie sekcye pierwsza i druga. Uwagę pierwszej, poświęconej dziejom starożytnego Wschodu, zajęły: cywilizacya syryjskich Hittytów (referent przewodniczący, D. G. Hogarth), podobizny obcych ras na pomnikach egipskich (Edward Meyer), rozwój stanowiska teologicznego w Islamie (T. J. de Boer), przyczynki do literatury buddyjskiej (De la Vallée Poussin), mniemani Sezostrysowie z XII dynastyi (Gaston Maspero, nieobecny w Londynie), rozwój dziejów indyjskich (Sir Lee Warner), podania Drawidów (Dr. L. D. Barnett), jeszcze to i owo z historyi Kuszanów, Libijczyków, Ormian, Arabów, Cypryjczyków, Japończyków; rozważano poezyę arabską, jako źródło historyczne, znaczenie i problemata assyro-babilońskiej historyi prawa (prof. P. Koschaker), plany odbudowy pałaców perskich (bar. v. Bissing), uroczystości w Mekce za czasów pogańskich. Słowem, sekcya pierwsza objęła (czy też zamierzała

objąć) mnóstwo kwestyi dotyczących wszystkich ważniejszych ludów Wschodu.

Sekcya II ogarniać miała starożytność grecką i rzymską, tudzież historyę Bizancyum. Z tej ostatniej Jorga sam jeden wydobył na wierzch „Przeżytki bizantyńskie w krajach rumuńskich". Inni omawiali drugą wojnę punicką, ostatnie szlaki oręża rzymskiego, opowiadali o Pizystracie i Arystotelesie, o kreteńczykach i frygijczykach, o zabytkach rzymskich w Kaledonii, wędrówkach illiryjczyków, o śmierci Juliana Odstępcy. Wdzięczne, popularne tematy obrali sobie Wilamowitz Moellendorff (Atena w Ilionie) i T. Spencer Jerome (Orgia Tyberyusza na Capri).

Z prac sekcyi trzeciej (Wieki Średnie) warto wymienić referaty prof. T. F. Touta o obecnym stanie medyawelistyki w Wielkiej Brytanii, Liebermanna o zgromadzeniu narodowem anglosasów, Pirenne'a o wielkim handlu średniowiecznym w związku z ekonomią miejską, Cartellieri'ego o Filipie Auguście i upadku państwa andegaweńskiego, Dawidsohna o zaraniu kultury florenckiej, Kerna o dantejskiej teoryi społeczeństwa, prof. Blocha o cesarstwie i papiestwie w wieku XIII.

Potężna sekcya IV (Dziejów Nowożytnych) rozpadła się na trzy działy. Pierwszy, zdaniem świadków dość podrzędnej wartości, obejmował właściwą historyę polityczną. Tu profesorowie Firth, Pirenne, pp. Johnson, Daughty i Oliveira de Lima zaznajamiali słuchaczy z archiwaliami Anglii, Belgii, Kanady, Brazylii w odniesieniu do historyi nowożytnej. Osobną grupkę utworzyły referaty cudzoziemców o stosunkach politycznych Angli: Wolfgang Michael opowiadał gospodarzom kongresu o Walpole'u, Marczali o stosunkach Albionu z hr. Szechenyim (1800—25), T. Schiemann—z Rosyą (1853 — 4), P. J. Blok — z Holandyą (1800—13). W sąsiedztwie naszych spraw obracali się Mitrofanow, gdy mówił o Leopoldzie II i Kaunitzu, Webster o polityce angielskiej w r. 1815, Stille o stanowisku Karola XII wobec Europy Zachodniej. Nie traćmy nadziei, że z tych referatów zostaną gdzieś w druku jakoweś *scripta*.

Młoda i nielicznie reprezentowana historya kolonii, przedmiot uwagi drugiej grupy tejże sekcyi, traktowana była pod kątem widzenia ekspansyi niemieckiej (Keutgen), angielskiej (Temperley), hiszpańskiej (Altamira), holenderskiej (Benians), amerykańskiej (Moses). Wreszcie dział trzeci, dział historyi wojen, wojskowości i marynarki, uważał za właściwe uzasadniać swą racyę bytu ze względów militarno-praktycznych (Maurice, Malcolm) lub ogólniejszych (prof. Oman); przedstawiał się i polecał publicz-

ności za pomocą referatów informacyjnych (Lonsdale Hale, Laughton) lub usiłował zoryentować się w źródłach (Dewar, Perrin). Z niewielu dociekań merytorycznych tej grupy zanotujmy niezłą charakterystykę feldmarszałka Schwarzenberga, przeciwnika ks. Józefa (p. dr. J. Novaka) i rzecz prof. Holland Rose'a o planie kampanii napoleońskiej r. 1813.

Do historyi religii (Sekcya V) dołączono tematy z dziejów Kościoła, i to nawet z jego dziejów politycznych, np. komunikat prof. A. Meyera o stosunkach Karola I Stuarta z Rzymem lub z dziejów prawa kanonicznego (H. W. C. Davis). Ciekawy musiał być odczyt księdza Batiffola o moneteizmie w religii Rzymian przed Konstantynem, a pewno rzetelną sensacyę sprawił Europie prof. Vlastimil Kybal z Pragi, referując o ogłoszonym przez się wielkim traktacie Matyasza z Janowa, traktacie o charakterze wiklefickim—przed Wiklefem.

Wzorem dobrego porządku i pożytecznej pracy była zdaniem kongresowiczów pierwsza grupa sekcyi prawno-ekonomicznej, t. j. podsekcya historyi prawa. Tak powinno było być w kraju, co stworzył wzór wszystkich państw praworządnych, w ojczyźnie Elliota, Seldena, Mathew Hale'a, Coke'a, Blackstone'a, Mansfielda. Niedarmo angielskie *Common Law* z samem tylko rzymskiem *Jus Civile* przyjmuje porównanie pod względem ciągłości „organicznego“ wzrostu. Duszą sekcyi był człowiek, o którym nie bez podstawy mówiono hyperbolicznie, że rozumie wszystkie języki i zna wszystkie prawa—Winogradow. On to w zagajeniu, charakteryzując zadania historyi prawa, podał zgromadzonym ton głębszy, filozoficzny, sięgający poza literę ustawy, aż do pogranicza przepisów i form społecznych. Jakoż, obok kilku przyczynkowych referatów niemieckiego typu, zostały poruszone przez członków sekcyi zagadnienia powszechnej wagi ogarniające wielkie całokształty, a jednak wcale nie złożone z komunałów. Prof. Wenger z Monachium zreasumował „Dzisiejsze zadania historyi prawa rzymskiego“, a Włoch, prof. Galante z Innsbrucku podnosił wartość studyów nad prawem kościelnem, wzywał po angielsku Anglików do pilniejszej pracy nad tym przedmiotem, przypominał, że Lincolns Inn (gdzie zasiada sekcya) mieści się poczęści na gruncie kościelnym, poczęści na świeckim: wartoby więc i w prawie angielskiem rozróżnić, rozgraniczyć te dwa żywioły. Mieliśmy wrażenie, że autor dość praktycznie rozumiał te rozgraniczenia, gdy cytował frycowskie *„nach seiner Façon selig werden“*: czy nie pił czasem do aktualnej kwestyi odpaństwowienia kościoła w Walii? — Adhémar Esmein nadesłał wyborną rozpra-

wę o zastosowaniu we Francyi rzymskiej zasady (z Ulpiana): „*Princeps legibus solutus est*“. Okazuje się z tego wykładu, że formuła ta w Cesarstwie Rzymskiem uwalniała panującego tylko od uległości prawu cywilnemu i może policyjnemu, a dopiero w Wiekach Średnich została przeszczepiona na grunt francuski w dosłownem, nieograniczonem rozumieniu. W przeciwieństwie tedy do Anglii, gdzie już Bracton w XIII wieku, a Fortescue w XV akcentowali praworządny charakter monarchii, król francuski mógł ignorować prawo i w życiu prywatnem, i w jurysdykcyi publicznej. Stąd szczególne prawo Rady Królewskiej do rozstrzygania sporów „en équité“, ze stanowiska słuszności, bez względu na literę ustawy, i to nawet w nieobecności prezydującego w niej króla; stąd zarazem późniejsze nadużycia „lettres de cachet“. Zresztą Esmein zaznaczał, że i we Francyi nie brakło publicystów (np. Jacobi, Practica Aurea Libellorum 1311), sądowników, działaczy społecznych, którzy zwalczali źle rozumianą rzymską zasadę wyższości króla nad prawo. Nie należał do nich polityk-absolutysta Bodin, ale należeli Bossuet i Domat i ostatni przed rewolucyą, najwymowniejszy chwalca praworządności—Voltaire. Kres położyła mniemanej rzymskiej zasadzie pierwsza konstytucya francuska z r. 1791.

Profesor Caillemer z Grenobli wykładał o „Pojęciach zwyczajowych i o odrodzeniu prawa rzymskiego na południo-wschodzie Francyi“. Sir Frederick Pollock szkicował przeobrażenia idei słuszności (equity) w praktyce angielskiej, której dawne rozumienie prowadziło do wyjmowania niektórych wypadków z pod rządu prawa, nowa zaś, umiejętna, każe tylko swobodnie, lecz racyonalnie interpretować zbyt ogólnikowe, niedość wnikliwe przepisy. O zasadę słuszności długa walka toczyła się w sądownictwie angielskim pod ciągłym naciskiem tendencyi politycznej: „*dispensing power*“ Stuartów zwalczane było wytrwale przez purytanów, aż dopiero w XVIII wieku sądy angielskie, poparte autorytetem Mansfielda i Blackstone'a wywalczyły sobie (lecz nie królowi!) prawo swobodnego tłómaczenia ustaw w duchu słuszności. Wcześniejsze stadyum rozwoju tej idei przedstawiał w sekcyi H. D. Hazeltine; p. O. Lenel dał ważny przyczynek do dziejów rzymskiego testamentu. Prof. Schreuer z Bonn żywo i interesująco rozwijał germańskie pojęcia o „bogach i nieboszczykach, jako podmiotach praw“.

Od szczegółowszego opisu prac tej najlepszej podobno podsekcyi uwalnia nas okoliczność, że ona sama jedna w poczuciu swej zasługi zamierzyła ogłosić drukiem zbiór swych referatów.

Natomiast podsekcya dziejów ekonomicznych pomimo zgłoszenia ważnych i niewątpliwie cennych referatów (np. Dopscha, Cunninghama, Andrewsa, Tarlego), wobec niestawiennictwa kilku prelegentów (m. in. Kowalewskiego) nie sprawdziła pokładanych w niej nadziei i zasłużyła na wyróżnienie z jednego tylko powodu, że w niej występowała jedyna kobieta na kongresie, pani Lubimienko z Paryża.

Średniowieczna i nowożytna cywilizacya stanowiła przedmiot obrad sekcyi VII. Właściwie wszyscy referenci tej grupy mówili o różnych tworach cywilizacyi: o filozofii, języku, literaturze, sztukach plastycznych, o wzroście nauk ścisłych i medycyny, o dziejach wychowania, nawet o naukach społecznych. Brakowało syntezy, brakowało tu właśnie Lamprechta. Wszyscy prelegenci pochodzili z Anglii, oprócz prezesa Gino Loria, który zresztą też opiewał chwałę matematyczną W. Brytanii. Niewiadomo, z jakiej przyczyny trafiły do działu historyi cywilizacyi referaty W. C. D. Whethama o „Metodzie historycznej w naukach przyrodniczych“ i F. A. Woodsa o „Historyometryi, nowej metodzie nauki historycznej“.

Sekcyę ósmą archeologii i początków sztuki — opanowali Rosyanie: profesorowie Rostowcew, Szebielew, hr. Bobrinskoj, Farmakowskij, von Stern, Pridik, przedstawili tu na dwóch osobnych „sesyach rosyjskich“ wyniki poszukiwań w południowej Rosyi, Besarabii, i dalej na północ aż pod Połtawą.

Dziewiąta sekcya, nauk pomocniczych, miała program ogromny i wielce urozmaicony. Była tu mowa o wszystkiem, i prezydował Sir Fryderyk Kenyon, reprezentujący wszystko, t. j. Muzeum Brytańskie. Omawiano kwestyę Tolteków, początku handlu europejskiego na Pacyfiku, czarnoksięstwo u semitów, śledzono marszrutę Korteza z Meksyku do Hondurasu, i wędrówki ludów w południowej Afryce. Znalazło się miejsce na genezę cyfr arabskich, na rozprawy ogólne o genealogii i heraldyce, o zbrojowni Toweru. Szkoda, że temat „Historyi i Historyozofii“ został wyłożony przez p. Masson Oursela w sposób tak przekonywujący ludzi już przekonanych, iż mało nastręczał punktów do zaczepki polemicznej. Wogóle, zdaje się, kwestye najogólniejsze i najspecyalniejsze nie mają powodzenia na kongresach.

Z wielkiem zaciekawieniem wysłuchaliśmy opowiadania Lamprechta o „Organizacyi wyższych studyów historycznych“. Ukazał się przed naszą wyobraźnią widok olbrzymiej pracowni wykładowo-seminaryjnej z udziałem coś dwudziestu docentów i dziesięciu rzeczoznawców-cudzoziemców. Ci rzeczoznawcy są w części za-

miejscowymi korespondentami instytutu Lamprechta i dostarczają wyjaśnień co do zjawisk historycznych swej narodowej przeszłości. Jednym z nich był naprzykład zmarły Gabryel Monod; prócz niego pomagali zdaleka lub zblizka dwaj Francuzi, trzej Anglosasi, trzej Japończycy, jeden Chińczyk. W tym mechanizmie o czterdziestu pokojach, z bogatą biblioteką seminaryjną, z dostatniem uposażeniem pieniężnem, przy zachowanym podziale na kurs wyższy i niższy pracuje 300—360 studentów i studentek. Wszyscy dzielą się na cztery grupy i na dalsze podgrupy; historyę każdego narodu bada się w jego własnym języku (notabene Lamprecht nie wspomina o badaniach nad przeszłością żadnego z narodów słowiańskich). Ci, co zajmowali się historyą prawa i ekonomiczną, mieli ostatnio podane dwa tematy do zbiorowego wyjaśnienia: feudalizm i życie miejskie. Z informacyi, dostarczanych przez specyalistów różnych narodowości gromadził się materyał porównawczy. Naokoło instytutu tworzą się potrosze coraz to nowe seminarya, w bibliotece gromadzą się atlasy, mapy, np. map dotyczących osadnictwa saskiego nagromadzono 3000.

Nie bez podziwu i zazdrości słucha się takiego autoreferatu, nie bez błysku samochwalstwa w oczach referuje się takie rzeczy. „*Si j'étais roi*“, myśli sobie niejeden słuchacz, nie dowiadujący się, jak może zwykły śmiertelnik dojść do takich skarbów. Zazdrość i podziw milknie na chwilę, gdy Lamprecht, zainterpelowany przez prof. Dopscha o wyniki zorganizowanych prac, przyznaje, że prace owe nie cieszą się uwielbieniem krytyki. Zresztą, sądząc ze słów mistrza, główna wartość zdobyczy naukowych instytutu tkwi nie w drobiazgach chińskich czy też francuskich. Oto zestawienie feudalizmu zachodniego ze wschodnim, azyatyckim uczy, że zdarzają się formy prawno-etyczne stosunku feudalnego, polegające na wierności, bez zwykłego ekonomicznego podłoża. Feudalizm zatem, jak i wszystkie inne zjawiska ustrojowe, opiera się o najgłębszy fundament rozwoju obyczajowego (*sittliche Entwickelung*), a nie materyalno-ekonomicznego.

Zdaje się, że takie uznanie ewolucyi moralnej za rdzeń rzeczy stanowi krok naprzód w porównaniu z dawniejszą nauką Lamprechta o „dyapazonach psychicznych“. Skądinąd zakrawa ono na powtórzenie rzeczy dość oczywistej. Gretchen pewno zauważyłaby, że na takie odkrycie nie trzeba było okupacyi czterdziestu pokojów: „Das ist alles recht schön und gut; Ungefähr sagt das des Pfarrer auch, Nur mit ein bischen andern Worten“, a jaki taki marksista gotów twierdzić, że pan radca wziął ten pogląd z etyki, a nie z faktów historycznych.—„*Nein, nein und*—

*nein!!*“—woła na to mistrz, bijąc dłonią w stół, i wodzi rozradowaną źrenicą po słuchaczach, a słuchacze biją mu brawo, pokrzepieni w wierze, iż jest przecież nad światem wyższa zasada, więc pewno i wyższe źródło moralności, i wolność woli, i nieśmiertelność—wszystko ocalone od zagłady przez Lamprechta.

## VI.

Rozejrzyjmy się z kolei rzeczy wśród referatów polskich.

Na pierwszy ogień poszedł d. 5 kwietnia w sekcyi Nauk pomocniczych (IX) nasz wódz Aleksander Jabłonowski, który w krótkiem résumé zaznajomił różnojęzycznych słuchaczy z „Metodą historyczno-geograficzną, stosowaną przez Instytut Towarzystwa Naukowego Warszawskiego“. Wielki plan dzieła, mającego objąć wszystkie trzy prowincye Rzplitej, został już, jak wiadomo, wykonany w zakresie Ziem Ruskich. Instytut przystępuje do wydania atlasu rdzennych ziem koronnych: Wielkopolski, reszty Małopolski, Mazowsza, Prus Królewskich; najpóźniej pono otrzymamy—oby jeszcze z rąk inicyatora całego monumentalnego wydawnictwa—atlas Litwy, Białorusi, Inflant. Prelegent zilustrował za pomocą pokazu swój prosty i jasny sposób wyobrażania przez znaki graficzne zjawisk etnograficznych, politycznych, społecznych, ekonomicznych i wyznaniowych. Sposób doprawdy prosty i jasny, znakomicie ułatwiający oryentacyę, choć nie na prostych i łatwych oparty dociekaniach, skoro granice gmin, parafii i dóbr ziemskich, oznaczone tu zostały według urzędowych rejestrów i innych danych, których wyjątkową, niezastąpioną znajomość posiada Jabłonowski. Jakkolwiek też sprawa dotyczyła specyalnie stosunków geograficznych polsko-ruskich, zainteresowała się nią spora gromadka kongresowiczów. Od londyńskiego Towarzystwa Historycznego zebrał prelegent należne dzięki za opracowany mu egzemplarz Atlasu, a prof. Jorga uprosił go o podobny dar dla akademii bukareszteńskiej.

W tejże dziewiątej sekcyi w poniedziałek, d. 7 kwietnia, odczytał jej sekretarz referat Jana Karola Kochanowskiego, zatytułowany: „Rozwój dziejowy Polski i krajów zachodnich w Wiekach Średnich“. Przeszkody osobiste zatrzymały autora w Warszawie, a szkoda: według regulaminu zjazdu referaty nieobecnych członków spadają z porządku dziennego, i tylko dzięki zabiegliwości d-ra M. Handelsmana zrobiono tym razem wyjątek. Nie-

powetowaną stratą był atoli inny skutek nieobecności Kochanowskiego, mianowicie brak dyskusyi nad tematem, którego główną zaletą, i to właśnie kongresową zaletą jest to, że wywołuje sprzeczne sądy, zaczepia wiele zagadnień, pobudza do sporów. Czytelnicy znają niewątpliwie antytezę dziejową „Nad Renem i nad Wisłą“, wiedzą więc o tym przedmiocie bez porównania więcej, niż się dowiedzieli członkowie Sekcyi IX, którym, rzecz prosta, można było zakomunikować w ciągu pół godziny ledwo cząstkę bogatych, śmiałych, oryginalnych zestawień naszego historyka-socyologa. Oryginalność czasami razi, nie dziw, że wędrówki Kochanowskiego po pograniczach historyi i socyologii, nie naśladowane znikąd, ani z Francyi, ani z Niemiec, uderzają nowością zwłaszcza Niemców i uczonych, wykształconych w szkole niemieckiej.

We wtorek, 8 kwietnia, niemal jednocześnie stawało przed audytoryum trzech prelegentów Polaków.

Były poseł warszawski, Władysław Jabłonowski pomimo późnego zgłoszenia się, znalazł szczęśliwie chwilę, kiedy mógł z właściwą sobie kulturą literacką i znawstwem rzeczy, w wytwornej francuszczyźnie scharakteryzować spółczesną literaturę polską. Z powodu tego referatu nasuwała się nam chwilowo pewna wątpliwość. Czy spółczesność może być traktowana historycznie i czy jest dla niej właściwe miejsce na kongresach historycznych? Wątpliwość ta odpadła dla dwóch względów. Po pierwsze, jeżeli Lamprecht mógł wykładać o spółczesnych prądach umysłowych w Niemczech, to Jabłonowski mógł spełnić identyczne zadanie odnośnie do spółczesności polskiej. Powtóre, można traktować daleką przeszłość w sposób tendencyjny, apologetyczny lub oskarżycielski, słowem nie historyczny,—i można mówić o najbliższej przeszłości, czyli o t. zw. teraźniejszości tonem historycznym, *qui ne propose rien, ne suppose rien, qui expose*. Jabłonowski dał właśnie kongresowi rozumowane exposé: jak to wygląda literatura mordowanego narodu. Zachodziła, prawda, jeszcze jedna obawa. Heine powiada, że „*Selbst der liebe 'Gott verlieret sehr bei mir an dem Gewichte, Weil nach ihrem Ebenbilde schnitzen ihn viel tausend Wichte*“. Podobna krzywda spotyka nieraz patryotyzm i nacyonalizm. Kto widział raz ludożercę mianującego się nacyonalistą, myśli, że wszyscy nacyonaliści są ludożercami. Cudzoziemiec, gdy słyszy o narodowym charakterze i nastroju dzisiejszej literatury polskiej zapytuje nieraz z rozczarowaniem: jakto, więc u was wciąż się pisze o ojczyźnie i narodowości? Otóż taki cudzoziemiec mógł się przekonać z referatu Jabłonowskiego, że by-

wa patryotyzm ciasny, ubogi, ślepy, i bywa bogaty, jasnowidzący, wielostronny, jest patryotyzm tani, protegowany i inny, prześladowany, heroiczny, bywa nacyonalizm poniżający i nacyonalizm podnoszący dusze, napełniający całe życie moralne. Zresztą, *scientibus loquor*: czytelnicy znają już z „Tygodnika Ilustrowanego“ odczyt Jabłonowskiego i sami osądzą, czy był ktoś odeń lepiej powołany do mówienia cudzoziemcom o ostatnich przeżyciach naszej literatury.

Jednocześnie historykom nowożytnikom służył dr. Handelsman syntezą wzajemnego stosunku „Napoleona i Polski“.

Zawiódł się pewno ten, kto myślał, że usłyszy dużo o legionach, szwoleżerach, o Somosierrach i Raszynach, o złudnych obiecankach i zawiedzionych nadziejach. Dr. Handelsman mówił właśnie o tej reszcie, która zdaniem jego i naszem stanowiła prawie wszystko. Badacz i wydawca relacyi francuskich z czasów Księstwa Warszawskiego przedstawiał doniosłość przeżyć całego narodu, a nietylko wodzów i statystów od r. 1807 do 1815. Traktował kwestyę polską, podjętą i rozstrzygniętą przez Napoleona nietyle jako wojskowo-dyplomatyczną, zależną od trafnego pochwycenia konjunktur i od bohaterskiego zapału bojowników, ile raczej jako kwestyę zasad i praktyk życia społecznego. Trzy zasady złożyły się na system napoleoński w Księstwie: wolność osobista, równość obywatelska i praworządność. Pierwsza wyraziła się w zniesieniu poddaństwa chłopskiego, druga w dopuszczeniu mieszczan do sejmu, trzecia w organizacyi ministeryum sprawiedliwości, w publicznym charakterze procesu i w powszechnem stosowaniu kodeksu. Wadą ustroju i nieszczęściem było, że zcentralizowana administracya nie znajdowała w dalekim księciu podniety, a sejm warszawski, w którym duch narodowy dojrzewał do wielkiej ofiary i do zupełnego wypowiadania się w czynach, znalazł w krytycznym momencie lichego instruktora, niedorosłego do wymagań chwili, księdza de Pradta. Nie przepomniał prelegent i dwustronnej, z dołu i z góry prowadzonej akcyi oświatowej za Księstwa, nie zostawił oczywiście w cieniu i wojskowości, którą odczuwali spółcześni, jako główne źródło życia. Cudzoziemcy, chcący i niechcący widzieć, ujrzeli w referacie Handelsmana kwestyę polską raz już spaloną, a jednak żywą, odgrzebaną z popiołów, tak bardzo żywą, że kongres wiedeński musiał ją przyjąć do częściowego rozwiązania z wiernych rąk naszych Napoleonidów.—Obce, niemieckie usta zaświadczyły po wysłuchanym odczycie, ile w nim było bezstronnej, trzeźwej, naukowej prawdy—i prawdomównej wymowy.

Najpóźniej, na szarym końcu posiedzeń podsekcyi historyi prawa, przyszedł czas na przemówienie niżej podpisanego. Wątku dostarczyła „Antyteza zasady większości w prawie polskiem“, t. j. liberum veto. Właściwie pierwotny zamiar prelegenta był inny. Wśród badań nad parlamentaryzmem polskim nastręczyła mu się kwestya nie do ominięcia: kiedy i dlaczego ukształtowała się w życiu publicznem narodów europejskich reguła większości? Historyografia zachodnia niemal zupełnie ignoruje tę kwestyę: zrzadka, przygodnie notuje ona pewne okruchy, ale ich nie zestawia, i skrzętni zbieracze takich okruchów niewiele wiedzą o sobie nawzajem. Chcąc ruszyć sprawę z martwego punktu, referowano już raz o kwestyi większości w Wydziale II Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Przypadkiem jeden z członków komitetu organizacyjnego londyńskiego zaproponował naszemu prelegentowi w październiku r. 1911, aby zgłosił swój temat na kongres międzynarodowy. Rzeczywiście gdzie jak gdzie, ale na powszechnym zjeździe, w obliczu specyalistów wszystkich krajów najłacniej można było ściągać informacye niedostępne odosobnionemu szperaczowi. Prelegent po namyśle zgodził się. Już po przyjętej jego ofercie zgłasza się do komitetu prof. Gierke z propozycyą referatu „Zur Geschichte des Majoritätsprinzips“. Co tu począć? Odrzucić tak dostojnej oferty niepodobna; równoległych referatów zjazdy międzynarodowe nie akceptują. Zaproponowano naszemu prelegentowi zmianę tematu. Ów, jak to mówią, odwrócił kota ogonem, wykombinował „Antytezę zasady większości“, chcąc koniecznie zmusić do dyskusyi milczących o tej kwestyi uczonych. Jakoż pod tym względem złudzenia jego nie były znowu tak wielkie: dyskusya przygotowywała się, ale przeszkodziły jej okoliczności „niezależne“.

Z punktu widzenia korzyści naukowej najlepiej było umieścić antytezę po tezie (Gierkego), i może wśród rozpraw wyłoniłaby się stąd jakaś synteza. Komitet urządzający zjazd postąpił inaczej. Postawił berlińskiego profesora w „Wielkiej“ sali Lincolns Inn, in pleno, gdzie nie było dyskusyi, a krakowskiego docenta z jego antytezą ulokował w „Starej“ sali tegoż Inn'u, w aryergardzie sekcyi prawno-historycznej. W dodatku wsunął na porządek dzienny tego posiedzenia jeszcze jeden, nieprzewidziany, spóźniony referat z poprzednich dni, i na rozprawy zabrakło czasu. Przewodniczący, sekretarz izby gmin, Sir Courtenay Ilbert złowił uchem dobrze sobie znany wyraz: „obstruction“ i podziękował prelegentowi za interesujący wykład o obstrukcyi.

Zbytecznem byłoby streszczać na tem miejscu wywody ostatniego prelegenta sekcyi prawnej. Czytelnik polski znajdzie je wypowiedziane w osobnym dziale, którego część uda się może udostępnić i cudzoziemcom. Pilno nam zreasumować swoje uwagi nad sekcyami wogóle i nad udziałem w nich Polaków. Owóż każdy zjazd historyczny bywał i bywa polem do popisu przedewszystkiem dla miejscowych uczonych. Tak było w Rzymie, w Berlinie, tak samo, i może w większej jeszcze mierze, w Londynie. Komitet zgromadził na 202 referaty [1]) blizko 150 angielskich (włączając tu Amerykan). Niemcy zgłosili 31 referatów (na osiemdziesięciu kilku zgłoszonych uczestników kongresu), Francuzi 16 (na 24), Rosyanie 15 (na 24). Piąte miejsce zajmują Polacy (5), dalej idą Belgowie, Holendrzy i Włosi (po 3 referaty), Czesi z dwoma referatami, inne narody—każdy z jednym.

Nauka angielska mogła się popisać i popisała się naprawdę dużym udziałem w badaniu historyi innych narodów, zwłaszcza starożytnych. Lecz gospodarze zjazdów oprócz przywilejów mają i obowiązki — cierpliwego słuchania, napełniania audytoryów, biernego uczestnictwa, bez którego nie byłoby do kogo mówić. Tej funkcyi publiczność londyńska nie spełniła. „Westminster Gazette“ dość słusznie wytyka miejscowym członkom kongresu absenteizm i każe im się trochę wstydzić wobec zagranicy. Na 600—700 członków mogło w każdej sekcyi bywać po 70, a bywało po 20—40; ogromny procent nieobecnych, przypada na Anglików. Obecnym nie można nic zarzucić pod względem bezstronnego traktowania gości i specyalnie prelegentów. Mówców naszych słuchano nie gorzej niż jakichkolwiek innych, widocznie tematy były naogół ważne, dobrze wybrane,—(co do opracowania i wygłoszenia nie możemy być sędziami we własnej sprawie). Ta sama bezstronność godna międzynarodowej rzeszy uczonych panowała i w samorzutnych stosunkach towarzyskich poza posiedzeniami. Doznawało się jej wszędzie i zawsze, chociażby w porządku usadowienia gości na bankiecie powitalnym, które, wcale nie wzorowało się na bizantyjsko-hierarchicznych zwyczajach kongresu berlińskiego (1908). W tym sensie, dopóki mowa o zachowaniu się żywiołów nieurzędowych, miał racyę lord Morley, gdy twierdził na przyjęciu w Oksfordzie, że „wolność, równość, braterstwo przeważają wśród nas bez sofisteryi“.

[1]) W Rzymie było ich 347.

Inne niestety świadectwo musimy wystawić komitetowi urządzającemu. Jeżeli się wbrew precedensom rzymskim nie obiera do prezydyów wśród stukilkudziesięciu osób ani jednego Polaka, jeżeli się ma wzgląd na wysokie stosunki dworskie Teodora Schiemanna i na wysokie gniazdo rodowe Bobrinskich, a nie ma zwykłego (np. w parlamentach) względu na wysokie zasługi, na sześćdziesięcioletnie prace naukowe najstarszego członka kongresu, jeżeli się umieszcza wszystkie rosyjskie referaty w obrębie trzech pierwszych dni kongresu, a wszystkie polskie spycha na trzy ostatnie dni, jeżeli się je w dodatku umieszcza wszystkie bez wyjątku na ostatnich punktach porządku dziennego, jeżeli się nawet w komunikatach do gazet o uczestnikach tego lub owego bankietu wyszukuje Polaka, aby go umieścić na końcu notatki—to nie jest to przypadek. To nie jest przygodny wynik szeregowania ludzi według rangi służbowej. To jest obmyślone z góry upośledzenie jednej narodowości celem schlebiania drugiej, a może i trzeciej. Nie płynie to oczywiście z żadnej nienawiści do tej pierwszej; aby kogoś nienawidzieć, trzeba coś o nim wiedzieć, a komitet organizacyjny kongresu dzielił, zdaje się, z całą niemal inteligencyą angielską absolutną spraw naszych ignorancyę: był dziewiczo niewinny, jak Adam i Ewa przed zakosztowaniem z drzewa poznania dobrego i złego. Myślał może chwilami, iż dorzuca garść wapna do budowy pałacu pokoju w Hadze, gdy rozciąga na stosunki naukowe konsekwencye wielkiej polityki pokojowej. Nie dogodzono nam w Londynie takiem wyróżnieniem—ale jeszcze mniej dogodzono powadze swego własnego sądu.

## VII.

W atmosferze niejakiego rozproszenia i nie wyłącznego dążenia do nagiej prawdy, znaczenie naukowe kongresu nie mogło być wielkie. Zmniejszenie liczby uczestników i referatów w porównaniu z pierwszym kongresem w Rzymie nie świadczy o rozroście kongresów wogóle. Snać w rzeszy międzynarodowej podobnie, jak w granicach jednego społeczeństwa, nowość zrazu pociąga, stwarza pozory świetności, potem nowozałożona instytucya przechodzi przez okres próby i może nawet owej próby nie wytrzymać. Pierwsza myśl zwołania historyków dyplomacyi w Hadze r. 1898 była całkiem racyonalna: każda kwestya tej gałęzi

dziejoznawstwa interesuje przynajmniej dwa narody, przeważna część interesuje 3, 4 lub 5 narodów, a niektóre—cały świat. Jeszcze racyonalniejsza była myśl ściągnięcia w jedno ognisko badaczy historyi porównawczej (w Paryżu, 1900 r.), która dla swego postępu potrzebuje zjazdów, potrzebuje nawet stałego instytutu z reprezentantów wszystkich krajów, czegoś w rodzaju owej pracowni Lamprechta, tylko szerszego, bardziej międzynarodowego, doskonalszego: mógłby taki instytut informacyjno-organizacyjny rezydować, dajmy na to, w Paryżu, i jego zadaniem byłoby m. in. zwoływanie kongresów międzynarodowych z udziałem specyalistów rożnych krajów, ale z przewodnią tendencyą porównawczą.

W zestawieniu z tamtemi pierwszemi próbami uniwersalny zjazd rzymski był pomysłem bardziej efektownym, lecz już nieco mniej racyonalnym: dobór referatów zdano tam na łaskę losu, zakres przedmiotów mógł być bez granic. Stąd zbytnie rozstrzelenie i brak produkcyjnej dyskusyi. Dwa następne zjazdy straciły urok nowości, a nie zyskały jeszcze szacunku starości. W kongresach ceni się już tylko przyjemną okazyę do popisu, do zobaczenia wielkiego świata naukowego, nawiązania lub odświeżenia stosunków. Są to jakgdyby igrzyska olimpijskie czy istmijskie, tylko zbyt liczne i pstrokate i zbyt konwencyonalne jak na to, by mogły jeszcze podniecać ambicyę do zwycięstw. Kongresy nie mają stałych dążeń, ani ciągłej reprezentacyi, ani żadnej egzekutywy. Gdy coś uchwalają, to przekazują sprawę obcym rękom, np. związkowi akademii, jak to się stało w Londynie z projektowanym przez p. Whitwella słownikiem łacińskim. Sądzimy też, że jeżeli mają wytrzymać próbę czasu, jeżeli nie chcą zwyrodnieć lub zniknąć z powierzchni ziemi po kilku jeszcze próbach dla braku poparcia, to powinnyby się postarać o umiejętną naukową organizacyę i inscenizacyę. Nadewszystko powinny się strzedz zbytniego rozstrzelenia referatów: przynajmniej połowę tematów powinienby proponować komitet organizacyjny, nie lękając się wykładów równoległych i niezgodnych. Rousseau nie zdobyłby pewno takiego rozgłosu i może nigdyby nie napisał Emila, Heloizy, Umowy, gdyby mu przedtem nie podsunęła zagadnienia akademia w Dijon. Od tego są akademie wszechświatowej sławy, od tego zjazdy wszechświatowe, aby sugestyonować uczonych wszystkich krajów ważnością pewnych kwestyi i wskazywać im, gdzie jest ciemność, zagadka, gdzie trzeba się zagłębić i szukać. Tylko, że na zjazdach tak programowo urządzonych musianoby naturalnie zaprzestać reweransów w stronę potężniejszych narodów i podporządkować wszystko ocenie ważności zagadnień naukowych.

„Times“ wziął asumpt z ukończenia kongresu, aby wypisać swym rodakom parę nauk na przyszłość: radził im więcej poświęcać uwagi sprawom krajów dalekich, wschodnich, np. bałkańskich, dotychczas przez nich ignorowanych, a pilnie badanych przez Niemców, z wielką dla niemieckiej polityki korzyścią. Radził lepiej niż dotąd zorganizować pracę historyczną, nie polegać nadal na pracy amatorów w stylu Gibbona, Grote'a, Macaulaya, zreorganizować zwłaszcza według wymagań nauki służbę archiwalną.

Wysnujmy i my swoje „Lessons of the Historical Congress“. Przedewszystkiem, jeżeli chcemy, aby praca historyków polskich wywalczyła sobie należne uznanie na kongresach i wogóle w opinii nauki europejskiej, to powinniśmy samodzielnie badać i wykładać historyę powszechną, nietylko, jako podmalowanie lub tło naszych dziejów. Powinniśmy ją polubić i propagować jej znajomość dla niej samej. Wszechświatową sławę zdobywają ci historycy, którzy piszą dobrze o rzeczach cudzych, a nie tylko o swoich. Dla jednostki sława może być niczem w porównaniu z wiecznością, ale narody, szczególnie podbite, potrzebują dobrej sławy europejskiej. Dziś dziejopisarstwo rosyjskie jest do niej na lepszej drodze, niż nasze.

Druga lekcya z kongresu da się wyrazić słowami św. Pawła: nie bądźmy mądrzy u samych siebie: „bo radzi znosicie głupich, będąc sami mądrymi“. Jeżeli piszemy coś o stosunkach polsko-angielskich, polsko-francuskich, polsko-włoskich, to starajmy się aby to nie zostało tajemnicą dla Anglików, Francuzów i Włochów. Powinno się publicznymi środkami wykopać kanał, którymby można było spławiać owoce naszych dociekań na rynek międzynarodowy. Powinno się, nie rachując na prywatne ku temu usiłowania, umożliwić w drodze organizacyi zbiorowej dobre tłómaczenie dzieł naszej pracy archiwalnej, zarazem niekiedy dzieł naszego talentu, na języki cudzoziemskie. Nadewszystko zaś trzebaby dbać o pozyskanie głosu w Europie na polu recenzyi dzieł obcych, traktujących o nas. Rąbiemy lub chwalimy kogo należy, w „Kwartalniku“, w „Przeglądzie Historycznym“, lecz któż się liczy z naszymi poglądami? Polska krytyka powinna prostować błędy, demaskować kłamstwa o Polsce w „Zeitschriftach“, „Revues“, „Rivistach“, a nie (daruje czytelnik trywialne wyrażenie) kiwać palcem w bucie.

A jakąż lekcyę wywnioskujemy z upośledzania przez kongresy międzynarodowe nauki polskiej? Czy warto na nich bywać?

Stanowczo warto. Cichą nieobecnością nikomu nie zaimponujemy, nikogo nie wzruszymy. Honorów niema co się spodziewać i nikt z nas nie obiecywał ich sobie nad Tamizą. Uważaliśmy obecność tam Polaków za rodzaj kulturalnego obowiązku. Na przyszłość też nie pozostaje nam nic innego, jak jeździć na kongresy w jaknajlepszym składzie, z jak najlepszem przygotowaniem, aby tam kazać siebie słuchać choćby i na podrzędnych miejscach. Z jednem tylko zastrzeżeniem: że środowisko zjazdowe dawać będzie zupełną rękojmię swobody słowa. Zastrzeżenie to stało się od niedawna wysoce aktualnem. Kongres londyński przed zamknięciem prac rozważał kwestyę wyboru miejsca i czasu następnego zjazdu. Dyplomata grecki Gennadius imieniem „greckich uniwersytetów“ i swego rządu zapraszał nas za pięć lat do Aten. Obecni na zjeździe Rosyanie zbiorowo zaprosili świat naukowy do Petersburga, upewniając z góry, że rząd rosyjski okaże wszelką łatwość względem pozwolenia na przyjazd obcych poddanych. Francuzi dali do zrozumienia, że nie żądają pierwszeństwa dla Paryża, im wystarczy zaliczenie kongresu paryskiego historyi porównawczej (1900) w poczet wielkich kongresów międzynarodowych. Czem są dla historyków Ateny w porównaniu z Petersburgiem? Komitet wykonawczy kongresu nie mógł nie przyjąć rosyjskich zaprosin, a zgromadzenie ucieszyło się, że ujrzy niebawem ów gród, co wydał Niżyńskiego i Pawłową.

Z tą uchwałą kojarzy się kwestya językowa. Złośliwi Francuzi twierdzą, że ich język dobry jest pour parler à un homme, włoski—pour parler à une femme, angielski—pour parler à des oiseaux, hiszpański—pour parler à Dieu. Jeszcze jeden kongresowy język jest zdaniem tych złośliwców najlepszy *pour parler à un cheval*. Łatwo stąd wymiarkować, jak męczy na kongresach ciągła zmiana tych języków męskich, kobiecych, ptasich i końskich. Na dobitkę profesor Bubnow z Kijowa rozdawał na kongresie w Londynie broszurę drukowaną po francusku i po rosyjsku, w której żądał jeszcze dopuszczenia na kongresy historyczne dwóch języków słowiańskich: jednym byłby bezwarunkowo rosyjski, co do drugiego powinni się porozumieć inni słowianie. My o ten zaszczyt nie prosiliśmy, nam, a pewno i Czechom, wystarczyłby w stosunkach z Europą język francuski zamiast wszystkich czterech dziś uznanych za międzynarodowe. U siebie w domu wystarczyłaby nam swoboda w używaniu polskiego języka przy omawianiu zarówno rzeczy przeszłych, jak i teraźniejszych. Zapamiętaliśmy sobie, co mówił Lamprecht o konieczności studyowania chińskiej historyi po chińsku, i to, co p. Bubnow

pisał o konieczności omawiania spraw słowiańskich po słowiańsku. Gdyby tak zechciał p. Lamprecht *à propos* tego pomówić z p. Schiemannem o artykule kagańcowym, a pan Bubnow z hr. Bobrinskim o interpelacyi szkolnej i o języku obrad samorządu miejskiego... O więcej nie prosimy.

Bądź co bądź nowa kwestya językowa, co do której w Londynie uznano, że nie sposób odmawiać gospodarzom zjazdów używania rodzimej mowy, może powrócić i napewno wróci w Petersburgu razem z wielu innemi kwestyami. Nad tem wszystkiem trzeba będzie się w swoim czasie razem zastanowić.

Władysław Konopczyński.

# Pierwiosnki.

## III.

Anka Nenę podziwia i uwielbia. Nena Ankę do siebie dopuszcza i lubi. Anka Nenie mówi o swoich uczuciach sto razy na tydzień. Nena Ankę wysłuchuje, ale ze swoimi nie zdradza się nigdy. Zachowuje przytem zawsze stanowisko trochę protekcyjne.

— Mój Boże!.. kłopocze się Anka. — Panna Adela kazała pójść po listy do przełożonej. Tak się boję! znowu nie potrafię tego powiedzieć po francusku, jak trzeba. A żadna niechce iść...

— Mogę pójść z tobą, jeśli się boisz... rzuca od niechcenia Nena.—Przełożona przecie ci nic nie zrobi...

— Moja złota!... rzuca się ku niej rozradowana Anka. — Ja wiem że nic, ale tak mi zawsze jakoś... Z tobą to zupełnie inaczej...

— Jak ty to wszystko umiesz!... szepce z podziwem po chwili, kiedy Nena, z układnym dygiem, odebrawszy od przełożonej listy, kieruje się ku wyjściu. Ja to się zawsze muszę poślizgnąć na tym dywanie i potem już zapominam co miałam mówić. Szczęśliwa!...

— Nic nadzwyczajnego... mówi obojętnie Nena. Przecie na tańcach Łepkowicz uczy nas ukłonów. Zresztą w domu mama mnie jeszcze przedtem uczyła...

— Nenuś!... moja złota!... Spytaj Kostrowickiego, czy przyniósł mój kajet z ćwiczeniem, bo mi się wczoraj kazał upomnieć... moja jedyna!... błaga Anka podczas polskiego.

Nena zbliża się do katedry i zlekka przysiada.

— Pan profesor miał dziś przynieść kajet Wrockiej... mówi układnie. Został po wtorkowych ćwiczeniach u pana profesora..

— Jak ona zawsze śmiała!... zdumiewa się Anka. I nigdy się nie miesza. Mój Boże, żeby to mnie choć o połowę tak...

— Cóż nadzwyczajnego?... wtrąca, wzruszając ramionami Nena. Niemniej, spełnia bardzo chętnie prośby Anki i nie przyznaje się bynajmniej, że grają w tej gotowości małą rolę i owe bezkrytyczne, a pełne uwielbienia Anczyne podziwy. Nena się z koleżankami wdaje mało i jest znana jako ambitna i niedostępna, koleżanki więc mają, biorąc ogólnie, tendencyę robić uwagi raczej uszczypliwe. Na rzeczy przyjemne zdobywają się nie często. A to jest tak miło, kiedy ktoś chwali i podziwia... A Nenie tak bardzo, tak bardzo brakuje pochwał i podziwów...

— I co ta Mieduniecka znalazła we Wrockiej, że z nią jest tak dobrze?... dziwi się Ola Szteinówna—podobne do siebie, jak gęś do prosięcia. Cudeńka!...

Ach!... alboż to takie jeszcze bywają na świecie cudeńka! Ale co Ola o nich wie...

*

* *

Tak było do niedawna. Ale ot, tego roku...

Nena wróciła z wakacyi na pensyę, jak zwykle na początku, prawie z radością. Wykłady, koleżanki, książki... W każdym razie, życie. I przytem czwarta klasa. Będą miały więcej swobody. Prawie już panny...

Ciekawe, czy Anka przywiozła swego braciszka ze wsi? Miała go umieścić, za pomocą panny Adeli, w pensyonacie prywatnym. Jurkowi się już trzeba uczyć. Nena jest taką ciekawą tego małego, zabawnego Jurka, o którym jej Anka tyle opowiadała. Szteinówna przez lato pewno jeszcze wyokrągleje i będzie już zupełnie jak piłka. Dziwnie jest niemiła i dokuczliwa czasami, mimo swego dobrodusznego wyglądu. A Maruta Pnińska... no! Maruta, jak zawsze po wakacyach, będzie podpierała rozpaczliwie śliczną główkę na dłoniach z wiekuistemi żalami na pensyę i wykłady.

— Ach! ta geometrya! kąt prosty, kąt krzywy, kąt taki i jeszcze inny... Okropność! Ja chyba nie wytrzymam do świąt. I po co te wszystkie kąty pakować do głowy, kiedy za rok i tak...

I chowając zarumienioną twarzyczkę na ramieniu Neny, zwierzała się melancholijnie:

— Wiesz?... Myślałam dotąd, że paziowie z korpusu mają najładniejsze uniformy. Ach!... gwardya jest sto razy ładniejsza. Ty nie masz pojęcia jaki on jest...

— Mundur?!.. pytała umyślnie Nena. Tak?...

— Ach! Co za mundur... On!... Wiesz?... powiedział mi, że jak żyje nie widział, żeby ktoś tak tańczył mazura. I że w takim mazurze gotów by na koniec świata... Nie, on to jakoś inaczej .. Za rok już kończy. Za rok, ty tylko pomyśl...

I Maruta marzycielsko wpatrywała się w ścianę całkowicie pogrążona w miłych reminiscencyach świątecznych.

— Jaka ta Maruta jest .. ze swemi wiecznemi mundurami!... myślała, patrząc na jej greuzowską twarzyczkę Nena. Zeszłego roku nie było nic piękniejszego nad adjutanta, bo ma najwięcej sznurów i chwastów, tego roku gwardya, na przyszły znów będzie jeszcze co innego... Że też to jej wystarcza!...

Na myśl o ideałach Maruty i innych koleżanek, wykwintne, bladoróżowe usta Neny wyginają się zwykle pewnym lekceważącym grymasikiem... Gdyby tak na nią... Zresztą, ona o tem jeszcze nie myśli. Nie miałaby przedewszystkiem przedmiotu owych zachwytów. Skądże?... Jedna zresztą z niewielu, bo u każdej prawie w wakacyjnych wspomnieniach figuruje jakiś „on“. I nieraz o zgrozo, nawet znacznie mniej świetny, niż przedmiot wzdychań Maruty. Kuzynek, bliższy czy dalszy, kolega brata, brat kolegi... Wszyscy nadzwyczajni i nad wszelką miarę obiecujący w przyszłości, ale w czasie obecnym uwikłani, przeważnie w zdradliwych, łacińsko-greckich arkanach klasy piątej, szóstej, ba! a czasami i siódmej. Nawet jednej, Zosi Skabiczewskiej, asystuje prawdziwy student, medyk z Krakowa. Leczył kogoś na wsi u rodziców Zosi i tak się zapoznali. Zosia ma jego fotografię w pluszowej ramce i podobno—ale to wielki sekret, o którym powiedziała tylko swojej przyjaciółce Iwieckiej — odbiera od niego listy. I, nawet, zdaje się sama...

W każdym razie ona, Nena, niczem podobnem się nie zajmuje. Zresztą, skąd!... U ciotki, gdyby nawet chciała, nikogo prócz jakichś starych bab, dewotek i czasami księdza, nikogo nie spotyka. A gdyby nawet kto i bywał, to ona... z takimi...

I Anka, naprzykład, także nikogo niema. Zresztą, Anka to taki jeszcze dzieciak!... Dotąd w czwartej klasie, potrafi płakać o przetrąconą łapkę Figusi i żegna się po cichu, kiedy myśli, że

zostanie z czego wyzwana. Obchodzi ją babcia, Jurek, Figusia i nikt więcej. Jeszcze chyba ona, Nena..

Nenę też Anka obchodzi w gruncie więcej niżby to się komu, a nawet jej samej, zdawało. Poprostu się przyzwyczaiła mieć przy sobie Ankę. Jeżeli Wrocka o parę dni się spóźniła, wszyscy widzą, że Miedunieckа jest chmurna i siedzi przez cały czas w książkach, nie udzielając się wcale. Nena się nie wdaje z uczenicami prawie wcale. One są takie... Nena niecierpi, kiedy jej ktoś przeczy. Ona wie, co mówi, i nie potrzebuje, żeby jej każda gąska wsadzała swoje trzy grosze. A te pensyonarki są przeważnie takie niemądre, sprzeczalskie i źle wychowane. Śmieją się, drwią, dowcipkują i to w taki pospolity i niesmaczny sposób. Naprzykład, ta Szteinówna. Nena się woli z niemi nie wdawać. O czemże by zresztą miały ze sobą mówić?... Anka zupełnie co innego. Pewno, że też nierozumie Neny, ale przynajmniej nigdy się z nią nie sprzecza i Nena jej mogłaby była mówić wszystko, jak do siebie. Anka jeśli nie podziela zdania Neny, albo jej nie rozumie, to bądź co bądź siedzi cichutko, nie wyśmiewa się nigdy i tylko patrzy czasami, dużemi oczami z takiem odczuciem i tak jakoś mądrze, jakby wbierała w siebie i rozważała każde najmniejsze zdanie, każde słówko, które się do niej wypowiada... I Nenie jest dobrze rozmawiać z Anką. Anka jest jeszcze dzieciak, nie może naturalnie zrozumieć wielu rzeczy, które ją, Nenę, poruszają, ale już woli ją, mimo to, niż naprzykład tę mądrą Iwiecką, której się zdaje, że wszystko wie. Zresztą, Anka umie słuchać i Nena może mówić jej wszystko, wiedząc, że Ance nawet na myśl nie przyjdzie wyśmiewać jej lub krytykować, jak tamtym dziewczynkom. A to dużo, dużo znaczy. Ostatecznie, Anka na nic się i nie wysadza. Wie, że pomimo, iż jest pierwszą uczenicą, między nią a Neną będzie zawsze ogromna różnica... I, zresztą, Nena zupełnie od niej więcej nie wymaga. Anka jest, jaka jest, to trudno. I tak woli ją sto razy od wszystkich innych...

*

* *

— Babciuniu moja złota!... pisała w tym samym mniej więcej czasie Anka—ja sobie wszystko to obmyśliłam, co mi babciunia o Nenie Miedunieckiej pisze. Alboż ona winna, że nie mo-

że się ze wszystkiemi przyjaźnić?... Babciunia mówi: ja. Ale ja to zupełnie co innego. Ja jestem i z Iwiecką dobrze i z Pnińską dobrze, i ze Szteinówną i ze wszystkiemi. Ale to dlatego, że one zupełnie nie są złe, tylko przeciwnie bardzo dobre, tylko że tego odrazu nie widać. A jak byłam chora na gardło, to mi Iwiecka przysłała landrynek, a Maruta tę niebieską wstążkę co to Babciunia wie. A wszyscy myślą że Iwiecka jest łasuch i skąpi, a to dlatego, że z nią odrabiałam zawsze zadania na mnożenie, co to ona nie umiała. A Nena niema wcale suchego serca, jak Babciunia pisze, tylko ona jest smutna, bo jej mama była bardzo bogata i pieściła ją, a teraz nikt jej nie pieści i nie kocha, a ciotka jej nie lubi. Tylko Nena jest taka, że ona nic po sobie odrazu nie pokaże i kiedy jest smutna, to nie płacze, ale tak, jakby się gniewała, ale to tylko tak naumyślnie, bo ona jest bardzo dumna. A płacze w nocy kiedy nikt nie słyszy, ale ja jej nie mówię, bo by jej było przykro. Dlatego że jej trzeba, żeby ją kochali i żeby ona wiedziała, że ją ktoś kocha, a ona sama do tego się nie przyzna. Ale ja to dobrze wiem, że Nena mnie kocha, choć tego nie mówi, ale ona już taka jest. I niech się babciunia nie boi, że ja się robię jakaś inna; ja dobrze wiem, kiedy Nena jest dla kogoś niedobra, albo mówi coś nie tak, jak trzeba, ale jej nie poprawiam słowami, bo ona się tylko rozgniewa, a ja mówić zupełnie nie umiem. Nena jest mądra, babciu, tylko wszystko patrzy w siebie, i nie widzi, że innym także jest źle, ale ja myślę, że to przejdzie, tylko trzeba koniecznie, żeby zobaczyła, że komuś jest jeszcze gorzej, niż jej na świecie. Ja wiem, co ty powiesz babciuniu, że trzeba siebie przełamać, bo na ziemi temu najlepiej kto ze siebie najwięcej daje, a nie bierze, ale przecie Nena nie jest jeszcze dorosła i wiele rzeczy nie wie. A potem może jej o tem nikt tak dobrze nie mówił, jak ty do mnie, babciu, wiesz?... Ja myślę że to dużo znaczy. I zresztą Nena dla mnie była, pamiętasz babciu, jaka dobra z początku, jakiem tu przyjechała?.. potem to czasem bywa, że nawet i płaczę, ale ja o wszystko zaraz płaczę, a ona choć jest bardzo smutna, to skrywa, że jej źle. A ja za to ją kocham i tego pierwszego dnia kiedy mnie pocieszała i taka była dla mnie dobra, nigdy, nigdy jej nie zapomnę"...

Tak pisała w jednym z nieskończonych listów do swojej babci pewnego razu Anka. Ale o tym liście, ani o tych Anczynych myślach Nena nie wie i nawet nie podejrzewa nic a nic.

Szczęśliwa ta Anka!... myśli Nena z pewnem odcieniem malutkiej niechęci, patrząc na krzykliwe i roześmiane kółko „małych", bawiących się w kotka i myszkę, pod kierunkiem tak jak

one roześmianej i przejętej Anki. Ona jest zawsze i dotąd jeszcze, taka dziecinna... Bawi się ze wstępniaczkami i to jej wystarcza"...

Bo Nenie nie wystarczają nawet jej koleżanki. Chce czegoś innego, mądrzejszego, odrębniejszego. Czegoś, coby zastanawiło, przykuło i—zaimponowało. Anka? No, pewnie, Anka. Ale nie to. Zresztą, Anka to jest już coś tak nabytego na stałe z jej uwielbieniem dla autorytetu Neny, z jej wiekuistemi nad nią zachwytami i niezaprzeczoną do Neny przynależnością, coś tak doskonale już znanego, że się o tem prawie nie myśli. Nena nawet sobie nie wyobraża Anki bez tych zachwyconych albo zasłuchanych oczu, w podziwie nad tem co ona, Nena, wypowiada. I to już jest taki zwykły bieg rzeczy, taki zwykły.

Aż stało się pewnego dnia, że Nena spojrzała z daleka na Ankę, która rozmawiała z Horniczówną. Horniczówna siedziała w swoim kącie za firanką, jak zwykle, z założonemi na piersi rękami, z książką na kolanach i z nogami opartemi na drugiem krześle — poza jej właściwa i ulubiona, bynajmniej nie wykwintna, a która z tem wszystkiem, jak i wogóle każdy ruch milczącej panienki, zdawała się być dla niej właśnie specyalnie stworzona i odpowiednia. Mówiła coś urywanemi zdaniami, patrząc wprost przed siebie, na przeciwległą ścianę, czarnemi i posępnemi, jak chmurna noc oczami, nad któremi szerokie brwi były zawsze ściągnięte wyrazem jakiegoś niezłomnego postanowienia, czy zawziętości. A Anka, jeszcze bardziej dziecinna i jasno włosa, jeszcze drobniejsza przy tej bujnej bladej dziewczynie, stała cichutko z palcem na ustach przy niej, podnosząc na twarz Broni swoje szare, jasne oczy z wyrazem, który nagle Nenę przeszył niemiłem, ostrem drgnieniem. Nie było w nim jednak nic przykrego. Przeciwnie. W oczach Anki malował się tak dobrze Nenie znany wyraz zapatrzenia i zasłuchania, który tak często spotykała na własnej twarzy, z dodatkiem jednak jeszcze jakiegoś uczucia, którego dotąd u Anki nie widziała. Zdaje się, że była to jakaś zbożna i zamyślona cześć.

Tego wieczoru Nena siedziała, zatkawszy uszy nad książką i nie odzywała się nic. I dopiero kiedy Anka, skłopotana, przyszła jej się spytać o przetłómaczenie jakiegoś trudnego francuskiego zdania, odpowiedziała obojętnie:

— Moja droga, widzisz, że jestem zajęta. Zresztą, dla czegóż jabym właśnie miała wiedzieć? Spytaj Horniczówny...

I udawszy, że nie widzi żałosnego i pytającego wzroku Anki, spuściła oczy na książkę.

*

* *

Bronka Horniczówna jest od niedawna. Przeniesiono ją z jakiejś innej pensyi odrazu do klasy czwartej. Jest właściwie „nowa“. Ale od pierwszego dnia trzyma się tak, jakby wogóle nie spostrzegała nic i nie dziwiła się niczemu. Z koleżankami się nie wdaje, uczy się ni źle, ni dobrze i przez cały dzień albo gra wprawki, albo wsunięta w swój ulubiony kąt za firanką, czyta. Któraś z pensyonarek zaklina się, że widziała tytuł jednej z książek: „Zbrodnia i kara“ Dostojewskiego. U Broni nikt się nie odważy spytać wprost, bo Bronki się trochę boją. Jest zawsze poważna, a nawet chmurna i nie uśmiecha się prawie nigdy. Wygląda przytem na znacznie bardziej rozwiniętą fizycznie i umysłowo od koleżanek i ma w sobie pewną, niedopuszczającą do bliższych konfidencyi, surowość. Nawet Szteinówna wobec niej trzyma swoje dowcipy krótko i jak sama mówi, niecierpi Bronki Horniczówny, ale woli jej nie zaczepiać. Zresztą, Bronka jest tak niewidoczna i nieudzielająca się w klasie, że przychodzi to jej z łatwością. Czasami tylko, w chwilach zaburzeń pensyonarskiego życia, Bronka niespodzianie jednem, ostrem i zawsze trafnem zdaniem występuje nagle z mroku swojej firanki na widownię, budzi potem szmer niechęci, podziwu i uznania, roznieca zainteresowanie do swojej osoby i znika, zanim panienki zdążą je wcielić w jakieś formy konkretne. Wiadomem jest tylko tyle, że Bronka była bardzo chora, że przełożona sama poleciła panienkom zbytnio się jej nie naprzykrzać, że niema rodziców, tylko ojczyma, którego zresztą nikt na pensyi nigdy nie widział i że po skończeniu pensyi ma wstąpić do konserwatoryum, bo się kształci na nauczycielkę muzyki. Pozatem, pensyonarki wiedzą jeszcze to, że Horniczówną otacza jakiś nieokreślony nimb tajemniczości i że niczyje oczy nie umieją ciężyć w pewnych chwilach z tak fizyczną niemal wzgardą, jak Bronki i niczyje usta nie wypowiadają rzadziej, a w bardziej chłoszczący, chociaż pozbawiony wszelkiej docinkowości sposób, słów piętnujących wszelką niesprawiedliwość, podstęp i służalczość. Zresztą, trzyma się zdala od pensyonarskich

wypadków i sensacyi i skutkiem tego panienki, poza rzadkiemi chwilami, gdy ją mają na oczach, określają ją słowami Anki: „jakaś taka“ i dają pokój.

*

* *

— Boże drogi, jakież to śmiertelnie nudne...

Nena forsownie rozwartemi oczami patrzy na otaczające przedmioty i usiłuje nie dać się zmrużyć powiekom, które gwałtem opadają na oczy. A jeszcze całe dwadzieścia pięć minut...

— Jaką ten Butkiewicz ma śmieszną figurę, nie... to przechodzi pojęcie. Ten surdut po pięty i te włoski rozstrzępione w jakieś quasi artystyczne uczesanie i ten urywany, jąkający się, niepewny siebie i przepraszający głos. Przechodzi pojęcie. A podobno jest bardzo mądry i nawet sławny. Podobno jest trochę poetą, trochę rzeźbiarzem. Kiedyś panna Adela pokazywała tygodnik z jego portretem i recenzyą. Nagrodzili mu jakiś poemat na konkursie. Mój Boże! on może pisać poemata?... On, który, kiedy mówi...

— Więc, jak powiedziałem, znaczenie literatury tkwi nietylko w tem... to jest, musimy ją badać nietylko z punktu widzenia utworów literackich... utworów, które stanowią, jednem słowem, ciąg... czyli bieg... czyli..., krztusi z męką profesor. Literatura ma, prócz tego, doniosłość, że tak powiemy, ogólno-kulturalną... jak to widzimy, raczej jak to się da wywnioskować z...

Podłużna, zmęczona twarz, wyraża mękę i natężenie. Oczy, niewyraźne i wodniste, lękliwie wybiegają z pod zaczerwienionych powiek i kryją się w cień. Nerwowe ręce co chwila poprawiają to krawat, związany w kunsztowną, artystyczną kokardę, to tużurek obwisający na wychudłej postaci, to znów muskają ubogie, przyklapnięte, brudnobląd włosy, to przekładają z miejsca na miejsce, a bez widocznej potrzeby—kredę, ołówek, obsadkę...

— Iwiecka, nie... ty tylko spójrz jak się nasza Buda rozskakała...—słyszy Nena za sobą szept Szteinówny. Żebym tak miała jak niemam, to bym mu fundnęła lustro na katedrę, żeby się przejrzał jaki piękny. A poci się... Chryste!...

— Nie przeszkadzaj... syka niecierpliwie Iwiecka. Najciekawsze miejsce...

— No dobrze, dobrze... A czy to przed schadzką czy już po?... tylko to jeszcze powiedz, no, ty...

— Przed, przed, jeszcze się ona dopiero ubiera na ten bal. Odczep się...

— Szczęśliwa!... A zobaczysz, jak to tam będzie w ogrodzie!... proszę siadać. Czytałam ten ustęp ze trzy razy...

— Panie tam tego, zdaje się.. niebardzo... rozmawiają — jąka się Butkiewicz. Trzeba słuchać wykładu, bo potem będzie, raczej przy egzaminach mogą być trudności, więc lepiej już teraz... Panna Szteinówna i zdaje się tego... panna Iwiecka...

— Ja?... nie, panie profesorze, wcale. Przepowiadałam sobie po cichu co pan profesor mówi, żeby lepiej zapamiętać. Żeby przy egzaminie łatwiej było... pali jednym tchem z niewinną czelnością Szteinówna.

Tu i owdzie rozlegają się półgłośne śmiechy. Szteinówna jest znana ze sławnego lenistwa. Książek, a specyalnie historyi, nie bierze do ręki po za dniem, kiedy ma szanse być wyzwaną. A egzamina, jestto zmora Butkiewicza, której się on boi nierównie więcej od swoich uczenic.

— A... jeśli tak, to przepraszam... raczej, zdawało mi się, jakby... Zresztą, wróćmy do naszego przedmiotu! Zadaniem tedy, raczej celem utworów poetyckich...

— Boże, cóż to za kreatura!... marszczy się Nena z jakiemś bolesnem niemal obrzydzeniem. I jak go też przełożona mogła tutaj dać?...

— A co? Eleganckom ubrała naszą Budzię?... tryumfuje z tyłu Szteinówna. Zachciewa mu się też uwagi robić, a jakże. A figę... Siedziało było to cicho i dziękowało panu Bogu, że mu za takie ględzenie jeszcze piątkę dają. A to się także... stawia!... Dobrze, że i tak jest spokojnie...

Rzeczywiście. W klasie podczas wykładu Butkiewicza jest względnie cicho, bo prawie każda jest zajęta. Jedne czytają, drugie piszą, jeszcze inne rozmyślają o rzeczach milszych od rozwoju literatury tak słodko i głęboko, że budzi je z letargu dopiero dzwonek. Kursują karykatury, rysunki, liściki. Najpilniejszą z nielicznych, które uważają, jest oczywiście Anka. Patrzy na profesora szaremi, jasnemi oczami z właściwym sobie wyrazem, na którego samem dnie tai się jakieś miłosierne, głębokie wszechzrozumienie. Zdawałoby się, że słuchając i patrząc, współczuje czemuś niedostrzegalnemu dla innych, co ona jedna pochwytuje i rozważa. A siedząca przy niej Maruta Pnińska wsparła na dłoni złotowłosą główkę i z przyzwyczajenia patrzy na profesora

ale wzrokiem tak słodkim i rozmarzonym, że można za niepokaźną postacią Butkiewicza z całą nieomylnością przypuścić zjawę najświeższego w sercu Maruty uniformu wraz z jego posiadaczem.

— Stypa, jak babci pieska kocham, stypa!... Ty tylko spójrz na Pnińskę, nie, spójrz... A to ci lala! patrzy na Budę, jakby go kto miodem posmarował! I ani mrugnie. Jeszcze się w niej nieborak zakocha i będzie familiendram. Pani Budzina wytoczy proces i Pninsię wyleją z interesu. Czekajcie, już ja..

Niezmordowana Szteinówna kręci z bibuły skrzętnie jakąś kulkę, celuje, zatyka ręką usta—i trafia wniebowziętą Marutę w sam środek różowego policzka.

— Paff!... akompaniuje sobie szeptem. Jak się masz Pninsiu! Dzień dobry!...

Maruta, brutalnie wydarta marzeniom, gwałtownie drga, czyni odruchowy gest ręką i oblewa się gniewnym ponsem. Następnie, dając folgę oburzeniu demonstracyjnie się odwraca od Szteinówny, tak, że siedzi na ławce prawie bokiem. Rozbrzmiewają znowu stłumione śmiechy.

— Cicho!... Buda patrzy! rozlega się skądś ostrzegawczo.

Rzeczywiście. Lękliwe, stracone spojrzenie zawisło na roześmianej grupie i trzepoce się przez chwilę w niepewności. Na zaczerwienionej plamami wypieków twarzy znać walkę, przymus i przykrość.

— Panna Szteinówna zdaje się znowu... tego... jąka się z wymęczonym na ustach, niepewnym uśmiechem Butkiewicz. Nietylko sama, ale .. to jest... tak nie można lekceważyć sobie wykładów!.. wyrywa się nagle z wątłej piersi niespodzianie prawdziwy, nabrzmiały oburzeniem i bezradnym żalem wykrzyknik. Na zapadłe policzki tryska nagle krwisty rumieniec. Ja się zwrócę.. to jest.. poproszę przełożoną o zwrócenie uwagi!... Tak!..

Arogancka, pulchna twarz Szteinówny wybłyska ponad ławki.

— Przepraszam, panie profesorze, to naprawdę niechcący... Pan profesor wybaczy... słychać układny, pokorny głos. Szteinówna ma zapowiedziane, że za pierwszą skargę może wylecieć z pensyi, na której się i tak trzyma bardzo krucho.

Chuda, wązka ręka profesora trze z wysiłkiem czoło. Oczy już znowu uciekły pod powieki. Po chwilowym wybuchu śmiałości, szczupła postać jeszcze się zbiera i ściska w sobie, jakgdyby pragnąc za wszelką cenę uniknąć kilkunastu par śledczych,

szyderczych lub zdziwionych oczu. Wreszcie macha z rezygnacyą ręką.

— Proszę, proszę tego... usiąść. Wszystko jedno. Jeśli tak...

— Czekaj, czekaj ty, ofiaro!...—syczy, siadając Szteinówna. Ja ci kiedy taką przełożoną sprawię, że zatańczysz...

— Jakiż on jest, Boże drogi, jakiż on jest... myśli ze ściągniętemi litosnem obrzydzeniem brwiami Nena. I że też im się chce takiemu dokuczać...

— Nie może pojąć, jak podobna dokuczać takiej „kreaturze“. Nieszczęśliwy, stracony, jąkający się, źle ubrany. Nena nie może poprostu patrzyć na Butkiewicza bez mieszaniny żałości i mimowolnej odrazy, i wogóle patrzy na niego tylko ukradkiem, poprostu jej wstyd. To lękliwe, biegające, jakby zaszczute wieczną obawą spojrzenie... A ręce?...

Odbierając od Butkiewicza kajet, Nena stara się go brać za najdalszy koniuszek. Czerwone, drżące, spocone...

— Brr!... wstrząsa się Nena. I one takiemu właśnie dokuczają?... Takiemu?...

Usta Neny wykrzywia zwykły, trochę dumny, trochę lekceważący grymasik. Lekceważenie i żałość dla profesora, lekceważenie i niesmak dla tych dziewczynek, którym się chce...

— Boże! żeby też już sobie raz poszedł!... wzywa w duchu Nena. Odwraca głowę i widzi, że Anka, pochyliwszy nizko nad kajetem głowę, pisze coś z taką werwą i zacięciem, jakby od pośpiechu zawisło jej całe życie. Jestto tembardziej dziwne, że Butkiewicz mówi nadzwyczaj niejasno i plącze się i poprawia ustawicznie. Nena się z zaciekawieniem pochyla i spostrzega na kajecie Anki, na świeżo zapisanych liniach, dwie brudno-fioletowe, atramentowe, wodniste plamy. Spostrzega też, że Anka przyciska z całej siły dolną wargę zębami i pochyla głowę coraz niżej, tak, że nad pulpitem widać tylko jej jasne, jak pszenica włosy i wyglądające przez nie, zaczerwienione uszka.

*

* *

— Umiesz już geografię na jutro, Pnińska, co?... Bo ja, to jeszcze nic a nic...

— Umiem!... płaczliwie przedrzeźnia zadąsana Maruta. Siedzę od godziny i nic a nic mi nie włazi do głowy. Pasya ogarnia...

— Bo też pilno ci się na jutro uczyć. Jędrzyk cię już przecie wyrywał?...

— No?...

— No, to jutro znowu przecie nie wyrwie. Co innego ja nieszczęśliwa. Skrzyńska wyrwana, Szpaczyńska też, teraz Szteinówna, jak strzelił. Wszystkie P i wszystkie S już były, tylko ja nie. I jeszcze ta mapa bez nadpisów. Rozpacz!... Muszę przed wykładem jeszcze popostawiać ołówkiem choć miasta i dopływy. Rzeki jak tako wiem....

— A wiesz, że masz racyę.. Dam pokój — rozważa uspokojona Maruta. Jestem P., to chyba nie wyrwie. Lepiej sobie pomyślę nad tem ćwiczeniem z polskiego. I co mu tam pisać?... przechodzi pojęcie... gdzie ta Wrocka? Wrocka, Anka... Chodź-no tu. Powiedz, jak mu o tem jutrzejszem napisać?...

Anka z zawiniętemi rękawami i z kredką w ręku, tłómacząca coś dwom panienkom przy tablicy, przybiega, zarumieniona, do Maruty. Wypracowanie?... Ależ jest nawet plan, to bardzo łatwe. Chodzi najpierw o...

Anka przysiada na ziemi przed Marutą i Szteinówną i na brulionie kreśli podanym sobie ołówkiem cyfry i zdania.

— Najpierw: wstęp. Ta duża rzymska jedynka. Po tem sam opis: przyjazd na pensyę, mała jedynka. Pierwsze wrażenia, no, koleżanki, wykłady, wszystko... A potem Stroński kazał napisać, jakie plany na przyszłość. Po skończeniu pensyi. Wiecie?

Po skończeniu.... przeciąga z rozczarowaniem Maruta. A cóż ja wiem co będę robiła po skończeniu?.. Nawet o tem jeszcze wcale nie myślałam..

Anka ze zdziwieniem roztwiera szare oczy.

— Nie myślałaś?... A pocóż ty się uczysz?... zapytuje szybko. Przecież każdy człowiek musi wiedzieć, co i po co robi, bo jakże?...

— Ciekawam, co ja mam do wiedzenia?... obraża się Maruta. Oddali mię, to jestem. Niech maina i papa o tem myślą. Ze mnie i tak dosyć, że siedzę w tej budzie... Przyjemność!...

Anka patrzy na nią przez chwilę z protestem, ale potem się uspokaja.

— No, ty masz rodziców.. decyduje po namyśle Chociaż zawsze...

— Oczywiście. Wrotsia już sobie w kołysce, żeby czasu nie tracić, rozplanowała, jaką będzie, na jaką pensyę wstąpi, co będzie robić po skończeniu i jak ma być na imię jej mężowi.... wtrąca Szteinówna. Jakże!...

— Nie w żadnej kołysce!... oburza się prawie ze łzami Anka. A że wiem, po co się uczę, to bardzo proste...

— A czem chce być po skończeniu, Wrocka?... zapytuje nagle milcząca dotąd Horniczówna. Siedzi jak zwykle w swoim kącie za firanką, blizko katedry i, jak zwykle, więcej słucha, jak mówi.

Na głos jej milcząca dotąd Nena odwraca także głowę. Niewiadomo czemu, ta poważna, surowa niemal dziewczyna, o chmurnych oczach pod szerokiemi i prostemi brwiami, ze swoim nizkim głosem i bladą twarzą, małomówna i odrębna, przykuwa jej uwagę z nieposkromioną uporczywością. Nena się sama przeciw sobie z tego powodu buntuje, bo i cóż takiego ta Horniczówna, żeby się nią zajmować?... Chyba tyle, że niepodobna przecie nie zwrócić uwagi na jej dziwactwa. Z tego też naturalnie tylko punktu Nena ją darzy swoją uwagą. Przytem Horniczówna jest z pewnością zarozumiała. A Nena niecierpi zarozumiałości. I oburza ją to, że te gąski prawie wszystkie uważają sobie niemal za zaszczyt jeśli Horniczówna do nich raczy przemówić. Sama czasem odpowiada na pytania, czasem się nawet nie fatyguje, ale jak przemówi, niby z łaski, do pensyonarek, to wszystkie słuchają jakby była niewiem czem. Takie... gęsie .. Nena oczywiście, także śledzi z ciekawością rozmowy, w których bierze udział Bronka, ale, jasna rzecz, robi to poprostu przez obserwacyę. To zupełnie co innego...

Rzeczywiście. Pomimo całej odrębności i usunięcia się od życia koleżeńskiego, pomimo wcale nie zachęcającego sposobu bycia i pewnej nieprzełamanej zapory, którą Horniczówna zdaje się być oddzieloną od pensyonarskiego ogółu, koleżanki mają dla niej pewien niewytłómaczony szacunek i uznanie. Coś niezłomnego, hardego i twardego wieje z prostych brwi, z odrzuconej zlekka w tył głowy o ciężkim, ułożonym w koronę warkoczu, ze stanowczych, oderwanych zdań, któremi przemawia. Jest w niej coś, co się każe szanować i co imponuje. I coś, co zaciekawia i przykuwa. I jeszcze coś, wzbudzającego, mimo wszystko, dziwne zaufanie. Horniczówna umie odciąć tonem zimnym i ostrym jak stal, ale nigdy, nigdy nie dojada nikomu kąśliwemi dowcipami à la Szteinówna. Horniczówna nigdy się nie pieści i nie rozczula, ale w jej obecności panienki nigdy nie urządzają tyle ukochanego w zakładach zamkniętych polowania z naganką wobec upośledzonych, pod tym lub owym względem koleżanek. Horniczówna nie zwierza się nikomu, ale ma specyalny sposób słuchania w chwilach łaski, który przedziwnie usposabia do zwierzeń. Jest wogó-

le w tej bladej, zagadkowej dziewczynie coś, czego pensyonarki nie umieją jeszcze nazwać, ale co równoważy wszystkie jej dziwactwa i skłania je dobrowolnie do uznania jej autorytetu i przewagi. Jeśli Horniczówna, którą uczennicę „ścięła“—większość ma przekonanie, że tak jej się słusznie należało. Jeśli przyjmuje czyją stronę, dziewczynki wierzą, że po tej właśnie stronie jest prawda, chociaż przed chwilą nie miały o tem jeszcze bynajmniej zdecydowanego zdania. Horniczówna uczy się średnio, ale wszystkie są przekonane, że „to tylko tak“...—żeby tylko Horniczówna zechciała... mówi się między sobą. I wymieniając najlepsze siły klasy, wylicza się zwykle: Miedúniecka, Wrocka, Horniczówna...

Wrocka jest pierwszą „prawdziwą“. Dalej idzie Iwiecka „tylko tak“—bo kuje, potem Trzcińska, bo zna najlepiej języki, potem Zawiszanka, bo ją „pchają“—potem „prawdziwa“ Nena, która się nie uczy, ale mogłaby być lepiej od Zawiszanki i Iwieckiej, choć jej trochę psuje niemczyzna, a potem, przez parę stopni, Horniczówna. Niemniej i o niej powszechne zdanie jest, że gdyby tylko chciała... Ale Horniczówna nie chce. Koleżanki utrzymują, że niema nawet czasu, bo ciągle siedzi w jakichś daleko mądrzejszych niż pensyjne księgach. Jedne twierdzą, że Horniczówna jest bardzo dobra, tylko tego nie pokazuje, inne—że jest „nadęta“, jeszcze inne—że musi mieć jakiś dramat. Mówi się o Horniczównie z egzaltacyą i niechętnie, przyjaźnie i uszczypliwie, ale się w chwilach stanowczych, uznaje bezwzględnie, jakby przez niemą umowę, jej zdanie za rozstrzygające.

— Co one w niej widzą?.. buntuje się Nena, patrząc na zwrócone w tej chwili ku bladej, jakby zastygłej twarzy Bronki te pensyonarskie, dziecinne jeszcze twarzyczki, na których wszystkie wrażenia malują się jasno i dokładnie. Co ona?... Nauczycielka?...—Starsza?—Taka sama pensyonarka, jak i one! Gęsie!...

— I ta Anka!..

W Nenie coś się burzy. Za dumna jest, żeby się jednak z tem zdradzić. Nawet, ile razy sama się złapie na tych myślach, zagryza usta i chmurnie ściąga wąziutkie brwi. Co ją zresztą obchodzi ta Horniczówna i pensyonarki, i wszystko!... Co ją teraz wogóle na świecie obchodzi...

Nena, siedząca w cieniu dużej mapy, ostro otwiera książkę i pogrąża się w geografii, zatykając dłońmi uszy. Niech gadają, jeśli się im chce...

* * *

— A czem chce być Wrocka?...

Na rzucone zza firanki pytanie głowy dziewczynek obracają się na chwilę ku Bronce, wpół zaledwie widocznej od cieniu, a następnie z ciekawością kierują się w stronę zgorączkowanej Anki, z ciekawością i oczekiwaniem. Rzeczywiście, czem?...

— Ja?... mówi Anka z jakiemś szczególnem rozpromienieniem. Ja?... Najpierw naturalnie skończę pensyę, zdam na patent, a potem...

Anka się zatrzymuje.

— No?... mówi krótko Bronka.

— No?... i co? i co? będziesz nauczycielką?... dopytują się dziewczynki. Może zostaniesz tutaj na pensyi? Nie?...

Anka przecząco i w zamyśleniu trzęsie głową.

— Pójdę na rok na praktykę do szpitala. Na opatrunki. U nas na wsi tyle ich przychodzi, tyle... Felczer daleko, doktór jeszcze dalej. A oni nic, nic, nic nie umieją. Ani zatamować krwi, ani przewiązać, ani z dziećmi... kurzą ziołami, zamawiają i umierają... Tacy są nieszczęśliwi, tacy biedni, tacy...

Głos Anki drży i wreszcie się zrywa. Nastaje chwilowa cisza. Dziewczynki zamyślone patrzą na dziecinną, różową i białą twarz Anki, na jej pulchne, drżące od wzruszenia usta, na jasne, krótkie warkoczyki, kapryśnie i wężykowato skaczące po plecach przy każdem poruszeniu...

Anka Wrocka w szpitalu, przy opatrunkach. Ta sama Anka, która się boi przełożonej, uwielbia nonszalancyę Neny i płacze nad przetrąconą łapką brzydkiej, pensyonarskiej wrony, znalezionej przez dziewczynki pod ogrodowym murem...

— I nie będziesz się bała?... A jeżeli krew?... brr!... wstrząsa się któraś.

Ale Anka tylko naprędce przeczy głową i ciągnie dalej:

— A potem będę w naszej szkole. Ambulatoryum, to tylko dla szkoły, bo jakże tam żyć na wsi nie umiejąc leczyć?.. Babciunia im daje różne zioła, suszone jagody, czasami jaką maść. Ale to mało. Babciunia sama mówi, że na to trzeba dużo, dużo wiedzy, ale sama już się przecie teraz uczyć nie może. Więceśmy już oddawna postanowiły, że jak dorosnę, to się nauczę przez rok ile będzie można, a potem do szkoły, My w Zahorodach mamy szkołę, ale tam nie po polsku. Nie pozwalają. A dzieci polskich jest dużo, dużo, znacznie więcej od innych, ale już prawie zupełnie nie umieją mówić. Tylko się żegnają jeszcze i pacierz mówią jak u nas. A nauczycielki tam nie chcą jechać: daleko... nudno... Tak, że one już zupełnie... zupełnie... Ty-

le tylko co ksiądz proboszcz w kościele kazanie mówi, albo jeśli które do babci na katechizm chodzą. A takie są niektóre dzieciaki ładne... jasnowłose... a brudne... a obdarte... i nie wiedzą nic, nic...

Anka milknie i wsparłszy głowę na małych czerwonawych rączkach, patrzy cichutko przed siebie szaremi, świetlistemi oczami z owym właściwym sobie litośnie rozumiejącym wyrazem. Różowa twarz okrywa się cieniem jakiegoś odległego zamyślenia i tchnie z niej, mimo wszystko dziecinną jeszcze świeżość, coś przedziwnie macierzyńskiego, coś z mądrości dojrzałego głębokiem ukochaniem serca. Siedzi, jasnowłosa i drobna na tle ciemnej katedry, wśród zwróconych ku niej, ciemnych i jasnych, ciekawych i zapatrzonych główek, ze swoją białoróżową cerą, ze swymi kapryśnemi warkoczykami, z niezgasłem jeszcze uniesieniem w osłoniętych zapatrzeniem w dalekość życia oczach — i sama najmniej sobie zdaje sprawę, że cała jest w tej chwili, jak jakiś mądry, śliczny, przemiły apostolski kwiat.

I grupa dziewczynek milczy także. Każda na swój sposób rozważa usłyszane przed chwilą słowa i pod swoim kątem patrzy na wywołane przez nie obrazy. Na twarzy Szteinówny maluje się ironia, poprzez którą zda się przebijać głęboki, gorzki żal. Iwiecka siedzi na ziemi i objąwszy dłońmi kolana, nie mrugając, patrzy w górę na Ankę. Na ładnej, kapryśnej twarzy Maruty Pnińskiej maluje się pewne zainteresowanie, pomieszane ze zdziwieniem. Taki sam wyraz miewa przy pokazach z historyi naturalnej, kiedy ogląda przez mikroskop jakiegoś nowego i ciekawego żuka. Horniczówna, nie zmieniając pozy, z brodą opartą na ręce i zesuniętemi brwiami, patrzy na Ankę uważnym i jak zwykle nieodgadnionym wzrokiem. Nenę skuloną w mroku dużej, odwróconej od światła mapy, widać tylko jako niewyraźną, majaczącą w cieniu sylwetkę.

— Szczęśliwa ta Wrocka... przerywa pierwsza Szteinówna ogólną ciszę. I jeszcze sama chce te swoje dzieci uczyć. Może dlatego i chce, że nie musi. A żeby tak jak mnie wiedzieć, że tak czy owak trzeba będzie jakieś bachory obkuwać, ledwie sama od tych przebrzydłych szpargałów odejdziesz, to... choroba austryacka ogarnia...

Szteinówna nagle z zaciekłością się odwraca i odchodzi, potrząsając głową.

— Wrocka na słowach cały świat uleczy!... wybiega nagle z mroku mapy nierówny, szyderczy głos. I dzieci uczy, i chłopom pomaga, i Boże drogi... A jak na pensyi zobaczy przetrą-

coną wronę, to sama o mało do szpitala nie idzie. Ona będzie uczyła, ona opatrunki... cha cha! cha!!... Bohaterka!...

— Miedumiecka!... A jej co?... zapytuje ze zdumieniem, otwierając szeroko oczy, Iwiecka — wściekła się, czy co?...

— To, że jesteście wszystkie komedyantki!... komedyantki!... rzuca jeszcze stłumionym, dyszącym głosem Nena. I Wrocka, i ty, i wszystkie!... wszystkie!... wszystkie!...

Poczem Nena ciska geografię na katedrę i wybiega z klasy. Słychać po chwili trzaśnięcie drzwiami gdzieś na górze i otwierające się na piętrze okno. Potem wszystko milknie.

* *

Z Neną dzieje się coś dziwnego.

Nie umie sama zdać sobie jasno z tego czegoś sprawy, ale czuje, że owo coś jest. Robi się kapryśna i zmienna, jak dzień marcowy. Drażnią ją nieraz najwierutniejsze bagatele, irytują ludzie, rzeczy, słowa. Chciałaby czasem płakać i tupać nogami, jak mała dziewczynka. A przecie jest już nie mała. Ma piętnaście prawie lat...

Właściwie jednak, jeśli już mówić otwarcie, Nena może i wie. Ale, w każdym razie, nie chce wiedzieć. Ona?... Nigdy!... A jednak tak jest. Nenie jest źle, Nena kaprysi, Nena jest niemożliwa. Dlatego, że ona, Nena, jest zazdrosna.

A tak. Najprościej, najpospoliciej w świecie, jak Iwiecka o wypracowania Anki, jak Maruta o nową krawatkę, jak...

Nena jest zazdrosna o – siebie.

Nie może mianowicie zrozumieć pewnej rzeczy. Czuje, że stanowisko jej wśród koleżanek ulega zmianie, a nie jest w możności temu zaradzić. Dawniej przecie było zupełnie inaczej. O! zupełnie... Ona, Nena, przyjechała poraz pierwszy na pensyę. Pamięta siebie dobrze. Była wtedy malutka, prawda dziesięć lat. Ale była dobrze ułożona, umiała ślicznie dygać, ładnie chodzić, zgrabnie siedzieć, wiedziała jak się zachowywać przy stole, nie mięszała się wobec przełożonej i umiała po francusku rozmówić się zupełnie swobodnie. Ogólnie wydawała się znacznie bardziej posuniętą od małych wystraszonych wstępniaczek. Przytem choroba i śmierć matki, własna choroba, potem przejścia z ciotką...

łzy nad dawnemi, utraconemi Miedunćami i bolesne naginanie się małej duszki do tych nowych, obcych, z krowami i pomidorami na pierwszem miejscu. Dlatego, po przybyciu na pensyę, dziesięcioletnia Nena patrzyła na dziesięcioletnie Zosię, Jadzię i Helę coś niecoś, troszeczkę z góry. Pysznić się i przechwalać tak jak Szteinówna, kiedy wypadkiem złapie z czego piątkę, fe... tego by ona, Nena, znowu nie robiła. Ale mieć to wewnętrzne przekonanie i—ba... lubić w sobie tę maleńką, pyszną świadomostkę, to kto wie...

— Zresztą, Boże drogi! Inaczej byłoby nawet trudno. Te dziewczynki były takie dzikusy.. Były podziwy nad pilniczkiem do paznokci, było zdumione, pobożne oglądanie podróżnej neseserki, ze wszelkimi przyborami toaletowymi (wuj Felek), były pytania o każde pudełko, szczoteczkę, spinkę. A co to? A do czego? A skąd to ma? A kto ją nauczył?... I to... i jeszcze to, patrzcie, patrzcie... Dziwne!...

Z owych to czasów na drobnych, bladoróżowych wargach Neny zaakcentował się pewien specyalny, leciutko lekceważący uśmieszek. Nie, broń Boże! wydymanie ust jak naprzykład u Smolkowskiej, kiedy opowiada o swoich tryumfach nad kolegami braci i braćmi kolegów. Fe... Taki malutki, taki prawie niedostrzegalny cień cienia... Zresztą, zupełnie wbrew, a bądź co bądź, mimo jej woli pozostały. Kiedyż bo one były takie zabawne! Dziwią je najprostsze rzeczy. To jest proszek do polerowania paznokci, tu jest krem do rąk, a to mydło w proszku! Do drogi. Cóż nadzwyczajnego?... każda kobieta musi to przecie mieć...

Dziesięcioletnie, o czerwonych, powalanych atramentem łapkach i wytrzeszczonych w podziwie oczach kobietki przenosiły zachwycony i zbożny wzrok z proszku i kremu do rąk na Nenę i z powrotem i nabierały dla niej szacunku. Uznawały najzupełniej swój analfabetyzm toaletowy oraz całą przewagę tej wysmukłej, starannie uczesanej dziewczynki o obznajmionych z mydłem w proszku i pilniczkiem rękach... Ba! u nich w owe czasy, toczyła się jeszcze wiekuista walka z „paziami“ o kleksy na palcach i fantastycznie potargane łebki...

Z owych też czasów datowało dokładnie uświadomienie sobie tego, jak miłą rzeczą jest jednakże wiedzieć, że się stoi coś niecoś, cokolwieczek wyżej nad ów maleńki, czarnofartuszkowy tłumik. Zarazem zdawało się iż czasy, kiedy ona, Nena, sama podobnież się o najrozmaitsze rzeczy mamy, wujka i Malisi dopytywała, odeszły gdzieś w odległą, odległą dal. Ona? Ona zawsze wszystko wiedziała. A już bądź co bądź nie otwierała

na całą szerokość o lada drobiazg oczu, jak te wszystkie dziewczynki. To, to już z całą pewnością...

Wtedy też do dyskretnego uśmieszku dołączyło się jeszcze zatrzymane następnie na dalsze czasy zdanie:

— Nic nadzwyczajnego...

I leciuchne wzruszenie ramion.

*

* *

Niemniej, jedną z największych przyjemności — Nena to dobrze pamięta—stanowiło dla niej właśnie zdumiewanie „tych małych“ swą wyższością. Pamięta rzecz o pewnem trudnem zadaniu arytmetycznem w klasie drugiej. Małe, poplamione łapki współkoleżanek pracowicie a bezskutecznie zasmarowywały kartki długiemi kolumnami kulfonowatych cyfr. Nena też nie mogła dać sobie rady. Zadanie było, jak się zdaje, pomylone w druku.

Wtedy Iwiecka zwróciła się o pomoc do niej, Neny. Czy próbowała je rozwiązać?... Bo one to nic a nic nie mogą. A jeśli i ona nie, to już niewiem...

— No! nic wielkiego. Żeby nie ta Szteinówna, która zawsze swoje trzy grosze... Czemu ona wtedy musiała, ze swoim tym śmieszkiem... „Mieduniecka! właśnie!.. książki do rąk niebierze!... Świętym duchem“!...

Nenę aż coś poderwało. A właśnie, że zrobi! Bierze książkę do rąk, czy nie, to jej, Neny, własna sprawa. Szteinównie do tego nic... Powiedziała do Iwieckiej zupełnie obojętnie:

— Teraz nie mam czasu, ale po kolacyi spróbuję. Muszę odrobić francuski...

Po kolacyi przyszła do tablicy, zawołała koleżanki i rozwiązała zadanie. Ach!... jakie miały miny!...

— Nena! wiesz! ty, gdybyś chciała, tobyś była pierwszą. Ja ci mówię... zaklinała się mała Iwiecka z uwielbieniem. Takie zadanie, które żadna!...

— Nie, patrz, jak ona to rozwiązała!..

— Ja chciałam tak samo, ale przy tym drugim bracie pomnożyłam, zamiast dodać i przez to..—tłómaczyła inna.

— Mieduniecka, jak zechce, wszystko potrafi!... — mówiła z przekonaniem jeszcze inna. Już jeżeli to zadanie potrafiła...

— Nic nadzwyczajnego... uroniła od niechcenia, otrzepując chusteczką z kredy ręce, Nena. Nawet wcale nie było takie trudne...

Nikt nie widział jak przed pół godziną Nena, stojąc w czwartej klasie przed jedną ze starszych uczennic, ze ściągniętemi brwiami, uważnie pisała pod jej dyktando jakieś liczby.

— Ach! ona wie, ona sama wie, że to było takie... Ale kiedy niepodobna było inaczej. Wszyscy myślą, że ona potrafi, a ona by raptem powiedziała: nie mogę... Przecież nie mogła!... no?... I zresztą naprawdę byłaby potrafiła rozwiązać sama, gdyby nie to, że wykładu prawie nie słuchała. Bo też ta arytmetyka, te cyfry, Boże!.. Wszystko, ale nie to. Poprostu nie może słuchać: usypia, jak od jakiego nasennego lekarstwa. I zresztą, po co te wszystkie dzielenia, mnożenia, matematyki, wykłady...

*

* *

— Po co?...

— Rzeczywiście. Po co? Po co się ona miała uczyć?... Do niedawna w to pytanie Nena nie zagłębiała się wcale.

Przypomina sobie wprawdzie, że kiedyś w dzieciństwie, po jakiejś awanturze z ciotką, nieszczęśliwa, mała, spłakana, mówiła, tuląc się do Malisi:

— Nianiusiu!... Wyrosnę duża, nauczę się wszystkiego na pensyi i wtedy wyjedziemy!... Będziemy sobie mieszkały same, we dwie, nianiusiu, prawda? co?...

Tak. Ale wróciwszy po pierwszej zimie na wakacye do Miedúńców, nie zastała już Malisi. Ładna Hanka, z nieśmiałem współczuciem otulając Nenę końcem swego szala i ramieniem, zaprowadziła ją na mały, wpółopuszczony cmentarz za jeziorem i wskazała drewniany, nieosędziały jeszcze krzyż. Mogił było niewiele, ale było dużo tarniny, dzikich róż i pachnącej, białej kaszki, a w do pasa wysokiej trawie świerkało, dzwoniło i popiskiwało. A nad mogiłami, nad trawą i nad starą kapliczką szumiały sobie odsetletnie jodły. Szumiały cichuteńko, tajemniczo a nieustannie, choć nie było żadnego wiatru, tylko złota, letnia cisza szumiały, szumiały, szumiały...

Tam była Malisia. Jej cała Malisia. Ze wszystkiem. Z pieszczotami i z rozmowami o Panu Bogu, i o złych i dobrych dzieciach i ze wspomnieniami o mamie i z ukochaniem jej, swojej Iruńki, swojej rybeńki...

Na tym starym cmentarzyku, w tej trawie, pod temi jodłami, Nena wypłakała swoje ostatnie „takie“ łzy, jak je określiła sama. Potem przecie jeszcze płakała, o! płakała... O! ile razy... O to, że ciotka każe nosić zeszłoroczne mundurki i że pozwala Nastce niegrzecznie jej, Nenie, odpowiadać... I tu na pensyi czasami... szczególnie w pierwszych latach. Tylko kiedy nikt nie widział. Bo one myślały, że Nena nigdy nie płacze. Same się mazały o byle drobiazg, więc dla niej były z szacunkiem. Więc płakała czasem w nocy, ostrożnie, cichutko i bojąc się, żeby która nie usłyszała. I to przeszkadzało płakać naprawdę i naprawdę te łzy, to już nie były „takie“ łzy...

*

* *

I oto, od tamtych czasów, Nena już nie wiedziała właściwie, po co się uczy na pensyi...

Uczyła się, bo ją oddano. Uczyła się, bo wszystkie się uczą. Uczyła się, bo przecie trzeba coś mówić skoro jest wyrwaną...

Tak; ale to było nie poco, tylko: dlaczego. Ale poco?...

— Zresztą, któraż tam medytowała, poco? Uczyły się tak samo: bo je oddano i bo wszystkie się uczą. Wszystkie uważały przeciętnie wykłady za pańszczyznę, a pensyę za zło konieczne, prowadzące do kraju nieznanej szczęśliwości.

— Kiedy skończę pensyę... zaczynały się sakramentalne poufne, koleżeńskie rozmowy.

— Żeby też już raz skończyć tę pensyę!... wzdychano chórem.

Nena w ten sposób nie mówiła i nawet nie myślała. Skończyć?... Cóż jej potem!.. Z dwojga złego, wolała pensyę od ciotki. Raz, że była tu wszędzie zabezpieczona od bolesnego widoku sponiewieranych Mieduniec, w których płaskie, rozklapane pantofle ciotki deptały na każdym kroku jakieś od lat zespolone z sercem jedyne w świecie wspomnienie. A powtóre, że na pensyi, w swoim malutkim światku, Nena była podziwiana, przodo-

wała i zwracała uwagę. I te właśnie szczególiki stały się nieznacznie z biegiem czasu, punktem ciężkości w życiu pensyonarskiem Neny. Módz dokonać czegoś, co dla innych przedstawia trudności i z leciuchnem, obojętnem wzruszeniem ramion rzucić od niechcenia:

— Nic nadzwyczajnego...

Jeżeli się zdarzyło jakieś trudniejsze pas w tańcu, które nie wszystkie panienki potrafiły odrazu dobrze wykonać podczas pierwszej lekcyi, duże lustro w pustej we dnie ubieralni na górze oglądało z pewnością wkrótce potem wysmukłą, zgrabną figurkę, wyginającą misternie nogi, ręce i głowę na rozmaite sposoby póty, aż nabrały wskazanej perfekcyi. A potem na lekcyi tańca się słyszało:

— Panna Wrocka źle stawia nogi w pas quatre, lewą nogą tak... prawą tak... korpus na prawo... główkę trochę przechylić. Nie tak sztywno, z wdziękiem od niechcenia.. Niech panna Wrocka się przyjrzy pannie Mieduniecklej, pierwszy rząd na lewo. Panna Mieduniecka powtórzy raz jeszcze to pas...

I panna Mieduniecka, z nieskazitelnym „wdziękiem od niechcenia“ przechylała głowę, ustawiała misternie stopy i powtarzała figurę. Nauczycielka baletmistrzów, po jakiemś flirt-monstre, na pensyi nie tolerowana –kiwała z aprobatą głową, zaś skompromitowana Anka, której najsłabszą stroną, obok wymowy, były tańce—szeptała w podziwie i zmartwieniu:

— Jak ty to ślicznie robisz, Nenuś... To takie trudne...

— Nic nadzwyczajnego...—odpowiadała obojętnie Nena. Trzeba tylko trochę się przegiąć i nogi ustawić tak...

Tak samo było z wykładami i ze wszystkiem.

O ile lekcya była zwykła, Nena ją przeglądała piąte przez dziesiąte. O ile była trudna i koleżanki nad nią biadały, robiło się wszystko, żeby potem szeptano:

— Szczęśliwa ta Mieduniecka! Jak zechce, to wszystko umie...

I Nena podnosiła zgrabną główkę trochę niedbałym, a trochę dumnym ruchem. Bo to zresztą nieprawda?... Jeśli ona zechce...

A jednak, gdzieś na samem dnie, Nena się czuła głęboko z siebie niezadowoloną. Więcej: było jej czasami czegoś siebie samej wstyd. Ale za nic, za żadną cenę, nie byłaby się z tem przed nikim zdradziła. Och! nigdy. Ona dla innych musiała, musiała być „szczęśliwą“... Neną Miedunlecką, o której wszech-

mocności, mówi się z pełnym zazdrości podziwem. Musiała i była. Aż oto od niejakiegoś czasu...

Od niejakiegoś czasu coś się zaczęło psuć.

Nawet wie, od jakiego: z tej repetycyi.

Lewicki kazał powtórzyć czterdzieści stron. Wokoło o niczem się nie mówiło, tylko o tej historyi na jutro. Wszystkie się pościnają, niema mowy. Chyba Iwiecka i Wrocka wykują...

— Niemożliwe... krzywi się prawie ze łzami Maruta. Czytam trzeci raz i nic mi w głowie nie zostało. Wszystkie Leszki i Zygmunty się pokręciły. Boże! Czarny, biały, stary, krzywy...

— Trzy!... Tu i pięć razy nie wystarczy. Już samych lat... Jezus Marya!... Teraz i Mieduniecka na jednem przeczytaniu nie wyjedzie. Oho!...

— Wcale nie takie trudne... odrzuciła Nena. Zresztą, powtórzenie...

— No, oczywiście. Cóżby tam dla naszej Mieduńsi było trudne. Szczególnie na języku, to raz, dwa, pięć i już...—warknęła wówczas Szteinówna. Ach! ten jej wstrętny, szyderczo-wyzywający tonik!... Żeby nie to... Ale potem, to już musiała.

— Możecie się przekonać. Mówię, bo tak jest—odparła dość pogardliwie. Nawet obiecałam przeczytać razem z Wrocką...

Rzeczywiście. Przeczytawszy raz, zabrała demonstracyjnie album Iwieckiej i zaczęła malować przyobiecane kwiaty. Ale pamięta, że w duszy czuła niepokój. Kurs był duży, a uczyła się bardzo dorywczo. Po jednorazowem odczytaniu została tylko mięszanina imion, faktów i dat. A tu w dodatku Lewicki ją wyrwie z pewnością, bo wypada z kolei. A przecież nie może teraz się zabierać do czytania na nowo...

Na dalszy ciąg Nena dotąd się krzywi tak, jakby przełknęła coś bardzo przykrego. Pamięta doskonale tę chwilę około północy w sypialni, gdy na ramieniu jej, skulonej na łóżku za swoją firanką przy mdłem świetle przyćmionej lampy i tak pogrążonej w odczytywaniu historyi, że nie słyszała nic a nic, jak tedy na ramieniu jej położył ktoś rękę. Rozległ się cichy śmieszek.

Drgnęła fatalnie i podniosła oczy. Wolałaby ujrzeć wtedy pannę Adelę, przełożoną, bodaj upiora. Ale to była właśnie Szteinówna, bosa, w długiej, nocnej koszuli. Śmiała się ze zwężonemi w złośliwe szparki oczyma i zakrywała dłonią usta. Drugą ręką wskazywała kajet.

— A to sty... stypa... chuchała w samą niemal twarz Neny. To taki sławny „jeden raz“, co?... Jak babci pieska... parada!...

Opowiem jutro, to sobie boki pozrywają. Miedunśia w dzień kwiatki maluje, a w nocy nad kajecikiem... nie, wiecie!... Jak pannę Adelę szanuję!... Stypa!...

Nena miała wtedy tyle zimnej krwi, że się nie zdradziła.

— Cóż wielkiego?... Uczy się, bo zdecydowała, że nie wystarczy jej jednorazowe odczytanie, a Lewicki ją wyrwie. Zresztą, bynajmniej się z tem nie kryje. Sama by jutro powiedziała...

— Uhum. Sama!... domyślnie zmrużyła jedno oko Szteinówna, szeroko ziewając. Czekaj tatka latka. I jakby mię coś tknęło. No, idę spać. Kujże, Miedunśiu, dokumentnie, bo sława i tak przepadła, a Lewek ci gotów wlepić dwóję. Miłego!...

Nazajutrz wszystkie przyglądały się Nenie ciekawie i dowcipnie. Szteinówna aż się pokładała.

— Idę sobie cichutko, skromniusieńko do tej lampy, że czego tak świeci. Patrzę: aż tu moja Miedunśia siedzi. Wszelki duch Pana Boga chwali! Aż tu kajecik. A jakże: Bolesław Krzywousty. Aż mnie sparło. Sprytna Miedunśia, co?... W nocy sobie, bez ostentacyi... A potem, a jakże, jesteśmy nadzwyczajnością, czytamy czterdzieści stron jeden raz i dostajemy celujące... Już ja mam nos. Zawsze myślałam, że w tem coś jest...

— Nieprawda. To było pierwszy raz, że aż tak... Ale przecie nikt by jej nie uwierzył. Zresztą, ona by się i tak nie była tłómaczyła. Ale w życiu niezapomni tej chwili i tych gorzkich jak piołun, palących łez, ktore dusiła pod powiekami. Ze wstydu płakała poraz pierwszy, ze wstydu o siebie. Ona, Nena Miedzniecka...

I najgorsze, że nieraz i potem, kiedy dostała z czego piątkę, słyszała w przejściu niechętne, pogardliwe głosy:

— Znowu w nocy się pewno obkuwała...

To o niej, o Nenie. A ona im nie mogła, nic, nic...

Dotąd jeszcze na wspomnienie o tem Nena przycina z grymasem fizycznego niemal bólu dolną wargę i czuje buchający jej na policzki przykry war. A jednak, to było! było! było!...

* * *

I tak we wszystkiem.

Neseserek i pilników Neny na długo starczyć nie mogło; w końcu przestały imponować „tym małym“. Nena dobrze wie, dlaczego. U Maruty się zjawiły rzeczy ładniejsze i droższe, ba! takie, na które Nena patrzyła ukradkiem z podziwem i, zdaje się żalem. Ach! Maruta miała rodziców. Matka Maruty dotąd jeszcze uczęszcza na rauty, bale i zabawy. Maruta odjeżdża do domu na święta strojna jak laleczka, ubrana, ufryzowana, śliczna...

Nena jedzie w swoim bronzowym mundurku. Ona ma daleką drogę. Ona niecierpi zresztą tych gałganków..

— Ach, jak ona je cierpi!... I wiele by była oddała za taką cudną, bladoniebieską, pajęczynową princeskę Maruty....

Ale o tem wie tylko ona sama.

*

* *

Albo naprzykład z wykładami. Dawniej kompetencya Neny we francuskiem była nienaruszona. Nena mówiła swobodnie, podczas gdy dziewczynki uczyły się jeszcze z mozołem:

— Le père, ojciec. La merè, matka. Mon père et ma meré sont bons. Le soleil, słońce. Le chât, kot...

Nena z podziwem i kondolencyą spoglądała na te potargane, kiwające się do taktu słów nad książkami, pensyonarskie główki. Mają też nad czem tak się mordować...

Ona czytała sobie Walter-Scotta i mało wiedziała, co się w klasie robi. To było takie inne, niezwykłe, cudowne..

Aż stało się, że któregoś dnia przyszła mała Iwiecka z jakąś kolorową tablicą w ręku, przedstawiającą wnętrze fabryki: maszyny, walce, koła...

— Moja złota!... prosiła Neny: opowiedz mi to swojemi słowami!... Panna Gilbert dała książkę, gdzie to wszystko napisane, ale te nazwy takie trudne... nic się nie mogę nauczyć...

Swojemi słowami?... Ależ ona pojęcia nawet niema, co to jest...

— To jest fabryka papieru. Dla panny Gilbert na jutro. Ona nie wie?... To niechaj chociaż bez tych maszyn opowie, jak to trzeba, o tem wchodzeniu. Tout d'abord, en pénétrant dans la Salleà..

— Ach, to? To Nena potrafi. Trzeba tylko umieć opowiedzieć...

I Nena zaczęła wykład. Okazało się jednak, że tu i owdzie nastręczały się pewne trudności. O fabrykach Nena nigdy nie rozmawiała. Niektóre nazwy wydawały się nawet Iwieckiej wątpliwe. Na szczęście tuż obok przebiegała Anka.

— Wrocka, chodź-no tu, moja Wrocka! Jak się nazywa to duże, skąd to się czerpie masę na papier! O tu, o!...

— To? Nie uczyłam się jeszcze, ale zaraz zobaczę. Mam w kajecie.—Ce qui nous pappe d'abord..

Anka pracowicie, ale poprawnie, wyłączywszy akcent, odczytywała szczegóły frapujące widza w fabryce, a Nena ze znudzoną miną kreśliła na kajecie jakieś esy. Wreszcie ziewnęła i podniosła się z miejsca.

— No! Wrocka ma wszystko zapisane, to ci opowie. Brr! jakież to nudne, te maszyny. Nawet nie notowałam. Zostaw mi potem swój kajet do przejrzenia, Anka...

Nena odeszła z nonszalancyą gdzieś za tablicę do ciemnego zamarzniętego okna i skrzyżowawszy ręce, zaczęła chuchać na szkło.

— Tak... tak...

Nena jest, pomimo wszystko, za mądra, żeby prędzej czy później nie wyznać sobie najbardziej chociażby niemiłej prawdy. I chuchając od niechcenia na zamarznięte okno, wyznaje sobie po cichu, że w ostatnich czasach rola jej, Neny, zmalała w klasie do minimum i że jeśli ma przyjazne sobie koleżanki, to bądźcobądź zawdzięcza to nie swemu autorytetowi. I że z owego specyalnego, dyskretnego półuśmieszku, nie byłaby się dziś umiała prawnie wylegitymować nietylko wobec tych wszystkich, doskonale się bez niej dziś już obchodzących dziewczynek, ale bodaj nawet—co najgorsza—wobec samej siebie.

— Dlaczego?... Zadaje sobie poraz setny męczące, przykre i przed samą sobą ukrywane pytanie. Dlaczego tak się dzieje? Przecież jestem, jaką byłam?... nie? Czyżby się one zmieniły?...

I przez oczyszczony oddechem z lodu, mały krążek w szybie, oczy Neny z pod ściągniętych brwi patrzą tak badawczo i pytająco, jakby to było właśnie magiczne okienko w ów ukryty i zagadkowy świat.

*

* *

... I choć wiem, że z mojej Hanulki jest dobre i miłe dziecko, ale wszystkiego, kochanko, zrozumieć jeszcze nie możesz. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa—stara prawda, kochanko, ale jedna z najbardziej prawdziwych. I twoja przyjaciółka, jako dziewczynka mogła być mądrzejsza i bardziej posunięta od reszty koleżanek, godzę się na to chętnie. Ale z tego co piszesz i coś mi o niej opowiadała, wnioskuję, że biedactwo rzucone jest zupełnie samopas bez rady i kierunku. Mówisz że jest zdolna, dobrze ułożona i ambitna, że nikogo o nic nie prosi. Cenne to są cechy, o ile je należycie do życia zastosować. Nie znam panny Neny osobiście i trudno mi coś mojej Hanulce wytłómaczyć. Ale sądzę, że przy łatwo zapalnej wyobraźni, a leniwem do czynu usposobieniu, cechy te w młodej dziewczynce mogą się stać powodem niepowetowanych niemal strat i każą się często okupiać na każdym kroku życia. Co do zmiany w usposobieniu twojej przyjaciółki, kto wie, czy nie jestto właśnie w związku z głębszem zastanowieniem nad sobą, które każdy człowiek myślący przebyć musi, a które zawsze jest połączone z pewnem łamaniem się wewnętrznem i nierównością charakteru nazewnątrz. W waszym wieku, a może nieco później, jestto zjawisko pospolite i słuszne. Tylko, że jedne przebywają ten okres powoli i łagodnie, a inne—odrazu i gwałtownie. Od tych kilku czy kilkunastu miesięcy zawisło nieraz całe życie i serdecznie mi żal panny Neny, że niema nikogo z osób blizkich i zaufanych, które by nią pokierowały i jej dopomogły. Bo tak, jak przełom ów może skierować młodą dziewczynkę na drogę dobrą i użyteczną, tak również może ją pchnąć do popełnienia błędów, na których odrabianie trzeba później trawić najlepsze lata życia. A te lata, te dni niemal są tak bardzo potrzebne do tworzenia rzeczy nowych i użytecznych i taka szkoda każdego roku i dnia, który idzie w niwecz, a na który czeka w różnych zakątkach ziemi tyle różnych głów, serc i rąk. My z tobą o tem coś wiemy, prawda Hanulko? I wiem, że moja dziewczynka każdą godzinę na pensyi wypłaci kiedyś po trzykroć"...

Pokazać?... Nie pokazać?... Waha się Anka. I chce i trochę się boi. Nena jest zawsze trochę zawzięta, trochę nieprzystępna... może się obrazi?... Przytem jest teraz taka!... Nawet Anka chwilami nie może dać z nią sobie rady. Takie miewa wybryki. Jak wtedy z tą komedyantką. I skąd jej to przyszło?... Taka była wtedy rozdrażniona... ostra... zła?...

— Może naprawdę?... rozmyśla Anka. Babciunia jest taka mądra, wszystko rozumie choć nie widzi. Może Nena naprawdę

teraz się tak, jak babciunia mówi, nad sobą zastanawia?... Godzinami potrafi milczeć, chodzi po ogrodzie nieraz, otulona w szal, sama, taka jest nierówna... wszystko, jak babcia pisze. A przecie jej babcia nie zna, tyle tylko co z listów i opowiadań. Mój Boże! żeby tak ona, Anka, samiuteńka została na świecie jak Nena?... to by już niewie co chyba ze sobą zrobiła. Płakałaby całemi dniami. A Nena nawet nie płacze...

Ściany podobno mają uszy, ale mówić, na szczęście czy na biedę ludzką, nie umieją. Dlatego też Anka nie wie nic o dziejach pewnej mokrej od łez chusteczki, ukrytej miłosiernie przez firankę na oknie, w tak zwanej antykwarni, najdalszym i pustym pokoju z fortepianem, w którym Nena przebywa bardzo często, a szczególnie w chwilach zmartwienia. Nie wie, że chusteczka owa została tam porzucona w tym właśnie dniu, kiedy jej, Anczyne, zwierzenia tak brutalnie zostały przerwane przez Nenę rzuceniem owej „komedyantki". Nie domyśla się nawet jakie szepty raz buntownicze, raz dziecinnie żałosne odbijały się o niebiesko malowane ściany. Nie przypuszcza nawet, jak wielką ochotę miał stary fortepian odezwać się im do wtóru, przypomniawszy młode czasy, jakąś burzliwą, chmurną melodyą, na której samem dnie zdaleka, zdaleka, tułało by się przesmutne, ciężkie od łez pytanie.

*

* *

W klasie piątej panuje ożywienie. Za chwilę ma się zjawić nowy profesor od przyrody, Zdanowicz. Dziewczynki są w oczekiwaniu i ciekawości.

— Powiadam wam, ani się umywał do naszego, wesołej pamięci Piórkosia!... zapewnia z zapałem Szteinówna. Umyślniem pobiegła do kancelaryi, niby po tablice. Rozmawiał z panną Adelą. Taki sobie... ni pies, ni wydra. Nawet się nie odwrócił jakem weszła. Nie to, co Piórkosio. Ba! Tamten, jak którą zobaczył, to zaraz taki ukłonik... Proszę siadać... Gdzie!...

Szteinówna lekceważąco macha ręką.

— Aha. Bo ci się nie ukłonił, więc już wszystko źle. Piórkowski był głupi, jak stołowa noga i bez podręcznika trzech zdań

nie umiał skleić. Tyle, że miał ładne wąsy i kłaniał się, trzeba czy nie trzeba...

— Jak fryzyer, który czesze mamę na wieczory. Słowo daję! Nawet podobny. Nawet tekę nosił pod pachą zupełnie jak tamten swoje szczotki—zawsze mi się zdawało, że tak samo, wychodząc z klasy zaraz powie: całuję rączki...

— Oh! Pninsiu! Już nie dowcipkuj lepiej, kochasiu, wiesz?.. bo będzie jak z tem martwem cielem i ogonem. Sama do Piórkowskiego z początku takie słodkie oko robiłaś, że aż muchy po ścianach mdliło. Dopiero jak ci, na to nie zważający, wsypał dwóję, to już był i fryzyerem, i to, i owo... Nie chciało mu się wierzyć, że... czekaj-no, Pninsiu, jak to z tą dwóją było?... że „słoń żywi się lwami, tygrysami i innymi drobniejszymi drapieżnikami“... co?... I to przy końcu czwartej klasy... ratujcie, kto w Boga wierzy!...

Szteinówna na samo wspomnienie aż podskakuje z uciechy. Urażona Maruta z godnością się odwraca.

— Moja droga!... gdybym zaczęła z kolei wyliczać wszystkie twoje powiedzenia... Cóż takiego? wyrwało mi się przez pomyłkę. Każda się może pomylić. A zresztą, nigdy nic wspólnego z oborą nie miałam i nic mnie to nie obchodzi kim się tam kto żywi...

— Ona... z oborą!... Nie, ludzie... słoń!... z oborą!... — płacze ze śmiechu Szteinówna. Ratujcie, bo zginę! Pninsiu! jesteś rozbrajająca! Niech cię uściskam!...

— Idzie, idzie! Przebiega odedrzwi. Pnińska, Szteinówna, cicho!...

Szteinówna siada z powrotem i wyprawia nicujące, okrągłe oczy w stronę drzwi. Maruta zaperzona, ale już pełna majestatu, poprawia nieznacznie włosy. Odedrzwi, szybkim krokiem wchodzi profesor i kiwnąwszy się dość pobieżnie w formie ukłonu, zmierza ku katedrze. Jest średniego wzrostu, dość szczupły szatyn, o nadzwyczaj otwartej twarzy, szerokiem czole, bystrych, siwych oczach, przenikliwie obrzucających spojrzeniem rzędy ławek oraz o trochę koźlej bródce. Na sznurku nosi binokle.

— A co?... nie gbur?... szepce Szteinówna. Kiwnął się, idąc, jak żyd na modlitwie i myśli, że się kłania...

— Ale niema ze sobą nawet notatek. A Piórkowski, jak raz zapomniał swego kajetu, to nam kazał przez całą godzinę wydawać, bo bez notatek nie potrafił ani be, ani me... nie darowuje Maruta.

— Głupiaś z twojemi notatkami, Pninsiu!...

— Tylko proszę!... obraża się Maruta. Ja z przekupkami nie miałam nigdy nic do czynienia...

— Bogowie!.. ona myśli, że tylko przekupki mogą być głupie. Ależ i arystokratki, Pniśsiuniu, też, nie bój się! jeszcze lepiej...

— Pniśska, Szteinówna!... Chcecie co oberwać na przywitanie?... Uspokójcież się raz...

— Ale! Oberwać!... Patrzy w dziennik, bo się pewno boi na nas spojrzeć. A potem będzie oczywiście przemowa wstępna: przychodzi do nas, jako... ma nadzieję, że się zrozumiemy... wspólnemi siłami... do wspólnych celów... Usnąćby można!... Ciekawam, czy to jest jaki podręcznik dla profesorskich mów?... Bo każdy kropa w kropę gada to samo..

— Panna Szteinówna... Olga! rozlega się niespodzianie.

Nastaje cisza. Wszystkie oczy kierują się na katedrę. Na ściągłej twarzy profesora, obok pewnego przepracowania, maluje się uwaga. Nie zdaje się w najmniejszym stopniu troszczyć o kilkadziesiąt par oczu, nicujących wysokie, trochę szpakowate czoło, jasne i proste włosy, cośkolwiek dłuższe nad przeciętną normę, ale bez wszelkiej pretensyi odczesane w tył, jego nieco znużoną, o cieniach pod oczami i błękitnawych powiekach twarz, pewne ślady wąsów nad wargą, poskubywane w zamyśleniu przez nerwową, ale wcale ładną rękę, trochę kozią, klinkowatą bródkę, konserwy w złotej oprawie, połyskujące na sznureczku... Stoi na stopniu obok katedry, a łokciem opartym o stolik, z głową pochyloną nad dziennikiem w postawie zupełnie swobodnej, trochę może niedbałej, wodząc palcem po nazwiskach i sprawdzając je we własnym, rozłożonym notesie i wydaje się, jakgdyby całkowicie zapomniał o trzydziestu kilku śledzących każdy jego ruch dziewczynkach.

— Mógł by być młodszy... no... i ładniejszy... przyznaje się w duchu Maruta. Ma chyba ze czterdzieści...

— „Ten to nas weźmie“ decyduje Iwiecka. Wygląda, że głowę ma nie od parady. Ani gadań, ani nic, tylko odrazu wyrywa. Mój Boże!... I potrzebnie ten Piórkowski się wyniósł przed samą repetycyą. Teraz z moją piątką też niebardzo wiadomo co będzie...

— Jaką on ma mądrą i dobrą twarz!.. zachwyca się Anka. Niewiem, ale ja go się chyba nic a nic nie będę bała..

— Fiu! Fiu! I zawsze takie moje pieskie szczęście. Jak tylko co, zaraz panna Szteinówna. I akurat dziś, kiedy rachowałam, że będzie jak każdy nowy, przez całą godzinę gadał o tych

celach i ideałach. Aż tu masz. No! ostro. Temu już chyba i Pnińska nie będzie karmiła słonia „lwami, tygrysami i innymi mniejszymi drapieżnikami“... obserwuje w myśli Szteinówna, oczekując na pytanie kreślącego coś jeszcze w notesie profesora.

— Czy on nareszcie zacznie mówić?... myśli chmurnie Nena. Usnąćby można, takie nudy. Czy i ten będzie taki sam?...

W oczach Neny wszyscy profesorowie układają się w kształt jednego mniej więcej manekina, względnie poprawnego, nieskończenie obcego i dobrze znudzonego, takiego pana, który wchodzi do klasy z pewną ociężałością i opuszcza ją z pewnym pośpiechem. Wyjątkiem był Butkiewicz, który wchodził i wychodził jednakowo, pośpiesznie i niezgrabnie, i znudzony nie był nigdy dlatego chociażby, że był zawsze zmięszany i mieniący się ze wzruszenia lub przejęcia. Ale już Nena bodaj że wolała wszystkich innych.

Nareszcie notes profesorski się zamyka i zostaje szybko ukryty w głębiach surduta i Zdanowicz, obrzucając klasę szukającem spojrzeniem, powtarza:

— Panna Szteinówna... Jest?...

— Oho! Już! odmrukuje z cicha Szteinówna, wpółukryta w ławce. Poczem zaraz, wysuwając ponad głowy swoją białą, okrągłą, bułkowatą twarz, na której czarne oczka wyglądają jak rodzenki, odpowiada głośno:

— Jestem, panie profesorze.

Marya Szpyrkówna.

# POLITYKA KS. KAUNITZA
## a Konfederacya barska.
(1768—1769).

Dzieje Rzeczypospolitej w dobie Konfederacyi barskiej są ściśle związane z wojną rosyjsko-turecką, 1768—1774. Wojna ta, ze względu na swą genezę, a bardziej jeszcze na swe następstwa w zupełności zasługuje na nazwę daną jej przez historyografię turecką: „*lechistani muharebe*“, wojny polskiej. Podjęta celem wyzwolenia Rzplitej z pod przemocy rosyjskiej, zanim dobiegła swego formalnego kresu, już się zakończyła była pierwszym jej rozbiorem. Takiego wyniku w chwili jej wybuchu żadne mocarstwo nie przewidywało, mimo że o częściowem rozbieraniu Rzplitej mówiono, i to wkrótce po rozpoczęciu tej wojny, zarówno w neutralnym Wiedniu, jak i wrogim Petersburgu, w przyjaznym Paryżu, jak i zakłopotanym Dreźnie, w Berlinie, który prowokował i Stambule, który głosił, że idzie w pomoc „uciśnionemu okrutnie królestwu“ (polskiemu). Choiseul i Panin proponowali Fryderykowi Prusy polskie, dwór saski gotów był dać mu je każdej chwili za koronę polską, Kaunitz za Śląsk, sam zaś Fryderyk marzył wstydliwie, pod cudzem nazwiskiem, o podziale Rzplitej, dokonanym wspólnie z Austryą i Rosyą, a nawet Porta w skrytości serca planowała zabór utraconego przez traktat karłowicki Kamieńca. Takiem to złowrogiem echem odbił się wybuch wojny polskiej w stolicach tych sześciu państw wśród których powstała, rozwijała się i upadła Konfederacya barska.

Jaki był stosunek Austryi do tej wojny w szczególności na terenie stambulskim, w jej przygotowawczym i wstępnym okresie? Jakie przemiany przechodziła polityka gabinetu wiedeńskie-

go w Turcyi odnośnie do Konfederacyi barskiej i jak oddziaływał ten gabinet na polską politykę Porty? Zagadnienie to nieraz już traktowane w pracach ogólniejszych wciąż jeszcze wymagałoby bliższego w swych szczegółach rozstrząśnienia.

## I.

Już 2 stycznia 1768 r. przesłał Kaunitzowi, naczelnemu kierownikowi polityki austryackiej, internuncyusz cesarski w Stambule Brognard sensacyjną wiadomość, że sułtan postanowił z przyszłą wiosną podjąć kampanję rosyjską. W ślad za tą pierwszą przyszły następne, równie znamienne, które donosiły o powszechnej i jednogłośnej opinii ludności i Porty, że wybuch wojny jest nieunikniony [1]). Doniesienia te nabierały szczególnej wagi, gdy się je rozpatrywało w świetle wypadków polskich, wytrwałych zabiegów dyplomacyi francuskiej o wywołanie wojny, a bardziej jeszcze osobistych właściwości sułtana Mustafy III., który od śmierci Raghiba sam rządy sprawował. Władca ten bowiem równie uparty, jak nieudolny, ze szczególnem upodobaniem kojarzący małżeństwa, zabobonną czcią otaczający „frankońską sztukę lekarską“, choć zniewieściały i lepiej rozumiejący się na chorobach kobiecych, niż na prowadzeniu działań militarnych, marzył jednak i pragnął mimo wszystko sławy wojennej wielkich swych poprzedników. Ten to animusz rycerski Mustafy, aczkolwiek egzotyczny i sztuczny, — bo wypielęgnowany w cieplarnianej atmosferze haremu — ten upór i brak głębszej politycznej myśli, nakazywały specyalną wartość przywiązywać do jego wojennych postanowień, gdy się na ich podstawie rozważało: czy będzie wojna, czy nie będzie.

Nad tym dylematem, od czasu otrzymania wyżej wspomnianej relacyi Brognarda, aż niemal do rozpoczęcia przez Turcyę operacyi militarnych, z wiosną roku 1769, często rozmyślał Kaunitz. Pierwsze swe na ten temat uwagi przedstawił Maryi Teresie 13 stycznia 1768 r. Brzmiały one: „Jak wielkiem też być może poruszenie Porty z powodu postępowania Rosyi w Polsce, to wydaje się przecież, na podstawie jej dostatecznie już okazanego usposobienia, że nie należy ani oczekiwać, ani troszczyć się,

[1]) Por. Relacye Brognarda. Pera, 16 Dez. 1767, 2 i 16 Jan. i 15 Febr. 1768. Turcica, Berichte. (H. H. und St. Arch. Wien).

aby w tak krótkim czasie porwała się do jakichś rzeczywiście poważnych przedsięwzięć. A to tem więcej, gdy wiadomo, że postawienie armii tureckiej w bojowej gotowości wymaga bardzo wielkich zbrojeń i przygotowań, których się zgoła nie dostrzega, a które tem bardziej nie będą podjęte, skoro Porta wkrótce się dowie — jak można się spodziewać — iż żądania rosyjskiego dworu komisya w całości uznała, sejm potwierdził i jako ustawę przyjął; i że tem samem Rosya ma Polaków po swojej stronie“ [1]).

W instrukcyach posłanych Brognardowi, w lutym i marcu Kaunitz stale zapewnia, że wojny nie będzie, bo niema w Turcyi odpowiednich przygotowań, gdyż Reis Efendiego przekupiła Rosya, gdyż Sejm polski wnet będzie ukończony a armia cesarska z Rzplitej wycofana. A nawet, gdyby wojska rosyjskie i po Sejmie w Polsce dalej biwakowały, wbrew danej Porcie przez Obreskowa obietnicy, to i w takim wypadku — sądził Kaunitz — Turcya nie zerwie się do walki orężnej, ponieważ nie chce i nie myśli poważniej niż dotąd mieszać się do spraw polskich [2]).

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni—dyplomacya wiedeńska źle była poinformowana. Porta od dłuższego już czasu powoli, ostrożnie i w największej tajemnicy przygotowywała się do wojny, a Kaunitz zupełnie tego nie dostrzegał. W Polsce rozpasała się wojna domowa, a Kaunitz w miesiąc po zawiązaniu Konfederacyi barskiej, nie tylko, że o powstaniu jej nic nie wiedział, ale oczekiwał lada dzień wieści o całkowitej już i ostatecznej pacyfikacyi Rzplitej. Tak pedantyczny i drobiazgowy w rozważaniach swych, kanclerz Maryi Teresy, obecnie w przededniu Baru oceniał sytuacyę polską i wschodnią, jak najmylniej, przewidywał, jak najgorzej. Miał on na polską politykę Porty pogląd ustalony, który wyrobił był sobie obserwując stosunek Turcyi do Rzplitej w ostatniem czteroleciu. Nazywał go krótko: „znane usposobienie Porty“. Oznaczało to, że Turcya nie myśli poważniej, niż dotąd, mieszać się do spraw polskich, że nie chce wojny z Rosyą. Z tego to stanowiska przeszłości oceniał najwadliwiej teraźniejszość polityczną w Polsce i na Wschodzie.

Wiadomość o zawiązaniu Konfederacyi barskiej doszła do Kaunitza 27 marca. Był nią zaskoczony i poruszony. „Załączona relacya — pisał do Maryi Teresy — wydaje mi się być tak ważną, że ją natychmiast winien jestem przedstawić“. Relacya ta

[1]) Vortrag, Wien, 13 Jan. 1768. (tamże).

[2]) Kaunitz an Brognard. Wien, 19 Jan., 9 Febr., 4 i 18 März 1768. Turcica, Rescripte. (H. H. und St. Arch., Wien.)

była dość bałamutna, oparta na plotkach niesprawdzonych i na faktach mocno przesadzonych. Wszystko to jednak było tak nieoczekiwane, że Kaunitz niczego nie kwestyonował, nawet doniesienia o dziesięciu tysiącach Tatarów, którzy pod dowództwem Totta znajdować się mieli przy Konfederacyi „ukraińskiej". Zdawało się kanclerzowi, że w Polsce „wszystko chce się rozwścieklić w obronie religii i wolności"; przypuszczał, że armia cesarska nie wyruszy w pole przeciw konfederatom, aby nie drażnić Porty; wątpił, czy nieliczne wojsko polskie zdoła przywrócić w kraju spokój i porządek. O wiele chłodniej przyjęła wieść tę Marya Teresa. Na marginesie referatu Kaunitza napisała własnoręcznie: „ich hoffe das die Sache nicht so gross seyn wird nur die ersten impresion so scheinet" [1].

Zreflektował się też wkrótce i kanclerz. Następne doniesienia oceniał już krytycznie. — Konfederacya się rozrasta, ogarnia inne województwa? możliwe, że to przesada. Dziesięć tysięcy Tatarów jest przy niej? Niemożliwe, najwyżej jest pięć. Ale i to wątpliwe. Han tatarski nie wysłałby ich bez wyraźnego rozkazu Porty. A Porta pragnie nadewszystko utrzymania pokoju. Konfederacya? Jeszcze jedno wewnętrze zaburzenie, pozbawione większego znaczenia. Nie posiada poparcia z zewnątrz, niema pieniędzy i broni, brak jej odpowiedzialnego i wybitnego kierownictwa. Trudno, żeby je zechciał objąć jakiś bogaty i rozumny magnat. Jest to budynek o źle założonych fundamentach. Nie będzie trwał długo. Jest to ogień źle rozniecony, nie rozszerzy się, lecz sam sobą się strawi [2].

Nie przypuszczał Kaunitz, żeby Konfederacya pozostawała z Turcyą w ścisłym związku. Nie spieszył się też z udzieleniem Brognardowi instrukcyi. Dopiero 5 kwietnia wysłał ją do Stambułu. Określał w niej stanowisko monarchii wobec Baru krótko i zwięźle: „jak dwór nasz nie brał żadnego udziału w tem nowem powstaniu polskiem, tak też nie myśli i w przyszłości odchylić się od dotychczasowych reguł postępowania, *gdyż* konfederacyi tej brak wszelkich środków, potrzebnych do przeprowadzenia tak wielkiego i niebezpiecznego przedsięwzięcia z wyjątkiem podniecenia umysłów" [3]. Następnie, bez silniejszego nacisku, polecał donieść sobie, jak się Porta na Bar zapatruje i co zamierza uczynić.

[1]) Vortrag, Wien, 27 Märtz 1768.
[2]) Vortrag, Wien, 2 April 1768.
[3]) Kaunitz an Brognard. Wien, 5 April 1768.

Zanim mogła nadejść odpowiedź internuncyusza, już się Kaunitz przekonał, że osądzał stosunek Turcyi do Baru zupełnie mylnie. Porta wiedziała o powstaniu Konfederacyi bardzo wcześnie. W każdym razie — jak stwierdził później kanclerz — przed 16 marca. Zachowywała jednak wieść tę w ścisłej tajemnicy, tak, że Brognard dowiedział się o wybuchu wojny domowej w Polsce dopiero 2 kwietnia. Już sam ten fakt bardzo był znamienny. Świadczył on, że Turcya miała jakieś bliższe stosunki z Barem, i że pragnęła je ukryć przed mocarstwami. Energiczna zaś akcya, jaką Porta w pierwszej połowie marca podjęła wobec Rosyi, kategoryczne jej żądanie natychmiastowego odwołania wojsk z Rzplitej przy równoczesnem posunięciu 16,000 żołnierza ku granicy polskiej, wszystko to sprawiało wrażenie działania na rzecz konfederacyi[1]). Porta udawała, że o Barze nic nie wie. Równocześnie zaś demonstracyjnie uwiadamiała ambasadorów Austryi, Francyi i Wenecyi o wysyłce wojsk swych na pogranicze polskie, a posła pruskiego ostentacyjnie zapytywała o obowiązki sojusznicze Prus wobec Rosyi. Groziła niedwuznacznie wojną, jeśli Rosya nie spełni danej obietnicy i nie usunie armii swej z ziem Rzplitej. Repnin dostał prawie w tym samym czasie wiadomość o zawiązaniu Konfederacyi i jakby ultimatum tureckie.

W tych warunkach, 25 marca, wręczył Porcie Obreskow, poseł rosyjski w Stambule, pismo swojego rządu [2]). Była to odpowiedź na takrir turecki jeszcze z grudnia roku 1767. Gdy ją Panin w Petersburgu redagował, nie wiedział zupełnie o powstaniu konfederacyi. Odpowiedź ta, utrzymana w tonie ostrym, wyzywającym, kazała Porcie wybierać między wojną a pokojem. Wypadki w Polsce i na Wschodzie szły szybciej, niż wymiana not dyplomatycznych między Petersburgiem a Stambułem. Nota Panina, zanim dobiegła do Konstantynopola, w zmienionych warunkach nabierała innej wagi. Był to szczególny zbieg okoliczności, który posuwał rozwój wypadków znacznie szybciej, niż tego pragnęła Porta, znacznie dalej, niż zamierzała Rosya. Najniespodziewaniej oba mocastwa znalazły się w położeniu, którego Rosya chciała uniknąć, które Turcya chciała odwlec. Oba państwa mimowiednie stanęły w obliczu wojny.

Z wszystkich tych powyżej wskazanych momentów zdawał sobie sprawę Kaunitz, ale zwolna i od ostatnich dopiero dni

[1]) Por. Relacye Brognarda. Pera, 2 i 16 April, 2 Mai. Vortrag. Wien 25 April, 26 Mai 1768.

[2]) Takrir Obreskowa, 25 marca 1768.

kwietnia począwszy, 25 kwietnia, jak ongiś 13 stycznia, przedstawił Maryi Teresie pismo, w którem rozważał ponownie: będzie wojna, nie będzie. Jak się Rosya zachowa wobec konfederacyi? Czy cofnie w myśl żądań Turcyi armię swą z Rzplitej? Nigdy, gdyż działałaby wbrew swym elementarnym interesom, zniszczyłaby swą przewagę w Polsce, byłoby to zbyt wielkie upokorzenie. Jak Porta przyjmie dalszy pobyt wojsk rosyjskich na ziemiach Rzplitej? Jak odpowie na tak wyzywająco złożony w ręce jej przez Panina wolny wybór między wojną a pokojem? Czy posunie dalsze masy żołnierza ku granicom północnym? Na to się Porta tak szybko nie zdecyduje. Tak więc na ten rok podjęcia kroków nieprzyjacielskich przez Turcyę oczekiwać nie należy. W tych zaś warunkach gabinet petersburski posiada dość czasu, aby Portę przekonać, iż zatrzymanie armii rosyjskiej w Polsce wobec powstałych zaburzeń jest na razie konieczne, i aby następnie czujność jej uśpić, ją samą zaś wepchnąć w granice dawnej bezczynności. [1]) Ostateczna więc konkluzya była taka sama, jak styczniowa: do wojny nie dojdzie.

Nie ze stanowiska interesów monarchii rozpatrywał wypadki w Polsce i na Wschodzie kierownik polityki austryackiej. Rozpatrywał je w zupełnem od nich oderwaniu. Z platformy bezinteresownej ciekawości biernego widza, oceniał je i osądzał. Patrzał nie daleko, widział nie głęboko. W rozmyślaniach politycznych pozostawał pod urokiem przyjętego systemu. Gdy system ten nakazywał wobec spraw polskich i wschodnich zachowywać się zupełnie biernie, Kaunitz rozważał je tak, jakby one dla monarchii nie przedstawiały żadnego życiowego interesu. Jaką wartość ma dla Austryi Konfederacya barska, jakąby mieć mogła, gdyby się rozwinęła? Zagadnienia tego Kaunitz nie formułował. Obowiązywała przecież zasada: wobec spraw polskich jesteśmy bezczynni. Czy w przesileniu rosyjsko-tureckiem jest Austrya interesowaną? Czy wybuch wojny jest dla monarchii pożądanym? Pytań tych kanclerz Maryi Teresy nie stawiał. Obowiązywała przecież zasada: na stosunki rosyjsko-tureckie nie wpływamy. Aby zagadnienia te podjąć, musiałby systematyczny Kaunitz zakwestyonować uprzednio przyjęty system i zasady. Mogłoby to stać się, gdyby w polu widzenia kanclerza powstała sytuacya nowa i inna. A takiej obecnie nie było, na przyszłość się jej nie przypuszczało. Porta miała wrócić do dawnej bezczynności i ospa-

[1]) Vortrag, 25 April, 1768.

łości, konfederacya miała upaść. Nie powstawały przed Kaunitzem żadne kwestye poza oderwanym dylematem: będzie wojna, nie będzie. Gdy rozwiązanie mówiło: sytuacya polska i wschodnia nie ulegnie zmianie, kanclerz spokojnie przypatrywał się rozwojowi wypadków w Rzplitej i Turcyi z platformy bezinteresownej ciekawości biernego widza. A że, patrzył nie daleko, widział nie głęboko, więc oceniał położenie polityczne, jak dotąd, wadliwie, przewidywał, jak i dotychczas, mylnie.

Pozostawał tylko dla Kaunitza kwestyą wciąż jeszcze otwartą: stosunek Turcyi do Baru. Od ostatnich dni kwietnia aż do lipca, od czasu do czasu ponawiał swe rozważania na temat: czy poprze Porta konfederacyę, czy nie poprze? Była to daleka emanacya zagadnienia: czy wybuchnie wojna, czy nie wybuchnie? W zachowaniu się Porty względem Baru szukał Kaunitz sprawdzianu postawionej tezy: do wojny między Turcyą a Rosyą nie przyjdzie. Z tezy tej wychodząc, zanim jeszcze otrzymał relacye Brognarda, już 11 maja zapowiadał w piśmie do Maryi Teresy, że Porta najprawdopodobniej konfederacyi pomocy nie udzieli. Porta ucieszy się, „jeśli jej — aby mogła z sprawy całej się wycofać—rezydent rosyjski da ponowne zapewnienie, że, skoro tylko konfederacya będzie zniszczoną, armia rosyjska z Rzplitej zostanie odwołaną. Zapewne Turcya raczej tem się zadowoli, niżby miała sobie pozwolić na niebezpieczne starcia z Rosyą, skutkiem udziału swego w robotach Baru.“ [1])

Wkrótce potem dostał Kaunitz pierwsze w sprawie tej doniesienie Brognarda. Ograniczało się ono do przytoczenia opinii, jaką miał o Barze wygłosić Niszandżi basza. Wiadomość była z drugiej ręki, bo powtórzona internuncyuszowi przez Nevi Efendiego. Pochodziła od ministra oddanego Rosyi, przez którego usta mówił raczej rezydent rosyjski, niż sułtan. Otóż miał on się wyrazić: „Konfederacya jest to wyłącznie walka katolików z prawosławnymi.“ [2]) Wiadomość tę zużytkował natychmiast kanclerz w raporcie do Maryi Teresy, i to w następującem uogólnieniu: „Należy przypuszczać, że Porta nie zgodzi się na spełnienie prośby konfederatów o pomoc, natomiast, że będzie się starała z tego wyplątać, i w tym celu posłuży się może tym pozorem, iż zaburzenia polskie tylko religii się tyczą.“ [3]) Lecz dopiero

[1]) Vortrag, Wien, 11 Mai 1768.
[2]) Relacya Brognarda, Pera, Mai 1768.
[3]) Vortrag, Wien, 26 Mai 1768.

w czerwcu kanclerz wyrobił sobie stanowcze zdanie, że Turcya Baru nie poprze. [1]) Miał wiadomość o obietnicy danej przez Portę Obreskowowi, że do zaburzeń polskich mieszać się nie będzie.[2]) Brognard sygnalizował mu wieść o rozkazie udzielonym baszom Chocimu i Benderu, hanowi tatarskiemu i hospodarom, „aby w niczem nowej konfederacyi nie szli na rękę.“ [3]) Wreszcie list Krasińskiego do wielkiego wezyra, przesłany mu w odpisie, przez internuncyusza, rozumiał kanclerz, jako odpowiedź na pismo Porty odmawiające poparcia.

Na podstawie tych wszystkich danych był Kaunitz pod koniec czerwca tak silnie przeświadczony o bierności i bezczynności Porty, że nad znamienną relacyą Brognarda z dnia 1 czerwca, w której internuncyusz donosił o popieraniu Baru przez rząd turecki pieniędzmi, przeszedł bez większego namysłu do porządku dziennego. [4])

W istocie rzeczy owe przesłanki kategorycznego sądu kanclerza były dość chwiejnej wartości. Przyrzeczenie Porty, złożone Obreskowowi, rozrzucone przez Repnina w setkach odpisów po ziemiach Rzplitej, komunikowane gabinetowi wiedeńskiemu z Drezna, świadczyło, że Turcya przed grozą natychmiastowej wojny się cofnęła, a pragnąc uspokoić gabinet petersburski, uczyniła formalnie zadość jego żądaniu. O rzeczywistym stosunku Porty do konfederacyi nie mówiło to jeszcze zbyt wiele. Nadto można było podejrzewać, że przyrzeczenie to, zredagowane ad hoc w Warszawie, puszczono w obieg celem osłabienia wrażenia, jakie wywarła zapowiedziana przez Bar pomoc orężna Turcyi.

O rozkazie antykonfederackim głosiła w Stambule wielojęzyczna fama uliczna; przedstawiała go Porta rezydentowi rosyjskiemu. Czy rozkazy te faktycznie były wydane? Czy do wszystkich? Czy obok nich nie szły inne, tajne wskazania, które je modyfikowały lub wręcz przekreślały? Nie można tego było twierdzić, ale należało przypuszczać. Zwłaszcza gdy się miało wiadomość o bytności w obozie konfederacyi wysłanników baszy Chocimu, o układach prowadzonych z nią przez jego Diwan Efen-

[1]) Kaunitz do Brognarda, Wien, 3 Juni.

[2]) Ibidem.

[3]) Relacya Brognarda, Pera, 17 Mai.

[4]) Relacya Brognarda, Pera. 1 Juni. Vortrag, Wien, 23 Juni: „Das Geld aber dem Sultan allzunahe am Herzen liegt um solches zu Gunsten der Polen herauszugeben.“

diego; gdy się wiedziało o chronieniu się konfederatów do Chocimu i Mołdaw mimo ogłaszanego przez Portę urbi et orbi nakazu nie wpuszczania ich na terytoryum tureckie. List Krasińskiego był niejasny [1]), dopuszczał wprawdzie interpretacyę Kaunitza, ale trzeba go było brać z dużą rezerwą, gdy się wiedziało, iż był przesłany przez hospodara mołdawskiego, oddanego Rosyi.

Kaunitz wciąż oceniał stosunek Turcyi do Baru mylnie. Sądził go bezkrytycznie z pozorów rozsnuwanych gorączkowo przez skrytego a chytrego Mustafę III. Porta w pierwszej połowie kwietnia, stanąwszy twarzą w twarz z niebezpieczeństwem natychmiastowej wojny, ustąpiła na całej linii. Formalnie jednak tylko i pozornie. Pragnęła zyskać na czasie, aby módz ukończyć zbrojenia. Pragnęła jednak równocześnie uśpić czujność Rosyi, aby módz ją z przyszłą wiosną zaskoczyć niespodziewanie, nieprzygotowaną. W tym celu możliwie głośno demonstrowała swoje „pokojowe usposobienie“ i swoją „ospałość.“ Starannie też unikała wszystkiego, coby mogło ujawnić jej istotny stosunek do Baru, zapobiegliwie inscenizowała rozkazy, któreby świadczyły, że konfederacyi nie popiera.

Ta gra polityczna Mustafy III święciła zupełny sukces, nie tylko u współczesnych dyplomatów, ale i u późniejszych historyków, że wymienię Beera i Sorela. W przekonaniu Kaunitza Porta wręcz pozostawiła Rzplitę drapieżności północnego sąsiada.

---

[1]) „Celsissimo Veziro Praefulgidae Portae Ottomanicae Mehmed Paschae amico et vicino nostro. La relazione fatta a Vostra Altezza tutta è falsa. Tutto quel che è stato da Noi tutto è fatto dal prepotente sforzo del' essercito Russo, il quale da qualche anni in quà da noi quasi sempre resta e fin'a questi tempi abbita in Polonia rovinando la Patria e divagando in essa peggio, che nella sua Patria; La maggior nostra injuria è questa, che le antiche leggi nostre, e gli antichi trattati d... e di Carloviz e d'altri sono violati. Alli hatmanni hanno tolto il commando e l'autorità; Molti dei senatori vescovi legati hanno preso nella servitù moscovita, nella quale fin ora si ritrovano; Li dissidenti li hanno esaltati colla depressione della nostra fede; ha dunque V-ra Altezza questa breve espressione, alla quale arbitro sarà di prestare fede o non. Comettiamo tutto alla sua bontà e preveniamo per precauzione che questa nostra infelicità potrà essere per li paësi della fulgida Porta men' sicura. Questa risposta che oggi ho ricevuto me l'hà mandato il prencipe di Moldavia, dopo averla tradotta in latino a Jassy. Ma prima era nelle mani dei nostri nemici, avanti che la riceversi; ma Iddio è il maggior ajuto della Nostra Nazione oppressa. Io resto M. Hieronimus *Crasiński*. Marescalcus Confoederationis Coronae. 1768 Majo 1-mo.“

Z wyraźną też irytacyą pisał 5 lipca do Maryi Teresy: „Na jakiej drodze mogła być Porta zniewoloną do powzięcia tej decyzyi, która nie tylko, że nie przynosi jej zaszczytu, ale wręcz większe jeszcze lekceważenie ze strony Rosyi, nie trudno zgadnąć, jak i przewidzieć, że skutkiem tego żołdactwo rosyjskie bardziej, niż kiedykolwiek w Polsce się rozpanoszy, że całą siłą pójdzie na wytępienie konfederatów, a gdy tego dokona, pozostanie w Rzplitej, jeśli nie w całości, to w większej części pod pokrywką tlejących pod popiołem wciąż jeszcze gdzieniegdzie ogni wewnętrznych zaburzeń. A pozorem tym tem śmielej się posłużą, gdy Porta zdaje się, że zgoła zapomniała o danem jej przez Obreskowa przyrzeczeniu, że wojska rosyjskie po skończeniu sejmu z Polski będą wyprowadzone.“ [1])

Kaunitz był niezadowolony. Z tonu odczuwa się to natychmiast. Nie wyrażał tego wprost, niezadowolenia swego nie formułował. Obowiązywała przecież zasada: na układanie się stosunków rosyjsko-tureckich, na polską politykę Porty nie oddziaływujemy. W rozumowaniach swych utrzymywał się konsekwentnie w roli biernego widza. Nad odczuciami jednak nie panował. Poza świadomością i poza wolą przychodził do głosu zdrowy instynkt Za jego podszeptem Kaunitz sympatyzował z Portą, gdy się mieszała do spraw polskich, groziła Rosyi wojną, zżymał się na Turcyę, gdy ogłaszała zupełną bierność. Te odczucia nie naruszały w niczem przyjętych zasad, aczkolwiek nie były bez wpływu na polską politykę monarchii na terenie stambulskim.

Polityka ta była bierną. Unikano starannie każdego kroku, każdego niemal słowa, któreby u nieufnej dyplomacyi rosyjskiej mogło obudzić podejrzenie, że Austrya wobec Turcyi konfederacyę wspiera. Skutkiem tego Kaunitz polecał Brognardowi rozmawiać z Portą o sprawach polskich z jak największą ostrożnością, samemu na ten temat rozmowy nigdy nie zagajać, na pytania odpowiadać zwięźle, niczego w Rzplitej nie przewidywać, niczego nie osądzać, zapatrywań własnych nie wygłaszać, ale ściśle ograniczyć się do podawania kronikarskich, ogólnikowych informacyi. [2]) W każdej też instrukcyi kanclerz drobiazgowo go nauczał, co może powiedzieć Porcie o Barze. Brognard w myśl tych nauk opowiadał więc, bądź Reis Efendiemu, bądź tłómaczowi Porty, że konfederacya wzrasta, ogarnia nowe województwa, od-

[1]) Vortrag, Wien, den 5 Jul. 1768. (H. H. und St. Arch.).

[2]) Kaunitz an Brognard, Wien, 6 Mai 1768.

nosi zwycięstwa. [1]) Brognard prawił, co mu kazano, niemniej jednak był zdziwiony. Sam bowiem w tym czasie, w którym datowane były instrukcye Kaunitza, donosił mu wręcz coś przeciwnego: że konfederacya słaba, poniosła tu, tam i ówdzie klęskę, że już prawie do szczętu przez armię rosyjską zniesiona. [2]) Takie bowiem informacye dostawał od tureckich ministrów, zgodnie z opinią panującą w stolicy padyszacha.

Porta słuchała opowiadań internuncyusza austryackiego o Barze z natężoną uwagą. Z jego suchych, lapidarnych komunikatów starała się wyczytać rzeczywisty stosunek Austryi do konfederacyi. Przeczuwał to Kaunitz, dlatego też nakazywał Brognardowi, aby informował w ten sposób, żeby Porta nie mogła wyrobić sobie sądu, czy Austrya z Barem sympatyzuje, czy nie. Takie były intencye, ale na nich się skończyło; nie z winy Brognarda, lecz samego kanclerza.

Kaunitz mimowiednie i mimowolnie, tę samą grupę wiadomości polskich uogólniał i oświetlał nieco inaczej wobec Maryi Teresy i Wurmbranda, niż wobec Brognarda celem informowania Turcyi. Różnice były niewielkie, w pierwszym wypadku uogólniał bardziej in minus, w drugim in plus konfederacyi. Tak to poza wolą i świadomością przychodził do głosu zdrowy instynkt, że Porcie należy Bar prezentować jak najlepiej. Pośrednio ujawniało się to znacznie silniej w uwagach, czynionych internuncyuszowi z racyi jego doniesień o stosuku Porty do Baru i jej opinii, że konfederacya słaba, niema żadnej przyszłości i żadnych warunków rozwoju. Prawił w nich z pewnym jakby przekąsem, jakby goryczą, że Porta przez baszów swych źle jest informowaną, że dozna zawodu, bo konfederacya zgoła nie jest słaba, lecz ustawicznie rozrasta się i rozszerza. [3]) Wreszcie polecił Porcie powiedzieć: że w Polsce rozpowszechnioną jest opinia, iż konfederaci nie mogą liczyć na pomoc Turcyi, że jednak oświadczyli gotowość poniesienia wszelkich możliwych ofiar, że wreszcie dla ratowania wolności daremnie walczą ze zmiennem szczęściem wojennem. (Tak uogólniona in plus wiadomość o klęsce Potockiego i wyparciu Barżan do Mołdawii). [4])

Enuncyacyę tę redagował Kaunitz wręcz już pod wpływem ukrytego pragnienia, aby Porta stosunek swój do Baru zmieniła.

[1]) Brognard an Kaunitz, Pera, 17 Mai, 1 i 15 Juni, 1 Juli 1768.
[2]) Ibidem.
[3]) Kaunitz an Brognard, Wien, 3 Juni 1768.
[4]) Kaunitz an Brognard, Wien, 21 Juni i 5 Juli 1768.

Pozornie i formalnie informacye te nie naruszały zasady bierności. W rzeczywistości, w utajonych intencyach miały one wpłynąć na zmianę opinii Turcyi o siłach i przyszłości Baru, tej opinii, która zdaniem Brognarda i kanclerza była jedną z głównych przyczyn proklamowania przez nią ścisłej neutralności. Co więcej, pozwalały one Porcie domyślać się, że gabinet wiedeński z konfederacyą sympatyzuje. Tym sposobem w znacznej mierze Kaunitz odsłaniał wobec Turcyi to, czego sam sobie głośno nie formułował. Nie pozwalała bowiem na to obowiązująca na powierzchni jego politycznej świadomości zasada zupełnej wobec spraw polskich obojętności.

Polska polityka Austryi była dla Porty niejasną i podejrzaną. Niezrozumiałym wydawał się w Stambule stosunek Wiednia do Rosyi i Baru. Dopóki stan ten dwuznaczny trwał, trudno było zdecydować się na rozstrzygający krok. Nauczona doświadczeniem ostatniej wojny, Porta obawiała się, że w ostrożnem i zagadkowem stanowisku Austryi czai się zamiar: w razie wybuchu wojny porozumieć się z Rosyą. Obecnie po raz pierwszy, jakkolwiek bardzo nieznacznie, zawsze jednak cośkolwiek, uchylał Kaunitz tak starannie zapuszczaną zasłonę, kryjącą zagadnienie tak kapitalnej wagi dla dalszego układania się stosunków turecko-barskich i turecko-rosyjskich. Nie wiedząc o tem, począł Kaunitz bezpośrednio i aktywnie wpływać na polską politykę Porty.

## II.

Tymczasem wypadki, jakie zaszły w Rzplitej i na pograniczach nie pozwoliły Mustafie III zbyt długo utrzymać się w roli biernego ich obserwatora. Zdobycie Baru, klęska pod Berdyczowem, ucieczka barżan do Chocima, marsz generała rosyjskiego Weismana w pościgu za Potockim nad samą granicę turecką, gdy w myśl zobowiązania wojska rosyjskie nie miały się zbliżać do niej więcej, jak na odległość 12 mil, co więcej, list tegoż generała do baszy Chocima, grożący zbrojnym najazdem, jeśli mu się nie wyda zbiegłych na terytoryum tureckie konfederatów, wszystko to wywołało wielkie poruszenie u Porty. [1])

[1]) Brognard an Kaunitz, Pera, 1 i 16 Juli 1768.

Kwestya marszu Weismana została przez Repnina załagodzona. Obreskow uwiadomił Portę, że odebrano mu dowództwo, przyrzekał, że granice będą nadal szanowane. Nie usunęło to jej niepokoju. Rozbicie barżan rodziło w Stambule obawę, że zanim Turcya do wojny będzie gotowa, konfederacya upadnie. Sułtan zdawał sobie sprawę, że do upadku jej w dużej mierze przyczyni się proklamowana przez Turcyę neutralność. Myśl tę podsuwały mu pośrednio enuncyacye gabinetu wiedeńskiego. Bezpośrednio zaś zwracał na to uwagę Vergennes. On bowiem przedstawił właśnie Porcie numer „Gazety Warszawskiej“, w której Repnin ogłosił rozmowę Obreskowa z Reis Efendim. [1]) Ową pamiętną rozmowę, w której Porta składała deklaracyę bierności i wyrzekała się wszelkiego popierania Baru.

Wtem przyszła wieść o rzezi w Bałcie. Kupy swawolnego żołdactwa rosyjskiego wtargnęły na terytoryum hana tatarskiego, splądrowały miasteczko, ludność wycięły w pień.

Porta momentalnie przestała tworzyć pozory swej neutralności. Od Obreskowa zażądano w formie bardzo ostrej wyjaśnień oraz natychmiastowego cofnięcia armii rosyjskiej z Podola i Ukrainy. Wojska tureckie, będące w marszu do Bośnii i Albanii, zawrócono znowu ku granicy polskiej. Wydano uroczystą fetwę, zalecającą wojnę z Rosyą, a choć zachowywano ją jeszcze w tajemnicy, wojna postanowiona już była nieodwołalnie.[2]) Wielki wezyr, Muhsinzade, daremnie starał się powściągnąć wojenną gorączkę Mustafy III; nie był on wojnie przeciwny, jak to opowiada Zinkeisen, ale nie chciał wszczynać jej przed ukończeniem zbrojeń. Nie kto inny, tylko on właśnie był dotąd powiernikiem marzeń wojennych i planów Mustafy. Nie kto inny, tylko Muhsinzade, od szeregu miesięcy w największej tajemnicy Turcyę do kampanii z Rosyą przygotowywał. Lecz sułtan już nie chciał słyszeć o dalszem maskowaniu się i dalszej zwłoce. Dn. 7 sierpnia Muhsinzade, pozbawiony wielkiego wezyratu, popadł w niełaskę [3]), a tego samego dnia rozesłana poufnie wojenna fetwa. Już bez obsłonek, jawnie i głośno prowadziła Turcya w przyśpieszonem tempie dalsze zbrojenia.

[1]) Kaunitz an Brognard, Wien, 5 Aug. 1768.

[2]) Relacye Brognarda, Pera, 1 i 17 Aug. 1768. Hammer, Geschichte des Osman. Reiches, (Pest, 1840), IV, 573.

[3]) Hadikat ül-wüzera Dżawid efendinin. Kodeks w Bibliotece cesarskiej w Wiedniu. Karta 11—14.

Kaunitz tem wszystkiem zgoła nie był zaniepokojony. Jak w styczniu i w maju, tak i teraz zapowiadał Maryi Teresie, że mimo wszystko do wybuchu wojny prawdopodobnie nie dojdzie. Dn. 8 sierpnia, kiedy to nie wiedział jeszcze o wrażeniu, jakie w Stambule wywarła rzeź w Bałcie, i kiedy odkładał do najbliższej poczty udzielenie odpowiedzi na pytanie: „czy Porta ten wypadek poważniej niż poprzednie potraktuje“, już przewidywał: ponieważ Turcya nie zdoła wszcząć wojny wcześniej, jak na wiosnę, „Rosya ma dość czasu przez zimę, aby ją kilkakrotnie jeszcze ułagodzić, a tymczasem konfederatów wyniszczyć.“ [1]) Dn. 22 sierpnia, gdy dostał relacyę Brognarda o gwałtownych zbrojeniach Turcyi, przypuszczał, że to jest tylko demonstracya, i że Porta, zadowoliwszy się zadośćuczynieniem, ofiarowanem przez Rosyę, wróci do „ulubionej bezczynności“. [2]) Gdy minął tydzień, otrzymał wieść o wybuchu wojny. Przysłał mu ją celnik z Zemlina. [3])

Tak więc dowiedział się o niej w Wiedniu na dziewięć dni przed jej wypowiedzeniem w Stambule. „Cet événement — pisał do Józefa — a droit d'étonner, au moins, parce qu'on ne devait pas supposer qu'il dût être si prochain, et s'il est vrai, il est digne assurement de la plus serieuse attention par les suites qu'il pourrait avoir un peu plus tôt ou un peu plus tard, si on l'abandonnait à lui-meme et sans prendre aucune des mesures que peut fournir une politique sage et éclairée.“ [4])

Środkiem tym miało być zbliżenie Austryi do Prus. W tym celu proponował Kaunitz zjazd Józefa z Fryderykiem. Rezultatem tego spotkania miała być wymiana listów między obu monarchami, w którychby dali sobie uroczyste przyrzeczenie, że chcą „żyć w pokoju i dobrej przyjaźni, przestrzegać ścisłej neutralności“. [5])

Kaunitz nie myślał o rewizyi dotychczasowego systemu, wyznaczającego się biernem stanowiskiem monarchii wobec spraw polskich i wschodnich. Przeciwnie, pragnął go przez zbliżenie do Prus wzmocnić jedynie i zabezpieczyć.

[1]) Vortrag, Wien, 8 Aug.

[2]) Vortrag, Wien, 22 Aug.

[3]) Vortrag, Wien, 28 Aug. 1768.

[4]) à Vienne ce 28 Août 1768. Lettre à S. M. l'Empereur. (H. H. und St. Arch. Wien.).

[5]) Ibidem.

Kanclerz Maryi Teresy nie wątpił, że król pruski zechce sytuacyę wytworzoną przez wojnę rosyjsko-turecką wyzyskać dla powiększenia swego państwa; uważał „że Prusy polskie i Warmia przedstawiałyby dlań wartość bezcenną i znacznie większą, niż cały Śląsk i Kladzko.“ Równocześnie jednak sądził, że jeśli Fryderyk dotychczas „nie wziął żadnego udziału w zaburzeniach polskich,“ to głównie dlatego, że nie pozwoliła mu na to ściśle neutralna polityka gabinetu wiedeńskiego. [1]) Konsekwentnie więc pragnął ją nadal prowadzić. Projekt zjazdu, z jakim obecnie występował, wyrastał organicznie z tej jego oryentacyi. Zbliżenie do Prus miało być środkiem zabezpieczającym monarchię w ramach przyjętego systemu i dotychczasowego układu sił przed zaborczymi zakusami Fryderyka na terenie ziem Rzplitej. Kaunitz przypuszczał, że król pruski wyrzeknie się ich i na tej podstawie porozumie się i zbliży do monarchii. Podczas spotkania miał mu Józef warunki te podać, jako conditio sine qua non własnej neutralności. Miał mu mianowicie według opracowanej już instrukcyi powiedzieć: „Qu'Elle était déterminée à ne prendre aucune part à la guerre supposée entre la Porte et la Russie, à moins qu'Elle ne se trouvat dans le cas de ne pas pouvoir s'en dispenser.“ A gdyby poczęto mówić o „zaburzeniach polskich“, to dobitniej jeszcze: „qu'Elle persistait dans la résolution de n'y prendre aucune part, à moins que d'autres puissances ne s'en melent ou quelqu'un ne s'avise de vouloir s'aggrandir aux dépens de la Pologne.“ [2])

Projekt ten upadł na razie skutkiem braku aprobaty Józefa. Koncepcya jego natomiast pozostała, do realizacyi jej dążył odtąd kanclerz konsekwentnie, a choć zbliżenie austryacko-pruskie obecnie jeszcze nie nastąpiło, dążenie do niego wywierało duży wpływ na polską politykę monarchii wobec Turcyi i Rzplitej.

Wiadomość o uwięzieniu Obreskowa i rzeczywistem wypowiedzeniu wojny przyszła do Wiednia na przełomie października i listopada. Nie sprawiła już wrażenia. Kaunitz nie miał już nic nowego do powiedzenia. „Nie pozostaje nic innego — pisał do Brognarda — jak zostawić sprawy ich naturalnemu rozwojowi.“ [3]) Cieszył się nadzieją, że dwór petersburski pozna teraz „wielkość straty“, jaką poniósł, zrywając „lekkomyślnie“ przy-

[1]) Vortrag, Wien, 28 Aug. 1768.
[2]) Ibidem.
[3]) Kaunitz an Brognard. Wien, 4 Novembr. 1768.

mierze z Austryą. [1]) Radował się myślą o trudnej sytuacyi, w jakiej znajdzie się Fryderyk, gdy będzie w Stambule godził stanowisko przyjaciela Porty i sojusznika Rosyi.

Nie rozmierzał następstw tej wojny, tak jakby one dla monarchii były obojętne. Tłómaczyć to będzie później, w r. 1771, kiedy stanie wobec pierwszego następstwa tej wojny, podziału Rzplitej, że w chwili jej wybuchu nie przypuszczał tak wielkiej klęski Porty, natomiast sądził, że wojna skończy się prędzej lub później wyczerpaniem sił obu mocarstw i małoznacznymi, drobnymi sukcesami jednego z nich. [2])

Cała uwaga Kaunitza skupiała się na Prusach. Prusy były ośrodkiem wszelkich jego politycznych kombinacyi, wytyczną każdej jego oryentacyi. Myśl kanclerza ciągle pracowała nad tem: jakby odzyskać Śląsk, jakby nie dopuścić do dalszego rozrostu potęgi Hohenzolernów, jak potęgę tę złamać. Wszystko to było niewykonalne, dopóki istniało przymierze prusko-rosyjskie. Do rozbicia go Kaunitz dążył. Na tem marzeniu oparł cały system politycznej swej bierności. Wobec Baru, wobec przesilenia rosyjsko-tureckiego zachowywał się neutralnie, aby uniknąć zaostrzenia stosunków z Rosyą, aby mieć możność ewentualnego z nią porozumienia. Unikał tak w Polsce, jak i w Turcyi wszelkiego z Rosyą zatargu, gdyż zatarg taki zacieśniłby przymierze rosyjsko-pruskie, zwiększyłby wartość jego w Petersburgu. Równocześnie zaś wystrzegając się kolizyi z gabinetem petersburskim, marzył o zbliżeniu do berlińskiego, aby w ten sposób, odsunąwszy Prusy od Rosyi, módz się z nią tem łatwiej ich kosztem porozumieć. I nie tyle przymierze prusko-rosyjskie, jak twierdzi Beer, wiązało Austryi ręce w Polsce, ile ona sama, aby tylko zniszczyć je i uzyskać swobodę ruchów nie w Rzplitej, ale w Niemczech, nie wobec Polski, ale wobec Prus. Kamieniem wę-

[1]) Ibidem.

[2]) Kurze Schilderung der diesseitigen politischen Massnehmungen während des zwischen den Türken und Russen obwaltenden Krieges, 25 Sept. 1771: „... Diese Hauptabsicht hatte unter andern die doppelte wichtige Betrachtung zum Grunde, dass eines Theils unser gegenwärtiger System lediglich auf unsere eigene Sicherheit ... abzielet, andern Theils aber die Gegeneinanderhaltung der Kräften der kriegführenden Mächten sehr wahrscheinlich machte, dass kein Theil eine wesentliche Überlegenheit erlangen, und alles sich ... nicht anders, als von erwünschten Folgen hätte sein können, da ein sowohl als der andere ... eine geraume Zeit zu Wiederherstellung der verlorenen Kräfte nöthig gehabt ... müssen." (H. H. und St. Arch.).

gielnym i granitową osią polityki Kaunitza było nie wyzwolenie Rzplitej z pod przewagi rosyjskiej i nienaruszalność jej granic, lecz marzenie o odzyskaniu Śląska i głośno formułowany nakaz niedopuszczenia do dalszego terytoryalnego rozrostu królestwa Fryderyka.

Stąd też, już 28 sierpnia 1768 roku mógł Kaunitz pisać do Maryi Teresy: „przez to (zabór Warmii i Prus polskich) stałby się on jedną z najstraszniejszych potęg w Europie, a równowaga między jego i naszym domem byłaby zniszczoną, chyba gdyby nasz dom mógł potęgę swą powiększyć w tym samym czasie i w tej samej mierze.“ [1]) Był to schemat pierwszego podziału. Rozmyślając nad możliwością grabieży Warmii i Prus królewskich, zapoznawał kanclerz Maryi Teresy następstwa tego faktu dla Rzplitej, widział tylko skutki dla Prus. Co więcej, już teraz wyznaczał warunki, wśród których Austrya mogłaby zabór ten akceptować; równoczesne i takież same powiększenie własnych dzierżaw.

Stąd też w pierwszej połowie grudnia tegoż roku mógł Kaunitz wypracować projekt ofiarowania Fryderykowi Prus polskich i Kurlandyi za Śląsk. Projekt był idealny. Łączył w sobie wszystkie możliwe korzyści, realizował najtajniejsze marzenia. Austrya odbierała Śląsk, Fryderyk tracił przymierze z Rosyą, która, wyparta z Polski, musiałaby zawrzeć pokój z Turcyą pod naciskiem zdradzieckiego sojusznika i zdradzonej w swoim czasie „haniebnie“ monarchii. W dalszem następstwie osłabiona dostatecznie Rosya chętnie złączyłaby się z Austryą przeciw Prusom.[2])

Tak byłyby zrealizowane nietylko główne zadania; lecz i te dalsze pierwszym podporządkowane: uwolnienie Polski z pod przemocy rosyjskiej a poddanie jej własnej przewadze.

Gdy Kaunitz opracowywał swój „chimeryczny“ plan, poseł austryacki w Berlinie, Nugent, zapewniał w myśl jego instrukcyi Fryderyka, że Austrya dawno wyrzekła się chęci odebrania Śląska i proponował dyskretnie spotkanie z Józefem. [3])

Polityka bowiem monarchii, mimo wszystko, rozwijała się po linii pierwszych pomysłów Kaunitza z dnia 28 sierpnia, w ramach dotychczasowego systemu „ścisłej neutralności“ i w kie-

[1]) Vortrag, Wien, 28 Aug. 1768.

[2]) Beer, D. Erste Theilung Polens. (Wien, 1873). III, (Documente).

[3]) Instrukcya dla Nugenta, Wien, 14 Octobr. 1768; Relacya Nugenta. Berlin, 14 Jän. 1769; Vortrag, Wien, 26 Jän. 1769.

runku jaknajstaranniejszej tegoż konserwacyi. System ten stwarzał dla dyplomacyi wiedeńskiej na terenie stambulskim szczególnie niedogodne i trudne warunki, ujawnione dostatecznie w instrukcyi, jakiej udzielił Kaunitz Brognardowi 18 listopada 1768 roku. Im krytyczniejszą jest sytuacya między Portą a Rosyą, tem z większą ostrożnością należy postępować, „ażeby całkowicie uniknąć dania pozoru tak sympatyi dla Rosyi, jak też nieprzyjaznego dla tego dworu działania, a Porcie podstawy do wiary, że my potajemnie pragniemy rzeczywistego wybuchu wojny. Tę ostrożność w zachowywaniu się należy rozciągnąć także i na króla pruskiego.“ Trzeba strzedz się wszystkiego, coby mogło sprawić wrażenie jakiejś niechęci naszej dla niego, albo też zamierzeń „sprzecznych ze szlachetnym sposobem myślenia naszego dworu.“ [1])

Łatwo to było napisać, ale nie sposób wykonać, już nie tylko internuncyuszowi w Stambule, ale i kanclerzowi w Wiedniu. A to tem więcej, że przyszło program ten realizować w Carogrodzie między przewrotną dyplomacyą pruską a prowokatorską francuską, między podejrzliwością Porty a zabiegami Obreskowa.

Poseł pruski Zegellin niezmordowanie podniecał nieufność Turcyi do Austryi. Zwracał jej uwagę na dwuznaczny i niejasny stosunek monarchii do Rosyi i Baru, na podejrzane zbrojenia i gromadzenie wojsk na granicy polskiej i tureckiej, insynuował ukryty zamiar połączenia się z Rosyą po zaczęciu operacyi militarnych, a nawet podsuwał myśl zaniechania wojny z Rosyą a podjęcia przeciw Austryi, celem odebrania Banatu [2]). W tem to pruskiem oświetleniu każde uchylenie się Brognarda przed daniem pozoru wrogiego Rosyi stanowiska, urastało w oczach podejrzliwej Porty, zwłaszcza przy pomocy, oddanych Rosyi, niektórych jej ministrów, do dowodu skrywanych, wrogich dla Turcyi zamierzeń. Było to tem groźniejsze, że w Stambule istniała partya, któraby z radością proklamowała kampanię austryacką [3]).

Równocześnie zaś taż sama dyplomacya pruska pilnie wypatrywała każde poruszenie gabinetu wiedeńskiego na terenie stambulskim, któreby mogła przedstawić w Petersburgu, jako świadectwo podburzania Turcyi przeciw Rosyi.

Skutkiem tego Brognard musiał co chwila zaprzeczać jakiemuś doniesieniu pruskiemu, zwalczać jakąś insynuacyę Zegellina.

[1]) Kaunitz an Brognard. Wien, 18 Novembr. 1768.
[2]) Kaunitz an Brognard. Wien, 7 Horn. 1768.
[3]) Relacye Brognarda.

W tych warunkach trudno mu było nie okazać „niechęci“ dla króla pruskiego. A sam Kaunitz zmuszony był wbrew własnej instrukcyi i kryjącej się za nią idei zbliżenia austryacko-pruskiego nakazywać internuncyuszowi, aby Zegellina na każdym kroku dyskredytował, aby zwracał uwagę Porty na obowiązki sojusznicze Prus wobec Rosyi, na ich obłudę [1].)

W niemiłem położeniu stawiał Brognarda Obreskow, który, jak tylko mógł markował przed Portą, że stosunki jego dworu z Austryą, a jego samego z jej ambasadą, są jak najlepsze [2]).

Nie ułatwiała też sytuacyi zaprzyjaźniona dyplomacya francuska. Vergennes, a następnie St. Priest z wielkim sprytem prowokowali takie enuncyacye i postępki internuncyusza, które w ich oświetleniu inaczej były przez Portę rozumiane, niż tego życzyłby sobie gabinet wiedeński. Były one nieraz przeciwne i jego intencyom i zasadom obowiązującego systemu. Dyplomacya francuska starała się polską i rosyjską politykę Kaunitza na terenie stambulskim, po pierwsze, modyfikować w myśl własnych wskazań i celów, po drugie, wywoływać u Porty wrażenie, że przyjazne dla niej stanowisko monarchii jest następstwem przymierza austryacko-francuskiego i Francyi go Turcya jedynie zawdzięcza [3]).

Polska polityka Kaunitza, w tych warunkach ulegała w swych objawach wobec Porty znacznym modyfikacyom, a nawet dużym odchyleniom od zasad systemu ścisłej neutralności na których była oparta. Wskutek czego i efekt jej u Porty bywał często inny, niż zamierzony.

Podstawową, walną przyczyną tego zjawiska była pewna wewnętrzna sprzeczność, kryjąca się w jej założeniach. Sprzeczność ta polegała na dwoistości i rozbieżności jej intencyi. Jedne z nich, które Kaunitz głośno wyznawał, wypływały konsekwentnie z przyjętego systemu ścisłej neutralności i z ogólnej orientacyi antypruskiej. Te nakazywały zachować wobec Porty w sprawach polskich i przesilenia rosyjsko-tureckiego zupełną obojętność, a nawet nie dać jej podstaw do wyrobienia sobie sądu o tem, czy Austrya sympatyzuje z Barem, czy pragnie wybuchu wojny, czy nie. Pozornie było to zadaniem tem łatwiejszem, że Kaunitz sam wobec siebie dylematu tego nie rozwiązał. Albo

[1]) Kaunitz an Brognard. 5 Juli, 5 Decembr. 1768. 7 Horn. 1769.
[2]) Brognard. Berichte 1768.
[3]) Vortrag, Wien, 26 Jän. 1769.

bowiem musiałby się opowiedzieć za Konfederacyą i za wojną, czego nie mógłby pogodzić z orjentacyą antypruską i opartą na niej biernością, albo też przeciw niej, co oznaczałoby aprobatę przewagi rosyjskiej w Rzplitej i ściągnięcie na siebie nieprzyjaźni Turcyi w myśl najserdeczniejszych pragnień Fryderyka.

Drugie zaś intencye, do jakich kanclerz jawnie się przyznawał, gdyż nie godziły się i nie mieściły w ramach obowiązującego systemu, a które niemniej w świadomości jego silnie pulsowały, wyrastały z odczucia austryackiej racyi stanu, która nakazywała możliwie czynnie nawet sympatyzować z Barem dążącym do złamania przewagi rosyjskiej w Polsce, i z wojną, która według wszelkiego prawdopodobieństwa skończyć się miała brakiem innych wyników oprócz tyle dla monarchii pożądanego osłabienia tak Rosyi, jak Turcyi.

Intencye te jakkolwiek przeciwne tamtym pierwszym poza wiedzą i poza wolą Kaunitza, modyfikowały jego politykę wobec Turcyi.

Dalszą przyczyną była właściwa Porcie podejrzliwość, która zniewalała nieraz celem jej zażegnania do postąpień nie zupełnie zgodnych z zasadniczemi politycznemi wskazaniami. Działo się to tem łatwiej, że dyplomacya pruska dostarczała dość często swymi insynuacyami potrzebnych tu zawsze oportunistycznych usprawiedliwień a „utajone intencye“ konieczności ich użycia z natężeniem wypatrywały.

Ostatnim wreszcie motorem owych modyfikacyi była dyplomacya berlińska, a bardziej jeszcze paryska; w ich interpretacyi niejedno posunięcie polityczne Brognarda nabierało dla Porty innej wartości, niż zamierzone.

## III.

Natychmiast po ogłoszeniu fetwy, proklamującej wojnę (7 sierpnia) sułtan i Porta podjęli kroki celem wyjaśnienia sobie przedewszystkiem ciągle zagadkowego stanowiska Austryi, a następnie wybadania, czy i o ile gabinet wiedeński byłby skłonny do wzięcia mniej lub więcej bezpośredniego udziału w kampanii rosyjsko-tureckiej.

I tak już w pierwszej połowie sierpnia, Mustafa III, zwierzył się za pośrednictwem doktora Gohbisa gabinetowi wiedeńskiemu ze swych projektów. Uczynił to pośrednio. Zapytał mia-

nowicie o pokrewieństwo domu saskiego z austryackim i o przyczyny dla których Austrya nie stara się wynieść na tron polski księcia saskiego w miejsce tego, który na nim siedzi dzięki przemocy rosyjskiej. Gohbis donosząc o tem Brognardowi opowiadał, że sułtan zamierza go wysłać z „dobrą misyą“ do Wiednia [1]).

Kaunitz zdając sprawę Maryi Teresie z tych „zdumiewających“ wynurzeń Mustafy, osądzenie ich odkładał aż do przybycia Gohbisa. Rezerwa ta nie trwała długo. W tydzień już potem, był zdecydowany, gdyby Gohbis przyjechał z propozycyą wyniesienia na tron polski księcia saskiego, oświadczyć mu, „że Ich Majestat postanowił niepokojów polskich nie zwiększać, lecz raczej pomódz do ich uciszenia“ [2]).

W tymże czasie Porta zapytała w Stambule tłómacza ambasady cesarskiej Testę, o stosunek Austryi do Rosyi. Pytanie to wisiało oddawna w powietrzu. Odpowiedź była przygotowana już od lutego. To też obecnie Testa udzielił jej niezwłocznie. Była to konwencyonalna deklaracya, że Austryę z Rosyą nie łączy żaden alians odkąd rząd petersburski go zerwał, i że pragnie się nadal utrzymać z Wysoką Portą pokój wieczny i rzetelną przyjaźń [3]). Porta na razie się tem zadowoliła. Z tem większą natomiast natarczywością wypytywała się o „nowinki polskie“. Brognard udzielał ich z coraz mniejszą ostrożnością. Informacye jego już niedwuznacznie świadczyły o sympatyi gabinetu wiedeńskiego dla Konfederacyi. Klęski jej przemilczał lub pomniejszał, sukcesy akcentował i podkreślał. I tak n. p. w cztery dni po upadku Krakowa Brognard Portę informował, że aby zniszczyć konfederacyę krakowską potrzeba nowych wojsk i bardzo wiele jeszcze czasu [4]). Dostrajając się do tonu instrukcyi Kaunitza niejednokrotnie w swych opowiadaniach o Barze wychodził daleko poza wyznaczone granice suchych kronikarskich komunikatów, poza nakazywaną oględność. Zwłaszcza gdy Porta przestała się zadawalać samymi informacyami i zapytywała wręcz o opinję gabinetu wiedeńskiego. I tak 1 września, tłómacz Porty, Ridżaji Efendi zwrócił się do Testy z pytaniem: „jak długo ta opieka

[1]) Brognard an Kaunitz. Pera, 1 Aug. 1768.

[2]) Vortrag, Wien, 22 i 28 Aug. 1768.

[3]) „Che Noi non abbiamo più nissuna alleanta colla Rossia dal tempo, che loro stessi l'hanno interrota, e che la Nostra Corte come sin'adesso, ancora in avvenire desidera conforme alla pace perpetua di restare sempre in una sincera amicizia e buona vicinanza con la fulgida Porta“.

[4]) Brognard an Kaunitz, Pera 1 Sept. 1768.

Rosyan nad Polską trwać będzie?“ Brognard kazał odpowiedzieć: — że trudno odgadnąć do czego mogą jeszcze doprowadzić wypadki w Polsce. To jednak wie, że najwyższy jego dwór *dotąd* się do spraw polskich nie mieszał i stale sobie życzył, żeby one mogły wziąć obrót jak najpomyślniejszy dla tego królestwa [1]).

Jak bardzo enuncyacye te mimo wszystko były powściągliwe, jak wiele było w nich niedomówień, to przecież pozwalały one Porcie ustalić sobie przy pomocy Vergennesa pogląd, że Austrya z dążeniem Baru do wyzwolenia Rzplitej z jarzma opieki rosyjskiej żywo i serdecznie sympatyzuje. Na tem przekonaniu budował Mustafa III plany swe i marzenia o wciągnięciu monarchii do wojny przeciw Rosyi i o pozyskaniu jej pomocy dla detronizacyi Stanisława Augusta.

W kilka dni po uwięzieniu Obreskowa i formalnem wypowiedzeniu wojny, powrócił sułtan w rozmowie z Gohbisem do sierpniowych pomysłów pozbawienia korony Poniatowskiego; już jednak nie pytał i nie dawał do zrozumienia, ale oświadczył wręcz, że Rosyan z Polski wypędzi, Stanisława Augusta z tronu strąci, że pragnie koronę polską oddać któremuś z książąt saskich, w szczególności księciu Albrechtowi cieszyńskiemu. „Niech to kosztuje co che — miał powiedzieć — jeden z książąt saskich musi zostać królem polskim“ [2]). Poczem zażądał mapy Rzplitej, drzewa genealogicznego domu saskiego i pocztu arcyksiążąt austryackich. Wszystkiego tego Brognard mu natychmiast dostarczył. Równocześnie Gohbis zapytywał Bianchiego, pierwszego tłómacza ambasady austryackiej, niby od siebie: czy Austrya nie chciałaby osadzić na tronie polskim, któregoś z Habsburgów, w imieniu zaś sułtana: czy nie podjęłaby wojny przeciw Prusom, celem odzyskania Śląska [3]).

Na te wszystkie napomykania gabinet wiedeński zupełnie nie reagował. Porcie wydało się to tembardziej podejrzane, że dochodziły ją głuche wieści o zbrojeniach austryackich, o 40,000 korpusie wystawionym na granicy polskiej i tureckiej, o podróżach Józefa II. Zegellin donosił Turcyi o układach prowadzonych po cichu między Wiedniem a Petersburgiem [4]). Wśród mi-

[1]) Ibidem.

[2]) Brognard an Kaunitz, Pera 12 Octobr. 1768.

[3]) Ibidem.

[4]) Brognard an Kaunitz, Pera 13 Octobr. „Reçus de m-r l'ambassadeur de France le 13 octobre 1768 à 7 heure du soir“.

nistrów tureckich istniała wciąż jeszcze silna partya rosyjska, która pracowała nad zażegnaniem wojny. Wielki wezyr Hamza basza również w głębi serca nie był jej zwolennikiem. Tworzył się blok pokojowy, który Mustafie przedstawiał niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą dwuznaczne stanowisko Austryi, skwapliwie mu przedkładał insynuacye pruskie, oświetlał je doświadczeniem zdobytem w ostatniej wojnie z Rosyą, kiedy to Austrya już w czasie kampanii połączyła się zdradziecko z Rosyą; a przybył właśnie do Carogrodu, nowomianowany han Kerim Gherai i odbywać się miały rozstrzygające narady wojenne.

W tych warunkach istotnie Porta „miała dość przyczyn — jak się wyraził jej tłómacz — aby się upewnić o przyjaźni dworu cesarskiego". Zapewnienia tego „zażądała nagle w połowie października, w formie pisemnej deklaracyi-rewersu, „scrittura di cauzione" [1]). Uczyniła to w części za pośrednictwem posła francuskiego, Vergennesa, najprawdopodobniej za jego poradą [2]). Brognard rewers wystawił, uprzednio przez Vergennesa odpowiednio nastraszony i meretorycznie na to już przygotowany [3]). W deklaracyi tej zapewniał Portę w imieniu swego dworu, że Austrya pamiętając wdzięcznie zachowanie się Turcyi wobec niej w dobie wojny siedmioletniej zdecydowana jest nie brać żadnego udziału w wojnie, natomiast utrzymać „wieczny pokój, który istnieje między obu dworami" i zachować zawsze dla Wysokiej Porty „doskonałą przyjaźń"[4]). Pismo to było natychmiast przedstawione wielkiej radzie (rikiab), która właśnie obradowała nad wojną pod przewodnictwem sułtana i gdzie na nią niecierpliwie czekano. W ten sposób najsilniejszy atut, jaki partya pokojowa przeciw wojnie wygrywała, niebezpieczeństwo austryackie, rewersem Brognarda w znacznej mierze został osłabiony. Dzięki temu poniekąd, nieprzejednane stanowisko hana Kerim Gheraja na rikiabie utrzy-

[1]) Brognard an Kaunitz. Pera, 23 Octobr. 1768.

[2]) Por. relacye Brognarda z 13 i 18 Octobr. „Reçu de m-r l'ambasadeur de France. Rèponse donnèe au chehaja Begh par m-r de Vergennes le 14 d'Octobre 1768.

[3]) Ibidem.

[4]) Brognard do wielkiego wezyra, Hamzy Baszy, Pera di Constantinopoli ai 19 Octobre 1768: „mentre hò l'onore d'assicurarla con questa mia candida e sincera scrittura di cauzione, che anche l'augma mia corte non hà niente di più à cuore, che di stringere sempre di più la sincera e perfetta amicizia colla fulgida Porta, ed asseruerà ancora essa inviolabilmente la pace perpetua che sussiste frà le due corti"; ustęp ten wstawiony na żądanie Porty, w podanej przez nią redakcyi.

mało się. Na żądanie jego sułtan pozbawił wielkiego wezyratu mało animuszu wojennego okazującego Hamzę baszę [1]). Wojna oddawna przez Mustafę postanowiona, 7 sierpnia zapowiedziana, 6 października ogłoszona, obecnie ostatecznie zapieczętowana.

Dalszem następstwem deklaracyi było to, że ośmieliła ona Portę do bezpośredniego już poruszenia wobec Austryi sprawy detronizacyi Poniatowskiego i odebrania Śląska. Mianowicie 2 listopada nowomianowany wielki wezyr Emin Mehmed basza polecił Bianchiemu „przesłać swemu dworowi jego słowa“: że cesarski dwór nigdy nie znajdzie lepszej sposobności nad obecną, aby Śląsk królowi pruskiemu odebrać; i że Porta byłaby gotową udzielić mu w tym celu wszelkiej pomocy i poparcia [2]). W tymże czasie Turcya za pośrednictwem ambasadora francuskiego przesłała Brognardowi list wielkiego wezyra do Rzplitej. Wręczając go, Vergennes w imieniu Porty zwrócił uwagą internuncyusza na ustęp tyczący się detronizacyi: „ponieważ od ujawnionego tam sposobu myślenia i zamierzeń już się nie oddali“ [3]).

Gdy mijały tygodnie, a Brognard i na te enuncyacye wciąż jeszcze w żadnej formie nie udzielał odpowiedzi, zagadnęła go Porta w połowie grudnia już wprost o zdanie gabinetu wiedeńskiego w sprawie strącenia z tronu St. Augusta. Uczyniła to w sposób dość osobliwy. Pod pozorem pogłosek, że Austrya, Francya, Prusy i Anglia myślą o detronizacyi Poniatowskiego, zażądała od internuncyusza ich wyjaśnienia. W odpowiedzi Bianchi oświadczył: — Pogłoska jest wymysłem, na którym niema cienia prawdy. Porta zna stanowisko Austryi wobec ostatniej elekcyi polskiej, wie, że dwór habsburski pragnął, aby była wolną, że życzył sobie obioru księcia saskiego. Rosya przeprowadziła wybór „praśnika“ (stolnika) Poniatowskiego. Ponieważ jednak Austrya królem go uznała i ponieważ dotąd król ten nie dał powodu do jawnego niezadowolenia, więc obecnie Austrya nie może stać się jawnem narzędziem jego detronizacyi. Równocześnie jednak zgoła nie myśli w obronie jego wystąpić. Wogóle bowiem z królem polskim nie łączą jej żadne stosunki, tak dalece, że wbrew zwyczajowi dworów chrześcijańskich nie bawi ani w Warszawie poseł cesarski, ani też w Wiedniu polski [4]).

[1]) Brognard an Kaunitz. Pera, 23 Octobr. 1768.

[2]) Brognard an Kaunitz, 2 Novbr. 1768.

[3]) Brognard an Kaunitz. Pera, 6 Novembr. 1768.

[4]) Note. „Il Sig-re Internunzio e restato molto sorpreso della novità pervenuta à Sua Altezza il Gran Veziro d'una alleanza trà l'augustissima sua

Tak brzmała odpowiedź oficyalna; w tymże zaś czasie internuncyusz na rozkaz Kaunitza we własnem imieniu, prywatnie, doradzał przez Gohbisa sułtanowi wynieść na tron polski elektora saskiego, gdyby Turcya w zamiarze swym trwała, ponieważ ten ma armię i inne środki ku temu potrzebne [1]).

Na propozycyę odbioru Śląska odpowiedział internuncyusz dopiero 28 grudnia, w obszernym memoryale. Dziękował Porcie imieniem swego dworu za okazaną życzliwość; oświadczał, że Austrya z projektu nie skorzysta, gdyż dotrzymuje zawsze danego raz słowa, i nie może zerwać pokoju, dopóki król pruski nie daje ku temu żadnej przyczyny [2]).

---

corte, e tre altre corti, e assicura V. G. Ill-ma che non gli è noto affatto niente di tutto questo, anzi crede detta novità tirata forse di qualche cattiva gazetta, e portata alla fulgida Porta da gente, la quale non sà combinare li affari publici; di più mi disse il Sig-re Internunzio, che la fulgida Porta puol da per se facilemente sapere come pensa la corte imple à rignardo del Rè di Polonia e la casa di Sassonia, mentre subito doppo la vacanza del trono di Polonia la nostra corte dichiaró alla fulgida Porta ch'ella era intenzionata di lasciare il corso libero alla nova elezzione; se però questa rinscirebbe in favore d'un prencipe di Sassonia la nostra corte l'aurebbe molto à caro, tanto per l'amicizia, che per la stretta parentela, ch'essiste frà le due case. L'evento di detta elezione non hà però corrisposto à detti voti e desiderj della corte imple, mentre la Russia si è affatticata di portarla in favore del Prasnik di Lithuania Poniatowsky, il quale fù ancora riconusciuto dalle corti di Sassonia, di Francia e la nostra doppo questo passo la formale ricognizione essendo cosi sequita, ed il Rè non da canto suo motivi sufficienti di malcontentezza alla corte imple, essa non potrà mai essere un istromento publico per la sua deposizione senza contradirsi à se stessa dell'altro canto però non pensarà ne nuno d'interessarsi publicamente per lui, e di prendere qualche parte al suo destino; e vi è tanto pocco vincolo trà la nostra corte ed il Rè di Polonia, che sin'adesso contro il costume delle corte christiane non si trova verun inviato imple à Varsovie, ne un inviato polacco in Vienna". (Załącznik do relacyi Brognarda, Pera 16 Decembr. 1768.)

[1]) Kaunitz an Brognard, Wien, 4 Novembr. 1768.

[2]) Memoria effettivamente presentata dal ces-o reg-o Internuntio il Sig-re de Brognard alla Porta Ottomana: „...a rignardo però della segreta riflessione di S. A. il Gran Veziro communicatami per mezzo del dragomano imple il sig-re Bianchi li 2 di Novembre passato, il giorno dopo ch'io ebbi l'onore di avere la mia udienza appresso di Lui, dove mi fece sapere, che adesso sarebbe il tempo, dove l'aug-ma mia corte potrebbe risolversi di ricuperare la Silesia usurpata dal rè di Prussia, l'altesata mia corte ha inteso questa proposiziòne fattagli da parte della fulgida Porta con molta gratitudi-

W tymże zaś czasie Bianchi wyjaśniał tłómaczowi Porty, że Turcya z neutralnego stanowiska monarchii wobec Prus wyciągnie tę samą korzyść, co i z wojny austryacko-pruskiej, gdyż gabinet wiedeński nie pozwoli Fryderykowi udzielić zbrojnej pomocy Rosyi [1]). Wnet potem w tych zapewnieniach poszedł Brognard jeszcze dalej na rozkaz Kaunitza, gdy oświadczył Porcie, że Austrya nie cofnie się przed wojną, jeśli armia pruska wkroczy do Rzplitej [2]). Oświadczenie to czyniło tem większe wrażenie, że niedawno Zegellin doniósł Porcie, że król jego nigdy nie dopuści do złożenia z tronu St. Augusta, ponieważ gwarantował mu koronę.

Był to już styczeń roku 1769. Anglia i Prusy ofiarowały już Turcyi swe pośrednictwo, a obecnie nalegały na nią, aby je przyjęła i zawarła z Rosyą pokój, zanim rozpocznie operacye militarne [3]). Austrya również zaproponowała Turcyi swoją medyacyę. Ale nie nalegała zgoła na jej przyjęcie. Propozycyę swą postawiła inaczej, niż tamte mocarstwa, bo warunkowo — jeśli Porta uzna, że jest potrzebną [4]). Nie starała się wojnie zapobiedz, jak Prusy i Anglia, lecz pragnęła udaremnić ich pośrednictwo. Nie tłómaczyła Porcie, że należy z Rosyą się porozumieć, lecz dowodziła jej, że medyacya pruska czy angielska byłaby dla niej jaknajbardziej nie-

---

ne, e lo riceve come un contrasegno della sua sincera benevolenza, ma si ritrova fuor di stato, di poter mettere a profito questo ben intenzionato progetto, perchè è accostumata sempre di mantenere puntualmente la sua parola già data; onde pensa di conservare la pace conchiusa alcuni anni fa col rè di Prussia, sin'a tanto che detto rè darà qualche motivo sufficiente di romperla; e si crede, che questa risoluzione dispiacerà tanto meno alla fulgida Porta, mentre prova da una parte, che la corte imple preferine l'osservanza religiosa de' trattati già conchiusi, e dell'altra parte non ignora il prezzo de' favorevoli sentimenti della fulgida Porta communicatigli in questa occasione, ed è disposta di riconnoscerle sempre con una pura e sincera amicizia..." (Załączone do relacyi Brognarda, Pera 3 Jan. 1769).

[1]) Brognard an Kaunitz, Pera, 16 Jan. 1769. Tłómacz Porty odpowiedział: „man siehet wohl aus allem, dass dieser König sehr auf dem kais. Hof zurücksehe... Got, sëye auch allein bekannt, was mit der Zeit noch geschehen könne".

[2]) Kaunitz an Brognard, Pera 16 Jan. 7 Horn. 1769.

[3]) Brognard an Kaunitz, Pera, 3, 10, 16 Jan., 17 Febr., 3 i 17 Marz 1769.

[4]) Kaunitz an Brognard, Wien, 20 Decmbr. 1768. Memoryał Brognarda, Pera li 28 Decembre 1768: „...particolarmente se la fulgida Porta trovarebbe che la mediazione della corte Imple potrebbe servire a comporre le differenze insorte tra Essa e la Russia".

korzystną, gdyż jedno z tych mocarstw jest z Rosyą sprzymierzone, a drugie zaprzyjaźnione [1]).

Gdy poseł angielski Muray i pruski Zegellin w styczniu, lutym i marcu jeszcze przekładali Porcie w sprawie tej coraz to inne i nowe memoryały i listy swych monarchów do sułtana; Kaunitz uspokojony słowami wielkiego wezyra: „o ileby miało przyjść do rokowań pokojowych, to pośrednictwo dworu cesarskiego byłoby dla Porty najlepsze“, polecał Brognardowi sprawy tej nie poruszać, natomiast z całem natężeniem zwalczać akcyę innych mocarstw [2]).

Wreszcie i najstaranniej dotąd przez gabinet wiedeński przestrzegana zasada, nie poruszania wobec Porty w najmniejszej mierze sprawy polskiej, w lutym roku 1769 została złamaną. I to równocześnie niemal z winy Brognarda i samego kanclerza. Brognard bowiem wbrew wskazaniu, które zabraniało mu dać Porcie cień pozoru posiadania z konfederacyą jakichś stosunków, a tembardziej jakiejś wobec niej na rzecz Baru interwencyi, padł ofiarą intrygi St. Priesta (w której szczegóły na tem miejscu wchodzić nie będziemy) i przedstawił wielkiemu wezyrowi list Potockiego i Krasińskiego, przesłany mu za pośrednictwem ambasady francuskiej. W piśmie tem prosili go marszałkowie o poparcie u Porty ich prośby o wysłanie hana do Rzplitej [3]).

W tymże czasie Kaunitz przesłał internuncyuszowi zlecenie, które trudnoby było pogodzić z zasadą, jaką wyznawał: na stosunek Turcyi do Baru nie wpływamy. Kazał mu bowiem przedstawić Porcie w sprawie polskiej radę jego — ale pod dowolnym pseudonimem. Brognard udzielił w tym celu swego nazwiska, i w połowie lutego w rozmowie z tłómaczem Porty, jakby mimochodem podał ją jako własny pomysł. Radził mianowicie, żeby Porta zjednoczyła zwalczające się w Polsce stronnictwa, bo w ten sposób będzie miała nie pół, ale cały naród za sobą, gdyż dalej przez to Rosya straci wszelki wpływ na Rzplitę, a więc cel,

[1]) Tamże: „quella di Berlino e Londra per causa della loro stretta inteligenza colla corte di Russia“.

[2]) Rescripte Kaunitza, Jan., Febr. 1769

[3]) Krasiński i Potocki do Brognarda, Batrae, Dj.: 22 Jan. 1769. „exponimus petitiones nostras serenissimae Portae, quatenus serenissimus han, cum parte exercitus, de cujus quantitate cum illo secundum temporis exigentiam componemus, sit nobis auxilio praesens in Polonia, cujus petitionis effectum, et serenissimae Portae facilitatem, ut etiam Exellentia Vestra authoritate sua adjuvet, enixe rogamus“.

dla którego chwyta za broń, będzie przed rozpoczęciem wojny, jeśli nie osiągnięty, to osiągnięcie go będzie bardzo ułatwione. Aby partye w Rzplitej pogodzić, zalecał zarzucić myśl detronizacyi St. Augusta i nie prowadzić wojny na terenie ziem polskich, ale gdzieindziej.[1]) Rada ta nie zrobiła na tłómaczu Porty żadnego wrażenia, podana w formie lekkiej i niepoważnej, lekko i niepoważnie została przyjęta. Odpowiedź była krótka: byłoby to bardzo dobre, gdyby było wykonalne. Strącić Poniatowskiego z tronu chcą koniecznie Polacy; teren przyszłej wojny pragnie koniecznie mieć w Rzplitej Konfederacya [2]). Taki był efekt rad kaunitzowskich.

Tymczasem wypadki rozwijały się szybko; 20 marca odbył się uroczysty wymarsz wielkiego wezyra z Konstantynopola na pole walki. Wojna była zaczętą.

. . . . . .

Historyk półoficyalny austryacki, radca dworu Beer, z całą stanowczością twierdzi, iż Kaunitz nie wziął najmniejszego udziału w wywołaniu tej wojny [3]). Jeśli chodzi o zamiary, to tak, jeśli o rzeczywistość, to nie. Porta proklamuje ścisłą neutralność wobec Baru, gabinet wiedeński śpieszy z informacyą, że konfederacya jest silną, a upadnie dla braku poparcia Turcyi. U Porty ważą się losy wojny z powodu niepewności, co do stanowiska monarchii, Austrya przedkłada deklaracyę-rewers „wiecznego pokoju“ i „doskonałej przyjaźni“, zapewnia o ścisłej swej w czasie wojny neutralności. Porta niepokoi się przymierzem prusko-rosyjskiem, Kaunitz ją uspakaja, że powstrzyma Fryderyka od dania Rosyi zbrojnej pomocy i nie ścierpi wkroczenia armii pruskiej do Rzplitej. Nie to, co myślał kanclerz Maryi Teresy, ale to co myślała o Austryi Porta, miało rozstrzygający wpływ na jej wojenną decyzyę. Nie jego zamiary, ale jego wobec Turcyi wypowiedzenia się, są tu konkretną wartością. I nie jego rozumienie własnych enuncyacyi, ale rozumienie Porty zaważyło na szali wojny. Turcya nigdyby nie podjęła była wojny przeciw Rosyi, gdyby Austrya nie dała na nią swego „placet“. A że Kaunitz nie tylko udzielił takiego przyzwolenia, ale co więcej, obiecywał neutrali-

[1]) Kaunitz an Brognard. Wien, 20 Jän. 1769. Brognard an Kaunitz, Pera 17 Hor. 1769.

[2]) Ibid.

[3]) Beer. Die erste Theilung. (Wien, 1873). I, 286: „An dem Ausbruche des Krieges — hatte man in Wien nicht den geringsten Antheil“.

zacyę Prus, należy przyznać, że na wywołanie wojny rosyjsko-tureckiej wywarł wpływ decydujący. Chcąc, czy nie chcąc, z zamiarem, czy bez zamiaru, z konieczności, czy bez konieczności— są to zagadnienia interesujące przy ocenie wartości jego, jako męża stanu, obojętne przy stwierdzaniu samego faktu.

Czy już po wybuchu wojny, Austrya starała się ją zażegnać? Beer rozprawia o zmudnych wysiłkach Kaunitza, aby w ostatniej jeszcze chwili wojnie zapobiedz [1]). Tego już Kaunitz nie tylko nie robił, ale i robić nie zamierzał. Jeśli były jakie zmudne wysiłki, to żeby udaremnić pośrednictwo Anglii i Prus. I tu więc należy sprostować dotychczasowy pogląd.

Co do ściśle polskiej polityki Austryi na terenie stambulskim, odznaczała się ona w znacznym stopniu zarówno niezdecydowaniem jak dwuznacznością nie tylko w swych objawach wobec Porty, ale i w założeniach. Najjaskrawiej uwydatniło się to przy sprawie detronizacyi Poniatowskiego. Gabinet wiedeński odmówił swego współudziału, ale zarazem skwapliwie podkreślał swą niechęć do St. Augusta i zapowiadał, że jego korony bronić nie będzie. Poufnie doradzał Porcie zaś wyniesienie na tron polski elektora saskiego, to znów zarzucenie projektu detronizacyi. Było w tem tyleż sprzeczności, co niejasności. Polityka ta zasłużyła zupełnie na określenie jej przez Mustafę III: „tafszana gacz tazija tut demisz“, co znaczy: „głosiła zającowi: zmykaj! a psu: chwytaj!“

Wacław Mejbaum.

[1]) Beer, Die erste Theilung, 287 i 288: „Als bald nach erfolgter Kriegserklärung von verschiedenen Seiten Versuche zur Beilegung des Streites gemacht wurden, wollte auch der Staatskanzler nicht zurückbleiben. Eifrigst trug er den Türken die Mediation oesterreichs an. Die Aussichten, noch im letzten Momente den Ausbruch des Krieges hindern zu können, schwanden jedoch allmälig; weder die preus. noch die österreichischen Bemühungen waren von einem Erfolge gekrönt“.

# W drodze na północ i na wygnaniu.

## (1864—1870).

### IV.

Dnia 29 marca 1865 r. około godziny 2-ej po południu na dwóch saniach w pięć koni, z krzykiem „jamszczyka“ i głuchym, piskliwym odgłosem dzwonków, wpadłem, jak strzała, do miasta, przeleciałem ulicę i stanąłem przed drewnianym, piętrowym domem, w którym zajmował mieszkanie prywatne i kancelaryę „isprawnik“ (naczelnik powiatu).

W cichem i spokojnem miasteczku hałaśliwy wjazd mój olbrzymie zrobił wrażenie, zwłaszcza w sferach państwowych. Pewni byli, że dzwonki zwiastują przybycie dygnitarza i każdy miał duszę na ramieniu...

We drzwiach gabinetu ujrzałem przerażonego naczelnika powiatu Michała Iwanowicza Nikitina, który wybiegł na moje spotkanie. Sympatyczna fizyognomia siwiejącego „isprawnika“ rozjaśniła się zaraz, gdy dowiedział się, że przybywa mu nowy elew, przysłany do powiatu na „żytielstwo“. Odebrał papiery, które żołnierz mu doręczył i, zwracając się do mnie, rzekł:

— O przyjeździe pana byłem powiadomiony przez gubernatora, ale niespodziewałem się go tak prędko.

Zwróciwszy się do żołnierza, kazał, aby udał się do biura, gdyż ma zabrać ze sobą do Wołogdy partyę aresztantów. Gdy żołnierz wyszedł, przemówił znowu do mnie:

— Jest tu bardzo wielu zesłanych Polaków, ale muszę pana uprzedzić, że jeżeli niemasz funduszów na utrzymanie, to ci tu będzie źle bardzo. Kraj biedny, o zarobek trudno. Zresztą mam rozporządzenie od ministra, że wam niewolno zajmować się pracą

umysłową. Jutro przyjdzie pan do biura, to tam szczegółowo objaśnię o przepisach, jakie obowiązują tu zesłanych. Teraz pan jest wolny i może obrać mieszkanie, gdzie mu się podoba.

Widząc, że nie wychodzę, i nie wiem co ze swoją osobą zrobić, rzekł bardzo grzecznie:

— Bądź pan spokojny, z pewnością na ulicy czekają już pańscy rodacy i jak pan wyjdzie lepiej odemnie pana objaśnią.

Podał mi rękę i tym sposobem dał do zrozumienia, że rozmowa wyczerpana i że powinienem opuścić jego mieszkanie.

Wyszedłem. Sanie stały z memi rzeczami na ulicy, a żołnierz, który mnie przywiózł, otoczony był młodymi ludźmi. Poznałem zaraz, że są to moi bracia... Zwrócili się teraz do mnie, zarzucali pytaniami, wsiedli ze mną do sań i kazali jechać. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przy narożnym, ogromnym, drewnianym domu piętrowym. Poprowadzili mnie po schodach i znalazłem się w dużej, przyzwoicie urządzonej sali.

Zastałem tu zgromadzone towarzystwo, gdyż dom ten zajmowała inteligencya zesłanych Polaków. Po kolei zaczęli mi się przedstawiać I tak:

Witold Oskierko z gub. mińskiej, obywatel ziemski, były akademik petersburskiego i paryskiego uniwersytetu;

Stanisław Kraków z Warszawy, syn pani Pauliny, literatki, utrzymującej pierwszorzędną pensyę. Po powrocie do kraju, wyjechał do Paryża i otworzył tam zakład fotograficzny;

Wincenty Sowiński, bratanek słynnego generała, który w kościołku na Woli zginął bohaterską śmiercią, emigrant z 46 roku. Zwiedził on całą Europę, tułał się po Ameryce i t. p. Wrócił do kraju za amnestyą, zabrany mimo to po powrocie do cytadeli, a z niej został wywieziony do Wołogdy. Tu przez lat kilka pod samem miastem trzymał w dzierżawie duży majątek ziemski, w czasie zaś powstania porwany został przez żandarmów i wywieziony do Ustsysolska. Wskutek nagłego wywiezienia stracił cały majątek. Żyć musiał z 6 rb., które, jako niepozbawiony szlachectwa, pobierał miesięcznie. Schorowany, niemłody, był jednak duszą kolonii — wesoły, dowcipny, patryota, zacny człowiek, kochany przez kolegów. Uwolniony był wcześniej odemnie — umarł jednak zaraz po powrocie do kraju;

Kazimierz Celt, młody chłopiec, farmaceuta z Warszawy. Uwolniony także przedemną, w pierwszym zaraz tygodniu po powrocie do Warszawy umarł, zmęczony komisyami i więzieniem;

Władysław Nowiński—bardzo młody chłopiec, uczeń gimnazyum z Warszawy, wzięty z partyi. Uwolniony w lat parę jako

niepełnoletni. Po powrocie do kraju wyjechał zagranicę, gdzie kształcił się i podobno szukał karyery w Ameryce;

Szymanowicz, także młody chłopiec z lubelskiego; Wincenty Żmijewski z gub. płockiej, obywatel ziemski; Żurawski, były akademik petersburski, nadzwyczaj zdolny, energiczny, zapalony, zacny chłopiec.

Byli to właśnie ci wszyscy, co zajmowali razem ów dom, wynajęty od tutejszego kupca Kłykowa. Każdy miał swój oddzielny pokój, wspólną była sala i pokój jadalny. Obsługa cała składała się z kolegów, ubogich Polaków.

Na wygnaniu łatwo zawiązywała się znajomość i wszyscy tworzyli jakby jedną rodzinę.

Jeszczem się nie rozgościł, gdy wszedł inny ziomek i choć nie wygnaniec, pełnił tu bowiem urząd doktora powiatowego, był jednak duszą polonii. Temu zacnemu lekarzowi, Aleksandrowi Drzewieckiemu, zawdzięczamy wszystko. Dom jego był punktem, do którego wygnańcy ciągnęli, u niego zawsze głodny mógł się pożywić i otrzymać pomoc materyalną. On urządzał święcone z taką uroczystością, wystawą i polską gościnnością, że każdemu przypomniał się ukochany kraj rodzinny...

Rozpoczęła się ożywiona pogawędka.

Byłem właśnie tym nowym czynnikiem, który rozerwał na chwilę monotonne życie wygnańcze. Nie czułem zmęczenia i noc prawie cała przeszła na opowiadaniu różnych epizodów z mojej po Rosyi wędrówki. Oni znowu rozpowiadali o stosunkach wygnańców w Ustsysolsku.

Dowiedziałem się, że przeszło stukilkudziesięciu jest tu zesłanych z Polski i Litwy, w większej części z całemi rodzinami, że straszna nędza wśród tych biedaków panuje, że nic zarobić nie mogą, bo sami tutejsi mieszkańcy nie mają co robić.

Dalej dowiedziałem się, że utworzony jest komitet z inteligentnych, zacnych wygnańców, który z różnych źródeł stworzył kasę pomocy dla biednych, że w kasie mają kilka tysięcy rubli i że kasyerem jest ks. Bużyński z Warszawy, bardzo inteligentny człowiek. Właśnie w chwili mego przyjazdu powstały nieporozumienia, które później gorsząco na całą kolonię oddziałały. Ale o tem później powiem, na właściwem miejscu.

Dowiedziałem się także, że wogóle utrzymanie niewiele kosztuje, bo za lokal całego domu, w którym kilkunastu nas mieszkało, płaciło się miesięcznie 10 rb., a całodzienne utrzymanie z opałem i praniem wynosiło od 7 do 8 rb. miesięcznie. Opowiadali mi koledzy, że w mieście jest kilka rodzin urzędników rosyj-

skich, a całe kupiectwo Zyryanie, że wogóle Polaków lubią i chętnie przyjmują w swych domach i że jak odpocznę, muszę złożyć wizyty.

Nazajutrz dwóch kolegów udało się ze mną do biura naczelnika powiatu. Przeczytano mi tam regulamin, t. j. że obowiązany jestem dwa razy na tydzień meldować się i zapisywać w książce, że niewolno mi nigdzie wydalać się za miasto bez pozwolenia policyi, że wolno polować i trzymać broń, w końcu, *że miesięcznie pobierać będę 1 rb. 80 kop. na całe utrzymanie!...*

Obejrzałem miasteczko. Domy wszystkie drewniane, tylko cerkiew murowana i jeden dom, w którym był pomieszczony sąd. Ulice równe, nie brukowane, a chodniki drewniane, rodzaj mostków, na których bardzo łatwo złamać można nogę, a nawet kark skręcić. Śniegi jeszcze ogromne, choć to już był początek kwietnia. Mieszkańcy trochę podobni do Rosyan, różnili się jednak fizyognomią i ubraniem. U starszych mężczyzn twarz cała zarośnięta, tylko ogolone lub przystrzyżone wąsy, pookrywani w futra długie sierścią na wierzch. W tym stroju robili wrażenie spacerujących niedźwiedzi. Mowa także dziwna, krzykliwa, jednogłoskowa, urywana i zdawaćby się mogło, że kłócą się z sobą.

Ustsysolsk jest stolicą państwa Zyryańskiego. Miasto położone na bardzo wyniosłych brzegach dwóch rzek, łączących się tu z sobą, Sysoły z Wyczegdą. Prawdopodobnie wskutek tego miasto przybrało to nazwisko od ujścia Sysoły.

Zyryanie w starożytności byli koczującem plemieniem, trudnili się hodowlą bydła i koni i do wtargnięcia Mongołów do Europy w r. 1213 zajmowali obszerną przestrzeń między Wołgą, Oką i Kamą, gdzie na równinach i porzeczach mieli wyborną dla stad swych paszę. Przerażeni napadem Mongołów, porzucili swe dawne wygodne koczowiska i skryli się na sam cypel dzisiejszej Rosyi, pod góry Uralskie, gdzie dotychczas mieszkają.

Zyryanie zamieszkują ogromną przestrzeń północnej Rosyi, kilka razy większą, niż dzisiejsze Królestwo Polskie: sam powiat ustsysolski—według obliczeń Szwejcera—liczy mil kwadratowych 2,885, Królestwo Polskie zaś zaledwie 2,214 m. kw., a jeszcze trzeba dodać cały powiat jareński i duży kawał gub. archangielskiej, gdzie mieszkają Zyryanie, co stanowi drugie tyle.

Co zaś do zaludnienia, ogromna różnica, bo na tak wielkim obszarze ziemi, podług obliczenia kapitana Uslara, w r. 1850 było wszystkich mieszkańców 80,000.

Zyryanie ani językiem, ani pochodzeniem nie mają nic wspólnego z Rosyą, są oni czudzkiego albo fińskiego pochodzenia.

Zyryanie w starożytności oddawali cześć bałwanom, wyrabianym z drzewa, a przedstawiały je: sobole, kuny, wiewiórki i inne zwierzęta, oddawali cześć ogniowi, słońcu, wodzie, kamieniom, drzewu. Głównem jednak bóstwem był u nich Wojpel i Złota Baba Jomała, wyrobiona z kamienia, a przedstawiająca starą babę z dwoma młodzieńcami: jednego trzymała na rękach przy piersi, drugi opierał się o kolana. Wojpel znów był nieusypiającym stróżem i wiernym obrońcą narodu.

Herbersztejn i Guanini utrzymują, że kamienny bożek „Złotej Baby“ z synem przy piersi i wnukiem około nóg stał także przy ujściu rzeki Ob' w obdorskiej stronie; ostatni dodaje, że czcili go: Obdorcy, Ingry, Woguliczy i inne sąsiednie narody.

Karamzin wspomina także, że Zyryanie wierzyli w złe i dobre duchy i mieli pojęcie o jednym wielkim duchu, Stworzycielu nieba i ziemi, który mieszkał w niebie. To niewidzialne bóstwo nazywali ogólnem imieniem En. Wierzyli także w nieśmiertelność duszy i w karę i nagrodę w przyszłem życiu.

Na cześć „Złotej Baby“ Zyryanie zabijali najtłuściejsze renifery i krwią zabitych mazali jej usta i oczy.

Nazwisko „Jomała“ objaśnia się zyryańskiem słowem Joma— stara, kłótliwa, zła kobieta—i po dziś dzień używają tego słowa na oznaczenie złej kobiety. Jest to u nich nawet rodzaj przekleństwa „joma baba kod-lok“, co znaczy — zagniewana, zła, jak joma (stara).

Około rzeki Pieczory, pomimo że już dawno Zyryanie przyjęli wiarę chrześcijańską, składają i dziś jeszcze cześć swym dawnym bóstwom i w zasadzie są poganami, mimo że chodzą do cerkwi, których jest tu bardzo mało. Byłem naocznym świadkiem, jak w wielu miejscowościach w święto przyprowadzają na ofiarę bydlę, które przed nabożeństwem bywa zabijane, połowę oddają na cerkiew, drugą zaś połowę gotują i po nabożeństwie spożywają.

Pierwszym apostołem, który rzucił ziarno chrześcijańskie na glebę zyryańską, był św. Stefan Wielko-Permski. Urodzony w Ustiugu Wielkim, miał sposobność od blizkich sąsiadów Zyryan nauczyć się ich języka, który stał mu się później pomocny w propagandzie religijnej. On stworzył abecadło zyryańskie i przetłómaczył ze słowiańskiego kilka książek religijnych. Działo się to w r. 1375, za panowania Wielkiego Księcia Dymitra Joanowicza.

Nie wiem czy istnieje jaki inny naród, któryby, jak Zyryanie, nie posiadał żadnych tradycyi historycznych, żadnych podań,

nawet pieśni ludowych; jeżeli zaś w czasie świąt lub jakich uroczystości usłyszysz tu piosenkę, to melodya i słowa są rosyjskie, a śpiewający prawie jej nie rozumieją, uczą się jej od żołnierzy powracających po wysłużeniu służby z wojska.

Niema tu podziału na stany, bo tylko jest jeden włościański. Kupiecki zaś różni się majątkiem i mniejszą lub większą oświatą. Równość jest zatem nieograniczona; słowa „barin“ między sobą nie używają.

Klimat surowy—mrozy dochodzą do 35—40° Réaumura. Niema tu także czterech pór roku, jest tylko zima i lato; tego ostatniego przy sprzyjającej atmosferze najwięcej trzy miesiące, chociaż i te niezawsze można nazwać w całem znaczeniu tego słowa latem, bo pogoda zmienna — godzina lub dwie upał niedowytrzymania i w tejże chwili zimno takie, jak u nas w grudniu, bo wiatr pociągnął od Oceanu Lodowatego. W sierpniu, a nawet i w lipcu, bywają zrana przymrozki, przy końcu września sypie śnieg i już do końca czerwca ani na jeden dzień nie zginie.

Zima i lato gwałtownie się zmieniają — dziś upał i wszyscy chodzą w letnich ubraniach, w nocy śnieg i początek zimy, to samo dzieje się i z latem.

Ziemia wieki całe bywa tu zamarznięta, a w lecie tylko na parę łokci taje. Cembrzyny w studniach całe lata pokryte są grubą warstwą lodu i tylko pozostaje bardzo mały otwór, tak, że zaledwie wiadro wpuścić można.

To też mieszkańcy bardzo mało trudnią się rolnictwem, choć ziemia niesłychanie urodzajna, i przy innych warunkach klimatycznych dałaby obfity plon i bogactwo mieszkańcom. Sieją tu żyto, owies, trochę kartofli, kapustę, ale to tylko koło Ustsysolska, bo już ku górom Uralskim i około bieguna północnego wcale nie zajmują się rolnictwem.

Ziarno tu nigdy zupełnie nie dojrzewa i najczęściej jeszcze na pniu śnieg zboże zasypie, to też raz na pięć lat uda im się zebrać choć trochę ziarna. Zboże pożęte, prawie zielone, wiążą w maleńkie snopki, na przygotowanych i ustawionych na polu drążkach zawieszają kłosem na dół i zostawiają w polu przynajmniej na dwa tygodnie, tak, że słoma żółknie i ziarno względnie twardnieje. Stodół ani szop nie mają, a zboże zwożą na wyznaczony na ten cel plac pod miastem i tam układają w rodzaj stert. Stawiają cztery wysokie kołki, podobnie jak u nas ustawiają sążnie drzewa w lesie, kładą po dwa snopki tak, że kłosy idą w środek i formuje się ściana na kilka łokci wysoka, u góry zakończona także tem samem zbożem.

Na placu tym każdy gospodarz ma wybudowany miniaturowy domek, w którym urządzona jest suszarnia, w rodzaju, jak u nas po wsiach używają kobiety do suszenia lnu. Skoro tylko nastaną silne mrozy, oczyszczają wtedy ze śniegu kawał ziemi, zamarzniętą ubijają, tworzy się zatem rodzaj klepiska. Teraz rozpoczyna się młocka, a robotę tę zwykle wykonywują kobiety. Biorą po kilka snopków, rozwiązują, rozpościerają na przygotowanych w suszarni lasach z patyków, rozniecają pod niemi ogień i suszą. Do młocki używają cepów, podobnych, jak u nas, ale inaczej zrobionych: na krótkim bardzo kiju (t. zw. u nas dzierżaku) przywiązują znacznie dłuższy drążek (bijak) i młocka odbywa się klęczący.

Kobiety wogóle, tak, jak i w całej Rosyi, zajmują się wszystkiemi robotami w polu—koszą, młócą, zwożą, sieją, i na całe gospodarstwo męskie mają baczenie.

Najgłówniejszem bogactwem rolników są łąki; część ich tylko bardzo małą sprzątają, te, co są najbliżej położone. Dalsze wypasają bydłem i końmi, a jeszcze z dalszych korzysta zwierz dziki. Do koszenia łąk używana bywa mała kosa. Osadzona na krótkim kosisku, czyni wrażenie dużego sierpa. Przedewszystkiem nie jest to koszenie, lecz rąbanie trawy, której połowa zostaje na łące. Kosząc, Zyryanie przyklękają lub nachylają się do samej ziemi i tną z całych sił trawę. Są w wysokim stopniu konserwatywni i za nic w świecie nie chcą zmienić starego systemu. Nasi pokazywali im sposób koszenia, bo pragnęli przynajmniej w ten sposób zarabiać na utrzymanie, wyśmiewali się i niepozwolili na łąkach swoich kosić.

Z inwentarza trzymają tylko bydło i konie, pierwsze zbliżone jest do rasy chołmogorskiej, nieduże i bez rogów, konie zaś rasy wiackiej. Trzody chlewnej prawie nie znają, a z drobiu, prócz kur, nic nie hodują. Konie i bydło nadzwyczaj dobrze utrzymane, i nic dziwnego, gdyż przez całą zimę żywione są sianem, a w lecie na dziewiczych łąkach swobodnie chodzą.

Na lato chłopi wypędzają cały swój dobytek na łąki, tam nocują w wybudowanych szałasach, stamtąd dwa razy na dzień jeżdżą łodziami do doju.

Krowy bardzo mleczne, a mięsa smaczniejszego nigdzie chyba niema.

Gdy pora sprzyja, lato upalne i stałe, i gdy mrozy rozpoczynają się dopiero w pierwszych dniach października, wtedy mieszkańcy otrzymują niesłychane rezultaty, a plon dochodzi do 30—40 ziarn. Są tu t. zw. trzebiciele lasów, których rząd ściga

i prześladuje. Zbiera się kilku włościan, zagłębiają się hen, daleko, w dziewicze lasy, a gdy znajdą odpowiednią miejscowość— zwykle przy większej z odnóg spławnej rzeki — wyrąbują kilka, a często i kilkanaście dziesięcin lasu i zostawiają tak zrąbane drzewo przez rok cały; na drugą wiosnę, gdy drzewo przez zimę wymarznie, a w lecie wyschnie, zapalają — pali się jak siarka — i pożar wtedy obejmuje tysiące dziesięcin lasu, bo płomienie przenoszą się z szybkością błyskawicy. Tym sposobem marnują się olbrzymie obszary drzewa, dopiero zima kładzie kres tej strasznej powodzi płomieni.

Na wyrąbanym i wypalonym lesie Zyryanie sieją żyto i niepraktykowane zbierają plony. Miejscowość taka nazywa się „zasieką."

Są takie „zasieki", które egzystują po lat kilkadziesiąt, a wskutek rozrostu rodziny rozszerza się i zasieka, i w ten sposób powstają całe osady, o których nikt prawie nie wie, dopiero przypadek je odkrywa. Rząd śledzi, dopilnować jednak na takich, jakie tu są obszary, bez żadnej komunikacyi, jest niepodobieństwem.

Leśniczy, pragnąc zwiedzić choć część powierzonych swej pieczy lasów, w następujący sposób odbywa podróż. Na drągach—rodzaj noszy, jakie u nas używa się do wynoszenia nawozu z obory—układają gajowi skóry i na nich zasiada pan leśniczy, a chłopi naprzemian przenoszą go z miejsca na miejsce.

Kto nie widział tutejszych lasów, ten niema pojęcia, co to są za niezmierzone puszcze, nietylko nietknięte siekierą od stworzenia świata, ale nie zdeptane nigdy stopą ludzką. Podług statystycznego obliczenia przez kapitana Uślara, choć w dokładność niebardzo wierzyć można, w samym powiecie ustsysolskim ma być 14,000,000 dziesięcin. Drzewem, które te obszary obrasta, jest sosna. Spotyka się ją tu, rosnącą karłowato. Najczęstsza jedlina, modrzew i tak zwane tu cedrowe drzewo (amerykańska sosna). Drzewo to wyrasta do olbrzymich rozmiarów, słój jednak jest rzadki i miękki, jako budulcowe niema wartości, nasienie zato duże, wielkości ziarna naszej buczyny, bardzo rozpowszechnione w handlu pod nazwą „orzechów cedrowych". Rozchodzi się po całej Rosyi, smak ziarna ma podobny do orzechów.

Z drzew liściastych jest tu tylko osiczyna, której kory często używają mieszkańcy w czasie lat głodowych na pokarm. Wysuszoną korę w żarnach lub stępach mielą albo tłuką, przesiewają, grubsze części spożywają jako kaszę, miałką zaś mieszają

z żytnią mąką i wypiekają placki. Próbowałem. Trudno jednak przełknąć: bez smaku, twarde i cierpkie.

Rośnie tu jeszcze brzoza, ale tylko szaro-czerwonawa. Z kory brzozowej wyrabiają rozmaite naczynia do noszenia i przewożenia płynów, a wyroby te są praktyczne i rozchodzą się po całej Rosyi. Na wiosnę, gdy drzewo soki puszcza, fabrykanci ścinają całe drzewa, korę zdejmują w ten sposób jak u nas wiejscy chłopcy na fujarki z wierzby, drzewo zaś pozostałe gnije. Można sobie wyobrazić, ile to zmarnuje się drzewa. Dębów ani leszczyny na lekarstwo tu nie znajdziesz.

Wogóle drzewo literalnie niema tu najmniejszej wartości, bo za sążeń kubiczny łupanego drzewa, przywiezionego do domu, płaciliśmy 4—6 złotych polskich; u nas trzy razy tyle kosztowałoby samo porąbanie i furmanka. Jaką ma tu wartość grunt, las i drzewo, objaśnię przykładem.

W czasie mej tu bytności rząd wystawił na publiczną licytacyę około 300 dziesięcin gruntu z łąkami i lasem. Dodać muszę, że grunt położony był zaraz pod miastem. Konkurentów do licytacyi zupełnie nie było i kupił to miejscowy lekarz za 300 rb...

Jedynem i głównem zajęciem Zyryan jest—w zimie myśliwstwo, a latem rybołówstwo. Podstawą zarobku z myśliwstwa są wiewiórki, w zimie bowiem futro ich przybiera kolor popielaty. Myśliwi tutejsi mają specyalną broń, t. zw. „gwintowkę“. Jest to rodzaj sztucera, z długą i grubą lufą, a otwór tak mały, że zaledwie wejść może kulka ołowiana wielkości ziarnka wyki. Do gwintówki sypią małą szczyptę prochu, kule zaś przygotowują sami w ten sposób: od długiego, cieniutkiego, ołowianego, okręconego około pasa pręta zębami odcina myśliwy kawałek, w ustach zaokrągla i za pomocą stempla z grubego drutu przybija.

Nigdy Zyryanin inaczej nie strzela jak tylko do siedzącego ptaka lub zwierza, celuje zawsze w łeb, aby nie uszkodzić skóry, a najczęściej trafia w oko. Ma także za pasem zawieszony rodzaj składanego koziołka z lekkich i cienkich prętów, w chwili, gdy spostrzeże zwierzę, stawia go na ziemi, opiera na nim broń i dopiero celuje i strzela napewno. Ale ta manipulacya możebna jest tylko tutaj, gdzie zwierz nie jest płoszony, owszem, zobaczywszy człowieka, przypatruje mu się z ciekawością.

Podobnym sposobem biją jarząbki, rosomaki, sobole, lisy i t. p. Spotykają się tu często bobry, gronostaje, ale te łapią już zwykle w sidła i żelaza. Wiosną polują także na dzikie gęsi, kaczki, głównie jednak na łabędzie, których ogromne stada

gnieżdżą się na oparzeliskach. Puch łabędzi stanowi tu ważną gałąź handlu.

Najniebezpieczniejsze polowanie jest na niedźwiedzie. Istnieje tu kilka ich odmian. Każdy prawie Zyryanin poczytuje sobie za punkt honoru jaknajwięcej ich zabić.

Na polowanie takie inaczej się zbroją. Za pasem zatknięty mają topór, nadzwyczaj ostry i ciężki, prócz tego „rohatynę". Jest to rodzaj wideł, jakich u nas używają do wyrzucania nawozu, z tą różnicą, że środkowy ząb jest dłuższy od dwóch bocznych i końce są ostro zakończone.

Widły te są żelazne, obsadzone na długim drążku drewnianym, okutym z dwóch boków grubymi, żelaznymi prętami. Zwykle na niedźwiedzia wybiera się dwóch myśliwych, którzy idą do miejsca przedtem już odszukanego, gdzie niedźwiedź, leżąc w „barłogu", w zimie odpoczywa. Stanąwszy na miejscu, gdzie za chwilę ma się odegrać krwawy dramat, zakończony bardzo często tragicznie, bo kalectwem a nawet śmiercią myśliwego, rozpoczynają drażnić zwierza, zmuszając go tym sposobem do wyjścia z zimowego legowiska.

Niedźwiedź ze strasznym rykiem wyskakuje, śnieg jednak głęboki tamuje jego ruchy, nie dozwalając z całą zajadłością rzucić się na zakłócających spokój. Z roziskrzonem, krwią nabiegłem ślepiem, mierzy z pogardą swych przeciwników, rzuca wściekłe spojrzenie, pragnąc odrazu zadać cios śmiertelny... Staje na dwóch łapach i raptownie rzuca się. na najbliżej stojącego. Teraz trzeba zachować całą przytomność umysłu i zimną krew. To też myśliwy stoi, nie spuszczając oka z niedźwiedzia, trzymając w lewej ręce opartą o ziemię „rohatynę" a w prawej przygotowany topór. Drugi myśliwy stoi także opodal przygotowany i śledzi przebieg walki, aby w danej chwili nieść pomoc towarzyszowi.

Niedźwiedź przypada do pierwszego myśliwego, rozwiera szeroko łapy, pragnąc objąć w swe gorące, silne a śmiertelne uściski przeciwnika. Myśliwy szybko wsuwa „rohatynę" w piersi zwierza, który wtedy z większą jeszcze natarczywością pcha się na myśliwego, wskutek tego nadziewa się coraz więcej na ostrza kolców. Zbliża się teraz kulminacyjny moment walki. Myśliwy porywa topór, a jeżeli jest zręczny i silny, to jednem uderzeniem rozwala niedźwiedziowi twardy jego czerep na dwoje.

Największa zręczność polega na tem, aby niedopuścić niedźwiedzia do uderzenia w rohatynę łapą, rozbiłby ją bowiem na drzazgi.

Widziałem takich co w życiu swojem zabili kilkadziesiąt sztuk, ale nie spotkałem ani jednego, któryby nie miał śladów kalectwa. Taki, co zabił czterdziestu czterech — liczba ta jest u nich kabalistyczną — zyskuje uznanie i w gronie myśliwych ma głos i powagę.

Jak są odważni, a może lepiej powiem—łakomi na pieniądze, to następujące zdarzenie w czasie wędrówki mojej przez powiat jareński będzie najlepszym komentarzem.

Przyjechałem już późnym wieczorem na jedną ze stacyi obywatelskich i usłyszałem przeraźliwy krzyk, lament i płacz kobiet i dzieci. Zdziwiony, zapytuję, co się stało?

— Nieszczęście, „batiuszka“, straszne, ogromne nieszczęście.

Rzecz się tak miała. Utrzymujący pocztę włościanin z synem, zagorzali myśliwi, wytropiwszy legowisko niedźwiedzia, poszli do lasu nie zwierzając się nikomu, w obawie, aby do podziału nie mieli wspólników. Opisanym, jak wyżej, sposobem niedźwiedzia wypłoszyli — a był to okaz olbrzymi. Ten rzucił się na młodszego myśliwego; gwałtownie uderzył łapą w „rohatynę“, tak, że rozleciała się w drobne kawałki, i porwał bezbronnego w śmiertelne uściski. Ojciec, stojąc na boku — a miał już zakarbowanych 43 zabitych niedźwiedzi — przypadł i toporem ciął w łeb straszną bestyę. Topór ośliznął się po twardym czerepie i niedźwiedź skaleczony, z obciętem uchem, puścił swą ofiarę, i wściekły z bólu, rzucił się na nowego przeciwnika. Jak dwóch pijanych chłopów wzięli się za bary i padli na ziemię; teraz rozpoczęła się walka o życie lub śmierć. Syn tymczasem przyszedł do przytomności, a widząc ojca w uściskach niedźwiedzia, porwał topór i pobiegł mu na pomoc; podniósł go w górę i miał z sił całych uderzyć, gdy słyszy głos ojca słaby, wydobywający się z pod uścisków niedźwiedzia:

— Tylko uderz uważnie, abyś nie skaleczył skóry?...

Syn słyszy, że kości ojca trzeszczą, gniecione przez niedźwiedzia, mimo to uważnie zadaje jeden cios po drugim, tak, aby każde uderzenie padło w jedno i to samo miejsce. W końcu olbrzymie cielsko pada martwe, wydając ostatnie charkotanie i wypuszczając z objęć swoją ofiarę, ale już dogorywającego starego myśliwego. Syn, osłabiony i wyczerpany, traci przytomność, bo także ma pogniecione żebra i zmiażdżoną lewą rękę, którą w chwili, gdy był w uściskach niedźwiedzia, wsadził mu w gardziel, chcąc go udusić. Na pobojowisku zostały zatem dwa trupy i trzeci omdlały, i gdyby nie traf szczególny, że przechodzili tędy inni myśliwi, i ten byłby skonał w lesie.

Pochowali starego, lejąc łzy dotąd, dopóki ziemia nie przykryła ciała, syn się leczył, ale za to za skórę niedźwiedzią, wyjątkowo piękną i dużą, rodzina dostała od przejeżdżającego kupca aż... 12 rubli!...

Zyryanie na polowanie wychodzą na całą zimę, która trwa od 8 do 9-iu miesięcy. Zbierają się zwykle w t. zw. „artel", złożony z kilkunastu myśliwych. Ubierają się zwykle w krótkie i ciepłe odzienia, a do nóg przywiązują „ski". Są to długie na cztery łokcie cieniutko wystrugane deszczułki, a szerokie osiem, dziesięć cali. Cały spód podbity skórką z nóg reniferowych w ten sposób, że sierć zwrócona jest ku tyłowi łyżew i gęsto ponacinana, a to dlatego, aby idąc pod górę, nie zsuwać się na dół. Bez „ski" niemożna w zimie jednego kroku ruszyć się z wioski, gdyż kilkołokciowy śnieg nie pozwala. Łyżwy (ski) zaś utrzymują człowieka na powierzchni śniegu i za pomocą nich nadzwyczaj prędko odbywa się bez zmęczenia daleką drogę. Z góry można szybko się zsuwać, ale trzeba być wprawnym, umiejętnie i zręcznie kierować, a przedewszystkiem starać się utrzymać równowagę.

Artel zabiera z sobą żywność, składając ją na kilku maleńkich sankach z płozami, jak u „ski". Gdy zapuszczają się w nieznane łasy, myśliwi robią znaki, nacinając korę na drzewach, (a każda artel ma wyłącznie swoje znaki) inaczej nigdy nie trafiliby z powrotem.

Myśliwi po drodze budują małe domki z nieodzowną „banią", bez której mieszkaniec północy obejść się nie może. W domkach tych nocują, odpoczywają i składają część żywności, aby wracając z polowania, mieli się czem pożywić. Mają swoje właściwe, myśliwskie prawo, które spełniają z wielką akuratnością, większą nawet, niż przykazania Boskie i rządowe... Złożonej tu żywności nikt nie śmie ruszyć, a tylko wtedy może wziąć chleba, jeżeli mu grozi śmierć głodowa. W takim razie na miejsce zabranego chleba składa odpowiednią do wartości ilość skórek.

Każda artel obowiązana jest rok rocznie w innem miejscu budować nowe domki, co bardzo łatwo przychodzi wykonać, mają bowiem pod ręką dowolną ilość drzewa. Piec układają z kupy kamieni; służy on jednocześnie za komin do gotowania, a gdy polewają go wodą, wytwarza się para i zastępuje łaźnię. Wyrąbują maleńkie okienko, w miejsce szyb ze szkła wstawiają cieniutko wystrugane, smolne deszczułki, które dostatecznie przepuszczają światło. Szyb takich w wielu bardzo domach mieszkalnych używają tu po wsiach.

Każdy myśliwy, prócz skór—lisów, rosomaków, soboli, a przeważnie „biełek“ — przywozi z sobą na sankach także po kilkaset jarząbków. Jarząbki tutejsze poszukiwane są przez petersburskich smakoszów, a smak ten zawdzięczają orzechom cedrowym, którymi przeważnie się karmią. Kupcy petersburscy specyalnie tu po te jarząbki przyjeżdżają. Skóry z wilków i zajęcy mają także wartość wskutek srebrno-białego koloru i puszystości futra.

Myśliwi, bardzo odważni, docierają aż pod sam biegun północny, polując na białe niedźwiedzie i foki.

Z końcem zimy kończy się polowanie a rozpoczyna się na wielką skalę rybołówstwo, zwłaszcza z chwilą, gdy po wylewach zaczynają wody opadać. Rzeki: Pieczora, Sysoła, Wyczegda i inne pomniejsze, jak również małe jeziorka, powstałe z gwałtownego opadania wylanych wód, dostarczają obfitego połowu najwytworniejszych i najsmaczniejszych gatunków ryb.

Wyławiają się szczupaki tak wielkie, że po parę pudów waży jeden, jest to jednak ryba niesmaczna i używa się tylko na miejscowe potrzeby.

Siomga, smaczna i delikatna, mięso o różowym kolorze, wydostają z niej ikrę i podobnie jak kawior przyrządzają. Łowi się jesiotr, bielica i t. p. gatunki, których niesposób spamiętać. Królową jednak wszystkich ryb w tutejszych wodach jest szterlet, za którego funt w Petersburgu płacą 1 rb. 50 kop., my zaś na miejscu za żywą i świeżą rybę płaciliśmy po 10 kop. za funt.

Każdy gatunek ryb w inny sposób łowią, lecz najwięcej używany jest następujący. Przeciągają długą linę przez całą szerokość rzeki i koniec jej przymocowują do brzegu. Linę podtrzymują na powierzchni wody drewniane pływćwie, w kilku miejscach do niej przymocowane. Na całej jej długości poprzywieszane są krótsze i dłuższe sznurki, zakończone haczykami stalowymi, jakich u nas używają do wędek; haczyki te są różnego kształtu i wielkości. Rybacy pływają na łodziach i wyciągają bardzo wolno sznurki; tym sposobem najłatwiej łapią szterlety, które tak są czułe, zwłaszcza w ogonie, że najmniejsze draśnięcie haczyka zatrzymuje rybę na miejscu; w ten sposób połów najwięcej pomyślny.

Szczupaka łowią w inny sposób. Używają małej ołowianej rybki z pomalowanemi na czerwono skrzelami, pod ogonkiem tej rybki umieszczony jest duży stalowy haczyk i za pomocą tej przynęty łapią największe okazy. Rybak siada do maleńkiej łodzi, jeden koniec sznurka zarzuca z przywiązaną rybką w wodę, gdy drugi przywiązuje do czółna, zakładając jednocześnie sznu-

rek za ucho; poczem zaczyna silnie wiosłować i płynąć pod wodę. Prąd wody ołowianą rybę porywa i wykręca nią w różne strony, a szczupak żarłoczny rzuca się na zdobycz, rybak czuje szarpnięcie sznurka za uchem i pewny jest zdobyczy. Teraz najtrudniejsze zadanie, jak wciągnąć szczupaka na łódź, gdyż często, jeżeli okaz jest duży, to i łódź i rybaka szczupak pociągnąć może do wody.

Łowią także tu ryby, podobnie jak u nas, za pomocą ości. W nocy rozpalają ogień na małej tratwie, ryby wypływają do ognia, a rybacy zabijają je ością.

Łapią także siecią, ale tylko w jeziorach.

„Siomgę“ i „Sterlet'“ sprzedają żywe i śnięte, inne zaś ryby zaraz na brzegu rzeki ćwiartują, suszą na słońcu i w tym stanie przechowują jako pokarm na zimę.

Głównym punktem oświaty Zyryan jest powiatowe miasto Ustsysolsk. Jest tu szkoła czteroklasowa z wykładowym językiem rosyjskim, ale też trudno dzieciom z niej korzystać, gdyż nie umieją wcale po rosyjsku. Ułożono wprawdzie alfabet zyryański i przetłómaczono niektóre ustawy rządowe i książki religijne, a nawet jeden uczony Zyryanin, Popow, wydał gramatykę języka zyryańskiego. Również gramatyka Sawwaitowa wielką jest pomocą dla pragnącej kształcić się młodzieży. Pożądanem byłoby jednak, aby na posady nauczycieli przysyłani byli ludzie zdolni, a przedewszystkiem z moralnemi zasadami. Wyznać jednak muszę, że cały personel nauczycielski w czasie mej tu bytności, wyjąwszy zacnego inspektora, dużo pozostawiał do życzenia.

Miasto Ustsysolsk — jak już wspomniałem — ma jedną tylko cerkiew, przy której trzech popów spełnia obsługę religijną, dla miasta zatem, liczącego wtedy kilka tysięcy mieszkańców, trochę za mało pokarmu duchowego. Wprawdzie jest jeszcze jedna cerkiew przy cmentarzu na przedmieściu Kirula, oddalona od miasta, ale tam odprawiane bywają tylko nabożeństwa w czasie pogrzebów.

W Ustsysolsku jest poczta, a jest to ostatnia stacya w Rosyi Europejskiej. Dalej, do samych gór Uralskich, przeszło kilkaset wiorst, niema już żadnej komunikacyi... Istny koniec świata...

Dla zaokrąglenia opisu o Zyryanach dodać jeszcze muszę, że mężczyźni wogóle są wysmukli, zręczni, czerstwi, sympatyczni i przystojni, a wzięci do wojska, wysyłani są do marynarki. O kobietach, że są piękne, powiedzieć nie mogę, choć i między niemi trafiają się w swoim rodzaju „Mycza nyła“ (piękne dziewczyny).

Język zyryański niema nic wspólnego z rosyjskim, a wyrazy są tak trudne, że nam, europejczykom, niepodobna byłoby ich wymówić, np.: „Czżaczż“ [1]), „Czżoczż“ [2]), „Dczżódczżog“ [3]), „Ji“ [4])...

Wogóle pod względem stosunków towarzyskich są gościnni i serdeczni, prości i życzliwi. Niewiele rozumieją, nie umieją uczuć swych wyrazić pięknymi, górnolotnymi frazesami, lecz gdzie czynem dowieść potrzeba życzliwości i pomocy, zawsze się tam znajdą. W kilkoletniem z nimi obcowaniu poznałem ich charakter i pokochałem.

O kilkadziesiąt wiorst od Ustsysolska jest osada, zamieszkała przez samych Rosyan, sprowadzonych na roboty do fabryki żelaznej. W czasie mej tu bytności fabrykę tę dzierżawiła od rządu kompania francuska, lecz dla braku rąk do pracy, a więcej jeszcze dla trudnego dowozu żywności i trudnego transportu wyprodukowanego towaru zbankrutowała. Szkoda jednak wielka, bo jak słyszałem od francuskich inżynierów-specyalistów, to tamtejsza ruda ma być jedną z najlepszych, jakie znajdują się w całej Europie.

Nie znam się na produkcyi żelaza, widziałem jednak okazy z giserni, jak: talerzyki, koszyczki, ramki i t. p. galanteryjne drobiazgi, misterne, ażurowe, a tak delikatne, że trudno uwierzyć, aby z żelaza coś podobnego wyrobić się dało; wyglądały te cacka jak najpiękniejsze koronki i gipiury.

Przebaczą mi czytelnicy, że odbiegłem od wątku opowiadania, chciałem jednak dać ogólny rys o Zyryanach i choć w krótkości zapoznać z historyą i życiem narodu, z którym przyszło mi żyć przeszło lat pięć.

Po obejrzeniu miasta, rozpocząłem po kolei odwiedzać innych wygnańców. Najprzód zaprowadzili mnie koledzy do ks. Franciszka Sidorowicza z Białegostoku. Sympatyczny kapłan, dobry człowiek, ale powolny i nieradny. Później bliżej się z nim poznałem i nawet mieszkaliśmy przez czas pewien razem.

Wstąpiłem do Jarosława Swirtuna, zamożnego niegdyś obywatela ziemskiego ze Żmujdzi. Był to bardzo sympatyczny i inteligentny, w średnim wieku mężczyzna, mieszkał sam oddzielnie. O ile mógł, pomagał biednym wygnańcom. Majątek Murawjew skonfiskował, został mu tylko drugi po żonie, w Kurlandyi. W kraju zostawił małoletnie dzieci pod opieką rodziny, bo żona nie żyła. Na wygnaniu z nudów i braku zajęcia, zadurzył się

[1]) Pułka. [2]) Podłoga. [3]) Gęś dzika. [4]) Lód.

w młodej dziewczynie, córce urzędnika, pannie Lubie Woroncowej, z którą w końcu się ożenił...

Dalej byłem u państwa Bolesławostwa Rojewskich, obywatelstwa z Litwy, gub. grodzieńskiej; także zabrano im majątek.

Wstąpiłem do państwa Wiktorostwa Wysłouchów z gub. grodzieńskiej; tam zastałem dwóch młodych chłopców, Aleksandra Rutkowskiego z tejże gubernii i Józefa Birkle z Wilna.

Poszedłem jeszcze do Aleksandra Pajewskiego z Warszawy, bardzo porządnego i dobrego patryoty, późniejszego właściciela „Kolców"; mieszkał z nim Lenk z Warszawy, który także obecnie pracuje w „Kolcach". Spotkałem u nich Starzyńskiego, obywatela z augustowskiego, Drwęckiego i Worka z Księstwa Poznańskiego, Wolińskiego, felczera z Opatowa, Dryjackiego, fryzyera z Warszawy—tu uchodził za lekarza, mając wielką praktykę, został w Ustsysolsku i ożenił się z p. Zofią, siostrą żony Swirtuna. Wielu jeszcze innych było kolegów, których nazwisk nie pamiętam.

Zaszedłem naostatku do nestora wygnańców. Był nim stary, od wielu lat osiedlony w Ustsysolsku, Dominik Ściegienny, brat rodzony znanego spiskowca księdza, a wywieziony za znaną sprawę z wielu innymi do ciężkich robót na Sybir, zdaje się w r. 1848.

Staś Kraków sprowadził aparat fotograficzny i gdy przyjechałem do Ustsysolska, zastałem urządzoną altanę w domu Kłykowa. Kraków był właścicielem, Celt pomocnikiem, inni wygnańcy kopiowali, naklejali i t. p. spełniali czynności; mnie przypadła w udziale czynność pozowania zdejmujących się.

Komiczny był ten cały zakład fotograficzny. Altana malusieńka, wybudowana za oknem, do której za pomocą dwóch krzeseł, z jednej i drugiej strony okna postawionych, wprowadzało się gości, gdzie też tysiące trafiało się zabawnych epizodów... W pierwszych chwilach założenia zakładu Zyryanie masami go odwiedzali i dochód stosunkowo był znaczny; stopniowo jednak ubywało amatorów i w końcu sami się w różnych pozach zdejmowaliśmy.

Dom Kłykowa, jak już wspomniałem, był ogniskiem, w którem gromadzili się wygnańcy, tu załatwiały się wszystkie kwestye, tyczące się tak materyalnych jak i moralnych potrzeb kolonii polskiej. Tu też młodzież, łaknąca nauki, zbierała się i słuchała wykładów: historyi, literatury i innych przedmiotów. Zbierali się tu także analfabeci, pragnący nauczyć się czytać i pisać. Tu młodzież ćwiczyła się w gimnastyce, a głównie uczyła się fech-

tunku. W końcu każdego miesiąca, po otrzymaniu pensyi, wynoszącej *1 rubel i 80 kop.*, więcej zamożni składali całą sumę na bibkę dla kolegów. Kupowało się mięso, parę wiader wódki, a była to uczta, że kto jej nie widział, to o podobnej pojęcia mieć nie może.

Na ucztę zbierała się niemal cała polonia, a doktor Drzewiecki był duszą zebrania.

Tęsknota za krajem i rodziną, nędza, rozpacz, brak w końcu zajęcia — czyniły z nas półwaryatów. Piło się zatem wódkę, śpiewało, tańcowało, aby zagłuszyć cierpienia, które szarpały serca nasze... Na twarzy widniał uśmiech, a łzy jednocześnie z oczów się lały. Był to prawdziwy śmiech i taniec upiorów na cmentarzysku... zagrzebanych nadziei, marzeń i pragnień...

Przybyłem do Ustsysolska w środę, w pierwszą zaraz niedzielę z jednym z kolegów pojechałem z wizytami do tutejszych mieszkańców. Wszędzie byłem serdecznie przyjęty i zapraszany na wszystkie uroczystości i dnie przyjęć. Najdłużej zasiedziałem się u bogatego kupca Mikołaja Michajłowicza Łatkina, który tu, w Ustsysolsku, w hierarchii społecznej zajmował pierwsze miejsce. Dom jego był najokazalej zbudowany, cały z zewnątrz obity deskami, z rzeźbionemi ozdobami i pomalowany olejną farbą; wewnątrz zaś urządzony z komfortem europejskim. Pan Łatkin miał kilku synów i córkę, pannę Ninę. Była to osobistość wyjątkowo inteligentna i zacna, władała kilkoma językami, a i polski nie był jej obcym, czytała wielu naszych autorów. Z ojcem i matką zwiedziła niemal całą Europę. Mieli prześliczną bibliotekę, z którą później bliżej się poznałem. Do najprzyjemniejszych chwil, jakie spędziłem wśród narodu zyryańskiego, zaliczyć muszę te, które spędziłem w ich domu i w ich towarzystwie. P. Łatkin w górach Uralskich miał ogromną kopalnię kamienia, „brusianaja gora“, do toczenia, polerowania i ostrzenia stali, a gatunek osełek musiał być wyborowym, gdyż cały produkt transportowany był do Anglii i olbrzymi dawał dochód. Prócz tego należał do kompanii „zołotych pryiskow“ (kopalni złota). Słowem był bardzo bogatym.

Drugą, niemniej sympatyczną rodziną, byli państwo Kwadry. On był leśniczym, a posada taka na północy przynosiła kilkanaście tysięcy rubli rocznego dochodu. Żyli jednak tak wystawnie, że po uszy siedzieli w długach. Jest to charakterystyczne, powiedziałbym nawet epidemiczne, że każdy prawie urzędnik rosyjski zwykle dwa razy więcej wydaje niż ma dochodu, i wiecz-

nie siedzi w długach. W ich domu uważany byłem za domownika; rodzina katolicka, bo dziad jego był Włochem.

Rodzina „isprawnika“ równie nader serdecznie nas przyjmowała i często bywałem u nich gościem. Z córką jego, Katarzyną, ożenił się p. Niekrasz, Litwin, który zajmował posadę młodszego leśniczego w lasach ustsysolskich.

Bardzo sympatyczna, lecz niezamożna rodzina Woronieckich, także wiele przyjemnych zostawiła mi wspomnień. W tym domu czułem się jak wśród rodziny, a panny, Anna, Julia i Nadieżda, starały się poznać nasz język, uczyłem więc je w sekrecie, a uczennice były bardzo pojętne...

Wogóle bywaliśmy wszędzie i prawdę przyznać trzeba, że bez nas nie było zabawy. Wnieśliśmy ze sobą inne zwyczaje i staliśmy się czynnikiem cywilizacyjnym. Przeistoczyliśmy zupełnie pojęcia o stosunkach społecznych, towarzyskich, rodzinnych, o stosunku męża do żony i wogóle mężczyzny do kobiety, o stosunku dzieci do rodziców, pana do sługi... Nauczyliśmy ich jak czas można przyjemnie spędzać na rozmowie, bez trunków i kart, jak wspólnie mężczyźni z kobietami obcować powinni.

W całej prawie Rosyi, a więcej jeszcze w Ustsysolsku, był zwyczaj, że kobiety i mężczyźni oddzielnie czas na zebraniach i wizytach spędzali. W przedpokoju gospodarstwo spotykało i witało swych gości, gospodarz zabierał mężczyzn na lewo, do gabinetu, a gospodyni panie na prawo, do salonu. W gabinecie grano w karty, raczono się trunkami, które obficie na stole wraz z przekąskami były ustawione. W sali zaś panie bawiły się ploteczkami i rozmową o strojach i t. p. Dopiero gdy dano hasło do kolacyi, prawa i lewa strona łączyła się w jadalnym pokoju, tu czasu nie było na rozmowę, bo wszyscy oddani byli z całym zapałem zachwytom kulinarnym.

Zdziwienie było zatem wielkie, gdy kilku nas z przedpokoju wprost udało się do sali na prawo. Zająwszy miejsce wśród wieńca uwitego z kwiatów ustsysolskich, rozpoczęliśmy rozmowę, która wkrótce zamieniła się w ożywione i głośne żarty i dowcipy, a skończyła się śpiewem, deklamacyą, grą towarzyską, później tańcem, o czem tutejsze towarzystwo pojęcia nie miało.

Z początku panowie mężowie, a i młodzież miejscowa, stawali we drzwiach, przypatrując się z szeroko otwartemi oczami; powoli przyzwyczajać się zaczęli i brali później udział w ogólnej zabawie. O ile to było możebne, postaraliśmy się zapoznać tutejszych mieszkańców z tańcami i muzyką, tak sympatyczną i nawet hygieniczną rozrywką.

Chcąc jednak uczyć tańczyć, przedewszystkiem trzeba było stworzyć orkiestrę. Otóż Starzyński, obywatel z łomżyńskiego, grał na skrzypcach i miał je z sobą, Woliński także trochę rzempolił na skrzypcach, zdobyliśmy więc dla niego jakiś marny instrument. Trzeba było jednak dopełnić orkiestrę, a nikt więcej z wygnańców nie był muzykalnym i co jeszcze gorsze, nie było żadnego innego muzycznego instrumentu.

Należało zatem coś wymyślić. Obciągnięto stare sito skórą baranią, poprzyczepiano z boków dzwoneczki i mieliśmy bębenek podobny, jakiego używają cyganie. Wybornie, z artyzmem, wybębniał na nim Drwęcki, obywatel z Poznańskiego. Jeszcze ze stalowego pręta zrobiło się trójkąt, a uderzając pałeczką, wydobywał się dźwięk metaliczny, dość znośny. Dla dopełnienia w orkiestrze harmonii koniecznie potrzebne były basy. Nie wiedzieliśmy jednak czem je zastąpić. Po długich próbach przyszliśmy do przekonania, że doskonale naśladować je mogą dmuchania w duży szklany gąsior. Co było pomyślane, to i zrobione. Otóż złożyła się orkiestra. Czy potrzebuję objaśniać, jak była harmonijna...

Na północy jednak, przy silnych, jak stal nerwach, orkiestra nasza miała uznanie i przez cały czas mego wygnania spełniała znakomicie swoje zadanie..

Orkiestra, tak stworzona, służyła najprzód przy nauce tańców, później zapraszano ją wszędzie, gdzie tylko urządzano większe przyjęcie. Muzykanci przyjmowani i traktowani byli narówni z zaproszonymi gośćmi.

Bardzo prędko nauczyliśmy tutejszą młodzież wszystkich prawie używanych w Europie tańców, a nasz kochany mazur cieszył się największem powodzeniem.

Zbliżyły się święta Wielkiejnocy. Kuczyński przybył już do Ustsysolska, a że niemiał prawie żadnych funduszów, zamieszkał więc razem ze mną w jednym pokoju. Towarzystwo jego sprawiło mi wielką przyjemność. Święta były podwójne, bo koroniarze podług nowego kalendarza obchodzili, a Litwini swoje podług starego stylu. Poczciwy doktór Drzewiecki dla całej Polonii urządził prastarym naszym zwyczajem święcone. Przy pomocy pań wygnanek, stół zastawiony różnymi przysmakami, przypominał nam wszystkim kraj i rodzinę...

To też w chwili, gdy rozpoczęliśmy dzielić się jajkiem święconem, łzy się lały, każdy przenosił się myślą, duszą całą do tych, z którymi może los go rozdzielił nazawsze. Przy spoży-

waniu święconego jedne i ogólne słychać było życzenia: „Daj Boże, abyśmy za rok to uroczyste święto w kraju obchodzili“!...

Na święconem u doktora wszyscy, nawet najbiedniejsi wygnańcy, zasiedli wspólnie przy jednym stole. Tu nie było różnicy stanów, byli to tylko wszyscy nieszczęśliwi bracia... dzieci jednej, ukochanej matki!... Uczta przeciągnęła się do późnej nocy, tak, że w końcu łzy obeschły i na pogawędce czas nam szybko przeszedł.

Wielkanoc obchodziliśmy u doktora, podług nowego stylu, ale w tej uroczystości uczestniczyli i Litwini.

Wkrótce, a było to już w końcu kwietnia, przypadła ta sama uroczystość u prawosławnych. Musieliśmy zatem w pierwszy dzień świąt składać wizyty w tych domach, gdzie przyjmowali nas gościnnie.

Na wycieczkę tę trzeba było mieć koniecznie przy sobie jajko, gdyż tu jest zwyczaj, że wchodząc do salonu, trzeba przedewszystkiem z gospodynią domu trącić się jajkiem i ofiarować swoje, a gosposia wzamian dawała drugie, z tem jedzie się do następnego domu i t. d. aż do skutku, tak, iż wraca się do domu, mając zawsze jajko. Przy trącaniu się jajkiem, następuje oficyalny pocałunek w same usta i to trzykrotnie, mówiąc: „Christos woskres“, na co się odpowiada: „Woistino woskres“.

Odwiedziny te w każdym domu trwają zaledwie po parę minut. Święconego tu nie urządzają; przyjęcie całe stanowi tak zw. „pascha“, czyli ser, roztarty ze śmietaną, cukrem i rodzynkami, a odciśnięty w formie z krzyżem na wierzchu. Jaki ma smak, nie wiem, bo nawet przez ciekawość nie miałem odwagi go skosztować. Stoi zatem na stole „pascha“, wódka, nalewki, wino i niezliczona ilość jaj. Tutejsi panowie wracają do domu w tak różowym humorze, że zapominają, ile wizyt złożyli, ile kieliszków wychylili; nieprzezwyciężona siła ciągnie ich do łóżka, jeżeli któremu wypadkiem nie przypadnie w udziale nocować gdzieś pod ławą lub na schodach.

Zima była w całej pełni. Śniegi ogromne, mrozy, choć mniejsze, ale zawsze 15 — 20° R.; w dzień słońce trochę przygrzewało, bo zachodziło już o godz. 8-ej wieczorem. Wiedzieliśmy jednak od mieszkańców, że lato ropocznie się dopiero w końcu maja.

Jak już wspominałem, na północy, a zwłaszcza w Ustsysolsku, są tylko dwie pory roku — zima i lato. I jedno i drugie przychodzi raptem, niespodzianie. W końcu maja jeszcze mrozy i śniegi ogromne, a tymczasem słońce przygrzewać zaczyna, jak

u nas w lipcu, co sprawia, że przy białym całunie, pokrywającym ziemię, promienie słońca niedozwalają oczów otworzyć.

Isprawnik spędza robotników, którzy rozkopują w mieście śnieg szybko topniejący, z czego na trotuarach tworzy się wysoki, kilkołokciowy tunel, przejście jest tylko w środku; w ten sposób z jednej strony ziębi topniejący śnieg, gdy z drugiej, z góry, niemiłosiernie praży słońce.

Wszystko to jednak szybko się kończy. Śnieg zamienia się w wodę, rzeki wzbierają, kry z szaloną gwałtownością piętrzą się, formując olbrzymie góry, szum, trzask i łomot... W dni parę cała okolica zalana już jest wodą tak wielką, że z olbrzymich lasów, położonych przy nizinach, widnieją tylko same wierzchołki drzew.

Biegniemy nad brzeg rzeki, który tu około Ustsysolska tworzy ogromną, wyniosłą górę; na niej to położone jest miasto. Biegniemy przyglądać się istnemu potopowi... Takiego wspaniałego i w swoim rodzaju majestatycznego i oryginalnego widoku trudno nawet wymarzyć...

Na całej, okiem niedosięgłej, powierzchni wód płyną powywracane z korzeniami olbrzymie drzewa. Tu znów posuwa się wolno ogromna kołysząca się wyspa, pokryta wysokim lasem; oderwany ten kawał lądu poruszony został z wiekowego stanowiska. Widać na pływającej wyspie zające, lisy chytre, nieprzyjaciele i zawzięci prześladowcy szaraka, dziś w zgodzie wobec wspólnej grozy. Prócz zajęcy i lisów tysiące biednych żywych stworzeń, które się tu kryją nie przeczuwając, że za chwilę otchłań ich pochłonie...

I znowu po paru dniach, choć jeszcze wody nie opadły, ale są już teraz czyste, spokojne, jak lustrzana tafla, i tylko zdala, jakby z pod wody, wydobywa się dziwny jęk i żałobny szept czy szum, podobny do cichej modlitwy tysiąca razem zebranych mnichów... Mieszkańcy tutejsi utrzymują, że to są jęki konających zwierząt, drzew, roślin i ostatnie ich westchnienie...

Wylewu tamtejszych rzek porównać nawet nie można z wylewem naszej Wisły i ze wszystkimi wylewami rzek w całej zachodniej Europie. Wylew Północnej Dźwiny, Wyczegdy, Sysoły, Wołgi, Pieczory i t. p. jest straszny, jak rozjuszony, wściekły, gwałtowny i wszystko niszczący żywioł.

Gdy już wody oczyszczą się z kry, z drzew i wysp pływających, zjawiają się teraz w niezliczonej ilości barki. Są to statki duże, niekształtne, a na wodzie—istne olbrzymie pająki, które długie swe nogi z niesłychaną szybkością wysuwają lub kurczą;

nogami temi są setki długich wioseł, silnie poruszanych przez płynących ludzi. Kupcy archangielscy przez całą zimę statki te budują i ładują towarem, zakupionym w wiackiej, permskiej i innych przyrzecznych guberniach. Wiozą przedewszystkiem włókno lniane i konopne, tłuszcz, masło, kamień i t. p., a wszystkie te produkty prowadzą do portowego miasta Archangielska i korzystając z wylewu, śpieszą się, bo wody wkrótce opadać zaczną.

Za barkami płyną promy, zbite z olbrzymich kloców drzewa, odartych z kory—są to drzewa masztowe i wogóle zdatne do budowy okrętów. Okolica zawsze dzika i spokojna, na chwilę się ożywia, w parę dni jednak spław ustaje i znów rok cały cicho i pusto...

Wskutek wylewu wód mieszkańcy tutejsi nic nie tracą i nie ponoszą żadnej szkody—wprost nawet dzieje się przeciwnie. Osady i wioski nigdy nie są zalane, bo, jak wspomniałem, pobudowane są na najwyższych górach. Na uprawę roli mało liczą, a łąki po wylewie obfity plon wydają. Wylew dostarcza im drzewa tyle, że nietylko starczy na opał, ale nawet na zabudowania.

Po opadnięciu wód tworzą się małe i większe jeziorka i stawy, a w nich zatrzymują się najpiękniejsze ryby. Wylew pozwala także mieszkańcom zbyć produkty, wprawdzie zabezcen—w innym jednak razie wcale tego uczynićby nie mogli. A co najważniejsza, rząd przysyła do magazynów mąkę, bez której przyszłoby mieszkańcom tutejszej okolicy z głodu umierać, a właśnie w czasie wylewu jest jedyna komunikacyjna droga.

Wszystko to odbywa się w początkach czerwca, który wraz z lipcem jest najwspanialszą i najprzyjemniejszą porą roku. Jak w zimie są miesiące, w których prawie niema dnia, tak znów w tych dwóch miesiącach niema nocy. Słońce na chwilę się kryje, zostawiając jednak tyle blasku, że noc krótka i jasna jest jak dzień. Zachodu i wschodu słońca ani malarz, ani poeta nie byliby w stanie przedstawić i opisać, tembardziej pióro takiego, jak ja, profana nie zdolne opowiedzieć tej wspaniałej gry kolorów, tego cudnego odbicia się świetlanej kuli w gładkiem i spokojnem zwierciadle wód. Gdy słońce zapada w wód głębinach i tonie, zdaje się, że po dziennej, męczącej wędrówce, znużone i zbrukane, kąpie i myje swoją złoto-purpurowo-ognistą tarczę i po tej kąpieli czystsze, jaśniejsze, rzeźwiejsze, wspaniałe i majestatyczne wypływa z toni na niebo...

Nam, nieprzyzwyczajonym, dziwnem się wydawało, że o 9-ej wieczorem, kiedy to jest najprzyjemniejsza chwila, tak jak u nas

w lecie o 6-ej po południu — wszyscy i wszystko zasypia; ludzie, zwierzęta, ptactwo domowe czują potrzebę spoczynku, kryją się, układają w łóżku czy barłogu i nastaje cisza głucha i spokój w całej naturze... Trudno nam było obrać dla siebie godzinę spoczynku; noc całą spacerowaliśmy, rozkoszując się nią, a dzień zamienialiśmy na noc.

Chwila to także przylotu różnorodnego dzikiego, wodnego ptactwa. Ledwie człowiek nie głuchnie od krzyku, wrzasku, świstu i gwizdu tej skrzydlatej rzeszy, która wielkiemi stadami pokrywa tutejsze wody. Gęg dzikich gęsi, kwakanie kaczek, klekot żórawi, gwizd różnego gatunku i wielkości kulonów i kulików—które tu, inne jak u nas, bo ponure jakieś i przeraźliwe wydają głosy — dziwne, szypiące dźwięki poważnych, wolno pływających olbrzymich stad łabędzi — wszystko to działa na nerwy drażniąco. A gdy jeszcze znajdziesz się sam jeden w tej pustej krainie, wśród nieprzebytych dziewiczych lasów, samotny z przyrodą i ptactwem, które się ciebie nie lęka, nie ucieka, staje ci wtedy przed oczami duszy chwila stworzenia świata...

Dla nas wszystko było tu nowe i dziwne. Ziemia jeszcze otulona białą oponą, a jednocześnie promienie słońca powołują roślinność do życia. Dziś jeszcze drzewa zupełnie suche, jutro pokrywają się pąkami, po dwóch, trzech dniach stają się zielone liście i jednocześnie kwiat się rozwija, aby zaraz jutro dać owoc, który w oczach prawie dojrzewa. Natura się śpieszy, niema czasu na regularne wytwarzanie płodu. Tutaj śmiało można, i to literalnie, zastosować przysłowie: „widzisz, jak trawa rośnie.“

Na północy, prócz jarzębiny i czeremchy, innych drzew owocowych niema, a mieszkańcy tutejsi o jabłkach, gruszkach, śliwkach i t. p. mają takie pojęcie, jak włościanie nasi o daktylach i migdałach. Często byłem zapytywany, nawet przez dość inteligentne panie, czy śliwki rosną tak jak jagody?...

Mówiąc o jagodach, wypada mi dodać, że prócz poziomek, czarnych jagód, malin, borówek, żórawin, rosną tu i wyłącznie tylko na północy tak zwane „polanika“ i „maroszka“. Pierwsza rośnie na małych krzaczkach i podobna kształtem do maliny, różni się kolorem i zapachem — koloru różowego, daje nadzwyczaj aromatyczny zapach, smak ma cierpki, ale w konfiturze, a zwłaszcza w nalewce, jest doskonała. „Maroszka“ rośnie zupełnie tak jak nasza jeżyna, przeważnie na wilgotnym gruncie, wielkość i kształt jagody taki, jak jeżyny, ale kolor pomarańczowy, owoc mączysty i tylko zdatny na konfiturę.

Lato w tutejszych północnych okolicach ma tę ujemną stronę, że owady niemiłosiernie dokuczają. Jest tu szczególny rodzaj komarów, większy od naszych, a tak zjadliwy, że kąsa przez grube ubranie. Gorszą jeszcze stokroć plagą od komarów jest tak zwana „moszka“, malutki owad, podobny do muszek, które u nas w wilgotnych miejscach się roją. Ukąszenie maleńkiego tego owadu wywołuje bąble, które palą i strasznie swędzą. Mieszkańcy tutejsi smarują się dziegciem, środek ten jednak nie wiele skutkuje, noszą zatem rodzaj płóciennego kaptura, który zasłania głowę i plecy, a na twarz zarzucają gęstą bardzo siatkę.

Przed komarami niepodobna się uchronić, a taka moc ich jest wielka, że literalnie trudno oddychać; najmniejszą szczeliną wciskają się do mieszkania i przenikliwą muzyką drażnią nerwy, a bolesne ukąszenie spać w pokoju nie daje. To też udając się na spoczynek, mieszkańcy tutejsi zamykają szczelnie okna, w środku izby lub pokoju rozpalają ogień z jałowcu lub siana, i gdy dym napełni zupełnie izbę, otwierają okna — tym tylko sposobem wypędzają nieproszonych muzykantów — po wypędzeniu okna szczelnie się zamyka i najmniejszą dziurkę zatyka. My także w ten sam sposób broniliśmy się od tych owadów.

Dla nas wygnańców, zwłaszcza dla tych, którzy rok cały przesiedzieli w więzieniach i tułactwie, po etapach, pierwsze to paromiesięczne lato było prawdziwem dobrodziejstwem tak dla wzmocnienia organizmu jak i rozerwania smutnych myśli... i ukojenia cierpień moralnych...

Wynajmowaliśmy łodzie, i często na parę dni z zapasami żywności puszczaliśmy się w dalszą okolicę. Razu jednego popłynęliśmy z prądem rzeki Sysoły przeszło sto wiorst, głównie na polowanie na łabędzie, które zwykle obierają sobie schronienie i żerują na niedostępnych moczarach, jeziorach i strumykach w głębokich borach.

Przypłynęliśmy do niewielkiej rzeczki, która wpadała do Sysoły. Zostawiliśmy zapasy żywności w krzakach niedaleko rzeki, przykrywając je łodziami i gałęziami. Brzegiem strumyka puściliśmy się piechotą w głąb lasu nie zbaczając z drogi i trzymając się kupą, aby nie zabłądzić.

Tu oczom moim przedstawił się widok tak odmienny od w życiu mem widzianych, że stanąłem, jak wryty w ziemię i słowa przemówić nie mogłem. Nie wyobrażałem sobie, że podobne olbrzymy drzewa istnieć mogą na świecie, i teraz zrozumiałem, co to są dziewicze lasy. Wyobraź sobie, czytelniku, że znalazłeś się w lesie po jakiejś strasznej katastrofie lub kataklizmie natu-

ry, który, wszystko niszcząc, poobalał i pokładł jedno na drugiem wiekowe olbrzymie drzewa, tak wielkie i grube, jak tylko w swej wyobraźni wystawić można. Tu właśnie to samo ujrzałem, z tą jednak różnicą, że na obalonych i nagromadzonych trupach, nieforemnie ułożonych, rośnie las olbrzymi, zwarty, wznosząc swe konary pod obłoki. Prócz maleńkich, wydeptanych dzikim zwierzem ścieżynek, niema innego przejścia. To też niepodobna daleko w las się zapuszczać. Idziesz, a nad głową masz sklepienie z pokrzyżowanych pni, gałęzi, korzeni splecionych, zwartych. Cisza taka grobowa, że słychać tyko szum monotonny, jednostajny blizkiej rzeczułki i dalekie od czasu do czasu gęganie gęsi lub świst łabędzi. Drobnego ptactwa tu niema, które w lasach naszych napełnia powietrze świergotem i śpiewem.

A jakaż niezrównana flora i jaki odurzający aromat! Na brzegu strumyka, tam gdzie promienie słońca dochodzą, różnobarwność kwiatów, przepych jedwabisto-aksamitnych tkanek zwieszających się kielichów i ta cudna, upajająca atmosfera odurza zmysły; pragnąłbyś ułożyć się na tym niezrównanym kobiercu, utkanym we wzorzyste, najwspanialsze kolory — i zasnąć...

Trzymaliśmy się ciągle, o ile to się dało, gromadą i posuwaliśmy się ciągle brzegiem rzeczułki. Ostrożność ta była tu konieczną, bo o kilkadziesiąt kroków, żebyś nie wiem jak wołał, nikt cię nie usłyszy, echo ginie pod sklepieniem na pół spróchniałego drzewa, a gdyby kto zbłądził, to chyba tylko trafem wydobyłby się z tego labiryntu. Co roku kilka kobiet ginie w tutejszych lasach w czasie zbierania jagód lub grzybów.

Szliśmy tak parę godzin, co krok upadając, bo zawały drzewa, które wydają się zdrowe i pokryte korą, pod nogami jednak rozsypują się w proch i lecisz w przepaść...

Oglądam się i nie spostrzegam żadnego z mych kolegów. Wołam raz i drugi i tysiączny—żadnej odpowiedzi. Przestraszyłem się. Widząc jednak, że strumyk mam blizko, czemprędzej śpieszę, aby dostać się do niego. Idąc tak, uszedłem kilkadziesiąt kroków i znalazłem się niedaleko strumyka, na maleńkiej polance, otoczonej ogromnymi zwałami drzewa. Coś się poruszyło. Byłem pewny, że to któryś z moich towarzyszy i ucieszony pobiegłem szybko. Stanąłem jednak, zaciekawiony i przerażony, bo na obalonym klocu drzewa ujrzałem stojącego czy siedzącego starca, z długą, siwą brodą, okrytego srebrno-białą do ziemi spadającą opończą, podobną, jaką noszą beduini.

W jednej chwili przesunęły mi się po głowie różne myśli. Gotów byłem prawie uwierzyć, że to chyba jest bóstwo tych po-

nurych dziewiczych lasów, o którem tutejsi mieszkańcy dziwa mi opowiadali w przekonaniu, że bóstwo to włóczy się po swem państwie i że śmiałka, którego tu spotka, już z uścisków swych nie wypuści, a wszyscy, co giną w lasach, są ofiarami tego krwi chciwego starca...

Mimowoli podniosłem rękę do góry i złożyłem znak krzyża świętego na czole, jednocześnie wmawiając w siebie odwagę, głośno zawołałem: „kto tu?“ — lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. „Kto tu“—powtarzałem w różnych językach — ale wciąż panowało milczenie, spostrzegłem tylko, że na moje ciągle powtarzane zapytania, mniemane bóstwo z lekceważeniem kiwało mi protekcyonalnie głową.

Potrochu przyszedłem do równowagi, ale jednak bądź co bądź nie byłem pewny, coby to być mogło, podsuwałem się bliżej, broń podniosłem, wziąłem na cel i jeszcze raz głośno zawołałem, że strzelać będę, a ponieważ i teraz nie było żadnej odpowiedzi, pociągnąłem za cyngiel i dałem ognia. Bóstwo czy potwór załopotał białą opończą, wydał przeraźliwy krzyk, aż ciarki przeszły mi po skórze, i runął na zwały. Jednocześnie po strzale ukazało się dwóch moich towarzyszy; biegniemy zaciekawieni i znajdujemy martwego, olbrzymiego—ptaka.

Była to leśna sowa o łbie dochodzącym rozmiarami głowy dorosłego człowieka, a skrzydła, gdy je rozciągnęliśmy, miały przeszło trzy łokcie długości.

Opierzenie było cudne — srebrno-białe puszyste pióra, tak białe, jak śnieg. Mieszkańcy twierdzili, że ptak ten musiał mieć przeszło lat sto!...

Postanowiliśmy przesłać naszą zdobycz do muzeum warszawskiego, gdzie byłaby jednym z pierwszorzędnych okazów. Niepodobna jednak było tego wykonać; komunikacya niemożebna, a nikt z nas nie umiał wypychać.

Wróciliśmy do łodzi, bo dalej trudno się było dostać, tak usłany był las zwałami. Posililiśmy się i podsunęliśmy się pod sam brzeg Sysoły, gdzie ujrzeliśmy stado łabędzi rozkoszujących się na czystej wodzie. Znacie wszyscy tego pięknego, poważnego ptaka — ale mało kto widział ogromne stada, dzikich, na swobodzie łabędzi. Daliśmy kilkanaście strzałów, łabędzie zdziwione, kto śmiał zakłócać ich spokój, wolno i bez strachu, instynktem tylko samozachowawczym wiedzione — z krzykiem i szumem zerwały się i jak ciężka chmura krążyć nad nami zaczęły, w końcu o kilka set kroków opadły na rzekę. Nie znale-

źliśmy ani jednej zabitej, widocznie spudłowaliśmy, albo było za daleko, bo też i broń nasza nie należała do wybornych.

Całe lato prawie spędzaliśmy poza miastem, a wracaliśmy tylko po nowe zapasy żywności. Wycieczki miały tę niedogodność, że musieliśmy zawsze być zaopatrzeni w ciepłe ubrania, bo przy kilkudziesięciu stopniach ciepła, gdy wiatr zawiał od oceanu lodowatego, taki robił się chłód, i to w jednej prawie chwili, jak u nas w styczniu. Zimno to chwilowe, w godzinę lub dwie się kończyło.

Często bardzo jeździliśmy łodziami na polowanie. Dzikich kaczek jest tu tyle, że polować niema najmniejszej satysfakcyi, kijem nabić można ich sporo, ma się rozumieć młodych „kłapaczy". Używa się tylko psa, który po ogromnych trawach wietrząc wystrasza, co kilkanaście kroków całe stada. Polowanie na cietrzewie, bezporównania większą sprawia przyjemność — stada są tak duże jak u nas stada wron. Do polowania na cietrzewie używa się także psa, podobny on do naszych kundli, tylko o wiele mniejszy. Wchodząc do lasu, pies biegnie naprzód i wietrzy a znalazłszy stado żerujące na ziemi, płoszy — zrywa się wtedy całe stado i obsiada wierzchołki drzew, tak, że po kilka razem siada na jednej gałązce i za jednym strzałem można kilka zabić. Pies, spłoszywszy, podbiega pod drzewo, podnosi łeb w górę i szczeka — cietrzewie całą wtedy uwagę zwracają w stronę psa, nic już niewidząc co się w koło nich dzieje. Myśliwy podsuwa się, zawsze jednak nadzwyczaj ostrożnie i strzela — po strzale stado się zrywa i niedaleko znowu obsiada drzewa. W parę godzin jeden myśliwy może kilkanaście cietrzewi zabić.

Ptactwo już nam się przejadło i polowaliśmy więcej dla przyjemności i dla zabicia czasu.

Zające stadem tu prawie chodzą, gdyż mieszkańcy tutejsi nie jedzą ich, uważając zająca za dzikiego kota i dlatego także, że jest nieczystą duszą — „czort".

To też na polowaniu niewiadomo poprostu było, do którego z nich strzelać, bo ze wszystkich stron pomykały. Raz przyniosłem z polowania zająca i prosiłem swej gospodyni aby go upiekła; wyłupiła na mnie swe małe świdrujące oczy, osadzone w okrągłej pucołowatej buzi i z oburzeniem i przerażeniem zapytała: „Ti sierałannyd me wyłycz"? (wy żartujecie ze mnie). I za żadne skarby do ręki wziąść go niechciała. Wkrótce wymówiła mi mieszkanie w swym „kierce" (domu). Dopiero gdym zaczął ją chwalić, podchlebiać, głaskać pod brodę, twierdząc, że jest najlepszą gospodynią w mieście — a gdym jeszcze w jej języku

pochwały te głosił: „Syja bura mierja“ (jaka ona dobra), „Kuczum bur łof“ (jaka dobra dusza), udobruchała się, poklepała po ramieniu i śmiejąc się zgodziła się mieć mnie nadal swym lokatorem.

Gdy znudziło nas polowanie, a nastał czas jagód i grzybobrania, w towarzystwie młodych pań tutejszych, udawaliśmy się na bliższe i dalsze wycieczki.

Razu jednego zapuściliśmy się dość daleko, gdyż przewodnik Zyryanin obiecywał nam obfite maliny. Rzeczywiście znaleźliśmy istny las tego krzewu, tak osypany pięknym i smacznym owocem, że zupełnie nieznać było liści, tylko pas cały długi, nie przejrzany okiem, zdawał się jakby był pokropiony śliczną purpurową farbą. Rozbiegliśmy się po krzakach i używali do woli smacznej tej jagody. W chwili gdy kilku nas usiadło odpocząć i zapaliliśmy papierosy, tuż dał się słyszeć trzask łamiących się krzaków. Nieruszaliśmy się, sądząc, że wraca nasze towarzystwo. Jakież było nasze przerażenie, gdy o parę kroków wysunęła się niedźwiedzica, prowadząc za sobą dwóch małych niedźwiadków. Przeszła spokojnie, wolno, jakby lekceważąc naszą obecność, przypatrywała się tylko z ciekawością, nie okazując żadnego strachu i zniknęła w gęstwinie. Niedźwiedź niezaczepiony nie napastuje człowieka, zresztą widocznie nie miał jeszczcze sposobności poznać się bliżej z panami i bogami tego świata — nie przeczuł w nich instynktów brutalnych i drapieżnych... Niedźwiedź łakomy jest bardzo na maliny i znakomicie umie obłuskiwać je i zjadać.

W pierwszym roku mego wygnania w Ustsysolsku kupiłem małego szczeniaczka, który po zabiciu niedźwiedzicy dostał się w ręce myśliwych. Cieszyłem się bardzo, bo byłem pewny, że go wychowam, obłaskawię i jak psa przywiozę z sobą do kraju. Początkowo jego zachowanie nie pozostawiało nic do życzenia. Chował się jak mały psiaczek, bawił się ze mną, wyprawiając zabawne figle, jadł z mej ręki i nawet sypiał razem ze mną w łóżku i na krok nieodstępował. Łaził po dachach, jak pies warczał, siedząc przy bramie, a największą było jego rozrywką straszyć przejeżdżające konie.

Przebył tak u mnie przeszło rok, wyrósł na sporego niedźwiadka i gdy stanął na dwóch łapach, był wzrostu ośmioletniego chłopca. Raz, a było to rano, leżałem jeszcze w łóżku, drzwi się otwierają i wchodzi Zyryanka — pytam się czego sobie życzy — odpowiada czy nie kupię „jeł“ (mleka), a że trzeba się bardzo targować, zapytałem:

— Tajo dona sułałys? (a ile kosztuje?).

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy niedźwiadek skoczył, stanął i zanim wyskoczyłem z łóżka, już kobieta leżała na ziemi a niedźwiedź na niej. Porwałem żelazne widły, używane tu w miejsce pogrzebacza i z sił całych począłem go okładać — puścił kobietę — ale spojrzał na mnie ponurem, krwią nabiegłem ślepiem, ryknął przeraźliwie i tak silnie uderzył w bok łapą, że potoczyłem się i upadłem na podłogę a niedźwiadek skoczył na mnie. Wszedł na szczęście Kuczyński, który mieszkał ze mną i jego interwencya zmusiła bestyę, że powlókł się z rykiem i schował pod łóżko.

Z małej tej próbki mogłem się przekonać, jaką może być siła u starego niedźwiedzia. Od tej chwili tak był krnąbrny, że zaczął napadać i rzucać się na ludzi na ulicy — zmuszony zatem byłem kazać go zastrzelić.

Często także jeździliśmy z tutejszymi rybakami na połów ryb i właśnie mieliśmy sposobność poznać wszystkie sposoby łowienia, które już wyżej opisałem.

Gdy w jeziorach zaciągną siecią, to wierzyć się nie chce, aby taka ilość i różnorodność gatunku ryb znaleźć się mogła. Rybacy segregują i najpiękniejsze gatunki idą na sprzedaż, gorsze na domowy użytek — drobną zaś rybę na miejscu zaraz spożywają. Nie myśl jednak czytelniku, że potrzebny jest nóż, ogień, sól? Broń Boże: Zyryanie wprost złapaną żywą rybę jedzą — a jedzone biedne, nieme stworzenie broni się, bijąc spożywającego ogonkiem po nosie. Tym przynajmniej sposobem kładzie protest przeciw tak nieludzkiemu i barbarzyńskiemu czynowi!

Zyryanie jedzą surową mąkę i kaszę i garściami pakują do ust, a gdy rzeźnik sprzedaje mięso i przy rąbaniu odpadają kawałki, skrzętnie je zbierają i surowe ze smakiem spożywają.

Wyjątkowo, jakby na uczczenie gości z Zachodu, lato w pierwszym roku mego wygnania było ciepłe i długie, przez cały czas mieliśmy tylko dwa razy burze z grzmotami i piorunami. Deszcz tu nie pada, tylko leje jak z cebra, błyskawice, grzmoty i pioruny mogą najsilniejsze nerwy rozstroić...

W drugiej połowie sierpnia, na schyłku lata, poruszyła całą naszą polską kolonię wiadomość niespodziana, że przyjechał do Ustsysolska ksiądz kapelan z Archangielska dla udzielenia wygnańcom Sakramentów św. Wprawdzie, jak wspominałem, mieliśmy wśród siebie dwóch księży, ale tym, jako zesłanym, niewolno było spełniać żadnych obrządków religijnych.

W jednym wynajętym domu urządziliśmy prowizoryczną kaplicę i ołtarz, a ksiądz młody, sympatyczny—niepamiętam nazwi-

ska — odprawił Mszę św. Wszyscy wygnańcy zebrali się, prócz ks. Bużyńskiego, który miał się wyrazić, że w głupstwa podobne nie wierzy. Mówił to nam sam kapelan, bo osobiście był u Bużyńskiego.

Jakie wrażenie kaplica, ołtarz, ksiądz pontyfikalnie przybrany, Msza św. uczyniły na wygnańcach, którzy pociechy religijnej przeszło dwa lata byli pozbawieni — dośpiewaj sobie czytelniku... Wszyscy padli na kolana, wielu czołem biło o podłogę—płacz, westchnienia, jęki łączyły się z głosem kapłana i szły w niebiosa do Stwórcy...

Przez trzy dni przesiedzieliśmy prawie w kaplicy, bo wszyscy przystępowaliśmy do spowiedzi i przyjmowali Najświętszy Sakrament. Kapłan pocieszał, błogosławił i zachęcał do mężnego znoszenia cierpień...

Z domu bardzo rzadko odbierałem listy, gdyż całą korespondencyę zatrzymywano w kancelaryi gubernatora w Wołogdzie. Tam cenzurowano. Od fantazyi pana urzędnika zależało trzymać list dopóty, dopóki mu się podobało. Często po parę listów otrzymywaliśmy razem, pokreślonych, a co gorsza, że nieraz z dowcipnemi uwagami jakiegoś kancelisty. W każdym liście rodzina łudziła się, a może pragnęła nas pocieszyć i uchronić od rozpaczy, i donosiła, że wkrótce zostaniemy uwolnieni.

Utarty wogóle aksiomat, który twierdzi, że „nadzieja jest matką głupich“, niekoniecznie trafia do mego przekonania, bo gdyby nie ta nadzieja, to człowiek albo by zwaryował, albo umarł z tęsknoty, lub w końcu w łeb sobie by palnął... A tak z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok łudził się nadzieją... czekał, żył... i powtarzał ciągle: a może też jutro wolny będę?... I w tej nadziei, w tem wyczekiwaniu przeżyłem lat kilka, a byli i tacy, co na to jutro czekali lat kilkanaście... I żyli nadzieją... i z tą nawet nadzieją konali...

W końcu lata wezwano nas do policyi i kazali wszystkim pozbawionym praw zapisać się do „wołosti“ (gminy). Przeraziło nas to polecenie, bo pozbawiało właśnie tej nadziei. Wszak z tego faktu, że każą się nam zapisywać do gminy za chłopów, wynika widocznie, iż nie mają zamiaru nas uwolnić. Każdemu z nas przeznaczono kilka dziesiatin gruntu i 50 rb. na zagospodarowanie. Wielu naszych biedaków głównie dla tych pieniędzy zapisało się natychmiast, kilku tylko z nas nie zgodziło się mimo gróźb policyi. Jak się jednak później okazało, to pierwsi byli mądrzejsi, gdyż zapisanie się do gminy nie miało żadnego zna-

czenia i nie wpływało na uwolnienie. My tylko niezapisani straciliśmy po 50 rb.

W pierwszych dniach września mieliśmy już w całem znaczeniu zimę, i to z ogromnym, kilkołokciowym śniegiem i mrozami. Skończyły się nasze wycieczki, a smutna pora roku jeszcze ujemniej oddziałała na usposobienie i cierpienie moralne.

W kolonii naszej coś psuć się zaczęło, a powodem nieporozumienia była kasa; powstały bardzo przykre, smutne i gorszące awantury. W kasie było kilka tysięcy rubli, a suma ta zebrała się z następujących wpływów.

Przedewszystkiem w Wołogdzie na czele prawie wszystkich dekasteryi rządowych stali Polacy — p. Grzegorzewski, zarządzający leśnictwem p. K., radca rządu gubernialnego i w. in. Zbierali oni składki i przysyłali dla biednych wygnańców. W Ustsysolsku, w domach, w których gościnnie nas przyjmowano, był zwyczaj, że po każdej grze w karty całą wygraną—a była nieraz znaczną po kilkanaście a często i kilkadziesiąt rubli — oddawano jednemu z nas dla biednych. Oprócz tego, każdy z nas, który odbierał z domu pieniądze, był obowiązany dawać 10%. Z tych to ofiar zebrała się znaczna suma, z której korzystali biedni wygnańcy.

Kasyerem, jak już mówiłem, był ks. Bużyński. Właśnie w chwili mego przybycia poróżnił on się z całą kolonią, zerwał stosunki, nic nikomu dać nie chciał, a za pieniądze kasowe kupił sobie dom.

Nie pomogły prośby ani groźby, nie pomogła interwencya ks. Sidorowicza, zacnego kapłana-wygnańca z Białegostoku, ani nawet wpływ kapelana z Archangielska, który do nas przyjechał, słowem kasa przepadła, a ks. Bużyński w „Przeglądzie Katolickim“ wszystkich wygnańców z Ustsysolska obrzucił obelgami, i nazwał heretykami i ateuszami.. Założyliśmy zatem nową kasę, w której niewiele było grosza, trudno zatem było nędzę zażegnać.

Z Bużyńskim trzymało dwóch ze średniej klasy wygnańców i ci podali denuncyacyę do gubernatora, że w Ustsysolsku propagowane jest powstanie i że wygnańcy uczą się mustry, fechtunku i mają zamiar przez rzekę Pieczorę i ocean Lodowaty przedostać się do Anglii.

Nic o tem niewiedzieliśmy i nawet coś podobnego nie przeszło nam po głowie. Pewnej nocy alarmuje ktoś do mego okna.

Zajmowałem właśnie z Kuczyńskim pokój na dole w domu Kłykowa. Wybiegam i znajduję dwie kobiety, owinięte na głowie chustkami. Poznałem. Były to panny Elżbieta i Fiokfista Zabojewy, córki utrzymującego pocztę. Zacne, szlachetne Zyryanki, dobrze nam znane z towarzystwa. Przerażone komunikują, że z Wołogdy przyjechał oficer żandarmski i dwóch urzędników z kancelaryi gubernatora i że rano u nas będą robili rewizyę.

Zbudziłem towarzyszy. Uprzątnęliśmy książki i pisma, gdyż nic więcej nie było do usunięcia, nie mogąc jednak pojąć, co zarzucić nam mogą.

Rano otoczono dom, w którym mieszkaliśmy, i szczegółowo robiono rewizyę. Zabrali nam listy, ktore były już w kancelaryi gubernatora czytane, książki, a przedewszystkiem kilka rapirów i parę strzelb. Na zapytanie—czego szukają? odpowiedzieli otwarcie, że zrobiono „donos“ i że to zrobili koledzy; dopiero właśnie od tych panów dowiedzieliśmy się przyczyny rewizyi.

Urzędnicy i oficer byli bardzo grzeczni, śmieli się z całej, jak się wyrażali, szopki, listów jednak nie oddali, jak również rapirów i strzelb.

Skutek jednak donosu był ten, że w parę miesięcy Żórawskiego wysłano do Koła w gub. archangielskiej, Krakowa i Oskierkę gdzieś do południowej Rosyi, a nam niepozwolono mieszkać razem w domu Kłykowa.

Wkrótce i Bużyńskiego przeniesiono do powiatowego miasta Nikolska, a jak wieść niosła, to on sam prosił o to, gdyż tam nie było ani jednego zesłanego Polaka, więc mógł żyć spokojnie z pieniędzy zabranych biedakom i nędzarzom... Co się z nim stało nie wiem; dochodziły do nas różne wieści, ale że to mogły być plotki, wspominać o nich nie będę.

Ja, Kuczyński, Celt i ks. Sidorowicz wynajęliśmy wspólne mieszkanie u wdowy Nadieżdy Stieniny. Kuczyński mieszkał w jednym pokoju ze mną, zajmował się gospodarstwem, mając do pomocy poczciwego Żmujdzina, młodego włościanina wygnańca.

Za pośrednictwem mojem panie w Warszawie, a głównie panna Klementyna Bartoszewiczówna, siostra Juliana (historyka), przysłały ks. Sidorowiczowi przybory kościelne i pozwolenie od arcybiskupa do spełniania wszystkich religijnych obsług. Poczciwy isprawnik Nikitin udawał, że o niczem nie wie, to też urządziliśmy w jednym największym pokoju kaplicę. Stała szafa, która zamknięta, nie różniła się zupełnie od zwykłych w tym ro-

dzaju szaf, otworzona zaś, wyglądała zupełnie tak, jak dawne nasze obozowe ołtarze.

Odtąd już mieliśmy codziennie rano Mszę św., a w niedzielę i święta uroczyste nabożeństwa, na które prawie cała kolonia polska się zbierała.

Celt po Krakowie objął zakład fotograficzny, wybudował małą altankę i w dalszym ciągu wspólnie zajmowaliśmy się tą zabawką—mówię zabawką, bo naprawdę żadnego dochodu zakład ten nie przynosił.

Władysław Zapałowski.

# Ruch literacki we Francyi.

(PRZEGLĄD DRAMATYCZNY).

Komedya Francuska nie wysadziła się w bieżącym roku dramatycznym na zbyt wiele nowości. Mamy do zaznaczenia za okres ten, na tej najpierwszej scenie francuskiej zaledwie dwie nowe sztuki. Pierwsza z nich—p. t. „Bagatelle“ jest podpisana słynnem na tem polu nazwiskiem *Pawła Hervieu*, autora dzieł takich, jak „La Loi de l'Homme“, „Les Tenailles“, „L'Enigme“, „La Course du Flambeau“, „Connais—toi“ i innych, których myśl przewodnią nie zawsze przyjąć można bez zastrzeżeń, lecz które ze względu na swe zalety—surową ścisłość budowy i akcyi, oraz wysokość tragicznego natężenia—stawiają go w rzędzie pierwszorzędnych, współczesnych dramaturgów. „Bagatelle“ różni się nieco od wymienionych tu utworów swym tonem lżejszym i mniejszą ścisłością w przeprowadzeniu akcyi, ale przypomina je tragicznością wytworzonej w końcu sytuacyi, ujawniającej się dopiero w trzecim akcie, oraz siłą, z jaką wyrażają się wchodzące przytem w grę uczucia i namiętności. Do otoczenia zepsutego, szukającego wyłącznie rozkoszy zmysłowych i przyjemnej rozrywki w łatwo nawiązywanych i jeszcze łatwiej zrywanych stosunkach miłosnych, wprowadza autor kobietę nie tylko z gruntu uczciwą i szlachetną, ale zgoła nie mającą wyobrażenia o hipokryzyi, kłamstwie i wyuzdaniu sfer towarzyskich, jakie mamy sposobność poznać w tej sztuce.

Towarzystwo takie zbiera się właśnie w zamku niejakiej pani Orlonia, której, w wieku dojrzałym, po nieznanej nam bliżej przeszłości—podobno była trzy razy wdową—pozostała jedna namiętność: patrzeć na kochające się pary i ułatwiać w tym celu zbliżenie tym zwłaszcza osobom, którym więzy małżeńskie prze-

szkadzać mogą do osiągnięcia takiej szczęśliwości. Pani Orlonia jest nader pobłażliwą dla dziewcząt, którym miłość spłatała figla, jak to stało się z jej lektorką, panną Andrée, mającą dziecko, umieszczone tajemnie u mamki. Zresztą popiera ona również miłość, aspirującą do małżeństwa i podejmuje się chętnie zleconej jej przez niejaką panią Jadwigę, rozwódkę, która miała wielkie rozczarowanie, misyi zbadania zdolności małżeńskich jej pretendenta, pana Sarsy. Gośćmi jej, prócz wymienionych — pani Jadwigi i pana Sarsy, są też, przy rozpoczęciu akcyi, panowie Galéard, Chambrès i podstarzały galant Vureuil, oraz przystępnych zasad pani Raymonde i ukrywająca żary wewnętrzne pod pozorami chłodnej powierzchowności pani Michalina de Nisme. Kółko to powiększają niebawem pani Florencya da Raon, jej mąż Gilbert i przyjaciel tegoż, napróżno asystujący Florencyi, Jincourt. Florencya jest zamężną od lat dwunastu, ale kocha, jak w pierwszej chwili, męża, o którego wzajemnych uczuciach i bezwzględnej wierności wcale nie wątpi. Czuje się też najszczęśliwszą z kobiet i jest zdumioną i zgorszoną, gdy pani Orlonia, chcąc ją przygotować, objaśnia o obyczajach, panujących w jej domu. Niebawem ma ona sposobność zapoznać się z niemi, gdy z sąsiedniego gabinetu, gdzie poszła pisać listy, wysłuchuje rozmowy i flirty oraz tranzakcyę w rodzaju tej, jaką zawiera z Reymonde stary pan Vureuil, który proponuje tej ostatniej, że wzamian za jej łaski płacić będzie jej tualety.

W innej scenie taż Raymonde, w złośliwej utarczce, z panią Jadwigą, daje jej do zrozumienia, by zepsuć projektowane małżeństwo, że Sarsy to prawdziwy satyr — miał do niedawna jednocześnie trzy kochanki, z których jedną była ona, Raymonde, czem wywołuje skutek odwrotny temu, jakiego się spodziewała, bo Jadwiga, upewniona o zdolnościach swego supiranta, oddaje mu swą rękę. Sceny takie i tym podobne, bez bliższego z sobą i całością akcyi związku wypełniają cały akt pierwszy i część drugiego. Przeznaczeniem ich jest odmalowanie środowiska i przygotowanie gruntu dla scen zasadniczych, które przyjdą później, w istocie jednak nie wiele nas nauczają, bo środowisko znamy już z góry, i nie przygotowują też dalszej akcyi, bo są od niej niezależne, lecz raczej wypełniają i czynią to zresztą w sposób dość zręczny i zajmujący, pustkę akcyę tę poprzedzającą. Ale z gabinetu tego Florencya będzie świadkiem sceny, która nie tylko ją zgorszy, lecz dotknie najniespodziewaniej w świecie, w najgłębszych jej uczuciach.

Oto dowie się z rozmowy swego męża z Michaliną de Nisme, że ten oddawna ją zdradzał i, że pomagał mu w tem przyjaciel Jincourt przez użyczanie dla schadzek swego kawalerskiego mieszkania. Nie dość na tem, teraz Gilbert czyni wyrzuty Michalinie z powodu jej dla niego obojętności i chłodu, który nie ustąpił nawet pod ogniem pocałunku, jaki był złożył na jej ustach. Michalina istotnie usiłuje bronić się przed jego natarczywością, ale nie mogąc znieść zarzutu obojętności, wyznaje mu całą namiętną miłość, jaką w niej zbudził ów pocałunek, miłość, której wszakże uledz nie chce ze względu na Florencyę, jego żonę, a jej przyjaciółkę i dla tego wyjedzie natychmiast z domu pani Orlonia. Ale Gilbert, po takiem wyznaniu, umie ją przekonać i uzyskać schadzkę o północy, w jej pokoju, położonym w pobliżu tego, który on zajmuje. Trzeba zaś wiedzieć, że Michalina jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą Florencyi, dla której ta nie miała żadnej tajemnicy. Teraz więc biedna kobieta uczuła się niecnie zdradzoną i oszukaną przez te dwie istoty, w których położyła swe całkowite, bezwzględne zaufanie, w jednej chwili doznała podwójnego ciosu—utraciła serce męża i życzliwość przyjaciółki, która to serce podstępnie jej wykradła! Po wyjściu wiarołomnej pary z salonu, ukazuje się Florencya cała oszołomiona jeszcze odkryciem, które pozbawiło ją w kilka minut całego szczęścia i spokoju, będącego jej udziałem od początku jej małżeńskiego pożycia. Jednocześnie wchodzi Jincourt i, dowiedziawszy się o powodach niezwykłego rozdrażnienia młodej kobiety, nalega, by pomściła się na niewiernym, oddając się jemu, o co ją błagał oddawna i, jak dotąd, napróżno. Florencya zgadza się na to pozornie, ale w duchu układa podstępny plan zemsty, wyznacza bowiem Jincourtowi schadzkę o tejże porze i w tym samym pokoju, gdzie się umówili, by ją zdradzić, jej mąż i przyjaciółka. W trzecim akcie widzimy Michalinę w jej pokoju, w towarzystwie najpierw lektorki, później pani domu i pani Jadwigi, które, jak na przekór, mają jej coś do powiedzenia o późnej godzinie, tak, iż zaledwie może się ich pozbyć, gdy nadchodzi pora przybycia Gilberta, który zjawia się z całą ostrożnością, na chwilę po ich wyjściu. Ale zaledwie poczęli sobie gruchać, słodką tę czynność przerwało im stukanie do drzwi i głos Florencyi objaśnił ich, kto przychodzi. Następuje chwila pomięszania. Co robić? Schować się niema gdzie.

Gilbert otwiera okno. Wyskoczyć nie można, bo za wysoko, zresztą mogłoby to wywołać alarm, zbudzić i postawić na nogi wszystkich mieszkańców zamku. Więc niema rady, Michalina

otwiera drzwi i oboje, wobec udającej zdziwienie Florencyi, tłómaczą się w sposób mocno zaplątany, że słuchali śpiewu słowika. Florencya przyjmuje to z ironiczną swobodą, wreszcie, odrzucając przybraną maskę, oznajmia obojgu, że wie o wszystkiem i piętnuje naprzód przyjaciółkę, później męża, wyrzucając im ich niecne względem niej postępowanie w taki sposób, że ci, nie znajdując żadnego dla siebie usprawiedliwienia, schylają głowę pod ciężarem słusznych oskarżeń. Naraz ktoś stuka, Florencya spieszy otworzyć i wchodzi Jincourt, który na widok obecnych staje, jak wryty.

Teraz wszyscy są zdemaskowani. Zdradzona żona nie waha się przedstawić mężowi, w osobie jego najserdeczniejszego przyjaciela, człowieka, który czyhał na jego cześć. I czyniąc to wiedziała, co robi, bo Gilbert miał nietylko nieograniczone zaufanie do przyjaciela, ale był doń prawdziwie przywiązany, na co ten istotnie z wielu względów zasługiwał, a nawet dał mu wysokie dowody przyjaźni, gdy wystarał się, by go na jego miejsce obdarzono orderem(!) lub gdy otrzymał pchnięcie szpady, kiedy się dla niego pojedynkował. To też jest to dla nich obu prawdziwie bolesnem. Jakiż koniec tego zajścia, które wobec uczuć i stosunków, łączących biorące w niem udział osoby, nabiera znaczenia tragicznego?

Czy nastąpi zerwanie pomiędzy małżonkami, czy też skończy się na przebaczeniu? Ani jedno, ani drugie. Autor poprzestał na moralnej egzekucyi winowajców. Niedoszli kochankowie, przyjaciele i przyjaciółki rozstaną się. Małżonkowie pozostaną razem i czekać będą wspólnie aż czas zagoi rany sercowe i na przeszłość rzuci zasłonę, pod którą wygasną namiętności i stracą swą moc urazy

Wtedy być może, zerwane dziś stosunki pomiędzy przyjaciółmi dadzą się nawiązać.

Co myśleć o tej sztuce? Jest ona utrzymana częścią w tonie lekko-ironicznie-sceptycznym, częścią zaś w tragicznym. I ten ostatni jest naprawdę jej tonem właściwym, odpowiadającym nastrojowi duchowemu autora, chociaż w tym wypadku nie miał go może szczególniej na celu. Znajdujemy w tym utworze dwie myśli główne — najpierw, że w pewnych kołach awanturki miłosne poza małżeństwem są uważane za „bagatelkę“ — rodzaj rozrywki niewinnej i dozwolonej, przynajmniej nieoficyalnie, o ile idzie o prawa osób trzecich, która nie sprzeciwia się ani uczuciom małżeńskim, ani nie wyłącza przyjaźni, choćby powodowała szkodę przyjaciela lub przyjaciółki; — następnie, że niema takich krzywd i cier-

pień moralnych, którychby czas nie wygładził nie tyle wskutek zapomnienia, ile z powodu pozbawienia ich aktualności. Zatem poco wywoływać katastrofę, wytrącającą życie z jego torów, jeżeli to, co dziś wzbudza w nas największą burzę, jutro lub pojutrze będzie nam obojętne do tego stopnia, iż będziemy mogli o tem mówić z tymi, którzy tej burzy byli powodem, jak o rzeczy osobiście nas nie dotyczącej. Więc nie posuwajmy rzeczy do ostateczności, zaczekajmy, a unikniemy nieszczęść niepowetowanych.

Tak postąpiła Florencya, gdy, po stwierdzeniu niewierności męża i zdemaskowaniu przyjaciółki i przyjaciela, z mężem nie zerwała, a nawet pozostawiła nadzieję owym przyjaciołom, że z czasem, gdy minie to, co ich dzisiaj dzieli, bo wszystko musi minąć, ich stosunki mogą się nawiązać. I zapewne Florencya postąpiła roztropnie. Ale takie rozwiązanie nie jest tragicznem. Tragizm leży też tu w sposobie odczuwania Florencyi, w jej zarazem wspaniałomyślnej i egoistycznej rezygnacyi z dopełnienia zemsty, która byłaby jednocześnie śmiertelnym ciosem dla jej serca i w różnicy, jaka zachodzi pomiędzy jej istotą moralną, a moralnym poziomem jej otoczenia.

Jeżeli w „Bagatelle“ akcya jest przeprowadzona przy pomocy dość sztucznych kombinacyi, a założenie tego utworu jest nieco niewyraźne, to pod tym względem o wiele przewyższa go dzieło p. *Henryka Kistemaeckersa*, grane na tejże scenie Komedyi Francuskiej, p. t. „L'Embuscade“. Komedya ta składa się już wyłącznie z takich sztucznie pokombinowanych scen, które się ciągną przez długie cztery akty, bez widocznej potrzeby, bo nie przeprowadza w nich autor ani żadnej myśli lub założenia i nie daje ani prawdziwych charakterów, ani odbicia życia rzeczywistego. Postacie są konwencyonalne, zachowanie ich jest nieprawdopodobne, sytuacye są wytworzone arbitralnie i wprost rażą swą sztucznością, którą podnosi jeszcze stek wydarzeń nadzwyczajnych, co razem wziąwszy składa się na prawdziwy t. zw. „drame à ficelles“, z tą jeszcze różnicą, że nie posiada nawet tej zręcznie zagmatwanej intrygi, której rozplątanie mogłoby w braku czegoś lepszego stanowić cel utworu i zająć umysł choć powierzchownie, jak to dzieje się przy rozwiązywaniu rebusów lub łamigłówek. To też widz, po wysłuchaniu sztuki może postawić sobie pytanie poco ją grano i poco wogóle ją napisano? I na to pytanie odpowiedzi nie znajdzie. Ale Komedya Francuska miewa takie kaprysy. Tytuł sztuki „L'Embuscade“—zasadzka, tłómaczy się wygłoszonem przez bohatera nieco wątpliwej filozofii zdaniem, że

życie podobnem jest do wojny, z której wychodzi się zwycięzcą w walnych bitwach, by następnie zginąć w marnej zasadzce. Taką to zasadzkę życie lub mówiąc ściślej—arbitralna fantazya autora, postawiła pani Guéret żonie wielkiego przemysłowca, która, będąc jeszcze panienką, została uwiedzioną i urodziła potajemnie syna, co po zniknięciu uwodziciela, człowieka zresztą jej niegodnego, nie przeszkodziło jej poślubić swego dzisiejszego męża, który naturalnie o niczem nie wiedział. I to ma być zapewne owem zwycięstwem w walnej bitwie życia. Akcya sztuki zatem pokaże nam zasadzkę.

Rzecz rozpoczyna się na balu, wydanym przez państwa Guéret w uroczej willi na Rivierze. Pani Guéret jest piękną jeszcze czterdziestoletnią niewiastą, matką osiemnastoletniej panienki, która jest już prawie narzeczoną wybranego dla niej przez rodziców pana Durand.

Na bal przybywa p. Limeuil, przyjaciel i jedyny powiernik pani Guéret, opiekun jej syna, którego przyprowadza, jako swego pupila. Robert Marcel, tak się nazywa ten już obecnie dwudziestoparoletni młodzieniec, wyszedł właśnie z politechniki i ma szukać karyery w Australii. Jego matka, chciała go zobaczyć może poraz ostatni, nim odjedzie do odległych krajów. Tem tłómaczy się jego tu obecność. Ale ani Robert, ani nikt z obecnych, prócz pana Limeuil i pani Guéret, nie wie o związku, jaki go z nią łączy. Ta z trudnością opanowuje swe wzruszenie, Robert jest zachwycony przyjęciem, jakiego doznał u tej wykwintnej damy, tańczy z jej córką Anną-Maryą i w przystępie szczerości wykłada swe poglądy życiowie, nacechowane dość zrozumiałym w jego sytuacyi pesymizmem. Bo Robert wie, iż jest dzieckiem nieprawego pochodzenia. Dla niego jest to pierwszy i ostatni występ w świecie, z którego od urodzenia został wyłączony. Ale młody, energiczny i zdolny stworzy on sam sobie byt i świat własny w Australii, dokąd jutro odpłynie. Tymczasem zjawia się p. Guéret, który potrzebując inżyniera i widząc w młodym człowieku, który mu się bardzo spodobał, odpowiednie i niepospolite zdolności, oddaje mu kierownictwo swej fabryki, co też Robert, ku wielkiemu przerażeniu, a zarazem mimowolnej instynktownej radości pani Guéret, przyjmuje. Położone w nim zaufanie okazuje się uzasadnionem, Robert robi wynalazki w budowie automobilów, przyczynia się w znacznym stopniu do podniesienia dochodów fabryki i staje się ulubieńcem i prawą ręką pana Guéret, z którym wszakże nie zgadza się co do metody wychodzenia z robotnikami, chciałby więcej porozumienia i pobłażliwości, gdy tamten

trzyma się dyscypliny sprawiedliwej, ale surowej i bezwzględnej. Zresztą Robert czuje się w tej rodzinie jak u siebie, wszyscy go cenią i lubią—pani Guéret jest dlań niezmiernie troskliwą, zaś jej córka Anna-Marya ma do niego tyle zaufania, że zwierza mu się ze swego zmartwienia, którego powodem jest, iż nie kocha przeznaczonego jej przez rodziców pana Durand. Młoda panienka prosi go nawet, by wstawił się za nią do nich, bo on tylko jeden ma tę powagę, iż wpłynąć może na zmianę ich decyzyi. Ale dlaczego Anna-Marya nie kocha pana Durand? Mamy wszelkie dane sądzić, że dlatego, iż kochałaby Roberta, gdyby ten choć słówkiem ją w tym kierunku zachęcił.

Tego wszakże on nie czyni i nie bez wzdragań podejmuje się przemówić w sprawie, powierzonej mu przez Annę-Maryę. Wtedy następuje scena przełomowa pomiędzy Robertem a jego matką. Pani Guéret dziwi się szczególnemu mięszaniu się młodego człowieka do ich tak poufnych spraw rodzinnych. Ale nie dość na tem, Robert, który przed chwilą, w rozmowie z Anną-Maryą, nie objawiał żadnych intencyi, teraz pośród tej dyskusyi oświadcza się ni stąd ni z owąd o jej rękę. Pani Guéret odmawia z uniesieniem. Robert chce wiedzieć dlaczego. Czy dla tego, że jest człowiekiem „nie posiadającym stanu cywilnego“, jak mu to już wymówiono w jego fabrycznem otoczeniu? Pani Guéret odpowiada, iż jest urzędnikiem i jako taki, nie ma prawa podnosić oczu na córkę pryncypała – oto pretekst, jakiego użyła dla usunięcia raz na zawsze podobnej myśli. Oboje są niezmiernie rozdrażnieni. Robert sądząc, że nim gardzą, opuszcza dom swego dobroczyńcy i stanowisko, jakie zajmował przy fabryce, i przechodzi na stronę robotników, którzy właśnie zaczęli strejkować. Niebawem przychodzi on do pana Guéret w charakterze delegata, i składa mu listę żądań, z groźbą zerwania układów i wysadzenia fabryki. Guéret oburzony takim cynizmem i niewdzięcznością odmawia. Wywiązuje się między nimi gwałtowna dyskusya. Wtem daje się słyszeć straszny wybuch — fabryka została wysadzoną. Wtedy Guéret już się nie hamuje, rzuca się na Roberta, chwyta go za gardło, przewraca na ziemię i już ma go udusić, gdy powstrzymuje go rozpaczliwy krzyk żony. „To twój kochanek“?— zapytuje Guéret. „Nie – to mój syn!“ — odpowiada nieszczęśliwa kobieta. Ostatni akt rozgrywa się wśród gruzów fabryki. Guéret wraz z kilku wiernymi sobie majstrami zajmuje się ratowaniem szczątków, ale fortuna jego przepadła. Wtedy przychodzi pewna Rosyanka, która kokietowała Guéreta przez cały ciąg akcyi i namawiała, by opuścił żonę, zdradzającą go jakoby, według jej in-

synuacyi, z Robertem, i wyjechał z nią do Rosyi. Guéret, aczkolwiek pałał do niej namiętnością, nie uległ dotąd podszeptom tej kobiety bezwstydnej, którą zresztą gardził i tego jej nie ukrywał. Dzisiaj po katastrofie, która nie tylko zrujnowała go materyalnie, ale zburzyła również jego domowe ognisko, jest on już niemal zdecydowany przyjąć jej propozycye tembardziej, że znajdzie w jej kraju stanowisko i sposobność zużytkowania swej energii, przy zorganizowaniu eksploatacyi kopalń. Ale w tejże chwili przybywa jego córka Anna-Marya i rzuca się na szyję ojcu. Oto w całem ich niespodziewanem nieszczęściu, czuje się ona szczęśliwą: jej narzeczony, p. Durand okazał się wobec ich ruiny tak szlachetnym i bezinteresownym, że go pokochała i chce zostać jego żoną. Wobec tego Guéret nie czuje się zwolnionym od wszelkich obowiązków względem rodziny, jak przed chwilą sądził, musi bowiem przedewszystkiem zabezpieczyć szczęście i los swego dziecka, a dlatego trzeba za wszelką cenę uniknąć skandalu. I Guéret się poświęci. Przywołuje żonę wraz z Robertem i przedstawia tegoż córce, jako swego syna z przed małżeństwa, a zatem jej brata. Odtąd, w tym charakterze dla świata, Robert pozostanie z rodziną Guéret i aby naprawić skutki swej zbrodni, będzie dopomagał panu Guéret do podniesienia na nowo fabryki, która całkowicie zniszczoną nie została. I oto do jakich nadzwyczajnych historyi musiał uciec się autor, by zapędzić panią Guéret w ową zasadzkę, kiedy mógł był to uczynić w sposób o wiele prostszy, naturalniejszy i więcej prawdopodobny, gdyby był poszedł do końca w kierunku, w jakim zdawał się zwracać z początku, aż do sceny oświadczenia się Roberta o rękę Anny-Maryi jej matce, a więc gdyby był wzbudził wyraźniejszą wzajemną sympatyę u obojga młodych ludzi i stanowcze postanowienie połączenia ich, u despotycznego Guéreta. Wtedy, pani Guéret, by nie dopuścić do kazirodczego związku, byłaby doprowadzoną do wyznania swej winy w warunkach bez porównania tragiczniejszych, bo skutkiem głębokich powodów moralnych, nie zaś w okolicznościach, wywołanych mechanicznem działaniem wypadków zewnętrznych. Ale to wydawało się widać autorowi zbyt prostem i nie dość nadającem się do efektów kinematograficznych.

Dziwną też bardzo i również mocno nieprawdopodobną sztukę dawał teatr Odeon. Utwór ten, w trzech aktach, p. t. „Dans l'ombre des statues“, dzieło *Jerzego Duchamel*, pokazuje nam syna, który się czuje przygniecionym i pozbawionym indywidualności własnej skutkiem wysokiej wartości i sławy genialnego ojca. Zamiast cieszyć się tą sławą, być z niej dumnym i starać się

stać jej godnym, jest o nią zazdrośny i czuje się nieszczęśliwym i cierpi nad upokorzeniem, jakiego stąd doznaje. W takiem położeniu znajduje się Robert Bailly, syn zmarłego od lat kilku znakomitego, niespożytych zasług, powszechnie czczonego męża Emmanuela Bailly, którego ma być właśnie odsłonięty pomnik, postawiony ze składek całego narodu. Wszyscy w domu wdowy, gdzie czynią się przygotowania do uroczystości, znajdują się w odpowiednim nastroju, jeden tylko Robert jest zły i nieprzystępny, rozmawia tylko z Alicyą, młodą panienką, którą kocha, by skarżyć się na swój los nieszczęsny człowieka, nie mającego prawa być samym sobą. W trakcie tych przygotowań, zgłasza się jakiś niemłody, karykaturalnie wyglądający człowiek i chce widzieć się z panem Robertem. Hilary, tak nazywa się ów jegomość, mówi, iż przychodzi w bardzo ważnej sprawie, i nie chce powiedzieć o co idzie ani lokajowi, ani panu Mostier, przyjacielowi wielkiego człowieka i wychowawcy jego syna, z którym w tym domu niewiele się liczą. Wytrwały starzec nie da się też nikomu zbić z tropu, lecz czeka przybycia Roberta, z którym ostatecznie się widzi i doręcza mu paczkę papierów, jak to był przysiągł temu, który mu te papiery powierzył, zmarłemu przed paru tygodniami Florentynowi Lavaud, mieszkańcowi prowincyonalnego miasteczka, skąd pochodził i gdzie poprzednio zamieszkiwał Emmanuel Bailly. Robert przegląda papiery i wydaje się przy tej czynności coraz bardziej wzburzonym, chowa je przed Mostierem, który nie może pojąć zmiany, jaka zaszła w jego pupilu, prawi przed nim rzeczy niestworzone i świętokradcze względem pamięci wielkiego ojca tak, iż Mostier sądzi, że zwaryował i zapewne na to wygląda zresztą od początku.

Tymczasem widzimy, że Robert dowiedział się z tych papierów czegoś, co go tak wzburzyło, ale i zarazem napełniło radością. Mostier opowiada to matce Roberta pani Bailly, osobie stanowczej i rozkazującej, i wtrąca przytem dosłyszane nazwisko Florentyna Lavaud. Pani Bailly zbladła, ale natychmiast odzyskawszy panowanie nad sobą, przywołała syna, by mu powiedzieć, że istotnie prawdą jest czego się dowiedział w owych papierach, Robert bowiem nie jest synem wielkiego Bailly, lecz Florentyna Lavaud, ale błąd względem wielkiego małżonka okupiła tem, iż poświęciła się całkowicie kultowi jego sławy.

Robert naprawdę jest człowiekiem niezwykłym—czuje się on uszczęśliwionym, iż nie jest synem swego ojca, bo teraz dopiero uczuwa, że jest „człowiekiem wolnym“, gdy przestał być synem wielkiego człowieka, będzie nadal tylko sobą samym i zacznie

od niezwłocznego opuszczenia domu, gdzie odtąd jest obcym. Matce zaś, która chce go nakłonić do pozostania w dotychczasowej roli, robi uwagę zapewne z niedostatecznym szacunkiem, ale logiczną, że nie ma prawa żądać od niego poszanowania pamięci człowieka, którego sama oszukała. Ale na to pani Bailly znajduje odpowiedź dość trafną, że jest się synem tego, który nas wychował i ukształtował nasz umysł, naszą istotę duchową i moralną, nie mniej, jak tego, który nas zrodził. Cokolwiek zatem zrobiłby Robert, nie przestanie on zawsze, z tego względu, być synem Emmanuela Bailly. I Robert, któremu matka prócz tego przemówiła w kilku słowach do serca, daje się przekonać, podaje jej rękę i prowadzi ją, gdzie oczekują zaproszeni na odsłonięcie pomnika.

To wszystko jest nader dziwaczne i nieprawdopodobne, a niemniej nie pozbawione przebłysków talentu w przeprowadzeniu akcyi i charakterach osób, z wyjątkiem Roberta, nie będącego postacią naturalną, lecz uosobieniem przesadnego indywidualizmu, który autor w tej sztuce krytykuje, jak o tem dowiadujemy się dopiero na końcu, bo w ciągu całej akcyi domyślić się tego nie było można.

To też, obok sztuczności tego utworu, stanowi jeden z głównych zarzutów, jakie można mu zrobić.

Wiadomo powszechnie, że *Henryk Bataille* jest w teatrze francuskim dwudziestego wieku twórcą scen i sytuacyi wyjątkowych, przedewszystkiem zaś odkrywcą stanów psychicznych również wyjątkowych lub ukrywających się zwykle w tak niedostępnych tajnikach wewnętrznych, że ich ujawnienie należy do wypadków nadzwyczajnych. Przypomnijmy tylko sobie takie jego dzieła, jak „Madame Colibri“, gdzie mężatka matka dorosłych synów, z których jeden jest narzeczonym i wkrótce uczyni ją babką, jest kochanką dwudziestoletniego kolegi jednego z nich i z nim ucieka; lub „La Vierge folle“, gdzie siedemnastoletnia panienka, księżniczka, ucieka z podstarzałym i żonatym adwokatem, plenipotentem jej ojca i zaufanym przyjacielem rodziny, albo „L'Enfant de l'Amour“, gdzie autor ukazuje nam komplikacye sentymentalne pomiędzy starzejącą się kobietą, a jej kochankiem i jej synem, młodym „Alfonsem“. I dodajmy, że psychologia bohaterów tych utworów jest jeszcze o wiele osobliwsza, niżeli ich obyczaje i sytuacye, w jakich zostali postawieni.

Podobnie się rzecz ma w „L'Enchantement“, sztuce czteroaktowej, wznowionej z początkiem roku bieżącego na scenie teatru „Renaissance“. Motywem jest tu rywalizacya sióstr, ale w ja-

kich warunkach! Izabella jest już prawie starą panną, gdy wychodzi za mąż za również już bardzo dojrzałego kawalera, któremu dla nieznanych nam bliżej powodów kazała długo czekać na siebie. Ma ona siostrę Janinę, dziecko jeszcze lat piętnastu, którą wychowała, zastępując jej matkę i którą kocha, jak własną córkę, w czem ma jej wzajemność. W dzień ślubu siostry, Janina najniespodziewaniej w świecie próbuje się otruć i skutkiem tego wychodzi na jaw, że kocha Jerzego, męża Izabelli, czego się ten nie domyślał. Pełna poświęcenia Izabella raczej podporządkuje własne szczęście i szczęście męża, aniżeliby miała pozostawić biedne dziecko samej sobie, w takim rozstroju nerwów.

Zatem, zamiast dać folgę uczuciom, które nareszcie połączyły ich dozgonnym węzłem, zamiast spędzić w upojeniu pierwsze chwile wspólnego pożycia, małżonkowie zajmą się wyłącznie, na żądanie Izabelli, moralną kuracyą Janiny. Wszelkie nawet zbliżenie pomiędzy nimi musi być odłożone na później, by jakąś mimowolnie zdradzoną oznaką ich poufnego stosunku nie podniecić zazdrości i nie pogorszyć tem stanu nerwowego dziewczynki, która tylko szuka w ich oczach odgadnięcia miłosnych uścisków, co więcej szpieguje ich, podsłuchuje pod drzwiami lub wpada niespodziewanie do pokoju, gdy znajdą się sam na sam. Jerzy jest tem z początku zirytowany i prosi żonę, by położyła temu koniec przez wyprawienie z domu Janiny. Na to jednak Izabella nigdy się nie zgodzi, gdyż obawia się wprost o życie siostry, która zresztą przy każdej sposobności grozi samobójstwem. Tymczasem Janina nie ustaje w manewrach, by przyciągnąć do siebie Jerzego, krąży nieustannie wkoło niego, jest względem niego to wyzywającą jak młoda lwica, to uległą, jak owieczka, to pieszczotliwą, jak kotka. Przynosi mu kwiaty, wciska mu karteczki z oświadczynami, aż wreszcie oświadcza mu swą miłość (dziewczynka w krótkiej sukience!) i żąda, by ją uczynił swą kochanką, i to pośród tak namiętnych wybuchów, że biedny Jerzy, któremu żona kazała czekać, zaczyna poddawać się urokowi. Zamiast irytacyi zaczyna uczuwać litość dla zakochanego w nim dziecka. W tych warunkach Janina wymogła na nim pocałunek, na co on przystał wzamian za jej obietnicę, że się zgodzi na opuszczenie ich domu i przestanie go prześladować swą miłością. Ale w chwili tej weszła Izabella i na widok tego, zaszła w niej nagła zmiana, zbudził się instynkt kobiety, której dobro jest zagrożone. Odtąd, odrzucając wszelkie względy, zaczyna starać się podobać mężowi i oddaje mu się. Nie ukrywa się nawet z tem przed siostrą, przeciwnie, pozwala jej zastać siebie na jego ko-

lanach. Wtedy zazdrość Janiny dochodzi do szczytu i przechodzi w nienawiść, z którą się bynajmniej nie kryje, lecz rzuca ją w oczy Izabelli, w gwałtownej scenie, jaka skutkiem tego między niemi wybucha i w której się okazuje, że wobec namiętności, wobec nieprzezwyciężonego instynktu miłości wszystkie inne uczucia muszą ustąpić na bok. Izabella i Janina, siostry, do niedawna kochające się, jak matka i córka, stały się teraz rywalkami gotowemi na wszystko, byle zachować dla siebie przedmiot swej miłości. Nawet broń, którą dotąd wojowała Janina—groźba samobójstwa—przestała działać. Szczęściem przybywa Piotr, zdawna zakochany w Izabelli konkurent, któremu odmówiła, zajęty gojeniem swych ran sercowych. Ten zajmie się uzdrowieniem Janiny i zaczyna od tego, iż potrafi ją przekonać o potrzebie opuszczenia domu siostry i wyrzeczenia się niemożliwej miłości. „Oto jest, w rysach głównych, treść tej sztuki, której zresztą zalet właściwych szukać należy w zaakcentowaniu subtelnych odcieni uczuć w niezmiernie umiejętnem wskazaniu, przy pomocy drobnych objawów zewnętrznych formowania się i wzrastania ukrytej wewnątrz namiętności, oraz stopniowej przemiany, jakiej ulegają w tych okolicznościach wzajemne uczucia sióstr. Niemniej, jak i w wyżej wymienionych utworach, autor nie poprzestaje tu na odtwarzaniu życia w jego tak nieprzeliczonych objawach normalnych, lecz raczej stara się je ukazać w jego zboczeniach psycho-fizyologicznych, tak, iż w rezultacie „L'Enchantement", utwór, o którym tu mowa, mógłby służyć za ilustracyę do rozprawy na temat „histeryi w okresie formowania się dziewcząt", być może bardzo zajmujący dla specyalistów, ale niekoniecznie potrzebny na scenie, która przecież nie jest kliniką.

Zobaczmy teraz ostatnie dzieło Henryka Bataille p. t. „Les Flambeaux" (teatr Porte-Saint-Martin). Tu dramat miłosny rozgrywa się pomiędzy uczonym biologiem Wawrzyńcem Bouguet i jego sekretarką panną Jadwigą Voroditch, a pomocnikiem tegoż Blondelem, przy współudziale pani Janiny Bouguet, żony uczonego i ich córki Marceliny. Bouguet, jak go nam przedstawia autor, jest nie tylko uczonym, który za niezmiernej doniosłości wynalazek w bakteryologii uzyskał nagrodę Nobla, ale też filozofem, jednem słowem umysłem i duchem niezmiernie wysokim. Pani Janina jest szlachetną niewiastą, pomagającą mu w jego pracach naukowych. Blondel jest człowiekiem młodym, ale pod względem fizycznym nie zbyt pociągającym, zresztą zupełnie zatopionym w swej pracy, która też jest jego wyłączną namiętnością. Wreszcie panna Jadwiga jest to bardzo ładna młoda Węgierka, która z sekretar-

ki stała się przyjaciółką domu uczonego. Ale, jak to wypatrzyła Marcelina, Jadwiga jest czemś więcej jeszcze, bo kochanką p. Bouguet. O odkryciu swem Marcelina objaśnia matkę i obie postanawiają przerwać ten stosunek przez wydanie za mąż Jadwigi. W tym celu Janina wciąga zręcznie męża do swego planu, stawiając go w alternatywie przyznania się do winy, gdyby się temu sprzeciwiał. I przyszło jej to tem łatwiej, że Marcelina zapewniła, iż Blondel wyznał jej swe uczucia dla Jadwigi. Jadwiga jest dziewczyną biedną, jakże więc, bez zdradzenia siebie i jej, stanąć w poprzek losowi, który się tak szczęśliwie trafia? Bouguetowi zatem przypada zadanie przekonania Jadwigi, która przyjmuje to z oburzeniem, gdyż kocha go naprawdę i namiętnie. Ale uczony filozof tłómaczy jej, że to drobnostka bez znaczenia, iż była jego kochanką—takie rzeczy nie liczą się dla wyższych umysłów. Jadwiga unosi się i zarzuca Bouguetowi, że robi podłość, ale skłania głowę i godzi się na wszystko. gdy ten jej oświadcza, że musi zostać żoną Blondela lub opuścić jego dom, bo stosunek ich został zwietrzony. Blondel, który się niczego nie spodziewał, z początku bronił się przeciw temu projektowi, ale gdy mu powiedziano, że Jadwiga chce zostać jego żoną, uczuł nagle, że ją kocha i że ona była zawsze jego tajnem marzeniem.

Szczęście to dla autora, bo coby się stało z jego kombinacyą, gdyby Blondel odmówił? Dosyć, że się pobrali, nie bez przykrości dla uczonego, który jest o to wściekły. Tymczasem w Instytucie Claude-Bernard, którego Bouguet jest dyrektorem, odbywa się uroczysty obchód z powodu jego odznaczenia nagrodą Nobla. Jadwiga, której namiętność dla niego nie wygasła, spotyka uczonego w ogrodzie na osobności i błaga, by jej pozwolił położyć głowę na swem ramieniu, na co on przystaje i jak zobaczymy, przystanie wkrótce i na coś więcej, pomimo, iż sam wymógł od Jadwigi obietnicę, że nigdy o ich dawnym stosunku nie wspomni. Tym czasem spotyka następnie w ogrodzie niejakiego Hernerta, pisarza, który zrzekł się nagrody Nobla na korzyść Bougueta, uważając go za godniejszego. — Ten robi mu zwierzenia i mówi, że przechodził w życiu trzy fazy: najpierw zmysłową, później uczuciową i nakoniec ideową. W drugiej, t. j. uczuciowej, doznał wielkiego zawodu: został zdradzony. W przystępie rozpaczy położył się w ogrodzie, by się zastrzelić, ale, gdy miał to uskutecznić, spostrzegł nad głową niebo pełne gwiazd. I to go powstrzymało—te światła błyszczące na niebie przypomniały mu pochodnie (Les Flambeaux), rozjaśniające umysł ludzki, które zowią się ideami. Odtąd postanowił żyć dla nich. Bouguet, pociągnięty

tem zwierzeniem zacnego Hernerta, wyznaje mu, że i on przechodzi przez te same fazy, lecz w kierunku odwrotnym.

I korzystając z ogólnego zajęcia uroczystością, wkrada się do pokoju, gdzie go czeka Jadwiga i gdzie wkrótce Blondel i pani Bouguet schwytują go na gorącym uczynku. Uczony stara się teraz przekonać oszukanego męża i przyjaciela, że to drobnostka, ponad którą wznieść się powinien umysł wyższy człowieka nauki i która nie powinna poróżnić dwóch mężczyzn, złączonych prawdziwą przyjaźnią. Ale napróżno mu to tłómaczy, Blondel wpada w pasyę i... rozdziera rękopis z filozofią Bouqueta!

Jak dla zdradzonego męża jest to zapewne satysfakcya dość oryginalna. Ale widać mu to jednak nie wystarczyło, bo później policzkuje publicznie Bougueta, skąd wynika pojedynek, w którym Bouguet otrzymuje postrzał w okolicę płuc. Wszyscy myślą, że rana nie jest poważną, bo uczony zataił pewne symptomaty, ale sam on wie, że czeka go śmierć, i nim to nastąpi musi znosić różne sceny, jakie mu tymczasem urządzają. Wreszcie każe przywołać Blondela, mówi mu o ich dawnej przyjaźni, pomimo oburzenia żony i każe obojgu przysiądz, że będą dalej wspólnie prowadzić jego dzieło. Żona odmawia ze zgorszeniem i w tej samej chwili Bouguet umiera. Dopiero, gdy śmierć skonstatowano, pani Bouguet, zatrzymując Blondela, składa, wraz z nim, wobec wszystkich zgromadzonych, przysięgę, jakiej mąż jej od nich żądał. Ze śmiercią Bougueta, ustaje zatem powód zakłócenia naturalnego porządku. Idea tryumfuje nad namiętnością, ale tryumfuje w śmierci. I to jest zapewne myśl przewodnia tej sztuki. Ale, jak zawsze w dziełach Henryka Bataille, brzmi i tu fałszywa nuta. Autor podaje nam swych bohaterów, a zwłaszcza samego Bougueta, jako przedstawicieli jakiegoś jakoby wyższego człowieczeństwa. Tymczasem nietylko zadają oni temu kłam swem postępowaniem, ale nadto są pozbawieni ściślej określonego charakteru i logiki. Nie są to zatem ani ludzie wyżsi, ani ludzie normalni, lecz tylko mocno kulejące koncepcye autora, który czerpie wzory nie tyle z życia, ile ze swej nader arbitralnej fantazyi.

Podobnie jak Bataille, jego rówieśnik *Henryk Bernstein*, którego karyera w twórczości dramatycznej jest równoległą i z wielu względów analogiczną karyerze tamtego, wystawił w tym roku, w Paryżu, dwie sztuki: trzyaktowy „Le Détour“ (wznowienie) w teatrze Gymnase, i „Le Secret“, również w 3 aktach, w teatrze „Bouffes Parisiens“.

Obie sztuki są ciekawe i z talentem napisane; w obu znajdujemy trafną obserwacyę obyczajów, temperamentów i charak-

terów; w obu akcya jest poprowadzoną bardzo pewnie i ściśle. „Le Détour“ zawiera historyę młodej kobiety, córki półświatkowej damy i wychowanej w tej sferze, do której czując wstręt i pragnąc się z niej wydobyć, poszła za mąż z postanowieniem prowadzenia życia uczciwego i regularnego, ale dostała się do środowiska prowincyonalnego, gdzie drobiazgowa małostkowość, złośliwość i hipokryzya uczyniły jej życie nieznośnem do tego stopnia, iż zatęskniła do dawnej swobody i uciekła z kochankiem, którego poprzednio metresą być nie chciała. Jeżeli pominiemy małe prawdopodobieństwo takiego oparcia się wpływom otoczenia ze strony dziewczyny, od dziecka pod działaniem tychże wychowanej, i wogóle małe prawdopodobieństwo, by w tych warunkach mogła mieć inne aspiracye, niż te, jakie jej wskazywał przykład tego otoczenia, to, poza tem, rzecz jest dobrze zaobserwowana, charaktery są ciekawie zaznaczone, sytuacye ułożone zręcznie i bez zbytniej przesady; akcya żywo i logicznie poprowadzona, co razem wziąwszy, przy mowie potocznej, powszedniej, niekiedy nawet trywialnej, zupełnie pozbawionej ozdobności stylistycznej, sprawia wrażenie nader ścisłego odbicia życia, w jego prawdzie codziennej, szarej, poziomej. Nic tu niema, coby podnosiło ducha, coby budziło szlachetniejsze instynkty, coby mogło wywołać jakiekolwiek głębsze poruszenie czy to uczucia, czy umysłu—i to jest cechą charakterystyczną, twórczości Bernsteina, ale za to, jest tu coś, co nie zawsze znajduje się w jego dziełach, a mianowicie życie, w świetle, w jakiem najlepiej widzi je autor, jakoby do pewnego stopnia schwytane na gorącym uczynku. Zapewne p. Bernstein nie miał też innego celu, jak tylko ukazać w szeregu logicznych sytuacyi pomyłkę życiową tej młodej osoby, dla której życie w warunkach regularnych było tylko epizodem, małem tylko zboczeniem („Le Détour“), z właściwej sobie drogi, do której musiała powrócić, jak do swego przeznaczenia. Niemniej, jak z każdego przykładu, jaki daje życie, wyciągnąć można i z tego pewną konkluzyę, którą możnaby wyrazić w formie przysłowia, że „natura ciągnie wilka do lasu“, z tym jeszcze dodatkiem, że pociągnie go tem pewniej, jeżeli się go obleje zimną wodą, lub poczęstuje nabojem śrutu.

„Le Secret“ przedstawia studyum charakteru lub ściślej pewnego rysu charakteru, jakim jest złość, sama dla siebie, t. j. chęć szkodzenia drugim bez innej przyczyny lub celu, prócz zadowolenia, jakie sprawia egoizmowi szkoda lub przykrość, doznawana przez bliźnich. Źródłem takiej złości u pewnych natur jest zazdrość lub zawiść. Szczęście lub powodzenie osób nawet im naj-

bliższych jest dla nich solą w oku, sprawia im nieznośne udręczenie, chociażby w niczem własnego ich szczęścia nie naruszało ani nie sprzeciwiało się ich własnemu powodzeniu. Namiętność ta jest u takich ludzi tak silną, że nie może się jej oprzeć nawet skądinąd szczera przyjaźń, jaką żywią dla osób, którym rozmyślnie szkodzą—nie powstrzyma jej nawet poczucie własnego interesu. Młoda mężatka Gabryella Jeannelot ma serdeczną i całkowicie jej ufającą przyjaciółkę, młodą wdowę Henryettę Hozleur, która miała stosunek miłosny z pewnym nieco niewyraźnym młodzieńcem, Karolkiem Ponta Tulli. Ale stosunek ten, obecnie zerwany i miniony, nie był znanym nikomu, prócz Gabryelli. Teraz Henryetta kocha pana Le Guenn, niezmiernie drażliwego i zazdrosnego młodego dyplomatę, który pragnie ją poślubić. Pan Le Guenn już się jej oświadczył. Odpowiedź otrzymać ma z ust Gabryelli, proszonej o to przez Henryettę. Le Guenn przychodzi i zaczyna mówić nieco zmięszany, ale Gabryella, nie dając mu dokończyć, objaśnia go, że Henryetta go przyjmuje. Poczem dopiero okazuje się, że Le Guenn nie przyszedł powtórzyć oświadczenia, lecz życzy sobie wiedzieć, czy Henryetta nie miała jakiego flirtu, bo sama myśl o tem jest mu tak nieznośną, że najmniejszej niepewności co do tego znieśćby nie mógł. Zwracając się z takiem pytaniem do przyjaciółki swej niebogi, dyplomata ten musi być albo bajecznie naiwny, albo niezmiernie przebiegły. Autor przedstawia go naiwnym. Gabryella, po chwili wahania, czy zastanowienia, pokrytego wybiegiem w formie unoszenia się nad jego miłością, odpowiada zakochanemu, że ręczy za zupełną uczciwość i cnotę Henryetty, tylko dodaje, że gdyby tak nie było, to przecież raczejby skłamała, niżby miała zdradzić przyjaciółkę. Wszakże nie można kłamać, gdy się mówi z takiem przeświadczeniem, uspokaja go następnie. Le Guenn zachmurza się nieco, ale przyjmuje bądź co bądź za dobrą monetę tę odpowiedź i tłómaczenie Gabryelli. Po jego odejściu, Gabryella radzi Henryecie, by wyznała narzeczonemu prawdę, bo chociaż nikt nie wie o jej romansie, to jednak nie można zanadto liczyć na dyskrecyę Karolka. Henryetta opiera się temu, ale w końcu, pod naciskiem przyjaciółki, decyduje się na ten krok ryzykowny, przed którym wszakże się cofa, gdy znalazłszy się sam na sam z Le Guennem, stwierdza jego bezgraniczną ufność i gorące dla niej uczucie. W drugim akcie zakochani już się pobrali. Znajdujemy ich w domu ciotki Gabryelli i w towarzystwie Karolka Ponta Tulli, dla którego Le Guenn jest bardzo przyjaźnie usposobiony, ale Henryetta drży z obawy. Mąż widzi jej nerwowość i Gabryella prze-

konywa go, że to ciągła jego obecność ją denerwuje, że powinien trochę się oddalić, inaczej mógłby jeszcze popchnąć żonę w objęcia Karola. Jest to logika dość dziwna i trudno jakoś nam wierzyć, by mogła przekonać jakiegokolwiek męża, choćby dyplomatę z zawodu. Dość, że Le Guenn oddala się z rosnącem podejrzeniem w sercu. Wtedy też Gabryella namawia również Karola, by wyjechał, pod pozorem, że jego obecność budzi dawne uczucia w sercu Henryetty i może stać się powodem nieszczęścia. To wystarcza, by go zatrzymać na miejscu. Wreszcie zgadza się na wyjazd, ale pod warunkiem, że wprzód rozmówi się sam na sam z Henryettą, co też następuje. Oboje czynią sobie wzajemne zarzuty i tłómaczenia, skąd wychodzi na jaw, że ich rozstanie było skutkiem intrygi Gabryelli i wynikłego stąd nieporozumienia, gdyż w istocie Karol chciał Henryettę poślubić. Wśród tego, powraca niespodzianie Le Guenn i zastaje żonę z Karolem. Uniesiony zazdrością żąda wyjaśnień. Henryetta wyznaje całą prawdę, skutkiem czego następuje pojedynek. Postępowanie Gabryelli jest zdemaskowane. Henryetta czyni jej gorzkie wyrzuty, ale nie oskarża jej przed mężem, o co tamta ją błaga.

Ale w ostatnim akcie, Gabryella, skruszona, sama wyznaje mężowi swe winy, ona to bowiem poróżniła go podstępnie z siostrą. I spowiedź ta zawiera całkowity jej portret moralny, ze wszystkiemi sprzecznościami jej charakteru i władającą nim namiętnością— chęcią szkodzenia, nienawiścią, będącą skutkiem zazdrości i pychy. Mąż jej, przerażony taką przewrotnością, nazywa ją potworem. Wreszcie rzecz kończy się dość zresztą naturalnie i z punktu technicznie teatralnego bardzo zręcznie — zgodą małżonków Le Guenn bez żadnych tłómaczeń, które po spowiedzi Gabryelli, obciążyłyby zbytecznie akcyę. Henryetta spostrzegłszy krwawiące cięcie na twarzy męża, rzuca się naturalnym impulsem, by ranę opatrzyć i oboje pozostają sobie w objęciach. Miłość zwyciężyła intrygi i wszystko w jednej chwili poszło w niepamięć. Gabryella też stanowczo się poprawia. Rzecz ta jest zarazem trochę skomplikowana i nieco za prosta. Pierwsze jest koniecznym wynikiem intryg, jakie wywołały położenie dramatyczne. Za prostą zaś jest ta nagłość ujawnienia się charakteru Gabryelli, który nie zdradził się dotąd niczem, tak, iż nie był znanym ani mężowi w ciągu dwunastu lat wspólnego pożycia, ani najbliższej przyjaciółce. I to jest rys sztuczny, zanadto teatralny, bo w życiu charakter ludzi, z którymi przestajemy tak blizko, daje się poznać stopniowo i powolnie i w żadnym razie tak długo ukrywać się nie może. To samo można również powiedzieć o nagłej poprawie Gabryelli.

Poza tem „Le Secret“, pomimo pewnych konwencyi, możliwych na scenie, ale nie w życiu, jest dziełem oryginalnem i ze względu na dość rzadko traktowany w teatrze przedmiot, zajmującem i posiadającem istotną wartość.

Teraz wypadnie nam zaznaczyć nowe dzieła dwóch pierwszorzędnych autorów dramatycznych, których talent, pomimo właściwości odrębnych każdego, stawia obu na tym samym poziomie. Są to: „Hélene Ardouin“ *Alfreda Capus* (teatr Vaudeville) i „Les Eclaireuses“ *Maurycego Donnay* (teatr Marigny), sztuki różniące się od siebie, jak różnią się ich autorowie, ale przypominające się tem, iż obie nie mają żadnej szczególnej myśli przewodniej, żadnego wyraźnego celu innego, prócz odmalowania na tle obyczajowem uczuć, pośród komplikacyi, w jakich życie stawia ich bohaterów, a zwłaszcza bohaterki.

W pierwszym z tych utworów, Piotr i Helena Ardouin pobrali się, jak bardzo wiele małżeństw, nie z miłości, lecz ze względów majątkowych i towarzyskich ze strony Piotra, i z namowy ze strony Heleny. Państwo Ardouin mieszkają w Grenoble wraz z matką Piotra, mocno w nim zaślepioną, dla której on zawsze ma słuszność, nawet, gdy nie można zaprzeczyć, że postąpił źle, bo wtedy jest to wina żony. Helena znosiła to dość cierpliwie, ale pewnego razu mąż, o którego wiedziała niewierności, opuścił ją, dla jakiejś kochanki, zupełnie. Wtenczas, pomimo żądań matki, by pozostała, Helena korzysta ze sposobności i opuszcza dom męża, by przenieść się do Paryża, gdzie znajdzie Sebastyana, dawnego towarzysza zabaw dziecinnych, z którym łączy ją wzajemne uczucie. Ale Sebastyan nie ma majątku i szuka sytuacyi. Dzięki stosunkom Heleny otrzymuje posadę sekretarza u pewnego Cabaneza, impresaria, przedsiębiorcy różnych podejrzanych interesów i naturalnie kawalera Legii Honorowej. Po zajściu z dwudziestoma tysiącami franków, skradzionemi w domu gry, którego dyrektorem jest Cabanez, Sebastyan opuszcza posadę, nie chcąc dalej mieć stosunków z szajką oszustów i wynosi się do odległej prowincyi, gdzie dostał posadę w zarządzie dóbr. Helena widzi, że Sebastyan ją opuszcza i czyni mu wyrzuty. Ale, co począć? Sebastyan musi zarabiać na życie i to jest koniecznością, przed którą nawet miłość musi ustąpić, cóż dopiero, gdy już przytępiła się pośród powszednich trosk o zapewnienie bytu materyalnego. Tymczasem Piotr Ardouin pragnie się pogodzić z żoną i wysyła do niej w tym celu matkę, której wizyta u Heleny kończy się odmową z jej strony i wyzywającem oświadczeniem, iż ma kochanka, a wskutek tego gwałtowną sceną pomiędzy dwiema

kobietami. Pomimo to zbliżenie następuje, bo Helena groźnie zapada na serce, teściowa przybywa, by jej doglądać i uzyskuje, iż zgadza się na zobaczenie z Piotrem, który, zadowolony z nawiązania zgody i nie widząc prawdziwego niebezpieczeństwa, powiada, że „wszystko jest w porządku“, gdy, po półrocznej niebytności zjawia się Sebastyan i pomimo oporu rodziny Ardouin, na stanowcze żądanie chorej dostaje się do pokoju Heleny, która umiera w jego objęciach.

Taka jest w ogólnym zarysie sztuki tej treść, która po przeróbce z powieści straciła dosyć na wyrazie. W istocie, rzecz ta nie jest bardzo podatną do sceny z powodu pewnego braku wyraźniejszej i konsekwentnej akcyi. Za to ten jakiś brak więcej określonej celowości czyni ją bardziej podobną do życia rzeczywistego, gdzie logiczny kierunek celowy rzadko kiedy daje się spostrzedz, gdy kaprys losu i wahania: brak charakteru u ludzi, ich bierność wobec życia i niestałość ich uczuć—widzi się zawsze.

W „Les Eclairenses“ Maurycego Donnay widzimy również niedobrane małżeństwo—Pawła Dureille, człowieka zajętego wyłącznie interesami, o nieco ograniczonych horyzontach i poglądach na wskroś realnych, na ogół nader rozsądnych. Jest to człowiek, który wie co czyni i dokąd dąży. Jest też bardzo pewien siebie i skutkiem tego właśnie pomimo tak jasnego widzenia rzeczy, nie widzi, co się dzieje najbliżej niego, mianowicie w duszy własnej jego żony. Ale sfery ducha, czystego uczucia i idei, do których tęski Janina, należą do okolic przezeń nie uczęszczanych, niedostępnych dla niego, któremi on też gardzi i pogardy swej nie tai. Janina, kobieta wykształcona, o rozwiniętej inteligencyi, odczuwa swoją wyższość nad mężem. To samo już wystarcza, by uczynić małżeństwo niedobranem. Bo kobieta, nie mając prawdziwego oparcia i kierunku w mężu, traci doń zaufanie i szacunek, a co za tem idzie i uczucia, wtedy zaś świadomie, czy nieświadomie, prędzej lub później wiedziona swym naturalnym instynktem, zwróci się w stronę, gdzie dojrzy lub przeczuje, że znajdzie to brakujące jej oparcie i odda się całkowicie duszą i ciałem tylko temu mężczyźnie, który też całkowicie, a więc i ciałem i duszą jej, zawładnąć jest zdolny. Ten tylko będzie jej panem, nie zaś ten, który myśli, że nim jest, dlatego, że ją traktuje z wyżyn swej godności męskiej. Tego uważać ona będzie za brutala, i znienawidzi go, bo kobieta chce i potrzebuje mieć władcę, ale takiego tylko i tego będzie niewolnicą, któremu instynktownie, pod działaniem jego nad nią istotnej wyższości, sama się podda. Prędzej też żyć będzie samotnie, niżeli w stosunku do mężczyzny, któryby z jakiegokolwiek względu był w jej przekonaniu od

niej niższym. Że tak jest właśnie w stosunku małżeństwa Dureille, widzimy to odrazu w pierwszej scenie. Skutkiem tego również i z powodu swego wykształcenia, więcej niż z istotnego powołania i głębszego przekonania, ciągnie Janina w stronę świata feministycznego, którego kilka ciekawych okazów wprowadza autor na scenę. Nader drobne zajście, w końcu pierwszego aktu, powoduje tedy zerwanie zupełne pomiędzy małżonkami, czego Paweł bynajmniej się nie spodziewał i pozostaje zdumiony, gdy mu żona poważnie oznajmia, że chce się z nim rozstać. Dodajmy przytem, że obok feministek różnego gatunku widzieliśmy w salonie Janiny niejakiego bardzo sympatycznego, szerokich poglądów pana Jakóba Le Helloy, który wyjeżdża w podróż, by zapomnieć o swej niewiernej kochance, pani Fuciani. Drugi akt wypełnia zebranie feministek, których kilka doskonale podpatrzonych typów charakteryzuje autor nie bez szczypty dowcipnej ironii. Widzimy tu więc doktora medycyny—przystojną i mocno zmysłową pannę Rose Bernard, która na niedomagania Janiny, rozwiedzionej już od dwóch lat, radzi zastosowanie miłości, t. j. środka, jakim ona sama posługuje się z równą przyjemnością, jak dobrym skutkiem. Prócz tej, poznajemy jeszcze cały szereg adwokatek, poetek, powieściopisarek, artystek, nawet angielską sufrażystkę.

Ale wszystkie te panie, nienawidzące mężczyzn z profesyi, mają kult miłości, która zwłaszcza w formie t. zw. niezależnej należy przecież do dogmatów feminizmu. Wszystkie też uprawiają miłość, jedne, jako sposób przyjemny spędzenia czasu, inne i to właśnie najbardziej nieprzejednane, w małżeństwie — są najlepszemi, w znaczeniu ogólnie przyjętem, żonami i matkami. Na tem zebraniu postanowiono założyć szkołę feministek, pod kierunkiem Janiny, zaś dział finansowy powierzono niejakiemu bankierowi Steinbacherowi. Ten Steinbacher o mocno zakrzywionym semickim nosie, rodzaj satyra pośród tych nimf feminizmu, zwrócił swe zapały do Janiny i stał się tak natrętnym, iż ta poczuła potrzebę opieki męskiej, której brak od lat paru odbił się nawet, według zapewnienia d-ra Róży Bernard, niekorzystnie na jej zdrowiu. Do kogóż więc miała zwrócić się w tej potrzebie, jeżeli nie do Jakóba Le Helloy, który po powrocie ze swej podróży, wzdycha o jej łaski? Janina opierała się dotąd własnym skłonnościom, które popychały ją już dawno w jego objęcia; ale, po konstatacyi doktorki i napaściach semickiego satyra, decyduje się nie sprzeciwiać się więcej przeznaczeniu i zostaje kochanką Jakóba. Kochanką, nie żoną, bo chce być wierną swym feministycznym

obowiązkom i pozostać niezależną od więzów małżeńskich. Ale znowu okoliczność zewnętrzna zmusi ją do obrania jedynej drogi, na której jej przeznaczenie – przeznaczenie każdej kobiety – dopełnia się całkowicie. Mąż jej poczynił kroki sądowe, by odebrać jej córeczkę, pod zarzutem złego prowadzenia matki. Tylko wstąpienie w legalne związki małżeńskie może ją uwolnić od niekorzystnego dla niej wyroku i córeczkę jej pozostawić. Janina nie waha się więcej w wyborze pomiędzy „niezależnością“ feministyczną a pójściem za głosem serca, szczęśliwie łączącym w danym wypadku uczucia matki, z oddaniem się formalnem i bez zastrzeżeń temu, któremu już w istocie zupełnie się oddała. I jeżeli można z tej sztuki wyciągnąć jaką konkluzyę to tę chyba, że przeznaczeniem kobiety jest należyć całkowicie do mężczyzny, ale do tego jedynie, który jest w stanie i chce zawładnąć nią nietylko ciałem, ale i duchem, i że, gdy kobieta takiego mężczyznę na drodze swej napotka, wtedy żadne względy ani obyczajowe, ani ideowe nie mogą przeszkodzić ich połączeniu, które, aby było zupełnem, musi być jasnem, a przeto otrzymać publiczną sankcyę małżeństwa.

Wydarzenia w polityce międzynarodowej ostatnich lat wpłynęły na pobudzenie uczuć patryotycznych we Francyi, co też odbiło się i na scenie. Do najgłośniejszych w ubiegłym sezonie dzieł tego rodzaju, jakie ukazały się w teatrach paryskich, należy grana w teatrze Sary Bernhard sztuka w dwóch aktach *Henryka Lavedan*, p. t. „Servir“. Na jej rozgłos złożyły się, prócz tego charakteru patryotycznego, nazwiska: autora, zaszczytnie wyróżniającego się w dzisiejszej francuskiej literaturze dramatycznej, oraz twórcy roli głównej, słynnego aktora Lucyana Guitry. W istocie „Servir“, choć ma bezwątpienia swoje zalety, nie można zaliczyć do najlepszych dzieł autora. Utwór ten ma wiele cech melodramatu i z pewnością wybornie się nada do przedstawień kinematograficznych, co samo już dowodzi, że wrażenie lub wzruszenie jakie wywołuje, pochodzi w znacznej części od efektów zewnętrznych i mechanicznych. Błędem byłoby wszakże sądzić, iż rzecz ta ogranicza się tylko do tych efektów, na takiem bowiem tle rozgrywa się tu dramat ideowy, w starciu dwóch przeciwnych objawiających się dzisiaj we Francyi prądów—patryotyzmu i antypatryotyzmu. I dramat ten jest tembardziej interesujący, że przeciwnikami są tu ojciec i syn. Komplikuje się on nadto tragedyą wewnętrzną w sercu matki, bolejącej nad stratą swych dzieci, złożonych w ofierze na ołtarzu Ojczyzny. Oto jej treść w rysach głównych: pułkownik Eulin, dymisyonowany wskutek oskarże-

nia przez tajną komisyę szpiegowską o ducha militaryzmu, czy też wskutek zajść spowodowanych sprawą Dreyfusa, jest zgryziony złamaniem karyery, której poświęcał się z całem oddaniem gorącego patryoty. Trzech synów swych oddał on też na służbę Ojczyzny. Dwaj są oficerami w Marroku. Z tych jeden, gdy rozpoczyna się akcya, zginął w Afryce, drugi jest ciągle w ogniu utarczek. Trzeci syn pułkownika, Piotr, jest porucznikiem artyleryi w Orleanie. Pani Eulin, niepocieszona po stracie pierwszego syna, nieustannie drży o życie drugiego i żyje tylko nadzieją listów, których nadejście w długich odstępach, stanowi dla niej chwile trwogi i radości. Najmłodszego syna, który pozostał we Francyi, nie chce ona też puścić do Marokka, jakby sobie tego życzył ojciec i to bywa niekiedy powodem sprzeczek między nimi. Ale także i o męża obawia się pani Eulin, bo od pewnego czasu jego zachowanie wydaje się jej dziwnem. Wyjeżdża nagle, nie mówiąc dokąd, bywa zaabsorbowanym, niekiedy podrażnionym. Pani Eulin, nie mogąc się domyślić właściwego powodu jego zachowania, bierze to na karb żalu za utratą karyery i bezczynności, czasem nawet podejrzywa intrygę kobiecą. Te jednak jej przypuszczenia są mylne. W istocie, pułkownik Eulin, nie mogąc służyć ojczyźnie w wojsku, od którego go odsunięto, służy jej na polu wymagającem nierównie może więcej poświęcenia i narażenia nawet bez wojny — jest szpiegiem na korzyść armii francuskiej i spełnia to z poczucia obowiązku, bez wynagrodzenia, które ten rodzaj służby czyniłoby nikczemnym. Ponieważ służba ta jest tajną, zatem wymaga największego i zupełnego wyrzeczenia ze strony pułkownika, bo nie jest niczem nagrodzoną, prócz wewnętrznego poczucia spełnionego obowiązku. Tymczasem Piotr, który ma przekonania wprost przeciwne—jest antymilitarystą i antypatryotą, zrobił pierwszorzędny wynalazek w pyrotechnice—wynalazł materyał wybuchowy takiej siły, że kto go posiądzie, stanie się niezwyciężonym i będzie dyktował prawa światu. Ale wynalazek swój trzyma w tajemnicy i za nic nie wydałby go rządowi francuskiemu z obawy, by ten nie nadużył go i nie skorzystał zeń dla wywołania wojny. Wynikają stąd gwałtowne sceny pomiędzy synem i ojcem, w których matka trzyma stronę syna. Tymczasem pewnego razu pułkownik otrzymuje wezwanie od ministra, który powierza mu funkcyę taką, z której on zapewne z życiem nie wyjdzie i jest to rzecz najpierwszej wagi, bo właśnie nadeszła wiadomość, że wojna została wypowiedzianą. Pułkownik podejmuje się tej misyi, ale jednocześnie dowiaduje się od ministra o śmierci drugiego syna w Marokku,

co przyjmuje ze stoicyzmem. Zaraz potem następuje znowu gwałtowna scena i dyskusya pomiędzy nim a synem, popieranym przez matkę, bo pułkownik zdołał wykraść synowi ów sekret i oddał go ministrowi. Ale scenę tą przerywa on, oświadczając żonie, że straciła drugiego syna i że wojna już rozpoczęta. Po chwili rozpaczliwego bólu pani Eulin nagle prostuje się i gotową jest już do nowej i ostatniej ofiary z męża i ostatniego syna, w którym, pod wpływem tych wiadomości, nastąpiła radykalna zmiana. Obaj teraz pójdą, gdzie powołuje ich obowiązek,—złożyć życie w obronie ojczyzny.

Drugim tej kategoryi utworem była sztuka w trzech aktach *Gastona Leroux* i *L. Camille*, p. t. „Alsace“, grana w teatrze Réjane. Tu rzecz dzieje się na tle stosunków alzackich i przedstawia fatalne skutki związków małżeńskich pomiędzy miejscowymi a najeźdzcami i również kończy się wojną Francyi z Niemcami i entuzyazmem patryotycznym Alzatczyków, spieszących służyć pod sztandar francuski. Utwór ten, obok pewnych scen charakterystycznie obyczajowych, odznacza się przeważnie patryotyzmem powierzchownym, nieco zdawkowo deklamacyjnym i kończy się melodramatycznie.

O uczucia patryotyczne potrąca też, choć nie są tu one motywem głównym, czteroaktowa sztuka p. *Kistemaeckersa*, „L'Exilée“, którą wystawiono na otwarcie sceny komedyowej w nowym teatrze des Champs Elysées. „L'Exilée“ jest utworem co najmniej równie, jeżeli nie więcej sztucznym, jak tegoż autora sztuka „L'Embuscade“, o której była mowa powyżej. Jak w tamtej wszystko polega tu na kombinacyach czysto teatralnych z dodatkiem więcej zagmatwanej niż tam, intrygi i większej obfitości w wydarzenia nadzwyczajne, na których oparł autor całe zajęcie swego dzieła. To też zajęcie to autor stara się wywołać środkami mechanicznemi. Z życiem wszystko to razem nie ma nic wspólnego. Sceny są robione nie dla tego, by dać obraz życia, lecz dla tego tylko, by były scenami. Autor wprawdzie przypisuje swym bohaterom pewne charaktery, ale są to tylko etykiety; każe im wyrażać pewne uczucia, ale jest to tylko mimika lub puste brzmienie.

Treść przypomina nieco „Les Rois“ J. Lemaitre'a. Rzecz dzieje się przy dworze jakiegoś fantazyjnego państwa, gdzie pod osłoną hiszpańskiej etykiety, prowadzą się intrygi miłosne, nadużycia faworytów, gwałty, spiski, zamachy; gdzie księżne romansują z nauczycielami, książęta są brutale i alkoholicy lub neurastenicy; gdzie wybuchają rewolucye i abdykują panujący i t. p.

i t. p. I pośród tego, młody Francuz, nauczyciel dzieci książęcych, kochany jednocześnie przez księżnę następczynię tronu i jej damę dworu, hrabiankę francuską, niesie „światło postępu“ i przyczynia się do tryumfu idei rewolucyjnych, w czem autor (Belgijczyk) widzi tryumf Francyi.

Ale to wszystko nie więcej nas obchodzi, ani wzrusza, niż fantastyczne wydarzenia w pierwszym lepszym romansie feljetonowym, z jakim tu sztuka ma dość analogii.

„L'Homme qui assassina“ dramat, przerobiony przez P. Frondaie z powieści *Klaudyusza Farrère*, który grano w teatrze „Antoine“, nie jest wolny od wad, właściwych tego rodzaju przeróbkom, ale nagradza to kilka pięknych scen istotnie wzruszających lub uderzających i ogólny ton patetyzmu, zapewne nie zbyt głębokiego, ale wystarczającego, by obudzić sympatyczne zajęcie. Rzecz dzieje się w Konstantynopolu. Lord Falkland, dyrektor „Długu Ottomańskiego“ ma żonę, piękną kreolkę, którą tyranizuje i chce się jej pozbyć, nie bez powodów z jej strony, bo piękna lady go zdradza. Dopomaga mu w tem jego kuzynka i metresa Edith, a również bezczelny cynik książę Cernuwitz, którego lady Falkland darzy swemi wdziękami. We troje ułożyli oni zasadzkę na nieszczęśliwą, by ją przymusić do rozwodu i zrzeczenia się opieki nad synkiem. Ale lady ma prawdziwego przyjaciela w pułkowniku margrabi de Sevigné, attachée wojskowym przy ambasadzie francuskiej, który ją kocha i nie cofnie się przed niczem, by ją uratować. Margrabia dowiedziawszy się o grożącem lady Falkland niebezpieczeństwie od swego przyjaciela, ministra policyi Mehmeda Paszy, zakrada się do jej apartamentów i ukryty w gabinecie jest świadkiem sceny, gdy lord, wchodząc wraz ze swą Edith, zastaje żonę w towarzystwie zdradzieckiego księcia i wymusza na niej podpisanie owego zrzeczenia. Po dopełnieniu tego aktu i wyprowadzeniu struchlałej winowajczyni, gdy lord Falkland, pozostawszy sam jeden w pokoju, włożył dokument do swego pugilaresu, pułkownik wyskakuje ze swej kryjówki, rzuca się na lorda, kładzie go trupem od uderzenia sztyletu, wykrada pugilares i ucieka przez okno. Wszystko to odbywa się w mgnieniu oka, nikt nic nie widział, ani nie słyszał. Nazajutrz, wszyscy, a w ich liczbie lady Falkland, są przekonani, że mordercą jest Cernuwitz. Zwierzając się pułkownikowi w jego mieszkaniu, mówi mu ona nawet o wdzięczności, jaką z tego powodu czuje dla księcia. Tymczasem przybywa Mehmed Pasza. Margrabia, który myśli, że go zaaresztują, ukrywa panią Falkland w sąsiednim gabinecie. Ale Mehmed przychodzi tylko,

by go odwiedzić. Wtedy pułkownik sam się oskarża i na dowód pokazuje czerwony portfel lorda, na co minister policyi, zwyczajny takich rzeczy, ściska go i robi uwagę, że nie można dopełnić nic szlachetnego bez zaczerwienienia rąk. Po chwili przybywa książę Cernuwitz, by oddać pułkownikowi książkę, którą był od niego pożyczył. Mehmed oświadcza mu tedy, że zabójca jest znaleziony — margrabiego de Sévigné przebiega dreszcz — ale pasza dodaje zaraz, że jest nim pewien znany rozbójnik, winien wielu mordów, który przyznał się do tego czynu i został już skazany na śmierć. Tak więc minister nie zawiódł zaufania przyjaciela i załatwił sprawę wprawdzie bardzo po turecku, ale też bardzo gładko, bo bez szkody dla nikogo.

Po wyjściu Mehmeda, wywiązuje się gwałtowna scena pomiędzy księciem a margrabią, który go wyrzuca za drzwi, poczem lady Falkland, po wysłuchaniu wszystkiego wychodzi ze swej kryjówki i rozpływa się w objawach wdzięczności dla swego zbawcy, lecz żegna go na zawsze. I zapewne jest to wszystko razem mocno fantastyczne, sceny są robione i dość forsownie dociągane dla połączenia w jeden wątek tych paru sytuacyi dramatycznych lub patetycznych, ale, pominąwszy to, w tych właśnie paru sytuacyach odzywa się jakiś szczery akcent, dobywający się z wewnątrz i przeto sięgający nieco głębiej akcent, jakim w życiu, przemawia uczucie lub namiętność.

W teatrze Femina dawano komedyę obyczajową przez A. Picard i A. Savoir, p. t. „L'Epate", opartą na współzawodnictwie ambicyi w świecie zbogaconych karyerowiczów mieszczańskich. Rzecz na ogół słaba, złożona ze zwykłych konwencyi teatralnych, której całe zajęcie zawiera się w paru scenach. Treść „L'Epate" jest zresztą znana w Warszawie, gdzie ta sztuka już była graną.

Zdumiewającymi zawsze inwencyą komiczną w charakterystycznej karykaturze są słynni dziś autorowie *R. de Flers* i *G. A. de Caillavet* Wszyscy pamiętają ich „Króla" („Le Roi"), arcydzieło ich w tym rodzaju istotnie nieporównane. „L'Habit Vert" ostatni utwór (w czterech aktach) tych autorów nie dorównywa zapewne tamtemu, ale jest zbudowany w ten sam sposób i ma z nim wspólność charakteru. Skądinąd przedstawia on mniej jednolitego wątku, jest więcej rozbity na sceny luźno ze sobą związane, ale w tych zajściach nieprawdopodobnych, pogmatwanych lub zestawionych bez porządku, w tych karykaturach śmiesznych, cudacznych lub zabawnych, zawiera się satyra na współczesne obyczaje bardzo trafnie podkreślająca ułomności lub śmieszności

ludzkie w pewnych sferach oraz dziwactwa, panujące w stosunkach tychże. „L'Habit Vert“ jest satyrą zwłaszcza na sfery akademickie—członkowie Akademii Francuskiej noszą zielone fraki—ale potrąca jednocześnie o stosunki wielkoświatowe, arystokratyczne i niemniej o stosunki polityczno demokratyczne. Widzimy tu więc potomka wielkiego rodu, księcia de Maulevrier, magnata wyniosłego i uroczystego akademika, który przedstawia typ reakcyonisty starego autoramentu, zasklepionego w kontemplacyi swej wielkości, o umyśle zakutym w formułki konwencyonalnej rutyny; księżnę, jego żonę, córkę amerykańskiego miliardera, która ma nieszczęście, że co wybierze sobie kochanka, to ten zaraz się żeni i opuszcza ją, tak, iż jest zmuszoną ciągle ich zmieniać; hrabiego de Latour - Latour, reakcyonistę moderne style, który oddaje się sportom z zupełnem zaniedbaniem rozwoju umysłowego, co mu nie przeszkadza wydawać pamiętników jednego ze swych przodków, skutkiem czego jest uznany za historyka i zostaje przyjęty do grona Akademii Francuskiej, za protekcyą księżnej, swej kochanki;—zdumiewającego maestra, ex-kochanka tejże księżnej, obecnie jej powiernika;—Duranda, polityka-radykała, przyjaciela księcia reakcyonisty, później prezydenta Rzeczypospolitej, który zapewnia, że ma za zasadę nigdy nie czytać papierów, jakie mu podają do podpisania, bo inaczejby ich nie podpisał; jego siostrzenicę, lektorkę księżnej i sekretarkę hrabiego de Latour-Latour, młodą osobę, której charakter można określić za pośrednictwem wyrażenia z „głupia frant“, która dzięki fantazyi autorów zostanie żoną hrabiego.

Kocha go dla tego, że jest głupi i mówi mu to w oczy.

Ona to w swych głośnych refleksyach, wobec hrabiego zastanawia się, czy nie jest to dziwnem, by taki świetny ród wysilał się w ciągu wieków na szereg bohaterów, wielkich i znakomitych ludzi, nieustraszonych rycerzy, którzy walczyli z Saracenami, brali udział w wyprawach krzyżowych, uciskali poddanych, rabowali kupców na drogach publicznych, byli świątobliwymi prałatami i t. p. i t. p., by wydać, jako rezultat tego wszystkiego, takiego pana z okrągłemi oczami, który tu siedzi w fotelu z papierosem „w twarzy“ i słynie z gry w golfa? Poznajemy dalej cały szereg akademików, a w ich liczbie wieczystego sekretarza (secrétaire perpétuel), który, pocieszając księcia w jego niepowodzeniach małżeńskich, twierdzi, że nie jest gorszącem, by akademik był rogaczem, bo to leży w tradycyi instytucyi, lecz by nim został w poniedziałek, nie zaś we czwartek, w dzień posiedzenia.

Wszyscy oni są zdania, że przy wyborze nowego członka trzeba zważać przedewszystkiem, by miał jaknajlżejszy balast literacki, bo to również leży w tradycyach instytucyi. Uroczyste zgromadzenie w Akademii, z powodu przyjęcia nowego członka i mowy przytem wygłoszone przez prezydującego i kandydata, są szczytem charakterystycznej parodyi. Takie wyszydzenie powszechnie szanowanej instytucyi, choć nie bezzasadne, brano wogóle i nie bez słuszności, za złe autorom, zwłaszcza, że w koteryach radykalnych prowadzi się już zdawna agitacya, mająca na celu skasowanie Akademii, jako ciała niezależnego i instytucyi przechowującej stare tradycye, zabytek „ancien regime'u". Ale autorowie równoważą to parodyą instytucyi republikańskich, a mianowicie satyrą na „sprawowanie rządów" przez prezydenta Rzeczypospolitej, niewolnika koteryi politycznych. „L'Habit Vert" nie ustąpił dotąd z programu teatru „Variétés", wypełnił zatem cały rok teatralny tej sceny.

Bardzo znaczne też powodzenie miała w teatrze Vaudeville czteroaktowa sztuka p. *Sacha Guitry* p. t. „La Prise de Berg-op-Zoom", zręczna, zabawna, obfitująca w rysy dowcipne i szczegóły dramatyczne komedyo-farsa, w której główną rolę męską grał sam autor (syn słynnego aktora Lucyana Guitry), który jest zarazem utalentowanym aktorem. W szczegóły wchodzić nie będziemy zbyt blizko, powiedzmy tylko, że nie przedstawiają one krwawych wydarzeń wojennych, jakby sądzić można z tytułu, rzecz bowiem dzieje się w paryskich sferach bulwarowych, a twierdza, o której tu mowa, należy do tych, których upadek widzimy zbyt często, byśmy mogli mieć zaufanie do jej niezdobytości. Idzie tu naturalnie o twierdzę cnoty młodej mężatki, której mąż zamiast bacznie trzymać w niej załogę, robi wycieczki poza jej mury, a nawet poza granicę kodeksu.

Również drastycznością szczegółów odznacza się „Le Minaret", komedya w trzech aktach wierszem, *Jakóba Richepin*, która prowadzi nas w krainę fantazyi, zaprawnej zmysłową poezyą Wschodu, przyodziewającą swą wzorzystą szatą dowcip bardzo zachodni, bo paryski i bulwarowy. Żony zmarłego Kadiego mają stosownie do jego testamentu, wybrać sobie nowego męża. Z trzech kandydatów, którzy współzawodniczą o to szczęście, ten, według woli nieboszczyka, zostanie władcą haremu, kto, pozostawszy w nim do rana, podczas nocy letniej, potrafi uszanować swe przyszłe małżonki. I to jest motyw, około którego wszystko się obraca. Tworzą się intrygi dwóch głównych żon, bo każda z nich ma swego wybrańca, co daje sposobność autorowi wprowadzenia kompli-

kacyi o charakterze żartobliwie erotycznym, które kończą się, dzięki zręczności tegoż, ku zadowoleniu obu piękności i ich kochanków.

Z fantazyi wschodnich, dawano również w Paryżu z powodzeniem, z powodu ślicznej wystawy artystycznych obrazów dekoracyjnych, pięknych kostyumów i wspaniałych efektów scenicznych rodzaj bajki arabskiej przystosowanej przez *J. Lemaitre'a* z tekstu angielskiego E. Knoblaucha, p. t. Kismet, utwór, który przy wątku dramatycznym niezmiernie drobnym, prawie nie istniejącym, mógł podobać się tylko swą szatą zewnętrzną, z której pomocą nie bez powodzenia, starano się nagrodzić jego braki zasadnicze.

Z pośród innych utworów dramatycznych, granych w tym roku na scenach paryskich, zasługują jeszcze na uwagę misteryum w czterech aktach z prologiem *Pawła Claudel* p. t. „L'Annonce faite à Marie", dzieło pełne średniowiecznego nastroju mistycznej poezyi, grane w teatrze „L'Oeuvre", oraz tragedya w czterech aktach *Alfreda Mortier* p. t. „Sylla", utwór stylowy, ściśle wzorowany na dziełach klasycznych i w tym rodzaju wyróżniający się prawdziwemi zaletami talentu autora.

Sztuki, które zostały tu wymienione, nie będąc zapewne wszystkiem, co w tej materyi napisano, uważać można, jako dzieła najlepiej charakteryzujące ostatni dorobek francuskiej literatury dramatycznej.

Orwid.

# STASZIC ZAGRANICĄ

(1790 — 1791).[1])

Początek roku 1790. Wpływy rosyjskie złamane. Obrady sejmowe toczą się w tempie coraz żywszem, śmielszem. Staszic, niewezwany, już spełnił swą tymczasową służbę publiczną. Wszak rzucił wcześniej, przed paru laty, stanom, obecnie sejmującym, te bezładne a przejmujące, bolesne a żarliwe manifesty, wyznania, jednym tchem wypowiedziane z mocą niewidzianą przedtem, z grozą wstrząsającą, z obawą nietajoną — „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“ i „Przestrogi dla Polski“. Po tem jedynem, wyjątkowem napięciu wszystkich sił ducha, tworzącego w męce przeżyć głębokich, w umiłowaniu fanatycznem ojczyzny odradzającej się po doświadczeniach dotkliwych, udaje się Staszic z rodziną ordynata Andrzeja Zamoyskiego w podróż do Włoch. Był to bezwątpienia i mus czysto zewnętrzny—zobowiązania podjęte już w roku 1781, jako nauczyciela i wychowawcy synów Ordynata: Aleksandra i Stanisława. Ale tym razem mus był dobroczynny, bo łączył się zgodnie z potrzebą wewnętrzną, z koniecznością wypoczynku, wytchnienia po twórczości - czynie, wyczerpującej niepomiernie. Opuszczał Staszic kraj z gorzką pewnością, że wołania jego ku umiłowaniu sprawy publicznej, jako własnej, osobistej, że przekonywania o odrodzeniu narodu przez uwłaszczenie ludu, że przestrogi przed zniesieniem Rady Nieustającej, przed aliansem z Prusami — przeświadczenia, poparte argumentami ważkimi, pozostaną bez urzeczywistnienia rychłego,

[1]) Na podstawie autograficznego rękopisu Staszica: „Dziennik podróży 1790—1796“, w mns. Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu.

gdyż samotny głos syna mieszczańskiego z trudem dochodził do uszu wielmożnych i urodzonych, a tembardziej nie mógł jeszcze trafiać skutecznie do sumień i woli, skostniałych w prywacie, w bezczynie. Lecz prawda ta tem pewniej utwierdzała go w mocy czynu dalszego, wytrwałego na rzecz sprawy publicznej.

Okoliczności, towarzyszące wyjazdowi Staszica z kraju, i stan ówczesnych Włoch sprawiły, że była to podróż nie jedna z wielu, odbywanych w latach 1777–78, 1782, 1795.

Przypadek zrządził, iż śród rozproszonej i w większości zagubionej spuścizny rękopiśmiennej po Staszicu dochowały się jego własnoręczne notaty podróżne, uwagi luźne, rzucane przygodnie, z dnia na dzień. Pozwolą nam one towarzyszyć Staszicowi w jego podróży do Włoch. Dla poznawczych celów wojażu ów kraj nadawał się pono więcej, niż jakikolwiek inny.

Włochy ówczesne XVIII wieku były gieograficzną tylko nazwą. Całe to terytoryum było dziwacznie poszarpane na samodzielne, de jure, strzępki państwowe o najróżnorodniejszej strukturze społeczno-politycznej. Gnieździły się tam republiki arystokratyczne, jak Wenecya, Genua, Lukka, San Marino; teokratyczne Państwo Kościelne; księstwa: Toskania, Parma, Modena-Reggio, Piombino, Monaco; królestwa: Sardynia i Neapolitańsko-Sycylijskie,—wszystkie z jedną, dwiema dynastyami rodzimemi, a poza tem niezawisłe: — Lombardia z Mantuą, podległa Austryi, Korsyka należąca do Francyi, Malta—do rycerzy maltańskich. Państewka te jęczały pod rządami mniej lub więcej despotycznymi książątek i królewiąt, z któremi nie miała co czynić Europa mocarstwowa. Rządy tych władców przypadkowych, chwilowych a kosztownych — przeważnie najmłodszych latorośli Habsburgów i Bourbonów — musiały brzemieniem ciężkiem kłaść się na lud niefrasobliwy, pogodny, a biedny i ciemny, bo „najgorzej jest żyć pod despotą, który ma kraj mały, jak u nas najgorzej chłopu pod szlachcicem na małej wiosce“ (Staszic).

Tem sroższe, twardsze musiały być te rządy, im pożądliwsze było zainteresowanie nieszczęsnym krajem możnych i przebiegłych sąsiadów austro-niemieckich i francuskich. Kupczono bez litości żywem ciałem narodu bezwładnego, rozbitego społecznie na uprzywilejowane duchowieństwo i szlachtę, a pod niemi ciemną, nędzną masę ludu. Bo dopiero w Toskanii, w górnych Włoszech było nieco inaczej: stopniowo dochodziła do znaczenia i wpływu burżuazya handlowo-przemysłowa, znośniejsza też była dola drobnego rolnika. Tutaj królestwo Sardyńskie pod dynastyą sabaudzką zdołało doprowadzić do względnego ładu nietyl-

ko swój mechanizm państwowy, lecz i stosunki społeczne, przekształcając je w myśl wskazań życia nowoczesnego przez zniesienie pańszczyzny i innych przeżytków feudalizmu. Lombardya zaś kroczyła po drodze reform gwałtownych, narzucanych jej mechanicznie przez cudzoziemskie panowanie Józefa II; w każdym razie osiągnęła względny dobrobyt materyalny. Budził się tu na północy ożywiony ruch umysłowy pod wpływem literatury wieku oświecenia, encyklopedystów i w związku z reformami państwowemi, idącemi z góry. Ale nawet śród tych Toskańczyków, Piemontczyków, Lombardczyków, żyjących życiem żywszem, pełniejszem, nie uzewnętrzniało się prawie jeszcze poczucie jedności narodowej:—zbyt ich dotąd dzieliły granice państewek o własnej przeszłości, o własnych odrębnych interesach ekonomicznych i politycznych. A jednak i tam, choć opornie, gdzieniegdzie, powoli, wschodził już posiew płodny Wielkiej Rewolucyi, niósł Italii — postrzępionej i pognębionej—świadomość jedni narodowej, co w konsekwencyi dziejowej, jeszcze dalekiej, rzucało pobudkę rozgłośną do czynu, do walki nieubłaganej o jedność polityczną. Posiew oczekiwany wzejść musiał, bo gleba żyzna była. Bo jednak tliły gdzieś pod popieliskiem przemocy militarnej despotów własnych i cudzych iskry pożarne, niecone płonnie niegdyś, przed wiekiem, przez Macchiavellego, tego głębokiego a zapoznanego patryotę ogólno-narodowego. Do nich dorzuca zarzewie nowe trzeźwy spokojny filozof-historyk, Vico, kreśląc w swej „Principi di una scienza nova intorno alla commune natura delle nazioni“ nadzieję bezwzględną, pewną odrodzenia narodowego. Rozpłomienił je znów później „najpierwszy nowożytny Włoch“, poeta wytworny, zapalny, Vittorio Alfieri, gdy w pewności proroczej wieszczył dzień, kiedy przyszli Włosi porwą się mężnie do boju wyzwoleńczego. Dzień ów jeszcze nie świtał. Obecnie zgnębiona, nieszczęsna, — niosła już w sobie przeznaczenia wielkie Italia słoneczna. Do niej zdawien dawna pielgrzymowali Polacy cni i występni. Ostatnio dążyli: Konarscy i Rzewuscy, Małachowscy i Potoccy, Sołtykowie, Sapiehowie, Lubomirscy, Poniatowscy i wielu, wielu innych. Cele ich podróży były różne i drogi niewspólne. Byli pono i tacy, co jeździli „jeść, pić i używać“. Wielu tam było, siedziało długo, i my dziś, po upływie wieku, o tych jednostkach wytycznych nic nie wiemy z ich wczasów włoskich, co stamtąd zaczerpnęli: czy tylko garść wrażeń orzeźwiających, czy doznali wypoczynku, choć chwilowego, po przeżyciach oszałamiających klęsk ojczyzny upadającej, a może zapomnienia trwalszego cudzych czy swoich czynów niecnych. Nie zapomnienia, ani użycia szukać tam będzie Staszic.

Kłam zada urągliwej uwadze Fr. Schultzego, że Polacy kosztem zabaw lekkomyślnych zaniedbują w podróżach zagranicznych pozyskiwać wiadomości pożytecznych dla kraju. A pod względem umiejętności spostrzegania bacznego i zainteresowania ciągłego wytrzyma niechybnie porównanie z przenikliwym i wysoce utalentowanym autorem „Lettres historiques et critiques sur l'Italie", a nawet z przeznakomitym poprzednikiem w wędrówce po Włoszech – Montesquieu'm. Różnorodnością zaś dróg, środków obserwacyjnych i skalą zaciekawienia, otamowywaną zapewne dotkliwie przez obowiązki wychowawcy, przewyższy bodaj autora „Voyages". Bo rozglądać się będzie planowo, spostrzegać pilnie, wypytywać wnikliwie o wszystko, co go uderzy, pobudzi do myślenia, do odczucia żywszego, — o wszystko, co ma pomnożyć jego znawstwo życia jednostkowego i zbiorowego. Nie ominie sposobności porozmawiania z przedstawicielami najróżniejszych sfer, środowisk, interesów i zawodów: z dyplomatami i duchownymi, z żołnierzami i zakonnikami, z uczonymi i prostaczkami, z bankierami, kupcami i biedakami. Zachodzić będzie do chat przydrożnych, zawiązywać dyskurs z oberżystami, woźnicami. Spacerować zechce śród tłumu, aby spostrzegać lepiej jego poruszenia bezpośrednie, aby posłuchać rozmów bezładnych. Świtaniem wymykać się będzie za miasto, aby pogawędzić z oraczem pracowitym o doli jego lżejszej, niż dola chłopa polskiego, aby zagadać z przygodnym przechodniem, który „zdawał się... rozsądny, tylko wielki krzykacz, jak zwyczajnie Włochy". To znów „wejdzie w rozmowę" z „librairem" gorliwym zwolennikiem rewolucyi francuskiej. Wciąż i wszędzie będzie patrzył, słuchał, pytał. A zawsze z pozornie nieśmiałą myślą o Polsce, jak gdyby utajoną, ukrytą głęboko w obawie czujnej, że wyraźne, jasne wspomnienie jej nakaże mu bezpłodny powrót do kraju, gdzie tymczasem nic więcej czynić nie mógł nadto, czego już dokonał. A choć na ustach jego —uważnego i chłodnego obserwatora—zrzadka tylko zjawi się wyraz Polska, pozory te nie złudzą, bo pamięć o niej towarzyszyć mu będzie już stale: mówią o tem krótkie, gwałtowne wybuchy słów niedobieranych, a wyrywających się z głębi, z pod powierzchni ułudnej, spokojnej, — słów nieszukanych wówczas, gdy trzeba już mówić o tem, co boli.

Podróż swą Staszic rozpoczął dnia 6 kwietnia roku 1790. Jechał na Wiedeń, więc przez zabór austryacki. Tam widne już były mnogie oznaki zewnętrzne, „dręczące widoki", świadczące o poważnych przekształceniach, sięgających głębiej w życie mieszkańców królestwa Galicyi i Lodomeryi. Ludwichstadt (Podgórze)

miast dawnych pałaców, dworków, domków mieszczańskich posiadł już mnóstwo koszar, magazynów wojskowych, komór celnych i domostw biurokracyi rozwielmożnionej. Zwiedził Staszic poblizką Wieliczkę i opisał ją szczegółowo z zapałem wybitnego krajoznawcy, miłośnika rodzimych bogactw kruszcowych, a przypomniał z goryczą: „byli tacy, którzy przykładali się usłużnie, żeby tę kopalnię dom austryacki zabrał“. Pomimo całej niechęci do rządu zaborczego „wielbił“ bezstronnie jego dbałość o stan dróg, z żalem jednakże, że „tego nie zrobili Polacy“, że „tej użyteczności pamięć i chwała nam się nie dostała“. W Kalwaryi zaś wspomniał z pewną sympatyą o zarządzeniach Józefa II względem odpustów, gdyż „pielgrzymki po odpustach odrywają lud pracowity od pracy... włóczęga (taka) psuje obyczaje“. Z Kalwaryi przez Andrychów, Kenty, Białą przybył Staszic w ostatnich dniach kwietnia do Cieszyna. Na Ślązku i stale już dalej obserwował uważnie różną dolę chłopa pańszczyźnianego, wchodził w szczegóły życia „nowosiedlców“-czynszowników. Spostrzeżenia te, ujęte w wyrazy krótkie, zwięzłe, uderzają bogactwem rysów cennych, charakterystycznych. Np. „Lasy są bardzo małe, tylko kępkami. Ludzie poddani drzewo kupują. Miasta są nierównie od naszych piękniejsze, ludniejsze i rzemieślnikiem obsiadłe. Żydów w nich nie widać. Kościołów bardzo mało, osobliwie po wsiach. Łąk mało, pastwisk gromadzkich żadnych niema, każdy na swoim gruncie tylko pasie, sady obszerne i po miastach i po wsiach. Rzeczek gęsto, grunta glinkowate, drogi brukowane, ale tylko bardzo złe“. (Okolice za Cieszynem) Tu i gdzieindziej kierował Staszic uwagę baczną na stosunek wsi do miast, wygląd mieszkańców, ich zajęcia i ugrupowania, na topografię miejscowości, sposób uprawy ziemi, ilość i wytrzymałość bydła pociągowego, jakość nierogacizny, na urządzenie zagród, wnętrza domów mieszkalnych i t. d. i t. d. Nawiasem, opisując miasta, nasz podróżny częstokroć zaznaczał, gdzie niema żydów, bez żadnej zresztą nieprzychylnej dla nich uwagi. A nawet, potępiając niechlujstwo żydów, uznawał zapewne ich dodatnią rolę w ożywieniu handlu. „Miasto bez żydów, nie śmierdzi, jest czyste, ale mizerne“. Bądź co bądź, Staszic i w czasie tej podróży pilnie uzupełniał wypowiedziane już wcześniej uwagi o żydach nowemi spostrzeżeniami, o ile słusznemi, przekonamy się później, na tem wszakże miejscu zaznaczyć należy, iż statysta nasz swe sądy budował zawsze na fundamencie spostrzeżeń rozległych, ciągłych, być może mylnych, lecz z dobrą wiarą czynionych. Ale były i inne zainteresowania stałe.

Szkolnictwo—przedewszystkiem ludowe. Z jaką zazdrością spoglądał na szkółki wiejskie, na dzieci, idące do szkoły. Bo w kraju nawet „oświecenie ludu około religii, około powinności stanu jego, około robót i przemysłu w tymże stanie“ spotykało się z niechęcią dużą opinii publicznej—szlacheckiej. Wrażenia podróżne zmieniały się często. W Ołomuńcu szczegółowo oglądał Staszic twierdzę; nie przeczuwał, iż widzi przyszłą katownię Kołłątaja i Zajączka. Dalej, pod Winnicą zainteresował go znów stan włościan: „niema między niemi żydów, niema pijaństwa“ lecz „mogą być krzywdzeni od pana“, jak w Polsce. W „Bryniu“ zaś morawskim—jaskrawy dowód oświeconych rządów monarchy absolutnego: wielkie kolegium pojezuickie „zapchane“ przeróżnego znaczenia biurokratami. „Taki to znowu gatunek ludzi próżniaków, jeżeli nie pod imieniem mnichów, to pod imieniem pozorniejszem rządu mieścić i żywić się będzie“. Równym to dla kraju i dla rolnika jest ciężarem. Klasztory użyto na koszary, „więc kraj nie zyskał na tej odmianie kosztownych, a niebezpiecznych próżniaków“. Mimo tylu pasorzytów rozwijał się tam przemysł, skupiały się najsławniejsze fabryki sukna, sznurków, czapeczek i tasiemek bawełnianych; ostatnich sprzedawano najwięcej do Polski, więc troskał się Staszic: „czyżby nie można u nas rzeczy tak łatwej do robienia zaprowadzić“. Pod Bernem widział na górze skalistej zamek Spilberg — „miejsce okropne, katusza despotyzmu. Ofiary przemocy, często bez publicznego sądu, jęczą w lochach podziemnych“. A „lud wojaczów uwielbia“, choć za niemi „ciągnie się niewola, podatki, brańtwo dzieci, ruiny, zburzenia“, bo „ludy nie od rozumu, ale całkiem zawisły od zmysłów“. „Polski Rousseau“, demokrata szczery, krytyczniej od filozofa gienewskiego patrzył na pobudki poruszeń ludu - tłumu, głębiej wnikał w psychologię zbiorową. W pierwszych dniach maja podjeżdżał Staszic do stolicy austryackiej; występowały cechy charakterystyczne rządów wiedeńskich: największe domy murowane należały do karczmarzy lub urzędników, „najpodlejsze były dla rolnika“. W Wiedniu Staszic przebył od 8 maja prawie trzy tygodni. Panował już od kilku miesięcy Leopold II. Szedł on, według Staszica, drogą pewniejszą, niż jego poprzednik, ku utrwaleniu absolutyzmu: nadawał przywileje szlachcie i duchowieństwu, a chłopom i mieszczaństwu gwarantował bezpieczeństwo i spokój. Ale losu ludu nie polepszył, bo podatki dawne pozostały, rekrutów brali, jak zawsze, wojna trwała, a jednak zyskał sympatyę poddanych, gdyż pozwolił „ludowi bawić się po kaplicach, chodzić po odpustach, włóczyć się z chorągwiami i obraza-

mi po mieście". Stąd wniosek macchiavellowski—wskazanie dla monarchy absolutnego: „niechaj lud bawi, ulega jego opinii, wchodzi w nią, a potem niechaj go obarcza podatkami—tem źródłem swojej potęgi". Charakter rządu despotycznego, „Niemców nań nieczułość i do niewoli zwykłość" wyrażała się najdobitniej na przyjęciach u wszechwładnego Kaunitza, gdzie każdy uważa zaproszenie za honor, za szczęście, choć jest w pogardzie. Gospodarz wpierw sam „je z półmisków swoją łyżką, a potem dopiero innym roznoszą. On pół godziny zęby i gębę myje przy stole, a drudzy muszą siedzieć i patrzeć na to. Oto czem jest człowiek w oczach jednego wezyra w despotyzmie!" Korzystniejsze wrażenie wyniósł Staszic z bytności na dworze cesarskim w czasie audyencyi publicznej, bo dostał się i tam zapewne zupełnie przypadkowo, „jakimciś sposobem stosując sobie minę barona". Cały czas pobytu w Wiedniu schodził na zwiedzaniu muzeów, galeryi, fabryk, obserwatoryów, bibliotek, gabinetów przyrodniczych. A starczyło mu jeszcze czasu na czterogodzinny dyskurs z astronomem X. Helli na temat odmian we wszechświecie. Spacery zaś w ogrodach i parkach publicznych dawały asumpt do porównań między „próżniakami... lubieżność nasycającymi... nudność rozbijającymi" i tymi, którzy przychodzili „dla spocznienia po pracy". Podziwiać należy, jak w tak krótkim czasie, spełniając obowiązki wychowawcy i nauczyciela, mógł Staszic wszędzie być, nie opuścić nic, godnego widzenia, korzystać pilnie, uważnie z każdej chwili pobytu. Po wyjeździe z Wiednia skala wrażeń jeszcze się spotęgowała. W dalszym ciągu gromadził Staszic swe trafne uwagi gieograficzno-gieologiczne. Nie brak i przypomnień przykrych niedoli Polski. „Widziałem kilkunastu polskich rekrutów, od pół roku wziętych z Łańcuta. Narzekali, że nie mogą zapomnieć żon i dzieci, od których wzięci. Wielu z nich poumierało". Im bliżej Włoch, tem wsie i miasta „mizerniejsze"; różnią się od miast naszych polskich tylko tem, że „zamiast żydów—katolicy". „Lud ubogi, grunta mizerne... chłop pańszczyznę robi, bardzo jest niespokojny i szemrze". I uogólniał spostrzeżenia poszczególne: mieszkańcy gór są nabożniejsi, zabobonni i mniej oświeceni wskutek utrudnionej komunikacyi z szerokim światem. Styrya wyższa „ma podobieństwo... do Polski, oprócz tego, że Polska ma swoje wsie i miasta, równie z tutejszemi ubogie, na ziemi żyznej i we wszystko obfitej". Polskę przypomina mu i „hreczka w polu", widziana po raz pierwszy od czasu wyjazdu z kraju.

W granicach republiki Weneckiej uderzał przejeżdżających upadek miast, handlu, wywołany zarządzeniami celnemi Austryi.

Biedzie tego kraju sprzyjała mnogość przedstawicieli stanu duchownego. Uwagi podobne powtarzały się już stale we Włoszech. „Wszędzie widzę jeszcze wielką przyczynę ubóstwa w mnóstwie księży". Wypowiedział to już obrazowo przed laty sześćdziesięciu Montesquieu, bez podkreślenia jednak znaczenia ekonomicznego danego objawu.[1]) Jak w krajach despotycznych, co okazalsze gmachy publiczne mieściły w sobie arsenał, magazyn wojskowy lub karczmę, tak tu: klasztor, szpital, seminaryum, dom biskupi. Najwięcej jednak interesowało Staszica położenie rolnika, uprawa gleby. Spostrzeżenia nasuwały mu wniosek, że grunta drobnych właścicieli są uprawne lepiej, pracowiciej, niż duże własności, gdyż „wielka tej (ostatniej) rozległość — przyczyną nikczemnej uprawy". Grunta dziedziczne lepiej, niż czynszowe. „A tak bliskie porównanie ziemi *małych właścicieli* z ziemią *wielkich panów*, stało się w moich oczach doświadczeniem, jak to własność tych ostatnich jest szkodliwą". Wniosek ten popierać będą i późniejsze spostrzeżenia.

Sama Wenecya „świadek gwałtu między narodami" nie zrobiła na Staszicu większego wrażenia. W czasie przejazdu jego przez Padwę miasto święciło okazale dzień św. Antoniego uroczystą procesyą. „Widziałem w niej wszystkie dawne głupstwa z przesądów nauczania... i zwyczaje fanatyzmu", notował, mając widocznie na myśli pompę stanów i urzędów, biorących w niej udział. Na tydzień przed przybyciem do Florencyi w całej Toskanii wybuchły rozruchy ludowe na tle ucisku fiskalnego, drożyzny produktów spożywczych, oraz zakazu procesyi i wolnego sprawowania nabożeństw.

Szlachta poparła księcia, który umiał ją ująć błahemi przywilejami, więc bunt został wkrótce stłumiony przy pomocy „straży obywatelskiej kokardowych", „którzy—według określenia przygodnego interlokutora Staszicowego — opowiadają się być obrońcami obywateli, a są hultajami, birbanti". Aresztowanych wywożono na galery nocą, aby lud nie odbił ich za dnia. Nazajutrz wiadomość o wywiezieniu przyjęto obojętnie, nie porwano się do czynu gwałtownego, bo nie było bodźca bezpośredniego, bo „lud tylko podług zmysłów czyni... nie podług rozumu". Tę

[1]) Montesquieu, Voyages, I, 153: „On ne peut, sur les chemins d'Italie, tourner la tête sans voir un prêtre... Ces gens, ennemis mortels du couvent, voyagent toujours. L'Italie est le paradis des Moines. Il n'y a aucun ordre qui n'y soit relâché".

uwagę Staszic powtarzał często z żalem ukształconego racyonalisty.

Korzystając z dłuższego pobytu we Florencyi, zwiedzał szczegółowo muzea, pałace, biblioteki, miasto samo i przepiękne jego okolice. Była to już druga połowa czerwca, więc pora nie bardzo odpowiednia dla wędrówek tego rodzaju po mieście, ale Staszic nie przerywał swych zwykłych wycieczek. Oglądał Palazzo-Vecchio, gdzie dawniej w wspaniałych salach obradowała wolna rzeczpospolita, gdzie na murach widniał jeszcze niezatarty, dumny wyraz „Libertas“, a „dziś leżą kołyski, pieluchy, stołeczki i materace dzieci domu Austryackiego“.

W innych salach wolnego niegdyś narodu kwaterował odwach żołnierski. A patrząc na napis na grobowcu Kosmy I: Pater patriae, wyrzekał, że prawie zawsze despoci są zwani ojcami ojczyzny. Błądząc po Florencyi, stwierdzał niejednokrotnie, iż nie masz w niej męża, tylko dzieła sztuki. Chciano za rządów despotycznych cały naród florentyjski zamienić w malarzy, snycerzy, poetów; obawiano się mężów, obywateli czynnych, więc nic dziwnego, iż stał się on niewolnikiem odnawiających się zwolna zwyczajów: świętowań, procesyi, które dają powód do włóczęgi, rozrywki, a nie usposabiają do skupienia się nabożnego, do modlitwy cichej, gorącej. I zwyczaj ten utrwalało wychowanie: kształciło świętoszków, a nie prawdziwie religijnych. Zarządzenia Leopolda przyczyniły się znacznie do podniesienia kulturalnego i umysłowego poziomu ludu. Gdy monarcha spostrzegł ten objaw niepożądany dla rządów absolutnych, wrócił ludowi „zabawy i znowu florentczyk spokojnie bawi się i śpiewa w kajdanach“. „Między mieszczany i szlachtą niemasz związku, jest wzgarda i nienawiść“. Lud poniżany przez szlachtę, płaszczącą się przed żołdactwem, „lud—głupi, wcale siebie nie zna“. Pragnąłby widocznie Staszic, aby lud poznał swą siłę, upomniał się o prawa, nie pozwolił na swe poniżenie. Był pewien, że zasada polityki despotycznej: divide et impera zbankrutować musi, gdy naród przestanie być „poróżniony i niewolnikiem“.

„Rewolucya francuska otworzy książętom oczy“. Dotąd jeszcze florentczykowie byli z despotyzmem „ozwyczajeni“.

Słysząc o zrzeczeniu się przez Leopolda Toskanii na rzecz syna, Staszic w prostocie ducha niepodległego zapytywał, co przekazał on swemu następcy: ziemie swoje dziedziczne, czy mieszkańców wraz z ich własnością. A gdy zapytani, spojrzawszy na niego „jak na człowieka dzikiego“, zaczęli pouczać, że Leopold był panem Toskanii „równie jak swoich krów w Kaschinie“, on

dziwił się „kto z nas (rozmawiających) do dzikiego zwierza podobny".

Bywał Staszic i na zgromadzeniach członków Akademii sztuk; spoglądał razu jednego „z pogardą na podłość zgromadzenia", przygotowującego dyplomy na członków Akademii dla kilku panujących. Z czasem domyślił się, że „Imperatorowa rosyjska dla tej samej przyczyny jest od florentczyków uważana za wielką malarkę, jak od pisarzów—za wielką filozofkę".

W czasie swej bytności we Florencyi—pobyt ten przedłużył się aż do 15 listopada—Staszic był kilka razy w teatrze: na operze, wystawiającej tryumfującego Germanika, „wojarza i łupieżcę cudzej ziemi", na komedyi „Dyabeł żonaty" („niechęci do małżeństwa"), operetce „Wuj i synowiec oszukany". Sztuki te nie podobały się Staszicowi ze względu na swą tendencyę. Według niego, teatr ówczesny, utrzymywany przez książąt udzielnych, nie był użyteczny. Będzie nim dopiero wówczas, gdy spełni należycie swe zadania wychowawczo-społeczne, „kiedy wyszydzi zdradę, podstępy, kłamstwa i całą politykę dzisiejszych despotów... kiedy znienawidzi wojarzy, kiedy uwieńczy cnotliwe i ludzkie obywatele".

Do rozrywek należały zapewne częste wycieczki zamiejskie. Na wielu wzgórzach wokoło miasta wznosiły się liczne klasztory; malowidła na starych ich murach były dla zwiedzającego dowodem „jak mocno trapią nieoświeconego człowieka, powzięte z wychowania mary".

Dnia 15 listopada nastąpił wyjazd z Florencyi. Droga wiodła krajem zaludnionym, pracowicie uprawnym. Przed Pizą Staszic wdał się w rozmowę ze spotkanym wieśniakiem. Mówił z nim o wielkiem opodatkowaniu i odrywaniu rąk roboczych do żołnierki, jako o dwóch ważnych przyczynach ubóstwa chłopa polskiego. Zdziwił się wieśniak, że ojcowie pozwalają na odbieranie sobie synów. Staszic odrzekł, iż protest niemożliwy w Polsce: „choćby w jednej wsi niektórzy się oparli, jeżeli w drugiej ulękli się, nic nie poradzą i ci pierwsi ustąpić muszą". Rozmowa dłuższa miała za temat stosunek pana do chłopa. Niewiele mógł pojąć z tego Włoch, gdyż „trzebaby było odkryć wszystko rzetelnie, czem jest pan, a czem wieśniak u nas".

Czasem i sami Włosi zagadują o Polskę. W Lucce prezydent republiki, mąż poważny, zaczął dyskurs o Polsce, wyrażając zdziwienie, że tak długo trwa w Polsce niewola chłopa i liberum veto. Pytał czy nie obawiają się Polacy, aby ich „do reszty podzielono".

Droga dalsza wiodła przez Liworno. Tu oglądał Staszic galery z zakutymi w kajdany skazańcami—barbarzyństwo, z którym mieszkańcy tak już się zżyli, że ich ono nie raziło. „Tak właściwie, jak u nas w Polsce, gdzie poddaństwo chłopa nie obraża żadnego szlachcica, chociaż to obraża całą Europę. Podobnie Anglicy uważają Polaków za barbarzyńców, bo ci chłopów trzymają w poddaństwie, a nie zdają sobie sprawy, że sami są tyranami, bo łapią, kupują i Włochów sadzą, zakutych, dla swojego zysku". A gdy dowiedział się o okrucieństwach, którym podlegali próbujący ucieczki, wykrzyknął z nienawiścią dla przemocy uprzywilejowanych: „najlepiej widziałem, czem są panowie, gdzie ich interes". Te przykre wrażenia zatarła na czas pewien Siena z cudną katedrą, ale tam malowidła wystawiały „obrzydły fanatyzm, obok czystej religii" — sceny z wojen krzyżowych. A dalej, im bliżej Rzymu, tem żywiej udzielał się smutek okolic wiecznego miasta.

Na granicy Państwa Kościelnego po raz pierwszy podróżni poddani byli bezwzględnej rewizyi celnej. „Chociaż Chrystus naganiał stan celników, przecież ich dzisiaj naśladnicy Chrystusa trzymają... dla swojego zysku..., choć nauczają ludzkości i gościnności dla podróżnych". Przy wjeździe do Rzymu powtórna „napaść od zbirów, którzy nie dopuszczają nas nawet, jak w krajach despotów, do domu, ale zamiast do miejsca łaski, prowadzą nas do miejsca zdzierstw, do celni". Od tych przykrości wolni byli „panowie wielcy", mający interesowne znajomości z kardynałami „nadskakiwaczami". To zajęcie się papiestwa sprawami świeckiemi, stale oburzało religijnego proboszcza turobińskiego.

Natychmiast po przyjeździe do Rzymu Staszic, „opuściwszy wszystko", udał się w skupieniu nabożnem do bazyliki św. Piotra. Tu spotkało go „pierwsze zgorszenie". Grobowiec świętego otoczony był światłem rzęsistym, a przed ołtarzem z Najświętszym Sakramentem widać było zaledwie dwie lampy. Muzyka kościelna skoczna, swawolna zamieniała świątynię w jakiś teatr.

Gdyby pocałunek pokoju—podczas mszy św. — urzeczywistniał się w życiu, w czynie, nigdyby religia, według Staszica, nie służyła „za narzędzie wojen... papieże... duchowni prowadziliby lud ku jedności, a gromili króle i książęta dumne, którzy tylu stracili ludzi, wydanych im na pastwę".

Pierwszy pobyt w Rzymie trwał niecałe dwa tygodnie. Korzystał z niego Staszic intensywnie: zwiedzał kościoły, muzea, zabytki czasów starożytnych; doszukiwał się w nich pilnie przypomnień krzywdy ludzkiej. „Nieszczęsny kamień (obelisk wywieziony z Egiptu) zdawał mi się być oblany łzami ludzi, jęczących

pod despotą". Ale zabiegał myślą i w przyszłość. Niepokoił go zakaz sprzedaży „najlepszych książek", gdyż mógł się przyczynić do zaniku myśli w Rzymie.

W połowie grudnia udał się Staszic z rodziną Ordynata do Neapolu i okolic na pobyt prawie trzymiesięczny. Przygody w podróży nauczyły go najlepiej, czem był rząd neapolitański. Austernicy i woźnice, opłacając kardynałów w Rzymie i ministra w Neapolu, wyrabiali sobie u gubernatora, „grubego i podpitego abbata", monopol wyzyskiwania dowolnego podróżujących. Terytorya neapolitańskie i papieskie wydawały się czasem Staszicowi „dzikimi stepami afrykańskimi", lud zaś tutejszy... „razem podły i zuchwały... w przysługach krnąbrny i zły". A przyczyna wszystkiego znajdowała się w „niezdrożności rządu, gdyż niema rządu z większym nierządem, jak w tych krajach". Ta uwaga przygodnego obserwatora zgadza się z tem, co na początku stulecia wypowiedział Charles de Brosses, że gorszego rządu nie można sobie wyobrazić. Przekonywał się o tym Staszic nieraz, obserwując położenie i charakter ludności, znaczenie i wpływy duchowieństwa, ustrój państwowy.

Z odrazą mawiał o nadużyciach rządu żołnierskiego, który na koszary zajmował szpitale, fundowane przez osoby prywatne dla ubogich chorych, a nie dla obrońców despotyzmu. Rządy te sąsiedzkie nieciły niesnaski między neapolitańczykami i rzymianami, którzy byliby wzajemnie przynajmniej obojętni, gdyby nie „niechęć despotów".

Nie zaniedbywał też Staszic pomnażać swej wiedzy przyrodniczej: konferował po wielekroć z kierownikami obserwatoryów, gabinetów przyrodniczych, odbył wówczas kilka samotnych wycieczek krajoznawczych, był i na Wezuwiuszu, czyniąc zadość swej ciekawości gieognosty. A spacery po Neapolu i okolicach, zetknięcie się z pospólstwem miejskim, o zapalnej wyobraźni, dawały bogaty materyał do spostrzeżeń ciekawych. I tutaj uważał, że lud spełnia praktyki religijne dzięki zwyczajowi, z którym wzrósł, dzięki naśladownictwu starszych przez dzieci, a nie z potrzeby sumienia, uczucia głębiej religijnego. Znać było wszędzie, iż lud wychowywano w przesądach; nawet strój ludowy był na modłę zakonnego. Przesądom ulegało nietylko pospólstwo, lecz i przedstawiciele stanów uprzywilejowanych. Przecież dobroczynność publiczna, zakłady, przytułki nosiły cechy organizacyi kościelno-klasztornej.

Tutaj w Neapolu zdarzyło się Staszicowi, zapewne wraz z Zamoyskimi, być u ministra angielskiego. Omawiano z ożywie-

niem i wielką admiracyą dla Imperatorowej Wszechrosyi zwycięskie zdobycie Izmaiłowa. Staszic milczał „ale na powieść o wyrzniętych 25 tysięcy (ach) ludzi uczyniło mu (mi) się zimno“, gdy zaś spostrzegł, że sławę i poważanie zyskuje ten łatwo, kto śle na rzeź możliwie więcej ludzi, zaczął się „śmiać sam w sobie z głupstwa ludzi“. Gorzki był to śmiech, smutna to była wiedza o człowieku, wzbogaciły ją już wcześniej hymny pochwalne Voltaire'a. A jednak budziły się sympatye inne. W Neapolu i Liwornie przedstawiciele finansów i handlu w rozmowie z ciekawym cudzoziemcem z dalekiej Polski „ukazali swe chęci za rewolucyą francuską“.

Wyjazd z Neapolu do Rzymu nastąpił 4 marca roku następnego, 1791. Trzeciego dnia tej powrotnej podróży wczesnym rankiem, po nocnym popasie, gdy ciekawie, jak zawsze, rozglądał się Staszic po okolicy, oświetlanej stopniowo przez słońce wschodzące, stanęła mu żywo przed oczami Polska, z której przed rokiem wyjechał. „Im bardziej słońce wschodziło, tem więcej ja widziałem kraj do Polski podobny: lasy, modrzewiska, trzcińska, zalazłe strumienie, obrosłe rzeki, nieużyte krzaki; stada koni, kupy bydła rogatego, ludzi, w skóry odzianych, zarosłych, czarnych, gdzieniegdzie słomiane szałase. Wszedłem do jednego, zastałem ciołaka, świnię z prosiętami i dzieci na jednem barłożysku. Wszystko mi ukazywało, żem w Polsce“. Później krajobraz się zmienił, znać było dobroczynne skutki osuszania błot, zamieniania ich w niwy urodzajne. Zmniejszała się również chorobliwa zabójczość morowego powietrza, które wraz z przywilejowanemi stany „jedne czynią skutki w rodzaju ludzkim“. Te prace melioracyjne, podjęte z rozkazu Piusa VI, wzbudzają w Staszicu uszanowanie dla papieża tem większe, iż przypomniał sobie żywo postępowanie monarchów, którzy „wydarli“ poddanym swoim środki olbrzymie, aby przy ich pomocy zgnębić spokojnych mieszkańców państwa sąsiedniego. I znów bliższe okolice Rzymu przypomniały „nieludną, żyzną Polskę“. Dalej, błota pontyjskie dały powód do snucia planu osuszenia tych bagnisk; zadanie to syzyfowe podjąć mógłby tylko despota ambitny, lub lud wolny, niepodległy.

Po powrocie do Rzymu wznowił Staszic swe wędrówki po kościołach, pałacach, muzeach, a nawet zaczął bywać nietyle dla rozrywki, ile dla spostrzeżeń, na operach i maskaradach. Tutaj śmieszył go człowiek, którego „nie rozum a przesąd wodzi“, gdy dozwala kobietom siadywać z mężczyznami w ciemnych, zamkniętych lożach, a nie pozwala im występować na scenie. Kiedyindziej, w kaplicy Borghesich, wyraził mniemanie, iż X. Borghesi

„oddał cząsteczkę drobniutką ołtarzowi, z którego jego dom ma miliony". Rzeźby zaś w muzeach nietylko cieszyły jego wzrok, lecz i podsycały nienawiść ku despotyzmowi swą treścią, wyrażającą niedolę uciemiężonych. Choć widział pałace despotów w Rzymie—„toż samo w Neapolu, w Wiedniu, w Paryżu, w Berlinie i w Petersburgu"—radował się, iż my już dalecy jesteśmy od stawiania despotom kościołów, ale smuciło go, że „czynimy tak wszystko, jak gdyby nas Bóg dla despotów szczęśliwości stworzył". Oburzało go również, iż „cofnęliśmy się wstecz od Rzymian", gdyż lud zrównaliśmy z bydlętami, a narody dzisiaj „są sprzedawane, podpadają sukcesyi, darowiznom i zamianom, jak bydło".

Pilnie i często oglądał Staszic pomniki dziejowe dawnego Rzymu, a nigdy nie patrzył na nie obojętnie. Widok kolumn świątyni Concordia wyrwał mu okrzyk szczery: „bodajby nie ważyły się wieki tykać tego głazu, pod którym wyrzeczono wyrok na zdrajców ojczyzny". Przy zwiedzaniu szpitali i innych fundacyi dobroczynnych interesowała przyszłego filantropa - dobroczyńcę głównie gospodarka finansowa: uważał fundacye bogate, a źle ułożone, bo więcej „zjadali sami kapelani, niż ubodzy". Wogóle „ustawy miłościwe" nie były rządnie utrzymywane: „nadto wiele próżniaków przy nich żywi się, przeto psują wiele ludzi".

W świątyniach zaś widywał Staszic dowody zmateryalizowania religii, raziło go na każdym kroku duchowieństwo, mające na widoku tylko korzyści osobiste, sprawy świeckie. Dochodził do wniosku smutnego, iż moralność i wyobrażenia religijne jeszcze nizko stoją, bo trwa dotąd wiara w Boga, który pomaga najeźdcom niszczyć kraj spokojny, który lubi „odbierać z krwawych rąk wojarzy część zdobyczy", o czem świadczyły—kościoły stawiane ku upamiętnieniu zwycięstw. Całą duszą żywą Staszic nienawidził żołnierstwa, tej „podpory despotyzmu". Z jakiemż przejęciem oglądał w pałacu Corsini małe obrazki, wymownie wystawiające „nieszczęśliwe życie... ofiar despotyzmu. Tu widzieć, jak ich gwałtem biorą i włóczą i przysięgać każą, tam biją jak bydło i musztrować prowadzą... dalej rzną się wspólnie, zabijają... dla dogodzenia dumie swoich tyranów; w innych.. niszczą miasta, wycinają ludzi, dzieci, gwałcą niewiasty"... Ma się rozumieć, ten antymilitaryzm Staszica był warunkowy, względny, bo skierowany wyłącznie przeciw „podporom despotyzmu", gdyż sam on nawoływał żarliwie do ofiarnego bronienia kraju przed najazdem obcym.

Wiele jeszcze wyobrażeń, myślał Staszic, odsuwa ludzi od Boga, a im „więcej rodzaj ludzki przybliża się do Bóstwa, tem więcej czuje miłość i kocha ludzi". Wszystkie ceremonie kościelne Wielkiego tygodnia raziły Staszica, zwłaszcza zachowanie się

żołnierstwa papieskiego, które nie puszczało do kościoła prawdziwie nabożnych a skromnie odzianych, lecz tych postrojonych, co dla zabawy zjeżdżali do Rzymu. „Przez żołnierstwo dom Boży ukazał mi się domem despoty“. Msza papieska miała w sobie, według Staszica, tę wszystką wielkość, która przystoi monarchom świeckim, która porywa zmysły, oczy, ale obraża myśli, „która czyniłaby wrażenie w pospólstwie dzikiem... ale nie budzi nabożeństwa w ludziach dzisiejszego wieku“. Tego tygodnia świętego widział w Rzymie mnogie rozrywki dla myśli, wiele wrażeń zmysłowych, nie wszystkim równie dostępnych, miast nabożeństwa, skupienia, jedności wiernych. Tłumy na placu przed św. Piotrem zdawały mu się często „podobne do masek zapustnych“. A poza świątynią na ulicach włóczyli się „szarlatani... jeden co obrazki i paciorki przedawał i prawił o ich skutkach, a drugi... maście i krople“. Wtedy nasunęła się Staszicowi konkluzya: „Kto chce nie być nabożny w Wielki tydzień, ten niech jedzie do Rzymu... tam nikt nie jest, ani nie może być nabożnym“. Po świętach Wielkanocnych, które przypadły tego roku 24 kwietnia, Staszic odbywał z Rzymu częste wycieczki do poblizkich przepięknych okolic, jak Frascati, Tivoli i t. d. Zachwycał się cudnem ich położeniem, tak przedziwnie od natury udarowanem, przeszłością świetną, minioną. W tym czasie niewiele o Polsce wzmianek; czasem tylko wyrwała się sarkastyczna uwaga na widok zbrojeń okrętów wojennych: „Szczęśliwa Polska, w której dotychczas tenże proch i armaty tylko na imieniny były używane“. Wieści z kraju dochodziły spóźnione znacznie. Powolna napozór, a tak brzemienna w skutki nieobliczalne czynność sejmu czteroletniego znajdowała pozornie bardzo słaby oddźwięk w duszy Staszica. Dopiero w późniejszych co do czasu notatkach znajdujemy krótką uwagę. „Wiadomość o przypuszczeniu miast do prawa i o urządzeniu tronu polskiego przyszła do Rzymu 20 maja. Uczyniła wielkie wrażenie, powszechnie mówiono, że król polski jest mocny i zawiele dano mu władzy, że teraz Polska będzie czynna“. A pod dniem 24 maja, już po wyjeździe z Rzymu, notował: „Konstytucye polskie wielkie wrażenie uczyniły tu w tych wszystkich, z którymi tylko mówiłem...“. Ale nim doszły te nowiny dobre podnosił się nastrój ducha, powstawała jakaś niezłomna pewność w jutro lepsze, niechybne. Miało być ono koniecznością praw tkwiących w przyrodzie samej. Mówiły o tem Staszicowi górskie strumyki, spływające ku rzece Anio: wiecznie odnawiające się ich wody, zwolna, z trudem, lecz ustawicznie wytrwale kruszyły najtwardsze, niezmienne opoki. „Tak skruszą się

wszystkie trudności, tamujące bieg pokoju i szczęścia rodzaju ludzkiego, który się zawsze odnawia, ustawicznie odradza, a przesądy despotyzmu, przywileje, chociaż twarde, ale zawsze jedne, zawsze stare". A były przecież oznaki i inne już w życiu społecznem, zbiorowem. „Nadchodzi czas ludu, mija duchownych i szlachty", chociaż despotyzm święcił jeszcze tryumfy swoje okrucieństwami, wywołującemi zgrozę.

Ku końcowi pobytu w Rzymie Staszic uogólnił wrażenia swoje w uwagach powszechnych: o szlachcie, o przyczynach małej ludności, o podatkach, sądach i wogóle rządzie. Według tych uwag, władza i potęga rządu papieskiego opierała się na wierze i opinii. Rząd i poddani są „nieczynni". Szlachta i panowie, choć im rząd był przychylny, tęsknili do despotyzmu. Mimo to rządy w państwie kościelnem, wbrew poglądom poprzedników Ch. Brochess'a i Montesquieu'a wydały się Staszicowi nieco znośniejsze, niż w monarchiach despotycznych, bo nie widział tam militaryzmu, nie spotykał chłopa, uciekającego przed złym dziedzicem. Widocznie różnica poglądów miała źródło w tem, że ani Brochess'owi, ani Montesquieu'mu nie była tak, jak Staszicowi, nazawsze blizką niedola chłopa pańszczyźnianego, nie znali też oni podobnych gwałtów, jak pruska czy austryacka branka żołnierza polskiego.

Wyjazd z Rzymu z powrotem do kraju nastąpił po 20-ym maja. Za Rzymem „cała droga smutna. Stepy niezmierzone częścią siane, częścią puste, nigdzie drzewa nie widzieć, oko ginie w pustkach, tylko je góry Apeniny tamują lub gęste rozwaliny"... Znów nanizują się trafne spostrzeżenia—gieologiczne, etnograticzne i inne. W celu ich uzupełnienia ponownie zwiedzać będzie Staszic muzea, gabinety, biblioteki, kościoły. W Toskanii położenie bez zmiany: jeszcze widać było, że Rzym, przy pomocy licznego kleru, wiele może dokonywać w pospólstwie, a przeto książe dotąd ulegać musi papieżowi. Przez Bolonię, „gdzie najwięcej mnichów i mniszek", Modenę przybył Staszic do Reggio na czas zaburzeń ludowych, wywołanych niezwykłem uciemiężeniem podatkowem. W Genui, republice handlowej, niechęć ku szlachcie, potęgowana bezprzykładnem opodatkowaniem ludu i przywilejami możnych, wybuchnie, przewidywał Staszic, w blizkiej rewolucyi. W tejże Genui zwiedzał powtórnie galery przepełnione więźniami. „Okropny uderzył mnie widok... miejsce to całe zastałem pełne nędznych niewolników... nogi w kajdanach, po kątach leżą... żywność cała tak mizerna, jak dla psów... pełen smutku i okropnych myśli wyszedłem z tej męczarni". W Turynie, w pierw-

szych dniach czerwca, był obecny gwałtownym wystąpieniom studentów przeciw policyi w obronie autonomii uniwersyteckiej. Stróże porządku ku zadowoleniu widzów musieli ustąpić. Z Turynu droga wiodła do Medyolanu. O medyolańczykach mówił z odrazą, że już do despotyzmu „przyswojeni". „Nikczemni, nie mają duszy, którąby czuli niewolę. Słuchają nad sobą władzy, która do nich niezrozumiałym językiem mówi".

Po wyjeździe z Lombardyi zaznaczała się wyraźnie odmiana w ludziach: „lud ma coś dumnego, w oczach zuchwałego, nie widzieć w nim tej skromności, ani tej bojaźni, którą w milańskim widziałem". Dalej, już poza Włochami, im bliżej Polski, tem więcej przypomnień jej niedoli.

Po wielekroć widzieli przejeżdżający dezerterów z wojska, których okoliczni chłopi chwytali przez chciwość zysku. Między przyłapanymi byli i Polacy. Współczucie i bezsilność towarzyszyły temu widokowi. „Widziałem, jak wilka, związanego Polaka, czułem jego nieszczęśliwość, lecz w despotyzmie nie można być czułym, nie trzeba żałować ludzi".

Do Wiednia zjechał Staszic z rodziną ordynata Zamoyskiego w końcu lipca, a przebył w stolicy naddunajskiej do połowy grudnia tegoż 1791 roku. Tu już ani na chwilę nie dawała mu spokoju czujna myśl o Polsce. Na spacerach po wałach, gdzie Sobieski i dzielni Polacy leli krew dla uwolnienia Wiednia, który obecnie naród rozszarpał, shańbił. W rozmowach z emigrantami, w wieściach z kraju i o kraju. Przekonywał się, czem jest dusza pana, który wzrósł w kraju, w którym prawo nieczynne. Czepiały się Staszica jeszcze smutniejsze widoki, które mogły już zatrzeć najintensywniejsze wrażenia włoskie. Spotykał młodzież polską, z krajów zabranych, chętnie kształconą w szkołach tutejszych kosztem cesarza, ale też i kosztem polskości. Piętnować musiał plugawe czołganie się „przed byle Niemcem" przyszłych targowiczan: Potockiego, Rzewuskiego i innych; patrzeć—na podłe ich knowania przeciw ojczyźnie własnej, bo ona chciała ich poddać zbawczym dla narodu prawom ogólnym. Wówczas jeden za drugim ściągali do Wiednia różni „z hordy złych Polaków". Chcąc rozerwać myśl, odświeżyć umysł, oddawał się znów Staszic z zapałem studyowaniu miasta, jego osobliwości i życia potocznego. Interesował go w niem więcej stan przemysłu, handlu, oraz centralizm biurokratyczny i wojskowy. Błądził po przedmieściach; widział tam nieraz dom ubóstwa—skutki jego i koszary — przyczynę nędzy. Obserwował często uciechę pospólstwa z widoku ćwiczeń wojska—tego źródła największych nieszczęść ludu. Śledził również według gazet, bieg życia politycznego w Prusach.

Czytał z oburzeniem mowę Hertzberga, „pochlebcy despotów“, który dowodził, że w społeczeństwie musi istnieć stan uprzywilejowany—szlachta. „Tak rozumować jest to sposób dworski“.

Uderzył go kiedyindziej dekret cesarski Leopolda II, wyrzekający na despotyzm ministeryalny—najgorszy i najniebezpieczniejszy—w stosunku do krajów zabranych. Dekret słusznie wykazywał zło, ale nie wskazywał nań lekarstwa. Jedyna ulga w przeświadczeniu, że „despotyzm krain Wiednia i Berlina już doszedł lat dojrzałych“, więc wkrótce chylić się musi ku upadkowi wyczekiwanemu. Widać, jak i w Wiedniu starał się Staszic obserwować, słuchać, badać, ale nie mógł już napewno tak spokojnie ciągle tego czynić, jak we Włoszech. Zbyt głośne dochodziły tu echa z kraju. W Wiedniu skupiało się podówczas, zadzierzgiwało i rozplątywało boleśnie wiele spraw krajowych, mniejszej lub większej wagi dziejowej, ale zawsze budziły one przesmutne echa we wrażliwej nad miarę czasu duszy Staszicowej. Boć już wżerał się coraz natarczywiej w odporne dotąd ciało narodu system austryacki wynaradawiania w interesie monarchii. A na lep tego darmowego szkolnictwa cesarskiego zjeżdżało wówczas do Wiednia „bardzo wiele z nazwiska Polaków, ale z duszy podłych ludzi“, czołgających się „przed ostatniemi gałgany..., aby dzieci w tęż szkołę zarazy wziętemi być mogły“. Ta chciwość rozpasana, karyerowiczostwo, zanik zupełny poczucia godności narodowej, oburzały Staszica do żywego. „Ale uspokoiłem się wkrótce, gdy widziałem, iż owi panowie i szlachta polska dojrzała zupełnie do despotyzmu—a tak prędzej ocaleje reszta kraju“. Był pewien, że lud dojrzał oddawna do obywatelstwa. Spostrzegał i tu w Wiedniu tych „wzgardzonych Maćków“, do niczego niezdatnych, według mniemania szlachty, tych „piecuchów, pijaków, leniuchów“, sprawnie, przytomnie i żwawo pełniących trudy wojskowe. Widywał ich i gdzieindziej przy spełnianiu innych obowiązków. I żal głęboki, szczery bije z jego wyznania prostego, bezpośredniego. „Smutek ogarniał ducha mojego, kiedy sobie przypomniałem, że czego uparta i głupia szlachta w tym człowieku nie chciała uznać, kiedy ją mógł bronić; to dzisiaj z musu uznaje kiedy... tej niewoli stał się narzędziem, a łzy stanęły mi w oczach, gdy pomyślałem sobie: ten mężny lud mógł być obrońcą Polski, który teraz już jest gotów, a stanie się może obrońcą łupieżcy Polski i strzelać będzie na swój ród własny, na Polaków“. Spełniały się obawy Staszica. Głos jego proroczy przebrzmiał prawie bez echa. Ucichł wobec nieprawości targowiczan, niemocy i wahań cnotliwych miłośników ojczyzny, któ-

rych „nadto uważna roztropność i bojaźń“ gubiła. Tym zgrzytem niejako, nawrotem do sprawy włościańskiej, fundamentu odrodzenia kraju, zakończył Staszic swe notaty podróżne.

Przebywał jeszcze w Wiedniu do połowy grudnia 1791 roku, 15 tegoż miesiąca przez Kalwaryę wracał do kraju, nad którym już wisiała groźna chmura najazdu rosyjskiego, pociągającego za sobą kontrrewolucyjny przewrót państwowy — rządy Najjaśniejszej Konfederacyi obojga narodów. Lecz Staszic wobec tych wypadków zachowywał się biernie. Nie nadszedł jeszcze czas działania jego publicznego, więc w dalszym ciągu w Zamościu wiódł „życie od ludzi odosobnione, poświęcił (em) czas na rozeznanie tych wad szkodliwych ogólnej ludzkiej rodzinie, zbierał (em) uwagi nad głównemi epokami zmiany, powstania i upadania w cywilizacyi narodów“. Praca ta ciągła, skupiona, do której materyału niepośledniego dostarczyły te i inne podróże krajowe i zagraniczne, trwać będzie lat kilka, o ile kiedykolwiek się skończy.

Zaostrzy ona w Staszicu zmysł obserwacyjny oraz krytycyzm myślowy; wyzwoli częściowo z pod dodatnich zrazu, a później zbędnych wpływów Voltair'a, Russeau'a i encyklopedystów francuskich, z którymi zżycie się przez lekturę i studya pilne zaznaczały się i w powyższych notatach podróżnych; wydobędzie z pod pewnej przesady teoretycznej samorodną bezpośredniość przekonań, skrystalizuje wreszcie poglądy te w żywy program praktycznego działacza społeczno-politycznego, świadomego swych zadań i ku nim dróg pewnych.

I wówczas dopiero Staszic wystąpi na widownię pracy publicznej.

Bruno Staweno.

# PIŚMIENNICTWO.

DR. MAURYCY STRASZEWSKI, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej. *Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym.* W Krakowie 1912. Nakład Koła Filozoficznego Uczniów Uniwers. Jagiell. 8-ka większa, str. XIII + 511.

Historya filozofii polskiej ma swoje dzieje. Badania na polu historyi filozfii rozpoczęły się w Polsce wogóle dość późno, a przytem specyalnie na rozwój tej nauki w kraju naszym mało zwracano uwagi. Było to niewątpliwie w związku z faktem, że nauka polska wciąż nanowo otrzymywała swe pobudki prawie wyłącznie z zewnątrz, nie mając ani odpowiedniej siły ani tendencyi do czerpania z przeszłości na własnym terenie.

Jedną z pierwszych prac, poświęconych dziejom filozofii w Polsce, a zakreślonych na szerszą miarę, był szkic ks. Krupińskiego, załączony do znanego przekładu „Historyi filozofii" Schweglera (1863). Dzieło to, niegruntowne i nieźródłowe, było przez długi czas, bo do lat ostatnich, jedyną historyą filozofii polskiej.

Pomimo olbrzymiego wzrostu dociekań historycznych na polu filozofii w ubiegłem stuleciu, literatura polska wykazuje niewiele prac, obejmujących większe okresy czasu. Nie brak wprawdzie przyczynków mniejszych, a nawet większych, do historyi systematów filozoficznych, ale dotyczą one przeważnie filozofii obcej. Filozofią polską zajmowaliśmy się do niedawna bardzo rzadko i urywkowo, nie zdobywając się na większe w tym kierunku monografie, wykazujące tendencyę planową i systematyczną.

Można powiedzieć, że jedynym człowiekiem, któremu na sercu leżała systematyczna praca nad naszą przeszłością filozoficzną, był do ostatnich lat Henryk Struve. Już od samego początku swej działalności profesorskiej w uniwersytecie warszaw-

skim Struve poświęcił wiele uwagi filozofii w Polsce, wiążąc z tem niezłomną nadzieję, że z czasem potrafi poruszyć obojętność powszechną w tym kierunku. Praca to była jednak nad wyraz trudna wobec zupełnego prawie braku wyczerpujących i źródłowych dociekań nad wielu objawami myśli filozoficznej w Polsce. Trzeba było samemu do materyałów docierać, materyały te opracowywać i wiązać dopiero w większą całość syntetyczną. Już w „Wykładzie systematycznym logiki“ (1870) dał Struve wyraz swoim poszukiwaniom, których wyniki jednak, zgromadzone na niewielu stosunkowo stronnicach (193—282) nie mogły, oczywista, przedmiotu wyczerpać, tembardziej, iż z samego założenia ograniczały się tylko do logiki. Zamiaru opracowania całkowitej „Historyi filozofii w Polsce“ Struve wykonać nie zdołał, dając tylko pierwszy zeszyt tak zatytułowanego dzieła (1900). Jednakże w trudzie niezmiernym udoskonalił, uzupełnił i wykończył swą historyę logiki w pracy doniosłej „Historya logiki, jako teoryi poznania, w Polsce“ (1910).

Poza wspomnianemi pracami Krupińskiego i Struvego wykazać się możemy tylko kilku monografiami, w przeważnej części przestarzałemi, a w każdym razie pozostawiającemi olbrzymie luki.

Dopiero dzisiaj jednak braki te doszły w pełni do świadomości, i zauważyć można większe wysiłki do ich zapełnienia. Przedewszystkiem przy Akademii Umiejętności w Krakowie utworzono specyalną komisyę do badań dziejów filozofii w Polsce, mającą na celu wydawanie zarówno materyałów rzadkich i rękopiśmiennych, jako też monografii. Z drugiej strony wzmogło się znacznie powszechne zainteresowanie przeszłością filozoficzną Polski, co jest zresztą jednym z wyrazów wzrostu naszego ruchu filozoficznego wogóle.

Maurycy Straszewski, zasłużony profesor wszechnicy Jagiellońskiej, brał niemały udział w budzeniu tego ruchu. Ale z samego rodzaju swego uzdolnienia i zamiłowania nie tylko sam największe położył zasługi w dziedzinie historyi filozofii, lecz w tym kierunku również wychowywał. Owszem, posiada nawet osobną kartę w dziejach naszych poszukiwań historyczno-filozoficznych, jako zamiłowany a niemal jedyny u nas badacz filozofii Wschodu. Z dzieł, dokonanych przez prof. Straszewskiego na polu historyi filozofii rodzimej wymienić można przedewszystkiem obszerną monografię o Janie Śniadeckim (1875), a następnie parę mniejszych rozpraw (o Trentowskim, o Libelcie, o Kremerze i in.) oraz odczytów.

Te rozległe studya historyczne obok gruntownej znajomości literatury polskiej, na którą się często w wykładach zarówno, jak książkach, lubił powoływać, wskazywały, że możnaby po nim oczekiwać czegoś wielkiego na polu filozofii polskiej. Niestety, działalność na katedrze pozwalała mu wogóle być bardzo skąpym w działalności literackiej, i dopiero ustąpienie ze stanowiska profesora uczyniło go bardziej szczodrym pod tym względem. Gdyby nie obawa przed podejrzeniem o złośliwość, moglibyśmy powiedzieć, iż ustąpieniu Straszewskiego z katedry zawdzięcza polska literatura naukowa niejedną rzecz poważną i płodną w następstwa.

W ostatniem półroczu swych wykładów uniwersyteckich Straszewski wygłosił swe „Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym“. Słuchacze, którzy skupili się na tych wykładach, postanowili rzecz tę wydać w druku i skłonili profesora do opisania wygłoszonych myśli i idei. Tak powstała książka, zakrojona z początku na tom jeden, a następnie, w miarę coraz dokładniejszych studyów, rozszerzona do trzech tomów, z których pierwszy został właśnie ogłoszony.

Z powodów wyłuszczonych wyżej dzieło to powitać musimy z żywą radością i wdzięcznem sercem. Uczucia te wzmagają się jeszcze podczas czytania, gdyż, jak sam autor uprzedza w przedmowie, dzieło nie jest pisane na chłodno: ożywiają je gorący patryotyzm, umiłowanie nauki ojczystej wogóle, a filozofii w szczególności, wżycie się w owe dawne, opisywane tu, postaci, do których nawiązuje się tyle nici wspomnień dziejowych. Uczucia te jednak nie powinny nas powstrzymywać przed bacznem wejrzeniem w układ i metodę dzieła, nie powinny tembardziej, że rzecz dotyczy właśnie dziedziny tak stosunkowo surowej, tak mało znanej i opracowywanej, a przecież tak bardzo dla nas ważnej, tak drogocennej.

„Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym“ rozpoczynają się ustępem, zatytułowanym: „Pochodzenie i pierwotne siedziby Polan“. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, iż jest rzeczą zbyteczną rozpoczynać *ab ovo*, kiedy chodzi tylko o wiek 19-ty. Jednakże w dziele niniejszem ma to usprawiedliwione przyczyny i cele. Rozpoczynając od pierwotnych dziejów Polan i kreśląc w szerokich zarysach główne etapy życia politycznego Polski, prof. Straszewski wydobywa stąd pewien wskaźnik charakterologiczny: chodzi mu mianowicie o genetyczne zobrazowanie charakteru umysłowości polskiej. Oto stwierdza autor tragiczny rys w dziejach narodu polskiego, wypływający nie tylko stąd, że „jego ziemia i własną plemienna natura takie

są podatne i przystępne“ dla wpływów zewnętrznych, lecz również z tego względu, że siedziby jego znalazły się na rozdrożu dwuch kultur, dwuch światów: wschodu i zachodu.

Obszerna ta podstawa dziejowa pozwala autorowi wniknąć głęboko w zasadnicze cechy i rysy ducha narodowego, które dalszej pracy umysłowej nadają kształt i kierunek. Z tych więc względów, ale z nich tylko, da się ta strona czysto historyczna usprawiedliwić.

Wszelako dzieje zewnętrzne nie wyczerpują całkowicie źródeł umysłowości. Nadawać one jej mogą charakter, torować niejako drogę, po której się toczyć będzie, ale nie obdarzają treścią, nie wyznaczają jak gdyby ładunku, który będzie przewoziła. Ten ładunek, ta treść integralna filozofii polskiej — płyną ku niej z nauki wogóle, a nauki własnej w szczególności. Dla tego ważnem niezmiernie jest uwzględnienie w każdym okresie filozofii polskiej zarówno aktualnego stanu zagadnień naukowych w Europie, jako też instytucyi oświatowych i naukowych, jakie w danej chwili w Polsce istniały i wpływ swój krzewiły.

Nacisk i szerokie uwzględnienie tych dwóch pierwiastków, czysto historycznego i naukowego, zasługują w dziele prof. Straszewskiego na najsilniejsze wyróżnienie i podkreślenie, tembardziej, iż przy kreśleniu dziejów naszych dawnych instytucyi oświatowych przytoczone tu zostają rysy nader charakterystyczne, a przecież popiołem niepamięci przysypane.

U progu XIX stulecia trzy spuścizny naród polski otrzymał, które go przy życiu i postępowaniu naprzód wspomagały aż dotąd, a pewno i dalej wspomagać będą. A oto te trzy spuścizny w określeniu Straszewskiego: po pierwsze, „ta przecudna dla myśli szata, to mowa polska, taka, jak ją okres Stanisławowski wykształcił“; podrugie, „tradycya i przykład konfederacyi Barskiej“; potrzecie „wzmocnione poczucie polskiej państwowości“.

I oto z silną świadomością tej spuścizny troistej powstaje Towarzystwo przyjaciół nauk, którego celem, staje się według słów jego pierwszego prezesa Jana Albertrandego „licznemi pierwszorzędnemi dziełami przyłożyć się do pomnożenia dostatku literatury, abyśmy, tym sposobem, w narodach obcych chęć wzbudzili nabywania dostatecznej wiadomości naszego języka, a tem samem rozprzestrzenili sławę nauki narodowej“.

Z tej samej mowy przytacza prof. Straszewski słowa naówczas dziwne i groźne, które podkreśla słusznie, jako proroczym tchem owiane: „Jeżeli zaniedbacie — wołał Albertrandy — wsparcia nauk narodowych, jeżeli nie przyłożycie usilnej do tego pracy,

to inni zastąpią was, obmyślą nauczycielów, naznaczą wzory, przepiszą nauki, ale *ci nauczyciele, te wzory, te nauki — narodowymi nie będą*, a przeciwnym, niźli lud niegdyś Izraela, sposobem w ziemi waszej obcą wam pieśń nucić przykażą. Chełpliwie nawet obijać się o uszy wasze będą głosy przychodniów, niezasłużoną sobie chwałę przywłaszczających, iż was z dzikości, z barbarzyństwa, z grubej rzeczy najpotrzebniejszych niewiadomości, wyprowadzili".

W takich i tym podobnych żywych przykładach prof. Straszewski zobrazować usiłuje dzieje dawnej nauki polskiej i instytucyi oświatowych polskich. I trzeba przyznać, że zarówno podstawa polityczno-psychologiczna w wyżej określonem znaczeniu, jako też naukowo-pragmatyczna nie pozostawiają nic do życzenia. Czytelnik wchodzi w świat myśli filozoficznej polskiej całkowicie uzbrojony w potrzebną wiedzę i punkty oryentacyjne dla uchwycenia wątku tej myśli i jej drogi w ciągu wieku XIX.

Niestety jednak, o ile sama podbudowa dzieła wydaje się solidną, trwałą i mocną, o tyle jego fasada grzeszy wieloma brakami architektonicznymi. Mówiąc niefiguralnie, ta książka historyczno-filozoficzna jest doskonała pod względem czysto historycznym, ale nie może zadowolić pod względem filozoficznym.

Już ta obszernie, wytrawnie, głęboko i celowo traktowana podbudowa historyczna zdawała się wymagać, aby i sama myśl filozoficzna, stanowiąca treść integralną dzieła, była ujęta z jakiegoś wyższego punktu dziejowego, na co niewątpliwie pozwala już przebieg czasu, dzielący nas od zjawisk opisywanych. Jeżeli nawet na „uleżenie się" przedmiotu dziejowego potrzeba „stu lat", to przecież już te sto lat ubiegło. Myśl filozoficzna wieku XIX, a tembardziej jego początków, może być doskonale ujęta z perspektywy i nie potrzeba już zagłębiać się w szczegóły, aby się gubić.

Szczegółów, i to szczegółów niezmiernie ważnych, przyznać trzeba, nie brak w dziele prof. Straszewskiego. Ale przebiegu „myśli filozoficznej" polskiej nie widać, a przynajmniej nie widać wyraźnie. Są to raczej dzieje *książek* filozoficznych, niż *myśli* filozoficznej. Tak więc zbyt formalne traktowanie dziejów, zbyt chronologiczna metoda zaszkodziły dziełu bardzo poważnie. Autorzy są tu rozbici na poszczególne okresy swej twórczości. Nie otrzymujemy całkowitej ich sylwetki duchowej odrazu, lecz poszczególne rysy, odbite w kolejno po sobie następujących dziełach. Prowadzi to nie tylko do powtarzania szczegółów już poznanych u tego samego autora, lecz do powtarzania tej samej

myśli u różnych autorów. I było to przy takiem traktowaniu sprawy nieuniknione; gdy zaś prof. Straszewski z łatwo zrozumiałych względów tego uniknąć próbował, musiały się zdarzyć luki: rzecz podkreślona u jednego myśliciela, musiała być tylko wzmiankowana u drugiego.

Przyczyniła się do tego prawdopodobnie chwalebna skądinąd chęć niepomijania czegokolwiek, co mogło lub — winno było mieć znaczenie w swoim czasie. A chęć ta wpłynęła też i na to, że prof. Straszewski nie ogranicza się do wysuwania znanych lub nawet znakomitych postaci i dzieł, lecz wspomina o wielu autorach mało znanych lub wcale nieznanych ze strony filozoficznej. Jakkolwiek tego za błąd zasadniczy uważać nie można, to jednak w szczegółowem rozprowadzeniu takiej metody trudno było uniknąć wciągnięcia w zakres dzieła autorów, bardzo pośrednie albo wcale luźne mających związki z filozofią jako taką. Dla tego też obraz ogólny wygląda może pokaźniej, niż na to zasługuje. Jest to zresztą błąd popełniany bardzo często przez naszych historyków lub kronikarzy ruchu filozoficznego: chcąc przedstawić ten ruch w świetle możliwie pełnem, wciągają do filozofii dzieła z różnych zakresów wiedzy, mających jakiekolwiek tchnienie ogólniejsze. Dla tego z pozoru wygląda nasza filozofia, zwłaszcza w sprawozdaniach pisanych dla „Europy“, bardzo imponująco ze względu na liczbę, choć ze względu na jakość tych dzieł zawsze byliśmy za Europą w tyle. Żeby to twierdzenie nie było gołosłowne, dość powołać się na bibliografię filozoficzną, sporządzaną przed paru laty przez prof. ks. Radziszewskiego, na kronikę naszego ruchu filozoficznego, umieszczoną niedawno przez dr. J. Halperna w „Archiv für Philosophie“ (jest tam sto kilkadziesiąt tytułów, odnoszących się do półtora roku), wreszcie na szkic samego prof. Straszewskiego w kompendium Ueberwega (t. IV, wyd. 10-te), szkic obejmujący nazwiska wybitnych naszych przyrodników, socyologów, a nawet literatów (Przybyszewski), figurujących w końcu księgi w indeksie nazwisk filozofów europejskich XIX stulecia.

Jeżeli przyjemnie i korzystnie jest wiedzieć o dorobku naukowym swego narodu, to o wiele przyjemniej i korzystniej jest mieć pewność, że ta wiedza nie jest przesadzona przez chęć widzenia i pokazania więcej, niż jest w istocie. Dla tego też, nawet rozumiejąc idealne pobudki, jakie autorem kierowały, niezawsze możemy się zgodzić z metodą, która mu kazała w niektórych ustępach odbiegać od materyału faktycznego i kreślić linie *możliwego* rozwoju. Czem jakiś autor mógł być, gdyby nie dane

warunki, o to trudno się spierać, w każdym razie nie należy to do objektywnej historyi.

Zbyt wiele też doszukuje się prof. Straszewski pierwocin idei powszechnych u filozofów polskich: wyszukuje najdalsze analogie, aby tylko módz twierdzić, że myśl dana rodem była z Polski. Np. przytaczając myśl Staszica, że życie na ziemi podlega prawom rozwoju i doskonalenia, twierdzi autor, że Staszic był jednym z pierwszych przedstawicieli ewolucyonizmu, przyczem „nie w duchu późniejszego darwinizmu, raczej w duchu lamarkizmu“; jednakże w imię prawdy musi autor o parę wierszy niżej podkreślić, że o zmienności gatunków mowy u Staszica być nie może. Tego rodzaju uwagi o pochodzeniu jakiejś idei z Polski mogą pochlebiać wprawdzie dumie narodowej, lecz jest to duma nieraz nieusprawiedliwiona.

Ale, jak powiedziano wyżej, wszystkie te usterki wypływają z jednego niezaprzeczonego faktu, że mianowicie dzieło nie jest pisane na chłodno, lecz przeniknięte jest uczuciem od początku do końca. Usterki te nie niweczą też olbrzymich zalet książki, przeciwnie, może je nawet bardziej uwypuklają. A w każdym razie naruszyć nie zdołają zasługi podjęcia i wykonania już w części dzieła pod wielu względami epokowego i opokowego.

Dr. A. Zieleńczyk.

---

DR. ALEKSANDER ŁUCKI. *Epos szlacheckie Kazimierza Brodzińskiego.* Kraków, 1912. Nakładem autora.

P. Łucki, zajmujący się specyalnie twórczością Brodzińskiego, autor obszernego studyum o młodości poety, wydawca jego „Nieznanych poezyi“ i „Nieznanych pism prozą“—daje w powyższej rozprawie ciekawy przyczynek do dziejów pomysłu epopei szlacheckiej Brodzińskiego, p. t. „Dwór w Lipinach“ i uzupełnia znane już ułamki tego poematu nowymi fragmentami, odnalezionymi w papierach Dmóchowskiego, w Bibliotece Jagiellońskiej.

Jeszcze w r. 1870 ogłosił Dmóchowski w „Bibliotece Warszawskiej“ artykuł o Brodzińskim, w którym podał wiadomość o nieznanym dotąd pomyśle poematu epickiego i z odnalezionych przez siebie fragmentów wydrukował trzy wyjątki. Pierwszy z nich, najobszerniejszy, dawał niejako ekspozycyę całości (scena pomiędzy Kazimierzem, właścicielem Lipin, a jego córką Hanną), drugi fragment był waryantem początku pierwszego, trzeci

wreszcie, nie łączący się treściowo z poprzednimi, pisany heksametrem, był wstępem do jakiegoś opowiadania o przebytych wojnach.

Tyle wydrukował Dmóchowski, choć znał niewątpliwie więcej ułamków, a nawet plan całego poematu, jak o tem świadczy komentarz, którym zaopatrzył powyższe fragmenty. Idąc za wskazówkami tego komentarza, znalazł p. Łucki w papierach Dmóchowskiego kilka fragmentów nowych, odnoszących się do „Dworu w Lipinach“ i wydrukował je na końcu swojej rozprawki. Okazuje się z tego, że do znanych dotychczas 96 (z waryantami 126) wierszy poematu, dochodzi obecnie 53 (z waryantami 73) nowych. Ponieważ zaś sam pomysł tego poematu i przypuszczalny jego plan jest z wielu względów bardzo ciekawym przyczynkiem do mało dotychczas zbadanej i ocenionej twórczości Brodzińskiego—warto więc, choćby pokrótce, zdać sprawę z rezultatu badań p. Łuckiego.

Plan całego utworu rekonstruuje on (na podstawie zachowanych fragmentów i wskazówek Dmóchowskiego) w sposób następujący:... „Zachowany początek utworu—to widać chwila, kiedy Hanna, kochająca Wacława i pewna jego wzajemności, oczekuje jego przyjazdu i uroczystych oświadczyn; stąd jej staranny strój, wyglądanie ku drodze, oraz pewne podniecenie, objawiające się także w zdwojonej czułości dla ojca, wybuchu łez i t. p.; ojcu jednak nie wyznała dotychczas tajemnicy—i zapewne dopiero w następujących bezpośrednio dalej ustępach miało nastąpić jej zwierzenie się, a potem przyjazd Wacława, oświadczyny oraz zaręczyny... Dalsze plany krzyżuje wszakże na razie, ogłoszona właśnie wojna r. 1812, gdyż Wacław, jako dobry syn ojczyzny, rusza bez wahania na wyprawę... Poemat miał jednak sięgać poza rok 1812, jak tego dowodzi wprowadzone w księdze trzeciej opowiadanie jednego z uczestników wyprawy, Wodzisława, o przebytej kampanii. Przypuszczać więc należy, iż Wacław miał powrócić szczęśliwie z wojny i poślubić Hannę — ku uszczęśliwieniu ostatnich lat zacnego jej ojca“... (str. 9).

Są to oczywiście tylko domysły, bo oprócz dochowanego wstępu, cała reszta poematu mogła się odbyć zupełnie inaczej—ale ostatecznie domysły te są prawdopodobne, jeżeli się weźmie pod uwagę sielankowe teorye i skłonności Brodzińskiego. Ważniejszą jednak kwestyą, niż plan poematu, jest jego geneza i pomysł i temu właśnie zagadnieniu poświęca p. Łucki drugą część swojej pracy.

Dowiadujemy się z niej przedewszystkiem, że nad utworem tym pracował Brodziński w r. 1824, podczas podróży zagranicę, autograf bowiem urywku nosi wyraźną datę: „28. lipca 1824 r. w Karlsbadzie“ (dotychczas datę tę określano na r. 1824, 1825, a nawet 1828).

Pozatem p. Łucki słusznie zwraca uwagę na fakt, że w zachowanych fragmentach mamy dwa odrębne pierwiastki t. j. zarody sielanki szlacheckiej i wspomnienia z kampanii Napoleońskiej. Powstaje więc pytanie, jaki stosunek zachodzi między tymi dwoma pierwiastkami, czy miały one wejść do jednego poematu, czy powstały w pewnej łączności z sobą czy też osobno, a w takim razie kiedy i pod wpływem jakich okoliczności nastąpiło połączenie ich w jedną całość.

Co do kwestyi pierwszej, t. j. czy oba te elementy miały wejść do jednego utworu—przytacza p. Łucki przekonywające dowody, że tak było istotnie. Świadczy o tem zarówno notatka Dmóchowskiego, jak i własnoręczny napis poety nad początkiem opowiadania o wyprawie Napoleońskiej: „Z pieśni 3-ciej“ dowodzący, że miało ono być częścią jakiejś większej całości. Co się jednak tyczy sposobu, w jaki połączyły się oba te pierwiastki, to wywody autora wydają mi się mniej przemawiające do przekonania. Przypuszcza on, że Brodziński pierwotnie traktował „oba te pierwiastki zupełnie odrębnie, jako materyały do dwóch różnych poematów, że więc zupełnie osobno rzucał na papier swe wspomnienia na tle r. 1812, nadając im formę heksametrów... osobno zaś planował poemat sielankowy, a więc bezpretensyonalną idyllę szlachecką, którąby stanowiła *pendant* do Wiesława“, a zrealizowała postulaty, wypowiedziane przez poetę w r. 1823, w rozprawie o „Idylli pod względem moralnym“. Miało tam być odmalowane życie szlachty polskiej w epoce Napoleońskiej — w ślad za tym wyborem epoki zrodziła się pokusa odmalowania w poemacie kampanii rosyjskiej, wtedy też miała przyjść poecie myśl wcielenia doń owego osobno powstałego opisu r. 1812.

Otóż według mnie niema dostatecznej podstawy do przypuszczania, że obydwa te pomysły powstały osobno, jako odrębne całości, a później dopiero zostały połączone z sobą. List Brodzińskiego do Czelakowskiego nie uprawnia do tego bynajmniej. Pisze tam poeta, że pracuje „nad długim poematem z polskiej historyi“. Czelakowski zaś donosi w tym samym czasie Józefowi Kamarytowi (poecie czeskiemu), że Brodziński „ułożył sobie plan heroickiego poematu z historyi polskiej“. Z tych wypowiedzeń można wywnioskować tylko jedno, a mianowicie, że poeta plano-

wał większy utwór na tle historycznem i że był nim prawdopodobnie „Dwór w Lipinach“, ale nie wynika z nich bynajmniej, że utwór ten miał się składać z dwóch początkowo odrębnych pomysłów. Na to nie mamy żadnego świadectwa. Dlatego też prościej i naturalniej byłoby odrzucić wprost hipotezę o dwóch pomysłach, jednym historycznym, a drugim sielankowym, bo jest ona zupełnie niepotrzebna i nie wyjaśnia kwestyi dlaczego oba te pierwiastki połączyły się z sobą. Wyjaśnienie natomiast znajdziemy gdzieindziej i sam autor nawet o tem napomknął nawiawiasowo, ale nie rozwinął dostatecznie swojej myśli. Chodzi mianowicie o to, że wybór epoki dla tej sielanki, a mianowicie czasów Napoleońskich, nietylko „zrodził pokusę—jak powiada autor—odmalowania w poemacie kampanii rosyjskiej“—ale ten pierwiastek historyczny poprostu z *konieczności* narzucał się sam przez się. Pisać utwór na tle tych czasów, a pominąć zupełnie to, co stanowiło ich najznamienniejszą cechę, w czem się skupiał nastrój i ton epoki, było absolutną niemożliwością, nawet dla takiego fanatyka sielanki, jakim był Brodziński. Bardzo możliwe, że miał on początkowo zamiar napisać tylko sielankę, w przeciętnem, typowem tego słowa znaczeniu. Ale w trakcie pisania, czy też obmyślania planu poematu, element historyczny, sprzeczny z nastrojem sielankowym, bo przynoszący z sobą burzę i nieszczęście—wcisnął się tam zupełnie mimo woli poety, wbrew jego upodobaniom, skłonnościom, wbrew pracowicie wysnutym teoryom. Wcisnął się jako *konieczność życiowa* i rozsadził pierwotny plan, a może nawet przyczynił się (jak słusznie autor zaznacza) do zupełnego zaniechania poematu, z powodu niemożności zharmonizowania tych dwóch elementów.

I to jest właśnie bardzo ciekawe i charakterystyczne zarówno dla epoki samej, jak dla twórczości Brodzińskiego, a szczególniej dla jego teoryi estetycznych. Absolutna, niczem niezamącona sielanka okazała się niemożliwą do przeprowadzenia nawet w poezyi. Życie narodowe rozwijało się wówczas na zgoła odrębnych podstawach, płynęło zupełnie innem łożyskiem, niż to sobie Brodziński wyobrażał w swoich sztucznych teoryach. Ten prąd życia porywał z sobą i „sielankopisarzy“ wraz z ich teoryami, porywał ich, mimo ich woli, ukazywał się tam, gdzie tego najmniej pragnęli, t. j. w ich własnych utworach poetycznych, które miały być tego prądu zaprzeczeniem. Wszak i w „Wiesławie“ mamy odgłosy dalekiej burzy dziejowej, mamy je w utworach Godebskiego, Reklewskiego i innych—w „Dworze w Lipinach“, wreszcie dochodzi do tego, że element historyczny niweczy cały

plan poematu i doprowadza do zaniechania go zupełnego przez poetę. Uczucia jego i teorye sielankowe nie pozwalają na psucie nastroju przez wprowadzanie do poematu wojny—rodzaj zaś jego talentu nie pozwala mu na stopienie i zharmonizowanie obu pierwiastków, na danie wyrazu artystycznego temu, co w życiu narodowem przedstawia istotną siłę i wartość.

Oto jeszcze jeden dowód, do czego prowadzą teorye estetyczne, oderwane od życia. Próżne też są żale p. Łuckiego, że Brodziński „nie zdecydował się powrócić do planów pierwotnych, t. j. do traktowania oddzielnego obu pomysłów“, że nie wykończył opisu kampanii r. 1812, jako całości samej dla siebie—oraz owej sielanki szlacheckiej według teoryi, wyłożonej w rozprawie z r. 1823. Autor twierdzi, że „utwór... tego zakresu i tych rozmiarów, mógł się poecie naszemu udać doskonale“... (str. 16) Z tego stanowiska jednak z jakiegośmy powyżej ocenili całą historyę „Dworu w Lipinach“—wynika jasno, że to się właśnie stać nie mogło, że Brodziński takiego utworu, ze względów zasadniczych napisać nie mógł.

W osiem lat później taki sam mniej więcej problemat stanął przed Mickiewiczem, zabierającym się do skreślenia sielanki na wzór „Hermana i Dorotei“. I tutaj tak samo wtargnął element historyczny i przekształcił cały pierwotny plan, z zamierzonej sielanki uczynił epopeę narodową. Ale tutaj cała sprawa roregrała się na gruncie innego rodzaju organizacyi duchowej, u człowieka, który miał zawsze wstręt do wszelkiego rodzaju systemów i systemików, który stał zawsze w środku życia narodowego i wcielał zawsze w kształty artystyczne to, co było tego życia najgłębszym nurtem. Nie był do tego zdolny „ptak małego lotu“ — Brodziński. W każdymbądź razie samo zjawienie się w jego twórczości tego rodzaju problematów jest bardzo charakterystyczne i zbliża tę postać jeszcze bardziej do późniejszej poezyi romantycznej, dowodzi, że istniały w niej w zarodku pewne sprawy i zagadnienia, które dopiero później, pod tchnieniem geniuszu mogły się rozwinąć i dojrzeć, że był on już wewnętrznie, uczuciowo, może nieświadomie synem nowej epoki, ale zbyt słabym jeszcze duchowo, aby módz stanąć na jej czele.

Jakkolwiek p. Łucki nie wyzyskał w zupełności i to w tym kierunku mianowicie, odnalezionego przez siebie materyału, to jednak samo poruszenie tej sprawy, umożliwienie bliższego poznania dziejów pomysłu „Dworu w Lipinach“, przez sumienne zebranie fragmentów i rekonstrukcyę całego planu (nie mówiąc o wielu

cennych uwagach rozproszonych po całej rozprawce) — stanowi niewątpliwą i rzetelną zasługę jego pracy.

M. Kridl.

---

Z. BRENTANO. *Der Schutz der Arbeitswilligen*, Berlin 1912. *Ueber Syndikalismus und Lohnminimum zwei Vorträge*, Monachium 1913.

Znany uczony monachijski, prof. Z. Brentano, wygłosił przed niedawnym czasem trzy odczyty, w których streścił swe poglądy na sprawę robotniczą. Odczyty te prof. Brentano wydał następnie w książkach wraz z załącznikami i dokumentami.

Wśród współczesnych prądów społecznych robotniczych odróżnia prof. Brentano dwa zasadnicze kierunki, zarysowujące się coraz wyraźniej i nadające fizyonomię całemu ruchowi: z jednej strony syndykalizm, a z drugiej—ruch, zmierzający ku „nowemu zorganizowaniu stosunku pracy na zasadzie umowy zbiorowej".

Syndykalizm współczesny ma swe główne siedlisko we Francyi i innych krajach romańskich. Treścią jego jest: stanowisko wrogie względem państwa współczesnego, jako wytworu ustroju burżuazyjnego i narzędzia w ręku burżuazyi, mającej własne tylko cele na widoku i działającej zawsze wbrew interesom ludu,— dalej, stanowisko wrogie względem parlamentaryzmu, gdyż przez parlamentaryzm robotnicy zatracają swe ostre poczucie odrębności klasowej, a przeprowadzenie wielkiej reformy społecznej legalną drogą prawodawczą jest złudzeniem,—stanowisko wreszcie wrogie wszelkiej dążności do poprawienia losów klasy robotniczej drogą ewolucyi. Syndykaliści dążą do zmiany obecnego ustroju społecznego na komunistyczny drogą t. zw. „czynu bezpośredniego" (action directe), przez który rozumieją załatwianie swych spraw wprost przez klasę robotniczą, bez mandatu osób trzecich. Dla tego celu robotnicy organizują się w związki, „syndicats", mające odegrać rolę decydującą w przebudowie systemu społecznego; stąd ich nazwa—„syndykaliści". „Czyn bezpośredni" niekoniecznie — zdaniem syndykalistów — musi być gwałtownym, ale może być nim.

Cztery są zasadnicze rodzaje „czynu bezpośredniego": strejk, który opierać się winien zawsze na szybkości działania, a nigdy na rachubach i „burżuazyjnej" zasobności kas strejkowych robotniczych, — marka, z której pomocą robotnicy mogą okazać swoją siłę, jako konsumenci, kupując tylko przedmioty marką opatrzone, bojkot danego pracodawcy lub kupca,—i wreszcie słynny „sa-

botage", wyraz, którego dosłownie przetłómaczyć po polsku niepodobna, a który w przybliżeniu określić można słowem „żmuda". „Sabotage" polega, według definicyi prof. Brentano, „na systematycznem zaniedbywaniu interesów pracodawcy", a wyrażać się może w sposób nader różnolity: w powolności w pracy, w marnotrawieniu i niszczeniu materyału i narzędzi, w zbyt pedantycznem przestrzeganiu przepisów, obowiązujących w danym zakładzie, w odsłanianiu przed klientelą braków towaru i t. d.

Syndykaliści nie mówią jasno, w jaki sposób dokonać się ma przewrót społeczny i jak będzie wyglądał przyszły ustrój. Wiadomo tylko, że są oni wrogami centralizmu i występują przeciw państwu przyszłości, idei socyaldemokratów, jako zbyt zcentralizowanemu i biurokratycznemu, a przyszły ustrój wyobrażają sobie w postaci federacyi bądź gmin (Francya), bądź syndykatów (Włochy), spełniających wszelkie funkcye gospodarcze i regulujących wytwórczość. Obraz to nader mglisty, ale syndykaliści sami to przyznają i utrzymują, że nie należy zbytnio zaprzątać sobie głowy troską o przyszłość, gdyż osłabia to tylko entuzyazm, a przyszłość budować należy na entuzyazmie.

Równie mgliste, jak przyszły ustrój, są i drogi, jakiemi syndykaliści dążą do jego urzeczywistnienia — sabotage i strejk powszechny.

Z innych cech charakterystycznych syndykalistów zaznaczyć należy ich bardzo wybitny i ostry antymilitaryzm i osobliwą teoryę, głoszącą, że bynajmniej nie większość w społeczeństwie powołana jest do decydowania o losach społeczeństwa, lecz energiczna i zdecydowana mniejszość, w danym wypadku—oni.

Idee syndykalistów wogóle są bardzo blizkie anarchistycznym. Za ich twórcę i ojca duchowego uchodzi Jerzy Sorel, niesłusznie zresztą, gdyż, jak stwierdza Brentano, pokrewieństwa syndykalizmu doszukiwać się należy w ruchu robotniczym angielkim w wieku ubiegłym i w teoryach Bakunina.

Przyczynę powstania i rozwoju syndykalizmu w Europie romańskiej Brentano upatruje, poza tendencyami rewolucyjnemi krajów romańskich wogóle, w słabości organizacyi robotniczych w tych krajach. „Jeden z przywódców związków zawodowych angielskich — pisze Brentano — powiedział raz na kongresie dawnej międzynarodówki: Gdy chodzi o to, żeby głosować nad rezolucyami, nasi francuscy przyjaciele są zawsze gotowi podnosić ręce do góry, ale skoro wypada sięgać do kieszeni, niema ich wtedy".

Istotnie — organizacye robotnicze francuskie są słabe pod względem kasowym, co uniemożliwia im wszelką poważną akcyę

pod hasłem pokojowej ewolucyi społecznej na gruncie istniejącego porządku, lecz pcha robotników na drogę gwałtownych eksperymentów. Według danych prof. Rista, przytoczonych przez Brentana, przeciętna składka roczna członka stowarzyszeń robotniczych francuskich wynosi 2 fr. 76 ct., niemieckich (należących do Komisyi generalnej)—32 fr. 60 ct., stu najsilniejszych angielskich—42 fr. 50 ct. Suma ogólna składek rzeczonych związków wynosi we Francyi 1,353,260 fr. rocznie, w Niemczech — 59,729,607 fr., w Anglii — 62,332,050 fr.

Poza krajami romańskimi syndykalizm dotąd niewielu znajduje zwolenników; w Niemczech istnieje szczupła garstka t. zw. anarcho-socyalistów, w Anglii w ostatnich czasach daje się zauważyć pewien radykalny ruch robotniczy o tendencyach, przypominających nieco w pewnych objawach dawnych syndykalistów. Brentano tłómaczy to jednak, po pierwsze, panującem dziś w Anglii rozgoryczeniem robotników wskutek pogorszenia ich losu w ostatnich latach, co wywołanem jest z kolei dzisiejszą drożyzną i częstemi w obecnych czasach niepowodzeniami robotników w zatargach z silnymi nadzwyczaj związkami pracodawców,—po drugie zaś — okolicznością, że dziś w Anglii organizują się niższe warstwy robotnicze. Powstałe w drugiej połowie ubiegłego stulecia w Anglii związki robotnicze obejmowały w swem łonie wyłącznie wyższe warstwy z pośród robotników i po przejściu pewnego okresu niepokoju weszły na tory spokojniejsze. Dziś kasyer związku zawodowego angielskiego ma w sobie coś z dyrektora wielkiego banku, cieszy się z nagromadzonych zasobów i nierad puszcza się na flukta interesów ryzykownych. W ostatnich wszakże latach zaczęli się w Anglii organizować w związki zawodowe robotnicy niewykwalifikowani, przedewszystkiem robotnicy portowi—proletaryat wśród proletaryatu. Nowe te, niewyrobione żywioły poszły, jak to zawsze bywa w początkach każdego ruchu zawodowego, drogą ostrych strejków, co łącznie ze wzmiankowaną poprzednio drożyzną i niepowodzeniami strejkowemi robotników, istotnie nadaje ruchowi robotniczemu w Anglii pewne zabarwienie radykalne, dalekie jednak od właściwego syndykalizmu.

Drugim, wręcz przeciwnym w treści swej i istocie, kierunkiem, jaki się uwidocznia we współczesnym rozwoju sprawy robotniczej, jest kierunek, dominujący w Australii, Nowej Zelandyi, zdobywający sobie Kanadę, rozpowszechniający się coraz bardziej w Anglii i coraz więcej zyskujący gruntu pod nogami w Niemczech. Kierunek ten dąży do stworzenia nowego układu

stosunków między kapitałem i pracą na podstawie umów zbiorowych.

W wiekach średnich i następnie aż do wieku XVIII-go, płace robotników i wogóle warunki pracy były regulowane z góry przez władze, przyczem organizacye czeladników wywierały obok cechów, wpływ na unormowanie stosunków pracy. Od chwili rozwoju wielkiego przemysłu i rozpowszechnienia się prądów i teoryi liberalnych robotnik uznany został za sprzedawcę towaru „praca“, za kontrahenta, równego pracodawcy, wolnego od wszelkiego wtrącania się władzy do jego kontraktu z pracodawcą. Wynikiem tego było wielkie pogorszenie się warunków pracy, ponieważ robotnik, postawiony oddzielnie, bez opieki prawa i bez podpory organizacyi, które zostały zakazane i ścigane, faktycznie był bezbronny wobec pracodawcy.

Ruch robotniczy przybrał wówczas właśnie formy najgwałtowniejsze.

Ciągłe zamachy gwałty, strejki skłoniły wreszcie społeczeństwo do szukania wyjścia z położenia, które stało się niemożliwem. Organizacye robotnicze uznano za legalne, a państwo zaczęło wglądać w stosunki pracy z kapitałem. Obok tego wskrzeszono w nowej formie dawną, średniowieczną umowę zbiorową. Mianowicie w r. 1860, niezależnie jedno od drugiego, wprowadzili umowy zbiorowe: w Nottingham przemysłowiec, a późniejszy minister w ministeryum Gladstone'a, Mundella, w postaci urzędów pojednawczych, a w Wolverhampton — sędzia hrabstwa, Rupert Kettle, w postaci sądów rozjemczych.

Od tego czasu istytucya urzędów i sądów rozjemczych i umów zbiorowych znajduje coraz większe rozpowszechnienie, zwłaszcza w krajach nowych z ludnością anglo-saską. W Wiktoryi, a następnie za jej wzorem w Australii Południowej i w Kraju Królowej, punktem wyjścia umów zbiorowych były stosunki, panujące w chałupnictwie. Chałupnicy, mianowicie, nie byli w stanie sami zapewnić sobie należytych warunków pracy, wskutek tego państwo zaprowadziło urzędy płacy, złożone z przedstawicieli pracodawców i robotników, które ustanawiały minimum płacy z mocą prawa. Następnie rozszerzono tę instytucyę i na inne gałęzie pracy. W Nowej Zelandyi, Nowej Walii Południowej, Australii Zachodniej i Związku australijskim natomiast zaprowadzono sądy rozjemcze, przed które muszą być wnoszone wszelkie spory w dziedzinie pracy i których wyroki posiadają moc obowiązującą. W ostatnich wreszcie czasach wprowadzono kombinacyę jednego systemu z drugim.

Anglia i Kanada wzięły sobie za wzór instytucye australijskie i rozpowszechniają je również u siebie. W Anglii w r. 1909 ministeryum Asquitha zaprowadziło dla czterech gałęzi chałupnictwa urzędy płacy dla stanowienia minimum płac—na wzór wiktoryjski. Dn. 29 marca 1912 r. zaś zostały zaprowadzone takież urzędy dla górników w kopalniach węgla i rudy żelaznej. W Belgii, Francyi i Austryi na porządku dziennym znajduje się sprawa urzędów płacy w chałupnictwie.

Niezależnie od urzędów i sądów, których postanowienia i wyroki mają moc obowiązującą, rozwinęły się w krajach anglo-saskich i germańskich umowy zbiorowe bez sankcyi prawa. Rzecz polega na tem, że związek lub związki robotnicze pewnej gałęzi pracy w danem miejscu oraz takiż związek pracodawców zawierają przez swoich przedstawicieli umowę na pewien przeciąg czasu co do warunków pracy, co zabezpiecza obydwie strony przed przykremi i rujnującemi niespodziankami strejków, lub obniżeń zarobków, względnie lokautów. Wywiera to wpływ niezmiernie dobroczynny na stosunki robotnicze, ale w tem stadyum jest jedynie półśrodkiem, budową, domagającą się koniecznie zakończenia.

Do zakończenia tego niezbędne są:

1-o. Istnienie silnych związków pracodawców i robotników, któreby mogły prowadzić ze sobą rokowania i zawierać umowy; gdzie z tych lub innych powodów (np. w przemyśle domowym) robotnicy o własnych siłach nie są w stanie związków takich utworzyć, powinno je zorganizować państwo;

2-o. Nadanie umowom między związkami pracodawców i robotników mocy obowiązującej; niezależnie od odpowiedzialności osobistej sprawców łamania umów związki odpowiadać powinny za straty, wynikłe z tego powodu;

3-o. Rozciągnięcie mocy obowiązującej danej umowy na całą daną gałąź przemysłu w danej miejscowości; w tym celu należy albo uznać daną lub dane związki pracodawców i robotników za istotnych przedstawicieli tych dwóch grup w danej miejscowości i rozciągnąć moc obowiązującą zawartych przez nich umów na pracodawców i robotników niezorganizowanych, albo też zaprowadzić przedstawicielstwo pracodawców i robotników danej gałęzi przemysłu w danej miejscowości przez wybory przedstawicieli, w których to wyborach braliby udział wszyscy pracodawcy i robotnicy danej gałęzi przemysłu w danej miejscowości;

4-o. Ustanowienie stałych urzędów lub sądów rozjemczych, złożonych w równej liczbie z przedstawicieli przemysłowców i ro-

botników w danej gałęzi pracy w danej miejscowości, pod przewodnictwem osoby bezstronnej (wysokiego urzędnika państwowego lub samorządowego, sędziego, profesora i t. d.) z głosem decydującym;

5-o. Obowiązkowość wnoszenia przed taki urząd, czy sąd, wszelkich sporów na tle stosunku pracy do kapitału i przyznanie wyrokom takich sądów mocy obowiązującej, takiej, jak wyroków sądowych wogóle.

Tego rodzaju instytucye istnieją w Australii, jak to zaznaczyliśmy już, i wydały tam, jak dotąd, bardzo dobre rezultaty, działając łagodząco na stosunki robotnicze, a dając jednocześnie możność robotnikom uzyskania poprawy losu na drodze legalnej i w ramach obecnego ustroju społecznego. Obawy co do zagrożenia bytu przemysłu przez zastosowanie zbyt wygórowanych płac robotniczych, jak dotąd przynajmniej, nie ziściły się. Natomiast przemysł uwolniony został od zmory niespodzianych i rujnujących strejków i ciągłych zatargów z pracownikami, a stosunek pracy i kapitału wyszedł wreszcie z dziedziny anarchii i chaosu, w jakich był pogrążony przez ostatnie stulecie, od czasu upadku dawnej organizacyi pracy.

Odczyty i książki, o których mowa, znalazły epilog ciekawy, bo przed kratkami sądowemi. Mianowicie prof. Brentano zmuszony był uciec się do pomocy sądów przeciw oskarżeniom, podnoszonym przeciw niemu na łamach pewnych pism niemieckich, jakoteż w osobnych broszurach, których autorowie zarzucali mu stanowisko wrogie dla przemysłu i demagogiczne. Sądy uznały wszakże, że oskarżenia te były bezpodstawne i autorów tych artykułów i broszur ukarały, Brentano bowiem dowiódł przed sądem cytatami ze swoich dzieł i zeznaniami świadków, że nigdy, ani w pismach swoich, ani na katedrze uniwersyteckiej, stanowiska stronnego nie zajmował.

Dr. Wacław Babiński.

# Kronika miesięczna.

Samorząd miejski uchwalony.—Co będzie z naszego chłopca? — Wybór zawodu. O zawodach technicznych.—Opieka nad zabytkami. Przeszłość i przyszłość.—Rozwój przemysłu ludowego.—Towarzystwo rozwoju przemysłu, rzemiosł i handlu.—Anarchizacya.

26 czerwca r. b. Izba Państwowa uchwaliła po raz drugi ustawę samorządu miast Królestwa Polskiego, uchwaliła ją w redakcyi komisyi, różniącej się od tekstu Rady Państwa przywróceniem praw języka polskiego w zakresie ograniczonym oraz obniżeniem cenzusu wyborczego. Uchwałę tę poprzedziły objawy dość charakterystyczne, mianowicie mobilizacya całej radykalnej opinii rosyjskiej w osobach jej przedstawicieli w Izbie przeciw projektowi. Warto podkreślić i zapamiętać, że ta opinia, rzekomo wolnościowa, zwartym szeregiem wystąpiła przeciw pierwszej realnej reformie dla Królestwa. Z odwagą, którą mają tylko ludzie pewni bezkarności, miotano na nasze przedstawicielstwo obelgi, udzielano nam poleceń i wskazówek. W obracaniu się nieustannem tych obelg i wskazówek około kwestyi żydowskiej, łatwo odszukać głosy, których mówcy rosyjscy z trybuny byli jedynie echem. Żydzi są przeciwni samorządowi w Królestwie nietylko z powodu ograniczeń kuryi żydowskiej, ale raczej przedewszystkiem dlatego, że jawność i odpowiedzialność przed społeczeństwem gospodarki miejskiej udaremni różne ciemne knowania z których oni dziś główne ciągną zyski, że w następstwie wzmocni sprawność społeczną i siłę ekonomiczną społeczeństwa polskiego. Użyli więc wszystkich swoich wpływów, a te są zawsze

jeszcze bardzo potężne, aby reformę udaremnić. Nie udało się to. Ale ciekawym jest widok tej powszechnej koalicyi przeciw samorządowi w Królestwie i tego umiejętnego podziału pracy: w Izbie niższej usiłuje obalić reformę lewica, w Izbie wyższej usiłuje ją uczynić niemożliwą do przyjęcia i do funkcyonowania normalnego zachowawcza prawica. I w Izbie Państwowej w jednym wypadku obserwujemy tę niezwykłą, negatywną jednomyślność. Gdy chodziło o język samorządu w miastach gub. suwalskiej, za poprawką, dopuszczającą jedynie w obradach język litewski, a usuwającą z nich polski, głosowali firmowi, osławieni przedstawiciele prawicy wraz z całą lewicą i taką większością poprawka przeszła.

Na ciernistej drodze do samorządu miejskiego przekroczono nowy etap. Dalsze jego losy zależne będą od stanowiska Rady Państwa, która, według ostatnich pogłosok, wskutek zaleceń z góry, ma projekt obecnie przyjąć.

*

* *

Nadeszła doroczna pora, kiedy w dziesiątkach tysięcy rodzin zadają sobie pełne niepokoju pytanie: „co będzie z naszego chłopca“? Weseli choć zmęczeni, powrócili do domów maturzyści, jeszcze parę wesołych miesięcy dzieli ich od rozpoczęcia okresu nowego studyów, od chwili stanowczej wyboru zawodu. Tak mało w tym wieku określonych upodobań! tak wiele naśladownictwa otoczenia, dziedzictwa, wpływu prądów chwili! A tak łatwo nieraz zwichnąć młode życie niewłaściwem podsunięciem, wyborem zamiast interesowanego wolnej woli.

Stan rzeczy, trwający u nas od lat kilku, utrudnia położenie młodzieży. Widmo dogasającego siłą życia bojkotu, brak u wielu świadectw rządowych, okazuje się nieraz czynnikiem rozstrzygającym. Mimo wiedzy nieraz i woli oddziaływa na wybór zawodu jego swoboda, jego brak zależności od rządowych patentów i rządzących; innemi słowy życie oryentuje najmocniej w kierunku wyboru zawodu technicznego. Mamy powrót fali z przed lat czterdziestu, zgoła innemi wszakże wywołanej przyczynami. Czytając naszą belletrystykę z okresu pozytywnego, która była i wyrazem życia i tworzyła je przez szerokie oddziaływanie, widzimy

w niej, jako dodatnie typy męzkie: inżynierów, lekarzy, adwokatów. Jest to wyraz dążeń inteligencyi wyzwolonej do zajęcia należnego jej wpływowego stanowiska w społeczeństwie, a także wyraz prądów, zmierzających do uprzemysłowienia kraju. Wiele młodych egzystencyi złamały te prądy, gdy fałszywie zawodowo kierowały, wiele złudzeń rozproszyło życie, zwłaszcza co do idealizmu „inżynierów“. A dziś, bez złudzeń, witamy falę powrotną, jako zjawisko pomyślne, jako wyraz dążenia do swobody indywidualnej, do wyzwolenia ekonomicznego społeczeństwa polskiego. Dlatego może dziś życie prze głównie w kierunku handlowym i niebawem w powieści zajmie stanowisko dodatnie przedewszystkiem typ kupca.

W tym stanie rzeczy bardzo w porę przychodzi książka p. Stefana Kossutha „Zawody techniczne“. Nie dlatego, aby miała jakiekolwiek cechy pedagogiczne lub agitacyjne — broń Boże, i chwału Bogu jest czemś o wiele większem. Jest usystematyzowaniem wszystkiego, co stosunku zawodów technicznych do społeczeństwa i do jednostki dotyczy. Przedewszystkiem autor zaznacza, że „jest to część, wyjęta z większego, na dłuższą metę obliczonego studyum społeczno-obyczajowego o zawodach w ogólności“. Znajdujemy więc określenie pojęcia zawodu wogóle, jako takiego, z którego jako wypadek szczególny wynika pojęcie zawodu technicznego, następnie ich przegląd, w którym służba domowa i kupiectwo zaliczone są do tej właśnie kategoryi. Dalej mamy różne stopnie zawodów technicznych, począwszy od wyrobników, a kończąc na niezależnych właścicielach i kierownikach, uszeregowane według spółczynników zależności, stosunek państwa i społeczeństwa do zawodów technicznych i wpływ tychże na jednostki, przygotowanie naukowe i praktyczne, stowarzyszenia zawodowe, wreszcie niedomagania zawodów technicznych w Królestwie. Fakty i uogólnienia czerpane są ze wszystkich krajów kulturalnych, z przewagą oczywiście tych, w których technika doszła do wyższego stopnia rozwoju społecznego.

Jeżeli, *pomimo* przytoczonej treści, piszemy o tej cennej książce właśnie w chwili wyboru zawodu, czynimy to dlatego, że radzibyśmy, aby książka ta znalazła się w ręku wszystkich ojców, poddających synom wybór zawodu technicznego, i wszystkich synów, którzy zmierzają do niego bez parcia wewnętrznego. Podkreślmy raz jeszcze przeważny brak wybitnych i przeważnych upodobań; podkreślmy często rozstrzygający wpływ nadziei czysto materyalnych, tak często zawodnych i właśnie słusznie w książce tej pominiętych. Ukaże ona zainteresowanym treść rzeczy

i pomoże zapoznać się z istotą zawodu. A byłoby do życzenia, żeby dzieł takich było więcej, by i innych zawodów dotyczyły, aby wybór dokonywany być mógł z pełną świadomością odpowiedzialności społecznej i życiowej.

Nie piszemy tu sprawozdania. Więc mimochodem tylko zaznaczymy przejrzystość wykładu i—rzecz, niestety, coraz rzadsza!—piękną polszczyznę, aby podkreślić te momenty, które z zaznaczonego wyżej stanowiska za najważniejsze uważamy. Do takich należy przedewszystkiem ustęp o technice wyższej, o przygotowaniu zasadniczem, o metodach nauczania, o praktyce technicznej. Interesowany czytelnik znajdzie tu informacye o wyższem wykształceniu technicznem w różnych krajach, zależnem od pewnych dążeń zasadniczych, np. czy szkoły wyższe mają dostarczać pracowników agendom rządowym, czyli urzędników technicznych, czy też pracowników przemysłu prywatnego, czyli techników przemysłowych, czy i gdzie jest większa drobiazgowa specyalizacya, czy też wyższe szkoły dają wykształcenie bardziej ogólne, czy metody nauczania są bardziej teoretyczne, czy praktyczne i t. d. Po zapoznaniu się z temi różnemi warunkami można już wybór przystosować do osobistych kwalifikacyi, uzdolnień i usposobienia kandydata.

Drugą bardzo ważną dla młodzieży, obierającej zawód, kwestyą jest emigracya do Rosyi w związku z obiorem zawodu technicznego. „Rosya — mówi autor — przedstawia dla działalności przemysłowej i kupieckiej ogromne pole, na którem, obok Rosyan, uwijają się z powodzeniem Anglicy, Niemcy, Francuzi, Grecy itp; znalazłoby się zatem miejsce i dla Polaków. Jakoż w przemyśle i handlu, o ile nie stają na zawadzie przeszkody nacyonalistyczne, łatwiej w Rosyi o pracę na stanowisku pracownika technicznego lub handlowego w takich warunkach, które prędzej pozwalają uciułać grosz na założenie własnego przedsiębiorstwa, niż może u nas w kraju, gdzie z wyjątkiem niektórych tylko gałęzi przemysłu, bezmała wszystkie lepsze stanowiska w przemyśle i handlu zajmują Niemcy albo Żydzi. Oczywiście w miarę rozpowszechnienia w Rosyi wykształcenia zawodowego, widoki korzystnej działalności przemysłowej, technicznej i kupieckiej dla nie Rosyan, będą się ciągle zmniejszały, ale tymczasem jest tam jeszcze dosyć miejsca i dla Polaków. Jest to atoli dopiero jedna strona sprawy. Nie byłoby drugiej, gdyby wszyscy emigranci tej kategoryi, a przynajmniej ich większość, albo wreszcie ich synowie powracali do kraju ze środkami, z doświadczeniem przemysłowem lub handlowem, ze zrozumieniem i odczuciem potrzeb

swego narodu i z chęcią pracowania dla niego i dzielenia jego doli i niedoli. Ale niepodobna chyba łudzić się w tym względzie. Jak wiadomo, z tego wychodźtwa wraca do swoich ogółem mało, a jeszcze mniej wraca ludzi, chcących i mogących być przydatnymi dla narodu. I nie może być inaczej. Polacy nie mają, niestety, ani wytrwałości i żelaznego charakteru Anglików, ani ich dumy narodowej w tym stopniu, co Anglicy. Owszem, w ostatnich czasach wytworzyła się w społeczeństwie polskiem grupa, na szczęście jeszcze nieliczna, która uważa dumę narodową za przeżytek czasów zamierzchłych. Z drugiej strony zachodzi ogromna różnica co do środowiska, w jakiem żyć i działać przychodzi Anglikom w koloniach, a Polakom w rosyjskich guberniach Rosyi. Kultura zarówno materyalna, jak i duchowa, tubylców w koloniach angielskich zanadto odbiega od kultury angielskiej, ażeby mogła być mowa o poddaniu się Anglików wpływom miejscowym. Inaczej rzecz się ma w Rosyi. Aczkolwiek w kulturze duchowej pomiędzy narodami zachodnio-europejskimi, w tej liczbie i Polakami—a Rosyanami, zachodzą różnice większe nawet, niż dotąd przypuszczano, to jednak kultura materyalna, pomijając pewne opóźnienia, jest europejska. Do tego dodać trzeba podobieństwo języka i miękki, a więc przyciągający obyczaj słowiański. Wobec tego Rosyanie są narodem chłonnym, t. j. zdolnym do pochłaniania innych narodowości, do czego zresztą dopomagają im działający w tym właśnie duchu olbrzymi aparat państwowy tudzież stopniowy wzrost i rozpowszechnienie oświaty. Widzimy więc, że sprawa emigracyi przemysłowo-handlowej nasuwa różne wątpliwości. To też wymaga ona ze strony naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem ze strony prasy, czujnej baczności, szerokiego zajęcia i głębokiego pomyślenia."

Zgadzając się najzupełniej z autorem na istotne niebezpieczeństwo, musimy stwierdzić, że w danej chwili uważamy je za mniejsze, aniżeli przed laty jeszcze kilkunastu. Wspominaliśmy już wyżej, że to prąd czasu, brak świadectw rządowych i niechęć do nich pcha wielu z pośród naszej młodzieży na drogę techniczną. Ten brak oryentuje ich z konieczności w kierunku pracowników przemysłu prywatnego, a nie urzędników technicznych, tymczasem dla tych to emigracya była szczególnie groźna; na polu przemysłu i handlu można jeszcze pracować i w kraju ojczystym, a bodaj że możność ta z biegiem lat wzmagać się będzie.

Brak miejsca nie pozwala nam na obszerniejsze uwagi o wartościowej tej książce. Może to i lepiej, może zachęcimy do zapoznania się z nią bezpośrednio, na co tak bardzo zasługuje. Na za-

kończenie wspomnimy jeszcze o niedomaganiach zawodów technicznych w Królestwie, wywołanych, zdaniem autora, przez przyczyny zarówno zewnętrzne, od woli naszej niezależne, jak i wewnętrzne. Tu schodzimy już z dziedziny studyów wyższych do życia codziennego. I w liczbie tych przyczyn-niedomagań wymienimy przestarzałe uprzedzenia co do zawodów rzemieślniczych i wogóle co do pracy ręcznej w porównaniu z biurową, aby stwierdzić, że w miarę sił i możności w naszym szczupłym zakresie, na tem miejscu nieraz zwracaliśmy uwagę na ten szkodliwy przesąd, zgadzając się w oświetleniu przyczyn z autorem „zawodów technicznych".

*

* *

Dziesiątki tysięcy Polaków wyjeżdżają corocznie w świat szeroki, między innemi i dlatego, aby w muzeach zagranicznych, po ulicach, w gmachach i kościołach zachwycać się pięknymi zabytkami zamierzchłej przeszłości. Próżno nieustannie powtarzać będziemy, że cudze chwalimy, a swego nie znamy, bo właśnie im bardziej swoje poznamy, tem mocniej w tym zakresie cudze chwalić musimy. I wcale nie dlatego, aby w ojczyźnie naszej za lepszych jej czasów brakło pierwiastków pomnikowego piękna, i nie dlatego, że ziemie dawnej Rzeczypospolitej bywały często łupem dzikich hord i teatrem niszczących walk, ale i dlatego, że my współcześni nie umieliśmy uszanować tych pięknych, acz ubogich resztek dawnej, bogatej kultury, tak wymownie świadczących o naszym organicznym związku z Zachodem. Już nie poematy domorosłych poetów szły pod placki domowe, ale archiwa rodzinne; na starych księgach wypasały się stada myszy; w kościołach stare freski unifikowano białem wapnem; cenne, przydymione obrazy zastępowano współczesnymi fabrykatami; urywano po cegiełce ze starych ścian zamczysk, by podmurowywać nimi stajnie i chlewy — i tak rwano w strzępy owe resztki świadectw dawno minionych lat. Któż miał nad tem czuwać?

Aż przed laty sześciu znaleźli się ludzie ofiarni, którzy postanowili powołać do życia instytucyę, nad zabytkami przeszłości czuwającą. Było ich 654-ch, jest ich teraz 2,891; wydawali na

swoje cele 4,247 rb., wydatkują obecnie 25,907 rb a ostatni bilans Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości zamyka się sumą poważną przeszło stu tysięcy rubli. Niektóre prace Towarzystwa, niektóre owoce jego działalności oglądamy naocznie: oto z pięknego rynku Starego Miasta usunięto targ; niebawem chodzić tam będziemy po pięknie mozajkowanym bruku, przypatrując się stylowo odnowionym kamienicom starym z domem Baryczków, siedzibą Towarzystwa, z pałacem książąt mazowieckich, darowanym pokrewnej instytucyi, na czele; oto w roku ubiegłym zachwycaliśmy się bogatą wystawą miniatur i tkanin, a w tym roku podziwiamy szkło i stare wyroby ceramiczne. Do Towarzystwa należą ruiny zamków w Czersku i w Iłży, zabezpieczone od rozsypania się w gruzy. Wydział konserwatorski rozwija żywą czynność: w roku ubiegłym zwracano się do niego o pomoc cenną i fachową w restauracyi i zachowaniu 46 kościołów, 32 ruin zamków i restauracyi domów; chodzi tam najczęściej o zachowanie od rozgrabienia albo od wandalizmu, o utrzymanie charakteru stylu danej budowli przy robotach renowacyjnych. Prócz tego odbywały się odczyty, powiększano zbiory Towarzystwa, jednano członków, marzono o własnym organie, który wszakże niebawem zapewne w życie zostanie wprowadzony.

Nie wyczerpać, oczywiście, wielostronnej działalności w krótkiej notatce kilkunastowierszowej. I nie o to chodzi. Ale o zachęcenie wszystkich do bliższego zapoznania się z pracą instytucyi, do współdziałania jej czynem i ofiarą pieniężną. Wspominaliśmy już na początku, że liczba członków wzrosła w ciągu lat sześciu pięciokrotnie blizko. Cóż jednak znaczą te prawie trzy tysiące wobec ogromu zadań? Ścisły związek Towarzystwa z dawną kulturą polską, zadania opieki nad drogą nam zawsze przeszłością winnny mu zjednać członków i współpracowników w każdym dworze i dworku, w każdym zakątku. Wszędzie dotrzeć winna wieść o niem, by istotnie zachować i zabezpieczyć można to, co jeszcze do zachowania i do zabezpieczenia pozostało.

* * *

Cześć dla przeszłości jest niewątpliwie wyrazem pewnego rodzaju arystokratyzmu, pewnej zachowawczości, koniecznej w rozumnym i normalnym układzie sił społecznych. Nie powinna jednakże w niczem tamować i hamować pracy dla przyszłości, nie zakrywać niczem jej wizyi wewnętrznej. Gdy wyobraźnia nasza w przeszłość się zwraca, widzi piękne zamki i krużganki, świątynie duchem do nieba strzelające, słyszy szum skrzydeł usarskich, szczęk broni, dźwięki hymnów modlitewnych; gdy w przyszłość daleką zabiegnie, stają przed nią zdrowe mieszkania miejskie, porządne zagrody wiejskie, obrazy kultury, opartej o szerokie masy, żyjące w dobrobycie. I to jest normalnym wyrazem dążeń demokratycznych, dążeń udostępnienia cywilizacyi szerokim masom.

Inne Towarzystwo w tym właśnie kierunku pracuje. Towarzystwo dobrze znane czytelnikom naszym, bo nieraz na tem miejscu wymieniane, Towarzystwo popierania przemysłu ludowego. Rozwija się ono nieustannie, o czem przekonywa spis związanych z niem instytucyi. Towarzystwo prowadzi obecnie: 1) szkołę instruktorów tkackich w Oryszewie; 2) kursy instruktorek tkackich przy szkole gospodarstwa domowego w Grędzicach; 3) szkoły instruktorów zawodowych w Nałęczowie: koszykarską, zabawkarską, stolarską, snycerską, zdobnictwa ogólnego; 4) szkołę krawiectwa i czapnictwa ludowego w Szymanowie; 5) biuro centralne guzikarstwa ręcznego; 6) pracownię kroju i szycia rękawiczek w Międzyrzeczu; 7) biuro centralne koronkarstwa; 8) biuro plecionkarstwa z wiórów drzewnych i słomy; 9) pracownię oddzielnych części kwiatów sztucznych w Radzyminie; 10) skład wyrobów przemysłu ludowego w Warszawie (Bracka 18); 11) sprzedaż wyborowego nasienia lnianego wśród włościan. Dalej idą instytucye, legalizowane przez Towarzystwo, których wymienić niepodobna, jest ich bowiem zbyt dużo. Tutaj należą pracownie, czyli warsztaty rozmaitych gałęzi przemysłu ludowego, zakładane z inicyatywy i kosztem osób prywatnych, lub organizacyi społecznych. Towarzystwo zaś, na zasadzie swej ustawy, wydaje upoważnienie na otwarcie podobnych warsztatów, przeprowadza korespondencye celem urzędowej ich legalizacyi, udziela im stosownych informacyi i wskazówek, poleca w razie zażądania odpowiednich instruktorów, ułatwia zbyt wyrobów, a nawet w wyjątkowych wypadkach popiera ich rozwój pomocą pieniężną. Liczba takich warsztatów, powstałych pod opieką Towarzystwa wzrasta, jak to widać z następującego zestawienia: w r. 1908 powstało 6 warsztatów, w r. 1909—20, w r. 1910—50, w r. 1911—68, w r. 1912—44, czyli razem 188 warsztatów. Warsztaty te obowiązane są skła-

dać Zarządowi Towarzystwa sprawozdania ze swojej działalności, nie wszystkie jednak obowiązek ten spełniają. Wreszcie w roku sprawozdawczym, podobnie jak i w latach poprzednich, Zarząd Towarzystwa nie szczędził odpowiednich usiłowań, celem zainteresowania szerszego ogółu sprawami przemysłu ludowego. Pozostaje wprawdzie jeszcze bardzo dużo do zrobienia, ażeby idea rozwoju przemysłu ludowego pozyskała odpowiednie rozpowszechnienie i ażeby znaczenie tego czynnika naszego postępu ekonomicznego i kulturalnego należycie było ocenione, jednakże już teraz można stwierdzić fakt, że podejmowane w tym kierunku usiłowania nie pozostały bez dodatnich wyników. Świadczą o tem: rosnąca stale liczba różnorodnych warsztatów przemysłu ludowego, powstających w rozmaitych okolicach kraju, dalej spółki wytwórców ludowych, zawiązujące się w celu wzmocnienia sił ekonomicznych ludności przez zrzeszenie pracujących jednostek, nakoniec otrzymywane przez Zarząd Towarzystwa w coraz większej liczbie z różnych okolic kraju zapytania od rozmaitych osób: właścicieli ziemskich, włościan, księży i t. d., tudzież od organizacyi społecznych, z prośbą o informacye i wskazówki, dotyczące zapoczątkowania lub rozwoju różnych gałęzi przemysłu ludowego. W myśl tego zainteresowania Towarzystwo uczestniczyło w dwunastu pokazach rolniczo-przemysłowych na prowincyi. Prócz tego w pawilonie własnym, pozostałym po wystawie w Częstochowie, w sierpniu i wrześniu, t. j. w miesiącach największego napływu pątników, urządzony był w Muzeum Przemysłu Ludowego w Częstochowie pokaz lniano-tkacki. Demonstrowane były tam maszyny i narzędzia, służące do obrabiania ręcznego włókna lnianego, oraz do przygotowania przędzy i tkanin, a używane w kraju. Oprócz tego wystawione były w ruchu wszystkie maszyny i przyrządy, nabyte zagranicą przez p. Karola Łąckiego, delegata Towarzystwa na przeszłorocznej wystawie w Roubaix. Objaśnień zwiedzającym udzielali instruktorowie i pracujący przy tych warsztatach uczniowie szkoły oryszewskiej.

Oprócz tego na wystawie Częstochowskiej Towarzystwo wystawiło w pełnym ruchu warsztaty koszykarskie, stolarskie i tokarskie, oraz przyrządy do wytwarzania ogniotrwałych bloków i dachówek z cementu, piasku i wapna. Zwiedziło tę wystawę 3200 osób; opłata za wejście pobierana była po 3 kop. Na wystawie zabawkarskiej, urządzonej w grudniu 1912 r. w Ratuszu warszawskim, Towarzystwo wystawiło (poza konkursem) 3 działy: 1) zabawki drewniane szkoły zabawkarskiej i rzeźbiarskiej w Nałęczowie, 2) lalki etnograficzne biura lalkarstwa krajowego i 3)

ozdoby choinkowe z Domaniewa, wyrabiane pod kierunkiem pani Gerson-Dąbrowskiej.

Przy tym ogromnym rozwoju działalności nie można uważać za pomyślny stanu finansów Towarzystwa. Z pewnem zastrzeżeniem. Z wielkiem uznaniem stwierdzić trzeba wielką zapobiegliwość Zarządu, której wyraz widzimy w wyjednaniu subsydyum ministeryalnego w kwocie 23 tys. rb.; na takie same uznanie zasługują ofiary jednostek, interesujących się instytucyą, a wynoszące z górą 24 tys. rb. Ale składki członków? Oto dowiadujemy się ze sprawozdania, że liczba członków zmniejszyła się w r. 1912 o 23 osoby, a składki członków o rb. 1281! Jeżeli to uważamy za objaw niepomyślny, to nietylko ze stanowiska społecznego, jako karygodną obojętność dla pierwszorzędnych zadań, ale także z tego powodu, że ofiarność jednostek, nawet subsydya rządowe może Towarzystwo zawdzięczać energii członków Zarządu, którzy są przemijający, gdy składki członków powinny być oparciem stałem. Przysłowie stare mówi, że „dłużej klasztora, niźli przeora"; my obawiamy się, by w danym wypadku nie było „tyle klasztora, ile przeora" i obawy te mógłby rozwiać tylko tak wielki przyrost członków, na jaki takie nad wyraz pożyteczne Towarzystwo zasługuje.

*

* *

Życie tak się złożyło, że kronika niniejsza poświęcona jest przeważnie stowarzyszeniom. Aby się utrzymać w przyjętej klasyfikacyi, po towarzystwie, poświęconem przeszłości, po drugiem, którego celem jest przyszłość, trzecie, nowe, o którem mówić będziemy, wynika z pojęcia teraźniejszości. Bo odpowiada najściślej, w celach swoich i zadaniach, najbardziej współczesnym prądom odrodzenia ekonomicznego społeczeństwa polskiego, bo datuje z chwili najbardziej ostatniej, i pożytecznej swej działalności rozpocząć jeszcze nie zdążyło. Ale—powstałe w teraźniejszości—dla lepszej przyszłości nadewszystko pracować będzie.

D. 12 czerwca r. b. zatwierdzona została ustawa Towarzystwa rozwoju przemysłu, rzemiosł i handlu. Skoro przytoczymy artykuł drugi ustawy, w myśl którego „T-wo ma na celu współdziałanie rozwojowi wśród ludności *chrześcijańskiej*, przemysłu,

rzemiosł i handlu, pomoc wzajemną w tym kierunku dla członków T-wa, popieranie przemysłowej, rzemieślniczej i handlowej działalności członków T-wa"—to okaże się dowodnie, że mamy tu do czynienia z odwrotną, pozytywną stroną ruchu, którego negatywną jest bojkot towarów żydowskich i żydowskiego handlu. W samej rzeczy, nie dość jest wznieść hasło nie kupowania u żydów, trzeba jeszcze wedle możności stosowanie tego hasła w życiu umożliwić, trzeba stworzyć nietylko handel polski, o co łatwiej, ale i wytwórczość polską. Nie wystarczy tu energia jednostek— potrzeba poparcia zbiorowości. A skoro życie nasze tak się składa, że zadania, które gdzieindziej spełnia państwo i organizacye samorządne, u nas wszędzie i zawsze padają na barki inicyatywy indywidualnej i zbiorowej, witamy fakt powstania nowego Towarzystwa, jako zjawisko dla przyszłości narodu bardzo pomyślne.

O działalności Towarzystwa, czytamy w ustawie, co następuje:

Dla osiągnięcia celów, wskazanych w § 2 niniejszej ustawy, przy zachowaniu obowiązujących w tym względzie praw i na mocy pozwolenia władz w odpowiednich wypadkach, T-wo: a) gromadzi wiadomości, tyczące się przemysłu, rzemiosł i handlu i udziela swym członkom bezpłatnie porad w tych dziedzinach; b) wskazuje swym członkom bezpłatnie źródła zakupów i rynki zbytu; c) pomaga swym członkom organizować najodpowiedniejszą reklamę, przez układanie i wydawanie kalendarzy adresowych, broszur i wogóle wydawnictw informacyjnych, (ksiąg) zarówno jak i afiszów, ogłoszeń, szyldów i znaków; d) organizuje pogadanki, odczyty, wystawy, (prelekcye) wykłady i sprawozdania o przemyśle, rzemiosłach i handlu; e) utrzymuje bibliotekę i czytelnię dla członków T-wa; f) udziela pomocy swym potrzebującym członkom, przez udzielanie im wsparć i bezprocentowych pożyczek. Uwaga. T-wo nie ma prawa w swej działalności zajmować się omawianiem zagadnień politycznych. Działalność T-wa obejmuje ziemie Królestwa Polskiego, przyczem T-wo ma prawo otwierania oddziałów na mocy czasowych przepisów o Stowarzyszeniach. „Towarzystwo rozwoju, przemysłu, rzemiosł i handlu" jest osobą prawną. W myśl pun. 20 „Czasowych przepisów o Stowarzyszeniach", z zachowaniem we wszystkich przypadkach obowiązujących praw, T-wo ma prawo nabywać i wywłaszczać majątek ruchomy i nieruchomy, bądź przez kupno, darowiznę i ustąpienie, tworzyć kapitały, zawierać umowy i akty hypoteczne, przyjmować zobowiązania, zarówno jak i przedsiębrać kroki sądowe i sądownie odpowiadać. Jak widzimy z powyższego, działalność Towarzystwa

jest głównie informacyjna i ogniskująca. I słusznie: bezpośrednia działalność przemysłowa, lub jej subwencyonowanie w tej czy innej formie wymagałaby nieosiągalnych kapitałów i stawałaby w drodze innym instytucyom, specyalnie temu zadaniu poświęconym.

Członków jest kilka kategoryi, ale tylko rzeczywiści, to znaczy ludzie, zajmujący się handlem, rzemiosłami lub przemysłem, albo też mianowani przez Zarząd z pośród osób, pragnących poświęcić Towarzystwu swój czas i pracę, mają na posiedzeniach głos rozstrzygający i posiadają prawa używania na wyrobach, wytworach, blankietach, szyldach i znakach nazwy Towarzystwa. Stosownie do kategoryi członków istnieją kategorye składek: członkowie rzeczywiści opłacają 3 rb., współdziałający 1 rb. i popierający 12 rb. rocznie.

Już niebawem zapewne nastąpi ukonstytuowanie się i rozpoczęcie działalności Towarzystwa. Przyszłość jego zależna jest od jaknajliczniejszego w nim udziału. A że krzątają się koło niego ludzie ze wszech miar szanowni i poważni, już dziś śmiało zalecić można liczne zapisywanie się na członków.

*

* *

Strejki wśród młodzieży uniwersyteckiej w Galicyi należą z pewnością do najdziwaczniejszych, jakie zna historya ruchów i rozruchów pajdokratycznych. Wybuchły pod pozorem protestu przeciw mianowaniu na katedry uniwersytetu lwowskiego trzech uczonych, którzy w swoim czasie zajęli stanowisko krytyczne wobec bojkotu szkolnego. Wpływanie młodzieży na nominacye profesorów nie ma oczywiście żadnego sensu, brak jej bowiem do tego kompetencyi. Pogląd ten podziela także i część młodzieży, skoro w strejku brakło jednolitości i nie był on bynajmniej powszechnym, owszem doprowadził do walki pośród młodzieży. Ale dziwacznym nadewszystko jest pretekst, conajmniej spóźniony, profesorowie bowiem, przeciw którym był skierowany, wykładają bodaj blizko od roku. To też gdzieindziej szukać należy źródła usiłowań rozstroju życia uniwersyteckiego, i poza młodzieżą menerów ruchu. Żywiołom radykalnym, skłonnym do marnowania puścizny polskiej, do której niczem się nie przyczyniły, zabagnio-

nym przez żywioły obce, bardzo nie na rękę była solidarność, okazywana przez całą młodzież polską w sprawie obrony narodowej uniwersytetu lwowskiego; chodziło poprostu o to, aby młodzież tę poróżnić i zaognione waśnie wyzyskać później. Stara Metternichowska zasada dzielenia i rządzenia, tak gwałtownie zwalczana przez radykałów owoczesnych stała się metodą dzisiejszej polityki radykalnej, w danym wypadku kierowanej przez młodzież żydowską. Żydów można spotkać wszędzie, gdzie pewni są bezkarności: więc widzimy ich miotających obelgi przeciw Polakom z trybuny dumskiej i miotających się na bezbronnych profesorów Polaków w wyższych uczelniach lwowskich. Niegdyś tego rodzaju plucie i działanie rozstrojowe, pokrywane maską haseł postępowych, uchodziło bezkarnie: owszem przemycało się pod płaszczykiem większego napięcia patryotyzmu. Dziś czasy się zmieniły; spadły łuski z oczu najbardziej zaślepionych, a niewidzą tylko ci, co widzieć nie chcą. Trzeba dalej i zawsze zdzierać maski, aby dobrze wiedzieć, z kim mamy do czynienia, kto z za kulis rozmaitemi akcyami kieruje.

# WSPOMNIENIA POZGONNE.

## ś. p. Władysław Łoziński.

Zmarły niedawno we Lwowie, poczytny niegdyś powieściopisarz i wybitny historyk urodził się w Oparach w samborskiem w r. 1843. Po ukończeniu szkół średnich oraz odbyciu studyów filozoficznych we Lwowie, już w dziewiętnastym roku życia rozpoczął pracę literacką, a w r. 1867 widzimy go już na stanowisku samodzielnego kierownika, redaktora „Dziennika Literackiego“. Na ten okres młodości zmarłego pisarza przypadają pierwsze jego powieści obyczajowe i historyczne, a więc „Za światem“, „Czarne godziny“, „Hazardy“, „Historya siwego włosa“, „Pierwsi Galicyanie“, „Legionista“, a odznaczały się one tak dojrzałą kompozycyą, że nikt nie domyśliłby się z nich autora początkującego. Pewne studya, nawet powierzchowne, jakich wymaga pisanie powieści historycznej, zachęciły Łozińskiego do pogłębienia ich i w następstwie do poświęcenia się specyalnie badaniom historycznym, które też najwięcej mu laurów przysporzyły. Z drugiej strony, stwierdzone już wyżej zalety młodego autora wyrobiły mu opinię powszechną wybitnego pisarza. Dwóm tym czynnikom zawdzięczał prawdopodobnie Łoziński powołanie w r. 1873 na stanowisko redaktora „Gazety Lwowskiej“, dziennika urzędowego, który rozszerzył, przekształcił i umiał literacko poczytnym uczynić. Z tego okresu datują prace historyczne „O towarzystwie polskiem we Lwowie przy schyłku XVIII stulecia“ (1872), „Galiciana“ (1872) oraz belletrystyczne: „Opowiadania Jmćpana Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardyi koronnej“, nowy zupełnie typ gawędy, opartej na bardzo ścisłych i krytycznych badaniach, i niezmiernie zajmująca powieść „Skarb watażki“.

W r. 1883 opuścił redakcyę „Gazety“, pragnąc powrócić do swoich badań historycznych, którym od tego czasu poświęcił się cały. Zaraz potem ukazało się zakończenie „Opowiadań“ p. t. „Petyhorzec“, następnie takie klejnoty belletrystyki, na tle życia ludu osnutej, jak „Oko proroka“ i „Madonna Busowiska“, a potem szereg znakomitych prac historycznych. Do szeregu tego należą: „Złotnictwo polskie w średnich wiekach“, „Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku“, „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie“ oraz dwie iście pomnikowe prace „Prawem i lewem“ i „Życie polskie w dawnych wiekach“.

Społeczeństwo z jednej strony, a krytyka zawodowa z drugiej nie szczędziły Łozińskiemu objawów uznania za życia. Akademia Umiejętności powołała go do grona swych członków. Za „Patrycyat lwowski“ otrzymał zaszczytną nagrodę im. Barczewskiego. Był członkiem honorowym lwowskiego Tow. dziennikarzy. Nie uchylał się od pracy publicznej: przez długie lata pełnił uciążliwe obowiązki konserwatora zabytków i dzieł sztuki. Posłował też do wiedeńskiej Izby deputowanych, a następnie powołany został do Izby panów.

Zmarł w wieku sędziwym, po żywocie pracowitym, otoczony powszechnem uznaniem i uszanowaniem za zasługi naukowe i zacne życie bez skazy.

---

## ś. p. Władysław Maleszewski.

Ubył znowu jeden z najstarszych pracowników pióra, znany bardzo dawniej i ceniony redaktor popularnej illustracyi, człowiek zacny i szanowny. Ś. p Władysław Maleszewski urodził się w roku 1832 we Włocławku, jako potomek rodziny ziemiańskiej. Po ukończeniu gimnazyum realnego w Warszawie kształcił się dalej pod kierunkiem Bartoszewicza, poczem przez czas dłuższy podróżował zagranicą. Pierwszą powieść swoją p. t. „Dziecię Żmudzi“ drukował w „Tygodniku Illustrowanym“ w r. 1863-im, potem wydał drugą „Bracia“, następnie „Wieczory nad Tamizą“ i do końca życia uprawiał niwę belletrystyczną w postaci ogłaszanych mniejszych i większych obrazków. Ale główne jego znaczenie w piśmiennictwie nie na tem polega, lecz na pracy redaktorskiej i publicystycznej, na stworzeniu nowego typu pisma obrazkowego, dla jaknajszerszych sfer przeznaczonego, a więc popularnego

w treści i taniego. Takiem pismem była założona w roku 1872 „Biesiada Literacka“, prawdziwe pismo dla rodzin polskich, w którem każdy mógł znaleźć treść zajmującą w rzeczach i dziedzinach które go najbardziej interesowały. Przez ćwierć wieku z górą Maleszewski pismo to osobiście i niemal wyłącznie redagował; pisywał w niem tygodniowe felietony p. t. ogólnym „Listy z Warszawy“, bardzo w swoim czasie poczytne, doskonale i żywo pisane, chociaż rzadko polemiczne, a podpisywane popularnym pseudonimem Sępa. Były one szczerym wyrazem przekonań autora, zachowawczych, ale bynajmniej nie zacofanych, nie jednostronnych, opartych o niezłomne poszanowanie religii i tradycyi. Ostatnie lata swego życia przepędził w spokoju, pozornie od życia oddalony, ale niemniej zawsze żywo interesujący się wszystkiemi jego objawami. Uprzejmy, uczynny, powszechną cieszył się sympatyą i był prawdziwą skarbnicą wieści i szczegółów z tej epoki, której myśmy już bezpośrednio nie znali. Wieść o zgonie Maleszewskiego wywołała szczery żal i jakby zdziwienie: tak dawno przywykliśmy widzieć go i spotykać, że wydawał się wiecznym. Szkoda dobrego i zacnego człowieka, którego życie poświęcone było wytrwałej pracy i obronie ideałów i przekonań, które niezłomnie przez całe życie wyznawał.

## ś. p. dr. Stanisław Pareński.

Ś. p. dr. Stanisław Pareński urodził się w Krakowie w roku 1843; tu też spędził wszystkie etapy swego pracowitego żywota, a więc przedewszystkiem tu odbył studya szkolne i uniwersyteckie. Następnie, w. r. 1868, rozpoczął pracę lekarską, z początku jako sekundaryusz w szpitalu św. Łazarza, następnie jako asystent przy katedrze kliniki chorób wewnętrznych w Uniwersytecie Jagiellońskim. Po śmierci prof. Gilewskiego zarządza kliniką w latach 1871 — 1873, w r. 1872 habilituje się jako docent dyagnostyki chorób wewnętrznych. Po objęciu kliniki przez ś. p. prof. Edwarda Korczyńskiego w r. 1875 Pareński otrzymuje nominacyę na prymaryusza oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu św. Łazarza i na tem stanowisku pozostaje przez lat 38. W r. 1884 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 6 lat potem mianowany został profesorem nadzwyczajnym rzeczywistym patologii i terapii wewnętrznej w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Praktyczne wykłady doskonałego lekarza, na wielkim oparte materyale, przy dużych zaletach towarzyskich nauczyciela zyskały mu uznanie i miłość słuchaczy. Praktykę miał rozległą, nazwisko jego głośne było we wszystkich ziemiach polskich. Pomimo to odznaczał się nadzwyczajną bezinteresownością i wielkiem umiłowaniem człowieka. Starał się wszelkiemi siłami o rozwój zdrojowisk i uzdrowisk polskich, był też sprawnym kierownikiem Polskiego Towarzystwa balneologicznego. Praca zawodowa i służba publiczna odciągała go od działalności naukowej. Pozostawia po sobie jedną pracę habilitacyjną „o wrzodach przewodu pokarmowego, wskutek zatoru powstających“, oraz tłómaczenie (wspólnie z d-rem Al. Kremerem) dzieła d-ra Guttmanna p. t. „Nauka sposobów klinicznego badania narządów piersiowych i brzusznych“ (Kraków, 1877).

Cechą znakomitego lekarza, poza wszystkiemi zaletami zawodowemi, była jego obywatelskość. Dzieciństwo jego i młodość opromieniał romantyzm; wiek dojrzały, typ pracy fachowej — pozytywizm; dwa prądy sprzeczne w tym wyjątkowym człowieku, w tem, co miały w sobie najlepszego, doszły do syntezy. Na czteroletniem dziecku niezapomniane wrażenie wywarł pogrzeb ofiar rewolucyi w Krakowie w r. 1848. Gorącego młodzieńca wciągnęły w wir swój wypadki 1863 r.; do końca życia pozostał wierny towarzyszom broni, o których byt zawsze zabiegał i którym pomocy nie szczędził. Z tych dwóch epok życia pozostało mu nazawsze gorące ukochanie rzeczy ojczystych i sprawy publicznej. Nie było z tej dziedziny potrzeby, na którąby głuchym pozostał i takie właśnie pojęcie lekarza-obywatela nie pozostawiało mu czasu na pracę naukową. Ale pozostawił potomnym przykład zacnego życia, żal powszechny i wielki...

L. W.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W dniu 29-ym maja r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którem p. Kazimierz Stołyhwo przedstawił rzecz p. t. „Kurhany w Szulakach“ (na Ukrainie). W dyskusyi wzięli udział pp. Józef Bieliński, Teodor Wierzbowski, Erazm Majewski i prelegent.

— W dniu 5-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którem przedstawiono komunikaty następujące: 1) p. J. Pawiński: „Etiologia stwardnienia tętnic (arteriosclerosis) w świetle statystyki“;—2) p. H. Merczyng: „Mapa Litwy ks. Radziwiłła-Sierotki z r. 1613 pod względem matematycznym i kartograficznym“. Jubileusz 300-letni wydatnego dzieła na polu matematyki stosowanej; — 3) p. J. Tur: „O rozwoju parablastu w naświetlanych radem zarodkach żarłacza psiego“; — 4) p. J. Tur: „Badania nad wpływem promieni radu na rozwój jaj mięczaków“;—5) p. J. Tur: „O rzekomem *przemieszczaniu się* pod błoną żółtkową blastodermy jaj gadów i ptaków“; — 6) p. J. Tur: „Nowe przypadki potworności złożonych w zarodkach kaczki“; — 7) p. R. Szretter (przedstawił p. J. Tur): „O powstawaniu smugi i brózdy pierwotnej w zarodkach wróbla“;—8) p. M. Sachsowa (przedstawił p. J. Tur): „Przyczynek do morfologii okolicy potylicznej i przylegających do niej kręgów u Gymnotidae (Gymnotus electricus)“; — 9) p. Sł. Miklaszewski: „Materyały do znajomości gleb świętokrzyskich“;—10) p. Sł. Miklaszewski: „Barwa gleb Królestwa Polskiego“; — 11) p. Sł. Miklaszewski: „Gleby z powiatów: jędrzejowskiego, pińczowskiego i miechowskiego“; — 12) p. Stefan Wroński (przedstawił p. Sł. Miklaszewski): „Bielica z Horodyszcza, Liszek i Małej wsi“;—13) p. J. Samsonowicz (przedstawił p. J. Lewiński): „Niektóre nowe trylobity dewońskie“; — 14) p. L. Horwitz (przedstawił p. Wł. Gorczyński): „Przyczynek do charakterystyki odpływu w Europie środkowej“; — 15) p. E. Malinowski (przedstawił

p. Z. Wóycicki): „O podziale jąder w podstawkach i o przechodzeniu chromatyny do zarodników u Cyathus".

— W dniu 18-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którem p. Manfred Kridl odczytał pracę p. t.: „Z dziejów stosunku Słowackiego do Mickiewicza".

Poddawszy analizie stosunek twórczości Słowackiego z okresu genewskiego do „Dziadów", przeszedł referent do zestawienia „Anhellego" z „Księgami narodu..." i ujawnionych w tych utworach poglądów Mickiewicza i Słowackiego na przeszłość i Emigracyę.

### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Przegląd Historyczny. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historyi w Warszawie. Warszawa 1913. Tom XVI. Zeszyt 2. Treść: Bąkowski Ludwik: Książę Mazowiecki Aleksander, biskup trydencki (dokończenie); — Mienicki Ryszard: Poglądy polityczne w dziejopisarstwie polskiem XVII wieku (ciąg dalszy); — Merczyng Henryk: Domniemanie pierwsza w Polsce książka spalona przez kata; — Baranowski Ignacy: Zmienne koleje statutu Toruńskiego; — Rutkowski Jan: Studyum nad organizacyą własności ziemskiej w Bretanii w XVII w. (ciąg dalszy). Sprawozdania.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Andreas Fricius Modrevius: Ein Beitrag zur Geschichte der Staats- und Völkerrechtstheorien von Wladislaus Maliniak Juris publici doctor. Wien 1913.

Askenazy Szymon: Książę Józef Poniatowski (1763—1813). Wydanie jubileuszowe, ozdobione 152 rycinami. Nakładem Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Warszawa 1913. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Benni Tytus: Formuły analityczne dźwięków polskich. Materyały i prace Komisyi językowej. T. VI, str. 247—70. Kraków 1913. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księg. Spółki Wydawn. Polskiej.

Campbell Robert Norman: Współczesna teorya elektryczności. Przełożył i uwagami opatrzył Ludwik Silberstein. Warszawa 1913. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Chmielowski Piotr: Historya literatury polskiej od czasów najdawniejszych do końca wieku XIX. Wydanie nowe. Przygotował i do stanu badań

dzisiejszych doprowadził i illustracyami opatrzył Stanisław Kossowski. Zeszyt I i II. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. Lwów, H. Altenberg.

Gliński Kazimierz: Pan Filip z Konopi. Część III. Warszawa 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Gomulicki Wiktor: Bój olbrzymów. Powieść historyczna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków. G. Gebethner i Sp. New-York, The Polish Book Import. Co. Inc.

Grabowski Edward: Zrzeszenie wielkiego kapitału a polityka prawodawcza. Warszawa 1913. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Handelsman Marceli: Pod znakiem Napoleona. Studya historyczne. Serya druga. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. Lwów, H. Altenberg.

Hołyński Jan, dr: O prawach uczucia (Wiara—Nadzieja—Miłość). Nakładem księg. S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. Warszawa, E. Wende i Sp. 1913.

Jerusalem Wilhelm, prof. dr.: Wstęp do filozofii. Z czwartego wydania oryginału niemieckiego przełożyła Julia Dicksteinówna. Pod redakcyą Adama Mahrburga. Wydanie drugie. Warszawa 1912. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. Łódź, księg. Ludwika Fischera.

Józefowicz Antoni, ks.: Vivos voco! № 1. Sprawozdanie wyborcy do IV-ej Dumy. Wilno 1913. Księgarnia Józefa Zawadzkiego.

Katalog rękopisów Biblioteki Publicznej im. Łopacińskiego w Lublinie. Zestawił dr. Aleksander Jaworowski. Lublin 1913. № 1. Wydawnictwo Tow. Bibl. Publicznej im. Łopacińskiego.

Kraushar Aleksander: Miscellanea archiwalne. III Memorabilia z czasów powstania listopadowego 1830—1831. I. Warszawa i Kraków, 1913. Gebethner i Wolff. G. Gebethner i Sp.

Krasiński Zygmunt: Irydion. Słowem wstępnem opatrzył i do druku przygotował Zdzisław Dębicki. Warszawa. Biblioteka literacko-artystyczna. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. Łwów, H. Altenberg.

— Irydion. Dramat w 9-iu odsłonach. Prolog i Eksodus. W duchu reformy teatralnej, oryginalnie pojętej. Wystawia na scenie Bernard Feller. Kraków, 1912. G. Gebethner i Sp.

Laskowski Kazimierz: Zrośli z ziemią. Opowieść. Tom I. „Ciekawe powieści". Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego". Warszawa, 1913. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Makowski Wacław: Wrażenia i studya. Rok 1905. Żeromski.—Wyspiański.—Tragedya Krasińskiego.—Dwójbóżcy. Wilno—Mińsk, 1913. Nakład księgarni W. Makowskiego. Warszawa, E. Wende i Sp.

Meyers Gustaw: Jak się dochodzi do wielkich fortun. Tłómaczyła S. Studnicka. Warszawa 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Mickiewicz Adam: Pisma. Wydał, objaśnił, wstępem poprzedził Józef Kallenbach. Tom VI i VII. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911. Warszawa, E. Wende i Sp.

Montessori Marya, dr.: Domy dziecięce (Le case dei Bambini). Metoda pedagogii naukowej stosowana w wychowaniu najmłodszych dzieci. Z wydania ogłoszonego przez Instytut J. J. Rousseau. Warszawa, 1913. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Orwicz Jerzy: Potępiony. Fragment historyczny z końca XVII stulecia. Odbitka z „Echa literacko-artystycznego". Warszawa. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Paciorkiewicz M.: Skarga i Bossuet (odbitka ze sprawozdania Dyrekcyi c. k. wyższej szkoły realnej w Tarnowie za rok szkolny 1912/13). Tarnów, 1913. Nakładem autora. Skład główny w księgarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie.

Polska na przełomie. Napisał Bronisław Dembiński. Z 10-ma portretami w mezzotincie i facsimile autografu „Assekuracyi". Warszawa—Lwów—Poznań. Nakładem H. Altenberga, E. Wendego i W. Tempołowicza.

Rabska Zuzanna: Listy miłosne. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Sprawozdanie Zarządu Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości za rok 1912. Warszawa, 1913.

Winkler Edward: Myśli polityczne ks. Piotra Skargi. I. Moralność—podstawa państwa. II. Kościół i państwo. III. Miłość ojczyzny. IV. Wewnętrzny ustrój państwa. V. Prawo i wymiar sprawiedliwości. VI. Kwestya socyalna. VII. Wojna. Warszawa, 1913. Skład główny w księg. M. Arcta.

Wybór Książek. Co czytać i z czego się uczyć? — przez W. M. Kozłowskiego, przy współudziale pp. K. Appela, B. Chlebowskiego, A. Drogoszewskiego, A. Jakubowskiego, L. Krzywickiego, K. Lutostańskiego, Cz. Łopuskiego, Ig. Matuszewskiego, St. Michalskiego, H. Mościckiego, St. Słońskiego, W. Trojanowskiego, J. Trzebińskiego. Warszawa. Wydawn. czasopisma „Myśl i Życie. Uniwersytet w domu." Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Zbierzchowski Henryk: Anioły płaczą. Powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginza

# Władysław IV a korona szwedzka.

Już Zygmunt III, od czasu utraty dziedzicznej korony szwedzkiej, żywił poważne obawy, by na wypadek śmierci jego, rodzina, jako bezdomna, nie musiała tułać się po świecie, a chcąc temu zapobiedz, starał się w ciągu swego panowania odzyskać tron szwedzki, oraz nabyć w sąsiedniej Rzeszy księstwa po zbuntowanych rebelizantach na rzecz własnej rodziny.

W przeprowadzeniu powyższego planu liczył Zygmunt na poparcie cesarza Ferdynanda II, bliskiego powinowatego swego i sojusznika, z którym łączyły go węzły pokrewieństwa i wspólnota interesów politycznych. Dotrzymywał też stale placu Habsburgom, jako ich wierny sprzymierzeniec, dopomagając im do zgniecenia wielkiej rewolucyi religijnej, mimo niechęci i zatargów z własnymi poddanymi, w tem błogiem przekonaniu, że cesarz dopomoże mu w zrealizowaniu jego planów dynastycznych.

Długoletnia polityka Zygmunta około podtrzymania walącego się domu rodziny katolickich Wazów, pomimo wysiłków, nie wydała pożądanych owoców. Jedynym realnym plonem długoletnich dynastycznych zabiegów Zygmunta było pozyskanie biskupstwa wrocławskiego, na rzecz pięcioletniego syna Karola Ferdynanda, co stało się wbrew woli kapituły, a jedynie na życzenie dworu wiedeńskiego.

Sterany długoletnią walką, doznawszy licznych i bolesnych w ciągu swego panowania zawodów, targany wewnętrzną obawą i niepewnością o los rodziny, legł Zygmunt w grobie w ostatnich dniach kwietnia 1632 r. Przed śmiercią przekazał swe prawa do utraconej korony szwedzkiej legalnemu spadkobiercy, najstarszemu synowi Władysławowi, który pozostał wiernym przyjętemu na się obowiązkowi. Myśl odzyskania utraconego dzie-

dzictwa wije się jak nić w dziejach Władysława tak przed, jak i po wyborze jego na króla polskiego. Dla niej wytęży król wszystkie siły swoje, a nawet, jak w toku dalszego opowiadania zobaczymy, okaże gotowość *zrzeczenia się korony polskiej*.

## I.

Z chwilą śmierci Zygmunta III cały ciężar trosk dynastycznych spadł na barki świadomego sprawy i dojrzałego, bo 37 letniego Władysława, który wraz z tytułem króla szwedzkiego odziedziczył nadto ciężkie zadanie wobec wydziedziczonej rodziny, o którą dbać było jego obowiązkiem, ze wszechmiar trudnym do wykonania.

Wiemy, że Władysław jeszcze, jako królewicz, śledził bardzo pilnie przebieg spraw dynastycznych i, biorąc w nich czynny udział, odegrał niepoślednią rolę. W tej sprawie jeździł na dwór arcyksięcia Karola do Nissy (17 maja 1629), stamtąd do Wiednia i na dwór biskupa passawskiego, arcyks. Leopolda. O celach jego misyi w Belgii u arcyks. Albrechta i infantki Izabeli wiemy, że chodziło o pozyskanie sił zbrojnych na wojnę szwedzką, w której miał być naczelnym admirałem floty na morzu bałtyckiem, jak w niego wmawiał hiszpański poseł hr. d'Auchy [1]).

Myśl *odzyskania Szwecyi*, oraz rola głównego tej walki bohatera, uśmiechała się po kilkakroć królewiczowi Władysławowi w czasie rokowań Zygmunta z dworami ościennymi.

W tem miejscu należy równocześnie zwrócić uwagę na fakt, że Władysław, o ile żywo interesował się sprawami dynastycznemi, jakkolwiek był najstarszym synem Zygmunta i domniemanym jego następcą w Polsce, *nie brał żadnego udziału* w sprawach Rzplitej; wolny czas spędzał wesoło zdala od zgiełku dworskiego, gonił zwierza wśród puszcz litewskich, bawił się polowaniem, lub ukołysany szumem prastarych drzew, marzył w młodzieńczej duszy o sławie bohatera, które to myśli i w późniejszych latach żywota głowę jego zaprzątały.

Gdzie należy szukać przyczyny tego tak wielce znamiennego zjawiska? Czy Władysław, trzymając się zdala od dworu, pragnął usunąć się od macochy, knującej przeciw niemu na rzecz

---

[1]) Dr. A. Szelągowski: „Śląsk i Polska", oraz „Ujście Wisły".

swego syna Jana Kazimierza [1]), czy może chciał dać wyraz, że go nic z polityką ojca nie łączy, czy kryła się pozatem niechęć do Rzplitej, czy ostatecznie ojciec z rozmysłu usuwał Władysława od rządów? Oto pytania, które mimowoli się nasuwają. Trudno bowiem przypuścić, żeby polityk tej miary co Władysław, będąc w wieku dojrzałym, śledząc pilnie przebieg polityki dynastycznej, czynił to bezcelowo.

Przy bliższem rozpatrywaniu jednak podniesionych ewentualności, okażą się one wszystkie bezpodstawnemi. Ani knowania macochy, wobec ówczesnego nastroju szlachty, nie były nigdy groźnemi dla Władysława, ani nie natrafiamy nigdzie na ślad niechęci ojca do swego najstarszego syna, ani nie spotykamy się nigdzie z cieniem nieufności Władysława do ojca. Nie tu więc należy szukać właściwej przyczyny pozornego rozdźwięku między Władysławem a dworem.

Roztrząsając pilnie postępowanie Władysława, można z zupełną pewnością stwierdzić, że w miarę, jak zabiegi i polityka ojca około restytucyi Szwecyi doznawała ustawicznie niepowodzeń, gdyż państwa sprzymierzone, Austrya i Hiszpania, nie przekroczyły sfery przychylnych obietnic a Rzplita okazała się dla sprawy tej conajmniej obojętną, wyzyskując doświadczenia poczynione za rządów ojcowskich, snuł Władysław własne plany odzyskania Szwecyi, któreby całą akcyę na inne skierowały tory i ułatwiły urzeczywistnienie upragnionego celu.

Zbliżenie się Władysława do innowierców, których Zygmunt był wrogiem śmiertelnym, należy uważać za pierwszy krok, prowadzący do celu, kiedy to królewicz poprzestał na pozyskaniu ludzi, których postanowił później użyć do przeprowadzenia obmyślanego przez siebie planu. Role, jakie później już z ramienia królewskiego odegrali, zwłaszcza Radziwiłłowie i Leszczyński, w czasie zabiegów dynastycznych, stwierdzają dowodnie, że Władysław działał tu planowo, przewidując wszelkie ewentualności, jakieby się wyłonić mogły.

Nim jednak wyświetlimy całą misterną sieć pomysłów Władysława, musimy dla łatwiejszej oryentacyi rozstrzygnąć kwestyę dla nas zasadniczą, czy Władysław, jako domniemany

[1]) W r. 1626 Andrzej Lipski, biskup kujawski i senator, za namową królowej Konstancyi zabrał głos w sprawie następstwa tronu i wskazał na Jana Kazimierza. (Pauli Piasecii „Chronica“ pod rokiem 1632, str. 542, wyd. Cracovia 1645).

król polski, na wypadek odzyskania Szwecyi, pragnął w swych rękach połączyć obie korony, czy też zadowolić się jedną z nich i to którą? Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że wyłoniłaby się trudność w uporządkowaniu pod jednem berłem interesów dwu państw, różnych plemiennie i narodowo, pomiędzy któremi stała kwestya religijna, owe krwawe widmo wieku XVII, które chłonąc tysiące ofiar, znaczyło swój pochód po Europie pożogą i zgliszczami.

Jest rzeczą pewną, iż Rzplita nie zgodziłaby się żadną miarą na wspólnego króla, mieszkającego w obcym kraju i to w dodatku różnym co do przekonań religijnych; wszak przed tą ewentualnością zastrzegła się kategorycznie Polska w paktach, w myśl których królowi bez zezwolenia stanów nie wolno było nawet z kraju się wydalić.

Z drugiej strony akatolicka Szwecya dała jasno poznać swój sposób myślenia—oto pozbawiła korony katolickiego Zygmunta, przebywającego stale w Królestwie Polskiem. Stan ten już się ustalił, a nawet znacznie wzmocnił, z powodu niezwykłego wzrostu protestantyzmu w Szwecyi i silnego stanowiska Gustawa Adolfa. O tem zaś, by Szwecyę pokonać przemocą, rzucić ją jako pokonaną sobie pod nogi i na ujarzmionym jej karku postawić zbrojną stopę, Władysław na razie ani myślał, ani czuł się dość silnym. W stosunku Władysława do utraconego dziedzictwa należy wogólności stwierdzić i wielką życzliwość względem ludności szwedzkiej i chęć poszanowania jej praw, oraz bardzo silnie działający urok korony szwedzkiej.

Tak więc o pogodzeniu dwu państw o biegunowo różnych i sprzecznych interesach pod rządami jednego panującego, mowy być nie mogło. [1])

Czyż więc wobec usilnych zabiegów około restytucyi tronu szwedzkiego nie wynika, że na wypadek urzeczywistnienia się tych planów, Władysław *zrezygnuje z korony polskiej?*

Przypuszczenie to, nim zmieni się w ciągu dalszego opowiadania w pewnik, wyda się dziwnem, tembardziej, że występuje po raz pierwszy w naszej historyografii. Wszak postać Włady-

[1]) Geijer, historyk szwedzki, podaje mylnie, jakoby Władysław znosił się ze Stenem Bielkim, dygnitarzem szwedzkim, w sprawie połączenia obu Królestw pod jednem berłem (E. G. Geijer: Geschichte Schwedens III tom, str. 250). Władysław traktował z nim jedynie w sprawie *odzyskania* Szwecyi, jak to wyraźnie miał polecone poseł Zawadzki, o czem obszerniej w toku opowiadania.

sława, otoczona aureolą jednego z najwybitniejszych naszych królów, nigdy jeszcze w tem oświetleniu nie wystąpiła, wszak stawiając go za wzór, prof. Czermak twierdzi w szkicach historycznych, „że Władysławowi *nigdy nie przyszła myśl*, którą pieścił Jan Kazimierz w sercu przez lat kilkanaście, by *porzucić* Rzplitą i dokonać życia na obczyźnie, zdala od swoich".

A jednak było inaczej.

Gdzie należy szukać właściwych przyczyn, które tak decydujący wpływ na Władysława wywarły?

Pomijając kwestyę, że tron w Polsce był elekcyjny a w Szwecyi dziedziczny, zwróćmy uwagę na charakter Władysława i jego stosunek do ówczesnego stanu Rzplitej i jej ustroju, oraz na własne jego w tym względzie zapatrywania, wyrażone w nieznanym dotychczas dokumencie, przechowanym w nadwornem archiwum w Wiedniu.

Władysław, jak to z licznych źródeł i opracowań wynika, był postacią dzielną i dumną, o silnie rozwiniętem i wrodzonem poczuciu władzy monarszej. Żądny panowania, nie lubił nikogo słuchać, ani żadnym ulegać wpływom, lecz na własnych polegał siłach, jak na monarchę przystało. Samodzielność i skłonność do absolutyzmu wyziera zbyt często z poza skrytej natury Wazy, co stanowi zresztą właściwość, charakteryzującą całą tę dynastyę. Ogólnie biorąc, była to natura stworzona do rozkazywania, znakomity materyał na króla dzielnego o szerokim zakresie władzy, którejby mógł użyć do powiększenia potęgi państwa i sławy własnego imienia.

Kilka tych odręcznych rysów jego charakteru wystarczy w zupełności, aby nabrać przekonania, że dla panującego o takim charakterze niezbyt różowo przedstawiało się panowanie w Rzplitej, w której organizmie tworzyły się coraz to nowe szczerby i coraz dobitniej występowały objawy wewnętrznego rozkładu. Polska poczęła się w tym czasie już toczyć po równi pochyłej nad brzegiem przepaści, gmach jej zakolebał się poważnie pod silnym naporem wzmagającej się anarchii.

Władysław, mając nieraz możność poznać bliżej niemoc i ograniczoną władzę króla-ojca wobec przemożnych stanów, które majestat królewski już dawno z wszelkiej odarły władzy i były zdolne działać wbrew woli królewskiej, a nawet bezkarnie wypowiadać posłuszeństwo, jak się to stało za panowania Zygmunta, czuł doskonale, że w Polsce będzie mu za ciasno, że wobec panujących stosunków nie będzie mógł urzeczywistnić swoich

planów, ani odegrać wybitniejszej roli w dziejach, o czem tak bardzo marzył.

*Wewnętrzna dezorganizacya państwa polskiego, ograniczona władza królewska, przemożny wpływ magnatów, brak należytego zaopatrzenia rodziny królewskiej*—były głównymi powodami, dla których Władysław pragnął nawet z pominięciem korony polskiej odzyskania Szwecyi.

Że tak było a nie inaczej, obok wspomnianych już wywodów, świadczy niezbicie treść nieznanej instrukcyi, przesłanej cesarzowi we dwa niespełna miesiące po śmierci Zygmunta pod datą 25 czerwca. [1])

Akt ten, podpisany przez Władysława i wszystkich braci, należy uważać za źródło pierwszorzędnej wagi, którego treść da nam możność przedstawienia Władysława we właściwem świetle i to w chwili jego wystąpienia na szeroką arenę polityczną, oraz odsłoni rąbek tajemnicy dyplomatycznych machinacyi, gdyż zawiera cały program rodziny Wazów.

Dokładność omówienia sprawy tak ważnej wymaga jednak wprzód stwierdzenia autentyczności wspomnianego dokumentu, gdyż niezwykła treść jego musi wpłynąć na zmianę sądu o Władysławie, wobec czego przy czytaniu owego aktu nasúwa się mimowoli podejrzenie, czy to nie falsyfikat?

Wątpliwość w tej mierze usuwa odpowiedź dworu wiedeńskiego na wspomnianą instrukcyę, której kopia znajduje się również we wspomnianem archiwum, [2]) oraz moment niezwykle ważny, mianowicie, że okres rządów Władysława, już jako króla polpolskiego, aż do pokoju sztumdorfskiego, zgadza się najzupełniej, jak to niżej zobaczymy, z programem wyłuszczonym w instrukcyi Henicyusza.

Przypatrzmy się teraz bliżej treści tego osobliwego dokumentu.

[1]) Kopia tego dokumentu znajduje się w państwowem i nadwornem archiwum wiedeńskiem, dział Polonica, r. 1632, czerwiec. Tytuł pełny brzmi: *Instructio data R. L. Henicio ad S. C. M. a Srmis posteris defuncti Sr. Regis Poloniae.* Niezależnie od piszącego zwrócił na ten dokument uwagę dr. Szelągowski (zob. Rozkład Rzeszy i Polska za Władysława IV str. 37), wspominając dość ogólnikowo i nie wdając się w głębszy rozbiór powyższego dokumentu.

[2]) Responsum S. C. M. ad ea puncta, quae super defuncti S. Regis Poloniae Serenissimorum liberorum nomine R. L. Henicius cum scripto... representavit (Archiwum nadworne wiedeńskie), dział Polonica—30 czerwiec 1632 r.

Oto Władysław, widoma głowa rodu Wazów, nominalny król szwedzki, a domniemany następca tronu w Polsce, tuż przed zbliżającą się elekcyą oznajmia przez zaufanego posła cesarzowi, że wobec możności ubiegania się o koronę szwedzką a zarazem i polską, „uważa za rzecz odpowiedniejszą, *pozostawiwszy Królestwo Polskie, ubiegać się o koronę szwedzką*; w Polsce bowiem panuje *bezrząd* nie do uwierzenia, a ścieśniona władza królewska, w czasie przyszłej elekcyi jeszcze bardziej uszczuploną zostanie.“ [1])

W dalszych ustępach instrukcyi czytamy, że „w Szwecyi żyć i królować — zdaniem Władysława — wydaje się być rzeczą dogodniejszą, już to, że zdolności swoje mógłby łatwiej zużytkować, jużto, że stamtąd mógłby skuteczniej wspierać usiłowania swych braci w Polsce. Albowiem oprócz tego, że król Szwecyi stosownie do swego majestatu monarszego w królestwie swem żyć może, dzieci królewskie otrzymują odpowiednio do swego urodzenia księstwa... czego niema w Polsce“.

Prosi dalej Władysław wraz z resztą braci, cesarza, by im dopomógł do odzyskania (recuperando) korony szwedzkiej, a w ostateczności, gdyby inaczej być już nie mogło, żeby przynajmniej po śmierci Gustawa dziedzictwo szwedzkie przeszło na potomków Zygmunta, na zabezpieczenie czego w toku układów miałoby być wydanem na ich rzecz albo księstwo Finlandzkie, albo Liwonia i Estonia.

By tem silniej związać się z domem Habsburgów i nakłonić cesarza do tem energiczniejszego popierania rodziny Wazów, oświadczył Władysław chęć poślubienia córki cesarskiej, byle z jej ręką otrzymać ks. Wirtemberskie.

Stosunek Władysława do korony polskiej określa drugi ustęp instrukcyi Henicyusza. Oto w sprawie zbliżającej się elekcyi książęta proszą cesarza, ażeby przez odpowiednie poselstwo poparł kandydaturę Władysława na króla polskiego. Ale Władysław *gotów jest ustąpić koronę polską na rzecz brata Jana Kazimierza*, ma się rozumieć na wypadek uzyskania Szwecyi. Słowa te brzmią: „Sr. autem *Vladislaus* Princeps *paratus est cedere regnum Poloniae Srmo Principi Joanno Casimiro*“...

[1]) Odpowiedni ustęp instrukcyi brzmi: *Srmo Principi Vladislao videtur potius, ut regno Poloniae relicto Sueciam requirat et possideat*, in regno enim Poloniae incredibiles augustiae sunt, in quas regiam compegerunt potestatem et multo magis in futura electione sunt compacturi.

Czyż z przytoczonych ustępów nie wynika jasno, że odzyskanie tronu szwedzkiego wybija się w polityce Władysława na plan pierwszy, a korona polska schodzi w tej grze do roli drugorzędnej, ma być tylko zabezpieczeniem Władysława na wypadek, gdyby się plan nie udał?

Teraz z kolei należy jeszcze rozstrzygnąć kwestyę, czy program powyższy jest w rzeczywistości prawdziwą linią wytyczną polityki Wazów na dalszą metę obliczoną, czy też może to tylko gra polityczna, podyktowana zbiegiem okoliczności, do której w tym wypadku większej wagi przywiązywać niepodobna.

Przedmiotem więc następnych rozdziałów będzie wykazać, że Władysław, *już jako Król Polski*, nie porzucił myśli odzyskania Szwecyi, ale jako otoczony palladium korony polskiej, rozwinął szeroką akcyę, skierowaną wyłącznie ku restytucyi utraconego dziedzictwa, gotów nadużyć nawet w miarę możności sił Rzplitej. Wszystko to zaś stwierdzi tylko w całej osnowie wszelkie w tej mierze powyżej przytoczone wnioski, usuwając w zupełności możliwość, jakoby akcya na dworze wiedeńskim była bez głębszego znaczenia, podyktowana li tylko zbiegiem okoliczności. Rzecz jasna, że dopóki kwestya korony szwedzkiej nie schodziła z porządku dziennego projektów Władysława, dopóty i zrzeczenie się Polski musiało wchodzić w rachubę, a okres ten trwa mimo wstąpienia Władysława na tron polski, aż do pokoju sztumdorfskiego.

## II.

Tymczasem nadszedł czas elekcyi w Rzplitej. Władysław, ubiegając się o koronę polską, nie uczynił nic takiego, coby Szwedów zrazić mogło, owszem dokładał wszelkich starań, by tylko pozyskać ich zaufanie, co jest widocznem w stosunku jego do innowierców w Polsce. Tolerancya religijna, jakkolwiek wynikała z szerokiej natury Władysława, nie była jednak pozbawioną podkładu politycznego, gdyż leżała w interesie jego domu. Władysław, zdając sobie sprawę, że wobec protestanckich Szwedów, których król Gustaw protegował w Niemczech, jako główny bohater i obrońca różnowierców, nie może działać wrogo—jak to czynił Zygmunt—

sam pod względem religijnym obojętny [1]), dał wyraz swoim tolerancyjnym uczuciom, biorąc w obronę różnowierców i występując jawnie po ich stronie, aby dać dowód Szwedom, że będzie umiał uszanować ich uczucia religijne. Popieranie dyssydentów w czasie bezkrólewia w Polsce, kiedy niemal cały los Władysława zależał od szlachty, która to postępowanie „otwarcie wadami nie do przebaczenia nazywała", nosi wszelkie znamiona celowej kombinacyi politycznej. Dzięki też temu poparciu zgodzili się katolicy w czasie elekcyi na szereg ustępstw na rzecz innowierców, których siła i znaczenie w państwie przez to wzrosły, co znowu przyczyniło się do wzniecenia walk na tle religijnem w Polsce.

W czasie tych zabiegów nastąpił wybór Władysława na Króla Polskiego. Zebrana szlachta, pod wpływem obawy wojen ze Szwecyą, domagała się od pretendenta zrzeczenia się wszelkich praw do korony szwedzkiej. Władysław, ustępując pozornie naleganiom polityków polskich, zrzekł się swych pretensyi dynastycznych, lecz w gruncie rzeczy nie myślał ustępstwem tem się krępować, stał się tylko ostrożniejszym, okrywając wszystko najściślejszą tajemnicą, czego liczne dowody spotykamy w ówczesnych źródłach.

Nuncyusz papieski Visconti, niedoceniony dotychczas należycie bystry obserwator, któremu liczne cenne uwagi z owych czasów zawdzięczamy, podaje „że król, jeśli ma jakie zamiary, *nie może ich nikomu powierzyć* i musi się radzić własnego rozumu, zwłaszcza, jeśli te *nie zgadzają się* zupełnie z interesem szlacheckiego stanu, bo w takim razie nie byłoby bezpiecznie zwierzyć się komu. A choć miał naokoło siebie domowników, ulubieńców i poufałych, jednak *żadnemu* z nich się *nie zwierzał* i rady ich w innych zasięgał sprawach" [2]).

Pomimo skrzętnie ukrywanego planu, po rozpatrzeniu misternej pracy dyplomatycznej, wystąpi w całej okazałości plan Władysława, zdążający do odzyskania Szwecyi najpierw a) drogą pokojowego porozumienia się, a gdyby ta akcya nie doprowadzi-

[1]) W „Relacyach nuncyuszów apostolskich" t. II: str. 193, czytamy, że oziębłość Władysława w rzeczach wiary była powodem zmartwień Zygmunta, w ostatnich latach życia, a królewicz, (jak podaje nuncyusz papieski Visconti) był z tego powodu nawet egzorcyzmowany.

[2]) Relacya nuncyuszów apostolskich t. II, str. 221. W innem miejscu (str. 199) czytamy: „Aczkolwiek zamiary króla nie są łatwe do zbadania, z tego jednak czego utaić nie mógł, domyśleć się można o tajemnych celach"...

ła do celu, b) drogą orężnego starcia, w końcu zaś pozostawała jeszcze trzecia i ostateczna ewentualność, c) nakłonić panujących do powszechnego pokoju w chrześcijaństwie, któryby uporządkował obok innych spraw europejskich także pretensye dynastyczne Wazów.

Z całym naciskiem stwierdzić jednak należy, iż program powyższy pozostaje w ścisłej łączności z polityką Zygmunta, gdyż Władysław dąży do przeprowadzenia tych planów przy pomocy Habsburgów, z którymi bynajmniej nie zrywał, jak się tego dopatrują niektórzy nasi historycy np. Szujski i Hirschberg. Tylko w środkach, prowadzących do celu, zobaczymy w pewnych wypadkach zasadniczą różnicę. O ile bowiem Zygmunt, pragnąc odzyskać Szwecyę i przywrócić w państwie katolicyzm, gotów był użyć przemocy i gwałtu wobec protestanckich poddanych, podobnie jak się to działo w krajach austryackich, Władysław usiłował zbliżyć się do dworu protestanckiego Wazy, nawiązać zerwane nici, oraz wziąć w obronę prześladowanych dotychczas innowierców. Myśl polubownego rozstrzygnięcia sporu dynastycznego z uwzględnieniem stron religijnych występuje w miejsce dawnej tendencyi wojowniczej o charakterze skrajnego katolicyzmu.

Przypatrzmy się teraz, jaki plon wydała akcya Władysława, zdążająca do ugodowego załatwienia sprawy szwedzkiej.

Oto Władysławowi, który jeszcze za życia ojca starał się zbliżyć do Gustawa, udało się nawiązać zerwane oddawna stosunki między dwoma dworami, na co Gustaw Adolf odpowiedział przez posłów swoich gotowością do układów (16 sierpnia 1632 r.). Władysław wygotował w tej sprawie poselstwo do obozu króla szwedzkiego, które jednak zastało już zimne zwłoki Gustawa po katastrofie pod Lützen.

Po Gustawie pozostała wdowa Eleonora. Tę zaślubić postanowił Władysław, sądząc, że z jej ręką uzyska tron szwedzki. Ale i to okazało się zwodniczem, gdyż wyłoniły się trudności wprost nie do pokonania.

Z jednej strony przeszkodą było niewygasłe przywiązanie Szwedów do świeżo poległego, otoczonego aureolą bohatera Gustawa, który pozostawił jedynaczkę, młodocianą córkę Krystynę, przeznaczoną już na tron szwedzki jeszcze za życia ojca (1627 r.). O usunięciu jej od odziedziczenia tronu, przez ożenek z macochą prawowitej królowej, nie mogło być mowy, zresztą Władysław nie mógłby nawet zostać opiekunem Krystyny, wobec faktu usunięcia królowej-wdowy od regencyi i pozbawienia jej wszelkiego wpływu na rządy.

Z drugiej strony wszechwładny kanclerz Oxenstierna, nieprzejednany wróg katolickich Wazów, postanowił pod żadnym warunkiem nie dopuścić do restytucyi wydziedziczonych Wazów, gdyż marzył o pozyskaniu korony szwedzkiej dla swego rodu przy poparciu Francyi, był przecież w Szwecyi przemożnym, a po śmierci Gustawa dzierżył w swych rękach ster polityki państwowej—mógł więc nie bez nadziei powodzenia marzyć o zrealizowaniu własnych pomysłów.

Wobec potężnego kanclerza szwedzkiego stawał Władysław bezbronny, gdyż nie mógł mu przeciwstawić własnego stronnictwa; dawni zwolennicy prawowitego króla, jak ród Güldenstierów i Sparów, zostali już to w zupełności pozbawieni wpływów, już to z kraju wygnani. Wprawdzie Władysław „nie zaniechał niczego gwoli zjednania narodu szwedzkiego w ogólności i każdego Szweda w szczególności tak w życiu prywatnem, jak i publicznem“, nie miał jednak dość czasu, ani sposobności, by stworzyć obóz z ludzi sobie oddanych, którzyby energicznie a skutecznie pretensye jego poparli. Opinia w Szwecyi, nad czem czuwał pilnie Oxenstierna, była usposobiona wrogo przeciw katolickiej gałęzi Wazów. Zebrany w Sztokholmie sejm (14 marca 1633 r.) ogłosił Krystynę królową, a potomków Zygmunta *wydziedziczył po wieczne czasy* od następstwa tronu.

„Każdy—brzmiała uchwała—ktoby nie uznał nowo obranej królowej, będzie uważany za wroga ojczyzny“. Zygmunt i jego potomkowie są po wieczne czasy odsądzeni od praw do korony szwedzkiej... „a każdy ktoby się podjął czegokolwiek w ich interesie, będzie uważany za wroga i zdrajcę Ojczyzny“ [1]).

Wszelkie dotychczasowe wysiłki wydziedziczonego Wazy spełzły na niczem, rozbiły się o opór stanów i czynników decydujących w Szwecyi. Ale Władysław nie zrażony niepowodzeniem, nie zaniechał dochodzić praw swych innymi środkami. Wszak zbliżał się koniec rozejmu szwedzko-polskiego, a sprawy dwu państw miały być na nowo uregulowane, przyczem i starcie orężne nie było niemożliwe; nadto nie schodziła z porządku dziennego myśl przeprowadzenia „powszechnego pokoju w chrześcijaństwie“, w którym to wypadku Władysław myślał wytoczyć przed forum Europy kwestyę szwedzką. Pozatem zaś posiadał jeszcze jeden potężny środek w swem ręku, a była nim sprawa małżeństwa. Władysław, porzuciwszy myśl ożenku z wdową po Gusta-

[1]) Theatrum Europeum. t. III, str. 38.

wie, pragnął wejść w związki małżeńskie z przedstawicielką takiego dworu, chociażby akatolickiego, któryby, jeśli nie poparł, to przynajmniej umożliwił zbliżenie się do Szwedów. Wybór padł na kalwiński dwór palatynatu reńskiego.

W duchu powyżej wyłuszczonych myśli rozwija Władysław energiczną działalność, starając się przez poselstwo pozyskać sąsiednie mocarstwa dla własnej sprawy, co wobec ówczesnej zawieruchy wojennej nie było rzeczą trudną.

Sytuacya państw w Europie przedstawiała się podówczas bardzo groźnie. Mocarstwa ugrupowały się we dwa wrogie sobie obozy. Na terytoryum Rzeszy i w krajach austryackich szalała wojna religijna, której płomień krwawą łuną oświetlał resztę państw europejskich.

Cesarz niemiecki, Ferdynand II, gorliwy katolik i wierny wychowanek Jezuitów, prowadził walkę na życie i śmierć z akatolikami, brodził zapamiętale w potokach krwi protestantów, tępiąc ich bezwzględnie. W krwawem tem dziele sekundowała mu wiernie Hiszpania, a nawet w wielu wypadkach wpływała decydująco na przebieg ówczesnych wydarzeń. Po stronie cesarza stanęli katoliccy książęta niemieccy — liga. To był obóz pierwszy.

Ze strony przeciwnej, z pośród książąt i panów protestanckich i kalwińskich, wystąpił Gustaw Adolf, genialny wódz i żarliwy protestant, który w zwycięskim boju z cesarzem podniósł zdeptanego ducha swoich współwyznawców, a choć sam legł na polu walki, spowodował, że skonsolidowane siły protestanckie wystąpiły nadal do boju z cesarzem, znajdując poparcie i pomoc nowej protektorki—Francyi. Tu dzierżył w swych rękach rządy zdeklarowany wróg Habsburgów, kanclerz Richelieu, mistrz ówczesnej polityki, który gotował się do zadania śmiertelnego ciosu Habsburgom, pragnąc na gruzach zrujnowanej dynastyi ufundować potęgę własnego państwa.

Od północy król angielski Karol I, oraz stany Prowincyi zjednoczonych pragnęły restytucyi palatynatu reńskiego, który zagarnął cesarz po zbuntowanym elektorze. Król duński gorliwie acz bezskutecznie pracował nad przyśpieszeniem pokoju generalnego. Elektor brandenburski czyhał, by sam mógł jak największe odnieść korzyści. Od wschodu wrzało ustawicznie na Węgrzech i w Siedmiogrodzie, gdzie nie wygasła nienawiść do Habsburgów. Po za niemi drzemała tajemnicza Turcya.

Najwyższą władzę duchowną dzierżył papież Urban VIII, którego równomiernie interesowały najnowsze dzieła poezyi, jak

i plany fortyfikacyjne ówczesnych twierdz, a który obawiał się cesarza i Hiszpanów bardziej, niż zwycięstw protestanckiego króla Szwecyi. Nie bez powodu mówiono, że kiedy płonęły katolickie kościoły i klasztory, stał papież sztywny i chłodny jak z lodu, podczas gdy Gustaw Adolf okazał więcej gorliwości dla luteranizmu, niż papież dla wiary katolickiej.

Że wśród takiego stanu państw europejskich, Władysław oświadczając się na rzecz jednego lub drugiego obozu, mógł przechylić szalę zwycięstwa—to było jasne. Z tego też powodu zaczęły zabiegać państwa europejskie, przedewszystkiem Francya, około pozyskania Władysława dla siebie, co znowu wpłynęło na zupełne oziębienie stosunków dworu wiedeńskiego do Władysława, zwłaszcza, kiedy Władysław po śmierci Gustawa, nie licząc się z wrażliwością dworu wiedeńskiego, porzucił myśl ożenku z córką domu cesarskiego, a zapragnął, jak to wyżej zaznaczono, wejść w związki małżeńskie z wdową po Gustawie.

Wprawdzie w lutym (33 r.) odnowiono wzajemnie przymierze, przyrzekając sobie pomoc wobec niewiernych (sed contra infideles (tales) unus alteri auxiliabitur), ale wobec zaszłej zmiany w dotychczasowej konstelacyi politycznej, nie miało ono realnej podstawy trwalszego bytu.

Z przytoczonych powodów dał odczuć dwór wiedeński swoje niezadowolenie, czyniąc wstręt zabiegom Władysława około pokoju powszechnego w chwili, kiedy król angielski i duński okazali wszelką gotowość czynnego współdziałania. Poselstwo sekretarza Piotra Gembickiego w tej sprawie do cesarza spełzło na niczem. Ferdynand „nagotowawszy wielkie preparamenta do wojny, nie miło słuchał o traktatach“, wobec czego Władysław się cofnął. Zdawało się, że przyjdzie do zupełnego zerwania między dwoma dworami, gdyż w tym czasie poseł cesarski, który przybył do Polski z prośbą o posiłki przeciw heretykom „nie mógł nic uzyskać, tylko życzliwe aprekacye pomyślnych sukcesów na przyszłość odebrał w responsie“.

Władysław, odmową cesarza wcale nie zniechęcony, porozumiawszy się z Krystynem duńskim, rozwinął szeroko akcyę około pokoju, gotów zmusić cesarza do układów, gdyby tego zaszła potrzeba.

W marcu odbywa w tym celu misyę poselską do dworów europejskich poseł królewski Jan Zawadzki. Według otrzymanej

instrukcyi [1]), miał on się udać najpierw na dwór elektora brandenburskiego, by jako pokrewieństwem ze Szwecyą złączony [2]) wszelkich dołożył starań do *odzyskania* dla Imć króla korony szwedzkiej. Elektor—jak brzmi instrukcya—może w tej sprawie użyć wpływu siostry swej (Eleonory), by ta u Oxenstierny, Baniera i innych ministrów szwedzkich, rzecz tę jak najusilniej popierała. A jeśliby była w Berlinie, miał poseł udać się do niej, pozdrowić ją, wyrazić żal po stracie męża i „ująć ją dla nas".

Z Berlina miał Zawadzki wyznaczoną podróż na dwór elektora saskiego, z którym miał układać się o przywrócenie pokoju między cesarzem i Rzeszą, oraz „by berło szwedzkie ugodnym sposobem prawnemu dziedzicowi powróconem zostało".

Po drodze, gdyby się sposobność nadarzyła, miał poseł widzieć się z kanclerzem Oxenstierną, pozyskać go i zapewnić, „że bezpiecznie może ufać dobrej wierze i roztropności króla, iż ten w czułej mieć będzie pieczołowitości dobro i pożytek królestwa szwedzkiego, ich wiarę, swobody i obyczaje". Szczegółowe polecenie brzmiało, że „z człowiekiem tym należy traktować ostrożnie".

Następnie miał Zawadzki udać się do Stanów Prowincyi Zjednoczonych z odnowieniem paktów przyjaźni i handlu, przyczem miał traktować „by królestwo szwedzkie niesprawiedliwie ojcu jego wydarte, a dziś (po śmierci Gustawa) osierocone do prawego wróciło dziedzica, który całość religii i *starożytne swobody* nietylko utrzyma, ale i rozszerzy"; nadto miał nadmienić i o uspokojeniu państwa niemieckiego.

Od Stanów Niderlandzkich wytknięto drogę poselską do króla Brytanii. Tu po zapewnieniu przyjaźni i t. d., „przystąpi poseł do spraw szwedzkich, prosząc, by J. Kr. M. przyjął na siebie rokowania o *przywrócenie* tej korony prawym spadkobiercom", obiecując wzamian poparcie ze strony króla Władysława w sprawie odzyskania Palatynatu na rzecz siostry króla, wdowy po królu „zimowym".

Oprócz dworów wspomnianych nie pominięto w instrukcyi i młodej królowej szwedzkiej—Krystyny, z którą Władysław pragnął nawiązać stosunki przyjazne.

Z treści przytoczonej instrukcyi wynika jasno i dobitnie, że Władysław mimo zrzeczenia się praw do korony szwedzkiej wobec

[1]) Pamiętniki Niemcewicza, t. III: Instrukcya dana Zawadzkiemu.

[2]) Eleonora, siostra elektora, była drugą żoną Gustawa Adolfa.

polityków polskich w czasie elekcyi, w rzeczywistości myśli odzyskania Szwecyi nigdy nie zaniechał.

Przypatrzmy się teraz jaki był rezultat zabiegów Władysława.

W marcu (29) odbył Zawadzki poselstwo do Berlina, lecz o wyniku jego, dla braku wszelkich danych, nic pewnego powiedzieć nie można. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pomoc elektora w sprawie szwedzkiej, wobec ówczesnej sytuacyi, nie na wiele by się Władysławowi przydała.

Pozyskanie królowej wdowy okazało się zupełnie bezowocnem. Knizbek oświadczył w tej materyi Zawadzkiemu, że królowa Eleonora, będąc *wyłączoną* od regencyi, królowi *pomocną* być nie może.

Oxenstierna zbył Zawadzkiego stanowczem oświadczeniem „że są nieprzełamane trudności w przywróceniu Władysława na tron szwedzki“, a nadto utrudniał Zawadzkiemu posłuchanie u królowej Krystyny, która do poselstwa tego była zupełnie nieprzygotowaną, niemiała nawet żadnego senatora przy sobie. Dopiero po kilku dniach i po usunięciu nieporozumień z powodu niezupełnych tytułów królowej, przyjęto Zawadzkiego z należnymi honorami. Królowa powitała posła w sali obitej kirem, na znak żałoby po królu ojcu; tu wyraził Zawadzki imieniem swego króla żal po śmierci Gustawa, na co mu marszałek dworu wdzięcznie odpowiedział i na tem się całe poselstwo skończyło. Do jakiegokolwiek zbliżenia się i nawiązania stosunków niedopuścił wszechwładny Oxenstierna, któremu młodociana królowa, nieświadoma zresztą sprawy, najzupełniej ulegała.

Nie zdziaławszy nic w Szwecyi, ruszył Zawadzki do Hagi, gdzie stanął w maju (15). Przyjęto go tu bardzo uprzejmie. Zaraz dnia następnego przyjęła go na posłuchaniu ex-królowa czeska, siostra Karola I, skąd udał się jeszcze do księżniczki. We dwa dni później stanął Zawadzki w przytomności stanów i wyłuszczył powód swojego przybycia, na co otrzymał przychylną odpowiedź wraz z zapewnieniem, że rząd Stanów poczyni przez posła swego starania w Sztokholmie, aby w sporach dynastycznych pośrednictwo ich było przyjęte.

W czasie pobytu Zawadzkiego w Hadze, zaszedł moment ciekawy a zarazem doniosły. Oto zgłosił się do niego prywatnie deputowany Hunrad, przez swego syna, niewiadomo czy z własnej woli, czy wysłany przez królowę, czy nawet przez Stany i wypytawszy się, czy Władysław nie myśli wejść w związki małżeńskie z domem rakuskim, zaczął wykazywać i wyliczać korzyści,

któreby uzyskał Władysław, gdyby *zaślubił* siostrzenicę króla angielskiego, dodając „że ten w sporach ze Szwecyą wdałby się za Władysławem, jako za swoim krewnym, a nawet użyłby na to siły zbrojnej, przyczem wychwalał księżniczkę, jej piękność, urodę, dowcip i naukę...“

Zawadzki obiecał o tem donieść królowi, co też niezwłocznie uczynił, poczem wyruszył w dalszą drogę do księcia Oranii, który wraz z księciem de Bergen Nassau przyrzekł, że wszelkich dołoży starań, „by mające się zacząć negocyacye wypadły pomyślnie“.

Uporawszy się ze Stanami i z księciem Oranii, udał się Zawadzki do Anglii, dokąd przybył 22 czerwca, oznajmiając natychmiast królowi swoje poselstwo. Przed posłuchaniem przybył do niego, z polecenia królewskiego, sekretarz stanu Lenox, z misyą wybadania posła, czy król Władysław z własnej woli, czy na zaproszenie cesarza podjął się pośrednictwa w uspokojeniu Europy, oraz czy cesarz życzy sobie wdania się w tę sprawę króla Wielkiej Brytanii.

Pozatem roztrząsano sprawę odzyskania Szwecyi, przyczem Lenox wykazywał połączone z tem trudności, mianowicie już to, że Krystyna za życia ojca na tron wyniesioną i przez Stany uznaną została, już to, że Szwedzi żywią nienawiść do katolicyzmu, następnie, że nowy ten stan rzeczy w Szwecyi się przyjął i utwierdził, a świetne czyny Gustawa i jego zwycięstwa nowym blaskiem okryły Szwecyę – „wobec czego wątpliwą jest rzeczą, by wdanie się króla angielskiego na co przydać się miało“. Zresztą wnosił Lenox, że król Brytanii ma pewien dług wdzięczności dla Szwedów, którzy nie małe oddali przysługi około odzyskania utraconego Palatynatu na rzecz dzieci szwagra królewskiego.

Dziesiątego lipca odbyło się posłuchanie u króla, który wysłuchał Zawadzkiego z całem zainteresowaniem, poczem skarżył się na cesarza, że niechce zwrócić siostrzeńcom skonfiskowanego Palatynatu. Zawadzki, zapewniwszy króla o życzliwości Władysława, oraz o gotowości popierania wspomnianej sprawy, przystąpił do omówienia spraw szwedzkich. Karol I, nie wspomniawszy o zachodzących trudnościach, przyrzekł popierać sprawę Władysława, mimo, że stronnicy szwedzcy wszelkich dokładali starań, by król w pośrednictwie nie brał udziału.

Jeśli rzucimy okiem na ostateczny rezultat poselstwa, to przedstawi się on nam nieszczególnie. Projekt pośrednictwa w uspokojeniu chrześcijaństwa i stojące w związku z tem poselstwo Gembickiego spotkało się z odmową cesarza, podczas gdy książęta niemieccy oświadczyli, iż życzą sobie wpierw wdania się króla

Danii. O elektorze brandenburskim nic pewnego powiedzieć nie można. Krystyna we wszystkiem ulegała kanclerzowi Oxenstiernie, występującemu otwarcie jako nieprzejednany wróg Władysława. Sejm sztokholmski wydziedziczył potomków Zygmunta po wieczne czasy, wobec czego wstawiennictwo dyplomatyczne o charakterze pokojowym nie na wiele się przydać mogło.

Jedynie Stany Niderlandzkie i Anglia ofiarowały pomoc Władysławowi, z czem łączy się nowa kombinacya matrymonialna.

Jak już wyżej zaznaczyłem, podsunięto posłowi polskiemu w Hadze myśl ożenku króla z Palatynówną, co Władysław podjął skwapliwie, „widząc w tem pożytek swej sprawy“, jak to sam oświadczył nuncyuszowi Viscontiemu.

Z dostępnych w tej kwestyi źródeł wynika, że Karol sam doradzał to małżeństwo Władysławowi, który przez posła niezwłocznie o rękę Elżbiety się zgłosił, przedstawiając równocześnie swoje życzenia w sprawie szwedzkiej. Karol—jak z zapisków wiedeńskiego posła Arnoldiniego wynika—zobowiązał się udzielić pomocy Władysławowi nietylko dyplomatycznej, ale finansowej i siły zbrojnej, zwłaszcza floty, na wypadek wojny.

Nowy projekt małżeński miał poza sferą korzyści realnych, także podkład natury moralnej, mógł bowiem służyć za dowód dla niewiernych Szwedów, że Władysław, jako ewentualny małżonek akatoliczki, będzie dla protestantów życzliwy. Nadto różnowiercy polscy, jak Rafał Leszczyński i Krzysztof Radziwiłł, wmawiali w króla, że małżeństwo to, oraz różne ustępstwa na rzecz akatolików w Polsce, przyczynią się do tem łatwiejszego odzyskania Szwecyi, bez krwi rozlewu.

Jakkolwiek idea pokojowego załatwienia sporu dynastycznego nie wygasła w sercu Władysława, nadzieja ta słabła coraz bardziej, a w miejsce jej występowała chęć dochodzenia praw swych orężem, około czego skrzętne począł czynić zabiegi tak w kraju, jak i zagranicą. Z tą chwilą wchodzimy w ostatni akt naszego roztrząsania.

## III.

Właśnie kończył się rozejm zawarty w Altmarku. Władysław sądził, że uda mu się wplątać Rzplitą w wojnę ze Szwecyą. Pokojowe usposobienie czynników decydujących i powszechny wstręt do wojny zaczepnej w Polsce nie były mu obce. Wpłynąć

na zmianę opinii w kraju i wzniecić zapał wojenny stało się jego celem. Wszak wojna ze Szwecyą, to ostateczna droga, jaka jeszcze pozostała Władysławowi, by ojcowiznę odzyskać. W licznych listach usiłuje Władysław bardzo oględnie ale systematycznie przekonać kanclerza i inne wybitne osobistości o wojowniczych zamiarach Szwedów, ich nadużyciach i własnych krzywdach, pragnąc swoje sprawy dynastyczne splątać nierozerwalnym węzłem ze sprawami Rzplitej.

Wojownicze usposobienie króla przebija się już w pierwszych listach pisanych do kanclerza X. Zadzika, gdzie zaznacza, że Szwedzi nie myślą szczerze o pokoju, a w liście do kasztelana Kamienieckiego, Piasczyńskiego oznajmia, „że nic z całości naszej (korony szwedzkiej) nie opuścimy, żeby ten chytry i złośliwy nieprzyjaciel... pociechy nie odniósł“... [1])

Przed kasztelanem krakowskim St. Koniecpolskim wyłuszcza król również powody obaw: „bacząc zawziętość Szwedów przeciw Nam i domowi Naszemu z Konstytucyi Sejmu Sztokholmskiego—chytre z Nami i Rzplitą postępki są także jawne—wobec czego, mając chęć pokoju z wielu pewnych przestróg podejrzaną, czynimy wszystko, co do dania wstrętu nieprzyjacielowi należy“.

W listach do wojewody ruskiego, Stanisława Lubomirskiego, jednego z najpotężniejszych i najwpływowszych ówczesnych magnatów pisze, że „dbać należy, by do obrony wszystko było przygotowane, a nieprzyjacielskim zamysłom wstręt był gotowy“.

W miarę im bardziej zbliżał się koniec rozejmu, czuć coraz bardziej wojenną nutę króla, który zamyśla *„krzywd swoich i Rzplitej* bronią dochodzić, skoro wróg Rzplitę płonną nadzieją pokoju karmi“, a w listach poufnych do komisarzy, wyznaczonych do układów ze Szwedami, pisze: „że już więcej *żadnej w traktatach niepokładając nadziei*, przyjdzie nam stanąwszy przy sprawiedliwości imieniem Naszem i Rzplitej *wojną* sprawy słusznej dochodzić [2]).

Opinia jednak nie sprzyjała zamysłom króla.

Z początkiem stycznia zebrał się sejm. Kiedy podniesiono sprawę szwedzką, okazało się, że Władysław miał nielicznych zwolenników. Król pragnął odzyskać utracone królestwo i parł do wojny wszelkiemi siłami. Sejm wojny nie chciał, pragnął odzyskać Prusy i Inflanty.

---

[1]) Listy Władysława w wydaniu Ambrożego Grabowskiego... № 55.

[2]) Litterae secretiores... wydał Ambroży Grabowski, № 116.

Zarysowała się odrazu zasadnicza różnica między królem a Rzplitą, czego nie zdołał usunąć żaden mąż stanu. Okazało się, że Rzplita gotowa jest traktować ze Szwecyą, bez żadnego względu na dynastyczne pretensye królewskie [1]). Wprawdzie wobec możliwości wojny, uchwalił Sejm formować nowe pułki, ale żywiąc poważne obawy, żeby Władysław wbrew jego woli nie wszczął walki, postanowił się przedtem zabezpieczyć uchwałą, „żeby wojsko zaciągane i płacone przez *stany im tylko było podległe*". [2])

Był to bolesny cios, wymierzony przeciw królowi, który czując się tem bardzo upokorzony, starał się usilnie o odwołanie powziętych uchwał, ale nadaremnie. Ścierając się ustawicznie z nieprzychylnie usposobionymi żywiołami w kraju, nie tracił Władysław ani na chwilę nadziei, że mimo wszystko trudności pokona i zmusi Szwedów siłą do uległości. W tym duchu porozumiewał się prywatnie z przedniejszymi panami w kraju i miał nawet od nich otrzymać subsydya pieniężne na zaciągi, podczas gdy zagranicą pracował nad zapewnieniem sobie pomocy i sam mówił, że ma odpowiednie środki do prowadzenia wojny.

W konstelacyi politycznej, w stosunku do dworów sąsiednich, zaszły tymczasem znaczne zmiany na korzyść wojennych planów Władysława, a mianowicie na dworze wiedeńskim, gdzie wzajemny interes wpłynął znowu na zbliżenie się obydwu dworów.

W lutym (2) odbywa Arnoldin poselstwo na dwór warszawski w misyi bardzo trudnej. W sąsiednim Śląsku, wśród ustawicznych rozruchów, okazała się dość silne ciążenie ku Polsce W Wiedniu żywiono z tego tytułu poważne obawy, by Władysław nie zajął tej prowincyi tytułem dawnej pretensyi, tembardziej, że ludność sama udawała się do niego z prośbą o wstawienie się za nią u cesarza. Nadto obawiano się w Wiedniu małżeństwa Władysława z Palatynówną, gdyż w tym wypadku Władysław przeszedłby zapewne na stronę wrogów Austryi. Rezydent austryacki Greifenclav de Volradt, przebywający w Polsce, miał pilnie baczyć na to, „czy nie przyszło do wzajemnego porozumienia się z Francyą, czy nie przyrzeczono nieposłusznym stanom i książętom śląskim jakiej pomocy, oraz czy nie noszą się z myślą powiększenia z tej strony granicy, lub czy nie

[1]) Ludwik Kubala: Jerzy Ossoliński, t. I, str. 110.

[2]) Konstytucya z r. 1635 — „Poparcie wojny ze Szwedami".

chcą zawrzeć układów ze Szwecyą z naszem (to jest Austryi) niebezpieczeństwem".

Wszystkie te punkta zostały dokładnie omówione w szyfrowanych depeszach, przechowanych w Wiedniu.

Z drugiej strony Władysław pragnął pozyskać Austryę dla swoich planów tak na wypadek zbliżającej się wojny ze Szwedami, jak w sprawie restytucyi palatynatu. W obydwu wypadkach stanowisko dworu wiedeńskiego było bardzo ważne.

Przytoczone powyżej powody wpłynęły na wzajemne zbliżenie się obu dworów, w imię wspólnych interesów. Na dwór warszawski przybył poseł cesarski Arnoldin, który porozumiewał się z Lubomirskim, a z królem układał sekretne punkta. Władysław natomiast wysłał w misyi dyplomatycznej do Wiednia brata swego Jana Kazimierza, który miał uspokoić płonne obawy cesarza o Śląsk, a nadto miał się stanowczo dowiedzieć, „jakie ordinacie cesarskie nastąpiły względem tych sukursów, które J. C. M. Królowi J. M. obiecał"... [1]) Równocześnie pozwolił Władysław cesarzowi na zaciąg 8000 kozaków.

W maju powrócił Jan Kazimierz z Wiednia już z ułożonym planem wspólnej akcyi cesarza z Władysławem przeciw Szwedom, który ostatecznie przyjęto 24 maja. Na tej podstawie miało nastąpić „złączenie sił Polski z chorągwiami cesarskiemi przeciw Szwedom" [2]), o czem w cztery dni później otrzymał drogą poufną od króla wiadomość naczelny wódz wojsk polskich Koniecpolski. Cały plan wspólnej akcyi wojskowej otoczono najściślejszą tajemnicą, zawarto go bowiem bez woli i wiedzy stanów Rzplitej.

Że cesarz łącznie z Hiszpanią okazał gotowość orężnego wsparcia Władysława, nic w tem dziwnego, skłoniły go do tego pobudki natury wyłącznie egoistycznej. Tą drogą postanowił cesarz tanim kosztem pozbyć się armii szwedzkiej, przerzucić ją na teren polski i uwolnić się od wroga, który mu zbyt ciężył. Wzamian za to zobowiązał się Ferdynand wystawić skromny oddział, 8000 kozaków, których zaciągi szły bardzo leniwo, oraz poczynił cichaczem pewne przyrzeczenia odnośnie do palatynatu.

Tymczasem zbliżał się szybkim krokiem koniec rozejmu. Wzajemnie czyniono gorączkowe przygotowania. Po skończonym

---

[1]) Punkta listu królewskiego... Archiwum wiedeńskie. Pol. 1635 r. 15 maj.

[2]) ... Coniunctio armorum, inter Caesarem, Rege et Rpca uti contra Suecum, communem hostem conclusa. Arch. wiedeńskie, Polonica, r. 1635, maj.

sejmie we wszystkich prowincyach przysposabiano żołnierzy i aparat wojenny. Do Prus maszerowały coraz to nowe zastępy; król wyjechał z Warszawy, a za nim szybko podążały świetne pułki nadwornej gwardyi królewskiej. Hetman Koniecpolski założył obóz pod Kwidzyniem, wzmacniał okopy, ustawiał baterye, dając na wszystko czujne baczenie. Za królem zjechali liczni senatorowie, oraz wybrani przez senat i Koło poselskie komisarze, wyznaczeni do traktowania ze Szwedami. Ze znaczniejszych senatorów zjawili się: kanclerz Jakób Zadzik, obaj hetmani Stanisław Koniecpolski i Krzysztof Radziwiłł, Rafał Leszczyński, a z Koła: Jerzy Ossoliński, Jakób Sobieski, Łukasz Opaliński i Hieronim Radziejowski [1]). Dwory ościenne zapowiedziały swoje poselstwa. Z Anglii przybył kawaler Jerzy Duglas, z Francyi hr. de Memes d'Avaux, nadto przybyli przedstawiciele Holandyi i Brandenburgii. Poseł cesarski Arnoldin bawił przy królu, jednak oficyalnego udziału w obradach brać nie mógł.

W Szwecyi tymczasem tendencye pokojowe były niemniej silne, jak dążności do wojny. Uznano, że wojny na dwa fronty prowadzić niepodobna, musiano się zdecydować albo ustąpić z Niemiec, albo z Polską zawrzeć układy. Gabinet szwedzki, ze względu na opłakany stan finansów oraz nieurodzaj, skłaniał się ku pokojowi. Oxenstierna natomiast okazywał chęć podjęcia walki, ściągając wojska szwedzkie do Polski, których cyfra doszła do 36,000 wyborowych weteranów z wojny trzydziestoletniej, zaś na morzu Baltyckiem krążyła flota.

Władysław był do walki również przygotowany. Zgromadził liczniejszą armię od szwedzkiej, lecz brakowało mu floty. Anglia zbroiła 40 okrętów, ale cała ta eskadra stała u brzegów Anglii i nie była jeszcze zupełnie zaopatrzona. Od obietnicy do czynnego wystąpienia było jeszcze daleko. O pomocy ze strony Holandyi nic pewnego powiedzieć nie można.

Władysław jednak, któremu chodziło przedewszystkiem o zabezpieczenie własnych interesów dynastycznych, pomimo braku floty, parł wszelkiemi siłami do wojny, zdając się nieprzewidywać niebezpieczeństwa, jakie stąd dla Rzplitej wyniknąć mogło. Jestto najsłabszy punkt całej dotychczasowej polityki Władysława, która, nie mając silnej podstawy w kraju, doznawała jednej porażki za drugą. Interesy dynastyczne króla stały w tak rażącej sprzeczności z interesami Rzplitej, że posłowie mieli pominąć

[1]) Volumina legum, t. III, str. 403.

sprawę dynastyczną w czasie oficyalnych układów ze Szwedami. Ale król oddał swą sprawę w ręce dwóch swoich gorliwych stronników akatolickich, Rafała Leszczyńskiego i Krzysztofa Radziwiłła, znanych nam dobrze z czasów młodości królewicza. Radziwiłł otrzymał zupełne pełnomocnictwo traktowania w *prywatnej* sprawie króla. Dyrektywa udzielona pełnomocnikowi królewskiemu określała, że Władysław godził się na rządy Krystyny, po której miał nastąpić albo on sam, albo jego syn pierworodny, którego zobowiązywał się oddać na wychowanie w *religii, obyczajach i języku szwedzkim* (§ 2). Władysław pragnął, by Krystyna po dojściu do lat wyszła za Kazimierza, pod warunkiem zastrzeżenia pierwszeństwa praw do tronu szwedzkiego dla swego potomstwa, przed dziećmi z tego małżeństwa (§ 3). Nadto okazał chęć objęcia opieki nad nieletnią królewną, nimby wyszła za Kazimierza, na zapewnienie czego żądał wydania Finlandyi, oraz „by dawni stronnicy królewscy Guldenstierowie i Sparowie z kraju wygnani do dawnego stanu przywróceni byli (§ 6). Pozatem przyrzekał Władysław, że religii rzymskiej do Szwecyi nigdy wprowadzać nie będzie [1]). Z innego natomiast źródła wiemy, że Władysław w ostateczności gotów był zadowolić się choćby częścią Szwecyi, a nawet poprzestać na uchyleniu prawa wyłączającego jego rodzinę od tronu szwedzkiego. Całą tę akcyę miał poprowadzić wtajemniczony we wszystko Radziwiłł.

Przy odgłosie surm bojowych, rozpoczęły się obrady w Sztumdorfie, w obliczu dwu do boju gotowych armii. Zaraz na wstępie oświadczył Władysław z braćmi swymi, że tytułu dziedzicznego króla szwedzkiego i praw do sukcesyi żadną miarą nie ustąpi.

Senatorowie i wyznaczeni komisarze okazali się wobec żądań królewskich nieugiętymi, usuwali je od obrad, lecz nie mogli przełamać stanowczości króla, który, polegając na wierności Radziwiłła, żywił nadzieję pomyślnego załatwienia swej sprawy. Walny ten obrońca królewski musiał jednak z widowni ustąpić z powodu brutalnego kroku partyi przeciwnej. Oto król otrzymał list od nieznanego nam bliżej autora, w którym oskarżono Radziwiłła o buntownicze knowania wśród kozaków przeciw Rzplitej, oraz o konszachty ze Szwecyą. Alarm ten, nie bez celu wzniecony, zaniepokoił wielce króla. Główny obrońca stanął pod zarzutem sromotnego miana zdrajcy [2]). Cios był dobrze wy-

[1]) Kotłubaj, Życie Janusza Radziwiłła, str. 264.

[2]) „... że przejęto listy W. X. M. z Torunia do Gdańska pisane, w których W. X. M. *masz kozaki przeciw Rzplitej buntować*... A nietylko to, ale tenże

mierzony, król pozostawił Radziwiłła na Litwie, „by koło wojska chodził“, nie chcąc dopuścić, by cała nienawiść na jego spadła głowę. Teraz musiał król sam dbać o swoje sprawy dynastyczne. Wobec takiego zbiegu okoliczności nasuwała się mocą faktu wybitna rola posłom zagranicznym, których usilnym zabiegom udało się doprowadzić do zawieszenia broni w czasie obrad. Mimo wszystko, rozdrażnienie obustronne było wielkie i lada chwila mogło przyjść do zerwania.

Po stronie królewskiej stanął poseł angielski, wspierany przez holenderskiego, duński własnych patrzył korzyści, a francuski zręcznie zajął miejsce rozjemcy.

Francya żywiła poważne obawy, by nie stracić potężnego sojusznika w Szwecyi, pragnąc równocześnie i Polskę wraz z królem dla siebie pozyskać. Trudnego tego zadania podjął się hr. d'Avaux, jeden z najzręczniejszych dyplomatów, który postanowił, w myśl otrzymanych instrukcyi, dążyć do pokoju, czego ani Władysław, ani posłowie szwedzcy nie pragnęli.

Jakkolwiek król Władysław okazywał początkowo jawną niechęć do posła francuskiego, jako stronnika szwedzkiego, hr. d'Avaux, dzięki wyszkoleniu politycznemu i wrodzonym zdolnościom, potrafił usunąć powoli obawy króla, a nadto pozyskać jego zaufanie ze szkodą posła angielskiego, którego gwiazda poselska bladła coraz bardziej.

Pomimo piętrzących się trudności, zdany na łaskę szczęśliwego zbiegu okoliczności, postanowił Władysław zerwać — o ile się uda—układy i wzniecić wojnę. Czynił to jednak z prawdziwem mistrzowstwem, wysuwając zawsze interes Rzplitej na plan pierwszy. Wszak w toku układów oświadczył, że nie ustąpi żadnego kraju, zabranego Polsce przez Szwedów w ostatniej wojnie. Świetny ten pod względem politycznym pomysł wzmocnił szanse żądań królewskich, czemu nikt zaradzić nie mógł. Wprawdzie wobec usilnych nalegań i próśb, tak swoich jak i obcych, musiał czynić ustępstwa, jednak z całą precyzyą usiłuje wyzyskać każdy moment, by wzniecić walkę.

Kiedy zerwanie układów z powodu zagarniętych przez Szwedów prowincyi okazało się niemożliwem, król godzi się na 8-letni rozejm, po którego upływie „wojna zaraz swoim pójdzie trybem“. Posłowie szwedzcy, ulegając wpływom posła francuskiego i jego dyplomacyi, godzili się na 40-letni rozejm i skłaniali się do zwro-

prawił, że zwłoki traktatów W. X. M. jesteś przyczyną, a to swoją z komisarzami szwedzkimi konspiracyą.“ List Janusza do ojca. Kotłubaj, str. 257.

tu Prus z Piławą i portami, zatrzymując Inflanty, co komisarzom polskim bardzo do smaku przypadło.

Władysław, pragnąc za wszelką cenę wszcząć walkę, nie opuszczał żadnej nadarzającej się okoliczności, by swego celu dopiąć. Oto kiedy Szwedzi nie chcieli przyzwolić na wolność religii katolickiej w Inflantach, które im przypaść miały, król „ruszył całe wojsko, chcąc o ten punkt certować", ale musiał ustąpić wobec stanowczego oporu najwybitniejszych mężów stanu polskich, którzy się w tym celu razem połączyli.

Poseł cesarski Arnoldin, bawiący przy boku króla, pracował usilnie nad tem, żeby panów polskich również do wojny zachęcić, ale wszystkie zabiegi nieodniosły skutku wobec stanowiska słynnego „tryfolium", które do wojny dopuścić nie chciało żadną miarą. Byli to hetman Koniecpolski, kanclerz Zadzik i wojewoda ruski St. Lubomirski, którzy, zdając sobie sprawę z konszachtów dworu wiedeńskiego, w którego interesie ta wojna leżała, postanowili *wbrew woli królewskiej* usunąć widmo krwawej walki.

Cóż było powodem tak zaciętego oporu „tryfolium" przeciw królowi? Czy może niechęć osobista lub względy partyjne miały być podkładem tej walki? Znając prosty i po żołniersku szlachetny charakter Koniecpolskiego, prawomyślność i głęboką miłość ojczyzny Zadzika, oraz naturę potężnego Lubomirskiego, od podobnego zarzutu wstrzymać się musimy.

Dlaczego jednak Arnoldin w imieniu cesarza obiecywał im pensye i dobra na Śląsku? Dlaczego Lubomirski, dawny stronnik cesarski, teraz nagle zerwał wszelkie stosunki z cesarzem, a inni pośpieszyli również wypowiedzieć Austryi przyjaźń?

„Tryfolium" obawiało się niebezpiecznych machinacyi dworu wiedeńskiego, w którego interesie leżała wojna polsko-szwedzka, gdyż w ten sposób cały ciężar walki przeniósłby się z terenu Rzeszy niemieckiej do Polski. Nadto nie mogli oni dopatrzyć się żadnych z tej wojny korzyści dla Polski. Szwedzi bowiem mieli w swych rękach zdobyte prowincye wraz z silnie obwarowanemi załogami, które należało dopiero siłą odzyskać; nawet mimo przegranej w otwartem polu mogli się oni jeszcze długo bronić, wszak mieli do dyspozycyi karną i świetnie w boju wyszkoloną armię, zaś od morza stała liczna flota, na której zupełnie zbywało królowi polskiemu.

Szwedzi okazali gotowość zwrotu Prus, zatrzymując sobie Inflanty. O kraj ten wszczynać niepewną walkę zdało się przedstawicielom Rzplitej niebardzo pożądanem. Wszak w tym wy-

padku musianoby walczyć i o Prusy, które Szwedzi dobrowolnie ofiarowali. Jeśli dodamy do tego koszta wojenne, spustoszenie kraju, który musiałby utrzymywać dwie armie, zrozumiemy łatwo, że nie leżało w interesie Rzplitej wszczynać wojny. Tu też należy szukać właściwego jądra zatargu króla z własnymi poddanymi; z tego źródła pochodziła wszelka inicyatywa do paraliżowania wojennych zapędów królewskich.

Władysław zdawał się nie brać w rachubę owych groźnych niebezpieczeństw, ale z dziwną siłą wierzył w gwiazdę wojenną, podczas gdy coraz to nowe trudności wyłaniały się i zwracały przeciw królowi. We wrześniu, kiedy układy dobiegały końca, otrzymał Władysław wiadomość przykrą z kraju, „że województwa żadną miarą podatków na przyszłą ćwierć dać nie chcą“. Mimo wszystko, król postanowił zerwać układy. Zawezwał Jerzego Ossolińskiego, swego zaufanego, „żeby fortelem jakim doprowadził do zerwania“ już po zawarciu ugody, której nie pragnął. Ale nie zdało się to na nic, podobnie jak i zamach wojewody wileńskiego, który, „zatykając uszy na odgłos zawartego przymierza, całe niemal województwo wendeńskie zbrojną odebrał ręką“. Traktat zawarto wbrew woli królewskiej. Władysław, widząc w ugodzie grób swoich planów, stracił wszelką nadzieję odzyskania Szwecyi. „Pan omal nie szaleje“ — pisze Janusz Radziwiłł o królu, który obezwładniony musiał ustąpić i rozejm podpisać, co uczynił z ciężkiem sercem, „klnąc kanclerza, hetmana i wszystkich doradców“, chociaż nazewnątrz musiał udawać, że się to wszystko z jego stało woli.

Została jeszcze królowi ostatnia deska ratunku — Litwa, o której sądził, że podniesie głos protestu w sprawie Inflant, odstąpionych Szwecyi, i układów ratyfikować nie będzie. Lecz i ta nadzieja zawiodła. Posłowie zebrani na sejmie w listopadzie 1635 r. traktat aprobowali.

Kilkuletnie zabiegi około pozyskania sprzymierzeńców, tajny układ wzajemnej akcyi zaczepnej z dworem wiedeńskim, sprawa małżeństwa z palatynówną i przyrzeczenie pomocy Anglii, wszystko to spełzło na niczem, rozbiło się o opozycyę komisarzy.

Władysław, mimo wszystko, potrafił uratować honor rodziny o tyle, że podpisując 26-letni rozejm sztumdorfski, zastrzegł się, że po upływie dwóch lat wolno mu będzie *odnowić* pretensye swoje do korony szwedzkiej. Pozostała Władysławowi jeszcze jedna i ostatnia droga do salwowania dziedzictwa swego — pokój generalny w chrześcijaństwie — w czem miała mu być pomocną niezałatwiona sprawa małżeństwa.

Ten jednak plan był bardzo trudny do zrealizowania, a wobec coraz to nowych piętrzących się trudności stał się wprost nieziszczalnym. Władysław, podejmując tę ostatnią próbę, o ile nie łudził się nadzieją, by mógł zasiąść na tronie szwedzkim, o tyle z drugiej strony wyrzekł się raz na zawsze myśli zrzeczenia się korony polskiej na rzecz brata Jana Kazimierza.

*

* *

Kończąc opowiadanie powyższe na pokoju sztumdorfskim, który położył kres widokom odzyskania Szwecyi, pragnę zaznaczyć dla całokształtu, że Władysław i teraz wycofał się zręcznie z zamierzonego małżeństwa z palatynówną, podobnie jak to już po dwakroć przedtem uczynił, pragnąc wejść w związki małżeńskie z tym dworem, któryby energicznie wsparł jego dynastyczne zabiegi. Do współzawodnictwa występują dwa dwory — paryski i wiedeński. Francya obiecywała bardzo wiele Władysławowi, a mianowicie: Śląsk, ewentualnie inne kraje Rzeszy niemieckiej, przylegające do Polski, nadto koronę cesarską po śmierci Ferdynanda II, wreszcie do wyboru kilka pięknych księżniczek francuskich. Jakie obietnice poczynili Habsburgowie, nie wiemy. Milczy o tem poseł królewski na dwór cesarski, Jerzy Ossoliński. Musiały one być znaczne, skoro Władysław zdecydował się poślubić Cecylię Renatę. Małżeństwo to jednak nie przyniosło Władysławowi żadnych realnych korzyści w sprawach dynastycznych, ściągnęło tylko nienawiść dworu francuskiego, który nieomieszkał uwięzić brata królewskiego, Jana Kazimierza, przebywającego na ziemi francuskiej. Pokój zaś generalny nie miał nigdy przyjść do skutku, podobnie jak i restytucya Szwecyi na rzecz katolickich Wazów.

Dr. Józef Krajewski.

# Pierwiosnki.

## IV.

— I wymagają troskliwego pielęgnowania. Do-brze...—mówi z rozmysłem Zdanowicz, powtarzając bezwiednie ostatnie zdanie Steinówny. — Do-brze. A niech — no nam panna Steinówna jeszcze powie: Poco my się uczymy o tym bratku, jak się żywi, z czego się składa, jakie przechodzi przemiany? co?... Jak panna Steinówna myśli? Poco?...

— Chyba po to, żeby umieć, panie profesorze!... odpowiada z tupetem Steinówna, patrząc bez śladu uśmiechu w oczy profesora. Tylko w głębi źrenic latają jej złośliwe, małe iskierki.

Tu i owdzie rozlega się cichy śmieszek. Wszystkie oczy z zaciekawieniem patrzą na Zdanowicza. Prawda, że zadaje pytanie dziwaczne, ale bo i ta Steinówna też... ziółko!...

— Żeby umieć. Ślicznie! odpowiada spokojnie Zdanowicz. Nie znać po nim żadnego wrażenia. Tylko niebieskie, przenikliwe oczy badawczo się przyglądają białej, pulchnej, aroganckonaiwnej twarzy Steinówny.—Żeby umieć. I cóż panna Steinówna teraz umie? Czego się nauczyła z dziejów tego oto bratka?

Steinówna leciutko, ale już z łatwo uchwytną efronteryą, wzrusza ramionami.

— Nauczyłam się dzisiejszej lekcyi, panie profesorze...

Na czole Zdanowicza zjawia się mała zmarszczka. Kreśli coś w notesie i kiwa lekko głową w stronę Steinówny.

— Wystarczy. Lekcyi się panna Steinówna istotnie nauczyła. Panna Smólkowska... Łucya.

Steinówna z krótkim błyskiem tryumfu wraca na miejsce, i w drodze, odwrócona od Zdanowicza, pokazuje język i robi ucieszny grymas w stronę Smólkowskiej.

— Czekaj-no, czekaj. Jak on ci z taką psychologią wyjedzie... Nie głupiam. Jego rzecz lekcya, a nie jakieś tam poco...

Smólkowska, wysoka blondynka o niezdrowej, szarawej cerze i bardzo pretensyonalnym wyglądzie, wyciśnięta, ufryzowana i z zawsze odsłoniętą żółtawą szyją, mająca powodzenie na wieczorkach studenckich i posępne znaki w rubryce wykładów, podnosi się z gracyą z miejsca i prezentuje najbardziej podbójczy ze swych uśmiechów. Ma oczy podkrążone i ów specyalny wyraz „patrzcie na mnie“, który się każe za nią oglądać na ulicy.

„I czemu właśnie Smólkowską?...“ marszczy się Nena. Nie wie czemu, ale by była wolała stanowczo, żeby Zdanowicz wyrwał którą z dobrych uczenic. Po wystąpieniu Steinówny czuje nieokreślony niesmak.

— Panna Smólkowska opowie nam dalej. Zdaje się, róża? Słucham.

— Smólkowska z żenadą i lekkim uśmiechem pochyla się nieco naprzód.

— Kiedy właśnie, panie profesorze... Taka byłam wczoraj zajęta, chciałam właśnie uprzedzić... nie miałam czasu.

— Taak... To może coś z dawniejszego?...

Smólkowska kokietoryjnie spuszcza rzęsy.

— Kiedy nie powtórzyłam, panie profesorze...

Zdanowicz przygląda się panience z nieokreślonym wyrazem. Smólkowska podnosi oczy i wykupia się najczarowniejszym z uśmiechów.

— Czy to wszystkie tak.. rzuca nagle Zdanowicz pół pytanie, pół spostrzeżenie. — I szybko dodaje nie patrząc na Smólkowską.

— A więc do lepszych czasów. Panna Wrocka Anna.

„Dzięki Bogu! wzdycha z ulgą Nena i teraz dopiero czuje, że policzki jej płoną. — Dzięki Bogu! Anka mu przecie jakoś odpowie...“.

— Panna Wrocka jest pierwszą w klasie... konstatuje, zaglądając do notesu Zdanowicz.—Czy panna Wrocka także się uczy żeby umieć, i czy również braknie jej czasu na botanikę?..

Anka gwałtownie się rumieni i na twarzy jej znać przykrość. Podnosi na profesora otwarte, szare oczy i nie odpowiada nic.

— Pani umie dzisiejszą lekcyę?

— Umiem, panie profesorze.

— Czy z pewnością?... Dobrze. Zatem nie traćmy na to czasu. Lubi pani przyrodę, czy też woli inne przedmioty.

— Lubię panie profesorze. Bardzo!...

— Tak. Niech panna Wrocka pamięta, że zaraz się z tego lubienia trzeba będzie wylegitymować. Czyby pani nie miała coś do powiedzenia w sprawie pytania, postawionego pannie Steinównie! Dlaczego się pani uczy? Panna Steinówna, żeby umieć. A pani?...

— Żeby może... wiedzieć... i rozumieć.... mówi cichutko Anka nie podnosząc oczu. Nie widzi skutkiem tego, że wzrok Zdanowicza zatrzymuje się na jej miłej, ruchliwej twarzyczce z taką przyjemnością, jak wędrowiec, wchodzący z piasków w oazę.

— Żeby wiedzieć. Uważa pani, że to nie wszystko jedno! Dlaczego pani tak uważa?...

— Umieć, to jak dla egzaminów, a wiedzieć, to już dla siebie... i na całe życie... jeśli nas coś interesuje... stara się wytłómaczyć Anka.— Mogę naprzykład umieć lekcyę, ale nie wiedzieć...

— No, no: dobrze, ale nie wiedzieć czego?...

— Ale nie wiedzieć, poco ja się uczę? I wtedy, choć umiem...

Anka patrzy błagalnie na profesora i nagle bezsilnie zaciska małe, czerwonawe rączki.

— Kiedy ja to wszystko doskonale mam w myśli, ale za nic nie mogę wypowiedzieć...

Tym razem Anka widzi wprost siebie dobre, siwe oczy, prześwietlone dziwnem ciepłem. Zdanowicz wstrząsa głową z jakąś komiczną otuchą.

— No! Jeśli tak, to jeszcze żyjemy. Chodzi o to, żeby mieć coś naprawdę w głowie i w sercu, a już tak lub owak i nazewnątrz to się wydobędzie. Co? No, więc tak: my z panną Wrocką tworzymy odtąd sojusz, który uczy się po to, żeby wiedzieć. Kto łaskaw, prosimy do nas. A jeśli panny Steinówny to hasło i nadal nie przekona, będziemy mieli wrogą koteryę, która się uczy, żeby umieć. Uprzedzam, że będziemy z nią walczyli. Będziemy?... Co?...

I Zdanowicz rozweselonym, jasnym wzrokiem oprowadza klasę.

— Będziemy! będziemy!... Rozlega się nagle chór mięszanych głosów. — U nas nie zawsze tak! To przypadkowo!... My przecie rozumiemy!... lecą ze wszystkich stron usprawiedliwienia. Wszystkie są poruszone, wszystkie chcą mówić, każdej było czegoś wstyd za Steinównę i Smólkowską i każda się cieszy, że ów

badawczy, powściągliwy ton profesora zmiękł i został zastąpiony przyjacielską niemal gawędką.

— My dlatego, że żaden profesor pierwszy raz nie wyrywa, tylko ma przemowę... uzupełnia, przekonywująco, solo, Maruta. Myślałyśmy, że i pan profesor też co powie...

Bucha ogólny śmiech. Maruta jest ze swoim melodyjnym głosikiem i twarzą naiwnego kwiatu tak rozbrajająca w prostocie wyznania, że niepodobna mieć jej tego za złe. Śmieją się koleżanki, uśmiecha się panna Adela, a najserdeczniej się śmieje sam Zdanowicz. Wydaje się być szczerze ubawiony.

— A, tak!... tom rzeczywiście, jak się pokazuje, sprawił paniom zawód. Wina po mojej stronie, i sam siebie ukarałem. No! Jakoś to się naprawi. Pannie Wrockiej za dobry początek dziękuje. Odtąd będziemy w przyjaźni. Co? Zgoda?...

— Zgoda, panie profesorze!... odpowiada zupełnie śmiało Anka, radośnie patrząc w uśmiechnięte do niej siwe oczy, dziwnie życzliwie obejmujące ją spojrzeniem. I tak samo życzliwie patrzą na nią koleżanki. Czują, że niekoniecznie naukowe, niekoniecznie poprawne odpowiedzi Anki, zawierają jednak coś, co uratowało tak niemile zapoczątkowany wykład, i żywią do niej za to szczerą wdzięczność. Ten niepokaźny, wbrew wszelkim regułom inauguracyjnym poczynający sobie profesor zdołał jednakże niewytłómaczonym sposobem pozyskać sobie klasę.

— No więc ślicznie! Walka i przymierze—mówi Zdanowicz, zabierając swoją tekę—mamy już jeden punkt styczny, będziemy wypracowywali sobie inne. A przemowa... moje panie! przyjdzie może czas i na nią, jak się bliżej poznamy. Bo, co do mnie, wolę ją mieć na końcu, niż na początku. Do zobaczenia!

I Zdanowicz, pośpiesznie wynosząc się z klasy, kiwnął dziewczynkom przyjaźnie głową, jak dobrym znajomym, z którymi się już nie robi ceregieli.

W klasie powstał gwar i zamęt.

— Jaki on jest inny, mądry i miły!... unosi się Anka. Jakie to szczęście, że się dostał zamiast Piórkowskiego.

„Jaki on jest inny i dziwny“ myśli Nena. „Zupełnie jak gdyby nie był profesorem...“.

— Jaki on jest niepodobny do profesora! Taki zabawny!... decyduje Maruta. Przegadał całą lekcyę, Bóg wie o czem i nawet na przyszły raz nic nie opowiedział. Może zapomni?....

— Takiś ty, kotku?.. rozmyśla Steinówna. Wszystko niby grzecznie, a pazurki są?... Jeżeli panny Steinówny „nie przekonywa“... A licho cię wiedziało, żeś taki!...

— Powiadam wam, że mnie się zawsze upiecze!... opowiada w ostatniej ławce Smólkowska. Z mężczyznami, to trzeba tylko umieć. Zrobić perskie oko, uśmieszek... i po krzyku. Steinównie dociął, a mnie nic. Już ja się na tem znam....

— Nena odwraca się od niej i pogardliwie odchodzi. Anka patrzy na pretensyonalną, niebrzydką i zarozumiałą twarz Smólkowskiej z głęboko ukrytem miłosiernem politowaniem.

A Steinówna najniespodziewaniej się obrusza:

— Głupia!... wykręca oczy, że aż mdli i myśli, że dlatego jej Zdanowicz nic nie powiedział! a jakże!... Twoje uśmieszki go zachwyciły! Do swoich sztubaków się mizdrzy, to myśli, że i każdy... Nie powiedział nic, bo i chłop czasem nic nie powie, tylko splunie!.. Żebyś wiedziała ze swojemi minami, ty!...

*

* *

— Nenuś!... Panna Adela mówi, żebyś prędzej szła, bo kolacya wystygnie. Później sprzątniesz. Chodź...!

Anka, zdyszana, staje w drzwiach klasy, w której Nena musi z kolei dopilnować dziś sprzątania. Zostaje się wówczas na górze, podczas gdy wszystkie panienki są na kolacyi, i schodzi się wtedy, gdy one już powracają. Nena dosyć lubi swoje dyżury, głównie dlatego, że ma sposobność do pozostania samej w klasie. Otwiera zwykle okno, otula się w szal, i patrzy na tajemniczą grę migających w oddali miejskich światełek, które wyglądają, jakgdyby prowadziły ze sobą umówioną, spiskującą rozmowę. A gdzieś, przez ciemnie, płynie odległe, stłumione huczenie miejskiego życia..

Na głos Anki, Nena zrzuca szal i poprawia przed szybą włosy.

— Zaraz idę. Czy wszystkie już skończyły?

— Tak, zaraz już miały wstawać. Tylko Horniczówna dopiero co przyszła, bo miała muzykę. Chodź!...

— Już idę.

Zbiegają szybko ze schodów, rozmijając się z powracającemi panienkami, i wpadają do jadalni, w której już jest prawie pusto. Jest tylko Horniczówna z leżącemi obok nutami, i parę

młodszych przy innym stole, chichocących i trącających się wzajemnie.

— Marysiu! moja Marysiu, proszę dać kolacyę dla panny Mieduniecklej... woła w okienko do kuchni Anka. – Prosiłam panny Adeli, żeby kazała odgrzać.

— Co teraz grasz?... a, tę etiudę... pyta Horniczówny, siadając, Nena.—Znudziła mię już szalenie, i dałam pokój. Ciągle się w trzecim takcie mylę...

— Ja się także mylę. Dlatego właśnie nie biorę nic nowego... odpowiada obojętnie Horniczówna, spojrzawszy pobieżnie na Nenę. Ma tę właściwość, że pomimo ogromnych i dziwnie prosto spoglądających oczu, potrafi niemi patrzyć czasami tak, jakgdyby przesuwała je po danej osobie tylko z niemiłej konieczności. Takim wzrokiem obrzuca Steinównę, sekującą wątpliwymi dowcipami słabsze koleżanki, takim mierzy opowiadającą o swych sukcesach Smólkowską. I ten właśnie wyraz zdaje się w nich spostrzegać Nena, specyalnie od czasów wystąpienia zową komedyantką przeciw Ance.

„Ona mię poprostu tretuje ..“ przemyka Nenie błyskawicznie w myśli. „Tak patrzeć można chyba...“

Brwi jej już już ściągają się zaczepnie – pogardliwym marsem, a na ustach się waży cieniutkie żądełko szyderstwa. Och!.. Jeśli ta Horniczówna myśli, że ona, Nena, też nie potrafi...

Ale Horniczówna nic nie myśli. Wstaje, zabiera tekę i zmierza do drzwi w przeciwległym końcu obszernej jadalni.

— Masz, Nenuś, herbatę!... mówi Anka, stawiając na stole filiżankę i talerz z krajankami.—A to co?... patrz, patrz!..

Ku przechodzącej jadalnią Horniczównie od strony stołu młodszych leci bukiecik fiołków z przypiętą białą kartką. Czepia się szelki czarnego fartuszka i spada na ziemię.

Jednocześnie od stołu się rozlega pisk i śmiechy, i mała Mania Pułtowska, zakrywając rozczerwienioną twarz rękami, wybiega innemi drzwiami z jadalni.

— To Pułtowska! To od Mani! To Mania! Ona panią uwielbia! kazała powiedzieć, żeby życie dla pani oddała! Że pani ma cudowne oczy! Ale się ona pani boi!... woła naraz za Horniczówną kilka roześmianych, piskliwych głosików.

— Jaka ta Mania jest niemądra, no?... zastanawia się Anka. Przyczepiła się do Broni ze swemi adoracyami i zasypuje ją słodkiemi bilecikami. A pisze!... no!... teraz znowu z tem rzucaniem kwiatami...

Anka wzrusza ramionami.

Ale Nena, wpatrzona dotąd nieruchomo w tę scenę, dopija śpiesznie herbatę i nie odpowiada nic. Poczem idą obie z Anką na górę.

— Umiesz już historyę na jutro? Bo ja nie. Dopiero teraz z Iwiecką mamy się uczyć. A ty co będziesz teraz robiła, Nenuś?...

— Ja? tak... odpowiada, ni w pięć ni w dziewięć Nena, ściskając nieświadomie rękę Anki. Ma rumieńce i jest czemś przejęta.

— „Co jej jest?... zastanawia się Anka. Przecieżeśmy o niczem prawie nie rozmawiały?...“.

Ale Nena zdziwienia Anki, a bodaj i jej samej, nie spostrzega. Absorbuje ją zupełnie wspomnienie twarzy Horniczówny, z tym momentalnie rozbłysłym, niewysłowionym wyrazem pogardy i dumnego zdziwienia w chwili, gdy na ramię jej padła owa wiązanka fiołków, i ów niedbały, iście królewski ruch, którym nie zatrzymując się rzuciła kwiaty na pierwszą z brzegu ławkę. Nawet się nie zatrzymała, nawet nie przemówiła, nic... tylko ta chmurna pogarda oczu...

— Ją to nic nie obchodzi. Nic a nic... medytuje Nena i jednocześnie, obojętnie dodaje na głos:

— I skąd tej Mani przyszła myśl rzucać jej kwiaty... także!..

— Ach! Ta Mania, to utrapienie. Ile razy już Bronka u siebie w pulpicie różne rzeczy znajdywała! raz kwiaty, raz ponsowe kokardy, to jeszcze, bo ja wiem już nie co... Mania mówi, że się w niej kocha, bo Bronia jest taka dumna. „Jak królowa“. I już Bronka powiedziała, że odeśle przełożonej, jeśli kiedy jej Mania jeszcze co do pulpitu włoży. Dawniej jej zawsze odsyłała z powrotem. — Więc teraz Mania znowuż wpadła na pomysł. Taka niemądra. A już przecie w trzeciej klasie...

— Horniczówna? Nic nie wiedziałam, że ma takie powodzenie. Powinszować. Chociaż z tem odsyłaniem...

Nena wątpliwie wykrzywia usteczka.

— Ależ, Nenuś, jak ty możesz?... oburza się Anka. Ile razy sama widziałam... Siedzi przecie przedemną. Tylko, że Bronia jest taka dziwna. Kryje się z tem, czy gniewa..

— No! niema z czem się chlubić, oczywiście!... dorzuca ironicznie Nena. — Jakieś głupie pensyonarskie adoracye... Każdaby tak samo zrobiła.

Ale jednocześnie, w najgłębszej podświadomości, Nena czuje, że to nieprawda. I że chociaż ona, Nena, odsyłałaby zapewne jakieś te bukieciki tak samo, jak Bronka, to jednak robiłaby

to w ten sposób, żeby niechcący, przypadkiem, dowiedziało się o tem jak najwięcej z pomiędzy koleżanek. I żeby, podczas gdy ona, Nena, dumnieby je odrzuciła, zaledwie na nie spojrzawszy, dokoła niej krążyły zdumione, pełne podziwu szepty:

— Patrzcie, patrzcie... Miedúniecka znowu dostała jakieś kwiaty. I nawet nie spojrzy. Szczęśliwa!...

*

* *

— Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Lekcye jeszcze idą swoim trybem, ale po dziewczynkach znać już pewne znużenie, apatyę i niecierpliwość. Przebija to we wszystkiem: w wykładach, w wyglądzie, w drobnostkach codziennych starć.

— Niemożliwe!... grymasi Maruta podczas obiadu, rzucając łyżkę. — To nie żaden rosół, tylko lura!... Bóg wiem czem nas karmią, jeść nie można... Boże!.. kiedy już te święta przyjdą..!

I Maruta, z prawdziwemi, małemi łezkami w ślicznych oczach, podpiera głowę rękami i nie chce więcej nic jeść.

— Pnińska! wstydź się, panna Adela i tak jest dziś zmęczona, a ty jeszcze z kaprysami... perswaduje Iwiecka. Zupa ta sama, którą doskonale zawsze zjadałaś...

— Idź!... Latasz za swoją panną Adelą, więc już niewiem cobyś zrobiła, żeby jej dogodzić... Myślisz, że cię za to zrobi pierwszą, zamiast Wrockiej. Właśnie!...

— Głupia jesteś jak stołowa noga! zaperza się Iwiecka. — O żadnej pierwszej nie myślę, bo z matematyki nigdy nie będę miała piątki. A z panną Adelą wcale nie dlatego... wcale nie latam..! Sama wyprawiasz miny do swojej panny Heleny, — to myślisz, że i każda!...

— Tylko proszę! obraża się Maruta. — Ja za panną Heleną ani myślę latać, ale już w każdym razie moja panna Helena jest lepsza od twojej wymokłej Adeli! Także coś!...

— O, Boże... myśli Nena, słuchając w dalszym ciągu rozwijania zalet i wad klasowych pań. Panna Helena, panna Adela... Mają się o co spierać!... Maruta jest czerwona jak kogut, Iwiecka beczy. Dobrze, że im to wystarcza. Chociaż, żeby tak na nią...

I Nena wykrzywia usta właściwym sobie kaprysikiem. Adoracyę?... Ona?... Bah!... Wyczekiwanie na schodach, wydzieranie

sobie okrycia, zjadanie kredy... One mówią, że to „nie żadne adoracye, tylko miłość“! One swoje panny Heleny, Adele, Olgi, tak, tak, tak kochają...!

— Tak, tak, tak kochają!... Nena sarkastycznie się uśmiecha. Alboż to tak się kocha? Alboż to tak?...

Nena ściska rękami czoło i przymyka oczy. Ona nie wie, jak to kochają. Przecież ona nigdy... Ale czuje, że te wszystkie adoracye, kwiaty, liściki, że to wszystko nie to, nie to, zupełnie nie to...! Kochać się w nauczycielkach, przy których się codziennie myje, ubiera, ścina czasami na wykładach? Albo uczenice, równie niemądre, puste albo nudne jak te, które się widzi dokoła?... Jedzące może z noża, jak Steinówna, albo od których pachnie mydełkiem i potem, tak jak od Smólkowskiej?... Takie?...

I szczupłe, proste ramionka Neny czynią ruch bezgranicznego, miłosiernego lekceważenia.

*

* *

— Królewiczu, królewiczu z bajki, gdzieżeś?...

Przychodzisz w godzinę półsennych rojeń, jako obraz daleki, cudowny i omglony, o którym długo potem marzą jeszcze powieki. Ukazujesz się w godzinie zmierzchowych, półświadomych siebie zamyśleń, kiedy urzeczone szczęściem oczy wędrują w krainy czarów i szukają w niej kogoś... czy czegoś... o czem same nawet nie wiedzą, a ku czemu dążą bezwiednie i nieprzeparcie, jak obracający nierozkwitłą jeszcze główkę ku słońcu kwiat...

— Królewiczu Nieznany, przyjdź. Rycerzu Zagadki, odsłoń przyłbicę twoją...

Niech dusza wie, jakimeś jest. Niech wiedzą oczy, za czem tęskniły. Niech czuje serce, dlaczego się zamyka przed wszystkiem, co je mami dalekiem do ciebie podobieństwem, a co wobec ciebie, którego wyśniła dusza, jest jak licha świeczka przed słońcem, jak błędny ognik wobec miesiąca, jak chwilowe, blade, znikome echa, wobec cudownej, potężnej, niewysłowionej pieśni.

Boś jest nieznany ale najpiękniejszy. Boś jest nieistniejący a istotny, boś jest ten, ku któremu, jak białe lenniczki, idą myśli w godzinie smutku i tęsknoty, w godzinie pustki i zniechęcenia, aby poczerpnąć otuchę i jasną moc.

Ukaż się, aby się zaś nie pomyliły oczy, kiedy cię ujrzą, rycerzu Zagadki, królewiczu Nieznany...

Bo wielu jest królewiczów i rycerzy, a piękne nieraz i przedziwnie szlachetne są ich postacie. I nad niejedną młodzieńczą głową ukaże się oczom ze snów i marzeń znany hełm. I nad niejedną zda się widzieć królewską, z blasków utkaną koronę.

Rycerzu nieznany, królewiczu młodzieńczych, najpierwszych snów...

Ukaż się—.

Aby w dniu, gdy się objawisz oczom na ziemi, nie pomyliły się o tobie śniące oczy i z tysiąca twarzy poznały tę, która w snach była twoją.

I żeby nie przeoczyły postaci twojej, z mgły snu odczarowanej, w rozgwarnej ludźmi ciżbie. I żeby nie ujęły dłonie obcej, wyciągniętej ku nim ręki, myśląc, że twoją jest. I żeby potem, po czasie, w świetle gasnących płomieni chwilowego zapamiętania, nie ukazała się znagła duszy twoja, wyśniona, przenigdy niezapomniana a wiekuiście utracona twarz...

Rzuci natenczas duszą o ziemię ból przeogromny, a przepadły, w którym niemasz kresu, powrotu, ani ukojenia. Bo pojmie naonczas dusza, że tyś był owym jedynym, w przedwiośniu życia wyczarowanym—tym, którego podstępem czy pomyłką na wieki sobie wydarto.

Z nienawiścią i rozpaczą obrócą się myśli twoje, duszo, ku temu, co ci się w nieświadomości oczu wydało miesiącem i pieśnią, a było tylko echem znikomem i błędnym ognikiem na drogach życia twego.

I próżno, w bólu i żalu twoim szukać będziesz, ktoby zaś tego był przyczyną i na kim krzywdy twojej szukać będziesz?...

Niemasz takiego na ziemi, a bodaj i w niebie niema.

Kwiaty na łące, nadeptane, giną jednako, czy szła tędy słoneczna para szczęśliwych, czy jechał ciężki, zboże ludziom wiozący wóz, czy przygniótł je bezmyślnie przed się ręką chłopięcą rzucony głaz.

Żaliż są winni?...

Bez winy będziesz ty, i bez winy będzie on, i nie będzie nikogo, któryby krzywdzie twojej był winien. A niemniej przez to boleć cię będzie dusza, dusza twoja, z której sen przedwiośnia, smutny i cichy, na wieki odchodzi.

I będziesz jak kwiat na owej łące, jak nie widzieć poco, dlaczego ani przez kogo złamany kwiat.

Królewiczu Nieznany, ukaż się. Rycerzu Zagadki, unieś przyłbicy. Żeby nie pomyliły się szukające źrenice, kiedy jawa cię odczaruje ze snów.

— Przyjdź!...

. . . . . .

Nena wielkiemi, cichemi oczami patrzy w okno.

Migącą drżące, opalowe gwiazdy. Plączą się w tysiączne, nieodgadnione oczom szarady, na który zda się drży zawieszone jakieś wielkie słowo przyszłości.

Gwiazdy dalekie, gwiazdy wiedzące...

Dlaczego smutek, jak złoty opył prószy na duszę, która ku wam skrzydła podnosi?...

Dlaczego tak trudno wracać na ziemię urzeczonym złotą waszą tajemnicą oczom?...

*

* *

— Malińska! Obiecałaś mi dać zadanie, a teraz nie dajesz!... dzwoni nagle przez klasę czyjś rozżalony, donośny sopran. — Malińska...!

— Żegnajcie, gwiazdy...

W klasie jest duszno i gwarno. Pod światło lamp unoszą się niemal widzialnie kłęby kredowego pyłu od tablicy, gdzie uczenice coś kreślą i ścierają. Płynie gwar mięszanych pytań, rozmów i specyalnego, pensyonarskiego „bębnienia". Zatka się uczy, utkwi się oczy w jaką historyę, geografię czy niemczyznę, zadane „na pamięć"—i monotonnym, szczękającym głosem wykrzykuje się w kółko te same zdania, nakształt jakiejś potwornej katarynki czy pozytywy. Szczególnie ta Iwiecka...

— Es stand in alten Zeiten ein Schloss so hoch und hehr...

Oczy, bezmyślnie utkwione w książkę, zatrzymują się nagle na jakiemś słowie i zaczynają je rozważać ze zdumieniem i ciekawością, jak rzecz nową i nigdy niespotykaną. Naprzykład: „eben". Co to jest eben?.. Zabawne słowo. Z końca to będzie: nebe. To już lepiej. A znowu tak: bene. To jest łacińskie słowo. Chłopcy w gimnazyum często je powtarzają. A Orzeszkowa napisała powieść, która się nazywa: Bene Nati..

A potem nagłe przypomnienie porzuconego szłosu. Ocienione przez chwilę myślą oczy znowu się robią beztreściwe i szklane. Uwolnione od dłoni uszy zatykają się znowu szczelnie i pracowicie, i odkażony ze wszelkich modulacyi głos zaczyna mechanicznie i miarowo wykrzykiwać:

— Es stand in alten Zeiten ein Schloss so hoch und hehr...

Lampy migocą i płoną w przesyconej wyziewami i kredą atmosferze mdłemi płomykami. Słychać zgrzytliwe wędrówki kredy po tablicy i unoszący się po każdem wytarciu biały obłok pyłu. W powietrzu wisi duszny, mięszany, denerwujący gwar.

— Malińska! Obiecałaś mi dać zadanie, a teraz... płacze w przesiąkniętej kurzem i zaduchem, rozbrzęczanej głosami atmosferze rozżalony sopran, na który okienna szyba odpowiada cieniutkiem drżeniem.—Malińska..!

*

* *

— Boże, żeby to być teraz w Miedúńcach!... prawie desperacko marzy, ściskając skronie, Nena.—Nad stawem. Trzciny by szumiały... woda coś cichutko, żałośnie, pośpiesznie opowiada... Stary, kochany młyn tajemniczo i chytrze mruży swoje podślepowate oko. I niebieskie, głębokie, jasne niebo.... Tak tu źle... tak nieznośnie... Taka ciągnąca, wysysająca z duszy życie, codzienna nuda...

Nena w tej chwili nie pamięta, że w Miedúńcach w ten sam mniejwięcej sposób marzyła o pensyi. Nie pamięta, że i w Miedúńcach było jej źle, nudno i nieznośnie. Wie tylko, że tłoczą ją te rozhuczane głosami, nagie mury, nuży to przymusowe wprowadzanie w siebie pewnej dozy wiadomości, które jej nie obchodzą, że męczy ją szablon tego życia i że za wszelką cenę pragnęła by teraz powietrza, ciszy i słońca. I nie myśli wcale na razie o tem, że po pewnym czasie i w Miedúńcach, byłoby jej tak samo czczo, samotnie i nieznośnie.

*

* *

— Nie!... kiedy ja już nareszcie tę pensyę skończę! wzdycha codziennie Maruta. Ślęcz i ślęcz nad temi książyskami, aż nudności człowieka biorą. Niemożliwe!...

Zgrabny, mały nosek Maruty marszczy się niecierpliwie płaczliwym grymaskiem, a oczy z niechętną melancholią mierzą rozwartą na jakiejś piekielnej maszynie fizykę.

— No, skończysz. I co?... mówi pół pytająco, pół drwiąco Nena. Ale oczy jej z badawczym niepokojem zawisają na ślicznej, kapryśnej twarzyczce Maruty.

— Co! Ona pyta, co!... oburza się uciesznie, z głębokiem przejęciem Maruta. Dobre sobie! Raz, że mam obiecaną zaraz po pensyi zagranicę. Mama, papa i ja; mademoiselle zostanie. Jużem to sobie wymówiła. Najpierw do Włoch. Pomyśl tylko! Nizza, Monte Carlo!... Niemasz pojęcia, jakie tam toalety. Mama, kiedy jeździła, to kufrów ze sobą miała... no!... A kapelusze!... Jużeśmy obmyśliły dla mnie jedną toaletę. Zobaczysz!...

Maruta aż wzdycha od ogromu oczekiwanych rozkoszy. Zagranica! toalety! No i naturalnie będą jej asystowali młodzi ludzie! Od czegożby była „skończoną?...“.

— No, a dalej? Przecież stamtąd kiedyś powrócisz. Nie?..

— Dalej?... dalej będę sobie żyła!... Już to jedno, że nie trzeba będzie kuć tych różnych królów, stylów, maszyn, bo ja wiem!... Brr! sześć lat... Wystarczy. Będziemy z mamą wyjeżdżały. Papa obiecał pałacyk na wsi odnowić. W zimie, naturalnie, w mieście. Będę bywała na balach, na koncertach, w teatrze, na rautach... jak wszystkie. A potem...? przecież nie będę chyba starą panną. Cóż ty myślisz?...

— Jak wszystkie... powtarza w myśli Nena. Jak wszystkie...

Gorycz i bunt ściskają ją za gardło. Przecież i ona, Nena, byłaby mogła być taką jak Maruta, jeździć do Włoch, obmyślać toalety, być taką strojną i śliczną, jak jej mama, z dalekich, dziecinnych czasów...

Gdyby nie to, że..

No, tak: gdyby nie to, że została samiuteńka na świecie, że Miedunice sprzedane, że niema komu się troszczyć o to, co ona, Nena, pocznie ze sobą po skończeniu pensyi, i że ona sama także nie wie o tem nic, nic...

Ale niepróżno jak wiadomo mowa jest dana po to, aby łatwiej ukrywać myśli.

— Także... cel!... mówi ze wzgardliwym uśmieszkiem do Maruty. — Latać po balach, czekając aż się ktoś raczy o ciebie oświadczyć....

— Oświadczyć!.. oburza się Maruta.—Ciekawam, cóż to za łaska?... Mam posag i nie potrzebuję się oglądać czy kto raczy czy nie raczy. Ale wszystkie panny wychodzą zamąż i bawią się. To bardzo proste. Cóż ja jestem gorsza od innych?... Także coś!..

— Ach... naturalnie, się bawią... kapituluje łaskawie Nena.— Zresztą, jeśli ci to będzie wystarczało, to bardzo dobrze...

Nena kiwa głową i odchodzi, uśmiechając się dyskretnie, lecz z taką wyższością, która jasno dowodzi, że ona, Nena, ma godniejsze i wyższe cele. Ale o ile wobec Maruty można się zabarykadować lekceważącem wzruszeniem ramion, to samej siebie niepodobna przekonać najwykwintniejszym nawet i najbardziej górnym kaprysikiem drobnych ust.

— Wszystkie mają coś... snuje się po głowie Nenie. Maruta chce dla zabaw, Anka—żeby uczyć te swoje dzieciaki, Iwiecka ma iść do szkoły ochroniarskiej, Smólkowska na uniwersytet... Ciekawam, co taka Smólkowska będzie na uniwersytecie robiła? Trzech zdań sklecić nie umie...

— Ola, jak myślisz — zagaduje z niezwykłą uprzejmością, podstępnie i zdaleka, Steinównę: czy Smólkowska naprawdę pójdzie po skończeniu na uniwerek?... Przecież ona ani pojęcia, ani wyobrażenia...

— Pilno jej właśnie z pojęciami! prycha szyderczo Szteinówna. Byle miała do kogo się wdzięczyć i wywracać oczy. Dociągnie do pierwszego egzaminu i wyjedzie z budy tak, że proszę siadać. Ale czemu nie ma iść, kiedy jej dają!...

— Dlaczegóżby nie mieli dać?... oponuje Nena. Robi w domu, co chce. Sama mówi, że się przeniosła na naszą pensyę, bo na tamtej nie wolno było fryzować włosów ani nosić wykładanych kołnierzyków...

— Co chce!... O to chodzi, że co chce! rzuca ze złością Steinówna. Żeby tak miała takiego fatra jak mój stary, niebardzo by się jej zachciało. Skakała by tak gładko, że moje uszanowanie. Tylko, że mądrym szczęście... nic nowego!

Coś z tonu Steinówny budzi w Nenie odcień sympatyi. Woli bądź co bądź Steinównę złą, niż błaznującą.

— A ty, cobyś chciała?—pyta oględnie — po skończeniu?...

Steinówna przez chwilę patrzy na Nenę rozmigotanemi w złe iskierki oczami i nagle bucha krótkim i urągliwym śmiechem.

— Chciała..! paradne sobie, jak babci pieska kocham!... Tem, co jabym, moja Miedunśiu, chciała, można się wypchać i pomalować, bo go i tak jak uszu własnych nie zobaczę. A i szkoda zatem strzępić języka. Jutro i tak muszę w budzie pół książki wy-

pytlować. Nie bój się, nie zapomni, że to moja kolej. Podła ta cała dziura...

Steinówna z pasyą otwiera książkę, ale zamiast szukać odpowiedniej strony, patrzy z pod brwi gdzieś przed siebie z jakąś gniewną ironią. I Nena milczy także.

— Żeby to człowiek miał jaki swój grosz—ciągnie po chwili cichym i urywanym głosem Ola—no! — albo żeby miał rodziców, jak ludzie... A tak matka całemi dniami ze swoją muzyką, obtłukuje z bębnami fortepiany... Ojciec, jak mu się skąd jaki grosz urwie, to się tnie w karty, a jak nie, to w domu piekło, że choć się obwieś... Pisnąć o pieniądzach nie można. A tu książki, a kajety, a buciki... Matka już kości nie pozbiera, żeby koniec z końcem jakoś związać, a i tak... Myślisz, że co?.. Skończę pensyę i zaraz, raz, dwa, pięć, i do belferki. Tak samo z mokremi ogonami będę ganiała po mieście. Tyle, że teraz idzie muzyka, że za dużo biorę, a wtedy pewno będzie, że za mało daję... Podle! i zawsze podle!... Masz pieniądze, toś pan, a nie, to i pies na ciebie ogonem będzie kiwał, i przekujesz całe życie z cudzemi bachorami... żeby to czort...

W złym, urywanym głosie Steinówny dzwonią powściągane łzy rozdrażnienia i zaciętej pasyi. Zwykły, uszczypliwie dowcipny uśmieszek znika bez śladu. Nenie Steinówna wydaje się starsza, dojrzalsza, i mimo całą trywialność wyrażeń podnosi się w jej oczach i budzi pewien odcień sympatyi.

— Źle jej... myśli, patrząc na nią w milczeniu, Nena.—Nawet bardzo. Jak ona mówi o rodzicach?... Biedna... a tak się zawsze śmieje i lubi innym dokuczyć... Przełożona mówi, że nieszczęście uszlachetnia. Widocznie jak kogo, albo jak jakie...

Nena niema takiej babuni, która by jej wyłożyła, staroświeckim i zawiłym stylem prostą prawdę, że cierpienie uszlachetnia nietylko jak kogo, ale i zależnie od tego, w jaki sposób się je przyjmuje i znosi. Wie o tem może coś więcej Anka, która, małą jeszcze będąc dziewczynką, słuchała stokrotnie znaną opowieść o tem, jak męża babci wysłano na Sybir, jak mały, śliczny Jurek, który teraz byłby jej, Anczynym, wujem, rzucił się z piąstkami i z płaczem na wiążących ojca żołnierzy i w oczach babci upadł, pchnięty kolbą, na kamienny stopień ganku, jak wuj Stefan siedział trzy lata w więzieniu, po którem wrócił z tą siwizną, która na portrecie przecina mu przez pół czarne włosy nad czołem; jak babcia patrzyła na gruzy swoich rodzinnych Starodubów, gdzie wuj Stefan osiedlił się po więzieniu z babcią i z jej, Anki, mamą, i jak w Zahorodach, gdzie mieszka teraz z babcią Anka,

palą się w dzień zaduszny kolorowe lampki w kącie ogrodu, na ogrodzonej sztachetami z krzyżem kamiennej płycie, gdzie się dają jeszcze odczytać mchem i trawą porośnięte, kute w głazie litery, obok imienia jej dziadka i malutkiego Jurka:

...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

A nadewszystko, Anka wie, że jej babcia dotąd wydaje tę trochę pieniędzy, jaką może zaoszczędzić, na kupowanie małych katechizmów, elementarzy, ubranek i krzyżyków dla chłopskich dzieci, a cały swój czas poświęca zbieraniu, suszeniu i dokupywaniu różnych leków, których nigdy niema dość dla okolicznych, bojących się szpitala jak ognia, chłopów. Tych samych. Tych, przez których wtedy i dziadka, i wuja Stefana, i malutkiego Jurusia... Stary Ochrym Zawaliszczuk jeszcze nawet żyje. Anka go widuje, przechodząc przez wieś, jak siedzi, zgarbiony, w największe spieki okryty kożuchem, na przyzbie, podnosząc ku słońcu ślepą, zbrużdżoną, jak czarna ziemia twarz w kosmykach białych włosów, i przebiera bezzębnemi, żółtemi wargami, jakgdyby coś ustawicznie, niezmordowanie opowiadał...

Anka jest dobra, a nawet bardzo dobra. Ale w dzieciństwie, mimo wszelkie perswazye, płakała na widok opalonych, wychudłych, nędznych postaci, pokornie chylących skołtunione głowy przed jej babciunią z prośbą o jakie lekarstwo, poradę czy pomoc. Chowała się nieufnie w kąt, i ztamtąd, z pod ściągniętych, jasnych brewek patrzyła na chłopskie, spracowane i ciemne jak ziemia dłonie, z taką grozą i odrazą, jakgdyby się bała ujrzeć na nich niezastygłe jeszcze plamy krwi.

*

* *

— Cudeńka się dzieją, jak babci pieska kocham!... rozpowiada ze śmiechem podczas rekreacyi Steinówna. Wchodzę do pierwszej klasy do panny Heleny, aż patrzę: nasza Neńcia apostołuje z jakąś księgą mądrości przed małemi. Co takiego? przerabia z niemi francuski. Miedunsia. Co?... I skąd jej się to wzięło, proszę?... W swojej klasie, to słówka na łuty odmierza, do książeczki też nie tego, a tu, raz, dwa, pięć... Czy się przypadkiem nie przystawia do twojej panny Heleny, Pniińsiu, co?... pilnuj się!.. Miedunsia mądra, oho! wie, jak do kogo trafić. Niby pomaga ma-

łym, coś, tego, a tu spojrzysz — i zdmuchnie ci twoją pannę Helenę. Co?...

— Nieprawda!... oburza się obecna przytem Anka. Nieprawda!... I niewiem czemu ty zawsze musisz we wszystkiem czegoś się dopatrzyć. Nena uczy małe, bo jest dobra i chce im dopomódz. Jakem chorowała na gardło, prosiłam jej, żeby za mnie przesłuchała małą Wodzińską, tę z pierwszej, z którą zawsze przerabiam niemiecki. A potem Nena już dalej chodziła, bo mówi, że to wcale nie jest takie nudne jak myślała. No i pannie Helenie lżej, bo zawsze Nena przesłuchuje codzień Naimską, Blumównę i Zawiszankę. A małe, to już za nią poprostu przepadają!..

„Małe“ są istotnie od Neny w zachwycie. Nazywają ją „panną Neńcią“, zacałowują i duszą uściskami podrapanych i powalanych łapiąt. Nena i z niemi nie jest zbyt ekspensywną. Ostrą jednak nie bywa nigdy, a pocałunki i pieszczoty przyjmuje z malutkim uśmieszkiem, którego treść pensyonarki nie obchodzi, a który, podług określenia Naimskiej, jest „cudowny“. Czasami, jeżeli się która zabardzo uprzykrza, Nena ją odsuwa leciutko od siebie i mówi:

— No, moja Brońciu, chyba już wystarczy...

Albo:

— Moja Halinko, bo nie mogę nic mówić...

— No, jeszcze ostatni raz, no, moja złociutka panno Neńciu! już potem nie będę nigdy! nigdy!...—przekomarza się malutka, cała w loczkach, jak różowy cherubinek, Zawiszanka.—Tylko ten! ten! i ten!...

— Halinko, bo sobie pójdę... uśmiecha się Nena — później znowu będziesz płakała...

— Oj! nie! nie! Już wszystko zrobię, tylko niech panna Neńcia nie odchodzi! moja złota! moja jedyna! Ja bez pani nie mogę żyć! kiedy w środę pani nie przyszła, tylko spacerowała po sali z Blumówną, to jużem myślała, że nie wiem co zrobię. Ja panią dziesięć, sto razy więcej kocham niż ona! Ja dla pani wszystko! wszystko!...

— Halinka mówi od rzeczy. Jeśli się Halinka zaraz nie zabierze do słówek, to naprawdę nie będę przychodziła. Nie poto tu jestem, żeby słuchać takich bredni. Proszę... na piątej stronie. Od „mon père et ma mère sont bons...“.

Ale jest coś w głosie, czy twarzy Neny, co usposabia Halinkę tak, że się rzuca jej ponownie na szyję, okrywając pocałunkami.

— Nie gniewa się panna Neńcia!... nie! nie! tylko tak mówi dla strachu. Panna Neńcia nie umie się gniewać! Panna Neńcia jest dobra! Śliczna! Kochana!

*

* *

„Zabawna ta Halinka“—rozmyśla, wracając, Nena.—I co ona we mnie widzi?... Takie głupiutkie są te pensyonarki...“.

Usta Neny wyginają się kapryśnie pogardliwym, dyskretnym grymasikiem, a w chodzie, w odchyleniu małej główki, upiętej w koronę z warkoczy, z pod których tu i owdzie wymykają się małe kędziorki, w spojrzeniu, przebija tłumiona, ale aż drgająca świadomością swej wyższości i zadowoleniem ambicya. Och!... Niekoniecznie trzeba być Horniczówną, żeby dostawać listy i kwiaty!...

— Patrzcie!... Tak wyglądał Juliusz Cezar w powrocie ze zwycięzkiego podboju!... woła z patosem Steinówna, wyciągając rękę w stronę wchodzącej Neny.—Wybrali cię na opiekunkę honorową zamiast panny Heleny, że masz taką minę, czy co?...

Ale Nena wzrusza tylko ramionami i obrzuca rzędy pulpitów spojrzeniem, w którego najdalszej głębi tli się dziwnie twardy i tryumfalny błysk. Przebiega oczami po kolei szeregi pochylonych głów i postaci i zatrzymuje się, wiedziona jakąś myślową analogią, na ledwie widocznej z poza firanki twarzy Horniczówny. Siedzi, jak zwykle, z książką na kolanach, ale tak, jak zwykle, gdy sądzi, że nie jest obserwowana, nie czyta. Objęła ramiona skrzyżowanemi na piersi dłońmi, odchyliła głowę na oparcie krzesła i patrzy wprost przed siebie. Marzy? Chyba nie. W zdecydowanem, prawie surowem spojrzeniu czarnych oczu, w poprzecznej zmarszce pomiędzy strzałami brwi, w zacięciu pełnych, purpurowych ust, nie ma nic ani z mglistości, ani z bezprzedmiotowej słodyczy marzących twarzy. Te oczy nie szukają w niewiadomej przestrzeni im samym nieznanych rzeczy; gore w nich określona, pewna i zacięta myśl. Te usta zacina rys uporu, czy nieprzepartej woli. W tej twarzy niema dziecinnej jeszcze jasności jednych, ani amalgamatu nieuświadomionych jeszcze uczuć innych z pomiędzy jej równych; jest cała, jak z jednolitej bryły wykuty posąg, którego nieco może masywne, ale nad wyraz plastyczne

rysy, artysta natchnął magnetyczną niemal indywidualnością i siłą. Jest w tej bladej dziewczynie jakaś moc, odrębność, prostolinijność. Jest coś, co każe przypuszczać, że idzie przebojem do wytkniętego sobie celu pomimo wszystko, albo i wbrew wszystkiemu, i nie ustąpi przed niczem, i dla niczego się nie zatrzyma.

Nena patrzy. I im dłużej patrzy na tę twarz, tem bardziej się tłumi w jej własnych oczach ów chełpliwy ognik tryumfu, a na usta, wbrew woli, wydobywa się z najdalszych głębin duszy rys zniechęcenia, niesmaku i goryczy. Przed tą jedną milczącą, i mniej widoczną, i bardziej schowaną w cień dziewczyną, Nena się czuje nie tą przodującą, pewną siebie i trochę górną Neną Mieduniecką, tylko poprostu małą, bezradną, rzuconą samotnie Neną, której jest dziwnie źle i pusto, a która gwałtem chce siebie i innych przekonać, że jest spokojną, świetną i pewną siebie...

*

* *

Są święta. Pensyonarki się porozjeżdżały; po kurytarzach jest cicho, klasy zamknięto na klucz. Tylko dwie są pozostawione do użytku kilku dziewczynek, które do domu nie zabrano. Między niemi jest, jak zwykle, i Nena.

Ankę zabrała do babki jakaś razem z nią odjeżdżająca pani. Maruta rozpromieniona, śliczna, jak cherubin, przebrany przez figle w futrzaną czapeczkę i okrycie, odjechała do rodziców. Ma dwa dni drogi, ale cóż to znaczy! Możeby miała dlatego siedzieć w tych pustych ścianach, kiedy tam, tam...! Ma już zaproszenie na pięć wieczorków i ma szlichtadę. Przytem, mama obiecała ją wziąć koniecznie do opery. I zresztą tyle jeszcze rozmaitych rzeczy, mój Boże!... Dwa tygodnie zlecą, jak nic. Chyba się spóźni, albo co...

Horniczówna została także. Siedzi za swoją firanką bardziej niż kiedykolwiek sama, a całe popołudnia spędza przy fortepianie w jednej z pustych klas.

Steinównę zabrano również.

Nena widziała, jak do sali przyjęć przyszła wysoka, chuda, przygarbiona kobieta, w czarnoburym kapeluszu na niedbale uczesanych włosach, z dość dużą paczką w ręku. Zawołano Steinów-

ny. Nena pamięta ów ruch, jakim Ola obejrzała się szybko czy ją kto nie widzi, a potem wysunęła się z matką do bocznego pokoju, aby się przebrać. Miała na sobie ubranie pensyjne, dawane uboższym bezpłatnie, które przed odjazdem do domu musiała zmienić na własne.

Oknami piątej klasy było dobrze widać w kilka minut potem szczupłą, pochyloną kobietę, dużemi krokami idącą aleją ku miastu, oraz drepcącą tuż przy niej przysadkowatą figurkę Oli. Był króciutki, czarnorudy żakiecik, a na głowie coś, co mogło być również i starą, barankową męską czapką. Ręka bez rękawiczki, czerwona od mrozu zatulała przy szyi szydełkowy szalik. I kalosz z jednej nogi ukazywał klapiącą w chodzie, wpółoderwaną podeszwę.

Nena widziała, jak pierwszym zaułkiem skręciły w bok od głównej alei, którędy szły i jechały uwolnione na święta pensyonarki. Przemknęła Maruta, kiwając radośnie głową w stronę pensyjnych okien, przy których stało kilka pozostających pensyonarek. Po Marutę przyjechała matka. W pędzie na chwilę tylko mignęło parokonne, otwarte lando, i jakieś długie, strusie pióra nad delikatną twarzą, w której zamiast śnieżności Maruty, było pewne subtelne znużenie chylącego swój kielich kwiatu. Wąska, opięta w długą duńską rękawiczkę dłoń, ładnym, niedbałym ruchem przesłała pozdrowienie w stronę okien, ku którym kiwała głową i uśmiechała się wszystkiemi dołkami różowa i uszczęśliwiona Maruta. I wszystko znikło. Tylko w szarą smugę nudy, rozwłóczonej po opuściałych nagle kurytarzach i klasach wionęła na chwilę, jak nieuchwytna woń, świetlna i dzwonna smuga radości dalekiej i cudzej, która niby promienna droga, prowadziła zapewne w nieznany a cudowny świat.

Ich świat...

Ten, który dla wielu istnieje tylko gdzieś, het, w krainie marzeń dalekich, i tak nieziszczalnych, jak każde niemal marzenie. Świat, w którym wszystko zdaje się piękne, świetne, promienne. Świat liberyjnych powozów, strusich piór, rozbłysłych oczu. Świat, w którym są twarze, jak chylący kielich, znużony południem kwiat, i takie, jak białoróżowe, beztroskie a prześliczne jabłonne płatki o wiośnie. Świat, który jest, jest z całą pewnością, jest gdzieś w dalekiej, nieznanej przestrzeni huczącego w oddali miasta. Tylko, że jedni pędzą weń szeroką aleją, parokonnym powozem, a inni chyłkiem i pokornie skręcają im z drogi w pierwszą boczną uliczkę, miłosiernym mrokiem ocie-

niającą rudość króciutkiego żakieciku i kalosze, z których jeden klapie w pół oderwaną, mokrą od śniegu podeszwą.

Tego dnia Nena spisała w duchu z rachunku Steinówny dużo kresek in minus.

*

* *

Wloką się ciche, puste, zabójczo jednostajne dnie.

Nena od rana marzy tylko o śnie. Oczekuje go, jak nagrody za czczy, niewiarogodnie nużący dzień. Wykładów niema, i godziny wydają się podwójnie i potrójnie długie, i tem dłuższe, im bliższy jest wieczór. Aż wreszcie brzmi pożegnalny dzwonek i można iść spać. Ale do mdłego, osłabionego bezczynnością ciała sen nie przychodzi. I Nena długo, długo leży z zarzuconemi pod głowę rękami, patrząc bez mignięcia i bez myśli na świetlny krążek od lampy, odbity na przeciwległej ścianie. Snują się myśli niezaczęte, urwane, leniwe...

Dzień jest podobny do dnia, jak krople wody. Ten sam, jąkliwy, późniejszy nieco przy święcie dzwonek na wstawanie. Ten sam, niemiły mrok zimowego szarego ranka, przebiegającego ogrzane ciało nieprzyjemnym dreszczykiem chłodu. Nagie, hygieniczne mury zdają się na przestrzeń szerzyć przejmujący zimnem dech. Znane kopcenie lampy w półświetle dnia. Niechętne, ociężałe zaczynanie tej samej znanej i codziennej krzątaninki. Kurczenie się pod lodowatą strugą wody. Długie, staranne układanie warkoczy przed lustrem odbijającem machinalnie w jeden punkt wpatrzone oczy. Pacierz ogólny. Śniadanie. Nauka. I swoboda na cały długi, pusty, nieskończenie mdły dzień.

Nena prawie zazdrości małym, które jako takie, pozostają i przez święta pod opieką. Mają więc przed obiadem korepetycye, potem zabawy, potem panna Olga albo panna Adela uczy je pleść koszyki, wykrawać z papieru zabawki, szyć na lalki ubranka.. Małe śpiewają, gonią się, dokazują, czasem się kłócą. Bądź co bądź mają czas zajęty. A starszym, do których się zalicza klasa piąta i szósta, pozostawia się swoboda. Wymagane jest

tylko ścisłe przestrzeganie godzin posiłku, wstawania i snu, oraz uczęszczania na spacer. Spacer...

Wyciągnięty w nieskończoność, jednostajny wąż par, z „panią“ na czele i „panią“ na końcu. Brnięcie jedna za drugą, jedna za drugą, przez pewną ilość ulic, ze wzbudzeniem jakiejś kondolencyjnej ciekawości nielicznych przechodniów, obrzucających miłosiernem okiem szeregi jednakowo umundurowanych, dziwnie odkażonych ze wszelkiej indywidualności, mechanicznie poruszających się figurek...

Nena wymyśla, co może, żeby się od tej pańszczyzny uwolnić. Boli ją gardło... jest zmęczona... chciałaby pograć... wolałaby pójść do pensyjnego ogrodu, bo...

W zimie pensyonarki prowadzi się nie do ogrodu, tylko na miasto, bo pensyjny ogród ma tylko jedną, rozczyszczaną aleję, po której można chodzić tam i z powrotem. Dlatego dziewczynki wolą spacer na miasto. Ach! tylko nie ona!... Sto razy już woli ten ogród...

Bo, żeby to naprawdę było miasto. Ale gdzie tam. Jest to coś pośredniego między jego końcem a początkiem przedmieścia. Jakieś długie, puste ulice o niskich, jednobarwnych budynkach, coś w guście miejskich kuźni, warsztatów, stajen, a wszystko obrócone do ulic ślepemi ścianami bez okien, i murami, z poza których dolata brzęk, kucie, głosy...

Prawdziwe miasto, takie, jakiem je sobie w najgłębszej jego treści wyobraża Nena, jest dopiero tam, w przeciwnej stronie, za klasztornemi murami pensyi, widoczne wieczorem jako szeroka zatoka migających niebieskich, czerwonych i żółtych światełek. Żeby je widzieć, trzeba być na galeryjce pewnej drżącej od starości wieżyczki w rogu klasztornego ogrodu, gdzie mieszkają białe, gruchające gołębie i trochę kawek. Nena zna tę wieżyczkę i nietylko zna. Patrzenie stamtąd ku miastu należy do jej najulubieńszych zajęć. Szczególnie o zmierzchu, o sinym zmierzchu zimowym, kiedy w ciemnej oddali wykwitają jeden po drugim, migające, zielone i purpurowe ogniki, a przez wieczorną ciszę płynie jednotonny, stłumiony, tajemniczy szum...

Świat—ów świat przeczuwany, ów miejski świat jest tam. Tam, gdzieś w powodzi tych zagadkowych światełek, błyska opalem pociemniałych oczu i uśmiechem różowych ust rozbawiona, śliczna Maruta. Tam płoną tysiącem kinkietów teatry, salony, pałace. Tam wabią olbrzymiemi oknami wystawy kwiatów, sreber i tysiąca cennych wyszukanych drobiazgów; tam błyskają nad dyskretnem ocienieniem prześwietlonych z wewnątrz firanek ognio-

barwne szyldy barów, restauracyi, kawiarni. Tam pędzą w błękitnym zimowym zmierzchu szybkie i ciche powozy i pod cieniem długich, strusich piór jaśnieją matowym, przyćmionym blaskiem leniwie znużone, kobiece oczy...

Taki świat mgli się Nenie w oddali, w srebrne wieczory zimowe; takiem widzi owe owiane pyłem świateł, dalekie, nieznane miasto.

Miasto nic nie wie o drżących ze starości schodach galeryjki, na której, przyciśnięta do ściany, stoi czasami pewna otulona w ciemny szal, nieduża figurka. Nie wie nic, że piwne, tęskniące oczy godzinami badają i tak gorąco, najskryciej pragną odgadnąć jego świetlistą, migającą ognikami, szaradę. I nie widzi rozchylenia bladoróżowych ust, które zdają się chłonąć, spragnione, ów daleki, nieodgadniony, nieustanny, w szarą ciszę klasztornych niemal murów płynący z oddali szum...

*

* *

Są ciepłe, szare, bezwietrzne dni. Zimowa odwilż, która w zlodowaciały świat wnosi łudzące tchnienie przedwiośnia.

W pensyjnym, poklasztornym ogrodzie ułożone wzdłuż głównej alei deski ociekają topniejącym, brudno-żółtym śniegiem. Pod dachami na śniegu spadające krople wyżłobiły aż do bruku szare rowki, i daleko dookoła ponaparstkowały śnieg w okrągłe, płaskie otworki. Powietrze jest tak łagodne, że można by chodzić bez okrycia. I tylko po pewnym czasie zaczyna się odczuwać wilgotny, przenikliwy ziąb.

W pustych klasach i kurytarzach snuje się szaro-żółtawy, odbity od nieba i śniegu, zmrok. A wraz z owem blednicowem półświatłem, które się sączy przez okna, ściele się dookoła podobna mu, szaro-żółtawa, beznadziejna nuda.

Ziewałoby się... ziewało.. ziewało...

*

* *

Nena, otulona w szal, jak senna, chodzi z kąta w kąt. Rzuca książkę, która ją nuży, bierze parę jękliwych akordów na fortepianie, podchodzi po kolei do okien, i wreszcie idzie błąkać się po pustych kurytarzach. Przez oszklone drzwi widać wnętrza klas. W trzeciej sprzątają. Pozsuwane na jedną stronę pulpity, powywracane do góry nogami na pulpitach krzesła, włochate widmo szczotki, latającej za sprawą czyjejś niewidzialnej na razie ręki po szybie nakształt olbrzymiego, potwornego owadu, który się tłucze o szkło...

Niezwykła pustka rozgwarnych zazwyczaj kurytarzy wpada do uszu nieustannem, cieniutkiem dzwonieniem. Możnaby przysiądz, że gdzieś w oddali brzęczą jak uprzykrzone komary, niewidzialne oku dzwoneczki. Takie, jak ten nad kaplicą. Z kaplicą, w umyśle Neny, łączy się zawsze pewne niemiłe wrażenie, mianowicie dzwonek. Ma w swem przyśpieszonem i hałaśliwem zakłopotaniu coś niemiłego, coś co się kłóci z nastrojem modlitwy i kaplicy. Musiało by to być głębokie, ciche, poważne...

Ten dzwonek, i jeszcze obraz panny Herminy, zakrystyanki, do której obowiązku należy zbieranie także prywatnie uczenic ze wszystkich kątów na nabożeństwo, wciskają pomiędzy Nenę, a wszystko, co jest z ceremonii religijnych, pewien cień oziębłości czy niechęci. Był czas — zresztą dawno, bo w drugiej klasie pensyi—kiedy obie z Anką, w dużą pauzę, pędziły co sił, trzymając się mocno za ręce, przez nieskończone, mroczne kurytarze w stronę kaplicy, „żeby się pomodlić“. Kaplica na pensyi, zbudowanej w nowym gmachu, mieściła się w końcu długiej odnogi starego, poklasztornego budynku w ocalałej z ruiny jego części. Na tej połowie, kędy panienki miały wstęp tylko w godzinach i dniach nabożeństwa, było zawsze trochę mroczno, pusto i wilgotno. Krążyła nawet, umierająca już zresztą legenda, o pewnej białej mniszce, która się ukazuje czasami w oknie starych cel i kiwa okrytą białą zasłoną głową oraz o starych organach, poruszanych o północy na chórze niewiadomo jak, ani przez kogo. Mniszki nie widział nikt, tak jak niesłyszano organów, ale zawsze, przy wejściu pod zmierzchowe, łukami zakreślone sklepienia, panienki odczuwały pewien daleki, jakby zaświatowy dech.

Nena doskonale pamięta owe tłuczenie serc pod fartuszkami, kiedy gnały we dwie przez kurytarze z tupotem małych nóg, zdolnych wypłoszyć najmniej nawet wymagające widmo. Chodziło o ucałowanie pewnego, starego jak świat krzyżyka, który stał w bocznej niszy na postumencie, i, miał być, podobno, cudowny. Zmarły brat przełożonej, o którego pielgrzymkach krą-

żyły całe legendy, dostał go ongiś od starca-robotnika w Rzymie, robotnika, który pracował w katakumbach, gdzie też ów krzyżyk miał odnaleźć. Był nieduży, kamienny, z rytemi bardzo niewprawnie konturami figury. U dołu stały niewiadome litery i znaki. Słynął, jako cudowny.

Anka się wówczas była ofiarowała przez dwanaście pauz codziennie bywać w kaplicy i mówić trzy Zdrowaś Marya „na intencyę, żeby Juruś wyzdrowiał i żeby się babciunia nie martwiła". Juruś dostał bronchitu i leżał w gorączce. A babcia—nawet ona—pisała:

„Módl się, Haneczko, żeby Pan Bóg litościwy raczył odwrócić złe, bo tylko was dwoje na świecie...".

Nena nie miała o co się modlić. Ojca, ani matki nie miała, Malisia nie żyła już także. Za ciotkę by się przecie nie modliła, bo i o cóż?... Skrystalizować zaś sobie własnych pragnień nie mogła, bo żadnych określonych ściśle nie miała. Wiedziała jedynie, że było jej źle. I dlatego, podczas, gdy mała Anka, z całą ufnością i gorącą prośbą szeptała przed cudownym krzyżem najpierw podług ślubu trzy zdrowaśki, a następnie „swojemi słowami", w których się mieściła cała serdeczna troska jej małeg o serduszka:

— Boże, daj, żeby Juruś wyzdrowiał, i żeby babciunia się nie martwiła!...—wówczas Nena, nieruchomo i uważnie wpatrzona w tajemnicze zgłoski krzyża, mówiła w duchu:

— Boże, daj, jeśli można, żeby się co zmieniło...

Byłaby chciała przypaść do tej marmurowej podstawy i gorącemi ustami zwierzyć cudownemu krzyżykowi wszystką gorącą tęsknotę za ową zmianą. Byłaby chciała przylgnąć do zimnego cokółu czołem i opowiedzieć wszystko, co się w niej nagromadziło z żalu i bólu od chwili choroby matki i sprzedania Mieduniec. Byłaby się pragnęła mu zwierzyć cichutko, żałośnie, gorąco...

Nic jednak z tego w czyn nie wprowadzała. Nie umiała nawet podnieść głowy do góry i stulić przy ustach rąk tym błagalnym i ufnym gestem, jaki miała Anka, szepcąca po kolei swoje trzy Zdrowaś i trzy: Boże daj... Stała przy filarze nieruchoma, cichutka, i żeby nie wymowne skupioną tęsknotą i prośbą oczy, możnaby ją wziąć w półmroku kaplicy za jaki bronzowy, smutny posążek. Ale w oczach była cała gorąca, tęskniąca i błagalna dusza.

Stało się, że Juruś wyzdrowiał, i babcia przestała się martwić. Dziewczynki się porozjeżdżały na lato, zjechały się znowu, minął rok, a w życiu Neny nie zmieniło się nic a nic. Była zaw-

sze ta sama ciotka, Nastka, obora, krzyk i ujadanie. Tak samo raził każdy sprzęt, tak samo bolało każde, przypadkiem zmartwychwstałe, dawne wspomnienie. Cudowny, stary krzyżyk, wysłuchawszy jeszcze dwanaście dziękczynnych zdrowasiek Anki, stał na tem samem miejscu. Ale teraz, w pauzy, nie ciążyły już na nim niczyje, gorącem, cichem błaganiem pokorne oczy. Przy wychodzeniu z obowiązującej pensyonarki mszy, ona, Nena, czasami zatrzymywała przy znanej niszy wzrok z pewnym wyrazem zdyskredytowanej ufności i leciutkiej niechęci. Pamiętała owe dziecinne modlitwy, „żeby się co zmieniło“ — pamiętała ową jedną z wielkich ofiar — wyznanie swej bezmocy, które składała ongi przed tym marmurkiem—i czuła żal do siebie o to „nikomu niepotrzebne“ sproszkowanie swej dumy. I tak i tak nic...

Kaplicę jednak lubiła zawsze. Były półciemne ascetyczne twarze świętych w obrazach, nikłe połyski złoceń w omroku ram, refleksy lampek, muskających rubinowemi pyłami zaczajony po niszach zmierzch. Było trwożnie i ciekawie oczekiwać na pierwsze, przeciągłe drgnienie ukrytych na chórze organów. Był jakiś łagodny smutek w konających pod sklepieniami, błękitnych smugach kadzidlanej woni. Słało się tchnienie odświętnej, wielkomożnej ciszy, w której się ważył nabrzmiały skupieniem, modlitewny szmer. Ale wiara w możliwość cudu nie wróciła.

Zresztą, od tego czasu minęły lata. Wiedziało się już z książek, z rozmów, z życia, że są tacy, „którzy nie wierzą wcale...“. Kuzyn Maruty Pnińskiej nie wierzy, w kościele nie bywa i do spowiedzi nie chodzi... Znaczy, jest w grzechu śmiertelnym, a o tem i ksiądz, i panie, tak strasznie mówią. A ot on sobie żyje, i jest bogaty, szczęśliwy, i nic mu nie jest. A po śmierci?... Ba! kto wie, jak tam i co?... O tem też różnie mówią...

Jednak chwilami, Nena nieruchomo i długo patrzy w bolesne, wpółprzymknione powiekami oczy Matki Boskiej w głównym ołtarzu, i ma we własnych źrenicach wyraz prawie błagalnego pytania: Tak?... czy nie?... Tak.. czy nie?...

Ach! gdybyż Matka Boska zrobiła jeden maleńki, maluteńki ruch ręką, głową, rzęsami u powiek... Niechby oni, ci wszyscy, nie widzieli nic, byle tylko ona, Nena... byle ona wiedziała, że to jest, że to prawda, że to nietylko płótno i farby... Przecież to dla Matki Boskiej nic, no, nic, a dla niejby było tyle...! Onaby wtedy przychodziła codziennie, codziennie, i błagała na klęczkach o przebaczenie za te wszystkie lata... Bo przecież się ona nie modli. Stoi jak inne, ale nie myśli nic. Bo jeśli to wszystko nieprawda, to i pocóż?...

Nena gorącym, niecierpliwie błagalnym wzrokiem patrzy w oczy Madonny, której artysta dał tak ludzki, a tak przemądrze święty wyraz. Jedno skinienie, jeden nieznaczny ruch rzęs...

Ale powieki pozostają nieruchome, i w pewnej chwili Nena ściąga brwi, a usta jej się wyginają w pewien lekceważąco-ironiczny uśmieszek w kierunku własnego „dzieciństwa...“ W co też jej się przyszło raptem bawić!...

Nena wie, że za ten, niewcześnie wykwitający, hardy uśmieszek, panie na pensyi uważają wpływ jej na koleżanki za niepożądany. Ale Nena swemi wątpliwościami zbytnio się z niemi nie dzieli. Zresztą, panie...

Panie na pensyi, odznaczają się podług Neny tem, że wszystkie do siebie są mniej więcej podobne. Jednako się uśmiechają, chodzą, mówią, w ten sam sposób się kłaniają i podobnie się czeszą oraz ubierają. Zlewają się, nakształt profesorów w jedną figurę, w której odstępstwo in plus stanowi panna Adela, jako najmniej, zdaniem Neny, dokuczliwa i najspokojniejsza, a in minus— panna Hermina, zakrystyanka.

Nena osobiście niecierpi owej Herminy całą duszą. Na sam widok jej małej, suchej, rozkrzątanej figurki odwraca głowę, zaś aspekt twarzy starej dziewicy przyprawia ją o moralne nudności. Szczególnie te suche, wąskie, jak szpara od kościelnej skarbonki usta, rozciągnięte forsownie uśmiechem tak ckliwym, jak ocukrzony rumianek, a tak żółciowym, jak tylko przymusowe, z goryczą trawione staropanieństwo wytworzyć jest w stanie. A przy tem oczki, jak dwie uruchomione rodzenki, oczki ruchliwe i ostre, wiekuiście szperające nakształt małych zwierzątek, za zdobyczą. Zdobyczą dla panny Herminy jest każde wykroczenie, szczególnie w dziedzinie kościelnej i moralnej.

Nena pamięta dobrze swoją pierwszą z panną Herminą znajomość. Było to w drugiej klasie. Chodziły podczas pauzy z Anką, we dwie, objąwszy się wpół, po sali, i rozmawiały dużo i z przejęciem. Szły właśnie dzieje znalezienia przez Ankę w rowie Figusi, która już była zupełnie, zupełnie zamarznięta, i tylko jeszcze czasem poruszała uszkami. Przecież to już było w październiku. I żeby nie ten badyl, po który się wtedy nachyliła przez figle, żeby go urwać dla Jurusia na bacik, biedactwoby było z pewnością zginęło. A żeby kto widział, jak Figusia, ogrzana i odratowana, łykała mleko!... Aż się dusiła, aż niemogła nadążyć, aż jej się trząsł i bujał mały, biedny ogonek. Ach! żeby Nena tylko wiedziała, jak jej, Ance, było wtedy tej malutkiej Figusi okropnie żal!...

— O czem że to panieneczki tak sobie we dwie rozmawiają?... co?... rozległ się wówczas tuż nad dziewczynkami zgrzytliwie przymilny, sondujący głosik kościelnej panny. Panna Hermina z tyłu, niespodzianie, oparła z poufałą kokieteryą dłonie na ramionach dziewczynek, i między dwie świeże, dziecinne twarzyczki wsunęła nadsłuchująco swój jaszczurczy pyszczek, na którym dobroduszny wyraz jaskrawo się kłócił ze śledczem spojrzeniem biegających oczek.

Dziewczynki na razie się zmięszały. Anka, pełna zbożnego szacunku dla każdej „pani“, zarumieniła się jeszcze mocniej. Nena ze zdumieniem i lekkiem obrzydzeniem patrzyła na rozciągniętą uśmieszkiem szparę ust, z poza których sierotliwie się ukazywało kilka powykruszanych i zczerniałych ząbków.

— O piesku... Opowiadałam, proszę pani, koleżance, jak raz znalazłam w rowie pieska... tłómaczyła się zaskoczona Anka.

Mysie oczki świdrowały dziewczynki na wylot.

— O piesku?.. Ślicznie!... Rozmawiały panieneczki o piesku, naturalnie. Wierzę, skoro panieneczki tak mówią. No i cóż z tym pieskiem? Niech panieneczka dalej opowiada. Co?...

— Nic... szepnęła zdekoncertowana Anka. — Jest u mnie na wsi...

— Tak... tak... Skoro panieneczki mówią... Przecie takie duże panieneczki mogą mówić tylko prawdę. Pan Bóg wszystko słyszy. On wie, o czem dzieci rozmawiają, nawet kiedy myślą, że ich nikt, ani koleżanka, ani pani, ani nikt, nikt nie słyszy. On wie, które dzieci mają czyste sumienie, i w oczy prosto patrzą, i nie rumienią się, kiedy się do nich pani zbliży. Tak, tak, moje panieneczki!... Pani przełożona nie byłaby zadowolona, gdyby o tem wiedziała! Tak, tak!...

Słodki głosik zgrzytnął nagle kąśliwymi tonami. Uśmieszek, przyklejony do warg, trwał, ale sucha, jaszczurcza twarzyczka tchnęła żółcią.

— Czego ona chce?... zdumiewała się Nena. — O czem gada?...

— Panno Mińciu!... zatrzymała panna Hermina którąś ze starszych uczenic.—Proszę się zająć panieneczkami przez pauzę. I niech panieneczki sobie zapamiętają, że nie należy nigdy długo rozmawiać we dwie. Panieneczki myślą, że tego nie widzą. Ale tu wszystko widzą, ho, ho!... niema rady. Przyzwoite panieneczki nie odosabniają się, tylko się bawią ze wszystkiemi. Tak, tak!...

Jeszcze jeden złowrogo słodki uśmieszek, jeszcze jedno skinienie kościstym palcem, i panna Hermina popłynęła przez salę.

Po drodze obeszła subtelnie dookoła fortepian, poza którym siedziały dwie inne pensyonarki. Nena jeszcze zdążyła zobaczyć, jak zaszedłszy ztyłu, położyła im poufale ręce na ramionach, i po ptasiemu, figlarnie przechyloną głowę wsunęła między panienki.

— Proszę pani, czy to naprawdę jest co złego, rozmawiać we dwie?... pytała potem Nena panny Adeli tonem tak sceptycznym i zbuntowanym, jakby już zawczasu zastrzegała sobie odpowiedź.

Panna Adela podniosła zdziwione oczy.

— Złego?... O czem myślisz, moja droga? Nie rozumiem.

Nena opowiedziała zajście ze szczegółami, i, mimowoli, z odebranem wrażeniem.

— I że przyzwoite dziewczynki się nie odosabniają. Proszę pani, Anka Wrocka jest chyba przyzwoita dziewczynka, a ja... Dlaczego ta pani tak mówiła! Cóż w tem złego, że we dwie!...

Panna Adela miała ściągnięte brwi i spuszczone oczy, jak zwykle w chwilach niezadowolenia.

— Moja Irenko, panna Hermina zapewne nie tak chciała być zrozumiana. Istotnie, czasami panienki tracą czas specyalnie na obgadywaniu koleżanek, nauczycielek i tam dalej. A co do was, to chyba nic złego nie myślała. Zresztą, człowiek najlepiej sam wie, kiedy co złego robi, i nie potrzebuje nawet, by mu to ktoś wypominał. Prawda?...

Nena nie mogła nie spostrzedz, że panna Adela chce całą kwestyę zagadać, ani również pełnego najserdeczniejszej żółci spojrzenia, jakiem ją obrzuciła wkrótce potem kościelna dziewica.

— Niecierpię jej!... zdecydowała Nena. Taka... jaszczurka!..

Pod tym względem oryginalną nie była wcale. Pensyonarki epidemicznie nie znosiły słodkiego uśmiechu sinych warg i szpiegostwa ultracnotliwej dziewicy. Zawiązywały jej dzwonek w zakrystyi, chowały drążek do gaszenia świec, i nadewszystko wykradały z szufladki klęcznika czerwonooprawną książkę do nabożeństwa, pakując wzamian kieszonkowy, zbliżony wyglądem niemiecki dykcyonarz.

— Oho! Już się Hermińcia żegna do Kirchnerka!... szeptała z uciechą specyalnie prześladująca starą pannę Steinówna. — Zaraz będzie zmiana słodkiego oblicza. Paff!...

I istotnie. Panna Hermina, z pobożnie już zawczasu przechyloną głową, w pince-nez na nosie wyciągniętym w specyalnie kościelny, uduchowiony kształt, wydobywała słownik, żegnała się, i otwarłszy go na odpowiedniem miejscu, nagle żółkła ze

złości. Gubiła szkła, i drżącemi rękami, z cichą pasyą, miotała książkę na miękką poduszkę klęcznika.

— Nie śmiała się! Jak pannę Adelę szanuję, tak się przez trzy sekundy nic a nic nie śmiała. Patrzyłam po kościelnym zegarze. A jużem była myślała, że jej kto tę słodką minę na wieczne czasy przylepił. Słowo honoru!... zaklinała się szeptem obserwująca swoją ofiarę Steinówna.

Starsze pensyonarki, na widok szperającej figurki panny Herminy, pogardliwie stroniły. Małe bały jej się jak ognia. Szpiegowała z zasady, z zamiłowania, z nałogu, jak stary gończy pies, osadzony na starość w budzie, który dla własnej satysfakcyi śledzi okiem jakie Bogu ducha winne kurczę, i porwawszy je, aportuje panu, dziwiąc się niechętnemu przyjęciu, jakiego doznaje jego bezinteresowna i oddana gorliwość.

— Czegoż się to panieneczki tak rozczerwieniły?... łapała nagle za rękę wypadającą z klasy za Iwiecką, Marutę. — Czemu panieneczki nie śpią, tylko się chowają po ciemnych klasach? Co by na to powiedziała pani przełożona?...

— Panna Adela nas posłała zamknąć pianino, bośmy zapomniały. A ciemno, bo już zgaszone. Proszę mi puścić rękę!... rezolutnie się broniła Maruta.

— Aaa!... tak! Panieneczki się chowają po ciemnych kątach i jeszcze niegrzeczne. Dobrze. Niech się pani przełożona o tem dowie. Pani przełożona...

— Co dziewczynki zrobiły? — rozległ się wówczas znagła obok głos samej przełożonej — Panno Herminio?...

— Ja... proszę pani przełożonej... tylko pytałam, czemu panieneczki tak późno w ciemnej klasie. Można się uderzyć, albo co...

— Proszę pani przełożonej, panna Adela posłała nas na chwilę do klasy, a panna Hermina zatrzymała, żeśmy rozczerwienione. Przecie to nie żadna wina... tłómaczyła się wpół z płaczem Iwiecka.—I tak zawsze. Trzcińską, że się spóźniła na kolacyę, Miedunieckę, że rozmawiały we dwie z Wrocką...

— Idźcie spać moje dzieci — odrzekła krótko przełożona. A starajcie się wszystkie sprawy w klasie załatwiać wcześniej, bo się kiedy naprawdę potłuczecie.

Dziewczynki, ucieszone, dygnęły i popędziły na górę. Ale w ciszy uśpionych kurytarzy doszedł je jeszcze na drugiem piętrze powściągliwy i zimny głos przełożonej:

— Tyle razy już panią prosiłam, żeby takich myśli...

I drugi, pokorny, stracony głosik:
— Ja przecie nic, proszę pani przełożonej... Ja tylko...

*

* *

Z przedstawieniem o wszelkich obrządkach religijnych łączy się u Neny natrętnie i nieodstępnie płaszcząca się figurka i mysie oczki Herminy, budząc nieprzemożoną chęć uniknienia jednego i drugiego. Kaplica stała się możliwa wogóle tylko w godziny poniekąd nieurzędowe, kiedy można patrzyć gdzie się chce i jak się chce, niebojąc się natrafić oczami na „świętą osobę“ księdza, które to spojrzenia ma na specyalnym indeksie cnotliwa dziewica, ani się też potrzebuje przekrzywiać pobożnie, jako widomy znak skupienia, głowę do boku nad rozłożoną i nieczytaną modlitwą.

— Wiecie? Jak się będę spowiadała, to powiem kapelanowi, że w kaplicy najwięcej grzeszę przez Herminię. Dystrakcya, jak babci pieska kocham. Zeszłej niedzieli, jak wświdrowała we mnie ze swego kąta oczy za to, że podczas Ewangelii kichnęłam, tom aż musiała zębami język trzymać, żeby jej w całą długość nie pokazać. Potem mi gadała, że nie szanuję świętego miejsca, że jestem niewierząca i krnąbrna, że powie przełożonej. Ciekawam, co przełożona! Taksamoby kichnęła nawet podczas podniesienia, gdyby miała jak ja katar. To może Herminia potrafi w sobotę, przy wolnym czasie, za cały tydzień naprzód się wykichać. Ja tam jeszcze do takiej świętości nie doszłam..

— Nie! wy spójrzcie na Hermińcię, kiedy księdzu ręcznik podaje!... pokładała się innym razem Ola.—I rączki złoży i oczki przewróci, i główkę przechyli... Ona się chyba w prefekcie kocha, co!...

— Iii... idź!... w księdzu!... gorszy się Iwiecka. Pleciesz, jak na mękach..

— Ciekawam, dlaczego nie?... ujmuje się Maruta. Koleżanka mojej siostry kochała się w księdzu Juszczyńskim, tym przystojnym u Fary. Najlepiej wiem, bo codzień do Leny przybiegała i opowiadała. I kartki mu posyłała, i kwiaty, i... Cóż takiego, że ksiądz?...

— No a on? Co on? Ksiądz?... Jak ona mogła!...

— Co? Nic!... Pobiegała i przestała. Ona zawsze tak. A cóż ksiądz? Taki sam człowiek. Zresztą się w księżach wszystkie dewotki zawsze kochają. Słyszałam raz, jak ciocia mamie opowiadała...

— Poco one to wszystko mówią... marszczy się z niesmakiem Nena. Razi ją dziwnie taki sposób roztrząsania tych kwestyi. I sama nie wie czemu, jest serdecznie wdzięczna Ance, która z rumieńcami oburzenia na twarzy, przerywanym ze wzruszenia głosem perswaduje panienkom, że tak mówić nie trzeba, nie wolno, że to jest źle i grzech, bo choć ksiądz jest też człowiekiem, i tak samo ma swoje ułomności, ale zawsze jest inny, niż wszyscy ludzie, i lepszy, i świętszy, i że to jest zupełnie, ale to zupełnie co innego...

Marya Szpyrkówna.

# KRASICKI a KOMISYA EDUKACYJNA.

Najwymowniejszem świadectwem kultury polskiej wieku oświeconego było ustanowienie i czynność pierwszego ministeryum oświaty w Europie: Komisyi edukacyjnej, która miała najwyższą władzę nad całem wychowaniem publicznem we wszystkich ziemiach polskich, ocalałych od pierwszego rozbioru. Bulla Klemensa XIV: Dominus ac Redemptor noster z dnia 21 lipca 1773 r., znosząca zakon Jezuitów, postawiła w Polsce na porządku dziennym problemat sekularyzacyi i upaństwowienia szkoły. Po kasacie więc Jezuitów, gdy majątek ich uchwałą sejmową z tegoż roku przeznaczony został na fundusz wychowania publicznego, gdy wychowanie to musiało stosownie do potrzeb kraju, do oświaty w ościennych krajach inną przybrać postać, ludzie uczeni zaczęli się zastanawiać nad tak ważnym przedmiotem, jakim jest wychowanie młodzieży i dlatego też w żadnej epoce poprzedniej nie wyszło u nas tyle pism, odnoszących się w ściślejszem lub rozleglejszem znaczeniu do pedagogiki, ile w ówczesnej. Sprawa wychowania żywo zajmowała umysły, a wszyscy mieli jeden cel na oku: przez odpowiednie reformy nadać wychowaniu młodego pokolenia inny kierunek, żeby społeczeństwo przyszłe oparło się na silniejszych, niż dotąd podstawach, żeby przysposobić naród do zmiany tak szkodliwej formy rządu, jakąśmy mieli aż do Konstytucyi 3 maja. Bierze też w tych zaszczytnych pracach udział wielu zawodowych pedagogów, wielu ludzi zdrowo myślących, a chcących przyjść z pomocą zagrożonej upadkiem Ojczyźnie, którym sprawa ta nie była obojętną, choć pedagogia ich zawodem nie była. Z drugiej zaś strony Komisya edukacyi narodowej, przystępując do reformy systemu nauczania i wychowania, a pragnąc, aby przy budowie gmachu edukacyjnego nie brakło

niczego, coby ją mogło uczynić jak najlepszą i jak najtrwalszą, szuka materyału wszędzie i w kraju i zagranicą, w przeszłości i u współczesnych.

Tworząc system narodowy polski, sięgnęła Komisya przedewszystkiem do źródeł krajowych. Wobec tego mimowoli nasuwa się pytanie, jakie stanowisko zajął wobec tego ruchu Ignacy Krasicki, książę poetów polskich XVIII wieku, i czy go nie należy postawić w rzędzie doradców Komisyi. Wprawdzie Krasicki bezpośrednio z praktyką wychowawczą nie miał nic wspólnego, dzięki jednak praktyczności, trzeźwości i wszechstronności swego umysłu już z natury nie mógł być obojętnym na przyszły kierunek umysłowy i moralny młodzieży, zwłaszcza w epoce wielkiego przełomu w edukacyi krajowej, któremu początek dał Stanisław Konarski, a uwieńczenie Komisya edukacyjna przez swą reformę, zastosowaną do wszystkich zakładów naukowych i nadanie im wiekopomnej Ustawy.

Utwory Krasickiego były rozprawami ogólnego znaczenia, szkoły nie dotykały one wprost, ale wszystko, co on pisał, bajka równie jak satyra, list równie jak komedya, poemat i powieść, dążyło do wielkiego dzieła reformy obyczajów, wszak każdy jego utwór zmierza pośrednio lub bezpośrednio do celów wychowawczych.

Myliłby się, ktoby utrzymywał, że autor znakomitych bajek i satyr, miał raczej nauczanie społeczeństwa na myśli, niż jedną jego część, młodzież, i że niewiele zajmował się reformą wychowania.

Wprawdzie nie należał Krasicki do rzędu tych ludzi, których Komisya zszeregowała do pracy pedagogicznej, ale bądź co bądź niektóre dzieła jego trzeba spleść w związek z usiłowaniami Komisyi, coby świadczyło o tem, że i ks. biskup warmiński wziął udział w pracach przygotowawczych Komisyi w właściwy sobie sposób.

Otóż celem niniejszej pracy jest zbadanie w ogólnym zarysie stosunku Krasickiego do reform Komisyi edukacyjnej.

## I.

W epoce saskiej umysły w społeczeństwie polskiem zdają się uśpione, wyczerpane, duch sparaliżowany, myśl przytępiona boi się skrzydeł rozwinąć, by nie wyjść poza sfery ortodoksyi.

Brakło żywych ognisk oświaty, wygasły nauki w szkołach i uniwersytetach. Wychowanie jezuickie wycieńczyło naród, zdrętwiło w nim ducha. Tymczasem na Zachodzie, w Anglii, we Francyi, budzi się duch krytyki. Tam życie pozwoliło rozwinąć się filozofii; Locke, Hume, Bayle, Shaftesbury i Bolingbroke, Condillac przygotowują epokę Rousseau'a i Voltaire'a.

Za czasów saskich dwa zakony stały na czele: jezuicki, którego celem pierwiastkowym była walka z herezyą oraz zapobieganie wyzwoleniu ducha, i pijarski. Pijarowie pragnęli religię połączyć z postępem, naukę chrześcijańską z praktyką życia i dlatego też do szkół swych wprowadzili nowe metody w nauczaniu, wyzbywając się przestarzałych; w plan nauk wciągnęli nauki doświadczalne. Pierwszym mężem, który u nas jasno poznał ciemnotę i demoralizacyę, pielęgnowaną w szkołach jezuickich i nad zupełną reformą szkół w Polsce myślał, był Stanisław Konarski. Poczyna więc Konarski, uczeń i spadkobierca szkoły Leszczyńskiego, wielką reformę wychowania, mającą na celu zmartwiałe społeczeństwo odżywić, rozbudzić, zmienić. Widzi reformator, iż ruch i postęp jest niezbędny, że nauka stanęła, nie licząc się z ogólnym pochodem ku światłu, że życie jest w niezgodzie ze szkołą, że ona tamuje je, nie przygotowując do niego. Szkołę więc nową zamierza uczynić istotną propedeutyką żywota i wlać w nią siły nowe.

Na tle stosunków oświaty, przygotowanych działaniem reformatorskiem Konarskiego, rozpoczyna swój żywot okres Stanisławowski, w którym nowe pierwiastki i czynniki oświaty, dzięki potężnemu prądowi oświecenia, napływającego z Francyi, sprowadzają wszechstronne przeobrażenie umysłowego życia i znajdują pełny swój wyraz we wspaniałym rozkwicie literatury.

Wiek XVIII był widownią namiętnej walki dwóch światów pojęć: starego porządku, opartego na zbutwiałych fundamentach, zużytych i zwietrzałych myślach i przekonaniach z nacierającym prądem nowym, uzbrojonym w zasady, regulujące cały obszar stosunków życiowych. Na miejsce walącej się starej budowy, wzniósł ten ruch umysłowy nową, poruszając wszystkie kwestye, wiążące się z bytem i rozwojem społeczeństw.

W w. XVIII trzy były w Polsce najważniejsze sprawy, domagające się przedewszystkiem reformy: urządzenia polityczno-społeczne, wychowanie i literatura. Reforma wychowawcza i literacka, przeprowadzona świetnie, stała się rękojmią dalszego pomyślnego rozkwitu literatury i życia narodowego, pomimo utraty bytu politycznego.

Z ustanowieniem Komisyi edukacyjnej w Polsce sprawa wychowania z natury rzeczy musiała wejść na inne tory; nowy system edukacyjny, obejmujący wszystkie kraje Rzplitej miał wywierać wpływ na ogół młodego pokolenia. Obok ogólnego prądu reformacyjnego w XVIII w. na polu stosunków społecznych, administracyjnych i wojskowych, który miał powołać naród do nowego życia, kwestya wychowania stawała się coraz ważniejszą, gdyż i w niej należało nie w jednym względzie odstąpić od tradycyi.

Aczkolwiek Komisya edukacyjna zrodziła się pod wpływem potrzeb miejscowych, to jednak przyznać trzeba, że reformy jej łączą się jaknajściślej z ogólno-europejskiem dążeniem do zmiany wychowania w XVIII wieku, który nazwał się sam siècle éclairé, wiekiem oświecenia. Celem jego pragnień: umysłowe i moralne wyzwolenie człowieka, bronią rozum i krytyka. W przekonaniu, że rozum jest jedynem źródłem oświaty, którą pragnął szerzyć dla uszczęśliwienia ludzkości, pominął wiek oświecenia dziedzinę życia uczuciowego. Na polu religii doszedł do racyonalizmu i deizmu, w ocenianiu wartości człowieka do moralizmu. W miejsce nacyonalizmu propagował kosmopolityzm. Negował historyczną powagę instytucyi ludzkich, a wręcz wrogie stanowisko zajął wobec wieków średnich. Potężny ruch oświecenia rozpostarł się po całej cywilizowanej Europie. Zrodził się w Anglii, wstrząsnął Francyą, wywołując wielki ferment w życiu religijnem, socyalnem i politycznem, w przeszczepieniu go jednak na grunt polski, pod wpływem niezanikłych uczuć religijnych i budzących się uczuć patryotycznych, stracił wiele, a nawet bardzo wiele na swej radykalności i rewolucyjności, nie wywołał takich przewrotów, jak na Zachodzie, ale tak już być musiało, bo rozwój naszego społeczeństwa pozostawał zawsze w tyle w porównaniu z Zachodem, zresztą — należy dodać—głównymi przedstawicielami oświaty, napływającej z Francyi, byli podówczas przeważnie księża (Konarski, Bohomolec, Naruszewicz, Krasicki, Albertrandi, Staszyc, Kołłątaj), którzy już wskutek swego stanowiska nie mogli być skrajnymi i radykalnymi propagatorami nowych wyobrażeń i pojęć umysłowych.

Wiek oświecenia musiał się konsekwentnie zająć także kwestyami pedagogicznemi i stał się tem samem wiekiem pedagogicznym.

Przestarzałe tradycye w całej dziedzinie wychowania drażniły jego krytycyzm i zmuszały do szukania odmiennych celów i innych środków pedagogicznych, zresztą wiek oświecenia uznał

szkołę za najlepszy teren do zaszczepienia swych poglądów, oraz za środek do uszczęśliwienia ludzkości. Treścią nauczania tego wieku nie była teologia, skąd czerpały pierwsze czasy chrześcijańskie, ani scholastyka wieków średnich, ani też filologia, która była punktem wyjścia humanistów, nie mogła też nią być znajdująca się w stadyum fermentowania filozofia i budzące się do życia nauki przyrodnicze, ale dążenie do kształcenia rozumu i do przyswajania sobie wiedzy, podatnej do praktycznego użytku. W tem tkwi właśnie źródło wielowiedzy, encyklopedyzmu. Co wchodzi w zakres nauczania? Z religii przynajmniej bardzo mało. Diderot usunął ją zupełnie z planów naukowych; Rousseau jest zwolennikiem religii naturalnej; w Niemczech wykłady religii chrześcijańskiej przybrały charakter bardzo powierzchowny. Stosunek wieku do klasycyzmu jest—rzec można—odporny.

D'Alembert wyszydzał naukę klasyczną, Rousseau uważał ją za balast, Diderot wyznaczył studyom klasycznym skromne stanowisko, niemieccy pedagogowie oświecenia uważają je również za ciężar.

Środkami zmierzającymi do propagandy idei oświecenia były wielkie uczone encyklopedye i popularne, w których wiedzę traktowano wprawdzie dość płytko, ale które zarazem ułatwiały oddziaływanie wiedzy na życie. Przedewszystkiem popularyzowano filozofię, która zaczęła wywierać silny wpływ na kształtowanie się nowych pojęć o zadaniach i środkach pedagogicznych. Filozofia ta oddziałała również i na ustrój systemu wychowawczego naszej Komisyi edukacyjnej, a z olbrzymiej Encyklopedyi, wydawanej we Francyi przez Diderota i D'Alemberta, w latach od 1752—1772, płynie do jej prac dużo światła pedagogicznego z zagranicy.

Przytem nowe dziedziny wiedzy, jak historya kultury, filozofii, krytyka, estetyka, rozmaite rozgałęzienia nauk politycznych i ekonomicznych etc. dostarczyły wychowaniu nowej treści, oddziałały również na sposób pojmowania wychowania i szkoły.

Nowe potrzeby duchowe, nowy sposób pojmowania życia i jego celu domagają się podjęcia reform szkolnych, reform nauczania i wychowania. Przystąpiono też do pracy reformacyjnej w XVIII w. prawie we wszystkich kulturalnych państwach i społeczeństwach Europy.

W rzędzie państw, które w tym ruchu wzięły udział, stanęła także i Polska, która ustanowieniem Komisyi edukacyjnej dała innym krajom przykład, jak rząd powinien zawiadować wychowaniem młodzieży.

Reforma nauczania i wychowania, przeprowadzona w Polsce przez Komisyę edukacyjną, należy do najpiękniejszych owoców tego pedagogicznego odrodzenia, które cechuje reformy szkolne europejskie, dokonane w XVIII w. Aczkolwiek należyta ocena i zrozumienie reform Komisyi wystąpić może dopiero w świetle idei i systemów wychowawczych wieku oświeconego, to jednak wiąże się ona, co należy podkreślić, jak najściślej z naszą przeszłością narodową, gdyż oparła się przy tworzeniu systemu edukacyjnego nie tylko na dorobku pedagogiki zagranicznej, lecz spożytkowała także całe doświadczenie pedagogiczne krajowe.

Działanie swoje rozpoczęła Komisya od reformy stosunku społeczeństwa do spraw pedagogicznych. Pierwsze posiedzenie nowej magistratury szkolnej odbyło się dnia 10 października 1773 r., a już 24 tegoż miesiąca i roku wezwała Komisya osobnym „Uniwersałem“ społeczeństwo, a w szczególności „wszystkich naukami zawiadujących“ do udzielania jej rad i uwag w sprawie projektowanej reformy wychowania i szkół, zależało jej bowiem bardzo na współdziałaniu społeczeństwa. Aby to współdziałanie spowodować, starała się Komisya obudzić we wszystkich warstwach jak najżywszy interes dla spraw pedagogicznych. W „Liście do przyjaciela o Komisyi“, ogłoszonym w listopadzie tegoż roku, uświadamia Piramowicz szeroką publiczność o znaczeniu nowej instytucyi i rzuca hasło, które staje się zasadą pracy i celem dążeń Komisyi: wychowywać dobrych ludzi społeczności powszechnej i dobrych obywateli Ojczyźnie! „Gdyby edukacya publiczna—woła Piramowicz—z wszystkich stron od rządu, od praw i obyczajów publicznych i prywatnych pomoc miała, to wtedy dopiero mogłaby ręczyć za dobry skutek to jest za wychowanie ludzi cnotliwych, obywateli szlachetnie myślących, obrońców kraju mężnych, prawodawców mądrych“. Dopiero takie współdziałanie wszystkich i wszystkiego potrafiłoby wznieść piękną, trwałą „budowę dobra publicznego“. Na wezwanie więc Komisyi, ogłoszone wzwyż wspomnianym uniwersałem, wybitni ludzie tej doby wypowiadali zapatrywania swoje na wychowanie młodzieży, bo z podniesieniem się literatury w XVIII w. zniknęła obojętność poprzedniego stulecia dla spraw wychowania.

Z pomiędzy „projektów“ i „uwag“ napływających do Komisyi wymienić należy: projekt, który wyszedł z pod pióra ks. Adolfa Kamieńskiego i pracę księdza Antoniego Popławskiego, przedłożoną Komisyi „Imieniem Kongregacyi Pijarów“. Książki Kamieńskiego Komisya nie pochwaliła, uzyskało zaś nagrodę dziełko Popławskiego, które należy bezwątpienia do najlepszych

publikacyi pedagogicznych w XVIII w., albowiem skrystalizowały się w niem nietylko doświadczenie pedagogiczne zakonu pijarskiego, lecz także zdobycze pedagogiki zagranicznej, którą Popławski znał doskonale. Można też udowodnić, że ogromna część projektu Popławskiego, weszła w mniej lub więcej zmienionej formie do „Ustaw“ Komisyi.

Dwa główne systemy edukacyjne wpływały na pedagogikę Komisyi: jeden pijarski, reprezentowany przez Popławskiego, drugi jezuicki, którego przedstawicielem był Grzegorz Piramowicz, dusza i główna sprężyna prac komisyjnych. Obok pracy Popławskiego wpłynęły „projekty“ innych jeszcze autorów, pomiędzy którymi znalazły się i rady ze sfer świeckich.

Pierwszy odezwał się bezimiennie Franciszek Bieliński, obdarzony wprawdzie bystrym zmysłem pedagogicznym, ale pozbawiony głębszej wiedzy filozoficznej. Rady i uwagi Bielińskiego, pisane w formie listów, przyjęła Komisya z uznaniem, a nawet wydała je w r. 1775.

W rzędzie doradców Komisyi stanął także Ignacy Krasicki i we właściwy sobie sposób wziął udział w przygotowawczych pracach Komisyi. Ścieranie się różnych w kwestyi wychowania opinii znalazło oddźwięk i u Krasickiego. Dwa jego dzieła: „Doświadczyńskiego Mikołaja przypadki“ i „Pana Podstolego“ część I zasługują w tym względzie na szczególną uwagę i wymagają koniecznie, aby je odnieść do „Uniwersału“, wydanego przez Komisyę zaraz w samych początkach jej istnienia, a zawierającego żądanie udzielania jej rad względem urządzenia edukacyi.

Uniwersał wyszedł w październiku 1773 r. Pod „Doświadczyńskiego Mikołaja przypadkami“ położył Krasicki datę: „W Berlinie 26 lutego roku 1775“, obie zaś powieści poprzedza privilegium inhibitorium króla Stanisława Augusta z datą: W Warszawie dn. 4 lutego 1776. Daty ogłoszenia „Uniwersału“ i powstania obu prac Krasickiego nie mogą być dla nas rzeczą obojętną i uprawniają poniekąd do przypuszczenia, nie mówię twierdzenia, że „Uniwersał“ Komisyi mógł być jedną z głównych pobudek dla Krasickiego do napisania rzeczonych powieści i upewniają w tem przekonaniu, że książę poetów polskich XVIII w. w reformacyjnych usiłowaniach Komisyi odegrał bądź co bądź ważną rolę, choć nie był ani pedagogiem z powołania, ani czynnym członkiem Komisyi.

„Doświadczyńskiego Mikołaja przypadki“ i „Pana Podstolego“ część I wyszły na kilka lat przed „Projektem ustaw“ Komi-

syi edukacyjnej, a mianowicie: „Dośw. M. przypadki“ w Warszawie 1776 r., a „Pana Podstolego“ cz. I w r. 1778. Znowu nasuwa się pytanie, czy przypadkowo autorowie kodyfikacyi praw edukacyjnych z obu wzwyż wspomnianych dzieł Krasickiego nie korzystali przed ostateczną redakcyą „Ustaw“?

Do ułożenia tych „Ustaw“ przystąpiono dnia 27 grudnia 1780 r. Tegoż dnia i roku Ignacy Potocki, jako prezydujący z ramienia Komisyi edukacyjnej zalecił Towarzystwu do ksiąg elementarnych, „aby z przepisów pierwiastkowych, z uniwersałów i listów okólnych Komisyi uczyniony był zbiór rozporządzeń o powinnościach osób wchodzących do usług w instrukcyi publicznej i o policyi szkolnej“. Do tych źródeł Towarzystwo dodało ze swej strony tylko co uchwaloną instrukcyę dla wizytatorów szkół narodowych, która miała być złożona na wzór raportu Ks. Czartoryskiego, generała ziem podolskich, uczynionego z wizyty szkół jego departamentu, z włączeniem uwag poszczególnych członków Towarzystwa. Na temże posiedzeniu Towarzystwa „naznaczono Jakukiewicza, Koblańskiego, Hołłowczyca, Narbutta, Piramowicza do ułożenia z pism i uwag pomienionych tak zbioru rozrządzeń około nauk, rządu szkolnego i kasy, jako potem z uwag podanych od każdego zupełną dla wizytatorów instrukcyę“. Po roztrząśnieniu gotowych referatów zlecono Piramowiczowi ułożenie i spisanie szczegółów w jeden zbiór ustaw, ażeby go przedstawić komisyi do zatwierdzenia. Na razie wydano ustawy jako „Projekt ustaw“, dopiero po dokonaniu potrzebnych poprawek i ulepszeń, Komisya edukacyjna wydała „projekt“ przerobiony już jako „Ustawę“ w r. 1788.

Kilka więc lat upłynęło od czasu wydania wzwyż wspomnianych powieści Krasickiego, do ostatecznej redakcyi „Ustaw“; samo zaś stwierdzenie tego faktu nie jest dla naszych celów rzeczą całkiem obojętną, choć nie mamy żadnych danych, któreby mówiły jasno o jakimś bezpośrednim związku prac Krasickiego z kodyfikacyą „Ustaw“. Wprawdzie utwory Krasickiego były rozprawami tylko ogólnego znaczenia i szkoły nie dotykały wprost, zatem nie mogą być policzone do rzędu źródeł urzędowych, ale bądź co bądź są one duchem, celami i środkami bardzo blizkie Komisyi edukacyjnej, w niejednym względzie wykazują bardzo silne pokrewieństwo z dokumentami urzędowymi, a ta okoliczność pozwoli nam z całą słusznością stwierdzić, że powieści Krasickiego trzeba zaliczyć do „szeregu źródeł, z których bije jasny promień światła na cały system edukacyjny Komisyi“.

## II.

Zanim odpowiemy na pytanie, jakim był stosunek Krasickiego do Komisyi edukacyjnej, która właśnie w dobie jego działalności literackiej dla umysłowego odrodzenia narodu pierwsze kładła podstawy, musimy zwrócić uwagę na jego indywidualność duchową, jakoteż związek z atmosferą duchową epoki i ówczesnego społeczeństwa polskiego, co nam należycie pozwoli ocenić ogromne moralne znaczenie, powagę i wpływ na współczesną literaturę i życie tak znakomitego pisarza, jak Krasickiego. Krasicki należy do liczby tych światłych umysłów, które odrodzenie społeczeństwa XVIII stulecia widziały w oświacie, sięgającej do jego podstaw.

Inaczej być nie mogło, bo Krasicki był wiernym tłómaczem idei i prądów swojego czasu, bo hasło reformy wychowania i oświaty, wyobrażeń umysłowych i literackich, stosunków politycznych, społecznych i religijnych, które obiegało nasze społeczeństwo i jego pobudzało do ustawicznego działania. Słuszne jest więc zdanie Kraszewskiego, który mówiąc, że encyklopedyczność Krasickiego płynie z żądzy podołania wszystkiemu, dodaje: „Nic mu nie jest obcem, radby rolne gospodarstwo równie zreformować jak klasztory, wychowanie jak ogrody, szlacheckie dwory i szlacheckie zarybione sadzawki“.

Pod względem talentu i wpływu, jaki wywierał na otoczenie, żaden z współczesnych poetów równać się z nim nie może, a również nikt nie ukazuje tak wyraźnie i wszechstronnie właściwości i dążności całego okresu literatury. Krasicki przedstawia w swojej indywidualności duchowej prawie wszystkie kierunki umysłowe ówczesnego społeczeństwa i umie w niej to wszystko, co leżało we współczesnej atmosferze czasu, skupić i podać w formie artystycznej, a jednak popularnej, dla szerokich warstw oświeconych. Można powiedzieć dalej, że w dziełach swoich podaje niejako kwintesencyę dążności swojego wieku, oczyszczoną z przymieszek skrajnych, a w tym związku duchowym, jaki go łączy ze współczesną epoką, leży główna przyczyna, potężnego jego wpływu, bo „głosu jego—jak mówi Brückner—słuchało społeczeństwo całe, nie tylko bracia cechu pisarskiego“.

Umysł Krasickiego, oparty na sile rozumu, jest bystry, jasny, ruchliwy, zdolny do obejmowania zagadnień obszernych, a specyficzną cechą jego indywidualności duchowej jest skłonność do umiarkowania w dziedzinie wyobrażeń umysłowych. Pierwiast-

kiem zaś ożywczym jego twórczości o charakterze nawskroś refleksyjnym, główną siłą talentu jest dowcip, pozbawiony broni zabójczej i niezrównany humor, przymioty, które mu zapewniły najwięcej wpływu na otaczające pokolenie.

Teraz łatwo nam zrozumieć, dlaczego Krasicki był najpoczytniejszym, najulubieńszym autorem w Rzplitej. Współczesna publiczność rozchwytywała wprost jego bajki i satyry, czego najlepszym dowodem ciągłe ich wydania po sobie następujące. Powieści: „M. Doświadczyńskiego przypadki“ i „Pan Podstoli“ należały współcześnie również do najbardziej czytanych dzieł. Nic w tem dziwnego. W Polsce, wkrótce po wstąpieniu na tron St. Augusta, nowe idee z zachodu zyskiwały coraz większe grono zwolenników, a dążenia do zmian na każdem polu przybierały kształty bardziej realne. Wraz z nowymi prądami obudziła się reakcya przeciw nieodpowiedniej lekturze, wywierającej szkodliwy wpływ na społeczeństwo. Spuścizna literacka epoki saskiej, na którą składały się księgi panegiryczne i ascetyczne, oraz rozmaite fabuły romansowe w formie wierszowanej lub prozaicznej, już nie mogła zaspokoić potrzeb duchowych odradzającego się pokolenia. Dlatego też społeczeństwo polskie w dobie stanisławowskiej, choć rozmiłowane było w literaturze zagranicznej, z zapałem przyjęło powieści Krasickiego, które zadanie swoje: dotrzeć do tych sfer czytelników, których bajka i satyra zająć nie mogły, należycie spełniły, dzięki zgrabnej formie i aktualności tematu.

Ogół więc społeczeństwa zajmował się pismami biskupa warmińskiego niezmiernie, czas sprzyjał ich rozpowszechnieniu; były to bowiem lata pracy wewnętrznej, reform, oświaty i obyczaju.

Otóż Krasicki, jednocząc w sobie wszystkie prądy ówczesnej epoki, musiał w swojej działalności literackiej niejednokrotnie potrącić i o kwestyę edukacyjną, która od czasu Konarskiego wysunęła się na czoło zagadnień ogólno narodowych, a w wieku oświecenia należała do spraw bardzo aktualnych w całej niemal Europie. Rozległe wykształcenie, zdobyte wczytywaniem się w ówczesną literaturę europejską, własne obserwacye i doświadczenia życiowe, gruntowna znajomość i odczucie potrzeb narodowo-społecznych, a co najważniejsze, zrozumienie potrzeb chwili— oto dane, które pozwoliły Krasickiemu dzielnie popierać dążenia Komisyi edukacyjnej i przygotowywać przez popularne pisma grunt do posiewu, który ona hojną dłonią rzuciła.

Krasicki nie chce się bawić teoryami politycznemi, obojętne mu formy rządu, grunt ludzie: rządzący i rządzeni, a szczęście

poddanych—zdaniem jego—zależy od nich samych, od tych, którzy składają naród, państwo, od ich obyczajów, cnoty, pojmowania i pełnienia obowiązków. W „Podstolim“ czytamy: „Ci, którym szczęśliwe przeznaczenie pozwoliło urodzić się w kraju wolnym, bardziej jeszcze od innych do miłości Ojczyzny, dobra publicznego, zagrzewani być mają. Gdzieindziej, ślepego posłuszeństwa uczyć się tylko należy: swobodny naród, oprócz cnoty, jarzma inszego nie zna i jeżeli posłuszny prawu, sam go sobie nadał“. Na innem miejscu: „mówmy, co chcemy, cnota powinna być zawsze pierwszem i jedynem działań naszych prawidłem“. Jeżeli więc cnota wszystkiem, to utrzymać, zachować należy ją koniecznie. Powtarza to często, szczególnie w „Satyrach“. Kładzie Krasicki nacisk na pełnienie cnót, bo szczęśliwość Polaków widział w moralnem odrodzeniu się narodu, a mając to na względzie, każe zwrócić baczniejszą uwagę i zająć się gorliwiej, niż dotąd, wychowaniem młodzieży, bo... „dotkliwsza czułość dobrego obywatela, gdy na nieprawą młodzież patrzy. Te to są poprzedniki upadku państw, te naszemu ostatnią ruiną grożą. I wprawdzie po największych klęskach nie trzeba rozpaczać: wojna nieszczęśliwa może się powetować, handel upadły może się wesprzeć, prawa zdrożne można poprawić: ale kiedy się w narodzie grunt cnoty zepsuje, szkoda jest nienagrodzona; choćby się znalazło nakoniec nieco poczciwych i dobrze myślących, ladajakiej powszechności nie przeprą; a tak w podwalinach skażony budynek upaść nakoniec musi“.

Żywe zajęcie się Krasickiego kwestyą edukacyjną można śledzić już na łamach „Monitora“. Od r. 1768 do 1772 mieszkał Krasicki stale w Warszawie i był stałym współpracownikiem „Monitora“, z którym wiązały go i hasło umiarkowanego postępu i przeświadczenie o konieczności oświecania i uszlachetniania społeczeństwa.

„Monitor“ dzielnie wystąpił do walki przeciw zmurszałej kulturze ówczesnej, uzbrojony w artykuły w kwestyach moralnych, politycznych, ekonomicznych, wreszcie literackich. Krasicki także w tych sprawach głos poważny zabiera i w „Monitorach“ swoich między innemi dotyka kilkakrotnie sprawy wychowania. W nr. 117 r. 1772 jest mowa o wykwintnej i modnej edukacyi płci damskiej. „Jest nad czem ubolewać, mówi Krasicki, iż osobliwie w edukacyi płci Damskiej, wszyscy się teraz jedynie do światowości i mody garną. Ułożenie powierzchowne celem jest teraz i najpierwszym i czasem jedynym wychowania panieńskiego“.

W nr. XLVII z tegoż roku jest umieszczony list, wyłuszczający sposób edukacyi, którą z ogrodnictwem porównywa. „O jak wiele młodzieży naszej—woła autor „Satyr“—marnie ginie dla tej jedynie przyczyny, iż nikt o nich starania niema i choć znajdzie się w nich wewnętrzna dyspozycya do dobrego, nadaremnie wysilenia natury idą, kiedy należytego dozoru około nich niema“. W końcu dodaje, że dobra edukacya wymaga „ustawicznej i zbawiennej rozsądnych nauczycielów czynności, złączonej z powolnością ucznia i trwałą w nauce aplikacyą“. Zatem autorowi wzwyż wspomnianych monitorów sprawa wychowania młodzieży musiała głęboko leżeć na sercu, kiedy tak gorąco za nią przemawiał w swoich artykułach.

A poglądy jego i myśli znajdowały silny oddźwięk w umysłach ogółu społeczeństwa. Niedługo czekał Krasicki na realizacyę swych słów, rzuconych na papier, w których się kryło pragnienie jakiejś lepszej edukacyi młodzieży, bo już w roku następnym ustanowiono Komisyę edukacyjną, ale przedtem jeszcze został odcięty z dyecezyą swoją od Rzpltej i od stolicy jej, Warszawy, gdyż po pierwszym rozbiorze Polski Warmia przeszła pod panowanie pruskie. Bezpośredniej więc styczności z nową magistraturą szkolną Krasicki nie miał, bo jej mieć nie mógł wskutek zmiany stosunków politycznych, ale bogata jego praca literacka z tych czasów, w której niejednokrotnie porusza sprawy wychowawcze, toruje drogę nowemu systemowi edukacyjnemu, zaprowadzonemu przez Komisyę edukacyjną.

W korespondencyi zachowanej po Krasickim niema żadnej wzmianki, którąby nam mówiła choć cośkolwiek o jego stosunku do spraw Komisyi edukacyjnej. Że program jej był mu dobrze znany, możemy się o tem przekonać z krótkiego artykułu o „Komisyi edukacyjnej“ w „Pismach różnych“. Chwali w nim Komisyę zwłaszcza za to, iż stara się „w określonym porządku mieścić prawdy jasne, szczególnie potrzebne, mniemania zaś, obce przytoczenia z oszczędzeniem czasu i sił młodzieży uchylać.“ Jednakowoż w „Wierszach z prozą“ przygodnie zwraca się w dosyć ciężkich wierszach przeciw nieznanym nam członkom Komisyi, których uważa za przeciwników łaciny: „A jak to nie wielbić nowe coraz wynalazki! Jeden z najwziętszych teraz, wyrugowanie nauki języków dawnych, źródlanych języków. Luboć albowiem coś im niby zostawiono i to tak się z czasem zmniejszy, iż się mało, albo i nic nie zostanie prawideł od przodków naszych czczonych. Szkoda starych posiadaczów wyrzucać z zawiekowałych siedlisk; my to mamy na ich miejscu siedzieć; jednakże:

Jakżeśmy mali! Gdy w porównaniu
Okrzyk powszechny uprzedzam, zgadam:
Powtarzam jednak w szczerem wyznaniu,
Nie uprzedzonym ja to powiadam,
Ale powiadam tym, co ich zwiedli:

Nie rzeczą, ale odjęciem dumni,
A przeświadczeni, że nie zubożem;
Niby to grzeczni, niby rozumni,
Tem gardzim, czego dosiądz nie możem.
A prawda prawdą. Mdli małotrwali,
Znikłe światełka--jakżeśmy mali!

Znieśmy Rzymiaństwo, znieśmy Greczyznę,
Niech dalszych płodów dalsi nie widzą.
Damy następcom drogą spuściznę,
Nie wiedząc o tych, którzy nas wstydzą;
Pierwsze z ufnością miejsca zasiędą,
Kontenci z siebie, wielkimi będą".

Zdaje się, że Krasicki zwraca się w przytoczonych słowach przeciw Popławskiemu, który w r. 1775 przedstawił Komisyi „projekt edukacyi". Pierwsza część „Pana Podstolego" wyszła w r. 1778, prawdopodobnie Krasicki pisał ją pod wrażeniem odczytania projektu lub dyskusyi, prowadzonej na jego podstawie.

Zapewne Krasickiemu, wychowanemu pod kierownictwem Jezuitów, wykształconemu na literaturze starożytnej, nie zawsze łatwo przychodziło pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy, który zaprowadzała Komisya, odpowiadając wymaganiom nowszych czasów i idąc za duchem reformatorskich prądów edukacyjnych.

Były zgodności w zapatrywaniach Krasickiego i Komisyi na pewne sprawy, tyczące się wychowania i nauczania, ale musiały być i różnice,—o czem świadczy powyższy wiersz,—które zmuszały go do wypowiadania swych uwag wprawdzie przygodnych, urywkowych, lecz niemniej charakteryzujących męża tej miary, co Krasicki.

Wychowanie jezuickie głęboko zakorzeniło się w jego naturze i nie pozwoliło mu należycie ocenić rozumnych reform Komisyi, zmuszało nieraz do sprzeczności w zapatrywaniach, ba! nawet popychało do akcyi, mającej na celu utrzymanie przy życiu zakonu Jezuitów. Żywe było w narodzie polskim dla Jezuitów współczucie po kasacie ich zakonu, o czem świadczy — pominąwszy już inne manifestacye sympatyi dla upadłego zakonu—sam przebieg narad delegacyi sejmowej z r. 1773, zanim na sesyi 14

października t. r. uchwalono ostatecznie ustanowienie Komisyi edukacyjnej i wyznaczenie lustratorów do objęcia pozostałego po Jezuitach majątku. Z takiego stanu rzeczy korzystając, marzyli Jezuici o swojem ocaleniu, a nawet czynili w tym kierunku zabiegi tajemne, choć pozornie zdawało się, że z rezygnacyą znoszą swój twardy los. Że w tej akcyi mógł brać udział Krasicki, świadczy Theiner: „Fryderyk II, powodowany względami politycznymi, postanowił w państwach swoich Jezuitów utrzymać. Ex-prowincyał jezuitów na Ślązku, ulegając namowom rządu, podjął się wykonania projektu: zamierzył zgromadzić ojców z całego państwa pruskiego, ogłosić wbrew bulli papieskiej niczem nienaruszoną egzystencyę towarzystwa i w miejsce uwięzionego w zamku św. Anioła, generała zakonu, Ricci, obrać jego zastępcę. Zwierzył się z tem najprzód rektorowi kolegium w Brunsbergu i prosił, aby o całym planie zawiadomił nietylko Jezuitów w Prusach Zachodnich, lecz także przebywających w Polsce i Rosyi i aby udzielił mu rady względem uskutecznienia zamiaru. Zapewniał, że działa z polecenia ministra sekretarza stanu pruskiego i za wiedzą samego Króla; do tego dodawał, że znajdzie się biskup warmiński, Ignacy Krasicki, który całą sprawę weźmie na siebie, papież zaś, zaskoczony wypadkami, będzie musiał dokonanemu faktowi udzielić sankcyi. Krasicki, gdy się rektor brunsberski zwrócił do niego po informacye, nic stanowczego odpowiedzieć nie umiał. Skutkiem tego nietylko rektor udziału w spisku odmówił, ale nawet listem z 13. listopada 1773 r. zapewnił nuncyusza w Warszawie, że się z całą uległością wraz z kolegium swojem dekretowi kasaty poddaje".

Sprawa, jak widzimy ważna i godna bliższego rozpatrzenia, dla braku jednak bliższych wskazówek i niepewności udziału w niej Krasickiego, nie możemy wyciągać z niej daleko idących wniosków.

Z tego, cośmy w niniejszym rozdziale mówili, wynika, że kierunek prac i działalności Komisyi edukacyjnej nie były Krasickiemu obce, owszem baczne jego oko śledziło niemal każdy krok nowej instytucyi wychowawczej, co do której on sam żywił pewne zaufanie, ale i pewne wątpliwości.

## III.

Krasicki, jako pisarz, który się wychowaniem i szkołami zajmuje, wypowiada się dopiero: w „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach“, w „Panu Podstolim“ i w „Uwagach“, lecz poglądów swych nie ujmuje w systematyczną całość, tylko potrąca o nie przygodnie. Jego dążność reformatorska ujawnia się już w „Myszeis“; w „Doświadczyńskim“ sięga do początków złego, bo do wychowania. W drugiej połowie XVIII w. mamy polski romans obyczajowo-pedagogiczno-awanturniczy w szacie pamiętnikowej i powieściowej, traktaty dydaktyczne, różniące się od dzieł epoki poprzedniej owem poczuciem „użyteczności“, które stanowi wybitny rys naszej literatury stanisławowskiej.

Głównym zamiarem autorów jest podejmowanie palących zagadnień chwili z polityki, lub wychowania. Na czele Krasickiego „Przypadki Mik. Dośw.“ (1776), okazują związek i zależność od wybitnych współczesnych kierunków powieściowych na Zachodzie, we Francyi i Anglii. Powieść to o typie nowym, łączącym w sobie: pierwiastek obyczajowy, tendencyę wychowawczą, satyrę, utopię społeczną i roztrząsanie zagadnień naukowych i politycznych. „Doświadczyńskiego“ napisał Krasicki dla zbawiennej nauki młodzieży polskiej, a powieść ta — trzeba dodać—szła na przebój zła narodu w pierwszym szeregu reform Komisyi edukacyjnej; ona walczyła dzielnie z przesądami szlachty, która, wychowana w szkołach zakonnych, patrzyła na nowy sposób edukacyi przez szkła starych uprzedzeń, ona wreszcie swoją powagą moralną powoli zbliżała ogół społeczeństwa do zbawiennych reform szkolnych.

Księga I wyszydzała wychowanie dotychczasowe, które już niejednego w Polsce Doświadczyńskiego wyprodukowało i do ruiny, moralnej i majętnej doprowadziło. Młody Mikołajek w dzieciństwie bąki zbija, „pierwiastkową edukacyę“ odbiera w izbie czeladnej; w siódmym roku życia jedzie na studya, ale uczy się nie tęgo pod okiem „dyrektora“. Prawdziwa edukacya zaczyna się dopiero pod okiem „preceptora“, Markiza Damona, łotra z pod ciemnej gwiazdy, który miał nauczać „języka francuskiego, a co największa, maniery dobrej i prezencyi“. Łacina idzie w kąt, bo warunkiem wychowania nowomodnego „nabieranie fantazyi i prezencyi“, potem „próbowanie wspaniałomyślności umysłu“, w końcu „doświadczenie sentymentów serca“. Dwie zatem „planty“ wychowania przebywa pan Mikołaj w młodości swojej. Pierwsza

to dawna staropolska metoda, a właściwie brak jakiejkolwiek metody, druga to modna „planta“ Damona, który wychowywał „idealnie“. Jaki był skutek takiego wychowania, łatwo przewidzieć. Hulaszcze życie podczas podróży po kraju, a potem zagranicą, gdzie „noble Polonais“, hojnością, marnotrawstwem pracuje na „honor narodowy“.

Pobyt Doświadczyńskiego u Nipuanów, opowiedziany w księdze II, dostarczył Krasickiemu sposobności do zestawienia i krytyki z jednej strony systemu wychowawczego, który zaproponował był Rousseau w „Emilu“ z r. 1762, a z drugiej strony systemu, którego się dotąd w Polsce trzymano.

Na wyspie Nipu, Xaoo, czwarty mentor Doświadczyńskiego po Damonie, kawalerze warszawskim, plenipotencie i hr. Fickiewiczu, wykłada zepsutemu wychowankowi nową „plantę“ życia według poglądów wychowawczych Rousseau'a. We wszystkich tych wywodach odbrzmiewa wpływ francuskiego filozofa, tylko Krasicki poglądy jego zmienia, naginając je do własnych zapatrywań, głoszonych później w „Podstolim“ i „Satyrach“. Nie wynika z tego bynajmniej, żeby autor „Doświadczyńskiego“ był bezwzględnym wielbicielem Rousseau'a, owszem on jego system wychowawczy w części przyjmuje, w części zaś poddaje ostrej krytyce, jak to widać np. z artykułu: „O edukacyi do księżnej Sapieżyny“. „Powszechnym zaczyna być tonem nie tak czynić, jak dawniej czyniono. Poprawiać, co było złego, jest rzeczą chwalebną, ale dla osobliwości porzucać to, co było dobre, oznacza płochość. Szacowna z wdzięku i mocy wyrazów, ale nie z maksym księga, stawia nam teraz dość częste widoki Emilów. Pod pozorem zahartowania dzieci, widzimy smutne ofiary dziwactwa“.

W tem miejscu wspomnieć musimy, że pedagogika Komisyi edukacyjnej oparła się głównie na pedagogice Rousseau'a, ale w wyborze materyału była bardzo przezorną i umiała rozeznać prawdy pedagogiczne od fałszu i utopii, a zresztą poszła samodzielnie naprzód, przedstawia zatem w porównaniu z tamtą znaczny postęp.

Przy czytaniu II ks. „Doświadczyńskiego“ nasuwa się mimoli uwaga, czy Krasicki, pisząc ją, nie miał głównie na myśli nowej magistratury szkolnej, pożądanych reform wychowania i czy nie pragnął i nie starał się, jak mógł, aby reformy te odpowiadały potrzebom lokalnym, duchowi narodu, a nie były tylko echem poglądów pisarzów zagranicznych. Dawny system okazał się złym, bo wychowywał złego człowieka, obywatela i chrześcijanina, system naturalistyczny Rousseau'a był z wielu względów

niepraktyczny, bo wymagał nadzwyczajnych warunków, które w rzeczywistości nie istniały i istnieć nie mogły, a więc i on nie nadawał się w całości do praktycznego zastosowania. Tak sądził Krasicki i ostrzegał, a ogół społeczeństwa doskonale go rozumiał i ulegał potężnemu jego wpływowi.

Doświadczyński nauczył się jednak u Nipuanów niejednej dobrej rzeczy, a wróciwszy do Ojczyzny postanowił przynajmniej dobrą edukacyą dzieci służyć krajowi. Wynika z tego, że autor zamierzał w III ks. „Przypadków“ pomieścić wywód o „dobrej edukacyi dzieci“, jednak forma powieściowa nie pozwoliła na ścisłe wykonanie programu. Niema więc w III ks. rozwinięcia zasad dobrej edukacyi, ale jest już zapowiedź „Podstolego“ i wiele zdrowych myśli, które Komisya przyjęła. Złotą nicią „Doświadczyńskiego“ jest wychowawcza tendencya autora, który chciał zadać kłam słowom kapitana, skierowanym do Doświadczyńskiego: „Twego narodu, nie wiem, czy to jest pochwałą, iż właściwego swojego charakteru nie ma“, a stać się to mogło tylko przez wychowanie w nowej szkole, która miała kształcić i urabiać charakter młodego pokolenia. Mikołaja Doświadczyńskiego cechuje jakaś bierność, brak inicyatywy, brak jakiegokolwiek charakteru, a powodem tego złe wychowanie, pociągające za sobą zgubne skutki. Jesteśmy więc u źródła złego, przed którem Krasicki ostrzegał całe społeczeństwo, dając nam w „Doświadczyńskim“ doskonały obraz edukacyi ówczesnej, a tem samem już dzielnie popierał dążenia Komisyi edukacyjnej. Słusznie mówi Przemysław Mączewski, że „cel patryotyczny, poprawa Rzpltej przez dobre wychowanie, osoba głośnego już w Polsce autora, „Utile cum dulci“ w powieści, która uczy i bawi — zapewniły „Przypadkom“ pierwszorzędne w literaturze stanisławowskiej znaczenie... Satyra obyczajowa, rzecz najlepsza w Dośw., zapowiedź zbioru istotnych jej tworów i Monachomachii idzie na przebój zła narodu w pierwszych szeregach znamienitych dzieł reformy. Książka aktualna w życiu i literaturze, zwierciadło, w którem niejeden snadnie przejrzeć się może i nowalia obyczajowo-utopijno-pedagogiczna, zaważyła na twórczości współczesnych“. (Pam. literacki, z 1904 roku, str. 205).

W powieściach Krasickiego, w poruszonych zagadnieniach społecznych znajduje miejsce i piekąca sprawa wychowania narodowego. Podkład społeczny, tak znamienny dla sprawy wychowawczej w XVIII w., wniósł element żywotności do dysput na temat edukacyi, które przez długi czas wysuwały się na plan pierwszy. U nas Komisya edukacyjna rozwiązała sprawę tę

w znacznej mierze pomyślnie. Krasicki na lat kilka przed wydaniem „Ustaw“ wypowiedział w kwestyi tej kilka uwag bardzo trafnych; Komisya edukacyjna przyjęła też rozumne poglądy autora „Podstolego“ za swoje, bo nosiły one cechę postępową i były owiane gorącą miłością Ojczyzny, ożywiającą całe dzieło wychowania publicznego. Jeżeli jednak Krasicki w „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach“ na ówczesne wychowanie zapatruje się okiem satyryka, to w „Panu Podstolim“ związane z niem kwestye z całą powagą wytrawnego pedagoga rozbiera.

Za pierwszy zarys „Podstolego“ można uważać „Listy Mikołaja Doświadczyńskiego do syna“. Czytamy w dosłownem brzmieniu ich zarys, bo przypominają swą treścią „Podstolego“, a w dużej mierze uwzględniają kwestye wychowawcze, zatem są widomym znakiem współdziałania Krasickiego w ogólnej wymianie zdań na temat spraw edukacyjnych:

*Część pierwsza.* „Początek wszystkiego bojaźń Boża — o Nauce w powszechności — o językach łacińskim, greckim, polskim. Jakiemi iey (nauki) sposoby dostąpić można.

I. Pilnością, powolnością, cierpliwością, trwałością, niezbyt wielkim o sobie, a nadto małym o drugich rozumieniem. O naukach w szczególności. Czytanie, pisanie—Gramatyka – Poetyka—Rhetoryka. Filozofia, iey części—Theologia—Prawo—Historya—Blason“.

„Pan Podstoli“ jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem „Przypadków“. Podstoli jest już dojrzałym owocem, skutkiem owej dobrej edukacyi, o której mówił Doświadczyński, jest ideałem dobrego człowieka, obywatela i chrześcijanina, a dzieci swoje wychowuje wzorowo, kierując je na dobrych ludzi, obywateli i chrześcijan. Ten sam ideał przyświeca Komisyi edukacyjnej. Krasicki i Komisya uważają religię za fundament wychowania. Również gorące popieranie szkół publicznych było w duchu Komisyi podjęte. Podstoli podnosi wyższość edukacyi publicznej nad domową, bo jest głęboko przekonany o tem, iż szkoła jedynie może wychowywać dobrych obywateli kraju, gdyż jednostajny plan nauk wykładanych dla wszystkich nadaje wspólny kierunek umysłom, zaszczepia w nich i rozwija jedne i te same pojęcia i przy różnem ich uzdolnieniu, naukę jakby do jednego mianownika sprowadza. Nadto wyrabia uczucie koleżeństwa, a obok niego sprzyja zawiązywaniu na całe życie przyjaźni. Prócz tego wychowanie publiczne daje to, z czego nigdy nie można w edukacyi domowej korzystać: szlachetne współubieganie się w pilności, co jest niemałą do postępowania w naukach podnietą. Zresz-

tą i inne względy przemawiają za edukacyą publiczną: „Niech mówią, co chcą, wielka jest przecież różnica między jurgieltowym nauczycielem, a tym, który z dobrowolnego powołania na tę się przykrą powinność oddał i poświęcił“. I daje Podstoli wizerunek idealnego dyrektora, który go wychował: postępował on zawsze łagodnie i w ten sposób serce ucznia ku sobie zniewolił; za karę nauki nigdy nie wyznaczał, owszem, żeby dać uczuć, iż nauka jest najprzystojniejszą prawego człowieka zabawą, za wykroczenie odbierał książki, a w nagrodę aplikacyi nowych dodawał. Ideał nauczyciela, pomyślany przez Krasickiego, wszedł w niezmienionej prawie istocie do Ustaw Komisyi. Dyrektor, czyli nauczyciel i dozorca dzieci, nakreślony jest również w duchu „Ustaw“.

Krasicki żąda szkoły narodowej, której warunkiem nie jest — według niego—ani historya polska, ani stosowanie właściwej metody, ani język polski, lecz taki plan nauk i tak przeprowadzony praktycznie, ażeby uczeń po skończeniu szkoły mógł odrazu wejść w życie jako obywatel, oryentujący się w całym labiryncie zagadnień społeczno-politycznych: „Każdy człowiek jest cząstką towarzystwa, w którem zrodzony, lub w którem żyje. Takowe towarzystwo ma swoje zwyczaje i prawa, ma swoją formę rządu... Prawa, zwyczaje, rządy narodów rozmaite są: do nich się umysł obywatelski stosować powinien; najdzielniej zaś się przystosuje naówczas, gdy roztropna młodzieży krajowej edukacya do tego celu zmierzać będzie“. Teraz dopiero zrozumiałą jest rzeczą, dlaczego Krasicki tak ośmieszył w „Przypadkach“ modne wychowanie francuskie, dlaczego silnie napiętnował je w II cz. „Podstolego“. Ks. biskup chciał uczynić wychowanie szkołą życia, szkołą pracy obywatelskiej, a nie ćwiczeniem w „sentymencie“ serca, na czem opierała się edukacya „modna“. Nie o francuski język chodziło mu, ale o system, w którym nie zważano na „prawa, zwyczaje i rząd narodowy“, a poczynano wychowanie od „nabierania prezencyi i fantazyi“, kończono zaś „doświadczeniem sentymentów serca“. A takie pojęcie szkoły w duchu obywatelskim, narodowym, było w myśl zasad Komisyi edukacyjnej.

W traktacie o edukacyi dzieci, nie satyryzując, jak w „Doświadczyńskim“, poleca, jako ważny obowiązek rodziców, aby starali się poznać dokładnie fizyczne i moralne usposobienie dziecka, by wniknęli w głąb istoty jego i zbadali skłonności, uzdolnienie i wrodzone mu siły; jeśli pasye w dzieciństwie wprowadzi się w bieg przyzwoity, to pójdą niemylnie z cnoty w cnotę i z nich powiększać swoją moc będą, jeśli zaś uchyli się tej pory, to pa-

sye młodego pójdą spadkiem niecnót, zaostrzy je krewkość, przykłady innych ośmielą, wolność wygodne rozszerzy im miejsce. W myśl tego wywodu egzaminuje Pan Podstoli konstytucyę zdrowia syna swego „silność lub słabość“ i według tego układa „porządek nauk, aplikacyę myśli, nakład pamięci, nawet same zabawki młodego“. Nie inaczej postąpiła Komisya. Krasicki i Komisya, wierząc w potęgę wychowania, nie pozostawiają go wpływom przypadkowym, zewnętrznym, ale myślą sięgają w głąb istoty dziecka i siły mu wrodzone starają się zużytkować do celów obmyślanych rozumnie. Rady i wskazówki z dziedziny wychowania fizycznego, których w powieściach Krasickiego nie brak, nie pozostały też bez wpływu na Komisyę i odbiły się potężnem echem w jej działaniu i odnośnych publikacyach. Wywód o edukacyi kobiet wszedł również w niezmienionej prawie istocie do systemu edukacyjnego Komisyi.

Na kobietę zapatruje się Krasicki, jako na równą mężczyźnie umysłowo istotę i chce, aby każda świadomie poczuwała się do swych obowiązków, jako obywatelka kraju i spełniać je należycie umiała. Jak go zaś ta sprawa zajmuje, widzimy choćby stąd, iż do niej w pismach swoich niejednokrotnie wraca.

Za Krasickim idąc, uznaje i Komisya potrzebę dobrego wychowania wszystkich stanów z tem zastrzeżeniem, że każda „kondycya“ potrzebuje stosownej dla siebie edukacyi.

Stwarzając typ obywatela idealnego, nie pomija autor „Podstolego“ i tego rysu, że w dobrach swych zakłada i utrzymuje szkółkę dla ludu. Wprawdzie zakres wykładanych w niej przedmiotów ogranicza się jedynie do nauki religii i moralności, oraz nauki czytania, pisania i rachunków, ale Krasicki, stawiając szkole wiejskiej tak małe wymagania rozumiał, iż na początek żądać więcej nie można. W tym wypadku podziwiać trzeba trafność jego poglądu na sprawę wychowania. Przytem pamiętać należy że cz. I „P. Podstolego“, wydana w r. 1778, o lat kilka wyprzedza projekt szkół parafialnych, ułożony przez Piramowicza i ostatecznie w r. 1781 przez Komisyę edukacyjną przyjęty, a w którym nie inny spotykamy zakres nauczania w tych szkołach, jak w „P. Podstolim“, zawierającym w ogólnym zarysie niejako cały system wychowania ludu.

Mówiąc o oświacie ludu poprzestaje Krasicki na ogólnych wskazówkach, wychowaniem zaś młodzieży szlacheckiej bardzo się szczegółowo zajmuje, przemilcza natomiast wyższe jej wykształcenie. Ze względu na to bardzo charakterystycznym jest ustęp, zamykający cz. II „Podstolego“, w którym rozważa, jakie

drogi i zawody stoją otworem przed młodzieżą szlachecką, kończącą ówczesne szkoły. Konserwatyzm jego streszcza się w słowach: „Trzeba iść torem raz ubitym i ulegać dawnemu błędowi“. Stan szlachecki ma zamknięte drogi do handlu i rzemiosł, a stan duchowny podupadł, wojsko zostało ograniczone, w trybunałach i kancelaryach niema żadnej przyszłości, mało dworów pańskich w Polsce—słowem „niema się gdzie rozpostrzeć“ i chyba „idąc za przykładem pierwszego rodzica, należy chwycić się pługa, odrzuciwszy na bok wspaniałe wzrostu nadzieje“.

Oportunizm ks. biskupa można wytłómaczyć tylko tem, że Polska szlachecka naówczas, w przekonaniu ogromnej większości, nie potrzebowała nauki—i z tem to przekonaniem Krasicki liczyć się musiał na seryo. Konserwatywne przekonanie większości szlacheckiej zwyciężyło zatem i u Krasickiego, który nie rozumiał, czy też nie chciał zrozumieć, że poza dawnemi utartemi drogami są dla młodzieży szlacheckiej cele nowe: praca dla nauki i szerzenie prawdziwego światła w narodzie.

Jednego jeszcze i Krasicki i Pan Podstoli nie mogą zrozumieć: Zastąpienia wykładów i objaśnień w języku łacińskim przez język ojczysty. Również powstają na uczenie się naraz wielu języków nowożytnych. „Źle zrobili ci — mówi Podstoli — którzy zarzuciwszy łacinę, wszystko rodowitym językiem pisać chcieli... wielojęzyczni, nie umieją żadnym dobrze mówić i pisać“. Wreszcie dodaje: „Gdyby za wspólną narodów zgodą jeden był język wybrany do nauk, wzniosłyby się w dwójnasób. Do żadnego się w szczególności nie przywiązuję, aleby się godziło przywrócić łaciński do dawnej posessyi. Teraz słyszę, zaczyna powszednieć; tem gorzej: zły to znak, kiedy nauką moda rządzi“. Że to nie była przelotna myśl, ale przekonanie wypowiedziane w pierwszych latach działalności Komisyi edukacyjnej, dowodzi przytoczony wiersz „Do...“, w którym się zwraca przeciw nieznanym członkom Komisyi, których uważa za przeciwników łaciny. Fakt ten świadczy wymownie o braku zgodności w zapatrywaniach Krasickiego, a Komisyi edukacyjnej co do reformy nauk humanistycznych. Komisya, zrywając z dawnym scholastycznym systemem, w którym biegłość w języku łacińskim przeważny, a może jedyny stanowiła cel, nadała naukom klasycznym inny kierunek, nie chodziło jej bowiem o przyswojenie wychowankom pewnej wprawy we władaniu tymże językiem, lecz o zapoznanie ich z celniejszymi utworami klasycznej literatury. Między przepisami Komisyi czytamy: „Uczniowie odtąd w szkołach polskim językiem mówić będą. Doświadczenie przekonało, iż mówiąc po

łacinie, młodzież nabierała złego sposobu mówienia. W wyższych klasach może mieć miejsce ćwiczenie w języku łacińskim z tego jedynie względu, że przy nie umieniu innych przypadnie czasem z cudzoziemcami mówić po łacinie".

Reforma ta ściągnęła na Komisyę niezadowolenie tych, którzy w szkołach przeszłej epoki cały czas na nauce języka łacińskiego trawili. Trudno się dziwić niezadowoleniu u ludzi przywykłych do starego systemu edukacyjnego, który jedynie zbawiennym im się wydawał, choć Komisya, odpowiadając czasom nowszym, postąpiła sobie rozumnie i energicznie, nie lekceważąc przez to bynajmniej nauki filologii klasycznej, ale czem usprawiedliwić bezwzględny w tym wypadku konserwatyzm Krasickiego, okazujący tak mało zrozumienia dla zbawiennej reformy i żądający przywrócenia łacinie dawnych, nieograniczonych przywilejów? Chyba tem tylko, że on sam, wykształcony na starożytnej literaturze, obawiał się, aby jakakolwiek reforma w tym względzie nie pozbawiła młodzieży tych ideałów, tej „szkoły obyczajności", w której wychowywali się przodkowie.

W każdym razie musimy stwierdzić, że Krasicki w tym wypadku hołdował poglądom więcej konserwatywnym i niezupełnie jasno pojmował korzyści i przewagę w szczepieniu wykształcenia i umysłowego rozwoju uczniów przy pomocy języka rodzinnego, co widzieć można i z artykułu jego „o edukacyi".

Z nauk, udzielanych młodzieży, oprócz nauk klasycznych zajmowała umysł Krasickiego jeszcze historya.

Reforma nauki historyi pozostaje w ścisłym związku z ogólnym prądem reformacyjnym w Polsce w XVIII w., którego ostatecznym celem było wytworzenie nowych podstaw dla przyszłego życia narodowego w każdym kierunku. Pogląd na stosunki społeczne wśród wykształconych sfer narodu zupełnie się zmienił, a okoliczność ta musiała również wpłynąć na tych, którzy zastanawiali się nad wykształceniem młodego pokolenia. Nauka historyi nadawała się najlepiej do wykształcenia u młodzieży tego zdrowego zmysłu politycznego, który ogólnie się w narodzie obudził. Pod wpływem nowych poglądów zagranicznych co do sposobu traktowania historyi zjawiają się u nas liczne publikacye treści historyczno-politycznej lub pedagogicznej, wyprzedzające co do czasu działalność Komisyi edukacyjnej, a zmierzające do tego, aby w wykształconej części narodu rozbudzić poczucie urządzeń politycznych i wskazać korzyści, jakie płyną z racyonalnego ustroju państwowego.

Artykułów o zdrowych i pożytecznych poglądach nie brak i w ówczesnych pismach peryodycznych. W „Monitorze“ z roku 1773 znajduje się dłuższy artykuł o nauce historyi, w którym autor, prawdopodobnie Krasicki, podnosi znaczenie przykładów z historyi czerpanych, lecz odmawia zarazem wartości historyi czasów bajecznych z „przydatkami romansowymi“.

O ile kwestya nauczania historyi była żywotną, dowodzą krótsze lub dłuższe uwagi Krasickiego na różnych miejscach jego dzieł wypowiedziane i choć nie wdaje się bliżej w tę sprawę, w każdym razie zastanawiając się nad sposobem uczenia historyi, zabiera głos w ogólnej dyskusyi.

Już w „Doświadczyńskim“ Xaoo ocenia nauki ze stanowiska etycznego i możności praktycznego stosowania ich owoców. Stąd ta niechęć do fizyki i astronomii, zrodzonych z „dumy“ i próżnej ciekawości „hardego“ a słabego umysłu. Xaoo potępia metafizykę, „zapuszczanie się ku rzeczom zmysłom niepodległym“, a z „głupiej hardości“ wylęgłą astrologię, logikę nazywa fraszką. Idąc za krytycznym duchem czasu, występuje Krasicki w poważny lub humorystyczny sposób przeciw dotychczasowemu sposobowi przedstawiania faktów historycznych. Naukę historyi nazywa „szkołą obyczajności“, a w „Doświadczyńskim największą uwagę kładzie na rozbudzanie uczuć etycznych wśród młodzieży przez roztrząsanie charakterów, przyczem zaleca, przedewszystkiem naukę historyi ojczystej, o której Xaoo wyraża się tak: „wiadomość historyi kraju swojego arcypożyteczna jest, opowiadając albowiem dzieła chwalebne przodków, pobudza następców do naśladowania, powiększa uszanowanie i miłość Ojczyzny, staje się szkołą obyczajności“. Co do nauki historyi samej w ten sposób mówi przez usta Xaoo: „jeżeli ją zasadzasz na wiadomości, którego roku i dnia co się stać mogło, jeżeli ją zowiesz nauką przezwisk tych ludzi, którzy przed tobą żyli; jeżeli w powszechne tylko wchodząc czyny, opuszczasz roztrząsanie charakterów, historya natenczas jest tylko próżnem pamięci zaprzątnieniem, nauka jej daremną pracą. Jeżeli starasz się wiedzieć co się działo u sąsiadów, a nie wiesz i wiedzieć nie chcesz o tem, co u ciebie działano, nie jesteś godnym towarzystwa, w którem żyjesz“.

Podobne myśli wypowiada w liście do Naruszewicza, pisanym przed r. 1780, w którym radzi mu, aby podnosił „cnoty przykłady“, a piętnował „występków szkaradność“. W „Podstolim“ zalicza historyę „w poczet ksiąg obyczajnych, byleby tak była czytana, jak czytać należy—wielbić cnotę w ich prawych miłoś-

nikach; w oczach uprzedzonych Aleksander Tamerlan, i inni zwycięzcy, zbójcy, są wielkimi; myśl prawa i serce czułe zakałę w ich rodzaju ludzkiego znajduje".

W „Pismach różnych", w liście do ks. Sapieżyny o „edukacyi" kładzie historyę w rzędzie najważniejszych przedmiotów, byleby się nie zasadzała „nad samymi kresami czasów i rozmaitością dzieł, ale z przykładów brała naukę i oświecenie".

A i tendencya „Historyi" wydanej w r. 1779 odpowiada duchowi czasu jak i właściwościom talentu autora, który bynajmniej nie lekceważył historyi, przeciwnie uznawał wielkie jej znaczenie. I tutaj pragnie Krasicki, aby przedstawienie charakterów w nauce historyi było zgodne z prawami etyki, aby przemocy i gwałtu nie uważano za czyny szlachetne i podziwienia godne. Stąd, charakteryzuje wszystkich zdobywców jako prostych rozbójników, nawet względy cywilizacyjne i polityczne ustępują wobec zasadniczych praw ścisłej etyki. Wynosi natomiast władców spokojnych i występuje w obronie narodów uciemiężonych. Zatem tendencya dziwacznego poniekąd utworu zgodna była z duchem reformy nauki historyi, którą podówczas w Polsce przeprowadzono. Późniejsze prace Krasickiego, jak niektóre rozmowy pisane na wzór Lukiana i tłómaczenia z Plutarcha, łączą się też z tem jego zapatrywaniem, że rozbiór charakterów najwięcej może wpływać na obyczaje.

„Krasicki ze swego stanowiska—pisze Mandybur[1]) ceni historyę o tyle, o ile szlachetne, pod względem charakteru nieskazitelne charaktery wpływają na umysł młodego pokolenia i społeczeństwa wogóle. Wnikanie w charaktery, rozbiór ich pod względem etycznym, wzbudzanie wstrętu do wszelkiego tyraństwa i przemocy, podnoszenie zalet władców spokojnych, a dbałych o dobro narodu—oto wszystko czego się Krasicki po historyi, a właściwie jej nauce domagał. Stoi on wprawdzie pod wpływem autorów francuskich, lecz sprowadza wszystko we właściwy sobie sposób na tory obyczajowe. O młodzieży nie mówi wprawdzie ksiądz biskup wprost, pomimo tego z przytoczonych ustępów okazuje się, iż ją przedewszystkiem miał na oku. Lecz aby ta historya mogła według niego stać się ową „szkołą obyczajności i cnoty", nie mogła pozostać taką, jak ją dotychczas przedstawiano; Krasicki odczuwał brak ścisłego, a bezwzględnego sądu

[1]) Rozprawa o „Historyi Krasickiego", Kwartalnik historyczny, Lwów, 1895. T. IX. str 462–463.

o czynach ludzkich, owej równomiernej oceny etycznej, której utarte mniemania ogółu bynajmniej nie odpowiadały".

Zapatrywania Krasickiego pozostają w związku z zasadami niektórych współczesnych pedagogów, a przedewszystkiem Komisyi edukacyjnej.

Według Komisyi celem i zadaniem nauki historyi było praktyczne przygotowanie młodzieży do pożytecznego, obywatelskiego życia dla Ojczyzny przez wykształcenie charakteru u wychowanków, stąd etyczny duch, który przenika wszystkie instrukcye i podręczniki, służące do udzielania tej nauki w szkołach Komisyi. Idąc za duchem czasu i reformatorskich prądów, które miały się opierać na poczuciu sprawiedliwości i odpowiadać zasadom etycznym, żąda Komisya, aby przy nauce historyi kierowano się bezwzględną, a słuszną krytyką.

Bezwzględna prawda miała być podstawą nauki historyi. W instrukcyach Komisyi, wystosowanych w r. 1781, a ogłoszonych drukiem w r. 1783 czytamy: „Nauczyciel w opowiadaniu dziejów chronić się będzie, aby niedawał fałszywych wyobrażeń rzeczy, z których naywiększe szkody i zepsucie zdań i obyczajów wynikać zwykły. Wytykać zatym powinien w czynach ludzkich, chociaż na pozór okazałych i błędnie za chwalebne poczytanych, co się z sprawiedliwością, z ludzkością, z dobrą wiarą i dotrzymaniem słowa nie zgadza. Przeto nigdy nie będzie nazywał polityką, to jest umieiętnością rządu, ani bohatyrstwem, co iest chytrością, zdradą, podłością, gwałtem, przemocą, naiazdem i cudzego przywłaszczeniem".

„Nauczanie dziejów niestosowane do serca, do zamiłowania cnoty, do kierowania obyczajami, do obrzydzenia występku; nauczanie wystawujące uczniom za wielkość, co było próżnością, za waleczność, co było gwałtem, za politykę, co było chytrością, za przykład co było zgorszeniem; nauczanie takie historyi zarazi serca, obróci rozum młodego człowieka ku szkodzie społeczności... Co się tyczy najcelniejszego historyi końca, to jest, nauki cnoty i obyczajów, dojdzie go nauczyciel łatwo: 1) Gdy to tylko za przykład wystawiać będzie, co się zgadza z ludzkością, sprawiedliwością, dobroczynnością, pobożnością. 2) Gdy wolny od przesądów wytykać będzie przedniejsze dzieje bez żadnej w słowach ogródki, z przydaniem zawsze sprawiedliwej pochwały lub nagany. Naprzykład: ten lub ów monarcha zawojował kraj, dodać zaraz trzeba, że zawojował niesprawiedliwie; nie mów, że zażył sprężyn polityki, ale raczej, że albo zdradził, albo oszukał, albo słowa nie dotrzymał. 3) Nakoniec, gdy nauczyciel opowie jakie

dobre, cnotliwe dzieło, niech pokaże wynikające tuż z niego skutki i cnotliwego nagrody; skoro się opowie zbrodnia, niech wytknie zaraz złe wyniknienia i kary przestępcy".

Instrukcya Komisyi edukacyjnej, dana nauczycielowi historyi powszechnej, polecała, „żeby podający naukę dzieciom, gdy przyjdzie do szczególnych państw historyi, pierwsze dał miejsce historyi polskiej, potem przeszedł do historyi państw mających związek z krajem naszym przez sąsiedztwo, przez interessa i przez podobieństwo rządu".

Widzimy więc, że zasady etyczne, wypowiedziane przez Komisyę, zgadzają się co do joty z zapatrywaniami Krasickiego, zatem należy rozstrzygnąć pytanie, w jakim stosunku pozostają reformy Komisyi do usiłowań autora „Historyi" w sprawie reformy nauki historyi.

Nie można bynajmniej mówić o wpływie zapatrywań Krasickiego na Komisyę lub naodwrót, gdyż nigdzie nie mamy na to dowodów, ale wobec widocznej zgodności tendencyi, trudno nie przyjąć jakiegoś ogólnego w duchu czasu leżącego kierunku, który cechował polityczne i wychowawcze ówczesne dążności reformacyjne.

Na tem kończę rozbiór stosunku Krasickiego do reform Komisyi edukacyi narodowej. Wprawdzie w utworach jego można jeszcze znaleźć wiele cennych uwag, tyczących się kwestyi wychowania, ale uwagi te podane fragmentarycznie, nie mogły—zdaniem mojem—wywierać poważnego wpływu na reformy edukacyjne, choć świadczą one o pewnym określonym programie naukowo-wychowawczym, który sobie ks. biskup na tle pedagogicznych prądów XVIII w. wyrobił i w utwory swoje, przeznaczone dla ogółu społeczeństwa, a nie wyłącznie tylko dla młodzieży, dla szkoły, w części wplatał, a schodząc się w istotnych punktach z zapatrywaniami nowej magistratury szkolnej, dorzucił niejako cegiełkę do budowy ogromnego gmachu wychowania publicznego, dokonanego przez wiekopomną Komisyę edukacyjną.

Zygmunt Kukulski.

# W drodze na północ i na wygnaniu.

## (1864—1870).

### V.

W Ustsysolsku trwa przez cały listopad jarmark, a wskutek swej oryginalności zasługuje, aby mu słów parę poświęcić. Zjeżdżają się tu kupcy z Moskwy, Petersburga i Niżniego Nowogrodu, przywożą różne towary w najgorszym gatunku kolonialne, łokciowe i przeróżne galanteryjne błyskotki—a zapas cały rozsprzedają zarówno miejscowym mieszkańcom, jak i kupcom z Ustsysolska i z innych miast i wiosek.

Wzamian, ci sami kupcy wywożą surowe skóry z różnego gatunku zwierząt, jarząbki, ryby, przedewszystkiem siomgę, jesiotra i sterlety—wszystko to zamrożone. Wywożą także ogromną ilość ozorów reniferowych, które marynowane i wędzone, są wybornym przysmakiem.

Kupcy przyjezdni robią tu ogromne interesy—bo towar swój drogo sprzedają—wzamian futra kupują za bezcen. Za dziesięć skórek z wiewiórek (popielicami zwanych w naszym handlu) płacą do 50 kop., za taką samą ilość gronostajów 75 kop., za 10 jarząbków 60 kop., a krociami dziesiątków ich kupują. Skóry niedźwiedzie różnej wielkości i koloru, skóry rosomaków, bobrów i lisów różnego gatunku od 3 do 300 rb. za jedną skórę.

W Ustsysolsku pierwszy jarmark ogromnie mnie zaciekawił, bo gdzie spojrzałem, wszystko było dla mnie nowością. Przedewszystkiem oryginalność i różnorodność kostyumów mieszkańców zwracać musi uwagę każdego Europejczyka. Zdaje ci się, że otoczony jesteś tysiącami dwunożnych zwierząt, wszyscy bowiem ci, co przybyli na jarmark, ubrani są w skóry reniferów

różnorodnego koloru, w większej części w łaciaste, tak zwane tu „malice“ i „sowiki“. Ubranie to ma podwójne futro, jedno wewnątrz, a drugie futrem odwrócone na wierzch, rodzaj używanych u nas obecnie. Futra te są zrobione w formie długiej do samej ziemi, nocnej damskiej koszuli, z kapturem także futrzanym, a kładzie się futro przez głowę. Kaptur tak jest dopasowany szczelnie do twarzy, że widać tylko nos i oczy. Na nogi kładą buty zwane tu „pimami“. Są one długie za kolana, podobne do pończoch, a uszyte ze skór z nóg reniferowych. Jak futro tak i buty szyte są suszonemi, na cel ten przygotowanemi, kiszkami z reniferów. Gdy jeszcze usłyszysz dziwnie krzykliwy, prawie dziki głos tysiąca tych ludzi, gdy usłyszysz ich głośne przywitanie: „Kuczema ti ołanryd“ (jak się masz), uciekasz w obawie, aby to stado głodnych, snujących się postaci, nie rozszarpało i nie pożarło cię—tak, jak jedzą żywą rybę i surowe mięso...

Środkiem miasta, a nawet i dalej, ciągnie się przeszło wiorstę długi szpaler ustawionego mięsa. Widok ten, grozą przejmuje, gdyż plac cały podobny jest do pobojowiska, na którem przed chwilą odbyć się musiała straszna walka, zakończona rzezią, a świeża krew i tysiące trupów są wymownym tego dowodem. Jest to jednak nie plac boju, lecz targowisko mięsa. Zarżnięte bydło, obdarte ze skóry i tylko wybebeszone, literalnie całe, nawet z nieodciętym łbem i trupiemi ślepiami, zamrożone, stoi jedno obok drugiego na nieobciętych także nogach.

Wśród tego szpaleru uwijają się kupujący — pakują do ust surowe mięso, próbując czy smaczne. Z mięsa tu kupionego robią zapas prawie na cały rok. Przez zimę używają go w stanie zamrożonym, na lato zaś marynują. Funt mięsa, kupując całą sztukę, wynosi 2 grosze.

W drugim końcu miasta leżą znów sterty zamrożonej i suszonej ryby, a swą apetyczną, cuchnącą wonią ściągają nawet zdaleka amatorów.

Handel skórami odbywa się po domach, i kupcy chodzą od jednego do drugiego myśliwego i tam robią tranzakcyę. Ze skórami reniferów i ozorami zjeżdżają Samojedzi, rozstawiają swoje „jurty“ (szałasy) i w nich rozkładają towar.

Mówiąc o Samojedach, wspomnę choć pobieżnie o wrażeniach jakie wyniosłem, goszcząc w ich „jurtach“. Było to w parę lat po osiedleniu się mojem w Ustsysolsku. Poznałem i bardzo zaprzyjaźniłem się z podleśnym, p. Jachimowiczem, Polakiem, który zarządzał leśnictwem i mieszkał w wiosce Pieczora.

Pieczora, wioska, położona przy rzece tejże nazwy, prawie pod samemi górami Uralskiemi, jest ostatnią wsią na północy, a miejscowość głucha, dzika, północna pustynia. P. J. był starym kawalerem — zdaje się bez rodziny, i burze życia widocznie tak źle go usposobiły do społeczeństwa wogóle, że zdecydował się przyjąć posadę, w tej od świata całego odgrodzonej osadzie.

Zaprosił mnie do siebie. Pojechałem w zimie, a muszę dodać, że od Ustsysolska kilkaset wiorst leśniczówka ta jest oddalona. Będąc na miejscu, zapragnąłem poznać bliżej Samojedów i stada reniferów, a właśnie w tych stronach znajdują się ogromne „tundry“ (pastwiska).

W ośmnastem zdaje się stuleciu, jedno z pokoleń Samojedów przywędrowało z Syberyi, a znalazłszy bogate i obszerne „tundry“—(tundra jest to rodzaj stepu z tą różnicą, że na niej rośnie mech islandzki, który stanowi niezbędny pokarm dla reniferów), zdrowy dla reniferów klimat i doskonałe położenie, zostali i osiedlili się, jeżeli można nazwać to koczujące życie, jakie dotąd prowadzą, osiedleniem.

Samojed wogóle lubi życie próżniacze, łakomy jest na wódkę, tytoń, a kobiety za świecidełka i przeróżne drobiazgi, gotowe są wszystko poświęcić...

Gdy Samojedzi zetknęli się z chytrym kupcem rosyjskim, jednocześnie utracili swą niezależność, wyzuli się ze swej własności, i dziś są prostymi pastuchami własnych dawniej stad.

Na wschodnio-północnych krańcach gub. Archangielskiej, na ziemi jednak Zyryańskiej i niedaleko od Pieczory, rozłożyła się nie tak bardzo dawno bogata i ogromna osada—Iżma, założona niegdyś i zamieszkała, przez samych kupców rosyjskich. Oni właśnie obecnie są właścicielami ogromnych stad reniferów, tak, że niejeden ma po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt tysięcy sztuk reniferów.

Renifery dzielą się na stada, a każde stado składa się z tysiąca lub nawet więcej sztuk—dozór nad każdem stadem powierzony jest właśnie rodzinie samojedzkiej, która się tuła i przenosi z miejsca na miejsce.

Mieszkaniem Samojeda jest „jurta“. Gdy znajdą „tundrę“, na której przez czas dłuższy paść mają swe stada, pierwszą czynnością jest przygotować mieszkanie.

W tym celu stawiają poziomo okrągłe drążki, które u wierzchołka wspierają się jeden na drugim, wiążą je mocno grubym rzemieniem u góry—drążki pokrywają skórkami reniferów w ten

sposób, że jedne szerścią na zewnątrz, drugie zaś są odwrócone wewnątrz. Kształt „jurty“ ma formę stożka..

Ziemię wewnątrz „jurty“ oczyszczają ze śniegu, pokrywają skórami i mieszkanie zupełnie jest gotowe! Ustawieniem „jurty“, jak i wewnętrznem urządzeniem zajmują się zwykle kobiety.

Samojedzi wogóle, a zwłaszcza kobiety, nie odznaczają się urodą. Wzrostu małego, o twarzy okrągłej, z małemi świecącemi oczkami. Mężczyznom pogaństwo nie dozwala nosić zarostu, a także i golić się niewolno, muszą zatem włosy wyrywać, wskutek czego twarz jest pomarszczona i jakby pokłóta, włosy za to na głowie noszą długie...

Cała fizyognomia nieprzyjemna, a ubiór więcej jeszcze ich szpeci. Kobiety, w swoim rodzaju oryginalne i nawet gustowne noszą kostyumy, zrobione ze skór łepków reniferowych, w rodzaju długiego za kolana kaftana. Wszywają między futra o rozmaitych wzorach różnokolorowe sukno w wąziutkie cięte paseczki, ozdabiając świecidełkami...

Głównem pożywieniem Samojedów jest mięso reniferów, które najczęściej surowe spożywają. Krew gorąca, z zarżniętego przed chwilą renifera, służy za napój największy to u nich przysmak—a, podany gościowi, oznacza uznanie, szacunek i wyjątkową gościnność.

Ze skór reniferowych, które Samojedzi odsyłają do Iżmy swym panom, wyrabiają tam futra, głównie jednak przerabiane są na zamsz; w ten sposób wyprawionemi skórami, ogromny handel prowadzą, a nawet nasi rękawicznicy skór tych używają.

Dozór nad dzikiemi stadami w oryginalny odbywa się sposób; skoro stado zostanie przypędzone na miejsce, obfitujące w mech islandzki, wtedy Samojed na „ski“ [1]) obchodzi pewną przestrzeń, którą ma zamiar reniferami wypaść, „ski“ zostawiają ślady na śniegu, na te ślady puszcza psy, szczególnego gatunku i specyalnie na ten cel hodowane. Te czuwają, aby żadna sztuka granicy nie przeszła, w przeciwnym razie dopędzają niesfornego renifera, kąsają go i zmuszają do powrotu.

Psy są podobne do naszych owczarskich—złe i zajadłe.

Renifer podobny do jelenia, różni się rogami nieforemnymi, płaskimi i kolorem szerści, która jest różnobarwna, najwięcej łaciasta, jak u naszych krów tyrolskich; nogi niskie, rapcie szerokie, obrośnięte. Sama natura takiemi go uposażyła, aby, idąc po śniegu, nie zapadał głęboko.

[1]) „Ski“ Samojedów dłuższe są od zakopiańskich nart.

Jazdę reniferami można zaliczyć do najoryginalniejszej i w swoim rodzaju przyjemnej przejażdżki; jest nadzwyczaj szybka, a kilkadziesiąt mil jechać można prawie bez popasu.

Sanie, do których zaprzęgają renifery, są małe, u góry w siedzeniu tak wązkie, że tylko jeden człowiek siedzieć może, u dołu zaś są bardzo szerokie z płaskiemi sanicami w rodzaju „ski“, aby, o ile można, utrzymać się mogły na powierzchni śniegu. W każdem stadzie jest kilkanaście oswojonych i wyuczonych reniferów, tak zwanych „prowodyrów“, jednego z nich właśnie zaprzęgają na przodzie, inne są wzięte ze stada zupełnie dzikie.

Zaprzęga się w ten sposób, że jeden za drugim postępuje gęsiego; gdy potrzeba zaprzęgać, to Samojed ze stada chwyta na arkan, a złapany renifer staje się łagodnym i pozwala sobą powodować.

Renifery zaprzężone idą gęsiego, lecz nie zupełnie jeden za drugim: pierwszy idzie na długim rzemieniu, którego jeden koniec przywiązany jest do rogów i karku, przechodzi przez piersi, idzie dalej między nogami, a drugi koniec przywiązany jest z prawej strony do sani. Następny renifer w ten sam sposób, tylko przywiązany jest do środka sani, trzeci zaś do lewej strony sani, zawsze jeden od drugiego oddalony jest na całą długość renifera, prócz tego wszystkie są połączone rzemieniami, przywiązanemi do rogów.

W zaprzężone sanie siadasz, okrywają cię skórami, mocno przywiązują w obawie, abyś wskutek szybkiej jazdy, nie wypadł i nie został na drodze. Samojed siada na przedzie sani, uzbrojony w długi, ostro zakończony drążek, którym zmusza renifery do szybszego biegu, a przedewszystkiem za pomocą tego drążka kieruje.

Dla sani, reniferów i Samojeda, wszędzie jest dobra droga. Renifery mkną z błyskawiczną szybkością po powierzchni kilkułokciowego śniegu. Gdy udaje się Samojed w dalszą drogę, bierze z sobą wiązkę mchu; w podróży zatrzymuje się na kilka minut, wtedy renifer odsapnie, przegryzie małą bardzo ilość mchu, połknie trochę śniegu i dąży dalej.

Przychodzą czasem ciężkie chwile na biednych tych tułaczy, koczujących w najdzikszych stronach Europy północnej, gdy zaraza, tak zwana „Syberyjska jazwa“, niszczyć zacznie stada. Epidemia ta zabija tak szybko renifera, że w krótkim czasie całe stada padają jej ofiarą.

Nędza wówczas ogromna, a jak podanie niesie, to w chwili ogólnego głodu, zwyczaj i religia ich dozwala w takim wyjątko-

wym wypadku, dla ocalenia życia rodzinie, poświęcić najstarszego jej członka, którego powinni zabić, a ciało użyć na pożywienie. Nazwa Samojed ma właśnie pochodzić od uświęconego przez religię tego zwyczaju.

Każdy Samojed jest myśliwym, bo dzień i noc czuwać musi z bronią w ręku nad bezpieczeństwem swych elewów, gdyż zwykle za reniferami jednocześnie ciągną stada wilków, które ogromne robią spustoszenia wśród stad.

Samojedzi setkami biją tych drapieżnych rabusiów, a ze sprzedanych skór mają dobry zarobek. Skóra wilka w zimie zupełnie jest biało-srebrzysta; wyrabiają z niej bardzo ciepłe i trwałe futra. Polują także i na inne zwierzęta. Przedewszystkiem na białego niedźwiedzia. Wybornymi są także rybakami, lecz złowione najczęściej przeznaczają na swoje potrzeby.

Kobiety zajmują się gospodarstwem koło „jurty“, a wolne chwile poświęcają na szycie „malic“, „sowików“, „pim“ a szczególnie—i to z zamiłowaniem i z pewnym w swoim rodzaju artyzmem wykończają wierzchnie swoje ubrania. Samojedzi prawie nie używają innych materyałów na swoją garderobę, prócz skór z renifera.

Na koszule, spodnie, odzież i ubranie na lato, wyprawiają sami, swoim sposobem skóry z młodych cieląt, tak delikatne i cienkie, że zupełnie zastąpić mogą płótna.

Niedługo gościłem wśród biednych Samojedów, nie mogłem zatem dokładnie poznać ich zwyczajów i obyczajów, zauważyłem jednak, że są gościnni, a gdy się dowiedzieli, żem Polak i zesłany na wygnanie, otoczyli mnie kołem, zadawali różne pytania, a kobiety załamywały ręce i powtarzały—„biedny ty, nieszczęśliwy, jak tam twoi muszą za tobą tęsknić...“.

Pożegnałem bezdomnych tych ludzi, gospodarz odwiózł mnie na swych saniach, zaprzężonych w najlepsze renifery. Powróciłem po paru tygodniach do Ustsysolska. Nic się tu nie zmieniło, ta sama bieda, tęsknota za krajem i rodziną, ta niepewność o jutro—bo czas wlókł się żółwim krokiem, jak zwykle dla tych, co cierpią i żyją tylko nadzieją... Przeszło jedno lato, znowu zima, i tak dalej i dalej... a licząc, spostrzegłem, że to już cztery lata się kończą, jak mieszkam w Ustsysolsku.

Nic tak jednak nie gnębiło i nie odbierało chęci do życia, jak to, że byłem zdrów, młody, z pewną inteligencyą i wykształceniem, że rwałem się do pracy, a jednak nie mogłem nawet na marne życie zapracować—i jak żebrak – żądać musiałem pomocy

od żony i rodziny. Upokarzało to mnie bardzo, ale nie było na to rady...

Nikomu z nas niewolno było niczem się zająć!

Zacząłem w pierwszym zaraz roku dawać lekcye—zabroniono natychmiast, przyjąłem obowiązek „prikazczyka“ (subiekta) w łokciowym magazynie, po upływie miesiąca wyrzucono mnie z niego, choć gospodarz był z pracy mej zadowolony i, widząc zwiększającą się klientelę, zaproponował mi nawet po miesiącu spółkę.

Wielu też biedaków, zwłaszcza ze średniej klasy, dopuszczało się różnych nadużyć, które imię Polaka plamiły. Wielu z inteligencyi szukało pociechy i zapomnienia w kieliszku, a niektórzy nawet doszli do „delirium-tremens“. Byli i tacy, co pożenili się tylko dla tego, że jak ruskie mówi przysłowie: „at nieczewo diełat'“, a jak później się dowiedziałem, zmarnieli.

W końcu czwartego roku pozwolono ks. Sidorowiczowi wyjechać do Kurlandyi. Wkrótce manifest zwolnił małoletnich, wyjechał zatem Nowiński i Szymanowicz. Rok ten był szczęśliwy, bo wkrótce uwolniono Celta, po nim Sowińskiego, Pajewskiego i Lenka i w końcu mego jedynego towarzysza—Kuczyńskiego.

Z naszej paczki, która się kupy trzymała i stanowiła, że się tak wyrażę, czoło Kolonii Polskiej, zostałem prawie sam jeden. Można zatem zrozumieć sieroctwo moje i rozpacz... Żegnałem po kolei wszystkich, a z dniem każdym traciłem nadzieję, myśląc, że widocznie przyjdzie mi tu na północy życie zakończyć.

Trudno było jednemu prowadzić gospodarstwo, nająłem zatem mieszkanie z całem utrzymaniem u kandydata na oficera, ale prostego żołnierza. Żona jego tak zwana tu „kołacznica“ wypiekała bułki, obwarzanki i t. p.

Miałem dwa pokoje umeblowane, usługę, opał, łaźnię, śniadanie—tylko cukier mój własny—obiad i kolacyę.

Na śniadanie herbata z wyborną śmietanką, obwarzanki, masło i jakiegoś gatunku placuszki i szangi. Obiad składał się z pięciu lub sześciu dań—po obiedzie herbata, na kolacyę to samo co i na obiad. Za mieszkanie i całe takie utrzymanie płaciłem miesięcznie 40 złotych polskich.

Dla tego opisuję tak szczegółowo, aby dać wyobrażenie czytelnikom, jak były tu tanie produkta i mieszkania.

W jaki sposób były przygotowane potrawy — to inna kwestya. Nieprzyzwyczajonemu do zyryańskiej kuchni w pierwszych początkach, przejść nie mogły przez gardło. Nie mogły być w żaden sposób smaczne, bo tak, jak w całej Rosyi, tak i tu gotują

rano na dzień cały i potrawy stoją w piecu. Lecz to jeszcze nie jedyny powód odbierający apetyt. Podaje mi np. gosposia pirog— cała ryba duża, upieczona w drożdżowem cieście. Zapach, łechcący podniebienie, pobudza apetyt, odkrywam wierzchnią powłokę i cóż znajduje? rybę zupełnie nie oczyszczoną ani z łuski, ani z wnętrzności, i gdym z obrzydzeniem odsunął, gospodyni śmiać się zaczęła, twierdząc, że nie znam się na smacznej potrawie i w oczach moich palcami rwała kawałki ryby i jadła.

Przyniosła ogromny garnek mleka kwaśnego ze śmietaną, garnek w formie kopuły cerkiewnej przewróconej do góry—i gdym zjadł kilkanaście łyżek, a śmietana w środku się opuszczała, trzymając się brzegów garnka, wtedy gosposia w obecności mojej, palcem—o ile był czysty, zamilczeć wolę—w około garnka śmietanę zgarniała, za każdym razem obcierając ten palec ze śmietany o brzegi garnka i za każdym razem go oblizując.

Sądzę, że podobna manipulacya w moich oczach nie mogła pobudzić apetytu; potrochu musiałem się jednak do tego przyzwyczaić, a dodać i to muszę nawiasem, że gospodyni była już niemłodą kobietą, grubą, jak beczka i nie odznaczała się czystością.

Mieszkając u Zyryan czystej krwi, miałem sposobność bliżej poznać ich charakter. Zyryanie, chociaż prawosławni, wiele jeszcze zostawili cech pogaństwa i powiedziałbym nawet, że te pozostałości zabarwiają charakter ich dodatnio...

Miałem sposobność być parę razy uczestnikiem obrządku ślubnego.

Tak samo prawie, jak w całej Rosyi, przed ślubem jest dziewicznik, t. j. tak zwany „wieczór dziewic".

W wigilię ślubu zbiera się młodzież u rodziny panny młodej. Zwykły korowód ze śpiewem „czyżyka", i kozaczek z harmonijką—dotąd wszystko tak samo, jak już opisywałem dziewicznik w Rosyi.

Teraz dopiero zaczyna się różnica.

Na środku stancyi stoi stołek, a obok stolik, przykryty białą serwetą, na którym umieszczono talerz i dwie zapalone świece. Przy stoliku siedzi panna młoda, zakryta chustką lub płachtą, tak, że zupełnie nie widać jej twarzy. Siedzi, płacze, lamentuje i takie rzewne wywodzi żale, że pragnąłbyś wyrwać ją z tego otoczenia, sądząc, że gwałtem wydają ją za mąż. Przez łzy i łkania wybiegają słowa, któremi żegna rodziców, siostry, braci, krewnych, znajomych—żegna dom, w którym się urodziła i wychowała, ścieżki, po których chodziła, psa, kota, kury, krówkę

wiśniochę i t. p., a tak głośno wykrzykuje śpiewnym tonem, tak niemiłosiernie, za każdem nowem pożegnaniem, uderza silnie rękami w kolana, że w końcu już ochrypłym głosem ledwo mówić może, zaś kolana, jak mi opowiadano, długo bardzo ma, jak poduszki, opuchnięte.

Korowód wciąż wokoło niej się kręci; goście rzucają pieniądze na talerz. Suma zebrana, bywa często dość znaczną i służy za posag dla panny młodej.

Żal mi się zrobiło dziewczyny, zbliżyłem się do stolika, położyłem na talerzu pieniądz, i jednocześnie ze współczuciem zapytałem się jej szeptem: „Myjyś ti bordannyd"? (czego ty płaczesz)—ona odpowiedziała mi zupełnie wesołym głosem „Tojö sömym szutka". (To tylko żarty). „Dziękuję—odpowiedziałem—możesz biedaczko stracić urodę i zdrowie".

Nazajutrz w chwili ubierania do ślubu, ta sama scena, każdy przedmiot musi być w jej rękach obracany, oblany łzami i pożegnany—nad wodą, w której się raz ostatni myje przed ślubem, przeróżne gusła praktykuje. Szczegółów tych opisać nie mogę, gdyż dzieje się to wszystko w tajemnicy, w izbie przeznaczonej dla państwa młodych i żaden mężczyzna, nawet ojciec, obecnym być tam nie może.

Nie mogłem także, pomimo największych starań, wybadać kobiet—sekretu tego żadna zdradzić nie chce. Słyszałem tylko ogólnikowo, że ma być to nadzwyczaj zabawna ceremonia. Do ceremonii tej zastosowane są specyalne piosnki, przemowy i nawet akrobatyczne łamańce—czynności te wybrane i nauczone kumoszki, wykonywać umieją. Podobno pannie młodej wykładane są poglądowo... wszystkie obowiązki żony..

Mieszkałem teraz po wyjeździe kolegów najbliższych sam jeden. Byłem młody i z ogromną dozą energii, której właśnie zawdzięczam, że uchroniła mnie od upadku i rozpaczy...

Przez cały czas wygnania, będąc jeszcze w więzieniu, wyszukiwałem sobie zajęcia, to też i w Ustsysolsku ani jednej godziny nie spędziłem bezczynnie, wiedziałem, że tylko praca może rozerwać smutne myśli, a zresztą pracę kochałem. Czytałem bardzo dużo, a ilekroć mnie to męczyło i wyczerpywało, brałem się do zajęć fizycznych.

Korzystałem z udzielonego mi pozwolenia i brałem dzieła naukowe z biblioteki państwa Łatkin, a także czerpałem z biblioteki, która była przy czteroklasowej szkole powiatowej. W obu znajdowało się wiele dzieł wyborowych, tłómaczonych z angielskiego i niemieckiego.

Poznałem się z sądownikami i wolny miałem wstęp do starych archiwów. Tam między innemi znalazłem ciekawe dokumenty, z których dowiedziałem się, że Lisowczycy w XVII wieku, gdy Władysława IV-go powołano na tron rosyjski, zajrzeli aż do Salwyczegodzka, który był własnością Strogonowych, a nawet ukazali się pod samym Jareńskiem. Opis był bardzo szczegółowy z wymienieniem nazwisk dowódzców polskich.

Gdy książka znużyła, a więcej gdy myśli niesforne trudno było przywołać do porządku, bo były chwile, że dwadzieścia razy przeczytało się stronicę i ani zrozumieć, ani spamiętać nie było można, rzucałem książkę, brałem śrubsztak, piłkę, pilniki, świder i dłutka, i krajać, piłować i wyrzynać zaczynałem z sił całych drobne cacka z kości. Mówiono mi, że cacka te, choć samouczka, miały pewną artystyczną wartość, a nawet „isprawnik“ chciał koniecznie jedną z większych mych prac wysłać do Paryża na wystawę, którą zdaje się 1868 r. otworzono.

W domach, gdzie byłem gościnnie przyjmowany, żadna uroczystość, żadne imieniny, urodziny i t. p. nie obeszły się bez mojej pomocy. To pomagałem kleić pudełka, szyfonierki, ramki i t. p. drobiazgi, to robiłem albumy, nesesery, zdobiąc je rzeźbionemi wyrobami z kości. Słowem byłem rozrywany. Czy te roboty przynosiły mi jaką pomoc materyalną? Broń Boże. Zyskiwałem uznanie, przyjaźń i serdeczny stosunek, który więcej ceniłem niż rubla...

Z każdym rokiem wywalczałem tu sobie coraz większe uznanie, a u państwa Łatkinów, Kwadrów, Nikitinów, Makarowych, Woronieckich uważano mnie jak członka rodziny. To też pamięć o tych zacnych, poczciwych, bez uprzedzeń ludziach do końca mego życia nie zaginie w mej pamięci. Ileż razy starali się rozerwać smutne myśli moje, ile razy widziałem łzy współczucia w szlachetnych oczach pań tamtejszych—nigdy nie obrazili uczuć Polaka i ideałów naszych narodowych, które rozumieli i cenili. W kwestyi tej często prowadziło się dysputy wyczerpujące. Imię Polaka wogóle wśród ludu tutejszego, mimo wybryków niektórych wygnańców, uważane było za najlepszą rekomendacyę. Wierzyli, że co Polak, to musi być honorowy, szlachetny i powierzonoby mu cały majątek.

W ich towarzystwie śpiewaliśmy pieśni patryotyczne, rozumieli je dobrze, a zresztą przeczuciem wiedzeni, zachwycali się melodyą i treścią.

Żyjąc w tak serdecznych stosunkach, musiałem uczestniczyć we wszystkich zabawach, a każda zabawa ma tu oznaczony swój

czas trwania i tak przestrzegają tego terminu, że ani jednego dnia nie chybią.

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, mieszkańców ogarnia istny szał zabaw—przebierają się, chodzą, jeżdżą zamaskowani od domu do domu, bogatsi i inteligentniejsi wydają bale i tańce przy pomocy orkiestry, stworzonej tu przez wygnańców, biedniejsi przy akompaniamencie harmonii i śpiewów skaczą kozaczka i czyżyka. Przez cały ten czas ani jeden wieczór nie może być zmarnowanym, a śpią i odpoczywają w dzień. Prawie cały handel i wszystkie czynności są zawieszone.

Na drugi dzień po Trzech Królach, duchowni z dyakonami, niosącymi „ikony“ (obrazy świętych), kropidło i kadzielnicę, przystrojeni w szaty cerkiewne, biegają od domu do domu, święcą i wykadzają wszystkie pokoje, wypędzają złego ducha „czorta“ (djabła), który razem z maskami zakradł się pod domową strzechę i mógłby szkodzić i prześladować domowników!... Ceremonia ta daje ogromny dochód tym djającym o zbawienie dusz pasterzom...

Na tej uroczystości cerkiewnej kończy się karnawał.

Następuje teraz „maślenica“ (ostatki) i ta trwa dni dziesięć. W czasie tym wszyscy z zapałem oddają się „gulaniju“ i „ledjanym gorkam“ (Lodowe górki).

Szlichtada ta nie ma nic wspólnego z naszą. Kto tylko tu żyje, i jakie ma najlepsze konie i zaprzęgi, wyjeżdża na miasto. Kto niema koni, wynajmuje, a nawet najbiedniejsi w jaki bądź kolwiek sposób muszą z tej zabawy skorzystać. Każdy bierze na siebie najdroższe i najlepsze ubranie, wszelkie zajęcia, czynności i roboty ustają, a cały ruch koncentruje się na ulicach miasta lub wioski.

Nie mogłem pojąć, jaką mieszkańcy mieć mogą przyjemność w takiem „gulaniju“, bo sanki posuwają się wolno, jedne za drugiemi i po jednych i tych samych ulicach, ciągle w kółko, a tak wiele jest sani, że wskutek tego, śnieg głęboki zamienia się w piasek.

Gdym doczekał się pierwszej „maślenicy“, znajomi państwo Kwadry przyjechali po mnie i namówili, abym jechał z nimi na „gulanije“. Z ochotą zgodziłem się, pragnąc poznać i przyjrzeć się tej zabawie i doświadczyć tej przyjemności. Lecz gdym kilka godzin w kółko się kręcił, gdy żołądek zaczął dopominać się praw swoich, a w dodatku, gdym przemarzł, jak to mówią, do szpiku kości, bo mrozik nielada dokuczał—było przeszło 30° R.— zapytałem się sąsiadki, Olgi Karłowny, okrytej aksamitną lekką szubką w eleganckim kapelusiku na głowie, (tak, jak panie nasze

w mieście, udając się w zimie do kościoła)—czy prędko wrócimy do domu?... Rzuciła na mnie z politowaniem swe czerwone załzawione z zimna oczy, i odpowiedziała:

— Ach Panie! wszak to dopiero początek „gulanija".

Oh! tego „gulanija" na życie całe mi starczy!...

Przed samym wieczorem—ostatki przypadają w końcu lutego—dni były już troszkę dłuższe, wszyscy wracają do domu, gdzie raczą się przedewszystkiem „blinami", różnymi przysmakami, zapijają wyborną nalewkę, a po wypoczynku i pokrzepieniu sił, młodzież płci obojej udaje się na „górki lodowe".

Na najwynioślejszym brzegu rzeki, na wysokich słupach wystawiony jest rodzaj werandy, której ściany z dwóch stron otoczone są baryerą. Do samej rzeki ułożony prawie prostopadle z desek pomost, z bokami, także z desek—podobny zupełnie do upustu, który przy młynie prowadzi wodę na koła. Jeden koniec tego pomostu oparty jest o werandę, zaś drugi opuszczony na sam brzeg rzeki. Wysokość pomostu równa się czteropiętrowej kamienicy. Pomost polewa się wodą przez dni parę, która natychmiast zamarza i tworzy się w ten sposób gruba warstwa lodu, jak kryształ przezroczysta. Od brzegu do brzegu rzeki Sysoły—szerokiej jak Wisła pod Warszawą—zgarniają śnieg, aż do lodu przezroczystego i gładkiego. Całą odkopaną długość ubierają rozstawionemi gęsto jodłami i oświetlają różnokolorowemi lampami.

Na drugim brzegu rzeki, w tenże sam sposób zrobiona jest weranda i druga droga na rzece.

Każdy uczestnik zabawy, a przeważnie płeć brzydka, przynosi z sobą maleńkie saneczki, mające $1\frac{1}{2}$ łokcia długości, i łokieć szerokości—sanki podkute są żelaznemi sztabkami, w rodzaju, jakich używa się u nas przy łyżwach.

Na sanki te wsiada mężczyzna, mając nogi wyciągnięte naprzód, bierze jedną z dziewic w ten sposób, że umieszcza ją bokiem na kolanach, ta obejmuje go jedną ręką za szyję — to jest konieczne—gdyż w razie przeciwnym spaść by mogła. Towarzysz zaś przytrzymywać jej nie może, bo ręce mu służą do kierowania sankami.

Na werandzie czyli pomoście, zbierają się pary i po kolei, z błyskawiczną szybkością, staczają się po tej prostopadłej lodowatej ścianie i siłą rozpędu, przebiegają w minutę całą rzekę. Tam pary biorą się pod rękę, wchodzą na drugą werandę po schodach i powracają w ten sam sposób. Jazda ta powtarza się do nieskończoności.

W zabawie, tak proletaryat jak inteligencya udział bierze. Długo nie mogłem się przekonać i dać namówić, aby wziąć udział w tej karkołomnej zabawie, lecz do czego skusić nie mogą kobiety, te nieodrodne córy Ewy?.. Tak mnie zachęcały i namawiały, że w końcu uledz musiałem, tem bardziej, gdy za nauczycielkę ofiarowała się miluchna, a śmiała i energiczna panna Fioktista. Mając tak dobrą nauczycielkę, nic dziwnego, że wkrótce pojąłem jasny jej i gruntowny wykład, i to tak dobrze, że przeszedłem swą mentorkę i sam zacząłem wozić tutejsze piękności.

Wrażenia, jakiego doznaje się, spadając, jak się to mówi „z pieca na łeb“, trudno określić słowami. W chwili, gdy spadasz po prostopadłej prawie powierzchni lodu, powietrze zapiera oddech, wskutek silnego ciśnienia, czujesz narazie, że się dusisz— ale to prędko przechodzi—bo, gdy wydostaniesz się już na rzekę i po gładkiej jej powierzchni suniesz, doznajesz w swoim rodzaju rozkosznego uczucia... i biegłbyś i pędził tak do nieskończoności...

Jest to, bądź co bądź, przyjemna rozrywka, wyborna gimnastyka i oddziaływa dodatnio na zdrowie. Ile tu śmiechu, żartów, dowcipów, a ile przygód?... Tu sanie uderzyły w bok, kierowane niewprawną ręką, lub tak dla rozmaitości, zaryły się w olbrzymią górę z usypanego śniegu, a para, jak z procy wyrzucona w powietrze, robiąc zygzaki nogami i rękami, wpada w śnieg głęboki... Tam inna znów para gramoli się w śniegu, nużając się w nim coraz głębiej. To znów na werandzie sanki raptem się wysunęły i w serdecznych uściskach para, na własnych swoich saniach... zsuwa się po lodzie na dół głową a nogami do góry... Co chwila nowe wrażenia, śmiech homeryczny tłumów, przyglądających się z brzegów rzeki. A ile szeptów... ile czułych spojrzeń... ile uścisków?... Zabawa trwa całą noc...

Lato, krótko trwające, nie wiele daje rozrywki tutejszym mieszkańcom. Jeżdżą w dni świąteczne na łodziach, śpiewają lub zbierają się na placach, gdzie mają ustawione karuzele, huśtawki, a młode dziewczęta z „musukami“ (kochankami) bawią się lub łuszczą zębami „kiedrowyja orieszki“ (orzechy cedrowe).

Każda dziewczyna u Zyryan, uważana za najporządniejszą, musi mieć swego nieodstępnego towarzysza „musuka“, z którym w najściślejszych żyje stosunkach... tak jak mąż z żoną. Obowiązkiem „musuka“ - służyć, czuwać i bawić wybraną swego serca. Zazdrość gra tu wielką rolę i często bywa powodem do śmiertelnych między młodzieżą bójek.

Stosunek to jawny, tolerowany nietylko przez ludzi postronnych, ale i przez rodziców, którzy nawet pozwalają, że po

zabawie córkę przyprowadza do domu „musuk“, i tam nocuje... W kółku rodzinnem ma pewną przewagę i głos stanowczy. „Musuk“ posiada nieograniczoną władzę nad swą ukochaną i w razie sprzeniewierzenia, niemiłosiernie bije, a nawet ojciec dziewczyny mu pomaga. Obowiązkiem jego, od którego niema wypadku, żeby się kto uchylił, jest, gdy są dzieci, pracować na nie. Zwykle stosunek ten kończy się ślubem, ale i w przeciwnym razie, choć ożeni się z inną—nikt tego nie bierze mu za złe.

Zdawałoby się, że na północy ludzie powinni później dojrzewać, dzieje się jednak wprost przeciwnie, bo sam nieraz widziałem i dość często, dziewczynę dwunastoletnią w towarzystwie „musuka“...

Trudno jednak twierdzić, że wypływa to z pobudek demoralizujących—wprost jest to zwyczajem—pozostałym jeszcze z czasów pogańskich. Kobieta wogóle zyryańska w rodzinie pośledniejsze jeszcze, niż w Rosyi zajmuje stanowisko i traktowana jest jak niewolnica.

U Zyryan, a zwłaszcza dalej na północy, gdzie jeszcze nie miała sposobności wcisnąć się specyalna cywilizacya, zachowany jest zwyczaj patryarchalny, a przedewszystkiem poszanowanie cudzej własności.

Między tutejszymi mieszkańcami trudno spotkać złodzieja—a mieszkania zupełnie nie mają zamków. W razie, gdy rodzina opuszcza dom, idąc do lasu lub w pole do roboty, stawia we drzwiach miotłę—jest to znak, że niema nikogo—i wtedy nawet żebrak nie ośmieli się wejść do mieszkania.

Wspomnę tu jeszcze o „zorzy północnej“ — która w tutejszych, podbiegunowych stronach, bardzo często zjawia się na pogodnem niebie i trwa od 10-ej do 3-ej w nocy.

Uczeni w różny sposób tłómaczą, ze wszech miar to wspaniałe i cudne zjawisko, dotąd jednak nic stanowczego nie orzekli. Nie wdaję się zatem i ja w kwestyę naukową, opowiem tylko swoje wrażenie.

Około godziny 9-ej wieczorem, w chwili, mającej się ukazać zorzy północnej, nieboskłon jest czysty, niesplamiony najmniejszą chmurką, noc bezksiężycowa, a gwiazdy pokryte jakby ciemną gazą—w naturze spokój i cisza.

Mieszkańcy wylegli na ulicę—bo wiedzą, że za chwilę ukaże się zjawisko. Wybrałem się i ja. Usłyszałem raz i drugi, powtarzający się silny grzmot, podobny do dalekiego echa strzałów armatnich i mimowoli dziwny dreszcz szarpnął całym mym organizmem, jak gdybym dotknął się stosu galwanicznego. W zi-

mie, przy silnych mrozach i bezchmurnem niebie—grzmot w takiej porze niezwykły, zwłaszcza w nocy—musiał koniecznie sprawić denerwujące wrażenie.

Jak utrzymują uczeni, ten huk powstaje z eksplozyi zapalających się i nagromadzonych w powietrzu gazów.

Wkrótce, po kilkakrotnych grzmotach, z niesłychaną szybkością cały firmament z północy pokrywać się zaczął różowo-żółtawym kolorem, a odblask ten zupełnie podobny był do łuny dalekiego gdzieś pożaru. W kilkanaście minut, z horyzontu wytryskać zaczęły z gwałtowną szybkością promienie, podobne do wyrzucanej wody z tysiąca razem ustawionych wodotrysków, oświetlonych elektrycznością, tworząc rodzaj jasno-sinych słupów, dosięgających środka firmamentu. W kilka znów minut promienie zmieniały kolor i właśnie dopiero teraz rozpoczęła się wspaniała, niedająca się opisać prozą lub wierszem i nieuchwytna pędzlem przez artystę, piękność zorzy północnej...

Słupy, utkane z promieni, przybierać zaczęły kolor tęczy, tak jasne, świetlane, podobne blaskiem do słonecznych, że patrząc, przymrużyć trzeba było oczy, barwa coraz szybciej się zmieniała, wytwarzając kolor ognisty, czerwono-jaskrawy, to znów fiolet, szafir i t. p. Zdawało się, że kapią z nieba i obsypują cię najcudniej błyszczące drogie kamienie...

Teraz promienie przestały wytryskać z horyzontu, a jednocześnie na firmamencie zlewać i mieszać poczęły się z sobą kolory. Mieszanie się kolorów jest tak czemś niezwykłem i tak uroczem, że zapatrzony, oderwać nie możesz oczów od tych cudów natury...

Mieszanie i zlewanie się kolorów trwa przeszło godzinę, w końcu cała połowa firmamentu przybiera jeden kolor czerwono-blady i coraz bardziej blednie i gaśnie.

Zjawisku temu towarzyszy bezwzględna cisza, bo grzmoty, po pierwszem ukazaniu się promieni ustają, cisza jest tak majestatyczna, poważna, taka jakaś inna, nie zwyczajna, że porównać ją chyba można do grobowego spokoju... Odchodzisz smutny, zamyślony.

Północną zorzę przeczuwają na dni parę kobiety, a przedewszystkiem młode panienki, nieurodzone w tamtejszym klimacie. Dostają napadu nerwowego. W wigilię mającej się zjawić zorzy północnej, czują się osłabione, dostają spazmów, tarzają się po ziemi, w końcu dostają mdłości, ogarnia je senność i ogólne osłabienie. Choroba szybko przemija, bo nazajutrz są zdrowe zupeł-

nie. Żadne uspakajające środki lekarskie nie pomogą, a choroba trwa dopóty, póki zorza północna świeci na niebie.

Jednak ani cudne widoki tej zorzy ani towarzystwo, polowania, zabawy, rozerwać mnie nie mogły i uśmierzyć tęsknoty, która zaczęła ujemnie oddziaływać na zdrowie moje.

Tembardziej, że z każdym rokiem było coraz gorzej.

Niemając pieniędzy, zmuszony byłem wyprowadzić się od poczciwej „kołacznicy“ (wypiekającej obwarzanki) i choć byłem jej dłużny za kilka miesięcy, nie chciała mnie puścić—jednak ambicya nie pozwalała przyjąć ofiary.

Z dwoma towarzyszami tak jak ja bogatymi, najęliśmy dwa pokoiki i sami zajęliśmy się kuchnią. Jakie były potrawy? to pewno, że i autorka 365 obiadów, nie umiałaby podobnych wymyślić i przyrządzić.

Rano i wieczór piliśmy herbatę, w połowie z mlekiem, ale ani „w prikuskę“, ani „w prilizku“, ani nawet „w pridumkę“—lecz wprost bez cukru. Maczało się chleb razowy w soli i popijało się tą polewką, nie mającą nic wspólnego z herbatą. Z obiadem załatwiało się lepiej. Kupowaliśmy parę funtów mięsa i gotowaliśmy krupnik, smażyliśmy befsztyki. Najtrudniej było o papierosy. Paliliśmy „machorkę“, a gdy i na nią pieniędzy nie starczyło, kupowaliśmy „krupku“ (łodygi pokrajane z tytoniu), którą już specyalnie palić trzeba było. Robi się tulejkę ze zwyczajnego papieru, załamuje się w ten sposób, że dłuższa część stanowi cybuszek, a krótsza i szersza fajeczkę, w którą nasypywało się tytoń.

Najgorzej, gdy i machorki i krupku zabrakło. Wtedy szukało się pod stołami, za łóżkami, na piecu i za piecem, słowem po wszystkich kątach mieszkania, które mówiąc nawiasem, całemi tygodniami niebyło sprzątane, i tam odnajdywaliśmy resztki niedopalonych papierosów—któremi rozkoszowaliśmy się, wyrywając je z ust jeden drugiemu.

Miałem wprawdzie, jak wspomniałem, wiele bardzo znajomych rodzin Zyryańskich, gdzieby mnie z przyjemnością nakarmiono i napojono, ale duma niepozwalała iść właśnie do nich wtedy, kiedy głód dokuczał.

. . . . . .

W pierwszych dniach grudnia 1869 r. rano o godzinie jedenastej, (a jak wiadomo czytelnikom z mego opowiadania, to w Ustsysolsku w tej porze roku dopiero się rozjaśnia) gdy pierwsze poranne płomyki światła wdzierać się zaczęły do biednego naszego mieszkania, leżałem jeszcze w łóżku, pragnąc jak najdłużej być

pogrążonym w tym pół-śnie, przespać w ten sposób śniadanie i zyskać oszczędność w skromnym naszym budżecie. Leżąc tak i marząc Bóg wie już o czem, patrzę, wpada mój kolega. Wstał rano, bo był dnia tego dyżurnym w kuchni i woła:

— Wstawaj śpiochu—przyjechał Nikitin (isprawnik)—pewno z wizytą do ciebie.

Zerwałem się z łóżka i ledwiem zdążył zarzucić wierzchnie ubranie, w drzwiach stał już poczciwy nasz naczelnik. Szybko zbliżył się do mnie, wziął za obydwie ręce i zaczął serdecznie ściskać i całować w twarz.

Zdziwienie moje było wielkie i na razie, nie mogłem się zoryentować, co znaczy ta niespodziewana serdeczność?... Nie mogłem, jak to mówią, połapać myśli i przyprowadzić ich do porządku, tembardziej przyjść do jakiejkolwiek równowagi. Pan Nikitin, trzymając ciągle mnie za ręce, odezwał się nareszcie.

— „Władisław Iwanowicz — ja pribył k' wam z pozdrawlenijem".

A gdym nie odpowiedział i coraz więcej był zaniepokojony i pomięszany, patrząc na naczelnika pytającym wzrokiem—porwał mnie w ramiona i śmiejąc się, zawołał:

— Jesteś pan wolny, pozwolono ci wrócić do kraju.

Władysław Zapałowski.

# HITTYCI.[1]

*Ex Oriente lux*—ze Wschodu światło. Ogólnie przyjęta maksyma przez europejskich badaczów Wschodu. Wschód jest kolebką cywilizacyi, na to się wszyscy zgadzają. Skoro tak jest, tedy pierwocin kultury ludzkiej przedewszystkiem należy szukać na Wschodzie. Wschód przechowuje najdawniejsze ślady pracy ludzkiej.

Maksyma powyższa w rozmaity sposób była i jest tłómaczona przez uczonych. Jedni ją wykładają w znaczeniu duchowem i nikt im pod tym względem nie może odmówić słuszności. Najstarsze księgi hebrajskie mówią, że „wznijdzie gwiazda z Jakóba“ [2]), w której blasku miały odnaleźć utracone szczęście nie tylko kraje Wschodu, lecz wszystkie narody ziemi—*Kol haggoim.*[3]) I w istocie, to, co przepowiedzieli natchnieni prorocy izraelscy, spełniło się. Św. Jan Ewangelista stwierdza prawdziwość przepowiedni: „Była światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“. [4]) Owa „światłość“ jest jednoznaczną z *Logosem* filozofii hellenistycznej Filona, zarówno

[1]) Źródła:* Odczyt o Hittytach wygłoszony przez W. Wright'a na zebraniu „Towarzystwa Palestyńskiego“ (Palestinian Exploration Fund) w Londynie, 1894 r.—Słownik Biblijny Hastings'a, art. „Hittites“, prof. A. H. Sayce'a.—Claude Regnier Conder, „Heth and Moab“, London, 1892.—Lewis Bayles Paton. „The Early History of Syria and Palestine, London, 1902. — F. Vigouroux, „Les Héthéens de la Bible, leur histoire et leurs monuments w Mélanges bibliques“, 2 wyd. 1889.—Inne źródła cytowane są przy tekście.

[2]) Num. 24, 17.

[3]) Iz. 2, 2.

[4]) Jan 1, 9.

jak i Platona i Stoików. Obszernie wyjaśniają znaczenie Logosu pod chaldejską nazwą *Memra* targumiści biblijni. Logos więc, czyli Memra w czasie „Ciałem się stało i mieszkało między nami“ [1]). Jeżeli więc chodzi o znaczenie duchowe, dla wszystkich, którzy tylko znają imię Chrystusa, słowa „ex Oriente lux“ są najzupełniej zrozumiałe.

Inni wykładają je w sensie naukowym, i w takim właśnie sensie znaczenie ich jest bardzo obszerne.

Jeżeli Wschód był kolebką rodu ludzkiego i kolebką cywilizacyi, to bezwątpienia trzeba tam szukać wszystkich zagadnień, które najwięcej zajmują dzisiaj cały świat uczony. Historycy, filozofowie, antropologowie, zarówno jak i badacze religii, powinni tam znaleźć do swoich badań dokumenty o pierwszorzędnej wartości.

Oddawna rozwinięto usilne starania, w celu sprawdzenia faktu, czy w istocie Wschód był kolebką cywilizacyi ludzkiej? Zanadto bowiem poważna jest kwestya, co do pochodzenia ras i cywilizacyi, aby bez pewnych powątpiewań i zastrzeżeń przez wszystkich mogła być przyjętą. Które mianowicie kraje były tą kolebką cywilizacyi, który z narodów posiadał najstarszą kulturę i t. d.? Wytknięte w tym kierunku prace do bardzo pomyślnych doprowadzają wyników. Ciągle przybywające nowe źródła naukowe potwierdzają prawdziwość najstarszych już przekonań co do pierwszeństwa w cywilizacyjnym pochodzie narodów wschodnich, mieszkających na przestrzeni od wielkich płaszczyzn Iranu aż do źródeł Eufratesu i Tygrysu.

Niegdyś, gdy jeszcze nasza część świata nie była znaną, a na Wschodzie istniały państwa i narody z własną cywilizacyą, były one świadome swego starszeństwa w pokoleniu ludzkiem i kultury, która pomiędzy nimi wzięła swój początek. Nastały jednak czasy dla Wschodu bardzo niepomyślne. Dzieło, na którego powstanie składały się może całe tysiąclecia, miało upaść. Następują walki i straszne kataklizmy, w których znikają państwa. Wędrówki narodów przyspieszają zniszczenie, i tam, gdzie było światło, szerzą się ciemności. Całe wieki, ciemne jak noc burzliwa, straszne jak przepaść bezdenna, płyną nad Wschodem. Rozsypane w gruzy dzieła sztuki zdołała już pokryć gruba warstwa ziemi, zanim oderwane od pnia rodzinnego nowe latorośle narodów, dojrzały w innej części świata. Gdy te ostatnie zwróciły

[1]) Tamże, 1, 4. U św. Jana „Ciało“ znaczy to samo co „człowiek.“

wzrok na swoją dawną ziemię ojczystą, była tam już pustka. Nastąpiło opuszczenie i zawsze idące w ślad za nim—zapomnienie.

Tradycya związana z pochodzeniem któregokolwiek narodu nie łatwo znika w pamięci ludzkiej. Może wprawdzie z biegiem wieków uledz zmianie, przybrać mnóstwo zdarzeń fikcyjnych, zadaniem jednakże badacza opierającego się na dokumentach mających znaczenie naukowe, będzie usunąć to wszystko, co nieprawdziwe, a przedstawić fakty w świetle historyi. W zbiorowej pamięci całych narodów znajduje się mnóstwo danych, świadczących dość wymownie o pochodzeniu i charakterze każdego z osobna narodu.

Gdy w celach naukowych rozpoczęto odwiedzanie Wschodu, na każdym prawie kroku spotykano tam rzeczy nowe i nieznane. Każdy odnaleziony szczegół żywo przypominał starożytność i każdy, choć w małym stopniu, coś mówił. W ostatnich kilkudziesięciu latach pod grubą warstwą ziemi odnaleziono taką moc pamiątek dawnych, że usłyszano ich mowę wielką; można się było dowiedzieć dużo, słuchajmy więc, co mówią te pomniki o starożytnym Wschodzie.

Muszę nadmienić, że celem niniejszej pracy nie jest naukowa ocena najróżnorodniejszych znalezisk, jakich dostarczyły nam w ostatnich latach poszukiwania. Pragnę wypowiedzieć kilka uwag związanych ściśle z jednym narodem, który, według mego zdania, posiada ogromne znaczenie w historyi pochodzenia rasy słowiańskiej.

Następnie jeszcze o tem należy pamiętać, że wyprowadzanie wielu w tej materyi wniosków, bynajmniej nie znaczy, jakoby one przekroczyły dziedzinę przypuszczeń. Przypuszczeniami jednakże gardzić nie można zwłaszcza tam, gdzie nas od omawianego przedmiotu oddzielają całe dziesiątki wieków. Na przypuszczeniach pierwiastkowo opierają się wszyscy, którzy później chcą dojść do pewników naukowych.

## I.

Z pośród wielu pobudek przyczyniających się do wzmożenia ostatniemi czasy eksploracyjnych prac na Wschodzie, była wiadomość o istnieniu narodu, który dawne dokumenty nazywają Hittytami. Co to za naród Hittyci? Opierając się na źródłach, można śmiało twierdzić, że należeli do narodów najstarożytniejszych,

po których tylko przechowały się do naszych czasów pamiątki. W najnowszych pracach należących do naszej literatury, można się już spotykać z tem imieniem. Nazywani są tam po większej części Hetejczykami — nazwa, która przeszła do naszego języka przez autorów greckich. Zatrzymuję nazwę Hittyci, jako zbliżoną do starożytnych dokumentów wzmiankujących o powyższym narodzie.[1]) Papyrusy egipskie, zarówno jak i gliniane cegiełki, na których utrwalali swoje pismo Asyryjczycy, mówią nam o Hittytach. Pomiędzy innemi istnieją bardzo liczne wzmianki, że Hittyci byli rywalami Egiptu i Asyryi. Na jednym z dokumentów pochodzących z biblioteki w Tell-el-Amarna czytamy, że Abimilki, król Tyru, pisał do faraona Amenofisa IV, że Hittyci nie walczą przeciw Tyrowi, t. j. nie biorą udziału w tej walce, która się podówczas rozgrywała.[2]) Inny zaś dokument pochodzący z tejże samej biblioteki nadmienia, jako faraonowie egipscy przeszkadzali sąsiednim władcom, i naodwrót jak ci nie pozwalali faraonom (o ile warunki polityczne tego wymagały), aby nie zawierali przymierza z Hittytami. Istnieje list pewnego króla kraju Alaszija (prawdopodobnie Syrya-Liban) do faraona Amenofisa IV, aby nie zawierał przymierza z Hittytami, ani z królem kraju Szinar. Władca z Alaszija nadmienia, że dary otrzymane od Hittytów w dwójnasób odeśle faraonowi.[3]) Król semicki (?) Abd-Aszirta [4]) pisze do faraona i tłómaczy się dlaczego dał odpowiedź po-

[1]) W Biblii hebrajskiej noszą nazwę „Hitti", w liczbie mn. „Hittim". Grecki przekład LXX ma Χετταῖοι, stąd też do Wulgaty łacińskiej weszła nazwa „Hethaei". Pomniki egipskie przechowały „Hitti", natomiast klinowe napisy asyryjskie, które pod tym względem powinny uchodzić za najpoważniejsze źródła historyczne, „Ha-at-ti", a także „Ha-ti", Hat-ti"; „mat Hatti", znaczy: kraj Hittytów. Nie można zgodzić się z Geseniuszem (Thesaurus, str. 541), który wyprowadza powyższą nazwę od hebrajskiego wyrazu „hat"— bojaźń. Dzisiaj filologowie zgadzają się powszechnie, że wyraz ten nie jest pochodzenia semickiego. Nie jest również rzeczą pewną, czy Homerowe Κήτειοι (Odyssea, X) są ci sami Hittyci, o których wzmiankuje Biblia i napisy egipsko-asyryjskie. Nazwa „Hitti" przechowała się w wielu miejscach na Wschodzie do dnia dzisiejszego, jak np. „Kefr-Hatta" w Palestynie, „Tell-Hatta, niedaleko od Kadesz nad Orontesem." Por. „Dictionnaire Biblique", F. Vigouroux, wyr. „Hétheens".

[2]) Por. B. Evett, „New light on the Bible, and the Holy Land", London, 1892, str. 214.

[3]) Tamże, str. 206.

[4]) Dokumenty z Tell-el-Amarna.

słom króla hittyckiego, a nie dał takowej faraonowi.[1]) Rip-Adda z Byblos przyjmuje pośrednictwo w sprawie Abd Aszirty i tak przemawia: Abd-Aszirta jest niewolnikiem króla Mitani, króla Kaszi i króla Hittytów.[2])

Skoro w stosunkach politycznych tak liczono się z Hittytami, musieli oni być wielkim i wpływowym narodem. Ponieważ o wszystkich wielkich narodach przechowali nam wzmianki starożytni pisarze, przeto należałoby przypuszczać, że i Hittyci nie mogli ujść ich uwagi. Uczeni więc współcześni w nadziei odnalezienia takich wzmianek, zwrócili się do dawnych autorów, zwłaszcza greckich, którzy najwięcej przechowali świadectw starożytności. Świadectwa czerpane z tego źródła miały być ilustracyą, a zarazem udowodnieniem świeżo odnalezionych dokumentów. Dzięki podjętym pracom, odnaleziono wprawdzie kilka śladów stwierdzających istnienie Hittytów, ale ślady owe były tak niepewne i tak nie jasne, że nie można było wyciągnąć stąd żadnych konkretnych wniosków.[3]) Gdyby się przechowały chociaż nieliczne wiadomości o Hittytach u pisarzów greckich, mogłyby mieć duże znaczenie i z pewnością zauważonoby je już w czasach dawniejszych. Na podstawie nap. krótkich wzmianek Sanchoniatona, tudzież Filona z Byblos i Porfyriusza o Fenicyanach, zdołano opracować monografię tego narodu. W podobny sposób, podług skromnej pracy Manetona, pisarza egipskiego z IV wieku przed Chrystusem, a właściwie Euzebiusza z IV wieku po Chrystusie, w którego dziełach przechowały się tylko urywki cytowane z Manetona, starano się odtworzyć historyę starożytnego Egiptu.

Istniała wszakże jedna księga, przystępna dla wszystkich bez wyjątku uczonych, która bardzo często wspomina o Hittytach. Księgą tą jest Biblia — dokument niezmiernie stary. Gdyby się oparto na nim, współczesne odkrycia naukowe dotyczące Hittytów,

[1]) B. Evett, Cyt. w str. 223.

[2]) Tamże, str. 224.

[3]) Autorowie greccy do tego stopnia pozmieniali niektóre imiona własne, że dzisiaj w wielu wypadkach trudno dopatrzeć się podobieństwa pomiędzy imionami przechowanemi w księgach greckich a dokumentami egipsko-asyryjskimi. Dla przykładu przytoczymy tutaj chociaż kilka imion: Σεσωγρις= Zosertiti (faraon z III dynastyi); Κερφερης=Snofra (z III dynastyi); Ἀμερης= Amenemhat III (z XII dyn.); Σχεμιοφρις=Sorkunofria (z XII dyn.) i t. d. Por. J. De Morgan, „Les Premières civilisations“, Paris, 1909. str. 34.

nie zdziwiłyby uczonych. Niestety dokument ten, aż do ostatnich prawie czasów jako źródło historyczne był pomijany milczeniem przez tych, którzy są pionierami naukowych odkryć na Wschodzie. Przez tych uczonych, którzy fragmentaryczną historyę Syryi Kteziasza badali na podstawie dzieł Diodora Sycylijskiego (Siculus), Dion Cassiusa, Polybiusa, Józefa Flawiusza, Herodota i wielu innych.

Biblia, jak wspomniałem wyżej, mówi nam o Hittytach. Z tego źródła dowiadujemy się, że Hittyci zajmowali niektóre posiadłości obok Izraelitów. Kiedy Abraham przybył z Haranu do ziemi Kanaan, t. j. do dzisiejszej Palestyny, mieszkali tam Hittyci. W księdze Genesis (r. 15, 20) pisze Mojżesz, że w ziemi tej, którą Abraham otrzymał w obietnicy od Boga, mieszkali obok innych plemion i Hittyci. Pięćdziesiąt lat później Abraham kupuje od Hittytów grób w Hebronie. Czytamy w tej samej księdze (r. 23,7), że po śmierci Sary „powstał Abraham i pokłonił się ludowi ziemi, to jest synom Hetowym i rzekł do nich: Jeśli się podoba duszy waszej, żebym pogrzebł umarłego mego, słuchajcie mnie, a przyczyńcie się za mną do Efrona, syna Seorowego, aby mi spuścił jaskinię dwoistą, którą ma w ostatniej części pola swego“. Dalej czytamy, że zapłacił za nią czterysta syklów srebra. Dwa szczegóły w powyższych słowach Pisma św. zwracają naszą uwagę. Po pierwsze, że pokłonił się ludowi ziemi tej, to znaczy, że Hittyci byli podówczas panami Palestyny, a po drugie, że zapłacił monetą srebrną, co świadczy o pewnej już kulturze, jeżeli w epoce Abrahama, t. j. na dwa tysiące lat przed Chrystusem, mieli monetę bitą. Idźmy jeszcze dalej. Rodzina patryarchy mieszka obok Hittytów. Czytamy w pierwszej księdze Mojżeszowej (26,34): „Ezaw, mając czterdzieści lat, pojął żony: Judyt, córkę Beery Hetejczyka i Basemat, córkę Elona, z tegoż miejsca“. Daleko później, kiedy Żydzi mieli wyjść z Egiptu do Ziemi Obiecanej, ta ostatnia była jeszcze zajęta przez Hittytów. (Exod 3,8). Gdy Mojżesz na czele swego narodu zbliżył się do granic Ziemi Obiecanej, polecił dwunastu starszym i znanym w narodzie mężom, aby udali się na zwiady i zbadali dobrze ziemię, do której niebawem mają wkroczyć Izraelici. Wysłańcy narodu znaleźli kolonie hittyckie nawet na południowym krańcu Palestyny. W raporcie złożonym Mojżeszowi, stwierdzają, że na górach, wraz z Jebuzejczykami, mieszkają i Hittyci. Jozue, wkraczając ze swoim ludem do Palestyny, musiał staczać walki z Hittytami. W księgach późniejszych, należących do kanonu biblijnego kilkakrotnie jeszcze spotykamy się z tymże samym narodem. Widzimy ofice-

rów hittyckich postępujących na czele wojsk Dawida i Salomona. Kobiety hittyckie były brane do haremów władców wschodnich, posiada je pomiędzy innymi Dawid, zarówno jak i Salomon. Wiele jeszcze innych moglibyśmy przytoczyć szczegółów, te jednak, co zostały podane wyżej, w zupełności wystarczają, aby przekonać się na podstawie świadectw biblijnych, że Hittyci byli narodem odgrywającym dość wybitną rolę na Wschodzie, i że posiadali kulturę starszą aniżeli Izraelici. Następnie jeszcze wzmianka, że Hittyci posiadali Palestynę, jest bardzo ważną, zwłaszcza, gdy się zwróci uwagę, jaką rolę odgrywała Palestyna w stosunku do Egiptu i Asyryi. Dosyć liczne istnieją dzisiaj dowody, że Palestyna była niezmiernie smacznym kąskiem jak dla Egiptu, tak i dla Asyryi i Babilonu. Powyższe państwa nieraz prowadziły o nią wojny. Jeżeli jedno z przytoczonych wyżej państw nie mogło zagarnąć całkowicie pod swoje panowanie Palestyny, tedy ta ostatnia stanowiła pas neutralny. Skoro zaś trzecie jakieś państwo zdołało się tutaj usadowić, świadczy to, że musiało być silnem i w koncercie państw wschodnich, przynajmniej dopóty, dopóki posiadało Palestynę, odgrywało pierwszorzędną rolę. Takim właśnie narodem byli Hittyci, takiem królestwem — państwo hittyckie.

Gdyby te wzmianki, które tylko pobieżnie dopiero co przytoczyłem, znajdowały się w książce jakiegokolwiek historyka świeckiego, już oddawna zajętoby się Hittytami. Posiadając takie źródła, mielibyśmy monografię—słowem historyę Hittytów, a przynajmniej nieznane byłoby zagadnienie, co do istnienia Hittytów i t. d. Uczeni historycy stawialiby ich dzisiaj pomiędzy wielkimi cywilizowanymi narodami. Na wzmianki jednak Biblii nie zwracano wielkiej uwagi. A dla czego? Do ośmnastego prawie wieku na Biblię zapatrywano się wyłącznie tylko jako na księgę religijną. O wyzyskaniu naukowego materyału, jaki posiada Biblia, nie było ani mowy. Studya historyczne, lingwistyczne i t. p. odnośnie do Wschodu, były nieznane, dla tego też wzmianki historyczne zawarte w Biblii nie wzbudzały żywszego zainteresowania. Równocześnie prawie, gdy do Europy przedostały się pierwsze wiadomości o naukowych podbojach w Egipcie i Asyryi, rozwijał się tutaj liberalny krytycyzm biblijny i racyonalizm, który za wszelką cenę starał się odmówić historycznej wartości Biblii. Na wzmianki historyczne znajdujące się w Biblii nie zwracano uwagi. Owszem, skutkiem walki o nadnaturalny charakter Biblii, starano się umiejętnie wyzyskać wszystkie jej „słabe strony“, byleby tylko dowieść, że z Biblią liczyć się nie można. Gdyby kry-

tykom wolnomyślnym udało się odnaleźć w istocie rozmaite niedorzeczności w Księgach św., podówczas łatwiej można byłoby obalić ich charakter religijny. Ponieważ zaś Biblia dosyć często wspomina o Hittytach i wyraźnie mówi, jak to zaznaczyliśmy wyżej o ich potędze, przeto podobne wzmianki miały być według liberalnych krytyków najoczywistszym dowodem braku historycznej powagi Biblii. Wnioski swoje uzasadniali w taki sposób: gdyby w rzeczywistości Hittyci odgrywali wybitną rolę wśród wielkich monarchii starożytnego świata, tedy trudno przypuścić, aby o takim narodzie nic nie napisali historycy greccy. Wszak oni znali Asyryę, Egipt, Medyę, Babilonię, Persyę, czyżby nic nie słyszeli o Hittytach? Trudno przypuścić! Ponieważ Biblia wspomina o narodach nieznanych historykom świeckim tej miary co Herodot, przeto nie ulega wątpliwości, że fakty jakie ona podaje należy zaliczyć do bajek i legendarnych podań na wzór religijnych książek przechowywanych wśród rozmaitych narodów pogańskich.

Przedsięwzięto naukowe podróże do krajów biblijnych. Główną pobudką tych wypraw była chęć zdobycia konkretnych dowodów stwierdzających prawdziwość przypuszczeń uwłaczających powadze Biblii. Uczeni europejscy zabrali się do pracy mozolnej. Poruszyli piramidy w Egipcie, przekopali ruiny, przerzucili cegły, z nadzieją, że wynajdą kontradykcyę w Księgach Św., wykażą brak wiarogodności i t. d. Spotkał ich jednakże ogromny zawód. Prace nieprzyjaciół Biblii oddały jej wielką przysługę. Rozkopane gruzy i otwarte grobowce przyniosły prawdziwe niespodzianki. Miasto obalić powagę Biblii, zdobyty materyał wykazał przecudną harmonię pomiędzy Egiptem, Asyryą a księgami pisarzów hebrajskich. Zawdzięczając dzisiejszym zdobyczom naukowym, możemy na nich, zarówno jak i na Biblii, oprzeć nasze wnioski.

Pozwoliłem sobie w kilku słowach na krytykę uczonych wolnomyślnych, ponieważ potrzebną jest ona dla dokładniejszego zrozumienia omawianej tutaj sprawy.

Pismo św. wyprowadza Hittytów od Hetha (Gen. 15, 20). W dziewiątym rozdziale księgi Genesis zaliczeni są do rasy Jafeta. Tablica etnograficzna zawarta w tym rozdziale, w świetle dzisiejszych odkryć posiada ogromną wartość naukową. Przytoczona wyżej cytata z Pisma św. wskazuje na samodzielność polityczną Hittytów już w trzecim tysiącleciu przed Chrystusem. Wiadomość tę potwierdzają znaleziska na Wschodzie. Oto około 2000 r. przed Chrystusem w napisach babilońskich północna Syrya nosi nazwę „mat Hatte“, co wskazuje, że była w ich posiadaniu.

Zanim przystąpimy do klasyfikacyi źródeł asyryjskich, babilońskich, tudzież biblijnych w stosunku do Hittytów, zwróćmy uwagę na liczbę i wartość naukową dokumentów, odnalezionych niedawnymi czasy, a odnoszących się do tego narodu.

Wszystkie dokumenty hittyckie oryentaliści dzielą na dwie kategorye: na dokumenty „in situ“, to jest te, co zostały wydobyte na terytoryach zajmowanych przez Hittytów, czyli w ich ojczyźnie i dokumenty „in dispersione“, czyli poza granicami krajów hittyckich.

1. Dokumenty „in situ“ w katalogach naukowych posiadają 25 numerów [1]) (1) Pięć napisów odnalezionych w Hamath, dzisiejsze Hama w Syryi; zostały ogłoszone przez Rylands'a w „Transactions of the Society of biblical Archaeology“, t. VII, str. 432 i p. Wright'a: „The empire of the Hittites“, 2 wyd. 1886. (2) Jeden napis odnaleziony w Aleppo w Syryi, a ogłoszony przez Wright'a (tamże). (3) Napis z 'Amk, niedaleko dzisiejszego Gindarus, przechowywany w muzeum berlińskiem. (4) Napis odnaleziony pod Iskenderun (Aleksandretta), ogłosił go Menant w „Comptes rendus de l'Académie des Inscriptions et Belles-Lettres“, 1890, str. 241 — 243. (5) Wielka liczba napisów odnalezionych w Dżerabis nad Eufratesem; główniejsze z nich zostały ogłoszone w „Transactions of the Society of biblical Archaeology“ (cyt. wyż.) i p. Wright'a (cyt. wyż). (6) Napisy z Mar'asz, starożytnego Commagene, odcyfrowane i w części ogłoszone przez Humanna i Puchsteina w „Reisen in Kleinasien“, Atlas pl. XLVIII, tudzież przez Rylandsa w „Proceedings of the Society of biblical Archaeology“, 1887, (7) Napis odnaleziony w Samsat nad Eufratosem, ogłoszony przez Humanna i Puchsteina (cyt. wyż.). (8) Napis z Izgin, w kierunku północno-zachodnim od Alhistanu, ogłoszony przez Ramsay i Hogarth'a w „Recueil de travaux“, t. XV. (9) Napis odnaleziony w Palanga, ogłoszony przez Ramsay i Hogarth'a (tamże). (10) Dwa napisy pochodzące z Ordosu, ogłoszone przez Hogarth'a (tąmże). (11) Dwa napisy z Gürün, ogłoszone

[1]) Niniejszy spis biorę ze Słownika bibl. Vigouroux, nie jest on jednakże kompletny. Trzeci tom Słownika, w którym znajdują się owe dokumenty (str. 678 i 679) został wydany w 1911 r. Od tego zaś czasu zdołano odnaleźć bardzo dużo dokumentów w Boghaz-Keui w Kapodocyi, pod kierownictwem uczonego berlińskiego prof. H. Winckler'a. Nie wszystkie jeszcze dokumenty odnalezione przez Winckler'a zostały skatalogowane i naukowo opracowane.

przez Ramsay i Hogarth'a (tamże). (12) Symbole hieroglificzne z Euguk, nieogłoszone drukiem. (13) Napisy odnalezione przed r. 1900 w Boghaz-Keui, na południe od rzeki Halys; zostały ogłoszone przez Perrot'a w „Exploration archeologique de la Galátie". (14) Napis z Doghanlydersi, ogłoszony przez Ramsay w „Journal of the hellenic studies" t. III. (15) Napis odnaleziony w Beg-Keui, ogłoszony przez Ramsay'a w „Mittheilungen des archeolog. Institutes", 1889. (16) Napisy odnalezione w Niobe, częściowo zostały ogłoszone w „Proceedings of te Society of biblical Archaeology", t. III, i przez Sayce, w „Transactions of the Society of biblical Archaeology", t. VII. (17) Napis odnaleziony w Warabel (?), na południe od Ninfi, ogłoszony przez Sayce w „Transaction of the Society of biblical Archaeology", t. VII. (18) Napis odnaleziony w Kölitolu, ogłoszony przez Ramsay'a w „Recueil des travaux", t. XIV. (19) Napis z Konnideli (Neapolis w Isaurii), ogłoszony przez Longlois w „Voyage dans la Cilicie" i przez Perrot'a, w „Histoire de l'art", t. IV. (20) Trzy napisy z Ivriz, na górze Taurus, ogłoszone przez Davis'a w „Transactions of the Society of biblical Archaeology", t. IV. (21) Napis z Bulg(h)armaden, ogłoszony przez Ramsay'a i Hogarth'a (tamże). (22) Napis z Bor, ogłoszony przez Ramsay'a i Hogarth'a (tamże). (23) Napis z Udarol (Oudarol) ogłoszony tamże. (24) Trzy napisy z Fraktin, ogłoszone tamże. (25) Napis grobowy z Agrak na Taurus, ogłoszony w „Revue armenienne de Vienne", pod t. „Hantés", 1894, str. 316 i 1896, str. 162.

2. Napisy „in dispersione" posiadają 15 numerów. (1) Napis odnaleziony na ruinach Babilonu i ogłoszony przez Rylands'a w „Proceedings of the Society of biblical Archaeology", maj. 1885. (2) Napis na pieczęci odnalezionej w Niniwie przez Layarda, a ogłoszony przez Rylands'a w „Transactions of the Society of biblical Archaeology", t. VII. (3) Napis dwujęzyczny w Tar-bibi, ogłoszony w „Transactions of the Society of biblical Archaeology", t. VII, str. 298. (4) Napis na pieczęci, ogłoszony przez Rylands'a w „Transactions", t. VIII, str. 422. (5) Napis na pieczęci, pochodzącej z Bor, ogłoszony przez Ramsay'a i Hogarth'a w „Recueil des travaux", t. XIV, str. 88. (6) Napis przechowywany w bibliotece narodowej w Paryżu, ogłoszony przez Perrot'a, w „Histoire de l'art", t. IV, str. 763. (7) Pieczątka nabyta w Smyrnie, ogłoszona przez Sayce w „Archaeological Journal", 1890, str. 215. (8) Napisy na pieczęci odnalezionej w Cylicyi, wzmiankowane przez Sayce w „Recueil des travaux", t. XV, str. 1. (9) Napisy na dwóch pieczęciach kupionych w Aintab, w północnej Syryi,

ogłoszone przez Hogarth'a w „Recueil des travaux", t. XVII, str. 26. (10) Dwa napisy na pieczęci należącej do dragomana ambasady niemieckiej w Konstantynopolu, hr. Mülinenna; przed r. 1901 nie były ogłoszone. (11) Napis na płaskorzeźbie odnalezionej w Azyi Mniejszej, ogłoszony przez Menant'a w „Comptes rendus de l'Academie des Inscriptions et Belles-Lettres", wrzesień, 1892, str. 330. (12) Napis na szabli odnalezionej w Tasznah w Lykaonii, ogłoszony przez Perrot'a, w „Hist. de l'art", t. IV, str. 767. (13) Napis na pieczęci cylindrycznej, ogłoszony przez Layarda, „Culte de Mithra", str. XXIII. (14) Napis na pieczęci, ogłoszony przez Perrot'a (cyt. w.), t. IV, str. 804. (15) Trzy figury bronzowe odnalezione w Toprak-Kaley, na południe od Van, opisane przez Sayce w „Journal of the asiatic Society", 1893, str. 31. Co się tyczy napisów wątpliwych, por. Jensen, „Hittiter und Armenien", (Strassburg, 1898).[1])

Ścisłe określenie granic ziemi, na której mieszkali Hittyci, nie jest dzisiaj rzeczą łatwą. W ciągu długiej swojej egzystencyi, mówi Ermoni („Dictionnaire Biblique", Vigouroux, wyr. „Hethéens"), Hittyci prowadzili życie koczownicze, wskutek tego granice geograficzne bezustanku ulegają zmianie. Pewne dane, jakie otrzymujemy ze starych napisów, zdaje się, dość dokładnie określają naturalne granice ich państwa. Co się tyczy granic politycznych, rzecz jest niezmiernie trudna skutkiem tego, że Hittyci, jako naród zaborczy, często przesuwał granice swoich wpływów.

Księga Jozuego (1: 4) mówi o posiadłościach hittyckich: „Od puszczy i od Libanu aż do rzeki wielkiej Eufratesu, wszystka ziemia Hetejczyków, aż do morza wielkiego na zachód słońca". Wzmianka ta stoi w ogromnej ścisłości z najstarszymi asyryjskimi napisami, w których jest mowa o Hittytach. W muzeum brytyjskiem znajduje się obecnie wielka kolekcya terakotowych cegiełek wypełnionych po obydwu stronach pismem klinowem, i wzmiankowanych powszechnie pod nazwą: cegiełki astrologiczne. Były one wszystkie wykonane dla biblioteki Sargona z Agady, pochodzą zaś z roku około 1900 przed Chrystusem. Prof. Sayce odnalazł na

[1]) Co się tyczy dalszej literatury uwzględniającej Hittytów, por. Mc. Curdy, „History, Prophecy and the Monuments", London, t. I, 1894; Peiser, „Die hetitischen Inschriften, ein Versuch ihrer Entzifferung", Berlin, 1892; D. G. Hogarth, „Recent Hittite Research", odczyt na zgromadzeniu British Association w Londynie, 1909; wydruk. w „Journal of the Royal Anthropological Institute, t. XXXIX, str. 408—415; „Interpreter", paźdz. 1910 r., str. 103

nich wzmianki o Hittytach. Czytamy tam, że Hittyci byli rywalami Babilończyków od strony północno-zachodniej. Pomiędzy innemi czytamy: „Hittyci, obok Karszemisz nad Eufratesem, silnie stoją“ [1]). Za czasów Samsuditana, ostatniego króla pierwszej dynastyi w Asyryi, „naród z kraju Khatta“ (Hittyci w północnej Syryi) szedł na dół Eufratesu i zajął północną Babilonię, Samsuditana jednakże wypędził Hittytów. Powyższa wzmianka najzupełniej zgadza się z Pismem św. Napisy wymieniają dwa główne miasta hittyckie. Kadesz, zbudowane nad rzeką Orontes i Karszemisz nad Eufratem. Miejsce, na którem zbudowane było to pierwsze miasto, nie jest jeszcze dokładnie ustalone. Jeden z napisów pochodzący z czasów panowania Tutmesa III, faraona egipskiego, z XVI wieku przed Chrystusem, wspomina o Hittytach, jako mieszkańcach ziemi znajdującej się pomiędzy rzekami Tygrem a Eufratem. Wzmianki dotyczące granic państwa hittyckiego, jakkolwiek nie są zbyt liczne, pozwalają jednak narysować dzisiaj mapę przynajmniej stałych posiadłości tego narodu. Hittyci więc mieszkali w północnej Syryi; na południe granicą ich państwa była Naharaina i kraj Amurra (niektórzy utożsamiają ze Samarya) i Zahi; na wschód Mitani i Szubarti; na północy Hanigalbat, Kummuh i Tabal; na zachód góry Taurus. Granice nakreślone powyżej są daleko szczuplejsze od tych, jakie wzmiankowane są przez Pismo święte. Najnowsze odkrycia poczynione w Azyi Mniejszej dorzucają jeszcze kilka szczegółów do granic politycznych państwa hittyckiego. Morgan [2]) na podstawie tych dokumentów nakreślił mapę posiadłości hittyckich obejmujących całą Azyę Mniejszą, a mianowicie rozpoczynając od Dardaneli na zachodzie aż pod jezioro Van na wschodzie; następnie od morza Czarnego na północy aż do morza Śródziemnego na południu.[3]) Granicą południową w Syryi, najprawdopodobniej była rzeka Eleuterus, czyli dzisiejsza Nahr-el-Kelb. Pomniki hittyckie, mówi Morgan,[4]) pozwalają nam na takie rozszerzenie granic. Najdaw-

[1]) Por. Pierwsza Księga Mojżeszowa, 15, 18.

[2]) „Cyt. wyż.“ str. 283.

[3]) To samo potwierdzają świeże odkrycia w Azyi zachodniej. Por. „Travels and Studies in the Nearer East“, (Ithaca, 1911) — opracowane przez A. T. Olmstead'a, B. B. Charles'a i J. E. Wrench'a.

[4]) Les monuments hétéens, rencontrés dans toute l'Asie Mineure, prouvent par leur présence la grande étendue du cet empire. Cependant, quel-

niejszą ich siedzibą z pewnością była północna Syrya, kraje zaś leżące na zachód od gór Taurus, zarówno jak i te, które znajdowały się na południe poza Libanem, były przez nich zawojowane.

W napisach starożytnych na których spotykamy obok Hittytów rozmaite ludy, jak: „Gangum, Patin, Milid, Tabal, Kummuh, Kaska, jest wzmiankowana także „Cylicya". Były to bezwątpienia ludy i plemiona hołdownicze, zdobyte podbojem przez Hittytów. Pod względem strategicznym, zarówno jak i handlowym, Hittyci zajmowali bardzo wygodne pozycye. Handlowe karawany z Babilonii do prowincyi Azyi Mniejszej i aż nad Bosfor musiały przechodzić przez ich ziemie. Tędy prowadziły główne drogi, któremi dawna kultura Wschodu przedostawała się do Europy. Wielkie wędrówki narodów z Indyi i z Iranu również tymi samymi traktami ciągnęły na Zachód.

„Na trzy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa, pisze Adam Szelągowski,[1]) powstały w Syryi, Armenii i Azyi Mniejszej pomniki, które nazywano chetyckimi... Był to lud, który mieszkał na zachód od Asyryi i Babilonu aż po dzisiejszą Smirnę i morze Egejskie".

Według Sayce'a miały istnieć cztery państwa hittyckie: jedno na wschód i na południe od Tauru, drugie w Kas w Azyi Mniejszej, trzecie Mittanów w Mezopotamii i czwarte Naharaim nad Orontem. Z czasem miały się one połączyć w jedno państwo z główną stolicą Kadesz nad Orontem, które stanowiło wyśmienitą pozycyę handlowo-geograficzną. „Był to żywioł ładu i porządku na pustyni. Oni eskortowali karawany i oni prowadzili wymianę w Azyi przedniej. Do nich też należały główne węzły handlowe na Wschodzie, jak Cezarea (Boghaz Keui), skąd drogi rozgałęziają się na wszystkie strony. Karszemisz na przejściu z Azyi Mniejszej do Eufratu, wreszcie Kadesz, połączenie Azyi Mniejszej i Babilonu z południem—Palestyną i Egiptem".[2]) Od-

---

ques-ans semblent dus non pas aux Hétéens eux-mêmes, mais à leur influence, tels ceux d'Iberez, sur lesquels le dieu et son adorateur présentent un type sémitique bien différent de celui des bas-reliefs de Karabel, du mont Sipyle, d'Hamath, de Karkemich, etc., qui sont dus aux Hétéens eux-mêmes". *Tamże.*

[1]) „Wschód i zachód", zagadnienia z dziejów cywilizacyi. Lwów, 1912. str. 69, 70.

[2]) A. Szelągowski, Tamże. Połączenie się czterech państw hittyckich w jedno, o czem Sayce wspomina, w świetle dzisiejszych odkryć nie da się uzasadnić. Najdawniejsze dokumenty wspominają nam o Hittytach, jako o jed-

krycia naukowe dokonane przez ekspedycyę niemiecką w Boghaz-Keui otwierają nowe pole dla historyi Hittytów, a właściwie rozpoczynają ich historyę.

Podług tych źródeł stałe siedziby Hittytów należy przesunąć jeszcze dalej na zachód od Karszemiszu. Obejmowały one całą Kapadocyę i prawdopodobnie sięgały jeszcze aż do środkowych prowincyi Azyi Mniejszej. Tutaj bezwątpienia musiała istnieć najstarsza ich siedziba od czasów wielkich wędrówek narodów.[1])

Najwygodniejsze warunki dla ekspansyi Hittytów, stanowiły ziemie leżące na południe od ich kraju. Leżała tam Palestyna, która zajmowała środkowe miejsce pomiędzy Syryą, zamieszkiwaną przez Hittytów a Egiptem, z którym ci ostatni prowadzili wojny. Nie ulega wątpliwości, że skoro rozciągnęli swoje wpływy nad Palestyną, starali się zakładać kolonie, aby w ten sposób stworzyć placówki mocne przeciw Egiptowi. Słusznie więc Hebreowie za czasów Abrahama mogli ich nazywać „panami tej ziemi“. Napisy z Tell-el-Amarna mówią, że pomiędzy rokiem 1500 — 1400 przed Chrystusem Kanaan znajdował się w opłakanych stosunkach. Książęta kananejscy (lud zamieszkujący od dawnych czasów Palestynę), skutkiem niedbalstwa Egiptu, zawierali przymierze z Hittytami i walczyli przeciw Egiptowi.[2])

Źródła naukowe odnoszące się do stosunków zewnętrznych tego narodu, możemy podzielić na dwie kategorye, a mianowicie na te, które mówią o stosunkach z Egiptem i z Asyryą. Z temi dwoma państwami najwięcej mieli porachunków.

## II.

Gdy zwrócimy uwagę na napisy egipskie, ujrzymy tam Hittytów już w odległej przeszłości. Za 12 już dynastyi, jak mówi słynny egiptolog, Brugsh, Hittyci byli posiadaczami pobrzeża Egiptu. Stolicą dynastyi Hyksosów, znanych w historyi Egiptu, było miasto Zoan, czyli Tanais. Według twierdzenia Mariette'go jedna z dynastyi Hyksosów była hittycka. W Biblii czyta-

nym narodzie pod względem politycznym. Źródeł naukowych, sięgających czasów, kiedy Hittyci, jako plemiona koczownicze przybyli do północnej Syryi, nie posiadamy.

[1]) Por. J. Morgan, cyt. w., str. 281.

[2]) Evett, cyt. w., str. 228.

my, że miasto Hebron w południowej Palestynie, było zbudowane o 7 lat wcześniej, aniżeli Zoan. (Liczb. 13, 23). Hebron zaś istniał już na dwa tysiące lat przed Chrystusem, bo Abraham, którego chronologia jest pewną, mieszkał w tem mieście. Okazuje się stąd jak starym musiał być naród hittycki i jak dawno rościł pretensye do Egiptu. Pierwsze jego występy w kierunku Egiptu nikną w zamierzchłej przeszłości.[1])

W połowie 17 wieku przed Chrystusam Tutmes I, faraon egipski, postanowił prowadzić walkę z azyatami, którzy wkraczali do jego państwa. Gdy tylko wstąpił na tron pierwsze wyprawy wojenne skierował przeciw Hittytom. Dał on początek długiej wojnie, która z przerwami trwała aż 500 lat, a najgorętszy jej okres wypada pomiędzy rokiem 1330—1260. Barometr polityczny w Egipcie nie mógł się ustalić dotąd, dopóki nie została ostatecznie złamana potęga Hittytów. Energiczne walki z Hittytami rozpoczął Tutmes III, nazywany Aleksandrem Macedońskim w historyi Egiptu. Wstąpił on na tron r. 1503 i panował aż do 1449, albo też według innych źródeł miał wstąpić na tron 1600 r. Według chronologii biblijnej Ushera było to w 6 lat po przybyciu Jakóba do Egiptu, a 35 lat przed śmiercią Józefa. Dość liczne pomniki przechowane do tego czasu świadczą o mądrych rządach Tutmesa III. Kilkakrotnie w czasie swego panowania podejmował wyprawy wojenne do Syryi. Docierał aż do Kadesz i Karszemisz, nie mógł jednak złamać potęgi swego nieprzyjaciela. Hittyci musieli zajmować wybitne stanowisko polityczne, skoro napisy przechowane z czasów panowania tego faraona, nazywają ich wielkimi.

Egiptolodzy przedstawiają opis trzeciej wojny tego faraona zestawiony z napisów, jakie przechowały się do dnia dzisiejszego w Karnaku.

Oto król Hittytów z Kadesz. zebrawszy wszystkich królów wraz z ich narodami od wody Egiptu (morza Śródziemnego) aż do Mezopotamii, stanął na ich czele i jako punkt strategiczny obrał Megiddo w Palestynie. Tutmes III, sprzymierzony z książętami egipskimi, wystąpił przeciw niemu. W Ihem była narada wojenna i tutaj dopiero Tutmes się dowiedział, że król z Kadesz miał przy swoim boku wszystkich królów od Egiptu aż do Mezopotamii. Znajdowali się również w tej wyprawie, jako sprzymierzeń-

[1]) E. de Rougé, Mélanges d'archeologie egyptienne et assyrienne, t. II, str. 270—271.

cy Hittytów, Fenicyanie i Cypryjczycy. Dalej wspominają napisy, że gdy rozpoczęła się wojna, niebawem skrzydła armii hittyckiej zostały złamane, a Egipcyanie rzucili się na łupy. Hittyci tymczasem zamknęli się w fortecy. Rozpoczęło się oblężenie. Zwycięskie wojska Tutmesa nie odstępowały od murów miasta. Musiała to być bardzo silna podówczas forteca, napisy bowiem mówią, że Megiddo było z tysiąca miast najsilniejsze.[1]) Ze wzmianki w źródłach egipskich, że król przebaczył wszystkim książętom jest rzeczą widoczną, że Megiddo zostało wzięte.

Kiedy po zdobyciu fortecy główne siły hittyckie zostały pokonane, Egipcyanie szybko posuwali się na północ. Wynikiem tej wyprawy było nawet zajęcie stolicy Kadesz. Ogromne bogactwa dostały się Egipcyanom. Dowiadujemy się z opisów, że rozmaite piękne przedmioty wykonane z drogich kruszców, były roboty fenickiej. Pomiędzy łupami znajdowały się 924 wozy wojenne; wóz króla pokryty był złotem. Jakkolwiek napisy wspominają o zdobyciu Kadesz, najprawdopodobniej miasto zostało ocalone, złożyło tylko bogaty okup nieprzyjacielowi. Czytamy bowiem dalej, że faraon prowadził czwartą wojnę przeciw Karszemisz, a piątą przeciw Kadesz. W siedem lat po bitwie pod Megiddo Tutmes wypędził Hittytów na północ. W szóstej bitwie było zburzone Kadesz, a w siódmej, 33 roku rządów Tutmesa, Hittyci zostali całkowicie pokonani, a zwycięzca powrócił do Egiptu.

Po śmierci Tutmesa Hittyci powstali przeciw Egiptowi. Rozpoczął się znowu cały szereg walk, które z zaciętością wrodzoną ludom wschodnim, prowadzono aż przez lat pięćdziesiąt. Po 50 letniej wojnie zawarto pokój pomiędzy Ramzesem I a Saphel, królem hittyckim. Później przez pewien czas nie znajdujemy Hittytów w historyi Egiptu. Upokorzeni prawdopodobnie przez Tut-

[1]) W roku 1908, w kwietniu, zwiedziłem tę miejscowość. Starożytne Megiddo to ubogie dzisiejsze miasteczko arabskie el Leddżdżun, albo Tell-el-Mutesselian. Nazywane także Khan Mudżedda. Jeżeli się zwróci uwagę na dwie wielkie potęgi w starożytności: na Egipt i Asyryę oraz na Palestynę, jako na kraj znajdujący się pomiędzy niemi, przez który musiały przeciągać armie, tedy zrozumiemy, że dzisiejszy khan Mudżedda musiał być w starożytności bardzo silnie ufortyfikowany. Położony bowiem w dolinie Ezdrelon, przez którą przeciągały wojska egipskie do Asyryi, lub asyryjskie do Egiptu, mógł zagrodzić drogę pochodowi wojennemu i równocześnie zamknąć armię na niewielkiej płaszczyźnie otoczonej górami, z której ucieczka musiała być niezmiernie utrudniona.

mesa, nie śmieli się zmierzyć z orężem egipskim. Za panowania faraona Seti I znowu Hittyci roszczą pretensye do Egiptu.[1])

Seti I wstąpił na tron 1388 r. Czytamy w napisach, że prowadził wojnę z Hittytami, zwyciężył Syryjczyków, Fenicyan, Beduinów i napadł na Kadesz. To miasto, pomimo klęsk, jakich doznało z rąk faraonów, znowu wzrosło w potęgę i stało się główną atrakcyą ze strony możnego nieprzyjaciela. Wojsko egipskie już z większą łatwością dostaje się obecnie do Kadesz, jakkolwiek to ostatnie znajdowało się w głębi kraju i od strony Egiptu odgrodzone było wysokiemi górami. Pochód został uskuteczniony, nie stawiano przeszkód, co znów świadczy, że Hittyci podówczas musieli chylić się ku upadkowi. Kadesz prawdopodobnie nie zostało podówczas zdobyte, bo oto w niedługim czasie po wyprawach Setiego widzimy Hittytów wzmocnionych na siłach. Zdaje się, że w głównej mierze przyczyniła się do tego zdolność władców hittyckich, którzy potrafili wciągnąć do przymierza rozmaitych książąt i niepodległe plemiona, aby skuteczniej stawić opór Egipcyanom. Po kilku zadanych klęskach nie mogli liczyć na własne siły, należało użyć całego rozumu politycznego, aby przez przymierze odzyskać utraconą powagę. Zjednywanie przyjaciół napotykało z początku na pewien opór. Za panowania Amenothepa III, pragnęli wywalczyć dla siebie wpływy w Mitani, jednakże zostali odrzuceni przez Duszratta. Za panowania XIX dynastyi w Egipcie, jeden z książąt hittyckich, Sapalula, zdolniejszy, aniżeli jego poprzednicy, zdołał uczynić to, czego tamci nie mogli. Od tego czasu widzimy ich panami terytoryów od morza Śródziemnego i gór libańskich aż do Eufratu. Naharaina całkowicie im się poddała. Zahi, Alasia, Amurra oderwały się od wpływów egipskich i przeszły pod opiekę Sapalulu. Karszemisz, Tunipa, Nii, Emath, figurują na liście miast podległych temu księciu. Faraon Harmhabi nie czuł się na siłach wypowiedzenia wojny Sapalulu, owszem ustąpił mu nawet wiele z tego, co zdobył Tutmes III. Tego, czego się bali uczynić bezpośredni następcy Setiego, miał dopiero dokonać jeden z najpotężniejszych faraonów egipskich, Ramzes II, zwany Ciemiężycielem.[2]) Potężny ten wład-

[1]) Cegiełki z Tell-el-Amarna mówią o częstych napadach Hittytów na Egipt. Por. Winckler-Abel, „Der Thontafelfund von El-Amarna“ i Bezold-Budge, „Tell-el-Amarna tablets“.

[2]) Egiptologowie powszechnie przypisują temu faraonowi uciemiężanie Izraelitów.

ca, ale niesprawiedliwy dla narodów obcych podległych jego panowaniu, postanowił ostatecznie obezwładnić Hittytów. Posiadamy dość dokładny opis oblężenia Kadeszu.

W piątym roku swego panowania (około 1318 przed Chrystusem) przedsięwziął wyprawę wojenną przeciw odwiecznemu nieprzyjacielowi. Drogę obrano podówczas przez Joppę, dzisiejszą Jaffę i następnie brzegiem morza Śródziemnego w kierunku północnym przez Tyr, Sydon, Bejrut, miasta, które istnieją do tego czasu. Od Bejrutu, posuwając się jeszcze dalej na północ armia zbliżyła się do rzeki Eleuterus (Nahr-el-Kelb — rzeka Psia) i jej łożyskiem skierował pochód wprost do Kadesz.[1]) Przy ujściu rzeki Nahr-el-Kelb na wystającej wielkiej skale znajduje się wykuta tablica, dzisiaj już z napisem nieczytelnym, która bezwątpienia należy do tego czasu. Na niej to pyszny władca kazał wyryć swoje nazwisko i liczbę wojska, tudzież datę przeprawy, to samo bowiem czynili późniejsi doradcy, których nazwiska do tego czasu się przechowały.

Barwny opis tej wyprawy wojennej zawdzięczamy Pentaurowi, poecie Tebańskiemu (Teby), który jako sekretarz towarzyszył Ramzesowi.[2]) Opis powyższej bitwy nietylko znajduje się na płytach kamiennych w świątyniach Abydos, w Ramasseum, w Luksorze, w Karnaku, w Ibsambulu w Nubii, lecz nawet na papyrusie przechowywanym dzisiaj w British Museum. Pentaur mówi, że zebrały się ludy od Mezopotamii aż do morza. Od Mezopotamii aż do Myzyi. Dardanowie z Troi, Myzyjczycy i Lizyjczycy. Wszystkie narody, ze wszystkich prowincyi Azyi Mniejszej zebrały się na plac boju. Ogromne tłumy wojska, jak szarańcza na Wschodzie, oczekiwały nadejścia Egipcyan. Nieustraszony Ramzes nie bał się, bo nie uznawał niebezpieczeństwa, ale śmiało postępował naprzód. Gdy się przybliżył do Kadesz, niespodzianie został otoczony przez wojska nieprzyjacielskie.

„Zaczyna się historya zwycięstw króla Egiptu Wyższego i Niższego, syna słońca, Amen-mori, Ramzesa nieśmiertelnego, który zwyciężył ludy Kheta, Naharain, Aruna, Pidas, Dardeni,

---

[1]) Nahr-el-Kelb w czasie lata do połowy wysycha, kamieniste dno rzeki zupełnie nadaje się do przeprawy.

[2]) Utwór powyższy, przedstawiający wyprawę Ramzesa, został nazwany „Poematem Pentaura“. Współcześni egiptologowie nie zgadzają się pomiędzy sobą co do osobistości Pentaura.

Katsuatan, Karkemisz, Kati, Anuaka, Iriana, oraz ludy Akarit, Muszenes...

Młody król wyciąga ramię, nikt mu nie przywtórzy; ramiona jego potężne, serce niezłomne. Męstwo jego jako Mentu [1]) w bitwie.

(Wyruszył) do krajów nieznanych...
Rozpoczyna bitwę—jest jako mur mocny...

Kiedy stąpa, wszyscy przed nim uchodzą. Serce jego — w chwili gdy ma (wroga) uderzyć — jest jako byk, co zamierza wpaść na stado gęsi...". [2])

Pentaur, przedstawiwszy wspaniały obraz armii, nic nie mówi o wynikach wojny. Łatwo się domyśleć dlaczego milczy. Należy przypuszczać, że Ramzes przegrał bitwę, albo przynajmniej wojna nie została rozegraną, nastąpił tylko rozejm: króla bowiem hittyckiego przed wojną nazywa „nędznym królem", po wojnie zaś „wielkim królem". [3]) W szesnaście lat później nastaje nowa walka i kończy się pokonaniem—Hittytów przez Egipcyan. [4]) Rezultatem tej bitwy było zawarcie pokoju, 21 roku panowania Ramzesa, 21, miesiąca Tybi. Umowa zawierała dwa główne punkty: zupełna równość pomiędzy obydwoma panującymi co do wpływów na Wschodzie i przymierze zaczepno-odporne, zarówno jak wydanie przestępców i zbiegów. [5]) Hetta-Sar (król Hittyti), według innej pisowni Kheta-Sira przybywa do Egiptu z najpiękniejszą księżniczką Ur-na-Nufirura i faraon poślubia ją w 34 roku swego panowania. Jeden z napisów w Ibsambulu mówi nam o wiel-

[1]) Menta—bóg wojny i zwycięstwa.

[2]) Polski przekład A. Langego wyd. w „Epos Egipskie", Brody, 1909, str. 85.

[3]) Bitwa została opisana na srebrnych płytach w języku hittyckim; pierwotny jednakże tekst zaginął, dzisiaj posiadamy tylko tłómaczenie egipskie przechowane we wzmiankowanych wyżej miastach. Por. Champollion, „Not. man.", t. II; Lepsius, „Denkm.", t. III, 46; Brugsh, „Monument", t. I, pl. XXVIII; Przekłady: E. de Rougé u Eggera w „Etudes sur les traités publics", str. 243; Chabas, „le Voyage d'un Egyptien", str. 322; Goodwin, „Treaty of peace between Ramses II and the Hittites", w „Records of the past", t. IV, str. 25—32. Cyt. przez I. Morgana, cyt. wyż., str. 281.

[4]) Rosellini, „Monumenti storici", t. III, str. 268 i następ. Co do istoty źródeł, porównaj: Vigouroux, „Dict. Bibl.", t. III, kol 681.

[5]) Wiadomość ta oparta już na innych źródłach.

kim wpływie królowej na Ramzesa i kończy się temi słowy: „Naród hittycki ma jedną duszę i jedno serce z Egipcyanami“. Jest to dowodem, że panowały przyjacielskie stosunki pomiędzy obydwoma państwami. Pokój nie został niczem zakłócony aż do śmierci Ramzesa.[1])

Meneftah II, faraon Exodus, utrzymywał dobre stosunki z Hittytami. Czytamy na jednym z napisów odnoszących się do jego panowania, że wysyłał im pszenicę. Znacznie później, mianowicie 100 lat po Ramzesie, była znowu wojna w kraju Hittytów. Napis w świątyni w Medinet Abu mówi o uwięzieniu króla Hittytów. Były to, zdaje się już ostatnie większe walki o niepodległość wielkiego w starożytności narodu.

Opierając się na danych, jakie czerpiemy z napisów hieroglificznych i wogóle jakie pochodzą ze źródeł egipskich, widzimy, że Hittyci byli rywalami Egipcyan od 12 aż do 20 dynastyi. Wreszcie Kadesz i Karszemisz doszczętnie zostały zburzone, naród jednak hittycki nie mógł zaginąć.

Zanim przejdziemy do źródeł asyryjskich dotyczących Hittytów, należy choć w kilku słowach zwrócić uwagę na rolę, jaką podówczas odgrywali Izraelici w stosunku do Egiptu i do państwa hittyckiego.

Największe prześladowanie Izraelitów w Egipcie przypada na ten czas, kiedy wrzała wojna pomiędzy Egiptem a „mat Hatte“. W napisach z tego czasu istnieją wzmianki o wielkiej liczbie nieprzyjaciół, z jakimi musiało się liczyć państwo faraonów. Do tych nieprzyjaciół poza Hittytami trzeba zaliczyć rozmaite ludy i plemiona podbite przez faraonów, które podczas panowania Ramzesa II nie mogły znosić żelaznej jego ręki i wypowiadały bunt przeciw autokratyzmowi. To samo prawdopodobnie czyniły i te plemiona, które już od dawnego czasu mieszkały na terytoryach Egiptu. Ramzes II był bardzo podejrzliwy. W czasie wojen z potężnym nieprzyjacielem z Azyi, zrozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo stanowią ci, co mieszkają wewnątrz państwa i nie tylko, że nie pochwalają dążności rządu, ale wrogo przeciw niemu wy-

[1]) Dzisiaj, jak nadmieniłem na innem miejscu, uchodzi za rzecz pewną, że Ramses był ciemiężycielem Izraelitów. On to wydawał znane z historyi biblijnej okrutne prawa przeciw narodowi żydowskiemu. Księżniczka, która wyratowała Mojżesza, była jego i królowej Ur-na-Nufirura córką. Odnaleziono doskonale zachowaną mumię Ramzesa II, która dzisiaj wystawiona jest na widok publiczny w muzeum w Kairze.

stępują. Posiadanie wrogów wewnętrznych jest najsłabszą stroną politycznej samodzielności każdego państwa. To też, aby usunąć te przeszkody zaczęto gwałtownie wynaradawiać plemiona posiadające swoje własne tradycye i przekonania narodowe. Dla wykonania takiego planu używano środków niezmiernie gwałtownych. Tych, co niechcieli wyzbyć się swoich tradycyi, postanowiono zgładzić. Takich środków chwycono się względem Izraelitów.

Potomkowie Jakóba, w czasie prześladowania, w istocie należeli do najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół wewnętrznych. Jak wiemy z Biblii, Żydzi podówczas liczebnie stanowili żywioł bardzo silny i zwarty, zawdzięczając to dobrej organizacyi wewnętrznej i gorliwemu pielęgnowaniu tradycyi patryarchalnych. Polityczne ich poglądy były podporządkowane pod religijne, a wiara w jedynego Boga czyniła ich narodem jednolitym i co zatem idzie: mogącym odgrywać wybitną rolę w znaczeniu politycznem. Mając to wszystko na względzie, zrozumiemy nienawiść i okropne prześladowanie skierowane przeciw Izraelitom. Kiedy zaś gromadnie plemiona izraelskie pod wodzą Mojżesza chciały opuścić Egipt, faraon niechciał ich puścić, bojąc się, aby poza granicami jego państwa nie połączyły się z nieprzyjaciółmi.

Po wyjściu Izraelitów z Egiptu, w krótkim czasie nastąpił pokój pomiędzy Hittytami a Egiptem. Ta okoliczność znów nas objaśnia dlaczego Hittyci nie wzbraniali wejścia Izraelitom do Ziemi Obiecanej. Długi pobyt Żydów na półwyspie Synaickim, dopiero teraz w świetle odkryć naukowych może być dokładnie zrozumianym. Według Biblii, przyczyny pobytu na pustyni posiadają charakter wyłącznie religijny. Nie ulega jednakże wątpliwości, że odgrywały tutaj rolę także warunki polityczne, a gdy na nie zwrócimy uwagę, tem dokładniej przedstawi nam się Opatrzność Boża, czuwająca nad narodem. Po czterdziestoletnim dopiero pobycie na pustyni Izraelitów został całkowicie zawarty pokój pomiedzy Hittytami a państwem egipskiem. Wcześniej, wskutek zerwania stosunków dyplomatycznych, projekt wprowadzenia Żydów do Ziemi Obiecanej, był niewykonalny: Hittyci nie dopuściliby do tego.

## III.

Brak wzmianki o Hittytach w historyi Egiptu, rozpoczynając od Meneftaha, według wielu egiptologów, nie czem innem należy tłómaczyć, tylko upadkiem samych Egipcyan. Gdy Egipt

stracił dawny swój „préstige“ na Wschodzie, przestał wtrącać się do spraw hittyckich. Hittyci jednakże zachowali niezależność: widzimy ich prowadzących walki z Asyryą, która wtedy wysunęła się na pierwszy plan na Wschodzie i chciała zabrać pod swoje panowanie wszystkie sąsiednie narody niepodległe. Od tego więc czasu, to jest mniej więcej od roku 1130 do 717 przed Chrystusem, Asyrya prowadzi wojny z Hittytami.

Przechowało się dosyć dużo źródeł z czasów panowania Theglathpalasara I (około 1120 r. przed Chrystusem), w których znajdujemy wzmianki o Hittytach. Theglathpalasar, opisując swoje wyprawy wojenne, pomiędzy innemi mówi: „Sadiantiru, syn Hatti, króla z Urartinasz, stawił się przedemną. — W kraju swoim począł on moje stopy“.[1]) Nieco dalej czytamy: „4000 Kaski i Urumi, żołnierze Hatti.[2]) W innej wyprawie wojennej jest również wzmianka o Hatti“. „Poszedłem do kraju Suhi, aż do Karszemiszu (Charcamis) Hatti.[3]) W wyprawie wojennej, która wybrała za teatr walki miejscowość pomiędzy Zab i Eufratem, spotykamy Hittytów: „(Aż do kraju) Hatti i do morza Wyższego“.[4])

Assurnasirpal (885—860), wspominając w „Rocznikach“ swoich o wyprawie wojennej przeciw narodom Syryjskim, wspomina także o Hatti: „Ósmego dnia, miesiąca Ajar, wyruszyłem z Kalhi, przeprawiłem się przez Tyger i skierowałem się do Karszemisz Hatti“.[5]) Nieco dalej czytamy: „Wstąpiłem do miast Aszsza i Kirhi, położonych naprzeciw kraju Hatti, Umalia, Hiran“.[6])

W British Museum w Londynie znajduje się dzisiaj pomnik Salmanasara, króla asyryjskiego, który był współczesny Ahabowi, Jehu, Hazaelowi, królom żydowskim. Na tym pomniku znajduje się następujący napis: „Sagurin, który był królem Hittytów, został wzięty przezemnie do niewoli. Podatki od wszystkich królów hittyckich ja przyjmowałem; wozy wojenne Hittytów zabrałem, miasta Hittytów (rozpoczynając) od Hamath upadły; 89 miast zabrałem; Rimmona, Idri z Damaszku i 12 królów zabrałem“. Był to okres tak strasznych ciosów dla Hittytów, jakiego przedtem nigdy nie przeżywali. Odtąd ich potęga zaczyna słabnąć, prawdopodobnie powoli zaczynają opuszczać swoją ojczyznę.

Salmanasar umarł 823 r. przed Chrystusem. Następca jego Sargon prowadził podboje ojcowskie. Co uszło niszczycielskiej

[1]) Por. Schrader, „Keilinschriftliche Bibliothek“, Berlin, 1889, t. I, str. 20, 21.

[2]) Tamże: str. 22, 23. [3]) 32, 33. [4]) 36, 37. [5]) 104, 105. [6]) 110, 111.

ręki Salmanasara, legło teraz od miecza Sargona. Sargon panował od r. 722—705. Na początku swego panowania 722 roku, mówi Sargon, że przy pomocy boga Słońca, który mu pomagał w zwycięstwach, obległ Samaryę i wziął do niewoli 27,800 osób. Był to upadek królestwa izraelskiego. W cztery lata później, a mianowicie w r. 717 król hittycki Pisiris starał się potajemnie wejść w przymierze z Mita, królem ludów Moski i ogłosić swoją niezależność. Dowiedziawszy się o tem Sargon, wcześniej zanim zdążył z pomocą Mita, napadł na Hittytów, zabrał do niewoli Pisirisa, a jego kraj wcielił do Asyryi. W Karszemisz Sargon ustanowił urząd gubernatora asyryjskiego, który otrzymał nazwę „limma". Był to koniec potęgi Hittytów, imię to zaczyna znikać w historyi narodów wschodnich [1]) Początek ich stosunków z Asyryą przypada na panowanie Sargona I około 1900 r. i koniec również nastąpił za Sargona w 717 r.

Oprócz dokumentów asyryjskich, uwzględniających stosunki z Hittytami, istnieją także dokumenty w Armenii i Ararat, które noszą nazwę „napisów z Van". Napisy z Van pochodzą z 9 i 8 wieku przed Chrystusem i zaznajamiają nas ze stosunkami, jakie łączyły „mat Hatte" z Armenią. Równocześnie, gdy Asyrya starała się zniszczyć Hittytów, ci ostatni mieli także nieprzyjaciół w osobie królów armeńskich. Menuas, król z Van, czyli armeński, wkroczył na lewe pobrzeże Eufratu i zabrał kilka miast hittyckich, tudzież dużo niewolników z kraju Alzi.[2]) Na pomniku z Palu czytamy, że tenże sam Menuas, król Biainas, czyli Van, zwyciężył Sada-Izalisa, króla Hittytów i zabrał dwa miasta Surisilis i Tarkigamas. Syn jego, Argistis I, prowadził wojnę z Hittytami i zabrał Milid (dziś Malatyeh) i kraj Niriba.[3])

## IV.

W tymże samym czasie, gdy Asyrya, a następnie Armenia walczyły z Hittytami, Pismo św. zaznajamia nas ze stosunkami, jakie łączyły królestwo żydowskie z tymiż Hittytami. Z doku-

[1]) Por. Oppert, „The Annals of Sargon", w „Records of the past, I ser., t. VII, str. 30—31; Winckler, „Die Keilinschrifttexte Sargons", t. I, str. 10—11.

[2]) Sayce, „The cuneiform inscriptions of Van" w „Journal of the asiatic Society", 1882, XIV, 3; 1888, XX, 1.

[3]) Sayce. Tamże, № XXXVIII.

mentów biblijnych łatwo się przekonać, że Hittyci, aczkolwiek, skutkiem walk z Asyryą, chylili się ku upadkowi, imponowali jeszcze Żydom.

Dziewice żydowskie, podobnie jak niegdyś na dwór Ramzesa, tak teraz były brane na dwory królów żydowskich Dawida i Salomona (3 Król. 11, 1). Dawid, który pragnąc rozszerzyć granice państwa, przez cały czas swego panowania prowadził wojny, walczył także z Hittytami od strony północnej. Walki te jednakże nie były długie i stosunki naogół musiały panować dobre, bo oto widzimy oficerów hittyckich w wojsku Dawidowem. Tenże sam król, jak to nadmieniališmy na innem miejscu, poślubił Betsabeę, hittytkę, która weszła do linii genealogicznej Chrystusa, była bowiem matką Salomona, a z jego rodu przyszedł na świat Zbawiciel, (2 Król. 12, 24; Mat. 1: 6). Salomon zaś, z matki Hittyta, jak przedtem Meneftah, utrzymywał z nimi dobre stosunki. Pismo św. wspomina, że kupował od nich konie (5 Król. 10, 28, 29). „I wywodzono konie Salomonowi z Egiptu i z Koi (Koia, główne miasto Hittytów za panowania Salomona, prawdopodobnie jest to samo, co dzisiejsze Boghaz Keui): albowiem kupcy królewscy kupowali z Koi i za pewne pieniądze przywodzili. A wychodził cug woźników z Egiptu za sześćset syklów srebra, a koń za sto i pięćdziesiąt. I tym sposobem wszyscy królowie Hetejscy i Syryjscy konie przedawali". Za każdego więc konia płacono 150 syklów, czyli na nasze pieniądze 250 rubli.

W czasie napadów asyryjskich na królestwo izraelskie i na jego stolicę Samaryę, Hittyci, zdaje się utrzymywali przyjazne stosunki z Żydami. Podczas oblężenia Samaryi przez wojska Salmanasara, króla asyryjskiego, Pismo św. mówi o następującem zdarzeniu: „Pan dał był słyszeć w obozach syryjskich (asyryjskich) grzmot wozów i koni i wojska wielkiego: i rzekł jeden do drugiego (to jest w obozie asyryjskim): Oto król izraelski najął za pieniądze przeciw nam króle Hetejskie i Egipskie, i przyszli na nas" (4 Król. 7, 6). Jest to niezmiernie ważny szczegół o Hittytach, jaki czerpiemy z Pisma św. Napozór wiadomość ta wydawałaby się nieprawdopodobną, gdyby nie potwierdziły jej odkrycia współczesne. Wiemy skądinąd, jak to wyżej było powiedziane, że Salmanasar prowadził wojny z Hittytami. Jakkolwiek prawie zawsze ich zwyciężał, to jednakże ukazanie się wojska hittyckiego pod murami Samaryi mogłoby przyczynić się do przegrania wojny ze strony Asyryi. Nic dziwnego, że wiadomość powyższa wywołała popłoch w wojsku asyryjskiem.

Nadmieniliśmy wyżej, że Hittyci zostali pokonani przez Asyryę w r. 717 przed Chrystusem. Datę powyższą należy uważać jako „terminus ad quem“ niezależnej ich egzystencyi politycznej na Wschodzie. Upadek ich wszakże był już przewidziany oddawna. Pismo św. nadmienia o upadku Hittytów jeszcze za czasów Jozuego (Joz. 3, 10).

Ze względu na to, cośmy do tego czasu powiedzieli o Hittytach, staje się rzeczą jasną, że byli wielkim narodem w czasach przed i po Abrahamowych. Hittyci, choćby dlatego, że mieli za sąsiadów Asyryę, Egipt i Fenicyę, nie mogli być nie znani dla Biblii. W księgach historycznych Pisma św. wzmianki o trzech przytoczonych wyżej narodach są bardzo częste. Skoro więc historya tych mocarstw tak ściśle połączona jest z Biblią, musieli i Hittyci znaleźć należytą ocenę w Biblii. I w rzeczy samej znaleźli. Krytycy wolnomyślni pogardzali temi świadectwami, dzisiaj pokonani widocznością faktów, uciekają się do nich jako do źródła o niezakwestyonowanej wartości historycznej.

## V.

Zanim przejdziemy do zwrócenia uwagi na niektóre kwestye z narodem hittyckim związane, a mianowicie co do ich pochodzenia, religii i dalszych losów w historyi, trzeba przypatrzeć się pracy podjętej w celu poznania tego narodu. Pomijając już świadectwa biblijne, uczeni dosyć dawno wiedzieli o istnieniu Hittytów. Pierwszy jednak kamień z napisami hittyckimi odkopał w Hamah, w mieście syryjskiem, położonem na północ od Baalbeku, w r. 1812, znany oryentalista Burckhardt. Mając na względzie formę pisma i figury sądził, że są to hieroglify egipskie, jakkolwiek znaczna zachodziła różnica pomiędzy tem pismem, a właściwemi hieroglifami na pomnikach egipskich. Kamień Burckhardta najprawdopodobniej był częścią jakiegoś wielkiego pomnika. Jakkolwiek pismo było dosyć wyraźne, jednakże w żaden sposób nie było można go odczytać. Kolejno udawali się na Wschód rozmaici uczeni, a najwięcej w pośród nich Amerykanów, w celu zbadania nieznanego dotąd pisma. W r. 1870 J. August Johnson, generalny konsul amerykański w Damaszku i S. Jessup, misyonarz protestancki, udali się do Hamah, aby skopiować ten napis. Muzułmanie miejscowi fanatycznie usposobieni względem europejczyków, zauważywszy, że ci ostatni zbyt często odwiedzają św.

kamień, otoczyli go formalną strażą. Skoro tak patrzą na niego— rozumowali—to w kamieniu ukrywa się zapewne jakiś skarb, albo też sam kamień posiada ogromną wartość przez to, że jest świętością lub napis jego zawiera jakąś bardzo ważną tajemnicę. Z tych też względów nie można go za żadną cenę ustąpić znienawidzonym giaurom. Kiedy więc przybyli wzmiankowani wyżej uczeni do Hamah, napróżno starali się dostać do kamienia, mahometanie ich nie dopuścili. Zajście to ogłoszone w pismach, dużego nabrało rozgłosu. Od tego czasu zainteresowanie się z każdym dniem wzrastało. Niebawem udał się do Hamah Richard Burton, konsul angielski w Damaszku. Ofiarowano nawet dużą sumę pieniędzy, lecz ludność miejscowa niechciała się zgodzić nawet na skopiowanie napisu. Zwracano się prywatnie do rządu tureckiego, ten jednakże zachował się obojętnie, administracya zaś miejscowa wcale się nie różniła w swych poglądach od koczowniczych beduinów—nie było więc żadnej rady. Dopiero, gdy Subhi pasza, człowiek inteligentny i poglądów liberalnych, został gubernatorem Damaszku, w którego okręgu znajdowało się Hamah, przyrzekł Anglikom ułatwić zbadanie napisu. Przybył osobiście do Hamah, zapraszając równocześnie konsula angielskiego Green'a i uczonego misyonarza Wright'a, który z wielkiemi trudnościami zdołał skopiować napis i przesłać jeden egzemplarz do muzeum brytyjskiego, a drugi do naukowego Towarzystwa zajmującego się badaniem Palestyny — Palestinian Exploration Fund—w Londynie. Od tego czasu rozpoczęła się systematyczna praca nad poszukiwaniem dokumentów hittyckich. Każdy nowy jakiś przedmiot i najmniejsze ślady odnalezione na tem polu przekonywały dostatecznie uczonych, że wszystko cokolwiek Pismo św. mówi o Hittytach, musi być prawdziwe.

W hieroglifach egipskich, zarówno jak i w starych klinowych napisach asyryjskich ciągle spotykamy wzmianki o wielkich i bogatych stolicach hittyckich, a mianowicie o Kadesz i Karszemisz, a zwłaszcza o tej pierwszej, która była zbudowana nad rzeką Orontes w Syryi. Towarzystwa naukowe, zajmujące się wykopaliskami na Wschodzie, wiedzą doskonale, jak wielkie skarby dla nauki ukrywają się w ruinach miast zapomnianych. Odkopano starożytną Niniwę, Babilon, zbadano ruiny Luksoru, Karnaku i wiele jeszcze innych miast istniejących w zamierzchłej przeszłości. Doświadczenie, dzięki długoletniej pracy, nauczyło jak i czego szukać. Nic też dziwnego, że pilną zwrócono uwagę na pamiątki hittyckie, a szczególnie na dawne stolice tego narodu, w których przedewszystkiem należało się spodziewać wielkich zdobyczy naukowych. Mieliśmy do tego czasu uczonych egiptologów, asy-

riologów, nawet palestynologów, obecnie ze względu na doniosłe odkrycia poczynione na terytoryach zajmowanych przez Hittytów, syrologów, a zwłaszcza głębokich znawców Azyi Mniejszej, gdzie znajdowała się kolebka tego ze wszech miar interesującego narodu.

W marcu 1881 r. przybyli do Bejrutu dwaj uczeni angielscy Conder i lejtenant Mantel, skąd mieli rozpocząć podróż naukową z zamiarem przeprowadzenia badań, gdzie leżała stolica Kadesz Egiptologowie na podstawie wzmianek odnajdywanych w hieroglifach, już oddawna zajmowali się tą sprawą. Jedni twierdzili, że starożytne Kadesz należy utożsamiać z dzisiejszem miastem Homs, inni—z Antyochią, a inni jeszcze, że znajdowało się ono w pobliżu Homs, nad jeziorem w miejscowości zwanej: Bahejret Kotejneh. Aby nie rozszerzać zbytnio ram niniejszej pracy opuszczam malowniczy opis okolicy od Bejrutu aż do Zahle, skreślony przez Condera. Przybywają do Baalbeku i tutaj czekają na pozwolenie sułtana, ponieważ pasza Damaszku był przeciwnym tej wyprawie. Z Baalbeku wyruszyli w stronę Antylibanu, zwracając pilną uwagę na topografię miejscowości i na pozostałe pamiątki, które czy to w postaci kopców, czy też resztek kolumn, sterczą tu i owdzie ponad ziemią. Niedaleko od Baalbeku, w kierunku północno-zachodnim, znajduje się dość obszerne zagłębienie, zwane Doliną Pasterzy. W tej dolinie stoi do dzisiejszych czasów kolumna, nazywana po arabsku: Amud-el-Benat — Kolumna Dziewic. Miała to być kolumna, jak mówią współcześni badacze Syryi, jednego z naśladowców Szymona Stylity, który na wschód od Antyochii umarł na takiej kolumnie w r. 459. Kolebką podobnego umartwienia jest Indya i Egipt, następnie to samo się dzieje na gruncie syryjskim, dokąd przenieśli je nawskroś surowi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa pokutnicy syryjscy. Następnie podróżnicy angielscy przybyli do wioski Lebweh, która w 12 wieku nowej ery była silnie ufortyfikowanem miastem. O Lebweh istnieje wzmianka w podróży Antonina w drugim wieku po Chrystusie. Wątpliwą jest rzeczą, czy Lebweh jest to samo, o którem wspomina Pismo św. w księdze Liczb (34, 8) i nazywa je Emath. Mówi także o Emath Ezechiel prorok (47, 15, 16) wzmiankując o granicy pomiędzy posiadłościami hittyckiemi a królestwem izraelskiem. „A ta jest granica ziemi: ku stronie północnej od morza Wielkiego droga Hethalon, idącym do Sedada, Emath, Berotha“ i t. d. Najprawdopodobniej jednak biblijne Emath jest to samo, co starożytne Emessa, a dzisiejsze Homs. Granica północna, do której sięgało królestwo

izraelskie za czasów Dawida, opisana jest w 34 rozdziale księgi Liczb. Opierając się na brzmieniu arabskiem wioski Lebweh, możnaby ją raczej utożsamiać w biblijnem Leboa. W pobliżu Baalbeku odwiedzili wioskę Ainel-'Asy (prawdopodobnie biblijne Hazar Enan). Tutaj znajduje się największe źródło Orontesu, który wpada w jezioro Kotejneh i płynie dalej w stronę Antyochii, stanowiąc granicę pomiędzy ludnością arabską ze Syryi, a turecką z Azyi Mniejszej. W pobliżu tej wioski znajduje się pomnik Kamuat-el-Hirmil, według tradycyi uchodzi za grób cesarza rzymskiego. Pomnik ten jest jednym z pięknych okazów należących do złotego okresu sztuki syryjskiej za Antyochów, kiedy Syrya i Perea zostały ozdobione wspaniałemi budowlami. Odnalazł go w r. 1848 dr. Thomson, a następnie szczegółowo opisali Vandevelde i Robinson. W pobliżu jeziora Kotejneh znajduje się więcej takich pomników, tylko znacznie mniejszych rozmiarów; są to, jak przypuszczają ogólnie, dawne groby. Odwiedziwszy następnie Riblah, przybyli do Neby Mendeh, które zostało odkopane w roku 1880, i na tem to właśnie miejscu przypuszczalnie miała leżeć dawna stolica Kadesz. Conder przypuszcza, że nad jeziorem Kotejneh, niezawodnie było zbudowane Kadesz. Jezioro powyższe przez dawnego geografa arabskiego nazywane jest Bahret Kadesz, t. j. Jezioro Kadesz. Niektórzy twierdzą, że jezioro pochodzi z czasów późniejszych. Ma być nienaturalnem, lecz wykopanem przez Rzymian. Talmud jerozolimski (Baba Bathra, 74b) i babiloński (Kelaim, IX, 5) mówi, że jezioro nosi nazwę „Jam Hemac", t. j. wody Emessy i miało być zbudowane przez Dyoklecyana jako rozerwoar dla Homs czyli Emessy. Neby Mendeh, albo Mendan posiada bardzo interesującą nazwę. Miejscowa tradycya mówi, że miał je tak nazwać jeden ze synów Jakóba patryarchy. Lecz najprawdopodobniej nazwa ta pochodzi od Mentes, albo Mando—egipski bożek wojny. Tem imieniem Pentaur nazywa Ramzesa. Conder przypuszcza, że po zburzeniu Kadeszu miejscowość tę nazwano na cześć Ramzesa Mentes.

Nie ulega wątpliwości, sądząc z częściowo przeprowadzonych badań, że okolice miasta Homs są siedliskiem dawnej kultury Hittytów. Znajdujemy tutaj mnóstwo ruin i rozmaitych szczątków, które świadczą o dawnej cywilizacyi Hittytów, Asyryjczyków, Greków i Rzymian. Odnaleziono kanały, zauważono w jak doskonały sposób przeprowadzona była irygacya i t. d. Szczęśliwa ta kraina i niegdyś urodzajna podobna jest dzisiaj raczej do pustyni, z powodu niszczycielskiej gospodarki Arabów, a następnie rządu tureckiego. W Homs znajduje się mnóstwo starożyt-

nych pamiątek, a jeszcze więcej prawdopodobnie spoczywa pod grubą warstwą ziemi. Zbudowana tutaj była wielka cytadela, którą zburzył Ibrahim pasza. Pliniusz wymienia to miasto jako Hemessę, wzmiankuje o niem także Strabo i Ptolomeusz. Talmud nazywa je Hamec i mówi, że było miastem Zemaritów (Gen. 10, 18), co prawdopodobnie jest błędem. Stąd pochodził Bassianus, który się nazwał bogiem słońca i bogiem gór—Helogabalus i pod tem imieniem w r. 219 po Chr. został wybrany na cesarza rzymskiego; w r. zaś 222 zabity przez Aleksandra Sewera. Na miejscu wielkiej świątyni Słońca, stanął kościół katolicki zbudowany przez Konstantyna Wielkiego, dzisiaj istnieje jako meczet, zamieniony przez Saracenów od samego początku zajęcia przez nich tego miasta. Bardzo interesujące są również ruiny nad rzeką Eleuterus, które nazywają się el Hosu. Jest to olbrzymi, ufortyfikowany zamek krzyżowców, wzniesiony na starych budowlach pochodzących z czasów pogańskich. Dzisiejsza nazwa Kal'at-el-Hosu, w starożytności brzmiała Hosu-el-Akrad, a także Krak, co podobnie jak i Kerak w Moab pochodzi od syryjskiego wyrazu—forteca. Jest to prawdopodobnie źródłosłów pochodzący z języka hittyckiego.

Miejsca na których leżały Kadesz i Karszemisz, nie zostały jeszcze z całą dokładnością stwierdzone. Należy jednak mieć nadzieje, że dzisiejsze prace eksploracyjne odniosą pożądane skutki. Poczynione niedawnymi czasy odkrycia naprowadziły uczonych na nowe ślady;—możemy śmiało powiedzieć, że jesteśmy w przededniu wielkich odkryć.

## VI.

Na podstawie źródeł, o jakich wspominaliśmy wyżej, można prawie z całą dokładnością stwierdzić, jakie kraje należały do Hittytów. Źródła te jednakże nie rozwiązują pytania, gdzie była kolebka tego narodu. Różne kraje wzmiankowane w napisach zostały tylko wcielone do państwa hittyckiego, jak np. Palestyna, Fenicya, Cypr i t. d. Gdzie jednak była ich ojczyzna, która ich wychowała i wykształciła? Nadmienialiśmy na innem miejscu, że północna Syrya była przynajmniej krajem, w którym od najdawniejszych czasów mieszkali Hittyci. Niektórzy oryentaliści twierdzą, że Syrya została wcielona do ich pierwotnej ojczyzny podówczas, kiedy wyrośli na wielki naród i dawniejsza ziemia już im nie

wystarczała. Pod koniec ubiegłego stulecia największą powagą na polu badań dokumentów hittyckich, cieszył się uczony angielski, prof. Sayce. Lecz i on nie posiadał pewnych danych do rozstrzygnięcia tej kwestyi. Sporadycznie ciągle są odnajdywane pamiątki hittyckie od Efezu aż do Armenii. Conder przypuszcza, że siedliskiem ich była Armenia, albo środkowe prowincye Azyi Mniejszej. Prof. H. Winckler z Berlina mówi, że Kapadocya.

W 11 wieku przed Chrystusem, książęta hittyccy wzmiankowani są w Biblii jako władcy północnej Syryi (3 Król. 10, 29). Na innem miejscu północna Syrya figuruje jako kraj Hittytów (Joz. 1, 4). Na jednym z pomników egipskich z czasów Seti I taką znajdujemy wzmiankę: „Wielcy książęta Rutenu, których jego królewska mość sprowadził z kraju Kheta". Rutenu, czyli Luden, jest Syrya. Najwięcej posiadamy świadectw, które, wskazują, że Hittyci głównie zamieszkiwali Aram, to jest północną Syryę, gdzie miasta Aleppo, Tiblath. Profesor Winckler wymienia Kapadocyę i opiera swoje zdanie na tem mianowicie zjawisku, iż w Kapadocyi więcej znajduje się pamiątek po Hittytach, aniżeli w jakiejkolwiek innej prowincyi. Nadmieniamy, że należy on dzisiaj do najwybitniejszych znawców omawianej sprawy. Dzisiaj jego zdanie odnośnie do Hittytów ma pierwszorzędną powagę. Jemu zawdzięczamy najgłówniejsze odkrycia związane z dziejami tego narodu. Właśnie Kapadocya ze względu na wielką ilość pamiątek utrzymywała go w przekonaniu, że tam przedewszystkiem wypada zająć się poszukiwaniami, jeżeli się pragnie wzbogacić materyał naukowy co do Hittytów. Jedno szczególnie miejsce, a mianowicie Boghas Keui, z powodu nierówności terenu, wzbudzało w nim podejrzenie, że tutaj musiało niegdyś istnieć duże miasto. I w istocie nie pomylił się. Otrzymawszy pozwolenie od rządu tureckiego, udał się tam pod koniec r. 1905 i w pierwszych miesiącach następnego roku dokonał kolosalnego odkrycia. Nigdy nie spodziewał się takich rezultatów, które przewyższyły jego najśmielsze oczekiwania. Odnalazł 2500 cegiełek zapisanych pismem hittyckiem. Materyał odnaleziony przez Wincklera posiada bogate pole do badań. Nie wszystkie jeszcze napisy zostały odczytane. To jednak, co zdołano odcyfrować rzuca dużo światła na charakter, pochodzenie i religię Hittytów. Północna Syrya więc i Kapadocya najwięcej mają danych przemawiających zatem, że są kolebką narodu hittyckiego.

Wśród oryentalistów ogólnie utrzymuje się zdanie, że Boghas Keui należy uważać jako stolicę kultu religijnego.

## VII.

Źródła, z jakich możemy korzystać do tego czasu, dosyć szczupłych udzielają wiadomości o religii hittyckiej. Z analogii bóstw na Wschodzie, jakie spotykamy w rozmaitych krajach i w różnych czasach, można wnosić, że Hittyci nie wiele musieli się pod tym względem różnić od swoich sąsiadów. Jensen twierdzi, że wyraz Τροχο i różne odmiany: Ρω-, Ια-, Α-, Τεδι-, i Ονα, które spotykamy jako przyrostki dodane do imion własnych, są nazwami bogów. Posiadamy takie nazwy: Τροχο-ζαρμ-α-ς, Ρω-ζαρμ-α-ς, Ια-ζαρμ-α-ξ, Α-ζαρμ-α-ς, Τεδι-αρ-ις, Νεν-αρ-ις, Ονα-σι-ς [1]).

W krótkiej inwokacyi do bóstw, jaka znajduje się w umowie zawartej pomiędzy Ramzesem II a Khatesera (Hatta-sar), królem hittyckim, dowiadujemy się, że poza tysiącem rozmaitych mniejszych bóstw — bogów i bogiń, wzywane były trzy wielkie bóstwa, a mianowicie grzmotu, słońca i księżyca. Najgłówniejsze z nich uważane było za ojca narodu i nazywało się „Khati". Mniejsze bóstwa, czyli geniusze roztaczały swoją władzę nad ludźmi, zarówno jak i nad całą przyrodą. Każde drzewo, skała, źródło, wzgórze posiadało swego geniusza. Wiatry, burze, deszcze również podlegały władzy geniusza. Egipcyanie od chwili, jak zawierali stosunki z Hittytami, przyjmowali od tych ostatnich bóstwa, czcili je tylko pod nazwą bóstw egipskich, np. Ra, albo też Sit, lub Sitka—bóg Hyksosów. Każde miasto posiadało swojego boga—Sutka, stąd istnieją Sutka Palipa, Sutka Kissapa, Sutka Sarsa, Sutka Salpina i w. in. Synkretyzm powyższy świadczy, że bóstwa hittyckie w stosunku do egipskich, zarówno jak i asyryjskich, pod względem charakteru wewnętrznego bardzo mało, albo może wcale nie różniły się pomiędzy sobą. Głównem bóstwem żeńskiem była Astarte, nazywana boginią kraju Hittytów. Nazwa stolicy Kadesz, nie jest czem innem, tylko nazwą bóstwa. Wyraz Kadesz jest przymiotnikiem w rodzaju męskim. W rodzaju żeńskim brzmi Kadeszat i znaczy: święta dziewica—poświęcona Astarcie. Świątynie Astarty znajdowały się w Trypolis, Byblos, Jerozolimie, Kadesz Neftali i wogóle na ogromnej przestrzeni od Syryi aż do Hiszpanii w Europie, gdzie jest miasto Gades, niezawodnie pochodzące od tego samego pierwiastka. Wielka rozwiązłość bóstw syryjskich, którą później przyswoili

[1]) „Hittiter", str. 150.

sobie i Rzymianie, oto główna ich cecha. W r, 1908 odkopana w Dżebeil (dawne Byblos) świątynia Adonisa dokładnie utwierdza nas w tem przekonaniu. Bezwątpienia ten sam charakter posiadały i bóstwa hittyckie. Napisy przechowały dużo imion bogów, oto z nich ważniejsze: „Maura“, „Qaui“, stąd utworzone imiona własne: „Maurasaru“, „Qauisara“. Oprócz tych znajdujemy: „Targu, Targa, Targanu, Kheba, Khepa, Tiszubu, Szausbi“. Powyższe wyrazy znajdują się w imionach własnych, jak „Targanunasa, Targazatas“. [1]). Wyrazy „Kheba i Khepa“ znajdują się w imionach własnych księżniczek hittyckich, np. Tadukhipa, Galukhipa, Ponukhipa i t. d.

Niewiadomo dokładnie pod jaką postacią wyobrażali sobie Hittyci swoich bogów; prawdopodobnie były to figury mężczyzn i kobiet o bardzo silnej budowie. Do rąk ich wkładano strzały, lub też różne przedmioty mające znaczenie symboliczne, jak kwiaty, winne grona i t. p. Przed posągami bóstw składano ofiary w ten sam sposób, jak to praktykowało się wśród innych narodów wschodnich. Kult przedewszystkiem odbierały bóstwa hittyckie na wzgórzach, przy źródłach i w grotach, które w szczególny sposób poświęcone były dla akcyi religijnych. O świętach religijnych wspomina Strabon (XII, II) nie jest wszakże rzeczą pewną, czy owe święta są pierwotne hittyckie, czy też uległy zmianie skutkiem wpływu religijnego greckiego w tym czasie, gdy Strabon pisał swoje dzieło. Rzymianie na ruinach świątyni hittyckich budowali nowe i poświęcali tym samym bóstwom, zmieniali tylko imiona obce na rzymskie, znane w ich własnej mitologii.

## VIII.

Kwestya, do jakiej rasy należeli Hittyci jest niezmiernie ważną, dlatego też współcześni oryentaliści gorliwie pracują nad rozwiązaniem tej zagadki. Skoroby się udało naukowo wyświetlić powyższe zagadnienie, posiadalibyśmy bogaty materyał, co do pochodzenia innych ras ludzkich. Jensen [2]) przypuszczał, że Hit-

[1]) Por. Sayce, „The monuments of the Hettites“ w „Transactions of the Society of biblical Archaeology“, t. VII, str. 284-286.

[2]) „Hittiter und Armenien“, Strassburg, 1898.

tyci, zapatrując się na nich z punktu etnograficznego, należeli do rasy armeńskiej, byli to więc starożytni armeńczycy. Conder zaś twierdzi, że Hittyci byli tej samej rasy, co i mieszkający na północy Akadyjczycy, należący do starej rodziny aurańskiej, czyli z tego samego pnia wywodzili swój początek, co Mongołowie i Tatarowie—najstarsza rasa z istniejących dzisiaj w Azyi. Następnie znaczny ich odsetek miał się zmieszać z rasą semicką, mianowicie, gdy zostali zawojowani przez semitów z Chaldei i Asyryjczyków, którzy również należeli do rasy semickiej.

Halevy [1]) jest zdania, że należeli do rasy semickiej. Główne dowody, na których opiera swoje twierdzenie, czerpie z lingwistyki. Opierając się bowiem na dokumentach z epoki asyryjskiej, dowiadujemy się, że Hittyci posiadali w swoim języku znaczną część wyrazów pochodzenia semickiego. Opinia ta jednakże w czasach dzisiejszych została całkowicie zaniechaną. Obecność, choćby nawet w dużej liczbie wyrazów semickich, bynajmniej nie może dowodzić, że Hittyci byli semitami, tak samo jak wielka liczba wyrazów niemieckich w naszym języku, nie dowodzi, że Polacy wyprowadzają swój początek z rasy germańskiej. Posiłkowanie się obcymi językami jest zjawiskiem najzupełniej zrozumiałem, gdy się zwróci uwagę na stosunki rozmaitych narodów do siebie. Hittyci, jako bezpośrednio utrzymujący stosunki z semitami, a nawet mieszkający na ziemiach należących do semitów (Północna Syrya), z konieczności musieli wprowadzić do swojego języka dużo pierwiastków semickich. Inna opinia, którą od samego zarania, gdy spostrzeżono dokumenty hittyckie, podtrzymuje wielka część uczonych, twierdzi, że Hittyci nie należą do rasy semickiej,[2]) lecz przybyli na pogranicza czy też do krajów semickich z północy i następnie przez tychże samych semimitów zostali tutaj zawojowani.[3]) Twierdzenia powyższe opierają

[1]) „La langue des Hittites d'après les textes assyriens", w „Recherches bybliques", str. 270—288 i „Deux inscriptions hétéennes de Zintjirli" w „Revue sémitique", t. I, str. 242—258.

[2]) Por. Ks. Wł. Szczepański, „Palestyna przedhistoryczna w świetle najnowszych wykopalisk", w Miesięczniku Kościelnym, t. VIII, str. 93. Poznań, 1912.

[3]) Sayce, „The hamathite inscriptions" w „Transactions of the Biblical Archaeology", t. V, 1877, str. 27—29; Fr. Lenormant, „Les Origines de l'histoire", t. II, str. 267; Ed. Meyer, „Geschichte des Alterthums", Stuttgart, 1884—1893, t. I, str. 213.

na kilku pewnych danych, jakich dostarczyły współczesne wykopaliska. 1) Płaskorzeźby przechowane na pomnikach egipskich zupełnie wyraźnie przechowały dwa różne typy, a mianowicie: semicko-chananejskie i hittyckie. 2) Dokumenty z Tell-el-Amarna pokazują, że język hittycki jakkolwiek zawiera pierwiastki semickie, nie jest ani semickim, ani egipskim, ale należy do zupełnie innej dziedziny języków. 3) Ogólny wygląd Hittytów, zarówno jak i ubranie, w jakiem przedstawieni są na pomnikach, zbliża ich raczej do typów północnych, aniżeli do semitów. Można uważać za ogólne przekonanie, że Hittyci należeli do tej samej rasy, co i ludy zamieszkujące Azyę Mniejszą.

Według kraniologów Hittyci należeli do rasy mongolskiej. Ich skóra była żółta, oczy i włosy czarne. Prof. Jensen z Marburga, o którym była mowa wyżej, odcyfrowawszy kilka napisów hittyckich, odnosi język tego narodu do familii indogermańskiej— najwięcej zbliżony do armeńskiego.

„Dla kwestyi aryjskiej—pisze Szelągowski [1])—Hittyci posiadają tę najważniejszą doniosłość, ponieważ w imiennictwie ich osobowym występują poraz pierwszy wyrazy aryjskie". Pisze dalej Szelągowski, że podróżnik niemiecki Luschan [2]) „odkrył typ o szerokich, krótkich i wysokich czaszkach w dzisiejszej Likyi (Tachtadżowie). Ten sam typ spotyka się także w Armenii i nad górnym Eufratem i u podnóża Kaukazu: średniego wzrostu, ciemnego koloru skóry, o ciemnych, gładkich włosach i ciemnych oczach. Te cechy więc fizyczne, złączone z odmianą językową śródziemnomorską, nie dają się wtłoczyć w ramy klasyfikacyi znanych języków — aryjskich i semickich. Hemmel stworzył z nich grupę językową alarodyjską i włączył do niej z ludów starożytnych Azyi Elamitów, Syryjczyków, Chetytów,—w Europie Etrusków, Pelazgów, Retów, Ligurów i Iberów, ze współczesnych zaś — Georgijczyków na Kaukazie". J. Morgan [3]) jeden z najwybitniejszych znawców starożytnych ludów na Wschodzie, twierdzi, że dzisiejsze plemiona Kaukazkie są szczątkami tych wielkich rodzin, które niegdyś, jeszcze przed pierwszą inwazyą semicką (akkadyjską) zamieszkiwały Azyę Środkową, rozpoczynając od pustyń arabskich aż do morza Czar-

[1]) Cyt. w. str. 71.
[2]) Cyt. p. A. Szelągowskiego, tamże.
[3]) Cyt. w. str. 281.

nego i Śródziemnego i dalej na wschód aż do równin irańskich. Do tej rasy należeli Hittyci, Nairi, Urarta, Namri, Elamici (?) i prawdopodobnie Koszyci. Co się tyczy języków tych narodów najlepiej znany jest dzisiaj elamicki i język Van. Ten ostatni okazuje największe podobieństwo do współczesnego języka gruzińskiego (georgijskiego). Wszystkie współczesne języki kaukazkie są aglutynatywne, z wyjątkiem tylko gruzińskiego, który jest językiem literackim i od początku, jak tylko chrystyanizm został wprowadzony na Kaukaz, posiada swoją własną pisownię. Wnioski Szelągowskiego, zarówno jak i Morgana opierają się na źródłach dawniejszych. Najnowsze odkrycia pozwalają śmielej wypowiadać uczonym swoje zdanie, co do natury języka hittyckiego. Język hittycki największe okazuje podobieństwo do starożytnego języka Van, a ten ostatni według ogólnego zdania lingwistów, do języka gruzińskiego na Kaukazie. Język zaś gruziński, jakkolwiek najwięcej się różni od współczesnych języków indo-europejskich, najprawdopodobniej jednak należy do tej samej rodziny, co i te ostatnie.

Wogóle rozstrzygnięcie kwestyi, do jakiej rasy należeli Hittyci, powinno być sprowadzone na grunt etnologii i lingwistyki. Dokumenty odnoszące się do jednej i drugiej dziedziny wiedzy nie są wprawdzie zbyt bogate, można jednak, opierając się na nich, wyprowadzać dość pewne wnioski. Na murach Ramesseum w Tebach znajduje się największy obraz przedstawiający figury hittyckie, egipskie i semickie. Jest to właśnie obraz walki Ramzesa II z Khetasarem, o której była mowa wyżej. Liczy on 57×25 stóp i posiada 1100 figur; figury te jednak tak mało niestety, wykazują wyrazistych tysów, że trudno jest odróżnić przynależność do rasy poszczególnych osób. Mamy natomiast w Ibsambulu rysunek wojennego wozu hittyckiego wraz z trzema jeźdźcami.[1]) Ci odznaczają się cerą białą, stojącą w takim kontraście ze wszystkiemi rasami na wschodzie. Ramiona szerokie, silne. Głowa podłużna, czoło wysokie, nieco w tył pochylone, nos prosty, niezbyt wielki. Oczy niewielkie, żywe. Charakterystyczną cechą są usta niewielkie, wargi cienkie, właściwe tylko ludom należącym do rasy aryjskiej. Takie same typy można spotykać jesz-

[1]) Podobizna znajduje się w dziele Champolliona: „Monuments de l'Egypte", t. I, pl. XXVI, tudzież w „Dictionnaire Biblique", Vigouroux, t. III, col. 674.

cze dzisiaj w Celesyryi wśród plemion niewątpliwie należących do rasy aryjskiej, czyli indo-europejskiej.

Co się tyczy lingwistyki, na której przedewszystkiem należy się oprzeć, chcąc zbadać sprawę rasy, do której należeli Hittyci, musimy nadmienić, że w znacznej mierze popierają wyniki tej wiedzy studya etnologiczne i etnograficzne. Jeżeli przy badaniach nad charakterem fizycznym mogły się rodzić wątpliwości, do jakiej rasy należeli Hittyci, to lingwistyka powinna te wątpliwości usunąć. Hittyci należeli do rasy aryjskiej i przybyli jeszcze w czasach przedhistorycznych, t. j. przed pierwszemi migracyami semickiemi do północnej Syryi i Kapadocyi. Tutaj mieszkali przez długie wieki, a zdobywszy własną kulturę stali się niebezpiecznymi rywalami z jednej strony Egiptu, a z drugiej państw semickich, jak Asyryi i Chaldei. Mówiliśmy poprzednio, że Hittyci byli panami Palestyny. Dzisiejsze odkrycia naukowe w Palestynie stwierdzają niewątpliwie pobyt tutaj ludów należących do rasy aryjskiej. Oto co pisze ks. Wł. Szczepański, profesor geografii Palestyny i języków semickich w Instytucie biblijnym w Rzymie, z okazyi odkryć dokonanych przez S. Macalistera na wzgórzu Dżezer w Palestynie. „Megalityczne pomniki (menhiry, kromlechy) napotyka się nietylko w Palestynie, ale (i to przedewszystkiem) na wybrzeżach południowych Indyi, północnej Afryki, w Anglii — ba, nawet w dzisiejszych Niemczech i Skandynawii. Wszędzie zaś owe megalityczne pomniki przypisują uczeni słusznie ludom indogermańskim epoki neolitycznej. Prócz tego indogermańskie szczepy—jak-to jest rzeczą zupełnie pewną—podejmowały w zamierzchłej nader starożytności rozliczne wędrówki. — Wszystkie te i tym podobne powody nakłaniają mnie do wniosku, że i palestyńskie pomniki megalityczne można i należy przypisać Indogermanom—a więc ludom niesemickim".[1])

Ponieważ kolebką rasy aryjskiej jest Aryana, czyli rozległe obszary po prawej stronie rzeki Indus, przeto stamtąd musieli przybyć do Azyi zachodniej Hittyci. Migracye rasy aryjskiej należą do najstarszych na świecie.

Najnowsze odkrycia w Syryi potwierdzają to zdanie. W czwartym tomie „Mélanges de la Faculté Orientale" (1911) w Bejrucie, słynny archeolog wschodni o. Sebastyan Ronzewalle, umieścił bardzo interesujący, artykuł odnoszący się ściśle do omawianej tutaj sprawy. W artykule jest mowa o wyobrażeniach, figurkach

[1]) Cyt. w. str. 91.

i t. d. bydła z garbami, przedstawianego przez artystów hittyckich, a następnie syryjskich. — Figurki te były w użyciu nawet w epoce perskiej i rzymskiej; są one robione na wzór zebu indyjskiego, czy też „świętej krowy“ czczonej do dzisiejszego dnia wśród Hindusów. Pracę swoją ilustruje dość sporą liczbą fotografii garbatego bydła, przedstawionego w formie posążków lub też płaskorzeźby. Niektóre z tych posążków pochodzą z czasu 2000—1000 lat przed Chrystusem. Udało się sprawdzić, że wiele ze wzmiankowanych figurek należało do Hittytów. Jedna z figur przedstawia wołu, wzniesionego na tylnych nogach w postaci stojącej prosto. Jest to niewątpliwie bożek hittycki. Hittyci bowiem w taki sposób na licznych płaskorzeźbach lubili przedstawiać swoje bóstwa. Na wielu płaskorzeźbach i gemmach, noszących cechy roboty perskiej i greckiej, znajdują się wyobrażenia zebu. Ogólnie przypuszczają uczeni, że rysunki te przeszły w spadku po Hittytach. Spotykane często posążki zebu wśród Hittytów interesująco wyglądają na tle fauny Azyi Zachodniej, gdzie mieli swoje siedziby Hittyci. Skoro tak często spotyka się pomiędzy Hittytami zebu, widać, że zwierzę to było im dobrze znane. Ojczyzną zaś zebu jest Aryana. Tam też tylko mógł powstać kult tego zwierzęcia. Skoro Hittyci zebu uważali za swoje bóstwo domowe, musieli pochodzić z Indyi. Gdy się weźmie pod uwagę posążki opisane przez S. Ronzewalle'a i świeżo odnalezione przez K. Winckiera napisy w Boghaz Keui, w których zauważono bardzo dużo imion aryjsko-wedyjskich, wtedy stanie się rzeczą jasną, że Hittyci należą do tej samej rasy, co i Słowianie—do indo-aryjskiej. [1])

A. De Quatrefages, w swojem słynnem dziele o Rasach ludzkich [2]), przeprowadził bardzo gruntowne studya nad pomiarami kraniologicznymi wszystkich ras na świecie i zebrał również fotografie rozmaitych typów należących do każdej rasy. Uderzające jest podobieństwo pomiędzy niektórymi typami Hindusów a mieszkańcami Europy, zwłaszcza Słowianami należącymi do tejże samej rasy.[3]) Hittyci mogliby być uważani jako typ pośredni, przez który rasa słowiańska przeszła z indo-aryjskiej.

[1]) Por. mój art. „Orientalia“ w „Ateneum Kapł.“, t. 7, 1912, str. 72.
[2]) A. De Quatrefages, „Introduction à l'étude des Races humaines“, Paryż.
[3]) Tamże, str. 498.

## IX.

Prof. A. H. Sayce mówi, że na pomnikach egipskich, znajdują się postacie Hittytów o skórze żółtej, czarnych włosach i oczach. Inny znów autor Lewis Bayles Paton,[1]) mówi, że na pomnikach egipskich Hittyci przedstawieni są jako typy należące do rasy białej. Prawdopodobnie jest tutaj tylko pewne nieporozumienie, jakie wynikło skutkiem niedokładnego określenia przedmiotu. Sayce mówi dalej, że dzisiaj takie same typy można spotykać w Kapadocyi.[2]) Jak wiadomo zaś, w Kapadocyi niema wcale typów o skórze żółtej, ale są o skórze białej, jak europejczycy. Na pomnikach widzimy ich z ogolonemi brodami, niektórzy mają tylko wąsy. Na wzmiankowanym wyżej obrazie z Ibsambulu widzimy figury z podgolonemi włosami na głowie na wzór typów słowiańskich z 17 wieku. Zjawisko powyższe stanowi ogromny kontrast ze wszystkimi narodami na Wschodzie, którzy od najdawniejszych czasów po dziś dzień uważają brodę jako największą ozdobę mężczyzny. Narody semickie, a zwłaszcza Asyryjczycy tak wysoko cenili sobie zarost na brodzie, że chcąc kogoś wystawić na hańbę i pośmiewisko, jak nap. niewolników wojennych, golili im brody. Gdy posłom Dawida, króla izraelskiego, Hanon król ammonicki kazał obciąć brody, niechciano ich wpuścić do Jerozolimy, ale kazano im mieszkać w Jerychu dopóki im brody nie odrosną (2 Król. 10, 4, 5). Wizerunki Hittytów w podeszłym wieku dość często przedstawiają ich otyłych. Zjawisko to również należy uważać za cechę odrębną, nap. w stosunku do Egipcyan. Ubierali się w tuniki kroju babilońskiego. Była to moda pochodząca z Asyryi, którą, zdaje się, przyjęli Hittyci. Codzienny ich ubiór składał się z długiej tuniki z krótkiemi rękawami, więcej lub mniej ozdobnej stosownie do zamożności. Tunikę opasywali pasem. Strój uroczystszy składał się z płaszcza koloru czerwonego lub niebieskiego, który na wzór rzymski zarzucali na lewe ramię, prawe zaś obnażali, aby mieć wolną rękę do ruchów. Płaszcz ozdobiony był frendzlami na sposób chaldejski.[3]) Przechowała się do naszych czasów płyta bronzowa ozdabiająca niegdyś bramę pałacu asyryjskiego w Balawat,

[1]) „The Early History of Syria and Palestine", London, 1912, str. 109, 110.
[2]) Słownik Bibl. Hastings'a artyk. „Hittites".
[3]) Por. Vigouroux, „Dictionnaire Bibl.", t. II, kol. 585.

na której przedstawiona jest scena składania darów przez posłów Karszemiszu królowi Salmanasarowi II. Posłowie właśnie ubrani są w takie płaszcze, jakieśmy przedstawili wyżej. W muzeum brytyjskiem w Londynie znajduje się stella grobowa z bazaltu, przedstawiająca hittyckiego króla z Karszemisz w takim samym płaszczu i w kapeluszu na głowie w formie naszego cylindra.[1]) Obuwie nosili skórzane z mocno podniesionymi do góry przednimi końcami. Taki rodzaj obuwia zwykle noszą mieszkańcy gór, nap. dzisiejszy narodowy strój grecki posiada takie same obuwie. Na skalistym terenie takie obuwie jest koniecznem, wskutek uderzania bowiem o kamienie nie tak prędko się niszczy jak nasze. Należy jednak uważać, że podobnie jak i dzisiaj w Grecyi, było częścią stroju narodowego. Ci, co mieszkali w dolinach, lub po miastach, zarówno jak i górale jednakowo się ubierali. Hittyci, przenosząc się na inne terytorya, zachowali to samo narodowe obuwie.

Jakie było życie ludu na wsi, jakie zwyczaje, odżywianie się, nie posiadamy żadnych w tym kierunku wiadomości. Po miastach najprawdopodobniej przyjmowali zwyczaje już to asyryjskie, już to egipskie ze względu na wysoką kulturę tych narodów.[2])

Innym jeszcze charakterystycznym rysem, jaki można zauważyć wśród Hittytów. jest wyróżniająca się piękność ich kobiet. Szczegół powyższy dla etnografów ma duże znaczenie, a i dla tych, co znają Wschód i mieszkańców Wschodu, jest zjawiskiem nie powszedniem. Wśród ludów należących do rasy semickiej, a mieszkających na Wschodzie, zarówno jak i wśród Egipcyan mężczyźni są bardzo przystojni, natomiast kobiety ogromnie pod tym względem są upośledzone. Mieszkanki Kapadocyi, Armenii, dodatnio wyróżniają się pod względem urody w stosunku do semitek. Syryjki są przystojne, lecz nie pochodzenia semickiego. I ten szczegół może naprowadzić na myśl badacza, że Hittyci musieli należyć do rasy aryjskiej.

Mając na względzie tę zaletę zrozumiemy łatwo, dlaczego faraonowie egipscy jak Ramzes, Meneftah i królowie izraelscy, jak Dawid, Salomon tak bardzo ubiegali się o dziewice hittyckie i robili je swojemi królowemi.

[1]) Tamże, kol. 584.

[2]) Maspero, „Hist. ancien.“. t. II, str. 354.

## X.

Oto kilka luźnych, że tak powiem, wiadomości, jakie zebraliśmy o Hittytach. Te jednak, jakie przytoczyliśmy wyżej, pozwalają nam wyrobić sobie jasny sąd o tym wielkim narodzie, który, chyba dziwnemu należy przypisać zbiegowi okoliczności, że tak mało był znany na świecie. Historya świecka milczała o nim zupełnie, mówiła tylko jedna księga—Biblia, jednakże była umyślnie zapoznawana przez badaczów z obozu wolnomyślnego. Jeszcze około roku 1880 niektórzy uczeni zaprzeczali prawdziwości faktów biblijnych odnośnie do Hittytów, dzisiaj muszą wyznać, że byli w błędzie, że to, co uznawali za błąd, było prawdą. Spełniło się przysłowie, że prawda sama się obroni. Pracowali na jej zagładę, a przyczynili się do prędszego jej wyświetlenia.

Ostatnie wzmianki o Hittytach posiadamy w napisach pochodzących z czasów Salmanasara i Sargona, królów asyryjskich. Po upadku królestwa asyryjskiego neobabilońskie źródła nic nie mówią o Hittytach. Nie znają ich również księgi święte od czasu rozdzielenia królestwa izraelskiego na dwie części, aczkolwiek tak często wzmiankują o rozmaitych sąsiednich narodach, jak Egipcyanach, Babilończykach, Syryjczykach, Fenicyanach i t. d. Co się stało z Hittytami? Czy mógł naród liczny, posiadający tak rozległe terytorya przepaść bez wieści, albo przynajmniej nie odgrywać do tego stopnia wpływu w życiu politycznem, społecznem, lub religijnem, iżby sąsiednie narody najmniejszej nie zwracały na niego uwagi? Czy można przypuścić, że po zwycięstwie odniesionem przez Asyryę, Hittyci tak gwałtownie zasymilowali się ze Semitami, że po dwóch, lub trzech generacyach zniknęła nazwa Hittytów, przepadła nazawsze kwestya hittycka? Przyjąwszy taką asymilacyę, moglibyśmy zrozumieć brak wiadomości historycznych w późniejszych źródłach czy to babilońskich, czy żydowskich, czy wreszcie egipskich. Jednakże to jest nie możliwe. Tak gwałtowna asymilacya narodu, który bądź co bądź musiał liczyć miliony, jest niemożliwa. Asyryjczycy mogli zniszczyć naród hittycki pod względem politycznym, nie mogli jednak zupełnie usunąć jego kultury, zabić jego ducha. Hittyci i nadal musieli istnieć. Cóż się jednak z nimi stało, skoro źródła milczą? Zdaje się, że najlepiej może być rozstrzygnięta powyższa kwestya, gdy się weźmie pod uwagę migracyę.

W starożytności migracya miała inny charakter, aniżeli w czasach dzisiejszych. Czytamy o wielkich wędrówkach narodów, przez które należy rozumieć gwałtowne przesuwanie się prawie całego narodu z jednego terytoryum na drugie. Mając na względzie olbrzymie obszary, zwłaszcza w Europie, leżące odłogiem, albo też posiadające bardzo nieliczną ludność o niskim stopniu kultury, przesuwanie się całych mas ludzkich z jednego miejsca na drugie, było zjawiskiem powszedniem. Ludy azyatyckie wskutek klęsk poniesionych w wojnie, czy też dla innych przyczyn, przesiedlały się na miejsca wolne, zwłaszcza do Europy.

Hittyci prawdopodobnie z powodu krwawych wojen z Egiptem i Asyryą, musieli rozszerzać swoje posiadłości na zachód, usuwając się w ten sposób od wzmiankowanych wyżej nieprzyjaciół. Po wojnie zaś z Asyryą, w której ponieśli, jak widzieliśmy wyżej, ogromną klęskę, musieli opuścić Syryę, ustępując ją całkowicie ludom semickim, sami zaś cofnęli się do Kapadocyi, a stamtąd przenosili się na terytoryum europejskie. Wędrówki z Kapadocyi do Europy rozpoczęły się daleko wcześniej jeszcze przed wojnami Salmanasara i Sargona.

Już w jedynastym wieku przed Chrystusem znajdujemy wyraźne ślady migracyi ludów azyatyckich do Europy. Pierwsze wędrówki Hittytów prawdopodobnie nastąpiły po przegranych walkach z Ramzesem II, albo też może po innych ówczesnych klęskach, o których nie wspominają dokumenty egipsko-asyryjskie. Zwycięstwo Salmanasara przyczyniło się tylko do zakończenia migracyi hittyckiej.

Hipoteza więc migracyi może jedynie rozwiązać kwestyę milczenia źródeł asyryjskich o Hittytach. Po całkowitem usunięciu się Hittytów z północnej Syryi za czasów Salmanasara i Sargona, został przerwany bezpośredni kontakt, jaki łączył ten naród z semitami. Kronikarze więc asyryjscy nie mają okazyi czynienia wzmianek o Hittytach. Ci zaś, którzy jeszcze pozostawali w Kapadocyi, jako naród nie wywierający już wpływu pod względem politycznym na ówczesne stosunki wschodnie i nie graniczący bezpośrednio z państwami semickiemi, również pomijani byli milczeniem przez historyków asyryjskich.

Ks. Józef Kruszyński.

# Ruch literacki w Niemczech.

Wrócić nam trzeba jeszcze raz do jubileuszowych uroczystości, obchodzonych w tym roku w Niemczech. Nie do literackich jednak rocznic. Obchód setnego powrotu daty urodzin Hebbla, Wagnera, Ludwiga przygłuszyły hałaśliwe uroczystości, poświęcone wspomnieniom dokonanych przed wiekiem wypadków narodowych i politycznych. Inaczej zresztą w Niemczech być nie mogło. I na tym punkcie, jak na wielu innych, wyraźną jest zasadnicza różnica pomiędzy nami a naszymi sąsiadami i wrogami zarazem. Polacy, zwłaszcza w porozbiorowych swych dziejach, cenią ogromnie wysoko zarówno wszelką sztukę, jak i jej przedstawicieli. Polityk lub inny działacz praktyczny, choćby wiele dokonał i wielkie dla narodu położył zasługi, nie tak łatwo osiągnie powszechną wśród nas popularność, nie tak łatwo pozyska powszechną cześć i wdzięczność, jak artysta w którejkolwiek dziedzinie sztuki: mistrzów jak Paderewski Niemcy mają lub mieć mogą, natomiast ani dzisiaj ani na przyszłość nie jest możliwem w Niemczech, by choćby najgenialniejszy muzyk i kompozytor miał bodaj w przybliżeniu taką powszechną w narodzie popularność i cześć. A tak samo, jeśli nie w wyższym stopniu, jest z poetami: nikt nigdy nie dorówna w Niemczech narodowemu znaczeniu Mickiewicza. Przyczyny tej różnicy są jasne: Polacy, szczególnie po utracie państwowego bytu, zaprzęgli sztukę, zwłaszcza literaturę i poezyę, do służby narodowej, Niemcy narodowe i państwowe swe życie oddzielili w zupełności od artystycznego. Ta różnica pociąga za sobą oczywiście równie zasadniczo odmienne skutki. Już Schiller pisząc w r. 1800 wiersz o „Niemieckiej muzie“ przez pół się skarżył, przez pół się chwalił tą niezależnością narodowej poezyi od powiewów wiatru, płynących z wysokości

tronu a równie dobrze mógłby się był skarżyć czy pysznić mówiąc o jej niezależności od narodowego życia, dzięki której jej czysto artystyczne pierwiastki mogły się swobodniej i indywidualniej rozwinąć. Z drugiej jednak strony naród i państwo, nie czyniąc poezyi swoją sługą, nie użyczały jej też nigdy tego poparcia i tego resonansu, jakiego ona zawsze potrzebuje. Wolna i swobodna dzięki tej niezależności równocześnie ani się nie mogła w państwie i narodzie rozprzestrzenić, ani nie mogła w nich głębiej sięgnąć, ograniczyć się zawsze musiała do oddziaływania na szczupłe grono najkulturalniejszych jednostek.

Tak było za Fryderyka II, który jej żyć nie bronił, ale też o nią nic a nic nie dbał, tak było i jest w niemieckiej części Austryi, której władcy z rodu Habsburgów—z wyjątkiem nielicznych arcyksiążąt i to prawie zawsze tylko z kategoryi mniej lub więcej wykolejonych, jak np. Rudolf lub Jan—o literackie i wogóle artystyczne życie swego narodu i państwa nie troszczą się. Dopiero z wstąpieniem na tron Hohenzollernów Wilhelma II — także w tym roku jubilata! obchodzi bowiem ćwierćwiecze panowania—naród pozostał wprawdzie w ogromnej większości nadal obojętnym wobec wszelkiej sztuki, ale państwo w osobie monarchy poczęło się nią zajmować. To zajęcie się jednak *a priori* było czysto negatywnem: państwo może wpływać dodatnio na rozwój literatury naukowej, ułatwiając jej objętość i tempo badań przez zakładanie pracowni, subwencyonowanie uczonych, stypendya na podróże i t. p., ale pozytywne popieranie poezyi przez państwo jest niemal zupełnie wyłączonem. Jest także i—ze stanowiska wszechwładzy państwa—niepraktycznem, o ile bowiem najbardziej abstrakcyjna nauka przez zastosowanie jej rezultatów do życia praktycznego przynieść może państwu bezpośrednie korzyści, o tyle popieranie literatury pięknej przez państwo jest z góry—mówiąc po kupiecku—„żadnym interesem“. Poezya nigdy bezpośrednim interesom państwowym służyć nie będzie, służyć nie może; poeta może przyjąć poparcie państwowe, ale z góry—o ile poetą pozostać chce—musi się zastrzedz, że w zamian za to państwu nic nie da. Popieranie więc poezyi przez państwo byłoby chyba szczytnym altruizmem, a tego wymagać nie można od współczesnego państwa, a już najmniej od Prus Wilhelma II.

To też jego wpływ, raczej może usiłowania jego, zmierzające do wywarcia wpływu na poezyę, musiały się ograniczyć do negatywnego działania. Zapewne, w pierwszych latach panowania próbował poezyą „komenderować“, ale rychło spostrzegł się, że usiłowanie to jest próżną rzeczą, że, przeciwnie, odstręczy od pań-

stwa i tronu tych — jak np. Wildenbruch—poetów, którzy z dobrej woli, z przekonania chcą im służyć, a pozyska tylko marnych pismaków—jak osławiony major Lauff—za słabych, by siłą swego własnego talentu dojść do znaczenia; a i ci jego poparcia się dobrowolnie zrzekli, wiedząc, że ono sprowadza na nich tylko „odium“ jurgieltnictwa. To też Wilhelm II cofnął się na pole negatywnego tylko działania: nie mogąc np. wywołać w niemieckiej poezyi hymnów pochwalnych na cześć Hohenzollernów, zastrzegł sobie przynajmniej prawo bezwarunkowej kontroli każdego utworu poetyckiego, mającego związek z osobą jakiego Hohenzollerna. Już nie protegował tego, comu było miłem, ale zwalczał to, co mu było niemiłem. I zawrzała walka pomiędzy cesarzem a wszelakimi artystami. My o niej, o jej poszczególnych epizodach nieraz dowiadujemy się z dzienników, ale nie zawsze trafnie oceniamy siłę obu walczących stron, zazwyczaj przeceniamy siłę zwalczanych przez cesarza artystów. Czytając ogłaszane w dziennikach niemieckich protesty artystów przeciw prohibicyjnym czynnym lub tylko słownym zarządzeniom cesarza, przeglądając monachijskie pisma humorystyczne „Simplicissimus“ lub „Jugend“, przypuszczamy, że są one oznaką tryumfu artystów nad Wilhelmem II. I tak byłoby istotnie, gdyby za pierwszą ze stron walczących stał naród niemiecki, gdyby nawet on wogóle do sporu się mieszał. Tymczasem, jak się już powyżej rzekło, nawet w dobie czynnej ingerencyi państwa w Niemczech na sprawy sztuki, naród pozostał przy swej dawnej obojętności dla nich. Owe głosy protestu, to głosy grup i grupek, złożonych z kilkunastu lub kilkudziesięciu artystów; za nimi nie stoją masy, i to nietylko te miliony, które wszędzie są nieuświadomionemi, ale nawet i te tysiące, które u nas np. zawsze mieszają się do kwestyi sztuki i literatury; „Simplicissimus“ zaś lub „Jugend“—dzisiaj przestałyby wychodzić, gdyby im poparcia nie użyczała zagranica (w niemałej mierze—nawet nasza biedna Galicya, mimo, że oba pisma są na wskroś hakatystycznemi).

Te wszystkie uwagi wywołał i potwierdza zarazem najnowszy wypadek związany ściśle z jubileuszowemi uroczystościami tego roku. Miasto Wrocław urządziło wystawę patryotycznych pamiątek po wojnie o niepodległość z r. 1813. Zbudowano wspaniałą, olbrzymią „Festhalle“, jeden z kolosów współczesnego budownictwa i postanowiono urządzić w tym gmachu uroczyste przedstawienia okolicznościowe. Że techniczno-teatralną stronę widowisk oddano sławnemu Reinhardtowi z Berlina, to nic dziwnego: gwiazda tego rozgłośnego reżysera przestaje już może bu-

dzić bezkrytyczny zachwyt w dziedzinie inscenizacyi dramatów bardziej „intime“, świeci natomiast dawnym oślepiającym blaskiem w sferze problematu wyprowadzania na scenę całych mas. Mniej zrozumiałem jest, że napisanie utworu okolicznościowego powierzono nie komu innemu tylko Gerhartowi Hauptmanowi. Jedynym racyonalnym powodem był chyba patryotyzm lokalny, mimo złączenia całych Niemiec pod jednem wspólnem berłem cesarskiem i dzisiaj jeszcze wielką tam odgrywający rolę. W uroczystej hali Wrocławia, stolicy śląskiej prowincyi państwa pruskiego, należało oddać głos nie jakiemu bawarskiemu lub westfalskiemu, ale koniecznie śląskiemu poecie. Kto zaś jest obecnie największym śląskim poetą? Oczywiście Hauptmann. Ojcowie miasta tem chętniej za nim głosowali, że za swoją wystawą i temi przedstawieniami teatralnemi urządzili także i zagranicą reklamę. Hauptmann zaś, przeszłoroczny laureat Nobla, ma i u obcych rozgłos. Te dwa argumenty przemawiały za nim; wszystkie inne przeciw niemu. Tylko, że o tych ostatnich sławetni rajcy wrocławscy zapewne nic nie wiedzieli, dowiedzieli się o nich po niewczasie i—po szkodzie. Hauptmann autorem historycznego dramatu, bo takim oczywiście musiał być ów okolicznościowy utwór na obchód rocznicy r. 1813!.. Przecież on dotychczas napisał właściwie jeden jedyny dramat historyczny w pełnem znaczeniu słowa, „Floryana Geyera“, a ten chyba dowodzi raczej jego ujemnych kwalifikacyi. Hauptmann autorem dramatu, mającego być wyrazem patryotycznych uczuć szerokich mas, bo i takim musiał być oczywiście ten utwór przeznaczony do grania kilkanaście razy, a zawsze przed kilkoma tysiącami widzów!... On, który zawsze był indywidualistą, on, który w swoich przekonaniach — jak dowodzą dramaty „Przed wschodem słońca“ i „Tkacze“—bliższym jest obozowi socyalistów niż patryotów, przynajmniej w urzędowym sensie. Rada miasta Wrocławia musiała chyba o Hauptmannie nic nie wiedzieć więcej nadto, że jest poetą śląskim i laureatem Nobla... Że Hauptmann podjął się misyi, do której go wbrew jego naturze powołano, to już mniej dziwi: oczywiście nie przypuszczamy pobudek natury materyalnej (przy innej sposobności wykazaliśmy, że każdy rozgłośny niemiecki autor dramatyczny może sobie ładny mająteczek uzbierać, nawet z... niepowodzeń swoich sztuk), ale zrozumiałe są pobudki natury moralnej: on, w ostatnich czasach prześladowany niepowodzeniem w teatrze, coraz mniejszą wywierający siłę przyciągającą, chętnie skorzystał ze sposobności odezwania się w teatrze, który za jednym razem gromadzi pięć tysięcy widzów.

I stało się, co się stać musiało. Hauptmann napisał żądany utwór okolicznościowy. Jakiem on jest dziełem artystycznem, o to tutaj mniejsza; ostatecznie ani nie lepszem, ani nie gorszem od wszystkich podobnego rodzaju płodów nie tyle natchnienia ile rozkazu z zewnątrz. Ale ważniejszem jest, że nie zdołał on odpowiedzieć wymaganiom chwili: za dużo w nim indywidualnej historyozofii autora (np. w pojęciu Napoleona), za mało koniecznego w tych razach ogólnego uczucia. Więc po pierwszych przedstawieniach zaprzestano go grać, i to z wyższego, mówiąc stylem urzędowym: z najwyższego rozkazu: następca tronu, protektor całego wrocławskiego przedsięwzięcia jubileuszowego, założył *veto*, któremu się bezwzględnie poddali sławetni ojcowie miasta. Nawiasem mówiąc: z początku i sam autor. Hauptmann założył protest dopiero wtedy, gdy grono poetów i innych artystów ze swej strony wydało odezwę przeciw temu gwałceniu sztuki. Mamy więc typowy przykład walki państwa i monarchy przeciw poecie. I znowu nam, z daleka na te sprawy patrzącym, wyda się, że za protestującymi artystami stoi cały naród niemiecki. Bynajmniej. Według naszych pojęć powinien był zaprotestować sam pierwszy przeciw poecie, który bądź co bądź nie dał utworu odpowiadającego patryotycznemu nastrojowi szerokich mas. Ale naród niemiecki nie protestował przeciw Hauptmannowi, nie protestuje dzisiaj też przeciw jego pogromcom. Naród niemiecki i w pierwszym i w drugim wypadku milczy obojętnie i co najwyżej tę jedną, z całego wydarzenia wyciąga naukę: że niepotrzebnie usiłowano we Wrocławiu nawiązać nić pomiędzy niemiecką poezyą a niemieckim narodem, że lepiej będzie, gdy te dwa czynniki i nadal chadzać będą osobno. W jednym z telegramów do poety czytało się: „Pański utwór charakteryzuje rok 1813—wrocławski zakaz rok 1913“. Zdaje mi się, że pierwsza część telegramu zawiera nieprawdę, druga zaś prawdę, ale przywiązaną nietylko do jednego roku, lecz do zasadniczego wogóle stosunku pomiędzy poezyą niemiecką a narodem niemieckim. I dlatego tylko warto było o całej sprawie na tem miejscu mówić.

*

* *

Hauptmanna podwójnie niefortunny utwór jubileuszowy był zakończeniem sezonu teatralnego, który w tym roku nie dał wprawdzie niemieckiej literaturze i teatrowi żadnego arcydzieła, ale obojgu dostarczył więcej ciekawych dzieł niż przeszłoroczny. O kilku była już mowa w poprzednich naszych sprawozdaniach, tutaj przypadkowo pozostały do ocenienia trzy sztuki historyczne, od tamtej Hauptmanna znacznie wyższe poetycką i sceniczną wartością, chociaż podpisane nazwiskami bez porównania mniej głośnemi. Jedno z nich, Henryka Lilienfeina zagranicą jest zupełnie nieznane, chociaż w Niemczech miało już od kilku lat uznanie, nawet podziw, co prawda wśród szczupłej tylko garstki wielbicieli poety. Dopiero jednak tegoroczny dramat autora, „Tyran“, posiada istotną wartość, wynoszącą go ponad tak częste u Niemców neoklasyczne dramaty, bardzo kulturalne w intencyi, konwencyonalne w wykonaniu.

Impulsu dostarczył Lilienfeinowi niewątpliwie Hauptmann. W swej „Greckiej wiośnie“, jednej z najmniej znanych, ale zarazem jednej z najpiękniejszych swych książek, Hauptmann z entuzyazmem mówi o Periandrze jako o bohaterze nienapisanego dotąd dramatu. Historya pisze o nim, że rządząc Koryntem około r. 600 prz. Chr. położył znamienite zasługi dla miasta, jego materyalnej i duchowej kultury, ale wskutek wrodzonej gwałtowności miał niejeden ciężki grzech na sumieniu. A najcięższy ten: podejrzywając żonę o wiarołomstwo, udusił ją własnemi rękoma. Syn Lykophron dowiedział się o zbrodni ojca i zapragnął zemsty na nim. Lecz silniejszy od niego ojciec wygnał go z kraju. Wyrzuty sumienia tak go jednak dręczyły, że przywrócił syna do łaski, ba nawet chciał mu odstąpić tron. Zamysły Periandra pokrzyżowali jednak mieszkańcy Kerkyry, zabijając Lykophrona. Ojciec okrutnie na nich się pomścił, sam odtąd pędząc smutny żywot. Tyle historya. Z jej opowiadania wynurza się zasadniczy konflikt pomiędzy ojcem a synem: Periander zabił Melissę; Lykophron, ich syn, postanawia pomścić na ojcu śmierć matki. Problemat to na pierwszy rzut oka przypominający tragedyę zarówno Orestesa, mszczącego się na matce Klitemestrze za zamordowanie ojca, Agamemnona, jak i Hamleta, któremu duch ojca każe dokonać kary na królu-stryju i jego małżonce-matce. Już Hauptmann we wspomnianem dziele zwraca uwagę na tę analogię. W cieniu skał Akrokorinthu śnią mu się tragiczne postacie Periandra, Melissy, Lykophrona. Rozważa ich ponury los i dalej tak pisze: „Wielki Anglik stworzył tragedyę syna, którego matka uczestniczyła w zamordowaniu swego męża a jego rodzica. Nie

wyczerpał on aż do dna psychologicznych możliwości, leżących w tym przedmiocie. Bo jest on w swojej istocie wogóle niewyczerpanym i to w tem znaczeniu, że może się objawiać w coraz to nowych formach, z coraz nowych głębi. Problemat Periander—Lykophron jest może jeszcze straszniejszym i bardziej zagadkowym od zagadki Hamleta i jego matki. A przytem ten boski młodzieniec Lykophron jest tak podobnym do księcia duńskiego, że możnaby go nazwać korynckim, nawet greckim Hamletem". Lilienfein wciela poniekąd wizyę Hauptmanna. Jego „Tyran" jest szekspirowskim w osnowie i nawet często—co jest mniej pożądanem—w wyrażeniach. Ale obok tej zależności ma i wybitną samodzielność, tworzy te „nowe psychologiczne możliwości", o których mówi Hauptmann, a czyni to nie sztucznie, lecz tylko z mądrem wyzyskaniem samego podania. Jego Lykophron jest istotnie bardziej skomplikowanym od Hamleta. Szekspira bohater uczuciowo nie jest niczem związany z matką, która nie osobiście, lecz chyba tylko wogóle jako matka może liczyć na jakieś jego współczucie, z ojczymem tem bardziej nic go nie łączy, dzieło zemsty jest zatem u niego stosunkowo łatwem. Lilienfeina bohater wie, że jest przez ojca kochanym, i wie, że ten ojciec jest i kochania, i szacunku, i nawet litości godnym; więc u niego wykonanie postulatu zemsty staje się tem trudniejszem.

Pozornie ułatwia mu sprawę ta okoliczność, że przeciw Periandrowi powstaje spisek, chcący się właśnie synem posłużyć. Oto tyran koryncki ma przeciw sobie wielu obywateli miasta z Sosiklesem na czele. Periander godząc się z synem pragnie pojednać się i z przeciwnikami i w tym celu każe Lykophronowi poślubić piękną Aglaię, córkę owego Sosiklesa; młodzieniec jednak odtrąca ją, nie jakoby jej nie kochał, ale, że go oburza imperatywne postępowanie ojca. Sosikles teraz w gniewie jeszcze bardziej podniecony przygotowywa spisek przeciw Periandrowi i chytrze spożytkowuje osobisty porachunek niedoszłego zięcia z ojcem: na wielkiem publicznem zebraniu Lykophron ma się głośno zapytać ojca o śmierć matki, a gdy zapytany nie da odpowiedzi albo ucieknie się do kłamstw lub wykrętów, spiskowcy rzucą się na niego i zabiją go. Ten spisek jest jednak pozornie tylko ułatwieniem trudnego dzieła Lykophrona. Mniejsza o to, że tyran, uprzedzony przez szpiega, wie o grożącem mu zamachu; ważniejszem jest to, że Lykophron w ostatniej chwili właśnie dlatego, że ma pomścić swoją własną straszną krzywdę, nie chce zepchnąć jej tylko do rzędu ubocznego narzędzia spiskowców, zrywa z Sosiklesem i sam w cztery oczy postanawia się z ojcem roz-

prawić. Rozgrywa się wielka scena pomiędzy nimi dwoma, w dramacie najgłówniejsza, z wielką siłą przeprowadzona. I tu wyłania się nowa komplikacya, o ile chodzi o podobieństwo do Hamleta. Tamten stał wobec morderców, bojących się zapewne nieraz kary za zbrodnię, ale nie żałujących jej w głębi serca. Lykophron ma przed sobą mordercę, który łatwo może sobie na zawsze zabezpieczyć materyalną bezkarność, który jednak tem straszliwiej odczuwa w sumieniu ciężar winy i od czasu jej popełnienia nie zaznał ani chwili szczęścia, chociaż zewnętrznie silnie dzierżył dalej berło tyranii Koryntu w przeświadczeniu, że jest to koniecznem dla dobra miasta. W tych warunkach dzieje się to, co się dziać musi. Lykophronowi skierowany przeciw ojcu sztylet wypada z ręki, on sam idzie na wygnanie, ojciec nadal dumnie nosić będzie na czole obręcz złotą, która go gniecie. Problemat jest rozwiązany bez krwi, nie ma dalszego ciągu, o którego tragicznej wartości Hauptmann z równym zachwytem jak o początku mówi. Teatralnie jest to może i osłabieniem wrażenia dramatu, psychologicznie i artystycznie jednak i ten zwrot sprawia pełne zadowolenie, jak wogóle cały utwór Lilienfeina, który tutaj po raz pierwszy usprawiedliwił pokładane w nim górne nadzieje.

I drugiego historycznego dramatu autor nie nosi jeszcze głośnego nazwiska, chociaż jedno z dawniejszych jego dzieł scenicznich, „Tersytes“, zdobyło szczere uznanie szczupłego coprawda grona znawców. Dzisiaj Stefan Zweig występuje ze sztuką p. t. „Dom nad morzem“. Tchnie ona niezwykłym liryzmem, co tem silniejsze musi wywołać wrażenie, że tłem jej jest najohydniejsza karta dziejów niemieckich, uwieczniona już przez Schillera w „Intrydze i miłości“, świeżo przypomniana jubileuszem jednej z jej ofiar, Seumego, czasy, kiedy to książęta niemieccy a w szczególności landgraf hesski sprzedawali swoich poddanych Anglii, pragnącej oszczędzać własnej krwi w walce przeciw dobijającej się wolności Ameryce północnej.

Gdzieś nad morzem stoi w Niemczech cichy dom, mieszczący w sobie także skromną gospodę. W domu tym mieszka stary żeglarz, Gotthold Krüger i bratanek jego Tomasz, ożeniony z młodą i zalotną Katarzyną—i mieszka w tym domu zrazu niezamącone niczem szczęście. Wtem wpada do gospody jakiś młody żeglarz, pijany z radości: doszedł przypadkowo do wielu pieniędzy, kupi sobie za nie grunt i chałupę. To początek nieszczęścia, chociaż zrazu zdarzenie to nie zdaje się pozostawać w jakimkolwiek związku z rodziną Krügerów. Bo oto za chwilę przybywają no-

wi goście do gospody, ale już smutni i przygnębieni: to właśnie ów „żywy towar“, pchany w obce strony twardą ręką brutalnego dowódcy werbowników. Żołdak zna Katarzynę: zanim została żoną Tomasza, zanim jego naiwną duszę opętała, była żołnierską dziewką i taką znał ją właśnie przybysz. Tomasz z rozmowy obojga domyśla się teraz przeszłości Katarzyny i jak struty chodzi po szczęśliwym jeszcze wczoraj domu. Tymczasem stary Gotthold dopomógł jednemu z rekrutów do ucieczki. Dowódzca werbowników, obowiązany do dostarczenia pełnej liczby „sztuk“, upaja owego młodego żeglarza, wyłudza od niego pieniądze, podsuwa mu do podpisania kontrakt żołdacki. Zapóźno spostrzega się biedak, że oto w niwecz się obróciły jego sny o szczęściu, o własnem gospodarstwie na wsi. Ale od rozpaczy ratuje go Tomasz: dowódca oddziału wyjawił mu w sprzeczce cynicznie całą nagą prawdę o Katarzynie i Tomasz wie, że żyć z nią dalej nie może. Dobrowolnie więc ofiarowywa się zastąpić tamtego żeglarza; werbownik go przyjmuje, bo przecież chodzi tylko o to, by ilość sztuk żywego towaru była ta sama. Teraz dopiero Tomasz dowiaduje się, że wkrótce ma zostać ojcem dziecka. Chciałby się cofnąć, ale już jest zapóźno.

Następuje długa, dwudziestoletnia przerwa. Tomasz tam za morzem przecierpiał niewypowiedziane męki, ale otuchy dodawała mu myśl o dziecięciu, naturalnie synu, pozostawionym w domu rodzinnym. Zdołał się uwolnić z wojska, pracą dorobił się majątku, pod nazwiskiem Toma Atkinsa zakupił farmę i postanawia do niej sprowadzić syna. Wraca do Europy. Niepoznano go jednak w domu nad morzem. Jakżeż się tutaj wszystko zmieniło! Prawda, jest jeszcze stary Gotthold, dzisiaj już niemal stuletni, on jeden niezmieniony, zawsze poczciwy. Katarzyna też żyje, ale z zalotnej, młodej i pięknej kobiety zrobiła się wstrętną, starą babą, szminką i różem udającą młodość; musi tak robić, bo na wieść o śmierci Tomasza poślubiła młodego parobczaka Piotra, który dzisiaj zaleca się z powodzeniem i z cyniczną otwartością do jej własnej córki z pierwszego małżeństwa, Krystyny. Tom Atkins powoli, z rosnącą rozpaczą i wstrętem oryentuje się w tej sytuacyi a najbardziej go to boli, że nie ma oczekiwanego syna, tylko córkę, która zaczęła już wstępować w ślady matki. Trzyma w ręku starą rodzinną Biblię, widzi w niej zapisane ręką ojca swego własne nazwisko i kładzie przy niem krzyżyk. I porzuciłby z rezygnacyą żonę i cały dom nad morzem, niepoznany wróciłby jako Tom Atkins do Ameryki, gdyby widok Piotra nie obudził w nim w ostatniej chwili pragnienia zemsty, choćby kosztem zmarno-

wanego już i tak własnego życia. Sposobność się nadarza. Okręt, wiozący emigrantów do Ameryki, już odpłynął. Piotr jest gotów łódką zawieść Tomasza do statku, ale za wynagrodzeniem cynicznie wygórowanem. Tomasz rzuca mu żądaną garść złota. Siadają obaj do czółna. Pozostali w domu widzą rozgrywającą się w łodzi tragedyę zemsty: Tomasz rzuca się na Piotra, dusi go, ten się broni, czółno się przewraca, obaj wpadają w głąb morza...

Łatwo jest stwierdzić zależność utworu Zweiga od nieśmiertelnego „Enocha Ardena“ Tennysona a choćby i od pośmiertnego „Żywego trupa“ Lwa Tołstoja. Łatwo jest mówić o nieprawdopodobieństwie założenia, bo nie chce się wierzyć, by Tomasz, który z ulicy wziął sobie żonę, był później zdolnym do tak delikatnych uczuć. Łatwo jest stwierdzić brak wszelkiego realizmu w dyalogu, gdzie wszystkie osoby mówią jednakowo pięknym, poetyckim językiem, w ustach ich nieprawdopodobnie brzmiącym; łatwo jest zarzucić dramatowi, że zawiera za dużo lirycznych, balladowych elementów. Ale mimo to wszystko, niemożliwem jest nie poddać się urokowi tego dzieła, działającego silnie i szlachetnie. I gdyby się dla niego znalazł polski tłómacz, miałoby ono niewątpliwie i na naszej scenie to samo powodzenie, jakiem się cieszyło w Niemczech.

W przeciwieństwie do niego dramat Timma Kleina, zupełnego nowicyusza w literaturze, zaciekawi nas przedewszystkiem tem, że jego tytułowym bohaterem jest Wit Stwosz. Wiadomo, że w ostatnich czasach około osoby mistrza Maryackiego ołtarza powstała w Polsce bardzo obfita, przedewszystkiem polemicznym temperamentem nacechowana literatura, głównie wytworzona piórem powieściopisarza i malarza p. Ludwika Stasiaka, który z jednej strony bezwarunkowo zalicza Stwosza do narodowości polskiej, z drugiej bezporównania więcej niż dotychczasowe badania naukowe przyznaje mu dzieł rzeźbiarskich, głównie kosztem Piotra Vischera. Nie tutaj jest oczywiście miejsce do oceny wywodów p. Stasiaka, które w Niemczech przeważnie pomijane milczeniem, u nas wśród zawodowych historyków sztuki wywołały więcej protestów niż zgody. Spełniamy natomiast obowiązek pośrednika między niemiecką literaturą a polskiem społeczeństwem wskazując na obszerną, świeżo w niemieckim języku ogłoszoną pracę Maxa Lossnitzera, poświęconą Witowi Stwoszowi, której autor bada skrupulatnie żywot i dzieła mistrza, kwestyę jego narodowości pozostawiając jednak nierozstrzygniętą. Podobnie postępuje i wymieniony autor dramatyczny Klein. Chyba, że odpowiedzią na to pytanie będą słowa Stwosza, wypowiedziane zresztą

w chęci przeciwstawienia się włoskiemu artyście, że jest „niemieckim mistrzem“. Akcya dramatu rozgrywa się zresztą już po powrocie mistrza do Norymbergi, krakowskie jednak lata są u niego w trwałem i wdzięcznem wspomnieniu. „Przez dwadzieścia lat rzeźbiłem w Polsce“, mówi Stwosz, „mój ołtarz w Krakowie—powiadam Wam, król polski był jakby pijany, gdym otworzył jego skrzydła. Tylko Stwosz ma zrobić mój nagrobek — zawołał — i stał się on rzeczywiście jednem z najpiękniejszych moich dzieł, ten nagrobek króla polskiego“. A gdy w rodzinnem mieście nie znajduje uznania, grozi: „Wezmę w rękę tobołek z rzeczami i wrócę do Polski, gdzie moja żona leży w grobie, i opowiem Polakom, że przychodzę do nich, bo w Norymberdze majstrowie muszą próżnować a czeladnicy są majstrami“. Zanotujmy narazie błąd historyczny w tem, co mówi Stwosz. W Krakowie niema grobu jego żony: pierwsza Barbara, umarła w r. 1496, w Norymberdze, druga Krystyna też tam w r. 1526. Nie podkreślamy tej „licentia poetica“, bo—jak się poniżej okaże—nie jest ona ani jedyną w tym dramacie, ani najważniejszą.

W środku akcyi utworu Kleina stoi ów smutnej pamięci proces kryminalny, zakończony napiętnowaniem—w dosłownem znaczeniu wyrazu—Stwosza jako fałszerza i oszusta. Poprzednik Kleina, nasz Wincenty Pol pisząc poemat o genialnym artyście, czyni to pod formą spowiedzi oślepłego starca, który córce prawi dzieje swego żywota i w tym procesie uważa się za ofiarę podłych intryg oszczerców, a w myśl tego poemat Pola kończy się rehabilitacyą Stwosza: senat norymberski przyznaje się do pomyłki i mistrzowi przywraca cześć. W świetle historyi rzecz przedstawia się inaczej i niestety dla rzeźbiarza daleko mniej zaszczytnie. Oto w stosunkach pieniężnych z Jakóbem Banerem, Stwosz za jego radą zdeponował u spekulanta Starzedla sumę 1265 florenów, ten ostatni zapłacił z niej swoje długi u Banera, rychło jednak nie mogąc innym zobowiązaniom podołać uciekł z miasta. Stwosz wytoczył wtedy Banerowi proces cywilny o zwrot tej sumy, a ponieważ jego pretensya w tych warunkach prawnie była bardzo niepewną, wpadł—podobno znowu za czyjąś radą—na nieszczęsny pomysł dopomożenia sobie do prawa oszustwem: sfałszował oblig i pieczęć Banera i przedstawił sądowi ten podrobiony dokument. Fałszerstwo było podobno tak udatne, że sam Baner wahał się długo, czy dokument nie jest prawdziwym. Proces się wlókł długo i w pierwszej instancyi zakończył się odrzuceniem skargi Stwosza. Apelował on wtedy wyżej a tymczasem, trapiony wyrzutami sumienia, udał się na dobrowolną pokutę do klasztoru, gdzie syn

jego był zakonnikiem. Tutaj przyszło pomiędzy nim a Banerem do polubownego załatwienia owego sporu cywilnego, w którym Stwosz już nie podtrzymywał autentyczności owego obligu. Na karny proces przeciw rzeźbiarzowi ta umowa nie miała żadnego wpływu, chyba ujemny: zarówno ucieczka do klasztoru, jak i porzucenie powoływania się na rzekomy weksel Banera, były raczej uważane za pośrednie przyznanie się do winy. Zamknięty w więzieniu znalazł znacznych obrońców i tylko dzięki im nie został, jak tego wymagało bezwzględne prawo, skazanym na śmierć, lecz wybito mu na obu policzkach hańbiące piętno fałszerza. Sprawa pociągnęła za sobą długi i zarówno dla Norymbergi jak i dla Stwosza, bardzo przykry epilog: zięć jego Jörg Trummer wydał miastu zbrojny spór, t. zw. Fehde, uwikłał teścia w długoletnie procesy, nie oszczędził mu w nich dalszych jeszcze kar i nie doprowadził go nigdy do rehabilitacyi.

Niewątpliwie dla oceny wartości jego dzieł jest to obojętnem, czy Wit Stwosz był fałszerzem czy też człowiekiem bez wszelkiej skazy na honorze. Niewątpliwie także miał za sobą okoliczności łagodzące, bo nie działał na cudzą szkodę, tylko fałszerstwem chciał sobie wywalczyć to, co mu się z prawa należało; niewątpliwie wreszcie kara, jaka go za to spotkała, była i bezwzględnie zbyt okrutną i w stosunku do winy i winowajcy zbyt surową. Niemniej jednak niewątpliwem jest i to, że ten nieszczęsny proces w realistycznej swej prawdzie pozbawia Stwosza kwalifikacyi na bohatera dramatu. Klein, chcąc mimo to napisać swoją sztukę, musiał tę kryminalistyczną sprawę *ad usum* literatury zasadniczo przerobić. I tak postąpił, a naszem zdaniem przeróbki dokonał bardzo szczęśliwie.

Przedewszystkiem zmienił sam punkt wyjścia owej sprawy: już nie chodzi o odzyskanie ulokowanej u jakiegoś spekulanta sumy pieniężnej, ale o to, co dla ambitnego artysty jest zawsze rzeczą najważniejszą, o możność popisania się swoim talentem. Oto patrycyusz norymberski Antoni Tucher postanawia przed zbliżającą się śmiercią ufundować dla przesławnego kościoła św. Wawrzyńca rzeźbę, przedstawiającą N. P. Maryę. Woła do siebie dwóch rzeźbiarzy: Włocha i Stwosza, aby po rozmowie z nimi rozstrzygnąć, któremu z nich ma powierzyć wykonanie dzieła. Stwosz usilnie nalega na niego, by jemu zaufał; chodzi mu o ten obstalunek tem więcej, że uważając swą córkę Basię za wcielenie typu Madonny, chce ją w rzeźbie uwiecznić (nawiasem mówiąc, według Lossnitzera, żadna z córek Stwosza nie nosiła imienia Barbary). Ale właśnie ta natarczywość zniechęca Tuche-

ra. „Rozumiem, że miłujecie Waszą córkę, ale ja chcę ufundować pamiątkę Matce Boskiej, a nie córce mistrza Stwosza". Obstalunek dostaje się Włochowi, potrzebny dokument jest już przygotowany; z drugiej jednak strony Tucher chce rozdrażnionego Stwosza uspokoić i zatrzymuje go w tym celu przy sobie już po odejściu jego szczęśliwszego współzawodnika. Rozmowa miasto uspokojenia przynosi jeszcze większe rozdrażnienie obu mężczyzn; Tucher dostaje w ciągu niej ataku apoplektycznego. Jeszcze żyje, gdy szatan podsuwa Witowi Stwoszowi piekielną myśl: jeśli wydrze z rąk starca ten papier, umowa z Włochem będzie nieważna, on, Stwosz, sam będzie mógł twierdzić, że zmarły przed zgonem się rozmyślił, na jego stronę się przechylił. I mistrz tak robi, fałszuje inną umowę, już z nim.

Ale oszustwo wychodzi na jaw, właśnie w chwili, gdy Stwosz ma skończone już dzieło oddać kościołowi. Zdradza go Starzedel, u Kleina będący czeladnikiem Wita; zalecał się on namiętnie do Basi, która go odtrącała, kochając Jakóba Vischera, syna sławnego gisernika. Gdy swą natarczywość posuwa za daleko, Basia woła ojca, a ten zalotnika wypędza z domu. Starzedel poprzysięga zemstę i dokonywa jej, zdradzając Włochowi i senatowi norymberskiemu tajemnicę mistrza. (Jak zdrajca wpadł na trop oszustwa, to jest w dramacie niedostatecznie wyjaśnionem). Młody Vischer pragnie przyszłego teścia uchronić od hańby i żąda od Starzedla, by oskarżenie odwołał; on tego oczywiście uczynić nie chce, a wtedy Jakób w sprzeczce zabija go. Sam musi natychmiast z miasta uciekać i zabiera z sobą Stwosza, którego władza już za fałszerstwo ściga. Chronią się wszyscy troje— bo i Basia naturalnie jest z nimi —na zamek Tomasza z Absbergu, śmiertelnego wroga Norymbergi. Tutaj Stwosz otrzymuje wezwanie przed sąd. Postanawia być posłusznym. Vischer musi uciekać do obczyzny, bo za zabójstwo grozi mu kara śmierci. Więc się rozłączyć muszą. Ale Basia? Ona o winie ojca nic nie wie, widzi w nim tylko starego, schorowanego i zdenerwowanego człowieka, który bez niej nie mógłby żyć. I gdy ojciec tego żąda, córka po długiej wewnętrznej walce opuszcza ukochanego Jakóba, a z ojcem wraca do Norymbergi.

Wit Stwosz staje przed sądem. Do popełnienia czynu się przyznaje, ale nie widzi w tym nic hańbiącego: „A więc tak! Ja to popełniłem! Podrobiłem list—stało się i dobrze się stało. Bo nikt na świecie nie mógł Anielskiego Pozdrowienia lepiej wyrzeźbić... Tu nie było mowy o prawie i bezprawiu. Ja widziałem tylko dzieło, które mnie powinno było być poruczonem.

„Tyś powinien to dzieło wykonać“! tak coś krzyczało we mnie. A złego dzieła ja nie mogę znosić... Jeżeli rozbiłem kilka garnków—zapłacę za nie—każę za nie nowe ulepić. Tak—jeszcze raz postawiłbym życie na kartę! Dla tego dzieła jeszcze raz“! Prawa norymberskie żądają za ten czyn kary śmierci—sąd w drodze łaski uchwala piętnowanie, chociaż obwiniony błaga raczej o topór katowski. Dopiero, gdy ojciec stoi pod pręgierzem, Basia dowiaduje się o jego zbrodni. Nie mogąc przeżyć hańby rzuca się w nurty rzeki Pegnitz. Stwosz wraca do domu, gdzie pociesza go jeden jedyny przyjaciel, Albrecht Dürer. Jeszcze nieszczęśliwy ojciec nie wie o samobójstwie córki. Wtem wnoszą jej zwłoki. Zrozpaczony rzeźbiarz rzuca się najprzód na swoje dzieło, które było przyczyną jego hańby i nieszczęścia, a powstrzymany przez Dürera, topi sztylet we własnej piersi i pada martwy u stóp nieżywej Basi. (W rzeczywistości artysta przeżył piętnowanie w r. 1503 o trzydzieści lat i zmarł w zgrzybiałym wieku śmiercią naturalną).

Znać, że ten dramat to pierwociny rzeczywistego talentu. W swobodnem przystosowaniu historycznej opowieści do wymagań dramatu widać pewność i samodzielność. W wyszukiwaniu dramatyczności jest raczej nadmierna obfitość niż ubóstwo: wszak wystarczyłby już sam problemat ambitnego artysty, nie potrzeba było drugiego motywu: trochę patologicznej tradycyi ojca-artysty. Stwosz tak jest u Kleina rozkochany jako rzeźbiarz i jako ojciec w swojej córce, że ani jej nie chce nikomu oddać, nawet—a może najmniej—przyszłemu mężowi, ani nie może bez niej żyć, nietylko jako człowiek, lecz i jako artysta. Prawda: takie postawienie rzeczy dopomaga autorowi do uzyskania efektownej końcowej katastrofy, a nawet poniekąd i do jej wyjaśnienia, zawartego w słowach samego Wita: „Dziecko, czyż to było zbrodnią, żem ciebie do nieba podnosił—ja, mojemi nieczystemi rękoma“? Z drugiej jednak strony Klein fałszuje niewątpliwie historyczno-artystyczne pojęcie o Stwoszu, jeżeli każe mu przed śmiercią i te słowa wyrzec do Dürera: „Sztuka, mistrzu, sztuka! Sztuka zamarła—zamarła z nią razem. A co z niej pozostało, jest mi wstrętnem. Jam już nie żaden mistrz. Sztuka nie była we mnie, ona była w niej. A jam zabił sztukę“! Cokolwiek się atoli dramatowi Kleina zarzuci, nie można mu odmówić niezwykłej siły, w czytaniu już się ujawniającej, ze sceny zapewne jeszcze wydatniej przemawiającej. A dodać trzeba i to, że autor nie ucieka się pod skrzydła wierszowanej mowy, pod-

trzymującej zazwyczaj wewnętrzną słabość dramatów historycznych, lecz zrzekając się tej pomocy pisze prozą, prostą a wyrazistą.

*

* *

Dramat Kleina potrącił bądź co bądź o dzieje i stosunki polskie. Skorzystajmy z tej sposobności i zapoznajmy się znowu z kilkoma najnowszemi okazami tak charakterystycznej beletrystyki niemieckiej na polskiem tle osnutej, o której na tem miejscu już dawno nie mówiliśmy. Nie wolno zapominać, że istnieje ona ciągle tak, jak nie przestaje istnieć w polityce niemieckiej „sprawa polska". Jej okazy zjawiają się zarówno w dziedzinie romansu historycznego jak i współczesnego, przyczem naogół ta pomiędzy niemi zachodzi różnica co do usposobienia autorów niemieckich względem Polaków, że pierwszy przeważnie ma dla nas sympatyę, nieraz nawet bardzo wyraźną, drugi zawsze nienawiść, zwykle bardzo zaciekłą. Łatwo tę różnicę wytłómaczyć: opowiadając o zamarłej przeszłości można bez wszelkich wysiłków zachować spokój i umiarkowanie; owszem iść one mogą nawet w kierunku życzliwości, dochodzącej aż do entuzyazmu, bo przecież i powieściopisarz niemiecki nie zdoła zaprzeczyć, że polskie dzieje posiadają w wysokim stopniu te cechy, które w romansie historycznym są bardzo pożądane: rycerskość i barwność; mówiąc natomiast o rzeczach współczesnych, trudno nie dać się porwać wirowi zagadnień polityki aktualnej, której znamieniem jest i na długo, jeśli nie na zawsze, pozostanie zacięta walka dwóch narodowości, w Poznańskiem coraz bardziej przybierająca postać żywiołowej walki dwóch szczepów, dwóch odwiecznie sobie wrogich ras.

Ta sympatya Niemców do historycznej Polski — n. b. sympatya czysto estetyczna, bez praktycznych konsekwencyi, a raczej nawet z tą „praktyczną", że ta historyczna Polska już na wieki się zapadła, że zatem roni się sentymentalną łzę nad nieszkodliwym już nieboszczykiem — właśnie w tym jubileuszowym roku wytrzymuje ogniową poniekąd próbę. Wszak właśnie przed stu laty Polacy i Niemcy uczuciem i czynem znaleźli się w przeciwnych, zwalczających się obozach: myśmy byli przy Napoleonie, od którego spodziewaliśmy się restauracyi Królestwa Polskiego, na-

si sąsiedzi zwalczali Napoleona, który państwowemu i narodowemu ich bytowi poważnie zagrażał; bitwa pod Lipskiem dla nas była ostatnim aktem tragedyi rozwiania się naszych patryotycznych ułud, dla nich pierwszym aktem radosnego dramatu realizacyi patryotycznych nadziei. A jednak mimo to Feliks Nabor konstruuje... braterstwo broni pomiędzy Polakiem a Niemcem, dobrze jeszcze, że nie Prusakiem, tylko Wirtemberczykiem. W bardzo zgrabnie napisanej powieści historycznej z r. 1812 i 1813 pod tytułem równobrzmiącym z dewizą wirtemberskiego domu panującego „Nieustraszenie i wiernie“ opowiada o serdecznej przyjaźni Maksa Stauffenberga i Władysława Kopryńskiego. Obaj idą na północ za orłami napoleońskimi: pierwszy niechętnie, bo w cesarzu widzi wroga Niemiec, drugi z entuzyazmem, chociaż chwilami ma wątpliwości, czy Napoleon będzie istotnie wskrzesicielem Polski. Obaj się rozumieją wzajem: Maks nie bierze Polakowi za złe jego zapału, Władysław pojmuje wrogie uczucia Niemca. Łączy ich potem tem ściślej upadek nadziei polskich. Kopryński odwraca się od cesarza, który go zawiódł, Stauffenberg wzmacnia się w nienawiści, bo na rachunek Napoleona zapisuje teraz jeszcze jedną zbrodnię,—oszukanie Polaków. Oczywiście obu przyjaciół łączy także kobieta: nie ta, którą Maks kocha, córka stuttgarckiego mieszczanina, ale siostra Kopryńskiego, Marya Dubieńska, po smutnem małżeństwie w młodości owdowiała i rozkochana zapamiętale a szlachetnie w Stauffenbergu, który żywiąc dla niej najwyższą cześć, nie ma odwagi wyznać jej, że kocha inną. Na Maryę Nabor zlewa wszelką obfitość swoich powieściopisarskich łask: czyni z niej naczynie wszelkiej fizycznej i duchowej doskonałości, w jej osobę przedewszystkiem wciela wzniosły romantyzm patryotyczny Polaków, idących w otchłań za błyskotliwą gwiazdą Napoleona. Ma ona odwagę domagać się od cesarza spełnienia danych jej rodakom przyrzeczeń, ma odwagę bić się wraz z bratem i z ukochanym na ściętych lodem polach Północy, ma wreszcie z łaski autora bohaterską śmierć od kuli kozackiej, śmierć potrzebną zresztą Naborowi do tego, by Stauffenberg nie był zmuszonym do bezwzględnej otwartości względem Maryi, a przecież mógł po wojnie spocząć w pulchnych objęciach swojej stuttgarckiej mieszczki. W morzu tej szlachetności nie tonie tylko książę „Lazienki“ (!) konkurent do ręki bogatej Dubieńskiej, który zazdrosnem okiem patrzy na wirtemberskiego oficera, jest wogóle ciemnym intrygantem i ku zadowoleniu autora, chociaż wbrew historyi, sprowadza jakieś nieznane dziejopisarzom spiski, a nawet bunty polskie przeciw zdradli-

wemu cesarzowi. Obowiązkowe obrazy rosyjskiej kampanii, pożaru Kremlu i t. d. dopełniają udatnie tej powieści, będącą dla nas przedewszystkiem okazem polonofilskich romansów historycznych, nie znikających i w dzisiejszej literaturze niemieckiej.

A oto nowy ich przykład, ciekawy zresztą i z innych względów. Niemiec, który nic tak nie lubi, jak łączenie się w towarzystwa, przybrane w jednakowe uniformy, a przynajmniej wspólne odznaki, tworzy i w literaturze z lubością serye wydawnictw, dłuższy lub krótszy poczet książeczek o jednakowej zewnętrznej formie, a podobnej treści. W piśmiennictwie naukowem i naukowo-popularnem takich wydawnictw jest już wiele, nieraz z niemałym pożytkiem dla ich odbiorców; widocznie odnosi stąd korzyść i nakładca, kiedy ten zwyczaj przenosi się i do belletrystyki, chociaż zdawać by się mogło, że powieściopisarstwo nie zechce tak karnie maszerować w szeregu. Oto n. p. serya romansów: „Z ogrodu miłości koronowanych i niekoronowanych głów“. Kto chce wglądnąć w duszę szerokich kół inteligencyi niemieckiej, tej, która powieści czyta i kupuje, ten tych tomów nie może z lekceważeniem na bok odrzucić. Powieści o miłości— bo Niemiec o miłości mówić i czytać ogromnie lubi, chociaż w życiu zbytnio się temu uczuciu nie poddaje. Ale o miłości wzniosłej, sentymentalnej i koniecznie nieszczęśliwej, chociaż on w życiu z takiego uczucia drwi, a „miłość“ uważa tylko za konieczną dla umożliwienia powstania rodziny i uregulowania gospodarstwa domowego. Ale ta miłość najbardziej mu się będzie podobała, gdy jej bohaterami będą—bodaj po jednej stronie — „koronowane“ głowy: bo Niemiec dla wszelkich wysokich sfer ma ogromny szacunek. Druga strona może pochodzić z niższych sfer, owszem, bo w ten sposób powstanie właśnie owa czuła nieszczęśliwa miłość: różnica stanowiska uniemożliwi kochankom połączenie się. Wszak nawet w „Wertherze“ Goethego kochanek jest mieszczaninem, panna szlachcianką, co Niemcom się bardzo podobało, chociaż Napoleon, z daleko większą słusznością zganił Goethemu w oczy to pomieszanie różnicy stanu z zasadniczym motywem nieszczęśliwej miłości.

Czy to przypadek, że w obu pierwszych tomach tego bardzo rozpowszechnionego wydawnictwa, bohaterkami są właśnie Polki? Może i nie. Świat niemiecki nic nie wie i wiedzieć nie chce o Polsce pracującej na niwie materyalnej czy duchowej kultury, ale wie i wiedzieć chce wszystko co jest prawdą i co jest nieprawdą o Polsce kochającej, łącząc tu miłość ojczyzny z miłością

kochanka. Jak my Francuzkę poniekąd wyobrażamy sobie zawsze jako wytworną „demi mondaine“ choćby w „całym“ świecie, tak gdy powiesz Niemcowi słowo „Polka“, on widzi jakieś czarująco piękne stworzenie, przeznaczone wyłącznie do kochania, a w tem kochaniu i dla tego kochania zdolne zarówno do najszlachetniejszych, jak i najpotworniejszych uczynków. W tych dwóch kierunkach z równą konsekwencyą idą niemieckie powieści o Polkach. Tym razem oba tomy owego „Ogrodu miłości koronowanych i niekoronowanych głów“ przedstawiają tylko szlachetne Polki. Jedną jest pani Walewska, kochanka Napoleona I, drugą Eliza Radziwiłłówna, niedoszła żona późniejszego cesarza Wilhelma I. O pierwszej opowiada Robert Heymann, o drugiej Anna von den Eken. Tamtego czyta się z zajęciem, ale bez głębszego wzruszenia, bo treść książki jest już znana z tylu innych, historycznych, pseudohistorycznych i belletrystycznych; tu z tą tylko odmianą jest powtórzona, że autor kładzie wyłącznie nacisk na patryotyczne motywy, dla których Walewska oddała się wielkiemu cesarzowi: nie kocha ona w nim wcale człowieka, ale poświęca się w nadziei, że swoim wpływem na cesarza zdoła uzyskać dla Polaków spełnienie ich marzeń; gdy po rosyjskim pogromie cesarz chyli się już niepowstrzymanie do upadku, Walewska odczuwa w sercu zobojętnienie. Najudatniejszy epizod powieści jest niestety zupełnie przez autora zmyślonym: Józefina, trapiona bezpłodnością, dowiaduje się, że Marya ma zostać matką i żąda od niej, by to dziecko jej oddała, bo przecież cesarzowi będzie to obojętnem, kto jest matką jego syna; Walewska oczywiście propozycyę odrzuca. Scena rozmowy obu kobiet jest doskonale przeprowadzona, ale niestety z gruntu nieprawdziwa. Opowiadanie o czułej miłości polskiej księżniczki i pruskiego księcia ma zakrój bardziej dramatyczny, dzięki temu, że autorce udało się odtworzyć mocno i charakterystycznie usiłowania tak tych, którzy to zamierzone małżeństwo popierają, jak i tych, którzy je zwalczają, przyczem autorka z kilku przekazanych przez historyczne opowiadanie motywów ten przyjmuje, że parze kochanków stanęła na przeszkodzie nierówność rodu, przedstawiona królowi pruskiemu jako przepaść, nie dająca się w żaden sposób wyrównać. Nowością w tej powieści jest dalszy ciąg życia ks. Elizy już po stanowczem unicestwieniu jej pierwszej miłości: jej znajomość z młodym ks. Schwarzenbergiem, niewiadomo czy błędnym rycerzem czy awanturnikiem, który sam się wyrzeka ręki księżniczki, czując się jej niegodnym. W obu powieściach mówi się o Polakach z dużą, aczkolwiek bezkrwistą życzliwością.

Inaczej jest z powieściami, osnutemi na tle współczesnem, zwłaszcza na stosunkach w Poznańskiem. Są one bardzo popularne, owszem nieraz dochodzi się do przekonania, że to poznańskie tło jest dla autora, w jego przynajmniej wyobrażeniu, listem polecającym, mającym go wprowadzić w szerokie koła niemieckich czytelników, a nie koniecznością, wynikającą z samej treści powieści. Karol Krehmcke n. p. pisze „Nauczyciela w Łojewie“ ostatecznie dlatego, by przedstawić opłakane wewnętrzne stosunki pomiędzy niemieckiem nauczycielstwem szkół ludowych, skrępowanie podwładnych nietylko drobiazgowemi przepisami, ale co gorsza, szykanami ze strony bardzo ograniczonych inspektorów szkolnych. Oczywiście, gdy wejdą tu w grę jeszcze przeciwne interesy, owe stosunki stają się tem nieznośniejszemi; doświadcza tego nauczyciel Bernard Rohrmann, którego przełożony, inspektor Paschen jest zarazem rywalem: obaj starają się o jedną pannę, która młodego nauczyciela przenosi nad starego przełożonego. To wszystko jest zrozumiałem. Tylko, czemu te „ludzkie, bardzo ludzkie“ sprawy mają się rozgrywać koniecznie na tle Poznańskiego? Gdyby jeszcze przynajmniej obie tam się zwalczające narodowości miały przedstawicieli w tych dwóch głównych osobach. Ale tak nie jest w powieści, jak zresztą i w życiu, gdzie i nauczyciel i inspektor należą do tej samej niemieckiej narodowości. Gdzież jest więc ta Polska? Jest w osobie panny Stelarskiej, przedmiocie afektów obu współzawodników. I tu dopiero wychodzi na jaw owo polskie tło: a więc dzikość i barbarzyństwo, nieład i brud wsi polskiej, lekkomyślna gospodarka i zadłużenie polskich właścicieli ziemskich. To już jednak było w tylu niemieckich powieściach i to przeważnie z jeszcze silniejszym furorem teutońskim, że głębszego wrażenia nie czyni. Szuka się czego innego, czego w tej beletrystyce zazwyczaj się nie ogląda: obrazów szkoły poznańskiej, w której polskie dzieci uczy po niemiecku niemiecki nauczyciel: jak też autor, prawdopodobnie znający się trochę na pedagogicznych sprawach, te zasadniczo anty-pedagogiczne stosunki przedstawi? Ale oczywiście Krehmcke w tem miejscu dyplomatycznie milczy, ograniczając się tylko do „podburzania“ dzieci przez katolickiego proboszcza i idealnej zresztą ciszy w szkole, przerywanej zrzadka jeno i jakby z obowiązku świśnięciem trzcinki nauczyciela niemieckiego. Gdy każe wierzyć, że Stelarscy, ze starego szlacheckiego rodu pochodzący, chociaż majątkowo zrujnowani, chcą się ratować wydaniem jedynaczki za bogatego inspektora okręgowego, to znowu z jednej strony przecenia bogactwo Paschena, a z drugiej

niedocenia rodowej dumy szlachcica polskiego. Ale ostatecznie panna Stelarska wychodzi za mąż za Rohrmanna. I tutaj dopiero powieść staje się tendencyjna: autor kładzie oblubieńcowi w usta hasło nieustępowania przeciw naporowi żywiołu polskiego; to ma być drogowskazem dla młodszych pionierów „kultury“ pruskiej w Poznańskiem, w przeciwieństwie do starszej generacyi, rzekomo zanadto łagodnie z Polakami postępującej; jest to też stwierdzeniem istotnego faktu, że w ucisku Polaków prym dzierżą nie starsi, wyrównani, z faktycznemi stosunkami obeznani urzędnicy niemieccy, ale młodzi, niedoświadczeni i zapaleńcy, że nacisk idzie nie z góry na dół, lecz w przeciwnym kierunku.

Krehmcke jeszcze się stosunkowo w swojej niechęci do Polaków dość miarkuje; autor drugiej powieści na tle niemiecko-polskiem Ernest von Waldow, wierny zresztą swej rodowej tradycyi, folguje zupełnie polonofobii. Jej przedmiotem jest przedewszystkiem najwybitniejsza postać tej powieści p. t. „W Marchii Wschodniej“, Zygmunt Kraszewski. Według autora reprezentuje on najniebezpieczniejszy dla państwa niemieckiego typ Polaka: nie warchoł, nie rewolucyonista, nie szaleniec, idący z gołą pięścią na bagnety, nie agitator, pracujący krzykiem gardła na więzienie pruskie, ale zręczny, sprytny dyplomata, skryty działacz narodowy wszechpolski, tak ostrożny, że się nigdy nie da pochwycić na gorącym uczynku; umyślnie utrzymuje on jak jaknajlepsze stosunki towarzyskie z urzędnikami pruskimi i szlachtą niemiecką, aby nadać sobie pozór przyjaciela rządu i Niemców, tem gorliwiej za to i bezpieczniej jest w skrytości czynnym dla sprawy narodowej: zbyt rozsądny, by wierzył w możliwość oderwania już dzisiaj prowincyi polskich od państwa niemieckiego, przygotowuje przecież grunt do tego wielkiego dzieła bliższej lub dalszej przyszłości. Pod jego przewodnictwem, jako tajnego agenta „Ligi narodowej“, toczą się obrady, przy czynnem współudziale proboszcza, zmierzające do narodowego uświadomienia oraz materyalnego i umysłowego podniesienia wszystkich warstw polskich, a rząd lekceważy wszelkie donosy i ostrzeżenia gorliwszych i baczniejszych urzędników i obywateli niemieckich. Hrabia Kraszewski nawet w wyborze żony kieruje się tylko tak sprytnie pojętym interesem narodowym. Oto w sąsiedztwie jest zrujnowany szlachcic polski Umiński—drugie, poprawne wydanie Stelarskiego z poprzedniej powieści. Umiński sam jest ożeniony z Niemką i dzięki temu jest—znowu mimo swego narodowo-polskiego usposobienia dobrze widzianym u władz pruskich. Ma on obecnie u siebie w domu siostrę żony, Violę, ubogą sierotę.

Dziewczyna kocha się po cichu w Niemcu, doktorze Tillingu, reprezentującym znowu świadomy celów i środków patryotyzm niemiecki. I on ją kocha, ale jako młody, chociaż zdolny lekarz nie ma odwagi starać się o pannę, osobiście ubogą, lecz przyzwyczajoną w domu rodzicielskim do zbytkownego życia. A tymczasem Kraszewski skupuje wszystkie weksle Umińskiego tak, że panna chcąc szwagra ratować od ruiny, musi wyjść za hr. Zygmunta, chociaż go nie kocha i chociaż wie, że on jeszcze utrzymuje stosunek dawny z namiętną kobietą i namiętną polską patryotką Jagulą Marzyńską. Ślub kościelny już wzięty, jutro ma się odbyć ślub cywilny. Viola przypadkowo jednak podsłuchuje rozmowę pomiędzy Zygmuntem a Marzyńską; ona mu gorzkie robi wyrzuty, że się żeni z inną i to z Niemką. On wyjaśnia, że Violi nie kocha, lecz bierze ją sobie tylko za żonę, aby jako mąż Niemki być tem bezpieczniejszym w swej „wszechpolskiej“ agitacyi. Viola oburzona woła do siebie doktora Tillinga i ucieka z nim. Kraszewski wpada jednak na trop uciekających; w sprzeczce Tilling przypadkowo zabija hrabiego i ucieka. Był jednak świadek tej sceny w lesie w nocy, kuzyn szwagra Violi, Władysław Umiński, który teraz grozi jej, że zdradzi przed sądem tajemnicę, jeżeli wdowa po hr. Zygmuncie nie odda mu swej ręki i... majątku, który po mężu dziedziczy. Ona nie chcąc ukochanego narazić na proces kryminalny, zostaje żoną Władysława, który jednak wkrótce umiera nagle, wskutek nieszczęśliwego wypadku przy wyścigach konnych. Teraz Viola jest wolną. W międzyczasie jednak dr. Tilling ożenił się z inną i oboje spotykając się później w życiu muszą z młodocianych rojeń zrezygnować.

Nie potrzeba zapewne krytycznie oceniać tej akcyi i jej tendencyi. Ale niepodobna pominąć milczeniem, że Waldow, przedstawiając dr. Tillinga, jako idealnego reprezentanta niemczyzny w Poznańskiem, a z drugiej strony robiąc z niego zabójcę, który po dokonaniu czynu ucieka przed odpowiedzialnością tak, że jego kochanka musi ponosić konsekwencye tego zabójstwa—że Waldow w ten sposób niemiecką myśl narodową niezbyt zaszczytnie ucieleśnia. Autorowi wogóle chodzi nie tyle o gloryfikacyę Niemców, ile o zohydzenie Polaków. Do tego szlachetnego celu służy mu n. p. także śmiesznie romantyczna historya z jakimś mitycznym „pierścieniem Jagiellonów“; posiadaczem tego narodowego talizmanu jest szwagier Violi, który swoją drogą potajemnie prawdziwy brylant kazał zastąpić fałszywym. Władysław Umiński myśląc, że kamień ma wielką wartość, przywłaszcza go sobie, ale tak zręcznie, że podejrzenie pada na niewinną Violę; dopiero gdy

w urzędzie zastawniczym mówią mu, że to falsyfikat, Władysław podrzuca go pomiędzy rzeczy Violi. Ta jedna próbka dowodzi szlachetności broni, jaką pan Waldow walczy z Polakami. Nie on pierwszy, nie on jeden, nie on ostatni. Tak w literaturze jak i w życiu...

*

* *

W jednem z naszych poprzednich sprawozdań z niemieckiego ruchu literackiego była mowa o przesileniu w tamtejszej historyi i krytyce literackiej. Od tego czasu położenie germanistyki zmieniło się, ale—na gorsze. Jak przed niedawnym czasem zdawało się, że padł jakiś pomór na co najwybitniejszych niemieckich dyrektorów teatru, z których zresztą ostatni, kierownik „Teatru Lessinga“ w Berlinie, Otto Brahm, był zarazem, jako biograf Henryka Kleista, także jednym z najznakomitszych przedstawicieli dzisiejszej germanistyki—tak obecnie dziwnym zbiegiem przypadku ustąpiło z areny życiowej, w krótkich odstępach czasu, kilku innych pierwszorzędnych uczonych tej dziedziny wiedzy.

Umarł Erych Schmidt, niedawno rektor wszechnicy berlińskiej, najjaśniejsza gwiazda na horyzoncie germanistyki od czasu zgonu genialnego Wilhelma Scherera. Znakomity mówca na uniwersyteckiej katedrze, w literaturze naukowej zapisany po długie czasy jako autor świetnej monografii o Lessingu, był zapewne w porównaniu ze śmiałymi nowatorami, pionierami nowych dróg krytyki literackiej, tylko skromniejszym uczonym, ale posiadał przedewszystkiem niezwykły dar charakterystyki, umiał w krótkich i zwięzłych zdaniach utrwalać rysy, tak całych postaci, jak i poszczególnych epizodów ich twórczości. Umarł wiedeński germanista, Jakób Minor, niedokończywszy ani rozpoczętej przed wielu laty monografii Schillera, ani ograniczonego tylko do I części komentarza do „Fausta“, ale i w tych fragmentach i w całkowitej „Metryce“ zostawiając trwałe ślady swej działalności naukowej; mistrz polemiki, zawsze opartej na gruntownej wiedzy a stylistycznie nieubłaganej, ujmował nietyle drobne szczegóły, ile rozwój literackich prądów i idei. Umarł lwowski germanista, Ryszard Maryan Werner, autor pomnikowego dzieła o „Liryce i lirykach“, niezmordowany badacz, wydawca i propagator Fry-

deryka Hebbla, jeden z niewielu uczonych niemieckich germanistów, nietylko znających, ale i rozumiejących i dzisiejszą literaturę, nawiasem mówiąc, także znawca i polskiego piśmiennictwa, o którem nawet niekiedy swoim ziomkom pisał, nie leniąc się i nie wstydząc, obok wielkich książek, pisywać drobne felietony.

Wreszcie na rubrykę częściowych bodaj strat niemieckiej germanistyki zapisać trzeba najświeższy w jej świecie wypadek: ustąpienie prof. Wilhelma Creizenacha z krakowskiej katedry germanistycznej. Zadziwiająco rozległa i głęboka wiedza wspomagana przytem wprost niebywałą znajomością niemal wszystkich języków europejskich, nie wyłączając polskiego i innych słowiańskich, dawała mu idealne kwalifikacye na to uniwersyteckie stanowisko wśród narodu, do którego się całą duszą przywiązał. Za młodszych lat uprawiając szczególnie dziedzinę studyów nad „Faustem“, wkraczając sporadycznie i z powodzeniem w dziedzinę anglistyki, Creizenach wydaje od kilkunastu lat tom po tomie swego „standard-work“, na wielkie rozmiary zakrojoną a w treści i wartości ogromowi tego planu odpowiadającą „Historyę nowszego dramatu“, która kiedyś po ukończeniu będzie na długie dziesiątki lat klasycznem opracowaniem tego ważnego przedmiotu.

Kto zastąpi tych z życia lub z katedry ustępujących? Kto germanistykę, przechodzącą już i tak poważne przesilenie, powstrzyma od niebezpiecznej słabości? Narazie prawie że nikogo się nie widzi, ktoby tego dokonać zdołał. Narazie nic tak nie charakteryzuje upadku germanistyki, jak fakt, który i w Niemczech wywołał zdziwienie. Na ostatniem dorocznem zebraniu najszanowniejszego w Niemczech towarzystwa literackiego „Goethe-Gesellschaft“, następcą zmarłego Erycha Schmidta na stanowisku przewodniczącego wybrany został człowiek, którego nazwisko chyba poraz pierwszy wymawia się w związku z niemiecką literaturą i nauką, ale który za to jest i baronem a przedewszystkiem byłym ministrem, obecnie zaś prezydentem reńskiej prowincyi, pan von Rheinhaben...

Dr. Józef Flach.

# PIŚMIENNICTWO.

EDWARD BOGUSŁAWSKI. *Dowody Autochtonizmu Słowian na przestrzeni zajmowanej przez nich w wiekach średnich.* W pracach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (Wydział nauk antropolog. Społecz. Historyi i Filozofii), Warszawa—1912. T. I—IX. 233.

Kwestya tubylczości Słowian czyli innymi słowy kwestya, czy Słowianie zamieszkiwali od wieków ziemie nie tylko wschodniej, ale środkowej, północnej i zachodniej Europy — przedmiot oddawna w nauce rozstrząsany, dopiero w ostatniej ćwierci wieku wszedł w ton namiętnej dyskusyi.

Pierwotnie powszechną opinią i zupełnie uzasadnionem mniemaniem było, że Słowianie na wyżej zaznaczonym obszarze Europy są autochtonami. Później dopiero niektórzy pisarze pod płaszczykiem uczoności zaczęli przemycać poglądy jakoby Hunowie i Awarzy podczas swych walk i napadów sprowadzili Słowian do krajów zachodniej i południowej Europy. Powstały też wkrótce dwa kierunki, dwie szkoły; pierwsza uważająca owe kraje za odwieczne siedziby słowiańskie, a szkołę tę zwie autor „autochtonistyczną“ — druga, która uważa na spornych przestrzeniach element słowiański za napływowy, a którą E. Bogusławski określa jako „antyautochtonistyczną“. Ten kierunek skupia się obecnie około berlińskiego czasopisma, wychodzącego od r. 1876, a redagowanego w Wiedniu: „Archiv für Slavische philologie“. To też dla jeszcze dokładniejszego napiętnowania autor nazywa tę szkołę: „berlińsko-austryacką“, dodając przytem uwagę, że niesłusznie niektórzy uczeni słowiańscy zowią ją „niemiecką“ ponieważ do niej należy także wielu uczonych słowiańskich, tak jak do przeciwnej szkoły autochtonistycznej należy wielu uczonych niemieckich.

Początkową silną wiarę autochtonistycznego kierunku zachwiał Mikloszycz († 1891) pisarz zupełnie nie oryginalny i stronny (S. Bulicz). Pomimo braku kardynalnych warunków uczonego, cieszył się on za życia i po śmierci przesadzoną sławą, którą Jagicz, następca jego na katedrze wiedeńskiej i spadkobierca jego kierunku, podnosi do nieba.

Przepaść między istotną wartością Mikloszyca, a tym chórem uwielbień wyjaśnia autor w sposób bardzo prosty. Otóż sławę swoją Mikloszyc zawdzięczał temu, że popierał przez cały czas swej działalności naukowej ten kierunek, jaki w poglądach na Słowian zapanował w świecie naukowym niemieckim, węgierskim i rumuńskim, a który był wskazany przez przedstawicieli tego świata, między którymi wydatniejsze miejsca zajmowali Müllenhof, Roesler, Dümmler, Hunfalvy, Xénopos. W tym świecie bowiem bardzo niechętnym, często wprost wrogim Słowianom, zapanowało zdanie szerzone i podtrzymywane w książkach, broszurach i prasie peryodycznej, a możemy je streścić w trzech punktach: po 1-e Słowianie w dzisiejszych Niemczech, Austryi, Węgrzech, w Rumunii i na Półwyspie bałkańskim, byli późniejszymi przybyszami. Napłynęli oni do tych krajów poczynając od VI wieku, bądź z własnego popędu, bądź, co jest pewniejsze, przyprowadzeni przez Awarów; po 2-gie wydobycie się z dzikości, uobyczajenie swoje, jednem słowem, całą swoją kulturę Słowianie zawdzięczają Niemcom, po 3-cie, ci wszyscy, którzy uczą inaczej, są fantastami, a za takowych uważać należy, nietylko Kollara, Klassena, Morawiczańskiego, lecz i Szemberę, Terstenjaka, Perwolfa i samego nawet Szafarzyka. Tym trzem hasłom nie szczędził Mikloszyc swego poparcia i za nie to wdzięczny świat niemiecko-węgiersko-rumuński składał mu takie hołdy. Niebywałe powodzenie jakiem cieszył się Mikloszyc, tak olśniewało, a kierunek jaki wskazał, tak imponował, tak zdawał się „naukowym“, odpowiadającym wymaganiom „krytyki“, wreszcie obawa przed oskarżeniem o nienaukowość i niekrytyczność tak przerażała, że jedni, którzy zrazu szli śladami Szafarzyka, jak Jagicz, Drinowa lub K. Jireczek, porzucali swych przewodników i wchodzili na nową drogę, inni nią już tylko podążali.

E. Bogusławski w książce swojej udowadnia autochtonizm Słowian szeregiem punktów, a więc porównaniem nomenklatury etnograficznej i topograficznej używanej przez te ludy w średnich wiekach, z nazwami, które zapisali autorowie greccy i rzymscy w dobie pogańskiej i w czasach chrystyanizmu. Co do tego punktu zwraca autor uwagę na niesłychane pomyłki, pochodzące bądź z przesłyszenia się lub niedokładnego przepisania źródeł, bądź też z różnic

wymowy i niemożliwości oddania w pisowni—właściwych lokalnych dźwięków.

Dalszych dowodów dostarcza autorowi etnografia porównawcza, a zatem strój, ornamentyka ludowa (zwłaszcza haftów), — kształty sprzętów (np. trójnóg) wreszcie zwyczaje i praktyki z medycyny ludowej. I tak np. nad rzeką Tagliamento we wsiach niegdyś wyłącznie słowiańskich, dziś romańskich—wszystkie kobiety ubierają się czarno, o czem wspomina już Polibiusz i Scymnus. W Bośni i Hercegowinie istnieje po dziś dzień zwyczaj tatuowawania, o czem mówi Strabo. Tych samych środków leczniczych, których używano w Dalmacyi za Pliniusza używa po dziś dzień lud Pobrzeża i t. d. W Bułgaryi przypomina pieśń o drzewie rodzącem złote jabłka, myt grecki o Hesperydach, a inna o porwaniu dziewicy jest bez wątpienia w związku z podaniem greckiem o porwaniu Europy przez Zeusa. W zbiorze pieśni bułgarskich, w tak zwanej „Wedzie Słowiańskiej", widać ślady głębokiej starożytności nietylko w języku samym, lecz także w treści. Odnajdujemy bowiem tutaj mnóstwo wspomnień o Orfeuszu, Alkeksandrze Wielkim, Trajanie, Edypie, Dyoklecyanie i wielu historycznych wypadkach.

Następny dowód czerpie p. Bogusławski z socyologii, czyli z historyi tworzenia się społeczeństw Słowiańskich.

Przechodząc szczegółowo do wspólności imion Słowiańskich greckich i rzymskich wykazuje dla czego słowiańskie „Jarosław" schodzi się z greckiem Ἡρακλῆς—udowadnia słowiańskie pochodzenie cesarza Justyniana Wielkiego, o którym to pochodzeniu nie wątpiono nigdy w Illyryi i podaje cały szereg wielce interesujących szczegółów, następnie wymienia liczne wspólne wyrazy w mowie Słowian, Gallów (Celtów),—Gotów i Niemców. „Ta wspólność imion używanych w przeszłości przez Gallów, Niemców i Słowian, nie może nie zastanawiać. Wskazuje ona na nieustanne stykanie się z sobą tych plemion, odwieczne ich z sobą współżycie. Jest ono następstwem podboju wielkiego windyjskiego obszaru między morzem Niemieckiem i Baltyckiem, a Dunajem i Alpami przez Gallo-celtyckie, a potem i przez niemieckie drużyny, przybywające ze Skandynawii. Stąd nie można było chyba większej prawdy wygłosić nad tę, jaką wypowiedział o Niemcach Rabanus Maurus, opat fuldeński, i arcybiskup moguncki, zmarły w r. 856. Pisał on, że wszyscy ci, którzy w Germanii mówią po niemiecku, pochodzą od Normanów, a Normandami za czasów Rabana Maura, nazywano Skandynawów, zwłaszcza Korsarzy z Danii, Norwegii i Szwecyi. I w istocie na obszar wyżej oznaczony, zamieszkały

przez ludność autochtoniczną windyjską, względnie dosyć, często nawet bardzo, posuniętą w kulturze, najeżdżały ustawicznie drużyny korsarskie Skandynawów. Że kultura tej prastarej tubylczej (słowiańskiej) ludności była wysoką, świadczy między innymi choćby Ammianus Marcellinus, który pisze o kraju Wangionów za czasów Cesara Juliana (podbitego już wówczas w r. 357 przez Alamanów), że był bogaty we wsie, w bydło, w zboże i w mieszkania zbudowane na wzór rzymski. Skandynawowie różnili się zupełnie od autochtonów (Słowian), należeli do rasy długogłowej zaś tubylcy byli krótkogłowcami. Podbijali oni też siłą ludność windyjską (Słowiańską) tam, gdzie ona była zupełnie wolną, lub też brali ją do powtórnej niewoli, po usunięciu pierwotnych ich ciemiężców — Gallów.

„Ważnym też dowodem autochtonizmu Słowian na wielkim obszarze zajmowanym przez nich w średnich wiekach, jest ten słowiański materyał językowy, jakiego dostarczają nam żywe mowy tych ludów, które na tym obszarze, wraz z ludnością słowiańską mieszkały", zatem Niemców, w granicach dzisiejszego państwa niemieckiego,—Włochów w wenecyańskim Tryjeście, Istyryi i w niektórych miejscowościach Dalmacyi (Zara, Spalato i in.)—Romanów w Engadynie, Graubünden, Tyrolu i Fryulu—Rumunów w teraźniejszej Rumunii i Macedonii—wreszcie Węgrów".

W dzisiejszej mowie niemieckiej widzi autor całe mnóstwo słowiańskich nazw zwierząt, futer, odzieży, roślin, narzędzi rolniczych etc., ogromną ilość nazw: rzek, gór, osad i żup, czyli, jak się niektórzy wyrażają: „mowę ziemi". „Tu należą naprzód w wielkiej liczbie rozsiane po Niemczech nazwy topograficzne, utworzone z najdawniejszej nazwy Słowian". Vindi, Winedi, Winidi, Venedi, zapisane tak w źródłach, oraz Winden i Wenden—miano, którem dziś jeszcze Niemcy nazywają Słowian". Tu należą również rozsiane po całych Niemczech nazwy na: „-itz" (słowiańskie „ica" i „ice"), do tego też typu zaliczyć trzeba nazwy na „-cha", „-ing", „-ingen", „-awa" (ava), które to zakończenie zamieniało się w mowie Niemców na: „aha", „ouwa", „au"; w języku Rzymian na: „avia", „ovia", w mowie ludów romańskich na: „ua", w pisowni greckie na αυα. Idąc w ślad za autorem spotykamy naprzykład w Szwajcaryi, nawskroś słowiańską nazwę „Świteź" Schwyz, „Biel", „Cerwin", „Kray", w okolicach Renu: „Mokri-Anlage", polskie „Mokre Miejsca" etc. etc.

P. E. Bogusławski sięga także do archeologii, która zdaniem jego daje dwa bardzo poważne dowody autochtonizmu Słowian. Pierwszym jest pochodzenie i dawność ceramiki zwanej grodzis-

kową, powszechnie uznaną za Słowiańską, a „reprezentowaną przez groby popielnicowe późniejszej fazy“. Drugi—to budowle palowe. „Budowle palowe pokrywają całą przestrzeń, jaką w średnich wiekach jeszcze zamieszkali Słowianie od krajów polskich aż do półwyspu Bałkańskiego, od Fuldy do morza Baltyckiego. Znaleziono je w Szwajcaryi i dalej jeszcze, w ziemi starożytnych Wenetów, gdzie odkopane zostały około Padwy i w Rawennie, a w czasach już zupełnie historycznych—w samej Wenecyi“.

Budowle te prawdopodobnie wznosili przodkowie Słowian. Przypuszczenie to staje się bardzo prawdopodobne (popiera je nawet autochtonista Niederle), jeżeli zważymy na „ciągłość budowli palowych w jednych i tych samych miejscowościach od czasów najdawniejszych aż do dzisiejszych“. Przeżyły one naprzykład w Bośni i Hercogowinie, gdzie trwały od epoki neolitycznej, kulturę halsztacką, imperyum rzymskie, epokę średniowieczną i dotrwały do naszych czasów, będąc jak pisze Smirnow i Hoernes „świadectwem związku współczesnej kultury półwyspu bałkańskiego z kulturą trako-iliryjską“.

Przeciwnicy autochtonizmu Słowian w dzisiejszej Turyngii, Frankonii i Bawaryi—mówią, że byli to Słowianie nie odwieczni mieszkańcy w tych stronach, ale przybysze sprowadzeni w owe okolice jako jeńcy wojenni, lub kupni niewolnicy. Autor zwalcza powyższe twierdzenie dobitnie faktami historycznymi, wykazuje bowiem, że na tej przestrzeni osiadła zwarta gęsta ludność słowiańska w czasach niezmiernie dawnych. Była ona obłożoną wysokimi daninami, które świadczą wymownie o wysokiej kulturze tej ludności. Wiemy bowiem, że owi podbici przez bandy germańskie lidi (Liut, Liute, Leute) byli brani jako zakładnicy przez Karola Wielkiego podczas jego wojny ze Sasami (tam ingenuos frilingi, quam et *lidos*). „Ci *lidi*, lassi (serviles) wraz z edlinngami (nobiles) i frilingami (ingenniles) wysyłali dwunastu deputowanych na zgromadzenie ludowe w Markło (na lewym brzegu Wezery)“, a zatem nie była to wcale ludność pozbawiona praw politycznych.

W tych nieistniejących obecnie krajach słowiańskich były nietylko niezliczone wsie, lecz i całe miasta rdzennie Słowiańskie, tak, że je zwano „Sclaviena oppida. Jeszcze w średnich wiekach zamieszkiwało tu mnóstwo potężnych plemion słowiańskich jako: Drewianie, Glimanie, Parathanie, Poradniczanie, Moinwinidi. W dalszym ciągu określa też autor dokładnie do jakich słowiańskich gałęzi należały ludy słowiańskie na obszarze dzisiejszych Niemiec. Zatem Słowianie mieszkający po lewej stronie Elby:

Hliuni czyli Lini (Glinianie), Drewanie, Lipanie, Balsamianie (zależni już w połowie VIII wieku od Sasów) stanowili ze Słowianami po prawej stronie Elby jeden szczep: połabsko-nadbałtycki albo połabsko-pomorski czyli lechicki. Druga rodzina słowiańska osiedliła się między Elbą, Salawą i Wełtawą (Fuldą). To ludność serbsko-łużycka. Trzecia grupa właściwi Czesi, Rata nzwinidi, Poradniczanie, Moinwinidi i Nabawinidi zajmowali przestrzeń dzisiejszych Czech i Frankonii aż do Menu.

Autor również obala poglądy przeciwników autochtonizmu słowiańskiego ze szkoły berlińsko-austryackiej, jakoby w krajach alpejskich (między innymi w Karyntyi) Słowianie dostali się nie z własnej woli i popędu, lecz pod naporem dzikich Awarów, wreszcie polemizując wykazuje autochtonizm Słowian na półwyspie Bałkańskim w Iliryi właściwej i Tracyi. W końcowych ustępach swej książki autor wyjaśnia proces asymilacyi i tłómaczy dlaczego zniknęło tyle setek plemion słowiańskich.

W tym krótkim zarysie starałem się przedstawić ogólny pogląd p. E. Bogusławskiego, zwłaszcza jego silne argumenty broniące tezy autochtonistycznej. W epizody oczywiście wdawać się nie mogłem—nie mogłem przytaczać interesujących hypotez jak np. o pochodzeniu Liwiusza, Wirgiliusza z rodu Wenetów i powstaniu Eneidy, oraz obszerniejszych wywodów o związku Słowian z światem Indo-Irańskim. Czasy to bezwątpienia prawieczną mgłą tajemnicy okryte, jak wiele myśli nasuwają!.. W tej zamierzchłej epoce Indowie mówiący językiem staroindyjskim, czyli sanskryckim mieszkali w Europie i stali w najbliższym stosunku z przodkami Słowian i Litwinów—Windami, tworząc z nimi osobną grupę „indo-lito-słowiańską“, różniącą się zasadniczo od „italo-greko-celtyckiej“ i „niemiecko-skandynawskiej“. Tych czasów sięga i nazwa, mówi p. Bogusławski, z której wytworzyły się w Europie „Vindi“ (w wymawianiu rzymian „Venedi“ i „Veneti“) a w Azyi „Hindu“. „Nazwa „Vindi“ (Windowie) pozostała przy Słowianach i wtedy, gdy do Azyi przeszli Indowie. Nie wątpimy bowiem, że India, o której wspominał Sofokles, za którą siostry Meleagra przelewały łzy bursztynowe, była nadbałtycką Windyą (ἰνδία), znajdującą się prawdopodobnie na przestrzeni późniejszej etnograficznej Polski, po obu stronach Wisły“.

Jako konkluzyę całej książki uważać należy twierdzenie p. E. Bogusławskiego, że ludność Windyjska, zwana później Słowiańską, stanowiła na przestrzeni Germanii warstwę etniczną najstarszą po przed-aryjskiej (iberyjskiej lub fińskiej). Później popadła owa ludność słowiańska w zależność od drużyn nasamprzód

gallo-celtyckich następnie niemieckich (Chattów, Angrivariów, Cherusków) a w końcu stała się raz na zawsze łupem wychodźców skandynawskich: Sasów, Franków, Alamanów i innych plemion korsarskich.

Udowadniając swoje zdanie autor używał argumentów najsilniejszych z dziedziny filologii, ściślej wyrażając się z etymologii porównawczej. Widać tutaj opanowanie gruntowne materyału językowego tak obszerne, że nawet zdecydowany przeciwnik autora, pod żadnym warunkiem nie może zdań jego lekceważyć podobnie, jak to czynił przy innej okazyi, nie czytając zresztą oryginału, cytowany Jagicz. Dowody jednak, które przytacza p. Bogusławski z zakresu etnologii i archeologii są bardzo szczupłe. W tym kierunku dziś już materyał, choćby w literaturze polskiej, jest tak obszerny, że stanowczo w paru nawet rozdziałach zamknąć go niepodobna. Szanowny autor prawdopodobnie nie chciał w tym kierunku się rozszerzać uważając może, iż filologiczne dowody są zupełnie wystarczające, dowody zaś archeologiczne i etnologiczne są ważne jedynie w towarzystwie nauki o językach?...

Sądzę, że źródłowe dowody językowe wraz z obszernymi argumentami archeologicznymi i etnologicznymi, złączone w jedną całość, mogą dopiero utworzyć pomnikowe dzieło w walce o tak pierwszorzędną sprawę, jaką jest udowodnienie słowiańskiego autochtonizmu w Europie.

Do rozjaśnienia nazw niemieckich służyćby mogły również dwie prace, które tutaj ośmielam się podnieść, a zatem cenna praca prof. d-ra Maksymiliana Kawczyńskiego: „Badania nad językiem zapisków niemieckich z XIV w., głoszonych w najstarszych księgach i rachunkach miasta Krakowa“, drukowana w Rozprawach i Sprawozdaniach wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności, t. X, r. 1884, str. 5, 7 i t. d., oraz interesujące studyum d-ra Feliksa Kopery „O emigracyi Niemców z Weissenburga i Landau do Polski w XV w.“ w Sprawozdaniach Komisyi do badania Historyi Sztuki w Polsce.

Tymczasem książka p. Bogusławskiego stanowić będzie bardzo ważny przyczynek w rozświetleniu zawiłej kwestyi historyi Słowian w ostatniej dobie postawionej wrogo i jednostronnie dla tychże Słowian.

Karty jego książki poza interesem czysto filologicznym dla nas Polaków, cząstki tej olbrzymiej rodziny, która w dwóch trzecich zniknęła już z powierzchni ziemi, niegdyś przez siebie zajmowanych — ważną powinny być przestrogą. Poza naukową

bowiem wartością, poza cennym materyałem językowym te kartki są jakby groźnem memento mori, zbliżającem się po krwawym szlaku od Zachodu ku naszej ziemi.

Dr. Marceli nałęcz-Dobrowolski.

---

*Generał Zamoyski 1803—1868.* T. II. 1830—1832. Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej 1913, str. 529.

Jak z tytułu widzimy, tom ten obejmuje całe powstanie listopadowe, oraz pobyt Zamoyskiego w Galicyi po upadku powstania. Zawiera materyał bardzo ciekawy tak dla historyi samej walki, jak dla poznania stosunku do niej i postępowania w tym czasie wielu osób, grających ważną rolę w dziejach Królestwa Kongresowego, jak wreszcie do biografii Władysława Zamoyskiego. Prócz materyału w przedmowie podanego, mającego tom ten stanowić, t. j. wspomnień Zamoyskiego, dyktowanych, lub spisywanych w latach 1858—1867, wspomnień wcześniejszych, spisywanych w r. 1832 i w latach następnych, ustępów z listów lub notatek Zamoyskiego, znajdujemy w nim jeszcze listy ordynata Zamoyskiego, jego żony, księcia Adama Czartoryskiego i wielu innych, które budzą gorące życzenie, aby cała ta korespondencya, której tu prawdopodobnie część tylko dla ilustracyi wspomnień jest podana, w całości wydrukowaną być mogła.

Jak wszystkie materyały do powstania listopadowego, te zwłaszcza, które nam o wodzach i kwaterze głównej mówią, i tom niniejszy czyta się z głębokim smutkiem i żal ponownie wzbiera do tych wspaniałych generałów, walczących nie dla ojczyzny, ale dla honoru, bojących się tracić w bitwach niepewnych reputacyę utalentowanych strategów, przekładających wciąż kunktatorstwo polityczne nad orężną rozprawę. Trudno, nie posiadając wojskowego wykształcenia, z wojskowego stanowiska bronić Prądzyńskiego, a potępiać Skrzyneckiego czy Chłopickiego, jednak z najogólniejszego stanowiska powiedzieć nam wolno, że byli to ludzie małej wiary i małego serca. Mieli dość zdolności, aby się bić z Dybiczem, albo Paskiewiczem, dość odwagi i dość pogardy dla śmierci, ale tego ognia, który tworzy wielkich wodzów, tego wielkiego uczucia wiary, lub rozpaczy, z którego rodzą się czyny na wieki zadziwiające potomność—nic a nic.

Charakterystyka Skrzyneckiego, dla którego zresztą Zamoyski usposobiony jest życzliwie, w świetle omawianych pamiętni-

ków wypada ostatecznie tak jak ta, którą nam dał Prądzyński. Pomimo częstych słów sympatyi, pomimo uznania oddawanego cnotom naczelnego wodza, widzimy w nim tylko komedyę szlachetności, gest i słowo udane, którem kokietował otoczenie, ale nie łudzimy się ani na chwilę, jaka była ich wartość istotna. Ten generał przez małość swoją straszny w naszych dziejach, ani o jeden ton bodaj nie podniósł się przez ogrom chwili. Każdego z nas krew wstydu zalewa, przy czytaniu i opowiadaniu Prądzyńskiego, jak go Skrzynecki z pilnymi odprawił sprawami, gdy przyszedł kucharz na naradę gastronomiczną; w pamiętniku Zamoyskiego czytamy taki ustęp: „Ścigano nieprzyjaciela do dziesiątej wieczór, zabrano trzynaście czy czternaście armat, dwa do trzech tysięcy jeńców, między nimi jednego generała. Rosen i Geismar ledwo w cwał ujść zdołali. Kiedy po rozłożeniu się naszego korpusu chciałem pośpieszyć naprzód z raportem, dowiedziałem się, że mimo tak świetnego opanowania przez naszych wsi Dębe, sztab główny rozłożył się na noc nie tam gdzie należało, ale się cofnął do wsi Brzeziny. Był to błąd oczywisty i skutki jego okazały się nazajutrz. Gdy o świcie prowadziłem czoło korpusu przez wieś Dębe, napotkałem na drodze, która była cieśniną między dwoma błotami, taką masę zdobytych armat, wozów nieuprowadzonych i takie w drodze zapory, że dwie godziny na uprzątaniu ich zeszło, co o tyleż opóźniło pogoń naszą za pobitym nieprzyjacielem. Byłoby inaczej, gdyby sztab główny, jak Skrzynecki sam tego żądał, zanocował w Dębem. Takie niedbalstwo w uprzątnieniu głównego traktu nie byłoby zaszło pod okiem głównej kwatery. Powodem cofnięcia jej było, że kuchnia sztabu już się w tyle we wsi Brzezinie rozłożyła i tam wieczerzę zgotowano. Monsieur Georges, były kuchmistrz mego ojca, a dziś przy sztabie głównym personat, zaprotestował, gdy mu dano rozkaz przeniesienia nastawionych rondli o ćwierć mili dalej. Chrzanowski, szef sztabu, nieraz potem narzekał, że uległ powolności naczelnego wodza dla kuchmistrza".

Naturalnie, że brak tęgości, brak decyzyi w chwilach stanowczych musiał łamać dyscyplinę, karność w szeregach, był powodem krytyk i szemrań głośnych, powodem, że najmłodsi oficerowie lepiej o swoich kwalifikacyach, niż kwalifikacyach Skrzyneckiego sądzili. W stronę buławy także Zamoyski spoglądał i może nawet nie stał od niej daleko.

Do najciekawszych stronic pamiętnika należą te właśnie, które mówią o Bolimowie, o wzburzeniu tam oficerów i o wyprawie na Rosena.

Obok tych stronic przykuwają uwagę listy Jana Zamoyskiego z Petersburga pisane oraz listy synów i żony do ordynata Zamoyskiego, który jak wiadomo podczas powstania także w Petersburgu przebywał. Jest rzeczą niewątpliwą i zrozumiałą bardzo, że cesarz Mikołaj pragnął utworzyć z Polaków, którzy mu wierni zostali, stronnictwo petersburskie, coś w rodzaju drugiej Targowicy, co zresztą było rzeczą niemożliwą, choćby z tego powodu, że stronnictwo takie musiałoby mieć jakiś program, jakieś zapewnienie cesarskie, na którychby się oprzeć mogło dla stanięcia w poprzek ruchowi ogólnemu, a słowa „niech się zdadzą na moją wspaniałomyślność“ programem nie były, ani dać nie mogły oparcia.

Listy Władysława Zamoyskiego i ordynatowej Zamoyskiej tchną prawdziwą rozpaczą i trwogą z powodu pobytu ordynata w Petersburgu. Cytujemy tutaj piękne słowa tej Polki, które niech jak gwiazdy świecą nad jej pamięcią.

„List twój przeraził mnie do najwyższego stopnia. Żadne słowa nie oddałyby tego, co doznaję, co cierpię, czego się obawiam, — więc zamilknę. Kocham cię, wolę twoją szanuję, losy twoje dzielić będę, jakiekolwiekby były, ale powodów twoich nie rozumiem, więc pochwalać cię nie mogę. Straszno mi te słowa napisać, ależ przedewszystkiem trzeba mówić ze sobą otwarcie. O drogi mój, jeżeli jeszcze na to czas, zmiłuj się nad nami, nad synami twoimi, nad nazwiskiem naszem. Jestem chora, w łóżku, ruszyć się nie mogę i nie wiem co począć. Co chwila ktoś mnie o ciebie wypytuje, a gdybyś wiedział ile cierpię, słuchając co mówią o tych, którzy się nie łączą, co ja sama dziś rano jeszcze mówiłam. Już nic nie wyrzekę, ale już nie zniosę żadnego spojrzenia“. (List z Puław, bez daty, str. 35).

„Na Boga, na dzieci, zaklinam cię, błagam, idź za radą ci daną. Twoja piękna, szlachetna dusza, polska dusza, tak prawdziwie przywiązana do kraju, wiem co cierpi w tak trudnem położeniu, rozumiem je, ale już rzeczy doszły do tego, że każdy Polak, jeżeli nie chce okryć się hańbą, musi służyć nieszczęśliwej ojczyźnie i z nią zginąć, jeżeli taka będzie wola Boga. Któżby chciał żyć, ocalić się, kiedy wszyscy nasi pójdą i zginą. Na cóż potem żyć“? „Ale tu już niema nad czem się wahać, powtarzam, jeżeli wszystko zginie, to i nam daj Boże zginąć i nie przeżyć dzieci i kraju“. (List z Puław 8 grudnia 1830 r. str. 37).

„Wyjeżdżaj stamtąd, na klęczkach cię błagam; gdyby tam przyszło do jakiego działania, jakichś podpisów, o mój drogi, tożby to była druga Targowica. Na samą nazwę wszystko się we mnie wzdryga“. (List z Puław, 15 stycznia 1831 r.).

Działania tego boi się i syn, pisząc w jednym z listów: „W imieniu nas wszystkich błagam Ojca drogiego, aby się tam powstrzymał od wszelkiego działania politycznego. Błagam, aby Ojciec drogi nie zapominał, że ma tu dzieci, które Go zarówno kochają, jak poważają; że dzieci te umarłyby ze zgryzoty, gdyby imię Ojca tam wystąpić miało".

Dając sprawozdanie w „Bibliotece Warszawskiej" z I-go tomu „Generała Zamoyskiego" wspomnieliśmy o pamiętniku spisanym przezeń w r. 1832, który tu uwzględniony nie został. Teraz w tomie II następujące czytamy rzeczy tej objaśnienie w przypisku na str. 472: „Praca ta w oryginale francuskim nie wyszła w druku. Przekład polski bezimienny i niezupełnie z oryginałem zgodny wydany był po raz pierwszy w roku 1866, w Poznaniu, nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Powtórnie wydrukowany został w niniejszem dziele (T. I, r. XIII, XIV. T. II, r. I) poprawiony i uzupełniony według oryginału".

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

---

KS. DR. KAZIMIERZ ZIMMERMAN. *Ks. Patron Wawrzyniak.* Kraków. Druk W. Z. Anczyca i Spółki. Nakład autora.

„Wawrzyniak—mówi autor—należał do tych zjawisk, które w świecie ducha objawiają się podobnie ludziom, jak w świecie fizycznym olbrzymy katedr gotyckich". „Wiedział świat i wiedziała Polska cała, że na wielkopolskiej ziemi żyje olbrzym, który od lat dźwiga wielki gmach gospodarstwa krajowego, i to obcym i wrogom służyło za hasło, a Polsce za naukę, pociechę i bodziec do pracy i naśladowania".

Rozwój spółek gospodarczych i zarobkowych—oto tytuł do zasług Wawrzyniaka. Niech cyfry mówią za siebie. Związek spółek liczy w Księstwie i w Prusach Zachodnich 248 rozmaitego rodzaju spółek z 116849 członkami z 22 milionami udziałów i 177 milionami depozytów.

Nasamprzód powstawały spółki bardzo powoli. Od chwili powstania Związku i Patronatu w roku 1871 aż do roku 1891, gdy kierownictwo objął Wawrzyniak, założono zaledwie 39 spółek. Mimo usilnej pracy patrona, ks. Szamarzewskiego, który dnie i tygodnie całe spędzał na jednem miejscu dla pouczenia zarządu i sanacyi spółki—cały szereg ich upadał. Zarządy pojedyńczych

spółek kierowały się fałszywą ambicyą i nie chciały wcale przyjąć ani patrona, ani rewizorów związku.

Dopiero nowe prawo spółkowe z dnia 1 maja 1889 przyszło w pomoc rozwojowi spółek, przepisując obowiązkową rewizyę, każdej spółki w ciągu dwóch lat i zmuszając spółki do uwzględnienia wytkniętych braków. W Związku spółek polskich postanowiono skorzystać z prawa i pozyskać przywilej rewizyi. Sądzono wszakże, że rząd łatwiej udzieli prawa rewizyi mniejszym organizacyom, niż jednemu polskiemu związkowi i postanowiono istniejący Związek spółek zamienić na 3 związki. Komisyę, zajmującą się tą sprawą, udało się ks. Wawrzyniakowi przekonać o konieczności centralizacyi. Na ogólnem jednak zebraniu zarzucono mu dążenie do władzy i opanowania oddzielnych spółek i uchwalono utworzenie 3 związków rewizyjnych z siedzibami w Poznaniu, Bydgoszczy i Kwidzynie.

Skoro władze wszystkie trzy związki zatwierdziły, rozpoczęła się kampania przeciw patronatowi, który zaczęto uznawać za zbyteczny. Na wspólny sejmik, zwołany przez patronat do Inowrocławia, cały szereg spółek odmówił przysłania delegatów. Ci zaś, co przybyli, odebrali patronatowi prawo rewizyi i egzekutywy, uśmiercając go w ten sposób.

W bardzo prędkim jednak czasie młodsze i słabsze spółki przekonały się, jaką szkodę stanowiło dla nich ograniczenie praw patronatu. To też na najbliższym sejmiku w Środzie w r. 1891 zrozumiano wreszcie znaczenie łączności i uchwalono połączenie wszystkich trzech związków w jeden, którego zarząd miał stanowić patronat. Na patrona wówczas wybrano na miejsce zmarłego ks. Szamarzewskiego — ks. Piotra Wawrzyniaka.

Doprowadzenie do skutku tej centralizacyi, która stała się podstawą dalszego pomyślnego rozwoju spółek, to jedna z najważniejszych zasług Wawrzyniaka.

Jemu także zawdzięczają spółki wprowadzenie w życie centralnej instytucyi pieniężnej, która uregulowała przypływ i odpływ pieniędzy po spółkach.

Poprzednio nie mogły się spółki należycie rozwijać. Aby uchronić się bowiem od strat, udzielały wtedy dopiero pożyczek, gdy depozyty napłynęły w dostatecznej ilości, i odwrotnie wtedy tylko przyjmowały oszczędności, gdy nadeszły wnioski o pożyczki w odpowiedniej ilości i wysokości. Dopiero Wawrzyniak założył w roku 1885 Bank Związku Spółek.

Przez lat dwadzieścia kilka był Wawrzyniak patronem Spółek i w tym czasie stworzył przedewszystkiem szkołę dla kie-

rowników spółek. Za pomocą długotrwałych rewizyi, nauk i rad listownych, kursów specyalnych, pisma związkowego, sejmików i instrukcyi wykształcił setki wykwalifikowanych spółkowców. Rozwój zaś spółek otworzył nową dziedzinę pracy dla młodzieży inteligentnej, która chętnie oddała mu się zawodowi finansowemu.

Przy szerokim poglądzie na rzeczy ks. Wawrzyniak nie zasklepił się jedynie w spółkach pożyczkowych, ale z czasem począł zakładać i spółki parcelacyjne, chcąc ująć w polskie ręce handel ziemią, pośrednictwo w sprzedaży i parcelacyi. Działalności tych spółek parcelacyjnych wiele zawdzięcza włościaństwo polskie.

Skoro tylko wykształciły się potrzebne siły zawodowe w spółkach, a finansowe instytucye lokalne wzmocniły się o tyle, że mogły służyć innym przedsiębiorstwom potrzebnym kredytem, przystąpił Wawrzyniak do zakładania spółek spożywczych, rolnych, zwanych „Rolnikami“. W przeciągu lat kilku „Rolniki“ stały się potęgą handlową.

Popierał wreszcie Wawrzyniak spółki spożywcze i w dziedzinie towarów, idących nie na potrzeby rolnictwa, tak zwane w Poznańskiem „Kupce“.

Spółki polskie w rozwoju swoim pobiły niemieckie, istniejące z inicyatywy i z pomocą rządu. Setki spółek niemieckich wegetuje i utrzymuje się sztucznie lub działa tylko na papierze.

Wawrzyniak nie miał nigdy ambicyi, aby przez popieranie swojego dzieła psuć harmonijny rozwój gospodarstwa społecznego. Tam, gdzie istniał rzetelny i wykształcony zawodowo Polak, tam nie pozwalał na założenie „Kupca“ lub „Rolnika“, aby nie podkopywać bytu polskiemu powstającemu stanowi kupieckiemu.

Wawrzyniaka wybrano z czasem prezesem najwyższej rady politycznej polskiej w Rzeszy niemieckiej, członkiem dyrekcyi Towarzystwa pomocy naukowoj imienia Marcinkowskiego, członkiem głównego zarządu katolickich towarzystw robotników polskich, wicepatronem kółek włościańskich, prezesem Towarzystwa fabrykantów polskich oraz Towarzystwa wydawców polskich, prezesem wydziału prawno-ekonomicznego Towarzystwa przyjaciół nauk, wybierano go na przewodniczącego sejmików delegatów Czytelni ludowych, Towarzystw przemysłowych i najrozmaitszych innych. W ostatnich latach żadne prawie przedsiębiorstwo gospodarcze czy społeczne w zaborze pruskim nie obywało się bez jego współudziału.

Wielkość jednak Wawrzyniaka objawiła się najwięcej w chwili zgonu. Każdy Polak w zaborze pruskim widział, czem dla społeczeństwa był Wawrzyniak, a jednak nie ogarnął nikogo ani

na mgnienie oka lęk o przyszłość. Naród pewny był, że żadnemu z dzieł Wawrzyniaka nic w niczem nie zagraża, bo dzieła te na trwałych podstawach były murowane.

Wawrzyniak był pochodzenia chłopskiego. W Kościańskim i Śremskim wśród najprzedniejszych gospodarzy dziad i ojciec Wawrzyniaka odznaczali się oświatą, zacnością, siłą i zamożnością. Z tej chaty kmiecej wyniósł Wawrzyniak to, czem potem zdumiewał swoich i obcych.

„Była w Wawrzyniaku — pisze autor, który mu się zblizka przypatrywał, jako jeden z młodszych współpracowników—ogromna siła, wprost potęga cielesna, duch mocny nie do znękania, umysł otwarty, jasny, świadomy cech i środków, rozum praktyczny, w żadnej okoliczności nie zawodzący, hart woli niezłomny i energia opanowująca wrażliwość i stawiająca ponad wzruszeniem każdym jaźń wewnętrzną, radość życia, zapalność, co jak magnes ciągnęły go do wszystkiego, co dobre i wzniosłe".

Człowiek ten nie ustawał całe życie, lecz ciągle szedł naprzód, zapatrzony w swą ideę.

Wacław Dunin.

---

Dr. BOHDAN ZAHORSKI. *O formach współżycia płciowego ze stanowiska socyologicznego.* Kraków, G. Gebethner i S-ka, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Kolebką socyologii stał się pełen nadziei okrzyk „wiedzy pozytywnej", jaki w świat naukowy, znękany bezowocnym wysiłkiem „wielkich systemów" rzuciło dwóch ludzi Henryk de Rovray comte de St. Simon i August Comte. Prądowi stąd wynikłemu zawdzięcza socyologia swój byt i zasadnicze ukształtowanie, mimo iż wieki całe przedtem stary Seneca już głosił, że człowiek jest: „animal sociale, communi bono genitum". Spencer wywalczył socyologii prawo obywatelstwa w świecie naukowym, poczem, jak niepokonany zdobywca, opanowała Francyę, Włochy i Hiszpanię, później nieco Amerykę i Rosyę, a po pokonaniu zaciętego oporu niemieckich ekonomistów z „ich wiedzą społeczną" (Mohl, Gneist) owładnęła i Niemcami.

Wystawiwszy taki rodowód socyologii, autor określa ją, jako naukę o formach współżycia ludzkiego, zaznacza dalej, iż tylko indukcya, oparta na faktach i przyrodniczem ich badaniu, może być zasadą, na której wolno dopiero budować socyologiczne wnioski—dedukcyę.

Przystępując do wykreślenia linii rozwojowej współżycia płciowego ludzi, wskazuje trudności, jakie tu spotyka socyolog. Należy przedewszystkiem starannie się wystrzegać anachronizmu, to jest oceniania zjawiska ze współczesnego punktu widzenia dzisiejszych obyczajów i etyki. Dalej nie wolno zapominać, że nieraz forma, zwodnicza wskutek pewnych okoliczności i warunków, przeżywa w miarę rozwoju życia społecznego, te warunki, które ją wywołały, i zostaje w ten sposób pozbawiona treści.

Autor krytykuje teoryę Lewis H. Morgana. Według niej, ludzkość musiała przejść przez trzy okresy rozwojowe: barbarzyństwa, dzikości i cywilizacyi. Każdy z tych okresów dzieli jeszcze Morgan na 3 okresy poboczne: niższy, średni i wyższy. Każdemu z tych okresów miała odpowiadać pewna forma małżeństwa.

Również nie znajduje jego uznania i teorya Bachofena o tak zw. fazach rozwojowych ludzkości. Pierwszą z nich miał być heteryzm, z którego po pokonaniu go przez kobiety wyłoniło się panowanie kobiet-matryarchat, po nim zaś dopiero drogą powolnego rozwoju przyszedł patryarchat.

Teorya ta zawiera w sobie błąd zasadniczy, że nieodróżnia prawa matczynego i ojcowskiego od władzy matczynej i ojcowskiej. Tymczasem w rzeczywistości władza ojcowska i prawo matczyne mogą istnieć obok siebie w tem samem plemieniu.

Autor słusznie wytyka obydwom tym teoryom i innym, do nich zbliżonym, dwa zasadnicze braki. Pierwszą omyłką jest, iż wnioski, oparte na faktach dotyczących oddzielnych plemion, zostały bezpodstawnie rozszerzone na całą ludzkość. Drugą — zaś to, iż teorye te sztucznie numerują niejako szczeble, po których każą piąć się ludzkości w górę ku cywilizacyi. Jestto zbytnie upraszczanie złożonych zjawisk społecznych, wielce zależnych od nader różnorodnych warunków.

Autor uważa słusznie za nieracyonalne przekonanie, iż ludzie pierwotni doszli do formy monogamicznej dopiero w późniejszych stadyach rozwoju. Badania Hartmanna i innych miarodajnych znawców obyczajów małp człekopodobnych wykazały, iż niektóre ich gatunki żyją w dłuższej lub krótszej, a niekiedy nawet dozgonnej monogamii. Dlaczegóżby więc to samo nie było możliwem u człowieka pierwotnego.

Oprócz jednak związków monogamicznych musiały istnieć wśród pierwotnych hord ludzkich także związki luźne i bezładne. Taka horda ludzka, niezjednoczona jeszcze niemal żadnym ustrojem, prócz instynktem stadowym, zadowalniała przedewszystkiem

potrzeby swe i pożądania. Mężczyźni walczyli o kobiety, kobiety oddawały się temu, kto je brał i komu ze swej strony oddać się chciały.

Autor uznaje również istnienie poligamii, zakazów żenienia się w pewnem gronie i poza obrębem pewnego grona, patryarchatu, wielomęstwa i matryarchatu.

Ze stanowiska ściśle socyologicznego o żadnej formie małżeńskiej nie można powiedzieć, iż była powszechną, to znaczy, że wszystkie społeczności ludzkie musiały przez nią przejść. Tak samo nie można dla całej ludzkości wykreślić szematu ani utworzyć systemu, oznaczającego porządek form małżeńskich i rodzinnych. Jestto możliwe tylko dla poszczególnych społeczeństw i to tylko wtedy, gdy jest dostateczny materyał faktyczny.

Pierwotną zatem formą unormowanego obcowania płciowego w grupach o bardzo słabej spójni społecznej, była rodzina parzysta i małżeństwo komunistyczne. Odchylenia od tych form zawierały w sobie zarodek form przyszłych, t. j. wielomęstwa i wielożeństwa. Na zmiany tych form obcowania płciowego wpływały rozwój i jakość ustroju społecznego, rodzaj zajęć i sposób życia, wierzenia, obyczaje i rozwój uczuć, stosunki z sąsiadami, przesiedlenie się w uboższą lub żyźniejszą okolicę, podbój i zabór, dostanie się w niewolę, zmiany stosunku ilościowego obu płci, środki komunikacyjne i nowe wynalazki. Linia ewolucyi form małżeńskich jest wypadkową tych wszystkich wpływów.

Szczegółowych punktów wytycznych tej drogi wyznaczyć dla całej ludzkości niepodobna. Można jednak powiedzieć, iż w pierwotnem społeczeństwie forma obcowania płciowego zależną była przedewszystkiem od jakości i napięcia popędu płciowego, normować zaś ją mogły tylko widoczne i doraźne jego skutki. W społeczności bardziej rozwiniętej zależną była przedewszystkiem od roli rodziny, normowały zaś ją głównie warunki ekonomiczne i ustosunkowanie władzy. W społeczeństwie kulturalnem rodzina i jej forma była przeważnie zależną od państwa, normował zaś ją głównie cały szereg wierzeń, zwyczajów i pojęć moralnych. W społeczeństwie bardzo kulturalnem i cywilizowanem normuje ją przedewszystkiem strona duchowa życia.

Linią zasadniczą więc owej ewolucyi jest zmniejszanie się znaczenia wpływów ekonomicznych na rolę i formę rodziny, a wzrost znaczenia wpływów natury psychicznej. Jednocześnie zwęża się koło endogamiczne aż do granicy najbliższych krewnych, rozszerza się zaś koło exgamiczne na całą ludzkość.

Już Hoene-Wroński w przebłysku swego genialnego umysłu zaznaczył, że linia ewolucyi społecznej jest prawdopodobnie linią fali (sinusoidą). Prawdopodobnie, zdaniem autora, grzbiety tej fali (amplitudy) będą z biegiem czasu coraz mniejszymi, innemi słowy, że linia rozwojowa zdradza skłonności do przejścia w dalekiej przyszłości w linię prostą.

Dotychczasowy rozwój form współżycia płciowego dowodzi, że linia jego idzie w kierunku związku monogamicznego. Związek ten musi być oparty na zharmonizowaniu i ścisłej spójni uczucia psychicznego z pożądaniem płciowem w każdem indywiduum zosobna i na możliwie pełnym rozkwicie, realizowaniu i dopełnieniu do całości odmiennych nieco już w istocie swej znamion, sił, upragnień i wzlotów obu jednostek, stanowiących ów związek.

W. D.

---

*Mémorial de la Légion polonaise de 1848 crée en Italie par Adam Mickiewicz.* Publication faite d'après les papiers de son père avec préface et notes par Ladislas Mickiewicz. Paris, tom I, 1877 r. tom II, 1909 r., tom III, 1910 r.

Jedynie na tle znajomości Wykładów w Collège de France i przewrotów myślowych, jakie zaszły w Mickiewiczu od chwili poznania Towiańskiego, można zrozumieć tworzony przez niego w 1848 r. Legion we Włoszech, ideę Legionu i jego Symbol. Tak więc komentarzem do Wykładów będzie „Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego“, a wykłady wraz z „Współudziałem“, komentarzem do Symbolu i idei, którą w Legion włoski włożył Mickiewicz. Olbrzymie są przeto zasługi Władysława Mickiewicza, z jednej strony wydawcy „Współudziału“, z drugiej autora Memoriału o legionie, w którym materyał zostawiony przez swego ojca uzupełnił z pism współczesnych, z niewydanej korespondencyi, z archiwów rządowych i ze wspomnień ludzi biorących udział w ruchu.

Adam Mickiewicz opuścił Paryż 21 stycznia, a przybył do Rzymu 6 lutego 1848 r. Już w czasie jego pobytu w Rzymie, bo 24 lutego, republika została ogłoszona we Francyi, zaś 13 marca wybuch rewolucyi w Wiedniu i ucieczka Metternicha. Łatwo sobie wyobrazić radosne manifestacye we Włoszech, w których uczucia nienawiści ku Austryakom rozegzaltowane były wypadkami i łączyły wszystkich w dążeniu wyparcia Austryi z półwyspu. W dniu

manifestacyi w Rzymie miał Mickiewicz powiedzieć, będąc obecny na Piazza del Popolo przy spaleniu orłów austryackich: czas manifestacyi minął, zaczął się czas czynu.

We Włoszech, rozkołysanych manifestacyami i palonych niezadowoleniem z istniejącego stanu rzeczy, dokonał się już czyn istotny, czyn orężny, na jednym punkcie, w Sycylii, gdzie wybuch nastąpił w Palermo 12 stycznia, a w pierwszych dniach lutego już prawie cała wyspa była wolna od despotyzmu Burbonów. Wślad za Sycylią urządzono wielką manifestacyę na ulicach Neapolu, i uzyskano dekret króla Ferdynanda (28 stycznia), zapowiadający nadanie konstytucyi. W Piemoncie wrzało, żądano swobód konstytucyjnych od króla Karola Albrechta i król po pewnem wahaniu przyrzekł 8 lutego nadanie statutu konstytucyjnego, który został ogłoszony 4 marca. To samo obiecał Leopold II, W. Książe Toskanii, a państwu kościelnemu nadał konstytucyę 14 marca Pius IX, papież, z którego imieniem od chwili objęcia przezeń pontyfikatu wiązały się nadzieje Włochów. W połowie więc marca 1848 r. wszystkie państewka włoskie miały rządy oparte na wolności, z wyjątkiem krajów będących pod panowaniem Austryi, Lombardyi i Wenecyi. W prowincyach tych ucisk zaciężył jeszcze bardziej, odpowiedzią na manifestacye były nie ustępstwa, jak w całych Włoszech, ale krwawe sceny na ulicach Medyolanu 3-go stycznia, powtórzone w Pawii i Padwie, uwięzienie Manina i Tommasea. Polityka rządu zaborczego stanęła w opozycyi do polityki rządów samodzielnych państewek włoskich, Austrya na sobie zogniskowała wszystkie nagromadzone przez wieki nienawiści do despotyzmu, spotęgowane antypatyą do elementu obcego. W całych Włoszech okazała się solidarność z prowincyami uciskanemi, wyrazem jej pismo okolicznościowe Maxymiliana d'Azeglio, ogłoszone w Rzymie w lutym 1848 r. p. t. „I lutti di Lombardia", które było pierwszym głośnym okrzykiem wojennym całych Włoch przeciw Austryi. Dla człowieka tak przejętego jak Mickiewicz poczuciem jedności Słowian i ich wspólnych zadań, ważnem musiało być, że zaraz na wstępie swego pobytu w Rzymie przeczytał w tem piśmie gorące słowa, oddzielające ludy Słowiańskie w skład Austryi wchodzące od ich wspólnego tyrana i przedstawiające te ludy jako naturalnych sprzymierzeńców Włoch. Ludy słowiańskie przeciw Austryi—to był program, który wkrótce potem postawił Mickiewicz dla tworzącego się Legionu. Legion miał się składać nietylko z emigrantów polskich, ale z austryackich jeńców słowiańskiego pochodzenia, i miał przyciągnąć pod polską chorągiew początkowo zbuntowane jednostki, potem całe ludy sło-

wiańskie, gdy po wyzwoleniu Włoch przedsięwziąłby marsz wojenny w stronę Polski. Plan był wielki, daleko sięgający, a miał oparcie w opinii, a nawet mógł mieć nadzieje oparć w polityce włoskiej: że wspomnę tylko datowaną 25 marca proklamacyę Rządu Tymczasowego Medyolańskiego, wzywającą także Polaków aby wzięli udział w walce przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi—i Odezwę członka rządu Weneckiego Tommaseo, wzywającą wszystkie ludy słowiańskie państwa austryackiego do zrzucenia jarzma.

Wybuch nienawiści całych Włoch przeciw Austryi miał miejsce w dn. 18 marca w Medyolanie, pod wpływem podniecających wieści o rewolucyi w Wiedniu. W jednej chwili prowincye austryackie we Włoszech stanęły w ogniu; w Lombardyi utworzył się Rząd Tymczasowy, Wenecya ogłosiła się republiką. Armia austryacka wycofała się z miejsc zagrożonych i zajęła terytoryum między Mincio i Adygą, ze czterema fortecami, Mantuą, Peschierą, Weroną i Legnano. Z własnego uczucia i pod naciskiem ludu stanął król Piemontu, Karol Albert, po stronie prowincyi, gotujących się do walki o niepodległość i wysłał swą armię przeciw Austryakom.

We Włoszech zapanował szalony entuzyazm; wśród gorących powitań ludu napływała młodzież ze wszech stron w szeregi, jako ochotnicy, a książęta włoscy, choć niezbyt chętnie, ulegając ogólnemu życzeniu, posyłali Karolowi Albertowi posiłki. Gotowała się wielka krucyata przeciw Austryi.

29 marca, w najgorętszych czasach entuzyazmu do walki, zawiązał się legion polski pod tymczasowem przewodnictwem Adama Mickiewicza, z zamiarem pomagania Włochom w walce o niepodległość i przeniesienia tej walki w granice Polski. Pod aktem zawiązania podpisów 14 (razem z podpisem Mickiewicza). Tegoż dnia podpisany został przez tychże samych *Symbol polityczny Polski*, zawierający dla przyszłej Polski zasady jej bytu, kierunek rozwoju jej życia społecznego w duchu ewangelii,—a więc miłości i sprawiedliwości. Symbol stanowić miał ideową podstawę formującego się Legionu, jego siłę moralną, miał być hasłem ideowem, pod którem grupujący się obrońcy dobrej sprawy staliby się niezwyciężeni. Stąd olbrzymia waga przywiązana do Symbolu, którego legioniści dla żadnych kombinacyi politycznych, ani żadnych względów odstąpić nie chcieli.

Mały zawiązek Legionu wyjechał z Rzymu 11 kwietnia drogą morską ku Medyolanowi. W Livorno nawiązał Mickiewicz stosunki z marynarzami słowiańskimi, będącymi w porcie, udzielił im Symbolu i otrzymał obietnicę, że flagę austryacką zamie-

nią na polską. We wszystkich miastach gdzie się zatrzymywali, byli legioniści przedmiotem manifestacyi ludowych, — wszędzie przemawiał Mickiewicz do ludu. Najenergiczniejszą była jego mowa w Bolonii, był w niej zapał wojenny, uniesienie, wiara w zwycięstwo. W Parmie wygotował Mickiewicz notę do Rządu Tymczasowego republiki francuskiej, przedstawiającą jej nową zasadę polityki międzynarodowej, zasadę oparcia się na narodach budzących się i powstających. 1 maja przybył oddziałek polski do Medyolanu.

Gdy Mickiewicz stanął w Medyolanie, akcya wojenna wojsk piemonckich przeciw Austryi była w toku, parę bitew już się rozegrało, lecz wkrótce zaprzestano kroków zaczepnych i ograniczono się na żmudnem i demoralizującem wojsko oblężeniu twierdzy Peschiery. Brak decyzyi i jednolitego kierunku dał się spostrzegać w rządzie. W formacyi Legionu stawiano Mickiewiczowi trudności, zrazu żądając od niego projektu rozwiniętego w szczegółach, potem zwężając jego projekt, wzbraniając się od przyjmowania do Legionu prócz Polaków i innych Słowian. Sfery wojskowe były wogóle przeciwne oddziałowi ochotników polskich, i w tym duchu wpływały na Rząd; względy polityczne odgrywały też dużą rolę, gdy obawiano się, przyjmując Polaków pod chorągwią narodową, narazić sobie dwa pozostałe państwa trójprzymierza. Ale Mickiewicz wierzył w zwycięstwo swej idei, i tylko dbał o to, aby mu nie brakło żołnierza; tak więc posłał delegatów do Paryża, wzywając Emigracyę do zaciągania się w szeregi legionu, a władze francuskie do ułatwienia Polakom przejazdu do Włoch, napisał też 28 maja do księcia Czartoryskiego i pułkownika Zamoyskiego, wystawiając im ideę Legionu i żądając poparcia. W pierwszych dniach czerwca miał Mickiewicz radość przywitać kolumnę Kamieńskiego, złożoną ze 120 Polaków. Nie zaprzestając kroków urzędowych, aby zdobyć potwierdzenie formacyi Legionu w Medyolanie, posłał Mickiewicz równocześnie oficera polskiego do Wenecyi, aby pertraktował z republiką o ewentualne przyjęcie legionu słowiańskiego pod polską chorągwią. Ministeryum wojny lombardzkie dało 6 czerwca odpowiedź, ograniczając na razie liczbę legionistów do 600, a 10 czerwca została ostatecznie przyjęta nowa formacya pod dowództwem Kamieńskiego, który odtąd sam robił kroki do ministeryum wojny żądając funduszów do sprowadzenia z Francyi ochotników polskich. Mickiewicz tymczasem udał się do obozu piemonckiego i uzyskawszy audyencyę u króla Karola Alberta, przedstawił mu swoje szerokie plany, dawał nadzieję zdezorganizowania wojsk

austryackich przez wezwanie Słowian pod chorągwie polskie. Król, coraz więcej niepewny i wahający się, obiecał podpisać projekt dekretu, który mu przedstawił Mickiewicz, ale obietnicy nie dotrzymał, a Mickiewicz zaczął coraz więcej myśleć o przeniesieniu swego legionu do Wenecyi. Widząc niezadowolenie Polaków, których trzymano bezczynnie w kasarni, dał rząd nareszcie rozkaz Kamieńskiemu udania się na linię bojową, a Mickiewicz, zostawiwszy mu instrukcyę na piśmie, wyjechał z Medyolanu 26-go czerwca i przybył do Paryża 11 lipca, z zamiarem wystarania się dla Legionu o ludzi i środki.

Oryentacye emigracyi polskiej w Paryżu były zupełnie różne od oryentacyi Mickiewicza. Już od wybuchu rewolucyi w Paryżu była cała Emigracya w ruchu, ale przeważnie śpieszono na Wschód, ku Polsce, a nawet agitowano ustnie i w pismach przeciw udawaniu się do Włoch. Republika francuska manifestem Lamartine'a ogłosiła już w początkach marca zasadę nie mięszania się do ruchów poza jej granicami. Jednakże Mickiewicz nie zaniechał usiłowań, aby mimo wszelkich przeszkód wysyłać posiłki dla legii; w tych usiłowaniach musiały jego starania iść rozbieżnie z usiłowaniami ks. Czartoryskiego i Zamoyskiego, którzy Symbolu uznać nie byli skłonni, a chcieli ująć w swoje ręce kiełkującą organizacyę wojenną polską. Tymczasem malutki legion odbył chrzest krwi, a nawet jego wódz Kamieński został ranny, ale wypadki coraz niekorzystniejszy brały kierunek dla sprawy włoskiej. W armii szerzył się rozkład, książęta włoscy gotowali się do odwołania swych wojsk z placu boju. Po trzydniowych walkach (od 23—25 lipca), cofnął się Karol Albert ku Medyolanowi, którego kapitulacyę podpisał 4 sierpnia, za co wśród ogromnej manifestacyi zrozpaczonego ludu medyolańskiego z trudnością uszedł śmierci. 9 sierpnia zawarty został rozejm z nieprzyjacielem. Legion przeszedł granicę i wszedł do Piemontu.

Wobec zaprzestania walki między Austryakami a królem Piemontu, pierwszym odruchem Polaków było udać się na inny punkt Włoch, którego lud i władca nie odstąpiliby sprawy ogólnej; myśleli o Piusie IX, Mickiewicz zaś listem z 1 września wyprawiał ich ku Wenecyi, będącej w przededniu rozpoczęcia oblężenia przez wojska austryackie. Jednakże dowódca Legionu Siodołkiewicz, widząc, że mimo porażki Karol Albert nie zrezygnował z walki, wdał się w pertraktacye z rządem piemonckim, aby formować Legion polski na jego terytoryum, a 28 września wysłał Dziekońskiego do Paryża, aby mu przywiózł polskich ochotników do wypełnienia kadr legionu. Jednakże w stosunku do

Polaków szła polityka rządu piemonckiego w tym kierunku, aby stworzyć korpus polski w służbie Piemontu; do armii wstąpiło wielu oficerów polskich, a nawet generał Chrzanowski został szefem sztabu generalnego, a właściwie otrzymał naczelne dowództwo całej armii. Garstka Polaków, tworzących Legion, nie mogła się wyrzec Symbolu i moralnego kierownictwa Adama Mickiewicza, gdyż tem samem wyrzekałaby się swej idei, swych nadziei, to też, gdy pułkownik Zamoyski ujął w swe ręce rekrutowanie Polaków do armii piemonckiej i uzyskał wielkie wpływy na dworze, Legion pod wodzą Siodołkiewicza opuścił Piemont i udał się do Toskanii, gdzie się połączył z grupą ochotników polskich, którzy niedawno przybyli z Francyi pod przewodnictwem Michała Chodźki. W Toskanii spotkali legioniści duże trudności ze strony rządu, a także ciągłą niepewność, gdyż właśnie w tym czasie odbywały się w państwie wewnętrzne przewroty i starcia stronnictw. Rewolucya zwycięska w Rzymie, rozszerzała się zwolna na Toskanię. Z Rzymu uciekł Pius IX 24-go listopada i schronił się na terytoryum neapolitańskie do twierdzy Gaety; 9 lutego zgromadzenie narodowe rzymskie ogłosiło republikę rzymską, otwarty zaś 10 stycznia parlament toskański wydelegował członków do tegoż zgromadzenia. I tak we Włoszech Środkowych władza wpadła w ręce stronnictw radykalnych, podczas, gdy na północy Włoch gotowano się do nowej walki z Austryą, walki zakończonej klęską pod Nowarą, a we Włoszech południowych król Ferdynand tłumił wolności i przywracał dawny stan rzeczy. 7 lutego W. książę Leopold uciekł do Gaety, 8 lutego utworzył się Rząd Tymczasowy Toskański, który wszedł w ścisłe porozumienie z rządem rzymskim. Znowu nadzieja wielkich zdarzeń i zwycięstw zaświeciła legii polskiej, która dała jej wyraz w manifeście 22 stycznia 1849 r., a po utworzeniu się Rządu Tymczasowego oświadczyła się za nim natychmiast, jako za wypływającym z woli ludu. Odżyły projekty dużego legionu, sprowadzeniu ochotników z Francyi.

Z powodów wewnętrznych Siodołkiewicz z końcem marca wziął dymisyę. Zanim się uregulowała sytuacya wewnętrzna Legionu, przybyła wiadomość o klęsce wojsk piemonckich pod Nawarą 23 marca, wkrótce zaś o posuwaniu się wojsk austryackich wgłąb Włoch, ku Toskanii, z zamiarem interwencyi na rzecz dawnego porządku rzeczy. Na chwilę Guerrazzi wziął dyktaturę, walka wewnętrzna stronnictw zawrzała, zakończona zwycięstwem partyi umiarkowanej, która zaprosiła W. Księcia Leopolda, by objął napowrót rządy. Wtedy Polacy, mimo protestu Haukego,

komendanta jednego z dwóch oddziałów tworzących Legion, wyszli pod wodzą Fiałkowskiego ukradkiem z Toskanii i weszli do Rzymu w nocy z 16 na 17 maja. W uspakajaniu Włoch prócz Austryi, wzięła udział Hiszpania i Francya; oblegany przez wojska francuskie Rzym, kapitulował 3 lipca. Polacy rozbrojeni, jeszcze jeden żywili zamysł, aby udać się do Węgier na pomoc rewolucyi, ale losy tułacze zaprowadziły ich do Grecyi, zkąd w głodzie, nędzy i chorobie pisali do Mickiewicza 15 maja 1850 roku, prosząc go o kilka słów, któreby ukoiły ich dusze krwawiące, ożywiły płomień ich serc. Wypędzeni z Grecyi wskutek interwencyi gabinetów, udali się częściowo do Ameryki, jednak większość schroniła się do Konstantynopola, gdzie po latach paru spotkali się z Mickiewiczem, znowu jako żołnierze sprawy polskiej.

Oto jest szkielet dziejów legionu polskiego we Włoszech w 1848 r. W Memoryale Władysława Mickiewicza linia i jasność losów małego oddziałku zaciemniona jest drobiazgowem wnikaniem w każdy szczegół rozwijającego się przed autorem obrazu dziejowego; utrudnia to naturalnie oryentowanie się, ale jest dużą zaletą i ułatwieniem w rozumieniu całości.

A. S.

# Kronika miesięczna.

Bilans ostatniej sesyi Izby. — Rzeczy polskie.—Wynik wyborów w Galicyi — Zwycięstwo Rusinów.—Drugi „Jagiełło“.—Wobec reformy: proporcyonalność czy kadaster narodowy?—Filipi z Konopi *redivivi*, czyli „komisya tymczasowa“ i „Słowianie“. — Bezrobocia łódzkie. — Produkcya wydawnicza na ziemiach polskich.

Bilans pierwszej sesyi Izby Państwowej czwartego powołania przedstawia się bardzo ubogo. Ze spraw, mających szersze znaczenie, załatwiono tylko sprawę sądów miejscowych, które ma otrzymać dziesięć południowych gubernii, oraz sprawę samorządu miejskiego dla Królestwa, znacznie okrojonego przez izbę wyższą. Rezultat ten można przypisać tak samo rządowi, jak i stronnictwom. Rząd nie spełnił całego szeregu zapowiedzi, zawartych w przeszłorocznej deklaracyi jesiennej, i ważniejszych projektów do praw nie przedstawił; stronnictwa również nie korzystały z prawa inicyatywy prawodawczej, jeżeli wyłączyć kadetów, którzy jak zwykle wystąpili z całym szeregiem wniosków tylko teoretycznych, manifestacyjnych, ku stwierdzeniu „stanowiska“, a tem samem z góry skazanych na pogrzebanie w komisyach. Bezpłodność można też zapewne przypisać i brakowi stałej większości, tak rządowej, jak i opozycyjnej, i to może stanowi cechę charakterystyczną Izby czwartego powołania i jej znamienną różnicę na korzyść w stosunku do poprzedniczki. Ma się wrażenie, jak gdyby łuski zaczynały opadać z oczu podstawy większości rządowej—październikowców. Posłuszni w trzeciej izbie każdemu skinieniu z góry, tracą obecnie wiarę i jakby spostrzegają odległość, dzielącą rzeczywistość od zasad manifestu, który stał się treścią ich programu i podstawą ich istnienia, nadając nazwę grupie. Ta-

kie fakty, jak udział tego stronnictwa w wyborze prezydyum, jak głosowanie za bardzo ostrą na stosunki miejscowe formułą oceny polityki ministeryum spraw wewnętrznych przy dyskusyi budżetowej, świadczą wymownie o pewnej zmianie stanowiska, którą może przyszłość zaakcentuje i podkreśli. Inne czynniki większości z prawicy zachowywały się również rozmaicie; dotyczy to zwłaszcza niespokojnej skrajnej prawicy, która swoją partyzantką słowną przeciw niektórym przedstawicielom rządu doprowadziła w końcu do pewnego rodzaju zerwania stosunków między Izbą a rządem, niby do milczącego, nieujawnionego strejku ministrów. W stosunku do Izby wyższej nie zyskała młodsza siostrzyca na powadze; odezwania się jej przedstawicieli, w tonie pogardliwe, sposób traktowania wyszłych z jej łona projektów dostatecznie te stosunki oświetla.

W ocenie działalności Izby nie brak głosów lekceważenia interpelacyi, których sporo wysłuchała miniona sesya, lekceważenia, wywołanego ich bezpłodnością. Nie sądzimy, aby było słuszne. Niewątpliwie, interpelacye są najłatwiejszą akcyą parlamentarną, głośną reklamą dla autorów, wywołującą najgłośniejszy poklask gawiedzi, dlatego chętnie uprawianą przez stronnictwa dla celów partyjnych, niewiele wspólnego mających z dobrem pospolitem. Ale prócz tej strony odwrotnej mają i inną. Interpelacye—to ostry świst bata, nie pozwalający ani na chwilę zapomnieć o ponurej rzeczywistości, zdrzemnąć się w łatwym kwietyzmie, to błyskawice, rozdzierające chmury, które kryją głęboko tak liczne nadużycia we wszystkich dziedzinach. Wreszcie — to jedyny wyraz swobody słowa, krytyki, która obok prawa uchwalania budżetu była i jest kamieniem węgielnym każdego ustroju reprezentacyjnego, to druga strona zjawiska, obok pierwszej i ważniejszej, twórczej, pozytywnej, do której jednak praca parlamentarna w państwie rosyjskiem tak mało nastręcza sposobności.

Reasumując z kolei działalność posłów polskich, stwierdzamy, że Koła zgłosiły kilka wniosków ustawodawczych, jak np. dwa projekty o rozszerzeniu na Królestwo Polskie ustawy melioracyjnej oraz ustawy wodnej (budowa kanałów, regulacya rzek i t. p.), dalej projekt przeznaczenia na utrzymanie dróg podatków, pobieranych w Królestwie Polskiem na utrzymanie sądów gminnych; prócz tego, ostatnio zgłoszono wniosek przeznaczenia kredytów na prace, dotyczące separacyi gruntów nie-ukazowych w Królestwie Polskiem. Następnie, poseł Gościcki opracował źródłowy memoryał w sprawie wynagrodzenia za prawo propinacyi wiejskich. Na rachunek też posłów polskich należałoby za-

pisać i wniosek ustawodawczy o wprowadzeniu w Królestwie Polskiem samorządu ziemskiego, jakkolwiek formalnie zgłoszony i podpisany przez kogo innego (pierwsi podpisani posłowie Mikołaj Lwow i Zwiegincew). Zgłosili też Polacy kilka interpelacyi, podkreślających nienormalne położenie, w którem się znajduje społeczeństwo polskie tak w Królestwie, jak w kraju zachodnim. Zaznaczyć dalej należy interpelacye o trudnościach, stawianych w Królestwie w rozwoju szkolnictwa prywatnego; o trudnościach, czynionych przy przyjmowaniu wyznania katolickiego; o nielegalnem aresztowaniu na mocy rozporządzenia, wydanego w drodze administracyjnej przez gubernatora mińskiego, ks. Miłaszewskiego i obywatela ziemskiego Szalewicza; o ograniczeniu swobody używania języka polskiego w kraju zachodnim; wreszcie zgłoszono do rządu zapytanie, na jakich podstawach mają być wykonane wybory do Rady państwa w kraju zachodnim. Wreszcie z uchwalonych projektów drobniejszych na naszą uwagę zasługują: poprawa położenia dzieci nieślubnych w Królestwie Polskiem, reforma przepisów osadzania dłużników w areszcie w Królestwie, oraz kilka innych spraw drobniejszych.

Stanowisko polityczne Koła o tyle zmieniło się w czwartej Izbie, że stanowczo zostało osamotnione. Mamy tu na myśli zerwanie z kadetami. Związek z tem stronnictwem nie był nigdy zbyt ścisłym, przestał wszakże istnieć z chwilą parokrotnego jego przeciwstawienia się naszym interesom narodowym. Nie ma w tem powodu do trosk. W obecnych warunkach pracy parlamentarnej, w jakich delegacya polska żadnej wielkiej polityki prowadzić nie może, przystoi jej osamotnienie i polityka wolnej ręki. W praktyce zaś, ilokrotnie interesy nasze będą zgodne z doktrynalnem stanowiskiem kadetów, możemy zawsze liczyć na ich poparcie; o sztucznem dopasowywaniu na niekorzyść interesu polskiego oczywiście mowy być nie może. Zerwanie nastąpiło, jak wiadomo, na tle kwestyi żydowskiej, która coraz bardziej prześwietla i kształtuje nasze sprawy powszednie i to nietylko w Królestwie. Tym obcym wpływom przypisać trzeba nietylko nagankę na wszystko co polskie w większości prasy rosyjskiej, w całej liberalnej i radykalnej — to działanie bezpośrednie; ale można przypisać pośrednio i niesłychane stanowisko zajmowane przez wiele organów prasy polskiej w stosunku do reprezentacyi naszej w Petersburgu. Wymysły lub niczem nieuzasadniona wyniosła pobłażliwość — oto przeważające tony oceny. Krytycy owi nie zdają chyba sobie sprawy ze szkodliwości roboty, osłabiającej stanowisko Koła nazewnątrz. Jednomyślne poparcie zwar-

tej opinii polskiej może tylko skutecznie wzmódz napięcie jego działalności i podkreślić wyraźnie potrzebę jego osamotnienia w Izbie.

*

* *

Ostatnie wybory w Galicyi dały wynik następujący: Polaków zostało wybranych 116, wirylistów polskich 9, razem 125, 1 Niemiec (p. Haempel z Białej). Rusinów wybranych 32, wirylistów 3, razem 35. Układ sił nowego sejmu według stronnictw przedstawia się jak następuje: demokracya polska przedtem 19 dziś 16, demokracya postępowa (0)—2, demokraci dzicy (3) — 4, ludowcy (20)—15, konserwatyści krakowscy (31)—25, podolacy (23)—0, centrum (18)—41, demokraci narodowi (7)—6, związek chrześc.-ludowy (0)—9, ukraińcy (16)—31, moskalofile (5)—1, niemiec (1)—1.

Jak wiadomo, wybory ostatnie odbywały się pod hasłem protestu przeciw poprzedniemu projektowi reformy wyborczej oraz przeciw polityce byłego namiestnika, opartej na t. zw. bloku, czyli sojuszu konserwatystów krakowskich z ludowcami i z demokratami. Rezultat wyborów wykazuje zwycięstwo hasła protestu: ze 128 mandatów polskich, większość (66) należy do grup antyblokowych. Z grup tych podolacy przeszli do centrum i dlatego w naszym wykazie powyższym nie podano w r. b. ani jednego posła z tej grupy; demokraci narodowi i posłowie chrześciańsko-ludowi połączyli się w jedną grupę p. n. „Związek narodowo-ludowy“. Natomiast strata dziewięciu mandatów polskich w Galicyi wschodniej i powiększenie w Sejmie ilości posłów ukraińskich z 15 na 31 jest klęską narodową, jakkolwiek przyznać trzeba, że zdobyte przez Rusinów mandaty nie odpowiadają nawet jeszcze temu procentowi, który większość sejmowa chciała im, jako stały udział przy przeprowadzeniu reformy wyborczej, zapewnić. Rusini wraz z wirylistami posiadać będą 35 miejsc w przyszłym Sejmie, czyli 22 proc., podczas gdy według blokowego projektu reformy wyborczej, mieli otrzymać 27 proc. Siła wyborcza ludu ruskiego jest wielkością zupełnie określoną, zdobywanie więc przez Rusinów mandatów do pewnych granic jest rzeczą naturalną i z góry przewidzianą. Że przy wzmaganiu się nienawiści do

Polaków i agitacyi usilnej, musiało to nastąpić, to oczywiście było do przewidzenia. Większe znaczenie, niż zdobycz 10 mandatów na Polakach, ma to, że wszystkie miejsca poselskie, prócz jednego, dostały się ukraińcom, a więc stronnictwu ruskiemu, które najradykalniejsze narodowe zajmuje stanowisko. To da niewątpliwie zwartej grupie ruskiej większy impet przy wystąpieniach w Sejmie. Jest to zresztą tylko żniwo zasianych dawniej plonów, popierania *per fas et nefas* ukraińców przez władze rządowe. Teraz dopiero życie wykazuje mądrość polityki Andrzeja hr. Potockiego, którą zresztą życiem przypłacił, polityki wygrywania przeciw ukraińcom moskalofilów, jako słabszych, a więc ze stanowiska polskiego mniej niebezpiecznych.

Pewną analogię z ostatniemi wyborami warszawskiemi przedstawia wybór ściślejszy między prof. Stanisławem Grabskim we Lwowie (nar. dem.) a dr. Lisiewiczem (dem. post.), przyczem ostatni przeszedł większością trzydziestu kilku głosów. Syonistyczny „Tageblat“ charakteryzuje ten wybór w następujący sposób: „Czy rzeczywiście zwyciężył „postęp“ we Lwowie? Mamy odwagę przyznać, że wczoraj zwyciężyli we Lwowie Żydzi, połączeni z Rusinami przeciw wszech-Polakom, a nie zwyciężył tu wcale postęp. Lisiewicz otrzymał 5,889 głosów, z tego około 1,000 ruskich, a przeszło 4,000 żydowskich głosów. Zaledwie kilkuset Polaków znalazło się, którzy głos swój oddali na polskiego postępowca, a zato narodowy demokrata, Grabski, otrzymał aż 5,853 samych czystych polskich głosów“. Wybór ten był tedy żydowskiem zwycięstwem, a nie zwycięstwem polskiego postępu nad polską „reakcyą“. Słusznie więc nazywają nowego posła lwowskiego drugim „Jagiełłą“. A opinia polska regestruje ten fakt, jako nowe usiłowanie wpływania obcych na wewnętrzne, polityczne stosunki polskie. Żydzi tak przesiąkli swoją rolą faktorów i pośredników w handlu, że gdzie mogą gwałtem przenoszą ją do polityki, chociaż życie we wszelkich dziedzinach zmierza do kooperacyi. Przytem wybory obecne odbywały się pod hasłem mniejszych lub większych ustępstw dla Rusinów. „Uczciwi maklerzy“ są oczywiście za największymi, co przychodzi im tem łatwiej, że darowują nie swoje, przypominając tragicznie humor Zagłoby, ofiarowującego królowi szwedzkiemu Niderlandy.

Wobec przesunięcia się większości w nowym Sejmie trzeba szukać nowych dróg załatwienia reformy wyborczej. Wytworzył się w tej chwili anormalny stosunek między Sejmem a Kołem Polskiem w Wiedniu, którego większość była za poprzednim, odrzuconym projektem. Tem pilniejsza potrzeba załatwienia refor-

my, że bez niej trudno stanąć w Radzie Państwa; na posłach obcych narodowości, na rządzie centralnym goły fakt zwiększenia ilości mandatów ruskich, bez względu na objaśnienia musi zrobić wrażenie dla interesów polskich niekorzystne. Z potrzeby pośpiechu, zgody, pracy wspólnej zdają sobie sprawę przedstawiciele wszystkich grup większości. Niestety, już między wczorajszymi zwycięskimi sprzymierzeńcami wybuchł spór o klucz do rozwiązania reformy wyborczej, streszczający się w pytaniu: czy kadaster narodowy we wschodniej Galicyi, czy zabezpieczenie mniejszości polskich przez proporcyonalność wyborów; w pierwszym wypadku cała ludność polska w Galicyi wschodniej wybierałaby pewną ilość posłów. Nie kusząc się o rozwiązanie tej zawiłej a tak ważnej kwestyi, dajemy głos specyaliście, prof. Stanisławowi Głąbińskiemu: „Zabezpieczenie mandatu polskiego za pomocą systemu proporcyonalnego — mówi on — wymaga takiego układu okręgów wyborczych, aby ludność polska pod względem narodowym pewna, to znaczy polska ludność katolicka, miała w okręgach dwumandatowych przeszło trzecią część całej ludności danego okręgu, w okręgach trzymandatowych przeszło czwartą część całej ludności. Jeżeli nawet takiej minimalnej części ludności Polacy w danych okręgach wyborczych nie mają, niema mowy o zabezpieczeniu mandatu polskiego, zwłaszcza, że należy liczyć się z możnością nietylko przypływu, ale także odpływu żywiołu polskiego w przyszłości, w tym lub owym okręgu wyborczym. Tymczasem wiadomo, że ludność polska katolicka w poważnej części okręgów wiejskich Galicyi wschodniej po wyłączeniu miast nie wynosi trzeciej części ludności okręgu. Projekt, przedstawiony w ubiegłej sesyi sejmowej przez prezesa Rady Narodowej Cieńskiego, proponuje 23 dwumandatowe okręgi polsko-ruskie. Otóż zabezpiecza on w rzeczywistości tylko cztery mandaty Polakom, którzy stanowią więcej niż 25 proc. ludności, w 19 zaś wynoszą tylko od 20 do 25 proc., a więc dla przeprowadzenia swego kandydata muszą szukać poparcia Rusinów lub Żydów. Taki system wyborów ma nadto tę zasadniczą wadę, że losy walki wyborczej składa niemal wszędzie w ręce rządu, czyni mandaty rzekomo polskie, mandatami rządowymi. Na jaką stronę przechyli się rząd, ta strona zdobędzie znaczną część głosów żydowskich i część głosów ruskich, ta strona zwycięży. Taki system proporcyonalny jest wieczystem utrwaleniem wpływów rządowych, systemu korupcyi wyborczej, a zarazem systemu demoralizacyi wśród stronnictw polskich, starających się pozyskać dla siebie pomoc żywiołów narodowi naszemu niechętnych lub obojętnych.

Za kadastrem narodowym przemawiają następujące względy: a) zupełna pewność mandatów polskich i zupełna swoboda w układzie dogodnych okręgów wyborczych; b) niezależność od żywiołów niepolskich, skuteczniejsza ochrona przeciw korupcyi i wpływom rządowym; c) ograniczenie obszaru walki narodowościowej i zyskanie sił i czasu dla pracy kulturalnej i ekonomicznej wśród ludu polskiego; d) łatwiejsze porozumienie z Rusinami w Sejmie, którzy wolą otrzymać mniejszą ilość mandatów pewnych, niż większą ilość mandatów, ale mniej pewnych, dla stronnictwa ukraińskiego.

„Przeciw kadastrowi narodowemu przemawia rozdział ludności polskiej i ruskiej, przeprowadzony z góry na podstawie spisu ludności celem sporządzenia list wyborców polskich i ruskich. Rozdział taki w naszych stosunkach nie jest pożądany, gdyż nie wszyscy wyborcy są pod względem narodowym uświadomieni i nie wszyscy życzą sobie takiego rozdziału. Ale skutki takiego rozdziału przedstawiają przeciwnicy kadastru narodowego przesadnie: mówią o podziale kraju, gdy przeciwnie, istnienie kadastru narodowego polskiego w Galicyi wschodniej będzie jawnem i żywem świadectwem, że kraj ten nie jest wyłącznie ruskim, że nie można marzyć o podziale kraju na część polską i ruską; mówią o niebezpiecznym precedensie rozdziału ludności polskiej i ruskiej dla przyszłości kraju, dla podziału władz krajowych, a przecież rozdział ten istnieje już w szkole i kościele, a owych niebezpiecznych konsekwencyi nie widzimy; mówią o niepewności zachowania się Żydów, a przecież właśnie ta niepewność jest ważnym argumentem przeciw zastosowaniu systemu proporcyonalnego w okręgach pod względem narodowym słabszych, a za kadastrem narodowym; mówią o rozbijaniu rodziny, o różnym obrządku katolickim, gdy przeciwnie rodzina ma jeden i ten sam język rodzinny i towarzyski, znajdzie się więc na jednej liście wyborczej, polskiej lub ruskiej. W ogólności niesłusznie miesza się system kadastru narodowego z systemem kuryi narodowościowych w Sejmie. Kadaster narodowy powinien być zastosowany tylko w okręgach o narodowości mieszanej, mających znaczne mniejszości narodowe, np. przynajmniej szóstą część ludności polskiej lub ruskiej. Pomysły tworzenia kadastru narodowego w całym kraju (nawet w Krakowie!) pochodzą od przeciwników idei kadastru i zapoznają właściwy cel kadastru. Celem kadastru narodowego jest zabezpieczenie mandatów mniejszości narodowych, a temsamem także wzmocnienie idei jedności kraju; przeciwnie, celem kuryi na-

rodowościowych jest podział kraju, rozluźnienie jego jedności i historycznej łączności".

W chwili obecnej sprawa reformy wyborczej nie wyszła z okresu rokowań przedwstępnych. Oczywiście o zwołaniu Sejmu nie może być mowy, póki stronnictwa polskie nie wypracują wspólnego projektu i to takiego, na który zgodziliby się i Rusini. Tymczasem zaś życiu autonomicznemu Galicyi, z powodu niezatwierdzenia budżetu grozi anemia. I to jeszcze jeden bodziec do pośpiechu—koniecznego, byle nie ze szkodą interesów polskich.

* * *

Niewiele odziedziczyliśmy i zachowaliśmy zalet po przodkach naszych, za to odziedziczyliśmy wszystkie ich wady. Nie wyginęła rasa Filipów z Konopi; owszem niezwykłą niestety wykazuje żywotność może dlatego, że „głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać". Chętnie zapomnieliśmy już o szkodliwej działalności t. zw. „Komisyi tymczasowej" we Lwowie, ale ona o sobie zapomnieć nie da. Konferencyi ambasadorów w Londynie przedstawiono memoryał, żądający interwencyi dyplomatycznej w stosunki polsko-rosyjskie; miecz „wyszkolenia ludności w sztuce wojskowej" — zastąpił pokojowy łokieć papierów. Podobno przedstawiciele komisyi pragnęli osobiście stanąć przed konferencyą, ale tu nie zebrali laurów nawet przedpokojowych. Na szczęście. Olbrzymia bowiem większość narodu z „komisyą tymczasową" nie miała i nie ma nic wspólnego ani w „wyszkoleniu", ani w „memoryałach"; zaświadczyły o tem głosy prawie wszystkich pism, bez względu na grupy, jakie reprezentują. Pomimo to owe niedowarzone kroki przez naszych licznych wrogów wkładane są na barki naszego narodu, a gorzej byłoby, gdyby osobiście stawali w jego imieniu niedowarzeni i śmieszni samozwańczy pretendenci. „Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose..." z wystąpień takich przylega zawsze coś do zbiorowości i toruje drogę poglądowi w opinii europejskiej, że Polacy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli.

Nie mamy czasu ani miejsca, aby zastanawiać się nad treścią niefortunnego memoryału. Pragniemy tylko stwierdzić, że

podpisanych jest na memoryale osiem partyi, z których pięć w Królestwie, a trzy w Galicyi; my tu na miejscu wiemy doskonale, że większość z nich to sztaby bez armii, których członków możnaby policzyć na palcach obu rąk. I chcemy jeszcze zwrócić uwagę na typową argumentacyę: oto rozstrzygnięcie sprawy polskiej w państwie rosyjskiem doprowadzi do wzmocnienia potęgi rosyjskiej; *dlatego* mają rozstrzygnięciu dopomódz mocarstwa pocichu lub wyraźnie współzawodniczące z Rosyą... Chyba dość na tem...

Imię Filipów z Konopi jest u nas legion, tylko gatunki różne. Inni biorą się w najniefortunniejszej porze do wskrzeszania idei solidarności słowiańskiej, wierzą w swoją interwencyę w sprawach międzynarodowych i organizują w Warszawie jakieś mięszane towarzystwa... Dla nich to jest zabawka, a nam chodzi o życie...

*

* *

Bolesne wieści dochodzą znowu z Łodzi. Dziesiątki tysięcy robotników jest bez pracy; dziesiątki fabryk stoją bezczynnie. Kiedy się czyta i słyszy rzetelne głosy ze stron obu, doznaje się wrażenia zamknięcia w błędnem kole, rzutu oka w zawrotną otchłań nędzy. Powody, przebiegi bezrobocia mogą być różne, przyczyna jest zawsze jedna: bezmiernie niski poziom kultury. Posłuchajcie właścicieli fabryk: nie mogą podnieść płac zarobkowych, bo konjunktury handlowe są złe, bo magazyny przepełnione zapasami; robotnicy niesłusznie się skarżą, bo przy tej samej płacy mogliby zarobić więcej, gdyby wydajność ich pracy była większa, bo zarobione pieniądze wydają źle, odżywiają się źle, kupując wszystkie produkty w najgorszym gatunku i w dodatku płacąc za nie stosunkowo drożej. Zatem wina złego położenia robotników nie spada bynajmniej na fabrykantów; nie upierają się przy cenach obecnych; istnieje dla nich tylko żelazna kalkulacya handlowa i, gdyby ta pozwoliła, podnieśliby ceny, otwarliby warsztaty. Może to wszystko i prawda. Ale głód, nędza, brak sił do pracy to także wszechmocne głosy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że strejki obecne powstały samorzutnie, bez niczyjej inicyatywy agitacyjnej, poprostu dlatego, że dalej żyć tak nie moż-

na było, że nieznaczne podwyższenie cen przedrewolucyjnych pochłaniało i przekraczało niesłychane podrożenie środków do życia. Wybuchły te bezrobocia w porze najniefortunniejszej ze stanowiska interesów robotnika, w porze, kiedy fabryki ograniczały produkcyę i chętnie skorzystały z pierwszej sposobności, aby ją na razie przerwać zupełnie. Więc był to poprostu akt żywiołowej niecierpliwości, a i głos głodu ma słuszność. Więc, co robić? Wierzyć w przyszłość, w szkoły, w zrzeszenia współdzielcze, mieszkaniowe, żywnościowe, kredytowe, w związki zawodowe, regulujące zatargi, we wszystko, czego nam tak bardzo brak, a braki te tak niesłychanie zaostrzają u nas kwestyę robotniczą. Dobrze, wierzymy, przyłożymy ręki, ale wyniki ujrzą dopiero następne pokolenia. A tymczasem rodziny bez dachu, głodne dzieciaki wołają jeść... I tu serce ściska bezsilność umysłu. Różne proponowane są pośrednictwa, i towarzystwa dobroczynności, i osobnej delegacyi obywatelskiej z udziałem samych interesowanych robotników. Czy uda im się przekonać, a przynajmniej zmiękczyć serca pracodawców, zażegnać złowróżbne strejki? Dotąd niewiadomo. Ale trzeba najgoręcej życzyć im powodzenia, poprzeć usiłowania całą mocą całej opinii publicznej w imię interesów wyższych i głębszych, niż wymowa cyfr kalkulacyi przemysłowca.

*

* *

P. Mieczysław Rulikowski wydał świeżo pierwszy zeszyt „Materyałów statystyczno-bibliograficznych“, zawierający dane co do produkcyi wydawniczej na ziemiach polskich w latach 1909 – 1911. Statystyka, zawarta w pracy p. Rulikowskiego, obejmuje wszystkie wydawnictwa polskie z wyłączeniem przeważnej części wydawnictw o charakterze peryodycznym (przedewszystkiem, oczywiście, czasopism, a następnie publikacyi sprawozdawczych różnych instytucyi lub katalogów literatury naukowo-polskiej, wreszcie wydawnictw zeszytowych, nie mających z czasem tworzyć całości), natomiast z uwzględnieniem takich wydawnictw, które ukazują się co czas pewien w formie osobnych tomów, jak np. „sprawozdania“ wydziałów Akademii Umiejętności w Krakowie, rocz-

niki różnych towarzystw naukowych i dzieł, wydawanych zeszytami, a tworzących następnie nierozdzielną księgę.

Według obliczeń p. Rulikowskiego całokształt produkcyi wydawniczej polskiej wynosił ogółem w ciągu lat 1909 — 1911 — 10,663 wydawnictwa w 27,922,508 egzemplarzach. Z tego dostarczyły wydawnictw w języku polskim Królestwo, Litwa i Ruś 1,724 w 4,259,135 egz. w 1909 r., 2,010 w 5,416,458 egz. w 1910 r. i 1,621 w 4,665,701 egz. w 1911 r., a Galicya i Poznańskie oraz zagranica razem 1,461 w 4,047,197 egz. w 1909 r., 1,529 w 4,300,573 egz. w 1910 r. i 1,577 w 4,379,329 egz. w 1911 r.

Razem więc w omawianym okresie czasu ukazało się w języku polskim na całym świecie 9,951 wydawnictw w 27,068,393 egz. Resztę zaś 712 wydawnictw w 854,115 egz. stanowiły wydawnictwa, publikowane bądź równorzędnie w kilku językach obok języka polskiego, bądź też w językach obcych na ziemiach polskich, bądź wreszcie w języku białoruskim. A mianowicie: w 1909 r. 83 wyd. w języku polskim i obcych i 129 w językach obcych w ogólnej ilości 257,890 egz. (141,100 w Królestwie, na Litwie i Rusi i 116,790 w Galicyi, Poznańskiem i zagranicą) w 1910 r. 89 i 140 w 252,325 egz. (185,915 i 66,410) i w 1911 r. 108 i 149 w 268,200 egz. (182,316 i 85,875). Co się tyczy wydawnictw w języku białoruskim, to wyszło ich w 1909 roku w 17,800 egzemplarzach, w 1910 r. 12 w 30,600 egz. i w 1911 r. — 7 w 27,300 egzemplarzach.

Reasumując zebrane przez p. Rulikowskiego zestawienia statystyczne, powiedzieć można, iż w omawianym okresie 3-letnim wzrosła ilość dzieł: bibliograficznych, historycznych, medycznych, ludoznawczych, literackich, technologicznych, powieściowych, artystycznych, teatralnych, pedagogicznych, podręczników szkolnych, książek dla dzieci, dzieł teologicznych, książek dla ludu, śpiewników i tak zw. „varia“, przyczem stały wzrost wykazują tylko działy: medycyna (85, 190 i 117 dzieł), sztuka (41, 51 i 68 dzieł), książki dla dzieci (164, 173 i 198), a pozostałe—albo w roku 1910 miały mniejszą liczbę dzieł, niż w roku 1911, albo też większą (teologia 219,379 i 264), albo wreszcie taką samą (ludoznawstwo i teatr).

Natomiast spadek dał się zauważyć w działach, obejmujących wydawnictwa: matematyczno-przyrodnicze, antropologiczne i archeologiczne, prawnicze i ekonomiczne, publicystyczne, językoznawcze, rolnicze, geograficzne, poetyckie, muzyczne, literackosensacyjne, kalendarzowe i sprawozdawcze, przyczem stały spadek wykazują dzieła antropologiczne i archeologiczne (14, 13 i 10),

geograficzne (57, 39 i 36) i sprawozdawcze (319, 240 i 182), a pozostałe ukazywały się albo w jednakowej liczbie (literatura sensacyjna), albo też w roku 1910 wykazują pewien, niekiedy dość znaczny wzrost chwilowy (matematyczno-przyrodniczy, językoznawstwo, poezya, muzyka i kalendarze), albo wreszcie po spadku w r. 1910 pewien w r. 1911 wzrost, który jednak nie wyrównał poprzedniej zniżki (prawo, ekonomia, publicystyka i rolnictwo). Nakoniec dwa działy, a mianowicie dział wydawnictw z dziedziny filozofii i z dziedziny przemysłu i handlu pozostały bez zmiany, mimo chwilowego ich wzrostu w r. 1910.

Cenna praca p. Rulikowskiego oparta jest na materyałach, zebranych w urzędowym organie rosyjskiego Komitetu do spraw prasowych „Kniżnaja Lietopiś“ oraz w „Przewodniku Bibliograficznym“, szczególnie w zakresie polskiej produkcyi wydawniczej w Galicyi, Poznańskiem, Prusach, na Śląsku, wreszcie w koloniach naszych północno i południowo-amerykańskich. Poza całą produkcyą w języku polskim wciągnięto do obrachunku wydawnictwa Polaków lub instytucyi polskich w językach obcych, pominięto zaś przekłady z polskiego, o ile nie ukazywały się na obszarze etnograficznym polskim.

Gdybyśmy z cyfr, podanych przez p. Rulikowskiego, chcieli wyprowadzać najogólniejsze wnioski, byłyby one identyczne z temi, które wypowiadaliśmy na tem miejscu przed kilku miesiącami, pisząc o czytelnictwie wogóle. Dla uważnych czytelników naszych cyfry, cytowane wyżej, będą ciekawą ilustracyą i potwierdzeniem kompletnem tamtych uwag, jedynie na szczupłym zakresie osobistych informacyi opartych.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

— Akademia Umiejętności w Krakowie. Zarząd Akademii podaje do wiadomości, iż począwszy od roku szkolnego 1911/12 Komitet, ustanowiony do zawiadywania funduszem ś. p. d-ra Władysława Kretkowskiego, będzie w możności przyznawać subwencye w celu umożliwienia osobom narodowości polskiej, poświęcającym się czystej matematyce, wyjazdu zagranicę dla studyów z zakresu matematyki czystej. Podania o te subwencye wnosić mogą do kancelaryi Akademii Umiejętności (ul. Sławkowska 17) osoby narodowości polskiej, które ukończyły studya z zakresu czystej matematyki w szkołach wyższych, a to aż do dnia 10 czerwca 1913 roku.

Podania należy zaopatrzyć w świadectwo odbytych studyów matematycznych, prace naukowe kandydata, curriculum vitae oraz oświadczenie, dokąd kandydat zamierza wyjechać i jakie studya odbywać.

Po bliższe informacye można się zgłaszać do prof. d-ra Kazimierza Żórawskiego (ul. Garbarska 7, osobiście codziennie, prócz świąt i niedziel. od 2—3 po południu, lub listownie).

— Posiedzenia Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce odbyły się dnia 29 kwietnia i 27 maja 1913 r. pod przewodnictwem d-ra Stanisława Tomkowicza.

Posiedzenie z dnia 29 kwietnia: Prof. d-r J. hr. Mycielski przedstawił referat o nowo odkrytym jedynie autentycznym portrecie królewicza Władysława Zygmunta Wazy, późniejszego króla Władysława IV z r. 1624, pendzla P. P. Rubensa. We wstępie przypomniał i streścił dawniejsze swoje badania nad stosunkiem malarstwa flamandzkiego do Polski, wyraźne początki tych stosunków z Krakowem przed r. 1590, postać malarza Jakóba Mertensa z Antwerpii, bawiącego w Krakowie między r. 1589—1613, oraz całe grono artys-

tów o flamandzkich nazwiskach, jako też uczniów krakowskich koło Mertensa zgrupowanych. Jako etap następny wymienić tu należy sprowadzenie do kolegiaty św. Mikołaja w Kaliszu wspaniałego wielkiego obrazu Rubensa „Zdjęcie z Krzyża", który jest w Polsce już w r. 1631. Na rok 1624 przypada blizko dwumiesięczny pobyt królewicza Władysława Wazy we Flandryi, a kilkutygodniowy w Brukseli. Wtedy dla Namiestniczki Niederlandów, Infantki Izabeli Klary Eugenii, maluje Rubens wspaniały portret królewicza. Znany on był dotąd ze współczesnej zupełnie ryciny Pawła de Pont, oraz owalnego portretu olejnego, znajdującego się oddawna w galeryi Durazzo-Pallaviccini w Genui, a który Max Rooses uważał dotąd za oryginał mistrza. Referent miał zawsze w tej mierze wątpliwości: dziś przedstawia fotografię autentycznego przepysznego oryginału, który znajdował się do niedawna w jednym z zamków arystokracyi angielskiej, a obecnie jest w Paryżu w posiadaniu handlarza obrazów p. Scotti. O ile portret genueński w pewnych szczegółach nie godzi się z ryciną Pontiusa, będąc do popiersia w owalu obciętym, o tyle nowo odkryty oryginał, przedstawiający postać królewicza nieledwie do kolan, jest z rycinią zupełnie identyczny. Jeden to z najpiękniejszych portretowych utworów Rubensa z najświetniejszego okresu jego twórczości, godny ze względu na technikę, koloryt, niezrównaną grandezzę, najdoskonalszych jego portretów w muzeach Wiednia, Paryża i Antwerpii. Prof. d-r J. Ptaśnik podał wiadomość o nieznanem dotąd pochodzeniu lazuru, używanego w Polsce przez malarzy w XV w. we Flandryi, w archiwum m. Brügge, pomiędzy szeregiem dokumentów i rachunków świadczących o ożywionych stosunkach handlowych między Flandryą a Polską od końca XIII w., znajdujemy dokument z r. 1485, z którego treści wynika, że u nas już w XV w. w kopalniach chęcińskich nie tylko wydobywano lazur, lecz także wysyłano go poza granice Polski. P. Leonard Lepszy streścił komunikat p. M. Wicherkiewiczowej p. t. „Jan Dill, złotnik poznański." W „Acta Bonsularia" i w księgach cechu złotniczego, znajdujących się w poznańskiem archiwum spotykamy wzmianki, na podstawie których można stwierdzić, że złotnik Jan Dill pracował w Poznaniu w latach 1616—1660. Wiadomość ta jest ważna ze względu na nieznane dotąd pochodzenie i miejsce pobytu niepoślednego artysty, którego jeden rysunek ogłosił w Sprawozdaniach Komisyi ś. p. prof. M. Sokołowski. Sekretarzem Komisyi na lata 1913 i 1914 wybrano d-ra St. Turczyńskiego.

Posiedzenie z dnia 27 maja: D-r Tadeusz Szydłowski zreferował swoją rozprawę p. t. „Wstęp krytyczny do studyów nad Witem Stwoszem", która tworzy pierwszy rozdział rozpoczętej obszerniejszej pracy, poświęconej sztuce Stwosza i jego czasów. Prelegent podniósł przedewszystkiem konieczność przeglądu i zsumowania wyników dotychczasowych badań nad Stwoszem, celem właściwego zoryentowania się w sprawie genezy i narodowości jego sztuki, która to sprawa stała się w ostatnich latach źródłem sztucznego podniecenia i powodem ataków na naukę polską. Przekonanie o polskości Stwosza i jego sztuki zrodziło się w Krakowie po r. 1830 najpierw u Ambrożego Grabowskiego, który pierwszy odkrył u nas Stwosza i wyszukał w archiwach cały szereg wiadomości doń się odnoszących. Grabowski nie zdołał jednakże znaleźć pozytywnych danych ani co do urodzin Stwosza, ani co do wczesnych

lat jego artystycznego rozwoju i twierdzenie powtarzane w jego książkach, że Stwosz urodził się i wykształcił w Krakowie, polegało tylko na przypuszczeniu, które dogadzało dumie Krakowianina. To przypuszczenie zostało jako pewnik przyjęte przez innych późniejszych naszych archeologów i miłośników zabytków: F. M. Sobieszczańskiego, E. Rastawieckiego, J. Łepkowskiego i innych, a przy całym romantycznym nastroju ówczesnej epoki łatwo urósł Stwosz do fantastycznych rozmiarów najgenialniejszego wyraziciela chrześcijańskich ideałów, wzniosłego, bożego posłannika i mistrza, który narodowi polskiemu najwięcej chluby przynosi. Dopiero około r. 1880 zaczęto u nas krytyczniej badać dzieje sztuki w Polsce i do całej legendy o Stwoszu trzeźwiej się odnosić. Nowsze pokolenie naszych historyków sztuki doszło do wniosku, że sztuki Stwosza nie da się wyprowadzić z miejscowego terenu, natomiast pochodzenie jej z południowych Niemiec jest najzupełniej widoczne. Na ścisły związek naszych zabytków z okresu Stwosza z Norymbergą, położył nacisk prof. M. Sokołowski w swych „Studyach do historyi rzeźby w Polsce w XV i XVI w." Potwierdzeniem tego sądu było znalezione podówczas w akcie przedstawiającym historyę budowy ołtarza Maryackiego określenie Stwosza jako „Alemanus de Norimberga." Sprawa pochodzenia Stwosza i dokładna geneza jego sztuki nie zostały jednak dostatecznie oświetlone z powodu trudności zebrania pewnych danych w tym kierunku. Prof. Sokołowski w swych pracach zajął się głównie tryptykami snycerskimi, powstałymi w Polsce pod wpływem Stwosza i znaczeniem jego krakowskiego warsztatu. D-r F. Kopera nakreślił monografię krakowskiej twórczości Stwosza, jednakże nie posiadamy dotychczas wyczerpującej charakterystyki jego indywidualności, opartej na tle sztuki współczesnej i szerszego obrazu całej epoki. Badania w tym kierunku posunęła naprzód nauka niemiecka, która dzięki najnowszej monografii Lossnitzera uzyskała wcale już niezłe opracowanie wielu krytycznych zagadnień związanych z postacią Stwosza. Głównym wynikiem tej książki jest bliższe określenie genezy sztuki Stwosza. Powstanie tej sztuki nie da się wyprowadzić tylko z norymberskiego gruntu i wcale uzasadnione jest przypuszczenie, że Stwosz pracował przez pewien czas w Passawie w warsztacie Mikołaja von Leyen, który tam wykonywał około r. 1470 grobowcową płytę dla cesarza Fryderyka III, albowiem ta płyta jest oczywistym pierwowzorem dla stwoszowskiego grobowca Kazimierza Jagiellończyka. Między krakowskiemi dziełami Stwosza a sztuką południowo-niemiecką wychodzą coraz bliższe związki i przyjąć musimy za pewne, że przyszedł on do nas już jako określona i wyrobiona indywidualność, gdyż twierdzenie, że mógł on styl swój w Krakowie wyrobić nie zyskało dotąd żadnych konkretniejszych podstaw. Wprawdzie d-r Ptaśnik w pracy p. t. „Ze studyów nad Stwoszem i jego rodziną" usiłuje dowieść na podstawie interpretacyi źródeł archiwalnych, krakowskiego i polskiego pochodzenia Stwosza, zaś pochodzenie jego i narodowość niemiecką stanowczo wyklucza, jednakże argumentów przytaczanych w tej sprawie nie uważa prelegent za wystarczające i wcześniejszy pobyt Stwosza w Krakowie przed r. 1477, w którym przybywa do nas z Norymbergi, wydaje mu się mało prawdopodobny. Nakreśliwszy wyniki badań naukowych w kwestyi Stwosza, przeszedł prelegent do oceny i scha-

rakteryzowania działalności p. L. Stasiaka i rozpatrując 60 tez, sformułowanych przez niego na końcu książki „Rewindykacye własności naszej“ wykazał w nich szereg twierdzeń zdaniem prelegenta zupełnie nieuzasadnionych. W zakończeniu przedstawił d-r Szydłowski program swej rozpoczętej monografii o sztuce Stwosza i artystów jemu współczesnych.

— Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na stypendyum im. ś. p. Zenona Pileckiego w kwocie 2400 koron. Kandydatem może być, według woli ś. p. Zenona Pileckiego, tylko rodowity Polak, katolik, obrządku rzymskiego lub grecko-unickiego, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora lub też na jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata, i pragnie udać się zagranicę, celem dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Kandydat powinien władać biegle językiem ojczystym i ma we własnym interesie postarać się o wszelkie dowody, świadczące nietylko o jego uzdolnieniu, wytrwałej pracowitości i zamiłowaniu w naukach, lecz także o jego moralności i poczuciu narodowem. Pomiędzy kandydatami, zarówno pod każdym względem zasługującymi na otrzymanie stypendyum, pierwszeństwo dane będzie kandydatowi, pochodzącemu z prowincyi zostających pod panowaniem rosyjskiem. Tym razem o stypendyum to ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się naukom humanistycznym. Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 10 czerwca 1913 r. i dołączyć do nich następujące załączniki: 1) Dowody, że kandydat według warunków powyżej określonych ma prawo ubiegać się o powyższe stypendyum; 2) Dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać. Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii Umiejętności w dwóch równych ratach półrocznych, a mianowicie, pierwszą ratę w październiku 1913 r., drugą zaś w kwietniu 1914 r. Wypłata drugiej raty zależeć będzie jednak od uchwały komitetu stypendyjnego, któremu stypendysta po upływie pierwszego półrocza złoży wyczerpujące sprawozdanie z odbytych studyów.

Akademia Umiejętności przedłuża konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza: „Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy.“ Temat powyższy rozdziała się na następujących pięć części: 1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku; 2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie; 3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi; 4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie 5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austryackiego. W części czwartej i piątej nale-

ży uwzględnić także Ślązk jako integralną część Polski Piastowskiej. W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach. Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą miały pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedyńczych części. Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nietylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadały dzisiejszym wymaganiom nauki. Nagrody ustanawia się, jak następuje: a) za część I i II-gą po 2,000 koron; b) za część III-ią 3,200 koron; c) za część IV-tą 2,400 koron; d) za część V-tą 2,800 koron. Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2,600 koron; gdyby ten fundusz nie wystarczał na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego w stosunku do objętości swoich prac. Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do końca grudnia 1913 r.

Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza na trzy następujące tematy: 1) „Historya ustroju Królestwa Kongresowego (1815 — 1830).“ Nagroda 2,500 franków. Termin: 31 grudnia 1913 r. 2) „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa Rzeczypospolitej)“ Nagroda 2,500 franków. Termin: 31 grudnia 1913 r. 3) „Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej.“ Nagroda 2,500 franków. Termin: 31 grudnia 1913 r. Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części.

W celu uczczenia 60-letniego Jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie „Historyi Galicyi w okresie lat 1848 — 1908.“ Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1913 r. Nagroda wynosi 1,200 koron; objętość dzieła conajmniej 20 arkuszy druku. Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honoraryum — oprócz nagrody — dalsze 1,200 koron. Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło. Uczeni, zamierzający podjąć się tej pracy, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii.

Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs z fun. ks. Adama Jakubowskiego na następujące dwa tematy: 1) „Historya ustroju Księstwa Warszawskiego.“ 2) „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej.“ Nagroda wynosi 1,400 koron i może być podzielona na dwie niekoniecznie równe części. Termin konkursu 31 grudnia 1913 r.

## CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Czerwiec, 1913. Treść: Braki naszego piśmiennictwa. Krytyka: Aryela: Moja pierwsza historya;—Arystoteles ze Stagiry: Organon, Pierwszy traktat, Kategoryc; — Baden-Powell gen. sir Robert: Skauting dla młodzieży;—Benni Tytus: Klasyfikacya dźwięków języka polskiego; — Brzezińska R. M.: Rozrywki dla dzieci i młodzieży, Dzieje duszy czyli żywot siostry Teresy;—Fajęcki Aleksander: Przyjdź, o Jezu, przyjdź; — Gruszecki Artur: W starym dworze; — Grzybowski Wacław J. dr.: Rok 1863 w dramacie polskim; — Kochanowski J. K.: Nad Renem i nad Wisłą—antyteza dziejowa;—Krzyżanowski St. dr.: Sprawozdanie dyrektora Archiwum;—Kujawiński F. ks.: Stronnictwo demokratyczno-narodowe w świetle nauki katolickiej; — Lisowska Janina: Poezye; Lud, kwartalnik etnograficzny; — Nusbaum Hilarowicz Józef dr.: Rozwój świata zwierzęcego, tom II; — Pisma Zygmunta Krasińskiego;—Rawita-Gawroński Fr.: Zakon OO. Dominikanów w Kijowie; — Różycki Zygmunt: Zielone oczy, poezye; — Stasiak Ludwik: Polska plastyka średniowieczna; — Tenże: Wit Stwosz źródłem natchnień Albrechta Dürera; — Talko-Hryncewicz J.: Szlachta litewska; — Zbierzchowski Henryk: Piosenki kabaretowe. Pod prasą. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia

— Pamiętnik Literacki. Rok 1913. Treść zeszytu III. Rozprawy: Śmieciuszewski Jan: W sprawie źródeł „Wojny Chocimskiej" W. Potockiego;—Jaworski Kazimierz: Dookoła Trentowskiego. Notatki: Badecki Karol: Odszukany wiersz Jodki Litwina; — Kwiatkowski Mieczysław: O Kiermaszu i o Kołaczach Szymonowicza; — Windakiewicz Stanisław: Około przedstawienia „Cyda" 1661 r.;—Krček Franciszek: Do „Pieśni ruskich" — Orłowski Bolesław: W sprawie twórczości literackiej Stanisława Augusta:—Pigoń Stanisław: Które jest pierwsze wydanie „Ksiąg pielgrzymstwa" Mickiewicza. Materyały: Czubek Jan: Dyalog i Taniec bardzo piękny—dwa utwory z końca XVI w.; — Croiset van der Kop Anna: Pokłosie z rękopisów petersburskich. Dawne pieśni polskie wydała...;—Kukulski Zygmunt: Mowa Rabina Poryckiego na śmierć Tadeusza Czackiego w imieniu Żydów tego miasta. Przyczynek do dziejów oświaty;—Kurpiel Maryan Antoni: Nieznane utwory J. U. Niemcewicza. Recenzye: Biblioteka pisarzów polskich № 63: Pamiętniki Janczara... wyd. J. Łoś (A. Brückner);—Kielski B.: Nowa Heloiza jako jedno ze źródeł Pana Podstolego (K. Wojciechowski);—Smolarski M.: Poezya powstania listopadowego (A. Łucki);—Tenże: Poeta „wiersza do legionów" Cypryan Godebski;—Tenże: Poezya legionów. Czasy, pieśń i jej dzieje; — Bieliński J.: Szubrawcy w Wilnie (L. Janowski);—Łucki A.: Epos szlacheckie K. Brodzińskiego (B. Gubrynowicz); — Günther W.: Ze studyów nad twórczością Fredry (E. Kucharski);— Wyleżyńska A.: Ryszard Berwiński (A. Fischer); — Francew A. A.: Kaznaczejsza M. J. Lermontowa w polskoj pieredielkie (A. Fischer); — Wiek XIX. Tom IV—VII (A. Brückner); — Leppelmann W.: Twardowski, der polnische Faust

(W. Hahn);—Goldstern J.: Twardowski, der polnische Faust (W. Hahn); — Wiadomości bibliograficzne zestawił W. Hahn;—Wyjaśnienie (T. Grabowski).

— Przegląd Historyczny. Dwumiesięcznik naukowy wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historyi w Warszawie. Tom XVI, zeszyt 3. Maj—Czerwiec 1913. Treść: Mienicki Ryszard: Poglądy polityczne w dziejopisarstwie polskiem XVII wieku (dokończenie); — Baranowski Ignacy: Zmienne kolei Statutu Toruńskiego (dokończenie); — Rutowski Jan: Studya nad organizacyą własności ziemskiej w Bretanii w XVII w. (dokończenie); — Konopczyński Władysław: Zaginione archiwum Andrzeja Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Polemika. Komunikat.

— Sfinks. Miesięcznik artystyczno-literacki. Warszawa, 1913. Maj—Czerwiec. Treść: Bronisław Biegeleisen: Uśmiechy Sfinksa. Z zagadnień współczesnej filozofii;—Zofia Rygier-Nałkowska: Węże i róże, powieść (c. d.); — Anna Sokołowska: Jubilatowi;—Wł. M. Kozłowski: Rousseau i Polska;—Antoni Sygietyński: Gość kamienny (dok.);—Antoni Szandlerowski: Z teki pośmiertnej. Słuchajcie prorocy! Wam bluźnię!; — Dr. M. Bienenstock: Sören Kierkegaard; — Jan Lemański: Trójjedna. Poezya. Teatr. Książki nadesłane. Ogłoszenia. Dodatki Artystyczne.

# BIBLIOGRAFIA.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Archiwum Komisyi Historycznej. Tom jedenasty. Wydawnictwo Komisyi historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków, 1909—1913. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Boniecki: Herbarz polski. Tom XV, zeszyt 9-ty. „Łękowscy—Łodzińscy".

Dostojewski Teodor: Bracia Karamazow. Przekład Barbary Beaupré. Część I, II i III. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Ehrenkreutz Stefan: Z dziejów organizacyi miejskiej Starej Warszawy. Warszawa, 1913. Nakładem Towarzystwa Miłośników Historyi.

Janik Michał: Hugo Kołłątaj. Monografia z czterema podobiznami. Lwów, 1913. Nakładem własnym z zasiłkiem Komitetu Kołłątajowskiego w Krakowie. (Księgarnia Gubrynowicza i Syna, Lwów).

Kalendarz Wieczny. Wydał J. Łoś z podobiznami karty tytułowej oraz 13 drzeworytów. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. „Biblioteka pisarzów polskich". Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Laskowski Kazimierz: Zrośli z ziemią. Opowieść. Tom II. „Ciekawe Powieści". Bezpłatny dodatek do „Tygodn. Illustr." Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Lompa Józef: Jego życie i prace. Na 50-tą rocznicę zgonu jego napisał Konstanty Prus. Bytom, 1913. Nakładem autora, drukiem „Katolika", spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością.

Loziński Władysław: Skarb Watażki. Powieść z końca XVIII wieku. Tom drugi. Warszawa, 1913. „Biesiada Literacka".

Monumenta Poloniae Vaticana. T. I: Acta Camerae apostolicae 1207—1344. T. II: 1344—1374. Cracoviae, sumptibus Academiae Litterarum Cracoviensis, 1913.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział Filologiczny. Serya III. Tom IV. Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty pierwszy. Kraków, 1913. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Stulecie Gazety Lwowskiej (1811—1911). Tom III, część I i II. Bibliografia „Rozmaitości" pisma dodatkowego do „Gazety Lwowskiej" 1817—1848 i 1854—1859. Bibliografia „Dodatku" do „Gazety Lwowskiej" 1856—1862 i 1867—1869. Ułożył Władysław Staniszewski, Lwów, 1913. Nakładem redakcyi „Gazety Lwowskiej".

Sychowski X. dr. Stan.: Praktyczny podręcznik dla opiekujących się wychodźcami. Poznań, 1913. Nakładem drukarni i księgarni Św. Wojciecha. New-York, The Polish Book Imp. Co. Inc.

Szyszło Witold: Wśród moczarów i jezior Florydy. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Wiadomości Matematyczne. Redaktor i wydawca S. Dickstein. Tom XVII. Zeszyt 1, 2, 3, 4. Warszawa, 1913.

Wieszczycki z Wieszczyc Adryan: Sielanka albo Pieśni (1634). Wydał Stanisław Rachwał. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. „Biblioteka Pisarzów Polskich". Skład główny w księg. Spółki Wydawniczej Polskiej.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

# BONAPARTE A LEGIONY.

## I.

Napoleon Bonaparte urodzony w Ajaccio na Korsyce, w południe święta Wniebowzięcia Maryi, czczonej przez tuziemców jako „królowa krainy korsykańskiej“, wziął początek w środowisku przyrody, krwi, obyczaju czysto włoskiem a swoiście nawskroś wyodrębnionem. Wyspa dzika, uboga, z kolei wzgardzony łup punicki, rzymski, wandalski, langobardzki, saraceński, pizański, pod koniec własność republiki genueńskiej, przez nią Francyi Ludwika XV ustąpiona, po daremnym pod wodzą Paolego oporze uledz musiała orężowi francuskiemu w tym samym roku 1769, kiedy największego swego na świat wydała syna. „Urodziłem się,— własne jego jędrne są słowa—gdy konała moja ojczyzna“. Była mu nią pierwotnie Korsyka pod wieloma najistotniejszymi cielesnymi i duchowymi względy; niepożytą mocą rodzicielską wycisnęła na nim mnogie rysy typowe gnieżdżącego się na niej szczepu wyspiarzy-górali, małego wzrostu, silnej budowy, cery oliwkowej, gładko i ciemnowłosych, wielkookich i ostrowzrocznych, osobliwego umiarkowania w pokarmie i spoczynku, nadzwyczajnej pamięci, żywego poczucia honoru, słuszności, wdzięczności a wraz niepomiernej mściwości, dumy, dysymulacyi, milczących i skupionych a znów dziwnie wymownych i czynnych, przesądnych, zapalczywych i wojowniczych a wyrachowanych, przemyślnych i roztropnych. Ale próżnoby i niedorzecznie w samem tylko korsykańskwie szukać zarodu tej duszy ogromnej, która żadnej sobie podobnej śród tutejszego nie miała krewniactwa, której jeden zaledwo w oderwanej latorośli wyspiarskiej tkwił spółczynny pierwiastek, inne zaś wyrastały z wielkiej gałęzi rdzennej italskiej,

z potężnego pnia kultury łacińskiej Zachodu, z najgłębszych konarów dziejowych powszechności europejskiej. Po ojcu Karolu, gładkim, ukształconym, doktorze praw wszechnicy pizańskiej, zrazu obok Paolego walczącym, lecz wnet z nową władzą francuską pogodzonym, słabowitego charakteru i zdrowia, przedwcześnie na dziedziczną w domu chorobę raka zmarłym, wywodził się z gibelińskiej rodziny florenckiej, jawnej w aktach wieku XIII, przeniesionej od XVI na Korsykę, odtąd śród patrycyatu miejscowego wydatnej, choć całkiem zbiedniałej; ze starożytnego również rodu toskańskiego po matce Letycyi z Ramolinów, niewieście męskiego hartu, towarzyszącej mężowi w wyprawach przeciw Francuzom i wtedy nocami, po górach, śród strzałów niosącej już pod sercem przyszłego cesarza Francuzów, prostackiej zresztą, nieokrzesanej, chciwej, Włoszce dorodnej, wytrzymałej i bardzo długowiecznej. Rodzeństwa miał siedmioro, czterech braci, trzy siostry, okazy fizycznie poczęści rasowe, duchowo pospolite, mizerne lub wręcz nikczemne, spięte swojską klanową żądzą bezwzględnego jego fortuny wyzysku i będące też dozgonnym dlań ciężarem i klątwą.

Chłopcem dziewięcioletnim wywieziony został przez ojca do Francyi na edukacyę wojskową z łaski królewskiej. Oddany najpierw do prowadzonego przez księży świeckich kolegium eksjezuickiego w Autun dla nauczenia się obcego sobie języka, już po trzech miesiącach poradził od biedy z francuszczyzną, choć nigdy przecie, tak potężnie i subtelnie później słowem i pismem władając francuskiem, ani grubych błędów, ani italianizmów jaskrawych ustrzedz się nie potrafi. Zaraz potem umieszczono go w szkole wojskowej w Brienne, niższym internacie kadeckim dla synów ubogiej szlachty na sumpcie królewskim, kierowanej przez franciszkanów, dość lichej pod względem nauki a nawet dozoru obyczajowego, gdzie nieosobliwych spotkał kolegów, jak późniejszego swego sekretarza sprzedajnego Bourrienna, nieosobliwych nauczycieli, jak późniejszego spółzawodnika zdrajcę Pichegru, gdzie sam niby zakładnik nieletni, nieoswojony wśród wrogów w ponurem trzymał się odosobnieniu, a pracował pilnie, rwąc się głównie do historyi, rozczytany zwłaszcza w Plutarchu, do geografii i matematyki. Po pięcioletnim tutaj pobycie dostał się szczęśliwie do Szkoły Wojskowej paryskiej, najwyższej kadeckiej, będącej wzorem podobnych zakładów zagranicznych a również i spółczesnego warszawskiego, zorganizowanej już czysto militarnie sposobem pułkowym, urządzonej wspaniale, aż zbytkownie, z największą kadetów wygodą, a co główna z nader obszernym

i wybornie obsadzonym programem wykładowym. Boczył się tu zrazu podawnemu na kolegów,—śród których z pierwszym zetknął się Polakiem, wyprotegowanym przez elektorówny saskie, siostry delfinowej, Jabłonowskim Władysławem, typu coprawda niekoniecznie polskiego ze swą połyskliwą skórą miedzianą, kędzierzawym włosem hebanowym, grubemi wargi, wystającemi w policzkach kośćmi, wskutek fatalnego podobno „zapatrzenia się“, co nań przydomek „murzynka“ ściągnęło, a predestynowanym, rzecz dziwna, na śmierć w wojnie murzyńskiej, teraz kadetem francuskim, późniejszym porucznikiem Royal Allemand, majorem armii koronnej, podpułkownikiem kościuszkowskim, działaczem emigracyjnym, generałem legionowym. Był też przez owych kolegów za swe korsykaństwo nieprzejednane wyśmiewany bez miłosierdzia, był przez jednego z nich skarykaturowany pociesznie, jak wyrywa się przytrzymującemu go za warkocz profesorowi, by „biedz na ratunek Paolemu“; i nieraz, przechadzając się milcząco po sali fechtunkowej z rękoma swym zwyczajem w tył założonemi, rozjuszony podobnemi kpinkami chwytał nagle za floret i z furyą na całą chmarę nacierał żartownisiów. Bądźcobądź jednak w pomyślnych warunkach szkolnych stołecznych, w otoczeniu żwawej i tęgiej młodzieży szlacheckiej, poczynał zżywać się potrosze z nowemi dla siebie stosunkami francuskiemi; z paroma towarzyszami bliżej nawet się zaprzyjaźnił; a pracował zawzięcie, z ułożonem już postanowieniem poświęcenia się służbie artyleryjskiej, w kierunku właściwych tej broni przedmiotów ścisłych; tak że po upływie roku niespełna mógł stanąć przed uczonym Laplacem w szkole artyleryi w Metzu do wymaganego egzaminu konkursowego, a po zdaniu go zyskać prawo do szarży oficerskiej w armii francuskiej.

Przeznaczony do konsystującego na głębokiej prowincyi, w zapadłej mieścinie Valence, pułku artyleryi La Fère, jednego z najlepszych a i najpracowitszych, musiał tu wedle przepisów od samego zaczynać dołu, służyć przez kilka miesięcy jako prosty kanonier, podoficer, kapral i sierżant, poczem dopiero objął czynność oficerską w stopniu podporucznika, z pensyą niecałych stu liwrów na miesiąc, ledwo na najskromniejsze starczącą utrzymanie. W domu bardzo religijnie chowany, choć zresztą i potem nieraz, złą znienacka zaskoczony wieścią, z mimowolnem „Jezus“ przeżegna się konsul i cesarz, wcześnie przecie wyzbył się wiary śród towarzyszów szkolnych w Brienne i Paryżu a teraz w Valence wprowadzony został do loży wolnomularskiej. Niezawiśle od obowiązkowych w regimencie zajęć służbowych wciąż kształ-

cił się dalej na własną rękę w zakresie ogólnym wiedzy wojskowej i zawodowym artyleryi praktycznej; zaczytywał się zarazem w nowoczesnem piśmiennictwie francuskiem, szczególniej w Roussie, w jego utworach politycznych i poetyckich, w świeżo wyszłych „Konfesyach“, przejmował się do głębi jego surową wykładnią doktrynerską i bezlitosną autoanalizą uczuciową. Straciwszy wcześnie ojca, czując się w biedzie, opuszczeniu, na obczyźnie, a czysty zupełnie, bez żadnej jeszcze skazy, okryty nieuskromioną jeszcze przez życie chmurną szlachetnością młodzieńczą, przedewszystkiem zaś rozgoryczony serdecznym bólem patryotycznym i tęskotą za ziemią rodzinną, przeżywał chwile zwątpienia i męki, skąd niedaleko było do samobójstwa. „Zawsze samotny pośród ludzi,—takie dla samego siebie oficerek siedmnastoletni spisywał rozmyślania—...(marzę) o śmierci... Od lat sześciu czy siedmiu jestem zdala od mej ojczyzny... Jakże nędzni, czołgający się, nikczemni są ludzie... Jakiż widok ujrzę w mej ojczyźnie? Spółrodaków mych w kajdanach i całujących rękę, która ich jarzmi... Gdy zginęła ojczyzna, dobry jej syn winien umrzeć... Życie mi jest ciężarem“. Cokolwiekby mędrkować, znając późniejsze jego losy nadzwyczajne, wysnuwając z nich *ex post* głębokie a tanie wywody wsteczne o krwi Borgiów czy powołaniu Attyli, — tyle poprostu pewna, że był to wtedy, wykwitły na podłożu zachodnio-europejskiem, szlachetny i genialny młodzieniec, jakimby tylko mógł być najlepszy spółczesny młody Francuz, Anglik, Niemiec lub Polak.

Po rozstaniu ośmioletniem mógł wreszcie 1786 r. za urlopem odwiedzić Ajaccio, nacieszyć się powietrzem rodzinnem i matką. Po krótkiej w majątkowych sprawach rodzinnych wycieczce do Paryża, gdzie pierwszą w życiu przygodę uliczną z bladą, nikłą Bretonką konfesyjnym Jana Jakóba zapisał sobie sposobem z trwożliwą dla kobiety wraz czułością i pogardą, powtórnie w początku 1788 r. do Korsyki podążył i tym razem podobno z własnem niemal rozminął się przeznaczeniem, ofiarując usługi swoje Rosyi, Katarzynie II. Imperatorowa, tocząc wtedy drugą swą wojnę turecką a pragnąc wszelkim sposobem powetować niepomyślną kampanię zeszłoroczną i planując w tym celu od strony włoskiej, śródziemnomorskiej wielką przeciw Porcie dywersyę, na podobieństwo Orłowa w pierwszej przed dwudziestoleciem wojnie tureckiej wyprawiła wiosną 1788 r. z misyą tajną do Włoch namiestnika włodzimiersko-kostromskiego generał-porucznika Iwana Zaborowskiego, który spiknąwszy się po drodze w Tryeście z przywódcami „ludów albańskich, słowiańskich, greckich“ i Mahmudem

paszą skutarskim, udać się miał do Toskanii i tam, przy pomocy urzędującego we Florencyi i Pizie posła rosyjskiego Moceniga, „przyjaciela“ Rosyi księdza Del Turco, agenta rosyjskiego w Livornie generał-majora Wasyla Tamary i konsula generalnego Calamaja, „zebrać wszystkich Korsykanów byłej służby angielskiej“, skierować ich do Syrakuzy a stąd jako korpus posiłkowy do Archipelagu i Morei. Owóż wedle świadectwa Zaborowskiego, bawiący wtedy na Korsyce podporucznik Napoleon Bonaparte, zapewne za pośrednictwem starszego brata Józefa doktoryzującego się wiosną t. r. w Pizie, miał wnieść podanie względem zaciągnięcia się do tej ekspedycyi; skoro mu jednak ze strony werbowniczej rosyjskiej żądanego stopnia oficerskiego przyznać nie chciano, skoro nadomiar cała misya Zaborowskiego okazała się chybioną, odstąpił szczególniejszego tego zamiaru i do Francyi zawrócił.

Zastawszy za powrotem pułk swój przeniesiony do nowego garnizonu w Auxonne, znowuż do przerwanej pracy nad sobą ostro się zaprzągł, jak świadczą sumienne jego ręki wyciągi z lektury najrozmaitszej, przeważnie politycznej i historycznej, „Republiki“ Platona, dziejów starożytnych Rollina, florenckich Macchiavellego, francuskich Mablego i t. p., a także żywota niedawno zmarłego Fryderyka Wielkiego, skąd nasamprzód wypisał sobie parę wiadomości dokładnych o pierwszym podziale Polski. Usilnie przytem robotą fachową w polygonie artyleryjskim zajęty, ceniony w pułku przez przełożonych i kolegów, zażylsze z nimi nawiązał stosunki, między innymi z porucznikiem Rulhièrem, jednym z synowców najlepszego wtedy we Francyi znawcy upadającej Rzpltej, światłego i przychylnego historyka „Anarchii polskiej“, dzięki którym po niebawnej nagłej śmierci stryja uratowanem zostało będące jeszcze w rękopisie znakomite to dzieło. Tutaj w Auxonne, pisząc pod adresem wielbionego wygnańca Paolego płomienne przeciw ciemiężcom francuskim „Listy o Korsyce“, dowiadywał się o wybuchłych w Paryżu wielkich wypadkach 1789 r., wzięciu Bastylii, raptownych postępach rewolucyi; a śledził je gorączkowo, z korsykańskiem przeważnie, wallenrodowem poniekąd uczuciem; upatrywał w nich przedewszystkiem widoki odzyskania niepodległości przez ściślejszą wyspiarską swą ojczyznę. Pośpieszył też jesienią t. r. wrócić tam po raz trzeci; powszechne zastał poruszenie umysłów, zwłaszcza odkąd liberalne uchwały Konstytuanty paryskiej uczyniły rządzoną po wojskowemu kolonię równouprawnionym składnikiem Francyi i otworzyły powrót wygnanym patryotom z Paolim na czele; powitał z za-

pałem bohatera narodowego i jako zdeklarowany „paolista“ rzucił się w wir agitacyi bardzo skłębionej i mętnej a zarazem kierowanej skrycie przeciw Francyi. „Poufne me stosunki z naczelnymi rodami i deputatami korsykańskimi—donosił w tym samym czasie do Petersburga sprytny Mocenigo, poseł opiekującej się zdawna Korsyką Katarzyny—pozwalają mi stwierdzić, iż Korsykanie korzystają z rewolucyi i powrotu swych wygnańców dla odzyskania wolności zupełnej i zbrojenia się w tym celu pod generałem Paolim... i niechybnie przy pierwszej sposobności zrzucą jarzmo protektoratu (francuskiego) i ogłoszą swą niepodległość... co wykryłem i wyciągnąłem z pod serca samych deputowanych tego narodu“. Młody oficer przez rok z górą w kręte te wpadłszy sprawy, dopiero pod wiosnę 1791 r. powrócił do pułku z awansem na porucznika a zarazem do wytężonej pracy umysłowej, do osobliwych na sposób Roussa prób literackich w postaci bądź zapisek o „dziejach Korsyki“, bądź dziwnego dyalogu „o miłości“, bądź dziwniejszej rozprawy „o szczęściu“, gdzie wychwalał z rozrzewnieniem życie zaciszne i mierne, rozświecone kochaniem prostem, muzyką pogodną, matematyką czystą i „historyą, pochodnią prawdy, macierzą nauk moralnych“, a piorunował przeciw namiętnościom gwałtownym i zgubnym, przeciw najzgubniejszej, „ambicyi, żądzy niczem nienasyconej, która Aleksandra Wielkiego wodzi z Teb do Persyi, nad Issus, do Indyi, każe mu zdobywać i pustoszyć swiat cały... wiecznie głodna tym samym wciąż pali go żarem, nęka, obłąkuje... staje się szałem, kończącym się dopiero wraz z życiem“.

## II.

Jesienią t. r. po raz czwarty wziął urlop do Korsyki. Wdał się tu coraz głębiej w powikłania lokalne; wyrobił sobie szarżę oficerską w tutejszej gwardyi narodowej. Wszedł zarazem w zatarg z wpływowymi działaczami miejscowymi, z posłem Peraldim, ofiarującym Korsykę po kilku leciech Rosyi za Pawła I, z arcybystrym Pozzo di Borgo, dozgonnym późniejszym wrogiem, wcześnie zaprzedanym Anglii a pod koniec wielkim ambasadorem rosyjskim za Aleksandra I; tem samem zaś ochłodził swe stosunki z popierającym ich Paolim, sterowanym przez nich coraz bardziej w kierunku oderwania się od Francyi. Sam poczynał tymczasem odchylać się od tego kierunku, przy całym swym patryotyzmie

korsykańskim objęty już silnie wpływem wyższej kultury francuskiej; zaczął pojmować, iż drobna wyspa nie dojdzie oderwaniem do niepodległości istotnej, lecz chyba do oddania się w ręce Anglii albo może i Rosyi, dokąd już wtedy przez konsula cesarskiego Calamaja kierowani byli Korsykanie pod skrzydła Katarzyny; a już wobec widoków podobnych wolał godzić się raczej z uprawnioną przynależytością francuską. Przybywszy do Paryża latem 1792 r. był świadkiem naocznym straszliwych powstań ulicznych, obalenia monarchii, rzezi więziennej, obwołania Republiki, wybuchu wojny koalicyjnej, poczem jesienią t. r. udał się po raz ostatni na Korsykę. Znalazł wyspę wzburzoną odbiciem wypadków stołecznych na tle najzawilszego nadomiar rozgardyaszu odśrodkowych dążeń i intryg miejscowych; naprzeciw starego Paolego, stojącego wraz z Pozzem za federalistycznym kierunkiem Żyrondy, znalazł się po stronie utrzymujących jedność ciała Francyi zwolenników Góry; dostał się poczęści mimowoli w sam krzyżowy ogień zaostrzonych krańcowo przeciwieństw stronniczych i osobistych; uległ w walce z przemocą wrogiej partyi rządzącej, potępiony został wraz z całą rodziną wyrokiem własnych rodaków pod powagą narodowego wodza, skazany na „wieczną klątwę i infamię“, widział dom swój rodzinny pastwą wściekłego motłochu; sam wreszcie ratować musiał życie ucieczką latem 1793 r. i rzec uchodzącej z nim matce: „ten kraj nie dla nas“ (*questo paese non è per noi*). Okrutne te przeprawy wywarły nań wpływ stanowczy. Śród zapamiętałej, prowadzonej wszelkiemi sposoby wojny domowej ulotniły się bezużyteczne mrzonki abstrakcyjne, tak nienawistna później cesarzowi „ideologia“, a starły się też puchy idealizmu młodzieńczego; obnażył się cudzy egoizm przewrotny i bezwzględny a i własnej indywidualności potężnej rozbudziły się utajone instynkty bojowe i władcze. Prysło wiele złudzeń, wiara w lud swój, w ubóstwianego ludowego naczelnika,— skąd później spłynie część nieufności do Kościuszki, niby Paolego polskiego,—w ludowładczą Roussa naukę; pierzchło ślepe korsykaństwo pierwotne a w duszy i ambicyi wielkiej ponad mikrokosmem półtorastatysięcy półdzikich, zajadłych wyspiarzy wygórowała wielka ciałem i duchem trzydziestomilionowa Francya, podejmująca zagadnienia światowe i ze światem stawająca w szranki.

Wygnaniec Korsykanin a coraz bardziej odtąd Francuz, odszukał swój regiment idący już w ogień; został jesienią t. r. umieszczony w korpusie ekspedycyjnym na południu do odebrania zajętego przez kontrrewolucyę i Anglików Toulonu; niebawem,

w stopniu szefa batalionu i komendanta artyleryi oblężniczej, znalazł tu pierwsze stosowne dla siebie pole działania, mógł zabłysnąć odwagą i sprawnością niepospolitą, wyższym zgoła poglądem i inicyatywą strategiczną; przyłożył się znakomicie do zdobycia miasta z końcem t. r. i za niezwykłe zasługi zyskał awans wyjątkowo szybki na generała brygady. Przeniesiony jako dowódca artyleryi i inspektor generalny pobrzeża do armii włoskiej, bezczynnie dokoła Nizzy stojącej na Rivierze w obliczu przewagi sardyńsko-austryackiej, zbliżył się z urzędującymi przy tej armii komisarzem Konwencyi Robespierrem młodszym, agentem rewolucyjnym Buonarrotim i podobnymi im ludźmi będącej u steru Góry; poznał dobrze zaciętą ówczesnych swych przyjaciół energię jakóbińską, której później konsul i cesarz obawiać się będzie najmocniej. Przez nich obecnie po raz pierwszy Komitetowi ocalenia publicznego przełożył samorzutne śmiałe swe myśli o zadaniach wojennych Republiki: niezłudzony świetnym pozorem aż dziewięciu armii rewolucyjnych doradzał ich skupienie, zebranie naprzód alpejskiej i włoskiej, wywarcie stąd w samo serce Austryi ofensywy jednolitej a druzgocącej, albowiem „z wojną jest jak z oblężeniem, należy zjednoczyć swe ognie w punkt jeden, nie rozdrabniać lecz skoncentrować swe ataki..., po zrobieniu wyłomu równowaga jest zniweczoną, wszystko inne zbytecznem a twierdza zdobytą“; z potęgą logiki nawskroś realistycznej a przelatującej błyskawicą od własnego toulońskiego doświadczenia próbnego do uogólnień najdalszych i największych, z prostotą oczywistości i geniuszu wykuwał lapidarne wskazania wytyczne nowej sztuki wojskowej *a implicite* i politycznej, które sam w następstwie tytanicznym wysiłkiem udowodni, rozwinie i wcieli. Ale tymczasem latem 1794 r. pogrążony pośrednio w przewrocie thermidora, upadku Robespierra i protektorów swych jakóbińskich, związanym nadto z wrogą machinacyą osobistą, znalazł się nagle w więzieniu, o włos od zguby; uwolniony na szczęście, miał pójść zrazu do chybionej wyprawy morskiej przeciw Korsyce, oddanej już przez Paolego Anglikom pod Jerzym III jako królem korsykańskim, potem do ekspedycyi karnej przeciw zbuntowanej Wandei; a wywinąwszy się od niewdzięcznego tego przeznaczenia, zjechał wiosną 1795 r. do Paryża.

Trafił do stolicy na przełom rządów thermidorowych a dyrektoryalnych. Dostał się do paru wpływowych w nowym Komitecie figur a także do wyjeżdżającego na czoło Barrasa i jego otoczenia, do samego ogniska intrygi, władzy, użycia. Zapachniały mu te po raz pierwszy tuż zbliska oglądane świetności, to

rzekomo wielkoświatowe życie, zbytek, wykwint, kobiety, głównie zaś ta tak tanio zdobywana a tak bez rachunku szafowana potęga najwyższa. Ubogi, potrącany, ciskany jak liść wichurą wypadków i samowolą ludzką, a wytrzeźwiony do cna, z przenikliwością jasnowidzącą przebijając pozory, docierając do faktów nagich, do istoty rzeczy i ludzi, głęboką dla tych ludzi rządzących, od których czuł się zawisłym i nieskończenie wyższym, żywiąc pogardę, rozpalał się milczącą żądzą zrównania się z nimi, wybujania ponad nich a znieczulał się moralnie widokiem ich pojęć, sposobów i pomyślności. Trawiło go zaś nadewszystko, rozsadzało, ponosiło przyrodzone powołanie wojennego geniuszu. Składał Komitetowi znaczone już lwim pazurem memoryały o armii włoskiej, plany działań zaczepnych, rzucane przecie lekceważąco do kosza przez biurokratów zawistnych lub tępych; dorwał się wprawdzie latem t. r. do rządowej kancelaryi topograficznej, skąd odrazu ożywczo na włoskie wpłynął operacye; jednakowoż wciąż pod biurokratyczną będąc ferułą, każdej chwili mogąc wylecieć, czując także rosnące w rządzie od pokoju bazylejskiego parcie ku pacyfikacyi powszechnej, która znowuż strąciłaby go w nicość, z początkiem jesieni t. r. wystarał się o misyę półurzędową do Turcyi dla zreorganizowania artyleryi i armii ottomańskiej a głównie dla wybicia się w tych stronach dalekich, albowiem „Wschodowi trzeba człowieka". Wtem znienacka wolą losu do właściwych swych porwany został przeznaczeń. Bardzo zdatny, bardzo jakobiński a zarazem, rzecz zalecająca go ze wszech miar, napewno zgoła niegroźny, niepokaźny, nieustosunkowany we Francyi, zbiedzony korsykański oficer fortuny, zgoła powolne napewno w ręku swego łaskawcy narzędzie, wybrany był przez Barrasa do pomocy w dowództwie podczas walki ulicznej przeciw rojalistycznemu wybuchowi vendémiaira; celnością bezwzględną i raptowną swych zarządzeń przyczyniwszy się do zgniecenia powstania, nagrodzony został stopniem generała dywizyi i wodza naczelnego armii wewnętrznej. Teraz już stanął w szeregu pierwszym, skąd mógł wziąć rozpęd na swoje miejsce najpierwsze, jedyne. Rozumiał wszakże, iż rozpędzić się nie potrafi jako komendant dozorczej siły zbrojnej przeciw Paryżanom na bruku stołecznym, lecz tylko jako wódz armii czynnej przeciw nieprzyjaciołom Francyi i to najłacniej na znanym sobie wybornie terenie włoskim. W istocie, mocno polecony na to stanowisko przez najpowołańszego rzeczoznawcę Carnota w uznaniu okazanych talentów wyjątkowych oraz wobec konieczności nowych nad Austryą przewag dla dojścia z nią do pokoju, z drugiej strony zręcznie

popierany przez Barrasa w myśli zachowania wdzięcznego adherenta w osobie wysuniętego przez siebie generała, otrzymał w początku marca 1796 r. upragnione dowództwo naczelne nad armią włoską. Zaplątał się jeszcze naostatku w sidłach niedoświadczonego uczucia i temperamentu; rozkochał się bez pamięci w starszej od siebie o lat przeszło sześć kreolce i wicehrabinie przekwitłej, łatwej, wyszkolonej, umiejącej ptasią dobrocią, egzotycznym i pseudoarystokratycznym urokiem zagrać na jego zmysłach i sentymencie, wdowie po ściętym dowódcy rewolucyjnym, Józefinie Beauharnais, więzionej w dobie teroru u Karmelitów i uratowanej wtedy udanym stanem odmiennym przez polskiego lekarza więziennego, poczciwca Markowskiego, teraz królującej śród wielkoświatowego półświatka Dyrektoryatu, utrzymance Barrasa, o czem jasnowidzący lecz zakochany generał, jak zwykle bywa, sam jeden tylko nie miał pojęcia, podsuniętej mu przez cynika dyrektora dla tem snadniejszego utrzymania go w ręku; wbrew woli matki przeciwnej temu związkowi, skąd nie oczekiwała potomstwa, wbrew całej rodzinie przeciwnej małżeństwu swego naczelnika i chlebodawcy z osobą ubóstwianą, kosztowną, niezamożną i prześladującej odtąd bratowę uczuciem zawziętej klanowej nienawiści, wziął ślub ze swoją wybraną w tydzień po otrzymaniu nominacyi włoskiej, a na dwa dni przed wyjazdem z Paryża na plac boju. Nareszcie w końcu marca 1796 r. stanął w Nizzy, kwaterze głównej armii włoskiej, objął dowództwo naczelne, rozwinął skrzydła do lotu.

Armia licząca ogółem do 45 tys. ludzi, w czem jednak było niewiele ponad 30 tys. do czynnego w polu użycia; generalicya poczęści tylko istotnie uzdolniona, między sobą niezgodna, dość skłonna krzywić się na nadesłanego z biur paryskich korsykańskiego młokosa, choć zresztą z pewnym już z góry respektem dla wiadomych jego talentów; korpus oficerski przeważnie bardzo dobry, lecz należycie niewyrobiony w ogniu a niewystarczający w gałęziach broni specyalnej, artyleryi i inżynieryi, szczególnie ważnych na tym właśnie trudnym terenie wojennym; wydział administracyjny haniebny, żyjący kosztem wojska zamiast je żywić; żołnierz, głównie rekrut południowo-francuski, sprawny, zapalny, przedsiębiorczy, wyborny w ataku, piechur lekki i sprężysty, zdatny do marszów forsownych, ale upadły na duchu, ogłodzony, oberwany, bosy, dziesiątkowany przez choroby w nędznych górskich leżach zimowych, źle uzbrojony, niepłatny, niekarny: taką była dźwignia, którą chwytał młody wódz dla poruszenia nią świata z posad. Naprzeciw siebie miał około 70 tys. doskonale

opatrzonego nieprzyjaciela, w jednej prawie połowie Sardów wspartych przez posiłki cesarskie, z drugiej samych Austryaków pod starym feldmarszałkiem Beaulieu z przeważającą zwłaszcza doskonałą jazdą własną i posiłkową neapolitańską. Po jaknajkrótszej, dwutygodniowej zaledwo, szalenie intensywnej robocie przygotowawczej, już w początku kwietnia t. r. spadając piorunem z Riviery przez wąwozy apenińskie, wbijając się zwartym klinem pomiędzy wojska sardyńskie a austryackie, zniósł je kolejno a naprzemiany w ciągu kilkunastu najbliższych dni kwietniowych pod Montenotte, Millesimo, Dego, Sanmichele, Mondovi, zmusił do rozejmu króla sardyńskiego a niebawem, przeszedłszy w początku maja przez Po, również i książąt Parmy i Modeny, zepchnął Austryaków za Addę, pobił na głowę pod Lodi, w połowie maja odbył wjazd tryumfalny do Medyolanu, został panem Lombardyi, zajął się doraźnem jej urządzeniem polityczno-wojskowem; po krótkiem wytchnieniu i reorganizacyi armii wstrząśnionej tak niezwykłym wysiłkiem, ruszył natychmiast naprzód, po krwawej rozprawie pod Borghetto przekroczył Mincio, w początku czerwca stanął na linii Adygi, dotarł nad jezioro Garda wtargnąwszy do weneckiej Terra Ferma śladem uchodzącego Beaulieugo, odrzucił go ostatecznie do Tyrolu w góry trydenckie, zablokował Mantuę i z wyjątkiem zamkniętego jej garnizonu oczyścił z Austryaków całe Włochy aż po Alpy, zmusił do rozejmu króla neapolitańskiego a niebawem, zająwszy na swych tyłach Legacye papieskie, również i Stolicę Apostolską; dokonał w ciągu dwóch miesięcy więcej niż uczyniono dotychczas w ciągu czterech lat wojen rewolucyjnych, wysunął się odrazu na czoło wodzów Francyi i Europy. To był akt pierwszy. Niedługo przecie mógł zażywać spoczynku, sam nieco odurzony świetnością zdobytych wyników, poniekąd też łudzony widokami bądź to rokowań pokojowych parysko-wiedeńskich bądź też dywersyi zaczepnej wojsk francuskich nad Renem, a po znacznych swych w ogniu ubytkach skąpą tylko kapaniną świeżych posiłków wzmocniony, gdy natomiast Austryacy, ściągnąwszy z nad Renu 25 tys. najlepszego żołnierza i zreformowawszy rozbite swe szczątki, pod nowym energicznym wodzem feldmarszałkiem Wurmserem przystąpili do rychłego odwetu; zaskoczony już w końcu lipca t. r. potężnym atakiem przeszło 50 tysięcznej armii austryackiej wypadającej w trzech silnych korpusach z Tyrolu południowego na Lombardyę, nagle w największej opresyi zmuszony zwinąć na gwałt blokadę Mantui, popalić, zagwoździć, zakopać swój park oblężniczy, myśleć nawet o ratowaniu się zupełnym odwrotem, przecie myśli takiej

nie dał nad sobą władzy, do tem śmielszego porwał się kontrataku, utrzymał inicyatywę zaczepną. w początku sierpnia runął najpierw na prawe skrzydło nieprzyjacielskie i zbił je pod Lonato, potem na centrum i zgromił je pod Castiglione, w kilka dni rozniósł całą piękną armię Wurmsera i odrzucił go do Tyrolu. To był akt drugi. Odtąd czujnie już będąc na straży, wyczekawszy w początku września t. r. następną próbę offensywną Wurmsera i powtórne jego z odnowioną armią zejście do Lombardyi, sam obszedłszy go, odciąwszy zajęciem Trydentu od Tyrolu, zawróciwszy nań od tyłów i w niesłychanie forsownych dościgając go marszach, bijąc pod Roveredo, Bassano, Sangiorgio, wreszcie w połowie września z resztkami wojsk pobitych wparł go i zamknął w Mantui. To był akt trzeci. Aliści po kilku już tygodniach znowu miał naprzeciw siebie świeże przeważnie wojska nieugiętej tyloma ciosami Austryi, która ulżywszy sobie tymczasem nad Renem dzięki zwycięstwom arcyksięcia Karola, najlepsze siły obróciła na stracone Włochy; rozprawić się musiał z nową blisko 60 tysięczną armią austryacką, wyruszającą w początku listopada t. r. pod feldcechmistrzem Alvinzym w dwóch wielkich kolumnach z Tyrolu północnego i Frioulu; zaczął dość nieszczęśliwie, wyparty wnet z Trydentu, zagrożony zgnieceniem pod Mantuą, wciąż jednak offensywy taktycznej nie wypuszczając ani na chwilę z ręki, przekroczywszy Adygę, w połowie listopada flankowem od tyłu uderzeniem ugodził w Alvinzego pod Arcole, nieskutecznie zrazu, z dotkliwą, klęskową prawie stratą, którą przecie przez nadzwyczajne napięcie woli i prącego wciąż naprzód celowego impetu, po trzydniowych krwawych zapasach świetnem uwieńczył zwycięstwem. To był akt czwarty. A jeszcze do rozwiązania było daleko.

## III.

Olśniewający widok tej nieprzerwanej kolei tryumfów mógł z odległości wydawać się jedną strzelistą, równą, gładką, konieczną linią obiegową podnoszącej się wspaniale na widnokręgu europejskim, niewstrzymanej w swym pochodzie gwiazdy szczęśliwego losów wybrańca. Zbliska rzecz przedstawiała się zgoła odmiennie: wszystko z trudem ogromnym wypracowane, z niebezpieczeństwem śmiertelnem wywalczane przez niego nieustannie być musiało. „Fortuna—tak pod sam już koniec po leciech kilku-

nastu, wracając zmiażdżony z pod Moskwy, do polskich w Warszawie odezwie się on słuchaczów—fortuna nie daje nic, sprzedaje wszystko; ludzie wierzą w moje szczęście, ale ja wiem, wiele mnie ono kosztowało". To była prawda i tak od samego było początku. Tak więc obecne pierwsze jego tak raptowne wspinanie się w górę wciąż po wąskiej między przepaściami odbywało się krawędzi; mógł w każdej z dotychczasowych czterech kampanii potknąć się, zwalić i pogrążyć w nicość; mógł nietylko, z wyższą od wszelkiej brawury bezwzględną pogardą śmierci co chwila na rekonesansach najśmielszych lub w szturmie najgorętszym, jak ostatnio na moście pod Arcole, własną wystawiając osobę, powielekroć zginąć od kuli, szabli czy bagnetu a nawet, jak przestrzegł go w porę uczciwy Wurmser, od trucizny, albo też, na co wtedy zanosiło się nieraz, dostać się do niewoli, ale poprostu mógł uledz przewadze, przegrać zupełnie. „Kampania włoska—są słowa znaczące dzielnego i roztropnego jej uczestnika, generała Dommartina—była jedną z tych rzeczy szczęśliwych, jakich nie należałoby próbować po raz drugi". Co więcej, parokrotnie mocno się przerachował, przy początkowem wtargnięciu Wurmsera, przy ocenie odporności Mantui, przy pierwotnem jeszcze pod Arcole natarciu, podobnież jak później ze złym i nawet z dobrym skutkiem pomyli się pod Acre, Marengo, Eylau, Aspern i gdzieindziej. Był to tylko—pospolitą tę oczywistość zawsze przed oczyma mieć potrzeba — wielki, genialny człowiek, nie jakiś wszechwiednopotężny półbóg czy cudotwórca. Z tego ani wtedy, ani w następstwie należycie nie zdawano sobie sprawy. Widziano i wówczas gdy dopiero wschodził, i potem gdy stał u zenitu, same jeno pomyślności nadzwyczajne; niedość widziano nadludzkiego jego wysiłku ani też straszliwego ciśnienia i ryzyka okoliczności: tedy z reguły dowolne, fałszywe nawskroś zakładano przesłanki o jego wszechmocy, a stąd znowu nazbyt często wygórowane, niesprawiedliwe z gruntu wysnuwano wnioski o jego poczytalności dziejowej.

W arcyświetnej i arcyciężkiej dobie wstępnej niniejszej, niezawiśle od samychże niepomiernych trudności czysto wojennych, z jakiemi borykać się wypadło Bonapartemu, miał on również ustawicznie na karku niezwykle drażliwe kłopoty polityczne, wynikające ze śliskich jego stosunków z własnym rządem, z podejrzliwym, podstępnym, podzielonym w sobie Dyrektoryatem. Zwycięstwami swemi zadziwił, wnet zaniepokoił dyrektorów, stawał się nagle dla nich zaduży, rzecz swoją robił zadobrze. Zapowiadając już w końcu kwietnia po pierwszych wygranych „wkroczenie przez Tyrol do Niemiec", wybiegając daleko poza pierwotne

swe instrukcye, poza wyznaczoną sobie rolę podrzędnego spółczynnika mającego li tylko przyśpieszyć ubicie corychlej ladajakiego z Austryą pokoju, przeraził tych zwłaszcza mężów rządu, co to z Carnotem na czele taką jeno pokojową żyli wtedy myślą. To też już nazajutrz po Lodi osobliwszej doczekał się nagrody pod postacią pisma Carnota z wyłuszczeniem „kategorycznej konieczności zakończenia wojny w ciągu kampanii niniejszej“, z zapowiedzią odszkodowania Austryi wydzieraną jej dopiero Lombardyą, a jednocześnie z rozkazem rozpołowienia zwycięskiej swej armii, oddania dowództwa przeciw Austryakom w ręce starego Kellermanna, oddalenia się samemu z resztą wojska gdzieś na jakąś niedorzeczną wyprawę na Rzym i Neapol. Odmówił wręcz; „lepszy—odpisał natychmiast—jeden zły generał niż dwaj dobrzy..., wojna jak i polityka rzeczą jest taktu“; zaofiarował obcesowo swoją dymisyę, której wprawdzie wobec nowych tymczasem jego tryumfów przyjąć od pogromcy Beaulieugo, zdobywcy Lombardyi nie śmiano w Paryżu: ale odtąd w skrytej pod przyjacielskimi pozory ze sterunkiem Carnota i jego zwolenników niezgodzie, przy połowicznem jeno, naopak tamtym, ze strony Barrasa i Reubella poparciu, im dalej i wyżej osobistą, od nich wszystkich niezapożyczoną, rozpędową poruszał się mocą, w tem ostrzejsze z nimi wchodził zatargi, odchylał się coraz bardziej od stołecznego władzy dyrektoryalnej ogniska, tworzyć sobie poczynał własne obozowe. Kryło się tutaj jeszcze w tem stadyum początkowem niebezpieczeństwo wielkie, które on do czasu zażegnywał na swój sposób przez nadzwyczaj umiejętne wobec rządu stopniowanie powolności a impozycyi, przez zwycięstwa, zdobycze, trofea, nienajmniej też przez miliony posyłane raz po razie do pustych kas dyrektoryalnych a wyciskane niemiłosiernie z zajmowanych bogatych ziem włoskich. Lecz właśnie w sprawach włoskich musiała jaknajdobitniej wystąpić na jaw cała zasadnicza rozbieżność zachodząca pomiędzy rządem a wodzem. Zarazem zaś ten mianowicie młodego wodza stosunek do Włoch, pierwszy jego do wielkich zagadnień narodowych i europejskich samodzielny polityczny stosunek, pierwszy w istocie punkt wyjścia dalszych jego z kolei ogromnych poczynań światowych w ogólności a w szczególności późniejszej jego postawy w Polsce i względem Polski, stawał się niezmiernie doniosłym czynnikiem ewolucyjnym dla niego samego, dla przyszłego rozwoju własnych jego pojęć, działań i powołania dziejowego.

Walny pod tym względem moment genetyczny oznaczało ukazanie się Bonapartego w Medyolanie wiosną 1796 r. Zjawiał

się on tutaj po raz pierwszy jako oswobodziciel i wskrzesiciel wielkiego, jarzmionego, wybijającego się na niepodległość narodu, bliskiego mu nadomiar krwią i kulturą. Ale wchodził jednocześnie do kotłowiska najtrudniejszych i najdrażliwszych powikłań związanych z podobnem dziełem wyzwoleńczem. Spotykał się z zupełnym rozgardyaszem pragnień, dążeń, widoków pośród samychże miejscowych żywiołów lombardzko-włoskich. Było tu stronnictwo skrajne jakóbinów medyolańskich pod kierunkiem gwałtownego i ambitnego publicysty Salvadora, złożone z adwokatów, lekarzy, kupców, drobnego mieszczaństwa, poczęści też, rzecz szczególna, niższego duchowieństwa, chowające się dotychczas przed władzą gubernatorską i policyą austryacką w związkach tajnych postaci masońskiej a obecnie po przybyciu Francuzów występujące w *Società Popolare* z zaciekłą propagandą klubową na wzór paryski, w imię najbezwzględniejszych haseł ludowładztwa i demagogii. Było drugie, mniej radykalne, szczerze jednak demokratyczne i narodowe, liczące sporo lepszych przedstawicieli szlachty i magnateryi, jak ks. Galeazzo Serbelloni, słabej zapewne głowy lecz gorącego i ofiarnego patryotyzmu, jak hr. Porro, margrabia Visconti i inni, zapisujący się nawet skwapliwie do Towarzystwa Narodowego a przez jakóbińskich jego kierowników z tem większą konkurencyjną zwalczani zajadłością. Było trzecie, jeszcze umiarkowańsze, gdzie obok wielu lichot skupiał się też kwiat inteligencyi włoskiej, prawnik Beccaria, historyk Verri, poeta Parini, a przewodził statysta najzdolniejszy i najrozważniejszy Melzi-Eril, dobrzy w gruncie Włosi, o odcieniu liberalnym zbliżonym do pojęć oświeconego despotyzmu, dotychczas bądź w łagodnej względem rządów austryackich opozycyi, bądź nawet w ugodowym do nich stosunku, gotowi przecie teraz całem sercem podać rękę Francuzom do odrodzenia swej ojczyzny, z ostrożną wszelako wstrzemięźliwością, z myślą o pewnych uprzednio porękach, z obawą przed srogim zawodem i wystawieniem się w końcu na pastwę represyi austryackiej. Było nareszcie przyczajone pod doraźną przewagą oręża francuskiego znaczne i wpływowe stronnictwo austryackie, złożone z tajnych adherentów i agentów cesarskich, wyzutych z wszelkiego poczucia narodowego, a wsparte przez przedstawicieli episkopatu, ze zrozumiałym wstrętem dla Francyi rewolucyjnej idących na rękę skazówkom Rzymu i Wiednia. W tem wszystkiem pełno uderzających tkwiło analogii do spółczesnych i późniejszych kołłątajowców, kościuszkowców, majowców, ugodowców, prostych wreszcie zaprzańców polskich, do całej skali polskich ludzi, rzeczy i sto-

sunków porozbiorowych, jak kształtowały się podówczas w kraju i na emigracyi i jak w dziesięciolecie po Medyolanie odnajdzie je żywcem w Warszawie Napoleon. Z góry niejako miał Polskiu czyć się tym sposobem najpierw w Lombardyi Bonaparte. A oryentował się on tutaj, na bliższym i pokrewnym terenie włoskim, z właściwą sobie genialną bystrością, z dziwnie dojrzałym w młodzieńczej głowie zdrowym rozsądkiem. W sam dzień swego wjazdu do stolicy lombardzkiej w przemówieniu wygłoszonem na bankiecie powitalnym dał upust swoim szczerym i wielkim intencyom wyzwoleńczym, otwierał widoki na niepodległość Lombardyi, własną armię, półtysiąca armat, wylot do dwóch mórz; ale zarazem zalecał zgodę, jedność, umiarkowanie, ostrzegał przed walką domową, przed zawziętością stronniczą, przed ultraradykalną wywrotową burzą społeczną, albowiem „zawsze będą bogaci i biedni“, albowiem zresztą nie czas po temu w obliczu nieprzyjaciela. Jakkolwiek sam dopiero co z jakóbińskiej, robespierrowskiej wychodził szkoły, jakkolwiek miał przy swym boku takich jakóbinów zdeklarowanych a drapieżców arcyprzewrotnych, jak komisarz rządowy Korsykanin Saliceti, późniejszy szef policyi neapolitańskiej, jak administrator wojenny Szwajcar Haller, późniejszy sługa austryacki i jezuicki, spikniętych obecnie z zawodowymi jakóbinami medyolańskimi najpodejrzańszego gatunku i forytujących ich usilnie u naczelnego wodza, jednakowoż przejrzał on niebawem, że na tych mętnych żywiołach budować nie sposób. Przeniknął małą wartość realną narzuconego sobie natrętnie sukursu rzekomej potęgi spiskowo-demagogicznej, wyczuł nawet w niektórych agitatorach najgorliwszych skrytą, podstępną, pchającą rozmyślnie do zgubnych wybryków anarchicznych rękę prowokatorską austryacką, a natomiast poszukał rzeczywistego oparcia, bez żadnych wyłączeń stronniczych ani stanowych, w jaknajszerszych od góry do dołu czynnikach narodowych włoskich i to właśnie przedewszystkiem u umiarkowańszych, mających wiele do stracenia i wiele do ofiarowania. Tę mądrą metodę środkującą, jakiej trzymać się będzie kiedyś w oswobodzonej Warszawie, teraz po krótkich wahaniach doświadczalnych wyrobił sobie, wypróbował i zastosował w oswobodzonym Medyolanie. Co więcej, przemawiał stąd obecnie do swego rządu za Włochami w tych samych niemal wyrazach, w jakich potem w Warszawie Józef Poniatowski będzie do niego przemawiał za Polską. „Ludność lombardzka—pisał Dyrektoryatowi — z dniem każdym coraz bardziej (za nami) się oświadcza. Ale jest tutaj klasa bardzo wybitna, która pragnęłaby, zanim rzuci rękawicę cesarzowi, zostać

do tego wezwaną przez proklamacyę rządu (francuskiego), stanowiącą rodzaj poręki tego zainteresowania, jakie Francya okaże temu krajowi przy pokoju powszechnym". Przyjąwszy powitanie sędziwego arcybiskupa medyolańskiego, zajechawszy nasamprzód do jego pałacu, skąd przeniósł się do pałacu Serbellonego, w pierwszej zaraz proklamacyi swojej do ludu lombardzkiego zapowiedział „poszanowanie własności, osób, religii".

Zachowując zrazu cywilny Kongres Stanu obok władzy wojskowej i zaprowadzając municypalność tymczasową, zastąpioną następnie od początku jesieni 1796 r. przez czternastoosobową Centralną Administracyę Generalną Lombardyi, pomimo krzyków i denuncyacyi klubowych wprowadził do niej ludzi znacznych, jak Serbelloni, Visconti, Porro, i raz po razie w ostrych odezwach oświadczał się przeciw „anarchistom", „warchołom" ultrarewolucyjnym, „największym wrogom wolności", ostrzegał przed „naśladowaniem nie odwagi i cnót, lecz ohydy i zbrodni narodu francuskiego", zalecał „szacunek własności i osób, wpajanie uczuć prawności, porządku i ducha wojennego, będącego istotną osłoną republik, tarczą ich swobód" i dźwignią odrodzenia ojczyzny włoskiej.

Odrodzenie Włoch, jeśli nie w całości to w pewnej przynajmniej części, w zakresie zdobywanej północnej połaci lombardzko-legacyjnej, w dopuszczalnym narazie, ułamkowym bodaj sposobie, nadającym się do stopniowego w przyszłości rozwoju, niezawodnie od pierwszej niemal chwili mocnem samorodnem jego było postanowieniem. Natchnione ono było przez wysoką ambicyę duszy całym swym zakrojem historycznie wielkiej, wydzierającej się wtedy zwłaszcza z młodzieńczą jeszcze świeżością do uwiecznienia siebie w dziełach istotnie wielkich. Coprawda, łączyło się już ono z egoizmem żywiołowym indywidualności przepotężnej, sił i darów swych przyrodzonych spełna świadomej, prącej impetem niewstrzymanym do wyniesienia się, zamanifestowania, rozpostarcia, panowania. Coprawda, kojarzyło się już również z głębokim realizmem bezwzględnego człowieka czynu, który nurzając się w najogromniejszych żywych zagadnieniach, najtęższych przeprawach, najsroższych opałach wojny i polityki, w ciągłej bez pardonu walce z piętrzącemi się zewsząd przeciwnościami, z nieprzyjacielem, rządem własnym, terenem, środowiskiem, ze zmiennością wypadków i szczęścia, z nagą przyrodą rzeczy i stosunków, przejął się nawskroś bezlitosną, sceptyczną, oportunistyczną a poniekąd konieczną, samozachowawczą, ściśle celową trzeźwością w obliczaniu szans i szacowaniu wartości przedmio-

towych i ludzkich, twardą a przymusową zasadą mierzenia za miarów na siły, przystosowywania górnych i doskonałych pomysłów powszechnych do poziomej fizycznej możności czynnego ich wcielenia w danem miejscu i czasie. Jeśli wszakże tym sposobem obecnie w Medyolanie ogólną koncepcyę odrodzenia Włoch—podobnież jak następnie Polski—przystosował jednocześnie do indywidualnej dziejowej karyery własnej oraz do dozwolonego przez okoliczności ułamkowego jeno i stopniowego urzeczywistnienia, to nie czyniło to przecie ujmy samej wielkości ujęcia przezeń w ręce owej koncepcyi, której każdy inny w jego położeniu mniejszy działacz ówczesny byłby napewno wolał całkiem zejść z drogi, wyminąć ją, pozbyć się jej zgoła, a ku której geniusz jego miary i polotu, pomimo wszelkich egoistycznych i realistycznych zastrzeżeń i uchyleń, zawszeć chcąc niechcąc właściwym sobie wyższym pociągany był instynktem, z którą ponawianymi nawroty rozprawiał się i borykał, którą z martwego punktu ruszył i w dalszy obieg dziejowy nieodwołalnie wtoczył. „Jego budowa cesarstwa francuskiego—takie w tym samym Medyolanie, dokąd on teraz tryumfatorem wchodził, po leciech kilkunastu w chwili jego upadku mimowolne wyrwie się wyznanie jednemu z najzawziętszych nań wrogów — jego wyprawa zdobywcza do wszystkich stolic europejskich, dumne to zaiste pomniki: ale zamysł jego przywrócenia Polski oraz stworzenie i wyhodowanie królestwa Włoch, oto są arcywspaniałe błyskawice jego ducha i polityki, które pomimo wszelkich jego uchybień i przewinień, zapewnią mu nieśmiertelność u przyszłych pokoleń".

Narazie jednak przychylne sprawie włoskiej zamierzenia młodego wodza psute i plamione były w samym zarodzie przez mnogie najprzeciwniejsze bieżące wpływy i okrutne wymogi polityczno-wojenne. Zmuszony kosztem Włoch nietylko swoją utrzymywać armię lecz także tuczyć rządy dyrektoryalne, zaczynał on tutaj swe posłannictwo wyzwoleńcze od kontrybucyi dwudziestomilionowej i rekwizycyi bez końca. Miał nadomiar na karku pełno nasłanych sobie z Paryża możnych dostawców, administratorów, komisarzów, agentów wojskowych, wyzyskujących armię i wysysających zdobywane przez nią kraje, „chmarę łotrów", „złodziejów", jak sam w próżnych do Dyrektoryatu biadał skargach, „których kazałbym powystrzelać co do nogi, gdybym miał miesiąc czasu", którzy dla pokrycia swych nadużyć „pragną naszej porażki, korespondują z nieprzyjacielem... powiadamiają go o naszej liczbie, niszczą naszą powagę, i których też wystrzegam się bardziej niż Wurmsera". Co gorsza, śród najdzielniejszych swych

generałów miał łupieżców bezwstydnych, wymuszających okupy, rabujących pałace prywatne, instytucye publiczne, banki, zakłady dobroczynne, kościoły włoskie, wiozących za sobą osławione „furgony“ obozowe napchane zdobyczą, jak Massena, Augereau, Murat, Lannes i wielu innych. Starał się przeciwdziałać złemu, zupełnie mu zapobiedz nie miał sposobu, rozumiał wybornie opłakane stąd skutki. „Pragnąć duży naród powołać do wolności i niepodległości—tak kiedyś więzień ze św. Heleny streści istotę tych pierwszych swych trosk włoskich, tyle i pod tym względem mających pokrewieństwa z następnemi polskiemi, — pragnąć, by w nim powstawał duch publiczny, tworzyła się siła zbrojna, a zabierać mu jednocześnie główne jego zasoby, są dwie myśli skróś z sobą sprzeczne, na których pogodzeniu właśnie polega talent. Było też z początku (we Włoszech) niezadowolenie, pomruki, spiski. Postępowanie wodza w kraju zdobytym najeżone jest trudnościami: jeśli jest on twardym, budzi rozgoryczenie i mnoży sobie wrogów; jeśli jest łagodnym, otwiera nadzieje i uwypukla nadużycia związane koniecznie ze stanem wojennym“. W rzeczy samej uniesienie serdeczne, z jakiem zrazu witany był przez Włochów, niebawem znacznie ochłódło pod wrażeniem doświadczanych nieznośnych ucisków; wystąpiła wnet nieprzyjazna reakcya nastrojów, spożytkowana skwapliwie przez utajone czynniki klerykalno-austryackie a odbijająca się również na miejscowych żywiołach szczerze narodowych, zwłaszcza zaś na domorosłej partyi jakóbińskiej, srodze zawiedzionej w pokładanych na zwycięzcy nadziejach, odsadzonej przez niego od władzy, i skłonnej odtąd do spiskowego na nim odwetu. To też już podczas trudnych jego wypraw przeciw Beaulieumu, Wurmserowi, Alvinzemu wynikały na jego tyłach wrogie, krwawo przezeń tłumione rozruchy ludowe oraz tworzyły się szczególniejsze, obliczone podobnież już z góry na wypadek jego porażki, sprzysiężenia i związki tajne wolnomularsko-patryotyczne, jak pierwsi „Promieniści“ medyolańscy (*Raggionanti*), do których należeli nawet dowódcy świeżo przez niego powołanej do życia legii lombardzkiej, pod pięknem lecz wtedy zgoła niewykonalnem, wychodzącem na szkodę ich ojczyzny a pożytek jej gnębicieli, hasłem oswobodzenia i zjednoczenia Włoch bez i przeciw broni francuskiej, własnemi siłami narodu włoskiego.

Jednakowoż, obok tych istniejących na miejscu trudności poważnych, największy w sprawie włoskiej szkopuł i hamulec wciąż tkwił gdzieindziej, ponad Włochami, w rządzie dyrektoryalnym i jego nacisku pokojowym. Nieproszoną „propagandę“

wodza armii włoskiej krzyżowano tam z zasady na całej linii; posyłane od niego do Paryża deputacye włoskie z mrożącą przyjmowano niechęcią; odżegnywano się od tworzonych przezeń władz republikańskich a osobliwie legionów narodowych włoskich; przeciw niemu osobiście w miarę nadzwyczajnych jego sukcesów, bądź z istotnej obawy, bądź też raczej dla rozmyślnego podkopania go w opinii i zmuszenia tym sposobem do większej w rzeczach włoskich wstrzemięźliwości, rozsiewano zawczasu podejrzliwe odgłosy o nadmiernej jego ambicyi, jego zamiarach obwołania się księciem Medyolanu lub bodaj królem Włoch. Wreszcie, jak się rzekło, dla ostatecznego zahamowania go i zeskamotowania mu owoców jego zwycięstw, zwalono nań znienacka ową medyolańsko-wiedeńską misyę poufną generała Clarka, wniesioną i przepartą w rządzie przez Carnota, a której sens istotny polegał na nieodwłocznem ubiciu pokoju z Austryą kosztem wyrzeczenia się Włoch. Pod tym ostatnim mianowicie względem nie przestawał zwłaszcza Carnot od wyprawienia swego wysłańca w jaknajgwałtowniejszym oświadczać się duchu: „Włosi—wołał z pasyą na posiedzeniu Dyrektoryatu—to nasi wrogowie; byłoby śmiesznością odrzucać zawarcie tak potrzebnego Francyi pokoju dla jakichś matactw w imię niepodległości t. zw. naszych przyjaciół czy braci włoskich... Włosi, to nędznicy i nikczemnicy, wytwór długoletniego niewolnictwa... należą oni wprawdzie do rodzaju ludzkiego i mogą kiedyś wysiłkiem wychowawczym podnieść się ze swego poniżenia, ale jestto sprawa długa i nie naszą jest rzeczą brać za to na siebie odpowiedzialność... tymczasem zaś Włosi, jak przedstawiają się dzisiaj, są dla mnie warci jedynie splunięcia (*crachat*)... są to bandyci, przywiązani do despotyzmu albo anarchii... dla podobnej hołoty (*canaille*) nie powinniśmy zapominać o wielkim interesie Francyi, jakim jest pokój". Nastrojony w takim guście Clarke, wtedy kreatura zaufana Carnota, przybywszy z końcem listopada 1796 r. do Medyolanu, spadł na głowę powracającemu tu właśnie z pod Arcole zwycięzcy i w myśl przepisanych sobie zleceń i własnych ambitnych widoków negocyatorskich począł nalegać nań natarczywie o zaprzestanie dalszej walki i niezwłoczne ułożenie się z Austryą. Bonaparte narzuconego sobie gościa przyjął zrazu jaknajgorzej; potem go ujął, wydobył z niego sekret jego poruczeń i zamierzeń, uczynił go podejrzanym armii i pozbawił możności szkodliwego na nią oddziaływania; pozwolił mu natomiast wdać się w bezpłodne rokowania z Austryakami, zyskując tym sposobem na czasie; zarazem zaś posuwał energicznie oblężenie Mantui, gotował się do nadciągającej nowej

rozprawy orężnej z nieprzyjacielem, do przecięcia całej tej intrygi paryskiej po swojemu mieczem, do utrzymania tym środkiem niezawodnym sprawy wojny i pokoju we własnych ręku. Jednocześnie, nie oglądając się na wprost przeciwne natchnienia Clarka, już po jego przybyciu dodał nowej ostrogi Włochom; poparł dalsze usiłowania wyzwoleńcze Lombardyi, rozwinięcie republikańskich jej urządzeń, uchwalenie równości stanów, zniesienie szlachectwa, tytułów i t. p.; przedewszystkiem zaś zaopiekował się przyśpieszeniem rozpoczętej organizacyi legionowej włoskiej; oświadczał Kongresowi lombardzkiemu, upoważniając go do wysłania deputowanych na federacyę cyspadańską, iż „jeśli Włochy zechcą być wolne, któż mógłby im przeszkodzić?“; a Kongresowi cyspadańskiemu winszując zespolenia republik tamecznych w jedną, „jeśli Włosi dzisiejsi—pisał—okażą się tego godni... musi nadejść dzień, kiedy nieszczęsna ich ojczyzna znowuż chlubne zajmie miejsce wśród potęg świata; ale nie zapominajcie, że prawa niczem nie są bez mocy; pierwsze spojrzenie wasze winno być obrócone na waszą siłę zbrojną...; by dopiąć celu waszego, trzeba wam wojsk mężnych, ożywionych świętą miłością ojczyzny“. Działał tedy wręcz naopak przywiezionym przez dyrektoryalnego wysłańca nakazom paryskim, szedł gromić dalej Austryę, trzymał i zbroił Włochy; a czynił to wszystko na własne duże ryzyko, w gorączkowem wciąż napięciu przedbojowem, w oczekiwaniu idącej na niego ponownej nawały austryackiej, której odparcie i rozbicie miało go dopiero pokryć i uniezależnić.

I oto w tej mianowicie chwili szczególnie naprężonej, trudnej, drażliwej jawił się przed nim, w parę dni po odwiedzinach natręta Clarka, przybywający do Medyolanu w tropy tego przykrego, szkodliwego agenta rządowego paryskiego, opatrzony również w podejrzane polecenia rządowe paryskie, generał polski Dąbrowski, z projektem utworzenia legionów polskich przy armii włoskiej.

## IV.

Bonaparte w okresie niniejszym już nieco, bardzo zresztą dorywczo, skąpo, niepewnie, zasłyszał o Polsce. Długo i potem będzie mu brakło elementarnych o niej wiadomości; po upływie całego dziesięciolecia, kiedy już stopą zwycięską na ziemi polskiej stanie cesarz, „o Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet,

jakim sposobem się z Rzpltą połączyła,... naszą historyę mało znał,... opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy Książęce elektorowi brandenburskiemu się dostały". Teraz, w zawodzie swym początkowym, wojujący dopiero na ziemi włoskiej generał nierównie mniej jeszcze o dalekiej Polsce miał pojęcia. Trochę wyczytał z książek, rzeczy nieraz wcale dziwne, w rodzaju zapiski nakreślonej przez niego w pierwszych wyciągach szkolnych z podręcznika geografii, o „Polsce należącej do wyznania luterańskiego"; później parę skazówek o pierwszym rozbiorze wynotował sobie z życiorysu Fryderyka Wielkiego, a być może inne szczegółowsze, pochodzące od Rulhièra doszły, go przygodnie dzięki bratankowi historyka a pułkowemu koledze. Zdarzyło mu się również dość wcześnie zetknąć się przypadkiem z kilkoma Polakami: najpierw w Szkole paryskiej kolegował z Jabłonowskim, mało pociągającym zresztą i nienawiele przydatnym informatorem; następnie na ulicy Chantereine w domu Józefiny widywał jej zbawcę, doktora Markowskiego, a spotykał tam także przelotnego jej podobno wielbiciela, pięknego i rycerskiego Prozora, wybitnego działacza emigracyi polskiej. Ale najwięcej o rzeczach polskich miał mu w dobie niniejszej dostarczyć wiadomości, najsilniej też na ówczesne a i niektóre następne jego pojęcia o Polsce i Polakach wpłynąć młodzieniec niepospolity, obecnie w kampanii włoskiej stawający u jego boku, adjutant jego sztabowy, kapitan Sułkowski.

Józef Sułkowski był synem nieprawym ks. Franciszka de Paula, przedostatniego z czterech braci książąt św. państwa rzymskiego na Bielsku i Rydzynie Sułkowskich, wnukiem słynnego faworyta i ministra Augusta III a domniemanego nieprawego syna Augusta II, więc w linii prostej, choć tylko „naturalnej", prawnukiem Mocnego. Śród wichury barskiej z nieznanej urodzony matki, zaraz staraniem możnej rodziny—podobnie jak protoplastę, po którym wziął imionisko, wsunięto ongi trybem kukułczym skromnemu burgrabiemu krakowskiemu staraniem króla Sasa, — wsunięty został ubogiemu krewniakowi, pułkownikowi cesarskiemu, na urzędowego syna. Musiał tedy nazawsze z prawdziwym rozstać się ojcem, dziwacznym, awanturniczym ks. Franciszkiem, w ciągłej ze swoimi żyjącym zwadzie, włóczędze, pono wielożeństwie, naprzemiany majorem rosyjskim, konfederatem barskim, feldmarszałkiem-porucznikiem austryackim, generał-lejtnantem polskim, który się go zaparł, o lat kilkanaście go przeżył, a na jego miejsce rzekomo prawych, z zawartego wbrew woli rodziny małżeństwa z Włoszką, młodszych postawił synów. Musiał, sam na

łaskawym chlebie, widzieć tych braci swych młodszych, nieskończenie mniej od siebie wartych, w książęcym paradujących splendorze, a później, sam w wytartym mundurze polsko-francuskim, napotkać ich jako oficerów austryackich bijących się we Włoszech przeciw niemu i broni legionowej. Chowany niemowlęciem w pałacu wiedeńskim drugiego ze stryjów, schorowanego ks. Aleksandra, niebawem przez najstarszego, głowę domu, ks. Augusta, fundatora ordynacyi rydzyńskiej, — skąd wraz z marnotrawnym bratem ks. Franciszkiem i tamtych z narzuconej włoskiej bratowej wyłączono synowców,—próżnego, marnego, naostatek całkiem Rosyi zaprzedanego, acz nie bez zdatności i zalet człeka, wzięty został w opiekę zupełną a tem czulszą, że wszyscy wtedy stryjowie byli bezdzietni, że przeto w tej dziecinie, w której rysach ślicznych i temperamencie bujnym wcześnie zdawał się majestat przebijać Augustowy, pierworodną nadal szczepu swego, siewu królewskiego oglądali gałązkę. I mogłoby wydawać się zaiste, że jeśli z krwi zatrutej Mocnego najzakaźniejsze jady do nieszczęsnego Sułkowskich wsączyły się domu, płodząc z pokolenia w pokolenie grzechy i zbrodnie niesłychane, prywatne aż do matkobójstwa, publiczne aż do płatnej zdrady, pozgonnie jeszcze na grobie rodu judaszową uwieńczone sromotą, to z tejże krwi wspaniałej iskra świetna, pańska, wzniosła, do duszy tego właśnie wydziedziczonego padła potomka. Rósł on tymczasem pieszczony na zamku rydzyńskim, bądź po długich zagranicą ciągany wojażach; edukowany zbytkownie, jak wonczas na wyścigi swe panięta polska hodowała magnaterya, Poniatowscy Józefa, Potoccy Jana, Czartoryscy Adama, a z większym jeszcze niż gdzieindziej bezładem we wszelakich naraz ćwiczony naukach, dawał sobie przecie radę dzięki wrodzonym zdolnościom niezwyczajnym; sporo z rozlicznych dziedzin skupił wiadomości, wielu nauczył się języków, zawczasu jednak okazywał „największe upodobanie mówić o wojskowości, fortecach, bataliach, jakim sposobem która była wygrana, kto jaki błąd popełnił“. Dzieckiem cudownem, ze znaczącą do koronowanego antenata aluzyą, przez stryja opiekuna po wszystkich obwożony był dworach, prezentowany „kuzynowi“ Ludwikowi XVI i Maryi Antoninie, cesarzowi Józefowi, Fryderykowi Wielkiemu; sprowadzony wreszcie aż nad Newę, przedstawiony Katarzynie II, „osobliwszą jej łaską“ w stopniu junkra gwardyi konnej zaliczony został do armii rosyjskiej, na którą wnet z rozpaczną nacierać będzie determinacyą; zrobiony też z protekcyi stryjowskiej użytkownikiem komandoryi rodzinnej Sułkowskich i kawalerem Zakonu maltańskiego, którego od-

wieczną szturmować będzie potem siedzibę: aliści najlepszej krewniackiej zaznał przysługi, zapisany chorążym do konsystującego w Rydzynie pułku imienia Sułkowskich, później Działyńskich w Warszawie. Ze śmiercią ks. Augusta, wkrótce i ks. Aleksandra, stracił opiekę, jakiej nie odnalazł już w najmłodszym i najmizerniejszym ze stryjów, z chciwą wyłącznością o własnego, bardzo spóźnionego jedynaka dbałym, nowym ordynacie rydzyńskim ks. Antonim; chytrze przez niego wykwitowany, odepchnięty przez rodzica, od starszych jeno, stryjenek, zwłaszcza ks. Augustowej urywkiem wspomagany, tem szybciej w twardej życia dojrzewał odmianie, tem większą przejmował się pogardą dla intrygi i nikczemności nietylko familijnej lecz naogół magnackiej, tem bezwzględniejszem potępieniem całego najogólniej starego społeczno-państwowego porządku rzeczy, jako głównego nieszczęść krajowych czynnika, tem ognistszą wiarą w konieczność powszechnego, radykalnego przewrotu stosunków wewnętrznych, jako jedynego środka ratunku i odrodzenia narodowego.

Siedział odtąd w Warszawie w swym pułku, awansując na porucznika, na kapitana; zapracowywał się, kształcił w teoryi wojskowości, czytywał „sławnych generałów dzieła“; niewolny od pewnych zboczeń, ostry i podejrzliwy a wraz wybuchowo ufny, boczący się na kobiety a znów do najwyższego podatny uczucia; „małomówiący, ciężki do zabrania znajomości, ciało swoje przyzwyczaił do największych niewygód,... (choć) konstytucyi był bardzo słabej i często w kuracyi“. Szczupły, kształtny, zgrabny, we wszelakich ćwiczeniach ciała, fechtunku, jeździe konnej, nawet tańcu, przednio, po pańsku wydoskonalony; głowa przepiękna, lwia, później w rysach wychudłych, pod przerzedzonym włosem głęboko zmieniona, wypalona od trawiącego wewnątrz żaru, wysiłków i przepraw, lecz wtedy jeszcze świeża, do młodej Augusta Mocnego uderzająco podobna; cały zaś zakrój duchowy samotnego Działyńczyka w wielu cechach znamiennych osobliwie podobny do samotnej duszy młodego korsykańskiego oficera, prawie rówieśnika, dojrzewającego spółcześnie w pułku La Fère na drugim krańcu Europy.

Tymczasem, choć sędzia bardzo surowy ułomnej i chybionej wedle jego pojęć roboty Majowej, oczywiście jednak w szeregu jej obrońców przeciw najazdowi targowicko-rosyjskiemu na opłakaną kampanię litewską 1792 r. wyruszył: z oddziałem strzelców wciąż w straży przedniej a podczas odwrotu w tylnej świetnie się odznaczył, podwakroć ranny zasłużył na krzyż *virtuti militari;* bił się tak ogniście a sprawiał tak umiejętnie, iż „oficerowie pod

nim będący nie mieli wyrazów (dla) jego waleczności, flegmy i przytomności"; z wściekłą goryczą patrząc na niezdarstwo a i zdradę komendy litewskiej, na kapitulacyę królewską, „robił sobie związki między oficerami i namawiał, aby.. razem ułożyli się dla zrobienia *coup de main* decydującego o losie ojczyzny".

Na widok haniebnego sprawy narodowej pogromu przedsięwziąwszy podążyć „na wojnę francuską", zapożyczywszy się na drogę w poczet pensyi kapitańskiej, opatrzony gorącem poleceniem Descorcha opuścił Warszawę latem t. r.; objechał rozproszonych zagranicą wychodźców; skreślił umiarkowanem jeszcze piórem, z uznaniem „bohaterstwa" ks. Józefa i „dzielności" Kościuszki, rys odbytej kampanii. Przybywszy w początku 1793 r. do Paryża podczas próżnych właśnie nadsekwańskich kołatań Kościuszki, dostał się tutaj w ręce dwuznacznego Maliszewskiego, pod wpływ jego teścia szczwanego oryentalisty Ventura, którego piękną córkę Egipcyankę podobno pokochał i poślubił; niecałkiem ściśle zresztą ułatwił sobie tędy obywatelstwo francuskie; wpadł zarazem w koło bardzo mieszanych Maliszewskiego przyjaciół, Polaków napozór arcyczerwonych i Francuzów podobnej na oko barwy a najpodejrzańszego naprawdę gatunku, jak oślizły Rousselin Saint Albin, namaszczony Garran, bezczelny Mehée i t. p. luzacy rewolucyjni, a poczęści wprost przebrani po jakóbińsku szpiegowie koalicyi. Durzony przez nich i poduszczany dał się w najlepszej wierze wciągnąć do rzekomo ideowej naganki na spotwarzany rozmyślnie „moderantyzm" polski, i niedostrzegając ukrytych jej sprężyn, sam w „Ostatnim głosie" Polaka wyklął gwałtownie całą Ustawę majową, z pobudek najczystszych, ze słusznem zbrodni magnackich i uprzedzeń szlacheckich potępieniem a serdecznem ludu włościańskiego umiłowaniem, lecz niedorzecznem także pomstowaniem na najzdrowsze ratunkowe uchwały majowe. Tymczasem poduczywszy się po arabsku, wdał się przez Ventura w rzeczy Wschodu, żywo wtedy zajmujące rząd francuski, bądź to w stosunku do Turcyi, bądź też nawet do Indyi, gdzie wedle wskazówek Ahmeda Chana, pozostałego w Paryżu członka dawnej ambasady Tippo-Sahiba, nową przeciw Anglii gotowano dywersyę; przeznaczony zrazu latem t. r. do misyi stambulskiej, zdradzonej jednak jeszcze przed wyruszeniem jej z Paryża przez rosyjskich w Paryżu szpiegów, potem wyprawiony z tajną misyą indyjską, pod koniec t. r. przybył na Cypr i Aleksandrettę do Aleppa w drodze do Bassory; lecz mimo wszelkiej zręczności, goszcząc umyślnie u agentów angielskich, wciąż przecie trafiając na czujność brytyjską, oświecaną przez zdrajców pa-

ryskich, do Indyi przedostać się nie mógł. Wiosną 1794 r. wyjechawszy napowrót z Aleppa, po wielu przygodach dopiero latem, już pośrodku insurekcyi Kościuszki, okolnie przez Morze Czarne przybył do Stambułu, zastał tutaj na poselstwie życzliwego Descorcha i ze zwłóczoną od niego ekspedycyą wybrał się ledwo pod jesień w przebraniu ormiańskiem na Adryanopol i Bukareszt do Naczelnika. Znowu jednak zawczasu przez tajemnych zdrajców wydany, ścigany wiernym rysopisem szpiegowskim: „ładny, jak przebrana po męsku wielkooka, długorzęsa, piękna dziewczyna“, pochwycony na granicy wołoskiej przez Austryaków, wydobył się wprawdzie z opresyi, ale do Polski trafił już na upadek powstania, na rzeź Pragi, ledwo zdążył jeszcze pobić się trocha i być rannym za sprawę przegraną, uchodzić wnet z kraju musiał, czas dłuższy między wychodźtwem na Wołoszy, w Galicyi i Włoszech strawił, w początku 1796 r. do Paryża zawrócił. Świadek stronny i cierpki tutejszego śród emigracyi rozłamu, mieniąc Barssa „sprzedawczykiem“ a Wybickiego „zabitym Prusakiem“, trzymając się natomiast oburącz fakcyi wenecko-deputacyjnej, na jej modłę w memoryałach do rządu paryskiego polskie biczując zacofaństwo i na nowe natychmiastowe dzwoniąc powstanie, bądźcobądź przecie wyższym ponad obłęd i ciasnotę fakcyjną przyrodnim uskrzydlony polotem, uderzony zarówno pomyślnością wojenną Francyi jak raptowną poprawą losu uwłaszczonych jej włościan, nękany myślą o złamanym tak łatwo odporze Polski i jej „sześciomilionowym niewolniku“ włościańskim, w burzliwej i wzniosłej duszy nosił nieutulone pragnienie odwetu, wyzwolenia i sławy, *amor patriae laudumque immensa cupido* i nieustannie miał przed oczyma cel ostateczny tylu swoich kołowań tułaczych: nauczyć się u źródła wielkiej sztuki wojny i zwycięstwa, okryć się chwałą, wrócić oswobodzicielem swego kraju i ludu.

Po wielu zabiegach, przez Maliszewskiego i jego kompana Rousselina zaprzyjaźniony z niepospolitym Francuzem podobnej mu „ambicyi skupionej i egzaltowanej“, doradcą poufnym i szefem sztabu Hocha, najcelniejszego rywala Bonapartego, generałem Chérinem, przy wpływowem jego poparciu u ministra Petieta wiosną t. r. jako obywatel francuski wyprawiony został w randze kapitana piechoty *à la suite* do armii włoskiej i zaraz w Livornie przed jej wodzem naczelnym osobiście się stawił. Ale Bonaparte po świeżych przykrych doświadczeniach miał się względem Paryża wielce na ostrożności; przez tajne biuro wywiadowcze przy swej armii ściągał wiadomości nietylko z obozu nieprzyjacielskiego, z Wenecyi, Turynu, Rzymu i Wiednia, lecz również z Pary-

ża, gdyż wedle świadectwa jednego z kierowników tego biura „trzeba było... wiedzieć co się dzieje dokoła dyrektorów... do jakiej partyi należą oficerowie nasyłani nam do Medyolanu przez Dyrektoryat, a których tym sposobem znaliśmy wszystkich przed przybyciem ich na miejsce“. Sułkowski, podobno właśnie z powodu przywiezionych gorących poleceń paryskich przyjęty z pewną nieufnością przez Bonapartego, zaliczony do dywizyi nad Gardą, z chwilą jednak rozpoczęcia operacyi przeciw Wurmserowi podejrzliwie został odesłany do korpusu oblężniczego pod Mantuę; atoli na szczęście dla siebie, po niebawnem przymusowem ściągnięciu w pole tego korpusu, mógł uczestniczyć w zwycięstwie pod Castiglione, dać się lepiej poznać wodzowi, zbliżyć się do niego i pozostać w charakterze adjutanta przy sztabie głównym. Odrazu też postarał się skorzystać z tego dla sprawy narodowej. Pierwszy on z Polaków oglądał naocznie w pełni rozmachu zjawiskowy geniusz Bonapartego i przeczuł przyszłą jego dla rzeczy polskich doniosłość niezmierną; a będąc przez Deputacyę paryską w stosunkach z siedzącym w Stambule Ogińskim, poradził mu bez straty czasu zwrócić się imieniem rodaków wprost do „tego generała... (który) niewątpliwie stanie kiedyś na czele rządu (francuskiego)“ i na którym przeto już z góry oprzeć należy „nadzieje odbudowania Polski“. Ogiński w rzeczy samej na skutek tej wskazówki skierował niezwłocznie do wodza armii włoskiej pismo płomienne, gdzie z właściwą sobie wywodził emfazą, iż „piętnaście milionów Polaków, niegdy swobodnych, dziś ofiar przemocy okoliczności, obraca oczy na Ciebie... abyś otworzył im drogę do zrzucenia cisnącego ich jarzma“. Bonaparte odebrał ten najwcześniejszy do siebie apel polski w połowie września 1796 r. w samą właśnie chwilę końcową gwałtownego za Wurmserem pościgu; czasu miał niewiele, ale pismo przeczytał, zamyślił się i do towarzyszącego mu Sułkowskiego rzekł: „Cóż mam odpowiedzieć? cóż obiecywać?... Podział Polski jest dziełem niecnem, które utrzymać się nie może... Ale... Polacy nie powinni polegać na pomocy obcej... Wszystkie głoszone im piękne wyrazy nie doprowadzą do niczego. Znam się na języku dyplomacyi... Naród, ujarzmiony przez sąsiadów, nie może podnieść się inaczej, jak z bronią w ręku“. Najpierwsze to były jego do Polski słowa: proste, mądre, uczciwe.

Sułkowski te słowa znamienne zaraz wypisał w liście odpowiednim do Ogińskiego wczesnym rankiem przed bitwą pod Sangiorgio u stóp cytadeli mantuańskiej, dokąd wegnać miano Wurmsera; w kilka godzin później był w ogniu walki, gdzie spotkał

się na wstępie z ułanami galicyjskimi, których cały dywizyon wzięto tu do niewoli; sprawił się wybornie, zasłużył sobie na chlubne wyróżnienie w sprawozdaniu urzędowem naczelnego wodza. Po kilku tygodniach, gdy gotowała się świeża austryacka pod Alvinzym nawała, mianowany został adjutantem przybocznym Bonapartego, by nie odstępować go odtąd aż do śmierci; uczestniczył w najbliższej zaraz kampanii listopadowej uwieńczonej ciężką pod Arcole wygraną; wyszedłszy cało z krwawej tej łaźni, powrócił do Medyolanu z otoczeniem sztabowem wodza. Śród swoich na nowem stanowisku kolegów, przyszłych rozgłośnych generałów i marszałków francuskich, ten Polak przybłęda szlachetną odcinał się linią; uderzał pełnem wykwintu obejściem, mającem przy całym nastroju republikańskim jakiś swoisty wdzięk wielkopański; odwagą szaloną, impetyczną a rządzoną zawsze przez absolutną krew zimną; połączeniem kultury ogólnej niepospolitej a gruntownej wiedzy fachowej, zwłaszcza w dziedzinie inżynieryi wojskowej; znał dobrze, jeszcze z dawnych podróży stryjowskich, Włochy, teren wyprawy obecnej, a teren niebawnej egipskiej, Wschód, z ostatnich peregrynacyi własnych; władał biegle prócz francuskiego językiem tuziemczym włoskim, potrzebnym naprzeciw Austryaków niemieckim, a także angielskim, trochę hiszpańskim, rosyjskim, arabskim; zdatny jednakowo do pióra jak do szabli, pociągany równie do polityki jak i wojaczki, gorzał wszechstronną ambicyą osobistą, odżywianą przez głębszą narodową. Ciągle teraz u boku Bonapartego, w szczególniejszym do niego stanął stosunku; „podziwiał“ go bez granic a wraz „nienawidził“, uprzedzony doń politycznie przez swych przyjaciół polsko-francuskich a jego przeważnie wrogów śmiertelnych; analizował go surowo, bez złudzeń a wraz gorąco do niego był „przywiązany“ i wprost „zazdrosny“ o niego względem innych sztabowców; gryzł wędzidło swojej od niego zawisłości duchowej a wraz ulegał nieprzepartej wyższej jego suggestyi, służył mu z zapałem i oddaniem się zupełnem. Bonaparte ze swej strony cenił go wysoko a trzymał krótko, „nie pieścił“; widział niezwykłe jego zalety a przenikał też wady, brak statku i zrównoważenia, wybryki wyobraźni i nerwów, pewną niedojrzałość myślenia; silnie i dodatnio na niego oddziałał, ujmując rozbieżne jego porywy w karby żelaznej dyscypliny; sam zaś zrazu w zakresie rzeczy polskich był z konieczności pod jego wpływem, jako najbliższego i najobfitszego swego źródła informacyjnego w tych rzeczach tak bardzo jeszcze sobie obcych, nieznanych, dalekich. Aż tu z kolei, w parę tygodni po Arcole, gdy w kwaterze swej głównej medyolań-

skiej krótkiego zażywał spoczynku, wypadło mu spotkać się ze zgłaszającym się do niego innym sprawy polskiej przedstawicielem, nierównie mniej świetnym, lecz nierównie lepiej do twardych dla niej służb obecnych przysposobionym, Janem Henrykiem Dąbrowskim.

## V.

Dąbrowski nazajutrz po przybyciu do Medyolanu w towarzystwie Woyczyńskiego udał się na audyencyę do kwatery naczelnego wodza w starym pałacu Serbellonich na Corso Venezia. Przed bramą stała kompania grenadyerów i cztery działa, na każdym wstępie schodów po dwóch grenadyerów, warta podwójna przy drzwiach; wszędzie pełno uwijało się generałów, adjutantów, ordynansów, dostojników cywilnych, posłów, petentów, nawet deputacyi chłopskich przybywających zdaleka dla widzenia sławnego zwycięzcy; jeszcze to był obóz a już prawie dwór. Wprowadzony do wielkiej sali pałacowej Dąbrowski, sam okazały w mundurze generał-lejtnanta polskiego, rosły, tęgi, a w głowie mając wspaniałe postaci Gustawów-Adolfów i Wallensteinów, Turennów i Kondeuszów, naraz ujrzał się przed zjawiskiem nieoczekiwanem. Generał *en chef* Bonaparte był wzrostu drobnego, około stóp pięciu; nadzwyczaj szczupły, nikły, choć stosunkowo szerokiej, kościstej w piersiach i plecach budowy; „takie to było małe i jakieś czarne a żółte, a takie chude a biedne,... a nóżki tak miał cienkie, cieniutkie jak cybuszek“, wyschłe ramiona, zaklęsłe boki. Był w stale wtedy przez siebie noszonym, zanim jeszcze przybierze skromny swój strój zielony strzelców gwardyi i historyczną szarą kapotę, pełnym mundurze wodza naczelnego Republiki, bogato w złote hafty wyszytym, sztywnym, zapiętym aż pod szyję, przepasanym szeroką wstęgą trójkolorową. Głowę miał masywną a kształtną, podługowatą, czoło potężne choć miernie wypukłe, silny wydatny podbródek; włosy ciemno-kasztanowate, prawie czarne, gładko przylegające, jakby mokre, długie bardzo acz z przodu znacznie już przerzedzone, spadające na plecy i skroń, pod uszami po republikańsku czworokątnie przycięte, pudrowane *à la* Robespierre, ze sterczącym z tyłu na palec harcapem. Twarz była bezkrwista, wymizerowana, wychudła, na tle oliwkowem jakby sczerniała, ziemista; rysy nieruchome, zastygłe, policzki zapadłe, nos cienki, foremny, zlekka zgięty, usta piękne, wymowne, o ślicz-

nych zębach, lecz w milczeniu ściśnięte ostrą wązką linią bladych warg. Oczy zimnym ogniem pałające, niezbyt duże, bardzo głęboko osadzone, w ciągłym biegały ruchu, stąd nader zmienne w kolorze, to z połyskiem ciemnobłękitnym to znów zielonkawym, w spokoju i świetle jasnoszare; nie patrzył na tego z kim mówił, lecz w dół lub na bok z podełba poglądał; nagle podnosił głowę i z pod spuszczonych brwi uderzał prosto spojrzeniem promiennem, badawczem, przebijającem do dna. Głos głęboki, w szybkiej zazwyczaj mowie, najczęściej w rzucanych krótko pytaniach lub zwięzłych rozkazach, cichy i chrapliwy, wielce był jednostajny w modulacyi, stąd wymagający pełnego napięcia uwagi słuchacza, ale w chwilach podniecenia obdarzony niespodzianie dźwięcznem metalicznem brzmieniem, „od którego drgają dusze“. Przyjmował zazwyczaj stojąc, nieco naprzód pochylony, prawie zgarbiony, w sobie skupiony; niekiedy odruchem kurczowym wznosił prawe ramię w górę a wraz ściągał usta od lewej ku prawej; ręce białe, staranne, trzymał założone z tyłu albo też oglądał uważnie podczas rozmowy. Sposób wysłowienia się miał prosty, urywany, cięty, dobitny, czasem brutalny, często obrazowy, zawsze bardzo jasny; giest porywczy, stanowczy, chód żywy, lekki; „w całej postawie, wzięciu się, wyrazie nieopisane znamię geniuszu“. Wielostronnego tego geniuszu już wtedy najprzedniejsze dobyły się pierwiastki: wola prostolinijna, chyża, niezłomna; chcenia a czynu naturalna, bezpośrednia zamienność; zaród myślowy najjędrniej indukcyjny, przy bezwzględnej precyzyi i trzeźwości w ujęciu najpierw ściśle rzeczowych doświadczalnych założeń; tuż przecie w pogotowiu koncepcya arcybystra do nagłego rzutu od szczegółów do ogółu; bezprzykładna, niezmożona, niewyczerpana siła robocza. W chwili niniejszej trawiony był od jesieni ciężką niemocą, której nabawił się pod Toulonem, sam nabijając działo po zakażonym kanonierze, a która obecnie rzuciła się na kiszki; w tym stanie, ledwo trzymając się na siodle, ostatnią pod Arcole kampanię z taką odbył furyą, że kilka koni pod nim padło; odtąd doszła nadomiar chwycona w błotach mantuańskich zgniła gorączka, powodując stan ciągłego niezmiernego osłabienia. Dochodziły zresztą ustawiczne moralne wstrząśnienia i zgryzoty, prywatne i publiczne. Zanurzał się ostatecznie w przeznaczonej sobie burzliwej fali dziejowej, żegnał resztki pogodnych ułud młodzieńczych, nie bez żalu,—jak teraz jeszcze do astronoma Lalanda pisał po powrocie do Medyolanu,—iż nie było mu danem pozostać w „szczęśliwej republice nauk... i dzieląc noc między drogą kobietą a pięknem niebem, dzień oddając sprawdzaniu spostrzeżeń

a rachunków, posiąść szczęście na ziemi". Cierpiał męczarnie od ubóstwianej a zdradzającej go żony, którą po wielu naleganiach ledwo z uczt Barrasa do Włoch ściągnął a której obecnie wracając z pod Arcole już w Medyolanie nie zastał. Ujrzał tu natomiast nasłanego dozorcę Clarka, wcielenie krzyżującej mu szyki złej woli Dyrektoryatu. Na dobitkę zaś, niby w ogonie dwuznacznego tego emisaryusza, niby w cichej z nim i kliką rządową zmowie, ujrzał ukazującego się naraz Dąbrowskiego. O obrotach jego paryskich i zamiarach legionowych zawczasu dostał języka przez tajne swe źródła wywiadowcze; niekorzystnie zarazem do niego i agencyjnych jego mocodawców wychodźczych był uprzedzony przez nastrojonego deputacyjnie Sułkowskiego. Miał więc aż nadto powodów do podejrzliwej niechęci względem tego obcego przybysza, który przychodził narzucać się ze swoim planem legionowym, snać najęty do tego w Paryżu, ażeby, najdosłowniej w myśl podstępnych w tej mierze niedawnych reskryptów dyrektoryalnych, zamiast istniejących już legii narodowych włoskich, będących cierniem w oku pacyfistom rządowym paryskim, podstawić fikcyjne najemnicze polskie i pchać w nie swych ziomków Polaków służby austryackiej na oczywiste zatracenie, wobec gotowanego równocześnie na gwałt przez własnych jego protektorów, Dyrektoryat i Clarka, corychlejszego z Austryą pokoju.

Przed takim to nadzwyczajnym, skomplikowanym, zagadkowym dla siebie i źle usposobionym człowiekiem stawał Dąbrowski. Ale on stawał naprawdę wielkiem imieniem Polski i to przydawało mu mocy; przed wielkim prawdziwie stawał człowiekiem i to zapewniało mu powodzenie.

## VI.

Pierwsza ta audyencya Dąbrowskiego, razem z Woyczyńskim, u Bonapartego odbyła się 3 grudnia 1797 r. zrana. „Oddaliśmy mu listy. Krótko mówił o naszych interesach. Bardzo mało chciał roztrząsać podany projekt. Skończył na tem w rozmowie pierwszej, że można formować kompanię (polską), którą—ukazując na nas—będziecie komenderować; a kiedy się ta dobrze bić będzie, łatwo jest was powiększyć; jeżeli zaś się nie uda, zostaniecie wszelako nagrodzeni od rządu francuskiego i zapewnieni waszego losu". Dąbrowski na to odpowiedział, „iż nietylko z kom-

panią jedną ale z kilku Polakami pójdzie się bić (przeciw) nieprzyjaciołi(om) swojej ojczyzny; co zaś do nagrody, po tę tutaj nie przyszedł; względem zapewnienia losu, chciał mu go sam nieprzyjaciel zapewnić, ale statecznie odrzucił i nie przyjął.“ Charakterystycznem było, że Bonaparte, wziąwszy z rąk Dąbrowskiego polecające pisma ministeryalne paryskie, nawet ich nie chciał czytać; rzekł odrazu, że „wie dobrze o co chodzi; że jest przekonany, iż Polacy dobrym są żołnierzem; że atoli polegać nie może na użyciu ich przeciw cesarzowi“; rzecz o owej „kompanii“ czy też „batalionie próbnym polskim“ miał widocznie z góry już ukartowaną jako środek najporęczniejszy pozbycia się, z pozornem uwzględnieniem poleceń rządowych, nieproszonego projektu i projektowicza legionowego. Całkiem zbity z tropu tak oziębłem przyjęciem a szczególnie tą lekceważącą, wprost dla sprawy zabójczą wzmianką o jakimciś mizernym, najemnym oddziale „próbnym“, wrócił do ubogiej oberży znękany Dąbrowski. Jednak męskie jego, pełne godności z miejsca odezwanie się musiało zastanowić Bonapartego; nie odpowiadało ono bynajmniej temu pojęciu, jakie o intryganckiem jego kondotyerstwie mógł on sobie zaocznie wyrobić z samych posłuchów i cierpkich o nim Sułkowskiego wskazówek. Miał zresztą w zwyczaju polegać najwięcej na własnej obserwacyi bezpośredniej i znajomości ludzi. Zaprosił Dąbrowskiego z Woyczyńskim tegoż wieczora do siebie na obiad jak zwykle skromny bardzo; za stołem, przy chudej zastawie i cienkiem winie, w przytomności szefa sztabu Berthiera i kilku wyższych oficerów, zaczął rozpytywać się bliżej, rozchmurzył się nieco, wreszcie „obszernie z Dąbrowskim mówił już o formacyi korpusu polskiego. Przełożył mu generał,—nie bez trudu kulawą jeszcze swoją sasko-polską jąkając się francusczyzną—że jest konieczną potrzebą wydać proklamacyę do Polaków, a tem ważniejsze znajdą przedsięwzięcie i ufność zyszcze się w oficerach mających przybyć, kiedy sam Bonaparte ją podpisze“. Ułożył ją ośmielony trochę tym dyskursem Dąbrowski tejże nocy w gospodzie, jak umiał myśli swoje na język tłómacząc francuski: imieniem niewolonej przez „despotów zbrodniczych“ Polski wzywał „rodaków i towarzyszów broni, jęczących pod jarzmem wroga, tych zwłaszcza, co losem najsmutniejszym zmuszeni jesteście pod tyranami waszymi zwalczać sprawę tak dzielnie przez Was brononą“, do stawienia się na wezwanie Francyi; „niechaj miłość Ojczyzny, niepodległości i wolności zapali wszystkie serca polskie; pokażmy Europie całej, co może odwaga Narodu, nieszczęśliwego wprawdzie, lecz mimo to zawsze wiernego swym zasadom

i obowiązkom...; rząd francuski dozwala tworzyć korpusy polskie na ziemi włoskiej..., już organizować się zaczynają Legiony; służmy sprawie wspólnej narodów, bijmy się za wolność pod walecznym Bonapartem zwycięzcą Włoch; tryumfy Republiki francuskiej są naszą jedyną nadzieją; za jej pomocą i jej aliantów obiecywać sobie możemy, iż ujrzymy z powrotem Ojczyznę naszą i do praw naszych przywróceni będziemy". Nazajutrz tę proklamacyę przedstawił Bonapartemu, który wprawdzie „aprobował" ją w zasadzie, ale nic jeszcze nie wspominając o podpisaniu jej przez siebie, poddał ją bardzo ostrej krytyce w najdrobniejszych szczegółach redakcyjnych. Podejrzliwie wytknął w niej, jako niewłaściwe i wymagające usunięcia, zwroty ostre a zbyt powszechne o „despotach", „jarzmie wrogów", „przywróceniu praw" i t. p., które mogłyby zostać odniesione również i do Prus, zaniepokoić je względem ich stanu posiadania polskiego poręczonego milcząco przez Francyę w traktacie bazylejskim, a tem samem wyjść na dobro Austryi. Na tę okoliczność kładł nacisk szczególny, „czyniąc uwagę, żeby króla pruskiego nie urazić; a kiedy następnie wypadały niektóre uwagi, z gatunku tej roboty wynikające, chciał je mieć na piśmie". Zdaje się też, że uderzył go w tym przedstawionym mu pierwotnym projekcie odezwy brak wszelkiej wzmianki o Kościuszce, na co pewnie nieomieszkał zwrócić uwagi Sułkowski. Dość, że na tej rozmowie rzecz nie posunęła się ani krokiem naprzód. Dąbrowski z niczem wrócił do swej kwatery, dla ułożenia żądanych „uwag" pisemnych, mających raz jeszcze streścić rysy wytyczne jego myśli legionowej.

Owóż miał on coprawda w ręku gotowe „Uwagi do konferencyi z Bonapartem", t. j. instrukcyę ogólną od Wybickiego, Barssa, Prozora na wyjezdnem z Paryża sobie daną. Winien był wedle niej z Polaków jeńców i ochotników a nawet i Węgrów tworzyć legie „pod znakiem Rzpltej polskiej" a komendą naczelną Bonapartego, na usługach Francyi; zastrzedz sobie atoli, zgodnie z celem głównym, „regeneracyą ojczyzny swojej", na wszelki wypadek „w najnieszczęśliwszym losie z obrotów politycznych wypadłych, wolność wyjścia z obowiązków przyjętych"; w razie zaś pomyślnym zbrojnego z legionami przy pomocy francuskiej dostania do Polski, zobowiązać się z góry do przyjęcia takiej „zwierzchności krajowej, która z systematu rządu francuskiego za zwierzchność najwyższą polską uznaną i przyjętą będzie". Ale o tem wszystkiem teraz nie było wcale mowy; wobec skroś odpornej, wymijającej postawy Bonapartego rzecz cała była zakwestyonowaną w samym zarodzie. Miał zapewne Dąbrowski w tej-

że instrukcyi udzieloną sobie szeroką swobodę co do wszelakiej w rokowaniach ustępliwości; „w sytuacyi naszej — pisali tu jego mocodawcy—nie mogąc czynić wszystko cobyśmy chcieli, musimy jaknajmniej kłaść trudności w przyjmowaniu kondycyi, które nas czynnymi nadal zrobić mogą“. Jednakowoż poza pewne granice ustępstw on wykraczać ani mógł ani chciał; zresztą nie chodziło jeszcze nawet o takie lub inne „kondycye“, lecz poprostu o wyraźną dla samej sprawy legionowej niechęć zasadniczą wodza naczelnego, podsycaną w dodatku przez przeciwne wpływy polskie. „Sułkowski jest wrogiem naszym — powtarzał Dąbrowski z goryczą i niepokojem zaufanemu Tremonowi — *ist unser Feind*, a doprawdy nie wiem dlaczego“.

Było wprawdzie w pobliżu kilku innych jeszcze oficerów Polaków, po części osobiście Bonapartemu znanych. Trzech z nich służyło bezpośrednio pod nim w samej armii włoskiej w stopniu oficerów francuskich: Świrski, kapitan 7 pułku huzarów; wspomniany już Lipczyński i Piller, kapitanowie kompanii saperów. Większość natomiast, nie mając jako cudzoziemcy wstępu do szeregów francuskich, znalazła umieszczenie w legii lombardzkiej: najruchliwszy z nich Kosiński Antoni, czyli jak teraz po punicku sam się przezwał, Hamilkar, z Litwy rodem, pospołu z Prozorem działacz spisków przedpowstańczych tamecznych, kapitan strzelców za insurekcyi, gdzie przy obronie Warszawy był poznał się z Dąbrowskim, przystojny, słuszny, szykowny, odważny, patryota, ale próżny, zawistny, niestały, bez żadnych zgoła wiadomości wojskowych, jeden z najpierwszych przed rokiem ochotników w armii włoskiej, po dłuższej na statku korsarskim francuskim włóczędze, widz raczej niż uczestnik bitew od Lodi do Arcole, teraz w służbie lombardzkiej adjutant-major twierdzy Brescii; starszy jego towarzysz, major gwardyi konnej koronnej Jan Strzałkowski, mierny oficer, słaby charakter, czasowo szef batalionu cudzoziemskiego w legii lombardzkiej; Jan Konopka, dzielny rębacz, awanturnik swarliwy, zrazu ochotnik w pułku 1 huzarów francuskich, świeżo przez Bonapartego posunięty na kapitaństwo lombardzkie; inny Konopka Kazimierz, „terorysta“, głośny z udziału w wieszaniach insurekcyjnych warszawskich, choć w gruncie „zacny, z honorem i najskrupulatniejszą prawością“, po różnych opałach przybyły do Włoch i wyprawiony na Korsykę; nierównie mniej warty jego kompan, złośliwy krętacz Piotr Wierzbicki, były Działyńczyk, a ostatnio podobnież ochotnik w batalionie korsykańskim; kilku innych jeszcze, przeważnie też niezbyt pewnych, zresztą nawet chwilowo w Medyolanie nieobecnych; naogół by-

najmniej nie najlepsi ci nasampierw aż tak daleko w pojedynkę tutaj zapędzeni, gdyż najlepsi jeszcze podówczas od Paryża aż ku Wołoszczyźnie po szerokim tułali się świecie albo też najgłówniej w kraju samym upragnionego do ruszenia w pole czekali hasła.

Zdany tym sposobem jedynie na mało przydatną Woyczyńskiego i Tremona poradę, na siebie samego przedewszystkiem, Dąbrowski w pośpiechu, z biedą, niedokładnie spisał zlecone sobie od wodza naczelnego „uwagi“ najogólniejsze pod postacią „Myśli względem projektu utworzenia korpusów patryotycznych polskich, mających organizować się we Włoszech“. Ujął rzecz jaknajzwięźlej w pięciu punktach: 1) „korpusy patryotyczne polskie—na tem określeniu znaczącem widoczny z rozmysłu położony był nacisk — poddane zostają rozkazom Republiki francuskiej i dowództwu jednego z jej generałów“; 2) zachowują one ubiór i znaki wojskowe Rzpltej polskiej; 3) „w przekonaniu, że istność Polski jest niezawodną *(immanquable)* i że korpusy niniejsze polskie winny wrócić na łono Ojczyzny swojej“, zastrzega się, iż wszelkie wydatki, na ich uzbrojenie i utrzymanie przez Włochy lub Francyę łożone, będą jako „dług święty“ zwrócone przez naród polski; 4) „jeśli wszelako Francya — tak pytającym znamiennie zwrotem przybrany był ten punkt najdrażliwszy—zawrze pokój z mocarstwami wojującemi, zanim losy Polski rozstrzygnięte będą, jakiż wtedy będzie los rzeczonych korpusów polskich?“; 5) wreszcie wedle ostatniego a najnaglejszego narazie punktu, istotny naczelnik i twórca legii winien natychmiast zostać upoważnionym do niezwłocznego „zbierania zewsząd żołnierzy polskich oraz do umieszczania oficerów na zasadzie patentów Rzpltej polskiej, kontrasygnowanych przez Najwyższego Naczelnika Kościuszkę“ — szczegół wagi kapitalnej, ustalający naczelną odtąd zasadę przyjmowania do legii jedynie byłych oficerów insurekcyjnych, co dopiero nadawało całemu przedsięwzięciu legionowemu piętno właściwe wielkiego „związku“ wojskowego, będącego nieprzerwaną, bezpośrednią kontynuacyą wcieloną powstania narodowego.

Z tem pismem na drugi dzień, wciąż w asyście Woyczyńskiego, zgłosił się ponownie do wodza naczelnego Dąbrowski. Jednakowoż wynik tej nowej konferencyi pod każdym względem był opłakany. Bonaparte, odebrawszy żądane wczoraj „Myśli“, teraz nie chciał bliżej w nie wchodzić, odkładał do późniejszego czasu swoją o nich decyzyę; tymczasem zaś wracając do pierwotnego orzeczenia swego o ułamkowej formacyi „próbnej“, ob-

cesowo „zadecydował, że batalion pierwszy, złożony z Polaków niewolników i oficerów polskich we Włoszech się znajdujących,— t. j. bez wezwania innych z Paryża i z kraju — zostanie przyłączonym do legionu lombardzkiego, i jeżeli w pierwszej potyczce okaże się mężnie i wiernie, zacznie się organizować legion polski, o który wtenczas dopiero zrobią się układy. W tak niepewne kondycye nie chcieliśmy się wdawać, ale też razem widzieliśmy niemożność odrzucenia tychże nagle. Wziął Dąbrowski rezolucyę oświadczyć, że równie potrzebuje czasu do porozumienia się z patryotami a szczególniej w Wenecyi i że dotąd proklamacyi wydać nie może, póki miejsca dla tych ludzi, co przyjść mogą, zapewnione nie będą i póki próba batalionu nie nastąpi. Nie można zrozumieć, jakie są względem nas widoki; najpodobniej, że chcą pono dopomódz tylko Lombardczykom, na których męstwo i duch żołnierski niewiele można kalkulować. W żołnierskim względzie próba dezerterów zaraz w ogień wprowadzonych, z których każdy schwytany będzie powieszony, nie jest najpewniejsza. Oficerów polskich tutaj bardzo mała liczba. Strzałkowski ma być szefem, Kosiński kapitanem i Konopka (Jan); nie wiemy skąd ich będzie więcej. Nie można tedy w żaden sposób ani proklamacyi wydawać, ani oficerów sprowadzać, ani awansów pieniężnych czynić, póki nie będzie zaręczenie, że to czyni się dla Polski i że te korpusa przejdą całkowicie na służbę Rzeczypospolitej. Interes też tak delikatny zrobił się jeszcze bardziej ambarasownym przyjęciem nas wcale obojętnem, czego przyczyny dojść dotąd nie możemy. Sułkowski kapitan, adjutant Bonaparte(go), zdaje się że układem tego pierwszego batalionu jest utrudniony; mówił nam, że jest w korespondencyi z Paryżem. Woyczyński wyjeżdża do Wenecyi a Dąbrowski tutaj zostaje... Jeżeliby nie można nic zrobić w naszym widoku i publicznym interesie, ku Renowi razem będziemy się przebierać. Ale ufam(y) dobrej sprawie, że się rzeczy pomyślnie wyjaśnią. Potrzeba ducha prawdziwie republikańskiego, aby tyle fatygi, trudów i nieszczęścia ponosić. Clarke tutaj się znajduje... Dąbrowski był kilka razy u niego, z największą przyjmowany grzecznością... Clarke mówił wiele z Dąbrowskim o okolicznościach polskich; jest nasz przyjaciel i dobrze nam życzy... Nieźleby było, gdyby można rządowi francuskiemu okazać, że ponieważ król pruski waha się decydować względem egzystencyi Polski w teraźniejszym czasie, Dom austryacki, któremu sąsiedztwo moskiewskie miłem być nie może, zapewnie mógłby się skuteczniej i prędzej za nami zdecydować“.

W sprawozdaniu powyższem, nazajutrz po ostatniej z Bonapartem konferencyi posłanem przez Dąbrowskiego i Woyczyńskiego do Wybickiego i Barssa do Paryża, dobitnie malowało się położenie nad wyraz kłopotliwe i zdradliwe. Kłopot główny był z widomą Bonapartego dla sprawy legionowej nieufnością. Zdradnemi zaś były zarówno podziemne przeszkody wychodzące od Deputacyi paryskiej, o której „korespondencyach“ z Sułkowskim ostrzegawczo tu napomykano, jakoteż wdzięcznie wspominane „grzeczne“ a podstępne, zupełnie zbijające z wytycznej drogi legionowej, insynuacye austryackie Clarka. Był przytem Dąbrowski pierwotnie całkiem odcięty od świata, gdyż listy, nadchodzące z Paryża, Lipska, Warszawy do niego i towarzyszów do Medyolanu, były zrazu starannie chwytane przez tutejszą policyę tajną wojskową i jak się zdaje na ręce podejrzliwego Sułkowskiego kierowane; na dobitkę zaś, wyczerpawszy się w podróży, był całkiem ogołocony ze środków i Woyczyńskiego wyprawiał do Wenecyi nietylko dla okolnego tamtędy uśmierzenia wrogiej zawziętości deputacyjnej przez możnych rodaków tamecznych, lecz także dla uzyskania od nich niezbędnego zasiłku. Aliści sprawa napozór rozpaczliwa nagle poprawiła się z gruntu i na dobrą weszła drogę, już w ciągu najbliższych dni dziesięciu, póki Bonaparte bez przerwy jeszcze przebywał w Medyolanie, skąd następnie wybierał się do armii oraz dla dopilnowania oblężenia Mantui. „Po Twoim wyjeździe — mógł niebawem Woyczyńskiemu do Wenecyi donieść rozradowany Dąbrowski — sprawy przybrały pomyślniejszy obrót. Bonaparte mówił ze mną bardzo wiele o interesach polskich. Chciał Tremona wysłać wśród Francyi dla sprowadzenia niewolników polskich, lecz okoliczność ta wstrzymaną została przez nagły wyjazd Bonaparte(go). Mówił mi przy odjeździe, żebym, załatwiwszy interesa moje, jechał do głównej kwatery, gdzie mnie oczekiwać będzie“.

Szymon Askenazy.

# Pierwiosnki.

## V.

— I wiesz?... kiedy mię nareszcie posadził na kanapce w niebieskim buduarze, to mi się tak w głowie kręciło... kręciło!...— zupełnie nic nie widziałam. Boże! Jaka to cudna rzecz ten walc!... A jak on tańczy! Można się odrazu zakochać. Trzyma tak mocno, że już niewiem, a na każdym skręcie przyciska do siebie. Może to trzeba, ale ja myślę, że to naumyślnie. I Fred to samo mówił, że mu się podobałam, a to przecie jego przyjaciel. Ach! powiadam ci!...

I Maruta, w braku słów dla wyrażenia swego zachwytu, ściska tylko mocno białe rączki i patrzy oczami tak marząco rozemglonemi, jakgdyby jeszcze nadal przeżywała reminiscencye świąteczne z owego walca. Pomimo, że panienki od dość dawna już powróciły ze świąt, główna część rozmów, zwierzeń i westchnień pensyonarskich krąży jeszcze ciągle dookoła owego przeminionego, a cudownego „w domu".

— Albo wtedy po tym pic'nic'u—rozpamiętuje nadal Maruta. Sanki były malutkie, tylko na dwie osoby, wsiadali wszyscy z kim kto chciał. On naturalnie ze mną. Na drugi dzień miał wyjeżdżać do Petersburga z powrotem. I wtedy... ale wiesz, to wielki sekret!.. Żeby się kto dowiedział...

— Skądże?... Naturalnie, nie... odpowiada Nena. Oczy ma nieco chmurne, ale rozchylonemi ustami zda się chłonąć każde słowo Maruty. Ach, tamten świetny, bawiący się, cudowny świat...

— To już na samym końcu, jakeśmy wysiadali. Przyjechaliśmy pierwsi, kiedy nikogo jeszcze nie było. I on mię tak

wziął — prawie na ręce—postawił na ziemi, zdjął czapkę i mówi (a mróz był taki okropny, że nie masz pojęcia) — i mówi: Ja tego walca i tego wieczoru, mademoiselle Marie, i po powrocie do Petersburga nie zapomnę, i, tylko będę marzył o tem, żeby jeszcze kiedyś takie cudowne oczy... nie, takiemi cudownemi oczami... nie!... Jak to on wtedy powiedział?...

Maruta przez chwilę ze skupieniem sobie przypomina, aż wreszcie macha ręką.

— Zapomniałam jak, ale on to bardzo elegancko powiedział. Jak prawdziwej pannie. Zresztą, miałam już prawie zupełnie długie suknie, a Fred mówi, że jestem doskonale rozwinięta. Już on się na tem zna. No i to, że przez cały czas stał z odkrytą głową, choć taki był mróz!.. A na końcu wiesz?.... tylko o tem broń Boże nikomu, bo niewiem już co by to było — wziął mię za obie ręce i każdą po kolei pocałował. Na lewej była rękawiczka, to ją trochę odchylił i pocałował. O, tu...

Maruta pokazuje mały krążek na dłoni, a potem chowa w fartuszku zarumienioną twarz.

— Ach!... ty nie masz pojęcia, jakie to uczucie! Zrobiło mi się tak gorąco!... A przecie byliśmy dopiero w sieni, tam się prawie nigdy nie pali. Nie wiedziałam co mówić i było mi tak niemądrze... ale przyjemnie... — I tak, powiedział, mademoiselle Marie, to już ostatnie takie chwile... będzie mię pani choć czasami wspominała?... I nachylił się do mnie tak, że spojrzał w same oczy. Ach! jakie on ma oczy!...

Maruta na chwilę przymyka swoje. Potem wstrząsa z oburzeniem głową.

— No i pomyśl tylko, żeby w takiej chwili, no, powiedz sama!... Tak było ładnie, zupełnie jak w jakiej książce. Aż wiesz, jak on się nachylił — on jest oficer, *gwardiejec*, a oni mają na mundurze takie różne pętelki, haczyki, chwasty—no i trzeba, że mi się woalka o coś zaczepiła. Słyszę, że już ktoś z ganku idzie, pewno reszta przyjechała i mówię: proszę pana, bo woalka—i patrzę na drzwi, a on myślał że tam ktoś stoi i wyprostował się. No, moja woalka jak się szarpnie!... Przez cały środek dziura, a na guziku przy jego mundurze wisi kawałek. To był Fred. Ten Fred to jest czasem taki głupi!... nie masz pojęcia. Stanął w progu, wziął się w boki i zaczął się śmiać. I z czego?... każdemu się może podrzeć woalka, a że u niego na mundurze, no to taki traf. I jeszcze, mówi...

Maruta aż przełknęła z oburzenia.

Mówi! — Twoje szczęście, Aleks, że to ja na tę idyllę trafiłem, a nie, naprzykład, ciocia albo papa! nie! to dopiero humbug! Cha! cha!—I tak wszystko. Zupełnie, jak głupi...

— No, a on co! Ten oficer?...

— Aleks? Cóż on? Naturalnie, że mu było przykro. Ale ostatecznie, oni przecie są z Fredem dobrze. Widziałam, jak go wziął pod rękę i coś mówił, naturalnie tłómaczył, co i jak. Fred się śmiał. Taki już jest... I słyszałam, jak jeszcze powiedział: no, no, już dobrze. przecież nie pierwszy dzień... i coś, że opowie w Petersburgu. A potem wszyscy przyszli i już nie mógł nic...

Maruta posępnieje. Ale za chwilę wstrząsa rezolutnie główką.

— Ale mówił, że na wiosnę przyjedzie. Fred będzie na wiosnę tutaj, więc on do niego. Naturalnie, że obaj przyjdą do do mnie. Sama zobaczysz, jaki jest szykowny. Nie Fred, tylko on. Choć Fred jest też bardzo przystojny, ale to mój kuzynek. I tak się ślicznie nazywa: Aleks. To od Aleksander. A jak ładnie wymawia r, nie masz pojęcia. Zupełnie jak Francuzi, kiedy mówi modemoiselle Marie.. A czasem, jak nikt nie słyszał—tylko to też sekret, mówił mi wprost: Meri. Prawda, jak to śliczcznie? Mery. To się jedna kaukaska księżniczka u Lermontowa tak nazywała. To taki ich poeta. Bardzo dystyngowanie.

— To on—Rosyanin?...

— On?... No, naturalnie Rosyanin. Przecież do gwardyi w Petersburgu, to bardzo trudno. Ale po francusku mówi świetnie, lepiej jeszcze od Polaka, tańczy cudownie, jest bardzo szykowny i z dobrej rodziny... mama sama mówiła. Cóż takiego?... U nas to jest przyjęte. Tam Polaków i mało, i tacy niesympatyczni... Sami jacyś szlachcice, rządce, czy ja tam zresztą wiem!... jednem słowem, nie z towarzystwa... A oni bywają też bardzo dystyngowani. U nas są przyjęci tylko tacy najlepsi: gubernator, naczelnik powiatu, różni generałowie z gwiazdami, no a z młodzieży to znajomi Freda. On przecie z hołotą żadną trzymać nie będzie. Zresztą, gwardiejcy wszyscy muszą być bogaci, bo sam mundur kosztuje tysiąc... nie? Ile to Fred mówił?...

— A twój brat jest też u tych... gwardyjców?...

— Fred?... Eh!.., Fred... Gdzie go już nie było! kiedy go zewsząd wyrzucają. W ilu on szkołach siedział, zanim mu ten jakiś patent dali? Wuj mówi, że go same łapówki za Freda po tych wszystkich naczalstwach więcej kosztowały, niż cała edukacya Mitki. No, teraz Mitka i tak wyszła zamąż. Nazywa się,

że Fred teraz chodzi na uniwersytet w Petersburgu. Właśnie!.. Chodzi... Sama słyszałam, jak wuj do mamy mówił, że Fred się ciągle tylko lampartuje. Ja wiem, że się lampartuje po knajpach i z aktorkami. I że nie wie już, gdzie ten chłopiec — to Fred— podziewa pieniądze. A Fred się śmieje i mówi, że teraz musi chodzić na uniwerek, bo jest w modzie demokratyzować się, a że za to jak czarna sotnia — to tacy rosyjscy bandyci — będą wieszać arystokracyę, to jeszcze i nas przez protekcyę kolegów wyratuje. A w tym uniwersytecie taka hołota!... Wszyscy prawie chodzą bez rękawiczek i wymyślają sobie jak dorożkarze. Coś okropnego. Jak ich Fred czasami zacznie przedrzeźniać, no!... On jest bardzo zabawny, Fred, i zanim nie poznałam j e g o... Zresztą, przecież to mój kuzynek i tak i tak...

Maruta leciutko wzdycha.

— I zresztą Fred czasami to jest ordynarny. Ty mówisz: Rosyanin. A oni są daleko jeszcze grzeczniejsi od Polaków. Naprzykład, Fred. Takie miewa swoje różne dowcipy i takie to u niego wszystko jakieś... niepoetyczne. A żebyś wiedziała, jak mówi o n!... Jakby deklamował wiersze. I tak umie patrzyć, i tak się ślicznie kłania!... Jak to on kiedyś powiedział, kiedy mi podniósł chusteczkę?... Aha!... Jabym przed wami, mademoiselle Marie, gotów... gotów... no, że niby on by kurze gotów przedemną zamiatać, jak bym dała, ale to tak ładnie jakoś powiedział, niby z książki. Ach! zupełnie, zupełnie inny niż Fred! A to jest takie miłe, jak ktoś jest dystyngowany i poetyczny...

Maruta ślicznemi, zmrużonemi oczami patrzy na obszarpaną kartę geograficzną na przeciwległej ścianie z zupełnie niewytłómaczonem rozanieleniem. Siedzą obie z Neną na ulubionym ostatnim stopniu katedry, która je dyskretnie oddziela od klasy i od rzeczywistości. Z krainy wspomnień wyrywa Marutę głośne plaśnięcie z kolan na podłogę rozłożonej historyi, która, jak widomy i trywialny szturchaniec rzeczywistego życia, rozkrzyżowuje się na zakreślonem miejscu u samych stóp Maruty.

— Boże!... Przecież on mnie jutro wyrwie: Pągowska, Pielecka i Pnińska. Kiedyż ja się nauczę? Trzy strony i tyle lat?... Niemożliwe!... A jak nie, to znowu awantury, panny Adele, przełożone... Boże... kiedy już ja tę wstrętną pensyę skończę!...

I Maruta z nagłemi łzami rozdrażnienia, rzuca podniesioną historyę o katedrę i położywszy głowę na krześle, zaczyna płakać.

* * *

Od niejakiego czasu Nena ze zdziwieniem spostrzega w klasie jedną „nową“. Zjawiła się zupełnie niepostrzeżenie, niewiedzieć skąd i jak, tak dalece niewidoczna, że niezauważoną przeszła nietylko wobec jednej Neny.

— Powiedzcie wy mi, co to za figura? pytają z kolei pensyonarki, zwracając się ku ostatniej ławce. Zdaje się, że jest naprawdę z naszej klasy, a przecież pojęcia nie mam, kiedy i skąd się wzięła? co?...

— A mnie to się znowu zdaje, że już tam Bóg wie odkąd siedzi. Nawet nie wiem, jakby to tam było bez niej? A może ją skąd znam?...

Istotnie. „Figura“ tak niezwykle była urządzona, że zarówno można się było zdziwić na jej widok, jak i nie dostrzedz jej wogóle, albo, dostrzegłszy, uznać za coś oddawna znanego i do ostatniej ławy poniekąd przynależnego. Figura ma ton ogólny płowo-szarawy; włosy, oczy i cerę raczej szare, brwi, rzęsy i usta raczej płowe. Rusza się bez zbytniego hałasu i z pewną zwinnością, wzrost ma średni, oczy nijakie i wogóle cała, z nazwiskiem włącznie, jest cicha, średnia i nijaka. Głośne i niezwykłe ma tylko imię.

— Moja złota! — mówią pensyonarki. Oddaj te kajety Iwieckiej, Pnińskiej i tej... jakże jej? No, Stelli!... nowej!...

—A!... Walskiej. Dobrze. I skąd ona sobie takie imię wytrzasnęła: Stella! przypiął kwiatek do kożucha...

— Jakiej Walskiej? Nie nazywa się Walska, tylko Rawska. Sama wczoraj słyszałam...

— A ja ci mówię, że Walska.

— A ja ci mówię, że nie.

— Chodźmy się spytać!...

Pokazało się, że była to nie Walska i nie Rawska, tylko Ralska...

— No wiecie!... Mało jej było tej jakiejś pogańskiej Stelli, to jeszcze sobie i nazwisko takie dobrała. Niby zwykłe, a język można skręcić. Ralska? Co to jest Ralska?..

— Ale Stella, to ładnie, wiecie?... Stella.. Co to może znaczyć?... mówi w zamyśleniu Maruta.—Pewno jaka pogańska księżniczka...

— Steinówna z litośnem rozrzewnieniem kiwa głową przed naiwnie pytającemi oczami zawsze abstrakcyjnej Maruty.

— Oj, Pniśsiu, Pniśsiu!... Gdzieżeś była podczas ostatniej astronomii?... na jakiej planecie?...

— Astronomii? A cóż to ma do tego!... obraża się Maruta. — Zresztą, mogłam zapomnieć...

— Zapomnieć! Grabek mało sto razy to powtórzył. No, Pniśsiu! g... w...

— Gwoździk?... pyta niezdecydowanie Maruta. — Cóż wielkiego? Sama wiedziałam, tylko, że mi się wypsnęło z pamięci. Nie? nie gwoździk?...

Bucha ogólny śmiech. Maruta przez chwilę patrzy na wszystkich ślicznemi, przejrzystemi, jak morska fala, oczyma z głębokiem zdziwieniem, a następnie z godnością się odwraca.

— Niemądre jesteście, moje drogie. Jeśli nawet i nie gwoździk, to się nie macie z czego cieszyć. Mam ciekawsze rzeczy do myślenia niż wasze nadzwyczajne zagadki!... Nie uczyłam się zresztą nigdy po egipsku...

— Ona po egipsku... szepce prawie pobożnie osłabła z uciechy Steinówna. — Pniśsiu! Masz racyę! Są ciekawsze rzeczy do myślenia!... Ale to, widzisz, właśnie rzecz, o której bardzo, bardzo często myślisz. Słowo honoru. No, przypomnij tylko sobie: g... w... Uprzedzam, dla ułatwienia, że nie gwizdawka i nie Gwadalupa... No?...

— G... w... Ach, na astronomii!... To gwiazda!... domyśla się, ku ogólnej uciesze, Maruta. Doskonale-m wiedziała, ale tak mi się jakoś zmąciło. Gwiazda!...

— Ale! Gwiazda!... Nie gwiazda, tylko gwardiejec, Pniśsiu! Stella—gwardiejec! Jasne jak parasol. Nigdyś o tem nie słyszała? Ona nie wierzy, no, wiecie! Weź egipski słownik u panny Adeli, będzie stało, jak wół: Stella—gwardiejec. A petitem u dołu będzie jeszcze pisało: petersburskiego pułku!...

I patrząc na Marutę, która ku ogólnej uciesze, wobec niezwykle poważnego tonu Oli, spogląda na koleżanki niezdecydowanie, Steinówna nagle uderza się dłońmi po biodrach i usiadłszy na ziemi, zaczyna jak rabin kiwać się od śmiechu wtył i wprzód.

— Ratujcie, ludzie! oj! Aż mię w boku kłuje! Toż to, słowo daję, teraz tego za pieniądze nie kupić!... Pniśsiu!... Gdzieżeś ty się taka rozkoszna uchowała, nie, ty powiedz!... Toż to, jakby cię za biletami pokazywać, karyerę by człowiek zrobił, jak babci pieska kocham! Złote dno! Oj!... nie mogę. Gwiazda, Pniśsiu, gwiazda, kochasiu, niech stracę!... Należy ci się za tego gwardijca nagroda. Uff! Niech odetchnę...

— Jesteście wszystkie niemądre! Niemądre! i koniec....— woła zaperzona Maruta z rumieńcami na ślicznej twarzyczce i ze

łzami rozdrażnienia w oczach. Myślicie, żem się nie poznała na waszych dowcipach!... Doskonale wiem, że to nie żaden... nie to, ale wszystko jedno!... I bez tego się obejdę! Nikt mi na balu egzaminów składać nie każe, a nauczycielką żadną też nie będę!.. Której trzeba, to nic dziwnego, że musi wiedzieć, choćby nie chciała!.. Możecie się sobie teraz śmiać ile się wam podoba!... Nie robię sobie z waszych mądrości nic! nic! nic!

Maruta, rozżalona, rzuca ramionami i podniósłszy śliczną główkę, odchodzi. Tylu zdań naraz i z takiem przejęciem, nie wyrzekła zdaje się nigdy. Przytem jest w jej uroczej, zupełnie greuzowskiej główce, coś co podbija zupełnie mimowolnie i bezwiednie. Pomiędzy dziewczynkami zalega milczenie, w którem się waży niejasna myśl, że jednak taka Maruta, z temi oczami i ustami, z tą całą twarzą nieświadomego kwiatu, faktycznie może powiedzieć, że się obejdzie bez tych mądrości i że nie robi sobie z ich wiedzy nic, bo okupuje stokrotnie wszystkie minione i przyszłe nonsensa samą swoją zupełnie bajkową pięknością. I obok tego, waży się drugie uczucie. Owa rozżalona pół-zapowiedź, pół-zemsta, zawarta może bezwiednie w końcowem zdaniu:

— Teraz możecie się śmiać, ile wam się podoba, ale!...

Tak. Maruta jest dobrze ułożona i poprostu nie umiałaby była wymyślać ordynarnie i gminnie. Ma przytem w sobie pewną bierność, nie pozwalającą jej nawet na żadne gwałtowne wybuchy. Ale to końcowe niedopowiedzenie jest dla panienek aż nadto jasne. Tak. One się teraz mogą śmiać, kiedy Maruta nie całkiem jest pewna, czy się istotnie Stella nie tłómaczy, jako gwardyjec, kiedy każe karmić słonie lwami i tygrysami, i przyjmuje na dobrą wiarę wiadomość, że most przez ocean Atlantycki jest już na wykończeniu. Teraz one są górą, one się śmieją. Ale...

Ale potem, kiedyś, Marutę, w jej sukienkach z bajki, w których sama wygląda na artystyczny pomysł, po balach i teatrach nikt istotnie nie będzie pytał o jej pensyonarskie zasoby wiedzy. I każda naiwność, wypowiedziana przez takie usta, w dziecinnem zdumieniu, odbitem w takich oczach, będzie stanowiła jeden urok więcej wobec zapatrzonych, wielbiących, oczarowanych mężczyzn. O takich, jeśli mają urodę Maruty, wielkoświatowi blasés mówią pomiędzy sobą, że jest „zabawna“—najwyższa bodaj w królestwie nudy pochwała. I takie mają najwięcej bodaj powodzenia. I owej, świetnej, ślicznej, otoczonej Marucie czyż naprawdę nie wszystko będzie jedno, czy stella się tłómaczy jako gwoździk, gwiazda czy gwardya i czy nie miała racyi, mówiąc, że one śmieją się teraz, ale potem...

Bo dla większości dziewczynek owo potem obiecuje naprawdę mało śmiechu i mało radości. I w grupie zamilkłych dziewczynek niejedna roześmiana twarz sposępniała chmurką myśli, sięgającej w owe nieznane jej potem, które dla Maruty było tak jasne, pewne i tryumfalne. Ich „potem“... W ciszy zamilkłego grona, tajemnicza ręka zdaje się kreślić, na wzór owych fatalnych Mane, Thekel, Fares równie groźne, dawne, a nigdy może tak dobrze jak dziś niezrozumiałe przekleństwo:

„Bodajbyś cudze dzieci uczył“!..

To—ich potem—potem większości. I dla większości właśnie przymusowe, właśnie przez owe złowróżbne „bodajbyś“ napiętnowane. Odprzedawanie za grosze, marne grosze, owej, tak tryumfalnie dziś manifestowanej wiedzy takim, jak Maruta, której jedna wieczorowa toaleta mogłaby była zapełnić długie, szare miesiące nauczycielskiego życia. O! wtedy się one nie będą śmiały.

— Bo niepotrzebnie zawsze ta Steinówna dogryzie... Żart żartem, ale już jak się ona do kogo przyczepi... przerywa któraś niechętnie nienaruszoną ciszę.

— Iii... Dobrze jej to zrobi!... brawuje Steinówna. Zdaje jej się, że jak ma swoją mamę i papę z pełną kieszenią, to już niewiem co... A jak trzeba dwa przez dwa pomnożyć, to zagląda do tabliczki, czy aby nie wypadnie lampa. No!... ma na to!...

— I pewno że ma! Ale nikogo tem w oczy nie kłuje. A żeby tak na ciebie, toby ci i pogrzebaczem nosa nie było dosięgnąć, tak byś go zadzierała!... — dojada któraś zupełnie już ze złością.

— Chi! Niema obawy, chociażbym chciała, bo mi to nie grozi. Nie bój się! Zostaw swego pogrzebacza do domowego użytku. A Pniśsia się pogniewa i przestanie. I tak mam do niej febla za te jej rozmaite perły. Muszę sobie spisywać, bo dzisiaj to piechotą nie chadza. Ten słoń, most, język egipski, teraz znowu Stella... Wydamy kiedy jednodniówkę: „Złote myśli Pniśsi.“ Już ja w tem, że rozkupią...

— Udało nam się, swoją drogą, z tą Stellą!... W życiu chyba nie sprawiła takiej sensacyi, jak dziś. Mordowałyśmy ją przez całą godzinę...

— Aha. Jest „bohaterką dnia“. Dla uczczenia tej pamiętnej chwili proponuję jej złożyć dziękczynny adres. Albo wiecie co?... Myśl!... Za zasługi awansujmy ją, z pojedyńczej Stelli na Konstellacyę. Co!... To nawet i brzmi jakoś solidniej i bardziej po chrześcijańsku: Konstancya... kolacya... konstelacya. Zawsze łatwiej się zapamięta. Nawet dźwięczniej. — Konstellacyo!... ko-

cham cię nad życie!.. Ty—albo inna!... deklamuje z patosem Steinówna, klękając przed Iwiecką, z ręką na sercu.—Może źle?...

— Bajecznie, znakomicie!... Konstelacya. Świetnie! wołają ucieszone panienki.—Nie, wiesz, Ola, jesteś jakaś jest, ale że już czasem miewasz pomysły, no!... Konstelańcia!... Chodźmy jej to powiedzieć!...

A nowo kreowana gwiazda, na swojej ostatniej ławie, zdaleka, pochylała szaropłową głowę nad jakiemś pisaniem tak pilnie i z tak absolutną niewiadomością uczynionej przez się dywersyi, jak gdyby się istotnie znajdywała na jakiejś planecie. Nena, przechodząc, rzuciła okiem na papier i przystanęła, zdziwiona. Konstelacya, przyciąwszy ze skupienia dolną wargę, zawzięcie kreśliła małe znaczki na kawałku nutowego papieru.

— Nuty?... rzuciła zupełnie bezwiednie, akcentem takiego zdumienia, że szaro-zielonawe, nieokreślone oczy podniosły się z nad papieru ku niej.

— To... tak sobie. przypominam jedną piosenkę... Ale to już siódma, prawda?... Mam jeszcze muzykę. Muszę pójść...

Świstek nutowy przez ten czas został skrzętnie zabrany i złożony. Nena odebrała pewien niewyraźny, pół-tłómaczący się, pół-żegnający uśmiech i z niejakiem zdziwieniem patrzyła, jak nowa znajoma, zwinnie i bez szelestu wydostała z półki nuty, kołysząc się lekko i o nic nie zaczepiając, przesunęła się między ławkami i znikła, zamykając uważnie za sobą drzwi.

— Fiu! Fiu! Jak nasza Konstelańcia sunie!... Żeby jej jeszcze dodać ogon, toby była cała kometa—dowcipkują pensyonarki.

— Aha. A jeszcze prędzej by była wtedy zwyczajną kwoką—decyduje Steinówna. I wiecie co! dajmy już jej pokój, bo nudna jest jak kazanie. Niech jej tam zresztą Pan Bóg da co najlepsze w przyszłości, bo i tak, jak na teraz, zbytnio jej nie wyposażył. Przypominam natomiast, że jutro repeta z historyi. Brr!... pieska rzecz. Jak mnie zacznie gnębić o te rocznice... Pamiętaj, Iwiecka, żebyś mi porządnie podpowiadała, bo tak zawsze coś szemrzesz półgębkiem, jakbyś się oświadczała. No! Idę kuć. Adio, mia bella Napoli!...

Pensyonarki się rozchodzą każda do swego kąta. I nieoczekiwanie wybłysła na pensyonarskim horyzoncie Konstelacya, również nagle pogrąża się w to samo absolutne zapomnienie, w jakiem bytowała dotychczas.

* * *

W jednym z najdalszych zaułków najzaciszniejszego kurytarza, mało odwiedzanego przez pensyonarki i panie, mieści się pokój, zwany, dla przyczyn bliżej nieznanych, antykwarnią. Z antykami, biorąc ściśle, mało posiada wspólności, ale pozór ma istotnie nieco archaiczny. Jestto duży i nizki, przedzielony arkadą na dwie nierówne części pokój, bez właściwego użytku z powodu nieco klasztornej konstrukcyi, sklepiony i mroczny, gdzie się niegdyś mogła mieścić kaplica czy duża cela. Sklepienia, wygięte w ostre łuki, ma poznaczone malowidłami, z których na teraz zostały tylko niewyraźne, spłowiałe, pastelowe plamy barw. A w ścianach, kolisto wyokrąglonych, jakieś fantastyczne wnęki i nisze, po których się czai zmierzch. Przez wąskie i wysokie okno światło się sączy dość ubogo i żadna z pensyonarek nie umiałaby chyba powiedzieć, jakie mianowicie, rysujące się w fantastycznych konturach sprzęty zapełniają owe wgłębienia i kąty. Są tam jakieś nizkie, staroświeckie szafki, kantorki, fotele, skrzynie z papierami i staremi księgami, paki okryte płótnem, oraz spłowiałe, niewiadome portrety, tu i owdzie błyskające resztkami złoceń lub fragmentami marsowych i godnych, zachowanych w barwie, postaci. I całość antykwarni sprawia istotnie wrażenie czegoś średniowiecznego, a bądź co bądź daleko odsuniętego od dzisiejszości wgłąb.

W mniejszej i jaśniejszej, oddzielonej arką części, niema żadnych prawie sprzętów, prócz fortepianu, przeznaczonego do popisów publicznych, na którym brząkania pensyonarskie nie rozlegają się prawie nigdy. Tylko starszym uczenicom, na wyjątkowych prawach zdolności, dozwolone jest czasem użytkowanie sakramentalnego fortepianu, ze wszelką zresztą rezerwą i uszanowaniem. Pozatem jest jeszcze bardzo widocznie staroświecka, o zupełnie swoistym kształcie harfa, na której zresztą, wnosząc z urwanej u dołu struny oraz z kurzu, kryjącego obficie jej misterne przeguby i złocenia, nie grywa i nie grywał oddawna nikt. Stoi opodal wtulona w niszę, niewidoczna i dziwnie sieroca wobec rozwielmożnionego na środku fortepianu, jak znakomita, niedorównana niegdyś i świetna artystka, smutnie patrząca u schyłku życia na parweniuszowskie tryumfy wycieśniającego ją z widowni świata współzawodnika. Stoi, wsunięta i zapomniana w swej skrytce od Bóg wie kiedy, i niejedna z wchodzących dziewczynek nie wie nawet o jej istnieniu dotąd, aż kiedyś przypadkiem, potrąci w przejściu o jej bezsilnie zwisającą strunę. Wtedy nagle ciszę średniowiecznego pokoju płoszy przeciągły, drżący, przedziwnie tęskny ton. Drży przez chwilę na środku, nad wspaniale wypolitorowaną deką fortepianu o szyderczo błyskających zę-

bach klawiszów, podobnego do salonowca, który, przyszykowany na usłyszenie wesołej szansonetki, słyszy nagle archaiczną, niemodną, żałosną piosnkę. Zdaje się, jakby ten sarkastyczny, wyszczerzony rząd zębów przywoływał niewczesną śmiałość staruszki-harfy do porządku dziennego, gdyż spłoszone, zrezygnowane, cichnące echa smutnie się rozpływają po mrocznych kątach. Idą w stronę starych portretów ze skargą, jak do dobrych, dawnych przyjaciół, świadków minionych splendorów, zapomnianych oddawna, a którzy rozumieją i odczuwają cały ból i całą gorzką rezygnacyę świetności, odchodzącej w cień.

*

* *

— Wiecie?... Nasza Konstelańcia ma stanowczo fory u przełożonej. Wyobraźcie sobie, grywa jak jaka pani w antykwarni. No! A ty, istoto, bębnij na tych ryczących dzikim głosem, jak zwierzę apokaliptyczne, gruchotach!... Aż mi uszy więdną, zanim wybrząkam swoją godzinę Meclerce, a ta sobie wygrywa tryle na naszym koncertancie. No! I do kogo ona z tej podjechała?...

Steinówna z komicznem oburzeniem, rozkłada bezradnie ręce.

— Co miała podjeżdżać?.... Sami jej dali. Przecie nawet lekcye bierze nie u nauczycielki, tylko u samego Wadowskiego. Podobno kazał, żeby jej dali grać w antykwarni, bo po klasach takie stare grzmoty. Tylko ona i Strońska, z szóstej, bo idą do konserwatoryum.

— Phi... phi... To takie buty...—przeciąga Steinówna. Konserwatoryum?... Proszę siadać. A to swoją drogą, cicha woda ta Konstelancia. Siedzi i ani mru-mru, zdawałoby się że trzech nie zliczy. No, no...

— A cóż, ma krzyczeć? Idzie, bo ma zdolności. Jabym to samo zrobiła, żeby... ba!... kiedy nawet tej nieszczęsnej wprawki zgryść nie mogę. W tem miejscu, wiesz: la, la, la, la... i klapa. Już Meclerka się na mnie złości... złości!...

— I tybyś się pozłościła, żebyś musiała takie lenie obębniać przez osiem godzin, nie bój się. Żeby tak na mnie, tobym cisnęła kiedy tą samą wprawką której donnie w łeb i tyle by mię tu widzieli.

— Aha. Cisnęłabyś!... Żeby sobie uczyła dla przyjemności, toby sobie mogła ciskać, ale ona z tego chleb je. Musi i koniec, choćbym i sto razy się w tem samem miejscu myliła. Za cóż jej płacą!...

— Głupiaś ze swojem płaceniem!... Oburza się nagle Steinówna.—Za to jej płacą, że masz palce do obierania kartofli, a twoim rodzicom się chce, żebyś była panią Paderewską. Niech płacą, jeśli nie mają gdzie rubla wpakować!... Mogliby nim z tem samem powodzeniem mysie dziury zatykać. Za to jej płacą. A nie za to, żeby ci się samej niechciało łapą ruszyć, a ona dopiero, za twego rubla, miała ci żywcem cały fortepian z nutami i pedałami do mózgownicy pakować! Myślisz, że jej słodko słuchać twego Szopena, od którego by kataryniarz nawet spazmów dostał, pewno!... „Musi“!... W tem sęk, że musi!... Ale twój psi obowiązek samej swoje kloce sfatygować, żeby nie były jak z drewna! Głupia!...

— No, proszę! Jaka apostołka! A tobie co do tego!... ona mi tu będzie od głupich wymyślała! Ja mam kloce!... Raptem na nią gorliwość napadła!... A sama?... Ona mi morały... A sama!... Kto Meclerce zeszłego roku krzesło złamane podsunął, ja?... co?... a cóżeś wyprawiała z tą etiudą, której ci się nie chciało uczyć, co?.. A kto jej do nut włożył karykaturę, tę z jednym zębem i kokiem? Może ja?... Może ja?... Patrzcie ją!... Innym będzie morały prawiła, a sama!...

— Ja! ja to robiłam!... A tobie do tego nic. Robiłam, bo mi się podobało. I koniec. A ty tylko sobie zapamiętaj, że jeśli co kiedy urządzisz Meclerce, to ci się, moja droga, tak przysłużę, że dziesiątemu odradzisz. Już ja potrafię. Myślisz, że za tego rubla... kwoka!...

I Steinówna z nienawiścią, zaczerwieniona, jak piwonia, obraca się ostro na obcasach i odchodzi od ogłuszonej koleżanki. Steinówna nie płacze nigdy, przynajmniej nikt nigdy łez jej nie widział. I teraz nie widzi ich nikt, bo Ola, wsunięta w kąt między szafami, twarzą do ściany, z zatkanemi uszami, zdaje się coś zawzięcie kuć. A ściana, oczywiście, zgodnie ze swą przysłowiową obojętnością, nie reaguje bynajmniej na fakt, że po okrągłej, zaczerwienionej i pospolitej twarzyczce Oli kapią z pod zamkniętych powiek na książkę łzy, a usta krzywią się takim grymasem żalu, gniewu i goryczy, o jaki zawsze dowcipkującą i uszczypliwą Olę nie posądza nikt. Od czasu do czasu ociera je ruchem raczej zniecierpliwionym, niż rzewnym, ale one się sączą znowu, bez łkań, powoli i nieustannie, jak upływająca z pęknię-

tego szkła woda. I jedyną, męczącą myślą Oli w tej chwili jest żeby która z koleżanek przypadkiem się nie zbliżyła i nie zobaczyła tych niedających się zatamować, okropnych łez. I Ola, z zatkanemi uszami zwrócona do ściany, kiwa się miarowym ruchem nad rozłożoną historyą, której cała strona marszczy się już wilgotnemi, wypukłemi plamkami nabrzmiałego papieru.

Nikt nie wie o wieczorze przed świętami, kiedy Ola, szorstkimi, nienawykłymi do pieszczoty ruchami usadzała, jak umiała najdogodniej w dużym fotelu matkę, która przed chwilą powróciła z lekcyi muzyki na mieście. Nikt nie wie, jak jej się wryły w pamięć owe bezsilnie wyciągnięte, straszliwie zabłocone nogi w trzewikach, które już straciły oddawna wszelkie podobieństwo formy. Nogi, wysuwające się jak dwa drewniane oblepione gliną kloce z pod zmokłej, przylgniętej do kolan spódnicy. Nikt nie zna uczucia, jakiego doznawała wówczas, patrząc na tę biedną, schorowaną, wynędzniałą, niemocnie odchyloną na oparcie głowę, z oczami zasłoniętemi ręką, zniszczoną domową robotą. Nikt nie wie, jak głęboko zapadł jej w serce ów bezsilny, upokorzony, wstrząsany łkaniem wątłej piersi głos:

— Za... tego rubla... za tego... rubla...

Tego wieczoru, na interpelacyę do rodziców jednej z uczenic, odpowiedziano jej kwaśno-grzecznym tonem:

— Za to się, ostatacznie, płaci... Trudno, żeby dziecko było odrazu doskonałością... za swoje zresztą pieniądze każdemu wolno wymagać... Tyle jest chętnych...

Ola pamięta ów wyświechtany, rublowy papierek, leżący obok na ziemi. Pamięta, że chciałaby go skopać, podrzeć i rzucić w twarz tym dobroczyńcom. I pamięta, że było to oczywiście tylko takie sobie krótkotrwałe marzeńko, gdyż każda ze stu cząsteczek każdego rubla miała już oddawna wytknięte i niecierpiące zwłoki swe przeznaczenie w familijnym, świątecznym budżecie.

I nazajutrz ta sama Ola, z tym samym rublem szła na targ, z nową tylko iskierką złego szyderstwa w okrągłych, czelnych oczach. Życie do ideałów nie usposabia. Rubel, zdobyty na jakiejbądź drodze, za sprzedanie wiedzy, starego futra, przekonań czy ciała, pozostaje zawsze tym samym rublem, za który można kupić mięsa do rosołu, kartofli, kapusty i bodaj że jeszcze parę groszy zostanie na podzelowanie, oddawna się o to dopominających bucików...

I Ola, ze zmrużonemi impertynencko oczyma, z ustami złożonemi tak, jakby miała zagwizdać jakąś ulicznikowską, nic so-

bie z nikogo nie robiącą, piosenkę, dążyła w wyrudziałej salopce i klapiących kaloszach na targ z rublem w ręce, powtarzając w duchu ze swymi chlebodawcami:

— Trudno!.....

*

* *

Karnawał!... mój Boże!... Żeby nie te jakieś dwa pączki w niedzielę, toby się nawet i niewiedziało, że tam gdzieś na świecie karnawał jest!... Siedź tu i kuj, a tam ludzie... Boże! kiedy już nareszcie tę pensyę skończę!... konkluduje zwykłą przygrywką Maruta.

— A cóż tam na świecie takiego nadzwyczajnego... — rzuca od niechcenia Nena.—Tańczy się... i cóż!...

— I cóż!... Dobre sobie! I cóż!... Nie wiem już czem trzeba być, żeby karnawału nie lubić. Tutaj jeszcze nic, ale tam u nas... ach!...

— U was?...

— No, tak. Pojęcia niemasz, jak tam jest szalenie wesoło. No, ja jeszcze na balach nie bywam, ale kiedy Lena była na wydaniu, w domu, to się i mnie nieraz upiekło. Mama tego nie lubi, bo mówi, że się za bardzo opatrzę. No!...

I Maruta wysuwa śliczne usteczka wyrazem powątpiewania, który jasno kończy:—No! przypuszczam, że się tam zawsze znajdzie jeszcze ktoś chętny do patrzenia...

— No i cóżeście tam robili w karnawale?—interpeluje Nena. Byłaś kiedy na jakim wieczorku kostiumowym?...

— Oh! i jak!.. Coś cudownego. Wszystkie panie były poprzebierane za rośliny. Ja byłam bluszczem. I jeszcze jeden pan—ale taki już, wiesz, homme fait—powiedział, że gotów by był żywić taki bluszcz krwią z własnego serca, byleby się koło niego owinął. Powiedziałam to później Żanetce i ona mówi, że to było coś nieprzyzwoitego. Bo ja wiem? Może być. Bo wogóle, Fred mówi, że on—ten pan—to jest taki, że gdyby nie jakieś „względziki“ toby go na próg nie warto puszczać. A sam z nim co wieczoru gra w bilard i mówią sobie przez ty. Bo ci mężczyźni, to już naprawdę są tacy...

— A Lena? Twoja siostra? Jak była ubrana?...

— Lena! Ach! Cudownie! Bo to był nawet właściwie wieczorek urządzony dlatego, żeby jej się nareszcie ten Zaniecki oświadczył. Już to szło, szło, szło... Zawsze przyjęcia kosztują. Cudownie!... Była wodną lilią. Cały dół sukni ubrany liśćmi lilii, a od nich w górę szły takie blado-zielone, smukłe, poplątane łodygi. A dopiero sam stanik, od gorsu do wycięcia, był w płatki atłasowe ze złotem, jedne z pod drugich, zupełnie jak prawdziwy kwiat. I duży okrągły dekolt, a we włosach dwie lilie. Nie masz pojęcia. Wyglądała zupełnie jak naprawdę jaka lilia.

— Lilia... rozważa Nena.—To naprawdę musiało być ładne... Czy jest blondynką?...

— Tak, jak ja, tylko włosy ma jaśniejsze, jest bledsza, a oczy ma czarne. Ale takie naprawdę czarne, jak mocna kawa. Fred mówi, że czarne jak jej sumienie. Bo Lena, to jest dopiero naprawdę kokietka. Ach! Czego ona nie wyprawiała z tym studentem!... Boki można było zrywać. Powiedziała mu raz, wiesz? że się w nim kocha i żeby przyszedł o północy do altany. I ten, no pomyśl, uwierzył. Prawda, że się w Lenie kochał, a taki był śmieszny!... Niemasz pojęcia. Jak nas z nią gdzie niespodzianie spotkał, to zapominał włożyć czapki z powrotem, tylko tak stał i trzymał ją w ręku. No i wtedy, jak nam Lena powiedziała, poszliśmy wszyscy o dwunastej, cichuteńko, do altany i stanęliśmy w krzakach. Ale jak przyszedł i zaczął się rozglądać, taki mnie porwał śmiech, że ażem się rozkaszlała. No, wszystko się naturalnie zepsuło. Ach! Jaki on był wtedy zabawny! Nie wiedziałam, czy się na kogo chce rzucić, czy się zaraz rozpłacze... Taki był...

— No i co? rzucił się?... co?... pytą gorączkowo Nena—rzucił się?...

— Moja droga!... obraża się Maruta. Przecież to był korepetytor. Dobre sobie!... Odwrócił się i poszedł. Na drugi dzień zresztą wyjechał. Lenie i tak go potem było żal. Prosiła mamy, żeby mu nawet dała pensyę naprzód, bo przecież nie miał nic. Jak Fred go przywiózł, to nawet palto miał podarte i zcerowane jakiemiś szaremi nićmi. Ale podobno w uniwersytecie wyciągnął Freda z jakiejś awantury. Już tam musiało coś dobrze być, skoro go Fred przywiózł. I nazywał się tak zabawnie: Jan Grudka. Grudka, no?... Mama go zawsze przedstawiała: pan Grudkowski, bo mówiła, że ta Grudka, to nawet nas kompromituje. Zresztą, na większe przyjęcia papa go nigdy nie dał puścić, bo bywali ci rozmaici panowie, no, a on był, podobno socyalista. A Lena, to

mu czasem tak dokuczała, że aż mi go było nawet żal. Ach! ta Lena!...

— Twoja siostra jest naprawdę niedobra. Niech sobie był śmieszny, ale poco mu mówiła, żeby wtedy przyszedł?... skoro w niej się naprawdę kochał...

— Kochał się!... moja droga, to trudno!... Mało kto się w Lenie jeszcze kochał. Cóż takiego?... Żeby z kim innym, ale z nim... korepetytor i jeszcze Grudka. Nawet mama się śmiała. Ot o tego Nowakowa to się Lenie nieraz od mamy oberwało... To był taki oficer.

— Rosyanin?...

— Aha. Brzydki był, ale bogaty podobno okropnie, a w Lenie się kochał tak, że no przejść jej nie dawał. Taki chudy, czarny, z Kaukazu. A awanturnik! pojedynków podobno miał dziesiątkami. I uparł się, że sprowadzi dla Leny jakąś swoją klacz, z Besarabii, bo mieli urządzić kawalkatę, wszystkie konie białe. Cudowna była. Zupełnie jak mleko. I siodło i wszystko, co trzeba. A Lena się uparła, że steek jest nie angielski, i że ona z innym nie pojedzie. I że jeśli Nowakow jej sprowadzi w trzy dni inny z Anglii, to gotowa jest wyjść za niego zamąż. Tak się wtedy śmiała!... Mama się bała i bardzo była niezadowolona, bo mówiła, że z tym Nowakowem to niebezpiecznie, a ona nic. Taka jest czasem niemożliwa...

— No? I sprowadził? Sprowadził ten steek? W trzy dni... z Anglii... powątpiewa Nena. Mógł kupić gdzie, tutaj, przecież takie same są...

— Właśnie. Lena też powiedziała, że się musi dopiero przekonać. Śliczny był, rączka cała z rubinów i monogram Leny. I jak pojechali potem, Lena pierwszy raz na tej nowej klaczy, z tym steekiem, konno, jeszcze przed kalwakatą...

Maruta pół z uśmiechem, pół ze zdziwieniem, chwieje w rozpamiętywaniu główką.

— Aż tu, wyobraź sobie, może w pół godziny, przylatuje Lena, sama, ale galopem, jak szalona. Z potarganemi włosami, amazonka rozdarta, wypieki, ale taka śliczna!... I jeszcze rączkę od tego steeku miała w ręku. Z klaczy piana aż spada. Siedzieliśmy na werendzie, mama, Fred, ja i francuska. Mama tylko krzyknęła: Lena!... i załamała ręce, Mademoiselle narobiła wrzasku, że coś strasznego. Nawet Fred się podniósł i wyjął papierosa z ust. Nie! To była scena!...

Maruta, na samo wspomnienie, ukazuje wszystkie dołki w uśmiechu.

— Więc mama mówi: Lena! Na miłość Boską, qu'est ce que cela veut dire?.. Jak ty wyglądasz?... Co to... było?... I taką miała przerażoną minę, biedna mama, naprawdę... A Lena nic tylko dyszy, a oczy jej się błyszczą!... Stoi sobie przy balustradzie i obtrzepuje tym złamanem steekiem amazonkę, bo była cała w kurzu.

I tak sobie od niechcenia mówi:

— Było?... Nic szczególnego. Miałam racyę: z pewnością nie angielski. Pękł od pierwszego razu, jak trzcina. Tylko że mi się amazonka psiakrew podarła. Bo ta Lena, to czasem klnie jak dorożkarz. Co ona dawniej od mamy za to miała! Teraz już mama nawet nic nie mówi, tylko czasem, na wielkich zebraniach, kiedy widzi, że Lena ma jakie bon mot na ustach, patrzy na nią i daje znaki lornetką tak błagalnie, że aż mi się chce śmiać. Lena kiwa wtedy głową i mówi zdaleka:

— No już wiem, wiem...—i robi przytem do Freda taką komiczną minę, że można pękać. Fred mówi, że z Leny byłby dobry kolega. Dawniej się w niej także podobno podkochiwał, ale to już dawno. Teraz mówią sobie zawsze jakieś sekreta. Och! Ta Lena! Mama mówi, że taka jest szczęśliwa, że ją nareszcie z rąk zbyła, jakby wygrała wielki los. Bo i czego też ona nie wyprawiała!,..

— No a ten oficer? Nowaków?.. Czy ona jego... czy on... Musiał się pewno okropnie mścić?... bada zarumieniona z przejęcia Nena.

— Nowaków?... Iii!... Potem, naturalnie, już się nie pokazał. Lena mu przez stajennego odesłała klacz i ten kawałek steeka, i kazała powiedzieć, że się pyta o zdrowie, a co do reszty, to już mu wszystko wczoraj powiedziała. No... możeby zresztą co i wypadło, ale papa szepnął generałowi i Nowakowa wysłali gdzieś, niby w interesie, ledwie nie do Azyi. Lena mówi, że go się i tak nie bała, ale papa się lękał, że jej to co z Zanieckim zaszkodzi. Zaniecki się wtedy trzymał dosyć zdaleka, ale wszyscy mówili, że się będzie starał. Patrzył się tylko na wszystkie awantury Leny przez ten swój monokl i uśmiechał się, jak woskowa lala. On jest bardzo dystyngowany, Zaniecki, i z prawdziwym tytułem, ale jabym tam za niego nie poszła. Mówi trzy słowa na godzinę, jakby go to kosztowało. Tylko się kłania bardzo elegancko. A przedziałek ma! no!... Na karecie herbu niema, ale papa mówi, że to prawdziwy, wielki pan. I nawet się gniewał na Lenę, że go tak traktowała... od niechcenia. No, ale się ostatecznie pobrali i dobrze jest.

— A młody jest? przystojny?...

— Eh... młody!... Bo ja zresztą wiem? Nie można po nim poznać. Jak milczy—stary i taki... blasé. Ale ma bardzo ładny uśmiech. No, trochę łysy jest... Ale należy do prawdziwej arystokracyi. Lena mówi, że już jeśli ma czyje długi płacić, to niech przynajmniej będą autentyczne hrabiowskie, a nie tych surogatów. To ona tak nazywa tych różnych panów z orderami, którzy jej nadska kują. Papa się na nią o to zawsze gniewał. No! Za to teraz ma...

— A gdzie jest teraz pani Lena? Pewno zagranicą.. mówi półtwierdząco Nena. Mój Boże! Gdzie może być światowa kobieta, która ma swobodę i pieniądze!...

— Właśnie!... w tem sęk. Mama im ciągle pisze, że to nawet nie wypada, ale kiedy ta Lena jest taka niemożliwa: siedli w swoim Zdanowie i ani rusz. Wyobraź sobie, sama tam chodzi do jakiejś ochrony dla dzieci i chcę szkołę tkactwa dla dziewcząt zakładać. Fred się za boki bierze, a mama, to już naprawdę nie wie co robić. I czego nie pisze stamtąd, no! że lud, że kraj, że obowiązek, ja tam zresztą wiem!... I skąd jej się to wzięło, nie rozumiem? Mówią, że to on ją tak wziął. Ale on znowuż na nic takiego nie wyglądał. Bardzo dystyngowany i na miejscu. Papa mówi, że tem lepiej, bo pieniędzy mniej będą wydawali, ale mama to w rozpaczy. Że ona temi dziwactwami psuje sobie opinię, że zapomną o nich zupełnie i potem nikt ich nawet zapraszać nie będzie...

— Więc chyba musi kochać bardzo swego męża, jeśli... Tak się bawiła, a teraz na wsi...

— I!... kochać!.. Nie wiem, za co... Żeby kochać kogoś, to trzeba, żeby ten ktoś był taki.. bo ja wiem... poetyczny. Żeby o nas ciągle myślał, żeby mówił ładnie, różne wiersze, żeby przysyłał kwiaty, był smutny kiedy nas nie widzi... Taki... no, jak naprzykład, Ketling w panu Wołodyjowskim. Albo, naprzykład, jak..

Maruta milknie i nie skończywszy, opiera główkę na dłoni.

— Naturalnie. Ja rozumiem, że się nie można zakochać w człowieku nie z towarzystwa, albo bez majątku, ale jabym się i w najdystyńgowańszym nie zakochała, żeby był taki jak Zaniecki. On przecie z Leną nic. Tylko mrużył te swoje oczy i uśmiechał się. Nie! jak się kochać, to już żeby było ładnie. I przyjemnie. Ach! to takie boskie uczucie!...

— A ty skądże wiesz, jak to jest?... Tego trzeba chyba doświadczyć... przerywa ekstazę Maruty Nena.

— Ja?... No!... mogę się domyślać... Zresztą, o tem bardzo ładnie piszą. Czytałam u Mademoiselle jedną książkę. Ona mówi, że nudna, ale nie prawda, bardzo ładna. I on—bohater—tak samo tej panience mówi raz po balu, że nigdy nie zapomni tego wieczoru i o jej oczach. Dlatego mi się tak podobało, kiedy wtedy po pikniku.... wiesz?... kiedy mi Aleks o tych oczach tak samo powiedział. Zupełnie jak z książki. On musi być bardzo wykształcony. A jaki ma śliczny głos!... I bardzo szykowny. To mój ideał mężczyzny. Żebym się zakochała, to tylko w takim. A twój, jaki jest? co?....

— Mój ideał?... zastanawia się Nena. — Bo ja wiem?... Nie mam żadnego ideału. Zresztą, nie znam prawie nikogo, a z tych których znam... bo ja wiem?...

I Nena podnosi w górę oczy z wyrazem tak szczerego zapytania, jakby na suficie miała wyczytać rozwiązanie tego zagadnienia. Ale na suficie nie wybłyskają żadne czarnoksięskie litery i po chwili szukające oczy wracają z rozczarowaniem ku Marucie.

— I zresztą, alboż to każda musi mieć swój ideał...—kończy pół z niechęcią, pół ze smutkiem.

— Każda? Pewno, że każda. Jabym tam bez niczego w tej budzie nie wytrzymała. Tylko i marzę, kiedy już nareszcie... Fred obiecał, że zaraz z nim tutaj przyjdzie... Zobaczysz!...

— A ja nie mam o kim marzyć... A muszę wytrzymać w tej budzie... konkluduje w myśli Nena, odchodząc do swoich lekcyi. Ale usiadłszy nad rozłożoną książką, podpiera głowę i przymknąwszy oczy, przeżywa wszystko usłyszane.

— Ach, tak... Maruta z Neną jest „dobrze“. Maruta Nenie opowiada szeroko o swoich i o sobie. Nena nie razi Maruty trywialnymi wykrzyknikami Steinówny i nie wydrwiwa jej jak taż sama Ola. A Nena słucha długich opowiadań Maruty, z których niejedno ją dziwi, a niejedno budzi niesmak, cierpliwie i prawie w milczeniu, dla jednej ich właściwości, pociągającej ją mimo wszystko i nawet wbrew wszystkiemu. Właściwość ta skłania Nenę do zagadywania Maruty o jej stosunki, wspomnienia i plany, o jej dom i otoczenie, o wszystko, co jest jej. Robi to z pewną nonszalancyą, troszeczkę niby z góry, troszeczkę niby od niechcenia. Zdawałoby się, że pozwala się tylko Marucie wygadać, dorzucając czasami parę słów lub pytanie, a sama jedynie łaskawie słucha. Nieprawda, ach! nieprawda!...

Ona, Nena robi tak, bo—bo przecie nie będzie przed taką Marutą... Ale w gruncie, naprawdę, Nena chłonie każde słowo

Maruty. Jak to oni się bawią. Jakie to mają cudowne, niesłychanie cudowne stroje. Jakie świetne miewają przyjęcia, jak to bywa na maskowych wieczorkach i jak wygląda szlichtada w kilkadziesiąt koni z piknikiem na zakończenie. Jak to bywa zabawnie, kiedy po teatrze jadą całą gromadą do najlepszej restauracyi, do gabinetu, ot tak, przez figle, bo przecież i tak by w domu służba czekała z kolacyą; ale to nudniej—i jak to miło, kiedy się wraca nareszcie do domu, kołysząc się od senności i od ruchu powozu, a w okna sączy się już taki niebieskawy, zabawny świt...

— No?... rzuca czasami leniwie Nena.—I cóż?... Co było potem?...

A na samem dnie półsennie zmrużonych oczu, na samem najgłębszem dnie, tli się trwożna, namiętna prawie bojaźń i prośba, do której ona, Nena, przed sobą samą nie byłaby się bodaj przyznała:

— No i jak tam u was jest, no, jak?... Mów wszystko, wszyściutko i o oranżeryi, i o serwisie Leny, sprowadzonym z Anglii na imieniny i o tem, jak się cudownie można bawić przy kotylionie, i o brylantach mamy i o zagranicy... Mów wszystko, cokolwiekbądź się tyczy waszego próżniaczego, cudownego, cieplarnianego życia, o którem ja wiem tylko, że gdzieś na świecie jest i że jabym była mogła, i że nigdy... Mów wszystko tym swoim melodyjnym, kapryśnym głosikiem, który wygłasza rzeczy wyśnione, a niedoścignione tak obojętnie i pobieżnie, jakgdyby były czemś, co jest zbyt powszednie, żeby się nad niem rozwodzić. Zrozum, że o tem wszystkiem wiem tylko z książek i z dalekich, dalekich, nieuchwytnych już niemal wspomnień. I zrozum, że do nich tęskni cała moja dusza. Do tej beztroski, świetności, do tego blasku, zbytku i piękna. Zrozum, że ja którabym je naprawdę umiała ocenić, nie jak ty, przechodząca obok bez odczucia całej ich rozkoszy—zrozum, że ja ich nigdy na własne, tęskniące oczy nie będę oglądała. Nigdy, czy ty to rozumiesz? I czy myślisz, że mnie obchodzi, co tyś tam swoim ptasim móżdżkiem myślała, czy odczuła, ty? O Boże, nic mnie to nie obchodzi, nic a nic. Rozumiesz? Mówię z tobą, bo chcę wiedzieć jaki on jest, jaki jest ten wasz daleki, zaczarowany świat? Bo słuchanie o nim—to wszystko, co mieć mogę. A tak tęsknię, tak bardzo, tak okropnie do niego tęsknię... Więc mów!.

Z tej zatajonej mowy oczu Neny, Maruta, oczywiście, nie spostrzega nic. Rozpowiada swoim powolnym, pieszczonym głosikiem, z dystyngowanemi ruchami białych rączek, wszystko co

jej wpadnie na myśl, bez względu na treść i jakość, ot tak, bo się przypomniało. Opowiada o tem, co ją samą zajmuje, uderza, lub się wydaje zabawnem i nie zastanawia się bynajmniej nad tem, dlaczego owa milcząca, mało udzielająca się nawet najbliższej sobie, Ance, Nena, tak cierpliwie i chętnie słucha jej przestronnych opowieści. Wie tylko, że woli rozmawiać z Neną, niż z którą inną, bo Nena jest ułożona, ma zgrabne ręce i nogi, nie razi jej niczem i że kiedyś, razem z mamą, przyglądającą się w sali przyjęć Nenie przez face-à-main, zadecydowały, że panna Mieduniecka jest „bardzo dobrze“. Mama nawet dodała, że jeśli to z tych Miedunieckich, którzy... to Nena jest zupełnie z dobrej rodziny...

Maruta w swym światopoglądzie ma dość skromny zasób tak zwanych zasad. Posiada w nim, mimo to, jeden punkt ściśle zaznaczony: jest nim mianowicie ścisłe rozgraniczenie ludzi na „bardzo dobrze“ i „nie z towarzystwa“. Do tej ostatniej kategoryi Maruta nie czuje zresztą nic prócz pewnego chyba zdziwienia, poco wogóle istnieje, skoro w towarzystwie przyjętą nie jest. Pierwsza zwraca natomiast baczną jej uwagę na swych członków, jako tych, z którymi się kiedyś wypadnie liczyć i w rozpoznawaniu ich ma już dzisiaj pewną wprawę i biegłość. Nadewszystko zaś pod tym względem ufna jest w doświadczenie mamy, która co jak co, ale na „tych rzeczach“ to już się naprawdę zna.

*

* *

Od niejakiegoś czasu w ławce przed Neną, obok Smólkowskiej przysiadła się jedna z przychodnich. Nena wie o niej tylko tyle, że się nazywa Ama Stalecka, że jest ogromnie ruchliwa i niespokojna i że wiekuiście przynosi ze sobą jakieś kartki, listy i książki, które, nizko pochylone ku sobie i chichoczące odczytują razem ze Smólkowską. Wie również, że nie lubi Staleckiej, tak jak i Stalecka nie lubi jej. W tej nowej sąsiadce rażą Nenę wiecznie powalane ręce, ordynarne buciki na dużych nogach, nieporządnie zapięty mundurek, a nawet fertyczna figurka i ogromne, czarne, niespokojne oczy, w których zdaje się palić wewnątrz jakieś trawiące zarzewie. Wierci się też podczas wy-

kładu na wszystkie strony i co chwila zakłada wymykające się zewsząd, kręcone kosmyki włosów ruchem, który Nenę niewysłowienie irytuje. Żeby nie owa niesamowita ruchliwość oraz pewna nieuchwytna trywialność śmiechu i poufałych gestów, Stalecka by była mogła ujść nawet za ładną.

Pierwszego dnia, podczas ożywionej dyskusyi ze Smólkowską, z którą sobie zawsze miały coś do opowiadania, Ama nagle odwróciła się w tył ku Nenie roześmianą twarzą, którą w chwilach wesołości szpecił zawsze pewien pół-ironiczny, pół-ulicznikowski grymas.

— Słuchaj, ty!... Niechcesz z nami fundnąć sobie biby? Mandarynki i czekolada. Polecę w pauzę kupić, tylko że brakuje nam jeszcze dwadzieścia kop. Chcesz, co?..

— Kiedy mam tylko rubla niezmienionego...

— Wielkie rzeczy! To się zmieni, a resztę jutro oddam. Zapomniałam dziś z domu wziąć...

Mandarynki się ostatecznie zjawiły, ale reszta z rubla zginęła w niepamięci. Stalecka się kręciła, trzepała, szeptała ze Smólkowską, a Nenę ignorowała, jak przed tem.

— Dzięki Bogu... ona, zdaje się, naprawdę zapomniała — pomyślała w duchu Nena, która się w pierwszych dniach czuła wobec Anny dziwnie niezręcznie i unikała jej spojrzenia— kilkadziesiąt kop. wyszło jej z pamięci.

— Pewnego jednak dnia Stalecka przyniosła parę pocztówek i między innemi fotografię Sienkiewicza.

— Skąd masz?.. Takbym chciała to mieć!... wyrwało się szczerze Nenie, która widziała ją przed sobą.

— Skąd! ze sklepu!... możesz sobie taką samą sprawić, dziesięć kop!... Można sobie pozwolić...

— Kiedy nam nie wolno wychodzić na miasto...

— To ja ci kupię. Chcesz? Daj pieniądze, a rano ci przyniosę.

Na tem stanęło. Nena, rumieniąc się i wymyślając sobie za ten rumieniec, wręczyła Amie parę złotych. Ale Stalecka nie okazywała żadnych niemiłych symptomatów.

— Niemądra jestem... powinszowała sobie Nena. Naturalnie, zapomniała.

Po paru dniach Ama przyniosła jej kartę i parę groszy reszty.

— Tam będzie coś jeszcze, ale musiałam sobie kupić markę. Od matki wydębić teraz nic nie można, pieskie czasy. Jak dostanę, to ci oddam. Gniewasz się, nie?..

Stalecka trzepotała się, jak zwykle, ale unikała wzroku Neny.

— Ale skądże... zaoponowała Nena o pół tonu uprzejmiej, niżby należało. Przecie mi na tych paru złotych nie zależy...

Ona o tamtem pamięta...zreasumowała równocześnie w myśli.

— Phi! moja droga! Jeśli myślisz, że mi twoje pieniądze potrzebne!... wybuchnęła nagle Ama swoim dziecinnie dzwoniącym, sczwanym trochę głosem.—Nadzwyczajne miliony! Pięć czy ile tam złotych! Oddam ci je jutro i duś się niemi! Ze swemi grzecznościami! Komedyantka!...

— Niewiem o co ci chodzi, zdaje się, że byłam zupełnie grzeczna. W każdy razie nie masz powodu mi wymyślać. Wolę już komedyantkę od przekupki...

Nena zatkała uszy i pogrążyła się w książki. W skronie jej waliła krew. Czego to czarne półdyable od niej chce!...

Nazajutrz Nena znalazła na swym pulpicie złotówkę i nie patrząc wrzuciła ją do środka. Od tej chwili stosunki ograniczyły się do minimum i były zawsze zabarwione ze strony Neny— powściągliwą grzecznością z lekkim odcieniem obrzydzenia, zaś ze strony Amy—demonstracyjnem, charakterystycznem skrzywieniem ust i pogardliwem prychaniem. Pomimo to, dzięki blizkiemu sąsiedztwu, Nena miała sposobność ustawicznego słyszenia szeptów pochylonych ku sobie Amy i Smólkowskiej, od czasu do czasu przerywanych zciszonym chichotem, z zatulaniem ust dłonią.

Kogo one mi przypominają?... zastanawiała się Nena.—Kogobym podobnego mogła kiedy spotykać?...

— Ja wtedy do tego pokoju i drzwi... dolatuje do Neny głośniejszy w ferworze fragment zwierzeń. — Myślę, a nuż mama wcześniej... A on...

Następuje zniżenie głosu i potem dwa stłumione, wstydliwe wybuchy śmiechu.

— No, kłamiesz, Ama, jak matkę kocham kłamiesz!...—oponuje Smólkowska —A gdyby wtedy...

— Jak Bozię mego, tak prawda. Przyjdź kiedy jak matki niema, to ci te schody i drzwi pokażę. Ale to co!... ja ci takie kawały..

Co ona może jej opowiadać?... zastanawia się mimowoli Nena.—I jakie ta Stalecka ma trywialne ruchy i sposób mówienia... I to zaklinanie się... Wygląda na jaką kelnerkę czy sklepową, czy bo ja zresztą wiem...

I Nena z litośnem obrzydzeniem obrzucała wzrokiem zwinną, fertyczną figurkę o dużych nogach, powalanych rękach,

w zawsze rozpinającym się czy niedopiętym staniku i na której twarzy, o śniadej cerze i czerwonych ustach, uderzały plamy niespokojnych, gorejących oczu.

*

* *

— No, wiesz, Ama, ale jak Adela się dowie?... no? będzie chryja, przełożone, matki, awantury... może dać pokój...

— Idź!... Dowie się! Ciekawam, skąd? On przecie nie opowie, a w nuty ci będzie zaglądała, czy masz tam jaką kartkę, czy nie, co?... A Liń, jaką on będzie miał minę, no! Tylko połóż na nutach tak, żeby koniecznie przeczytał. Pamiętaj! Ale kiedy stchórzysz. Wsadzisz kartkę gdzie w kieszeń i całą stypę dyabli wezmą.

— Nie, ale pomyśl .. co, jak przeczyta!...

— Idyotka jesteś, moja droga. Sama nie wiesz czego chcesz. To wzdycha, że on nie wie, to mdleje, że się dowie... A wzdychaj sobie, kiedyś taka, na zdrowie!...

— Znowu coś wymyśliły... wzrusza ramionami Nena.—Czy ta Stalecka potrafi kiedy usiedzieć przez godzinę spokojnie?... Liniewicz?... Smólkowska bierze u niego lekcye muzyki i podobno „lata“ za nim. Liniewicz?...

Nena wykrzywia się z pewnym arystokratycznym niesmakiem. Zna go doskonale z egzaminów i popisów. Nizki, brunet, blady, artystycznie rozrzucone ufryzowane włosy, czarne, zmrużone, natrętne oczy, mały wąsik, czerwone usta, starannie wygolona broda... pół-aktorska, fryzyerska uroda, która ma dla Neny, coś niesłychanie odpychającego. I te niedbale zasunięte w kieszenie ręce przy znudzonej minie... Uczennice go adorują, przewiązują mu nuty czerwonemi kokardami i wylatują pod rozmaitemi pretekstami na schody w godzinach, kiedy przechodzi. Zazdrosne są o siebie nawzajem i usiłują się zgnębić dowodami względów „jego“. Szczególnie celuje w tem w ostatnich czasach Smólkowska. Przed każdą lekcyą staje przed oszkloną szafą z książkami, w której ciemnem tle odbija się jej wypięta, wyściskana sznurówką figura i długo, starannie poprawia sobie grzywkę, ogląda się wprost i z profilu, uśmiecha się i mruży oczy. Wychodzi z klasy wyprostowana, z teką do nut, przewiązaną

ponsową wstążką, z podanym naprzód gorsem i uśmieszkiem, którego znaczenie jest bardzo skomplikowane. A powraca zemocyonowana, z wypalonemi na nieczystej trochę cerze wypiekami i rzuciwszy nuty na pierwszą lepszą ławkę, pociąga do okna Stalecką, z którą coś długo, tajemniczo szepczą, przerywając sobie czasami wybuchami stłumionego chichotu.

*

* *

— Ach! Tak. Już wie. To ten Edgar, o którym czytała kiedyś w lecie, w swoim kątku przy młynie. Musiał mieć takie szlachetne, szerokie czoło, taki orli nos, takie młodzieńcze, odrzucone w tył kędziory. No... polskiego stroju mieć zresztą nie mógł, ale o to mniejsza. Przytem, to takie ładne, ta karabela z sobolim kołpakiem na rękojeści, z jakiemś junackiem, butnem piórkiem. Teraz piórko jest już prawie nie widoczne, kontusz zbladł, zostało jeszcze tu i owdzie trochę barw na sznurach i koniec szerokiego pasa, na którym goreją jeszcze półtęcze świetnych, mieniących barw. I znać jeszcze dobrze przechowaną w kształcie i barwie rękę, rękę, podtrzymującą fałdy opończy, a ku której odrazu i nieprzeparcie idzie wzrok. Dłoń, która trzymając karabelę, musiała tęsknić do pędzla lub do dłuta Taka dłoń, która, wykwitając z szerokich rękawów kontusza, nasuwała myśl o delikatnej jak sieć, białej koronce, rozpajęczonej na ciemnym aksamicie mankietu. Takiej, jaka okalała dłonie zapomnianych rycerzy—truwerów, zapatrzonych w jaśniejące im z wysokości tronu oczy, słodkie a królewskie. I te również, które w staroświeckim, pełnym ceremonialnego wdzięku menuecie ujmowały ruchem zalotnym, a pełnym dworskości, malutką dłoń tancerki. Ręka, która sama w sobie była arcydziełem, poematem i duchowością.

Ale junak nie wiedział o niej nic. Stał sobie uplacowany na jakiejś pace w antykwarni, jak wiele innych portretów, oparty o ścianę z pewną wielkopańską, niedbałą wytwornością. Nie obchodziło go nic, że depce stopą szanowne, zbutwiałe foliały, wobec których był mimo wszystko, zwykłym młodzieniaszkiem. Zdawał się też zupełnie nie dostrzegać wysortowanego z pracowni pensyjnej manekina do bluzek na wysokiej nóżce, który ze

wstydliwie czelną minoderyą starzejącej się panny prezentował mu obnażone, nieco przychude ramiona i kanciasty gors, obliczony na pensyonarskie mundurki. Ą już absolutnie nie wiedział o parze autentycznych, piwnych oczu pewnej niedużej figurki w mundurkowej sukni i fartuszku z szelkami, oczach, które patrzyły w jego rycerskie oblicze z rogu sędziwej, trójnożnej już tylko kanapy. Patrzyły zaś ze wspartej na dłoniach, śniadej twarzyczki tak uparcie, jakgdyby za wszelką cenę chciały dociec, co też mogą widzieć te sokole, młodzieńcze źrenice, wybiegające ze staroświeckiego portretu gdzieś het, het, poza kanapę, poza manekina, poza antykwarnię i poza mury w pogoni za czemś, o czem już teraz przecie nikt, nigdy, nikomu nie będzie mógł, ani umiał opowiedzieć...

*

* *

Już wie. Nie nazywał się Edgar. Żaden Edgar nie nosił takiego sobolego kołpaka z kitą, ani miał taki słucki pas i karabelę, ani taką junaczą, młodzieńczą, czemś niewidzialnem opromienioną twarz. Już wie. Nazywał się Szczęsny. Mógłby się był nazywać też Świetlisty lub Promienny. Ale takich imion niema. Mógłby się nazywać rycerzem Słońca. Ale on nosił słucki pas i czaple piórko. Więc nazywał się Szczęsny. Szczęsny...

*

* *

— Może gdzie zresztą czytała. Może jej kto opowiadał, może to był jaki obraz. Może widziała to w jakim śnie?... Bo to ona wie?

— Ale kiedy ona to widzi, tak dobrze, tak doskonale widzi. Tak, jakby ich wówczas skąd dojrzała. Ale przecież to niepodobna: byli wtedy tylko we dwoje. On, ten junak i ta pani. Ta pani. Ta pani musiała mieć ciężką, chrzęstliwie błyskającą srebrem na załomach suknię. Była wysoka i smukła, w takim nie-

pomiernie wydłużającym figurę, trochę niezgrabnym staniku prababek. Musiała mieć świeżą, dumną, młodą twarz, na której tylko w kącikach pełnych ust czaiły się chochliki przekory. I z pod spuszczonych, podłużnych powiek błyskające ukradkiem, roześmiane spojrzenia. Ale on, junak, tych chochlików ani błysków nie widział. Widział tylko wyniosłą, książęcą postać, pół-etykietalnie, pół-niedbale postępującą przy nim słoneczną aleją ogrodu. Ach! wtedy pewno nie miał jeszcze tak hardo podniesionej głowy, ani też tych z pańska niespostrzegających oczu. Ach! wtedy szedł przy niej ze spuszczoną głową, trzymając w ręku swój soboli kołpak. I nawet nie patrzył w owe książęce źrenice. I nawet nie myślał, że mogą... Miał wtedy minę takiego ot sobie, bezradnie smutnego młodzieniaszka, który jeszcze nic nie wie o pewnej nawet wpośród księżniczek umiłowanej zabawie w kotka i myszkę, gdzie przemądre myszki uciekają nieraz poto jedynie, aby je goniono i dziwnie opacznem zrządzeniem natury, lubią czuć w zgrabnych, figlarnych łapkach rozpaczliwie bijące, kocie serce... I tylko niewiadomo, czemu zna go takim, skoro na portrecie jest taki inny, pański, daleki, zupełnie jakby nie ten.....

Ale to nic. Jest ten sam, oh! ten sam! I chociaż nic a nic nie podobny z wyrazu, jednak Nena dobrze o tem wie, że to on właśnie wówczas szedł ogrodową aleją obok świetnej, wyniosłej, adamaszkowej panny. Pewno była wojewodzianką, a on—on właśnie nie miał rangi i jechał dopiero na wojnę. I to był ostatni raz...

— Zła! zła!... dlaczego ona tak na niego patrzyła, kiedy nie widział. A skoro podniósł wzrok, robiła taką obojętną, dumną twarz?... Co on jej mówił, no co?... co?... Co on jej mówił, kiedy już znikli w mroku alei?..

— Bo o tem Nena już nie wie nic. Widzi ich tylko na słonecznej ścieżce we dwoje, idących obok siebie, widzi jak żywych, jakby na własne oczy... A potem nagle się urywa i już nie wie nic. I nie wie, ani co było za tą aleją, ani co przed nią, ani gdzie to było, ni kiedy. Ani skąd się wziął junak tu, w antykwarni, na zblakłym ustawionym na pace ksiąg portrecie. Ani dlaczego ma teraz taką inną, dumną twarz?...

Od owego poranku musiał zmężnieć. Kto wie, jakie obietnice uniósł ze sobą na wojnę?... Kto wie, czyj obraz pieścił w najtajniejszym mroku sokolich zrenic, idąc w boje. I kto wie, jaka zaćmiewająca wszystko dawne jasność zaświtała nagle w owych bojach, że oto zwrócił ku niej w niezmierzoną dalekość

oczy—i pierzchła z nich wszelka słodycz i pieściwość—a pozostało tylko zaświatowe zapatrzenie w rzeczy dalekie i przedziwne, wysoko ponad ziemię wyniesione i osnute w tęskność przeczystą a wiekuiście nieukojoną...

Nikt nigdy i nikomu już nie opowie, jakie płomię olśniło owe młodzieńcze oczy. To tylko pewne, że z tych było, przed któremi gasną wszystkie ogniki i błyski, chociażby nawet urocze były i cudne, chociażby nawet się zapalały pod powiekami podłużnych, książęcych oczu... To tylko pewne, że takim już pozostał. I patrzy oto od wieku ze swego kąta w owo coś dalekie i zaświatowe, i już na żadną księżniczkę, królewnę, ni wojewodziankę nie spojrzą te oczy pańskie, niedostrzegające, dalekie...

— Rycerzu rzeczy Nieznanych, Rycerzu Zagadki...

— Powiedz, komuś poprzysiągł tęsknotę źrenic twoich?...

Hart bowiem tchnie z nich przedziwny, ze wszystkich innych najtwardszy. Hart, zdobyty w walce z duszą własną, którąś spętał, ujarzmił, o ziem pod nogi rzucił i stopę na niej postawiłeś władną. A wtedy zwycięską i wolną Moc posłałeś w lenno wiekuiste i służbę Wielkiemu, które przyzywa...

Do takich stóp zwycięskich garnie się wszystko, co chwiejne i niemocne. Do tego, który duszę własną trzyma, jak złego psa, pod stopą, by zawadą mu nie była na ścieżkach czynów jego—garnie się wszystko co słabe i nieśmiałe, mówiąc w kornem schyleniu:

— Weź i nas pod wodze twoje, bowiemś mocen jest i niemasz, któryby stawił ci opór..

— Bo rozkoszą słabych jest czuć na sobie władną stopę Mocy.

— Więc idą ku tobie pokornie oczy, ku twoim niewidzącym, dalekim, dalekim...

— Spójrz!...

— Raz jeden. Na jedną chwilę. Niech się w tych obcych zaświatowych źrenicach zatli na chwilę świadomy, ziemski błysk...

— Spójrz...

— Zawisły na rzęsach twoich pytania i prośby pełne źrenice i wgłąb twoją patrzą, pragnąc dotrzeć zagadki ich nieprzejrzanych den...

— Spójrz!...

— Albo nie. Nie słuchaj, rycerzu, poszeptów. Nie odwracaj ku ziemi odeszłych daleko oczu. Nie zdradzaj tego, co jest w tobie zaklęciem i tajemnicą. Nie patrz...

— Ty nie wiesz, rycerzu, ty nie wiesz...

— Zapatrzony jesteś w rzeczy inne i zaświatowe, rycerzem-ś jest... Gdzieżby ci wiedzieć?... Gdzieżby ci znać, że niemasz między księżniczkami, królewnami i wojewodziankami takiej, któraby nad wszystkie zagadki nie ukochała tej, której wieszczego słowa nie zna. I że ku temu najdłużej z tęsknotą i czekaniem idą oczy, który najdalej kryje twarz swoją pod żelazną maską przyłbicy.

— Rycerzu, rycerzu zagadki, nie odsłaniaj oczu twoich...

*

* *

Nena idzie, zamyślona, do pensyonarskiej szwalni z poleceniem od panny Adeli. Szwalnia się mieści w ciemnym, parterowym kurytarzu, tuż obok tak zwanych profesorskich drzwi, prowadzących na ulicę. Pensyonarki wychodzą innemi, małemi drzwiami przez furtę.

Nena lubi pensyjne kurytarze. Jest w nich pewien specyalny, klasztorny, surowy nieco urok. Wąskie, wysokie okna, rozmaite wnęki z figurami i łukowe, ostre sklepienia, pod któremi panuje wiekuisty mrok, owiewają duszę tchnieniem rzeczy przebrzmiałych i dalekich. Pensyonarki jednak ogólnie tej części gmachu nie lubią, przekładając nowy, jasny i wesoły pensyjny front. Przytem do bocznych kurytarzy żadnych interesów pensyonarki nie mają, a nawet, przez wzgląd na bezpośrednią bliskość frontowych drzwi, wstęp w owe dziedziny bez wyraźnego zlecenia władzy jest wzbroniony.

Któryś z profesorów musiał jeszcze być na pensyi, gdyż na wieszaku czerni się czyjś paltot. Nena w przejściu spotrzega w półmroku przypięty do klapy, czerwony gwoździk. Także elegancya...

Zza skrętu przy wieszakach, od strony szwalni, nagle, bez uprzedniego hałasu kroków, które pod sklepieniami brzmią zupełnie zazwyczaj dokładnie, wpada na Nenę nos w nos wybiegająca z przeciwnej strony Smólkowska, której twarz przybrana w najbardziej podbójczy uśmiech, na widok Neny nagle się wydłuża.

— To ty?.. mówi z mało zachęcającą intonacyą. — Co tu robisz?...

— Idę po bluzkę do pracowni... Pewno stamtąd wracasz, czy tam panna Kamila jeszcze jest?...

— Jest? A bo ja wiem, może jest... mówi z roztargnieniem Smólkowska, obracając nadsłuchująco głowę w stronę drzwi. Pewnie, że jest, idź idź! No? czegoż stoisz!...

Nena patrzy na zgorączkowaną nagle Smólkowską zdumionemi oczami, ale nim się może zoryentować, na kurytarzu rozlegają się szybkie kroki i na skręcie ukazuje się śpieszący z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową Liniewicz. Jednocześnie cofnięta za wieszadła Smólkowska błyskawicznie poprawia bluzkę i włosy, i zupełnie z tym samym co przed Neną ruchem wypada z mroku na środek kurytarza o krok przed Liniewiczem i z lekkim okrzykiem cofa się z powrotem.

— Ach!... To pan profesor!... mówi specyalnym, kokieteryjnie—przestraszonym tonem.—Wypadam z pracowni, a tu tak ciemno, że nic nie widać...

Nena nagle czuje zalewające ją aż po włosy gorąco i nie oglądając się, zatrzaskuje za sobą drzwi.

Marya Szpyrkówna.

# PODBÓJ ANTARKTYDY.

Rok 1492, w którym Kolumb odkrył ląd Nowego Świata, minął dla współczesnych bez większego wrażenia. Tysiączne troski dnia codziennego, nie mniejsze ani większe owego roku, niż w innych latach, nie pozwoliły należycie ocenić doniosłości bohaterskiego wysiłku. Potrzeba było dopiero perspektywy dziejowej, aby podróży Kolumba należyte wyznaczyć miejsce i to tak wysokie, że rok ów stał się kamieniem granicznym pomiędzy średnimi a nowymi wiekami.

Antarktyda, szósta część świata, tajemniczy kraj bieguna południowego, zamknięty w wieczną skorupę lodową, nie może się mierzyć z Ameryką, ale zasługi Cooka, który ją opłynął i odkrył, Rossa, który się dostał w jej morze śródziemne poprzez olbrzymie pola kry, Scotta, Shackletona i Amundsena, którzy przez niebotyczne góry i lodowce darli się do jej wnętrza, i tylu, tylu innych, nie są bynajmniej mniejsze od zasług wielkiego Genueńczyka.

Zanim troski dnia codziennego każą nam zapomnieć o tych wielkich imionach, przypatrzmy się przez chwilę bohaterstwu tych ludzi i owocom tych nadludzkich wysiłków.

## I.

Już Arystoteles przypuszczał, że poza południowem kołem podbiegunowem istnieje strefa zimna, na wzór północnej, ale nie wierzył, aby kiedykolwiek mogli się tam dostać ludzie, a to z powodu straszliwych mrozów. Wogóle wyobrażano sobie wtedy i w wiekach średnich, że tamta część ziemi oblana jest morzem,

w którego samym środku wznosi się olbrzymia góra lodowa, ów biegun południowy, jako widome zakończenie pomyślanej osi ziemskiej.

Odkrycia licznych archipelagów w południowych częściach trzech oceanów w w. XVI, XVII i XVIII stworzyły legendę o tajemniczym kraju południowym, *terra australis incognita*. Ale o ile w początkach byle ląd, widziany w południowych stronach, uważano skwapliwie za przylądek nowej krainy, o tyle w miarę późniejszych wypraw, stwierdzających wyspowy charakter tych lądów, słabła wiara w istnienie kraju podbiegunowego.

Anglicy, nowożytni Fenicyanie, postanowili zbadać dokładnie sprawę.

Jakób Cook otrzymał od admiralicyi rozkaz „albo odkrycia lądu południowego, albo udowodnienia, że takiego lądu niema".

W pamiętnej swej podróży (1772 — 75) Cook dwukrotnie, z dwóch przeciwnych stron przejechał pierwszy z ludzi południowe koło polarne, zatrzymany wreszcie nieprzebytą krą. W podróży tej zatoczył koło najbardziej południowe ze wszystkich dotychczasowych wypraw, a objechawszy od południa wszystkie lądy, uważane do owych czasów za przylądki podbiegunowej krainy, obalił przez to legendę o niesłychanej jakoby rozciągłości tej części świata.

Poleconego sobie zadania Cook właściwie nie rozwiązał. Nie udowodnił ani istnienia, ani nieistnienia podbiegunowego lądu, Antarktyda pozostała nadal *terra nondum cognita*. Statki jego zatrzymał nie ląd, ale nieprzebyty wał zbitej ze sobą kry lodowej, największy wróg wszystkich żeglarzy polarnych. Trudy tej podróży były tak straszne, że nawet tak dzielny marynarz, jak Cook, zwątpił, aby kiedykolwiek mógł ktoś posunąć się dalej na południe.

Zwątpienie Cooka nie zmniejsza w niczem jego zasług. Dzielne statki *Resolution* i *Adventure*, kierowane wprawną ręką Cooka i jego towarzysza Furneaux, przełamały pierwsze lody, okrywające dookoła twardą skorupą tajemniczą Antarktydę. W najbliższych też czasach, korzystając z bogatych doświadczeń i spostrzeżeń angielskiego marynarza, liczne wyprawy w pogoni za wielorybami i fokami zapuszczają się w owe strony i na południe od Ameryki odkrywają archipelagi, będące naturalnym pomostem między tą częścią świata a Antarktydą, która tu właśnie najdalej na północ wybiega.

Pierwszym, który po Cooku w celach naukowych zawitał w owe strony, był Fabian Bellingshausen, dowódca ekspedycyi

rosyjskiej (1819—21), zorganizowanej z inicyatywy cesarza Aleksandra I.

Statki *Wostok* i *Mirnyj* opłynęły dookoła Antarktydę i sześć razy przeszły poza koło polarne, zatrzymane wreszcie krą lodową.

Dnia 10 stycznia 1821 roku załoga zdziwiła się mnogością ptactwa.

„O godzinie 3-ej po południu—pisze Bellingshausen [1])— ujrzeliśmy ciemną plamę na białem tle lodów. Każdy patrzył przez lunetę. Nie ulegało wątpliwości, mieliśmy ląd przed sobą. Ale ten i ów nie dowierzał. Wtem słońce przedarło się przez chmury i ujrzeliśmy wyraźnie przed sobą ląd, ze skałami wolnemi od śniegu i lodu".

Była to wyspa, którą nazwano wyspą *Piotra I* (69° poł. sz., 90° zach. dł.).

O kilkanaście stopni dalej na wschód odkrył Bellingshausen inny ląd, nazwany *krajem Aleksandra I* (na południku Punta Arenas, miasta portowego w cieśninie Magielana).

*Kraj Aleksandra I*, podobnie jak cały szereg innych lądów antarktycznych, odkrytych w latach następnych, nie został okrążony od południa, zatem nie jest wiadomem, czy jest on wyspą, czy należy do kontynentu. Na mapach dzisiejszych [2]) wszystkie one widnieją tymczasowo, jako przylądki przypuszczalne jednolitego lądu Antarktydy.

Wyprawa Bellingshausena, w której uczestniczyło kilku uczonych, przywiozła bogaty materyał spostrzeżeń naukowych, przeważnie meteorologicznych i oceanograficznych.

Wiek XIX nie zaniedbał wypraw antarktycznych, tak chlubnie rozpoczętych przez Cooka i Bellingshausena.

W podróżach następnych w owe strony prym wiodą Anglicy.

W rok po wyprawie rosyjskiej angielski kapitan Weddel odkrywa archipelag *Południowo-Orknejski* i zapuszcza się daleko na

---

[1]) *F. von Bellingshausens Forschungsfahrten im Suedlichen Eismeer 1819—1821.* Lipsk, nakładem Hirzel'a 1902. Jestto krótkie streszczenie bardzo obszernego pamiętnika tej ekspedycyi, wydanego po rosyjsku w pierwszej połowie XIX w.

[2]) W pracy niniejszej posługiwaliśmy się mapą Petermanna (Süd-Polar-Karte), wydaną w r. 1913 u Perthesa w Gocie, w atlasie Stielera. Mapa ta uwzględnia już podróż Amundsena, nie korzysta jeszcze z rezultatów ekspedycyi Scotta, Mawsona, Sziraza i Filchnera, o których wiadomości doszły nas dopiero w ostatnich miesiącach.

południe poza koło podbiegunowe, znajdując tam między 30° a 40° zachodniej długości otwarte morze.

Bogata firma rybacka braci Enderby organizuje szereg wypraw antarktycznych, które prócz łowów na foki i wieloryby nie zaniedbują i odkryć geograficznych. Kapitanowie: Biscoę (1830—32), Kemp (1834) i Balleny (1839) zyskują chlubne imię wśród podróżników antarktycznych.

Pierwszy z nich wzbogacił mapę Antarktydy *krajem Enderby*, na południe od Afryki, a *krajem Grahama* i sąsiedniemi wyspami na południe od Ameryki. Kemp dał swoją nazwę krajowi, sąsiadującemu od wschodu z *krajem Enderby*, a Balleny lądowi, odkrytemu przez siebie na południe od Australii, pod 115° wsch. długości.

Powodzenie angielskich żeglarzy staje się podnietą dla innych.

Kapitan francuski, późniejszy admirał, Dumont d'Urville, odkrywa w latach 1838—40 półwyspowe przedłużenie *kraju Grahama (kraj Ludwika Filipa)* i sąsiadującą z nim wyspę *Joinville*, a na południu od Australii, na wschód od *kraju Balleny'ego*, kraje *Clarie* [1]) i *Adélie* i przywozi bogaty zapas spostrzeżeń magnetycznych.

Równocześnie z francuską znajduje się na wodach Antarktydy i amerykańska wyprawa, złożona z 6-iu okrętów, z załogą przeszło 400 ludzi, pod wodzą kapitana Wilkesa.

Wilkes przekazał potomnym kartę wybrzeża Antarktydy na południe od Australii, pomiędzy 98° a 160° wsch. długości.

Z doświadczeń i odkryć francuskiej i amerykańskiej wyprawy skorzystał w znakomity sposób kapitan Jakób Ross, dowódca angielskiej ekspedycyi antarktycznej w latach 1840—43.

Z nazwiskiem tego dzielnego marynarza na zawsze będzie związane śródziemne morze Antarktydy, słusznie noszące imię swego wielkiego odkrywcy. Morze to, we wnętrzu swem zdatne do żeglugi, odcięte jest od oceanu tak potężnym wałem kry lodowej, że nikt z poprzednich żeglarzy nie domyślał się nawet jego istnienia. Ross pierwszy skierował swe statki „Erebus“ i „Terror“ w wązkie kanały tej zapory i dostał się na morze. Morze Rossa, leżące na południe od Nowej Zelandyi, miało odegrać później pierwszorzędną rolę w wyprawach Scotta, Shackle-

[1]) Ostatnia ekspedycya australska Douglasa Mawsona stwierdziła, że *kraj Clarie* był zwykłą ścianą lodową, którą Dumont d'Urville wziął za ląd. Omyłki te nieraz zdarzały się podróżnikom antarktycznym.

tona i Amundsena do bieguna południowego. Wdzierając się bardzo głęboko w ląd Antarktydy, daje ono możność okrętom posunięcia się bardziej na południe, niż gdziekolwiekindziej i dlatego właśnie południowe jego wybrzeże, potężna ściana lodowa, zwana od owych czasów *Wielką Baryerą*, stała się miejscem przezimowania i punktem operacyjnym dla wypraw tych trzech podróżników. Wschodnie wybrzeże tego morza przedstawiło się załodze Rossa jako wał lodowy, nie uprawniający do żadnych przypuszczeń,[1]) natomiast brzeg zachodni utworzony był przez potężny łańcuch górski około 3000 m. wysokości.[2]) W miejscu, gdzie ten grzbiet schodził się na południu z *Wielką Baryerą*, ujrzała załoga potężne wulkany, świadczące kłębami dymu o nurtującem życiu wśród tej pozornie zamarłej na wieki przyrody. Nazwano je od imion statków *Erebus* i *Terror*.

O ile poprzednio odkryte kraje Antarktydy mogły i mogą uchodzić za olbrzymi archipelag, wieńcem dookoła opasujący biegun południowy, o tyle odkryte teraz potężne góry mogły uprawniać do przypuszczeń, że kontynent tych gór biegnie aż do bieguna.

Mimo tak świetnych rezultatów, przykład Rossa nie prędko znalazł naśladowców.

## II.

Po odjeździe Rossa na lodach Antarktydy zapanowała cisza, przerywana jeno świstem syren statków wielorybniczych, których kapitanowie obok łupu nieraz cenne dla przyszłych żeglarzy przywozili wskazówki.

Ale w ostatnich kilkunastu latach zaroiło się w owych stronach. Zdumione stada fok i pingwinów całemi miesiącami, co roku niemal, oglądały czarne sylwety okutanych w futra postaci, widziały dymy, snujące się ze statków, zamkniętych w skorupę lodową, z chat drewnianych, pobudowanych w szczerym lodzie, słyszały huk wysadzanej w powietrze kry, tamującej nawom po-

[1]) Późniejsze ekspedycye odkryły tu ląd, nazwany *krajem Edwarda VII.*

[2]) Nomenklatura antarktyczna, już dzisiaj niezwykle bogata, dała tym górom nazwę *Gór Zachodnich*, to znów *Królowej Aleksandry*. Ta druga nazwa używaną jest jednak raczej dla południowego przedłużenia tych gór, poza równoleżnikiem brzegu *Wielkiej Baryery*.

wrót do ojczyzny. Robinson podbiegunowy z niemałem zdziwieniem zobaczyć mógł na niepokalanym dotąd niczyją stopą śniegu odciski ludzi, koni, psów, ślady nart i sani, zasypane w śniegu chaty, czasem krzyż na mogile lodowej, to znów barwną flagę, targaną wichurą.

Od piętnastu lat kilkuset ludzi, uczestniczących w 14 ekspedycyach, bawiło na lodach antarktycznych; kosztem kilkunastu milionów, ofiarą niesłychanych wysiłków, poświęceniem niejednego życia ludzkiego wydarto mnogie tajemnice szóstej części świata, w której samo serce zajrzał wreszcie Amundsen i Scott z garstką bohaterów.

*Terra australis nondum cognita* wciągniętą została pod imieniem Antarktydy [1]) w rejestr rzeczy znanych; za przykładem bieguna północnego niedługo i południowy poddał się zwycięskiej stopie śmiałego wikinga.

Wszystkie dawniejsze wyprawy antarktyczne były właściwie rekonesansami, sygnalizowały, w którem miejscu znajduje się nieprzyjaciel, ale go wprost nie atakowały.

Wyprawa nowożytna odbywa się w inny sposób. Nie opływając dookoła Antarktydy, ekspedycya zawija wprost do terenu działania, z góry oznaczonego, aby tam uczynić wszystko, czego od niej wymaga nauka. Zbadanie tedy dokładne układu pionowego i poziomego, zebranie wszystkich danych geologicznych, klimatologicznych i meteorologicznych, biologia i klasyfikacya miejscowej flory i fauny, niemniej jak badania magnetyzmu ziemskiego, tak ważne ze względu na sąsiedztwo bieguna magnetycznego, oraz badania oceanograficzne południowego Oceanu lodowatego, oto zakres pracy każdej ekspedycyi nowożytnej, udającej się w strony bieguna południowego.

Niepodobna pominąć w tem miejscu pewnego spostrzeżenia, nasuwającego się mimowoli przy studyowaniu historyi tych wypraw.

Tam, gdzie chodzi o rekord rezultatów czysto geograficznych, o śmiałe odkrycie lądu, o którym dotychczas nikt nie wiedział, o dotarcie do punktu, gdzie stopa ludzka jeszcze nie po-

[1]) Nazwa nowego kontynentu nie jest właściwie jeszcze ustaloną. Najsłuszniejsze wydaje się zdanie Karola Rabot, znanego tłómacza wielu dzieł z literatury antarktycznej na francuski, który w swem tłómaczeniu podróży Nordenskjölda proponuje nazwę *Antarktyki* dla lądu i wysp bieguna południowego, a *Antarktydy* dla samego kontynentu.

stała, tam spotykamy ekspedycye, prowadzone przez nieustraszonych żeglarzy. Nie jest to rzeczą przypadku, że o dotarcie do bieguna południowego, które nazawsze pozostanie jednym z najśmielszych czynów ludzkich, ubiegali się właśnie kapitanowie Scott, Shackleton, Amundsen, że pierwszy na przezimowanie wśród lodów podbiegunowych odważył się kapitan Gerlache, że pierwszym, który wysiadł na ląd i puścił się ku biegunowi, był kapitan Borchgrevink.

Drugą kategoryę wypraw antarktycznych stanowią ekspedycye, organizowane i prowadzone przez uczonych przyrodników. Ekspedycye Drygalskiego, Charcota, Bruce'a, Nordenskjölda, Mawsona, acz nieraz obfitujące w bardzo dramatyczne epizody i wzbogacające geografię Antarktydy ważnemi odkryciami, główny nacisk kładą przecież na prace naukowe w okolicach bardziej już znanych.

Rezultaty tych wszystkich wypraw dopełniają się w przedziwny sposób, tworząc razem obraz najszlachetniejszego, jakie sobie można pomyśleć, współzawodnictwa wszystkich niemal narodów aryjskich.

Charakterystycznym epizodem każdej nowoczesnej ekspedycyi antarktycznej jest przezimowanie na miejscu, czy to na statku, czy w zbudowanym na lądzie domu; w tym drugim wypadku statek zwykle odjeżdża na północ, by powrócić następnego lata i zabrać załogę.

Warunek ten, obowiązujący zresztą i w wyprawach arktycznych, podyktowany jest właściwościami astronomicznemi i klimatycznemi strefy zimnej. Krótkie nadzwyczaj lato podbiegunowe, trwające nie dłużej nad trzy miesiące, wymaga wielkiej ekonomii czasu. Lato podbiegunowe to nietylko czas wyższej trochę temperatury, to także przedewszystkiem podbiegunowy dzień, dający światło słońca przez całą dobę, umożliwiające pracę ludzką. W tych warunkach ekspedycya już z początkiem lata musi być na miejscu, by módz skutecznie pracować.

## III.

Palma pierwszeństwa w historyi nowoczesnych ekspedycyi antarktycznych należy się znanej powszechnie wyprawie belgij-

skiej, zorganizowanej i prowadzonej w latach 1897 — 9 przez kapitana Adryana de Gerlache na statku „Belgica“ [1]).

Gerlache od dziecka marzył o karyerze żeglarskiej. Młody uczeń szkoły politechnicznej wstępuje do marynarki, jako chłopak okrętowy, przechodzi twardą szkołę majtka, zdaje egzamina i zostaje porucznikiem marynarki. Zawód swój pojmuje bardzo poważnie, bo pomimo stopnia oficerskiego, dwukrotnie, jako zwykły majtek, bierze udział w dalekich wyprawach, raz na morze Czarne, drugi raz do Ameryki.

W 25-ym roku życia myśli już o wyprawie antarktycznej i Nordenskjöldowi, który nie mógł zebrać funduszów na taką wyprawę, proponuje wyszukanie na nią środków w Belgii, w zamian za swój udział w ekspedycyi. Wyprawa szwedzka nie doszła do skutku, zaczem Gerlache postanawia ją podjąć na własną rękę.

Były to czasy, kiedy statki, jadące na połów fok i wielorybów w okolice wysp *Południowo-Szetlandzkich*, coraz ciekawsze przywoziły wieści o tajemniczej Antarktydzie, kiedy zwłaszcza norweski kapitan Larsen, zapuściwszy się na statku wielorybniczym „Jazon“ poza koło polarne, odkrył *kraj Oskara II*, stawiając żeglarzom do rozwiązania problemat, czy kraj ten nie jest może wschodnią częścią znanego już *kraju Grahama*.

Po kilku latach niezmordowanej pracy Gerlache potrafił zainteresować swym projektem opinię publiczną, zyskać dla niego pomoc mecenasów i państwa i zapewnić fundusz na zorganizowanie wyprawy.

W sierpniu r. 1897 wypłynęła z Antwerpii „Belgica“, dawny wielorybniczy statek norweski, tak maleńki, że początkowo chciał go kapitan przezwać skorupką.

Załogę stanowiło 19-tu ludzi młodych, których komendant liczył 31-szy, a najstarszy z członków wyprawy 34-ty rok życia. Na siedmiu majtków—pięciu było narodowości norweskiej. Sztab naukowy liczył obok Rumuna i Belgów dwóch młodych przyrodników Polaków (Henryk Arctowski i Antoni Dobrowolski). Wśród oficerów znajdował się młody porucznik, 25-letni Norweg, Roald Amundsen, przyszły organizator przeprawy północno-zachodniej i odkrywca bieguna południowego, wówczas już wytrawny żeglarz, znający trudy wyprawy polarnej.

[1]) *Voyage de la Belgica.* Quinze mois dans l'Antarctique, par le commandant de Gerlache. Prèface par Élisée Reclus. Hachette—Paris, 1902. Kilku uczestników tej wyprawy ogłosiło własne pamiętniki.

W Ameryce połączył się z wyprawą w charakterze lekarza dr. Cook, przyszły niefortunny odkrywca bieguna północnego. W wyprawie belgijskiej spisał się dzielnie, a Gerlache i Amundsen nie szczędzą mu pochwał.

Jakiż był plan wyprawy belgijskiej?

Autorem jego był młody, zapalony, odważny żeglarz.

Dostać się na morze *Weddella* (inaczej m. *Jerzego IV*), gdzie ten nieustraszony marynarz przed 74 laty dotarł do 74° poł. sz., nie spotkawszy zapory, a jeśli się nie uda wedrzeć głębiej we wnętrze Antarktydy, powrócić i z przeciwległej strony od Australii, gdzie przed pół wiekiem Ross odkrył śródziemne morze polarne, dostać się na ląd *Wiktoryi* (na zachodniem wybrzeżu m. *Rossa*)[1]), przezimować tam z trzema towarzyszami, gdy tymczasem „Belgica", zaopatrzywszy się w zapasy w Melbourne, powróci następnego lata,—oto czego zamierzał dokonać Gerlache.

Plan to bohaterski, nie liczył się jednak ani z krótkością lata polarnego, ani z właściwościami osławionej kry lodowej. Ani jeden więc z punktów programu nie mógł być wykonany. Po przybyciu do brzegów Antarktydy w letniej porze starczyło czasu jedynie na zbadanie cieśniny *Gerlache'a*, pomiędzy archipelagiem *Palmera* a ziemią *Danka*, przedłużeniem północnem kraju *Grahama*. Kra lodowa okazała się nader niegościnną: zamknęła statek w twardą skorupę i przez rok przeszło wodziła go ze sobą zygzakami tu i tam, między 80° a 100° zach. długości.

Księga tej wyprawy zapisała się wogóle niejednym dramatycznym epizodem.

Jeszcze w ciasnych kanałach *Kraju Ogniowego*, najniebezpieczniejszem podobno miejscu dla żeglarzy, „Belgica" już miała się roztrzaskać; z wielkiego masztu wywieszono flagę belgijską, jako pożegnanie dalekiej ojczyzny, gdy młody komendant, zamknięty w kajucie, płakał, widząc już zniszczone dumne plany całego życia.

Wyszli jednak cało.

Później fala porwała młodego majtka Wienckego, a potem nastało to długie więzienie wśród lodów, którego się nikt nie spodziewał. Słońce schowało się na całe miesiące, nieprzygotowana na zimowanie załoga urządziła się na statku, jak mogła. W tę długą, ponurą noc jeden ze sztabu naukowego, przyjaciel

[1]) *Krajem Wiktoryi* nazwano wielką wyżynę antarktyczną, której krawędź wschodnią stanowią właśnie *Góry Zachodnie* albo *Królowej Aleksandry*.

Gerlache'a, młody Danko, zmarł na jego rękach na chorobę serca, jeden z majtków oszalał, nie mogąc znieść podbiegunowej nocy, załoga cała rozchorowała się na skorbut, i wreszcie zaczęto tracić nadzieję oswobodzenia i przed wszystkimi stanęło widmo śmierci.

Znowu jednak ocaleli; lody ruszyły i oswobodziły statek. Z wyjątkiem dwóch, powrócili wszyscy do swoich, pamiętając na całe życie te długie miesiące, w których bez przestanku rozlegały się jęki ukochanego statku, ostatnim wysiłkiem opierającego się potężnym uściskom ciągle żywej skorupy lodowej.

Jakiż jest rezultat wyprawy belgijskiej?

Stwierdzenie wielkiej zaklęsłości (4,000 m.) w dnie morskiem, na południe *Kraju Ogniowego* w cieśninie *Drakego*, oddzielającej Amerykę od Antarktydy, obalające dotychczasowe przypuszczenie, jakoby *Kraj Grahama* był przedłużeniem Andów, ustalenie kartograficzne konturów archipelagów *Południowo-Szetlandzkiego* i *Palmera*, cieśniny *Gerlache'a* i *kraju Danka*, bogate obserwacye geologiczne, stwierdzające, że *Kraj Ogniowy* i wyspy sąsiednie noszą niewątpliwie ślady epoki lodowej, czyli że tutaj, podobnie jak na półkuli północnej, skorupa lodowa ustępuje coraz bardziej ku biegunom, ważne obserwacye tyczące się powstawania, składu i ruchów lodów i lodowców, spostrzeżenia meteorologiczne i magnetyczne, bogate zbiory fauny i flory antarktycznej, obok szeregu pierwszorzędnych spostrzeżeń, ważnych dla następnych wypraw, zwłaszcza co do miejsc dogodnych dla przezimowania i urządzenia stacyi obserwacyjnych—oto plon tej pierwszej prawdziwie naukowej ekspedycyi antarktycznej.

## IV.

Kiedy „Belgica“ zamknięta jeszcze była w lodach podbiegunowych, inny statek przebijał się przez gęstą krę ruchomego lodu: wyprawa angielska pod wodzą norweskiego kapitana Carstena Borchgrevinka płynęła na podbój Antarktydy.[1])

Historya życia tego dzielnego człowieka zasługuje na to, aby jej kilka słów poświęcić.

---

[1]) Carsten Borchgrevink: *First on the antarctic expedition—1901.* Dzieło to wyszło po niemiecku w r. 1905 we Wrocławiu p. t. *Das Festland am Südpol.*

Jako młody chłopak, marzył już Borchgrevink o podróżach polarnych, śledził pilnie opisy wypraw w obydwie strefy zimne i niejedną noc bezsenną spędził w studenckiej izbie z oczyma utkwionemi w globus. Trzy lata spędzone w akademii leśnej w Tharandt, w Saksonii, dały mu obok praktycznych wiadomości na polu geodezyi, dobre wykształcenie w geografii i przyrodzie, które od dziecka ukochał.

W 24-ym roku życia zawitał do Australii, gdzie się wsławił, jako dzielny badacz wnętrza tego kontynentu. Tam dojrzała w nim myśl poświęcenia się wyprawom antarktycznym.

W r. 1894 przepływał koło Australii norweski statek „Antarctica“ z kapitanem Christensenem. Borchgrevink skorzystał z tego i przyłączył się do wyprawy, jadącej na połów fok i wielorybów, jako zwykły majtek.

Kapitan Christensen dostał się na morze *Rossa*, a choć nie znalazł tam wielorybów grenlandzkich, których szukał na południu, wyprawa jego ma duże zasługi na polu naukowem.

W przejeździe około przylądka *Adare* (u wejścia na morze *Rossa*) na prośby Borchgrevinka kapitan wysłał łódź z kilkoma ludźmi. Borchgrevink dojrzał z bocianiego gniazda pas ziemi czarnej, wolnej od lodu i odrazu powziął myśl, że tu możnaby przezimować.

Christensen i Borchgrevink wyskoczyli pierwsi z łodzi na stały ląd nowego kontynentu. Ci dwaj Norwegowie byli pierwszymi z ludzi, których stopa stanęła na lądzie Antarktydy.

Ta wyprawa rozstrzygnęła o losach Borchgrevinka.

Za ostatnie pieniądze jedzie do Europy, trafia do Londynu w ostatni dzień międzynarodowego kongresu geograficznego i tu przed forum geografów z całego świata zdaje sprawę z podróży Christensena, zarysowując zarazem plan wyprawy antarktycznej. Odtąd przez kilka lat niezmordowanie jeździ z odczytami po Europie, Ameryce i Australii, drukuje niezliczoną ilość artykułów, broniąc ukochanego projektu.

Jego plan był równie śmiały, jak plan Gerlache'a.

Opierając się na podróży Rossa i własnem doświadczeniu podczas wyprawy Christensena, Borchgrevink zamierzał dostać się do przylądka *Adare*, przezimować tam na lądzie z kilku towarzyszami, poświęcając ten czas głównie na badania magnetyzmu ziemskiego, ułatwione przez blizkość bieguna magnetycznego, a tak ważne zarówno dla nauki, jak i dla żeglugi. Statek jego miał tymczasem przezimować u brzegów Australii, by powrócić z nadejściem lata, a zabrawszy załogę z przylądka *Adare*,

płynąć na południe dla zbadania słynnej *Wielkiej Baryery*, zamykającej od południa morze *Rossa*. Wylądowawszy na Baryerze, uważanej dotychczas za niedostępną, zamyślał Borchgrevink puścić się ku biegunowi w kilka sań, zaprzężonych w psy grenlandzkie.

Plan ten olbrzymi przerastać wówczas zdał się siły ludzkie. Nic dziwnego, że znalazł odrazu licznych przeciwników, twierdzących, że nigdy człowiek nie zniesie zimy podbiegunowej.

Ale energia dzielnego człowieka zwyciężyła.

Wydawca i deputowany angielski, sir George Newnes, ofiarował Borchgrevinkowi 35,000 f. szt. na wyprawę, zostawiając mu zupełną swobodę w opracowaniu ekspedycyi.

Ostatniego sierpnia 1899 r. norweski statek rybacki, przezwany „Southern Cross“, z załogą 31 ludzi wypłynął z Londynu w drogę.

Z wyjątkiem 3 Anglików, Szweda i 2 Lapończyków, cała załoga składała się z Norwegów, ponieważ ci, według słów Borchgrevinka, „przyzwyczajeni są do śniegów i lodów i doskonale jeżdżą na nartach“.

Plan ekspedycyi wykonano we wszystkich szczegółach.

Na przylądku *Adare* przezimował Borchgrevink z 9 towarzyszami, czyniąc szereg spostrzeżeń naukowych, zbierając liczne okazy fauny i flory podbiegunowej. Podczas zimy zmarł zoolog wyprawy, Hanson. Z nadejściem lata powrócił statek, zabrał ich na pokład, poczem wszyscy popłynęli na południe śladami Rossa. Około wulkanów *Erebus i Terror* zwrócono się na wschód, płynąc wzdłuż słynnej baryery lodowej. U wschodnich jej krańców Borchgrevink wysiadł na lód i z dwoma towarzyszami na nartach puścił się na południe, obok sani, zaprzężonych w 12 psów. Wyprawa ta dotarła po lodzie do 78° 50′ południowej szerokości.

Rezultaty ekspedycyi Borchgrevinka są pierwszorzędnej doniosłości.

Wejściem na *Wielką Baryerę* obalił powszechne zdanie o jej absolutnej jakoby niedostępności, a wycieczką po lodzie na południe otworzył drogę późniejszym wyprawom, dążącym do bieguna południowego. Stwierdził rezultaty wyprawy Rossa, udowadniając, że zachodnie wybrzeże morza *Rossa* utworzone jest z potężnego łańcucha górskiego, biegnącego z północy na południe, przez co dawał mocny grunt starej hypotezie, wierzącej w istnienie lądu na biegunie południowym. Wzbogacił nadto w wysokim stopniu geologię, zoologię, botanikę i meteorologię strefy zimnej

południowej. Jego obliczenia natomiast, umieszczające biegun magnetyczny pod 73° 20 poł. szer. a 146° wsch. dług. okazały się mylne.

## V.

Szósty międzynarodowy kongres geograficzny w Londynie, w r. 1895, o którym wspomnieliśmy poprzednio, powziął między innemi taką rezolucyę:

„Kongres wyraża przekonanie, że zbadanie antarktycznych okolic jest najważniejszem zadaniem geografii, które jeszcze pozostaje do spełnienia, a zważywszy, że przez wyniki takiej wyprawy wzbogaci się wiedza ludzka prawie we wszystkich swych gałęziach, poleca różnym towarzystwom naukowym całego świata poruszenie wszystkich sprężyn, aby tę pracę rozpocząć jeszcze przed końcem stulecia".

Ta rezolucya Kongresu geograficznego jest najlepszym wyrazem powszechnego zainteresowania się tajemnicą bieguna południowego w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego stulecia.

Wyprawy Gerlache'a i Borchgrevinka mogły były dojść do skutku, bo znalazły poparcie dzięki temu powszechnemu zainteresowaniu.

O ile jednak główna zasługa obydwóch tych wypraw przypada inicyatywie i energii ich organizatorów, o tyle najbliższa ekspedycya antarktyczna niemiecka jest dziełem zbiorowem całego grona uczonych, które odrazu znalazło poparcie rządu, biorącego na siebie koszta wyprawy. W przygotowaniu jednak gruntu dla tej ekspedycyi należy wyróżnić dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Hamburgu, Neumayera, który od szeregu lat propagował ideę wypraw antarktycznych, oraz jej kierownika, podówczas profesora geografii fizycznej w Berlinie, Eryka Drygalskiego, mającego już za sobą wyprawę naukową do Grenlandyi.

Wyprawa ta stwarza typ ekspedycyi antarktycznej *par excellence* naukowej, główny nacisk kładąc na obfitość spostrzeżeń i badań naukowych, zaś w kwestyi odkryć geograficznych chodzi jej nietyle o dotarcie do miejsc zupełnie nieznanych, ile raczej o skontrolowanie i stwierdzenie terenów już zaznaczonych.[1])

[1]) *Zum Kontinent des eisigen Südens* von Erich von Drygalski. Deutsche Südpolarexpedition — Fahrten und Forschungen des Gauss 1901—1903. Berlin, 1904.

Ekspedycya niemiecka rozporządzała środkami bardzo znacznymi (1½ miliona marek). Na jej cele zbudowano umyślnie statek, ochrzczony imieniem Gaussa, uczonego twórcy badań nad magnetyzmem ziemskim.

„Gauss“ opuścił Kiel w sierpniu 1901 r. z załogą złożoną z trzydziestu kilku ludzi, między którymi znajdowało się kilku Szwedów i Norwegów.

Terenem operacyjnym ekspedycyi Drygalskiego były okolice, w których Wilkes przed 60-iu laty sygnalizował ląd (*Termination Land*), na południe od oceanu Indyjskiego, na tych samych prawie południkach, na których z przeciwległej strony Antarktydy błąkała się przed kilku laty „Belgica“.

Ekspedycya niemiecka, urządziwszy stacyę magnetyczną na wyspach *Kerguelach*, zawinęła w strony, gdzie miał się znajdować *Termination Land*. Nie znalazłszy go,[1]) przezimowała na statku nieco dalej na zachód w zatoce lądu nazwanego *Krajem Wilhelma II*. W niewielkiej odległości od brzegu odkryto niewysoką górę, nazwaną górą *Gaussa*.

Podobnie jak „Belgica“, tak i „Gauss“ zamknięty został przez lody na przeciąg przeszło roku, z tą jednak różnicą, że ponieważ stał tuż u brzegów, nie zmieniał prawie miejsca. Ale jak na wyprawie belgijskiej, tak i teraz musiano rznąć piłą i wysadzać melinitem kanały w lodzie dla przeprowadzenia statku.

Rezultaty wyprawy Drygalskiego, choć nie rzucają się w oczy profana żadnym epizodem efektownym, ani dotarciem daleko na południe, ani też dramatycznemi przejściami, są bardzo poważne, gdyż dostarczyły nauce przebogatego materyału ilościowo i jakościowo.

## VI.

Kierownik najbliższej wyprawy szkockiej, która w latach 1903 i 1904 bawiła u brzegów Antarktydy, dr. Wiliam Bruce, dyrektor instytutu oceanograficznego w Edymburgu, to wytrawny podróżnik po obydwóch strefach zimnych. W latach 1892—3 brał udział w wyprawie antarktycznej na połów wielorybów, a następnie w wyprawach arktycznych Jacksona, Coats'a i ks. Monaco.

[1]) Ostatnia ekspedycya australska Mawsona odnalazła *Termination Land*.

Jako teren działania, obrał Bruce *morze Weddella*, wrzynające się pomiędzy lody antarktyczne między 15° a 40° zach. dł. na południe od oceanu Atlantyckiego. Angielski kapitan Jakób Weddell natrafił tam na otwarte morze i dotarł do 74° 15′ poł. sz., nie spotykając żadnej zapory. Morze to przypomina swą daleką rozciągłością *m. Rossa*, z tą jedynie różnicą, że tam natrafiono na południowy brzeg, ową *Wielką Baryerę*, gdy tutaj nie wiedziano zupełnie, jak daleko na południe można dotrzeć. Południowy jego brzeg może służyć prawdopodobnie za podstawę dla podróży do bieguna, jak *Wielka Baryera* na *m. Rossa*.

Ekspedycya szkocka d-ra Bruce'a, jadąca na statku „Scotia“ [1]), dwukrotnie się tutaj zapuszczała i we wschodniej stronie odkryła ląd, nazwany *krajem Coats'a*, na pamiątkę braci Coats'ów, którzy dopomogli Bruce'owi do zorganizowania tej wyprawy. Ekspedycya ta przezimowała ze statkiem u wysp *Południowo-Orknejskich*.

Rezultatem jej jest odkrycie wspomnianego lądu na *m. Weddella*, bogate zbiory z tego lądu i z archipelagu *Orknejskiego*, oraz bardzo interesujące pomiary głębokości morskich w owych stronach.

I ta ekspedycya zapłaciła haracz lodom antarktycznym, tracąc inżyniera Ramsay'a.

*

* *

Równocześnie z ekspedycyą szkocką, w niewielkiej od niej odległości, pracowała szwedzka wyprawa d-ra Ottona Nordenskjölda, młodego docenta geologii, znanego już z chlubnych wypraw do Kraju Ogniowego, na Alaskę i do Grenlandyi, synowca Eryka Nordenskjölda, słynnego podróżnika do krajów polarnych północnych.

Ekspedycya ta [2]), którą wiózł weteran licznych podróży w obie strefy zimne, słynny statek „Antarctic“, zyskała wśród szerokiej publiczności wielki rozgłos z powodu bardzo drama-

---

[1]) Wiliam Bruce: *The Voyage of the Scotia.* Being the Record of a Voyage of Exploration in Antarctic Seas. Edymburg, 1906 (W. Blackwood).

[2]) Pamiętnik tej ekspedycyi wyszedł w wielu językach europejskich. Do pracy niniejszej korzystaliśmy z francuskiego wydania. Dr. O. Nordenskjöld: Au pôle antarctique. Paryż, 1905.

tycznych przejść, a wśród świata naukowego głównie dzięki znalezieniu skamienielin ze świata roślinnego, stwierdzających, że Antarktyda pokryta była niegdyś bujną wegetacyą.

Ekspedycyę Nordenskjölda prowadził, jako żeglarz, kapitan Larsen, młody, ale doświadczony podróżnik antarktyczny. Terenem pracy miało być zachodnie wybrzeże *m. Weddella*, to jest wschodnie strony tych lądów, które po stronie zachodniej badała belgijska wyprawa Gerlache'a.

Na wyspie *Snow Hill* wysiadł Nordenskjöld z pięcioma towarzyszami, aby tu przezimować w drewnianym domu.

Statek tymczasem odjechał na zimę na północ, gdzie w *Kraju Ogniowym* i na wyspach Południowo-Georgijskich pilnie pracowano. Z nadejściem lata „Antarctic“ puściła się z powrotem na południe, aby zabrać załogę ze *Snow Hill*, ale stan lodów nie pozwolił zbliżyć się do wyspy, zaczem dr. Andersson, porucznik Duse i jeden z majtków wylądowali w *kraju Ludwika Filipa*, w niewielkiej odległości na północ od kwatery Nordenskjölda, aby z tej strony lądem i po zamarzniętej cieśninie dostać się do kwatery i zawiadomić jej załogę, że chwilowo statek nie może przybyć. Przekonano się jednak, że między wyspą *Snow Hill* a lądem *Ludwika Filipa* jest jeszcze potężna wyspa (Nordenskjöld dał jej imię *Rossa*), a stan lodów dokoła niej nie pozwolił się dostać do kwatery zimowej.

Andersson i jego towarzysze zostali w ten sposób odcięci od świata, statek odjechał bowiem zaraz po ich wylądowaniu, gdyż kapitan Larsen nie przypuszczał, że tak się stać może.

Nasza trójka znalazła się w położeniu stokroć gorszem, niż Robinson. Pokazało się jednak, że energia ludzka przezwycięża przeszkody, które nieraz wydają się nie do pokonania.

Nie czekając aż sroga zima wyssie ostatnie tchnienie z piersi, zbudowano z kamieni chatę, używając guana pingwinów za cement, upolowano wielką ilość fok i pingwinów i zdrowo przetrzymano do lata.

Ten iście robinsonowy epizod miał się jeszcze nieraz powtórzyć w późniejszych wyprawach antarktycznych.

Tymczasem „Antarctic“ po raz drugi usiłowała dotrzeć do *Snow Hill*, ale kry lodowe pochwyciły ją w swoje objęcia, przedziurawiły ścianę, a po kilku dniach rozpaczliwej walki załoga musiała opuścić tonący statek. Weteran tylu wypraw polarnych spoczął na zawsze na dnie morskiem.

Na poblizkiej wyspie *Paulet* rozbitki zbudowali obszerną chatę z kamieni i desek i przezimowali. Podczas długiej nocy

podbiegunowej zmarł z wycieńczenia młody majtek norweski, Wenersgaard, zdoławszy ostatkiem sił przesłać pozdrowienie rodzicom w dalekiej ojczyźnie.

Z nadejściem pomyślniejszej, pory z wiosną oba oddziały rozbitków wyruszyły na odnalezienie Nordenskjölda, co im się też udało.

Ocalił ekspedycyę dopiero statek „Urugwaj“, wysłany na ratunek przez rząd argentyński.

Charles Rabot, znany tłómacz francuski wielu podróży polarnych. tak się wyraża o rezultatach tej ekspedycyi:

„Na polu geografii właściwej dzieło, dokonane przez wyprawę skandynawską, ma pierwszorzędne znaczenie. Jeszcze niedawno stan rozłożenia lądu i morza w tej części Antarktydy, która sąsiaduje z Ameryką, był zupełnie nieznany, a jego wyobrażenie kartograficzne przedstawiało najdziwaczniejsze sprzeczności. Na jednej mapie widniało morze w tem miejscu, gdzie inna mapa podawała ląd. Dzięki pracom topograficznym d-ra Nordenskjölda i jego towarzyszy, wśród których na pierwszem miejscu wymienić należy porucznika Duse, ważna część Antarktydy amerykańskiej zarysowała się na mapach. Późniejsze ekspedycye uzupełnią i sprostują mapę tych okolic, ale już dzisiaj ukształtowanie tej części kontynentu antarktycznego oznaczone jest w głównych zarysach.

„Wszystkie inne gałęzie nauki również wzbogaciły się dzięki bogatym odkryciom pełnych zapału naturalistów skandynawskich. Nawet w najkrytyczniejszych sytuacyach ci dzielni badacze pracowali zawsze z tym samym spokojem, którym odznaczają się ludzie północy.

„Oceanografii, meteorologii, magnetyzmu ziemskiego, glaciologii, geologii, botaniki, zoologii — żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej nie pominięto. Odkrycie śladów roślinności w epoce jurajskiej i trzeciorzędowej w Antarktydzie jest faktem naukowym pierwszorzędnej doniosłości i z nowego punktu oświetla historyę naszej planety“.

## VII.

W tym samym czasie, co Drygalski, Bruce i Nordenskjöld, u brzegów Antarktydy bawił kapitan R. Scott, który podczas drugiej swej ekspedycyi zginął w powrocie z bieguna.

Jak w Niemczech Neumeyer, tak w Anglii Klemens Markham, sędziwy prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, popularyzował znajomość Antarktydy i propagował myśl wielkiej ekspedycyi naukowej do tej szóstej części świata.

Dzięki jego niestrudzonej zabiegliwości Towarzystwo Geograficzne, osoby prywatne i rząd złożyły sumę 2,300,000 fr. na koszta wyprawy. Na jej kierownika powołano młodego oficera marynarki, Roberta Scotta. [1])

Kosztem 1,275,000 fr. zbudowano umyślnie dla tej wyprawy statek, nazwany „Discovery“, na pamiątkę kilku statków tego imienia, które chlubną odegrały rolę w dawniejszych odkryciach geograficznych.

W sierpniu 1901 r. opuściła „Discovery“ brzegi Anglii, wioząc załogę z 50 ludzi młodych, przyrodników, oficerów i marynarzy. Wśród sztabu naukowego był przyrodnik Bernacchi, uczestnik antarktycznej wyprawy Borchgrevinka.

Celem ekspedycyi było możliwie dokładne zbadanie *Ziemi Wiktoryi*, tworzącej zachodnie wybrzeże morza *Rossa*.

Wyprawa dobiła szczęśliwie do południowo-zachodniego kąta m. *Rossa* (zatoki *Mac Murdo*), a płynąc następnie ku wschodowi, wzdłuż *Wielkiej Baryery*, śladami Rossa i Borchgrevinka, czyniąc po drodze sondowania, po drugiej stronie wschodniej m. *Rossa* sygnalizowała ląd, przezwany *Krajem Edwarda VII.* Nie opuszczając jednak statku, powrócono do zatoki *Mac Murdo*, gdzie postanowiono przezimować.

Statek zatrzymano w miejscu, uważanem za bezpieczne, gdzie go wkrótce zamknęła skorupa zwierającej się kry lodowej. Załoga zaś zbudowała w niewielkiej odległości od wulkanów *Erebus* i *Terror* wielką chatę, gdzie spędzono dwie zimy.

W Anglii interesowano się tak żywo losami ekspedycyi, że dwukrotnie wysyłano statki ratunkowe, raz wielorybniczy statek norweski „Morning“, drugi raz „Morning“ i „Terra Nova“.

Ta druga wyprawa ratunkowa okazała się wielce przydatną, gdyż dopiero połączonym siłom wszystkich trzech statków udało się wyprowadzić z lodów „Discovery“, którą już zdecydowano się na rozkaz rządu pozostawić na pastwę żywiołów.

We wrześniu 1904 r. ekspedycya przybiła do ojczystych brzegów. I ta wyprawa złożyła haracz Antarktydzie. Opodal

[1]) Robert F. Scott: *The Voyage of the Discovery.* Londyn, 1905. Po francusku wyszło to dzieło w r. 1908 w Paryżu u Hachette'a p. t. Capitain Robert Scott: *La Discovery au Pôle Sud.*

zimowej kwatery wzniesiono krzyż na pamiątkę majtka Vince'go, zmarłego podczas pobytu wśród lodów.

Rezultaty ekspedycyi Scotta są imponujące.

Przekonano się, że *Kraj Wiktoryi*, przedstawiający się od strony morza jako łańcuch potężnych gór, biegnących dalej poza zatoką *Mac Murdo* ku południowi, jest w istocie wielką wyżyną, ciągnącą się hen ku biegunowi południowemu.

Scott kilkakrotnie zapuszczał się po *Wielkiej Baryerze* wzdłuż owego łańcucha *Gór Zachodnich* na południe. Na jednej z tych wypraw dotarł w towarzystwie Schackletona i d-ra Wilsona do 82° 17′ poł. sz. Wielki ten rekord wywołał słusznie duży entuzyazm w Europie i był dzielnym krokiem naprzód w turnieju, dążącym do podboju bieguna.

Dwaj inni członkowie ekspedycyi, Armitage i Skelton, pierwsi wdarli się na wyżynę *kraju Wiktoryi*, wznoszącą się w owem miejscu na 2,700 m.

Dodajmy do tego sygnalizowanie *Kraju Edwarda VII*, a otrzymamy czysto geograficzne rezultaty tej ekspedycyi.

Jak poprzednie wyprawy, tak i ta poczyniła podczas swego pobytu pierwszorzędnej wartości spostrzeżenia glaciologiczne, geologiczne, biologiczne, meteorologiczne, magnetyczne i oceanograficzne.

*

* *

Najpóźniej w tym turnieju antarktycznych wypraw, jaki się równocześnie rozegrał z początkiem XX-go stulecia, wyruszyła na pole walki ekspedycya francuska [1]), prowadzona przez młodego lekarza-bakteryologa Jana Charcota, znanego uczonemu światu z wyprawy na wyspę Jan Mayen w r. 1902.

W porównaniu do bogatych ekspedycyi Drygalskiego i Scotta, skromną rozporządzająca sumą (45,000 fr.), której znaczną część złożył sam Charcot, wyprawa francuska na statku „Français", zbudowanym umyślnie w warsztatach bretońskich, wyruszyła z Havru w sierpniu 1903 r., wioząc załogę 20 ludzi.

---

[1]) *Journal de l'Expedition Antarctique Française 1903—1905.* Le „Français" au Pôle Sud, par J. B. Charcot. Paryż, u Flammariona, 1906.

Sztab wyprawy, oprócz Charcota, liczył dwóch przyrodników i dwóch oficerów marynarki.

Program ekspedycyi, mającej zrazu na celu ratunek wyprawy Nordenskjölda, ustalony został ostatecznie w Buenos-Ayres, gdzie się dowiedziano o szczęśliwym wyniku ekspedycyi szwedzkiej. Program ten wyznaczał, jako pole pracy, okolice *Ziemi Grahama*, zwiedzone przez Biscoego, d'Urville'a i ostatnio przez Gerlache'a. Celem podróży było dokonanie badań na tych wszystkich polach, na których zwykła pracować każda wyprawa antarktyczna, z dołączeniem, jak zawsze, obowiązku topograficznego ustalenia danych okolic.

Wobec bardzo skromnych środków rezultaty, jakie zdołała osiągnąć ta ekspedycya, są zdumiewające.

„Français", przezimowawszy z załogą u wybrzeża wyspy *Wandel* (w archipelagu *Palmera*), powrócił w czerwcu 1905 r. do Francyi.

W trzy lata później wypłynęła dn. 15 sierpnia z Havru na statku „Pourquoi Pas?" druga wyprawa antarktyczna dra Charcota, z licznym sztabem przyrodników, dobrze przez rząd zaopatrzona [1]).

Ekspedycya ta pracowała w tych samych mniej więcej stronach, co pierwsza, której była niejako dalszym ciągiem. Przezimowano na maleńkiej wysepce *Petermana*, zwiedzono dokładnie wyspę *Deception*, odkryto *kraj Charcota* i z tych okolic, oprócz dokładnych map, przywieziono bardzo bogate materyały, wzbogacające niemało naszą wiedzę o przyrodzie Antarktydy.

## VIII.

Równocześnie z tą drugą wyprawą francuską pracowała na lodach bieguna południowego ekspedycya angielska Ernesta Shackletona, jednego z najdzielniejszych podróżników antarktycznych.

„Na podbój dziewiczych krajów puszczają się odkrywcy, pchani żądzą przygód, bądź powodowani chęcią zdobyczy naukowych, bądź też oczarowani tajemniczością rzeczy nieznanych. Na mc postanowienie udania się do Antarktydy wpłynęły te wszyst-

[1]) Dr. J. Charcot, *Le „Pourquoi Pas?" dans l'Antarctique.* Journal de la 2 expedition au Pôle Sud 1908—1910. Paris, Flammarion, 1910.

kie pobudki"—powiada z całą szczerością Shackleton na wstępie książki, opisującej historyę tej ekspedycyi [1]).

Z wyprawy Scotta, na której z Wilsonem i Scottem dotarł do 82° 17′ poł. sz., powrócił Shackleton zaraz w pierwszym roku do domu, na statku ratunkowym „Morning", zachorowawszy na skorbut. Po powrocie zaczął bezpośrednio snuć plany nowej ekspedycyi. Na niczyją pomoc nie mógł liczyć, raz dlatego, że społeczeństwo niedawno wydało kilka milionów na wyprawę Scotta, powtóre uważano go za niezdolnego do ekspedycyi, skoro zaraz w pierwszym roku nie mógł znieść trudów życia podbiegunowego.

Shackleton nie dał jednak za wygraną. Nie mając majątku, zadłużył się i za uzyskany kredyt kosztem 500,000 fr. wyekwipował wyprawę na starym statku wielorybniczym „Nimrodzie".

Celem wyprawy był pierwszy raz otwarcie wypowiedziany zamiar dotarcia do bieguna południowego. Oprócz tego zamyślał Shackleton wyprawić dwa oddziały, jeden na odkrycie bieguna magnetycznego, drugi dla zbadania *kraju Edwarda VII.*

Ekspedycya, której sztab składał się z 12 przyrodników i oficerów, opuściła w sierpniu 1907 r. brzegi Anglii.

Przebywszy wśród wielkich niebezpieczeństw strefę kry lodowej, broniącej dostępu do morza *Rossa*, „Nimrod" dotarł wreszcie do *Wielkiej Baryery*. Zamiarem Shackletona było początkowo obrać na miejsce przezimowania nie południowo-zachodni kąt tego morza, t. j. zatokę *Mac Murdo*, ale przeciwległy, wschodni, utworzony przez zatokę *Wielorybią*, wrzynającą się w sąsiedztwie *kraju Edwarda VII* bardziej na południe w lód *Wielkiej Baryery*. Stan lodów nie pozwolił na wylądowanie i wyprawa powróciła do zatoki *Mac Murdo*, gdzie na wyspie *Rossa* [2]) zbudowano u podnóża wulkanu *Erebus* kwaterę zimową, na północ od tego miejsca, gdzie zimował Scott. „Nimrod" odjechał do Nowej Zelandyi, pozostawiając w kwaterze 12 ludzi.

---

[1]) E. Shackleton: *The Heart of the Antarctic*, being the story of the British Antarctic Expedition. London, 1909, Keinemann. Po francusku: Sir Ernest Shackleton: *Au Coeur de l'Antarctique*, expedition du „Nimrod" au Pôle Sud. Paris, 1911, Hachette.

[2]) Nie należy mieszać tej wyspy Rossa z inną wyspą tego imienia, leżącą na morzu Weddella, znanej z wyprawy Nordenskjölda. Wyspa Rossa na morzu Rossa, kwatera zimowa Shackletona, stanowi podstawę wspomnianych parokrotnie wulkanów *Erebus i Terror*.

Zbadanie *kraju Edwarda VII* odpadło tedy z programu ekspedycyi, pozostawała wyprawa do bieguna geograficznego na południe i do bieguna magnetycznego na północo-zachód.

Jeszcze przed nadejściem zimy kilku z załogi zimowej dokonało niebezpiecznego wejścia na wulkan *Erebus*, wznoszący się przeszło 4,000 m. nad poziom morza.

Z nadejściem lata Shackleton z trzema towarzyszami wybrali się na podbój bieguna geograficznego.

Klasyczna ta podróż zasługuje na bliższą uwagę, raz dlatego, że jej uczestnicy wykazali istotne bohaterstwo, powtóre zaś z tego względu, że chociaż Shackleton nie dotarł do bieguna, wyprawa jego przekonała Amundsena i Scotta, że cel ten jest zupełnie możliwy do osiągnięcia.

Przy obecnym stanie wiadomości o Antarktydzie podróż do bieguna południowego jest możliwą jedynie od brzegów *Wielkiej Baryery*, gdyż w tem miejscu morze dochodzi do 78° poł. szerokości, zatem statek zbliża tutaj podróżników najbardziej do bieguna. Wyprawa musi przebyć drogę, równającą się odległości Florencyi od Dieppe, częścią po lodach *Baryery*, częścią po wyżynie centralnej, wdarłszy się na nią po łańcuchu nakrawędnych *Gór Zachodnich*. Problemat *Wielkiej Baryery* oświetlił dosyć dobrze Amundsen podczas swej ekspedycyi. Jestto olbrzymia równina skorupy lodowej, niejako przedłużenie morza *Rossa*, wznosząca się łagodnie od 80 m. przy brzegach, do 200 m. w głębi, olbrzymi ściek lodowców, spływających bądź z *Gór Zachodnich*, bądź z przeciwległego łańcucha górskiego, przedłużającego na południe *kraj Edwarda VII* (zbadanego później przez członków wyprawy Amundsena). Ta skorupa lodowa, spoczywająca częścią na podłożu lądu, częścią utrzymująca się nad głębiami morza, zwężająca się coraz bardziej ku południowi, niezmiernie plastyczna, powolnie, lecz stale będąca w ruchu, podległa silnym wpływom atmosfery i morza pod nią kłębiącego, poprzerzynana szczelinami, zasiana wzgórkami lodowymi i zaspami śnieżnemi, przedstawia mnogie niebezpieczeństwa dla podróżnika.

Łańcuch *Gór Zachodnich*, przeszło 3,000 m. wysoki, nie biegnie dokładnie po południku, ale omija biegun i podróżnikowi, idącemu od *Wielkiej Baryery*, zamyka drogę, zmuszając go do wspinania się na niebotyczne lodowce, nieraz prostopadłe. Idealnie południowy kierunek drogi, który mniej więcej można utrzymać na *Wielkiej Baryerze*, tutaj musi uledz zmianom, zboczeniom, kołowaniom, zależnie od konfiguracyi lodowców. Podróżnik musi

szukać przełęczy, by dostać się na wyżynę centralną, dosyć płaską, gdzie znów można postępować po południku.

Scott za pierwszego pobytu doszedł do 82° 17′ poł. sz., t. j. do podnóża *Gór Zachodnich*. Dostał się wprawdzie i on na wyżynę centralną, ale idąc z kwatery zimowej prosto na zachód.

Uczestnik wyprawy polarnej musi mieć wszelkie zalety dobrego alpinisty i narciarza obok wielkiego przyzwyczajenia do nizkiej temperatury. Druga wyprawa Scotta pokazała, że w stanowczej chwili powinien umieć okazać się bohaterem.

Od kierownika ekspedycyi wymaga się jeszcze czego innego. Musi on mieć geniusz wodza; by módz wygrać tę heroiczną walkę z przyrodą, musi umożliwić swym żołnierzom zwycięstwo.

Shackleton i Scott byli bohaterami, ale im brakło tej zalety i dlatego pierwszy nie doszedł do celu, drugi doszedł, lecz zginął w odwrocie. W wysokim stopniu miał te zalety Amundsen i dlatego na całej linii wyszedł zwycięsko.

Ekspedycya antarktyczna wymaga doskonałego wyekwipowania ludzi, chroniącego ich od odmrożenia, od ślepoty śniegowej, doboru żywności, niedopuszczającego skorbutu, a o ile jest połączona z wyprawą do bieguna, żąda mądrego rozłożenia tej żywności w składach po drodze i trafnego wyboru sił pociągowych w celu zaoszczędzenia sił ludzkich.

Scott w pierwszej swej wyprawie ku biegunowi, idąc za przykładem podróżników arktycznych, wziął ze sobą psy północne, którymi tubylcy północnej Ameryki i Azyi doskonale się posługują. Atoli sztuka kierowania zaprzęgiem kilkunastu psów jest trudna i wymaga olbrzymiej cierpliwości. Scott, zniechęcony trudnościami, stanowczo potępił użycie psów jako siły pociągowej na południu.

Shackloton, idąc za jego przykładem, zniechęcił się również do psów i wpadł na nieszczęśliwy pomysł użycia kuców mandżurskich. Z dziewięciu jego kuców zaledwo cztery przetrwały ostrą zimę podbiegunową. Tych użył Shackleton do zaprzęgu czterech sań, wybierając się do bieguna. Okazało się jednak, że kuce niezdolne są do znoszenia trudów ciężkiej drogi po nierównych lodach, są też za ciężkie, by przechodzić głębokie szczeliny lodowe, pokryte najczęściej leciutkim mostkiem śniegowym, zawątłym nieraz nawet dla psów. Kiedy oddział Shackletona doszedł do podnóża gór, nie stało już ani jednego kuca. Rozdzielono pakunki na dwoje sani, które z ciężarem blizko 500 kg. musiało czterech ludzi wyciągać po stromych lodowcach na 4,000 m. wysokości. Po niewypowiedzianych trudach, po wytężeniu woli

do ostatecznych granic, Shackleton dotarł wreszcie dn. 9 stycznia 1909 r. do 88° 23′ poł. sz.

Od tego miejsca rozpoczęto odwrót, będący jedną nieustanną walką na śmierć i życie z zawziętą przyrodą Antarktydy. Szczęśliwym trafem znaleziono wszystkie składy żywności, zostawione po drodze, co nie jest rzeczą łatwą, i 4 marca powrócono do osady zimowej.

Droga Shackletona wyniosła w obydwóch kierunkach 2,830 km.; przeszedł ją w 127 dniach, czyniąc przeciętnie po 22 km. dziennie.

Towarzyszyli Shackletonowi w tej wyprawie: porucznik marynarki Adams, meteorolog ekspedycyi, dr. Marshall, lekarz i topograf, oraz jeden z załogi, Wild, potomek słynnego Cooka, który pierwszy opłynął kontynent Antarktydy.

Równocześnie z tą podróżą na południe trzech innych uczestników ekspedycyi, pięćdziesięcioletni przyrodnik, profesor David, lekarz Mackay i geolog Mawson, przedsięwzięli wyprawę do bieguna magnetycznego. Oddział ten bez żadnych zwierząt pociągowych, z ciężarem 500 kg. na saniach, wdarł się wśród niesłychanych wysiłków na *Góry Zachodnie* i we wnętrzu wyżyny z małym błędem zaledwie oznaczył położenie bieguna magnetycznego (72° 25′ poł. sz. 154° wsch. dł.). Droga tego oddziału trwała 109 dni i wyniosła 2330 km.

Inni członkowie ekspedycyi, geolodzy Brocklehurst i Priestley, oraz dawny uczestnik wyprawy Scotta, Armytage, wybrali się w grudniu 1908 r. na zwiedzenie lodowca *Ferrar* w *Górach Zachodnich*, skąd powrócili z łupem 115 kg. okazów geologicznych, wśród których nie brakło i węgla kamiennego.

Z nadejściem lata powrócił „Nimrod“ i odwiózł ekspedycyę do Anglii.

Wyprawa Shackletona jednoczy w sobie rekord odkryć geograficznych i bogactwo spostrzeżeń naukowych, a imię Shackletona wraz z imionami Scotta i Amundsena stanowi nierozłączną trójcę, nazawsze związaną z historyą odkrycia bieguna południowego, jak imię Bartłomieja Diaza łączy się z imieniem szczęśliwszego Vasco de Gamy w historyi znalezienia drogi morskiej do Indyi.

## IX.

W najbliższym czasie po wyprawach Shackletona i Charcota Antarktyda miała być widownią najszlachetniejszego pojedynku,

jaki zna historya: turnieju Amundsena i Scotta o zdobycie bieguna południowego.

Roald Amundsen urodził się dn. 16 lipca 1872 r. w Borge w Norwegii. Po krótkich studyach na wydziale medycznym w Chrystyanii, przeszedł do akademii żeglarskiej i w 21 roku życia rozpoczął służbę w marynarce.

Organizując ekspedycyę do bieguna południowego [1]), która okryła chwałą nieśmiertelną jego imię, miał już za sobą udział w belgijskiej wyprawie Gerlache'a i dwie podróże na statku „Gjöa", jedną do Grenlandyi i drugą, na której dotarł do północnego bieguna magnetycznego i odnalazł przejście północno-zachodnie. Ta druga ekspedycya arktyczna wsławiła już po całym świecie imię młodego kapitana.

Po powrocie do domu z tej ostatniej wyprawy niestrudzony podróżnik zamierzał niezwłocznie jeszcze raz udać się na północ, dla odkrycia bieguna północnego. Tymczasem we wrześniu r. 1909 doszła do Norwegii wiadomość o odkryciu bieguna. Amundsen w jednej chwili zmienia plan, zamiast północnego, postanawia zaatakować biegun południowy. Prowadzi w dalszym ciągu gorączkowe przygotowania do mniemanej wyprawy na północ i kiedy wreszcie dn. 3 lipca 1910 r. „Fram", poczciwy statek Nansena i Swerdrupa opuszczał port Chrystyanii, wszyscy przekonani byli, że Amundsen jedzie rzeczywiście na północ. Nawet załoga „Frama" nie znała prawdziwego celu podróży. Dopiero kiedy ekspedycya bawiła na Maderze (miano okrążyć od południa Amerykę i wzdłuż jej zachodnich wybrzeży płynąć do cieśniny Behringa), świat cywilizowany i sami uczestnicy wyprawy dowiedzieli się, że celem podróży jest biegun południowy.

Opinia publiczna, przyzwyczajona do rozgłosu, jaki poprzedzał zwykle każdą dotychczasową ekspedycyę antarktyczną, nieomieszkała nazwać projektu Amundsena lekkomyślnym. Nie wiedziała, że ten potomek wikingów miał napoleońską zdolność szybkiego oryentowania się, doskonałego obmyślania środków i błyskawicznego natarcia na wroga.

Nie jest rzeczą przypadku, że Amundsen pamiętnikowi tej wyprawy dał tytuł: „Zdobycie bieguna południowego".

---

[1]) Pamiętnik wyprawy Amundsena wyszedł w książce po norwesku. Do pracy niniejszej korzystaliśmy z przekładu niemieckiego. Roald Amundsen: *Eroberung des Südpols*, Monachium, 1912. W ostatnich tygodniach ukazał się i przekład francuski.

Ekspedycya norweska ma wszelkie cechy bitwy napoleońskiej. Czytając opis tej czy tamtej, ma się wrażenie, że dokonano tutaj rzeczy ogromnie łatwej; ta łatwość, z jaką osiągano rezultat zamierzony, była atoli wynikiem koniecznym genialnego planu kampanii.

Projekt Amundsena był następujący:

Dostać się na *Wielką Baryerę* i wylądować na niej nie w stronie zachodniej, jak Scott i Shackleton, ale u krańców wschodnich, w zatoce *Wielorybiej*, gdyż tu można dalej na południe dojechać statkiem i zaoszczędzić część drogi.

Przezimowawszy, puścić się ku biegunowi, używając do zaprzęgu, wbrew twierdzeniu Scotta i Shackletona, jedynie psów północnych.

Z chwilą, kiedy dotarcie do bieguna postawiło się za cel główny, postanowiono nie obarczać ekspedycyi zadaniami naukowemi i wszystkie siły skupić w jednym kierunku.

W myśl tego planu skromna załoga „Frama“, licząca ledwo 19 ludzi, nie miała właściwie sztabu naukowego. Wszelkie spostrzeżenia astronomiczne, meteorologiczne i magnetyczne, geologiczne czy zoologiczne, czynili Amundsen i jego sztab oficerski: Nilsen, Prestrud i Gjertsen, porucznicy marynarki, i Johansen, były kapitan wojska lądowego. Notatki, niewymagające specyalnych studyów, jak zapisywanie temperatury i t. p., czynili bez zarzutu zwykli majtkowie. Natomiast każdy z załogi był doskonale wytrenowany, jeździł wspaniale na nartach, umiał kierować zaprzęgiem psów, a w potrzebie miał do rozporządzenia tysiączne wiadomości praktyczne, nieocenione na miejscu, czy to chodziło o system najlepszy przymocowania narty, naprawienia sani, odzieży, sporządzenie idealnych okularów od śniegu i t. p.

Pamiętnik tej ekspedycyi jest niewyczerpanym skarbcem praktycznych wiadomości dla wszystkich podróżników antarktycznych.

Nie było szczegółu najdrobniejszego, napozór nic nieznaczącego, czy to w doborze żywności, czy w wyekwipowaniu załogi, czy w zaprzęgu psów, któremuby sam Amundsen nie poświęcił jaknajwiększej uwagi, wiedząc aż nadto dobrze, że te wszystkie szczegóły decydują ostatecznie o dobrym wyniku. Całe traktaty czytamy w jego pamiętniku o tem, jakie powinno być ubranie podróżnika polarnego, jakie obuwie, z jakiej skóry mają być uszyte worki do spania, jak się mają zawiązywać wokół szyi, jak urządzać wejście do namiotu i t. d. We wszystkich tych kwe-

styach jego nawskroś praktyczny umysł porobił tysiączne ulepszenia, godne patentów.

Dn. 14 stycznia 1911 r. „Fram“ stanął w zatoce *Wielorybiej* u celu swej podróży.

Wysadzono na *Wielką Baryerę* psy, żywność, sanie i materyał dla zbudowania i urządzenia drewnianego domu. Po kilku tygodniach pobytu „Fram“ podniósł kotwicę, by przed nadejściem zimy wycofać się na północ. Przed odjazdem załoga ujrzała ze zdziwieniem w niewielkiej odległości maszty drugiego statku. Była to „Terra Nova“, która z częścią drugiej ekspedycyi Scotta zawitała w te strony dla zbadania *Kraju Edwarda VII*, co jednak nie dało się uskutecznić. Amundsen ugościł w swej kwaterze zimowej, Framheimie, oficerów angielskich, którzy niebawem powrócili do Scotta, zawiadamiając go, że rywal jego już jest na placu boju.

We Framheimie pozostał Amundsen z porucznikiem Prestrudem i ośmioma towarzyszami. Reszta załogi, pod wodzą Nilsena, odjechała na północ, by w okrężnej podróży po południowych częściach oceanów poczynić szereg pomiarów i spostrzeżeń oceanograficznych.

Z nadejściem lata podbiegunowego, w połowie października, Amundsen z czterema towarzyszami [1]) wyruszyli ku biegunowi. Tabor składał się z czterech sani, każde z zaprzęgiem 13 psów. Ludzie posuwali się na nartach, jeden na przedzie z busolą jako wywiadowca, reszta każdy przy swoich saniach, postępujących jedne za drugiemi wyciągniętą linią. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę urządzono trzy składy żywności, w odległości jednego stopnia każdy. Tego samego systemu trzymano się i w wyprawie głównej, zaczem cała odległość między Framheimem a biegunem pokryła się 11 składami, umożliwiającemi powrót. W miarę posuwania się ku biegunowi zabijano psy, a malejący coraz zapas przepakowywano, zmniejszając ilość sań. Mięso świeże zabitych psów zabezpieczało doskonale ludzi przed skorbutem, powstającym głównie z długiego używania mięsa konserwowanego i niemało wzmacniało pozostawiony przy życiu zaprząg.

Wyruszywszy z punktu bardziej na wschód położonego, ekspedycya, idąca idealnie naprzód po południku, bardziej też na wschód, niż Scott i Shackleton, zetknęła się z łańcuchem *Gór Zachodnich*.

---

[1]) Imiona tych dzielnych towarzyszów Amundsena są: Hanssen, Wisting, Hassel i Bjaaland.

Wejście na ich grzbiet zabrało zaledwo cztery dni, gdy Shackleton bez psów zużył na to o wiele więcej czasu. Po przebyciu niebezpiecznych lodowców, zmuszających do licznych zakrętów, oddział Amundsena znalazł się wreszcie na wielkiej, płaskiej wyżynie centralnej, na której leży biegun południowy i mógł dalej posuwać się w kierunku doskonale południowym.

W drodze przekonano się, że *Góry Zachodnie* nieco dalej od miejsca, w którem ekspedycya dokonała wejścia, zlewają się z drugim łańcuchem, wschodnim, biegnącym od *Kraju Edwarda VII.* Wspólne przedłużenie tych łańcuchów nazwał Amundsen pasmem *Królowej Maud.*

Dn. 14 grudnia oddział zatrzymał się w miejscu, które było celem podróży. Biegun południowy został odkryty! Płaską tę przestrzeń, zasłaną wiecznymi śniegami, nazwano *Krajem Hakona VII.* Amundsen i jego towarzysze przez trzy dni pozostali w owem miejscu, czyniąc spostrzeżenia astronomiczne, poczem rozpoczęli odwrót, pozostawiając w punkcie, który według ich obliczeń kończył oś ziemską [1]), flagę norweską, namiot z odzieżą i kilkoma przyrządami astronomicznymi oraz butelkę, mieszczącą list do króla Hakona i Scotta.

Powrót do Framheimu odbył się bez wypadku. Kilkanaście psów, pozostawionych do zaprzęgu, do samego końca ciągnęło ostatnie sanie, nie zużywając sił ludzkich.

Podczas wyprawy Amundsena porucznik Prestrud z dwoma towarzyszami uczynił wycieczkę do *Kraju Edwarda VII*, sąsiadującego z kwaterą zimową, i przywiózł bogaty zbiór okazów geologicznych.

Niebawem powrócił i „Fram“ i zabrał załogę z Framheimu. W ostatnim dniu przed wyjazdem spotkano uczestników ekspedycyi japońskiej, która właśnie zawinęła do *Wielkiej Baryery.*

Taki był przebieg ekspedycyi Amundsena, szczęśliwszego od swego rywala Scotta, który równocześnie z nim wyruszył na podbój bieguna.

## X.

O drugiej wyprawie Scotta, najtragiczniejszej ze wszystkich dotychczasowych ekspedycyi antarktycznych, niewiele jeszcze możemy powiedzieć.

[1]) W miesiąc później przybyły Scott, oznaczył położenie bieguna o 925 m. dalej.

Przeglądy zagraniczne w krótkich zaledwie artykułach podały historyę tej wyprawy i tego oddziału, który, dotarłszy ze Scottem do bieguna południowego, zginął w powrocie.[1])

Scott zebrał na tę drugą wyprawę 1,250,000 fr. Ekspedycya opuściła Londyn dn. 1 czerwca 1910 r. na statku „Terra Nova“, jednym z tych, które wysłano niegdyś na ratunek jego pierwszej wyprawy. Z początkiem stycznia 1911 r. Scott przybył do zatoki *Mac Murdo*, ale zatoka, zamarznięta podówczas, nie dopuściła statku na południe, jak się to udało dawniej „Discovery“ i „Nimrodowi“, zaczem postanowiono założyć kwaterę zimową na lodzie, pokrywającym zatokę, u przylądka *Evans*, o 26 km. na północ od dawnej kwatery Scotta w r. 1903.

Zbudowano wygodny dom drewniany, rozpoczęto zakładanie najbliższych składów żywności na drodze do bieguna, wzięto się do spostrzeżeń i obserwacyi naukowych, jednem słowem załoga weszła w zwykły tryb życia każdej ekspedycyi, zimującej na lodach antarktycznych.

„Terra Nova“ odjechała do Nowej Zelandyi, przyczem w drodze załoga jej miała zbadać *Kraj Edwarda VII.* W zatoce *Wielorybiej* spotkano ekspedycyę Amundsena. Kapitan angielski powrócił z tą wieścią do zatoki *Mac Murdo*, poczem dopiero opuścił Antarktydę na czas zimy.

Z końcem października 1911 r. załoga zimowa trzema oddziałami ruszyła ku biegunowi. Pomysł zasadniczy organizacyi tej wyprawy był wcale niezły. Co 110 km. miano zakładać składy żywności. W miarę posuwania się na południe ekspedycya zamierzała odsyłać oddziałami swych uczestników do kwatery zimowej, a dopiero kilku ostatnich, nie potrzebując już pomocy towarzyszów, miało dotrzeć do samego bieguna.

Błędem zasadniczym natomiast było fatalne urządzenie sił pociągowych. Scott zabrał ze sobą dwoje sani automobilowych, dziesięć kuców mandżurskich i zaledwie dwadzieścia kilka psów. Sanie te wkrótce trzeba było porzucić w drodze, gdyż motory, nieprzystosowane do nizkiej temperatury, odmówiły posłuszeństwa, konie dla braku pożywienia musiano zabić, a psy odesłał Scott

---

[1]) Na uwagę zasługują artykuły: Karola Nordmana w *Revue des Deux Mondes* (maj 1913), Karola Rabot w *Illustration* (24 maja 1913) i d-ra Charcota w *Je sais tout* (15 maja 1913). Okręt wyprawy Scotta „Terra Nova“ w połowie czerwca r. b. powrócił do Anglii, zaczem spodziewać się można dokładniejszych szczegółów o tej tragicznej ekspedycyi.

z połowy drogi. Powtórzyła się znów fatalna historya podróży Shackletona. Członkowie karawany, zamiast zachować rzeźkość, swobodę ruchów i siły, tak potrzebne do pokonywania trudów podróży, musieli wciągać ciężkie sanie na wysokość przeszło 3,000 m.

Po odesłaniu ostatniego oddziału pozostało sześciu ludzi: Scott, porucznik Evans, lekarz Wilson, kapitan Oates, porucznik Bowers i podoficer Evans.

Wśród niesłychanych trudów wdrapano się po lodowcach na centralną wyżynę, a po kilku dniach marszu po jej płaszczyźnie natrafiono na ślady nart i sani karawany Amundsena. Dn. 17-go stycznia 1912 r. oddział stanął u celu podróży. Na biegunie powiewała już nad namiotem, pozostawionym przez Amundsena, norweska flaga. Obserwacye astronomiczne, poczynione następnego dnia, wykazały, że biegun znajduje się o 925 m. dalej od namiotu Amundsena, postawionego w punkcie domniemanym bieguna.

Odwrót z bieguna południowego stał się, jak wiadomo, grobem Scotta i jego towarzyszów. Z notatek, odnalezionych przy zwłokach Scotta, okazało się, że przez cały prawie czas walczono z okropną pogodą.

Trudno określić dokładnie, w jakiej mierze do tragicznego końca tej ekspedycyi przyczyniły się elementy, wrogie zawsze człowiekowi w owych stronach, a w jakiej mierze zawinił sam Scott. Faktem jest, że rozłożenie składów żywności i ich zaopatrzenie obliczone były na ludzi zdrowych, którzy od etapu do etapu przejdą z góry obliczoną drogę. Czyż mogła temu zadaniu podołać garstka ludzi, wycieńczona do ostatecznych granic, zdenerwowana niewątpliwie przekonaniem, że chwała odkrycia bieguna nie im przypadnie?

W przeprawie powrotnej przez lodowce *Gór Zachodnich* zginął podoficer Evans, od kilku dni ledwie trzymający się na nogach wskutek upadku i swą chorobą opóźniający pochód karawany.

Składy żywności były tak rozłożone i zaopatrzone, że oddział obowiązany był do odbycia minimum 16 km. dziennie. Tymczasem były dni, w których z trudem nadzwyczajnym zdołano ujść zaledwie 3 km. Dn. 16 marca kapitan Oates, osłabiony do ostatnich granic, widząc, że dalszy jego pochód sprowadzi opóźnienie i niechybną katastrofę dla całego oddziału, wyszedł ostatkiem sił z namiotu i powlókł się, by umrzeć wśród szalejącej śnieżycy.

Pozostali przy życiu poszli dalej, a po kilku dniach, o 20 km. od składu żywności, zaskoczyła ich śnieżyca, osławiony *blizzard* podbiegunowy, szalejący przez 9 dni. Z namiotu niepodobna było absolutnie ani się wychylić, a żywności było tylko na dwa dni.

Kiedy śnieżyca ustała, w namiocie leżały zastygłe zwłoki Scotta i jego towarzyszów. Czując zbliżającą się śmierć, kapitan Scott napisał ostatnie słowa pożegnania dla ojczyzny, składając całą winę na karb elementów. Nie uchybimy w niczem pamięci tych bohaterów, jeżeli podzielając powszechne zdanie, powiemy, iż tragiczny ich koniec w znacznej części był jednak następstwem nie liczenia się z wszelkiemi możliwościami kapryśnej przyrody antarktycznej.

W osiem miesięcy później oddział ratunkowy, wyruszywszy z kwatery zimowej, odnalazł zwłoki Scotta i jego druhów i przesłał światu żałobną wieść.

Taką ofiarą zapłacono za stwierdzenie rezultatów, które osiągnęła już była przedtem — ekspedycya Amundsena.

*

* *

O następnych ekspedycyach bardzo szczupłe posiadamy wieści [1]).

Japońska ekspedycya Sziraza na statku „Kaiman Maru", która przybiła do *Wielkiej Baryery* w chwili odjazdu Amundsena, powróciła bez wielkich rezultatów. Najdalszym jej punktem południowym był 80° 30'.

Znaczne rezultaty osiągnęła natomiast australska ekspedycya Douglasa Mawsona, byłego uczestnika wyprawy Shackletona, działająca w północnej części *Kraju Wiktoryi* i sąsiednim *Kraju Wilkesa*. Mawson stwierdził istnienie *Termination Land'u*, którego napróżno szukał niegdyś Drygalski, a wymazał z mapy *Kraj Clarie*, sygnalizowany przez Dumont d'Urville'a. Ekspedycya Mawsona przeszła bardzo ciężkie przygody, a jej członkowie mieli przejścia, przypominające epizody ekspedycyi Nordenskjölda.

---

[1]) Obok artykułu „Südpolarexpeditionen" w *Meyers Konversationslexicon, Supplement 1911—12* ob. artykuły w *Revue française de l'étranger et des colonies* (luty, marzec i kwiecień, 1913).

Niemiecką wyprawę na statku „Deutschland“ poprowadził dr. Wilhelm Filchner, topograf, astronom i meteorolog, znany i zasłużony podróżnik po Rosyi, Bałkanach, Małej Azyi i Tybecie. Ekspedycya jego poczyniła pierwszorzędnej wartości spostrzeżenia oceanograficzne w sąsiedztwie archipelagu *Południowo-Georgijskiego* i *Sandwich* i udała się na południe od tych wysp na morze *Weddella*, które w wyprawach do bieguna odegrać może taką rolę, jaką odegrało już morze *Rossa*.

*

* *

Niema w historyi odkryć geograficznych okresu tak pracowitego, jak ostatnie piętnaście lat. Ta zażarta walka na śmierć i życie z twardą przyrodą odsłoniła nową część świata. Ogół ludzi zaspokoił ciekawość i uzupełniwszy swe encyklopedyczne wykształcenie wiadomością, że oceanowi bieguna północnego odpowiada na drugim końcu osi ziemskiej potężny kontynent, spowity w wieczne lody—powrócił do swych zajęć codziennych. Ale dla uczonych Antarktyda stała się olbrzymiem laboratoryum, w którem astronom i geolog, meteorolog i oceanograf, biolog, zoolog i botanik znaleźli Przyrodę przy pracy zgoła właściwej, rzucającej nowy snop światła na historyę naszej planety. Bogactwo materyału, dostarczonego nauce przez tych kilkanaście ekspedycyi, jest tak wielkie, że czasami wydaje się, iż cena, za którą go nabyto, nie jest zbyt wielką. Ci, co go stamtąd przywieźli, i ci, co pozostali na polu bitwy, zyskali prawo do nieśmiertelnej sławy. Jeśli przed sądem historyi wytoczą kiedyś sprawę naszej epoce za jej dekadencyę, to ostatnie słowa Scotta, pisane stygnącą ręką tam na tych lodach antarktycznych, powiedzą wtedy, że jednak niektórzy z nas umieli być bohaterami.

Kazimierz Helle.

# KRONIKA LITERACKA.

## IV.

Kilka wydań zbiorowych: Zygmunt Krasiński, Seweryn Goszczyński, Cyprvan Norwid, Eliza Orzeszkowa, Jan Kasprowicz. — Głos z za grobu: „Imagina“ Maryi Konopnickiej, jako alegorya przeszłości i przyszłości narodu.—„Jobsiada“ Kortuma: Konopnicka czy Or-Ot?—„Wierna rzeka“ Stefana Żeromskiego: „krwawy śmiech“ i sielanka miłosna. *Finis Poloniae equestris.* — Jeszcze o Bieleckim: „Wyzwolenie“ Stanisława Przybyszewskiego.—„Obłęd samoubóstwienia“. — Aż do absurdu. — Powieść o „Kobiecie bez skazy“ Gabryeli Zapolskiej. — Walka Erotyzmu z Etyką.—Dziwne nieporozumienie kochanków.—Teza czy falbanki?—„Marya Magdalena“ Gustawa Daniłowskiego: powieść o Chrystusie—bez Chrystusa. — Powieści napoleońskie: W. Gąsiorowski, W. Przyborowski, St. Ostrowski, A. Gawiński.—„Koniec epopei“ Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Wiktora Gomulickiego „Bój olbrzymów“ i „Dobosz z pod Eylau“.

„Kronikę“ niniejszą rozpocząć wypada od przejrzenia kilku wydań zbiorowych, cennych, a nawet do pewnego stopnia doniosłych.

W tym wypadku pierwszeństwo „z wieku i urzędu“ należy się wielkiemu twórcy „Nie-Boskiej Komedyi“ i „Przedświtu“, Zygmuntowi Krasińskiemu.

Zdawałoby się, że po ostatniej, 6-tomowej edycyi, uskutecznionej w r. 1904 przez Tadeusza Piniego, nic więcej w tym kierunku niema do uczynienia. Tymczasem leżące przed nami nowe wydanie (Kraków, 1912) przynosi nam wiele prawdziwych niespodzianek.

Wydanie to zawdzięczamy pietyzmowi hrabiny Wandy Krasińskiej, wdowy po ś. p. Adamie, wnuku poety, która, urzeczywistniając ukochaną myśl swego przedwcześnie zmarłego małżon-

ka, przywiodła do skutku tę edycyę, piękny hołd, złożony wielkiemu poecie-myślicielowi. Postarała się więc o zgromadzenie jak największej ilości rękopisów autora „Psalmów przyszłości“, a nadto wzięła na siebie uciążliwą pracę przejrzenia autografów wszystkich listów poety do Delfiny Potockiej, skąd niejeden wiersz nieznany wydobyła. Dość powiedzieć, że wydanie niniejsze zawiera o 40 utworów lirycznych więcej, aniżeli lwowskie z r. 1904.

Stronę techniczną wydawnictwa wziął na siebie prof. Jan Czubek. I dokonał dzieła niemałej zasługi przez zestawienie wydań z autografami i ostateczne ustalenie poprawnego tekstu, przyczem wykryły się pewne błędy i zasadnicze usterki edycyi lwowskiej.

Ale jakież istotne wyniki przynosi nam połączona praca hrabiny Krasińskiej i prof. Czubka?

W tomie pierwszym, zawierającym utwory młodzieńcze (do r. 1832), znajdujemy kilka rzeczy godnych uwagi. Przedewszystkiem początek twórczości Zygmunta trzeba cofnąć jeszcze o lat trzy: najwcześniejszym bowiem jego utworem jest nie „Pan trzech pagórków“ (1828), jak można było mniemać, opierając się na wydaniu p. Piniego, ale napisana na samym początku 1825 r., t. j. kiedy przyszły twórca „Ostatniego“ miał niespełna lat 13, „Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem“. A w tej rozmowie dwie rzeczy zwracają na siebie uwagę: wzmianka o walczących za swą wolność Grekach, oraz o śmierci Byrona, o którym młodziutki Polak temi odzywa się słowy:

„Umarł za moich czasów (mówi „Stary Rok“) poeta, walcząc za najpiękniejszą sprawę (t. j. za wolność Greków); cóż mówię! nie zginął, najprzedniejsza jego część w dziełach została; czytając je, potomność uwielbi górny geniusz i uczci pamięć wielkiego człowieka“.

Kilka przy czytaniu tego, słabiutkiego zresztą pod względem literackim, utworu nasuwa się wniosków. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że „Rozmowa“, tak jak i niektóre jeszcze utwory nieco późniejsze, rozwiewa ostatecznie rozpiętą znikomym łukiem nad twórczością poety legendę Klaczki o dośrodkowym kierunku jego myśli poetyckiej: twórca „Irydiona“ nie szedł od ludzkości do narodu, ale o narodzie ciągle od lat najmłodszych, myślał, o walce za wolność marzył.

Godne jest również zastanowienia żywe zainteresowanie się 13-letniego „Zygmuntka“ sprawą grecką. I tu nasuwa mi się pewne wymowne zestawienie: w chwili, gdy w spokojnym pałacu warszawskim syn generała, starannie kształcony, wypowiadał

w tym najwcześniejszym swym utworze żywe sympatye filohelleńskie, bawił na Ukrainie syn ubogiego oficyalisty, zaciekły demokrata-rewolucyonista, Seweryn Goszczyński, który przed trzema laty opuścił Warszawę z kilkoma złotemi w kieszeni, by wziąć, jak lord Byron, udział w walce Greków o niepodległość. Co zbliżyło tych ludzi, tak różnych charakterem, temperamentem, wiekiem (Goszczyński był o 11 lat starszy od Krasińskiego), urodzeniem, wychowaniem, wpływami otoczenia? Nie co innego, jeno gorące umiłowanie sprawy wolności, jeno poetyckie piękno takiej walki, w której „i ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeżeli poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu...“

Wreszcie—ton podniosły, z jakim Krasiński mówi o Byronie. Przypomnijmy sobie, że w tym właśnie czasie drukowała się „Marya“ Malczewskiego (1825), pierwszy wybitniejszy płód byronizmu polskiego, że Mickiewicz wówczas właśnie przechodził fazę swej „brytanomanii“ i tłómaczył „Pożegnanie Child Harolda“ i „Sen“, że Słowacki już w szkołach był „nudzącem dzieckiem, wodzonem na pasku przez Byrona“, że Goszczyński wreszcie miał rozpocząć właśnie pracę nad „Zamkiem Kaniowskim“, którego jaskrawość miał po latach przypisać „nieszczęśliwemu na nas wpływowi czarnej fantazyi Byrona“. Spotkanie się na jednej płaszczyźnie byronizmu tych ludzi, w tak różnych wychowywanych i obracających się środowiskach, wiele daje do myślenia.

Na wiązanie noworoczne 1826 r. dla ojca pisze Zygmunt „Rozmowę Napoleona z Aleksandrem I na polach Elizejskich“, charakterystyczną z dwu względów: przedewszystkiem jest to *pierwsza wizya senna* w twórczości Krasińskiego, która, jako motyw, miała się potem tyle razy powtarzać aż do „Nie-Boskiej Komedyi części I“, a potem—jest ten utwór żywem odzwierciedleniem poglądów politycznych ojca: z równym pietyzmem bowiem mówi syn generała o wygnańcu ze świętej Heleny, jak i zmarłym przed miesiącem władcy Rosyi.

Kilka następnych utworów potwierdza to, co mówiłem poprzednio o patryotyzmie młodego poety: powiastka „Syn Botzarisa“ (1826) i „Zniszczenie Ipsary“, fragment z dzieła p. Raffenel o rewolucyi Greków, z francuskiego na polski przez Krasińskiego wyłożony (1826), przedstawiają epizody z walki Greków o niepodległość; za niepodległość ojczyzny (szkockiej) przeciw Anglikom-najeźdźcom walczy William Wallas w powiastce pod tymże tytułem; za ojczyznę (francuską) bój toczy Joanna d'Arc w dłuższej powiastce, od jej imienia zatytułowanej (1827). Taki był dobór

tematów w twóczości Zygmunta Krasińskiego między 13-ym a 15-ym rokiem jego życia.

W tomie czwartym czytamy m. in. fragment powieści *à la Balzac*, p. t. „Herburt“ (1837), ciekawy z tego względu, że jedną z jego części składowych jest widzenie senne bohatera, przedstawiające, a późniejszy „Sen“ z „Nie-Boskiej Komedyi części I“, w obrazach symbolicznych stan społeczny i polityczny Europy współczesnej. Dodajmy jeszcze, że akcya „Herburta“ toczy się wśród gości polskich ze sfery ziemiańskiej i arystokratycznej, bawiących w jakiejś miejscowości leczniczej w Niemczech.

Jeżeli z tego punktu spojrzymy na „Herburta“ i zestawimy go z podobnym, również po raz pierwszy w niniejszej edycyi ogłoszonym fragmentem „Rok 1846“, przypominającym nieco nastrojem i charakterem „Salon warszawski“ z III części „Dziadów“ (dyalog kilku osób z wyższego towarzystwa warszawskiego w przededniu strasznych wypadków galicyjskich), dojdziemy do wniosku, zapewne niespodziewanego dla tych, co nie znają bliżej twórczości ni korespondencyi twórcy „Irydyona“: Krasiński, ów posępno-podniosły poeta-myśliciel, potępiający w przeszłości naszej dziejowej „Rubaszność“, miał żywe i szczere poczucie komizmu, mógł być niezrównanym satyrykiem, gdyby był chciał, zwłaszcza satyrykiem „wielkiego świata“. Dowody tego znajdziemy w niektórych scenach i postaciach „Nie-Boskiej Komedyi“ (Ojciec Chrzestny, arystokraci w Okopach św. Trójcy, poczęści sam hr. Henryk), w przedmowie do „Trzech myśli Henryka Ligenzy“, której nie możemy już uważać, wraz z Tarnowskim, za „jedyny uśmiech“ w poezyi naszego wieszcza, w „Herburcie“, w „Roku 1846“, w epizodach „Nie-Boskiej Komedyi cz. I“ (karnawał wenecki, Bankier-Książę), w listach wreszcie, w których daje upust pokutującej w duszy jego, pomimo wszystko, sarmackiej, szlachecko-wojackiej rubaszności. Na tę stronę temperamentu i usposobienia twórcy „Przedświtu“, nikt, jak sądzę, nie zwrócił jeszcze dostatecznej uwagi; monografia p. t. „Krasiński — humorystą“ czeka dotąd na swego autora.

Tom VII zawiera „Pisma filozoficzne i polityczne“. Czytamy tu ogłoszone po raz pierwszy utwory polskie: „Gnosis“ (1844) i „Magnetyczność“ (1857) i francuskie: „De l'éther“ (1847) i „Lettre à M. L. Mastai“ (1849). Co więcej, tom ten przynosi uzupełniony jeszcze jednym, końcowym ustępem (ale nie cały, niestety, dalszego ciągu bowiem, po dawnemu, brak) traktat „O Trójcy w Bogu i trójcy w człowieku“, zatytułowany przez prof. Czubka, zgod-

niej z tekstem restytuowanym: „O stanowisku Polski z Bożych i ludzkich względów“.

Tom ostatni (VIII) daje utwory francuskie z czasów genewskich, w oryginałach i przekładach polskich, a więc z lat 1830—1832, z epoki, kiedy umysł poety, wstrząśnięty do głębi bolesnemi przeżyciami 1831 roku, a także bacznem przyglądaniem się sfinksowemu obliczu społeczeństwa europejskiego, dojrzewał do przyszłej wielkiej twórczości. I tu znajdujemy sporą wiązankę utworów nieznanych, bo aż 20 (na ogólną liczbę 49).

Nie piszę tu, oczywiście, monografii o Zygmuncie Krasińskim na podstawie najnowszego wydania jubileuszowego. Brak mi miejsca na omówienie szczegółowe wszystkich utworów nowoodkrytych. Te kilka rzuconych powyżej myśli i uwag miały na celu zaznaczenie wielkiej doniosłości tej edycyi, dzięki której oblicze duchowe poety uzupełnia się kilku charakterystycznymi rysami. Przyszły monografista będzie tu miał piękne pole badań; dr. Juliusz Kleiner korzystał już z wydania jubileuszowego przy pisaniu drugiej części pierwszego tomu oraz w całym tomie drugim swej cennej rozprawy o Krasińskim.

*

* *

Długo czekać musiał Seweryn Goszczyński na swego wydawcę. Jedynym człowiekiem, który mógł wziąć na siebie tę pracę odpowiedzialną i wykonać ją należycie, był Zygmunt Wasilewski, autor cennego studyum „Narodziny poety romantyka“ oraz kilku drobniejszych przyczynków do twórczości autora „Zamku Kaniowskiego“.

Wasilewski rozpoczął był nawet przed kilku laty wydawnictwo edycyi kompletnej „Pism“ Goszczyńskiego, ale po ogłoszeniu dwóch pierwszych tomów praca ta urwała się (Lwów — Warszawa, 1904, tom drugi przyniósł zapomniany przekład pieśni Ossyana prozą).

I dopiero w roku ubiegłym Wasilewski spłacił dług, zaciągnięty u autora „Sobótki“ i jego wielbicieli: puścił w świat 4-tomowe wydanie „Dzieł zbiorowych“ Seweryna Goszczyńskiego (Lwów, 1912), poprzedziwszy je charakterystyką poety i uzupełniwszy bibliografią chronologiczną jego pism.

Utwory, podane przez Wasilewskiego po raz pierwszy w edycyi zbiorowej, można podzielić na dwie kategorye: jedne z nich zupełnie były nieznane, spoczywały w rękopisach — i tych jest mniejszość, inne drukowane były za życia poety i po jego zgonie w czasopismach, ale w żadne z wydań zbiorowych nie weszły—i tych jest znacznie więcej; wogóle zaś edycya Wasilewskiego jest trzy razy obszerniejsza od lwowskiej z r. 1870, dotychczas uchodzącej za najkompletniejszą.

Zaraz w pierwszym tomie, zawierającym „Poezye liryczne“, poznajemy całą doniosłość pracy edytorskiej Wasilewskiego. W dziale poezyi młodzieńczych, z lat 1818—1829, znajdujemy tu 31 utworów nieznanych na ogólną liczbę 50, a wśród nich rzeczy niezmiernie ciekawe i charakterystyczne, jak np. dwa poemaciki opisowo-refleksyjne: „Ostatnia przechadzka“ (1823) i „Noc w Zofiówce“ (1824), nastrojowe płody gorącej wyobraźni młodego romantyka.

W dziale drugim, obejmującym liryki z doby dojrzałości duchowej (1830—1841) jest kilka zaledwie utworów nieznanych, natomiast dział trzeci, zatytułowany przez Wasilewskiego „Na schyłku“ (1841 — 1872), otwiera nam nowe zgoła widnokręgi dziejów myśli i twórczości poety-romantyka: przedstawia go, jako mistyka skruszonego, który, zwyciężywszy w sobie dawnego byronistę i dawnego rewolucyonistę, stał się wiernym i pokornym wyznawcą „mistrza Andrzeja“. Czytamy tu 16 utworów, z których żaden nie wchodził w skład edycyi zbiorowych: jedne z nich były osobno drukowane, jak „Posłanie do Polski“, inne podane do wiadomości w czasopismach po śmierci poety, jeszcze inne utwory są tu po raz pierwszy ogłoszone drukiem.

W „Uzupełnieniu“ tego tomu podaje Wasilewski fragmenty poematu mistycznego p. t. „Proroctwa ks. Marka“, napisanego w r. 1833, jeszcze w Galicyi, pod wpływem niezawodnym III części „Dziadów“. Ważna to wskazówka, świadcząca, że nastrój mistyczny kiełkował w duszy poety o wiele wcześniej przed poznaniem Andrzeja Towiańskiego.

Tak więc ten tom pierwszy, jako źródło badań przyszłego monografisty, posiada wartość pierwszorzędną. Jednego tylko zrozumieć niepodobna: jakiej zasady trzymał się wydawca w układzie utworów lirycznych. Niema tu bowiem porządku chronologicznego, jedynie w tych razach uzasadnionego, a jakichbądź motywów układu rzeczowego dopatrzyć się żadną miarą nie można. Wprawdzie pod większością utworów podpisana jest data, mamy też pod koniec IV-go tomu ścisłą chronologię pism poety, ale

i w samym układzie zasadę porządku chronologicznego uszanować należy.

Tom II, „Powieści“, prozą i wierszem pisane, zawiera nowych utworów niewiele. Za to III, „Podróże i rozprawy literackie“, składa się cały z utworów, nie objętych dotąd żadnem wydaniem zbiorowem. Mamy tu więc „Dziennik podróży do Tatrów“, początek naszej literatury „tatrzańskiej“ (jeśli nie liczyć rozpraw geologicznych Staszica), która rozkwitnąć miała w przyszłości w piśmach Tetmajera, Nowickiego, Witkiewicza, Orkana i inn., poczęści Asnyka i Konopnickiej. Zamieszczono tu również słynną rozprawę p. t. „Nowa epoka poezyi polskiej“ (1835), z której powodu Fredro, urażony do głębi zarzutem kosmopolityzmu, przestał teatrom sztuk swoich udzielać, oraz kilkanaście rozpraw mniejszych rozmiarów, z pośród których wyróżniają się trafnością myśli dwie: „O potrzebie narodowego polskiego malarstwa“ i „Stanowisko poetów w społeczności“, obie przeniknięte tym szlachetnym duchem patryotycznym, który ożywiał całą twórczość autora „Zamku Kaniowskiego“.

Pozostaje wreszcie tom IV, złożony również z pism, w wydaniach zbiorowych nie podawanych. Mamy tu rozprawy polityczne, pisma satyryczno-polityczne, zamieszczone w strassburskiej „Pszonce“ w latach 1839—1842; niektóre z nich wymierzone przeciw Czartoryskiemu i jego stronnikom, upatrującym zawczasu w ks. Adamie przyszłego króla polskiego. Goszczyński - demokrata, jeden z gorliwych uczestników Towarzystwa Demokratycznego, nazywa Czartoryskich bez ogródki „jedenastą plagą egipską“, a ich adherentów – „oślarnią królewską“.

Tom ten zamyka ciekawy przyczynek autobiograficzny p. t. „Noc Belwederska“ (z r. 1869), cenny ze względu na rolę, jaką Goszczyński-belwederczyk odegrał w tej chwili przełomowej.

Przedmowę do niniejszego wydania kończy Wasilewski temi słowy: „Mamy przed sobą od stóp do głowy całego człowieka: wrośniętego w ziemię, z głową w obłoku, z atletycznemi ramionami, ale z tragicznem wejrzeniem siwych oczu“.

W samej rzeczy, teraz dopiero poznajemy w całej pełni tę duszę gorącą a czystą, to serce szlachetne a zalewające się goryczą na widok krzywd odwiecznych, niczem nie wynagrodzonych, tę wolę hartowną a wciąż ku dobremu dążną, ten temperament gwałtowny i namiętny, nie mogący nigdy zatrzymać się w środku drogi, bo Goszczyński kochać ani nienawidzieć nie umiał — przez połowę. Byronista rozwichrzony—sam siebie za byronizm surowo potępił; demokrata płomienny—przejąwszy się duchem mi-

stycyzmu, uznał zasady demokratyzmu za materyalne, przyziemne. Jak Mickiewicz, wciąż walczył sam z sobą i sam siebie sądził; a choć mu brakło boskiej równowagi ducha wielkiego pieśniarza „Improwizacyi“, choć talentem poetyckim daleko pozostawał za nim w tyle, choć artyzm słowa zawsze uważał za rzecz drugorzędną w utworze poetyckim, mającym służyć dobru powszechnemu, niemniej od Mickiewicza był szlachetny zarówno w swych wzlotach, jak i w swych upadkach, jako jeden z przedstawicieli wzniosłości w polskiej poezyi romantycznej, równie wytrwałe jak i on, na każdem miejscu i o każdej dobie, zawsze „robił Polskę“.

*

* *

Żadna z edycyi poprzednich, chociaż i pod względem typograficznym bardzo starannych, nie może iść w paragon z przepychem szaty zewnętrznej wydania zbiorowego „Pism“ Cypryana Norwida. Zawdzięczamy je pietyzmowi Zenona Przesmyckiego, (Miriama), który już w r. 1905 w „Chimerze“ wiele utworów twórcy „Promethidiona“ umieścił, obecnie zaś do wydania zbiorowego zgromadził wszystko, co się zgromadzić dało ze spuścizny literackiej i artystycznej poety-rysownika, a całości edycyi nadał piętno wysoce artystyczne. Śmiało powiedzieć można, że takiego hołdu żaden z poetów naszych dotąd się nie doczekał.

Całość wydania zamierzona jest na ośm tomów. Pierwszy, już wydany, zawiera utwory liryczne i poematy z pierwszej epoki życia i twórczości poety (do r. 1858), z „Promethidionem“ i poematem „Quidam“; składa się ten tom (w dwu częściach) z 1100 stronic, w tem 700 stron tekstu, 400—objaśnień wydawcy.

W drugim tomie zamknie się reszta pism wierszem. W trzecim (również już wydanym) czytamy utwory dramatyczne: „Noc tysiączna druga“, „Zwolon“, „Wanda“, „Krakus“, „Za kulisami“; pozostałe dramaty: „Kleopatra“, „Aktor“, „Miłość czysta“, zawrą się w tomie czwartym. Tom piąty ma objąć z pism prozą — legendy i nowele, szósty—rozprawy z dziedziny sztuki i literatury, siódmy—rozprawy filozoficzne, społeczne, polityczne, aforyzmy i ułamki, tom VIII wreszcie—listy zebrane.

Wykonana dotąd cząstka zaledwie tego planu nie pozwala nam ogarnąć wzrokiem jego całości. Z wypowiedzeniem też sądu

ostatecznego zarówno o zasługach wydawcy, jak i twórczości samego poety, wstrzymać się wypada aż do ukończenia pracy edytorskiej Przesmyckiego.

Wtedy dopiero będziemy mogli orzec stanowczo, czy spełnią się wróżby fanatycznych wielbicieli Norwida, czy twórca „Quidam“ stanie w rzędzie największych poetów naszych, tuż obok Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, jako czwarty w ich dostojnem gronie.

W Norwidzie pozyskamy, dzięki Miriamowi, jednostkę w samej rzeczy niezwykłą, poetę-myśliciela niepospolitej miary, o wysokiej kulturze artystycznej, jednego z najżarliwszych u nas miłośników i głosicieli piękna i sztuki. Chociaż od ojczyzny swojej przez całe niemal życie lądem, a przez kilka lat nawet morzem oddalony, chociaż nie uznany przez rodaków, nigdy nie witany grzmotem oklasków, ni szczerym zachwytem, jednak niemi serdecznemi z Polską zawsze związany, jej większość swych utworów poświęcał. Twórca oryginalny, za epigona żadną miarą uchodzić nie może, zwłaszcza w formie swoich utworów, niepodobnej do szaty poetyckiej żadnego z naszych wielkich. Przeciwnie, za prodromosa uchodzićby mógł, gdyby jego pisma wywierały jakikolwiek wpływ na następców: w dramacie fantastycznym np. poprzedza Wyspiańskiego.

Ale poetą tłumu nigdy nie będzie. Nie będzie nawet w tej mierze, jak Słowacki, który, również nie uznany przez współczesność, doczekał się dopiero „za grobem zwycięstwa“. Twórczości Norwida, niespospolicie wytwornej i subtelnej, brak tej bezpośredniości uczuć i wrażeń, która za serca chwyta i zapewnia, poecie nieśmiertelność. Jego niezwykłe efekty stylowe, przedziwne arabeski słowa, dowolne, niczem nie poparte etymologie i gra słów dowcipna a zręczna, pozostaną przysmakiem dla smakoszów literatury i sztuki, ale rozmnażającym się cudownie chlebem i rybą dla rzesz zgłodniałych nigdy nie będą. „Zwolon“, choć pełen myśli głębokich, nie zastąpi nigdy narodowi ni „Kordyana“, ni III części „Dziadów“, „Wanda“ i „Krakus“ nie staną nigdy obok „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“.

Dlatego też, uznając w zupełności wysokie zalety twórczości Norwida, wyrażając na tem miejscu wdzięczność wydawcy jego pism za czyn prawdziwie kulturalny i obywatelski, nie możemy podzielić entuzyazmu tych, co chcą widzieć w Norwidzie czwartego wieszcza naszej romantyki.

* * *

Hołdem, złożonym pamięci czcigodnej autorki „Nad Niemnem“, która przez pół wieku trzymała rękę na pulsie życia polskiego, zawsze śpiesząc z mądrą radą i skuteczną pomocą tam, gdzie spostrzegła objawy niedomagania, jest rozpoczęta w roku ubiegłym zbiorowa edycya jej „Pism“, ze wstępem Aurelego Drogoszewskiego i w jego układzie.

Dotychczas ukazały się dwie serye, zawarte w dziewięciu tomach. Pierwsza z nich obejmuje powieści ludowe i szlacheckie, a więc: tom I — „Obrazek z lat głodowych“, „Za doliną łez“, „Echo“, „Niziny“, „Tadeusza“, „Cień“, „W zimowy wieczór“; tom II i III—„Nad Niemnem“; tom IV—„Dziurdziów“, „Chama“; tom V—„Anastazyę“, „Bene nati“.

Serya druga zamyka w sobie powieści w sprawie żydowskiej: tom VI i VII—„Eliego Makowera“; tom VIII — „Meira Ezofowicza“; tom IX — „O Żydach i kwestyi żydowskiej“, „Silnego Samsona“, „Daj kwiatek“, „Gedaliego“,„Ogniwa“, „O nacyonalizmie żydowskim“.

W druku serya III, Powieści kobiece i rodzinne, a mianowicie: tom X—„Początek powieści“, „Rozstajne drogi“, „Syn stolarza“, „Ostatnia miłość“, „Z życia realisty“; tom XI—„Na prowincyi“; tom XII—„W klatce“; tom XIII i XIV—„Pan Graba“; tom XV i XVI—„Pamiętnik Wacławy“; tom XVII — „Wesoła teorya i smutna praktyka“, „Pajęczyna“, „Marta“; tom XVIII—„Rodzina Brochwiczów“; tom XIX — „Marya“, „Kilka słów o kobietach“, „Pomniejsze utwory publicystyczne“.

Prospekt wydawnictwa nie podaje ani ilości tomów, ani podziału na serye. Trudno więc dzisiaj zdać sobie sprawę z tego, jak Drogoszewski wywiąże się z trudnego zadania układu rzeczowego wszystkich utworów autorki „Argonautów“. Bądź co bądź, układ taki przedstawia poważne niebezpieczeństwa: pisarz porusza różne tematy, jakie nasuwają się jego czujnemu rozumowi i kochającemu sercu, nie bacząc na to, w jakich działach zamieści je kiedyświydawca jego pism. Czyż więc podział taki nie będzie raził pewną sztucznością? Czyż nie znajdą się utwory, które trudno będzie do jakiegokolwiek działu zaliczyć?

I jeszcze jedno. Układ rzeczowy, chociaż ma swe, poważne bardzo zalety, pozwala bowiem jednym rzutem oka ogarnąć wszystkie objawy reagowania duszy autora na pewne sprawy społeczne i narodowe, ma też swoje strony ujemne: powoduje znaczne trudności, gdy chcemy objąć wzrokiem twórczość autora w pewnym okresie jego życia, stawia obok siebie utwory, napisane w róż-

nym czasie, w różnych warunkach i okolicznościach, np. „Obrazek z lat głodowych“ (1866) i „Anastazyę“ (1903), albo „Meira Ezofowicza“ (1877) i rozprawkę „O nacyonalizmie żydowskim“, pisaną przed samym zgonem. A wreszcie porządek taki, rozrywając stworzoną przez autorkę samą łączność nie tylko zewnętrzną, ale często również ideową cyklów, jak np. obrazki „Z różnych sfer“, nowele „Melancholicy“, do pewnego stopnia łamie zasadę nieinterwencyi w sprawach twórczości artystyczno-literackiej.

W każdymbądź razie uważamy za rzecz niezbędną dokładny spis chronologiczny utworów w końcu ostatniego tomu.

Ale—mniejsza o to. Tak czy inaczej, dobrze się ze wszech miar stało, że pełne wydanie pism Elizy Orzeszkowej ukazało się w druku teraz, póki żyje ona jeszcze w pamięci współczesnych. Oby stało się ono podwaliną trwałej, przekazywanej z pokolenia w pokolenie czci dla tej, co kochała tak gorąco, a przemyślała tak wiele!

Pierwszy tom „Pism“ Orzeszkowej poprzedza przedmowa, skreślona piórem Drogoszewskiego. Nie bezbarwny to, ogólnikowy wstęp, jakim często obdarzają nas wydawcy, ale całe studyum o życiu i twórczości autorki „Gloria victis“, na 100 bez mała dużych stronicach zwartego druku.

Studyum to pisane jest przez autora dobrze poinformowanego, rozporządzającego znacznym materyałem wspomnień, zwierzeń, wyjaśnień, nie mówiąc już o dokładnem przestudyowaniu wszystkich dzieł Orzeszkowej i rozległej kulturze literackiej. Ale przytem Drogoszewski jest gorącym wielbicielem talentu Orzeszkowej i umie wydobyć z jej twórczości wszystkie iskry ducha: zarówno doniosłość narodowo-społeczną, jak i piękno artystyczne. To też całe jego studyum tchnie górnością myśli, uczucia i stylu.

Styl ten czasem tylko bywa nieco zawiły. W pewnych też razach nie pisałbym się na ostateczne wnioski rozważań autora, zwłaszcza w zakresie związków ideowych. Znaki zapytania, jakie rozstawia dość gęsto na marginesach „Widm“ czy „Australczyka“, rozdźwięki, jakie znajduje pomiędzy obrazem tych lub innych powieści a rzeczywistością, dla mnie nie istnieją zgoła. Że Orzeszkowa nie skłaniała się nigdy ku radykalizującemu kosmopolityzmowi—to pewne. Ale i to nie ulega żadnej wątpliwości, że ta niechęć jej płynęła z obawy serdecznej o całość ducha narodowego, na którego krwawo-czerwona koszula Julka Ryżyń-

skiego w „Widmach“ rzuca jakiś złowieszczy odblask. I—pomimo wszystko—*salus Reipublicae suprema lex esto!*

*

* *

Ostatnie wreszcie z wydań zbiorowych, które pragnę choć w najogólniejszych rysach omówić na tem miejscu, ujmuje w całość dotychczasową twórczość poety żyjącego, pisarza w pełni wieku i sił. Mówię tu o „Dziełach poetyckich“ Jana Kasprowicza, w sześciu tomach, w układzie Ludwika Bernackiego (Lwów, 1912).

Wydawnictwo to możnaby nazwać przedwczesnem, wobec rozwijającej się wciąż i rosnącej w oczach naszych twórczości poety, gdyby nie ta okoliczność, że pisma jego, rozproszone po większych i mniejszych zbiorach, często wyczerpanych, i czasopismach, nie mogły być znane czytelnikowi polskiemu w tym stopniu, jak na to zasługują.

Dziś staje przed nami cała ta twórczość niepospolita w pełni swej okazałości. Już to bowiem 35 lat upłynęło od chwili przełomowej w jego życiu, kiedy w № 5 poznańskiego „Lecha“ z dn. 2 lutego 1878 r. 18-letni współzawodnik o wieniec poetycki taką dla siebie wyczytał odpowiedź: „Zdaje się, że Pan posiadasz jeszcze za mało wprawy i wykształcenia poetycznego. Sonety są niezłe, jako ćwiczenia, lecz nie tak doskonałe, aby je można drukować. Mimo to dla zachęty przytaczamy tu najlepszy z sonetów pod napisem: „Poranek“.

Od tych skromnych pierwocin twórczość tego syna ludu wielkopolskiego rozwinęła się świetnie, a dziś zawarła się, prócz przekładów, prócz ostatniego cyklu liryk p. t. „Chwile“ (1911), w sześciu obszernych tomach.

Tom I to jakby źródło natchnień i nastrojów poetyckich Kasprowicza: pokazuje, skąd wyszedł, określa jego najbliższą ojczyznę duchową. Prócz „najpierwszych poezyi“, po raz pierwszy z rękopisów wydanych, czytamy tu „Obrazy i opowiadania“: a więc „Impresye“, cykl „Z chałupy“, „Z flory swojskiej“, „Na rozdrożu“, „Typy“ (oczywiście, chłopskie, jak „Król Leara z Biedaczowa“, „Rudawski“, „Maciej Kosarczyk“, „Hanka Olpińska“, „Mar-

cin Szafran"), oraz dłuższe poemaciki, ciężką niedolę chłopską w rysach dosadnych odtwarzające, jak: „Jewka Orliczka", „Na służbie", „Dwaj bracia rodzeni", „Salusia Orczykówna", „Wojtek Skiba".

Od tych obrazków, nasiąkniętych goryczą krzywdy, pisanych stylem twardym i szorstkim, jak namulone dłonie żniwiarza, do akordów cyklu „Ginącemu światu" przeskok niezmierny.

Kto wie jednak, czy ta rażąca sprzeczność między pierwocinami a rozkwitem twórczości naszego poety nie jest tylko pozorna. Bo choć w „Mojej pieśni wieczornej", w „Salve Regina", w „Dies irae", w „Święty Boże, Święty Mocny" dobywa Kasprowicz najsilniejszych tonów, wyrzuca z siebie fortissima rozpaczy i buntu, przecież od ziemi ojców swoich, od pieśni ludu swego nie odrywa się sercem ni myślą. Wszak „Moja pieśń wieczorna", ta wielka spowiedź grzesznego świata, ma za podłoże nastrojowe rzewliwy głos fujarki sielskiej, jak „Pieśni i piosenki" Konopnickiej:

A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!

Nawiasem mówiąc, najdźwięczniejsze to wiersze, jakie napisał kiedykolwiek Kasprowicz, który nigdy nie był mistrzem subtelnego słowa. A na ich tle dopiero huczą głębokie akordy straszliwego samooskarżenia.

A w „Święty Boże, Święty Mocny" ktoby nie dosłyszał dalekiego echa błagalnych suplikacyi rozklęczonego w ubogim kościołku ludu, co strzeliste modły zanosi do Stworzyciela świata, by zachować raczył upadających pod ciężarem niedoli od głodu, wojny i powietrza, od nagłej i niespodziewanej śmierci?

Taki oto łuk zakreślić można nad dotychczasowym dorobkiem poetyckim Kasprowicza, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli modernizmu polskiego. A twórczość ta obejmuje dzieła treści i formy różnorodnej. Prócz liryk i utwory dramatyczne („Świat się kończy", „Bunt Napierskiego", „Uczta Herodyady", „Baśń nocy świętojańskiej", prolog na otwarcie Teatru Miejskiego we Lwowie), i poemat biblijny p. t. „Chrystus", najsilniejszy wyraz zwątpienia w twórczości poety, i poemat liryczny „Miłość", pełen panteistycznego uwielbienia natury, i cykl nowel i fragmentów, p. n. „O bohaterskim koniu i walącym się domie",

odzywający się nutą już nie rozpaczy i protestu, ale cichego żalu i gorzkiej ironii.

Nie mam tu zamiaru ni miejsca, by kreślić wizerunek duchowy poety. Szło mi tylko o zaznaczenie kronikarskie ukazania się tej pięknej edycyi, jako objawu ze wszech miar dodatniego, świadczącego o żywszem zainteresowaniu się inteligentnego ogółu sprawami poezyi. Wartość wydawnictwa podnoszą jeszcze dwa spisy bibliograficzne, poprzedzające tom I, a sporządzone przez p. Ludwika Bernackiego, któremu zawdzięczamy układ i przygotowanie do druku całej edycyi: jeden z nich obejmuje bibliografię utworów, drukowanych w czasopismach, drugi zaś — wykaz wydań książkowych. Brak natomiast niniejszemu wydawnictwu wstępu, podającego charakterystykę twórczości Kasprowicza; studyum takie, pióra Zygmunta Wasilewskiego, ukaże się osobno.

* *

Zapowiedziana edycya zbioru pism wielkiej pieśniarki „Pana Balcera w Brazylii", Maryi Konopnickiej, jeszcze się nie rozpoczęła. Natomiast dano nam poznać dwie iskry z gorejącego płomieniska jej ducha: całość poematu, p. t. „Imagina" (1912) i przekład eposu komicznego doktora Karola Arnolda Kortuma p. t. „Jobsiada" (1913).

„Imaginę" znaliśmy dotąd tylko w urywkach: luźne fragmenty tego poematu zamieściły w swoim czasie: „Tygodnik Illustrowany" (1886), „Kraj" (1886), „Głos" (1886) i „Życie" (warszawskie, w 1887 r.). Całość, wobec owoczesnych warunków cenzuralnych, nie mogła ukazać się w druku. O wydaniu „Imaginy" w Galicyi jakoś poetka nie pomyślała, jak i kilku innych utworów patryotycznych (nowela „Rok 1835", poemat, osnuty na tle uroczystości horodelskich w 1861 r., p. t. „Przez głębinę"). Dziś więc dopiero wychodzi na świat ten poemat, z przedmową utalentowanego krytyka, p. A. Grzymały-Siedleckiego.

Bohaterem „Imaginy" jest piękny i szlachetny młodzieniec, Lucyl, którego imię samo wskazuje na szczytną dążność ku światłu, ku prawdzie i potędze ducha. Dość już mając księży i pro-

fesorów, poczuł on w duszy dziwną tęsknotę i zamarzył o „jakiejś ognistej miłości“. I miłość przyszła: stanęła przed nim we śnie w przecudnej postaci piękności nieziemskiej, w świecie wyobraźni młodzieńczej istniejącej, Imaginy. „Imagina“, ta „marzona w śnie rannym kochanka“ to symbol najszczytniejszych uniesień ducha, symbol najszlachetniejszych ideałów, kwiecących się w duszach wiośnianych.

Ale nadchodzi jeden i drugi mroźny podmuch życia. Lucyl jeszcze nie zapomniał o Imaginie, jeszcze wyciąga do niej ramiona, gdy mu się w wizyi sennej ukazuje, ale już kocha Megistelejdę, alpejskiego jaru kapryśną królowę, już staje się jej wiernym służebnikiem, w obrożę niewoli dumną głowę skłania.

Co gorsza: promienna postać Imaginy w snach Lucyla przybiera coraz więcej rysów Megistelejdy; dawna kochanka niknie coraz bardziej i zaciera się w jego wyobraźni. Niebawem przypomina mu ją tylko „dziewicza biel“ zasłony, „przetkanej w róż kwiaty“, aż wreszcie kiedyś stanęło przed nim widmo w czarnych chustach Megistelejdy. I jeno jeszcze głos Imaginy dźwięczał w jego sercu. Aż kiedyś w nocnej ciszy miast słodkiej mowy pierwszej kochanki nieszczęsny młodzieniec głos „wiedźmy“ posłyszał.

Ale nakoniec wybiła wielka godzina wolności: Lucyl pchnął w przepaść „wiedźmę“—i pierś ziemi odetchnęła swobodnie a szeroko. A jednocześnie ukazał się wśród łanów zbóż „anioł pól“, niosąc na ramieniu kosę i krzyżem żegnając skowronka, co śpiewał. Wstąpił na mogiłę i zdjął z niej pieczęć, „jak rubin, czerwoną“.

A z pod pieczęci wyszedł naród blady,
W zgrzebnych siermięgach, z strzyżonymi włosy,
Krwawe stóp swoich roztaczając ślady
W piasku, a w rękach puste niosąc kłosy,
A chociaż z owej posępnej gromady
Nie wyszedł żaden jęk, przecież się głosy
Pełne żałości niosły ponad niemi,
Jakoby łkanie i płacz matki-ziemi.

I stanął tłum ten, obrócony czołem,
Ku jutrzni, która się paliła złota,
A ten, co w rzeczy onej był aniołem,
Schylił się, z ziemi wziął bryłeczkę błota
I rzekł:—„Czem jesteś?—Umarłych popiołem...
Lecz ja uderzę w ciebie ciosem młota,

I posąg z ciebie wykuję swobody,
I dam ci miejsce pomiędzy narody".

. . . . . .

I tak szły rzesze wielkie i narody
Jak trawy polne idą i zbóż łany
Za tchnieniem wiatru, a jak idą trzody
Tam, gdzie spoczynek mają zgotowany
A ponad niemi pieśń brzmiała swobody,
A step ten siwy i stare kurhany
I czarne krzyże, przy drogach stojące,
Odziały blaski ciche i srebrzące.

Tak przedstawił się wyobraźni poetki wielki dzień odrodzenia, dzień sprawiedliwości. Taką strofą kończy ona ten swój poemat, w którym zamyka alegoryę przeszłych i przyszłych losów narodu. I niemasz w tej świetlistości ani jednego cienia goryczy, zwątpienia czy niewiary. Ona wie i wierzy, że tak, jak prorokuje, będzie, bo tak być musi, by moralnemu porządkowi rzeczy stało się zadość. Byleby we własnej duszy nie niszczyć ideałów, nie obniżać orlego lotu marzeń szczytnych, nie pozwolić pokusom Megistelejdy tryumfować nad niebiańskimi urokami Imaginy...

Ale wzniosłość nie jest jedynym pierwiastkiem twórczym „Imaginy", ukazującej się czytelnikowi na wzór „Don Juana" i „Beniowskiego", „z aryostycznym uśmiechem na twarzy". Jak w tamtych arcy-wzorach, mamy i tu liczne dygresye, to poważne, to żartobliwe. Dygresye często—charakteru osobistego. „Imagina" jest jednym z tych bardzo melicznych utworów Konopnickiej, w których poetka mówi nie tylko w imieniu „krzywd ziemi", nie tylko „płacze z człowiekiem", ale—i od siebie samej przemawia: składa swoje *credo*, religijne i narodowe, spowiada się ze swych uczuć, ze swego szczęścia, co „smętne jest i boli", ze swego umiłowania „prostych, miernych dusz", bierze odwet na swoich krytykach, zwłaszcza z obozu konserwatywnego; ale także skarży się na skarlałość pokolenia współczesnego, a widząc „służalcze, ciemne, nizkie dusze", pyta z goryczą: „poco żyli Tyrteusze?". Ale nie zapomina też o krzywdzie i niedoli i w jednym z najpiękniejszych epizodów taką rzuca apostrofę:

O ciche pola! O wy, senne niwy!
Nigdyż nad wami słońce nie zaświeci?
Nigdyż nie wzejdzie taki dzień szczęśliwy,
W którymby piękność waszą nie poeci,

Nie rym mniej więcej trafny lub fałszywy,
Ale uznały wszystkie wasze dzieci
I wrzącą piersią przylgnęły do roli...
Nigdyż?... O, jak mnie to pytanie boli!

Przez całe dzieje, jak doba ich długa,
Dziwnie byliśmy w błękity rzuceni,
Porwani skrzydły husarzów od pługa
I u gotyckich wieżyc uczepieni.
W górę nas parła żelazna kolczuga,
A rozmach konia, kopii i pierścieni
Oślep nas cisnął pod strop firmamentu,
I tak stał dziwny gmach—bez fundamentu.

Więc my zgrzeszyli dziejom przez ten ślepy
Pęd, co z nas strzelił wieżami złotemi
I chmury nakrył drogimi czerepy
Blach srebrnych, w niebo porwanych od ziemi.
W kruchtach my czołem bili, jako cepy,
Jak dzwon w modlitwach głośni, ale niemi,
Kiedy dla własnej i ziemskiej istności
Przyszło rzec słowo braterstwa, miłości...

Lecz koń i kopia, i zbroja, i wieże—
To życia ludom, ni siły nie daje.
Zycie—to ziemia, to łono jej świeże
I chleb rodzące, to niwy a gaje.
Siła—to dłoń ta, co sochy się bierze
I lemiesz kuje, i skiby nam kraje,
To ta siermięga, ta chłopska sukmana,
W którą jest Polska Piastowa odziana.

W „Imaginie“ zlewają się w harmonijny współdźwięk dzwonek pierrota i dzwon Zygmuntowy, a lekkie, zwinne przeskoki od żartobliwości do namaszczenia wieszczego cieszą serce wabnością gazelli, gazelli-strofy, tej wypieszczonej, umiłowanej przez pieśniarzy wielkich oktawy, w której misternem budowaniu Konopnicka nie ustępuje swym niezapomnianym poprzednikom.

Ale co innego jest tu rzeczą najważniejszą. Któż bowiem, tak jak autorka „Imaginy“, umie i ma prawo okrzyknąć się wpośród narodu? Kto, tak jak ona, marzy „pieśń jakąś twardą“, kruszącą kajdany Lucyla? Kto, tak jak ona, może wołać z głębi piersi natchnionej:

O! więc mi dajcie tę lutnię, co jęczy
Nad spustoszeniem wielkiego Syonu!

Niech, jak Jeremiasz, w włosianej obręczy
Na biodrach idę, a głos mój, głos dzwonu,
Niechaj ich (t. j. rodaków) sięga, a niechaj ich dręczy
Aż ich z letargu przebudzi i skona...
Niech, jak grom, dach im nad głową zapali,
A niech ich zmusi, by żyli, by wstali!

Zaprawdę, dzisiejsza nasza poezya nie do takich przyzwyczaiła nas akordów.

*

* *

Jednocześnie niemal z „Imaginą“ ukazał się po raz pierwszy z papierów pośmiertnych poetki wydobyty przekład „Jobsiady“ (1913). Pełny tytuł tego żartobliwego poematu w tłómaczeniu rymowanem naszej poetki brzmi, jak następuje: „Żywot i myśli, postępki i fata Hijeronima Jobsa kandydata, i jaką sławę zdobył on i jaki miał w Schildburgu zgon, z tyłu i z przodu ozdobiona przytem niejednym pięknym drzeworytem, wesoła powieść, którą rym salwuje dzielnie w razie złym“.

Przedmowa „od wydawców“ zawiera kilka szczegółów godnych istotnego podziwu. Czytamy tu, m. in., iż „manuskrypt („Jobsiady“) nie był w zupełności przygotowany do druku, pozostały w nim drobne luki, które z całym pietyzmem (!?), porównywając tłómaczenie z oryginałem, uzupełnił Artur Oppman (Or-Ot)“. I dalej: „Wspominamy o tem ze względu na ścisłość (??) literacką“.

Utalentowani poeci często bywają słabymi filologami i wydawcami. Ale żeby ktoś „uzupełniał“ cudze dzieło, pisane wierszem, w wydaniu pośmiertnem i nigdzie w przypisach nie zaznaczył, na czem te „uzupełnienia“ zależą, tego nigdy chyba jeszcze nie było. Nie dowodzi to bynajmniej „pietyzmu“, ale przeciwnie, lekceważenia dla dzieł poetki.

Poza tem niefortunna ta przedmowa zawiera jeszcze jedno nieporozumienie. Kończy się ona uwagą, że „forma wydania została przystosowana do treści, a więc zarchaizowana“, że „ilustracye na wzór dawnych drzeworytów, druk i papier składają się na całość, przypominającą stare edycye z przed paru wieków“.

Uwaga ta zresztą słuszna najzupełniej: szata wydawnicza „Jobsiady“ polskiej jest rzeczywiście niezmiernie oryginalna, zharmonizowana z tonem naiwno-żartobliwym całości utworu. Ale ponieważ przedmowa ta żadnych wiadomości ani o Kortumie, ani o „Jobsiadzie“ nie zawiera, czytelnik nieświadomy mógłby wywnioskować, że pisarz ten żył, a utwór ten został napisany „przed paru wiekami“. Tymczasem Karol Arnold Kortum, lekarz, przyrodnik, archeolog i satyryk niemiecki, jest pisarzem schyłku XVIII i początków XIX w. (1745 † 1824), a „Jobsiada“ ukazała się w druku po raz pierwszy w roku 1784 p. t. „Die Jobsiade, oder Leben, Meinungen und Thaten von Hieronymus Jobs, dem Candidaten“ (w Monasterze). Inne satyry Kortuma, mniej sławne, to „Die magische Laterne“ (1784—1780) i „Adam's Hochzeitfeier“ (1788). To wszystko do wiadomości czytelników oraz... autora przedmowy na wypadek, gdyby przekład Konopnickiej ukazał się kiedykolwiek raz jeszcze w druku.

Że przekład ten jest pod każdym względem świetny, o tem i mówić nie trzeba. Podczas jednego ze swych wczasów słonecznych poetka przyswoiła naszej literaturze ten poemacik satyryczny o synku mieszczańskim, nicponiu i próżniaku, który, zgodnie z życzeniem rodziców, miał zostać teologiem, a skończył na tem, iż w rodzinnem swem mieście przyjął obowiązki stróża nocnego, aż wreszcie śmierć nielitościwa przecięła pasmo jego dni, „gdy lat czterdzieści miał, dni sześć“. Ale w ciągu niezbyt długiego życia wieku zaznał przygód zabawnych, które składają się na treść „Jobsiady“. Nastrój groteskowy stylu i wiersza doskonale uchwyciła Konopnicka, dodając jeszcze od siebie do tego „luźnego burlesku“ humorystyczne wzmianki o księdzu Bace, Chodowieckim i Auguście Mocnym. Trzeba tylko wiedzieć, co z tego wszystkiego jest własnością duchową Konopnickiej, a co—Or-Ota.

*

* *

Za każdym razem, gdy bierzemy do ręki nową powieść Stefana Żeromskiego, zawsze ciśnie nam się na myśl pytanie: co książka ta przynosi nowego? czy znamionuje jakiś zwrot w kierunku twórczości tego Wielkiego Inkwizytora współczesnej du-

szy polskiej? I okazuje się, iż mimo różnorodności tematów, podejmowanych przezeń w ostatnich dziełach („Dzieje grzechu", „Sułkowski", „Uroda życia"), w gruncie rzeczy tło ideowe pozostaje zawsze to samo: krwawa, bolesna walka ze złem, które przewyższa wszelką nadzieję i wszelką mękę człowieczą, i które powoduje rozpacz bezdenną i tępą zobojętniałość, tem okropniejsze, iż widzi się w marzeniach i kocha gorącem sercem dobro, którego urzeczywistnienia na tej ziemi w postaci jakiejś rajskiej szczęśliwości w przyszłej Polsce ludowej, spodziewać się można dopiero „gdzieś na wieków późnej fali".

Twórczości Żeromskiego na imię jest męka, męka rozkoszy i rozkosz męki. A na drugie jej imię—gorycz, która nic i nikogo nie oszczędza, nawet siebie samej. Ciemności otoczyły kolebkę autora „Zmierzchu" i ciemności towarzyszą mu przez całe życie.

Zobaczmy teraz, jak te uwagi dadzą się zastosować do najnowszego utworu Żeromskiego, „klechdy" o „Wiernej rzece".

Tło historyczne stanowią tu krwawe wypadki 1863 roku. Ale w przepełnionej pesymizmem duszy autora załamują się one inaczej zgoła, niż w tradycyi. Rok 1863 to dla Żeromskiego przedewszystkiem wojna, a wojna to przedewszystkiem — rzeź. „Wierna rzeka" to nie tragiczne, ale wzniosłe kartony Grottgera, ale—„krwawy śmiech" andrejewowski. Rok 1863 to w „Wiernej rzece" krwawe pola małogoskie, to „biała góra" obdartych do naga trupów, to męczeństwo rozsiekanych nieszczęśników, to opustoszałe dwory, po których straszą widma niepowrotnej, zamordowanej i zdeptanej przeszłości, to ojcowie rozbitych doszczętnie rodzin i domów, to matki, wyjące z bólu nad dziecęcemi szatkami poległych niedawno synów, to ów do istoty ludzkiej ledwo podobny, ranami okryty nędzarz, wlokący się ku domostwom ludzkim z przerażającego pola bitwy, by skonać bodaj pod płotem, to roje robactwa, które pozostawiają na pościeli wysłańcy rządu narodowego, to rozpacz, to beznadziejność, to śmierć i zniszczenie, to „święta idea", waląca się ze swego ołtarza w błoto.

Ale są tu jeszcze boleśniejsze sprawy. Są cierpienia i zawody, którym niemasz imienia. Bo oto są chłopi, którzy chcą aresztować rannego powstańca, są dzieci wiejskie, rzucające w niego grudkami zeschłej ziemi; są wspomnienia 1846 roku, kiedy to chłopi przerzynali w pół piłami żywcem głoszących im wolność emisaryuszów demokratycznych. Straszne, zaiste, widnokręgi dantejskiego „piekła dni teraźniejszych" otwiera przed nami ostatnia powieść Żeromskiego. I gdyby nie jeden tylko wieśniak z gór

Świętokrzyskich, który dziwował się chłopom, odgrażającym się na „Polaków“, i należał do tych, co nocami ukrywali rannych, ta sielanka społeczno - patryotyczna nawspak, byłaby jeszcze rozpaczliwsza.

Tak zło tryumfuje nad dobrem. Takie krwawe piętno wyciska na duszy własnej i na duszy czytelników okrutny biczownik współczesności polskiej, Żeromski.

A na tem tle straszliwej męki i zatracenia, jakby dla kontrastu, romans. Romans jeden z najdziwniejszych, jakie zna nasza literatura, rozgrywający się w warunkach zgoła osobliwych. Bohaterami jego są: dzielna, krzepka, śmiała, prosta i szczera, szlachetna i głęboko uczuciowa dziewczyna, jedyna, prócz starego kucharza Szczepana, strażniczka opuszczonego dworu, w którym niegdyś grzmiały wiwaty i okrzyki taneczne, i ów ranny powstaniec, nędzarz-książę, którego ona dziesięćkroć ratuje od śmierci, karmi, obmywa ze krwi, ciekącej z ran, pielęgnuje, z narażeniem życia własnego ukrywa podczas rewizyi nocnych, a czyni to zrazu z litości, z czysto ludzkiego i polskiego współczucia dla cierpiących, potem—z przyjaźni serdecznej a tkliwej, która wreszcie rozwija się w kwiat miłości. Dwie sceny erotyczne w „Wiernej rzece“ należą do najcelniejszych w powieści i głębokie pozostawiają po sobie wrażenie.

Jedna jest tylko strona ujemna tej miłości dziwnej wśród grobów i ruin: niezdecydowany, niejasny charakter samego bohatera, który w całej powieści odzywa się bardzo niewiele, raczej w sposób informacyjny, niż charakterystyczny, i od początku do końca pozostaje dla nas zagadką. A cudowna jego metamorfoza ze strasznej maszkary ludzkiej w wyniosłego arystokratę zastaje nas również nieprzygotowanych.

Niemniej dziwna jest psychologia jego matki: księżna po wielu tygodniach odnajduje syna, przyjeżdża po niego i zabiera go, wyrywa z objęć kochanej i kochającej kobiety, bez słowa oporu z jego strony, bez energiczniejszego i jej protestu. Gorzej jeszcze czyni: pomimo iż pokochała całem sercem, jak córkę, tę, której zawdzięcza życie jedynaka, nie waha się dręczyć jej natrętną, potworną wprost indagacyą, z całą bezwzględnością oświadcza, że żoną jej syna i księżną zostać żadną miarą nie może, a w końcu—rzuca jej w oczy garść złota, równa ją w ten sposób z kucharzem Szczepanem, którego również pieniędzmi wynagrodziła za usługi. Że dumna dziewczyna oddaje matce swego kochanka z pogardą skarb swój największy, wydobytą z rany jego kulę, że po odjeździe obojga ciska w rzekę otrzymaną za zdepta-

ne serce zapłatę, to wszystko jest wzniosłe i prawdziwe. Ale ta matka nie ma w swych czynach ni słowach gestu wielkopańskiego, ni tego nawet, którym płaci się krową za uwiedzenie przez panicza dziewczyny wiejskiej; jest tylko bezmyślnie okrutna, co zresztą pozostaje w sprzeczności z wrodzoną, jak się zdaje, dobrocią jej serca.

Prócz tych postaci głównych zarysował Żeromski w „Wiernej rzece“ kilka jeszcze figur drugoplanowych: stary powstaniec Brynicki, ojciec bohaterki, Hubert Olbromski, emisaryusz rządu narodowego, oficer jazdy Wiesnicyn, oboje Rudeccy, właściciele zrujnowanego dworu, córka arendarza Ryfka, ostrzegająca nieraz w nocy panienkę o zbliżaniu się wojska, a przedewszystkiem wyborna sylwetka starego Szczepana, mrukliwego, opryskliwego dziadygi, którego samotne rozmowy z jedynym towarzyszem, ogniem, wznoszą się na poziom epicki.

Niepodobna nie powiedzieć nic o jednej jeszcze postaci — nie z tego świata: jest to dawny właściciel dworu, samobójca Dominik. Jego duch, wedle podania, włóczy się po rozległych, opuszczonych komnatach tego strasznego domu i „chichocze do rozpuku“ z tragedyi, której jest świadkiem niewidzialnym.

To widmo Dominika, nigdy przez nikogo nie widziane, a przecież wszędzie obecne, jest najgłębszym chyba cieniem na obrazie dziejowym, nakreślonym przez Żeromskiego w tej smutnej powieści.

Istny to symbol nieubłaganego *finis Poloniae*, przynajmniej— *Poloniae equestris*, szlacheckiej Polski...

Ale gdzież zapowiedź przyszłej doli? Nie szukajmy jej u Żeromskiego, władcy ponurego państwa nocy.

*

* *

Pisząc w roku ubiegłym na tem miejscu o „Mocnym człowieku“ Przybyszewskiego, wyraziłem się, że powieść ta, jeżeli uważać ją za satyrę, schodzi do poziomu nowoczesnego *Raüberroman*, a jej bohater staje tuż obok Arseniusza Lupina.

Mimowoli myśl moja zbiegła się z myślą samego autora, który na str. 221 drugiej części „Mocnego człowieka“, p. t. „Wy-

zwolenie“ (1912), mówi przez usta swego bohatera: „To pachnie kryminalną opowieścią Conan Doyle'a“.

Bielecki mówi to, oczywiście, żartem: zdaje mu się bowiem, że jego czyny są nierównie wznioślejsze od zbrodni pospolitego, a choćby najniepospolitszego rzezimieszka. Ale zobaczmy teraz, jakie są te jego czyny.

Wiemy już z pierwszej powieści, że Bielecki, dziennikarz miernych zdolności, podsunął truciznę swemu przyjacielowi, choremu na suchoty poecie Górskiemu, po jego śmierci ukradł rękopisy nieboszczyka, a ogłosiwszy je za swoje, zyskał rozgłos utalentowanego dramaturga, wreszcie zaś utopił w Adryatyku swą kochankę, dawną przyjaciółkę Górskiego, która znała początek sławy literackiej „mocnego człowieka“. Wiemy również, że Bielecki związał się na śmierć i życie z szatańsko-przewrotną Adą: oni też oboje, ramię przy ramieniu, wypływają na szerokie fale uznania i dobrobytu.

Uznanie i dobrobyt zresztą dość — połowiczne. Publiczność bowiem żąda od Bieleckiego nowych utworów, których on napisać—nie potrafi, a szalona, bezcelowa rozrzutność bohatera, który urządza całonocne orgie pijackie dla całej czeredy podobnych sobie cyganów, choć ich nienawidzi całem sercem i w głębi duszy nimi pomiata, doprowadza go do nowej zbrodni: Bielecki sfałszował na kilku wekslach podpis swej babki, a kiedy przychodzi termin ich płacenia, przyśpiesza śmierć tej „drogiej babuni“, co mu wreszcie bez trudu przychodzi, bo staruszka chora była na serce. Ze swojej strony Ada prowokuje pojedynek, w którym celny strzelec, książę Poraj, przeszywa kulą nawskroś Kotowicza, przyjaciela Górskiego. Kotowicz zginąć musi, bo domyśla się tajemnicy papierów pośmiertnych nieszczęsnego Górskiego; tak Ada z Bieleckim uradzili. Wreszcie przychodzi koniec i na Adę: w jej przepysznej, białej piersi zatapia sztylet Poraj, którego doprowadza do szału miłosnego, a potem odtrąca z szyderczą pogardą. Ten długi orszak ofiar zbrodniczej ambicyi „mocnego człowieka“ zamyka Poraj, który odbiera sobie życie z rozpaczy...

Ale gdzież jest zapowiedziane w tytule „wyzwolenie“? Ma niem być przełom, jaki dokonywa się w duszy „mocnego człowieka“ pod wpływem miłości, tym razem miłości idealnej, do dziewiczo-pięknej pani Niny Ligęzy. Jaki będzie dobry przebieg tego procesu psychicznego, o tem dowiemy się w trzeciej części cyklu „Mocnego człowieka“, p. t. „Święty gaj“.

Dowie się—kto ciekaw. Czy znajdzie się wielu ciekawych? Kogo naprawdę zająć mogą awanturnicze przygody truciciela,

rabusia, zabójcy, fałszerza i podpalacza? czy to wszystko istotnie nie „pachnie kryminalną opowieścią Conan Doyle'a"? a choć dziś bandytyzm w literaturze i w życiu w modzie, może naprawdę nie wzruszą nikogo dzieje tego małego duchem człowieczka, któremu autor nie szczędzi duserów w rodzaju: „wytworny, piękny zbrodniarz", „mocny, zimny człowiek", „wielki, mocny człowiek", „genialny" nawet?

Czyż wreszcie w „Wyzwoleniu", jak i w innych powieściach Przybyszewskiego, jest choć jeden żywy człowiek, człowiek z krwi i z kości, któryby przemówił do naszej wyobraźni, jak prawda, jak rzeczywistość? To raczej gromada znikomych cieni, ściągających i rozwodzących członki kurczowymi ruchy tabetyków czy paralityków. Gdzie kto widział takiego np. Poraja, „barona czy nawet księcia", który włócząc się po nocach po najohydniejszych norach z pijaną „hałastrą", jak ją nazywa Bielecki, literatów i artystów z pod ciemnej gwiazdy, czuje się dumnym i uszczęśliwionym z należności do tego grona, kocha się na śmierć w Adzie i obsypuje ją kwiatami, jak imperator rzymski skazanych na śmierć senatorów, i złotem, jak Jowisz Danae? Gdybyż choć jeden fibr zadrżał w tej lalce papierowej, wygłaszającej, jak za pociśnięciem sprężynki, takie np. szumno-groźne pseudo-anarchistyczne frazesy: „Prawo kradzieży jak najzupełniej przyznaję tym, którzy nic nie mają, więc muszą brać", albo: „Jeżeli kobieta oddaje się z miłości, jest to najwyższa cnota..."

Tak doktryna mści się na prawdzie psychologicznej i życiowej.

Co prawda, to i doktryna ta przedewszystkiem nie pierwszej już młodości, a potem — nie przystaje ani do bohatera, ani do jego czynów.

„Mocność" Bieleckiego polega głównie, jak się zdaje, na zdawkowym cynizmie. Pewnego razu ten nowoczesny rycerz przemysłu wykrzykuje: „Ja i wyrzuty sumienia! Ja z największą rozkoszą skręciłbym kark własnej siostrze, gdyby mi zawadzała, i anibym się obejrzał!" A potem dodaje: „Z zimną krwią potopiłbym setki ludzi, spaliłbym ich w stodole, możebym się nawet cieszył ich skowyczeniem, gdybym ich mógł do podziemnych lochów wtrącić".

Takie to jest „nad-człowieczeństwo" tego „mocnego człowieka", który miłość idealną nazywa „tabes dorsalis", a Napoleona— „chamem". Ale posłuchajmy, jak on sam moc swoją tłómaczy: „Umieć zabawić się z sobą, robić rozmyślnie to, czegoby się robić nie chciało, sprzęgać wszystkie wole w jedną i na tysiączne

części znowu je rozrywać, trzeć jedną o drugą, skręcać na postronki, rozkręcać na delikatne włókienka—to jest istną mocą, to znaczy zapanować już nie nad sobą, ale nad wszystkimi losami swoimi i innych—to znaczy stawać się powoli Bogiem".

Jedno z tej splątanej sieci chaotycznych i mglistych frazesów wygmatwać się da: obłęd samoubóstwienia, jako *quinta essentia* całej nauki o „homines sapientes", „synach ziemi", „mocnych ludziach". Jeżeli taki Bielecki może siebie samego deifikować, komuż wzbronne będzie przeć się na Olimp, by zasiąść wśród nieśmiertelnych?

„Ku gwiazdom czy na szubienicę?" — takie pytanie złowrogie postawiłem sobie, pisząc na tem miejscu o pierwszej części „Mocnego człowieka". Dziś, poznawszy część drugą, łamię błyszczącą klingę tego dylematu, odrzucam precz jego szczątki i odchodzę w spokoju, mówiąc w duchu: *Sic itur ...ad absurdum.*

*

* *

Komu, jak komu, ale Gabryeli Zapolskiej nie brak poczucia rzeczywistości. Tylko, że rzeczywistość tę oglądamy w jej powieściach przez zakopcone czy może zapotniałe szkiełka. Jej komedyę p. t. „Kobieta bez skazy" nazwałem w jednej z poprzednich swych kronik „fałszywym akordem"; zauważyłem też, że teza postawiona jest niejasno, artyzm zaś—nie zawsze dopisuje.

Czy głosy krytyków, którzy „nie zrozumieli" intencyi autorki, skłoniły ją do jaśniejszego wytłómaczenia się, czy może sama ona doszła do wniosku, że w szczupłych ramach „wieczoru teatralnego" nie mogła się dostatecznie wypowiedzieć, dość, że po komedyi o „Kobiecie bez skazy" przyszła kolej na powieść pod tymże tytułem. Powieść obszerna, na 400 bez mała stronicach: było się gdzie rozpisać i wszystko, jak się należy, wyłożyć.

Ale teraz, nie bez żalu zresztą, cofnąć muszę swój zarzut poprzedni: rzekłem, że „Kobieta bez skazy" nie jest propagandą ani „wolnej miłości", ani „moralności niezależnej". I owszem: dziś widzę, że jest nią.

Dajemy głos samej autorce.

„I oto — mówi ona w jednej z licznych dygresyi, w których wyznanie swej wiary składa — nieprzeparta już tragedya, niewidoczne zapadnięcie się królestwa obłudy i fałszywego ideału moralnego - zanadto bowiem dobrze podparte są ściany tej świątyni, a podparte przez gady łaskocące i najniższe i rzeczywiście grube popędy ludzkości—wytworzone dopiero przez ludzi, a więc mające w sobie egoizm eunuchów i skopców! Z ustami, pełnemi obleśnych uśmieszków i Boga, bluźnią najstraszniej, rugując owej Sile twórczej doskonałość logiczności w tworzeniu, i poprawiają swą brudną głupotą doskonałość samą. Wyciem, buntem, protestem, jadem kłamstwa, fałszu, znikczemnienia odpowiada wijąca się w męczarniach kohorta kobiet — i powoli z buntu przechodzi w gnuśność, obłędną podległość, lizanie rąk, które wyryły żrącą solą ich łez przykazanie, strącające w przepaść cudowny kwiat płciowego misteryum — jako rzecz karygodną, posępną, niechlujną—lub co gorsza, przyczepiając doń etykietę z dewocyą spełnionego obowiązku".

Na sztandarze kobiety dzisiejszej—mówi dalej autorka „Ahaswera"—zeszyto dwa słowa: „Erotyzm i Etyka...".

„I oto, sięgając i wydzierając ku sobie jedno, kobieta szarpie i niweczy drugie. Bo te dwie potęgi mają dość sił żywotnych, aby istnieć same i wykarmić ludzką egzystencyę. Połączone razem, zagryzą się i będą mimo wszystko zagarniały pod swe szpony daną indywidualność. I tak wlec się będzie ciągła, wieczysta tragedya—bez wyjścia, bez ratunku, dopóki nie runie przeklęństwo fałszu i jego bezecne, bezczelne Królestwo!"

To już wygląda zgoła inaczej, aniżeli w komedyi. Tu Zapolska zagrała w otwarte karty. A więc idzie ni mniej, ni więcej, tylko o walkę Erotyzmu z Etyką.

Że dzisiejsza regulacya stosunków płciowych oparta jest w wielu wypadkach na obłudzie, na fałszu, często i — na krzywdzie, o tem nikt chyba nie wątpi. Tych drzwi nie trzeba wyważać: stoją otworem. Ale, jak dotąd, ludzkość nic jeszcze lepszego nad stadło monogamiczne nie wymyśliła; i trzyma się ten gmach od wieków mimo, iż rysy na nim znać gęsto. Obalić go? Ale co na jego miejsce postawić, by nie było krzywdy jeszcze większej, cierpień jeszcze boleśniejszych? A przecież „inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest", jak mówi zwątpiały Pankracy w „Nie-Boskiej Komedyi". Na pytanie to nie daje Zapolska żadnej odpowiedzi.

Natomiast zapomniała o jednej rzeczy najważniejszej. Broniąc z zapałem Erotyzmu przeciw zachłanności Etyki, na całych

400 stronicach nie mówi — o dziecku, jakby nie chciała wiedzieć, że popęd płciowy w istocie swej i treści jest przedewszystkiem dążeniem do zachowania gatunku, instynktem rozrodczym, wielkim krzykiem o życie nie poczętego jeszcze w łonie matek potomstwa. I rzecz dziwna: Zapolska, która tyle w swych utworach mówi o prawach kobiet, ani jednej ze swych bohaterek (o ile sobie przypominam) nie opromieniła aureolą miłości macierzyńskiej. Przypomnijmy sobie dziwną rywalizacyę Tuśki i Pity — o miłość jednego mężczyzny. Oto są matka i córka.

Tania w „Urodzie życia“, szepcąca na ucho kochankowi, że chce mieć córeczkę małą, podobną do niego, idzie naoślep za przemożnym instynktem przyszłego życia. Rena u Zapolskiej, marząca o tem tylko, jak zaspokoić szarpiące jej łono tęsknoty zmysłowe, instynkt ten wypacza, łamie, niszczy w zarodku.

Ale przypuśćmy wreszcie, że teza powieści stoi mocno, niewzruszenie. Jakże Zapolska ilustruje ją przygodami Reny?

Rena jest nieszczęśliwa i pozostaje w końcu samotna, jak twierdzi autorka, dlatego, że zadała gwałt swym popędom erotyzmu i straciła tę jedyną w swem życiu chwilę, kiedy i sama mogła być szczęśliwą i uszczęśliwiłaby ukochanego mężczyznę. A potem już moment taki nie przyszedł nigdy. Za bunt przeciw wszechwładzy miłości „kobieta bez skazy“ została słusznie ukarana.

Tak chce autorka. Ale w samej rzeczy wygląda to nieco inaczej. Z początku, kiedy Halski, zdecydowany przeciwnik małżeństwa, pragnie kochać ją bezwzględnie, ona odpycha go tym jednym wyrazem: ślub. Potem zaś, gdy Rena, zwyciężona przez nieprzepartą potrzebę kochania, idzie do mieszkania Halskiego i rzuca mu się niemal w objęcia, on znów odtrąca ją pod byle pozorem, gdyż — nasycony był „korpulentnymi wdziękami“ pani Weychertowej, która — nie miała żadnych przesądów i bynajmniej nie chciała zachować niepokalaności „kobiety bez skazy“, jak Rena.

Wszystko więc sprowadza się do prywatnej zgoła sprawy pomiędzy Halskim a Reną. I z tego powodu obwiniać ustawy kościelno-społeczne, małżeństwo, etykę? Gdyby więc Halski (który wogóle jest jakiś dziwnie anemiczny) był bardziej—przy apetycie, w cóżby się obróciła teza powieści? Ale Zapolska postanowiła ukarać Renę za jej „niepokalaność“ i uczyniła to — pomimo wszystko.

A szkoda, że werwa polemiczna uniosła Zapolską zbyt daleko. Rena mogła być przecie typem doskonałym kobiety, która wzięła sobie za hasło: „Wszystko, byle nie to!“, i pozwala sobie

na najohydniejszą rozpustę myśli i wyobraźni, strzegąc tylko pilnie dziewiczości ciała.

I szkoda, że, podobnie jak i w komedyi, nagromadziła autorka w powieści tyle obrazów zepsucia, aż teza społeczna, zakrywszy wstydliwie lica, cicho odchodzi. Bo i jak jej patrzeć niezmrużonem okiem na tyle damskich (a nawet męskich) *dessous*, iż możnaby niemi niejeden sklep „konfekcyi“ od góry do dołu założyć, na orgie zmysłowości nie ukrywanej w gabinetach restauracyjnych i w salonach pani Reny, z parawanikami i bez parawaników, na ustawiczne rozbieranie się i ubieranie tych wszystkich kobiet, ze skrupułami i bez skrupułów, na te coraz to „pikantniejsze“ negliże, z podszewkami i bez podszewek?

W powieści ta strona „Kobiety bez skazy“ uwydatnia się jeszcze jaskrawiej, co pozostaje w rażącej dysharmonii z dygresyami ideologicznemi.

*

* *

Wśród pisarzów „Młodej Polski“ wybitne zajmuje Gustaw Daniłowski stanowisko, jako utalentowany odtwórca stanów duchowych i losów tragicznych naszej irredenty w „Dniach minionych“ (1902) i „Jaskółce“ (1904), jako gorący rzecznik praw ludu i zwiastun rewolucyi społecznej w poemacie symbolicznym „Na wyspie“ (1901) i w lirykach.

Dziś spotykamy go na innem polu twórczości: na niwie powieści historycznej. A za przedmiot obrał sobie rzecz najtrudniejszą i najdostojniejszą w dziejach ludzkości: żywot Chrystusa.

Nie chcę być posądzonym o najlżejszą choćby chęć krępowania swobody twórczości, o kierowanie się jakimikolwiek ubocznymi, poza wymaganiami sztuki, względami. I dlatego z góry zastrzegam, że samą istotę Chrystusa pozostawiam na stronie. Wolno powieściopisarzowi pójść za Ewangelią lub za Renanem— to rzecz jego przekonań, jego sumienia. Nie idzie mi przecież o to, jak poeta-powieściopisarz pojmuje postać Chrystusa, ale jak ją artysta wykonał. Syn Boży czy rabin-fanatyk, mędrzec - moralista czy szarlatan genialny—w każdym wypadku musi to być postać jednolita.

Jak wygląda Chrystus w „Maryi Magdalenie“? Co czyni? Głosi nową naukę, o której głuche tylko dochodzą wieści, niejasne słuchy. Ale na czem polega jej doniosłość, jakie jej dążenia—nie wiemy.

Kim jest? Zdaje się, że autor nie może zdecydować się na wybór drogi. Chrystus w jego powieści wskrzesza wprawdzie Łazarza w naszych oczach, ale o innych cudach mamy tylko pełne egzaltacyi (a więc może przesady?) opowieści. O zmartwychwstaniu zaś Daniłowski mówi nader niejasno: może Marya Magdalena i uczniowie mieli tylko halucynacyę? Kto więc jest ten, co umarł śmiercią męczeńską na krzyżu? daremnie pytać o to autora „Maryi Magdaleny“.

A przytem męka krzyżowa Chrystusa, odtworzona bez poczucia tragizmu i wielkości, jak i wogóle cała druga część powieści, snująca się dokoła podniosłych wersetów biblijnych, jest, w interpretacyi Daniłowskiego, dziełem pomyłki, a sprawcą jej—Judasz z Karyot. Sądził on, że jego mistrz zechce być królem żydowskim, wypędzi Rzymian z Palestyny, on zaś—podzieli z nim rządy, bogactwa, zaszczyty. A chcąc przyśpieszyć wybuch rewolucyi, wydaje Chrystusa kapłanom: wzburzony tem lud ocknie się, odbije więźnia i da mu miecz zwycięski do ręki. Drugi motyw zdrady: zazdrość o Maryę Magdalenę, która w Judaszu miała pierwszego kochanka, a po zanurzeniu się w oceanie uciech rozpustnych, miłością nadzmysłową, idealną pokochała Chrystusa, zaledwie jest zaznaczony. I Judasza więc należy uważać za postać chybioną i niekonsekwentną.

Pozostaje trzecia z figur naczelnych: Marya Magdalena, jawnogrzesznica, później wierna służebnica Chrystusowa. Najwięcej sztuki włożył autor w odtworzenie pierwszej epoki jej życia. Nasi najnowsi powieściopisarze przyzwyczaili nas do różnych rzeczy w obrazach miłości zmysłowej. Ale Daniłowski przeszedł pod tym względem wszystkich: wszelkie tajniki najwyuzdańszych wybryków „chutnego bóstwa, Priapa“, rozwarł przed nami naoścież. Z drugiej strony stwierdzić należy, iż rzeczy te pod względem literackim stoją nierównie wyżej od drugiej części powieści, której brak plastyki i podniosłości, brak rozkosznego tchnienia sielanki genezareteńskiej, którą Renan z tak prawdziwym artyzmem nakreślił, brak ponurego dramatu Golgoty.

A i sama bohaterka powieści, którą w początkach widzimy w pełnych blaskach rozigranych chuci, pod koniec utworu staje się wprost odrażającą z wyraźnymi objawami histeryi, ze znakami stygmatycznymi na ciele, ze swą dobrowolną śmiercią na krzy-

żu; wiemy wszak, że wszystkie te porywy egzaltacyi nie są niczem innem, jeno chorobliwymi objawami zwyrodniałej zmysłowości.

Cóż więc pozostaje z „Maryi Magdaleny"? czyżby tylko obraz dwóch ciał kobiecych, Maryi Magdaleny i Melity Greczynki, skłębionych w nieludzkiej rozkoszy?

Tego istotnie w naszej beletrystyce „jeszcze nie było"!

Ale tego za mało, oczywiście, dla stworzenia dzieła sztuki, za mało dla artysty tej miary, co Daniłowski.

*

* *

A teraz, na zakończenie niniejszej „Kroniki", kilka słów jeszcze o powieściach historycznych. Dodajmy: o powieściach historycznych „na czasie". Mówię tu o utworach, zrodzonych nie w ogniu natchnienia, które, dokąd chce unosi duszę artysty, ale wywołanych potrzebą chwili dla dogodzenia upodobaniom czytelników, chociażby nawet najchwalebniejszym.

Bo oto cóż się dzieje? W roku ubiegłym np. przypadła setna rocznica kampanii 1812 roku. Zainteresowanie czytelników w tym kierunku wzmogło się. Zaraz więc zjawił się cały szereg utworów „napoleońskich". Doszło do tego, że wydawcy i kierownicy pism „stalują" powieści, i to nawet u pisarzów pierwszorzędnych, osnute na tematach „historyczno-aktualnych". Napoleon teraz „idzie". Niechaj idzie na zdrowie! niech rozjaśnia mroczne drogi teraźniejszości przejasną aureolą chwały dni minionych i niepowrotnych! wszak sprawa „małego kaprala" tak dziwnie zawsze i—dla niego samego złowróżbnie kojarzyła się ze sprawą polską! Chcę zaznaczyć tylko, że jest w tem pewien odsmaczek sensacyi, zresztą w najlepszym rodzaju, a potem niewesołe to, że nasi powieściopisarze, i to często nie byle jacy, pisać muszą „na zamówienie", czasem może nawet bez przekonania, bez powołania, inaczej mówiąc, bez tego nakazu wewnętrznego, który jeden tylko zdolen stwarzać prawdziwe dzieła sztuki.

I oto rok 1812 powołał do życia dziś właśnie, w sto lat po Borodinie i Berezynie, długi, jak na naszą produkcyę literacką, szereg utworów. O tej pamiętnej kampanii pisze Wacław Gąsiorowski w „Szwoleżerach gwardyi", pisze i Stanisław Ostrowski w „Wielkim roku", pisze, na parę miesięcy przed śmiercią, dla

młodzieży Walery Przyborowski w „Roku krwi i niedoli“ (1912). Poza tem kilka jeszcze w ostatnich miesiącach ukazało się powieści napoleońskich: W. Gąsiorowski układa „Czarnego generała“ (1912), o legionistach polskich na San Domingo, St. Ostrowski utwór p. t. „O czem pieśń dotąd gwarzy“ (1913, rzecz ta zaraz po wydrukowaniu uległa konfiskacie, nie jest mi więc znana), W. Przyborowski tworzy dla młodzieży ostatnią swą powieść p. t. „Za honor Polaków“ (1912), o kampanii 1813 r., wielkiej bitwie pod Lipskiem i bohaterskim zgonie ks. Józefa, A. Gawiński wreszcie, malarz i beletrysta zarazem,tworzy również dla młodego pokolenia czytelników, swego „Lolka grenadyera“ (1912) i sam go scenami z wojen napoleońskich ilustruje. Dodajmy, że na scenie warszawskiej wytrzymało w sezonie bieżącym kilkadziesiąt przedstawień „Orlę“ E. Rostanda, oraz świeżo napisany „Jeniec Napoleona“ St. Kozłowskiego (1912), na tle znanej anegdoty z pobytu Napoleona w Berlinie w r. 1807.

Nie dość na tem. Słychać już bowiem, że dwóch wybitnych powieściopisarzy pisze na temat wojny 1812 r., dwóch innych znowu pobudza wyobraźnię wspomnieniami Dąbrowskiego i legionistów polskich. Gdyby to naprawdę miało oznaczać wzmożenie się u nas kultu Napoleona, uważałbym to za objaw ze wszech miar dodatni. Obawiam się jednak, że jest to wynik poprostu— mody. A w takim razie nie byłoby się znów z czego cieszyć: moda jest kapryśna—i przemijająca.

Dwóch pisarzy różnego autoramentu ostatnimi czasy pokusiło się o laury Homera napoleonowego: Kazimierz Przerwa-Tetmajer napisał „Koniec epopei“ (tom I i II, 1913), Wiktor Gomulicki puścił w świat powieść p. t. „Bój olbrzymów“ (1913), a także obraz dramatyczny p. t. „Dobosz z pod Eylau“ (1913).

Tetmajer nie nazwał „Końca epopei“ powieścią ani romansem. I dobrze uczynił. Liryczna rozlewność nie pozwala mu często skupić się i zamknąć w ramach z góry obmyślonej i przeprowadzonej ściśle akcyi powieściowej. Mniej to znacznie raziło w „Legendzie polskich Tatr“, która miała być jedną z seryi „Skalnego Podhala“, a więc dość luźnym zbiorem krajobrazów i scen z życia góralskiego, nie związanych ściślej żadną z postaci naczelnych: ni Kostka Napierski, ni Maryna z Hrubego, ni Janosik Nędza Litmanowski nie są tam ogniskiem zbiegających się promieni akcyi powieściowej.

W „Końcu epopei“ tem ogniskiem jest, oczywiście, Napoleon w walce ze światem całym i z samym sobą, w przededniu upadku, podczas kampanii pamiętnej 1812 roku. Pochody, bitwy,

krwawe pobojowiska, ataki i rejterady, a wreszcie i rozprawy polityczne Napoleona z jego otoczeniem, oraz jego samotne ze słabnącym duchem własnym rozhowory, wszystko to zasilone obficie pamiętnikami współczesnymi, zwłaszcza hr. de Ségura — oto główna treść ostatniego utworu Tetmajera. Dodajmy, że „Koniec epopei“ nie zamyka się bynajmniej w dwóch wydanych dotąd tomach. Ma nastąpić jeszcze tom trzeci, potem epilog, aż wreszcie „uzupełnienie“ p. t. „Bonaparte“, przedstawiające dzieje „małego kaprala“ do roku 1812.

Obawiać się należy, że powstanie stąd nie dzieło sztuki, ale coś pośredniego między monografią historyczną a powieścią. Ogrom wypadków dziejowych, tak tragicznych, tak nieludzko strasznych, że żadne najgenialniejsze pióro skreślić ich nie zdołało, przytłoczył lotną wyobraźnię poety. W samej rzeczy bowiem są rzeczy w dziejach narodów tak przerażające, że siłą swego napięcia wychodzą, rzec można, poza obręb sztuki. Co więcej, przenoszą pole widzenia jednostki ludzkiej: bohatera powieści, autora i czytelnika. Powstaje stąd obraz, jak przez źle nastawioną lunetę oglądany: nieostry, o zalanych konturach i zatartych szczegółach. I mimowoli twórca schodzi do poziomu kronikarza czy narratora, powieść staje się „opowieścią“.

Opowieść tę napisał jednak autor utalentowany, o wysokiej kulturze literackiej, ożywiony przytem szczerym i gorącym kultem Napoleona; więc choć dziełem sztuki nie jest, czyta się ją z prawdziwem zajęciem, niejedno daje do myślenia.

Prócz głównej akcyi historycznej, kilka rozsnuł tu jeszcze Tetmajer wątków powieściowych. Przedstawił więc tragiczne dzieje Teresy Mirskiej, która udała się na wyprawę moskiewską dla okupienia win nie wierzącego w gwiazdę Napoleona ks. Michała Kleofasa Ogińskiego, ukochanego przez nią twórcy melodyi „pieśni legionów“; poszła, by zginąć straszną śmiercią w śniegach, rozszarpana przez psy zgłodniałe. Wyprowadził na scenę kochającego bezwzajemnie Teresę rotmistrza Zarembę, i porucznika Kolskiego, ponoszącego męczeństwo z rąk sfanatyzowanego chłopstwa pod wodzą okrutnej amazonki, Olgi Zastrowówny. Stworzył też oryginalną figurę ks. Zeneidy, Rurykowiczówny rodem, nienawidzącej Napoleona, ale zarazem ulegającej ubezwładniającemu duszę urokowi jego potęgi. Jest i kilka epizodów: dwaj młodzi Słupściowie, co zmarzli pod Mołodecznem, nie doczekawszy się szlif oficerskich, i niemy ułan Michał Wartałowicz, i kilku wiarusów (wachmistrz Dybul, Antek Jamrozikowski), swą gwarą

mazurską i stylem koszarowym ż do zbytku rubasznym, wnoszących szczyptę humoru w tę pną gehennę cierpień i śmierci.

Liche to wszakże drzazgi zkie, unoszone wichrem zdarzeń olbrzymich w chwili, gdy pr da się siekiera do pnia niezmierzonego dębu potęgi napoleoj; drobne to iskierki, co zabłysną na mgnienie i wnet zgas I pytamy sami siebie: czy ludzie ci fantastyczni i wypadki zmyślone naprawdę są w tej „opowieści“ potrzebne? A wątpliwość ta tem większa jest, iż pomiędzy zmyśleniem a rzeczywistością brak w „Końcu epopei“ należytego ustosunkowania, nie składają się one na harmonijną całość. I niema nadziei, by następne tomy mogły ocalić czystość linii planu architektonicznego.

I co tu jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną: krwawe opisy walk przerażają, ale wzruszyć nie mogą czytelnika. Natomiast Tetmajer okazuje się szczerym artystą dopiero w epizodach sielsko-rodzajowych (przyjęcie Napoleona u Słupsciów, plebania ks. Fasolkowskiego w Pucimuszkach, książę Józef w cichym dworku pod Mohylowem). Za jedną taką scenę oddam cały gruby tom obrazów bitewnych i lazaretowych.

Wskazuje to jawnie, jaką drogą kroczyć powinien niepospolity talent autora „Legendy polskich Tatr“.

*

* *

Większe od Tetmajera doświadczenie w pisaniu powieści historycznych posiada Wiktor Gomulicki. To też jego „Bój olbrzymów“ składniejszy jest nierównie od „Końca epopei“. Jak sam tytuł wskazuje, koncepcya historyozoficzna Gomulickiego inna jest zgoła, niż Tetmajera. Twórca „Skalnego Podhala“ przedstawia nam w swej powieści tragedyę Napoleona, „początek końca“ jego potęgi i chwały, gdy tymczasem „Bój olbrzymów“ jest obrazem starcia się dwu mocy przeciwnych: cesarza Napoleona i cara Aleksandra, wyrosłego na obficie krwią zroszonym gruncie rewolucyi dyktatora wojskowego i opartego na trwałych podstawach tradycyi samowładcy.

Koncepcya nie wytrzymuje ciosów krytycznych: słaby, chwiejny, przerzucający się z jednej ostateczności w drugą Aleksan-

der, jak go sam zresztą Gomulicki przedstawia, nie może iść w paragon z olbrzymem woli i geniuszu wojskowego Napoleona. Wojna 1812 r. było to starcie się nie dwóch władców, nie dwóch armii, ale raczej—Zachodu z Północą. A przedewszystkiem Napoleona, który, choć w tej dziwnej kampanii żadnej decydującej bitwy nie przegrał, poniósł klęskę, jakiej drugiej bodaj świat nie widział, pokonał—fatalizm dziejowy. Może ten fatalizm miał na myśli Gomulicki, tworząc fantastyczną postać zjawiającego się trójkrotnie „czerwonego człowieczka"?

Bohaterem historycznym Gomulicki powieści swej nie przeciąża: doprowadza kampanię do pożaru Moskwy, szczędzi nam okropności odwrotu Wielkiej Armii i Berezyny. Zresztą wojna wypełnia tylko trzecią część utworu: p. t. „W ogniu". Dwie pierwsze to jakby prolog do wielkiego dramatu dziejowego: kreśli tu autor nastroje Warszawy, Paryża i Wilna w 1811 i w początkach 1812 roku. Zwłaszcza ciekawa jest część druga: „Po tamtej stronie", w której Gomulicki z widocznem upodobaniem portretuje Aleksandra, władcę o czarującym uśmiechu i miękkim, romantycznym głosie, „greckiego boga", „olbrzyma Północy". Bijący od jego wyniosłej postaci urok przezwycięża nawet w pewnej chwili uczucie patryotyczne w sercu hrabianki Maryi, która pragnęła być litewską Joanną d'Arc. Szkoda, że z akcyi tej, dość ciekawie pod względem psychologicznym zadzierzgniętej, nic nie wynika, a hrabianka Marya niknie w drugiej połowie tomu ze sceny.

Właściwy żywioł powieściowy reprezentuje w „Boju olbrzymów" adjutant ks. Józefa, kapitan Mroczek, poeta i marzyciel, cytujący wciąż Iliadę i wiersze sentymentalne Kniaźnina. Kocha on chrześniaczkę swego wodza, Różyczkę Zielską. Ale na nieszczęście ich obojga jej dziadek, stary konfederat barski, złamany nieszczęściami kraju, nie pozwala wnuczce iść za mąż i rodzić niewolników. Dopiero rozpoczęcie „drugiej wojny polskiej", a zwłaszcza mowa Matuszewicza na posiedzeniu sejmu nadzwyczajnego w Warszawie, kończąca się potężnym okrzykiem: „Jest już Polska!", zbudziły z odrętwienia starca, który odtąd nie sprzeciwiał się już małżeństwu wnuczki z dzielnym wojakiem. Zanim jednak przyszło do małżeństwa, Mroczek przeżył wszystkie grozy nieszczęsnej wojny, z której wrócił kaleką, raczej do trupa, niż do żywego ozłowieka podobnym. Miłość Różyczki stała mu się osłodą w cierpieniach i zapłatą za wszystkie trudy.

Kilka zlekka nakreślonych postaci historycznych z towarzystwa warszawskiego (hr. Aleksander Chodkiewicz, Aloizy Żół-

kowski, Ludwik Osiński i in.), oraz scen rodzajowych uzupełniają obraz dziejowy, nakreślony przez Gomulickiego w „Boju olbrzymów".

*

* *

Tak czy inaczej, z temi lub owemi zastrzeżeniami pozostał Gomulicki w powieści tej artystą. Natomiast w „obrazie dramatycznym" p. t. „Dobosz z pod Eylau" (1912) dał się unieść swadzie publicystycznej. Napoleon na wyspie św. Heleny, jako więzień stanu, pod czujnem okiem nienawistnego Hudsona Lowe—oto tło dziejowe tego utworu.

Ale nie dość na tem. Gomulicki, nie podzielając bynajmniej entuzyazmu wielkich naszych romantyków dla „boga wojny", przedstawia w tym utworze Napoleona, jako „kata narodów", przelewającego krew setek tysięcy ofiar dla dogodzenia swej nienasyconej ambicyi. Srogie więc wyrzuty rzuca w twarz zwycięzcy z pod piramid przez usta młodego dobosza, co zginął pod Eylau (w widzeniu, stanowiącem odsłonę drugą), oraz tajemniczego mnicha, zjawiającego się i znikającego, jak widmo, w pierwszym i trzecim akcie.

Możnaby się posprzeczać z autorem co do poglądów jego na Napoleona i jego misyę dziejową. Ale o to mniejsza. Ważniejsze jest to, że sceny „Dobosza z pod Eylau" nie mają w sobie porywającej siły istotnego przeżycia estetycznego, nie sprawiają pożądanego przez autora wrażenia.

Z „Dobosza z pod Eylau" wieje dziwny chłód, nie możemy oprzeć się wrażeniu sztuczności sztywnej, a z prawdą dziejową, zaiste, sprzecznej.

„Bój olbrzymów" nierównie już ciekawszy i, pod względem estetycznym, szczerszy.

Henryk Galle

# Kościół angielski a sprawa społeczna.

Kościół narodowy angielski jest jedną z najbardziej świeckich instytucyi religijnych—nietylko w swych początkach, które z dziejów Reformacyi w Anglii robią niemiłe naogół widowisko sporów politycznych i ambicyi osobistych, ale i w dalszej historyi, która szczególnie w naszych czasach często budzi zazdrość i podziw. Kto słuchał kazań na temat współczesnych strajków robotniczych i syndykalizmu, kogo w rozmowie z proboszczem wiejskim w zdumienie wprawiły cytaty z Shakespeare'a i Platona, kto był świadkiem spokojnej i pełnej sympatycznego zrozumienia wymiany zdań między duchownym anglikańskim a skrajnym socyalistą lub agnostykiem, ten na kontynencie europejskim, czy katolik czy protestant, ze szczerym zachwytem będzie opowiadał o niepospolitym poziomie literackiego, filozoficznego i społecznego wykształcenia u duchowieństwa angielskiego. Ścisły związek między organizacyą religijną a życiem powszedniem w Anglii, niezrównana sztuka zastosowania się do prądów chwili i współdziałania z duchem czasu, zapewniają temu Kościołowi istotnie w czasach powszechnego na świecie zobojętnienia wobec religii znaczną jeszcze żywotność i popularność.

Ale czy jest rzeczą Kościoła chrześcijańskiego stosować się do panujących każdego czasu poglądów na świat i życie? Oportunizm taki doskonale oczywiście służy praktycznemu celowi zachowania powagi i zyskiwania zwolenników; ale czy nie cierpią uszczerbku na nim te wiekuiście jednakie i pozaświatowe cele, którym cała organizacya społeczna Kościoła ma służyć? Czy Kościół przez udział w reformach socyalnych i ekonomicznych nowoczesnego państwa nie traci z oczu moralnego udoskonalenia jednostek, jako właściwego pola swej pracy; czy nie traci tej od-

rębności i niezależności od państwa, której dlań pragną i przyjaciele i przeciwnicy? Czy wreszcie istotnie dzisiejsza demokracya polityczna i stara demokracya ewangeliczna tak blizkie sobie są treścią?—te wszystkie pytania budzą się jako reakcya po pierwszym zapale dla anglikanizmu u obcego obserwatora; te zapytania także stawiać sobie musi Anglik, o ile dostatecznie się interesuje polityką kościelną, by ją krytykować. Szczególnie uporczywie i jednemu i drugiemu narzucać się będą takie wątpliwości, jeżeli jest człowiekiem o skłonnościach metafizyczno-mistycznych; a właśnie Anglików z upodobaniem do mistycyzmu jest w ostatnich czasach coraz więcej, jak wyraźnie świadczy wzrastająca fala książek o problematach i dziejach myśli mistycznej [1]).

Wśród elity dzisiejszego duchowieństwa angielskiego szczególną sympatyą dla radykalnych reform społecznych, objętych programem obecnego liberalnego ministeryum, odznacza się dr. Gore, który jako biskup jednego z największych centrów przemysłowych na świecie—Birminghamu — nabył głębokiego przekonania o potrzebie energicznej ustawodawczej interwencyi i administracyjnej kontroli państwa celem polepszenia bytu klas pracujących, i propagandę tej idei przeniósł do swej nowej siedziby, na ultra-konserwatywny grunt akademickiego Oxfordu; w publicznych orzeczeniach i artykułach nie waha się występować poprostu w obronie takich przełomowych zmian w angielskim porządku państwowym, jak zwalczana z wielu stron ustawa o obowiązkowem ubezpieczeniu społecznem (*Insurance Bill*): biskup Gore w liście do „Times“ bronił tego dzieła obecnego rządu argumentami z dziedziny religii i filozofii socyalnej. Ogół Kościoła angielskiego zdawna był i dziś jeszcze jest przejęty tradycyą konserwatywną; ale nawet tak wyjątkowe zjawisko, jak biskup Gore, może uchodzić za wysoce znamienne dla tej elastyczności politycznej, która niepomiernie się przyczyniła do zachowania wysokiemu Kościołowi anglikańskiemu zagwarantowanego przez ustawę i skrupulatnie uznawanego przez etykietę publiczną stanowiska religii państwowej.

[1]) Np. Evelyn Underhill, „Mysticism“, Lond., Methuen, 1911, 540 str.;— E. Underhill, „The Mystic Way“, Lond„ J. M. Dent, 1913; — W. K. Fleming, „Mysticism in Christianity“, Lond., R. Scott, 1913. Książki te były obszernie omówione we wstępnych artykułach literackiego dodatku do „Times“ z dni 5 maja 1911 i 21 marca 1913 (pod nagłówkiem „The Mystical Revival“).—„Mysticism in English Literature“, by Caroline F. E. Spurgeon, 1913 (w seryi „Cambridge Manuals of Science and Literature“).

W innym zgoła sensie charakterystyczną postacią wśród kleru angielskiego jest dr. Inge, obecny dziekan katedry św. Pawła. Odwrotną poszedłszy drogą, do innych też dochodzi rezultatów niż dr. Gore. Tamten kończy, ten rozpoczął karyerę w spokojnem środowisku nauki i refleksyi. Inge, jako rezydent w jednem ze starych kollegiów uniwersytetu w Cambridge, dał się poznać czytającemu ogółowi przez sumienne i z widoczną miłością dla przedmiotu przeprowadzone studya nad historyą mistycyzmu chrześcijańskiego [1]); tę skłonność do mistycyzmu — w dzisiejszej Anglii, jak się rzekło, bynajmniej nieodosobnioną — zachował i w traktowaniu nowych problematów, z którymi oko w oko spotkać mu się wypadło na stanowisku proboszcza katedralnego w największej, a więc i najbogatszej w proletaryat, stolicy dzisiejszego świata. Jako temat szeregu odczytów narzucono mu, jak sam opowiada, zagadnienie, czy Kościół może współdziałać z duchem czasu; z niechętnych zrazu rozmyślań nad tą kwestyą narodziła się filozoficzna krytyka stanowiska Kościoła angielskiego wobec nowożytnych reform społecznych, krytyka, tchnąca uniwersyteckim mistycyzmem autora, dążąca do przypomnienia mistycznych zadań i celów Kościoła, ale zarazem pełna myśli godnych uwagi także żywiołu świeckiego we wszystkich demokratycznych lub na gwałt dzisiaj demokratyzujących się ustrojach społecznych [2]).

*

* *

[1]) „Studies of English Mystics“ (1905); — „Personal Idealism and Mysticism“ (odczyty w Nowym Yorku, 1906); — „Christian Mysticism“ (wykłady uniwersyteckie, 1908); — „Speculum Animae“ (kazania w Cambridge).

[2]) W. R. Inge, D. D.: „The Church and the Age“, Lond., Longmans, 1912. XVI + 88 str. małej 8-ki. Podając w dalszym ciągu niniejszego artykułu streszczenie tej niezmiernie ciekawej, do głębokiego myślenia pobudzającej książki, zaznaczam z góry, że w jej krytykę t e o l o g i c z n ą z powodu braku fachowej kompetencyi wdawać się nie mogę i dlatego nie zaprzeczam wywodom autora, nawet tam, gdzie jako katolik, jego zapatrywań podzielać nie mogę. Książka interesuje mnie głównie i omówiona tu ma być wyłącznie, jako wysoce znamienny objaw pewnych krytycznych prądów, nurtujących obecnie wykształconą część społeczeństwa angielskiego.

„Czy Kościół może skutecznie współdziałać z duchem czasu?“ Ale czemże właściwie jest duch czasu, a raczej czego tą nazwą nieochrzczono? Wieluż to przeróżnym i sprzecznym prądom i inicyatywom „Zeitgeist“ użyczać musi swego wystrzępionego sztandaru! O „duchach czasu“ w liczbie mnogiej raczej mówić można, jak to czyni Inge. Nasz wiek niema jednolitego, całej generacyi przyświecającego na świat poglądu; niema też nikt pośród nas owej imponującej pewności siebie, która jeszcze w XIX wieku odznaczała przodowników nowych wielkich kierunków umysłowych—pozytywistów, materyalistów, ewolucyonistów; powszechny niemal jest brak zdolności do wiary w jakieś filozoficzne równanie, które dałoby się zastosować do wszystkich zjawisk naszego doświadczenia. Nikt dziś już nie uważa całego świata żywego i martwego za mechanizm, jak to powszechnie czynili przyrodnicy w drugiej połowie XIX wieku [1]); nie wszyscy biologowie wierzą w możność czysto fizyczno-chemicznego wytłómaczenia tajemnicy życia; *l'évolution créatrice*, to nietylko tytuł modnego dzieła filozoficznego, to hasło reakcyi przeciw materyalistycznym i deterministycznym dogmatom XIX-go stulecia, ale reakcyi, która sama w nowe dogmaty jeszcze się nie krystalizuje. Nie podciąga się życia organicznego pod stare „prawa natury“, ale praw życia nie wykryto, a przynajmniej ostatecznie nie sformułowano.

Jak w dziedzinie nauki, tak i w sferze społecznej rozpada się budowa XIX wieku. O ujemnych stronach rozkwitłego w ubiegłem stuleciu systemu wolnej konkurencyi przemysłowej i kapitalistycznego indywidualizmu nie trzeba dziś mówić: są powszechnie znane i dyskutowane, szczególnie w Anglii, gdzie właśnie w obecnym, krytycznym czasie, gdy naród angielski siłą rozwoju dziejowego, swą supremacyą w przemyśle i handlu dzielić się musi z Ameryką i Niemcami, pretensye materyalne stanu robotniczego sięgają niebywale wysoko i dążą coraz wyraźniej i skuteczniej do całkiem nowego układu społecznego. Czy Kościół może i powinien współdziałać z temi dążeniami, bo wśród różnych „duchów czasu“ ten jest niewątpliwie najpotężniejszy i najsilniejszą rozporządza armią wyznawców? W odpowiedzi na to dr. Inge zwraca się w ostrych słowach przeciw najbardziej długowiecznemu z bożyszczów XIX wieku, mianowicie przeciw i d e i d e m o-

[1]) *Une justification de la notion de l'incalculable* — to według określenia P. Gaultiera treść końcowego rozdziału jego książki: „Comment naissent les dogmes.“

kratycznej. Ta część jego wywodów najgłębsze wywołała wrażenie, bo najdobitniejszy daje wyraz utajonym refleksyom wielu myślących obserwatorów dzisiejszego życia społecznego i przez wypowiedzenie ich wątpliwości wyzwala ich jakby od ciężaru osobistej tajemnicy [1]). Demokratyczny ustrój państwowy polega na złudzeniu: złudzeniem bowiem jest wiara w sprawiedliwe rządy ludu czyli w nieomylnie natchnioną wolę większości, wypowiedzianą w powszechnem głosowaniu. Złudzenie to — by użyć piorunujących słów autora — jest równie „grubym i niedorzecznym zabobonem“ jak dawniejsza polityczna religia „boskiego prawa i posłannictwa“ absolutnych monarchów [2]). Trzeźwo rzeczy widział już Horacy, gdy orzekł, że tłum czasem ma słuszność, ale nieraz błądzi: *Interdum vulgus rectum videt, est ubi peccat* [3]). Jeśli zaś, uznając nieomylność większości za iluzyę, bronimy jej rządów argumentem, że najsilniejszy żywioł ma słuszne prawo do władzy, gdzież wielbiona wyższość demokracyi nad każdym innym rządem przemocy?

Daleko krócej niż z demokracyą załatwia się dr. Inge z innemi bożyszczami wieku; jest wśród nich i nacyonalizm, w angielskich stosunkach identyczny z patryotyzmem państwowym i gwałtownie podsycany przez agitacyę wszechbrytyjską,

---

[1]) Naturalnie, że tej osobistej tajemnicy tak wielu myślących ludzi i dotąd nie okrywało powszechne milczenie: wszak niedawno Emile Faguet w głośnej książce „Le culte de l'incompétence“ dał wyraz krytyce demokracyi, jako formy rządu. U nas podobną krytykę na większą skalę zawiera najnowsze dzieło prof. Juliana Makarewicza o demokratyzacyi społeczeństw nowoczesnych. Wywody Inge'a cenię więc nie jako przełomowe odkrycie nowych widnokręgów historyozoficznych, lecz raczej z powodu ich intensywności, oraz ze względu na odrębne stanowisko autora jako duchownego: nikt chyba jeszcze z punktu widzenia kościelnego tak stanowczo się z demokracyą nie rozprawił, nikt może tak dobitnie jej teoretycznej niedorzeczności nie napiętnował.

[2]) „Wielkim zabobonem politycznym“ (*great political superstition*) nazwał już Herbert Spencer wiarę wprawdzie nie w teoretyczną nieomylność, ale w praktyczną moc obowiązującą uchwał większości, czyli, jak on się wyraża, „boskie prawo parlamentów“.

[3]) Ep., II, 1, 63. Tak samo pono sądzą wszyscy wielcy poeci: jak Shakespeare oceniał demokracyę, wiemy z „Juliusza Cezara“. W najznakomitszej politycznej satyrze literatury angielskiej — poemacie Drydena „Absalom and Achitophel“ (1681)—czytamy prawie dosłownie jak u Horacego: *The most may err as grossly as the few* — „Większość i mniejszość równie błądzić mogą“ w 782).

imperyalistyczną. Autor, którego to zjawisko widocznie mniej żywo obchodzi, spokojnie stwierdza, że nacyonalizm już dziś traci swą siłę w świecie, że „to samo, co u siebie mianujemy szlachetną miłością ojczyzny, u Niemców zwiemy brutalną napastliwością“, że „narody europejskie mają wspólną cywilizacyę, więc każda klasa społeczna w jednym kraju ma więcej wspólnych interesów z tą samą klasą w innym, niż z innemi klasami własnego społeczeństwa“, że zatem na przyszłość spodziewać się należy rozrostu związków międzynarodowych — w sprawach stanowych, przemysłowych, naukowych, filantropijnych — i po tym rozroście może znowu zmniejszenia szalonych wydatków na wojska i okręty. Cała ta kwestya zresztą w argumentacyi autora zajmuje miejsce podrzędne i uboczne. Gdy te wywody obywatela angielskiego czytać wypada członkowi narodu, dla którego nacyonalizm z konieczności daleko żywotniejszą sprawą być musi, czytelnik taki boleśnie sobie uświadamia prawdę żartobliwego aforyzmu, który w odniesieniu do kwestyi irlandzkiej wypowiedział Bernard Shaw: że mianowicie namiętne uczucia patryotyczne spotykamy tylko u narodów politycznie nienormalnych, t. j. albo pozbawionych niepodległości, albo dorabiających się zwiększonej potęgi, zaś naród zadowolony ze swych warunków politycznych tak samo stale nie czuje swej narodowości, jak właściciel zdrowych rąk, nóg, oczu, specyalnie nie odczuwa ich posiadania.

W charakterystycznie angielski sposób zwraca się Inge także przeciw fałszywemu humanitaryzmowi naszych czasów, stwierdzając, że zasadniczy wstręt do zabijania wśród jakichkolwiek okoliczności wydaje mu się objawem „nienaturalnym i prawdopodobnie tylko chwilowym“; wyraża nadzieję, że Państwo przyszłości będzie zabijało „łagodnie ale swobodnie“. [1])

*

* *

[1]) Inne pono motywy — mniej żywiołowe a więcej oportunistyczne — skłoniły większość niemieckich prawników na zjeździe wiedeńskim we wrześniu 1912 r. do głosowania za karą śmierci.

Niezwalczoną, bo z samego ustroju duszy ludzkiej wynikającą skłonnością zawsze pozostanie teleologiczne pojmowanie świata, poszukiwanie w całym procesie kosmicznym i w tej jego znikomej części, którą jest rozwój ludzkości i życie pojedyńczego człowieka, jakichś celów, przeznaczeń, jakichś urzeczywistniających się idei przewodnich. Nasz wiek, jak się rzekło, znamionuje reakcya przeciw wszelkim ambicyom wytłómaczenia tajemnicy świata przez jakąś jedną formułkę; pluralistyczny pogląd na świat— *a Pluralistic Universe* — był testamentem filozoficznym Williama Jamesa; [1]) wśród pluralistów także staje dr. Inge, wyznając przystępniejsze dla natury ludzkiej zapatrywanie, że to co pragniemy poznać, jako wolę Bożą w dziejach świata, jest nie jednym wielkim celem, lecz mnogością skończonych i zamkniętych w czasie dążeń. Jednej z tych tendencyi radby każdy z nas dopatrzyć się w dziejowym rozwoju ludzkości; szukając takiego jednolitego sensu w historyi powszechnej, stajemy oko w oko z najboleśniejszymi z problematów: zagadnieniem przyczyny złego, przeciwności, zniszczenia,—i kwestyą postępu. Poza te dwie walne przeszkody na drodze myśli teleologicznej już tylko wiara prowadzić nas może, i tu wyraźniej niż w krytyce otaczającego społeczeństwa i jego ideałów, objawić się może zasadniczo optymistyczne lub pesymistyczne usposobienie myśliciela. Dr. Inge tutaj dopiero ukazuje się jako w gruncie optymista: wierzy w postęp ludzkości nietylko w doświadczeniu i wiedzy, ale także w doskonałości moralnej. Nie jest oczywiście perfektybilistą tak zaślepionym, by to twierdzenie pozostawiać bez zastrzeżeń; przyznaje nietylko, że były długie okresy wstecznictwa, ale nawet i to, że właśnie historya religii, zorganizowanej w Kościołach i wyznaniach, rzadko kiedy przedstawia obraz postępu, częściej wypaczenia wzniosłych myśli twórcy. Widzi także konieczność cierpliwości prawie nadludzkiej wobec zagadnienia postępu: cywilizacya podług wszelkiego prawdopodobieństwa daleko dłuższą ma drogę przed sobą niż ta, którą już przebyła; według Miecznikowa nawet sam organizm ludzki bynajmniej nie jest jeszcze zastosowany do wymagań, które wobec niego stawia dzisiejsza kultura. Fakt, że tyle jeszcze przed nami, starczyć też musi za pociechę w krótkiem życiu osobistem wobec niepokonanych pozornie trudności, jakie wie-

[1]) „La fin du Monisme"—„l'avènement du Pluralisme" — to znamienne tytuły dwóch rozdziałów w godnej uwagi książce Pawła Gaultiera „La Pensée Contemporaine" (Paryż, Hachette, 1911).

rze w postęp ludzkości stawia w poprzek bieg życia współczesnego, różne czyny i dążności, na które się godzić i których pochwalić nie możemy: wszystkie te wątpliwej wartości „duchy czasu“ — ochlokratyczna demokracya, szowinistyczny nacyonalizm, sentymentalny humanitaryzm—to może tylko „zjawiska“—by użyć terminu starej filozofii niemieckiej; zaś istota rzeczy, *das Ding an sich*, ukryta za zjawiskami linia postępu, wszystkie je zawierać w sobie może jako potrzebne a przynajmniej nieszkodliwe zakręty drogi. Różne „duchy czasu“ może tylko na różny sposób służą jednemu „duchowi czasów“. Sam zaś ten duch czasów, urywkowo i chwilowo, nie regularnie i nie powszechnie i nie z równą siłą, jednak objawia się ludziom w arcydziełach sztuki, mozolnych zdobyczach wiedzy i w szlachetnych czynach, wskazując Piękno, Prawdę i Dobro jako cele tego rozwoju, którego przebieg w szczegółach tak wielce dla nas jest zagadkowy.

*

* *

Jeżeli różne popularne określenia „ducha czasu“ musiały wprost wywołać krytykę myślącego człowieka, to spodziewalibyśmy się za to, że drugi główny czynnik tematu kapłanowi będzie się przedstawiał zupełnie jasno i jednoznacznie. Kościół ma współdziałać z duchem czasu. Co to jest Kościół? Rozwodząc się nad tą kwestyą, dr. Inge piękne składa dowody tej uległości wobec krytyki historycznej, która stanowi jedno z wybitnych znamion mądrej, oportunistycznej polityki anglikanizmu. I tu, jak wobec kwestyi ducha czasu i wobec zagadnień teleologii kosmicznej, Inge zajmuje stanowisko pluralisty. Stwierdziwszy pretensye wszystkich wyznaniowych grup chrześcijaństwa do godności prawdziwego Kościoła Chrystusowego i nakreśliwszy szkic ich historyi z punktu widzenia obojętnego obserwatora, dochodzi do konkluzyi: „Nikt przecież nie może przypuszczać, że obecne ustroje chrześcijańskie—skamieniały Kościół wschodni,[1]) zcezaryzowa-

[1]) Ostateczny werdykt autora nad Kościołem prawosławnym tu i dalej wypada dość pesymistycznie i surowo. Ale poprzednio, gdzie mówi o nim bardziej szczegółowo, wyraźnie przebija przez jego słowa pewna sympatya dla Kościoła wschodniego, — sympatya coprawda bardzo historyczna i akade-

ny Kościół łacińskiego zachodu, chaotyczne i sekciarskie Kościoły północnej Europy i Ameryki — są czem innem jak karykaturą tego, czem Kościół Chrystusa być powinien i być może. Ani też nikt, posiadający odrobinę zmysłu historycznego, przypuszczać nie może, że którykolwiek z tych Kościołów kiedy zagarnie, przekona lub podbije inne. Podziały chrześcijaństwa nie są przypadkowe, lecz nieuniknione i polegają na warunkach rasowych. Całe oblicze Europy zmienić się musi, zanim te linie graniczne zniknąć mogą" [1]).

Obok pluralizmu—owocu subtelnej, krytycznej inteligencyi—znamienną cechą umysłowości autora — cechą, wynikającą znowu z jego mistycznych skłonności,—jest, jak widzieliśmy, silny indywidualizm. Już poprzednio, gdy mówił o kwestyi postępu i wątpliwościach, jakie wobec wiary w postęp budzić musi właśnie historya religii, stwierdził jednak, że „natchnieni prorocy co pewien czas wynagradzają straty, które ponosi religia przez rozwój instytucyi religijnych". Tak samo i tutaj, w wędrówce przez stulecia świeckich i narodowych przemian chrześcijaństwa, dowodem nieprzerwanej opieki Boskiej nad chrześcijaństwem są mu nie wielkie akcye i wypadki historyi kościelnej, lecz „nieprzerwane następstwo świętych", którzy—często nawet prześladowani przez oficyalny Kościół—jednak, „jak na staro-greckich wyścigach z pochodnią, z rąk do rąk podawali sobie światło, co nigdy nie zagaśnie" („sic uti cursores vitaï lampada tradunt").

Z tego połączenia pluralistycznego zrozumienia historyi z rasowym indywidualizmem anglosaskim jasno prawie już wynika, co dziekan Inge sądzić musi o przyszłości wyznań chrześcijań-

micka: Inge woli greckich Ojców Kościoła od łacińskich. Ta sympatya jednak nie jest odosobnionym objawem czysto indywidualnego i naukowego upodobania czy zaciekawienia: wiadomo, że dał jej praktyczny wyraz cały świat duchowny anglikański, przyłączając się znaczną rzeszą przedstawicieli do wielkiej wizyty angielskich parlamentarzystów i kupców w Rosyi w zimie roku 1911/12. Powstało wtedy z aprobatą Synodu rosyjskie towarzystwo przyjaciół Kościoła angielskiego i na jego zaproszenie Reverend F. W. Puller, członek anglikańskiego zgromadzenia zakonnego pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w Cowley koło Oxfordu, wygłosił w Petersburgu szereg odczytów o historyi i obecnym stanie narodowego Kościoła angielskiego, które potem wydał drukiem („The Continuity of the Church of England", Londyn, Longmans).

[1]) Tłómaczę wiernie ipsissima verba proboszcza katedry św. Pawła.

skich wogóle, a swego Kościoła w szczególności. Skeptykiem zasadniczym będzie wobec wszelkich nadziei i projektów bliskiego połączenia anglikanizmu czy to z Rzymem—bo Anglicy zwierzchności włoskiego biskupa nigdy się nie poddadzą—czy to z Kościołem wschodnim—bo za mało w nim związku z dzisiejszą rzeczywistością zachodniego życia — czy wreszcie z innemi sektami protestanckiemi, bo te wprawdzie na gruncie angielskim konfederują się między sobą, ale właśnie przeciw Kościołowi państwowemu, który w takiej chwili aliansu im proponować nie może.[1])

Takie plany zresztą, nawet gdyby się co z nich ziścić dało, nie mają wielkiego znaczenia wobec istniejącej już zgody i jedności chrześcijaństwa w dziedzinie osobistej wiary i etyki. Tu znowu z kolei po pluraliście podnosi głos indywidualista. „Mistycy wszyscy to samo głoszą“, mówił dr. Inge, który ich czytał i badał. Czy nie modlimy się wszyscy tą samą modliwą nad modlitwami, nie wyznajemy wszyscy „naśladowania Chrystusa“, nie mamy wszyscy przed oczyma ideału Kościoła Chrystusowego jako „zrzeszenia tych co miłują Chrystusa w nieskazitelności?“ Czy nie poczuwamy się do tych samych zadań w społecznej służbie bliźniego, w walce z występkiem, zbrodnią, krzywdą?

To ostatnie właśnie zapytanie, postawione jako czysto retoryczne, treścią swą przywołuje nas napowrót do właściwego praktycznego tematu. Wszakże o to właśnie od początku chodziło, że nawet w najbardziej świeckim ze wszystkich Kościołów chrześcijańskich niema wcale zgody co do stanowiska, jakie zająć wypada wobec społecznych i filantropijnych dążeń naszego wieku. Dotychczas idąc śladami dosyć rozbieżnych i akademickich wywodów autora, uświadomiliśmy sobie właściwie tylko, że w sprawie „współdziałania Kościoła z duchem czasu“ myślącemu człowiekowi samo określenie i Kościoła i ducha czasu sprawia niemal niepokonane trudności; teraz dopiero, odgarnąwszy jako tako

---

[1]) Tak samo—tłómaczy autor — jak król polski nie mógł przystępować do sojuszu Austryi, Rosyi i Prus, zawartego przeciw niemu samemu z zamiarem rozbioru Polski! — Ilustracya teoretycznie oczywiście słuszna; dr. Inge o przymierzu polsko-pruskiem zapewne nigdy nie słyszał; a polityczna historya Kościoła angielskiego w drugiej połowie XVII wieku, gdy losy jego istotnie się ważyły, zawiera fakta analogiczne do tego przymierza, i w obecnej poważnej chwili studya nad epoką Karola II i Jakóba II nie byłyby może bez praktycznego pożytku dla duchowieństwa anglikańskiego.

różne teoretyczne skrupuły, stajemy wobec pytania, co czynić należy, a raczej co Kościół uczynić może.

Jak już wiemy, dla wielu dzisiejszych duchownych anglikańskich to pytanie wcale nie istnieje. Dla nich ducha wieku uosabia reprezentowane w parlamencie angielskim stronnictwo robotnicze, i Kościół zarówno dla ideowych celów jak i dla utwierdzenia własnego bytu i powagi nie może uczynić nic lepszego jak wejść w porozumienie z tem stronnictwem i propagować jego program polityczny, a więc głównie stopniową konfiskatę majątku bogatych na korzyść klas uboższych, co przecież jest w zgodzie i z naukami Zbawiciela o bogactwie i ubóstwie.[1]) Nie wszystko jednak w programie socyalnej demokracyi tak dokładnie się zgadza z Ewangelią. Nie trzeba przecież tłómaczyć, że podobne w rezultacie stanowisko wobec ubóstwa polega na zupełnie odmiennej ocenie dóbr i wygód materyalnych. Socyalna demokracya, to głos epoki, w której większa niż kiedykolwiek ilość ludzi te dobra i wygody zna i codzień ogląda, a jest ich pozbawiona; to też demokracya w tych dobrach i wygodach widzi wszystko a przynajmniej główną część tego, co człowiekowi dać potrzeba. Zaś Ewangelia majątek i wygody lekceważy jako jeden z najmniej istotnych składników prawdziwie doskonałego życia. Chrystus więcej niemal niż nad ubogim, lituje się nad bogaczem, który w zaślepieniu poświęca wszystkie swe energie celowi marnemu i niegodnemu starań. Tę zasadniczą niezgodność dążeń i aspiracyi doskonale już rozumieli sami twórcy teoretycznego socyalizmu, wyznając albo indyfferentyzm albo otwartą do religii nienawiść; instynktownie pojmuje ją także dzisiejszy robotnik angielski, który wobec religii i Kościoła tak samo gruntownie jest obojętny jak większa część klas majętniejszych i wykształceńszych.[2]) Nie chcą

[1]) Kongres kościelny anglikański, zebrany w Middlesborough w pierwszych dniach października 1912, obradował nad takiemi sprawami. jak: niepokój w świecie robotniczym, ustawa o ubezpieczeniu społecznem, budowa tanich mieszkań, rozrywki i zabawy dla ludu pracującego.

[2]) Nieraz jednak dzisiejsi socyaliści angielscy na oportunizm Kościoła oportunizmem odpowiadają; niektórzy zapewne i ze szczerego przekonania solidaryzują się z religią. Skrajny socyalista Keir Hardie stanął w szeregu pisarzy, którzy w zbiorowej książce „Christ and Labour“ (ed. C. G. Ammon, 1912, London, Jarrold) dowodzą na różny sposób, że „demokracya nowoczesna jest w zgodzie z duchem i nauką Chrystusa“. Zaś przywódca partyi robotniczej w parlamencie angielskim J. Ramsay Macdonald gorąco argumentuje za konieczną zgodnością etyki społecznej chrześcijaństwa i socyalizmu

uznać rozdźwięku tylko ci duchowni angielscy [1]), którzy pragnąc pozyskać masy pracujące dla Kościoła, solidaryzują się w swej zawodowej działalności z ruchem robotniczym, i w ten sposób właściwie wyrzekają się tej zaświatowej perspektywy, która stanowi tło nauki chrześcijańskiej, ignorują ten przewrót wszystkich wartości, którego dokonał Chrystus, stawiając dobra duchowe nad doczesnemi.

I znowu, jak już kilkakrotnie w tej polemice z rozpanoszonym w Kościele angielskim „duchem czasu", silnym głosem odzywa się indywidualizm. Chrześcijaństwu chodzić nie powinno o ryczałtowe pozyskanie zastępów, o zdobycie większości, jak politykowi przy wyborach, lecz o zjednanie pojedyńczych jednostek, z których tłum się składa, środkami do jednostki jako takiej przemawiającymi. Że te środki indywidualnego apelu nie powinny się w praktycznej polityce Kościoła przedstawiać jako spekulacya na osobiste słabości dusz ludzkich—na łatwowierność, na pragnienie taniej pociechy i łatwego przebaczenia—że przeciwnie Kościół powinien, jak sam jego Twórca, wywoływać z ludzi co w nich jest najlepszego i najsilniejszego: to zastrzeżenie dodatkowe, teoretycznie zbyteczne; wobec faktów historyi politycznej i religijnej jednak potrzebne i ważne.

W życiu świeckiem stosunki osobiste podlegają cenzurze opinii publicznej; to też udział w ukształtowaniu tej opinii jest najwłaściwszą bodaj formą tego wpływu Kościoła na społeczeństwo, który w dzisiejszych stosunkach jest możliwy i pożądany. Wśród przykładów, którymi autor radę ilustruje, uderza nas nadewszystko jedna nuta: jako naczelną wadę narodową dzisiejszej Anglii dr. Inge bardzo stanowczo wytyka i potępia *rozrzutność*, grasującą we wszystkich warstwach, od robotnika do milionera. Skargi tej samej treści słychać i z innych stron, a słuszność każe im przyznać bezpośrednia obserwacya, w szczególności porównanie klasy średniej niemieckiej z angielską. Anglia już od czasów Odrodzenia jest krajem najwyżej rozwiniętych wygód domowych. Do

---

w swej popularnej książeczce „The Socialist Movement" (№ 10 w seryi „The Home University Library of Modern Knowledge", Lond., Williams and Norgate, 1912) str. 78–82.

[1]) Inaczej w świecie katolickim: na kongresie eucharystycznym w Wiedniu (1912) ks. dr. Adolf Donders z Monasteru (a więc z serca westfalskiego okręgu górniczego) dobitnie i wśród ogólnej zgody stwierdził, że kościół „chleb niebieski" robotnika zasadniczo wyżej cenić musi od „ziemskiego".

rozpowszechnienia tych wygód i podwyższenia wszelkiego rodzaju materyalnych pretensyi do życia, przyczyniło się i wciąż przyczynia wyludnienie wsi angielskiej na korzyść wielkich miast przemysłowych. Zaś zanik zmysłu dla oszczędności prywatnej u klas średnich i robotników pośrednio powoduje dzisiejsza polityka socyalna, która troskę o ubezpieczenie starości w coraz szerszym zakresie czyni obowiązkiem państwa, zaś staraniu o zdobycie majątku dla rodziny wprost przeciwdziała przez wielkie podatki spadkowe. Wszystko to zresztą zjawiska, które w Anglii są tylko wyraźniejsze i starsze niż gdzieindziej, ale wszędzie są widoczne i przy dzisiejszym kierunku ogólnego rozwoju społecznego prawie nieuchronne. Natomiast specyficznie angielską formą tej nowoczesnej rozrzutności jest gra hazardowna w postaci zakładów, do których obfitą i gorliwie wyzyskiwaną sposobność dają wielkie widowiska sportowe. Sport jest starą namiętnością narodową Anglików, i połączone z każdym sportem ryzyko stało się ulubioną formą podniecenia nerwowego. Że zaś w dzisiejszych czasach specyalizacyi i konkurencyi coraz mniej jest sportsmenów-amatorów i coraz częstsze i okazalsze są publiczne popisy zawodowców, więc owo upodobanie do ryzyka, zamiast w samych ćwiczeniach cielesnych, znajduje upust w zakładach, które szczególnie z okazyi takich uroczystości sportowych, jak doroczne zawody w piłkę nożną w dniu św. Jerzego, lub doroczne wyścigi między-uniwersyteckie na Tamizie, i znowu szczególnie u robotników, przybierają rozmiary, wyzywające do publicznej krytyki. W takiej krytyce, i w akcyi przeciw tej narodowej namiętności, tak samo jak w akcyi przeciw równie zgubnemu narodowemu nałogowi opilstwa, Kościół istotnie mógłby i powinien mieć wybitny udział.

Chodzi tu o działalność tamującą, ochronną, zapobiegawczą; ale czy niema w świeckiej pracy społecznej żadnych pól działania pozytywnego, budującego, na których Kościół, jako instytucya bez skrupułów, stanąć może? Demokracya jako zasada polityczna — to złudzenie: ludzie pozostaną wiekuiście nierówni jako obywatele państwa, nierównie uzdolnieni do rozstrzygania o losach ogółu. Demokracya w sferze gospodarczej znowu za naczelne sobie stawia cele materyalne, które każdy Kościół, wierny swemu posłannictwu, musi uważać za podrzędne. Ale są inne jeszcze zastosowania hasła równości, które i Kościół cenić może i powinien. Demokracya wszakże dąży także do usunięcia starych przesądów klasowych — zresztą i nowych także! — do ugruntowania wartości społecznej i oceny towarzyskiej człowieka jedynie na

charakterze i na jakości jego pracy zawodowej, nie zaś na pochodzeniu jego i na rodzaju zajęcia (względnie jego braku). W tym względzie w Anglii nie mniej niż gdzieindziej jest do zrobienia. Uprzemysłowienie, upadek rządów agrarnych, złota era mieszczańskiego liberalizmu — sprawiły tylko to, że obok dawnej czci dla tradycyi rodowych stanęła bałwochwalcza cześć dla majątku, po kulcie arystokracyi rozwinął się kult plutokracyi, która sięga po te same tytuły i honory. Dziś, jak niegdyś, każdy przeciętny Anglik, jak mówi przysłowie, „całem sercem kocha lorda", i słowa g e n t l e m a n używa nie w tem pięknem i wzniosłem znaczeniu, w którem my je znamy głównie z pieśni i powieści, lecz poprostu jako nazwy stanowej dla ludzi w czarnych tużurkach, krochmalonych kołnierzykach i cylindrach, ludzi pracujących mniej lub więcej mózgiem—w każdym razie nie ręką — płatnych lepiej i posiadających znaczny rachunek w banku. Nawet wzrastająca szybko świadomość potęgi politycznej u klasy robotniczej nosi w sobie zarodek niesprawiedliwej zarozumiałości klasowej, jak to dowcipnie dał do zrozumienia Bernard Shaw, ukazując nam w swych komedyach prawie stale postać jakiegoś arcy-mądrego i odpowiednio dumnego lokaja lub szofera. Naprzeciw wszelkich takich aspiracyi, czy na dawnych czy na dzisiejszych wyżynach układu politycznego się panoszących, stanąć musi dobra wola ogółu wobec uczciwej fachowej pracy jednostek; a do krzewienia tej dobrej woli i Kościół ze swej strony nauką i przykładem przyczynić się może: wskazówka, że „uwieńczonemu powodzeniem łotrostwu" należy „otwarcie odmawiać szacunku", jest dostatecznie wyraźną dyrektywą właśnie dla Kościoła, bo znamy przecież pospolitą w świecie przemysłowym angielskim po obu stronach Oceanu praktykę zacierania pamięci dawnych nieuczciwości przez fundacye pobożne, miłosierne lub oświatowe—po zdobyciu majątku.

Terenem pożytecznego współdziałania Kościoła z dzisiejszą demokracyą może dalej być oświata ludowa. Tutaj trudno sobie w praktyce wyobrazić tę kooperacyę, bo przecież właśnie za naszych dni w Anglii przy gorliwej pracy nad bardzo potrzebną, ustawową reorganizacyą szkolnictwa narodowego, kwestya wyznaniowej nauki religii w zakładach państwowych i subwencyonowanych przez państwo, jest przedmiotem ciągłych starć między większością liberalną a Kościołem państwowym. Inge wytwornym gestem usuwa z pola ten skrupuł, stwierdzając, że ponad staranie o stan posiadania kościelnego, trzeba stawiać zabiegi o podniesienie poziomu wychowania narodowego. Wątpić można, czy ta-

ką opinię podzielać będzie wielu z biskupów, zasiadających w Izbie lordów.

Najoryginalniejszą ze wszystkich pozytywnych wskazówek, jakie dr. Inge daje swemu Kościołowi, jest niewątpliwie ostatnia. Dużo nowych i dla konserwatyzmu narodowego niepomiernie dziwnych maksym urzeczywistnia się w reformach ustawodawczych obecnego rządu liberalnego; jedną z naczelnych pośród tych nowych zasad polityki socyalnej i ekonomicznej jest prosta i oczywista, ale w przeszłości przez państwa mało uwzględniana prawda, że znaczną i bardzo ważną część majątku narodowego stanowi materyał ludzki, i że jakość tego materyału jest jedną z głównych miar dobrobytu państwa, dbałość o ten materyał jedną z głównych podstaw pomyślnego rozwoju. To zapatrywanie znalazło czynny wyraz w ustawach, polepszających warunki bytu klas uboższych i ubezpieczających robotnika przeciw chorobom i przypadkom. Ten sam pogląd jednak zarazem w innym kierunku i bardziej teoretycznie narazie wypowiada się przez powszechne dziś w całej wykształconej Anglii zajęcie problematami *eugeniki*, czyli umiejętnego starania o ilościowe i jakościowe podniesienie rasy. Rok 1912 ujrzał nawet pierwszy kongres eugeniczny w Londynie, gdzie długo i gorąco rozprawiano nad kwestyami jak to: czy należy się starać o podniesienie ilościowe przyrostu ludności—bo i w Anglii, jak w innych krajach cywilizowanych, liczba urodzin szybko się zmniejsza — czy też raczej przez odpowiednie środki uświadamiające kierować doborem stadeł celem jakościowego wydoskonalenia fizycznego typu rasy. Oczywiście po stronie tej drugiej myśli stoi dr. Inge; sformułowania programu hygieny rasowej spodziewa się po wiedzy przyrodniczej, która w Anglii za inicyatywą zmarłego niedawno Galtona szczególnie żywo tymi problematami się zajmuje. [1]) Zaś dla Kościoła w krzewieniu i popieraniu zdrowych poglądów na tę doniosłą sprawę otwiera się jeszcze jedna dziedzina niewątpliwie pożytecznego i chwalebnego uczestnictwa w świeckiej pracy społecznej.

Ale wszystkie takie dostępne dla Kościoła pola działania społecznego przedstawiać mu ostatecznie mogą tylko uboczne i drugorzędne zadania. Główną dziedziną wpływu Kościoła, jak jeszcze raz na końcu swej książki dobitnie stwierdza dr. Inge,

[1]) Uniwersytet londyński ma laboratoryum eugeniczne pod kierownictwem profesora K. Pearsona.

pozostać musi życie osobiste, najcelniejszą ambicyą—kształtowanie charakteru jednostek; zaś najpiękniejszą świecką nagrodą dla każdej organizacyi kościelnej za tak pojętą działalność, najpożyteczniejszym socyalnym jej owocem stać się tylko może przeniknięcie temi zasadami, które Kościół wyrobi w życiu osobistem, postępowania człowieka we wszelkich związkach społecznych, począwszy od rodziny a skończywszy na państwie.

*

* *

Możnaby powiedzieć, że nie zasługują na tak obszerne streszczenie rozmyślania tetrycznego mistyka, których ostateczny bilans jest właściwie ujemny. Demokracya wprawdzie może nie jest lepszą od innych form rządu; ale i inne mają wielkie wady, a jakoś ludzie zawsze rządzeni być muszą;—te kilka zadań pozytywnych, które Inge wskazuje Kościołowi w pracy społecznej, choć wszystkie poważne i doniosłe, są jednak tylko c u r a e p o s t e r i o r e s wobec wielkich aktualnych zagadnień dzisiejszej demokracyi;—nawoływanie Kościoła do zadań i idei treści zaświatowej, odstręczenie go od udziału w usiłowaniach świeckich, gdyby było skuteczne, może mieć ten zgubny wynik, że zwiększy jeszcze obojętność, jaka już dziś u wykształconych i niewykształconych panuje względem religii;—kto wie, czy rozsądny oportunizm wobec społecznych i politycznych dążeń wieku nawet do ziszczenia transcendentalnych i mistycznych zadań i zamiarów skuteczniej się nie przyczyni niż zasadnicza odporność? I takiej polityki socyalnej bronić można argumentem: „Cel uświęca środki".

W książce dziekana Inge pełno jest krytyki, a mało konstrukcyi, dużo subtelnego niezadowolenia a mało wyraźnych, uchwytnych dla przeciętnego ogółu nadziei i obietnic. Na zapytanie, czy Kościół może współdziałać z duchem czasu, całość jest właściwie odpowiedzią przeczącą. To też książka zalecać się nie będzie czynnym politykom ani kościelnym, ani świeckim; sympatyczna będzie raczej tym, co nie stojąc w linii bojowej, nie garnąc się do czynnego udziału w wielkich akcyach reformatorskich naszego wieku, jednak śledzą te ruchy z żywem zajęciem, starając się stwierdzić należne im miejsce w tych dalekich i szerokich

horyzontach dziejowych i myślowych, w które i dr. Inge jako właściwe tło zjawisk dnia wpatrywać się radzi. Dla takich obserwatorów odczyty tego mistyka angielskiego są symptomem zjawiska, sięgającego poza życie kościelne. Peryodycznym rewizyom podstawowych pojęć fizyki, które przyrodnikom zalecał Mach, odpowiadają peryodyczne rewizye ideowych podstaw kultury. Zdaje się, że jesteśmy w okresie takiej rewizyi sprężyn naszego postępu. Od czasów rewolucyi romantycznej ludzkość gorzała pragnieniem jednolitego, wszechobejmującego na świat poglądu, i różne, mniej i więcej doskonałe systemy zasadniczo monistyczne usiłowały to pragnienie zaspokoić. Na podstawie monistycznej także pracowały i w części pracują jeszcze nauki przyrodnicze, i osiągały świetne rezultaty. Po wyczerpaniu pożytku, jaki kulturze ludzkiej te dążenia monistyczne przynieść mogły, powraca prawdopodobnie do rządów dualizm, choć w niejasnej dotąd formie. Nowemu dualizmowi z konieczności towarzyszyć musi przełomowa odmiana przeróżnych wartości moralnych i intelektualnych, a więc nowy kanon ideałów; zaś w szczególności odmienną będzie w erze idealizmu ocena rozumu, jako że w samej istocie dualizmu jest ścisłe odgraniczenie przystępnych doświadczeniu składników poznania od innych. To też równie naturalną jak znamienną jest rzeczą, że anglikański wyznawca chrześcijańskiego dualizmu niejednokrotnie z całym zapałem wspólnych upodobań moralnych i metafizycznych powołuje się na neo-idealistę Rudolfa Euckena i wielbiciela intuicyi, Henryka Bergsona.

R. Dyboski.

# POLACY POD RZĄDEM AUSTRYACKIM

## na początku XIX wieku.

### I.

Rok 1806 rozpoczął się w Galicyi pod złym znakiem przewidywanej zewsząd klęski ekonomicznej kraju, pod groźbą głodu i chorób epidemicznych dziesiątkujących podatną ku temu zubożałą ludność, jak również—pod silnem wrażeniem świeżo zawartej pacyfikacyi presburskiej, rozwiewającej wynikiem swoim pokładane w Napoleonie nadzieje Polaków—pacyfikacyi, która dla tych ostatnich, po niedawnym jesiennym Aleksandra i obecnym grudniowym Napoleona zawodzie, była jednem tylko więcej doświadczeniem, że w ujęciu i podniesieniu ich sprawy na żadnego z protektorów liczyć nie mogą.

Społeczeństwo polskie w Galicyi, wyniszczone pośrednio i bezpośrednio, materyalnie oraz intelektualnie ostatniemi przejściami wojen napoleońskich, przedstawiało na ogół obraz szczególniejszego wyczerpania, rozstrzelenia pojęć, pragnień i dezoryentacyi politycznej. Przytem znaczna część jednostek, nie wierząc w skuteczność dalszego prowadzenia zabiegów około wspólnej narodowi idei niepodległościowej, w obawie dalszych niepowodzeń i dalszego bezcelowego narażania się panującemu rządowi—wycofała zupełnie swój udział z wszelkich spraw wychodzących po za obręb najciaśniejszego kółka osobistego interesu. Uwydatniał się coraz bardziej smutny objaw ówczesnego stanu rzeczy, skazujący już z góry wielką liczbę mieszkańców na zupełne stępienie i martwotę w stosunku do każdej świeżo powstającej myśli politycznej, wykuwanej raz po razu w rozbitych podówczas siedliskach zwolenników Francyi, Prus czy Rosyi.

W jednej tylko kwestyi łączono się z niepodzielną jednością, mianowicie: w tysiączno-głosowym chorale skarg, głównie z powodu ponownych rekrutacyi wojennych, zbytniego przeciążenia w dostawach podwód, braku dźwięczącej monety, rożnorodności nadmiernej danin, oraz przeładowanego niepotrzebną pisaniną systemu administracyi urzędów krajowych, zwłaszcza palestry. Z całego kraju, z pośród wszystkich warstw ludności, płynęły te zażalenia, po pokoju presburskim, jeszcze szerszą falą, mimo iż nader rzadko uwzględniane, rozbijały się najczęściej o nieprzebyty mur rozstrzygających czynników wiedeńskich, zawsze cierpliwych, zawsze spokojnych, bo, o ile nie zachodziła obawa zbrojnego ruchu ze strony pokrzywdzonych, owym papierowym jękom nie przypisywano żadnego donioślejszego znaczenia. Wszelkie środki zaradcze i zbawcze projekty miesiącami, a nawet latami czekały po dawnemu na ostateczne załatwienie w odpowiednich komisyach, aż wskutek zmienionych zupełnie stosunków n. p. po 1809 roku, „uchwycenie zła w jądrze“, umarzało się samo przez się.

Nie opiekowano się Galicyą, chociaż znano jej wartość, chociaż na kartach przełożeń ministeryalnych t. zw. „Vortragów“, nie rzadko ją określano jako jedną z najpiękniejszych i najważniejszych prowincyi wschodnich. I słusznie, gdyż należała ona w Austryi do rzędu tych krain, w które znikomo mało się wkłada, a natomiast stałe i znaczne zasiłki rokrocznie dla siebie z nich wydobywa. Zdawałoby się więc, że sam interes państwa dyktował, by większą mieć o nią pieczę, by ją chronić przed ostatecznem wyczerpaniem, a wreszcie zapobiedz zmniejszaniu się intratności. Była to okoliczność, jaką doskonale rozumieli wybitniejsi członkowie ministeryum austryackiego i najwyższych instytucyi państwowych taki: hr. Filip Stadion, Zinzendorf, Baldacci, której jednak nie chciał zrozumieć ogół sfer rządzących, kierujący się w tej kwestyi racyą przejściowego posiadacza danej prowincyi, z jakiej też państwo, ów chwilowy gospodarz, powinno wydostać możliwie najwięcej dla siebie, nie bacząc na przyszłość zniszczonego kraju, ani na grożącą mu rychłą i niechybną tym sposobem ruinę.

Według wykazów głównego departamentu poborów skarbowych, sporządzonych przez Komisyę Kredytową w porozumieniu z generalnem Dyrektoryum obrachunkowem, dochody bieżące, jakie z Galicyi wpłynęły do kas państwowych w r. 1806, a więc w czasach spokojnych, nie wojennych, przedstawiały się następująco: 11,591,831 fl. 14 kr. w dochodach stałych, obejmujących daninę kontrybucyi wojennej, wszystkie rodzaje podatków żydowskich, podatek spadkowy, czopowy, opłaty celne, pocztowe, lote-

ryjne, taksy, stemple, myta i t. p. 3,539,232 fl. 49 kr. w dochodach nadzwyczajnych i pobraniach do czasu ustanowionych, łącznie zatem z poprzednio wymienioną cyfrą: 15,131,064 fl. 3 kr., naturalnie bez wliczenia w to poważnie brzmiącego dochodu z zarządu, dzierżaw i ze sprzedaży rozlicznych dóbr kameralnych, dawniej królewskich, jakie po okupacyi przeszły na etat państwowy. [1])

Małe to sumy w porównaniu ze stanem dzisiejszym dochodów z Galicyi. Jak świadczą statystyczne dane, udział kraju w czystych pobraniach państwowych wynosił w r. 1904 w podatkach bezpośrednich, konsumcyjnych i monopolach, w opłatach z majątków, zakładów i praw fiskalnych, z biletów kolejowych oraz ceł— nie mniej jak 155,554,248 koron. Czysty przychód z monopolu tytuniowego obliczano na 18,883,614 koron, a z soli 12,174,649 koron. Daleko więc odbiegają one od sum, jakie w tej dziedzinie otrzymało państwo z Galicyi w 1806 r., licząc przeciętnie ówczesne dochody tytuniowe na 1,475,114 fl. a połowę zysków solnych z Wieliczki na 2,703,400 fl. [2])

Jeśli się jednak uwzględni, że ówczesny budżet państwowy nie wkraczał jak dzisiaj w wysoką liczbę miliardów koron, a dochody bieżące ze wszystkich krajów monarchii nie przekroczyły w 1806 r. kwoty: 79,793,462 fl., to danina nędznej i zaniedbanej krainy równała się w owym czasie 18·93% ogólnej sumy przychodów, względnie prawie piątej ich części. Pozycya dochodów krajowych, po Czechach i Węgrzech, owych najznakomitszych prowincyach Austryi, stanowiła najlepszą cząstkę w budżecie państwowym.

Kraj dawał więcej niż mógł, a przecież i te cyfry z wysiłkiem tylko nadmiernym uzyskane, nie zadawalniały widocznie układających projekta budżetu państwowego. Stwierdza to do-

[1]) Haus, Hof u. Staatsarchiv. Wien Staatsratsakten 1808. № 3650. Geheimer Finanzgegenstand. Zum Vortrag der geheimen Kreditskommission vom 30-ten August 1808. Sechs Ausweise welche bei dem Central Departament der Hauptbuchhaltereien, verfasst worden sind. Dochody z Czech według tych zestawień wynosiły w r. 1806: 15,390,611 fl. 15 kr., z Węgier: 15,752,894 fl. 45 kr., czyli minimalnie tylko więcej od pobrań galicyjskich, choć warunków, w jakich obie te krainy się znajdowały, nie można wprost równać z położeniem ówczesnem Galicyi.

[2]) Głąbiński: Galicya w budżecie państwa na rok 1904. Lwów, 1904.

wodnie arcyciekawy fakt zaszły w sierpniu 1806 r. charakteryzujący znakomicie ówczesne stosunki, incydens, który świadczy zarazem, jak mało zadawano sobie trudu nawet u źródła, by wglądnąć dokładniej w meritum sprawy Galicyi — jak traktowano ją pobieżnie, jak bezwzględnie postępowano sobie z nią w celach fiskalnych. Latem 1806 r. wygotowano świeży projekt patentu w sprawie nałożenia dodatku 60% do podatków nadzwyczajnych od własności, przyczem do rzędu krain konskrybowanych wliczono również obie Galicye. Projekt ów, przedstawiony przez komisyę kredytową do uznania cesarskiego, uzyskał najwyższe zatwierdzenie i przeszedł pod dalsze obrady zjednoczonej kancelaryi nadwornej. Aliści przy bliższem rozpatrzeniu poszczególnych części projektu okazało się, iż w Galicyi istniał ten nowy dodatek już od roku 1805, rozpisany tam patentem z 20 września t. r. i to nie w wysokości 60% ale 100%. Obecnie zatem wypadałoby go chyba zwiększyć do 160%. Zbyt krzycząca nieproporcyonalność groziła absurdem. Odezwały się więc zdania orzekające — czy, wobec dążności do ustalenia pewnej ogólnie obowiązującej normy w pobraniach fiskalnych, oraz wobec nowego w przyszłości 16 procentowego dodatku od spłaty kontrybucyjnej, jaki miano pobierać na pokrycie zaciągniętej niedawno dwojakiej pożyczki loteryjnej—nie byłoby rzeczą właściwą zrównać daninę Galicyi przynajmniej w tym względzie z innemi prowincyami niemieckiemi, chociażby tylko w obrębie dwóch wyżej wspomnianych dodatków? Wymagało to jednak nieodzownie zniżenia owego 100% dodatku nie mniej jak o 40%, a zarazem utrudniało sprawę, gdyż każdy stracony choćby najdrobniejszy grosz dochodu znaczył wówczas bardzo wiele. I kto wie, na jakie tory zeszłaby kwestya, gdyby nie specyalna nota prezydenta nadwornej kamery (Hofkammer) hr. Zichy'ego z 11 sierpnia 1806 r., który wprost oświadczył się za zrównaniem ciężarów Galicyi, oraz udowadniał, że podwyższony znacznie podatek czopowy, podrożenie cen soli, obarczenie zbytnie podwójnemi opłatami duchowieństwa i tak już przekraczało zwykłe granice pobrań z innych krajów koronnych. Argument wreszcie, że dana poprawka projektu nie spowoduje żadnych rysów w preliminarzach budżetowych na rok 1807—przechylił szalę decyzyi w stronę ustępstwa. Na doradczą propozycyę Schittlersberga, jednego z najzdolniejszych członków „Staatsratu", cesarz zatwierdził wniosek hr. Zichy'ego — „pomyłkę" usunięto.

Nie wszystkie jednak sprawy kończyły się tak pomyślnie. Stokroć ważniejsze, stokroć bardziej zasadnicze, bo dotyczące

wprost reorganizacyi i koniecznych ulepszeń ze wszechmiar wadliwego systemu urządzeń państwowych w granicach wcielonego zaboru ziem polskich, odsuwane były macoszą ręką dopóty, aż opruszone pyłem zapomnienia stawały się wreszcie tylko śladem dobrych chęci i przedawnionych pomysłów. Taki los spotkał projekt ujednostajnienia podziału okręgów „starej“ i „nowej“ Galicyi, oraz zrównania dykasteryi urzędniczych obu części pod względem płac. Takiemu losowi uległy próby zreformowania nadmiaru czynności przydanych galicyjskim starostwom, jakie miano uskutecznić przez wypracowanie nowych instrukcyi określających ściśle zakres ich działalności. Obie sprawy wpadły w wodę; jedna po siedmiu, druga po trzynastu latach bezowocnej tułaczki gabinetowej.

Pierwszą zapoczątkowała nierównomierna wielkość okręgów, na jakie podzielono wschodnią i zachodnią Galicyę, oraz wynikająca stąd uciążliwość administracyjna kraju, utykająca na każdym kroku coraz bardziej. By to uchylić, powstał plan ujęcia owej chromającej całości w pewien jednolity system, któryby przestarzałą już machinę uprościł i bardziej sprężystą uczynił. Chodziło tylko o naoczne sprawdzenie, czy powyższe zmiany dadzą się wprowadzić przy istniejących już formach i stosunkach, czy też potrzeba ku temu rozczłonkowania prowincyi. Co się tyczy ostatniej ewentualności, to istniał już nawet projekt skoncentrowania wszystkich dawniejszych okręgów „Starej“ Galicyi w ten sposób, że zamiast ośmnastu miało być ledwie dziewięć, mianowicie: sandecki, tarnowski, krośnieński, przemyski, lwowski, zamojski, brzeżański, zaleszczycki i stanisławowski. [1])

Na rezolucyę cesarską z r. 1803, traktującą o konieczności zbadania istotnego stanu rzeczy, gubernium lwowskie wydelegowało hofrata Reichmana, który, objechawszy wschodnią Galicyę przedstawił następnie obszerny referat zaopatrzony szczegółowym wykazem statystyki ludności i rozmiaru przestrzeni każdego okręgu. Okazało się, że zaprowadzenie nowego porządku wymagało zmiany w podziale kraju. Stary jednak projekt ściągnięcia ośmnastu istniejących okręgów na dziewięć był o tyle niepraktycznym, ile niemożliwym do przeprowadzenia. Powstałe bowiem w ten sposób ogromnie rozległe kompleksy ziemi, przy zwiększo-

[1]) H. H. u. St. Arch. Staatsratsakten 1806. № 3790. Vortrag der Vereinigten Hofkanzlei vom 9 August 1806. (Die Konzentrierung der Kreise im älteren Teile Galiziens).

nej liczbie miast, miasteczek, wsi i przysiółków—obciążyłyby do reszty dotychczasową niesprawność i trudność administracyi władz w kraju. Znaną to było rzeczą jeszcze z czasów memoryału hr. Pergena, czy też ankiety urzędowej z r. 1783, że starostwa galicyjskie przeładowane nadmiarem zawiłej manipulacyi, jaką do każdej sprawy wprowadzały reguły przyjętych zasad biurokratycznego systemu—nie mogły i w części podołać obszernemu zakresowi swoich czynności. Częste rozpatrywania zażaleń chłopskich z powodu nadmiernych wymagań, zobowiązań pańszczyźnianych i szarwarków oraz wyzysku i ostrego obchodzenia się z chłopem, w czem celowali czasowi zwłaszcza dzierżawcy—jeszcze częściej nadchodzące skargi, jakich dostarczały zazwyczaj starcia właścicieli mniejszych posiadłości z drobną szlachtą zagonową, o wzajemne wydzieranie sobie granicznych linii przynależnej ojcowizną ziemi ów swojski, rodzimy, historyczny „spór o miedzę“, następnie sprawy lichwiarskie, żydowskie, ogromnie uciążliwy obowiązek ściągania niektórych podatków, opłat i taks, sprawa miast i ich funduszów, częsta korespondencya z władzami fiskalnemi w sprawach majątków kościelnych i t. d., nie licząc mnóstwa innego rodzaju obowiązków, jakie z ramienia władz wyższych były nakładane sposobem tajnym. Wszystko to w znacznym stopniu przekraczało siły powołanych ku temu urzędników. Zaległe sprawy wzrastały liczebnie z roku na rok. O tem wiedziano powszechnie.

Reichman był zatem zdania, ażeby wprowadzić nowy porządek rzeczy, aby „nową“ Galicyę podzielić na sześć, a „starą“ w stosunku, 1 : 2, czyli na dwanaście okręgów. Główny przytem nacisk kładł na zrównanie płac i rang urzędników części zachodnich ze wschodniemi.

Mimo szczuplejszego obszaru okręgów, a co za tem idzie mniejszego nawału spraw do załatwiania, byli pierwsi lepiej płatni i rangą wyżej stojący od drugich. Trzeci komisarz okręgowy Galicyi zachodniej z płacą 800 florenów rocznie, równy był stanowiskiem drugiemu komisarzowi cyrkularnemu Galicyi wschodniej, który pobierał tylko 700 florenów rocznego wynagrodzenia, a pracy miał więcej. Stwarzało to silne rozgoryczenie i niezadowolenie pokrzywdzonych urzędników starej Galicyi i zachodziła obawa, że w system już prawie weszła wśród nich korupcya rozprzestrzeni się jeszcze bardziej. Rzecz jednak dziwna: referat Reichmana przesłany Urmenyi'emu do zaopiniowania; zaraz w gubernium lwowskiem natrafił na wielce charakterystyczny opór, gdyż gremium wybitniejszych członków z wiceprezydentem

hr. Wurmserem na czele, oświadczyło, by owe zmiany w celu złączenia i unormowania okręgów galicyjskich opóźnić.

Przez takie postawienie kwestyi, już u źródła prawie, zaczęto sprawę grzebać. Akt bowiem przeszedł wprawdzie pod obrady zjednoczonej kancelaryi nadwornej i na pierwszego listopada 1807 r. wyznaczono nawet dla gubernium lwowskiego termin nadesłania opinii, jakimi ludźmi obsadziłoby się nowo zorganizowane okręgi, jak wprowadzić urządzenia tych urzędów, ale że zgody co do tego w kancelaryi nie było, przeto sprawę złożono rychło *ad acta* pieczętując decyzyą Schnitzlera z 9 sierpnia 1810 r.—zgodną zresztą zupełnie z rezolucyą cesarską orzekającą, że z powodu oddania Galicyi nowej Księstwu Warszawskiemu, a części starej—Rosyi, stosunki z gruntu się zmieniły i hofratowski operat wraz z zamieszczonymi w nim projektami stał się obecnie nieużytecznym (unbrauchbar).

W podobny sposób postąpiono sobie z podjęciem reformy w zakresie działalności starostw. Reichman i w tej kwestyi, jeszcze, jako radca byłego zachodnio galicyjskiego gubernium, wygotował na żądanie szczegółową instrukcyę, objaśniającą i określającą istotę manipulacyi ogólnej wszystkich starostw galicyjskich. Ale cóż? tu znowu ówczesny gubernator kraju hr. Trautmansdorf nie zgadzał się z wyrażonemi przezeń pojęciami, przerobił więc elaborat w postaci osobnego koreferatu i obie rzeczy przesłał kanclerzowi. Za czasów Urmenyi'ego, Reichman poprawił i uzupełnił dawny swój projekt, tak, że dzielił się on na dwie główne części: 1) obejmującą w 24 § stosunki służbowe różnych kategoryi urzędników przy starostwach, 2) oznaczającą w 170 § sposób i zakres manipulacyi poszczególnych dykasteryi. Zakończenie stanowiło szczegółowe w 41 § zawarte urzędowe pouczenie dla wysyłanych po okręgach komisarzów, którzy zajmowali posterunki jedne z najważniejszych. Instrukcya ta wraz z wnioskiem zjednoczonej kancelaryi nadwornej przeszła pod obrady Staatsratu już w październiku 1806 roku, nim jednak poddano ją pod głosowanie odpowiednich radców, nadszedł wrzesień 1810 r. i znów zupełnie zmieniona sytuacya kraju. Wreszcie w końcu r. 1814 głównie ze względu na autora (Reichman w owym czasie był już wiceprezydentem), oraz uwagi wielu wybitnych osobistości, mimo koniecznej modyfikacyi i zmian poszczególnych punktów, poczęto projekt na nowo rozpatrywać. Najwyższą rezolucyę, która stwierdzała, że wobec zaszłych stosunków może on służyć tylko „zur Wissenschaft“ — przekreślono. Zaopatrzony uwagami prezydenta Baldacci'ego — jako temat obrabia-

ny od 1802 r.—znalazł się on ad recirculandum znowu na posiedzeniach sekcyjnych, odczytywany w drugiej połowie stycznia 1815 roku.

Nie chodzi zresztą o sam projekt i dalsze jego dzieje. Była to machina olbrzymich rozmiarów, gmatwająca raczej jeszcze bardziej dotychczasowe urządzenia niż je upraszczająca.

Reichman, człowiek niezwykle gorliwy i pilny, posiadał odpowiedni zasób potrzebnych wiadomości, ale zanadto wielki teoretyk, był tylko typowym wychowankiem ducha ówczesnej biurokracyi austryackiej. W wypracowaniu swojem, jak zresztą całkiem słusznie Baldacci zauważył, wchodząc w nieskończoną ilość szczegółów manipulacyjnych form i formularzy, zatracił to, co powinno było stanowić właściwą istotę organizacyi urzędów okręgowych, mianowicie: samodzielność, szybki sposób działania i wyłączną odpowiedzialność naczelników—cechy konieczne, jakie w szeregu wielce złożonych przepisów doradczych i uwag, pogrzebał prawie zupełnie. Chodzi jednak o sam fakt procesu przeprowadzenia dobrą chęcią czy też poniewolnie zapoczątkowanych starań około naprawy wadliwych urządzeń w zaniedbanej prowincyi. Jeśli się bowiem zważy, że podobnie żółwim krokiem postępowano również z innemi sprawami, to bez dalszych komentarzy uwidocznia się jak najdobitniej, że o gruntowniejszem usunięciu zła, które tak bardzo kraj nękało, o jakiejś reorganizacyi i częściowem chociażby uzdrowieniu dokuczliwych ze wszech miar stosunków w r. 1806 nawet marzyć nie było można.

Dawne ciężary pozostały, a i te zwiększano z miesiąca na miesiąc. Szczytna zapowiedź, jaką głosił ludom monarchii patent cesarski z 1 lutego 1806 r., wzywający je w czasie powojennym do współdziałania w celu umocnienia wewnętrznych sił państwa, a to: przez szerzenie prawdziwego ducha kultury, ożywianie rodzimego przemysłu we wszystkich jego gałęziach, oraz podniesienie wartości publicznego kredytu—odbiła się w Galicyi tylko niemiłą a pokaźną cyfrą świeżo nałożonych opłat i ograniczeń.

## II.

Po okólniku z ośmnastego kwietnia tegoż roku, znoszącym wszystkie dotychczasowe wolności celne nadane jeszcze w 1788 r. ukazał się siedmnastego czerwca drugi, w sprawie wydawania specyalnych pozwoleń dla rodziców, którzy wysyłali młodzież za

granicę na studya. Z obawy, by „niebezpieczny“ duch wolnościowych idei nie zatruł młode, gorące umysły i z lojalnych poddanych nie stworzył w przyszłości bohaterów wallenrodowych, mieli odtąd rodzice pod karą stu złotych przed każdym wyjazdem osobno, drogą urzędownie przepisaną, starać się o pozwolenie.

Dwudziestego sierpnia wyszedł patent najwyższy ogłaszający 75 milionową pożyczkę zaciągniętą przez państwo na rzecz umorzenia nadmiernej ilości pieniędzy papierowych (bankocetli), przyczem dla zdobycia odpowiednich środków zwiększono między innemi podatek dominikalny i rustykalny o 50%-owy dodatek. Tą samą datą opatrzony cyrkularz przypominał ciągłość jeszcze we wrześniu 1805 r. zaprowadzonych nadzwyczajnych opłat w postaci: a) zwiększonego podatku realnościowego, b) klasowego od przychodów monarchicznych (rządowych) i prywatnych z handlu, rzemiosł i t. p., c) osobistego po 30 krajcarów jakiemu podlegać mieli wszyscy bez wyjątku i różnicy stanu, od ukończenia piętnastego roku życia, z wyłączeniem niektórych osób wojskowych, nie płacących również podatku klasowego, chałupników, komorników oraz osób w szpitalach lub z jałmużny tylko żyjących.

Dnia 22 sierpnia wprowadzono opłaty w szkołach i akademiach za pobieraną w nich naukę. W gimnazyach, na początku roku szkolnego za każdego ucznia miano odtąd składać sześć złotych reńskich, w Akademii Krakowskiej zaś i w Liceum lwowskiem na studyach filozoficznych i chirurgicznych piętnaście, a na medycynie i wydziale prawa trzydzieści złotych reńskich. 30 sierpnia objaśniał bliżej osobny cyrkularz, zarządzenie przymusowego, pod karą, stemplowania ponownego przedmiotów srebrnych i złotych, nie wyłączając sprzętów kościelnych i klasztornych, a w dziewięć dni potem podwyższenie myta drogowego. Zmieniono również taksy pocztowe przy nadawaniu i odbieraniu listów i posyłek, zwiększając je przy zwykłych listach z 8 na 12 krajcarów, przy zagranicznych z 16 na 24. Dnia 28 października ogłoszono nowy patent w sprawie opłaty świeczkowej. Żydom niepłacącym dominikalnego i rustykalnego podatku dla znacznych już opłat koszernego mięsa i świeczkowej, zwiększono obecnie to ostatnie o 50% dochodu. Ponieważ zaś nie można było ceny mięsa podnosić w nieskończoność, przeto uchwalono całość wyliczonej sumy, mającej wynosić 407,500 zł. wstawić do rachunku świeczkowego. To były tylko główniejsze rozporządzenia

dotyczące zasilenia luk w skarbie państwa. Drobnych zmian do tego samego celu zdążających była równie znaczna ilość. [1])

Inaczej działo się na zachodnich kresach monarchii. Gdy pierścienie śruby podatkowej zacieśniały coraz bardziej swoje koło, dziedziczne kraje habsburskie, jak: Austrya Dolna, Austrya Górna, Styrya, Karyntya, Kraina, Gorycya, Morawy, Śląsk i trzy komitaty czeskie: Tabor, Budziszyn i Kładzko, zbiedzone wypadkami ostatniej wojny, odbytej na ich terenie, założyły energiczny protest przeciw spłacaniu w całości wszystkich obowiązujących danin i zażądały opustu w zwyczajnych i nadzwyczajnych opłatach podatku rustykalnego i dominikalnego, a to w wysokości $^1/_4$ a dla Austryi Górnej $^1/_2$ rocznej należytości, przyczem proponowały również zniżenie podatku osobistego z 30 na 20 krajcarów od głowy.

Stany dolno-Austryackie podały nawet prośbę o zupełne zwolnienie z podatku klasowego. Nie uwzględniono wprawdzie tych wszystkich życzeń. Było to wówczas niemożliwością. Budżet państwowy mimo oglądania się na wielce iluzoryczne źródła dochodów, jakie widziano także w spełnieniu swoich ośmiu i dziesięciomilionowych uroszczeń do subsydyów angielskich i świadczeń rosyjskich, jakie te dwa mocarstwa obowiązane były rzekomo Austryi jeszcze wypłacić i t. p., przekraczał znowu wązkie ramy preliminarzy i z końcem roku sprowadził w istocie zwiększenie ogromnych już długów państwowych o czterdziestokilku milionowy deficyt bez pokrycia. Ograniczono się więc tylko do zwolnienia powyższych prowincyi w zakresie nadzwyczajnych podatków w $^2/_3$, a Austryi Górnej w $^{11}/_{12}$ części. [2])

Sam fakt, iż zgodzono się na przyznanie tak znacznych ulg dowodził, że uznawano rzeczywiście konieczną potrzebę przyjścia tym krajom z pomocą pewnych bodaj udogodnień. Kąt widzenia skrzywiony był tylko jednostronnością woli patrzących. Galicya bezpośrednią wojną nie była dotknięta. Na jej terenie nie toczyły się losy austerlickiego pogromu, a przecież skutki odbytej kampanii jakie odbiły się na niej pośrednio lecz niemniej rażącym sposobem, zubożyły ją w równym stopniu choć nie ściągnęły ulg żadnych.

[1]) Continuatio edictorum et mandatorum universalium in regnis Galiciae et Lodomeriae a die 1 Januarii ad ultimam Decembris 1806. manatorum wyd. Pillera t 14.

[2]) H. H u. St. Arch.—Staatsratsakten 1806. Zur Note des Obersten Kanzlers Gr. v. Ugarte vom 28 März 1806. Rosol. August. vom 22. Juni 1806

Czego nie zabrał przed wojną fiskus i częste egzekucye podatkowe, to padło ofiarą wandalskiego przemarszu powracających do domu szeregów wojsk rosyjskich, czego nie wywieziono do armii austryackiej w rekrucie, żywności i podwodach, to wyniszczył gruntownie mór i zaraza przywleczone po wojnie z zachodu.

I możnaby nie wierzyć głośnym skargom niezadowolonego społeczeństwa, przypisując je wrodzonej niechęci naszej szlachty do wszelkich publicznych ciężarów, owej starej słabostki, która jeszcze za czasów istnienia dawnej Rzplitej, porządnie się skarbowi Polski dawała we znaki. Istnieje jednak dokument inny, uchylający zupełnie, choćby ze względu na swe źródło, jakąkolwiek watpliwość, mianowicie: pismo gabinetowe z 11 marca 1806 r. wysłane do zjednoczonej kancelaryi nadwornej na ręce kanclerza hr. Ugarte. Do uszu cesarskich doszło bowiem, że przy wywożeniu magazynów wojskowych z Galicyi na Morawy, do Austryi i na Węgry, wobec transportowania nadzwyczajnej ilości chorych wyciskano zbyt wiele podwód bez względu na jakiekolwiek trudności warunków miejscowych. Mimo, że chłop nie miał żadnej strawy dla siebie, ani dla koni, trzymano go dziesięć do dwunastu mil w obowiązku zwózki, przez co nietylko mnóstwo bydła padło, ludność się pochorowała, ale odciągnięciem rolnika z pól w czasie orki i zasiewów, przyprawiono większe przestrzenie kraju o niedającą się naprawić szkodę. W kołach wiedeńskich rozeszła się również wiadomość, że szpitale wojskowe w Galicyi znajdują się w najgorszym stanie. Stłoczenie masowe umierających, chorych i rekonwalescentów powoduje niezwykle wielką śmiertelność i może w końcu stać się przyczyną wybuchu ogólnie panującej epidemii. Co więcej, istniała opinia, że w niektórych zachodnich szczególnie okręgach, rozszerza się już nawet choroba między ludem bardzo szybko, a wszelka działalność władz rządowych, tak gubernium, jak starostw, pozostaje jakoby daleko po za granicami gorliwości, której wymagała ważność zaszłych wypadków. W dobitnych więc słowach zawierało to pismo rozkaz cesarski, by wspólnie z Nadworną Radą Wojenną rozpatrzyła kancelarya zjednoczona istotne powody owych głośnych skarg galicyjskich, oraz zajęła się zbadaniem zaszłych nadużyć celem zupełnego ich usunięcia w przyszłości. Poszczególne wyniki dochodzeń stwierdziły najwymowniej prawdziwość uprzednich doniesień. Jak się okazuje z urzędowych doniesień nadesłanych przez gubernium lwowskie, przy wymarszu rezerwowych oddziałów z różnych pułków stojących wówczas

w Galicyi, oraz przy wywożeniu magazynów, wyłącznie tylko okręgi: krakowski, bocheński, kielecki i myślenicki — od stycznia do maja 1806 r. musiały dostarczyć 2044 uprzężonych koni i 9130 lekkich półkoszków, przyczem na sam luty wypadła nieproporcyonalnie wysoka liczba 1683 koni i 6871 furmanek.

„Aus dieser Übersicht erhelle die grosse Belastung... brzmi tkliwie „Vortrag“ z 21 sierpnia 1806. Ciężar jednak nie leżał w ilości żądanych podwód, ani w tem, że często, nawet śmiesznie mała należytość czterech krajcarów za jedną milę przewozu, nigdy prawie nie bywała uiszczoną, ale w okolicznościach wśród jakich je dostarczać musiano. Wskutek nieporozumień schodziło się w czasie przemarszu jakgdyby z reguły, zwykle kilka różnych oddziałów jednego dnia w tej samej miejscowości, wprowadzając zarazem ogromne zamieszanie i krzyżujące się nakazy kwaterunkowe czemu ludność stanowczo nie mogła podołać. Tak np. 9 lutego zeszły się w Gdowie: pułk la Tour i rezerwy Mittrowskiego, Lindenau oraz Koburg; 11 lutego rezerwy ułanów z piechotą pułku arcyks. Karola i oddziały Karpena; 14 lutego w Kalwaryi, oprócz powyższych obozowały także rezerwy piechoty cesarskiej, pułku Colloredo i Deutschmeistrów. W czasie od 24-go stycznia do 2-go lutego, przeszło przez Galicyę: dwanaście rezerwowych dywizyi piechoty i trzy rezerwowe eskadrony kawaleryi, razem 8095 ludzi i 1873 koni Z wyjątkiem na Węgry przeniesionych oddziałów rezerwy z pułków: Hohenzollern, arcyks. Jana, Hohenlohego, Löwenoehra, Auersperga, Hildburghausena i d'Oreilly, wszystkie inne szły drogą do Bielska przez okręg myślenicki. Uwzględnić zaś przytem należy, że równocześnie dążyły na wschód rozbitki armii rosyjskiej, od których w równej mierze, jeżeli nie więcej, ucierpiały inne okręgi kraju, uszczęśliwione dającą się we znaki kwaterą.

Postępując w myśl zasady, że wojna żywi wojsko, sprzedawali żołnierze rosyjscy swój codzienny furaż, poczem żyli na koszt podnajemcy, wyciskając w kraju wojną nie objętym niczem nie uprawnioną kontrybucyę. To też liczne grabieże znaczyły gęsto szlak tej drogi. Wydarcie wieśniakowi koni lub wołów bez żadnego upoważnienia i przyprzężenie ich do swoich wozów, było na porządku dziennym. Ugodzone podwody wleczono milami, chociaż wyznaczona przestrzeń dawno kresu dobiegła. Wszystkie zaś wybryki pozostawały w większości bezkarne, gdyż ilekroć przyprowadzono winowajcę do pułku, nikt z przełożonych nie znał go i nie wyjawiał przynależności.

## III.

Wszystko to jednak niepozostawiłoby tak bolesnych śladów i łatwiejby się dało znieść, gdyby nie nowy gość, który jako ostatni wysłannik wojny, zapukał do nędznych chat wieśniaczych w Galicyi i rozgościł się w nich na długo, mianowicie: epidemiczna gorączka tyfoidalna, zwana urzędownie gniłą febrą. Szerzyła się ona szybko, gdyż zbiedzona ludność nie obfitowała nigdy w odpornych, silnych, zdrowych osobników, a i z tej małej stosunkowo liczby, lwią część zaprzepaściły uprzednie pobory wojskowe.

Od kwietnia 1805 r. do ostatniego stycznia 1806 r. wybrano z Galicyi 52,250 rekruta, a jeśli wolno ufać zestawieniom wojskowym przedstawionym urzędownie Nadwornej Radzie Wojennej, wyszykowanym na specyalny rozkaz cesarski, z owej olbrzymiej sumy, do końca marca 1806 r. umarło: 9,921 ludzi, uciekło: 2,880, zwolniono ze służby: 2,291, zaginęło lub dostało się w niewolę: 4,711, zachorowało i pozostawało w szpitalach: 13,484. Razem więc stracił kraj bez wojny w przeciągu kilku miesięcy niemniej jak: 33.287 młodych, silnych jednostek.[1])

Febryczna gorączka zauważona początkowo wyłącznie tylko w powiatach: myślenickim, tarnowskim, rzadziej w bocheńskim, częściej w rzeszowskim i lwowskim, szła od granicy zachodniej ku wschodowi, obejmując kolejno okręg jesielski, sandecki, przemyski, sanocki, złoczowski, brzeżański, zaleszczycki, stanisławowski, tarnopolski, żółkiewski, samborski, lubelski, siedlecki, kielecki, krakowski, bialski i radomski.

Szerzyła się szybko, trafiając wszędzie na podatny grunt, do czego przyczynił się niemało zupełny brak jakichkolwiekbądź warunków hygienicznych, ciasne wilgotne izby, częste nagromadzenie w nich chorych ze zdrowymi, brak pomocy lekarskiej, ciemnota ludu i co najważniejsza—opieszałość odnośnych władz. Wprawdzie dość szybko po stwierdzeniu istniejącej epidemii wydano szereg rozporządzeń zakazujących odkupywania ubrań i żywności od wojsk rosyjskich, a porzuconą odzież po chorych i umarłych, słomę i pościel miano natychmiast palić, izby w których

[1]) K. u. k. Kriegsarchiv in Wien. № 403. Wykaz departamentu rekrutacyjnego. H. H. u. St. Arch. Staatsratsakten 1807. № 3252. Vortrag d. k. k. Hofkriegsrates v. 21 August 1807.

pozostawali gruntownie oczyszczać, wietrzyć, a umarłych do dwudziestu czterech godzin grzebać; wprawdzie Żydom i tandeciarzom zakazano ostro pod karą wszelkiego handlu przenoszonymi mundurami rozbitków rosyjskich, było to jednak połowiczne, mające wartość na papierze w postaci drukowanych cyrkularzy, ale w rzeczywistości bez znaczenia żadnego.

Dopiero gdy w lutym, marcu i kwietniu, rozmiary choroby bardzo się rozwinęły, gdy w okręgu myślenickim na 131 zarażonych miejscowości: 12,553 osób uznano za chore, a z tego 1435 umarło, gdy w takim mniej więcej stopniu ujawniło się to również w okolicach Przemyśla i Złoczowa, a z Wiednia nadciągnęły chmury niezadowolenia, wtedy dopiero zabrano się energiczniej do akcyi zaradczej. Skierowano przedewszystkiem uwagę na zarządy miejskie. Wydano nowe polecenia n. p. we Lwowie, ażeby magistraty wysyłały z urzędu lekarzy do wszystkich zagrożonach domów i t. d. I oto wówczas odkryto tajemnicę, że dotychczasowe rozporządzenia o leczeniu choroby i użyciu lekarstw, były zupełnie bezużyteczne, gdyż ludziom nietylko brakowało grosza na leki, ale na najpotrzebniejsze środki do życia. Uderzono w wielki dzwon miłosierdzia. Radca gubernialny Bernhard wypracował długi operat, ażeby biedniejszych chorych zaopatrzyć nie tylko w chleb i ziemniaki, ale przedewszystkiem w kaszę i mięso, bo sił nie mają. Artykuły żywności miały być oddawane przez sekcye odpowiednim na przedmieściach proboszczom zobowiązanym do wydzielenia ich każdemu mieszkańcowi, który mógł się wykazać karteczką lekarza. Koniec końcem, mimo wszelkich późniejszych starań, choroba grasowała do jesieni 1806 r., a uznana we wrześniu za wygasłą porwała na swój ofiarny ołtarz w 2,708 zarażonych miejscowościach 90,970 ludzi, z czego zmarło 10,576 czyli 11·6%. [1])

[1]) Archiv Min. d. Innern. Polizeiakten 1806. №№ 1053 1609 (fs. 39). Ausweis über den Stand der vom Ausbruche der Epide mie bis Ende April 1806, in Galizien krankgewesenen, genesenen, gestorbenen und annoch in der Behandlung verbliebenen Personen von der k. k. Provinzial Staatsbuchhaltung. Lemberg am 17 Juni 1806.—dto bis Anfang Juni, — Lemberg den 29 August 1806.—dto... bis zur Beendigung derselben (Epidemie). Lemberg den 6 October 1806. Raport protomedyka Neuheusera do Sumerawa pod datą 8 lutego 1806. Podane w wykazach cyfry nie są zupełnie dokładne i mniejsze cokolwiek od istotnego stanu rzeczy. Uzyskano je ze zgłoszeń wyłącznie lekarskich. Lud zaś, zwłaszcza ówczesny, niechętnie się do nich odnosił, a kontrola wobec braku odpowiedniej liczby organów sanitarnych—była ze wszechmiar niedostateczną.

Wobec tak smutnych warunków roboty polne w wielu miejscach ustały prawie. Rąk wiele ubyło, a te które pozostały zdrowe, niechętnie się brały do pracy. Na wiosnę zjawiła się w kraju szalona drożyzna. Zboże rosło w cenie z dnia na dzień. W zimie w styczniu, polski funt chleba lichej wagi kosztował 28 krajcarów, na wiosnę było stosunkowo jeszcze gorzej. Postanowiono przestrzegać ściśle zakazów wywożenia zboża za granicę, ale mimo liczne z Rosyi przychodzące transporty pszenicy, mimo że do koniecznego przewozu 207,183 korców zboża i 266,732 korców owsa, jakie w ciągu roku miano dla wojska przewieźć z Galicyi na Morawy i Śląsk, uchwalono użyć furmanek żydowskich, aby w ten sposób ulżyć wieśniakom w dostawianiu podwód, mimo to, ciężkie warunki bytowania—przez długi jeszcze czas nie uległy żadnej wybitniejszej zmianie ku lepszemu. [1])

Zło było jednak podwójne. Gdy bowiem stan ekonomiczny ówczesnego położenia kraju można określić tylko nieszczęsnem mianem ogólnego niedostatku, to nie stanowił on rzeczy wyjątkowej, ale był odpowiednio stonowanem tłem obrazu powszechnej szarzyzny, który zlewał się w zgrzytliwy akord z ówczesnym poziomem umysłów, oraz z rozstrzeleniem się ich zupełnem w chaosie coraz to bardziej uroczych i fantastyczniejszych miraży i kombinacyi politycznych.

Die Nation ist dreifach geteilt, und ein viertel Teil ist zu den Franzosen gewandert; es ist daher keine Einheit, sondern ein vierfaches Sentiment, velchem die Basis—Energie fehlet... pisał trafnie 27 stycznia Streicher, lwowski dyrektor policyi do barona J. T. Sumerawa, rzeczywistego tajnego radcy, szambelana a zarazem prezydenta policyi w Wiedniu. Społeczeństwo polskie deptane od szeregu lat w swoich najświętszych uczuciach, darte krecią robotą najętych przez Prusy, Rosyę i Francyę partyzantów, emisaryuszy i agitatorów w trzy przeciwne strony, spychane siłą rozporządzeń rządu miejscowego w czwartą, stało się wreszcie jakoby bawidełkiem podawanem sobie bezkarnie z rąk do rąk, zależnie od chwiejących się ustawicznie zamysłów jakiegoś z interesowanych mocarstw.

---

[1]) H. H. u. Staatsarchiv. St. R. Akten 1806.—№ 1534. Protokół z posiedzenia rady 1 maja 1806. Arch. M. d. In. — Polizeiarchivakten 1806. — № 1069.—Sumeraw do hr. Ugarte. Wien d. 31 Januar 1806... über die notwendigkeit des Getreideausfuhrverbotes in Galizien, bei dem nun erschöpften Zustande des Landes u. d. geringen Auscheines einer künftigen Ernte...

Wśród tak krzyżujących się prób, o jedności ducha, o łączności opinii publicznej, nie mogło być mowy. Rozbitoby ją zresztą natychmiast, jako niepotrzebną przeszkodę. Energia zaś, jakakolwiek znaleźć by się mogła, stępiła się na roli kaduceusza, którą miano odgrywać po kolei, w rękach przemożnych protektorów chełpiących się nawzajem swoim wpływem i wydzierających go sobie zazdrosnem okiem, jako zawsze pożyteczną zdobycz.

## IV.

W pewnej mierze, aczkolwiek bardzo ułamkowej, mikroskopijnej prawie, rzucają światło na ówczesne roboty tajnych wysłanników, przejażdżki galicyjskie majora rosyjskiego barona Brea lub Bredy, oraz dochodzenia gubernium lwowskiego i policyi dotyczące emisaryusza francuskiego Carco Denis.

Brea, były oficer austryacki pułku Lövensteina, z czasów objęcia Galicyi wschodniej przez Austryę, opuścił służbę państwową po wojnie bawarskiej i wstąpił w szeregi rosyjskie, przebywając następnie w Warszawie przy pośle rosyjskim Michelbergu. Dymisyonowany, zwrócił się do pruskiego ministra Schulenburga i ofiarował mu swe usługi w charakterze radcy rządu, ewentualnie jako tajnego pełnomocnika z siedzibą w Warszawie. W czasie rewolucyi 1794 r. uwięziony i niedaleki stryczka, uratował się przypadkiem i wstąpił znów do służby rosyjskiej. W czasie wojny austryackiej 1805 r. bawił na Śląsku i Morawach w niejasnej misyi, pilnując zarazem interesów pruskich, rosyjskich a czasem także austryackich. Po rozprawie austerlickiej, jaką przebył w korpusie u boku generała Michelsona, zjechał na dłuższy „pobyt“ do Galicyi by w niej naocznie sądować jakość podłoża. Operował głównie w radomskiem w Celejowie u właściciela Zakrzewskiego, w Ryczywole u Filipowicza albo w Łazienicach, skąd nader obfita korespondencya szła do gen. Michelsona w Brześciu litewskim i do ks. Czartoryskiego w Puławach, wreszcie do Warszawy. W kwietniu przeniósł się do Ożarowskiego w Bruzie, a podróżując ustawicznie między Bielskiem, Kętami i Osiekiem odbierał w Opawie, Cieszynie i Krakowie listy pod nazwiskiem barona von Ritterstein. Nie przyłapano żadnych kompromitujących go papierów. Za sprytnym był na to. Tyle przecież wiadomo, że misya jego redukowała się do gruntownego poznania właściwego usposobienia mieszkańców Ga-

licyi, w odniesieniu do dworu rosyjskiego, przyczem dla ułatwienia sobie sprawy posługiwał się najczęściej rolą zwolennika Francyi. W podobnym celu, lecz z ramienia Francyi, został do Lwowa wysłany Carco Denis.

Jak się okazuje z własnoręcznych zeznań pisemnych Carci, przywołał go w Hamburgu Bourienne jeszcze we wrześniu 1805 r. i oświadczył, że potrzeba mu trzech sprytnych ludzi do zasięgnięcia wiadomości. Jednego przeznaczał do Cieszyna, drugiego do Wilna i Mitawy, trzeciego do Lwowa.

Placówkę w Cieszynie otrzymał niezwykle zdolny emisaryusz Bouche. Do Mitawy i Wilna wysłano Irlandczyka Durnin'a. Do Lwowa przez Warszawę wyjechał Carco i stanął tam w listopadzie w charakterze kupca z Altony, mając z sobą obok innych, listy polecające Józefa Elsnera i Tietza, adresowane do znanego we Lwowie „mistrza“ języka francuskiego Maurycego Glaeze'a. Instrukcya udzielona Carce zamykała się w ramach szczegółowych wywiadów w sprawie rekrutacyi, przechodów wojskowych, rozwoju handlu, stopnia zamożności poddanych, nastroju ludności wogóle,zapasów zboża, przemysłu i rękodzieła, fabryk broni i jej zapasów, obiegu monetarnego, stosunków zdrowotnych i t. p., oraz ruchów armii rosyjskiej. Korespondencya dla ministra Bourienne'a, porozumiewającego się w tym względzie wprost z cesarzem Napoleonem, miała być wysyłaną pod adresem fikcyjnego Conradi'ego pod firmą domów handlowych: Chapeau rouge et Compagnie, Rucker et Westphalen, Schramm et Karstens, Peter Godefroy, oraz do Paryża pod adresem niejakiego Darbois, Rue Molière, dokąd swe raporty odsyłali w ogólności także inni emisaryusze.

Misyę swoją ukończył Carco dość szybko. Wysławszy kilka datami statystycznemi opatrzonych raportów (do pomocy miał wtajemniczonego oficera pocztowego) o smutnym stanie galicyjskich rekrutów, w jednej trzeciej części chorych i z musu tylko ulegających losowi, o dostawach koni, o przechodzącem wojsku rosyjskiem, skonstatowawszy przytem fakt, iż mimo pewne zarzuty—l'Empereur est très aimé ici—dał się w grudniu przyaresztować. Zaczęto dochodzenie. W czasie tego w tonie ścisłym, przekonywującym, poczynił miejscowym władzom cały szereg zeznań stwierdzających z powołaniem się na min. Bourienn'a i Talleyranda, że Napoleon niczego sobie bardziej nie życzy jak przyjaznych stosunków z Austryą, że usilnie do tego dąży, że wreszcie rzetelność Prus względem Austryi wiele pozostawia do życzenia, bo one, ów chytry, podstępny i zazdrosny sąsiad, kierując się wy-

łącznie polityką własnych korzyści, mimo pięknych pozorów, dążą tylko do zmniejszenia potęgi domu Habsburskiego.

Przetrzymany do czerwca w więzieniu, gdy zniknęła nadzieja dalszej jego użyteczności, a reklamacye min. Bourienne'a oraz ambasadora francuskiego w Wiedniu La Rochefoucaulda u Stadiona ponawiały coraz częściej prośbę jego uwolnienia, otrzymał Carco 4 czerwca paszport z nakazem natychmiastowego opuszczenia granic Austryi. Z patentem, jako niestosownie zachowujący się avanturier, udał się Carco niezwłocznie do Warszawy, by po skończonej misyi galicyjskiej, rozpocząć drugą na Mazowszu, w myśl poruszenia opinii w stronę Francyi, podniecając umysły planami przyszłego wskrzeszenia przytłumionych na razie idei. [1])

Podobnych osobników snuła się wówczas po Galicyi wcale liczna gromadka. Wszędzie rozrzucano najrozmaitsze tendencyjne pisemka, zjadliwe, satyryczne wierszyki, rzekome odpisy artykułów wyjętych niby z gazet zagranicznych, wreszcie odezwy. Jedna z nich, do najciekawszych należąca i w duchu rosyjskiej partyi napisana, wywołała w połowie stycznia 1806 r. w Krakowie ogromne zainteresowanie.

Drukowane jej egzemplarze, pochodzące (zdaje się) z Litwy, wysławiały dogodność zarządzeń rosyjskich, które zostawiły w polskich prowincyach dawne wewnętrzne urządzenia i określając wynikłe stąd korzyści, wzywały szlachtę do udania się pod opiekę berła rosyjskiego. Głoszono, że cesarz Aleksander chce przybrać tytuł króla polskiego, że szlachta ma zjechać do Grodna na konstytucyjną naradę, a wojewoda Potocki i Adam Walewski zostali już nawet upoważnieni do tajnego zwołania uczestników na ów zjazd. Z rąk do rąk podawano sobie numery „Journal de Paris“, które pod dniem 26 lutego zamieściły pogłoskę, że z pobudki Rosyi zostanie zwołany do Wilna narodowy kongres, uświetniony na zakończenie ogłoszeniem Aleksandra królem polskim.

Równocześnie w przeciwnym kierunku, godząc ostrzegawczym swym tonem wprost w zapowiedziane dobre chęci i obiecanki rosyjskie, porwać miał umysły inny twór publicystyki ówczes-

[1]) Arch. Min. d. In.—Polizeiakten 1806. № 1078, 1028. Urmenyi do Sumerawa, raporty z 7 lutego i 20 kwietnia 1806. Raporty starosty Hahna do prezydyum lwowskiego. Siedlce den 5 Mai 1806. dtto starosty radomskiego Sierakowskiego 18 maja 1806.—Streicher: gehorsamste geheime Anzeige an den Hofkriegsratspräsidenten Gfen von Latour. Lemberg den 20 November 1805. Nota La Rochefoucauld'a do Stadiona z 9 maja 1806.

nej, mianowicie z zacięciem choć ciężko, Staszicowskim stylem pisana—„Przestroga ostatnia dla współrodaków".

Autor jej, zaznaczywszy na wstępie kilku słowy piorunowość działania oręża francuskiego, który pod swoim genialnym, od mocy nadludzkiej wybranym wodzem, przybliża chwilę przeinaczenia topograficznej postaci Europy, w gorących słowach nawoływał, by nie podawać ucha podszeptom rosyjskim, „bo dla blasku i rozciąglejszego wpływu tronowi Rosyi nie warto z krwi naszej nowe czynić ofiary", a dla marnego tytułu zostawać zawsze podbitą i podległą prowincyą żelaznego i niemowlęcą krwią Praską zardzewiałego berła. „Rząd pruski"—brzmiały słowa odezwy—„na moralnych y filozoficznych prawach gruntujący się, a zewnątrz na rozsądny i silney polityce oparty, nie będzie chciał sprzeciwić się w właściwym czasie—existencyi Polski gdy siła stanowiąca i wszystkich polerowanych Narodów Interes, łącząca epokę powrotu opłakanej Ojczyzny naszej przeznaczy". Mamienia jednak rosyjskie—to zdrada i podstęp, jakie się zaraz ujawnią, skoro gabinet petersburski ogłosi przyłączenie tytułu króla polskiego do imperatorskiego berła cesarza wszech Rosyi. One bowiem są tylko krokiem polityki machiawelskiej, tkwiącej rdzeniem w idei Piotra Wielkiego, w owym szeroko zakrojonym planie zmniejszenia zaborów na wschodniej granicy od strony Azyi, a przerzucenia całej uwagi na kresy zachodnie; planu połączonego z pochłonięciem całego państwa polskiego w potężny obręb samodierżawija. Rodacy więc, z nad Dniestru i Niemna, Bugu i Sanu, Pilicy, Wisły i Warty, nie zważając na wszystkie odezwy i zdradliwe przyrzeczenia petersburskie, powinni zostać raczej spokojnie w domach swoich, wierni prawom pod jakiemi los—może dla poznania błędów ojcowych—żyć im do czasu przeznaczył. Zaufanie złożone w tym wypadku w ręce kilku partyzantów rosyjskich oraz kilkunastu magnatów, znanych całemu społeczeństwu aż nadto dobrze ze swoich aktów konfederacyjnych, sprowadziłoby tylko lekkomyślnie wywołaną zgubę. Bezimienna ta odezwa zredagowaną była—jak wszystkie inne—po polsku. Szerzona jeszcze przed Austerlitzem, znana w Warszawie, rozdawana była z okólnikami między szlachtą polską, głównie przez władze pruskie z urzędu, przez landratów. Przewieziona następnie do zachodniej Galicyi, rozpowszechniała się w styczniu w licznych odpisach. Uważano ją za twór podyktowany interesem pruskim.

Trzecią niemniej popularną była krótsza nieco od poprzedniej odezwa podpisana nazwiskiem hr. Stadnickiego, rzekomego

konsyliarza Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości, datowana 2 stycznia 1806 r. w Palusiewiczach (albo Paluszewicach). W najczulszych słowach, przemawiając jako Polak, który mimo zajmowanego już długo urzędu tajnego radcy cesarskiego, nie przestał czuć z narodem, zwracał się w niej autor do braci swojej, już nie pod topograficzną nazwą mieszkańców poszczególnych ziemi, ale szczytnem imieniem ojców, co jak zaznaczył—dziesięć lat trwające rozkazy stale zabraniały, nie jako do poddanych, służących i ulegających niewoli Polaków, ale do wiernych synów zatraconej Ojczyzny. „Zbliża się ze szczękiem nadzieja"—pisał—„że rozerwani połączonemi zostać możemy, a jakikolwiek i na czyjąkolwiek przeważający się wypadek oręża, nada nam połączonym, monarchę". Upoważniony jednak od rządu swojego, t. j. austryackiego, zaklina żeby spokojnie, w zgodzie z dotychczasowymi władzami odczekać ten wypadek. Powołując się dalej na miłość powstającej z grobu ojczyzny, na miłość krwi pradziadów, na smutny fakt że niema już stopy ziemi ojczystej, którąby krwią bratnią o różne obce interesa walczących rodaków nie była zbroczoną—wzywał, by nie dali się uwieść zwodniczym pismom fałszywych proroków, aby nie ponowił się krwawej pamięci dzień drugiego grudnia, a z nim ponowna konieczność walczenia jednych przeciw drugim.

Odezwa ta podobna w założeniu do poprzednio wspomnianej, była umyślnym, tendencyjnym fabrykatem. Przy bliższem rozpatrzeniu sprawy okazało się, że żaden członek rodziny Stadnickich nie był wówczas tajnym radcą w Austryi, a przebywający t. s. nazwiska hofrat przy najwyższym trybunale w Wiedniu nie miał nic z odezwą wspólnego. Najwyższe władze wiedziały o tem. Przekonywującym jest zresztą fakt, że gdy gubernium lwowskie przysłało w lutym raport o zarządzonych już dochodzeniach, prezydent policyi w Wiedniu, bar. Sumeraw, w porozumieniu z najwyższą rezolucyą, uznał powołanie wiedeńskiego hr. Stadnickiego za rzecz zupełnie zbyteczną, jako że z góry usuwano wszelką możliwość współudziału jego w tej sprawie. Paluszewic w Galicyi do końca się nie doszukano. W kraju jednak zjawienie się tej odezwy, ciekawej szczególnie ze względu na kilkakrotne w niej zaznaczenie, iż pisaną jest z upoważnienia rządu, wywołało przeciągłe, kilka miesięcy trwające dochodzenia starostów, które wreszcie musiano przerwać, nie wyświetliwszy tajemniczego autora ani źródła, z jakiego wzięła swój początek. Do końca nie ustalono czy była drukowaną, czy też krążyła tylko w odpisach, czy ją do Galicyi, przywieziono z Warszawy czy odwrotnie. Pogłoski

bowiem o widzianych i drukowanych jej egzemplarzach, o tem, że wzięły one początek w pewnej klasztornej drukarni, nie zdołano stwierdzić do ostatka. Niezbitym okazał się tylko fakt, iż oprócz szlachty, ogromnie żywo interesowało się nią klasztorne duchowieństwo. Z zeznań kapucyna O. Zenobiusza dowiedziano się, że czytano i odpisywano ją w klasztorze Lubartowskim, także na jarmarku w Łuce, a potem przewieziono kopie do Parczewa. Znano ją w Chełmskiem, gdzie rektor byłego gr.-kat. duchownego seminaryum, ks. Hilaryon Śniatyński, otrzymał odpisy od superyora chełmskiego klasztoru O.O. Bazylianów - Ciechanowskiego. Po zatem mieli ją w rękach również świeccy gr.-kat. księża w Chełmie, proboszczowie w Dorohusku, w Sandomierzu i t. p. [1])

Powyższe odezwy obok drobniejszych, przeciw Napoleonowi, lub państwom koalicyjnym „natchnionych“ piśmideł, stanowiły główne punkty rozbieżnych kierunków, w jakie starano się pchnąć rozbite wiarą i nadziejami umysły.

## V.

Na tle tych sztucznie plantowanych nastrojów, najlepiej się jednak rozwijał i najbardziej do serca przypadał kierunek zwolenników łączenia sprawy niepodległościowej ze zwycięstwami i dobrą wolą cesarza Francuzów. Jeszcze przed Austerlitzem, skoro tylko zwycięskie orły sztandarów napoleońskich, poczęły zbliżać się ku ziemiom morawskim, buchnęła po kraju, wartkim prądem radosnego zapału niesiona wiadomość, że generał Zajączek formuje legię polską, a Napoleon dotrzyma słowa danego ongiś Dąbrowskiemu, i z jego pomocą, gdy poruszy się warstwy, zrewolucyonizuje kraj, opadną słupy graniczne kordonów, Polska odzyska swój byt. Błyskawicą prawie, zjednało sobie obywatelstwo—przypuszczenie, że istotnie tak się stać musi. Fakt zresztą całkiem konkretny służył owym dośpiewanym wiadomościom, za silną podstawę. Było nim powołanie generała Zajączka, który jeszcze we wrześniu otrzymał we Włoszech rozkaz przybycia wraz z kilku zaufanymi oficerami polskimi w październiku do Strassburga. W znacznej mierze było nim również zawezwanie: puł-

[1]) Arch. min. d. Innern.—Pol.-Akten 1806. № 1061. Arch. nam. we Lwowie. Akta prezydyalne 1806. №№ 5919, 8654, 9025; Ossolineum rps. № 827.

kownika Aksamitowskiego, kapitanów: Paszkowskiego, Milkiewicza, Jarzyńskiego, Zadory, Żymirskiego, Falkowskiego, Bolesty, Zenowicza, Darewskiego, oraz kilkudziesięciu zdolnych oficerów z niższych stopni służbowych, których z rozbitych kadr legionowych przyłączono do poszczególnych oddziałów armii i sztabu głównego. Ewentualności, że Napoleon powołując na wstępie do zamierzonej kampanii, cały szereg oficerów polskich i przeznaczając ich na odpowiedzialne stanowiska adjutantów, miał na myśli cele wyłącznie praktyczne, bo ci ludzie w służbie wywiadowczej byli niezrównani, a dla doskonałej znajomości języków w sztabie każdego korpusu potrzebni—tego większość absolutnie nie brała w rachubę. Mało również zważano na okoliczność, że Napoleon nie mając żadnych konkretnych co do Polski zamierzeń, unikał wszelkiej o tym kraju oficyalnej wzmianki, a nazwy jego używał w znaczeniu ściśle tylko etnograficznym i to nader rzadko. Obudzona myśl możliwego wydostania się z ciasnej obroży dokuczliwych stosunków rozpaliła tak silnie dawne zgłuszone pragnienia, że gdyby tym ludziom uchylono nawet rąbek przyszłości i naocznie ukazano uwielbianego przez nich tytana, który w grudniu w czasie trwania kampanii i później przyjmie łaskawie projekt Dembowskiego o zainicyowaniu partyzantki od strony ziem polskich, pozwoli na wpływy Paszkowskiego u Murata i innych, niejednokrotnie i sam zasięgnie objaśnień u Falkowskiego, w końcu jednak na wzmiankę o Kościuszce i możliwem przez niego wywołaniu powstania—kategoryczną odpowiedzią zniweczy wszelkie dotąd żywione nadzieje, ci ludzie—nie uwierzyliby temu z pewnością, a raczej każdego przekonywującego posądzili o zdradę lub pilnowanie interesu jednego z państw koalicyjnych. [1])

Każde słowo o nowym tryumfie oręża francuskiego przyjmowano z entuzyazmem. Modlono się o zwycięstwa z silną wiarą, że każde z nich przybliża chwilę roztrzygnięcia polskiej sprawy. Budziła się fantazya dawna, zamaszysta nawet w uległych, zalęknionych jak gdyby obywatelach.

Z satysfakcyą rzucano w uszy puszącym się a znienawidzonym urzędnikom-cudzoziemcom wyrazy hołdu dla przyszłego swojego wybawcy. Oburzonych z tego powodu pocieszano nie bez ironii, swawolnym wierszykiem: Die Armee ohne Zöpfe, generäle ohne Köpfe—Zwei Kaiser und drei König, Sind für Buonaparte zu wenig. [2])

[1]) Skałkowski: O kokardę Legionów. Lwów, 1912,—str. 156, 257-9 sq.

[2]) Rohrer an Sumeraw: Geheimer Rapport. Lemberg den 13 December 1805.

Poza takimi jednak młodzieńczymi wybuchami, o poważnem manifestowaniu swoich uczuć nie można było jeszcze mówić. To też entuzyaści francuscy, ograniczeni na razie jak twierdzono, do biernego tylko oczekiwania upragnionej chwili rozpoczęcia czynnej akcyi powstańczej, wysłuchiwali gorączkowo odgłosów tajnych robót, jakie w tym samym czasie i w tym samym rozpoczęte celu, daleko po za granicami kraju, przygotowywały materyał i plany na przyszłe wypadki, we wszystkich trzech zaborach.

Główne ognisko owej trójkordonowej kuźnicy znajdowało się na saskiej ziemi, w Dreźnie. Z licznego grona wybitnej Polonii, jaką w końcu 1805 r. składali bawiący tam: ks. Sanguszko, Małachowski, Potocki, ks. Czartoryska, młody Wł. Tarnowski z ks. Koźmianem, Komorowski, Bartochowski, Swiniarski, Uruski, Sołtyk, młody Badeni, Żaboklicki, Niemojewski i in., wywiązał się młody, nieliczny, ale niezwykłą gorącością ducha ożywiony tajny komitet. W grudniu, gdy roboty przygotowawcze w szybszym poczęły odbywać się tempie, a siła pogłosek rosła, napływali do Drezna Polacy jeszcze liczniej, szczególnie z zaboru pruskiego i Warszawy.

Kolejno odbywane zjazdy naradcze urządzano także w Budziszynie, Lipsku i Wrocławiu, skąd podobno szła żywa następnie korespondencya z komitetem paryskim bądź przez Uruskiego, bądź pod adresem niejakiego Trybulskiego. Na miejscu z francuskim Durandem konferował stary Zabiełło.

Urywkowe wiadomości o tych polskich rewolucyjnych dążeniach, jakie tu i owdzie nasyłali interesowanym rządom zaufani pełnomocnicy, zaczynały treścią swoją coraz bardziej zaostrzać powszechną uwagę. Do podniesienia zaś jej stopnia, przyczynił się nie mało fakt zaszły w Paryżu, a rozmaicie oceniany w Wiedniu.

Była nim pisana relacya, jaką hr. Filipowi Cobenzl'owi, tamtejszemu ambasadorowi austryackiemu, złożył agent handlowy nazwiskiem Wüsten, pozostający w stosunkach z urzędnikami departamentu ministeryum spraw zagranicznych. Za znaczną umową pieniężną doniósł on mianowicie: że rząd francuski zajęty jest między innymi projektem zrewolucyonizowania polskich ziem w zaborze rosyjskim i w razie udania się sprawy ma zamiar przenieść ów ruch do Galicyi w obie jej części i w dzielnicę pruską. W tym celu polecono najstarszemu synowi hr. Choiseul-Gouffier zamieszkałemu z żoną Potocką z domu w Wilnie, dokładne zbadanie usposobień tamtejszych malkontentów, którym następnie miał zaofiarować pomoc Francyi: Pod Wilnem we dworze u młodego Oktawiusza Choiseula odbywały się potrzebne ku temu na-

rady. Wynik ich musiał być pomyślnym, gdyż po zdaniu sprawy z odbytych czynności, Talleyrand przywołał Choiseula do Paryża dla ułożenia z nim planu dalszego działania, ażeby przygotować odpowiednie fundusze, konieczne do wykonania powziętych zamierzeń, jak również by ustnie mu wskazać adresy banków obowiązanych do pewnych świadczeń w tej kwestyi Choiseul miał wkrótce powrócić do Wilna a z nim generał Harry recte Henry (w rzeczywistości Jan Henryk Wołodkowicz, późniejszy dowódca drugiej legii północnej), który w towarzystwie adjutanta swego La Roche'a, wysłany z pozorną misyą zwiedzenia stron holenderskich, otrzymał rozkaz udania się do Polski, dla przyjęcia pewnego stanowiska w zamierzonem powstaniu. Komisarza policyi wileńskiej uprzedzono, by popierał niezadowolonych.

W samej rzeczy Choiseul i gen. Wołodkowicz wyjechali z Paryża, ale wkrótce powrócili, co Wüsten tłómaczył postanowieniami jakie w tym czasie powziął dwór rosyjski, chcąc unicestwić ów projekt. Skuteczność zaś owych środków zaradczych miała polegać na szybkiej informacyi jaką otrzymano tą samą drogą co ambasada austryacka. [1]) Cobenzl zawiadomił o tem natychmiast wice kanclerza, a gdy w relacyach galicyjskich zaczęły się coraz częściej zjawiać wzmianki o rosnącej wśród szlachty pewności — nadeszłego już czasu odbudowania dawnej Rzplitej, uznano w Wiedniu, mimo całą nieufność w traktowaniu podobnych wiadomości, że należy wreszcie przyjrzeć się zblizka owym zagranicznym polsko-francuskim knowaniom.

Do Drezna wysłany został Eichler, starszy komisarz policyi z Pragi, wypróbowany praktyk, otrzymujący już od lat ośmiu podobne misye wywiadowcze, do Wilna zaś i Grodna t. j. na Litwę, jeszcze bardziej zaufany, zdolny, energiczny Baum. I oto pokrzyżowały się role. Gdy bowiem relacya końcowa, jaką wysłał Baum do Sumerawa w pierwszej połowie grudnia z Siedlec, po powrocie z armii Benigsena, orzekała, że o Galicyę można być zupełnie spokojnym, to raporty Eichlera stwierdzały coś wprost przeciwnego. Na treść ich bowiem składały się nietylko jego własne spostrzeżenia, ale również wiadomości wydostawane w porozumieniu z hr. Götzenem, pruskim majorem, który pod pokrywką spraw dotyczących przemarszu wojsk pruskich, właściwie jednak, poleconą miał tajną misyę śledzenia dróg konspiracyjnych

[1]) H. H. u. St. Archiv. Frankreich r. 1806. Stadion an Metternich, 7 Juli 1806.

zamierzeń polskich w Dreznie. Często łączyły się z niemi także pewne zdobycze mającego to samo zlecenie bar. Littwitza, byłego rotmistrza, który jako człowiek nadzwyczaj obrotny, towarzyski, mówiący dobrze po polsku, francusku i włosku, mógł w swych ustawicznych przejażdżkach po ziemiach polskich nie jeden szczegół ukryty wydobyć.

Tą drogą przyszła wiadomość, że gen. Dąbrowski, dowódca legionów, a dawny oficer gwardyi saskiej, zjawił się wśród swoich rodaków incognito i ku wielkiej radości zbiera ich na tajne narady. Wieść tę podaną przez saskiego oficera gwardyi, który widział generała w Königsbrück'u w gospodzie obok Niemojewskiego, Uruskiego, Żaboklickiego i przypomniał mu się, uzupełniały częste notatki o zwiększającej się dezercyi rekrutów polskich z pod pruskich sztandarów. W Budziszynie zbiegło tak jednej nocy z jednej kompanii 36 ludzi. Uciekano z dziećmi i dobytkiem. Przesłuchiwani zaś w śledztwie zeznawali, iż uczynili to z powodu danych im zapewnień, że wskrzeszenie Polski nie ulega najmniejszej wątpliwości. Gen. Wołodkowicz jako Henry objeżdżał północne Niemcy, wypatrując pruskie uzbrojenia, a służbę wywiadowczą w zakresie mniej odpowiedzialnym prowadziła Xantrailles w przebraniu huzara, najczęściej pod nazwiskiem Rosenberga albo Rosenthala.

Wszystkie te wiadomości, tak w Austryi jak i w Niemczech, były jednak brane całkiem zimno i bez większego przechodziły wrażenia. Powód leżał głównie w tem, że z jednej strony Hardenberg i dwór pruski uważali ją wyłącznie za nowy eksperyment polityczny Napoleona, wszczęty i podniecany przez niego li tylko dlatego, aby służył jako środek do odciągnięcia Prus od koalicyi, że więc Polacy są tylko potrzebnym mu antikoalicyjnym straszakiem, który dzierży w dłoni, nie myśląc jednakże wcale o zrealizowaniu swoich gróźb, zwłaszcza wobec tak znacznej ilości Rosyan stojących w Polsce; – Austrya zaś, dopóki rzekome niebezpieczeństwo nie dotykało granic Galicyi, nie uznawała potrzeby gorętszego interesowania się zaszłymi faktami.

Tymczasem w drugiej połowie grudnia wzruszył ów spokój Eichler nowym raportem, stwierdzającym, że roboty polskie są już zorganizowane, że oprócz głównego siedliska w Dreznie, potworzono w każdej z trzech zabranych dzielnic osobny komitet, na którego czele w zaborze austryackim miał stanąć wspomniany już wyżej 28 letni Kajetan Uruski, właściciel Biłki szlacheckiej w powiecie lwowskim i Podkamienia w złoczowskim, w dzielnicy pruskiej: Jan Kolumna Żaboklicki, przyjaciel Uruskiego, ry-

cerz maltański, pochodzący z Wołowskiego Brodu koło Zamościa. Dla prowincyi przynależnych do Rosyi wyznaczono Baltazara Komorowskiego. Wszyscy trzej mają patenty (papiery) od Napoleona i wyjechali już na wskazane im posterunki, przyczem Niemojewski, uczestnik owych wspólnych narad z gen. Dąbrowskim w Königsbrücku, otrzymał od cesarza Francuzów zapieczętowany pakiet z poleceniem, ażeby go dopiero w oznaczonym dniu, czasie i miejscu otworzył. Dzień 27 stycznia 1806 r. miał być przeznaczony na chwilę ogólnego wybuchu powstania.

Co więcej, konkretne te wiadomości skrzyżowały się z nie mniej ciekawemi doniesieniami z Galicyi, świadczącemi, że o czynnościach inicyatorów drezdeńskich posiadano szczegółowe dane i pozostawano z nimi w pewnym związku.

Z renegackich zeznań sprzedawczyka dowiedziano się, iż w komitecie warszawskim obok Niemojewskiego i Kalinowskiego jako wybitniejsi biorą udział: kasztelan Brzostowski, obaj bracia Matusiewiczowie, Rimiński i Mierosławski; drugiem miejscem, gdzie się głównie zbierają malkontenci zaboru rosyjskiego, choć odmiennego nieco kierunku, jest Berdyczów, a najważniejszemi osobami: generał Kniaziewicz i Gadomski, były tajny sekretarz Stanisława Augusta. We Lwowie zaś do grona osób, które sercem i czynem przykładają się do projektów insurekcyjnych należą przedewszystkim lekarze: Berezowski i Markowski, adwokaci: Małkowski, Węgliński, Józef Dzierzkowski i Winc. Głogowski z pod Przemyśla. Informator zaznaczył również, że zebrania odbywają się często, bądź u hr. Wielopolskiego, u mecenasa Małkowskiego, lub w domu hr. Miączyńskiego, gdzie przychodził hr. Czosnowski, podkomorzy graniczny Solski inni.

W kołach wiedeńskich zaczęto odtąd baczniejszą zwracać uwagę na wszystkie dotychczasowe spostrzeżenia „niebezpiecznych“ oznak polskich rojeń.

W istocie owa mała garstka wymienionych nazwisk nie stanowiła bynajmniej odosobnionej bolączki na całkiem zresztą mdłem tle masy ludności w Galicyi. Masa ta, choć rozbiła opinię na cztery rozbieżne kierunki, choć daleka jeszcze od tego stopnia wrażliwości, jaki okazała w kilka miesięcy potem, w czasie kampanii jenajskiej, nie pozostawała jednak wcale głuchą na przywożone najczęściej ustnie, wiadomości drezdeńsko-warszawskie. O odbudowaniu Polski, jako o fakcie niedalekiej bardzo przyszłości—zaczęto mówić nadzwyczaj szybko. Różniono się tylko w kombinacyach, przez kogo i w jaki sposób urzeczywistni się owo radosne zdarzenie.

Stosownie do kierunku, w jednych kołach utrzymywało się mniemanie, zgodne zresztą z duchem szerzonych rosyjsko-polskich odezw, że rolę wskrzesicielki odegra Rosya. W gabinecie petersburskim dyskutowany zamiar podniesienia sprawy polskiej, przeobrażono na rzecz zupełnie pewną. Twierdzono, iż nowo-odbudowane państwo ma być złączone z Rosyą pod rządami wspólnemi Aleksandra ukoronowanego na króla polskiego, co wśród swoich przeprowadzić miała specyalna konfederacya zawiązana pod wodzą Walewskiego i Karwickiego.

Według drugich, oraz słynnej „Przestrogi dla rodaków“, ten sam plan ze swej strony żywiły Prusy, które odparowując zamiary rosyjskie miały w razie potrzeby zainicyować kontrkonfederacyę. Dosyć długo krążyła nawet fantastyczna pogłoska, że za odstąpienie księstw Ansbach i Bayreuth, otrzymają Prusy okręg krakowski i sandomierski, pogłoska marna choć ciekawa, a biorąca swe źródło z rozmowy majora rosyjskiego Chytrowa, prowadzącego jedną kolumnę korpusu Benigsena.

Chytrow mianowicie opowiadał Prusakom w Warszawie, że Napoleon przed przekroczeniem Renu posłał Fryderykowi Wilhelmowi III brylantami wysadzany garnitur do pisania, co początkowo w ministeryum pruskiem brano za zwykły podarunek, przy bliższem jednakowoż obejrzeniu, znaleziono w nim ukrytą, a pięknie sztychowaną kartę ziem pruskich z dodaniem województwa krakowskiego i sandomierskiego. I ta nawet z ust do ust podawana sobie ciekawostka była przedmiotem domysłów branych całkiem poważnie.

W trzecim wreszcie obozie spodziewano się ustawicznie wojsk napoleońskich w Galicyi, przyczem za jedną z wielu podstaw do podobnych rojeń, służyły numery Beureuther Zeitung, które nie zniszczone na granicy przez cenzurę, dostały się w znacznej liczbie na pocztę w Warszawie. Zawierały one zupełnie konkretną wiadomość, że Napoleon, będąc w Spirze, przywołał z legionów polskich oficerów, że Polska będzie na nowo odbudowana i przypadnie w udziale Muratowi. Wspominano tajemniczo o jakiejś odezwie, wydanej drukiem po polsku, zaopatrzonej podpisami Dąbrowskiego i Kościuszki. Miała ona głosić, iż nadszedł już wreszcie czas wskrzeszenia Ojczyzny i oswobodzenia się z długotrwałego ucisku państw obcych. Cesarz użycza do tego swego poparcia. Uczciwi Polacy, powinni więc zaopatrzyć się w broń, mundury i z wiernem oddaniem wyczekiwać chwili zapowiedzianego ratunku. Dodawano przytem, iż dla przekonania Polaków o istotnej powadze zamierzonej francus-

kiej pomocy—przysłano patryotom 100.000 dukatów jako fundusz na podniesienie ruchu niepodległościowego w obu Galicyach.

Po kraju widać było, iż duch wyczekiwania ogarnął umysły. Podatki napływały coraz opieszalej, od wszelkich świadczeń odciągano się o ile było można, a gdy śmiałkom nasyłano z groźbą dragonów, obywatelstwo przyjmowało egzekutorów niemiłą wróżbą, że maluczko a skończy się ich panowanie, bo Francuzi przywłaszczycieli wyrzucą. [1])

Minął jednak szczęśliwie grudzień. Głębokiej ciszy nie przerwał żaden wystrzał powstańczy. Niepotrzebnym okazał się w pieczołowitości wiernopoddańczej wydany list pasterski gr. kat. biskupa przemyskiego Antoniego Angełłowicza, który z końcem października t. j. w chwili gdy nawet z Włoch starano się odezwami natchnąć dzielnicę austryacką duchem rewolucyi, „auf einen Wink der Polizei“ postanowił wspólnie z generalnym wikaryuszem ks. Harasiewiczem, dać wyraz austryackim swoim uczuciom. List ów bowiem, tak wielce charakterystyczny, skierowany do ludu dyecezyi: przemyskiej, samborskiej, sanockiej, lwowskiej, halickiej, kamienieckiej, chełmskiej, brzeskiej i bełzkiej, a mający na celu pouczyć lud o właściwem znaczeniu ówczesnej wojny, wzmocnić jego przywiązanie do monarchy i wogóle rozpowszechnić „patryotyczne“ usposobienie z uczuciem cichej ufności, okazał się tylko zbytecznem gasidłem pożaru, którego nie było. Prócz specyalnego odznaczenia cesarskiego dla autora —nie przyniósł nic.

Nadszedł wreszcie dzień 25 grudnia. Ogłoszono zawarcie pokoju presburskiego, a z chwilą tą zjawiło się równocześnie powszechne mniemanie, że w poszczególnych artykułach omawiano także sprawę polską i przyszłe losy Galicyi. W kraju uporczywie krążyła dziwna wiadomość, że wschodnią jego część (jeżeli nie całość) złączono z królestwem węgierskim. Według doniesień kwestyę tę miały za przedmiot postulaty węgierskie w czasie ostatniego sejmu, poczem została ona podniesioną na konferencyi ministeryalnej z Talleyrandem. Do źródła, z jakiego ta pogłoska dostała się do kraju, nie można było dotrzeć. Przy-

[1]) Arch. Min. d. In. Polizeiakten 1806.—№ 1061. A. Angełłowicz był jedynym w Austryi biskupem, który wydał w tych czasach podobny list idąc na rękę rządowi. Datowany był we Lwowie 25 października 1805 r. w tłóm. niemieckiem. Tytuł listu brzmiał: Hirtenbrief an die Geistlichkeit und das Volk die Diezösen von Przemyśl, Sambor, Sanok, Lemberg etc. etc.

puszczano tylko, że przywieźli ją Polacy przejeżdżający przez Presburg do Galicyi. Z nią jednak zmieszała się wkrótce druga o rzekomem odstąpieniu części pruskiego Ślązka lub Wielkopolski za Hanower, oraz Galicyi z wyjątkiem wschodniej czerwonoruskiej części po San za wynagrodzenie Austryi: Serbią, Bośnią i częścią Dalmacyi, zabranych Turkom.

Co jednak ciekawsze, to okoliczność, że nawet w Petersburgu łączono ściśle sprawę Galicyi z układami presburskimi i to przez dłuższy niemal czas. Zaraz w styczniu wezwał ks. Ad. Czartoryski pełnomocnika austryackiego Aguilar'a do siebie i zażądał wyjaśnień z powodu rozrzuconych wieści, dotyczących rzekomo odporno-wojennego przymierza Austryi z Francyą, cesyi Galicyi, osobno prowadzonych stypulacyi w tym względzie oraz zajęcia do Turcyi przynależnych Serbii i Bośni. A chociaż Aguilar dawał najsolenniejsze zapewnienia, nie uspokojono domysłów, zwłaszcza gdy hamburski korespondent pod datą 14 stycznia, ogłosił sensacyjny artykuł o zamiarze zajęcia przez wojska austryackie i francuskie Bośni, Serbii, a następnie także Mołdawii i Wołoszczyzny w celu odszkodowania monarchii za poniesione straty. W drugiej połowie stycznia przybył do Petersburga późniejszy tam ambasador austryacki hr. Merveldt i znowu w tej kwestyi udzielał wyjaśnień, tłómacząc zaniepokojonemu księciu Adamowi, że brak 15 artykułu w przysłanej gabinetowi petersburskiemu kopii traktatu presburskiego, jest tylko wynikiem nieuwagi kopisty a nie umyślnem zatajeniem. O ile jednak podobne tłómaczenia trafiały do przekonania, świadczy najlepiej fakt, iż ks. Czartoryski po zażądaniu kopii opuszczonego artykułu, wypytywał dalej, czy nie było jakich osobnych tajnych zastrzeżeń w odniesieniu do Galicyi, Śląska i Turcyi, oraz czy w Wiedniu nie mogły zajść jakowe zmiany w tej materyi już po odjeździe hr. Merveldta?[1])

## VI.

Powoli, wśród niepokoju oczekiwań upływał bogaty w obawy, nowinki polityczne i wzruszenia, styczeń. Dwudziesty siódmy

[1]) H. H. u. St. Archiv. Russland 1806. Aguilar do Stadiona. St. Petersburg 5/17 Janvier 1806. Staats und gelehrte Zeitung des Hamburger unpartheyischen Correspondenten d-to 14. I. 806. Merveldt do Stadiona. St. Petersburg 25 Janvier (6 Fevrier) 1806. Jest to relacya z pierwszej audyencyi, jaką miał u ks. Czartoryskiego 29 stycznia t. r.

tego miesiąca przeszedł w Galicyi tak samo cicho i bezbarwnie, jak dni poprzednie. Gorączkowo, potajemnie zwoływane zjazdy w Dreznie, Wrocławiu, Lipsku, Budziszynie, ustały. Część działaczy jak: Uruski, Żaboklicki, Badeni, Tarnowski i t. p., przydając kłopotu miejscowym władzom, wyjechała do Galicyi. Część powróciła do domu w dzielnice pruskie i rosyjskie. Trzecia część wreszcie, najmniej zrażonych, skierowała się ku zachodowi, by nad Sekwaną, u wielkiego ołtarza, pilnować sprawy i tam nowego dla niej czekać świtu.

Gubernator obu Galicyi, ekscelencya Józef Urmenyi, mógł zupełnie zgodnie z prawdą donieść najwyższej swojej władzy, że ludność w ogólności, gdy się choć trochę zaspokoi jej życzenia i skargi w dziedzinie ekonomii kraju, ułagodzi wybitniejszych członków odznaczeniami, ulepszy dokuczliwą administracyę, a świadczenia i daniny uprzystępni, ta ludność wyczerpana, nie zechce zamiany dotychczasowej przynależności na rząd rosyjski lub pruski. Słabiuchne te zastrzeżenia Urmenyi'ego wypadłoby jeszcze ograniczyć.

Dalsze miesiące roku 1806, wykazały dowodnie, że nawet bez wprowadzenia najpotrzebniejszych reform, bez wszelkich znaczniejszych ulg, a owszem przy ustawicznem powiększaniu ilości ciężarów publicznych, można było zupełnie spokojnie, bez wszelkich przewidywanych kłopotów ze strony polskiej, zająć się gorliwie uregulowaniem arcytrudnego stanowiska Austryi, tak wobec groźnej dla swych zamierzeń wojowniczych Francyi, jak niepewnej sojuszniczki Rosyi, podstępnie aliantów swoich zdradzających Prus oraz osieroconej po zmarłym Picie Anglii.

Z wiosną, gdy ustąpiło już najsilniejsze, po-presburskie naprężenie międzypaństwowych stosunków, a z nim i majak polski zaginął bez echa, mógł Stadion swobodnie wytężać całą przemyślność wytrawnego polityka, aby nie zrażając sobie Rosyi, nawet w tak ciężkich chwilach, w jakie wpędziła Austryę wikłająca się bez końca sprawa oddania Bocca di Cattaro, okazywać równocześnie Napoleonowi, jak wiele mu zależy na przyjaźni i pojednawczej wzajemności obu państw.

On, wróg zaciekły wszelkiego ściślejszego z Francyą aliansu, identyfikujący to raczej z zatraceniem ostatecznem samodzielności Austryi, z niewolniczem oddaniem się woli zwycięskiego Korsykańczyka, gdy musiał się wyrzec upragnionego zbrojnego porachunku, zepchnął państwo do roli najbierniejszej i oddał się w całości śledzeniu każdego najdrobniejszego ruchu dyplomatycznych zamierzeń w Petersburgu, Paryżu i Londynie. Przewidując

zaś ewentualność możliwego zbliżenia się tych potęg, czemu wobec zupełnej niemocy państwa trudno było skutecznie na zewnątrz przeciwdziałać, tem goręcej uwydatniał na wewnątrz gwałtowną konieczność zwiększonych poborów państwowych, tem natarczywiej się ich domagał i atakował o nie odpowiednie władze. Skutek był ten, że pociągnięte do odpowiedzialności czynniki, chcąc nakreślonym przez Stadiona torom zagranicznej polityki Austryi, nadać konkretniejszy wyraz i wesprzeć ją wobec drugich o nowozreorganizowaną zbrojną siłę—na to największy położyły nacisk. Krzątanie się około tej niezmiernie ważnej kwestyi państwowej, wyparło powoli dawniejszą pieczołowitość w interesowaniu się Polakami swojego działu. Co do tych zresztą, zupełnie w tym czasie nie żywiono obaw.

Oprócz pewnych rozporządzeń w sprawie pozostałych dezerterów francuskich i rosyjskich, oprócz zakazów utrudniających częste odwiedziny urlopowanym w służbie francuskiej będącym dawniejszym mieszkańcom Galicyi, którzy dla łatwo zrozumiałych przyczyn, ścisłej poddani byli obserwacyi, ograniczono się do jednego tylko polecenia, mianowicie, by burzliwych dotąd poddanych, silniej do siebie przywiązać. Gubernium lwowskie otrzymało nakaz sporządzenia dokładnego spisu znakomitych osobistości kraju. [1])

Wykaz ten opatrzony szczegółową charakterystyką zasług czy stron ujemnych każdego wymienionego obywatela lub mieszczanina, przeznaczony do użytku kancelaryi nadwornej, był rodzajem przedstawienia do łaski monarszej. Zazdrosnem okiem patrzący na dostojeństwa i przywileje jakich nie broniły ziomkom rząd pruski i rosyjski, mieli być obecnie, przy sposobności najwyższego uznania oddanych świadczeń wojennych, hojnie obdarzeni przez licznie rozdane godności: podkomorzych, tajnych radców i dziedzicznych urzędów krajowych. Im kto był znaczniejszy, bogatszy i większe miał znaczenie, tem wybitniejsze czekały go oznaki łaski. Obeszło się jednak w zupełności i bez tego balsamem ambicye ludzkie kojącego środka. Zapowiedziane

---

[1]) Arch. nam. we Lwowie. Akta prezydyalne 1806. № 3782., Ausweis jener galizischen Güterbesitzer und Insassen, welche sich durch Anhänglichkeit an die Staatsbeförderung der Landeskultur und Unterstützung der durchmaschirten russ. kais. Armee in einem vorteilhaften Lichte gezeigt haben. Arch. Min. d. Innern. Polizeiakten 1806. № 1061. Sumeraw do cesarza Alleruntertänigste Note vom 19 August 1806.

ordery i komandorye zjawiły się dopiero z początkiem 1808 r. W niczem to przecież nie zmieniło postaci rzeczy.

Spokojni, cisi, stępiali poprostu w swej doli, po niezbyt dawnych jeszcze a szalonych rojeniach z czasów Deniski, ograniczający swój trud do uporządkowania zaniedbanych własnych interesów, jakie ostatnie wypadki mocno nadszarpały, w głuchem milczeniu oczekiwali ci potulni zaiste mieszkańcy — co przyszła jesień ze sobą przyniesie. Zapatrzeni bardziej w codzienną troskę wydostania grosza na pokrycie świeżo patentami ogłoszonych nowych fiskalnych dodatków i celnych ograniczeń, niepewni jeszcze wyników letniego zbioru zasiewów w nader ciężkich warunkach na wiosnę dokonywanych, obojętnie dosyć patrzyli na zachód Europy i pierwsze zwiastuny nowo przygotowywanej burzy wojennej.

Bez echa przebrzmiała wiadomość o artykule, jaki w celach politycznych umyślnie szerzony, krążył w Bardyowie pomiędzy wybitniejszemi osobistościami, jako rzekomy wyciąg tajnego planu, przewiezionego przez radcę ros. Oubrila z ramienia Francyi do Petersburga. Mimo iż Bardyów wcale licznie był przez Polaków odwiedzany, mimo iż falsyfikat ów, noszący tytuł: „Paix générale entre la France, la Russie, l'Autriche et l'Angleterre", dotyczący punktów świeżo w lipcu dokonywanego układu oubrilowskiego w Paryżu, zawierał między innemi osobną wzmiankę o złączeniu zabranych przez Austryę, Rosyę i Prusy prowincyi polskich i oddaniu ich następnie pod rządy arcks. Karola—całą tę sprawę przyjęto zimno, bez żadnego zainteresowania.

Niezabliźnione jeszcze rany nowych doświadczeń uodporniły społeczeństwo pod tym względem zupełnie. Dawna podatność na pierwszą lepszą sensacyjną wiadomostkę w owej przynajmniej chwili zniknęła. Zdawało się, iż przemocą stłumiony żal rozczarowań i zawodów wtrącił tę zbiorową duszę w dziwnie głęboki letarg niemocy, że okryta stężałą skorupą bierności trwać będzie już nadal w tym stanie bezczucia. Tak trwała do października. Zbudziły ją dopiero radosne odgłosy zwycięskich trąbek z pod Jeny.

Marya Jarosiewiczówna.

# PIŚMIENNICTWO.

PROF. POGODIN: *Adam Mickiewicz. Jewo żiźń i tworczestwo.* Moskwa 1912. 2 tomy, str. 404 i 350.

Dzieło prof. Pogodina o Mickiewiczu interesuje nas pod wielu względami: napisał je Rosyanin, jak ze wszystkich kart widać, dobrej woli, uczony, który nietylko wszystkie pisma Mickiewicza zna w oryginale, ale nadto wszystko prawie, co o Mickiewiczu po polsku napisane zostało, przeczytał; [1]) książka jego jest pierwszą w Rosyi książką, obejmującą całość życia Mickiewicza, wreszcie ma na celu, jak czytamy w przedmowie, obudzić w ojczyźnie autora zainteresowanie i szacunek dla Polski i jej ideałów. Dla takich celów etyczna ocena indywidualności Mickiewicza i jego czynów jest bodaj ważniejsza, niżeli ocena estetyczna jego poezyi. Nie wiadomo wprawdzie, czy w Rosyi Mickiewicz wzbudzi podziw i cześć, czy niechęć, ale w każdym razie dla uczonego niema innej drogi jak duszę Mickiewicza wydobyć na jaw, pokazać ją w całej prawdzie i nagości, taką jaką była, jak ją ukształtowały cierpienia narodu i ognie, które się w niej paliły.

Słusznie mówi prof. Pogodin, że znaczenie Mickiewicza wciąż rośnie. My zdanie jego, które brzmi dalej: „w miarę tego jak wszystko chwilowe odpada od jego wiernych ideałów“, dokończymy w ten sposób, że rośnie w miarę tego jak się rozwija duchowe życie Polski. Powoli w ciągu ciężkich lat, strasznych

[1]) Prof. Pogodin prace źródłowe o Mickiewiczu mógł znaleźć tylko po polsku. Stąd zarzuty rosyjskich sprawozdawców, że pominął prace rosyjskie, są niesłuszne. Maleńka książeczka p. Miakotina przy sięgnięciu do źródeł traci znaczenie.

przejść, staje się on nam coraz bardziej jasnym, coraz bardziej zrozumiałym, coraz bardziej swoim. I jest znamienny ten zwrot jaki się dokonuje w kołach młodych polskich uczonych, którzy zaczynają badać jego życie polityczne, społeczne, obywatelskie na równi z jego poezyą. Odchodzą w cieniste altany, wzniesione troskliwą ręką uczonych innego pokolenia, posłuszne Maryle i Henryki, szlachetne, acz sentymentalne Karoliny, zaciera się pamięć o różnych lwicach odeskich, o różnych przypadkowych spotkaniach, a uwagę zajmują prace Mickiewicza w Towarzystwie Filomatów, artykuły w Pielgrzymie, wykłady w Collège de France i nauki w Kole; jego plany polityczne, gdy stawał na czele drobnego legionu, jego artykuły w Trybunie ludów i wreszcie jego wyjazd na wschód. I że tak jest, jest dobrze i sprawiedliwie. Bo młody Mickiewicz, to nie kochanek Maryli, ale filomata, Mickiewicz dojrzały, to nie konkurent do ręki panny Ankwiczówny, ale emigrant, poddający dobrowolnie głowę pod ciernie wygnania. W Wereszczakównie i Ankwiczównie mógł się zarówno kochać on jak każdy inny, a życie przez które przeszedł od Wilna do Konstantynopola, mogło być tylko jego życiem.

Stawianie sobie wysokich ideałów i dążenie do ich urzeczywistnienia widzimy w Mickiewiczu od tej chwili, kiedy najwcześniej zacząć się ono może, t. j. od wkroczenia w wiek młodzieńczy.

Towarzystwo Filomatów ma zrealizować w społeczeństwie ideał człowieka zdrowego moralnie, oświeconego, samodzielnego, spełniającego swe obowiązki, a dalej i społeczeństwo litewskie w tymże duchu przekształcić, wywieść je z niewoli wewnętrznej, partykularyzmu, przesądu, hipokryzyi, dać mu wielką oświatę, wielkie ideały obywatelskie, przygotować dlań konstytucyę wewnętrzną, którąby mu zastąpiła brak konstytucyi politycznej. Wykładnikiem tego ideału w Ustawach Towarzystwa jest owa dyscyplina w stosunku do członków. Z jaką surową powagą Jeżowski karci proste zaniedbanie się w obowiązkach Sucheckiego, który opuścił jakieś dwa posiedzenia, jak surowo Mickiewicz przestrzega, aby prawa były szanowane. Kreślimy, według naszego rozumienia, ideał moralny Mickiewicza z owej epoki, dlatego, że prof. Pogodin zastanawiając się nad *wolteromanią* Mickiewicza, zapytuje co mógł upodobać sobie czysty i naiwny jeszcze młodzieniec w satyrach tego starego cynika. A więc ideał jego moralny znając, powiemy, że upodobał sobie bicz, którym Wolter smagał hipokryzyę.

Rozdziały, traktujące o dzieciństwie i młodości Mickiewicza należą do najlepszych rozdziałów dzieła prof. Pogodina. Jest to dowodem prawdziwej intuicyi historycznej i rozumienia warunków społecznych, że posiadając dla epoki filomackiej bardzo kruchy i bardzo niewystarczający materyał, prof. Pogodin zoryentował się jak Towarzystwo Filomatyczne się rozwijało, jak stanąwszy z początku na gruncie czysto naukowym, przekształcało się powoli w towarzystwo polityczne. [1])

Z ciekawością wczytujemy się w książkę i zatrzymujemy się na tych jej stronicach, które nam mówią o Mickiewiczu w Rosyi.

Charakterystykę rosyjskiego społeczeństwa z owego czasu nakreślił prof. Pogodin kilku wydatnemi liniami.

Materyalizm, patryotyzm krzykliwy, wyrażający się w słowach ojczyzna i monarcha, z którymi to pojęciami wiązały się zupełnie inne uczucia niż w Polsce, brak dla tej ojczyzny miłości, jaka przenikała dla Litwy i Korony serce Mickiewicza. Osobiście był wdzięczny za dobry stosunek do siebie, ale coraz to bardziej owych nawyknień nienawidził. Z Moskwy uciekł do Petersburga, a z Petersburga przy pierwszej nadarzonej sposobności zagranicę. Prof. Pogodin polemizuje ze znanym powiedzeniem Wiaziemskiego, że kwestyi polskiej wówczas w Rosyi nie było. Zgodzić się na to nie możemy — mówi prof. Pogodin. Ze spółczesnych danych, z pamiętników wiemy, że pomiędzy Polakami a Rosyanami w Warszawie panowała wzajemna niechęć i nieprzyjaźń. To co pisał Naszerokin do Puszkina, prawda, że w czasie listopadowego powstania, podzielane było prawdopodobnie przez większość szlachty rosyjskiej. „Polaków ja nigdy nie oszczędzałem i prawdziwą radością dla mnie będzie, jeśli ani jeden Polak w Polsce nie zostanie i basta! Tych którzy zostaną zesłać w stepy. Polska z tego powodu pustą nie będzie: zajmą ją fabrykanci rosyjscy“ (t. II. str. 2). Jeśli chodzi o dekabrystów, to polscy rewolucyoniści byli ich sprzymierzeńcami, ale sam Bestużew twierdził, że dekabryści w stosunku do Polaków byli nieszczerzy. Puszkin w czasie powstania mówił, że Polaków trzeba zdusić. Stosunek ogromnej części rosyjskiego społeczeństwa do

[1]) Ponieważ jednocześnie w „Bibliotece Warszawskiej“, na archiwum filomatów opierając się, proces ten przedstawiam, więc do artykułu tam drukowanego: „Mickiewicz jako filomata“ odsyłam czytelnika, któryby pragnął dokładniej poznać tę kwestyę.

Polski po powstaniu nie był spowodowany jedynie tem powstaniem, był on przygotowany oddawna. Mickiewicz nie mógł zapomnieć, że przebywa w kraju wrogim, pomimo, że go szanują i lubią, pomimo, że go stawiają wyżej od Puszkina. W ten sposób psychologicznie tłómaczy prof. Pogodin powstanie Konrada Wallenroda jako „wallenrodyzmu".

Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście Rosya mogła natchnąć wallenrodyzmem Mickiewicza?

Nie będziemy polemizowali z prof. Pogodinem, czy charakterystyka społeczeństwa rosyjskiego z owego czasu jest wierna, czy nie: zna on je lepiej od nas. Wierzymy, że gdyby doszło do szczerych rozmów o kwestyi polskiej pomiędzy Puszkinem a Mickiewiczem, to Puszkin wypowiedziałby się w sensie nacyonalizmu rosyjskiego i że tak samo wypowiedzieliby się Żukowski, Wiaziemski i inni, ale nie zdaje nam się, aby społeczeństwo rosyjskie mogło było wówczas natchnąć poetę wallenrodyzmem. Stosunek Rosyi do Polski nie ujawnił się jeszcze wówczas tak, jak w czasie powstania listopadowego i sam prof. Pogodin musi się w pewnej mierze posługiwać metodą retrospektywną i psychologiczną, aby go odtworzyć, bo wystarczających materyałów nie znalazł.

— „Nie było kwestyi polskiej" — mówi ks. Wiaziemski. To znaczy, że o Polsce nie mówiono, a sądząc, że sprawa już całkowicie załatwiona na korzyść interesu państwowego, wobec Polaka być może mówiono w sposób, który go ujmował, bo cóż te słowa kosztowały? Mickiewicz, mimo całej swej przenikliwości był szczery i ufny, był młody, nie szarpnięty jeszcze świeżem nieszczęściem narodowem, zajmowały go zagadnienia ogólne, umiał się wznosić ponad teraźniejszość i nastrój życzliwy, liberalny, który go otaczał, nastrój spotęgowany procesem dekabrystów, mógł raczej mu natchnąć wizye przyszłości, kiedy narody o sporach swoich zapomną i w jedną rodzinę się zjednoczą — niż ideę wallenrodyzmu.

Więc kiedy ją powziął?

Nigdy.—Naszem zdaniem wallenrodyzmu niema w Konradzie Wallenrodzie. Spółcześni Rosyanie go nie dostrzegali, bo inaczej Puszkin nie brałby się do tłómaczenia tego poematu, Wiaziemski pisał o nim, już kiedy interpretacya się ustaliła:

„Nie podejmujemy się rozstrzygnąć czy Konrad Wallenrod był napisany tylko pod natchnieniem politycznem, czy także machiawelistycznem".—Idea dzieła indywidualnego może wyniknąć tylko z duchowej treści twórcy. Podstęp i zdrada nie były ni-

gdy treścią Mickiewicza. Fabuła, nad którą dotychczas głównie się zastanawiano, wynikła z jego upodobań literackich w owej dobie bajronizmu, z czegoś co było w nim przejściowe, ale kryła w sobie treść, która była jego stałą treścią: zupełne oddanie się idei, ofiarę. Naturalnie ta ostatnia kryła się niedostrzegalnie jak fiołek wśród traw wysokich, jednak nadawała aromat całemu utworowi, pociągała do niego tych nawet, którzy rozważając tylko fabułę, ze stanowiska moralnego potępiali Mickiewicza. Nie działała tylko na takich ludzi jak Nowosilcow i później różnych publicystów z czarnego skrzydła, których nazwisk wymieniać tutaj nie będziemy.

Wallenrod, aby zbawić swój kraj, składa z siebie całkowitą ofiarę, nietylko porzuca kraj i żonę, idzie na śmierć i mękę, ale chwyta się sposobu, przed którym wzdryga się cały:

„Stokroć przeklęta godzina, w której od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu".

Tak czyniły te Hiszpanki, gdy piły wodę z dzbana, aby wzbudzić do niej ufność w spragnionych żołnierzach francuskich i wraz z nimi padały na ziemię otrute. Któż z nas wobec ich śmierci nie jest przejęty czcią i wzruszeniem?

Ślepej, dzikiej zemsty niewolnika, niemającego innego celu jak ugaszenie ognia nienawiści, mimo wszystko co przez Krzyżaków przeszedł, niema w Wallenrodzie. Gdy cel osiągnął gotów przebaczyć: „już dosyć zemsty, i Niemcy są ludzie".

Oczywiście, że krwawym walkom, potykaniu się na śmierć i życie, nie towarzyszy pieśń miłości, pieśń pokoju, ale pieśń zemsty i krwi. Taką pieśnią Wallenroda jest Alpuhara.

Ofiara—ta perła chrześcijaństwa—zawsze znana była ludzkości i zawsze podnosiły się ku niej dusze bohaterskie. Ale poganin nie miałby wyrzutów sumienia jak Wallenrod, a chrześcijanin nie szedłby drogą Wallenroda. Wiedział o tem Mickiewicz i o tem tylko mógł myśleć, pisząc do Odyńca: „Uwaga damy (panny Natalii Biszping) o chrześcijaństwie Wallenroda żywem, a potem zaniedbanem, wydaje mi się arcy-głęboka".

Jeśli tu i owdzie nie zgadzamy się dotąd z prof. Pogodinem, to uznajemy w nim w każdym razie wielką przenikliwość psychologiczną i przyznajemy, że książka jego każe myśleć i wiele pytań nasuwa. Ale im bardziej zbliżamy się do epoki emigracyjnej, do towiańszczyzny, tem coraz mniej, godzimy się na wywody rosyjskiego uczonego, aż wreszcie nietylko się na nie godzić przestajemy, ale spostrzegamy, że prof. Pogodin nic nam już nie daje. Ten spadek zaczyna się od chwili, kiedy prof. Pogodin

przystępuje do analizy Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego, które są według niego jakiemś szczególnem połączeniem religijnej profanacyi z pokorą i pełne jakiegoś fałszywego tonu. Jednakże ten pogląd oparty jest bądź co bądź na przestudyowaniu ksiąg, więc tolerancya naukowa musi pozostawić swobodę sądu każdemu uczonemu, jeśli ten tylko na znajomości rzeczy się opiera, ale kiedy prof. Pogodin „rżnie“ Towiańskiego, to wprawia nas w zadziwienie.

Bo, zachodzi pytanie, czy prof. Pogodin Towiańskiego czytał?

Szacunek i uznanie z jakiem piszę o dziele prof. Pogodina pozwalają mi z całą powagą pytanie to postawić i mieć nadzieję, że prof. Pogodin z tą samą powagą je przyjmie. Jakby odpowiedź prof. Pogodina wypadła—wiemy. Prof. Pogodin pism Towiańskiego nie czytał. Prof. Pogodin przeczytał „Współudział Ad. Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego“, przeczytał „Mémorial de la legion polonaise“, przeczytał wreszcie wiele zdań o Towiańskim, między innemi w eruducyjnej pracy Pawlikowskiego, i znaną monografię o Towiańskim Tankreda Canonico. Tymczasem to wszystko nie wystarcza. Najcenniejsza z wymienionych publikacya Władysława Mickiewicza staje się zrozumiała dopiero w świetle poznania całej nauki. Tankred Canonico posługuje się najfałszywszą metodą, właściwą wszystkim towiańczykom, dawanie z tej nauki urywków, a inni autorowie, podobnie jak prof. Pogodin, wyciągają pierwiastki z liczby, której nie mają. I jak się nieznajomość nauki Towiańskiego mści przy czytaniu np. „Współudziału“, to wykażemy na następującym przykładzie, zaczerpniętym z dzieła prof. Pogodina:

„Charakterystyczne jest dla moralnego charakteru Towiańskiego, pisze prof. Pogodin, który w swoim czasie zwracał się do cesarza Mikołaja, do Rotszylda, że teraz potępiał Mickiewicza za zwrócenie się do cesarza rosyjskiego. Poeta wziął stronę ziemi i znaleźli się bracia, którzy duchem swoim skłonili się na stronę ciemiężców—tak wyraził się on sam w swoim mistycznym języku“.

Tymczasem Towiański, mówiąc to, zupełnie o cesarzu rosyjskim nie myślał.

Przyszła chwila w rozwoju Mickiewicza, kiedy przestało mu wystarczać samo podnoszenie ducha i praca w Kole, kiedy zapragnął ze zdobytymi przez lata pracy nad sobą ideami i siłą wejść w życie polityczne i przeprowadzać zasady, mające przynieść szczęście ludom i wolność Polsce. Towiański zaś nie

zgadzał się na działalność polityczną Mickiewicza. Z swojego stanowiska uważał ją za degradacyę, za upadek, za zejście z krainy wolności, z krainy ducha, na pole ucisku ducha przez materyę, na pole namiętności niższych, budzących się w człowieku pod hasłem wolności, z zaniedbaniem jedynej wolności człowiekowi potrzebnej—wolności ducha.

W cytowanym przez prof. Pogodina ustępie, ta treść jest zawarta.

Bardzo niedawno uczony włoski, prof. Borgese, pisał o Towiańskim w „Corriere della Sera“. Opierając się na pracach Tankreda Canonico, Atilla Begey i francuskich ustępach z pism Towiańskiego, wzywał uczonych, którzy mogą to uczynić, aby naukę tę wyjaśnili. I rzeczywiście czas potemu, abyśmy studyowali Towiańskiego bez trwogi i wstydliwości i zajęli wobec niego stanowisko przez naukę wymagane.

Wpływ, który wywarł na Mickiewicza, na emigracyę, miejsce jakie zajmuje wśród mistyków i moralistów XIX w. są zbyt wielkie, żeby wystarczyć mógł dla jego poznania Semenenko, albo Mazurkiewicz.

Jeśli zatrzymałem się nad tą kwestyą, to dlatego, że ma ona wagę zasadniczą nie tylko dla Mickiewicza w epoce towianizmu, ale w epoce jeszcze wcześniejszej, w epoce rozczytywania się jego w St. Martinie i Böhmem. Świat albowiem, w który wszedł Mickiewicz, przez przyjęcie nauki Towiańskiego, nie był mu obcy, wiele pojęć, które mu przyniósł Towiański, było mu wiadomych z poprzednich jego lektur mistycznych; naukę Towiańskiego do śmierci rozwijał i stosował, a choć się z nim w metodzie postępowania po pewnym czasie różnił, od nauki jego nie odszedł.

Niesłusznie prof. Pogodin sądzi, że audyencya Mickiewicza u papieża była tylko tem czem być mogła: oficyalnem potwierdzeniem, że wyrzekł się błędów Towiańskiego. Dlaczego. Czy dlatego, że jak pisze prof. Pogodin, audyencyę tę poprzedziło wyspowiadanie się Mickiewicza u katolickiego zakonnika? Przecież i Towiański się spowiadał, spowiadał się, komunikował w Szwajcaryi, będąc już bardzo znanym kościołowi i otrzymywał rozgrzeszenie, pomimo, że nigdy nie zgodził się na potępienie dwóch pism: „Biesiady“, ogłoszonej z jego notat i książki p. t. „Duński“, zawierającej wydane przez K. R. po śmierci tego księdza jego listy w sprawie towianizmu.

Drugim błędem w rysunku postaci Mickiewicza jest przeoczenie bardzo silnego w nim zmysłu praktycznego, życiowego,

który sprawiał, że w polityce z tego punktu widzenia nie był on bynajmniej Don Kichotem (t. II, str. 325) i że z tego punktu widzenia, jak chce prof. Pogodin pisząc o legionie, bynajmniej przedsięwzięcie to nie wydawało się komicznem. Chybiło ono wprawdzie, ale nie wychodziło z obrębu iluzyi wspólnych całej ówczesnej rewolucyjnej Europie, plan pozatem opierał się na podstawach realnych, na opinii włoskiej, która łatwo przejść mogła w systemat polityczny, że przypomnimy tylko proklamacyę Tymczasowego Rządu Medyolańskiego z dn. 28 marca, wzywającą między innymi i Polaków do wzięcia udziału w walce przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i odezwę członka rządu Weneckiego Tommasea, wzywającą ludy słowiańskie do powstania przeciw Austryi. Legion zaś Mickiewiczowski miał się składać nietylko z polskich emigrantów, ale i z austryackich jeńców słowiańskich, miał w ten sposób stać się ogniskiem, przyciągającem pod swój sztandar coraz to większe masy Słowian i po wyzwoleniu Włoch iść dalej ku Polsce.

Wchodzenie w szczegóły, kreślenie dokładne historyi legionu, wyjazdu na wschód—zaprowadziłoby nas za daleko i nie zmieściłoby się w ramach zwykłej notatki sprawozdawczej.

Rozstajemy się więc z książką prof. Pogodina, która mimo usterek, na jakie zwróciliśmy uwagę, zabiera pokaźne miejsce w rzędzie dzieł, poświęconych Mickiewiczowi.

Stanisław Szpotański.

---

ADAM KRZYŻANOWSKI. *Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze.* Nakładem krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. Skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego, czcionkami drukarni „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

Tocqueville nie bez słuszności mawiał, że wiek XX zajmie się przedewszystkiem umiejętnością stowarzyszania się. Znamieniem współczesnego życia gospodarczego jest powstawanie licznych zrzeszeń gospodarczych: towarzystw akcyjnych, spółek wytwórczych, spożywczych i kredytowych, związków zawodowych i wielu innych. Szereg uczonych, należących do najróżniejszych obozów politycznych uważa assocyacyę za najlepszy środek rozwiązania kwestyi socyalnej. Teoryi socyalistycznej o kolektywizmie prawno-publicznym, przymusowo przez państwo narzuco-

nym, przeciwstawiają kolektywizm prawno-prywatny, wyrastający z dobrowolnej umowy stowarzyszonych.

W tym potężnym ruchu współczesnym Polacy, zdaniem autora, zbyt słaby biorą udział. Zgadza się on ze zdaniem Karola Libelta, że towarzyskość stanowi jedną z najbardziej znamiennych cech charakteru polskiego. Natomiast odmawia nam daru łączenia się w towarzystwa. Porównywuje nas z Francuzami, o których znany pisarz Boutmy wyraził się, iż mają w przeciwieństwie do Anglików silne skłonności towarzyskie, ale mało uzdolnienia do współdziałania gospodarczego. Stąd niesłuszny wniosek, że zdolność współżycia ludzi jest wielkością ograniczoną i rozwój jej w jednym kierunku towarzyskim nie sprzyja osiągnięciu równych wyników w zakresie gospodarczym. W rzeczywistości wprost przeciwnie umiejętość współżycia w jednych formach może być tylko pomocną do współżycia w innych. Nie rozwinięty u Francuzów zmysł towarzyskości, ale zupełnie inne przyczyny wpłynęły na słabszy postęp życia współdzielczego u nich.

Co się tyczy Polaków, to autor wydaje zbyt surowy wyrok. Dość wskazać tylko na olbrzymi rozrost spółek gospodarczych w zaborze pruskim i nader szybko rozwijający się w ostatnich czasach ruch ten w Królestwie. Opinii autora możnaby przeciwstawić zdanie, wygłoszone przez jednego z kierowników ruchu współdzielczego w Anglii, który po zwiedzeniu Poznańskiego, wykrzyknął w uniesieniu: „Ależ Polacy—to urodzony naród kooperatystów“! Zresztą sam autor dalej wskazuje na dość znaczny postęp uzdolnienia do życia gospodarczego w zaborze pruskim i rosyjskim. Opinię swą opiera autor raczej na badaniu działalności gospodarczej w Galicyi. Ale i tutaj w ostatnich czasach zaszły duże zmiany na lepsze. Surową więc ocenę autora należy przypisywać gorącej chęci ujrzenia pod tym względem Polaków w pierwszych szeregach współzawodniczących narodów i przekonaniu, iż krytyka pobudzi do tem energiczniejszych wysiłków w tym kierunku.

Autor słusznie jednak podkreśla, iż społeczeństwo polskie niema wielkich tradycyi gospodarczych. Jednostronny rozwój rolnictwa, opartego na zacofanej technice, podporządkowanie polityczne i ekonomiczne żywiołu handlowego i przemysłowego— oto dzieje przedrozbiorowe. Uzdolnienie jednak do pracy fizycznej i umysłowej—jak sam autor zaznacza — energia, umiejętność zrzeszenia się i przedsiębiorczość nie są wielkościami stałymi, niezmiennymi w miejscu i czasie, lecz z biegiem lat zatracają się

lub doskonalą. Trudne warunki życia zmuszają nas do rozwinięcia odpowiednich cech.

W pierwszej części swej pracy autor bada okoliczności, sprzyjające rozwojowi zrzeszeń gospodarczych lub hamujące go. Wielką rolę przedewszystkiem gra ogólny stan oświaty w kraju. Dziejopisarze ruchu współdzielczego w Danii uważają zgodnie, iż dzisiejszy potężny rozwój jego mógł się oprzeć jedynie na podwalinach, wzniesionych przez biskupa Grundtviga, „duńskiego Pestalozzi'ego“, twórcy uniwersytetów ludowych.

Obok ogólnego wykształcenia niemałe znaczenie posiada i wykształcenie zawodowe. Tam, gdzie ważniejsze zagadnienia danej gałęzi produkcyi są zagadką dla przedsiębiorców, trudno o wydatną pracę wspólnemi siłami w obronie wspólnych interesów zawodowych, nierozumianych przez członków danego zawodu.

Pewien stopień zamożności kraju wpływa również dodatnio na rozwój wszelkich związków. Ludność uboga decyduje się z trudnością na małe nawet nakłady. Jeśli już je ponosi, to tylko na cele, które dają natychmiast bezpośrednie materyalne korzyści. Dzieje uczą nas, że kraje najmniej zamożne, choć najwięcej potrzebowały zrzeszenia rozproszonych sił, nie były ojczyzną współczesnych stowarzyszeń współdzielczych.

Nie można jednak przypisywać temu czynnikowi decydującego znaczenia. Przekonywa nas przykład Irlandyi, która była jednym z najbiedniejszych krajów na świecie, a dziś posiada bardzo silny ruch współdzielczy, odrodziwszy się ekonomicznie dzięki współpracy w związkach i stowarzyszeniach.

Rozwój Irlandyi uczy nas jeszcze czego innego. Dowodzi większej skuteczności pobudek wyższych natury moralnej nad egoistycznymi interesami materyalnymi. Sir Horacy Plunkett, twórca odrodzenia ekonomicznego Irlandyi, stwierdza: „Rzecz dziwna, gospodarcza korzyść nie okazała się tym głównym argumentem, który skutecznie oddziałał na szybko pojmującą inteligencyę chłopów irlandzkich, ale raczej nieznane dotąd przeświadczenie, że polepszając własny byt materyalny, pracują także dla innych“.

Pierwsze próby współdzielcze, podjęte w Anglii, miały charakter wybitnie filantropijny i były raczej akcyą dobroczynną. Później „pionierowi z Rochedale“, uczniowie Owena, zakładając z końcem pierwszej połowy XIX wieku stowarzyszenie spożywcze, prototyp i wzór aż do dni dzisiejszych, podkreślili silnie ideowy jego charakter. Uznali za potrzebne zapisać w statucie,

że tańsze nabywanie towarów drogą zrzeszenia się jest tylko środkiem do osiągnięcia celów dalszych, polegających na dążeniu do ogólnej reformy społecznej.

Schultze z Delitsch rozpoczął swą działalność od założenia kasy, udzielającej wsparć na wypadek choroby i na pokrycie kosztów pogrzebu. Pierwsze kasy Raiffeisena nosiły charakter wybitnie filantropijny. Początkowo miały na celu dawanie członkom pomocy gospodarczej we wszystkich kierunkach i nie były wcale pomyślane, jako instytucye kredytowe. Miały zadość uczynić wymaganiom sprawiedliwości społecznej.

We Francyi Buchez, twórca pierwszych stowarzyszeń wytwórczych, odwołuje się do uczuć religijnych i w imię ich agituje.

Wszystko to stwierdza, iż najważniejszym może czynnikiem w rozwoju współdzielczości, jest wpływ idei altruistycznych, poczucia solidarności i chęci współdziałania gospodarczego w imię dobra publicznego.

Tam gdzie dominuje dążenie do osobistej, bezpośredniej i natychmiastowej korzyści, tam niema miejsca dla rozwoju kooperacyi. Pierwiastki moralne pracy współdzielczej wyrażają się w szeregu postanowień statutowych, dążących do zachowania charakteru społecznego instytucyi współdzielczych. Założyciele stowarzyszeń statutowo starają się przeciwdziałać możliwości przekształcenia ich na przedsiębiorstwa kapitalistyczne.

Znajdujemy tam przepisy, według których jeden członek nie może posiadać więcej ponad oznaczoną ilość udziałów. Jeszcze dalej idzie postanowienie, że każdy członek, bez względu na ilość posiadanych udziałów, może mieć jeden tylko głos. Usuwa to przewagę zamożniejszych i zabezpiecza zasady demokratyzmu.

Często się spotyka ograniczenie wysokości dywidend, co ma na celu przeciwdziałanie tendencyom kapitalistycznym. Nadmiar zysków idzie na niepodzielny fundusz rezerwowy lub na zaspokojenie potrzeb ogólnych.

Stowarzyszenia współdzielcze przestrzegają skrupulatnie zasady wchodzenia w stosunki li tylko z członkami swymi dla uwydatnienia konieczności ścisłego zjednoczenia i współdziałania w łonie stowarzyszenia.

Solidarna poręka, stosowana w spółkach, zmusza do większego interesowania się instytucyą, wiąże silnie interesy jednostki z interesem ogółu i wskazuje konieczność wspólnej pracy oraz wzajemnej pomocy.

Wszelką wspólną pracę rozbijają zbyt wygórowane ambicye, przesadna skłonność do krytyki, brak karności. Wielką przeszkodę stanowi także nieumiejętność podziału pracy, która wywołuje albo zbytnią centralizacyę, albo też brak ogólnego kierownictwa, łączącego oddzielne prace w jedną całość.

Indywidualizm jednostki nie stoi wcale w przeciwieństwie do pracy zbiorowej. Odwrotnie prawdziwy indywidualizm może dać największe wyniki właśnie na tle zbiorowej pracy. Zbytnia wybujałość indywidualizmu, uniemożliwiająca współpracę z innymi, wykazuje nie tyle rozwój samego indywidualizmu, ile pewną niedojrzałość społeczną, niższy poziom kultury obywatelskiej.

Drugą część książki poświęca autor specyalnie związkom rolników. Dzieli je na związki zawodowe, gospodarcze i stanowe.

Zawodowe służą do obrony ogólnych interesów rolnictwa i prowadzą wszechstronną działalność wychowawczą, informacyjną i społeczną. Anglia, która przodowała innym krajom nietylko szybkimi postępami w przemyśle i handlu, ale również i w rolnictwie, zawdzięcza głównie rozwój rolniczy swym związkom.

W Szkocyi powstało pierwsze stowarzyszenie rolnicze w roku 1723. Obecnie największem stowarzyszeniem jest Royal Agricultural Society of England. Dzięki tym związkom Anglia pierwsza zastosowała około połowy XIX w. na wielką skalę drenowanie, które, jak słusznie zauważył Robert Peel, wywołało w rolnictwie taki przewrót, jak w przemyśle maszyna parowa. Związki te wydają swe czasopisma, urządzają wystawy stałe i wędrowne, konkursy maszyn rolniczych i t. p.

Działalność angielskich towarzystw rolniczych stała się wzorem, naśladowanym w innych krajach. Andrzej Zamoyski, jeden z twórców i prezes Towarzystwa Rolniczego, był wielbicielem i znawcą urządzeń angielskich.

Anglię naśladowało niemieckie towarzystwo rolnicze Deutsche Landwirtschaftsgesellschaft. Autor opisuje dalej działalność związku rolników w Berlinie (Bund der Landwirthe), związku irlandzkiego (Irish Agricultural Organisation Society) i towarzystwa francuskiego (Société des agricultures de la France).

Dochód z gospodarstwa zależy nietylko od zaznajomienia się z techniką rolniczą, ale także od korzystnego ukształtowania polityki ekonomicznej wobec rolnictwa. W książce znajdujemy przedstawienie wyników, jakie osiągnęły związki rolnicze w różnych krajach. Wreszcie naszkicowana jest działalność społeczna związków, skierowana przedewszystkiem ku poprawie stosunków robotniczych na wsi.

Związki gospodarcze rolników są bezpośrednio skierowane do przysporzenia pieniężnych korzyści członkom.

Ponieważ nabycie ziemi jest początkiem gospodarowania, więc zaczyna autor od spółek parcelacyjnych. Mają one na celu usunięcie wyzysku pośrednika i ułatwienie trudności hypotecznych i finansowych, połączonych z przelewem tytułu własności z jednego na kilkudziesięciu właścicieli. Spółki parcelacyjne rozwinęły się najwięcej w Anglii i u nas w Poznańskim.

Chcąc prowadzić gospodarstwo racyonalne, musi rolnik posiąść kapitał na nakłady. Pożyczek na dogodnych warunkach dostarczają mu spółki kredytowe. Więksi właściciele posiadają towarzystwa kredytowe ziemskie, dla mniejszych zaś powstają kasy typu Raiffeisena oraz Schultze'go z Delitsch. Kooperacye drobnych rolników są to instytucye ściśle miejscowe o małym terytoryalnym zakresie działania. Dają krótkoterminowe kredyty, przeznaczone na cele wytwórcze. Udziały w nich są niewielkie, a odpowiedzialność członków solidarna całym majątkiem osobistym, z rozwojem tych spółek powstają instytucye centralne, związki kredytowe, które regulują ruch pieniężny pomiędzy oddzielnymi spółkami. W Niemczech utworzyły się także związki bardziej luźne, których głównem zadaniem jest peryodyczna rewizya poszczególnych spółek.

Aby nie przepłacić towaru, na którego zakupno rolnik zaciągnął pożyczkę, powstają stowarzyszenia spożywcze. Celem ich jest ominięcie drobnych pośredników i nawiązanie stosunków wprost między spożywcą, a kupcem en gros lub wytwórcą. Spółki takie zakupują na wspólny rachunek nawozy sztuczne, nasiona, paszę, narzędzia i t. p. Jedne spółki zajmują się tylko pośrednictwem komisowem, inne zakupują i na własny rachunek.

Stowarzyszenia spożywcze tak samo, jak spółki kredytowe, tworzą związki między sobą, celem wzmocnienia na targu stanowiska spółek i uzyskania wpływu na ustalenie cen. Kooperacya spożywcza najlepiej rozwinęła się w Anglii i Niemczech.

W zakres kooperacyi spożywczej weszło w ostatnich czasach nabywanie usług na wspólny rachunek członków. Utworzyły się biura rachunkowe rolnicze, biura budownicze, melioracyjne, leśne, ogrodnicze i t. p.

Dalszym krokiem na polu rozwoju kooperacyi są związki ubezpieczeniowe. Najwięcej rozwinęło się ubezpieczenie zwierząt domowych. Bardzo słabo natomiast stoi sprawa ubezpieczeń od gradu, a to wskutek znacznych trudności, stojących na przeszkodzie racyonalnej organizacyi ubezpieczeń tego rodzaju.

Drugą kategoryę kooperacyi rolnej stanowią spółki wytwórcze, które podejmują się pewnych czynności, wchodzących w zakres produkcyi rolnej i spółki, stawiające sobie za cel sprzedaż gotowego produktu.

Dużą rolę grają spółki melioracyjne. Zwykle nie są one wynikiem assocyacyi zupełnie dobrowolnej, ale opierają się na zasadzie względnego przymusu. Prawodawstwo w bardziej posuniętych kulturalnie państwach zmusza mniejszość do melioracyi, jeśli większość mieszkańców gminy zawiąże spółkę melioracyjną. Spółki tego rodzaju mają głównie na celu odwodnianie lub nawodnianie, komasacyę i kulturę nieużytków.

W spółki maszynowe drobni rolnicy łączą się w celu wspólnego kupna i użytkowania różnych maszyn i narzędzi.

Kooperacya w zakresie hodowli zwierząt domowych okazała się w wielu przypadkach skutecznym sposobem uszlachetnienia i ujednostajnienia typu. Nabycie odpowiednich rozpłodników i zakładanie ksiąg rodowych jest głównym zadaniem związków hodowlanych. Związki te starają się dalej ułatwić zbyt przez ogłoszenia, urządzanie targów i wystaw.

Spółki, zajmujące się sprzedażą produktów rolnych, powstają zwykle później, gdy już rozwiną się stowarzyszenia dla zakupu towarów. Sprzedaż bowiem jest trudniejsza od zakupu. Wspólna sprzedaż oprócz oszczędności na kosztach pośrednictwa, pozwala rolnikom uzyskiwać większy wpływ na ceny, oczekiwać korzystniejszej konjunktury, robić oszczędności na kosztach przewozu dużymi partyami.

Najwięcej rozwinęły się spółki zbożowe, gdyż zboże jest dotychczas najważniejszym produktem gospodarstwa rolnego. W związku z nimi stoją spółkowe młyny i piekarnie. Wielce użytecznym czynnikiem okazała się kooperacya w gorzelnictwie. Poczyna się też rozwijać i w ogrodnictwie.

Wśród produktów zwierzęcych najważniejszą rolę odgrywa mleko. Spółki mleczarskie zaczynają początkowo od wspólnej przeróbki mleka, później zaś przechodzą i do wspólnej sprzedaży. Spółki mleczarskie najwięcej rozwinęły się w Danii, we Francyi i Szwajcaryi. Wielce rozpowszechnione są spółki dla wyrobu serów. W Ameryce rolnicy łączą się w spółki w celu wspólnego zamrażania i wywozu mięsa.

Trzecim rodzajem związków rolnych są związki stanowe. Mają one na celu obronę interesów nie całego rolnictwa, ale tylko jednego stanu, właścicieli lub dzierżawców, lub robotników. Podczas gdy związki zawodowe i gospodarcze stawiają sobie za

cel powiększenie dochodów gospodarstwa, związki stanowe mają na widoku głównie podział dochodów.

Znaczną część książki poświęca autor sprawie subwencyi rządowych i krajowych, grających tak dużą rolę w Galicyi. Wysuwa tu wniosek ogólny, że subwencya tylko wtedy jest korzystna, gdy pomnaża twórczość ekonomiczną jednostek, przynosi zaś szkody o ile ją osłabia.

W kraju przeważnie rolniczym, jakim jest dotychczas naogół Polska, zagadnienie kooperacyi rolnej, posiada nader doniosłe znaczenie. Autor zna swój przedmiot nietylko teoretycznie, ale dokładnie zbadał go w praktyce na stanowisku członka Komitetu Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, w państwowej radzie rolniczej i w zarządzie głównym Towarzystwa kółek rolniczych. Tem cenniejsze są przeto jego wnioski i uwagi.

Wacław Dunin.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

— Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie „Historyi sztuki w Polsce.“ Warunki konkursu są następujące: 1) Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią. 2) Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire. 3) Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane. 4) Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi. 5) Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu. 6) Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi. 7) Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1913 r. Nagroda wynosi 1,000 rubli.

Przypomina się nadto konkursy ogłoszone dawniej. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs im. Józefa Majera na następujący temat: „Stosunki mineralogiczno-petrograficzne północnego trzonu Tatr.“ Nagroda wynosi 2,000 koron. Termin konkursu upływa 31 grudnia 1913 r.

Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem konkurs im. Mikołaja Kopernika, a mianowicie: „Opracować stosunki klimatyczne jednej z wiekszych dzielnic Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzimym.“ Nagroda wynosi 1,200 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1913 r. Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii. Zarówno autor, jak

i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Ogłasza się na nowo:

Akademia Umiejętności ogłasza konkurs im. Lindego. Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi, mogące w jakibądź sposób służyć za dopełnienie Słownika Lindego. Prace te mogą być według aktu fundacyi drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość. Nagroda 675 rubli. Termin konkursu upływa 31 grudnia 1915 r.

Zarząd Akademii Umiejętności ogłasza na mocy statutu fundacyi ś. p. d-ra Michała Zieleniewskiego, zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie reskryptem z dnia 25 stycznia 1913 r. dwa konkursy. Konkurs pierwszy z terminem po koniec roku 1920 na uzupełnienie „Słownika bibliograficzno-balneologicznego polskich zakładów zdrojowo-kąpielowych," wydanego przez ś. p. d-ra Michała Zieleniewskiego w r. 1891. Rękopisy należy nadsyłać do Kancelaryi Akademii Umiejętności najpóźniej do 31 grudnia 1920 roku. Autor obowiązany jest dostarczyć zupełnie wykonany rękopis i nie ma prawa żądać zaliczek; po przyjęciu uzupełnienia „Słownika" otrzyma autor honoraryum wedle arkusza, w wysokości przez Akademię ustanowionej. Konkurs drugi na pracę poświęconą ściśle naukowemu badaniu i opisowi rodzimych wód mineralnych polskich, a to na temat dowolnie przez autora obrany, byleby tylko autor ubiegający się o nagrodę przedłożył ją we właściwym czasie Akademii Umiejętności, a to bądź w druku, bądź w rękopisie. Przedmiotem prac, mogących ubiegać się o nagrodę, będzie naukowe zbadanie i opis nie pojedyńczych źródeł naszych mineralnych, ale całych działów wód lekarskich polskich i ich działania leczniczego, jako to: szczaw, wód siarczanych, żelazistych, uzdrowisk klimatycznych i t. d. Zaliczki na zamierzone tego rodzaju badania, na podróże w tym celu przedsiębrać się mające i t. p. wydatki, nie mogą być udzielane z niniejszego funduszu. Jedynie dokonane i gotowe opracowania będą wynagradzane. Gdyby którego roku żadnej pracy do nagrody nie przedłożono lub żadna z przedłożonych na nagrodę nie zasługiwała, może Akademia Umiejętności albo przenieść tę nagrodę na lata dalsze w ten sposób, że nagrodę stanowić będzie dwu-, trzechletni i t. d. dochód fundacyjny, albo zarządzić dodanie nieużytej kwoty premiowej do kapitału fundacyi (§ 1, ustęp *a*). Nagroda nie może nigdy wynosić więcej jak pięcioletnie odsetki. Jednoroczny dochód fundacyjny przeznaczony na nagrodę wynosi około 780 k. Prace na konkurs niniejszy należy nadsyłać do kancelaryi Akademii najpóźniej do 31 grudnia 1913 r.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres a opatrzonej tem samem godłem. Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata

wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

Akademia Umiejętności w Krakowia ogłasza konkurs na 2 stypendya im. bl. p. Henryka Wohla. Stypendya wynoszą po 900 koron rocznie i będą wypłacane w dwóch ratach, z początkiem zimowego i letniego półrocza każdorazowego roku szkolnego. Petenci powinni wykazać, że są albo pochodzenia włościańskiego, a to z Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego, lub że są Polakami wyznania mojżeszowego i stałymi mieszkańcami Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego. Jedno stypendyum musi zawsze przypaść dla petenta pochodzenia włościańskiego, a drugie dla petenta wyznania mojżeszowego. Nadto petenci winni wykazać, że są zapisani na jeden z uniwersytetów galicyjskich lub na uniwersytet warszawski lub też na inny jaki uniwersytet, znajdujący się w granicach dawnej Polski i że się specyalnie poświęcają studyom nad językiem polskim, literaturą polską lub historyą polską; przyczem przez historyę polską należy także rozumieć studya nad historyą prawa polskiego i stosunków wewnętrznych dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Kandydat, który uzyska stypendyum, będzie obowiązany przed pobraniem następnej raty przedstawić świadectwa kollokwialne albo inne, im równoznaczne uniwersyteckie świadectwa z dobrym postępem. Kandydat, który stypendyum uzyskał, może je zachować przez cały przeciąg studyów uniwersyteckich, oraz, o ile zamierza zdawać doktorat, przez dwa lata jeszcze po normalnem ich ukończeniu, o ile jednak w tym czasie nie uzyskał posady z pensyą conajmniej równającą się rocznej kwocie stypendyalnej. O przedłużenie na przeciąg dwóch lat po uzyskaniu absolutoryum należy wnieść osobne podanie i załączyć do niego poparcie tego lub tych profesorów, pod których kierunkiem kandydat studya swoje odbywał. Podania zaopatrzone: *a*) w metrykę chrztu, *b*) świadectwo ubóstwa, *c*) świadectwo przynależności, *d*) dowody uczęszczania na uniwersytet i *e*) świadectwa kollokwialne albo inne, im równoznaczne świadectwa uniwersyteckie z dobrym postępem—należy wnosić do Zarządu Akademii Umiejętności do dnia 20 października 1913 r.

## CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Lipiec 1913. Treść: Prace bibliograficzne w zakresie polskiej twórczości filozoficznej. Krytyka: Bouchaud de ks. J. T.: O Najświętszej Ofierze Mszy św. i sposobie jej słuchania; — Bouffał Bronisław: Indyanizm w wychowaniu; — Brzega Wojciech: Posiady;—Bukar Seweryn: Pamiętniki z końca XVIII i początków wieku XIX; — Carlyle T.: Pracuj i nie trać nadziei; — Choynowski Piotr: Historya naiwna;—Czerwińska A. i K. Lewandowska: Czytania dla młodzieży i dorosłych;—Hahn Wiktor: Juliusz Słowacki, Franciszek Gaudy i Antoni Żakelj (Rodoljub Ledinski);—Haldane Macfall: Historya malarstwa;— Jaworowski M.: Katalog rękopisów Biblioteki publicznej im. Łopacińskiego w Lublinie; — Kazet: Z urzędniczego światka; — Kiedrzyński Stefan: Słodycz

grzechu; — Kiewliczowa Zofia: Zasady wiary i moralności chrześcijańskiej; — Krzywicki Ludwik: Charakterystyka fizyczna ludności ziem polskich i dzielnic ościennych;—Majmon Salomon: Autobiografia z portretem, oraz list autora do króla Stanisława Augusta;—Melcher Alojzy ks.: Sto pięćdziesiąt Kazań albo Nauk katechizmowych;—Minkiewicz Romuald: Lucyan; Prace matematyczno-fizyczne;—Puławski Wincenty dr.: Zapobieganie chorobom zakaźnym wśród ludu w osadach i wsiach;—Renan E.: Dyalogi i fragmenty filozoficzne;—Schopenhauer A.: O religii;—Ułaszyn Henryk dr.: W obronie nauki;—Tenże: Z powodu „Naszych najpospolitszych błędów językowych";—Urbanowska Zofia: Cudzoziemiec;—Zapolska Gabryela: Kobieta bez skazy;—Zieliński W. J. i L. Ostaszewski: Botanika;—Żmijewska Eugenia: Jutro. Polemika. List do Redakcyi. Pod prasą. Odezwa. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia.

# BIBLIOGRAFIA.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Benni Tytus: Samogłoski polskie. Analiza fizyologiczna i systematyka. Warszawa, 1912. Prace Towarzystwa Nakowego Warszawskiego. Wydział I: Językoznawstwo i literatura. Nakładem Tow. Nauk. Warsz. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Biegeleisen Bronisław, dr.: Pragmatyzm i Matematyka. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego". Warszawa, 1913. Drukarnia Polska.

Bogusławski Edward: Dowody autochtonizmu Słowian na przestrzeni zajmowanej przez nich w wiekach średnich. Prace Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. II. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. Dodatek do „Sprawozdań z posiedzeń". Warszawa, 1912. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Brodnicki Alfred: Język w utworach Z. Krasińskiego. Część II. Drohobycz, 1913. Odbitka ze sprawozdania gimnazyalnego.

Dostojewski Teodor: Bracia Karamazow. Przekład Barbary Beaupré. Część IV, V i VI. „Biblioteka Dzieł Wyborowych". Warszawa, 1913.

Herbarz Polski. Wydawany i redagowany dawniej przez Adama Bonieckiego, obecnie wydawany jest przez rodzinę ś. p. Adama Bonieckiego a redagowany przez Artura bar. Reiskiego. Warszawa, 1913. Tom XV, zeszyt X—od Łodzińscy do Łopuscy.

Kostomarow N. J.: Kudejar. Powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego. Tom pierwszy. Warszawa, 1913. „Biesiada Literacka".

Kraushar Aleksander: W sprawie fundacyi naukowej Towarzystwa imienia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego w Lipsku (1774—1911). Vigilantibus jura. Prace Tow. Naukowego Warszawskiego. Dodatek do „Sprawozdań z posiedzeń". Warszawa, 1912. Nakładem Tow. Nauk. Warsz. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkułł).

Krechowiecki Adam: Szary Wilk. Powieść historyczna. Tom I. „Ciekawe Powieści". Bezpłatny dodatek do „Tyg. Illustr." Warszawa, sierpień 1913. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Książę Józef Poniatowski. W setną rocznicę zgonu bohaterskiego. Napisał dr. Bronisław Pawłowski. „Biblioteka Macierzy Polskiej". Lwów, 1913. Nakładem Macierzy Polskiej. Skład główny w administracyi Macierzy Polskiej. Kraków G. Gebethner i Sp. New-York w Tow. „Polish Book Importing Co. Inc."

Kwartalnik Historyczny. Organ Tow. Historycznego, założony przez Xawerego Liskiego. Redaktor Aleksander Semkowicz. Rocznik XXVII, zeszyt I/II. Lwów, 1913. Nakładem Tow. Historycznego. Główny skład w księgarni Gubrynowicza i Syna we Lwowie i w księg. E. Wende i Sp. w Warszawie.

Mickiewicz Adam: Les Slaves. Pages Choisies avec une introduction et des notes — par Marius-Ary Leblond. Paris, Bibliothèquue internationale d'Edition. E. Sansot & Com.

Moszyńska Jadwiga: Czytania polskie dla klasy drugiej. Wilno, 1913. Druk Józefa Zawadzkiego.

Pamiętnik Literacki. Czasopismo kwartalne poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej. Wydawane przez Tow. Lit. im. Adama Mickiewicza pod redakcyą Wiktora Hahna. Lwów, 1913.

Rzewuski Adam hr.: Ksiądz Maryan. Obrazek z życia parafiańszczyzny kresowej. Panna Wiktorya.—Otello z Bosokarnowa.—Lina.—Na Niedźwiedzia.—Z teki myśliwego (wrażenia polskie). Nakładem Leona Idzikowskiego Kijów, 1914. Warszawa L. Idzikowski. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

Sierakowski Adam hr.: Listy z podróży. I. Grecya. II. Hiszpania. Część III i IV Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Sprawozdanie z posiedzeń Tow. Naukowego Warszawskiego. Listopad i Grudzień 1912. Warszawa, nakładem Tow. Nauk. Warsz. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Trąmpczyński Włodzimierz: Epizody historyczne. Luźne kartki na tle dziejów W. Ks. Poznańskiego, z portretem autora i illustracyami w tekście. Treść: Emisaryusz centralizacyi wersalskiej.—Pohulanka partyzancka i „Rzeczpospolita Poznańska".—Juliusz Słowacki jako agitator rewolucyjny w Poznaniu.—Ksiądz-apostata i fanatyk demokratyczny. — Cicha miłość kobiety wielkiego serca. — Rojenia czterech poetów o Polsce idealnej. — Gorszący zatarg nad prochami królów polskich i samobójstwo magnata wielkopolskiego. — „Marcowe dni", sojusz prusko-polski w r. 1848. — Wielkopolski Muciusz Scae-

vola. — Wynalazca płynu do piętnowania powstańców polskich. — Konfraternia kupiecka w Poznaniu. Warszawa, 1914. Skład główny w księg. E. Wende i Sp., w Łodzi księg. Ludwika Fiszera, Lwów—H. Altenberg.

Wells H. G.: Historya pana Polly. Przełożyła z angielskiego Z. N. Część I. Warszawa, 1913. „Biblioteka Dzieł Wyborowych".

Zbiór pomników Reformacyi Kościoła polskiego i litewskiego. Akta, tho jest Sprawy Zboru krześciańskiego wileńskiego, które się poczęli r. p. 1557 Miesiąca Decembra Dnia 14. Za sprawą Xiędza Simona z Proszowic, tego zboru superintendenta, Kaznodzieie Oświeconego Xiążęcia pana Mikołaja Radziwiła, Woiewody Wileńskiego etc. W Brześciu Litewskiem 1559. Staraniem Synodu Jednoty Ewangelicko-Reformowanej Litewskiej przedrukowane. Wilno, 1913. Skład główny E. Wende i Sp. w Warszawie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa Druk A. Ginsa

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

## z roku 1913.

### HISTORYA.


Str.

POLITYKA KS. KAUNITZA A KONFEDERACYA BARSKA, — przez *Wacława Mejbauma* . . . . . 62

STASZIC ZAGRANICĄ,—przez *Brunona Stawenę* . . . . . 152

WŁADYSŁAW IV A KORONA SZWEDZKA, — przez *d-ra Józefa Krajewskiego* . . . . . 209

HITTYCI,—przez *ks. Józefa Kruszyńskiego* . . . . . 310

BONAPARTE A LEGIONY,—przez *Szymona Askenazego* . . . . . 417

POLACY POD RZĄDEM AUSTRYACKIM,—przez *Maryę Jarosiewiczównę* 568


### HISTORYA LITERATURY.


KRASICKI A KOMISYA EDUKACYJNA, — przez *Zygmunta Kukulskiego* 267


### LITERATURA.


PIERWIOSNKI (powieść),—przez *Maryę Szpyrkównę* . . . . . 31, 235 i 454

W DRODZE NA PÓŁNOC I NA WYGNANIU (pamiętnik), — przez *Władysława Zapałowskiego* . . . . . 91 i 293


### SZKICE SPOŁECZNE I LITERACKIE.


POD ZNAKIEM HERODOTA,—przez *Władysława Konopczyńskiego* . . . 1

RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez *Orwida* . . . . . 124

*Str.*

RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez *d-ra Józefa Flacha* . . . . 351
KRONIKA LITERACKA,—przez *Henryka Gallego* . . . . . 516
KOŚCIÓŁ ANGIELSKI A SPRAWA SPOŁECZNA,—przez *Romana Dyboskiego* . . . . . 551

## SZKICE PRZYRODNICZE.

PODBÓJ ANTARKTYDY,—przez *Kazimierza Hellego* . . . . . 484

## KRYTYKA.

Dr. Maurycy Straszewski: „Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym“,—przez *d-ra A. Zieleńczyka* . . . 171
Dr. Aleksander Łucki: „Epos szlacheckie Kazimierza Brodzińskiego“—przez *M. Kridla* . . . . . 178
Z. Brentano: „Der Schutz der Arbeitswilligen“, „Ueber Syndikalismus und Lohnminimum zwei Vorträge“, — przez *d-ra Wacława Babińskiego* . . . . . 182
Edward Bogusławski: „Dowody Autochtonizmu Słowian na przestrzeni zajmowanej przez nich w wiekach średnich,“ — przez *d-ra Marcelego Nałęcz-Dobrowolskiego* . . . . . 374
„Generał Zamoyski 1803—1868,“—przez *Stanisława Szpotańskiego* . . . . 381
Ks. Dr. Kazimierz Zimmerman: „Ks. Patron Wawrzyniak,“ — przez *Wacława Dunina* . . . . . 384
Dr. Bohdan Zahorski: „O formach współżycia płciowego ze stanowiska socyologicznego,“—przez *W. D.* . . . . . 387
„Mémorial de la Légion polonaise de 1848 crée en Italie par Adam Mickiewicz,“—przez *A. S.* . . . . . 390
Prof. Pogodin: „Adam Mickiewicz. Jewo żizń i tworczestwo“,—przez *Stanisława Szpotańskiego* . . . . . 600
Adam Krzyżanowski: „Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze“, — przez *Wacława Dunina* . . . . . 607

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:
Samorząd miejski uchwalony. — Co będzie z naszego chłopca?—Wybór zawodu.—O zawodach technicznych. — Opieka nad zabytkami.—Przeszłość i przyszłość.—Rozwój przemysłu ludowego.—Towarzystwo rozwoju przemysłu, rzemiosł i handlu.—Anarchizacya . . . . . 188
SIERPIEŃ:
Bilans ostatniej sesyi Izby.—Rzeczy polskie.—Wynik wyborów w Galicyi.—Zwycięstwo Rusinów.—Drugi „Jagiełło“—Wobec

*Str.*

reformy: proporcyonalność czy kadaster narodowy?— Filipi z Konopi *redivivi*, czyli „komisya tymczasowa“ i „Słowianie“. — Bezrobocia łódzkie. — Produkcya wydawnicza na ziemiach polskich . . . . . 397

WSPOMNIENIA POZGONNE.

S. p. Władysław Łoziński, ś. p. Władysław Maleszewski i ś. p. dr. Stanisław Pareński,—przez *L. W.* . . . . . 201

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC . . . . . 205
SIERPIEŃ . . . . . 409
WRZESIEŃ . . . . . 615